

John Marco

Wspaniały plan

Księga druga cyklu Tyrani i królowie

PODZIĘKOWANIA

Autor chciałby, by podziękowania za pomoc i wsparcie przyjęły następujące osoby:

Russell Galen, Danny Baror, Anne Lesley Groell, Juliet Combes, Kristen Britain, Paul Goat Allen, Ted Xidas, Victoria Strauss, Julie Jones i Douglas Beekman.

I jak zawsze dziękuję Deborah, która zrobiła więcej, niż można to wyrazić jakimikolwiek słowami.

Jeden ŚWIATŁOŚĆ BOGA

Rudawe błyski rozjaśniały noc nierównomiernym pulsującym blaskiem.

Najwyższy wódz nareńskich legionów, generał Vorto, stał na zboczu wzgórza tuż pod stanowiskiem wyrzutni rakiet, w bezpiecznej odległości od kruszonych mocą wybuchów murów Goth. Noc była zimna, w powietrzu wisiała para ludzkich oddechów. Widział kryształki śniegu iskrzące się na niebie i osiadające mu na rzęsach. Podmuchy z północy unosiły bojowe race w górę, nad miasto, i odchylały w bok ogniste strugi wyrzucane przez wyloty ogniomiotów. Wysokie mury Goth w najsłabszych miejscach płonęły niczym stopiony jantary, a wewnątrz miasta - w wielu punktach, gdzie w podatne na zapłon materiały trafiły celnie ogniste race - rozgorzały pożary. Na pomostach wzdłuż murów i na blankach mrowili się gothajscy łucznicy, którzy nieustannie ślali strzały na otaczających miasto tysięcznymi legionami Narenów. Ustawione wysoko na wzgórzach wyrzutnie rakiet wysyłały jedna za drugą swoje pociski, a po płaskim gruncie niepowstrzymane parły ku miastu osadzone na żelaznych kołach wozy bojowe, zostawiające głębokie ślady w skatowanej ziemi.

Wewnątrz wozów, z zamkniętych żelaznych beczek, ogniomistrzowie pompowali kerosynowe paliwo w wąskie wyloty ogniomiotów i smagali ogniem niewzruszone mury Goth.

Bojowa machina Nar pracowała pełną parą.

Generał zdjął rękawicę i wystawiwszy palec na wiatr, spróbował ocenić jego siłę i kierunek. Dęło mocno, z południowego wschodu. Wiatr był stanowczo zbyt silny.

Generał zmełł w ustach przekleństwo i wciągnął rękawicę. Jak do tej pory nic nie wskazywało na to, by jego zaciekle ataki robiły większe wrażenie na mieszkańcach Warownego Grodu, a i wiatry nie były dla niego łaskawe. Zaczął uderzenie przedzaledwie kilkoma godzinami, a już się zdążył zirytować niczym zwykły sierżant. Zgrzytnął zębami, widząc, jak niewiele sobie robią mieszkańcy z tego, czym im zagroził.

- Opierajcie się, opierajcie - warknął. - Zobaczymy, co powiecie, jak ustawimy taran.

Nieopodal, na szczycie wzgórza, na generalskie rozkazy czekali celowniczy

zmodyfikowanych kwasomiotów. Kilka godzin po otoczeniu miasta napełnili zbiornik nowym ładunkiem - Formułą B, wiatr jednak przybrał na sile i nie można było zacząć ostrzału. Na otaczających Goth niewysokich pagórkach ustawiono jeszcze pięć podobnych miotaczy i obecnie obsady wszystkich czekały na rozkazy Vorto. Generał zatarł dłonie, by je nieco ogrzać.

- Bronią się dobrze i mocno - stwierdził, zwracając się do swego adiutanta, chudego pułkownika o skwaszonej twarzy nazwiskiem Kye. - Nie ocenilem ich należycie.

Wygląda na to, że nie boją się oblężenia. Myślałem, że Lokken jest tchórzem.

- Diuk Lokken w istocie jest tchórzem - odrzekł sucho Kye. Miał niski, chrapliwy głos, który zawdzięczał przebitej strzałą jakiegoś Triina krtani, i generałowi niełatwo było go zrozumieć. - O świcie zobaczy, co dla niego przygotowaliśmy, i zaraz potem podda miasto. - Pułkownik uśmiechnął się ponuro. - Z natury rzeczy jestem optymistą.

- Możesz sobie na to pozwolić, pułkowniku - odpowiedział Vorto. - Ja nie mogę.

-

Wyciągnął rękę i wskazał mrowiących się na murach łuczników, którzy z obojętnością spoglądali na spadające na miasto rakiety. - Spójrz. Widzisz, ilu ich tam jest?

Z taką obsadą murów mogą się trzymać całymi tygodniami. A te przeklęte wiatry...

Vorto umilkł nagle i w duchu szybko odmówił modlitwę. Wiatry były dziełem Boga i nie do ludzi należało ich osądzanie. Vorto uznał swój grzech, a potem zwrócił uwagę na ustawiony obok ogromny miotacz kwasu. Przy komorze ładowania leżały gotowe do użycia pojemniki Formuły B. Miechy, które miały sprężyć powietrze potrzebne do wyrzucenia pojemnika, napełniono już wcześniej i Vorto słyszał lekkie skrzypienie napiętej skóry.

Pochylił się i podniósł jeden z pojemników. Żołnierze z obsady działa sapnęli ze zgrozą i jak jeden cofnęli się o krok. Generał odwrócił pojemnik i przy migotliwym świetle rakiet przez chwilę badał go wzrokiem. Cylindryczny pojemnik nie był większy od ludzkiej głowy.

Obracając go w palcach, generał czuł drzenie płynów, którymi napełniono

osobliwy pocisk.

W pojemniku były dwie komory - jedna pełna wody, druga zaś zawierała wyprodukowane w laboratoriach wojennych granulki Formuły B. Po upadku pojemnik rozbijał się, a składniki miały się ze sobą mieszać. Reszty dokonywał pierwszy lepszy podmuch wiatru.

Taka była teoria. Formuły B nigdy nie wypróbowano w warunkach bojowych.

Bovadin uciekł z Nar przed ostatecznymi próbami, zostawiając dokończenie dzieła kilku swoim pomocnikom. Drobinki Formuły B okazały się zbyt żrące, żeby je dokądkolwiek przewozić - nawet w stanie suchym. Pracownicy laboratorium zapewniali jednak generała, że Formuła B jest bronią doskonałą. Wypróbowali materiał na więźniach, ze świetnymi zresztą rezultatami, i byli pewni, że pięćdziesiąt pojemników wystarczy, by zetrzeć Goth z powierzchni ziemi.

Wszystko jednak zależało od sprzyjających wiatrów.

Rozmyślając o tym, Vorto odłożył pojemnik na miejsce. Choć bardzo chciał, nie mógł sobie pozwolić na ryzyko detonacji środka przy tak zmiennym wietrze. Mury Goth były oczywiście wysokie, czy jednak zdołałyby zatrzymać gaz wewnątrz? A gdyby któryś z pojemników pękł poza obrębem murów? Nawet, jeżeli istniała bezpieczna odległość, poza którą żrące opary przestawały być groźne, nikt dotychczas jej nie zmierzył. Być może zrobił to Bovadin, ale przeklęty karzeł był teraz na Crote i ukrywał się wraz z sodomitą, Biagiem.

„Ufaj Bogu” - napomniał sam siebie generał.

- Choćbym latał ze smokami i zamieszkał w najciemniejszym zakątku świata - wyrecytował - nawet tam prawa dłoń Thy poprowadziłaby mnie i nawet tam Thy rozjaśniłby dla mnie ścieżkę. - Vorto uśmiechnął się beznamiętnie do Kyle'a, który nie należał do ludzi przesadnie religijnych. - Księga Galliona - wyjaśnił. - Rozdział jedenasty, werset dziewiętnasty. Wiesz, co to znaczy?

Cytat nie zrobił na Kye żadnego wrażenia. Od generała pułkownik różnił się między innymi tym, że poddawał się edyktom arcybiskupa Herritha wyłącznie z poczucia obowiązku i nie myślał przy tym o wierze. Vorto nieraz próbował przekonać pułkownika o istnieniu Niebios, Kye jednak uparcie pozostawał sceptykiem. Był jednak lojalnym, świetnym żołnierzem - i Vorto postanowił na razie nie przejmować się wygłaszanymi

niekiedy przez niego herezjami.

- Wywiesili flagę - stwierdził pułkownik spokojnie. - To wszystko, co mogę na razie powiedzieć.

Patrząc ponad ramieniem pułkownika, Vorto mógł zobaczyć rozjaśnione blaskami rakiet Goth i jego dumne, wyzywająco strzelające ku niebu wieże. W samym środku miasta, nad fortecą Lokkena powiewała na wietrze Czarna Flaga, nienawistny symbol starego Nar.

Wywieszanie tego sztandaru było obecnie zbrodnią, ale Lokken i jemu podobni za nic mieli rozporządzenia Herritha. Vorto obiecał sobie, że nie spocznie, dopóki osobiście nie zedrze Czarnej Flagi ze szczytu wieży i nie wepchnie jej w załganą gardziel diuka Lokkena.

Od śmierci Arkusa i przejęcia władzy w Nar przez biskupa Herritha wszystkie ludy w Nar musiały poddać się jedynie słusznemu sztandarowi. Był to sztandar, pod którym teraz gromadzili się podwładni Vorta - wschodzące słońce w złotym polu. Godło wymyślił sam Herrith, dał mu piękne miano i pobłogosławił mocą zdolną stawić czoło Czarnemu Odrodzeniu.

Sztandar nazywano Światłością Boga.

Gdziekolwiek Vorto go zobaczył, zawsze czuł skurcz w krtani. Teraz, kiedy jego oddziały otoczyły Goth, chorążowie unieśli sztandar tak wysoko, że błyski rakiet oświetlały go niczym pocałunki niebios, i mogli to zobaczyć wszyscy tkwiący głęboko w swoich błędach Gothajczycy. Dziś wywiesili swoją Czarną Flagę, ogłaszając światu wierność martwemu Arkusowi i jego ideałom, jutro jednak, jeżeli wiatry okażą się łaskawe, Światłość Boga na zawsze załopocze nad ich miastem.

- Sprawdźcie kąt podniesienia i azymut - polecił Vorto obsadzie kwasomiotu. - Nie życzę sobie żadnych chybionych strzałów.

- Zaczynamy, panie? - spytał go celowniczy.

- Już wkrótce - odparł Vorto.

Podszedł do działa i osobiście sprawdził ustawienie zaworów i wskaźników. Nie znał się na tym za dobrze, ale łatwo było zrozumieć działanie prymitywnych skal i suwaków. Mały wskaźnik ustawiony wzdłuż lufy pokazywał w czterdziestojardowej podziałce odległość od celu. Celowniczy nastawił maksymalny zasięg, unosząc lufę tak

wysoko, żeby pocisk przeleciał nad wysokimi murami Goth i wylądował wewnątrz miasta. Vorto z uznaniem spojrzął na obsadę działa.

- Dobrze nastawione, ogniomistrzu. Czy te wiatry jednak nie są zbyt silne?

Wojak zmarszczył nos i spojrzął krytycznie w niebo, oceniając kąt, pod jakim opadały wirujące płatki śniegu.

- Niełatwo powiedzieć, panie. Pojemniki są dość ciężkie, więc powinny polecieć prosto. Ale ten mur jest cholernie wysoki. Dobrze by było wycofać wozy, a wtedy będę spokojny.

Vorto kiwnął głową.

- Zgoda. Przygotujcie się.

Odwrócił się i podszedł do swego ciężkiego bojowego rumaka. Potężnie zbudowany siwek, objuczony kropierzem, parskął z niezadowoleniem, gdy jego pan wspinał się na siodło.

Vorto był postawnym mężczyzną i potrzebował równie wielkiego jak on wierzchowca.

Ten pochodził z Aramooru i miał solidne, grube pęciny. Vorto przytroczył do pleców ciężki bojowy topór - jedyną broń, którą mógł się swobodnie posługiwać po utracie dwóch palców.

Nie tak dokładny jak miecz, topór w bitwie miał równie niszczącą, jeżeli nie większą moc rażenia, a jego podwójne ostrze budziło jednakowy strach wśród wrogów i przyjaciół, co generałowi bardzo odpowiadało. Vorto nie wdziewał do bitwy hełmu, gdyż lubił bitewną wrzawę i nie bał się strzał. Zgodnie z tradycją wkładał czarną zbroję z tłoczonej skóry, ale wiedział, że prawdziwie skuteczną ochronę może mu zapewnić jedynie łaska Niebios. Golił gładko głowę i policzki, na ręce zaś wkładał srebrne rękawice, które polerował do zwierciadlanego połysku. Choć był niemal nienaturalnie wielki, w jego ciele nie znalazłoby się ani grama tłuszczu - Vorto był muskularny i silny jak byk. Nie nosił koszul, a jego kurtka z niezwykle szerokimi wyłogami nadawała mu wygląd rozkładającego skrzydła sokoła lub nadymającej kaptur kobry. Poza Herrithem w całym Nar nie było człowieka, który by miał większą władzę od niego, nikt zaś nie budził większego strachu od generała.

W Vorto niewiele było ludzkich cech, a najmniej ludzkie miał oczy.

Ciemnoniebieskie jak dwa przymglone klejnoty, pozbawione były blasku i życia. Niegdyś, gdy generał był młodzikiem, ich źrenice były orzechowe, ale wszystko się zmieniło, gdy zaczął zażywać wynaleziony przez Bovadina eliksir. Napój ten, zapewniający długowieczność równą niemal nieśmiertelności, wyczyniał z ciałem Vorta dziwne rzeczy. Jak w przypadku zmarłego imperatora Arkusa i pozostałych członków Żelaznego Kręgu, generał uzależnił się od napoju niczym od narkotyku. Niestety karzełkowaty uczoney przypadł gdzieś razem z Biagiem - i ze sztuką przyrządzania eliksiru nieśmiertelności. Był to jeszcze jeden z sekretów, jakie Bovadin zabrał ze sobą na Crote i dlatego Vorto i inni wierni Herrithowi, musieli nauczyć się żyć bez eliksiru - choć wszyscy przypłacili to iście piekielnymi mękami. Niekiedy, w ciszy i samotności, Vorto odczuwał nawroty głodu narkotycznego, ale z pomocą Boga jakoś poskramiał dręczące go demony. Inni nie mieli tyle szczęścia. Niektórzy z rozkapryszonych nareńskich lordów nie potrafili wytrzymać bólu i gdzieś znikali. Paru rzuciło się z wysokich stołecznych wież, nie mogąc wytrzymać oczekiwania na kolejny atak pragnienia i zbliżającej się agonii.

Vorto jednak był bardziej wytrzymały i twardszy niż tamci słabeusze. Przemógł ból i zapobiegł przejściu tronu przez Biagia, co wspominał z dumą jako najcięższą ze stoczonych przez siebie bitew. Teraz wespół z Herrithem wolni byli od narkotycznych więzów i gotowali się do unicestwienia resztek planów hrabiego. W Nar było jeszcze wiele do zrobienia. Ludzie, tacy jak Lokken, wciąż uparcie trzymali się ideałów Czarnego Odrodzenia, bezbożnych wymysłów Arkusa. Czarna Flaga wciąż jeszcze łopotała w stolicach czterech przynajmniej królestw, a ci, którzy odrzucali sztandary przeszłości, często odmawiali również stawania pod chorągwiami jutra. Niewielu z własnej woli wstępowało w szeregi wyznawców Boga Światła.

Arcybiskup Herrith mógł liczyć na poparcie tylko kilku prawdziwie nareńskich narodów.

Miał jednak za sobą Vorta, za nim zaś stały nareńskie legiony. W swoim czasie Lokken, i wszyscy jemu podobni, dostaną za swoje i przywoła się ich do porządku.

„Bóg tak chce - pomyślał Vorto, uważnie obserwując miasto. - Jest wolą Boga, by umarli tak, a nie inaczej. Niczym krowy na zbrukanej krwią posadzce rzeźni”.

Za czasów Arkusa i jego Czarnego Odrodzenia Vorto stąpał po ziemi dumnie

niczym księżę. Kaleczył i zabijał w imię fałszywych ideałów imperatora, sprzedając duszę za miękkie łóżko i sprośne towarzystwo. Teraz jednak był innym człowiekiem. Usłyszał zew Boga i został oczyszczony. Uratowali go Bóg i Herrith.

Nie czuł wyrzutów sumienia. Czarne Odrodzenie toczyło Imperium niczym nowotwór i jedynym ratunkiem było jego unicestwienie. Ideały miały swoją moc i niełatwo je było zabić. Zostawienie po nich choćby wspomnienia było wprost dopraszaniem się śmierci. Ci, których Bóg wezwał do swej służby, musieli mieć niezłomną wolę i - niekiedy - równie wytrzymałe żołądki. Nad Goth przez całe miesiące będzie unosił się smród, a niebo nad miastem obejmą we władanie sępy - ale diuk Lokken musi zginąć. Biagiowi w jego dążeniu do tronu ubędzie jeszcze jeden poplecznik w Nar, a nad miastem załopocze Światłość Boga, znak jego miłosierdzia.

Vorto spiął konia i ruszył z boczem w dół. Kiedy będzie po wszystkim, nareszcie porządnie się wyśpi. Pułkownik Kye dosiadł swojego wierzchowca i podążył za generałem, a kiedy się zrównali, łypnął podejrzliwie kątem oka na przełożonego.

- Więc atakujemy? - spytał. - Kiedy?

- Jak dam rozkaz.

- Ale wiatry...

- Przebyłem długą drogę po to, by wymierzyć bożą sprawiedliwość diukowi Lokkenowi i jego buntownikom - ostro odparł Vorto. - Nie odejdę stąd pokonany.

Kye uśmiechnął się krzywo.

- Za twoim pozwoleniem, generale, myślałem, że chcesz po prostu wypróbować skuteczność Formuły B.

Vorto wzruszył ramionami. Kye był mu niemal przyjacielem, czasami jednak posuwał się za daleko.

- Taka jest wola Boga - odpowiedział po prostu. - Kiedy inne narody zobaczą, co się tutaj stało, dwa razy pomyślą, zanim zechcą sprzymierzyć się z Biagiem. Kye, oni mają wojska. Vosk, Smocza Paszcza, Doria... Nie możemy być we wszystkich miejscach jednocześnie. Biagio o tym wie. A pamięć o Arkusie jest ciągle żywa i silna. - Zmierzył swego adiutanta zimnym spojrzeniem. - Musimy okazać co najmniej równą siłę.

- Ależ generale - zachnął się Kye. - Mamy dość ludzi, by zdobyć to miasto.

- To właśnie zamierzam zrobić, Kye, i jeszcze więcej. A teraz zajmij się

ustawieniem tego cholernego tarana. Czas, byśmy zapukali do drzwi Lokkena.

Siedzący wewnątrz swego zamku z kamieni i cedru diuk Lokken z Goth kazał wygasić światła. Rakiety uderzały niecelnie i w zasadzie nie przedstawiały sobą poważnego zagrożenia, ale w tej sali Lokken zgromadził swoją rodzinę - był bowiem człowiekiem przesądnym. Jedna zbłąkana rakietą wystarczy, żeby wszystkich ogarnął ogień.

Jego prywatne komnaty znajdujące się wysoko w zachodniej wieży, otaczało dość straży, by odeprzeć legiony Vorta, ale wojacy niewiele mogli zdziałać przeciwko rakietom czy ogniomiotom.

Lokken stał w oknie i patrzył z góry na swoje oblężone przez wrogów miasto. Jego twarz raz po raz rozjaśniał blask padającej niedaleko racy. Za nim, w głębi komnaty, siedziały jego żona i dwie córki. Najstarszy i jedyny syn był gdzieś na zewnątrz - prawdopodobnie na murach.

W kamienie leżącego niżej dziedzińca uderzyła rakietą i odbijając się od bruku, pomknęła ku wieży. Diuk widział rozstawione na odległych wzgórzach stanowiska wyrzutni, z których wlatywały w niebo wyjące pociski. Jego córki łkały cicho.

Bombardowanie wyrządzało umocnieniom niewielkie szkody, ale łamało wolę oporu jego poddanych.

Jego też się zresztą chwiała.

Komnata pogrążona była w mroku. Lokken poczuł przeszywające go dreszcze zimna i ukłucie wyrzutów sumienia. Nad jego głową, z zamkowej wieży zwisała wciąż Czarna Flaga, obok własnego gothajskiego sztandaru, Lwiej Krwi. W porywie nagłego gniewu diuk nie tak dawno rozkazał, by nienawistny sztandar Herritha podarto na strzępy, które następnie odesłano do Nar. Teraz jednak, spoglądając na gromadzące się w dole legiony, Lokken zastanawiał się, czyjego męstwo nie okaże się głupią zuchwałością, i czuł rozpacz na myśl o okropnej śmierci, jaka czekała jego rodzinę.

Arkus nie był idealnym władcą. Był tyranem. Biagio zaś pewnie okaże się niewiele od niego lepszym. Ale Arkus był jego, Lokkena, własnym tyranem, który pojmował, jak ważną dla narodu jest jego duma. Arkus nigdy nie zażądał, by jakkolwiek kraj w Imperium wyrzekł się własnego sztandaru, ani się nie upierał przy tym, by wywieszano jego Czarną Flagę.

Lokken dawno pogodził się z władzą Arkusa, ten zaś od wielu lat zostawiał Gothajczyków w spokoju, zadowolając się regularnie słanymi do Nar podatkami.

Herrith jednak okazał się wcielonym demonem.

Lokken żałował Arkusa. Brak mu było dawnych ideałów Czarnego Odrodzenia - pokoju wywalczonego siłą i dominacji nad światem. A kiedy starzec wreszcie umarł, Lokken wiedział, za kim stanąć.

- Możecie mnie zabić - wyszeptał diuk - ale nigdy nie pójdę na waszą służbę.

- Wuju?

Na dźwięk tych słów Lokken odwrócił się od okna. W mroku zobaczył pełną niepokoju twarzyczkę małej Lorli. Ubrana była do podróży, jak sam rozkazał. W małych rączkach trzymała niewielką sakwę wypełnioną żywnością. Miał nadzieję, że było tego dość, by mogła dotrzeć do jakiegoś bezpiecznego miejsca. Głębokie spojrzenie zielonych oczu dziewczynki wpatrzone było ze smutkiem w twarz diuka.

- Jestem gotowa - stwierdziła. Usiłowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

Lokken opadł na kolana i ujął w dłonie dziecięcą rączkę. Była mała i miękka - co stanowiło jawną sprzeczność z charakterem dziewczynki. Lokkena wcale nie zdziwiło to, iż podczas całego bombardowania właśnie Lorla nie uroniła nawet jednej łzy. Stary diuk był z niej dumny.

- Sam chciałbym móc cię odwiedzić do diuka Enli - powiedział. - Ale z Daevnem będziesz bezpieczniejsza. On zna drogę i okolicę lepiej, niż którykolwiek z moich ludzi.

Pomoże ci przedostać się przez pierścień otaczających miasto legionistów.

W spojrzeniu Lorli pojawiło się z wątpienie.

- Widziałam ich przez okno. Jest ich zbyt wielu, by można było przemknąć się niepostrzeżenie. I żaden się nie zawaha, gdy tylko mnie zobaczy. Natychmiast mnie zabiją.

Uśmiech Lokkena był nieco wymuszony.

- To musisz się postarać, by cię nie złapali, prawda?

Musnął dłonią wspaniałe włosy dziewczynki. Była pod jego opieką przez ostatni rok - od czasu, kiedy w Nar rozpanoszył się Herrith. Biagio poprosił Lokkena o zapewnienie dziecku schronienia, i choć niekiedy Lokken uważał to za ciężkie brzemię, uwielbiał każdą chwilę, jaką udało mu się z nią spędzić. Krew może ich dzieliła, ale we

wszystkim innym była mu córką.

- Lorlo... - zaczął z powagą w głosie. - Nie wiem, jaki spotka cię los. Nawet jeżeli bezpiecznie dotrzesz do Smoczej Paszczy, Biagio nie powiedział mi ani słowa o tym, co dla ciebie przygotował. Nigdy zresztą nie poznałem diuka Enli. Ale ważne jest, byś tam dotarła.

Ważne dla Nar. Wiesz o tym, prawda?

- Wuju, wiem, kim jestem. Cokolwiek Mistrz dla mnie przygotował, jestem gotowa.

„Mistrz”. Lokken wciąż nie umiał się pogodzić z tym nienawistnym mu określeniem.

Lorla nigdy nie mówiła o Biagiu inaczej, niż jako o Mistrzu. Stary diuk podejrzewał, że była to część wychowania Roshannów. Lorla doskonale wiedziała, kim i czym była, ale to wszystko. W pewnym sensie była odmieńcem - niemal dojrzałą kobietą zamkniętą w ciele ośmioletniej dziewczynki. Nie wiedziała, co Biagio dla niej przygotował, ale fakt, że była dzieckiem urodzonym w inkubatorach laboratoriów wojennych Bovadina sprawiał, iż bezgranicznie ufała hrabiemu. Lokken często litował się w duchu nad nieszczęsnym dzieckiem.

- Znaczyłaś dla mnie wiele - powiedział jej. - Dumny jestem z tej niewielkiej roli, jaką mi przyszło odegrać w całej sprawie. I chciałbym cię poznać nieco lepiej.

Dziewczynka spuściła wzrok.

- Chciałabym, żebyś mógł powiedzieć mi więcej. Może któregoś dnia...

Lokken uśmiechnął się krzywo. Oboje wiedzieli, że ów dzień nigdy nie nadejdzie.

Dla Lokkena i jego rodziny, która opiekowała się Lorlą w ciągu minionego roku, nie było żadnej przyszłości. Legioniści byli równie sumienni w wykonywaniu rozkazów, jak Roshannowie Biagia. Jeżeli tylko będą mieli dość czasu, zostawią w Goth kupkę dymiących ruin. Goth jednak przetrwa. Jeżeli Lorla dotrze jakoś do Smoczej Paszczy, Herrith i Vorto jeszcze usłyszą buntowniczym mieście. Być może Biagio był szaleńcem, ale też geniuszem.

Cokolwiek planował hrabia Crote, Lokken wierzył w powodzenie sprawy. Tak jak Goth, Czame Odrodzenie nie da się pokornie powieść na rzeź.

Lorla przeszła obok Lokkena i zbliżyła się do okna. Wspiąwszy się na palce,

spojrzała na szalejącą w dole bitwę. Powiodła wzrokiem po wzgórzach, odnajdując pełną ku murom wozy bojowe i legionistów uzbrojonych w ogniomyoty i maczugi. Musiała jakoś przedostać się przez ten stalowy pierścień, wykorzystując ochronę ciemności i swój niewielki wzrost.

- Powinam już iść - oznajmiła. - Śnieg ujmie im nieco zapachu.

Lokken ponuro skinął głową.

- W dole, na dziedzińcu, czeka na ciebie Daevn z kucykiem. On cię zaprowadzi do ukrytej w murze furty. Pamiętaj, aby poczekać, aż zaniknie płomień rakiet, i kieruj się na wzgórze obsadzone jabłonią. Jest tam trochę nierówności, kamieni i...

- Znam drogę - przerwała mu Lorla. Zaczynała się niecierpliwić. Zbyt wiele czasu poświęcili rozmowie.

Lokken umilkł i już się nie odezwał.

Vorto przez całą godzinę patrzył, jak jego maszyny oblężnicze otaczają miasto. W tym czasie przygotowano taran. Otoczony zbrojnym orszakiem legionistów Vorto podjechał bliżej, by obejrzeć wszystko osobiście. Taran był ogromny i prawdopodobnie większego nie zbudowano jeszcze w warsztatach wojennych Nar. Dwadzieścia greganów z mozołem podciągnęło maszynę ku muru Goth. Platforma miała koła o średnicy równej wzrostowi człowieka, a z jej boków niczym łapy koszarnej stonogi wysuwało się sto wyszlifowanych drągów. Młot był z granitu, a do potężnej dębowej belki mocowały go taśmy z nabijanego kutymi nitami żelaza. Wzdłuż całej górnej krawędzi platformy porozwieszano skórzane pętle, które miały zapobiegać upadkom pod koła pchających taran ludzi. Generał jadący konno wzdłuż platformy zaczął się zastanawiać, czy maszyna sprosta zadaniu, jakie przed nią postawiono. Grubość murów Goth sławiły liczne pieśni, a bramę miejską wzmocniono potężnymi cwiakami, od środka zaś była podparta belkami ze skamieniałego drewna.

Warowny Gród wzniesiono przed wiekami i jak do tej pory wszyscy najeźdźcy odchodzili stąd pokonani. Niektórzy uważali, że jego mury są nie do rozbicia.

Ale dla Boga Narenów nie istniały przeszkody nie do pokonania. Vorto szarpnął za wodze, by przywołać do porządku narowistego konia i odwrócił się do Kye'a. Hełm pułkownika pokrywała warstewka śniegu.

- Sprowadź tu dwie drużyny ogniomyotów. Niech skupią ogień na murach po obu

stronach bramy. Musimy jakoś powstrzymać tych łuczników. I przerwij ostrzał raketami. Nie chcę, by którakolwiek z nich wylądowała przy taraniu. Po wyłamaniu bram ruszamy do szturm. Mam nadzieję, Kye, że jazda będzie gotowa?

- Będzie gotowa, panie.

- To trzymaj ją na razie z tyłu, dopóki nie dam rozkazu. Do szarży trzeba nam otwartej bramy i drogi wolnej od rumowisk. Nie chcę, by teraz kręcili się przy wrotach, ponieważ Lokken się czegoś domyśli, a prawdopodobnie przygotował dla nas kilka niespodzianek.

Kye wykrzywił usta w skąpym uśmiešku.

- Panie, jeżeli i tak mamy użyć gazu...

- Chcę dostać Lokkena... żywego Lokkena. Mam i ja niespodziankę dla niego. A teraz ruszaj do swoich. Zajmij się wykonaniem moich rozkazów, pułkowniku.

Kye wzruszył ramionami i odjechał, by zebrać dwie drużyny ogniomistrzów, które Vorto chciał mieć pod bramą. Generał przez chwilę patrzył za odjeżdżającym oficerem. Znow poczuł, że zżera go niecierpliwość. Śnieg sypał coraz gęściej, a przerwanie ostrzału raketami rychło powinno zasnuć okolicę mrokiem. Spojrzawszy na wyzierające spod blachy pancерnej rękawicy czubki palców, stwierdził, że zaczynają sinieć. Goth mogło się trzymać miesiącami, a wkrótce nadejdzie zima. Głód i chłód podkopią morale jego legionistów, do tego zaś nie wolno było dopuścić.

Zebranie kanonierów zajęło Kye'owi tylko kilka minut. Posłuszni jego rozkazom ustawili się po obu stronach wiodącej ku bramie drogi. Z wylotów rur nieprzerwaną strugą zaczęły tryskać płomienie, co zmusiło łuczników przy bramie do cofnięcia się.

Dwie drewniane kładki zawieszzone wzdłuż blanków zajęły się ogniem. Gothajczycy musieli się wycofać na bezpieczniejsze pozycje. Vorto usłyszał rozpaczliwe krzyki, jakimi wzywali oddziały posiłkowe. Zobaczyli taran.

Vorto wyjął swój podwójny topór z obejmą na plecach i ruszył galopem ze wzgórza.

Tuż za nim podążali jego chorążowie, niosący wysoko Światłość Boga. Widok złotego sztandaru przyciągnął uwagę kilku łuczników. Vorto wybuchnął gromkim śmiechem i potrząsnął ku nim pięścią w odwiecznym znaku wyzwania.

- Jestem tutaj! - zagrzmiał. - Przeszyjcie mi serce!

Oczywiście trzymał się w bezpiecznej odległości, co też łucznicy ocenili właściwie i zajęli się legionistami stojącymi wzdłuż platformy tarana.

Vorto wydał kolejny rozkaz. Nad stanowiska żołnierzy pchających taran wysunięto metalowe zadaszanie, osłaniające ludzi przed wszelkiego rodzaju pociskami. Żołnierze przysunęli się do boków platformy i zabezpieczyli pętlami, zaciągając rzemienie wokół pasów. Vorto podjechał nieco bliżej, aż zatrzymał konia przy rumaku Kye'a. Kanonierzy wymierzali nieustannie w mury strugi ognia, odpędzając Gothajczyków od bramy. Ogniste jęzory lizały kamienne ściany i rozpląszczały się na nich w prawdziwe kałuże płomieni. Gwiżdżące nad głowami szturmujących rakiety ucichły i nad miastem rozciągnęła się zasłona mroku.

Mury Goth pięły się na wysokość pięćdziesięciu stóp. Same wrota liczyły sobie dwadzieścia. Vorto szybko obliczył, jaka siła będzie potrzebna do wysadzenia ich z zawiasów. Nie mniej niż pięćdziesiąt kroków rozpędu. Ale do tego trzeba było czasu, a kanonierzy nie mieli w pojemnikach nieskończonych zapasów paliwa, łucznicy zaś zdążyli już trafić kilku popychaczy. W świetle pochodni i lamp zwieszanych z najbliższej wieży Vorto widział zbierających się na murze Gothajczyków. Jego ludzie będą się musieli pospieszyć.

- Kye - odezwał się spokojnym głosem. - Teraz!

Pułkownik uniósł szablę w górę.

- Uderzaaaać!

W tej samej chwili rozległo się potężne, zbiorowe stęknienie. Wielkie koła platformy zaczęły się obracać - początkowo wolno, a potem coraz szybciej. Otaczający taran oficerowie sypnęli przekleństwami, ponaglając ludzi do jeszcze większego wysiłku. Granitowy łeb tarana z coraz większą szybkością sunął ku bramie Goth. Vorto obliznął spierzchnięte wargi. Taran trzeszczał, jęczał - i przyspieszał. Gothajczycy zaczęli wydawać okrzyki pełne przerażenia.

Ogniomioty rzygnęły płomieniami, które znów rozpląszczyły się na murach. Taran nieustannie przyspieszał. Był coraz bliżej wrót. Vorto zagryzł wargi...

Huk uderzenia granitu o drewno mógłby zagłuszyć ryk grzmotu. Generałowi wydało się w tej chwili, że cały świat zatoczył się pod wpływem wstrząsu. Kilkunastu łuczników spadło z muru, a przerażeni łoskotem kanonierzy na moment wstrzymali

ogień.

Vorto wysilił wzrok, usiłując przejrzeć zasłonę mroku, która nagle opadła na bramę. Gdy znów się rozjaśniło, generał zobaczył uszkodzone wrota. Choć przedtem wydałoby mu się to niemożliwe, ujrzał cienką szczelinę, która zygzakiem szybko pięła się w górę poprzez skamieniałe drewno.

- Wielki Boże! - Vorto ryknął śmiechem.

Zebrani przy taraniu legioniści podnieśli radosną wrzawę. Było ich teraz dwustu, zwołanych okrzykami Kye'a z oddziałów otaczających Goth stalowym pierścieniem.

Ludzie z oddziału jazdy zaczęli zwycięsko potrząsać mieczami. Nawet niewzruszone oblicze Kye'a pękło w szczerym uśmiechu.

- Jeszcze raz! - ryknął Vorto.

Taran już się cofał na pierwotną pozycję. Noc znów rozjaśniły błyski płomieni ogniomyotów. Na nareńskich żołnierzy poleciały strzały, trafiając kilku w plecy.

Aby uporać się z tym zagrożeniem, Kye przywołał oddział wsparcia szturmowego, którego członkowie mieli ręczne ogniomyoty. Do murów podbiegły dwuosobowe drużyny i ku górze wykwitły nowe ogniste strugi. Ręczne ogniomyoty, mniejsze i nie mające zasięgu swych starszych braci, podpaliły jednak podstawę baszty, na której usadowili się gothajscy łucznicy.

Chmura strzał znacznie się przerzedziła.

Taran raz jeszcze ruszył ku bramie. Vorto słyszał okrzyki i stęknięcia towarzyszące wysiłkowi. Taran znów zaczął przyspieszać. Ziemię ponownie targnęła wstrząs, gdy granitowy łeb tarana uderzył o skamieniałe drewno bramy. Tym razem szczelina rozwarła się znacznie szerzej. Vorto popędził konia ku murowi. Przez rozdarcie w bramie mógł już niemal zobaczyć miejskie domy. Kilka bierwion ryglujących wrota jeszcze się trzymało, drugie uderzenie powyginało je jednak do środka i widać było, że nie wytrzymają trzeciego. Kye okrzykami ponaglał swoich ludzi. Taran zaczął się cofać przed ostatnim, wieńczącym dzieło zniszczenia uderzeniem. Vorto wydał zwycięski okrzyk, a potem wybuchnął śmiechem. Bóg zapewnił mu zwycięstwo. Nad głową generała tryumfalnie łopotała bandera Światłości Boga.

- Czas na ciebie, Lokken! - zakrzyknął Vorto radośnie. Rzucił pełne nadziei spojrzenie na wzgórze, gdzie ustawiono kwasomyoty i poczuł przesywający go dreszcz

emocji.

Lorla dotarła do tajnej furty na krótko przedtem, zanim śnieżycyca rozhułała się na dobre. Jej kucyk chrapał ciężko, wyczerpany szybką jazdą przez miasto. Daevn, jej przyboczny i przewodnik, był mokry od potu i wilgoci topniejących płatków śniegu. Był wysokim, szybko nogim człowiekiem, na którego Lorla patrzyła z niepokojem, kiedy zaczął rozmawiać z gothajskimi żołnierzami przy furcie i okrzykiem wezwał ludzi stojących na blankach. W mieście widać było jedynie żołnierzy - wszystkie domy pozamykano i zabarykadowano. Ustał już złowrogi deszcz rakiet i ulice zasnuł mrok. W pewnej chwili dziewczynka usłyszała osobliwy dźwięk od strony głównej bramy i po jej skórze przebiegł nagły dreszcz. Brzmiało to jak uderzenie w ogromny bęben.

Zaraz potem podjechał do niej Daevn, który czekając na uchylenie tajnej furty, dosiadł swojego konia. Brama była znacznie mniejsza od głównej; bardziej przypominała drzwi pomalowane na ciemnoszary kolor tak, by niczym z pozoru nie różniła się od sąsiednich kamieni. Kiedy ją uchylono, Lorla ciekawie zerknęła w głąb szczeliny, usiłując dojrzeć cokolwiek za nią. Jej wzrok utonął w mroku i śnieżycy.

- Co to za dźwięk? - spytała zaniepokojona.

- Taran - wyjaśnił Daevn. - Zabrali się do wyłamywania bramy głównej. Ale dla nas to szczęśliwa okoliczność. Pozostali Narenie zbiorą się przy taraniu. - Uśmiechnął się przebiegle. - A nam więcej nie trzeba.

Lorla niewiele wiedziała o swoim przewodniku i nie była pewna, czy on pojmuje, z kim ma honor. Spróbowała się jednak uśmiechnąć, bo musiała sobie zjednać przychylność prostaka. Kiedy tajna brama rozchyliła się szerzej, dziewczynka pognała swego kuczka.

- Myślę, że macie wolną drogę - odezwał się jeden z żołnierzy. Zerknął na drewniany, rozpięty wzdłuż blanków pomost, gdzie łucznik skinieniem ręki dawał im znaki. - Możecie ruszać. Trzymajcie się w cieniu, ale nie zwlekajcie.

Daevn kiwnął głową.

- Gotowa?

- Owszem. - Było to kłamstwo.

Daevn ruszył przodem i truchtem wyprowadził konia na zewnątrz. Lorla z oporem pognała kuczka jego śladem. Zwierzę wyczuwało niepokój pani i wlokło się,

jakby miało nogi z ołowiu. Lorla usłyszała kolejny łoskot, dobiegający z drugiej strony miasta, i strach kazał jej uderzyć piętami w boki kucyka. Daevn już się niecierpliwił i wzywał ją skinieniem dłoni. Za murem panowała cisza. Dziwne, zauważyła dziewczynka, ale prawie nie było tu słycać odgłosów bitwy i szturm. Lorla obejrzała się za siebie, na zamykaną furkę, która po chwili zupełnie stopiła się z otaczającym ją murem.

- No, dalejże! - ponaglił dziewczynkę przewodnik, ruszając jednocześnie ku wzgórzom. Tam miały ich skryć gęstwina i mrok. Odziani w czerń dziewczynka i jej przyboczny szybko stali się jednymi z wielu cieni. Szybko i cicho ruszyli w nieznaną, ku dalekiej Smoczej Paszczy.

Diuk Lokken wyszedł na balkon wieży i ogarnął wzrokiem ginące miasto. Meldunki napływały tak szybko, że trudno było je weryfikować, a jego prywatne komnaty zajmowali adiutanci. Legiony Vorta przedarły się przez bramę i teraz klinami rozdzierały miasto. Błyski ogniomyotów wskazywały diukowi, jak są już blisko. Larius, wojskowy doradca, szarpał go za rękaw niczym pragnący uwagi i wskazówek chłopiec. Diuk Lokken był jednak oddalony myślami o tysiące mil. W jego lśniących oczach odbijały się przerażające wizje, a myśli pełzły leniwie. Syn diuka, Jevin, stał na posterunku przy bramie - i teraz już pewnie był martwy. Za godzinę dołączą do niego jego córki - nie wcześniej jednak, zanim zostaną zgwałcone przez rozpasane żołdactwo. Goth szybko przekształci się w kolejną nareńską ruinę.

- Lariusie - odezwał się diuk spokojnie. - Zabierz moją żonę i córki do sali tronowej, niech tam na mnie zaczekają. Wkrótce zejdem. Potrzebuję tylko kilku chwil samotności.

- Nie! - ostro sprzeciwiła się jego żona. Podbiegła do męża i chwyciła go za rękę. Podczas całego oblężenia zachowała spokój, ale teraz jej nerwy zaczęły wymykały się spod kontroli.

Lokken spojrział na nią surowym wzrokiem.

- Kareeno, zrób to dla mnie. Chcę jeszcze popatrzeć na miasto. Sam.

- Pozwól nam zostać przy tobie - poprosiła diuszesa. - Odeślij wszystkich, ale nie nas. Proszę, niech dziewczynki...

- Odzyskają ojca za kilka minut - odparł Lokken. - Zejdźcie do sali tronowej i tam

na mnie zaczekajcie. Każcie strażom zostać przed drzwiami. - Odwrócił się do doradcy. - Słyszałeś, Lariusie? Nie życzę sobie towarzystwa żołnierzy. Zostań z nimi, zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, mój diuku.

Lokken ujął w dłonie twarz żony i przyciągnął ją ku sobie.

- Muszę być silny, Kareeno - wyszeptał. - Nie mam zbyt wiele czasu. Pozwól mi więc na chwilę słabości, dobrze?

Wargi Kareeny zadrżały. Bez słowa wysunęła się z objęć małżonka i wyprowadziła córki z komnaty. Larius też już się nie odezwał. Stary żołnierz uśmiechnął się smutno do diuka, a potem opuścił balkon i ruchem dłoni nakazał innym, by zostawili Lokkena jego rozważaniom.

Będąc już sam, diuk Lokken z Goth powiódł wzrokiem po swoim płonącym mieście.

Goth piękne. Goth wielkie. Zbudowane przez niewolników, którzy mieszały z zaprawą swoją krew, było jedynym domem, jaki diuk kiedykolwiek znał i pamiętał. Po jego policzkach spłynęły łzy. Wkrótce miał po niego przyjść Vorto i diuk nie chciał okazać mu tych łez.

Spojrzy w twarz nareńskiemu rzeźnikowi z tą sama pogardą, z jaką zdarł nienawistną flagę Herritha. Tego dnia, nawet w chwili upadku Goth, nie chciał dawać nieprzyjaciółom żadnej satysfakcji.

Z łoskotem tysięcy odzianych w twarde, żołnierskie buty stóp, przy ryku płomieni ogniomiotów, legiony Vorta wlewały się do miasta. Nad nimi sterczały granitowe baszty pełne łuczników, a ulice zamykał mur żywych tarcz - wojów Lokkena dziko wywijających mieczami. W wąskie uliczki wdzierały się oddziały nareńskiej jazdy, tnąc z góry gothajskich piechurów mieczami, podczas gdy ogniomioty napastników ryły we wrogich szeregach gorejące bruzdy. Nad ich głowami niebo zabarwiło się czerwienią przedświt.

Oficerowie wykrzykiwali rozkazy, nakazując ataki i odwroty, a wrzaski palonych żywcem niosły się echem po kamiennych korytarzach.

Wypierając obrońców z ulicy na ulicę, legionieści Vorta prawie przebili się do zamku Lokkena. Forteca była już dobrze widoczna, wysoka, groźna i obleczona w migotliwe iskierki śniegu. Nad zamkiem powiewały dwa sztandary, jednocześnie mokre i

oszronione przez lodowate podmuchy wiatru. Zwycięski Vorto jechał wolno przez zwały trupów.

Nieopodal pułkownik Kye prowadził jazdę do szarzy na główną ulicę miasta. Pułkownik ignorował deszcz strzał sypiących się nadal z granitowych baszt. Vorto ruszył za nim i tnąc na lewo i prawo swoim potężnym, podwójnym toporem, kładł pokotem gothajskich obrońców.

Jednym ciosem rozbijał hełmy i tarcze. Po jego nagolennikach spływała krew, która zbryzgała również kropierz wierzchowca. Ulicą wstrząsały detonacje ogniomyśli. Z boku gnał ku nim liczny oddział gothajskiej jazdy, mający nadzieję, iż przyprą Narenów do szeregów własnej piechoty. Vorto z dzikim wrzaskiem zawrócił konia i runął do przeciwnatarcia.

- Za mną! - ryknął co tchu w płucach.

Dwudziestu ciężkozbrojnych jeźdźców usłyszało okrzyk Vorta i wsparło swego wodza. Jakiś bystry kanonier zwrócił wylot lufy kwasomyśli przeciwko Gothajczykom i jednym naciśnięciem spustu zmienił trzecią część napastników w gorejące żywe pochodnie.

Żar uderzającej tuż obok ognistej strugi osmalił twarz generała, Vorto jednak, nie dbając o nic, rwał ku wrogom. Kiedy płomień zgasł, nareński wódz wpadł na pierwszego z gothajskich jeźdźców. Natychmiast poczuł uderzenie miecza, które ześlizgnęło się po jego naramienniku.

Uniósłszy topór, uderzył na odlew, pozbawiając napastnika ręki. Potem błyskawicznie odwrócił się ku następnemu z wrogów, który był już zbyt blisko, by go dosięgnąć toporem. W tej samej chwili do walki włączyli się pozostali ciężkozbrojni Narenie, którzy brawurowym atakiem odrzucili nieprzyjaciół w tył. Vorto zapamiętał się w bojowej furii walki wręcz i wywijając toporem, ciął ciała i zbroje, sam kąpiąc się we krwi wrogów.

Walka miała się już ku końcowi, kiedy Vorto wycofał konia z zawieruchy i ruszył za jeźdźcami Kye'a ulicą ku zamkowi. Kye wyrąbał drogę dla greeganów i po kamieniach toczyły się już koła nareńskich wozów bojowych, których załogi niewiele sobie robiły ze strzał gothajskich łuczników. Kolumna, najeżona mieczami i siejąca błyskawice ogniomyśli, parła wolno ku fortecy. Przed nimi do zamku wycofywali się

Gothajczycy, którzy zwierali szyki do ostatniego boju. Vorto mógł już dobrze przyjrzeć się całej budowli.

Otoczona potrójnym murem wspaniała bryła z drewna i kamienia przywiodła generałowi na myśl przyczajonego, nieustępliwego buldoga. Vorto skierował wierzchowca w sam środek oddziałów, przeciskając się przez szeregi jeźdźców. Pułkownik Kye powitał go wilczym uśmiechem.

- Na fortecę, generale? - spytał.

Vorto kiwnął głową.

- Tam niechybnie będzie ich ostatni punkt oporu. Zajmijcie pozycje od wschodu i zachodu, po cztery drużyny, każda z ogniomiotami. Reszta z nas podjedzie do drzwi Lokkena.

Tknięty nagłą podejrzliwością Kye rozejrzał się dookoła.

- Spokojnie tu - zauważył.

Vorto też zbadał wzrokiem otoczenie. W istocie, było spokojnie. Jak do tej pory zetknęli się jedynie z żalonymi próbami oporu, a teraz ulice świeciły pustkami.

Wkrótce gaz dopełni dzieła zniszczenia. Wytrąceni z równowagi niezwykłą ciszą Narenie z wiodącym oddział Vortem ruszyli ku fortecy.

Gothajscy piechurzy wycofywali się pospiesznie, zajmując pozycje nieopodal zamku Lokkena. Łucznicy przestali szyc strzałami. Kolumna Narenów wolno lecz niepowstrzymanie parła przez opustoszałe ulice. Generał przeszukiwał wzrokiem pobliskie baszty i dachy domów, spodziewając się zabójczej strzały, ta jednak nie nadlatywała. Gdzieś za fortecą rozlegały się jakieś okrzyki. Poza nimi jednak nad całym Goth zaległa niesamowita cisza.

Mieszkańcy niespokojnie łypali na najeźdźców zza zamkniętych okiennic domów.

Vorto zmarszczył brwi.

I wtedy zobaczył jaśniejszy niż słońce błysk. Generałowi zapało dech w piersiach.

Szarpnął wodze swego konia i patrzył, jak raca wzbija się łukiem ku zenitowi, gdzie rozbryznięła się w kaskadę opadających w dół iskier. Przez jedną, przepiękną chwilę na świecie nie istniało nic poza niebem nad zamkiem Lokkena, rozświetlonym po

to tylko, by ukazać jeden jedyny, wyzywający cel - dwie flagi Goth. Na ich widok twarz Vorta skrzywiła się niczym paszcza złego psa. Obok flagi Goth powiewała Czarna Flaga, oświetlona tak, jakby spływała na nią łaska Niebios - zuchwały znak otoczony rozbłyskami iskier śnieżycy.

Niewierny diuk po raz ostatni splunął im wszystkim w twarz.

- Lokken... - syknął Vorto przez zaciśnięte zęby. - Za to jedno tylko spłoniesz w piekle. - Generał zamknął oczy, błagając Boga, by ten nie okazywał żadnej łaski przeniwiercy. Niewiele brakło, aby tu, na gothajskim bruku załała go nagła krew. - Ośmielasz się wywieszać swoją flagę? - syknął znowu. - Tę twoją czarną flagę wiarołomcy? - Z najwyższym trudem powstrzymywał się od wyrażenia swej furii dzikim rykiem. - Szybciej! - ponaglił swoich ludzi. - Znajdźcie mi tego skurwysyna!

Nareńscy legioniści przyspieszyli kroku. Bojowe wozy potoczyły się z największą prędkością, do jakiej zdolne były greggany, a konie jeźdźców zaczęły parskać z wysiłku.

Vorto przedarł się na czoło kolumny. Ogniomioty zdążyły już zająć pozycję z obu stron zamku i generał widział, jak kanonierzy pospiesznie umacniali je na niepewnym podłożu.

Pułkownik Kye dostosował krok swego wierzchowca do tempa, z jakim parł przed siebie Vorto. Ujrzawszy fortecę, stary wojak pociągnął nosem.

- Wygląda na to, że w ogóle nie ma tam żadnych obrońców - zaśmiał się Kye. - Może miałeś rację, panie. Może po prostu powinniśmy zapukać?

Wkrótce stanęli na rozległym kamiennym dziedzińcu. Przed sobą zobaczyli stojące karnie szeregi ponurej gothajskiej piechoty pod bronią, na skrzydłach której ustawili się pozostali jeźdźcy. Ludzie z Warownego Grodu nie zamierzali się bronić. Po prostu czekali na rozwój wydarzeń. Vorto pochylił się do ucha Kye'a.

- Pułkowniku... - spytał szeptem. - Co to ma znaczyć?

Kye beznamiętnie wzruszył ramionami. Postawa obrońców zaskoczyła również jego.

- Nie wiem. Może chcą się poddać?

Vorto uniósł dłoń, by zatrzymać kolumnę. Rozkaz przekazano wzdłuż kolumny. Wąż zbrojnych zatrzymał się niemal w jednej chwili. Vorto rozejrzał się dookoła, nie bardzo wiedząc, co dalej. W pierwszej chwili pomyślał, że to pułapka, nie zobaczył

jednak niczego, co by na to wskazywało - nigdzie nie było widać najmniejszego ruchu. Spojrzał na zgromadzonych przed twierdzą żołnierzy. Ci co prawda nie opuścili mieczy, ale łucznicy stali spokojnie - żaden nie miał strzały osadzonej na majdanie i cięciwie.

- To się zaczyna robić interesujące - zwrócił się do Kye'a.

- Hola, wy tam! - zawołał Kye do stojących po drugiej stronie Gothajczyków. - Czy się poddajecie?

Gothajczycy nie odpowiedzieli, jednakże oba oddziały dzieliła odległość ponad pięćdziesięciu jardów i Vorto zaczął wątpić, by tamci usłyszeli pytanie, które porwał pewnie i uniósł podmuch wiatru.

- Mój Boże - warknął generał. - Poddają się tak samo, jak walczą.

I wtedy najeżona ćwiekami brama zamku Lokkena zaczęła się podnosić. Gothajscy piechurzy rozeszli się na boki, zostawiając wiodącą do zamku ścieżkę. Vorto i Kye szeroko otwarli oczy, usiłując przejrzeć cokolwiek przez śnieżycę. Z mroku wyłoniła się sylwetka niewysokiego człowieka. W pierwszej chwili Vorto pomyślał, że oto idzie ku nim diuk i jego serce drgnęło radośnie. Zaraz potem jednak zobaczył, że nieznamy ma na sobie szkarłatny gothajski mundur i zrozumiał, że ma przed sobą kogoś innego. Żołnierz był stary, znacznie starszy od Lokkena, i lekko zgarbiony. Nie zwracając na nic uwagi, minął szeregi obrońców i ruszył prosto do Vorta i otaczających go Narenów.

- A ten czego tu chce? - spytał Vorto. Wyprostował się w siodle i podał swój topór Kye'owi. - Kim jesteś? - spytał żołnierza.

- I co masz dla mnie?

Żołnierz dość bezceremonialnie zatrzymał się w odległości jarda od generała.

- Ty jesteś Vorto? - spytał wprost.

- Starcze, zadałem ci pytanie - ostrzegł go generał. - Przemawiasz w imieniu Lokkena?

- Owszem, mówię za niego - odparł mężczyzna. - Jestem Larius, wojenny dowódca i radny Warownego Grodu. A ty jesteś Vorto, czy tak?

Vorto uśmiechnął się paskudnie.

- Psie, jestem twoim panem, najwyższym sędzią i katem w jednej osobie, a także sługą Niebios i arcybiskupa Herritha. - Generał wbił w stojącego przed nim ciężkie od

nienawiści spojrzenie. - Gdzie diuk?

- Diuk czeka na ciebie w sali tronowej - odpowiedział Larius.

- Mam cię tam zaprowadzić.

- Osobiste zaproszenie? Och, jakież to uprzejme z jego strony! Przyjmuję, Gothajczyku. Zaprowadź mnie do tego wieprza.

Kye chrząknął znacząco.

- Generale...

- Pozbądź się obaw, pułkowniku - odpowiedział Vorto. - Wszyscy jesteśmy w ręku Boga. Panie radny, przodem proszę. Kye, pójdiesz ze mną.

Larius z Goth przybrał pogardliwy wyraz twarzy, ale nie odezwał się słowem.

Odwrócił się i ruszył ku bramie twierdzy. Za nim konno jechali Vorto, Kye i dziesięciu żołnierzy z osobistego orszaku Vorta, którzy szli za generałem wszędzie, dokądkolwiek się udawał. Kiedy dotarli do bramy, Narenie zsiadli z koni, przekazując je piechurom. Żołnierze Goth mierzyli ich morderczymi spojrzeniami. Vorto wszedł za Lariusem do twierdzy.

Wewnątrz zobaczył wielki przedsionek oświetlony pochodniami. Pod ścianami sali stały idealnie wyrównane szeregi żołnierzy odzianych w jednolite, szkarłatnej barwy brygandyny.

Wszyscy mieli w dłoniach nagie miecze, które trzymali prosto przed sobą, tak że bardziej przypominali kukły, niż ludzi w krwi i kości. Vorto zatrzymał się na chwilę w progu.

Larius odwrócił się i zmierzył generała krytycznym spojrzeniem.

- Wejdz, generale - rzucił niecierpliwie. - Nie zrobią ci krzywdy. Mają swoje rozkazy.

Czując się dotknięty, Vorto ruszył za starym żołnierzem. Pułkownik Kye szedł równie niepewnym krokiem. W głębi przedsionka widać było wiele drzwi. Larius przeprowadził ich przez całą salę, a potem, kiedy dotarli do drzwi, odstąpił na bok.

- Diuk - powiedział po prostu.

Vorto wkroczył do komnaty. Na drugim końcu rozległej izby zobaczył siedzącego na skromnym tronie Lokkena. Po prawej ręce diuka stała Kareena, piękna i surowa.

Powitała generała nieznacznym skinieniem głowy i wrogim spojrzeniem. Obok

duszesy stały dwie małe dziewczynki, córki Lokkena, oszołomione i najwyraźniej przepełnione obawą. Sam diuk trzymał się zaskakująco dobrze. W sali nie było żadnych przybocznych, strażników czy zbrojnych - tylko Lokken i jego najbliższa rodzina. Vorto, dzwoniąc ostrogami, ruszył przez salę. Z jego zbroi kapąły na posadzkę krople gothajskiej krwi. Podszedłszy do niewielkiego podwyższenia, zatrzymał się, zebrał ślinę w ustach i splunął w twarz diuka. Ten, spokojnie i nie okazując żadnych emocji, wytarł z twarzy plwocinę Narena.

- Więc to tak? - spytał Vorto. - Mam przed sobą króla, prawda?

Lokken milczał.

- Mów, ty zdradziecki pomioście! Jesteś potępiony w obliczu Boga! Jak mogłeś się sprzeciwić woli Niebios?

Diuk nadal milczał.

- Odpowiadaj, arogancka małpo!

Odpowiedź padła ze strony duszesy Kareeny. Z okrzykiem nienawiści rzuciła się na generała i przeorała mu twarz paznokciami zakrzywionymi jak szpony. Vorto zasyczał z bólu, szarpnął kobietę w bok i wykręcając jej rękę, rzucił na kolana. Drugą dłonią uderzył duszesę w twarz, rozcinając jej wargę.

- Nie! - krzyknął Lokken, zrywając się ze swego tronu. Podniósłszy żonę, objął ją ramionami.

- Powstrzymaj swoją kobietę, Lokkenie... - ostrzegł go Vorto. - Albo sam się do niej zabiorę i nauczę dobrych manier!

- Nie dotykaj jej! - syknął Lokken. Spojrzał w twarz górującego nad nim generała.

- Przybyłeś tu po mnie, rzeźniku. Weźmiesz mnie i nikogo więcej!

I nagle Vorto wszystko zrozumiał.

- To dlatego się poddajesz? Chcesz, psie, by oszczędzono twoją rodzinę?

Lokken skrzywieniem ust potwierdził domysł generała.

- Owszem. Oszczędź ich, a nikt więcej już nie zginie. Nawet teraz mogę cię zabić, wypowiedziawszy tylko jedno słowo. Ale nie zrobię tego. Nie zrobię, jeżeli oszczędzisz moją rodzinę i krewnych.

- O tym mogą wyrokować tylko Niebiosy, nie ja.

- Oszczędź ich - poprosił błagalnie Lokken. - Wyjdiesz stąd żywy, a żadnemu z

twoich ludzi nie stanie się krzywda.

Vorto zmrużył oczy.

- Groźby ze strony zdrajcy. Słucham tego ze zgrozą!

- Nie jestem zdrajcą! - oburzył się Lokken. - Jestem wierny imperatorowi i jego pamięci. To ty jesteś uzurpatorem, Vorto. Ty i ten twój biskup. Nazwij to jak chcesz, ale ja stoję pod sztandarem Nar.

- A właśnie - rzekł miękko Vorto. - Sztandar. Lubisz sztandary, prawda, Lokkenie?

- Vorto odwrócił się do swoich ludzi. - Brać go! - rozkazał. - Kobiętę i jej pomiot też!

Legioniści natychmiast rzucili się do wykonania rozkazu; porwali wszystkich członków królewskiej rodziny Goth, ciągnąc ich za generałem Vortem, który ruszył ku wyjściu z komnaty.

- Zostawcie żonę i dzieci! - zawołał diuk, gdy legioniści wykręcali mu ręce. - Boże, nie karz ich!

- Bóg cię nie słyszy! - rzucił Vorto przez ramię.

- Zostawcie ich, błagam!

- Niech i tak będzie - zgodził się Vorto. Wyszedłszy na zewnątrz, stanął oko w oko ze stropionym Lariusem. - Radny, twój pan chce ci coś powiedzieć.

- Diuku... - zaczął Larius.

- Powiedz mu, Lokkenie. Powiedz, jak się umówiliśmy.

Lokken odetchnął z ulgą. Potrząsnął ramionami, jakby usiłując uwolnić je z uchwytów legionistów, ci jednak nie puszczali. Wszysecy gothajscy przyboczni z otwartymi ustami wpatrywali się w swego diuka. Diuszesa Kareena miała twarz zalaną łzami, podobnie jak jej dwie córeczki.

- Dajcie im przejść - odezwał się wreszcie diuk. - Wszystkim. Jeżeli puszczą moją rodzinę, pozwólcie im stąd odejść. Daj mi słowo, Lariusie.

- Diuku!

- Daj mi słowo!

- Daj słowo! - ponaglił starego Vorto. - Albo zabijemy ich na waszych oczach.

I nawet jeżeli wy nas pozabijacie, moi żołnierze nie zostawią w Goth kamienia na

kamieniu!

- Ależ, diuku, to oznacza śmierć! - błagał Larius. - Nie każ mi tego robić!

Diuk Lokken wreszcie uwolnił się z uścisku legionistów. Kiedy spróbowali pojmać go jeszcze raz, Vorto powstrzymał ich uniesieniem dłoni. Pozwolił diukowi podejść do jego człowieka. Lokken położył obie dłonie na ramionach starego towarzysza broni.

- Owszem, śmierć - potwierdził diuk. - Zginę. Słyszysz? I nikt poza mną. Teraz złóż mi obietnicę, stary druhu. Pozwól stąd odejść tym nareńskim bydłakom. To mój ostatni rozkaz. Wykonasz go, czy nie?

Na twarzy Lariusza pojawiły się rezygnacja i rozpacz.

- Owszem, wykonam, diuku. Wykonam... przyjacielu.

- Niech łucznicy i jazda się cofną - nalegał Vorto. - Żadnych ruchów, aż dotrzemy do bramy. Czy to jasne, starcze?

- Owszem - odrzekł Larius ponuro. - Będzie jak chcesz, Narenie.

- Mądry staruszek! - zaśmiał się Vorto. - A teraz, marsz na wieżę, Lokken.

Chcę się z bliska przyjrzeć tym twoim flagom.

Raz jeszcze żołnierze spróbowali go pojmać i znów stary diuk odepchnął ich.

- Nie będę cię tam ciągnął, jeżeli nie chcesz - stwierdził rzeczowo Vorto. - Drogę na wieżę mogą mi pokazać te twoje suki. Jak wolisz.

Lokken ujął w dłonie rękę swej młodej małżonki.

- Najdroższa - odezwał się zdławionym głosem. - Przykro mi, że musisz doświadczać tego wszystkiego. - Opadł na kolana, by objąć córeczki. Vorto osądził, że obie muszą być bliźniaczkami nie mającymi więcej niż cztery latka. Dziewczynki chyba nie wiedziały, co się wokół dzieje. Lokken ucałował je obie, otarł zawstydzające łzy i wstał, by spojrzeć katu w twarz. - Jestem gotów.

- Pokaż nam swoje flagi - zażądał Vorto. - Twoja rodzina może patrzeć, jak będziesz zdychał, albo może tu zostać. Wszystko mi jedno.

Kareena nie chciała opuścić męża.

- Pójdę z tobą - rzekła błagalnie.

- Nie! - uciął diuk lodowatym tonem. Pocałował ją po raz ostatni, spojrzął jej w oczy, a potem odwrócił się i ruszył korytarzem w głąb zamku. Vorto i jego ludzie poszli

za nim. Larius też chciał pójść, ale Kye odpędził go kopniakiem.

- Tylko diuk - warknął ostrzegawczo.

Lokken szedł pewnie, okazując odwagę, która zrobiła na Narenach spore wrażenie.

Powiódł ich prosto do krętych schodów wewnątrz wieży z szarego granitu. Panował tutaj mrok, który rozświetlały jedynie oliwne kaganki. Kiedy orszak znikł w głębi wieży, diuszesa Kareena wydała długi, bolesny okrzyk rozpacz. Jednak twarz Lokkena zastygła w wyrazie obojętności. Wiódł Narenów bez słowa po kamiennych stopniach pnących się stromo w górę.

Na szczycie wieży pchnął drewniane drzwi, otwierając je na podmuchy lodowatego wiatru.

Znaleźli się na szczycie najwyższej wieży w Goth, z widokiem na płonące u ich stóp miasto. Vorto wyszedł na płaski taras. W samym jego środku tkwił maszt, na którym powiewały flagi, które tak drażniły Vorta. Na widok Czarnej Flagi aż się wzdrygnął. Przez chwilę patrzył z niesmakiem i odrazą, a potem pochylił głowę w modlitwie.

- Dobry Boże, Panie wszystkiego, daj mi siłę, potrzebną do zniszczenia tego szkaradziejstwa. Boże miłosierdzia i światła bądź z nami, twoimi sługami.

Nikt nie przyłączył się do modłów generała, wszyscy jednak, prócz Lokkena, pochylili głowy. Skończywszy modlitwę, Vorto westchnął ciężko i spojrzał na diuka.

- Lokkenie, dam ci jeszcze jedną szansę odkupienia swoich win. Czy wyrzekniesz się tu i teraz Czarnej Flagi? Przyjmiesz zbawienie w Niebiosach? Twój hrabia Biagio jest czartem i sodomitą. Pokłada się z mężczyznami i wyrzeka nauk Kościoła Nar. Dla dobra twej duszy, Lokkenie, wyrzeknij się jego i jego sprawy.

Diuk przez chwilę patrzył na Vorta z niedowierzaniem w oczach, a potem parsknął śmiechem i potrząsnął głową.

- Jesteś szaleńcem - oznajmił. - Prawdziwym szaleńcem. Żal mi cię, Vorto.

Lituję się nad całym Nar. Nie widzicie, że rzucono na was czar? Daliście się upodlić dla nie istniejącego mitu.

- Bóg i piekło to nie mity - odparł Vorto. - Ratuj duszę przed potępieniem.

Wyrzeknij się Biagia, by twoja dusza odnalazła spokój wieczny.

Diuk był uparty.

- Jeżeli piekło istnieje, to z przyjemnością z nim spleonę. Lepsze to niż jęczenie pod jarzmem Kościoła Herritha.

Takiej właśnie odpowiedzi Vorto się spodziewał.

- Niechże więc tak będzie.

Podszedł do masztu flagowego, rozwiązał węzły i szybko opuścił obie flagi. Lwia Krew opadła pierwsza - tę generał zmiął w garści i rzucił za barierę tarasu.

Porwany wiatrem szkarłatny sztandar Goth szybko znikł patrzącym z oczu. Vorto wrócił do masztu i odciął Czarną Flagę. Był to chyba jeden z najskromniejszych symbolów Imperium, ot, zwykły skrawek czarnego sukna, ale w jego osnowie uwięzły całe pokolenia zła.

- Związać go - rozkazał generał.

Żołnierze natychmiast odcięli od liny dwa sznury, którymi związano nogi diuka, a potem wykręcili mu ręce za plecy i skrępowali jego nadgarstki. W tym czasie Vorto pochylił się nad Czarną Flagą i zaczął mamrotać słowa egzorcyzmów. Potem rozdarł ją na dwie części.

Diuk patrzył na to i milczał. Vorto zatknął obie połowy materii za wyłogi kurtki diuka.

- Nadal chcesz, by nad miastem powiewała Czarna Flaga? Uparcie wyrzekasz się Niebios? No to niech ta flaga załopocze nad miastem!

Pułkownik Kye popchnął diuka w stronę masztu. Dwaj inni żołnierze zawiązali pętlę i zarzucili ją Lokkenowi na szyję. Szarpnęli lekko, zmuszając diuka, by stanął na palcach.

- Żadnej skruchy, Lokken? - zakpił Vorto. - Żadnych wyrzutów sumienia? Wciąż jeszcze jest czas, stary diable. Ale zegar tyka coraz szybciej. Tik - tak, tik - tak...

- Przeklinam ciebie i twego biskupa, rzeźnika! Zobaczymy się w twoim piekle!

- Tak, tak - zgodził się Vorto. Skinieniem dłoni polecił legionistom, by podciągnęli linę. Lokken wybałuszył oczy i wysunął język z rozpaczliwie chwytających powietrze ust.

Udało mu się zatrzymać oddech do połowy drogi na szczyt masztu... gdzie wypuścił go z okropnym jękiem. Przez chwilę wierzgał jeszcze nogami, ale u samego szczytu znieruchomiał. Diuk Goth, Lokken, skonał, nie wydając już żadnego dźwięku.

Vorto spojrział w górę i uśmiechnął się z zadowoleniem. Teraz cały Warowny Gród mógł się przekonać o szaleństwie swego władcy.

- Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą - westchnął generał. Heretyk nie zasługiwał na lepszy los. Któregoś dnia, przysiągł sobie generał, to samo zrobi Biagiowi, i wreszcie Nar będzie wolne od tej dynastii tyranów.

Czując ogromne znużenie, Vorto zwrócił się do swego wiernego pułkownika.

- Chodźmy, Kye. Mamy jeszcze wiele do zrobienia. Generał pierwszy opuścił taras, pragnąc jak najszybciej zniknąć z pola widzenia wytrzeszczonych oczu diuka.

Generał Vorto i jego legion spokojnie opuścili Warowny Gród. Wierny swemu słowu Larius odwołał łuczników z wież i wycofał niedobitki gothajskiej piechoty.

Miasto zresztą ogarnęły pożary i trzeba było zająć się ich gaszeniem. Vorto jechał spokojnie, nie zwracając uwagi na nienawistne spojrzenia, jakie rzucali mu warczący przez zęby przekleństwa mieszkańcy, ani na pełne łez i strachu oczy dzieci. Słońce podniosło się już wyżej, ciskając jasne promienie na zasnutą śniegiem ziemię. Wiatr ucichł z nadejściem dnia.

Dotarłszy do miejskiej bramy, generał spojrział w niebo, jakby szukał w nim natchnienia, lub pomocy.

Poprzez poszarpane chmury ujrzał czysty błękit, z którego przemówił do niego Bóg - jak to czynił od wielu miesięcy. W zamierającym wietrze Vorto usłyszał odpowiedź, której odbiór pokwitował skinieniem głowy.

Kiedy oddalili się od miejskich murów na bezpieczną odległość, przywołał do siebie pułkownika Kye. Podwładny podjechał bliżej i musiał się nachylić, by usłyszeć szept wodza.

- Kye, nadszedł czas. Oddal ludzi od miasta. Ale zostaw taran. Niech zablokuje miejską bramę.

- Taran? - Kye obejrzał się za siebie i popatrzył ku bramie, gdzie wciąż jeszcze tkwiła ogromna machina, na poły zamykająca przejście. Po obu jej stronach przeciskali się z trudem konni i piesi. - Mamy go tu zostawić?

- Zostanie dokładnie tam, gdzie jest. Zbierz oficerów. Niech ruszą do kanonierów i każą im przygotować się do strzału.

Wyglądało na to, że rozkaz mocno zdumiał pułkownika.

- Ależ, generale...

- Taka jest wola Boga, Kye. To miejsce stało się siedliskiem zła. Trzeba je oczyścić z nieprawości.

- Generale, obiecałeś Lokkenowi, że oszczędzisz jego rodzinę. Żonę i dzieci...

- Mają tę samą skazę, która i jego przywiodła do zguby - odparł Vorto spokojnie.

-

Podobnie zresztą jak całe Goth. Przybyliśmy tu, by zatrzymać Czarne Odrodzenie, by zgasić je niby ogień. Nie zostawię za sobą dzieła, którego nie doprowadziłem do końca.

Twarz Kye'a stężała.

- Generale, czy mogę mówić otwarcie?

- Nigdy nie mówiłeś inaczej - uciął Vorto.

- Panie, to ludobójstwo. Morderstwo.

- Morderstwo?! - zawrzał gniewem Vorto. - Kto się ośmieli zarzucić mi morderstwo? To zbawienna kuracja, pułkowniku, nic innego. Czarne Odrodzenie jest niczym nowotwór. Gdybyś miał na ciele jakiś wrzód, czy nie wyciąłbyś go? My tu nie robimy niczego innego. Ratujemy Nar. Ocknij się, Kye! Przejrzyj i daj świadectwo prawdzie!

Pułkownik zrozumiał ukrytą groźbę i umilkł. Uciekł ze spojrzeniem w bok, ku wzgórzom, na których czekały kwasomioty, by rzygnąć ku miastu swoim jadowitym ładunkiem.

- Poczekaj, aż się rozjaśni, i wtedy wystrzel raketę sygnałową - powiedział Vorto.

Pułkownik ponuro kiwnął głową spiał konia, by odjechać. Generał jednak miał mu coś jeszcze do powiedzenia.

- Kye...

Oficer odwrócił twarz ku wodzowi.

- Na rozkaz, generale.

- Kye, wierz mi, że nie jest łatwo czynić na ziemi dzieło boże. Ani mnie, ani komukolwiek innemu. Módl się do Boga o potrzebną do tego siłę. On cię nie zawiedzie.

- Tak jest, generale - odpowiedział Kye równie ponuro, jak przedtem.

I odjechał wykonać rozkazy.

Owdowiała przed chwilą diuszesa Kareena z Goth stała na dachu fortecznej wieży i patrzyła, jak ciało jej męża łagodnie kołysze się w podmuchach wiatru. Lina zaciśnięta wokół szyi diuka uniemożliwiła odpływ krwi, oblekając jego twarz czerwienią i czyniąc ją niemal nierozpoznawalną nawet dla kobiety, która była matką jego dzieci. Na dachu dęło przejmującym chłodem. Śnieg przestał już padać i tylko od czasu do czasu pojawiały się w powietrzu zapóźnione płatki. Larius wyjął sztylet i zaczął przecinać linę, by opuścić martwego diuka w dół. Był jedynym, z gruntu dobrym człowiekiem, któremu Kareena mogła powierzyć to ponure zadanie. Na dole płakały córki, których nie dawało się uspokoić. Jej jedyny syn, prawdopodobnie zabity gdzieś na murze, leżał pewnie teraz w kałuży krwi.

Kareena zadrzała. Udało jej się powstrzymać łzy, ale wszystko docierało do niej niby przez mgłę i jakby w zwolnionym tempie. Miała dwadzieścia dziewięć lat i, kiedy wydawano ją za męża, nigdy by nie pomyślała, że pokocha tego znacznie od niej starszego mężczyznę tak bardzo, iż dalsze życie bez niego wyda jej się niemożliwe.

Armia Vorta zgodnie z generalską obietnicą odstępowała od miasta - co w zasadzie mocno zdumiało Kareenę. Nie spodziewała się, że rzeźnik dotrzyma słowa. W świetle poranka widziała z wysokości wieży, jak się cofają, zadowoleni z tego, że zabili jej męża.

Diuszesa stłumiła łzy i podeszła do masztu, by pomóc Lariusowi zsunąć ciało męża na kamienne płyty. Trup zdążył już zeszywnieć. Kareena ujęła ciało męża w ramiona i złorzeczając mordercom, zajęła się zdejmowaniem pętli z jego szyi.

- O Boże! - załkała. - Co oni zrobili z moim mężem...

Oczy Lokkena były szeroko otwarte. Zamknął je dopiero Larius, którzy przesunął dłoń po powiekach zmarłego. Stary żołnierz ukląkł, pocałował martwego pana w czoło, a potem wstał i cofnął się, zostawiając wdowę z jej rozpaczą. Kareena przytuliła głowę męża do piersi i zaczęła go lekko kołysać. Przemknęło jej przez myśl, że teraz ona przewodzi Gothajczykom.

Czy Vorto wróci, by wyrzucić zemstę na pozostałych mieszkańcach? Kareena musnęła dłonią głowę męża, odsuwając włosy ze zniekształconej grymasem śmierci twarzy. Larius tymczasem podszedł do balustrady i spojrzał z góry na miasto. Wszystko

zasnuwał śnieg, przez który tu i ówdzie przebijały się smugi ognia i dymu. Z dołu dobiegały okrzyki ludzi i bezładne, rozpaczliwe jęki dzieci i ich matek. Po ulicach krążyły grupki żołnierzy, którzy gasili pożary mokrymi kocami i polewali resztki ognisk wodą. Kareena zamknęła oczy i zaczęła modlitwę - nie do Boga Narenów, ale do starego Boga, który był łagodny i obdarzał ludzi spokojem. Przed śmiercią Arkusa wierzyła głęboko i kochała Kościół. Odbyła nawet pielgrzymkę do Nar, gdzie odwiedziła Katedrę Męczenników i wysłuchała kazanie Herritha.

Ale teraz, na ruinach starego Nar rodziło się coś okropnego.

Modły Kareeny przerwał jakiś dźwięk. Ze wzgórz doleciało dziwne tąpnięcie, jakby ktoś wyciągnął korek z ogromnej butelki. Kareena odwróciła głowę i spojrzała w kierunku, z którego dochodził osobliwy dźwięk. I nagle zewsząd dookoła zaczęły dolatywać te same odgłosy. Przestraszona diuszesa złożyła głowę męża na kamiennych płytach i podbiegła do Lariusza. Stary żołnierz uważnie badał wzrokiem horyzont.

- Lariusie, co to takiego? Co to za dźwięki?

- Nie wiem, pani. Może... działa?

- Działa? Nie, to niemożliwe.

- Nie widzę błysków - zgodził się z nią Larius. - Ale te dźwięki...

Nad ich głowami ze świstem przeleciał jakiś przedmiot. Larius chwycił panią, rzucił ją na ziemię i zakrył własnym ciałem. Kareena okrzykiem zgrozy powitała kolejny pocisk, który się rozbił o kamienne płyty. Zaraz potem rozległ się jakby świst uchodzącej pary. Tąpanie na wzgórzach rozlegało się raz za razem. Kareena wyrwała się Lariusowi i podbiegła do balustrady.

- Co to jest? - krzyknęła rozpaczliwie. Przyłożyła dłonie do uszu, by odgrodzić się od dźwięku, który nie wiadomo dlaczego, kojarzył jej się z czymś strasznym. - Lariusie, co...

W całym Goth widać było wybuchy dymu, którego zielonkawe macki snuły się po ulicach. Szukając źródeł dźwięku, ludzie patrzyli w niebo. I z krzykiem wydzierali sobie oczy, gdy tylko dosięgały ich smużki okropnych oparów. Wiatr zaniósł słodką woń śmierci aż na wieżę. Kareena wciągnęła ją w nozdrza... i zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, iż wdycha truciznę. Ogień smagnał jej przełyk i tchawicę. Gardłem diuszesa targnęły skurcze bólu, a z jej oczu trysnęły łzy. Chwiejnie cofnęła się ku Lariusowi,

szukając go na oślepi.

Oczy starego pełne były krwi. Przerazona, niezdolna do wydania dźwięku diusza spojrzała na własną suknię, by się przekonać, że i jej łzy są szkarłatne.

Dwa. ZŁOTY HRABIA

Nazywano go Łamaczem Woli.

Przezwiseko to nadał mu jego poprzedni pan, Arkus z Nar, i Savros nosił je z dumą, powtarzając je nawet w obecności imperialnych dam. Władał swoimi narzędziami tak, jak artysta malarz włada swoim pędzlem, delikatnie i z geniuszem. Niektórzy uważali go za szaleńca, wszyscy jednak się zgadzali, że w swoim fachu nie ma sobie równych - był jednym z rzadkich w Nar artystów. Żołnierze zazdrościli mu zręczności w posługiwaniu się nożem, a damy mdlały, gdy zaczynał snuć swe mroczne opowieści. Savros znał swoje powołanie od dziecka.

Simon patrzył na robotę Łamacza Woli, który aż się zapamiętał w swoim dziele.

Jego pajęczę palce pełzały wolno po ciele ofiary, a wąskie skalpele sterczały z ich opuszków niczym ostre jak igły szpony. Simon wiedział, że patrzy na robotę mistrza nad mistrzami i mimo wycia zawieszanej na łańcuchach ofiary, obserwował wszystko z jakąś chorobliwą fascynacją.

- To takie łatwe - szeptał oprawca. Wysunął język i polizał nieszczęśnika w ucho.
- Tak łatwo jest umrzeć...

Miał głos słodki niczym miód, i obrzydliwie śpiewny. Głos ten wypływał z krtani Łamacza Woli niczym pieśń kusząca ofiarę do otwarcia ust. Ofiara jednak prawie już niczego nie słyszała. Z ust torturowanego człowieka wydobywały się jedynie jakieś oderwane słowa w języku Triinów, ale Savros Łamacz Woli jeszcze się nie poddawał. Zza pazuchy swego białego kitla wyjął kolejny nożyk i podniósłszy go ku oczom ofiary, obracał go powoli, tak żeby światło jedynej w lochu pochodni odbijało się od jego ostrza. Simon stał bez ruchu w jednym z rogów celi, czekając, aż więzień skona.

Jak wszyscy Triinowie, nieszczęśnik był nieskalanie biały. Savros ogromnie się ucieszył, kiedy go zobaczył. Biała skóra była jak tkanina, którą miał rozciągnąć łańcuchami.

Natychmiast wziął się do dzieła i nożami zaczął wycinać na plecach więźnia sylwetki wrzeszczących ludzi. Teraz było już ich dwadzieścia, tworzących wspólny, drgający krąg.

Posadzka ociekała krwią, a skrawki skóry więźnia zwisały aż do trzewików Łamacza. Ten jednak w ogóle nie zwracał na to uwagi, a patrzący na cały popis Simon zastanawiał się, czy nie tak wygląda piekło.

- Jaki piękny - mruknął oprawca, patrząc na swój nożyk. Podniósł ostrze tak, by Triin mógł je zobaczyć swymi szarymi z udręki oczami. - W Czarnym Grodzie jest kowal, który całymi dniami wykuwa takie ostrza tylko dla mnie. To najlepszy płatnerz w całym Nar. - Savros wypróbował ostrze opuszką kciuka, - Och, jaki ostry...

Kat nie zwracał już sobie głowy szukaniem słów w języku Triinów. Do ofiary nic już nie docierało, i oprawca doskonale to rozumiał. Ale to właśnie było w tym wszystkim najpiękniejsze. Simon z trudem usiłował się skupić na widowisku. Należał do Roshannów i gdyby odwrócił wzrok, Biagio z pewnością by się o tym dowiedział. Wziął się więc w garść i patrzył, jak Savros pieszczotliwie powiódł ostrzem po zakrwawionym policzku ofiary i zaśpiewał po swojemu, a Triin zadygotał, czując dreszcze zbliżającej się agonii.

- No, kończ z nim wreszcie! - warknął Simon, tracąc cierpliwość.

Savros odwrócił spojrzenie swoich mrocznych oczu w stronę kąta, w którym tkwił Simon. Nad głową Simona zwisała ze sklepienia pajęczyna pełna młodziutkich pajęczków, które niedawno się wylęgły, on jednak nie zrobił ani kroku.

- Sza! - Savros podniósł smukły palec do ust. Powietrze było gęste i pachniało niczym syrop, zbyt słodko jak na gust Simona. Głos kata dźwięczał mu w głowie jak złowrogi dzwon. Słuchał go już od kilku godzin i zaczynały go boleć nogi. Na zewnątrz, na górze, pewnie weszło już słońce. Gdyby mógł, Simon biegiem wypadłby z lochu i zwymiotowałby wszystko, co wczoraj zjadł, ale trzeba było skończyć z tym paskudnym zadaniem.

- Jeżeli dowiedziałeś się już wszystkiego, to go zabij - rozkazał oprawcy. - To mimo wszystko człowiek. I tak masz go traktować.

Savros zrobił zgorzszą minę.

- To ty go do mnie przyprowadziłeś - przypomniał Simonowi. - Niech każdy z nas robi to, co do niego należy.

- Ale ty już swoje zrobiłeś, Łamaczu Woli. Jeżeli masz ochotę kogoś podręczyć, weź sobie od któregoś wieśniaka kozę. Ten człowiek był triińskim wojownikiem.

Zostaw mu choć odrobinę honoru.

- Patrzcie, patrzcie... - zakpił Savros, przerzucając ostrze z dłoni do dłoni.

- Czy wy, Roshannowie, nie uczycie się przesłuchiwania więźniów?

Simon wyszedł z cienia. Środek celi zajmował stół, na którym Łamacz Woli rozłożył swoje narzędzia pracy - zestaw stalowych pręcików zakończonych igłami i szczypcami; wszystkie ułożone równo obok siebie na srebrnej tacy. Obok niej stał dzban różanej wody.

Jednym z dziwnych kaprysów Savrosa było skrapianie warg ofiar chłodną wodą, co zwiększało ich cierpienia. Simon odepchnął kata na bok i podniósł dzban do ust ofiary, polewając wodą język i spuchnięte wargi. Nieszczęśnik wymamrotał coś z wdzięcznością.

- Co robisz?! - oburzył się Savros.

Simon nawet nie odwrócił głowy, tylko nie przerywając pojenia więźnia, uniósł drugą dłonią jeszcze jeden nóż ze stołu. Ten nie był tak piękny, jak pozostałe - miał szerokie, zębate ostrze przypominające rzeźnicki tasak. Simon ujął nóż mocno, a potem pochylił się tak, że ustami musnął niemal ucho Triina.

- Dobrej śmierci, wojowniku - szepnął i pchnął zębate ostrze w serce więźnia.

Z gardła Triina wydarł się krótki skowyt. Jego dłonie zwinęły się w pięści, targając okowami i długimi ciężkimi łańcuchami. Więzień wytrzeszczył oczy, przez chwilę patrzył jeszcze na Simona, a potem jego źrenice zmętniały. Simon odłożył dzban i nóż, następnie odwrócił się i spokojnie spojrział na Savrosa, który tak się zdumiał, że aż otworzył usta.

- Zabiłeś go - wystękał wreszcie.

- Dość tych zabaw w kotka i myszkę! - uciął Simon. - Nie lubię oglądać takich... bzdur.

- Ale ja jeszcze z nim nie skończyłem! - Kat niemal płakał. Podbiegł do bezwładnego ciała więźnia i zaczął szukać tętna. - O wszystkim powiem hrabiemu Biagio!

- Sam mu powiem. A teraz do rzeczy. O czym on mówił? Słyszałem, że była mowa o Vantranie. Czy jest w Falindarze?

Savros nie zwrócił uwagi na pytanie Simona. Przesunął swe długie palce po

plecach ofiary, podziwiając swoje dzieło i chłonąc twarzą gasnące ciepło ciała. Simon poruszył się, zdradzając swoje zniecierpliwienie. Za swojej służby u imperatora Savros był jednym z jego ulubieńców i członkiem uprzywilejowanego Żelaznego Kręgu. Teraz był wygnańcem, jak pozostali poplecznicy Biagia, uwięzionym na Crote. Pobyt na wyspie nie podobał się nikomu z nich, ale Savros znosił go najgorzej. Łamacz Woli całe swe poprzednie życie spędził w Czarnym Grodzie, zajmując się swoją mroczną sztuką. Przywykł do smrodu dymu bijącego z kominów zbrojowni i wilgoci lochów; czyste wyspiarskie powietrze tylko psuło mu humor.

Biagio nadal go jednak cenił, a to znaczyło, że Savros wciąż ma wpływ na hrabiego. Simon wiedział, że nie wolno mu posuwać się za daleko w krytyce metod pracy oprawcy.

- Savrosie... - rzekł prosząco. - Co on powiedział? Czy Vantran jest w Falindarze?

- Był taki piękny... - odparł Savros, jakby w ogóle nie słyszał pytania. - Chcę jeszcze jednego...

- Czy Vantran...

- Tak, tak! - Oprawca puścił trupa i odwrócił się do stołu, wyjmując zakrwawione narzędzia zza pazuchy swego kitla i układając je uważnie na srebrnej tacy. - Jest tak, jak myślałeś, szpiegu. - Wypluł te słowa jak przekleństwo. - Vantran jest w Falindarze ze swoją żoną.

- Co jeszcze powiedział? - naciskał Simon.

- Och, mógłbyś się wreszcie nauczyć tego przeklętego języka! A może nie było słyhać, co?

Simon się najeżył, ale nie rzekł ani słowa. Ze wszystkich ludzi, którzy uciekli z Biagiem, jedynie Savros znał dziwny język Triinów. Jak sam kiedyś wyjaśnił, „trzeba było znać język, w jakim mówią jego dzieła”. Był zresztą niezwykle utalentowanym poliglotą, czego Simon mu szczerze zazdrościł. Niedawno odbył pierwszą wyprawę na Lucel - Lor i liczył na to, że kolejnych mu nie powierzą. Przedtem usiłował nauczyć się przynajmniej kilku zdań w języku triińskim, Savros był jednak kiepskim nauczycielem, a i Simonowi nauka nie szła najlepiej. Podczas tamtych prób zresztą zrodziła się dzieląca ich teraz wrogość.

Simon uważnie obserwował, jak Savros starannie wyciera białym ręcznikiem

czerwoną posokę ze swoich rąk. I ujrzał jakiś błysk w nienaturalnie błękitnych oczach Savrosa, znamionujący, że oprawca coś jeszcze ukrywał.

- Co jeszcze? - spytał. - Idę o zakład, że coś ci jeszcze powiedział.

- Naprawdę? - zadrwił Łamacz Woli. - Jesteś Roshannem, Simonie Darquis.

Powinieneś być bardziej spostrzegawczy. Powiedz mi więc, co jeszcze się dowiedziałem...

Możesz zgadywać?

- Przestań się wygłupiać! - ostrzegł go Simon. Savros ustąpił ze złym uśmiechem.

- Dziecko - powiedział z satysfakcją. - Vantran ma córkę. Simon poczuł, że zamiera mu serce.

- Córkę? Ile ona ma lat?

- Jest bardzo mała, w gruncie rzeczy to niemowlę. Może ma roczek, może mniej.

Nie umiem rzec. Mieszka z nimi w tej ich cytadeli. - Savros odłożył wilgotny ręcznik. - Wygląda na to, że tam wrócisz, prawda?

Simon skrzywił się z niechęcią. Była to ostatnia rzecz, jakiej mógłby pragnąć.

- Vantran na coś czeka - dodał Savros. - Powinieneś o tym powiedzieć Mistrzowi.

Powiedz mu, że powinien dać sobie spokój ze swoją zemstą i wreszcie zabrać nas z tej cholernej wyspy.

„Powiem, a jakże” - obiecał sobie w duchu Simon. Po raz ostatni spojrzał na człowieka zwisającego z przykutych do sklepienia łańcuchów. Pozbawione życia oczy patrzyły martwym spojrzeniem. Lekki przeciąg kołysał zwłokami, a brzęk łańcuchów sprawił, że Simon poczuł się nie najlepiej. Podróż z Lucel - Loru była długa, męcząca, a pojmany wojownik znosił upokorzenia i trudy z godnością i dumą. Związany jak prosię, ciśnięty w głąb śmierdzącej ładowni okrętu nie wydał żadnego głosu i nie zjadł ani okruszka chleba czy suchara. Simon spojrzał na wynędzniałe ciało więźnia, okrutnie skatowane przez Savrosa.

Jedynie Łamacz Woli mógł przedrzeć się przez zaporę uporu więźnia... i zrobił to w ciągu paru godzin.

- Jak się nazywał? - spytał młodzieniec kata.

Savros spojrział z niedowierzaniem.

- Co takiego?

- Jego imię? Jak brzmiało jego imię?

- Tego akurat cię nauczyłem - przypomniał mu Savros. - Dlaczego sam go nie zapytałeś?

Simon potrząsnął głową. Przedtem rozmyślnie nie chciał znać imienia więźnia.

- Hakan - odpowiedział oprawca, a potem westchnął. - Cóż za strata. Mógł żyć jeszcze tak długo...

- Hakan... - powtórzył Simon i zwrócił się do Savrosa z wyzwaniem w głosie. - Rad jestem, że go zabiłem.

Nie rzekłszy już niczego więcej, wyszedł spieszenie z celi. Przemknął przez żelazną furtę oddzielającą lochy od reszty zamkowych podziemi i ruszył wzdłuż długiego szeregu piwnic, w których drzemały tysiące beczek rozmaitych roczników bezcennego crotkańskiego wina, napełniających powietrze niepowtarzalnym aromatem. Większość pochodziła z prywatnej winnicy Biagia; był to trunek poszukiwany wszędzie w Imperium. Cała armia niewolników trudziła się w winnicach hrabiego, a druga, nie mniej liczna, przetaczała ciężkie beczki w lochach, gdzie mistrzowie sprawdzali ich doskonałość. Niewolnicy nie zwracali uwagi na przechodzącego obok nich Simona. Wiedzieli, że był ulubieńcem hrabiego, nie należał jednak do nareńskich lordów. Jako Roshann był sługą hrabiego - a to oznaczało, że jego status społeczny nie był wiele lepszy niż ich własny.

Za winnymi piwnicami Simon trafił na ogromne, wykute w kamieniu schody, których stopnie wytarły się niemal, deptane przez setki lat butami tysięcy ludzi. Szybko piął się w górę, pragnąc zaczerpnąć czystego powietrza. Pchnąwszy zamykające szczyt schodów drzwi, znalazł się w przeznaczony dla służby części rozległego domu hrabiego.

Istotnie, tak jak myślał, był już ranek. Ostre promienie słonecznego światła przenikały przez kryształowe szyby i padały na czerwone płyty posadzki. Stojący u wejścia Simon słyszał brzęk kotłów i garnków dobiegający z kuchni, gdzie niewolnicy przygotowywali śniadanie. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Dwór hrabiego stał na wzgórzu, skąd Simon mógł zobaczyć wzgórza winnic i lśniący w oddali ocean. Wciągnął w płuca rześkie, chłodne jeszcze powietrze i zamknął oczy. Wciąż widział

przed sobą twarz Triina. Co gorsza, był zmęczony.

Tęsknił za snem, lub choćby za chwilą, w której będzie mógł zzuć buty i dać odpoczynek pokrytym pęcherzami stopom. Wiedział jednak, że Mistrz czeka na jego meldunek. Ta myśl sprawiła, że się wzdrygnął. Rozmawiał z hrabią tylko przez chwilę, wczoraj wieczorem, kiedy przywiózł więźnia, a potem poszedł za Savrosem do lochu.

Biagio miał rację, mówiąc o kompetencjach Łamacza Woli.

- No i dobrze - syknął Simon. Wciąż czuł zapach krwi. Eris też go poczuje.

Jęknął cicho. Będzie się martwiła. Ale cóż, musi jeszcze zaczekać, choćby kilka chwil.

Obok niego przebiegła służąca w kuchni dziewczyna. Simon chwycił ją za łokieć, co dziewczynę nieco przestraszyło.

- Hrabia... - spytał. - Gdzie go znajdę?

- M-mistrz? - wyjąkała dziewczyna. Trzymany przez nią kosz z jajami zadrżał tak, że Simon pomyślał, iż za chwilę wszystkie wysypią się na ziemię. - Ja... ja myślę, że w łaźni, panie.

Puścił ją, uśmiechnąwszy się przepaszająco, i zdał sobie sprawę z tego, że w zbryzganej krwią Triina kurtce musiał dziewczynę nielecho przestraszyć. Słudzy hrabiego nie przyzwyczaili się jeszcze do gości z Czarnego Grodu i choć Simon żył tu od paru lat, wciąż traktowano go jak przybysza z zewnątrz.

Przeszedł przez salę i trafił na pergolę z cegły, obsadzoną kwiatami i ozdobioną wspaniałymi, naturalnej wielkości posągami. Owionął go ciężki i nieco zalatujący zgnilizną odór ogrodów. Bezwiednie poprawił zmarszczki i fałdy na swojej kurtce. Biagio nie cierpiał niedbałości w stroju. W tej części zamku niewolnicy byli lepiej odziani niż Simon. Był we wschodnim skrzydle, gdzie hrabia urządził sanktuarium i gdzie zapraszano niewielu. Simon wątpił nawet, czy przychodził tu Savros i inni nareńscy lordowie. Podchodząc do białego budynku - zbudowanej z marmuru i złota materializacji snu genialnego architekta - odruchowo zwolnił kroku i zaczął stąpać ciszej. W ogrodach Biagia mógł się rozlegać tylko śpiew ptaków. Mimo wczesnej pory, wśród kwiatów uwijali się mistrzowie sztuki ogrodniczej, którzy przycinali ogromne krzewy różane i wrywali chwasty, ośmielające się tu wykiełkować. Simona powitał gniewny świst szpaka, który uwił sobie gniazdo na brzoskwiowym drzewku, Simon zaś

pomyślał, że wiele dałby w tej chwili za niewielki kamień.

Pergola kończyła się niewielką, zwieńczoną łukiem furtką z brązu, obrośniętą jakimś ciernistym zielskiem. Stał tu na straży ogromnego wzrostu eunuch z halabardą. Na widok Simona bez słowa odstepił na bok i młody człowiek przeszedł pod łukiem na wąski dziedziniec. Przecinając go ukośnie, skierował się ku łaźniom. Po kilku chwilach zobaczył zbudowany z cedrowych belek domek, którego szyby od środka pokrywały perełki skroplonej wilgoci. Z rury pełniącej rolę komina buchały kłęby pary. Na progu stała para fiołkowych pantofli. Na kołku wisiał podobnej barwy szlafrok.

„Dobra nasza - pomyślał Simon. - Jest sam”.

Delikatnie zapukał. Drewno było ciepłe. Po krótkiej chwili usłyszał przechodzącą w stłumione ziewnięcie odpowiedź Mistrza.

- Wejdz - Biagio zaprosił go swoim aksamitnym głosem. Simon ostrożnie uchylił drzwi. W jego twarz buchnęły kłęby pary.

Innego może by zdumiała panująca w łaźni temperatura, Simon jednak znał zwyczaje swego pana i niemal podświadomie oczekiwał poparzenia. Gwałtownie zamrugał, bo zmieszane z parą perfumy podrażniły jego oczy. Zerknął do środka, usiłując cokolwiek zobaczyć. Wnętrze parowej łaźni było mroczne, oświetlone tylko blaskiem paleniska do podgrzewania kamieni. W rogu, przeciągając się niczym leniwy kot, siedział hrabia Renato Biagio, nagi - jeżeli nie liczyć wąskiego ręcznika, zawiązanego wokół lędźwi.

Jego złota skóra lśniła kropelkami potu, a mokre, złote włosy hrabiego zwisały aż na ramiona. Na widok wchodzącego Simona piękny arystokrata otworzył swoje niesamowicie błękitne oczy i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Witaj, przyjacielu - odezwał się Biagio. Głos miał obcy, nieczłowiecki, o barwie podobnej do brzmienia jakiegoś cennego instrumentu. Simon usłyszał go mimo syku pary, a jego hipnotyczna moc kazała mu podejść bliżej. Mimo wielu lat spędzonych na służbie u hrabiego zawsze drżał, gdy słyszał ten głos.

- Dzień dobry, Mistrzu - odparł. - Czy nie przeszkadzam?

- Nigdy nie przeszkadzasz. Wejdz, Simonie, niech cię zobaczę.

- Przepraszam, Mistrzu... jestem brudny. Może wrócę, kiedy się przebiorę?

Biagio uwielbiał takie sytuacje.

- Pozwól, niech cię zobaczę - powtórzył. - Otwórz drzwi nieco szerzej.

Simon nie bez oporów otworzył drzwi i wszedł do przepelnionej parą łaźni.

Natychmiast poczuł uderzenie fali gorąca. Błękitne oczy Biagia rozwarły się szerzej.

- Rzeczywiście! Widzę, że podszedłeś za blisko Łamacza Woli. Simonie, wyglądasz okropnie.

- Zechciej wybaczyć, Mistrzu. Spieszyłem, by przekazać ci nowe wieści. Za chwilę wrócę.

Odwrócił się, ale Biagio go zatrzymał.

- Pleciesz bzdury - stwierdził rzeczowo. - W końcu jesteśmy w łaźni. Zdejmij to z siebie i siadaj obok mnie.

Simon z trudem zmełł w ustach przekleństwo. Czuł już niemal, jak Biagio obmacuje go głodnym wzrokiem.

- Panie, nie mogę. Obraziłbym cię tylko.

- Simonie, przestań udawać niewiniątko - stwierdził sucho hrabia. - Nalegam, byś się do mnie przyłączył. A teraz się rozbieraj. Za tobą jest ręcznik.

Rzeczywiście, za Simonem na kołku wisiał ręcznik. Młodzieniec zdjął ubranie i szybko sięgnawszy po płótno, obwiązał je ciasno wokół lędźwi. Gorąca para była niemal nie do wytrzymania. Simon prawie czuł, jak rosna mu bąble na skórze. Zobaczył, że Biagio sięga po zanurzony w stojącej obok misie czerpak i wylewa wodę na rozgrzane kamienie.

Natychmiast uniósł się znad nich kolejny pióropusz pary. Biagio westchnął, zamknął oczy i zrobił głęboki wdech. Jak wszyscy kompani Arkusa, hrabia nie cierpiał zimna. Był to efekt uboczny działania eliksiru Bovadina, którego używali do przedłużania sobie życia. Nawet podczas najgorętszych letnich upałów skóra Biagia pozostawała chłodna. Ten sam eliksir zabarwił błękitem jego oczy i oziębził krew, zamieniając ją w niemal lodowatą ciecz. I oczywiście czynił go nieśmiertelnym... albo takim, któremu do nieśmiertelności bardzo niewiele brakuje. Simon na przykład podejrzewał, że hrabia ma już dobrze po pięćdziesiątce, ale wyglądał na młodszego o połowę. Tu, w łaźni, gdy jego ciało było niemal obnażone, Biagio wydawał się ostacją z mitu. Nie był oczywiście olbrzymem, ale miał doskonale rozwinięte, sprężyste mięśnie,

lekką się poruszającą pod nieskazitelnie gładką skórą. Hrabia był dumny ze swego ciała i z przyjemnością je pokazywał - szczególnie Simonowi.

Ten usiadł obok swego pana, czując, że drewno ławy parzy go w pośladki. Zmienił położenie ręcznika, tak by jak najmniej się obnażyć. Biagio otworzył jedno oko i uśmiechnął się przyjaźnie, przesuwając lodowato zimną dłoń po ramieniu młodzieńca.

- Rad jestem, żeś wrócił do domu, przyjacielu - oznajmił hrabia. - Stęskniłem się za tobą.

- Dobrze jest wrócić... - odpowiedział Simon. Żar już robił swoje; powieki młodzieńca zaczynały opadać. - Nigdy przedtem Crote nie wydało mi się tak piękne. Gdy ujrzeliśmy wyspę z pokładu okrętu, niewiele brakowało, a bym się rozplakał.

Wiesz, mój panie, jak nie lubię wody.

- A Lucel - Lor? Jaka jest ta obmierzła kraina?

- Daleka - stwierdził Simon. - I inna. Mistrzu, żyją tam dziwni ludzie.

Powinieneś zobaczyć tego, którego przywiódłem Savrosowi. Miał skórę białą jak mleko. I włosy też. Nie nazwałbym ich jasnoskórymi. Oni są... odmieńcami.

- Ten, którego porwałeś, już nie żyje, czy tak?

Simon kiwnął głową.

- Zabiłem go osobiście. Savros okropnie się nad nim znęcał. Nie mogłem już na to patrzeć. Ale ten Triin zdradził wszystko, co wiedział. Dokładnie sprawdziłem, zanim go zabiłem.

Biagio parsknął śmiechem.

- Och, nasz Łamacz Woli jest jak dziecko. Od dawna szukał okazji, by popracować nad Triinem. Obejrzę sobie tego stwora, zanim go wyrzucimy. Chcę mu się przypatrzeć.

Arkus zawsze ich uwielbiał, a teraz i Richius Vantran wybrał życie pośród nich.

Chciałbym wiedzieć, co w nich takiego jest... - Twarz hrabiego okryła chmura. - Słyszałem, że są bardzo piękni. Czy to prawda?

- Piękni? Być może dla drugiego Triina. Nie widziałem ich zresztą zbyt wielu.

Kiedy usłyszałem, że ten jeden pochodzi z Falindaru, porwałem go i wyjechałem.

- I postąpiłeś słusznie - zawyrokował hrabia, opierając się o ścianę. - Minęło już trochę czasu, ale podejrzewam, że Vantran wciąż ma się na baczości. Miałeś szczęście,

że udało ci się ujść niepostrzeżenie. Świetnie się sprawiłeś, przyjacielu. Jak zawsze, zresztą. A teraz do rzeczy. Jakie masz wieści?

Simon wziął się w garść.

- Jak podejrzewaliśmy, Vantran zamieszkał w cytadeli, ze swoją żoną, Triinką.

- Tak... - Wszyscy wiedzieli, że Vantran zdradził Imperium dla kobiety. - No proszę, ma żonę. To dobrze...

- Wojownik był jednym z tych, którzy strzegą cytadeli. Jego malunki na skórze były tak samo błękitne, jak innych z tamtej okolicy. Savros mówi, że takich jak on jest w Falindarze wielu... Prawdopodobnie strzegą Vantrana.

- O tak, Szakal jest dla nich bohaterem. - Biagio powiedział to tak, jakby splunął.

- Ten chłopiec ma w sobie mnóstwo uroku osobistego. Co jeszcze?

Simon przez chwilę miał ochotę zełgać, to jednak było nie do pomyślenia. Był jednym z Roshannów Biagia - a w języku Crote Roshann znaczyło Zakon. Należał do elity.

Innymi słowy mówiąc, winien był Biagiowi wszystko. A szczególnie prawdę.

- Dziecko - wyszeptał. - Dziewczynka. Córka Vantrana.

- Dziecko? - Hrabia aż podskoczył. - Szakal ma córkę?

- Owszem, jeżeli wierzyć temu Triinowi. Dziewczynka mieszka z nim w cytadeli.

Ale chyba rzadko się pokazuje. Może Vantran wciąż jeszcze się ciebie boi, Mistrzu. Ten Triin wiedział czego tam szukałem... Widziałem to w jego oczach, gdy go schwytałem.

Biagio zaśmiał się i klasnął w dłoń.

- Cudownie! Dziecko! Nie mogło się złożyć lepiej! Porwana córeczka... O, to mi dopiero ból, nieprawdaż, Simonie? To niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Tego się właśnie Simon spodziewał.

- Mistrzu, tylko wtedy, gdyby porwanie się powiodło, a nie sądzę, by to było możliwe. Jeżeli ona przebywa w cytadeli, z pewnością pilnie jej strzegą. Lepiej będzie po prostu zabić Vantrana. Jeżeli, na przykład, wyjedzie gdzieś na łowy...

- Nie! - uciął Biagio jak nożem. - To nie jest ból, Simonie. Gdzie nie ma straty, nie ma i bólu. Kiedy Vantran zdradził Arkusa, imperator skazał go na śmierć. A on... odebrał mi imperatora. Kochałem Arkusa. Nigdy już nie będę taki, jak przedtem. Nar też

nie będzie. - Hrabia spojrział w bok, ujawniając swe rozczarowanie. - Zawiodłeś mnie...

- Wybacz, Mistrzu - powiedział Simon cicho, ujmując w palce dłoń Biagia. - Wiem, że śmierć imperatora pogrzyżyła cię w ogromnym żalu i smutku. Nas wszystkich też wciąż boli jego strata. Ja podsunąłem projekt zemsty, który da się wcielić w życie. Porwanie jego córki lub żony to...

- Zemsta odpowiadająca wielkości zbrodni, nic więcej - odparł hrabia. - Musi cierpieć, jak ja cierpiałem. Odbiorę mu jego największy skarb, tak jak on odebrał mi Arkusa. - Biagio uścisnął mocno dłoń Simona. - Zrozum, przyjacielu, błagam cię. Nie mam nikogo, prócz ciebie. Inni mnie nie znają. Idą za mną, kierując się ambicjami, pychą...

Ale mnie potrzebne jest twoje poświęcenie i oddanie, Simonie.

- Nigdy cię nie zawiodę, Mistrzu - odpowiedział Simon. - Wiesz, że zawsze możesz liczyć na moją wierność. Roshannowie pójdą za tobą wszędzie.

Nie mógł rzec większej prawdy. Nawet jeżeli Simon sam wątpił w swoje oddanie, inni członkowie tajnego bractwa Biagia byli rozsiani po całym Imperium. Biagio zebrał ich na polach rodzinnej wyspy, wykorzystał do obalenia władzy ojca, a potem nadal wykorzystywał, będąc w służbie imperatora. Niezależnie od losu, jaki miał spotkać Biagia i jego plany objęcia tronu, Roshannowie byli mu wierni niczym sfora psów. Był ich stwórcą, bogiem i światłem przewodnim. Biagio jest Roshannem, a jego agenci wielbią go.

- Mistrzu... - odezwał się Simon. - Nie powinieneś tak rozpamiętywać śmierci Arkusa.

Pomyśl o innych rzeczach. O tym, że cię potrzebujemy. Jesteś potrzebny całemu Nar. Tylko ty możesz ponownie zjednoczyć Imperium.

Biagio zaśmiał się smutno.

- Na Żelaznym Tronie nie zasiądzie już nikt podobny Arkusowi. Ale spróbuję podołać temu zadaniu.

- Kiedy? - spytał ostrożnie Simon.

- Czas to jedyne dobro, którego nam nie zbywa, braknie go zaś naszym nieprzyjaciółom. Mamy flotę Nicabara, która nas osłania, i całą wyspę, oraz jej wszystkie dostatki. Herrith i jego sługusy nie mogą nas tu dosięgnąć. I mamy eliksir. - Uśmiech

Biagia stał się sarkastyczny. - Zastanawiam się, jak się też ma nasz arcybiskup i co czuje. W zasadzie powinien być tak uzależniony, że kuracja odwykowa nie da żadnych rezultatów.

Bovadin uważa, że w końcu go to zabije.

- To pięknie - stwierdził Simon, ocierając pot z czoła. - Moglibyśmy natychmiast porzucić miejsce naszego wygnania.

- Ale nie byłoby to tak słodkie, jak wszystko, co dla niego przygotowałem - sprzeciwił się hrabia. - Zaufaj mi, przyjacielu. Uzurpatorów czekają jeszcze pewne niespodzianki. Niechże cierpią z powodu braku eliksiru i zastanawiają się, co jeszcze im zgotowałem. Herrith zawsze utrzymywał, że cierpienie oczyszcza duszę.

Młodzieniec parsknął śmiechem, wyobrażając sobie jak też otyły biskup radzi sobie z narkotycznym głodem eliksiru. Od czasu, kiedy Biagio i wierni mu ludzie uciekli na Crote, w Nar nie został nikt, kto byłby zdolny do przygotowania choćby gramowej porcji eliksiru.

Herrith może miał tron, Biagio jednak potrafił zjednać sobie Bovadina, a mały naukowiec nigdy nie dzielił się receptami swoich formuł z innymi. Równie ważne było poparcie dla Nicabara. Bez niego nie mogliby uciec na Crote. Jego liniowce opuściły Nar, zostawiając w nim Herritha. Czarne olbrzymy nawet teraz można było zobaczyć na linii horyzontu.

Patrolowały wody wokół wyspy Biagia. Crote stało się ich drugim domem, hrabia zaś umiał wyrazić swoją wdzięczność. Wszyscy żyli tu niczym królowie, pijąc najlepsze wina Biagia, korzystając z jego świetnej kuchni i wszelkiego rodzaju usług oferowanych przez niewolnice i niewolników. Z tęsknoty za domami nazwali wyspę „Małym Nar”.

- Dawno mnie tu nie było, Mistrzu - odezwał się Simon. - Są jakieś nowe wieści z Czarnego Grodu? Herrith usadowił się wreszcie na tronie?

- Nie sam. Tak jak podejrzewałem, zaskarbił sobie poparcie Vorta. Generał odgrywa rolę imperatora, choć nie ośmiela się używać tego tytułu.

Simon uniósł brew.

- A czy nie masz możliwości, by poparła nas i armia?

- Takiej możliwości nie było nigdy. Vorto ma zbyt wielkie ambicje, by wypuścić tron z rąk. Nigdy się też nie lubiliśmy, nawet za życia Arkusa. Generał wie, że jedyną

drogą do władzy jest sojusz z Herrithem. Nasz kochający się we krwi księżulo jest człowiekiem przebiegłym, ani słowa. Tak więc mamy spór morza z lądem.

- Musimy więc sobie zjednać lojalność Nicabara, Mistrzu. Jeżeli straci swoją flotę, to już po nas.

Biagio zrobił zdumioną minę.

- Zdziwiasz mnie, Simonie! Danar jest przebiegły, nigdy jednak nie był zdrajcą.

Jest moim przyjacielem, jak ty. Nie chcę słyszeć niczego, co powiesz przeciwko niemu.

- Mistrzu, mam obowiązek podejrzewać wszystko i wszystkich, którzy są przy tobie - wyjaśnił Simon. - Będę miał na niego oko, nie dlatego, żebym mu nie ufał, ale dlatego, że muszę dbać o ciebie. Bez jego floty nie ostaniemy się przeciwko legionom Vorta.

- Och, Simonie - zaśmiał się hrabia. - Zachowujesz się niczym troskliwa kwoka.

Czy myślisz, że podczas twojej nieobecności siedziałem beczynnym? Poruszyłem różne trybiki i kółeczka, a skutki ich działania będą widoczne już wkrótce. - Zrobił kolistą gest palcem. - Vantran nie jest jedynym, którego imię zanotowałem sobie w pamięci.

Herrith i Vorto wkrótce się przekonają, co znaczy sprzeciwianie się planom Biagia.

Na jego twarzy zakwitł nagle przebiegły uśmiech i Simon poczuł się głupio. Już wcześniej było oczywiste, że jego Mistrz zawsze dopina swego. Jakże mógł w to wątpić?

Biagio pracował głową i nie sposób było przeniknąć jego planów, ale zawsze były przebiegłe i okrutne. Dlatego właśnie ludzie dawali mu posłuch, i dlatego Simon został Roshannem.

Biagio był geniuszem. Nie takim, jak Bovadin, czy wypaczony Savros. Biagio urodził się do odkrywania rozmaitych sekretów. Kiedy Arkus się o tym przekonał, uczynił go najbliższym ze swoich doradców. W dniach starego Imperium Roshannów Biagia, Zakonu obawiano się bardziej niż armii Vorta. Była to armia niewidzialna, jak legiony duchów.

Simon usiadł wygodniej, pozwalając, by gorąco usunęło z jego mięśni wszelkie

ślady zmęczenia. Dobrze było znaleźć się poza lochem, a jeszcze lepsze było to, że mógł zejść z pokładu okrętu. Niemal całą podróż spędził w kajucie, usiłując - bez większego powodzenia - zapanować nad własnym żołądkiem. Przez cały czas myślał o zamkniętym i skrupowanym w ładowni Triinie i zastanawiał się, co mu kazało wziąć udział w tym przedsięwzięciu. Nie dość było powiedzieć sobie, że jest Roshannem. Z jakiegoś powodu zaczynał odczuwać coś na kształt wyrzutów sumienia.

- Mistrzu... czy wolno mi cię o coś zapytać? - odezwał się, przemógłszy nakazy posłuszeństwa.

- Oczywiście.

- Podczas całej podróży do domu nie widzieliśmy nigdzie okrętów lisseńskich.

Zastanawiałem się, dlaczego? Czy wiesz może, co się z nimi stało?

Biagio rzucił Simonowi szybkie spojrzenie.

- Myślę, że na to pytanie sam sobie możesz odpowiedzieć, przyjacielu.

- Zaczęli własny atak?

- Nicabar mi powiedział, że od pewnego już czasu nekajaprzybrzeżne miasta.

Podczas twej nieobecności zniszczyli Dorię.

Simon skamieniał.

- Ośmielili się uderzyć tak blisko Czarnego Grodu? I co na to Nicabar?

- Nic - odparł Biagio lodowatym tonem. - Rozumiesz to chyba, Simonie. Nie patrz na mnie z takim gniewem. Musisz mi zaufać, to część mojego planu.

- Mistrzu, ale Nar nie zdoła się przed nimi obronić. Nie bez pomocy floty.

- Wiem.

- I pozwalasz na to wszystko?

Błękitne oczy hrabiego błysnęły ostrzegawczo.

- Przyjacielu, nikomu - nawet tobie - nie będę się z niczego tłumaczył.

Pamiętaj, że nie ja przywłaszczyłem sobie Imperium. Niech nasz lud wini za te napaści Herritha.

- Ale Czarna Flota może zapobiec napaściom, mój panie. A tam giną niewinni...

- Dość - uciął Biagio, podnosząc dłoń. - Simonie, doprawdy, czasami myślę, że za bardzo cię wtajemniczam w moje plany. No i popatrz, zirytowałeś mnie. Zepsułeś mi całą przyjemność, jaką czerpałem z pobytu w łaźni.

Simon opuścił wzrok.

- Przykro mi, Mistrzu.

Biagio nie przestawał się dąsać, i milczał, dopóki Simon nie podniósł się.

- A ty dokąd? - spytał ostro.

- Myślałem, że najlepiej będzie, jeżeli sobie pójdę.

- Idziesz do niej?

W pytaniu było tyle zazdrości, że Simon mógł tylko wzruszyć ramionami.

- Jeżeli mogę...

Biagio uciekł ze wzrokiem w bok.

- Nie dbam o to. Simon ruszył ku wyjściu.

- Mój panie, jeżeli sobie tego nie życzysz...

- Simonie, byłeś dziś dla mnie bardzo nieuprzejmy. Owszem, tak, idź do tej swojej kobiety. Pamiętaj jednak, kto sprawił, że ten związek stał się możliwy. Dzięki mojej łasce możecie się z sobą... zabawiać. Jesteś Roshannem, Simonie. Masz być wierny mnie i tylko mnie. Toleruję to wszystko tylko dlatego, że mi zależy, byś był zadowolony. Ale nie przeciągaj struny...

- Tak, mój panie - odpowiedział pokornie Simon.

- No dobrze, idź już. - Biagio odprawił go skinieniem dłoni. - Ale wpadnij tu jutro.

Ja też chcę mieć cię trochę dla siebie.

Simon ruszył do drzwi, ale Biagio zawołał go ponownie. Tym razem głos hrabiego był znacznie bardziej łagodny i miękki.

- Simonie... - zaczął Biagio. W jego oczach widać było prawdziwą troskę. - Wiem, że to dla ciebie niełatwe, ale proszę o odrobinę zaufania. Wiem, co robię.

- Nigdy w to nie zważyłem, Mistrzu.

- Za kilka dni będę wiedział więcej. Zbierzemy się wtedy razem i spróbuję wszystko wam wyjaśnić. Jeżeli osądzasz mnie zbyt surowo, poczekaj kilka dni.

- Jak sobie życzysz, panie - odparł Simon z ukłonem. Wyszedł z łaźni, zostawiając swego pana w oparach piekającej duchoty.

Ze spotkaniem z Eris poczekał aż do przedpołudnia. Wiedział, że będzie o niego niespokojna, chciał jednak przedtem się wykąpać i zmienić poplamioną koszulę.

Ponieważ był ulubieńcem hrabiego, szafy w jego komnatach trzeszczały od najpiękniejszych ubrań.

Wybrał delikatną koszulę z crotkańskiego, jasnoczerwonego jedwabiu. Ogolił się, przystrzygł, ułożył włosy i zrobił co się dało, by się pozbyć krwi spod paznokci. Kiedy się ubierał, służący przynieśli mu śniadanie: biszkopty z mlekiem, które zjadł pospiesznie, a gdy był już pewien, że Mistrz opuścił łaźnię i udał się do zwykłych zajęć, wrócił do wschodniego skrzydła dworu.

Eris znalazł w pokoju baletowym, wykonującą jakieś ćwiczenia przy poziomej rurze przed lustrem. Dziewczyna rozgrzewała mięśnie, utkwivszy gdzieś w dali spojrzenie zielonych oczu. Simon na chwilę zatrzymał się w drzwiach, by nasycić oczy jej widokiem.

Wyglądała na zasmuconą, co sprawiło, iż zaczął żałować, że nie zatrzymał się w ogrodzie, by zerwać choć kilka kwiatów. Stąpając na palcach, podszedł do pianina i lekko uderzył w jakiś klawisz.

Zaskoczona nowym dźwiękiem Eris podniosła wzrok i rozpromieniła się na widok gościa.

- Witaj, najmilsza - powitał ją cicho.

- Simon! - Dziewczyna oderwała się od rury i podbiegła do niego, obejmując go i przytulając twarz do jego piersi. Simon westchnął i pocałował ją we włosy, zachwycając się ich liliowym zapachem.

- Żałuję, najdroższa - szepnął - ale nie mogłem przyjść wcześniej. Przybyłem wczoraj w nocy, jednak...

Uciszyła go pocałunkiem. Simon odpowiedział jej tym samym, a potem spojrzał na nią żarliwie.

- Och, tak bardzo się za tobą stęskniłem - powiedział. - Jak sobie tu radziłaś?

Czy dobrze cię traktowano?

Dziewczyna roześmiała się perliście.

- Oczywiście. Dlaczego miałoby być inaczej? Jestem jego łupem.

- Jesteś moim łupem - zamruczał Simon, podnosząc ją z ziemi, i obrócił wokół osi.

Eris pisnęła z uciechy. - Widzisz? Ja też umiem tańczyć - zaśpiewał Simon,

wirując tanecznym krokiem po płytach posadzki. Opadł w końcu na ławeczkę obok pianina, gdzie posadził sobie dziewczynę na kolanach i zaczął ją pieszczotliwie szczypać wargami w szyję.

Eris znów się roześmiała, a potem odchyliła głowę w tył i wydała rozkoszne westchnienie.

Minęło wiele niezliczonych tygodni, od dnia, w którym trzymali się w ramionach i żadne z nich nie chciało hamować zapałów.

- Nie tutaj - westchnęła w końcu Eris. - I nie teraz...

- Więc wieczorem - nalegał Simon. - Kiedy pójdzie spać.

- Owszem, wieczorem - zgodziła się. - O mój kochany, tak bardzo się martwiłam...

- A nie powinnaś. - Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w jej oczy. - Spójrz na mnie.

Powiedziałem ci, że wrócę, prawda? I oto jestem.

- Tak... - szepnęła bez tchu i objęła go ramionami. - Nie zostawiaj mnie więcej.

Skrzywił się lekko.

- Tego ci obiecać nie mogę. Nie zmuszaj mnie, bym kłamał.

- Wiem... - stwierdziła Eris. - Ale teraz jesteś ze mną i żadne z nas nie musi stąd wyjeżdżać, dopóki Mistrz nie ruszy przeciwko Nar. A to się nie zdarzy wcześniej niż za kilka miesięcy. - Dziewczyna westchnęła z rozmarzeniem. - Kilka miesięcy razem...

- Może mniej - wtrącił Simon. Nie chciał psuć chwili, ale musiał jej rzec prawdę.

- Nie wiem, co Biagio zaplanował dla Herritha czy Vantrana. Może będę mu do czegoś potrzebny...

- Jeszcze nie... - szepnęła Eris błagalnie. - Nie tak szybko. Dopiero co wróciłeś.

Powiedz mu, żeby poczekał.

Simon parsknął niezbyt wesołym śmiechem.

- O tak... on wprost przepada za takimi nowinkami. „Żałuję, Mistrzu, ale twoja niewolnica nie chce, bym na razie wyjeżdżał. Twoje plany mogą zaczekać, prawda?

Mogą?

Cudownie!”

- Plany? - skrzywiła się Eris. - Czy Mistrz ma jakieś plany? Patrząc na tych wszystkich, którzy nic nie robią i po prostu snują się z kąta w kąt, wcale bym go o to nie

podejrzewała.

- Oni go nie znają tak jak ja - stwierdził Simon. - Mistrz zawsze działa według jakiegoś planu. I myślę, że za kilka dni wszystkiego się dowiemy. Tak przynajmniej mi powiedział.

Eris powiodła palcem po jego wargach.

- Mmm... to masz trochę czasu, by z nim o nas pomówić, prawda?

- Nie mogę. Rozeźliłem go. Teraz o nic nie mogę go prosić. Eris zdjęła ramiona z jego szyi.

- Simonie, obiecałeś mi...

- Wiem, ale sporo się zmieniło. On ma obsesję na punkcie tego Vantrana. Myślę, że raz jeszcze pošle mnie na Lucel - Lor.

- Nie! - sprzeciwiła się Eris. - Mówiłeś, że go poprosisz po powrocie. Zresztą i tak już o nas wie. Nie odmówi ci tego. Nie tobie. Widziałam was razem. On ci niczego nie odmówi, Simonie. Jest w tobie wprost zakochany...

- Przestań! - ostrzegł ją Simon, podnosząc ręce. - Nie mów nic. Wiem, co czuje Mistrz. Ale, Eris, ja jestem Roshannem. Nigdy przedtem żaden z Roshannów się nie ożenił.

- Dla ciebie zrobi wyjątek - nalegała Eris. - Wiem, że zrobi. Simon zaś wcale nie był tego pewien. Kochał Eris; kochał ją od dnia, w którym Biagio kupił i sprowadził dziewczynę na Crote... ale znacznie wcześniej złożył przysięgę hrabiemu. Poślubił tym samym Roshannów i związał się z Zakonem na całe życie. Takich wyjątków wśród Roshannów po prostu nie robiono. Co więcej - żaden z nich nigdy nawet nie składał takiej prośby. Obiecał Eris, że poprosi hrabiego, by nagiął zasady i rozciągnął na nią łączącą ich obu osobliwą przyjaźń, teraz jednak, kiedy wrócił w cień skrzydeł Mistrza, jego entuzjazm znacznie osłabł.

Biagio był w nim za bardzo zakochany, by dzielić się nim z kobietą.

Przesunął palcem po złotym kołnierzu, otaczającym smukłą szyję dziewczyny. Gdyby nie to nienawistne dzieło złotnika, nikt by jej nie wziął za niewolnicę. Jej skóra, zamiast kuchennym węglem, pachniała drogimi olejkami i wonnościami. Była ulubioną zabawką Biagia, jego pierwszą tancerką, za którą zapłacił iście królewską cenę.

Uwielbiał ją - nie tak, oczywiście, jak Simon, ale tak, jak zbieracz uwielbia dzieło

sztuki. W całym urządzonym z przepychem dworze Biagia było oczywiście wiele cennych malowideł i rzeźb, Eris jednak była jego najcenniejszym skarbem. Była pierwszą tancerką i śpiewaczką w Imperium - ponad inne wybijała się niemal tak, jak Biagio wybijał się nad innych polityków. Simon wiedział, że Biagio, spoglądając na dziewczynę, widzi skrawek Niebios.

- Porozmawiam z nim - stwierdził przygnębionym głosem.

- Kiedy? - Eris nie zamierzała ustąpić. - Po tym, jak znów cię gdzieś wyśle?

- Jeżeli mnie znów gdzieś wyśle - poprawił ją Simon. - Nie mam nawet pojęcia, czy już coś wymyślił. Może być i tak, że nie będzie miał dla mnie żadnych zadań.

Wygląda na to, że jestem tu dość lubiany. Oboje chcecie mnie zatrzymać przy sobie.

Był to żart, Eris jednak się nie roześmiała. Patrzyła jak Simon wstaje z ławeczki i podchodzi do okna. Na zewnątrz śpiewały już skowronki. Kiedy Simon wyjeżdżał z Lucel - Loru, panowała tam pora upałów, tu jednak, na Crote, dawał się odczuć chłód zwiastujący zmianę pór roku. Na Crote zawsze się czuł jakby lada moment miała nadciągnąć jesień.

Simon najchętniej wybiegłby z Eris na łąkę, i położył się z nią na plecach pod dębem, gdzie jak dzieci wpatrywaliby się w chmury. Chciałby się ukryć gdzieś daleko i skończyć ze służbą u Biagia. Chciał być zwyczajnym człowiekiem.

- Nie jestem już tym, kim byłem kiedyś - mruknął.

Eris podeszła do niego i wzięła go za rękę, Simon jednak wciąż uparcie patrzył przez okno.

- Zmęczyłeś się po prostu - podsunęła mu Eris. - Odpocznij, najmilszy. Jeżeli chcesz, przyjdź do mnie dziś wieczorem. Albo zostań u siebie i się wyśpij.

Simon zachichotał niewesoło.

- Ty mnie nie słuchasz. Zmieniam się, Eris. Nie jestem już pewien, że chcę tu być.

Mistrz też zachowuje się inaczej. Myśli tylko o zemście. Ten eliksir sprawia, że traci rozsądek. A my wszyscy w końcu ugrzęźniemy w sieci jego szaleństwa.

- Nie mów tak - ostrzegła go Eris. - Ktoś może cię usłyszeć.

- Wcale się tego nie lękam. Wszyscy zresztą wiedzą, że Biagio oszalał. Czy wiesz, że kazał mi porwać człowieka z Lucel - Loru? Przywiozłem go ze sobą i oddałem

Savrosowi, który przez całą noc dręczył nieszczęśnika, by się dowiedzieć, gdzie przebywa Vantran.

Eris zbladła.

- I co się stało z tym człowiekiem?

- Zabiłem go - odpowiedział Simon. - Nie mogłem postąpić inaczej. Savros zabawiał się z nim po swojemu... odrażająco i obrzydliwie. Musiałem to przerwać.

- Okazałeś mu litość - stwierdziła Eris cichym głosem. - Widzisz. Jesteś dobrym człowiekiem, najdroższy.

- Dobrym człowiekiem? - oburzył się Simon. - Jestem Roshannem, a wśród nich nie ma nikogo dobrego. A jeżeli jestem dobry, to znaczy, że nie tu jest moje miejsce.

Dziewczyna ujęła go za rękę, a w jej zielonych oczach Simon zobaczył cały ocean przebaczenia.

- Robisz to, co musisz. Należymy do niego. Sprzeciwić mu się, znaczy umrzeć.

Simon udał, że się z nią zgadza, tylko po to, by zakończyć tę rozmowę.

- Masz rację. Rozchorowałem się na okręcie. To mnie wytrąciło z równowagi. - Pocałował jej dłoń. - Przepraszam za powitanie, jakie ci zgotowałem. Obiecuję ci, że dziś w nocy będzie zupełnie inaczej.

- Nie przychodź, jeżeli nie chcesz - powiedziała łagodnie. - Albo jeżeli uważasz, że to zirytuje Mistrza. Zrozumiem.

- Przyjdę - obiecał Simon. Łagodnie wyjął swoją dłoń z jej palców. - Czekał na mnie o północy, przy ścianie ogrodu. A teraz wracaj do swoich ćwiczeń. Biagio nie chciałby, żebym przeszkadzał ci w pracy.

Pocałowali się raz jeszcze i Simon wyszedł z sali ćwiczeń. Serce podnieconego młodzieńca biło jak dzwon.

Trzy RICHIUS VANTRAN

Richius Vantran szarpnął wodze swojego wierzchowca i zatrzymał zwierzę nieopodal kępy jagodowych krzaków. Tutaj, na wzgórzach wokół Falindaru powiewy bryzy były dość silne i gdyby nie one, mógłby nie zauważyć kawałka zakrwawionej szmaty zatkniętej niczym proporzec na giętkiej gałązce. Zdjął ją, rozejrzał się czujnie dookoła i zeskoczył z siodła.

Gdyby nie poświstywanie wiatru rzekłby, że wokół panowała zupełna cisza. Żyjące wśród wzgórz zwierzęta nie wiadomo dlaczego, nie wydawały żadnych dźwięków. Tuż za nim podążali Lucyler i Karlaz, ukradkiem badający okolicę. Choć nie umiałby rzec, skąd się wzięło to uczucie, Richius pojął, że ich poszukiwania dobiegły końca.

Nad górami wstało już słońce, którego ostre promienie zalewały całą okolicę.

Richius osłonił dłonią oczy i odwrócił szmatkę, by ją uważnie zbadać. Wyglądała na wydartą z koszuli utkanej z mocnego płótna, jakie nosili kmiecie. Nie miała barwy indygo, nie należała więc do Hakana, ale nie spłowiła jeszcze na słońcu, krew zaś wciąż jeszcze była czerwona.

Był to kolor krwi jakiegoś Triina - chyba że kmić zabił gdzieś tu jedno ze swoich zwierząt.

Nieco wyżej, w skalistym zboczu wzgórza otwierało się wejście do jakiejś jaskini. Richius podniósł głowę i spróbował zajrzeć w głąb, ale wejście było mroczne i zamknięte rumowiskiem kamieni. Koń, jakby czytając w myślach pana, wydał ponure parsknięcie.

- Nie martw się - powiedział Richius, podchodząc do zwierzęcia i drapiąc go w ucho. - Nie będziemy tam włązili.

Jego wierzchowiec opuścił łeb, nadstawiając szyję i kark na pieszczoty pana. Koń rzadko się trafiał w tych okolicach Lucel - Loru, a ten był bardzo rad swojemu stanowi.

Ziemia była tu uboga i większość właścicieli koni ubiła je podczas chudych i głodnych dni wojny. Ten zresztą pochodził ze stajen Narenów i był podarunkiem od starego przyjaciela Richiusa. Miał piękną postawę i zachowywał się łagodnie; w jakiś nieuchwytny sposób przypominał Richiusowi dom rodzinny.

- Richiusie? - Lucyler i Karlaz pokonali stok pieszo; ich białe twarze lśniły kropelkami potu. Richius ruszył im na spotkanie.

- Ostrożnie - ostrzegł. - Coś znalazłem.

Podał strzęp płótna Lucylerowi. Triin zmrużył szare oczy, uważnie przyglądając się znaleźniku. Potem kiwnął głową i podał płótno Karlazowi, który je powąchał i chrząknął, jakby potwierdzając swoje domysły.

- Gdzie to znalazłeś? - spytał Lucyler.

Richius machnął dłonią za siebie, wskazując kępę krzaków.

- Tam, przy skałach. Zwisła z gałązki.

Podeszli do miejsca, w którym Richius znalazł szmatkę, i młody Naren pokazał przyjaciółom gałązkę jeszcze niedawno przetykającą skrawek płótna. Krzak był solidny i zaborczo wyciągał gałęzie na wszystkie strony. Na żadnej z nich nie było widać innej szmatki. Nieopodal, na skalistym gruncie, leżały inne gałązki, siłą oderwane od krzaka.

Karlaz przesunął dłoń po wierzchu krzaka, przyjrzał się ziemi i kiwnął głową.

- Tasson - wyszeptał mistrz lwów tonem świadczącym o tym, że nieraz już widywał takie tropy. Było to miano bestii, jaką ścigali, a w języku Triinów oznaczało złoto.

Tak, jak Richius nazwał swojego konia Błyskawicą, lwi jeźdźcy zawsze nadawali imiona swoim ogromnym kotom. Karlaz pochylił się i przyłożył twarz do ziemi, wciągając powietrze. Potem dotknął palcem gruntu i spróbował językiem smaku pyłu pokrywającego opuszek. Usatysfakcjonowany wreszcie kiwnął Lucylerowi głową.

- Co on wyprawia? - spytał Richius, a potem się poprawił i spytał w języku Triinów. - Karlaz, co to takiego?

- Uryna - wyjaśnił Lucyler. - Koty zawsze tak znakują swoje terytorium. Karlaz wyczuł ją smakiem. Uważa, że jesteśmy na tropie, a zwierzę jest niedaleko.

Richius skinieniem dłoni wskazał wylot jaskini.

- Tam! - zaryzykował domysł.

Karlaz nie wyraził sprzeciwu. Wszyscy trzej sięgnęli po broń. Gdy Triinowie ujmowali w dłonie rękojeści jiiktarów, Lucyler zachichotał.

- Doskonała broń na zabijanie lwów - wskazał podbródkiem głównię ogromnego miecza Richiusa. - Ale do innych rzeczy nie bardzo się nadaje.

Richius zaczerpnął tchu i ujął w dłonie rękojeść miecza. Vantran miał pełne sześć stóp wysokości, ale jego miecz był prawie równie długi. Wykuto go dla jego ojca dziesiątki lat temu; po kilku miesiącach uporczywych ćwiczeń walka ogromnym mieczem wciąż Richiusa wyczerpywała.

- To nie jest koszula Hakana - stwierdził Lucylere ponuro, zatykając zakrwawiony skrawek płótna za pazuchę. Hakan przepadł gdzieś przed paroma tygodniami, i choć niektórzy podejrzewali, że pożarł go głodny lew Karlaza, Richius uważał to za niemożliwe, bo zwierzę uciekło zaledwie kilka dni temu. Wszyscy liczyli jeszcze na to, iż wojownik wróci do cytadeli z jakąś niezwykłą historią o tym, jak to wpadł do studni lub uległ wypadkowi w górach, ale tygodnie mijały i nawet najbliżsi przyjaciele Hakana zaczęli wątpić w możliwość jego szczęśliwego powrotu.

Tak czy inaczej, lew się zbiesił i zabił dwu ludzi. Jednym był jego pan, niebotycznie zdumiony nagłym atakiem wściekłości spokojnego dotąd zwierzęcia. Drugim był kmięć z pobliskiej farmy. Richius nie znał żadnego z nich, obejrzał jednak ciało jeźdźcy i sam się przekonał, jak strasznie potrafi okaleczyć rozjuszone zwierzę. Jednym machnięciem łapy lew pozbawił człowieka głowy. Kmięć nie miał tyle szczęścia - jego dzieci utrzymywały, że wleczona przez lwa w góry ofiara wydawała jeszcze żalosne jęki.

Richius nie spodziewał się znaleźć Hakana w legowisku lwa. Nie podejrzewał też, że Triin wpadł do studni. Był wojownikiem, jednym z najlepszych w Falindarze, okolicę znał jak powierzchnię własnej dłoni i wiedział niemal wszystko o niebezpieczeństwach, jakie tu czyhają na nieostrożnego wędrowca. Niektórzy podejrzewali, że padł ofiarą lwa, inni mówili o śnieżnej panterze, Richius jednak uważał, że jego przyjaciela porwało znacznie groźniejsze monstrum człowiek o złotej skórze, błękitnych oczach i nienasyconym okrucieństwie.

- Tam go nie znajdziemy, Lucylere - stwierdził, zwracając się do towarzysza.

- Wybrał się na łowy - przypominał mu krótko Lucylere. - Może tu trafił, wracając do cytadeli.

- Lucylere, minęło już zbyt wiele czasu. Nikt nie poluje przez dwa tygodnie.

Nawet jeżeli...

- Eeshayl - uciszył ich obu Karlaz. Wódz lwiego ludu przykucnął, gestem dłoni

nakazując im zrobić to samo. Richius nagle zrozumiał, co ten człowiek zamierza.

- Nie - syknął. - Czyś ty zwariował? Nie będziemy tam wchodzić!

Lucyler spojrzał na Richiusa surowym wzrokiem.

- Musimy. Ten zwierz zabija ludzi.

- Ale nie musimy robić tego tutaj - sprzeciwiał się Richius. - W jaskini to bydlę będzie miało nad nami znaczną przewagę.

- Karlaz uważa, że lew śpi. To chyba najlepsza pora. Richius potrząsnął głową.

- Ani myślę tam wchodzić. Teraz, kiedy znaleźliśmy legowisko, możemy sprowadzić pomoc. Żeby go zabić, trzeba większego oddziału, niż nasza trójka.

- Zabije go Karlaz - stwierdził Lucyler. - My mamy tylko go osłaniać.

Richius zamknął oczy i w milczeniu wznosił modły do Boga. Przed oczami przemknął mu widok pozbawionego głowy ciała lwiego jeźdźca i skrzyło go w brzuchu. Karlaz był z pewnością świetnym wojownikiem, ale nawet on nie mógł wiele wskórać przeciwko któremuś ze swoich lwów. Choć wódz był dwa razy cięższy od Richiusa, lew przewyższał go wagą trzykrotnie. A ten akurat się wściekł. Z pewnością nie rozpozna w Karlazie pana, tylko niechybnie się na nich rzuci.

Wiedział też jednak, że Lucyler ma rację. Zwierzę zabiło już dwóch ludzi i jeżeli się go nie powstrzyma, będzie zabijało dalej. Tropili je od dwóch dni i wreszcie znaleźli jego kryjówkę. Richius czuł ciężar głowni miecza w swoich dłoniach. Stare ostrze od ponad roku nie kąpało się we krwi. Mógł tylko mieć nadzieję, że tym razem będzie to wyłącznie krew wielkiego kota.

Karlaz ruszył przodem, wijąc się pomiędzy kamieniami i drapiąc się nimi niekiedy do krwi. Po nim poczołgał się Lucyler, który sunął w górę równie cicho, jak kot.

Richius był ostatni, ale szło mu to najgorzej, bo większość uwagi musiał skupić na tym, by nie uderzyć ostrzem miecza o jakiś kamień i brzękiem stali nie zdradzić kotu ich nadejścia.

Kiedy wreszcie stanęli przed kryjącą pieczarę skałą, zatrzymali się i spojrzeli w głąb. Wnętrze jaskini pogrążone było w mroku, mogli jednak dostrzec, że było rozległe, wilgotne, jego ściany przecinały liczne półki, ze sklepienia zaś zwisały kamienne sople stalaktytów.

Niedaleko wejścia, w miejscu gdzie promienie słońca ustępowały przed mrokiem,

leżał ludzki korpus. Trup nie miał nóg - z oderwanych kikutów sterczały nagie kości. Twarzy też nie miał.

Karłaz kiedyś mówił Richiusowi o szczególnej praktyce dzikich lwów - z jakiegoś nie dającego się zgłębić powodu rozjuszało je spojrzenie martwych oczu ofiar, zawsze więc zaczynały od zmiżdżenia twarzy.

- Chyba znaleźliśmy - syknął Richius.

Wstał i zajrzał do środka, nie dostrzegł jednak niczego, oprócz trupa i zasnuwających pieczarę cieni. Pierwszy do pieczary wsunął się Karłaz, trzymający przed sobą ostrzeżenie o bliźniaczych ostrzach. Zaraz za nim ruszyli Lucyler i Richius. Wszystkich trzech wkrótce ogarnęły ciemności. Ciało kmięcia napoczęło już robactwo. Pełzały po nim rozmaite czerwie, a nieco dalej, w głębi, popiskiwały niezadowolone z przerwania im uczy szczury.

Karłaz zaklął.

- Lew skrył się głębiej - ostrzegł Richiusa Lucyler. - Bądź gotów.

Tej akurat rady Richius nie potrzebował. Całe ciało miał spięte, słuchem zaś łowił każdy najlżejszy dźwięk dobiegający z głębi jaskini. Szli wciąż dalej, aż wylot jaskini stał się małą plamką światła, oni sami zaś nie widzieli gruntu, po którym stąpali.

Richius posuwał się powoli, z trudem wybierając drogę, dwaj Triinowie jednak sunęli przed siebie ze zdumiewającą swobodą, instynktownie trafiając stopami we właściwe miejsca.

Richius skupił uwagę na towarzyszach, uznawszy ich jasne ciała za wskaźniki.

Pieczara była rozległą jaskinią o szarych ścianach, gdzie zatęchłe powietrze zatykało dech, a wyrastające z ziemi stalagmity przeszkadzały w znajdowaniu drogi. Tu i ówdzie w ścianach otwierały się czarne jamy bocznych korytarzy, ze sklepienia zaś sączyła się zielonkawa woda, opadająca z głośnym pluskiem do leżących sto stóp pod nim kałuż.

Lwa jednak nie znaleźli.

- Gdzie on się podział? - syknął wreszcie Richius. - Niczego nie widzę.

Zaczynał się denerwować. Z miejsca gdzie stał, wejście widział już jako niewielką jasną plamkę, doskwierały mu też nieznośnie panujące w jaskini skwar i smród zgnilizny.

Lucyler oblizywał wargi i badał wzrokiem pieczarę, Karlaz zaś zamknął oczy i wciągnął powietrze w nozdrza. Po chwili je otworzył z wyrazem lekkiego zakłopotania na twarzy.

Warknął coś, czego Richius nie zrozumiał.

- On nie wie, gdzie przepadł ten lew - przetłumaczył szeptem Lucyler. - Za dużo tu innych smrodów. Nie może go zwęszyć.

- No to chodźmy stąd - rzekł Richius. - To paskudne miejsce. Lucyler potrząsnął głową.

- Nie. Musimy go znaleźć. Ty zostań tutaj, Richiusie. Jeżeli pójdziesz głębiej, będziesz się musiał poruszać po omacku. Karlaz i ja zaczniemy przeszukiwać tunele.

- Co? Tylko we dwójkę? Nic z tego. Idę z wami.

- Nie - upierał się Lucyler. - Tam będziesz jak ślepiec. Zostań tutaj.

Richius otworzył już usta do sprzeciwu, ale Lucyler i Karlaz po prostu nagle się rozplynęli w rozległym bocznym tunelu, zostawiając go samego w rozbrzmiewającej echami jaskini. Opuścił miecz, pozwalając sztychowi dotknąć podłoża. W Aramoorze był królem - choć nie trwało to długo. Tutaj jednak uznano go za zwykłego człowieka o różowej skórze, który nie potrafił udowodnić gospodarzom, że przewyższa ich w czymkolwiek, co dotyczy fizycznej sprawności. Kochał Lucylera jak brata, ale bywały chwile - takie jak ta - w których serdecznie, go nie cierpiał.

By nie tracić czasu, zaczął przeszukiwać jaskinię. Lucyler mówił prawdę - musiał się tu poruszać prawie po omacku. Parł jednak przed siebie nieustępliwie, choć ostrożnie, uważnie obserwując cienie, penetrując wzrokiem skalne półki nad głową i nasłuchując gardłowych sapnięć charakterystycznych dla oddechu lwa. Gdzieś przed nim w ciemności pluskał się w kałuży porosłej zielonkawą roślinnością jakiś wąż czy żaba, słyszał też poświsty wiatru przedzierającego się przez wzgórza. Wciąż jednak nie mógł znaleźć lwa - i nagle przyszło mu do głowy, że być może sam jest celem łowów. Niepewnym wzrokiem przeszukał półki nad głową. Nie znalazł niczego niepokojącego. Ruszył do wejścia tunelu, w którym przepadli Lucyler i Karlaz, kiedy nagle usłyszał dobiegające z zewnątrz rzenie przerażonego konia. „Błyskawica”.

- Lucylerze! - wrzasnął, rzucając się ku wylotowi jaskini. - Znalazłem go!

Kiedy gnał ku wyjściu, spod jego stóp uniosły się chmury kurzu. Wpadł na

zewnątrz, gdzie na gładzi jego uniesionego nad głową miecza rozbliło słońce. Z dołu, zza skalnej krawędzi, dobiegło go znów pełne zgrozy rzenie konia i przechyliwszy się, zobaczył bestię podchodzącą jego wierzchowca i zamykającą mu jedyną drogę ucieczki pomiędzy dwóch wysokich ścian wąwozu. Lew przysiadł już na tylnych łapach, na których wezbrały węzły mięśni.

- Precz! - wrzasnął Vantran, zeskakując ze skały.

Lew spojrział w górę i zmarszczył pysk, odsłaniając potężne kły. Potem machnął łapą - ale zrobił to o mgnienie oka za późno, bo ostrze Jessicane już opadało. Z łapy buchnęła krew, Richius zaś padł na ziemię, starając się odtoczyć w bok od rozjuszonego potwora, wstrząsającego skały rykiem bólu.

- Uciekaj! - zawołał Richius, Błyskawica był jednak zbyt przerażony, by się ruszyć.

Stał po prostu i wlepił w walczących wytrzeszczone ze zgrozy ślepia. Lew rozwarł paszczę i ryknął znowu, obnażając żółtawe kły. Richius zerwał się na nogi i uniósł miecz, szykując się do odparcia ataku bestii. Lew pochylił łeb. Richius cofnął się o pół kroku. Znowu zagrały potężne mięśnie tylnych łap potwora. Miecz Richiusa zadrżał lekko...

I nagle nad przeciwnikami rozległ się bojowy okrzyk, a potem na dół spadł poruszający się z kocią gracją Karlaz. Wódz uderzył całym ciałem w bok lwa i wbił swój jiiiktar. Lew zaryczał boleśnie i jednym ruchem łapy odrzuciwszy wodza, zmierzył go spojrzeniem pełnych nienawiści ślepiów. Potem skoczył, Karlaz jednak rzucił się naprzeciw i zderzywszy się z nim w powietrzu, owinał lwia szyję potężnymi ramionami.

Oszołomiony nagłą interwencją Karlaza Richius nie zdążył się nawet ruszyć, gdy po zboczu zjechał i natychmiast wmieszał się do walki Lucyler. Dopiero wtedy Richius rzucił się na lwa z uniesionym mieczem. Zwierzę jednak miało się rozpaczliwie, usiłując strząsnąć z grzbietu Karlaza, i ani Naren, ani Triin nie mogli go trafić. Okrążali bestię, szukając dogodnego momentu do zadania ciosu. Karlaz zgubił swojąbroń. Zwierz ryczał i miało łbem, usiłując zrzucić mężczyznę, ale żelazne ramiona Karlaza trzymały mocno. Lew broczył krwią z grzbietu i zranionej łapy, a od nieustępliwego nacisku na krtań zaczynały mu już wyłazić oczy z orbit. Nie ustawał jednak w wysiłkach i w końcu udało mu się zrzucić Karlaza z grzbietu, uderzając nim o skalną ścianę.

I wtedy zaatakował Lucyler. Triin natarł z wdziękiem urodzonego tancerza i ostrym brzytwem głównia jiktaru liznęła koci grzbiet. Lew odwrócił się błyskawicznie, Lucyler jednak zdążył uderzyć ponownie - tym razem przecinając lwu gardło.

Zwierz stęknął boleśnie, a jego żółte ślepia zaczęły się zasnuwać mgłą. Walkę zakończył Karlaz, który zdążył tymczasem wstać i podnieść swój jiktar. Triin z całej siły ugodził lwa w łeb. Z lwiej głowy trysnęła fontanna krwi. Wielki kot runął na ziemię.

Karlaz opuścił broń na ziemię. Ukląkwszy u boku martwego lwa, przytulił swą zakrwawioną twarz do lwiej paszczy, po czym złożył na niej pocałunek. A potem, nie wstydząc się zdumionych spojrzeń Richiusa i Lucylera, władca lwów Chandakkaru pochylił głowę i zapłakał.

Richius i Lucyler wrócili do Falindaru bez Karlaza. Lwi jeździec został na wzgórzach, by sprawić zwierzęciu pochówek i wyjąć mu kły na naszyjnik dla swego syna.

Dziwny był to zwyczaj, Richius jednak go uszanował, pozwolili więc Karlazowi pograć się w żalobie.

Lubił lwich jeźdźców. Podobały mu się prostota i czystość ich obyczajów. Od wielu lat byli wyrzutkami wśród innych triińskich plemion, ale też i włóczędzy z pustkowi Chandakkaru chcieli tylko, by zostawiono ich samym sobie. Wszystko to zmienił najazd Narenów, gdy lwi jeźdźcy okazali się zbawcami Lucel - Loru. Stali i obserwowali przesmyk Saccenne, jedyną ziemię prowadzącą na Lucel - Lor.

Jak wszyscy plemienni wodzowie, Karlaz przybył do Falindaru na spotkanie z Lucylerem, który był teraz władcą i panem cytadeli.

Poprzedni wódz, Kronin, nie zostawił dziedzica, Lucylera zaś wszyscy znali i szanowali. Przyjaciel Richiusa niechętnie przyjął to brzemię, i często powtarzał, że czyni to tylko dla jednego powodu - dla pokoju.

Rzeczywiście na Lucel - Lorze panował pokój. Sztandar buntu, pod którym zebrali się triińscy wodzowie dla odparcia Narenów, jednoczył ich nadal. Lucyler nie przypisywał zasługi sobie, Richius jednak wiedział, że przyjaciel w duchu jest z tego dumny.

Triinowie nie szczędzili wysiłków, by utrzymać kruchy pokój, i nawet plemienni wodzowie pochwalali jego trudy. Od czasu do czasu przybywali do cytadeli, by omówić

z Lucylerem rozmaite dręczące ich problemy, i wiedzieli, że ten nikogo nie odprawi z kwitkiem.

Karlaz jednak nie przybył do Falindaru prosić o jakąkolwiek łaskę. Człowiek, który oddał Lucylerowi największe usługi, niczego od niego nie żądał, Lucyler sam więc zaprosił go do swej wspaniałej cytadeli, ponieważ Karlaz nigdy jej nie widział, a Lucyler choć w taki sposób chciał okazać swą wdzięczność. W cytadeli po wojnie nie zostało zbyt wiele wygod, ale jej widok wciąż zapierał dech, a służba przygotowywała świetne posiłki.

Lucyler rozkazał, by traktowano Karlaza niczym króla, co było skromną nagrodą za poświęcenia lwiego ludu w obronie Lucel - Loru.

Pierwsze dni pobytu gościa były piękne. Potem jednak oszalał jeden z lwów.

Jedynym wyjaśnieniem, jakie mógł przedstawić Karlaz, było to, że coś takiego zdarza się niekiedy starszym zwierzętom. Nic wiążąca lwa z jego panem była krucha i niekiedy pękała, pod wpływem chorób lub zaniku pamięci starego zwierzęcia. Richius serdecznie współczuł Karlazowi. Sam pokochał lwy, dzięki którym Triinowie mogli rzucić okowy Nar, i nie umiał zatrzeć w pamięci widoku rozpaczy lwiego mistrza. W drodze powrotnej do Falindaru ani on, ani Lucyler nie wyrzekli nawet jednego słowa.

Falindar był bardzo piękny. Obaj jeźdźcy podążali długą, szeroką drogą wiodącą do cytadeli i z dumą patrzyli na jej złościście lśniące w słońcu wieże. Dmący znad morza wiatr przynosił jego słony zapach i huk fal przyboju, a nad ich głowami przeleciało stadko kierujących się ku morzu mew. Wokół zamku krążyli słudzy. Z wież dawali baczenie na wszystko odziani w błękitne barwy strażnicy, którym wiatr rozwiewał białe grzywy długich włosów.

Richius chciałby już zobaczyć żonę i córeczkę. Wiedział, że Dyana mocno się zmartwiła jego wyjazdem. Zawsze się trapiła, gdy wyjeżdżał - za co kochał ją jeszcze bardziej. Teraz odwrócił się do jadącego obok niego, pogrążonego w milczeniu Lucylera.

Twarz Triina była ponura i widać było, że przyjaciela coś gryzie.

- Pojadę przodem - oznajmił Richius. - Zobaczymy się wieczorem, prawda?

Lucyler wzruszył ramionami.

- Możliwe. Ale przedtem będę musiał załatwić kilka spraw.

- No dobrze - odparł Richius. Popędził konia, a potem nagle szarpnął wodze.

Zaskoczony Lucyler spojrział na niego z pytaniem w oczach.

- Co się stało?

- Nic - odpowiedział Richius. - Chciałem ci tylko rzec, że jest mi przykro.

Wiem, że tego nie pragnąłeś.

Lucyler uśmiechnął się krzywo.

- Masz rację - rzekł, wskazując gestem cytadelę. - Wcale tego nie chciałem.

- Miałem na myśli to, co spotkało Karlaza - wyjaśnił Richius.

- I zaginięcie Hakana. Nie obwiniaj się ani o jedno, ani o drugie. To nie twoja wina.

Pamiętaj o tym, dobrze?

Lucyler obrzucił cytadelę krytycznym spojrzeniem.

- Czasami wszystko zaczyna mi ciążyć. Wciąż nie wiemy, co z Hakanem.

Bogowie... I co ja powiem jego żonie?

- Pójdę z tobą - podsunął mu Richius. - Zróbmy to razem i teraz, dobrze?

- Nie! - odparł Lucyler, prostując się jednocześnie w siodle.

- Muszę to zrobić sam. Jeżeli mam być panem mojego ludu, nie wolno mi się uchylać od takich obowiązków.

- I co jej powiesz?

- Że wciąż go nie ma - stwierdził Lucyler. - Nic innego powiedzieć jej nie mogę.

- Ale wiesz, co o tym myślę... - skrzywił się Richius.

- Wiem - odrzekł Lucyler ponurym tonem. - I powiem ci, że w to nie wierzę.

Wszystko stało się ponad rok temu. Myślę, że twoje obawy są bezpodstawne.

- Lucylerze...

- Nie! - uciął Triin. - Daj temu spokój. Zapomnij i zacznij żyć własnym życiem.

Tym razem to Lucyler podciął konia, by pospieszyć ku czekającej na nich cytadeli.

Richius zmełł w ustach przekleństwo, ale nie ruszył za przyjacielem. Począł, aż ten zniknie w bramie wejściowej. Lucyler przeżywał ciężkie dni, co wpłynęło też na niego samego.

Nigdy przedtem nie był jowialny, ale ostatnie trudy, jakie niosły z sobą niechciany tytuł i stanowisko, pozbawiły go resztek dobrego humoru. Richius tęsknił za

dawnym Lucylerem, takim, jakim znał go kiedyś. W Aramoorze sam doświadczył niszczącego wpływu, jaki na ludzi wywierają naciski i obowiązki związane ze sprawowaniem władzy. To akurat było jednym z tych elementów dawnego życia, za którymi wcale nie tęsknił.

Kiedy się upewnił, że nie natknie się na Lucylera na dziedzińcu, ruszył krętą drogą ku cytadeli. Pod murem zamku zobaczył Tresh, przyjaciółkę Dyany i opiekunkę Shani, siedzącą pod drzewem z jakąś ręczną robótką rozłożoną na podolku. Była to starsza, niemal czterdziestoletnia kobieta o młodym spojrzeniu jasnych oczu. Zapatrzona w swoją robótkę nie dostrzegła Richiusa, dopóki ten nie podjechał bliżej i cień Błyskawicy nie padł na jej twarz.

- Richiusie! - W głosie kobiety brzmiały ulga i radość. - Nareszcie wróciłeś!

Jak wielu Triinów z Falindaru, Tresh mówiła po nareńsku biegle i niemal bez akcentu.

A to dzięki czasom, kiedy mieszkańcy Lucel - Loru zaufali słowom przebiegłego imperatora Nar i kiedy Narenie z Triinami odwiedzali wzajemnie swe kraje, udając przyjaciół. Poprzedni władca cytadeli rozkazał, by wszyscy jego słudzy nauczyli się języka Narenów, prawdopodobnie mając na względzie wygodę swoich przyjaciół z Nar. Niezależnie od powodów, jakimi się kierował, Richius był mu za to wdzięczny. Sam znał język Triinów i potrafił się porozumieć z gospodarzami, było to jednak dla niego nieco uciążliwe. Zeskoczył z konia i uśmiechnął się do Tresh, która odłożyła robótkę i zachęcająco poklepała ziemię obok siebie.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła. - Usiądź i odpocznij.

- Nie mogę, Tresh - odpowiedział Richius. - Szukam Dyany. Nie wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

- Jest z Shani. Bawią się razem. - Tresh lekko się skrzywiła. - Za północną wieżą.

Richius zbladł.

- Wyszły na zewnątrz? Tresh!

- Wiem - odparła niańka. - Ale ona nie chciała mnie słuchać, Richiusie. Nigdy mnie nie słucha. Mówiłam jej, że będziesz zły...

- Popilnuj konia - uciał Richius, rzucając się biegiem ku północnej wieży.

Kilku napotkanych po drodze przyjaciół pozdrawiało go machaniem rąk lub

okrzykami, on jednak nie zwracał uwagi na nic, dopóki nie znalazł się na tyłach cytadeli.

Północna wieża, wyrastająca tu prosto z gruntu, ustępowała ogromem jedynie otaczającemu ją morzu. Zaplanowano ją jako część zamku i Dyana lubiła tu przychodzić.

Shani mogła się tu pobawić, ona zaś oddawała się marzeniom i rozmyślaniom.

Niekiedy sadzała sobie córeczkę na kolanach i obie patrzyły na bezkresny ocean, podczas gdy Dyana opowiadała Shani długie i straszne historie. Fakt, że znakomicie się bawiły i świetnie razem wypoczywały, wcale nie poprawiał Richiusowi humoru. Jego gniew nie zmalał nawet, gdy je zobaczył. Szły ścieżką wzdłuż krawędzi skał. Mała rączka Shani spoczywała w dłoni matki, a sama dziewczynka starała się dotrzymać matce kroku - co nie bardzo jej się udawało. Ciepły wietrzyk igrał z włosami Dyany, przydając jej uroku. Richius zagryzł wargi. W tej chwili nie miał zamiaru okazywać miłości, tylko gniew.

- Dyano! - Zagrzmiał.

Żona podniosła twarz i spojrzała pod słońce. Rozpoznawszy go, zamachała dłonią, nie wypuszczając dłoni Shani. Dziewczynka roześmiała się radośnie. Spotkali się w połowie zbocza, gdzie Richius podniósł córeczkę z ziemi i na powitanie pocałował ją w czoło, a potem mocno przytulił.

- Zdążyłeś już wrócić, Richiusie? - spytała Dyana głosem niewiniątka.

- Przed chwilą - odparł kwaśno Richius. Żona podała mu usta do pocałunku, on jednak się uchylił i odwrócił, a potem, nadal trzymając córeczkę w ramionach, ruszył wielkimi krokami ku zamkowi. Z tyłu dobiegło go westchnienie żony.

- Richiusie, zaczekaj...

- Nie chcę teraz o niczym rozmawiać, Dyano - ostrzegł ją.

- Znaleźliście lwa?

- Tak.

Dyana podbiegła szybko i chwyciła go za rękaw.

- Powiedz - nalegała. - Nic ci się nie stało?

- Nic - odpowiedział Richius. Shani oparła rączki o jego twarz i maleńkimi paluszkami wodziła po jego nosie. Kiedy ojciec posadził ją sobie na ramionach, zaniósł się śmiechem.

- To na co się złościysz? - spytała Dyana.

Richius zatrzymał się wreszcie i spojrzał w twarz żony.

- Wiesz na co - stwierdził. - Na Boga, Dyano, co ty sobie myślisz? Nie słyszałaś nic z tego, co mówiłem? Tu na zewnątrz grozi wam niebezpieczeństwo.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Dyana. Wyciągnąwszy rękę, dotknęła dłonią ramienia męża, Richius jednak z irytacją odtrącił przyjazny gest.

- Przestań!

- Jesteś zły - odpowiedziała Dyana - ale nie masz powodu. Richiusie, jesteśmy tu bezpieczni. Spójrz. - Wyciągnąwszy rękę, wskazała na wznoszącą się nad nimi wieżę, z której odziani w błękit wojownicy pilnie przeszukiwali wzrokiem okolicę. - Ostrzegą nas przed każdym niebezpieczeństwem. Nic nam nie grozi... ani tu, ani gdzie indziej.

Zdesperowany brakiem zrozumienia Richius ruszył ku zamkowi.

- Dyano, nie sprzeciwiaj mi się już więcej w tej sprawie. Pod moją nieobecność obie macie zostawać w cytadeli. Zrozumiałaś, czy mam powtórzyć? Nie wychodź na zewnątrz beze mnie. I nigdy nie zabieraj dziecka ze sobą.

Tym razem Dyana przyspieszyła kroku i zatrzymała go, stając przed nim.

- Nie pozwolę zrobić z siebie więźniarki we własnym domu, Richiusie. Nigdy więcej nie dam się zamknąć. Minął już rok i nic złego nas nie spotkało.

- Naprawdę nie rozumiesz? Nie masz pojęcia, co to za człowiek, a raczej nie - człowiek. Rok nic dla niego nie znaczy. Jest wodzem Roshannów. Gdybyś była Narenką, wiedziałabyś, co to oznacza. - Potrząsnęła głową. - Ale nie jesteś. Nikt z was tu, poza mną nie jest Narenem. Tam do kata, dlaczego nikt z was mnie nie słucha?

- Uspokój się - poprosiła Dyana. Podniosła dłoń, żeby pogłodzić go po policzku, on zaś tym razem się nie cofnął. - Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

Zdjęła Shani z jego pleców i postawiła córeczkę na ziemi. Dziewczynka zachwiała się, ale nie upadła. Richius uśmiechnął się wbrew samemu sobie. Nie chciał wracać do domu w złym nastroju. Przez całą powrotną drogę wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy je zobaczy, a teraz popsuł wszystko wybuchem gniewu.

- Bóg świadkiem, że masz rację - westchnął, siadając na trawie. - Jestem zmęczony. - Przyciągnął żonę do siebie. Leżąca w jego dłoni ręka Dyany była taka mała i krucha. - Usiądź obok i opowiedz mi, jakim to jestem niegodziwcem.

Dyana zachichotała.

- Potwór z ciebie. - Zaraz potem spowaźniała i oparła głowę o ramię męża. - Rada jestem, że wróciłeś. Martwiłam się o ciebie. - Na chwilę jakby się zawahała, a potem zadała pytanie: - Co się stało?

- Znaleźliśmy tego lwa, niedaleko stąd, w jaskini - odpowiedział Richius. - Karlaz go zabił.

- I dobrze.

- Dziś rano zwierzę porwało kmięcia z farmy nad rzeką. W jaskini znaleźliśmy też jego... a raczej to, co z niego zostało.

- Kochany... - Dyana przytuliła się mocniej.

- Nie, nic mi nie jest. - Richius wodził wzrokiem za biegającą wokół nich córeczką, która podnosiła patyczki i wsuwała je do buzi. Dawno już zaniechał prób oduczenia jej tego zwyczaju. Teraz po prostu uważał tylko, by nie wetknęła sobie do buzi czegoś niedobrego. - Karlaz został, by sprawić lwu pochówek. Dyano, powinnaś go zobaczyć. Bardzo to przeżywa.

Pamiętam, jak po moim powrocie do domu, pierwszego roku po starej wojnie, straciłem konia. Niedawno przedtem zabito mojego ojca, a ja byłem zagubiony i wszystkiego się bałem.

Piorun był darem od mojego ojca i bardzo wiele dla mnie znaczył.

- Jak to się stało? - spytała Dyana.

- Pewnego ranka wyruszyliśmy na przejażdżkę. Poprzedniej nocy spadł śnieg i przedzieraliśmy się przez las, kiedy zaatakowały nas wilki. - Głos Richiusa nagle się załamał.

- Zabiły Pioruna. Odciągnęły go ode mnie i zagryzły...

- Richiusie...

- Tamten koń był dla mnie wszystkim - ciągnął Richius. - Był niczym najlepszy z przyjaciół. To samo, myślę, czuje teraz Karlaz. Uważa, że stracił przyjaciela. - Objął Dyane i zanurzył twarz w jej włosach. Pachniała morzem. - Oboje wiele straciliśmy, Dyano - powiedział. - Nie chcę już tracić nikogo więcej. Nie chcę, by cokolwiek się wam stało.

Możesz to zrozumieć?

- Oczywiście.

- Żałuję swojego wybuchu, ale gdyby cokolwiek się stało... Dyana natychmiast go uciszyła.

- Nic się nie stało. Jesteśmy tu bezpieczne, Richiusie. I nic się nie stanie.

- Mylisz się - odparł Richius. - Biagio nie jest człowiekiem. To wcielony diabeł. Wciąż ma władzę i wpływy, choćbyśmy słyszeli, że jest inaczej. W Nar wszyscy się go boją.

Jego i Roshannów.

- Teraz jest nikim, mój najdroższy - stwierdziła Dyana. - Złamano jego potęgę i poszedł na wygnanie.

- Gdybyż tak było... - westchnął Richius. - Nie, on się nie złamie. Nigdy nie zrezygnuje z tronu. A jego agenci na zawsze pozostaną mu wierni. W Nar jest takie powiedzenie: „Roshannowie są wszędzie”. Powiada się, że Arkus kazał Biagiewi wprowadzić agenta na każdy dwór królewski i do każdego znacniejszego szlacheckiego domu, by mieć na wszystko oko i by wszędzie siać strach. I oni są wszędzie... a dosięgnąć nas mogą nawet tutaj.

- Richiusie, upłynęło już tyle czasu... A jeżeli on walczy o tron, dlaczego miałby sobie zawracać głowę takimi mizerakami jak my? Myślę, że niepotrzebnie się martwisz. Nie sądzę, byśmy byli dla niego aż tak ważni.

- Ale ważny był dla niego Arkus. Kochał starego imperatora i wini mnie za jego śmierć. Wysłano mnie tutaj, bym znalazł czary, które mogłyby uchronić Arkusa przed śmiercią. Biagio nigdy mi nie wybaczy tego, że - według niego - zawiodłem to zaufanie.

- Ale on ma na karku tamtego biskupa - upierała się Dyana. - To biskup mu się sprzeciwia, prawda?

Richius wzruszył ramionami.

- Nie wiem - stwierdził z goryczą. - Boże! Tkwimy tu jak ślepcy. Nie dostałem żadnych wieści od czasu, kiedy Lisseńczycy odpłynęli, by uderzyć na Nar.

Na samą wzmiankę o sojusznikach Dyana zeszywniała.

- Nie mówmy o nich - poprosiła. - Nie dziś, proszę...

- Nie dziś? I nie jutro? To kiedy?

Dyana zamknęła oczy.

- Nigdy...

- Dyano...

- Richiusie, proszę... Nie mogę tego znieść. Wiem, że chcesz się do nich przyłączyć, ale mam nadzieję, że nigdy po ciebie nie przypłyną.

Jej miłość zamknęła mu usta. Pocałował ją lekko w czoło, a potem ujął ją w ramiona i przytulił, próbując ukoić jej niepokój. Rozmowy o Liss zawsze ich dzieliły, a ostatnie wieści o tym, że lisseńska flota uderzyła na Nar sprawiły, iż Dyana stała się jeszcze bardziej wrażliwa. Nazywała ich teraz piratami - tak samo jak Biagio. Nienawidziła wyspiarzy, zapominając o tym, że wspomogli Lucel - Lor w walce z Imperium. Nie widziała w nich sojuszników - byli dla niej łupieżcami, którzy chcieli jej odebrać męża.

- Dano nam wiele czasu, najdroższa - stwierdził Richius. - Więcej, niż się mogłem spodziewać. Ale mówiłem ci, że w końcu będę musiał pójść.

- W końcu... - odparła. - Wtedy był taki odległy... Niestety, nie mogło być inaczej. Richius nie miał innego wyjścia.

Próbował ją o tym przekonać - bez powodzenia - i wiedział, że mu się to nigdy nie uda. Co prawda zgoda Dyany lub jej brak niczego nie zmieniały - w sercu młodego Narena płonęło pragnienie zemsty, za jego zdeptaną końskimi kopytami ojczyznę i za Sabrinę, którą widywał czasem w snach, wołającą o ratunek. Tamci zamordowali jego pierwszą żonę kierowani tylko nienawiścią, jaką żywili do niego. Rozkaz wyszedł od Biagia.

Arkus był już wspomnieniem, Gayle również. Złoty nareński hrabia wciąż jeszcze pozostawał przy życiu. A dopóki on żył, żadne z nich nie mogło czuć się bezpiecznie.

- Nie jesteś tu szczęśliwy - stwierdziła Dyana. - Robiłam, co mogłam. Sądziłam, że razem z Shani potrafimy sprawić, byś się poczuł szczęśliwy, myślałam, że czas uleczy twoje rany... Ale ty nie pragniesz pokoju.

Przykro było się do tego przyznać przed samym sobą, ale zawarta w jej słowach prawda jednak biła w oczy.

- Żałuję tego, jak potoczyły się nasze sprawy. Tak to już bywa.

- Nie! - sprzeciwiła się Dyana. - Sami kujemy nasz los. Prakna wzywa cię, byś się do niego przyłączył, ale decyzja należy do ciebie. Nie nazywaj tego przeznaczeniem, Richiusie. Przepelnia cię pragnienie zemsty i pozwalasz mu zniszczyć siebie... i nas.

- A co mam zrobić? - Richius zawrzał gniewem, miotany sprzecznymi uczuciami miłości do kraju i do tej kobiety. - Mam pozwolić, by Aramoor już po wsze czasy jęczał pod obcym jarzmem? Mam się kryć jak tchórz, podczas gdy walczą za mnie Lisseńczycy?

Jestem królem Aramooru!

Dyana powoli uwolniła się z jego objęć.

- Nie ma już Aramooru. Stał się częścią Talistanu. Nigdy tego nie zmienisz.

Lisseńczy nie pomogą ci go odzyskać.

- Ale walczą - upierał się Richius. - Nie stracili honoru.

- Walczą tylko dla zemsty - stwierdziła Dyana. - Nar już im nie zagraża, cóż więc komu przyjdzie z tych najazdów na przybrzeżne miasta? Rzec w tym, że ich serca pełne są jadu, jak twoje. Chcą pomścić śmierć tych, których kochali, ale choćby utopili Nar we krwi, nie zdołają przywrócić im życia. A jeżeli przyłączysz się do nich, porzucisz mnie i Shani na pastwę samotności. - Uciekła ze spojrzeniem w bok. - Zastanawiam się, czy ty mnie w ogóle kochasz...

Richius zerwał się na nogi.

- Jak możesz wątpić? Oddałem wszystko za to, żeby być z tobą. Kocham cię, Dyano. Kocham Shani. Nikogo i niczego w świecie nie kocham bardziej, niż was.

- Oprócz zemsty. - Dyana wstała i otrzepała suknię, a potem podeszła do Shani, która z ogromną uwagą przyglądała się świerszczowi. - Skryjemy się wewnątrz - rzuciła przez ramię, zwracając się do męża. - Żeby cię uspokoić, zamkniemy się w sypialni od środka.

W jej głosie było tyle chłodu, że Richius mógł zrobić tylko jedno: pozwolić jej odejść.

Po chwili spojrzął na ocean. Gdzieś tam znajdowała się flota Liss, której wojenne szkunery pod pełnymi żaglami szukały zemsty na Czarnym Imperium. Na jednym z tych okrętów powinien być Prakna. Może dowódca Lisseńczyków myślał w tej chwili o Szakalu z Nar...

Cztery ŻELAZNY KRĄG

„Miałem dostatecznie wiele znaków i ostrzeżeń - pomyślał Biagio. - Po prostu je zlekceważyłem”.

Roshannowie - jego Zakon - ostrzegali go już kilka miesięcy przed śmiercią imperatora. Zaślepiiony w swej misji ratowania Arkusa Biagio zaniedbał nadzór nad Herrithem. Biskup tymczasem, jeszcze zanim Arkus popadł w starczą demencję, spiskował z Vortem i przekonywał znaczniejszych nareńskich wielmożów, by się do niego przyłączyli.

Pewność nieśmiertelności Arkusa sprawiła, że Biagio pozwolił biskupowi na prowadzenie tej niebezpiecznej gry. Teraz mógł winić jedynie siebie samego i nikogo więcej. Nar wpadło w łapy religijnego fanatyka, a ideały Czarnego Odrodzenia usuwano z ludzkiej pamięci.

Biagio lubił wracać do domu. Na Crote czuł się niemal tak dobrze, jak w Czarnym Grodzie. Od dnia, w którym odebrał władzę ojcu, niewiele czasu spędzał na rodzinnej wyspie, a przymusowe wygnanie z Nar sprawiło, że teraz oglądał wszystko innymi oczami.

Pokochał wyspę tak jak jego ojciec; nawet oliwki i winogrona smakowały mu teraz lepiej.

Wiejące od morza wiatry były ciepłe i łagodne dla jego obecnej kondycji, a przebywanie na słońcu przywróciło jego skórze naturalną opaleniznę. Co więcej, panujący na Crote spokój koił jego wzburzony umysł.

Miał czas na oddawanie się rozmyślaniom.

Hrabia Renato Biagio stąpał z isticie kocią gracją po marmurowych korytarzach swojej willi, klaskając głośno gołymi stopami o płyty posadzki. Mijał śledzące go bacznie marmurowe posągi - tuziny bezcennych wartowników nabytych lub złupionych w całym Imperium.

Na końcu korytarza były kręte schody, niknące w mroku gdzieś niżej. Był w części dworu niedostępnej dla gości, w skrzydle przeznaczonym tylko dla niego, urządzonym z większym przepychem niż inne. Oprócz sług i niewolników, którzy

przychodzili tu wyłącznie na wezwanie, miejsce to dzieliła z hrabią tylko jedna osoba.

Czując się lekko i swobodnie, hrabia przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Pogrążył się w mrok rozjaśniany blaskiem pochodni. Ćwierkanie i szczebiotanie ptaków zostało gdzieś za nim. U podnóża schodów znalazł parę niewielkich trzewików, ciśniętych niedbale w kąt.

Gdzieś z przodu dobiegały go odgłosy delikatnego wyklepywania metalu. Ostatni krok hrabia zrobił po cichu i ostrożnie zerknął przez smugę zasnutego dymem światła.

Korytarz otwierał się na rozległą, wysoko sklepioną komnatę pracowni, której boczne ściany zastawione były regałami pełnymi książek i rozmaitych rzadkich okazów. Na posadzce niedbale porzucano narzędzia i odpadki: kawałki lin, metalowe agrafki, kleszcze i niewielkie, zakurzone kowadełko. Osadzone na ścianach pochodnie rzucały na wszystko tańczące i pełne cieni światło, nadając całemu miejscu dość ponury wygląd, podkreślany jeszcze przez warstwę sadzy na wysokim sklepieniu. Pośrodku pomieszczenia ustawiono solidny dębowy stół, na którym rozpierał się jakiś cylindryczny mechanizm pokryty zaworami i rurkami, z pozoru równie skomplikowany jak żywa istota. Z górnej części aparatu luźno zwisały aż na powierzchnię stołu lśniące rurki, a jego stożkowate zwieńczenie zakończone było rączką, która hrabiemu natychmiast przywiodła na myśl gałkę u drzwi.

Za stołem tkwił skulony Bovadin, który spoglądał wzdłuż niewielkiego nacięcia w drewnie. W obnażonych palcach stóp trzymał ostrożnie długie, tnące narzędzie o ząbkowanym ostrzu, a małe dłonie uczonego manipulowały wystającymi z urządzenia rurkami. Przymierzając się do środka aparatu, zgrzytał ze złości zębami, bo nie mógł chwycić jednocześnie wszystkich rurek. Kiedy usłyszał kroki Biagia, zaklął i warknął:

- Co tam znowu?

Biagio ostrożnie postąpił krok naprzód. Nie w smak mu było niepokojenie małego uczonego, szczególnie wtedy, gdy ów czymś się zajmował. W komnacie panował chłód i hrabia zatarł dłonie.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzekł.

- Teraz?

- Nie inaczej.

Bovadin westchnął. Sterując przecinakiem z pomocą stóp, zaczął odcinać

kawałek jednej z rurek. Biagio patrzył, zafascynowany precyzją ruchów karła. Wyglądało to tak, jakby się przyglądał pracującej małpie.

- I cóż tam? - ponaglił go Bovadin.

- Nowe wieści - odpowiedział Biagio, ruszając ku stołowi. Podszedł bliżej i zaczął badać osobliwą maszynę, przesuując palcami po jej gładkiej powierzchni.

Wystające na wszystkie strony rurki nadawały jej wygląd srebrnej ośmiornicy. - Dobre wieści - ciągnął, nie odejmując palców od aparatu. - Powinny cię ucieszyć.

- Dobre? - wystękał Bovadin spod stołu. - Czy to znaczy, że wracamy do domu?

- Jest już twoje paliwo. Nicabar właśnie wrócił.

Klepanie pod stołem ucichło. Biagio uśmiechnął się i pochylił, by zobaczyć minę Bovadina. Mały uczonek patrzył z ogromną ulgą.

- Przywiózł wszystko? - spytał Bovadin. - Trzy pełne ładownie, tak jak prosiłem?

- Trzy ładownie - potwierdził hrabia. - Dokładnie tyle, ile chciałeś.

- Och, dzięki Niebiosom - rozpromienił się karzeł.

- Dzięki mnie - poprawił go hrabia. - I dzięki Nicabarowi. Niewiele brakło, a wioząc taki ładunek, tu, na południe, wysadziłby okręt w powietrze. Ale nie natrafił na żadnych Lisseńczyków. Myślę, że miał szczęście.

Bovadin kiwnął głową.

- Twój diuk ze Smoczej Paszczy dobrze się spisał, Renato. Przykro mi, że w ciebie zwątpiłem.

Biagio uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Często jestem niedoceniany, Bovadynie. Diuk Enli, jak każdy człowiek, ma swoje słabe strony, które można wykorzystać. Trzeba było tylko znaleźć właściwą... strunę.

Wiedziałem, że wciąż ma potrzebne ci paliwo. Przypomniałem sobie, że twoje pracownice wykonały dla niego zamówienie.

- Ja też - stwierdził uczonek. - Ale myślałem, że dawno już się wyczerpało. Nawet tak daleko na północy paliwo się psuje i niebezpiecznie jest go używać. Diuk Enli bardzo ryzykował, trzymając je tak długo.

- Diuk Enli zatrzymał wszystko, co mu wysłałeś, przyjacielu. Przypuszczam, że się boi swojego brata. Wiedziałem, że wciąż ma paliwo. Trzeba było tylko posłać

Nicabara, żeby go przekonał.

- Jeszcze go nie wyładował, prawda? Sam powinienem się tym zająć.

- Rób, jak uważasz - zaśmiał się Biagio. - Ja się tam nie będę zbliżał.

Hrabia wstał, by przyrzeć się mechanizmowi ustawionemu na stole. Zdumiewała go zawilóść konstrukcji. Tym razem geniusz przeszedł samego siebie. Konstrukcja była ciężka i stół lekko się ugiął pod naporem jej masy. Załadowana paliwem będzie z pewnością jeszcze cięższa. A paliwo było bardzo niestabilne; jak Bovadin zamierzał zapewnić mu niską temperaturę?

- Jak to działa? - spytał uczonego. - Pokaż mi.

- Renato, teraz jestem zajęty.

- Do czego są te rurki?

- Wyjaśnię ci później.

- Zrób sobie przerwę, mały człowieku - nalegał hrabia. - Chcę, byś mi objaśnił ten mechanizm. Bardzo mnie intryguje.

Bovadin jęknął, ale wstał i otrzepał kolana z brudu i metalowych opiłków.

Zręcznie niczym małpa wspiął się na stół i stanął obok wynalazku, wyraźnie się pusząc.

Nie był wiele wyższy od urządzenia i cała scena robiła dość zabawne wrażenie, Biagio jednak czuł ogromny respekt wobec tego karła. Mały naukowiec stworzył pracownie, w których konstruowano bojowe maszyny; wymyślił ogniomioty i kwasomioty - a co najważniejsze, jego dziełem był eliksir, dzięki któremu członkowie Żelaznego Kręgu się nie starzeli.

- Wyjaśnij! - ponaglił Biagio Bovadina. - Jak to działa?

- Aaa... to moja tajemnica, przyjacielu. I nie sądzę, byś mógł wszystko do końca zrozumieć.

- Nie wywyższaj się ponad mnie, karle. Mów!

Bovadin zarechotał, a jego pobrudzoną twarz przecięł szeroki uśmiech.

- To naprawę proste, Renato. Proste i piękne. Jestem z tego dumny, bardzo dumny...

- Rad jestem z ciebie - oznajmił Biagio. - Ale czy będzie działało?

- Ależ będzie - zapewnił go karzeł. - Zamierzam zresztą pierwej przeprowadzić

próby. Dlatego chciałem trzy ładunki paliwa. Kiedy je dostanę, będzie działało bezbłędnie. - Bovadin tknięty nagłą myślą łypnął podejrzliwie na Biagio. - Dostanę paliwo, prawda?

- Dostaniesz - oznajmił Biagio. - Nie martw się. Ustaliłem to z diukiem Enli.

Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Renato, zawrzyjmy umowę. Wyjaśnię ci, jak to działa, a ty mi powiesz, co się dzieje. Mam już dość tej wysepki. Chcę wrócić do Nar. Tak szybko, jak tylko się da.

- Już niedługo, przyjacielu. Trybiki są w ruchu. Na razie nie mogę ci rzec niczego więcej.

- Więc kiedy mi powiesz?

- Dziś wieczorem - odparł Biagio. - Teraz, gdy Nicabar wrócił, będę mógł ci powiedzieć nieco więcej. Zbierzemy się dziś w nocy. Wyjawię wam mój plan.

Bovadin zrobił zaskoczoną minę.

- Tak? Czy Nicabar przywiózł jakieś wieści z Imperium?

- Owszem - odpowiedział Biagio, unikając bezpośredniej odpowiedzi. Nie lubił wypytywać o swoje plany, szczególnie przez kogoś tak przenikliwego, jak Bovadin.

- Na podstawie tych nowin mogę nareszcie przystąpić do działania. A teraz... - hrabia wskazał palcem urządzenie - ...opowiedz mi o tej twojej maszynie.

- Jak powiedziałem, zasada jest prosta - stwierdził Bovadin, i pociągając za dźwignię na szczycie wieńczącej mechanizm kopuły, otworzył ją jak wieko.

Zgrzytnęły dwa żelazne zawiasy. - Tu jest zbiornik paliwa. Ładuje się go tak samo, jak zwykle działko.

Podstawowa idea jest ta sama. Ale paliwo nie zostaje w zbiorniczku, jak to się dzieje w zwykłym działku. Rozpryskuje się na zewnątrz pod własnym ciśnieniem. To ciśnienie wypycha paliwo przez rurki i utrzymuje je w nieustannym ruchu.

- Aha - pokiwał głową Biagio, zaczynając żałować niewczesnej ciekawości. - Mów dalej.

Naukowiec musnął palcem mały mechanizm umieszczony w połowie wysokości urządzenia - cienki metalowy pręt wystający na zewnątrz.

- To dźwignienka urządzenia spustowego - oznajmił. - Ustawi się na godzinne opóźnienie. Po przesunięciu dźwignienki w bok zacznie się odliczanie.

- Bovadinie, to musi być proste do uruchomienia i nastawienia - przypomniał mu hrabia. - A ta dźwigienka powinna być łatwo dostępna.

- I będzie. Jeżeli zrobisz to tak, jak chciałem. Zechciej sobie przypomnieć, że anioł ma sporą rozpiętość skrzydeł. Ukryje to dźwigienkę. Kiedy anioł zostanie poruszony, ruszy całe urządzenie.

Biagio zachichotał z podziwu nad przemyślnością karła. Pamiętał marmurowego archanioła nad wejściem do Katedry Męczenników. Bovadin zbudował dokładnie takie urządzenie, jakiego potrzebował do urzeczywistnienia swego planu. Teraz Biagio powinien zadbać o to, by znalazło się tam, gdzie się znaleźć powinno. Hrabia długie tygodnie rozmyślał nad tym, jak podrzucić ten piekielny mechanizm Herrithowi. W końcu znalazł sposób, co wprawiło go w doskonały humor. Anioł będzie wyglądał bardzo niewinnie i nie wzbudzi żadnych podejrzeń w umyśle Herritha. A Lorli łatwo będzie go uruchomić.

- A co z paliwem? - spytał Bovadina. - Jak będziesz je chłodził?

- Przez te rurki - wyjaśnił uczoney. - Paliwo będzie w nich nieustannie krążyć, stykając się z otaczającym urządzenie powietrzem. - Wskazał maleńkie otworki w każdej rurce. - Widzisz to? Sam zaprojektowałem te rurki. Te wewnętrzne, maleńkie wspomagają przepływ. Paliwo ustabilizuje się natychmiast, gdy dostanie się do środka. Ale lepiej tym nie podrzucać. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem - odpowiedział Biagio.

Naukowiec przypominał mu o tym setki razy, on sam zaś z kolei przypominał to innym. Cały plan wymagał udziału wielu ludzi, którzy będą sobie przekazywać urządzenie, zanim dotrze do Herritha. Wiedząc, że Bovadin bacznie go obserwuje, Biagio zrobił beztroską minę. Naukowiec i bez tego miał na głowie zbyt wiele.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdził na koniec hrabia. - Przyjacielu, wykonałeś świetną robotę. Wiele bym dał za to, żeby samemu zobaczyć skutki jego działania.

- Po powrocie do Nar zobaczysz krater, jaki po nim zostanie zażartował Bovadin.

Jego oczy rozbłyły. - Biagio, to będzie tak, jakby w mieście wybuchło nowe słońce.

- Mmm... brzmi obiecująco. - Biagio zamknął oczy, usiłując sobie wyobrazić skutki tego żaru. Jeżeli wszystko się ułoży zgodnie z planem, Herrith zobaczy, jak to

działa. A kiedy to się stanie, dozna największego z możliwych wstrząsu, który rozdrze mu duszę. - Pamiętaj, Herrith musi ocaleć. Chcę go mieć żywego.

- Nie martw się. Herrith będzie poza katedrą. Zajmie się udzielaniem rozgrzeszenia.

- Jeżeli nie, cały mój plan się zawali.

- Przestań się trapić na zapas. - Tym razem uśmiechnął się Bovadin. - Wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Potrzeba mi jeszcze tylko kilku prób...

- Powiedz, kiedy zamierzasz to wypróbować - oznajmił Biagio. - Chcę być uprzedzony o niebezpieczeństwie.

- Nie będzie żadnego. To urządzenie nie zadziała z siłą, jakiej się po nim spodziewam, dopóki całkowicie nie napełnimy go paliwem. Do prób użyjemy niewielkiej ilości, po prostu chcę wszystko sprawdzić do końca... Zobaczyć czy nie ma przecieków. Ot, drobiazgi.

Wszystko to było dla Biagia zbyt skomplikowane, machnął więc tylko ręką.

- Nawet jeżeli tak jest, też chcę wiedzieć. Z tym miejscem związałem całe moje obecne życie. Nie życzę sobie zamienić go w smuzkę dymu. I nie próbuj go samotnie. Dam ci kilku asystentów. Nie lubię, jak ty tu coś majstrujesz samotnie. Wyglądasz okropnie.

Powinieneś od czasu do czasu wyjrzeć na słońce.

- Asystenci? - nadął się Bovadin. - Renato, jeżeli chcesz mi prawdziwie pomóc, to porwij i sprowadź tu kilku z moich pomocników z dawnych pracowni. Nie chcę twoich zbieraczy oliwek. A spędzam tu tak wiele czasu, bo muszę się uporać z zadaniem, jakie przede mną postawiłeś. Jestem jedynym, który przygotowuje eliksir, zapomniałeś?

I do tego jeszcze ta machina, Savros i Nicabar...

- Dość - uciął Biagio. - Wszyscy jesteśmy zajęci i każdy ma swoje do zrobienia, przyjacielu. Zaczynamy się też denerwować. Ja to rozumiem. - W jego głosie znów zabrzmiały nutki słodyczy. - Teraz zapraszam cię na kolację. Ubierz się stosownie. Załóż jakieś buty. Chcę się zabawić jak człowiek choć trochę cywilizowany.

- Renato...

- Bovadinie, nie tylko ty jesteś zmęczony. Chcę wrócić do Nar. Nie zamierzam toczyć dziecinnych sprzeczek. Odpocznij i wyśpij się. Przyjdź do mnie wieczorem.

Większą część dnia Simon stracił na sen. Wciąż wyczerpany po długiej morskiej podróży i nocy spędzonej w lochach Savrosa odkrył, że łóżko przyciąga go z nieodpartą siłą.

Spał głęboko, dopóki słońce nie skryło się za horyzontem. Nic mu się prawie nie śniło, choć od czasu do czasu majaczyła mu pod powiekami biała twarz porwanego Triina, Hakana.

Nieszczęśnik zadawał mu pytania w swoim dziwacznym języku, ale Simon doskonale rozumiał ich treść. Triin chciał wiedzieć, dlaczego został porwany i dlaczego Simon wydał go temu szaleńcowi z nożami. Kiedy młodzieniec się obudził, przypomniał sobie wszystko i nagle poczuł zadowolenie z tego, że musi wstać. Przeszedł na drugą stronę komnaty i stanął przy oknie. Dywan przyjemnie chłodził jego stopy. W oddali widział lśnienie morza, poplamionego tu i ówdzie mrocznymi sylwetkami okrętów wszechobecnej Czarnej Floty. Do stałych stróżów wysepki dołączył jeszcze jeden okręt, wyróżniający się wśród innych wielkością i znacznie od nich ciemniejszy. Simon natychmiast poznał „Nieustraszonego”. Był to okręt flagowy Nicabara. Admirał wrócił ze Smoczej Paszczy. Simon uśmiechnął się sam do siebie. Mistrz będzie dziś w dobrym humorze. Czy na tyle, by łaskawie go nagrodzić?

- Po kolacji - napomniał sam siebie. - Na razie zachowaj spokój...

Eris będzie bardzo szczęśliwa, on zaś ją zbyt kochał, by nie poprosić o to Mistrza. Nie znał żadnego agenta Roshannów, który zawarł związek małżeński - chyba że tego wymagała odgrywana przez niego rola - wiedział jednak i to, że był dla Biagia kimś więcej, niż zwykłym agentem. W pewien dość osobliwy sposób obaj byli niemal przyjaciółmi.

Simon zaś nie był niewolnikiem. Był wolnym człowiekiem, który służył hrabiemu długo i wiernie, a wolni ludzie mają prawo prosić o nagrody. Simon nigdy się z Biagiem nie bratał, ponieważ ten był arystokratą w każdym calu, młodzieniec wiedział jednak, że w sercu hrabiego ma swój mały zakątek. I dziś się do niego odwoła.

Pospiesznie umył twarz i ręce, po czym orzeźwił się, chlustając wodą. Biagio pewnie już na niego czekał, szybko więc przyglądał włosy i przejrzał się w lustrze.

Mistrz życzył sobie udanego wieczoru, Simon zaś chciał wyglądać jak najlepiej. Jeżeli rozczaruje Biagia, może nie otrzymać spodziewanej łaski. Wreszcie, zadowolony z

wyglądu, podszedł do szafki, z której wybrał piękną koszulę i spodnie. Strój uzupełnił szerokim skórzanym pasem i parą wysokich butów o wąskich, przylegających do łydek cholewach. Uśmiechnąwszy się do swego odbicia, wyszedł i ruszył do komnat Biagia.

W całym dworze, jak zwykle, panował spokój. Idący korytarzami Simon słyszał stłumione głosy służących, nosem zaś łowił delikatne, niosące się z kuchni zapachy. Lekko zaburczało mu w brzuchu, i przypomniał sobie, że od śniadania niczego nie jadł.

Crote szczyliło się tym, że ma najlepszą kuchnię i kucharzy w całym Imperium. Matka Simona gotowała doskonale, choć nie była mieszkanką Crote. Przypominał sobie o niej zawsze, kiedy czuł głód. Za Crote też tęsknił, tak że często sobie obiecywał, iż nigdy nie wyjedzie z wyspy - i gdyby o niego chodziło, nie musieliby wcale wracać do Nar. Nar było zimne i wysokie, podczas gdy Crote było ciepłe i płaskie - doskonałe miejsce na ludzkie siedlisko. Simon był pewien, że Eris też kochała tę wyspę. Jak do tej pory znała jedynie pozłacaną klatkę dworu Biagia, ale wiedział, że gdyby zabrał ją na targ, lub wziął na spacer po plaży, oddałaby serce całej wyspie.

Idąc ku apartamentom hrabiego, mijał stojące pod ścianami korytarzy posągi i zwisające ze ścian bogate malowidła i kobierce. W jednym z korytarzy wzdłuż całej ściany wycięto rozległe okno skierowane ku ogrodowi, z którego teraz lało się różowawe światło księżyca. Był już w skrzydle należącym do Mistrza, gdzie powietrze przesycił słodki zapach fiołków. Otwarte okiennice wpuszczały też ostrą, słoną woń morza. Jako chłopiec Simon często spoglądał na biały, stojący na wzgórzu pałac i zastanawiał się, jak bogaty musi być mieszkający tam człowiek. Wizje przepychu wypełniały chłopięce marzenia; Simona pociągał też nieodparcie urok hrabiego. Sam był biedakiem, żądnym złota i władzy, jaką można za nie kupić. Kiedy dorastał, biały pałac na wzgórzu wciąż przyciągał jego myśli.

Teraz, po wielu latach, kiedy szedł korytarzami wyśnionego zamku, wciąż odczuwał dziecięcy zachwyt.

Dotarłszy do apartamentów hrabiego, zobaczył, że podwójne drzwi stoją otworem.

Zajrzał do środka. Zwrócony plecami do drzwi Biagio siedział przy oknie na fotelu z czerwonej skóry i powoli popijał likier. Światło księżyca pięknie podkreślało złotą barwę włosów hrabiego. Hrabia przemówił, zanim Simon zdążył zapukać.

- Siedziałem tu i rozmyślałem - rzekł cicho Biagio.

Simon lekko się zawahał, niepewny czy to, co usłyszał, było zaproszeniem, czy też nie. Powoli wszedł do komnaty i zbliżył się do Mistrza. Biagio oddychał płytko, jakby był pijany, albo zasypiał.

- Mistrzu? - spytał Simon. - Czy dobrze się czujesz?

- Och, zupełnie dobrze, drogi chłopcze. Po prostu odpoczywam. Pięknie tu, prawda?

Simon zatrzymał się o krok od fotela, na którym siedział Biagio.

- Owszem, bardzo pięknie. Sam ostatnio o tym rozmyślałem.

- Chciałbym spędzać tu więcej czasu. Zbyt długo byłem poza domem i zaniedbałem wiele spraw.

- Wzywały cię obowiązki, Mistrzu - stwierdził Simon pocieszającym tonem. - Potrzebny byłeś w Nar.

- Owszem. - Biagio odstawił kielich. Skinieniem upierścienionej dłoni wezwał Simona, by ten podszedł bliżej. Kiedy młodzieniec to uczynił, hrabia podniósł spojrzenie nienaturalnie błękitnych, gorejących ogniem oczu. - Chcę, byś dziś trzymał się blisko mnie, Simonie. Ale nic nie mów. Milcz i słuchaj. Bądź blisko.

Simon wzruszył ramionami. Zawsze był blisko Mistrza.

- Oczywiście. Nie myśl o tym, panie.

- Inni zaczynają się niepokoić. A Nicabar przywiózł wieści z Nar. Martwi mnie ich możliwa reakcja. Trzymaj się blisko, by im przypomnieć o mojej sile. Sprawy posuwają się naprzód, nie wszyscy jednak to dostrzegają. Trzeba, żeby mi ufali. Albo niech się mnie boją, wszystko mi jedno.

- Mój panie, będę za tobą. Jak zawsze.

Biagio uśmiechnął się ciepło jednym z tych swoich dziwnych, niespodziewanych uśmiechów.

- Jesteś moim przyjacielem - rzekł, podając mu dłoń. - Chodź. Zacznijmy tę kolację.

Simon ujął rękę Biagia i pomógł hrabiemu wstać z fotela. W luźnej szacie arystokrata wyglądał mizernie i krucho, młodzieniec jednak wiedział, jak bardzo by się pomylił ten, kto wziąłby jego Mistrza za słabeusza. Utrzymujące hrabiego przy życiu

eliksiry miały i uboczne skutki. Oprócz błękitu oczu i chłodu skóry dały Biagowi ogromną siłę fizyczną i niemal nadludzką żywotność. Simon nie spotkał nikogo, kto sprostałby hrabiemu w biegu na odległość, czy mógłby go doścignąć, nikt też nie zdołałby dźwignąć większego od Biagia ciężaru. A jednak hrabia uwielbiał, gdy zajmowano się nim jak chorym starcem - i rzadko kiedy okazywał swą prawdziwą siłę. Jadł rzadko, zadowalając się głównie owocami, a pił tylko wybrane wina i likiery, które pędzono specjalnie dla niego. W starym Nar cieszył się reputacją rozkapryszonego dziwaka, choć nikt nie ośmieliłby się powiedzieć mu tego w oczy.

Wódz Roshannów zdążył się już ubrać do kolacji. Kiedy wstał z fotela, jego obszywana gronostajami toga delikatnie zaszeleściła. Pyszne, zwisające aż do ramion włosy hrabiego otaczały twarz arystokraty szczególnym lśnieniem. Niemal na każdym z palców miał jakiś drogocenny pierścień, a jego zęby błyskały w uśmiechu, co sprawiało, że chwilami przypominał szukającego łupu wilka. Hrabia bacznie ocenił wzrokiem wygląd Simona, i na jego twarzy pojawił się uśmiech aprobaty.

- Gotów? - spytał Simon. Biagio skinął.

- Chodźmy.

Jak zawsze, przodem ruszył Biagio, dramatycznie rozwiewając przy tym poły swej togi. Simon szedł za nim - dość blisko, by słyszeć skierowane do niego słowa hrabiego, ale na tyle daleko, by go nie przyćmić... co prawda to ostatnie było niemal niemożliwe.

Biagio zawsze lśnił i rzucał blaski, jak latarnia morska.

Idąc szybko korytarzem, oddalili się od osobistych kwater hrabiego i weszli do głównej części dworu, gdzie już się zebrali nareńscy goście Biagia. Ta część urządzona była z nieco tylko mniejszym przepychem, niż jego własne apartamenty. U wejścia stały otworem szerokie, podwójne, szklane, złożone drzwi. Nad wielkim, ośmiokątnym stołem wisiał potężny żyrandol z białych i niebieskich kryształów, odbijający hipnotyczny wprost, migotliwy blask świec. Tuż przed wejściem Biagio nieco zwolnił, a na jego twarzy pojawił się życzliwy, nieco teatralny uśmiech. Na jego widok uwijający się przy stołach słudzy znieruchomieli. Zgromadzeni przy stole mężczyźni spojrzeli w stronę drzwi. Simon cofnął się o krok, by niczym nie zaćmić wejścia Biagia.

- Dobry wieczór, moi przyjaciele - przemówił hrabia swoim urzekającym głosem.

Rozpostarł ramiona, jakby chciał wszystkich objąć jednym uściskiem. - Rad jestem, że was widzę, i dziękuję wam za to, że przyszliście.

Narzenie powitali gospodarza zimnymi spojrzeniami swych błękitnych oczu. Simon przyjrzał im się jednym, szybkim, badawczym rzutem oka. Na przeciwległym krańcu stołu rozpierał się Savros, który na widok gospodarza wstał i rozpromienił się niczym dziecko na widok ojca. Obok oprawcy siedział maleńki Bovadin, który nie wstał, zbyt zajęty leżącym przed nim jedzeniem. Biagio udał, że nie zwrócił uwagi na nietakt. Potrząsnął dłonią ogromnego człowieka w mundurze nareńskiej Czarnej Floty. Admirał Nicabar objął Biagia i dobrodusznie poklepał go po plecach.

- Świetnie wyglądasz, Renato - oznajmił.

Pierś Nicabara zdobiła tęcza kolekcja orderów i medali, które zdobył w niezliczonych kampaniach na morzu. Biagio zniknął wprost w niedźwiedzich, admirałskich łapach. Simon uważnie przyglądał się Nicabarowi, usiłując złowić w jego uśmiechu najdrobniejszy ślad fałszu. Hrabia i admirał znali się od wielu lat. Razem porzucili Nar i razem wyciągnęli Czarną Flotę z portów, powodując jej secesję. Potem namówili Bovadina i Savrosa, by ci się do nich przyłączyli. Simon uważał wszystkich za sforę dziwnie dobraną, ale bardzo niebezpieczną.

- Rad jestem, żeś wrócił, przyjacielu - zaczął Biagio, całując Nicabara w policzek.

- Cały i zdrowy - dodał.

- Ja też się cieszę - odpowiedział olbrzym - choć muszę przyznać, że z radością przemierzałem oceany Imperium. Tęsknię za nimi, Renato.

- Wszyscy tęsknimy - pisał ze swego miejsca Bovadin.

- Siadajcie, proszę - rzekł Biagio, ignorując przytyk karła. Hrabia ujął admirała pod rękę i poprowadził go ku jego miejscu. Simon ruszył za nimi, a gdy admirał usiadł, sam podsunął fotel swemu Mistrzowi. Młodzieniec usiadł ostatni, zajmując fotel na prawo od miejsca hrabiego.

- Napijmy się wina - zaproponował Biagio. Kłaśnięciem w dłonie wywołał z cienia pod ścianą niewolników i niewolnice, którzy zręcznie balansowali srebrnymi dzbanami pełnymi najlepszych wyspiarskich win. Jak zwykle, Simonowi nalano trunku na końcu.

Młodzieniec odczekał, aż wszyscy wypiją przynajmniej jeden łyk i dopiero potem

sam skosztował wina. Trunek był wysmienity. Popijając, Simon bacznie obserwował osobliwe gremium. Z zajmowanego przez siebie miejsca widział Bovadina jedynie jako pozbawioną reszty ciała głowę, a skrót perspektywy ukazywał mu ją leżącą na talerzu. Karzeł wiódł niezobowiązującą pogawędkę z Savrosem. Nicabar milczał jak głaz. Z całej czwórki jedynie Biagio był żonaty, z kobietą, którą zostawił w Nar. Hrabina Ellianna dzieliła z mężem żądzę władzy, ale srodze go zawiodła, opowiadając się za Herrithem. Nikt dokładnie nie wiedział, gdzie teraz przebywała, a Simon podejrzewał, że Biagia wcale to nie obchodzi.

Nicabar z lubością twierdził, że został poślubiony morzu, Savros zaś był zbyt wielkim dziwakiem, by jakakolwiek kobieta zechciała dzielić z nim łożo. Bovadina przed węzłami małżeńskimi uchroniło jego kalectwo. Simonowi zresztą karzeł i bez tego wydawał się nieco groteskową postacią. Złoty hrabia był jednak człowiekiem zgoła innego pokroju. Jego uroda była pozbawiona znamion płci, a Ellianna nie miała niczego przeciwko temu, iż Biagio brał do łóża zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Tak jak u hrabiego, w jej żyłach płynęła wyłącznie błękitna krew i sprawy małżeńskiej łóżnicy traktowała równie bez troski, jak mąż.

W hrabim nie podobało jej się tylko jedno - jego pragnienie kontynuacji Czarnej Odrodzenia. Ellianna nie była wojowniczką. Była rozpieszczoną wilczycą, której zostało jedynie pragnienie wysypiania się na perfumowanej pościeli i wszystkich innych przywilejów należnych jej z urodzenia. Całą duszą należała do Nar. Nic dziwnego, że Biagio ją tam zostawił.

Inni w zasadzie z niczego nie musieli rezygnować. Herrith wiedział, jak byli oddani hrabiemu, i żadnemu z nich nie darowałby życia. Nawet Nicabar, choć był niemal narodowym nareńskim bohaterem, zbyt blisko przyjaźnił się z Biagiem, by uniknąć wizyty przysłanych przez arcybiskupa zabójców. Simon wiedział też o nienawiści dzielącej Nicabara i Vorta. Wynikała ona po części ze starej animozji pomiędzy armią lądową i flotą, i ani generał ani admirał nie zamierzali ustąpić. Po śmierci Arkusa i wstąpieniu na tron uzurpatora Herritha Nicabar wydał po prostu rozkaz, by okręty Czarnej Floty opuściły wody Imperium.

Skutek był taki, że nabrzeżne miasta nieustannie padały ofiarami lisseńskich łupieżców.

Simon przypuszczał, że była to część „wspaniałego planu” Biagia. Kilka pomniejszych narodów zostało wiernych hrabiemu, ale ich liczba malała. Od dnia powrotu z Lucel - Loru Simon słyszał z ust hrabiego jedynie skąpe i uspokajające wzmianki o ogólnej sytuacji. Miał nadzieję, że dziś dowie się czegoś więcej.

Skończył swe rozmyślania akurat w chwili, w której Biagio podniósł w górę kryształowy puchar.

- Przyjaciele, pozwólcie, że coś warn powiem. - Hrabia obrzucił Savrosa ostrym spojrzeniem, po którym oprawca zamknął usta, jakby zaczął się dławić. - Chciałbym warn podziękować. Chciałbym, byście wiedzieli, że bardzo sobie cenię wasze oddanie i cierpliwość.

Wszyscy unieśli puchary. Do toastu przyłączył się nawet Bovadin, choć zrobił przy tym lekko kpiącą minę. Kiedy wypili, karzeł pierwszy też otworzył usta.

- Admirale, jakie wieści z Nar? - spytał kąśliwie. - Renato powiada, że dowiedziałeś się o kilku sprawach.

Nicabar otworzył już usta do odpowiedzi, ale w tej samej chwili Biagio podniósł rękę.

- Sam warn wszystko powiem - oznajmił. - Prawdą jest, że Danar przywiózł wiadomości, pierwiej jednak chciałbym, żebyście wysłuchali mnie. Wiem, że wszyscy chcielibyście wrócić do Nar. Uruchomiłem już jednak ciąg... pewnych wydarzeń, o których teraz nie mogę wam niczego powiedzieć.

- Miejmy nadzieję, że dzięki nim będziemy mogli wrócić do domów - odezwał się Bovadin kwaśnym tonem. - Zrobiłem ci to urządzenie, Renato. Wytwarzam eliksir.

Chcę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje, i będę przy tym obstawał.

- Urządzenie - stwierdził spokojnie Biagio - nie będzie tematem dzisiejszych rozmów.

„Urządzenie”. Simon zakarbował to sobie w pamięci. Okazuje się, że Bovadin nad czymś pracował, i Simon powinien się dowiedzieć, nad czym.

- Zebrałem was z powodu kilku wiadomości, które Danar przywiózł dla nas ze Smoczej Paszczy, a także po to, by was upewnić, że wszystko idzie zgodnie z planem. Chcę, byście mi zaufali. - Biagio rozejrzał się z niepokojem w oczach. - Wiadomości przywiezione przez Danara mogłyby zachwiać waszą wiarą we mnie.

- Lisseńczycy? - spytał Savros. Nicabar potrząsnął głową.

- Nie tylko oni.

- Herrith - odgadł Bovadin.

Biagio pociągnął łyk z pucharu, a potem wsparł się plecami w fotel.

- Owszem, Herrith. Obawiam się, że wiadomości z Nar nie są dobre. Herrith sprawia... kłopoty.

- Kłopoty? - spytał Bovadin. - Jakiego rodzaju? Renato, przestań bawić się słowami. Co się dzieje?

- Ludobójstwo - odpowiedział Biagio. Jego twarz przybrała wyraz śmiertelnej powagi. - Co na to twój niebywały umysł?

Bovadin parsknął śmiechem.

- Pozbywa się lojalistów. Wszyscy wiedzieliśmy, że do tego dojdzie. Dlatego właśnie schroniliśmy się tutaj.

Biagio westchnął.

- Czy wiesz coś o Formule B?

Bovadin nagle umilkł, a jego owadzia twarz powlekła się bielą. Biagio pochylił się ku kalece.

- Nie inaczej, mój drogi. Wygląda na to, że twoje eksperymenty bardzo dobrze się sprawdzają. Aż za dobrze.

- Użyto jej? - spytał Bovadin.

- Przed dwoma tygodniami - odparł Nicabar. - W Goth. Vorto otoczył fortecę Lokkena. Gothajczycy się poddali, bo nie mieli innego wyjścia. Vorto wkroczył, zabił Lokkena i zagazował całe miasto. - Nicabar opuścił wzrok i spojrzał na dno swego pucharu. - Przeżyło tylko kilkunastu ludzi... Wszyscy oślepli.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnął oszołomiony Bovadin. - Użyli granul naprawdę... To niemożliwe.

- Niemożliwe? - syknął Biagio. - I ty to mówisz? Zostawiłeś mu mnóstwo materiałów, prawda? Obiecałeś mi... Zapewniałeś mnie, że nigdy im się nie uda ustabilizować Formuły B!

- Ja... ja nie mam pojęcia, jak do tego doszło - jękał się naukowiec. - W pracowniach nie zostało wielu ludzi dostatecznie biegłych do kontynuowania moich prac!

Uznałem, że to zbyt niebezpieczne, by prowadzili badania beze mnie!

- Herrith zdołał jakoś ich przekonać do podjęcia prób - stwierdził Savros, marszcząc brwi. - Zastanawiam się, jak dopiął swego?

- Nieważne jak - odezwał się Nicabar. - Ma Formułę B. Na pierwszy ogień poszło Goth. A potem? Vosk? Smocza Paszcza?

Biagio zabębnił palcami po stole.

- Herrith widać całkiem poważnie podchodzi do swej roli przedstawiciela Niebios.

Moi ludzie w Czarnym Grodzie donoszą, że postanowił zetrzeć z powierzchni ziemi wszelkie ślady Czarnego Odrodzenia. Absolutnie i nieodwołalnie. Nie spocznie, dopóki choć jeden z nas będzie, jak to obrazowo określił: „zatrwał swym oddechem powietrze w Nar”.

- To musimy brać się do dzieła - stwierdził Bovadin. - Nie mamy czasu do stracenia.

- Robimy swoje - odrzekł Biagio. - Nie daj się zwieść pozorom naszej beczynności. Jak powiedziałem, trwają działania mające położyć kres tym szaleństwom.

Potrzeba tylko czasu. Musicie się uzbroić w cierpliwość.

- Musimy? - zawrzał gniewem Bovadin. - Renato, za parę miesięcy może nie będziemy mieli do czego wracać! Trzeba nam działać! Mamy flotę, a urządzenie jest prawie gotowe. Oddajmy cios za cios!

- Bovadinie, czy to wszystko, co potrafisz wymyślić? Jak możemy oddać cios?

Owszem, mamy flotę. Prawda, kilka narodów wciąż opowiada się po naszej stronie.

Ale to Vorto kontroluje kraj, nie my. Jego legiony są mu wierne, on zaś jest wierny Herrithowi. Nie zdołamy wygrać siłą. I dlatego zagramy inaczej. - Biagio stuknął palcem w skroń.

- Trzeba nam ruszyć głową, ot co! Na całe wasze szczęście, zrobiłem to za was.

Urażony w swej dumie maleńki geniusz wstał z krzesła. Simonowi wcale jednak nie wydał się wyższy.

- Doprawdy? - spytał Bovadin jadowicie. - I co takiego wymyśliłeś? Renato, męczą mnie już te twoje zagadki. Poszedłem za tobą, bo mi obiecałeś, że w tej walce to

ty odniesiesz zwycięstwo. Nie widzę jednak, byś wygrywał. Na razie się kryjesz.

Uśmiech Biagia był okrutny.

- Poszedłeś za mną, bo gdybyś tego nie zrobił, byłbyś teraz trupem. Siadaj, przyjacielu. Nie ośmieszaj się.

W jego głosie zadźwięczała nutka stali dość głośna, by Bovadin usłuchał głosu rozsądku. Usiadł i zasępił się.

- Sprzeczkami do niczego nie dojdziemy - ciągnął Biagio. - Wcale zresztą nie musimy się kłócić. Mój plan jest prosty. Mam agentów gotowych nam pomóc i sojuszników, gotowych opowiedzieć się po naszej stronie. Diuk Enli ze Smoczej Paszczy, na przykład, dał nam paliwo do naszego urzędu, czy nie tak, Bovadinie? Wciąż stoi po naszej stronie. Są jeszcze inni.

- Jacy inni? - spytał Łamacz Woli. Cały spór śledził z nie słabnącą uwagą, siorbiąc niemilosiernie, bo jednocześnie wybierał językiem ostrygi z muszel.

- Inni, o których wiem z pewnością, że nam pomogą - odparł Biagio, uchylając się od odpowiedzi. - Inni, którym ufam.

- Dziewczynka? - spytał Bovadin.

- Owszem - przyznał Biagio.

- Jaka dziewczynka? - spytał Savros.

- Och, mój drogi Savrosie, pewien jestem, że zakochałbyś się w niej po uszy. - Biagio zachichotał i frywolnie przesłonił usta dłonią. - Prawdziwa z niej piękność. Jest za młoda dla ciebie, jak myślę, ale wyglądem oszałamia.

- Renato? - odezwał się Nicabar. - Co to za dziewczynka?

- Bardzo szczególna dziewczynka, przyjacielu. Ktoś, komu Herrith nie będzie się umiał oprzeć. Pamiętasz, że uwielbia dzieci? Pewien jestem, że ta mała ukradnie mu serce.

Nicabar, zdumiony, opuścił kielich i postawił go na stole.

- Renato, zechciej nam powiedzieć, kim jest ta dziewczynka?

Hrabia Biagio splótł palce. Wszyscy, nawet Simon, wstrzymali niemal oddech, czekając na jego słowa. Tylko Bovadin nie przejawiał zaciekawienia, gdyż znał już całą historię.

- Dawno temu - zaczął Biagio - jeszcze za życia Arkusa, wraz z Bovadinem

rozpoczęliśmy pewien eksperyment. Eksperyment ten dotyczył dzieci... i eliksiru.

Bovadin zaczął wodzić wzrokiem po sklepieniu sali.

- To był sekretny projekt pracowni wojennych - ciągnął hrabia. - Chcieliśmy wiedzieć, czy eliksir może całkowicie i nieodwołalnie powstrzymać proces starzenia się organizmu.

Bovadin uważał, że na dzieci napój może mieć większy wpływ.

- One mają inną przemianę materii - wtrącił mały uczonec. - Odkryłem, że w ich organizmach zachodzą odmienne procesy, niż w organizmach dorosłych, prawdopodobnie dlatego, że ich rozwój jeszcze się nie zakończył.

- Udało nam się całkowicie zatrzymać proces wzrostu - dodał Biagio. - Powiodło się to z jedną dziewczynką.

Widać było, że Nicabar jest wstrząśnięty.

- Mój Boże! Ile tych potworków chodzi po świecie?

- Teraz tylko jedna dziewczynka - oznajmił hrabia. - Ucieczka z Nar zmusiła nas do... rezygnacji z prowadzenia badań. Udało nam się uratować jedną z nich.

Dziewczynkę, o której wiedziałem, że we właściwym czasie będziemy jej mogli użyć przeciwko Herrithowi.

- Co to znaczy, że zrezygnowaliście z badań? - spytał Savros. - Nie rozumiem?

Jaki los spotkał inne dzieci?

Bovadin wpatrzył się w sklepienie. Prawda była w obrzydliwy sposób oczywista.

- Nie mieliśmy wyboru - stwierdził Biagio. - Nie mogliśmy pozwolić na to, by odkryto wyniki tych badań, szczególnie zaś musieliśmy się strzec Herritha. - Hrabia powiódł badawczym wzrokiem po współbiesiadnikach. - Nie oskarżajcie mnie o zbrodnię, przyjaciele.

Eksperyment miał szlachetny cel. Próbowaliśmy ocalić Arkusa, a być może i nas wszystkich, jak tu siedzimy. Wciąż się starzejemy, choć bardzo powoli. A gdyby nie ta dziewczynka, nie mielibyśmy oręża przeciwko Herrithowi.

- Gdzie to dziecko jest teraz? - spytał Nicabar.

- Zajął się nią diuk Enli. I to w zasadzie wszystko, co mogę wam powiedzieć.

- Rozmawiając ze mną, Enli nie zdradził się ani słowem - zdumiał się Nicabar.

-

Przebóg, przyjacielu, i ty ukrywasz przed nami takie sekrety? Nikomu z nas nie ufasz?

Biagio zrobił urażoną minę.

- Ależ ufam wam wszystkim, drogi Danarze. I mam dla ciebie szczególną misję, którą mogę powierzyć tylko tobie. Tym razem popłyniesz do Czarnego Grodu.

- Do Nar? - zdumiał się admirał. - Z listkiem miłosnym do Herritha?

- Owszem, do Herritha. Ale nie z listem miłosnym. Admirał zmarszczył brwi.

- Renato...

- Chcę, byś popłynął na „Nieustraszonym” w asyście kilku liniowców do Nar.

Mam dla biskupa wiadomość, którą trzeba mu doręczyć osobiście.

- Jaką wiadomość?

- List z prośbą o osobiste spotkanie, by zawrzeć pokój. Zdumieli się wszyscy, nawet Simon. Biagio powiódł wzrokiem po zebranych, uśmiechając się tak szeroko, jakby zwariował.

- Przyjaciele, to nie żart. Wyraźcie swoją opinię.

- Na tym polega twój plan? - spytał Bovadin z niedowierzaniem. - Chcesz nas poddać?

- Nie rozśmieszaj mnie - poprosił Biagio. Skinieniem dłoni polecił słudze, by ten napelnił mu puchar, a potem zaczął obracać naczynie w palcach. - Widzicie, to część mojego wspaniałego planu. Herrith się na to nie zgodzi. W końcu może ustąpi, ale z pewnością trzeba go będzie długo przekonywać. A my będziemy nalegali. I nie tylko słowami. Ugnie się wreszcie pod naporem naszych argumentów, ale w pierwszej chwili pomyśli, że jesteśmy słabi. A właśnie na tym mi teraz zależy. Resztę zrobią za mnie dziewczynka i Lisseńczycy.

- Ale dlaczego ja? - dziwił się Nicabar. - Czy tego listu nie może przekazać jeden z naszych agentów?

- Nie, ponieważ żaden z nich nie umie żeglować „Nieustraszonym” - stwierdził Biagio. - Tak naprawdę przekazesz dwie wiadomości. Jedna jest dla Herritha, druga dla Lisseńczyków. Chcę, by zobaczyli „Nieustraszonego”. Zależy mi na tym, by pomyśleli, że opuścił wody Crote.

Zdesperowany Nicabar potrząsnął głową.

- Renato, to, co mówisz, nie ma sensu. Dlaczego ci zależy na tym, by Lisseńczycy pomyśleli, że Crote została bezbronna? Czarna Flota jest pewnie jedyną przeszkodą, która ich wstrzymuje od napaści na wyspę. Poza tym myślałem, że chcesz, by nękali wybrzeża Imperium.

- I nie mylisz się - stwierdził Biagio. - Danarze, zaufaj mi.

Lisseńczycy będą nadal atakować Nar. Ale pozwólmy im myśleć, że my tu też jesteśmy bezbronni. Niech dojdą do wniosku, że zamierzamy wspomagać Imperium.

Wszystko to jest częścią mojego planu.

- A tak - mruknął Bovadin. - Twój „wspaniały plan”. Dla mnie nie ma w tym za grosz sensu. Chcesz, by nas tu wyrznięto? Jeżeli Czarna Flota stąd odpłynie, morze wokół Crote zamrowi się od lisseńskich szkunerów. Sam to wiesz, Renato. Winiąnas za tę wojnę, tak samo jak inni.

Biagio podniósł obie dłonie.

- Dość. Danarze, zrobisz to, o co cię proszę. Wyplyniesz za kilka dni. Ale nie zwracaj uwagi na Lisseńczyków i nie posyłaj ich na dno, rozumiesz?

Oszołomiony Nicabar kiwnął ponuro głową.

- Odpowiedz!

- Zrozumiałem.

Biagio uśmiechnął się promiennie.

- To dobrze. A teraz... - Podniósł widelec i przebił nim ostrygę. - Zjedzmy coś, przyjaciele.

Wieczory na Crote zawsze były ciepłe. Owszem, nadciągała zima, ale wyspiarze się tym nie przejmowali. Dmące od południa pasaty znad oceanu swym ciepłym tchnieniem odpędzały chłody, tak że na Crote przez cały rok kwitły kwiaty. Spacerujący po starych uliczkach podczas wiosennych wieczorów kochankowie słyszeli śpiew ptaków i egzotyczne owadzie kapele. Teraz jednak było nieco chłodniej i zamieszkujące wyspę stworzenia zapadły w sen. Simon, idący po nadmorskiej plaży przylegającej do pałacu Biagia, słyszał tylko monotony, kojący pomruk oceanu. Jego Mistrz szedł kilka kroków z przodu, brodząc po płycznach i mocząc w nich buty. Obaj mieli brzuchy pełne ostryg i pieczeni z kaczki, żadnemu z nich nie chciało się rozmawiać. Było już dość późno. Nawet księżyc zaczął się chylić ku horyzontowi. W pewnej chwili jego tarczę przesłoniła

chmura, oblekając morze mrokiem. Simon czuł, że zaczynają mu ciążyć powieki. Liczył na to, że uda mu się zobaczyć z Eris, kolacja jednak się przeciągnęła, a potem Biagio zaproponował wspólny spacer.

Spacerowali po plaży przez ponad godzinę, rzadko wymieniając więcej niż jedno słowo. Mistrz wyglądał na strapionego. Od czasu do czasu sięgał upierścienioną dłonią ku wodzie, wyciągał jakiś kamyk czy muszlę, potem rzucał je niedbale w morze, przeważnie jednak spacerował, powoli, bez celu - Simon zaś zastanawiał się, jakie też plany dojrzewają w jego głowie.

- Simonie? - zawołał wreszcie hrabia przez ramię.

- Jestem, mój panie.

- Trochę się zmęczyłem, ale jeszcze nie chce mi się wracać. Znasz to uczucie?

Simon wzruszył ramionami. Nie wiedział, ku czemu hrabia zmierza.

- Owszem, myślę, że tak.

- Piękna noc, nieprawdaż?

Kolejne nic nie znaczące stwierdzenie.

- Bardzo piękna.

- Podejdź bliżej - polecił Biagio. - Przejdźmy się razem.

Simon zrobił, co mu kazano. Szli po plaży, mocząc buty w wodzie, a Biagio badał wzrokiem horyzont. W ciemnościach tu i ówdzie majaczyły sylwetki okrętów Czarnej Floty.

Na wschód od nich rozciągała się zatoka i Simon widział światła Galamier - miasta, w którym się urodził i w którym nauczył się skrycie przeszukiwać cudze kieszenie. Tej nocy w Galamier nie zapalono zbyt wielu latarni, ale nad miasteczkiem unosiła się łuna rudawej poświaty. Simon przez chwilę patrzył i nagle odkrył, że melancholia Biagia udzieliła się i jemu.

- Oni chyba we mnie zwątpili - rzekł Biagio. Simon lekko się skrzywił.

- Wystawiłeś ich, panie, na ciężką próbę. Nie znają cię tak dobrze, jak ja.

- Owszem - zgodził się Biagio. - Ale widzisz, mam plany. Wielkie plany dotyczące Herritha i tego psa, Vorta. Nie mogę ich ot tak, po prostu zabić, jak sugerował Bovadin, bo to niczego nie rozwiąże. Herrith zginie, my zaś wciąż będziemy uwięzieni tu, na Crote. Tron obejmie którykolwiek z naszych wrogów. Musimy zniszczyć ich

wszystkich.

- Jak zawsze masz rację, Mistrzu - przyznał Simon.

- Obecnie mam w Nar wielu wrogów, Simonie.

- I równie wielu przyjaciół.

Biagio zachichotał.

- Z każdym dniem mniej, drogi Simonie. Dowodem choćby śmierć Lokkena. - Twarz hrabiego stwardniała. - Z Talistanem też trzeba się będzie rozprawić. Nie pogodzą się z myślą, że mam zasiąść na tronie Arkusa. Tassis Gayle jest podobny do Herritha.

Uważa, że jestem zbyt zniewieściał.

- Obaj są głupcami, Mistrzu.

- Owszem. - Biagio kopnął piasek. - Diuk Lokken był dobrym człowiekiem.

Lojalnym. Wiedział, co znaczy Czarne Odrodzenie, wiedział, jakie były ideały Arkusa. Zginął jak bohater. Nigdy o nim nie zapomnę.

- Zostanie pomszczony, mój panie.

- Z pewnością - stwierdził Biagio. Odwróciwszy się do Simona, położył mu obie dłonie na ramionach. - Simonie, spójrz mi w oczy.

Simon spojrzał. Oczy Biagia były niezwykle jasne.

- Tak?

- Cokolwiek usłyszysz od innych, cokolwiek sobie pomyślisz o moim planie, zapewniam cię, że wszystko pójdzie tak, jak przewiduję. Nie zamierzam zabić tylko Herritha. Chcę dostać jego samego wszystkich sykofantów, którzy się czepiają krawędzi jego habitu. Kiedy odzyskamy dawne pozycje, nie będzie nikogo, kto stanie nam na drodze, bądź się sprzeciwi. Nie będzie już Herritha i jego Kościoła, ani Vorta i jego legionów. Mój wielki plan obejmuje pozbycie się ich wszystkich. Nasi wrogowie zostaną wytraceni co do jednego.

- Wierzę ci, mój panie - odpowiedział Simon. - Naprawdę ci wierzę.

- Widzę jednak troskę w twoich oczach. Myślisz, że pozwalam Lisseńczykom atakować Nar do woli. Otóż powiem ci, że i to jest częścią mojego planu.

Rozumiesz?

Simon uśmiechnął się lekko.

- Nie potrafię przewidywać wydarzeń tak jak ty, Mistrzu. Ale jeżeli to część

twego planu, wierzę ci bez zastrzeżeń.

Twarz Biagia złagodniała.

- Dziękuję, przyjacielu.

Simon poczuł, że wzbiera w nim odwaga, choć nagle zaschło mu w ustach. Zaczął mówić, gdy Biagio zawrócił ku swej willi. „Teraz! - ponaglił się w duchu. - Zrób to teraz!”

- Mój panie... - odezwał się drżącym głosem.

- Mmm?

- Mogę prosić o łaskę?

- Ależ tak!

Simon pospieszył, by zająć swoje zwykłe miejsce, o krok za hrabią. W myślach raz jeszcze sformułował prośbę. Miał zamiar poprosić o rzecz niemal niemożliwą - ale przecież on i hrabia byli przyjaciółmi.

- Simonie - ponaglił go Biagio. - Przestań kręcić i powiedzże wreszcie, o co ci chodzi.

Simon oblizał wargi.

- O Eris, mój panie. Hrabia zwolnił kroku.

- Tak?

- Widzisz, Mistrzu... bardzo ją polubiłem.

- Wiem. - W głosie arystokraty pojawiła się nutka znajomej Simonowi zazdrości.

- Panie... niełatwo mi prosić o to, czego chcę. - Simon zatrzymał się i wbił spojrzenie w piasek. Biagio też przystanął i bystro popatrzył na sługę.

- Zacząłeś, to skończ - Biagio raz jeszcze ponaglił Simona. - Wyjaw mi swoje pragnienie.

Młodzieniec wyprostował się i spojrzał hrabiemu w oczy.

- Mój panie, kocham Eris. Pokochałem ją w dniu, w którym ją tu sprowadziłeś.

Chcę jej. Chcę, by została moją żoną.

Oczekiwał wybuchu złości, ten jednak nie nastąpił. Twarz Biagia przez chwilę była spokojna, a potem zamiast gniewu oblókł ją smutek. Przez chwilę Simon myślał, że hrabia się rozplacze. A potem Biagio uciekł ze spojrzeniem w bok.

- Tego się nie spodziewałem - stwierdził arystokrata. - Jestem... - Milczał przez

chwilę, szukając odpowiedniego słowa. - Zaskoczony.

- Panie, wiem, że proszę o wiele. Wiem, że to wbrew tradycji. Ale ja jąkocham.

-

Simon pochylił głowę, a potem, nieoczekiwanie dla samego siebie, przykląkł na jedno kolano.

Ujął zimną dłoń hrabiego i złożył na niej pocałunek. - Błagam, mój panie. Daj mi Eris.

Służyłem ci wiernie, lojalnie i nigdy cię nie opuszczę. A ciebie darzę gorącym uczuciem...

Biagio lekko się skrzywił.

- Ale tę tancerkę kochasz bardziej. Wstawaj, Simonie. Robisz z siebie widowisko.

Simon wstał, ale głowy nie podniósł. Biagio odwrócił się do niego plecami. Przez długą chwilę hrabia patrzył gdzieś w dal, pozwalając, by lekki wietrzyk muskał jego złote włosy. Fale nadpływały i odpływały, a Biagio stał bez ruchu, jak jeden z posągów w jego pałacu, zimny i niedostępny ludzkim uczuciom.

- Simonie - odezwał się na końcu. - Zrobię to dla ciebie. Zrobię, ponieważ jesteś mi drogi. Wiesz o tym? Wiesz, jak bardzo jesteś mi drogi?

Simon wiedział.

- Tak, panie.

- Eris jest moim największym skarbem, należy do mnie. W całym Imperium nie ma drugiej takiej tancerki. Ale daję ci ją, Simonie. Dla ciebie złamię tradycję Roshannów.

- Dziękuję, mój panie. To naprawdę wielka łaska... Biagio odwrócił się twarzą do młodzieńca.

- W zamian jednak ty musisz zrobić coś dla mnie. Odpowiedź padła natychmiast.

- Wszystko, co zechcesz, mój panie. Zrobię to z największą chęcią.

- Wrócisz na Lucel - Lor. Znajdziesz Richiusa Vantrana. I porwiesz dla mnie jego córkę.

- Co takiego?

- Otóż to, Simonie. To moja cena za tę kobietę. Przywiedź mi córkę Szakala.

- Ależ, mój panie, Vantrana otaczają strażę. Nie zdołam do niego dotrzeć. W

żaden sposób...

- Mój przyjacielu, zbyt nisko siebie oceniasz - zaśmiał się Biagio. - Możesz tego dokonać. Jesteś moim najlepszym człowiekiem, jedynym, który się do tego nadaje.

Wkradnij się w laski Vantrana. Niech ci zdradzi swoje plany. Spraw, by ci zaufał. A potem, kiedy przestanie się strzec, porwij mu dziecko.

- Ale po co? - wyrzucił z siebie agent. - Mistrzu, po co ci to dziecko? To jeszcze mała dziewczynka...

- Chcę tego, czego chciałem od dawna! - zagrział Biagio. - Chcę, by Vantran cierpiał. Odebrał mi Arkusa! Odbiorę mu więc to, co najbardziej ukochał. To zwykła sprawiedliwość Simonie, nic więcej.

Simon opanował się z najwyższym trudem. To, czego od niego żądano, było szaleństwem, i nie miało nic wspólnego ze sprawiedliwością, nie mógł jednak powiedzieć tego na głos. Nie teraz. Eris prawie już należała do niego. Będą się mogli pobrać. Biagio wyraził zgodę.

- Mój panie, nawet jeżeli zdobędę jego zaufanie i porwę dziecko, jak zdołam z nim tu dotrzeć? Lucel - Lor jest daleko stąd.

- Na Lucel - Lor zabierze cię jeden z okrętów Czarnej Floty. Potem okręt ten zostanie, by patrolować triińskie wody. I zostanie tam, aż dasz mu znak, że wracasz.

„Wszystko obmyślił już wcześniej”. Myśl, która przemknęła Simonowi przez głowę, pełna była gniewu i goryczy. „Otóż i mistrz marionetek...”

- Mój panie - odezwał się ostrożnie, starannie dobierając słowa. - Zechciej to jeszcze przemyśleć. Chęć zemsty na Vantranie zaćmiewa ci umysł. Są inne, ważniejsze niż ta sprawa.

Herrith i Vorto...

- W swoim czasie dostaną to, co im się należy! - uciął hrabia. - Vantran jednak już dawno powinien dostać nauczkę. Czas już, by poznał mój gniew. Czas już, by zaczął cierpieć.

Czas, by zaczął płacić za to, co zrobił. - Biagio przysunął twarz do twarzy Simona tak, że ich nosy niemal się zetknęły. - Simonie, on zabił Arkusa. Zdradził go, a imperator umarł przez tę właśnie zdradę. Wszystko z powodu przewrotnej kobiety. Teraz odbiorę mu owoc tego przekłętego związku. Odbiorę! Klnę się imieniem Arkusa!

Simon stał i ani drgnął.

- Zrobisz to dla mnie - ciągnął hrabia - a ja w zamian dam ci tę tancerkę.

Taka będzie umowa. Zgadzasz się?

- Tak - odparł Simon ze smutkiem w głosie. Było to jedyne słowo, jakie zdołał wymówić, zanim zawiódł go głos.

- Wyjedziesz za kilka dni - oznajmił Biagio. - A ja do tego czasu zaopiekuję się Eris.

Z tymi słowami hrabia odwrócił się od sługi i odszedł, zostawiając go na pustej plaży.

Pięć KRÓLEWSKIE SUMIENIE

Falindarska cytadela stała na nadmorskich skałach, wyrastając wprost z kamienistej gleby. Na rozległych połaciach Lucel - Loru nie było drugiej budowli równie wysokiej i wspaniałej, i równie znanej. Od stuleci stała na zboczu, z równą obojętnością znosząc wojny i trafiające się tu niekiedy huragany. Była siedzibą królów Lucel - Loru - długiej linii triińskich wielmożów, którzy zwali siebie daegogami. Daegogowie początkowo rządzili Lucel - Lorem z Falindaru, kąpiąc się w bogactwie pochodzącym z nakładanych na lud podatków; potem patrzyli bezradnie, jak plemienni wodzowie rozrywają kraj pomiędzy siebie, walcząc zaciekle o sporne terytoria. Z nastaniem tych ostatnich, daegogowie stali się po prostu marionetkami najpotężniejszych z nich, aż w końcu przepadł ostatni przedstawiciel chciwego i żądnego władzy rodu. Na Lucel - Lorze zostali jedynie plemienni wodzowie i ich poddani.

Falindar jednak przetrwał. Jak pamięć o daegogach, cytadela się ostała i w dniach pokoju wodzowie zaczęli szukać w niej pomocy, rady, i prosili o przysługi człowieka, który uczynił to miejsce swoim domem. Nowy pan Falindaru zajął to miejsce nie bez wewnętrznych oporów. Niestety, po śmierci poprzedniego władcy, innego wyjścia po prostu nie było.

Richius znał kroniki Falindaru. Znał też osobiście niemal wszystkich wodzów, wspólnie z nimi odpierał najazd Narenów i patrzył, jak z woli Imperium giną jego najbliżsi przyjaciele. Nowy władca Falindaru, Lucyler, był najlepszym z jego przyjaciół, aż w końcu stali się sobie braćmi. A jednak teraz, mimo że od wojny minęły długie miesiące, Richius nie rozumiał Triinów lepiej niż przedtem. W swojej ojczyźnie, Aramoorze, był królem.

Niezbyt wielkim, ale jednak królem. Miał służbę, obowiązki, a każdy dzień niósł z sobą jakieś wyzwania, które sprawiały, że czas mijał szybko i niepostrzeżenie. Nie cierpiał tytułu i tego wszystkiego, co się z nim wiązało, a co spadło na niego ze śmiercią ojca - a jednak w jakiś nieuchwytny sposób wszystko to określało jego życie. Dawało mu też cel.

Wszyscy mężczyźni musieli do czegoś dążyć. Tak uczył go ojciec i ta

świadomość towarzyszyła Richiusowi, dokądkolwiek się udał i cokolwiek robił. W Falindarze jednak dni ciągnęły się nieznośnie, a noce były wprost nie do wytrzymania. Młody człowiek znaczył tu niewiele więcej, niż jeszcze jedna z zamkowych atrakcji. Owszem, był Kalakiem, Szakalem z Nar i narodowym bohaterem, ale jego triińscy przyjaciele przestali go zauważać, albo go już wręcz nie potrzebowali. W ciągu pierwszych miesięcy po zwycięstwie nad Narenami Richius wracał do zdrowia, odpoczywał i przybierał na wadze. Patrzył, jak rośnie jego córeczka, rozmyślał o tym, co też się dzieje w Imperium, ale w zasadzie żył na uboczu.

Lucyler zajął się odbudową doliny Dring i innych miejsc spustoszonych przez wojnę, rzadko więc miewał czas dla swojego nareńskiego przyjaciela. Richius Vantran obserwował to wszystko z zazdrością, pamiętając, jak sam lubił ruchliwe życie pełne obowiązków. Pomagał mu jak mógł, pilnując załadunku wozów pełnych zboża i patrolując tereny wokół Falindaru, nieustannie jednak dręczyło go uczucie, że właściwie stoi na uboczu.

Większą część dnia spędzał z Shani, leniuchując godzina za godziną. Dziewczynka wiodła szczęśliwe życie rozpieszczanej jedynaczki. Była córką Kalaka i niczego jej nie brakowało, Richius zaś zastanawiał się, na jaką kobietę wyrośnie. Jej twarzyczka częściowo przypominała rysami twarz ojca, co różniło ją od triińskich rówieśniczek, nigdy jednak nie miała odwiedzić Nar, by odkryć drugą połowę swego dziedzictwa. Aramoor tkwił pewnie w łapach Imperium. Dopóki nie zdarzy się jakiś cud, dziewczynka nigdy nie zobaczy miejsca, które jej ojciec nazywał domem. Zadba już o to sam Biagio. Złoty hrabia zachował swoje wpływy nawet na wygnaniu. Aramoor był teraz rządzony przez Talistańczyków, jak przedtem, zanim niewielki naród zerwał okowy poddaństwa. Na miejsce Gayle'a z Czarnej Kniei gubernatorem wyznaczono Elrada Letha, który rządził krajem z pomocą bata i pięści.

Richius nie znał go za dobrze, ale słyszał o jego reputacji. Pod jego rządami Aramoorczykom z pewnością nie wiodło się najlepiej.

Ten dzień był bardzo podobny do innych dni, spędzonych przez Richiusa w Falindarze. Rankiem obserwował Dyanę, jak próbowała nauczyć Shani pierwszych zdań z języku Triinów. W końcu Shani wygulgotała coś, co Dyana uznała za słowo „mama”.

Richius popadł w melancholię i ruszył na konną przejażdżkę. Przed wyjazdem

wymusił na Dyanie obietnicę, że razem z córeczką pozostaną w cytadeli aż do jego powrotu. Dyan nie była z tego zadowolona, ale w końcu wyraziła zgodę.

Teraz od ponad godziny jechał ogrzewany skąpymi promieniami popołudniowego słońca, obserwując barwny jesienny spektakl północnego Lucel - Loru. W końcu dotarł do leżącego na wschód od Falindaru starego lasu, w którym drzewa miały twardą niczym kamień korę i splątane gałęzie. Tu właśnie zostawił Karlaza jego rozpaczy, po tym jak władca lwów musiał zabić jedno ze swoich zbuntowanych zwierząt. Po tym wypadku Karlaz nie wrócił do cytadeli i pozostał w kniei.

I być może to właśnie skierowało Richiusa do lasu. Choć był samotny, właściwie nie samotności poszukiwał. Popędził konia w głąb lasu, obok wioski, gdzie lew zaatakował farmę, aż w końcu dotarł do łańcucha wzgórz, na którym z Lucylerem zostawili Karlaza.

Zaledwie znalazł się pomiędzy nimi, usłyszał głos lwiego mistrza - a nie było sposobu, by pomylić jego głos z innymi - śpiewającego jakąś pieśń. Była to dziwnie radosna, choć monotonna pieśń, i Richius podążył za nią, mając nadzieję, że nie przeszkodzi wodzowi w niczym ważnym. Kierując się głosem Karlaza, trafił na polankę przy niezbyt głębokim leśnym jeziorcu, gdzie Karlaz, z mokrymi i ubłoconymi włosami, klęczał w przybrzeżnym mule i nabierając wodę w złożone dłonie, chlustał nią sobie w twarz. I śpiewał.

Richius zatrzymał konia pomiędzy drzewami i z bezpiecznej odległości obserwował dziwny rytuał wykonywany przez wodza. Karlaz ciągnął swą pieśń i trzy razy jeszcze oblewał się wodą.

Skończywszy, położył obie dłonie na ziemi, uderzył o nią czołem, a potem ze czcią pocałował. Dopiero wtedy podniósł głowę. Nie odwrócił się, lecz wciągnął powietrze w płuca, wężąc jak zwierzę.

- Kalak? - domyślił się. Richius się skrzywił.

- Tak - odparł w języku Triinów. Formułował słowa powoli i z wysiłkiem, jak zawsze, kiedy mówił językiem gospodarzy. - Przykro mi, Karlazie, nie chciałem ci przeszkadzać.

- Wcale mi nie przeszkadzasz. Skończyłem już modły. - Wódz zachichotał. - Ale nie umiem rzec, czy bogowie mnie usłyszeli.

- Jednego się w życiu nauczyłem, przyjacielu - stwierdził Richius. - Bogowie rzadko kiedy słuchają. - Rozumiał większość z tego, co mówił wódz, wypełniając resztę wyobraźnią. - Jeżeli chcesz, zostawię cię samego.

- Kalak, przyjechałeś aż tutaj, by mnie odszukać?

- Owszem.

- Dlaczego?

Richius zeskoczył z siodła. Karlaz wciąż się nie odwracał.

- Bo chciałem z kimś porozmawiać - stwierdził Richius. - Dręczy mnie niepokój.

- I wybrałeś właśnie mnie... - To zaciekało wodza tak, że odwrócił wreszcie głowę. Na jego twarzy gościł osobliwy uśmiech. - Ale ja nie jestem mądrą wioskową staruchą. Więc dlaczego?

- Sam nie wiem - odpowiedział Richius, wzruszając ramionami. - Może dlatego, że nikt inny nie chce mnie słuchać, ani zrozumieć. Czuję...

- Niepokój. Tak powiedziałaś. Chodź. - Karlaz poklepał ziemię obok siebie. - Usiądź.

- W tym bloku? - skrzywił się Richius. Wódz ponownie zaprosił go gestem, by usiadł.

- Kalaku, od dawna ci się przyglądam. Żyjesz wśród nas, ale jeszcze nie stałeś się Triinem. Chodź, czegoś cię nauczę.

Richius, nie bez oporów skacząc po kamieniach, dotarł do miejsca obok wodza, gdzie ponaglony ukląkł w błocie. Jego kolana natychmiast zapadły się w muł, a przez skórzane spodnie do butów zaczęły mu się sączyć strużki wody.

- I co teraz?

- Sza! - uciszył go Karlaz. - To oczyści twój umysł. Ale musisz się uspokoić.

Wy, z Nar, nie znacie wewnętrznego spokoju. Nie słuchacie ciszy. - Karlaz znów złożył dłonie. - Rób to, co ja - powiedział. - O tak, dobrze... - Zanurzył dłonie, aż napelniły się wodą i patrzył, jak Richius robi to samo. Ale kiedy wódz chlusnął sobie zimną wodą w twarz, Aramoorczyk się zawahał.

- Wodzu, ja nie jestem przesadnie religijny. Nie chcę się modlić.

- Sza! - ponownie uspokoił go Karlaz. - To nie modlitwa. Nie. To dla ciebie, nie dla bogów. Robiąc to, stajemy się ośrodkiem świata.

Wszystko to było dla Richiusa niezrozumiałą bzdurą, zrobił jednak to, o co prosił wódz, i podniósłszy dłonie do twarzy, zalał ją sobie wodą. Jak się tego zresztą spodziewał, nie odczuł niczego, prócz zimna, ale trzykrotnie za Karlazem powtórzył całą ceremonię.

Zerknąwszy ukradkiem na lwiego jeźdźca, zobaczył, że ten ma oczy zamknięte, a na twarzy wyraz skupienia i kontemplacji.

- Co my robimy? - spytał szeptem.

- Zespalamy się z ziemią - odpowiedział Karlaz. - Jednoczymy się z glebą i wodą.

Patrząc w niebo, stajemy się jego częścią. Spójrz w niebo, Kalaku. Otwórz oczy i spójrz - zachęcił go wódz.

Richius spojrział. Ponownie chlusnął sobie wodą w twarz i starając się nie mrugać, popatrzył na rozmazany błękit nieba. Poczul zawrót głowy i zachichotał.

- Dobrze! - pochwalił go Karlaz. - Widzisz? Jesteś teraz częściąziemi. Należysz do natury. A teraz zaśpiewaj razem ze mną.

I znów zaczął monotony śpiew, trącając łokciem Richiusa, by ten się do niego przyłączył. Richius zaczął pieśń, początkowo nieśmiało i cicho, a potem - wczuwając się w niezwykły nastrój chwili - coraz głośniej i śmielej. Wszystko to było oczywiście wariactwem, ale jemu się spodobało. Dobrze było czuć się częściąnatury - wyobraził sobie, że woda go oczyszcza, unosząc wszelkie jego minione grzechy. Śpiewał z wodzem, a gdy ten umilkł, Richius grzmiał dalej i głośniej, aż z drzew zerwały się ptaki, a jego pieśń przekształciła się nagle w pełen bólu, oczyszczający duszę krzyk.

Gdy wykrzyczał cały swój gniew, rozczarowanie i strach, otworzył oczy i spojrział przerażony na Karlaza. Władca lwów patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jesteś zakłopotany - mruknął wreszcie wódz.

Richius oddychał ciężko, jak po drugim, wyczerpującym biegu.

- Tak... Tak...

Nie mógł znaleźć innych słów. Był więźniem swoich wspomnień. Przez myśl przemknął mu piękny, zielony Aramoor, a potem nagle ujrzał patrzącą martwymi oczami ze szkatułki głowę Sabriny. Dar Biagia. Nigdy przedtem jej nie kochał, ale teraz rozumiał, że darzy ją miłością, i poczuł strach, że ona nigdy się nie uciszy i zawsze już będzie patrzyła na niego z wyrzutem w oczach. Podniósłszy dłonie do twarzy, zakrył

oczy w nadziei, że zdoła jakoś zetrzeć te obrazy spod powiek, wiedział jednak, że zawsze będą trwały w jego pamięci.

- Karlazie - odezwał się drżącym głosem. - Jestem tu sam, podobnie jak ty. Obcy w Falindarze.

Wódz ujął w palce podbródek Richiusa i pociągnął go ku sobie.

- Nie jesteś sam, Kalaku. Słyszysz? Kalak nigdy nie będzie sam. Masz żonę i córkę. Widziałem je z tobą. - Uśmiechnął się niespodziewanie łagodnym i przyjaznym uśmiechem. - Kalak nie jest sam.

- Dyana... - Richius kiwnął głową. - Tak, jest cudowna. Kocham ją, ale ona mnie nie rozumie. Ona nie wie, przez co przeszedłem i przechodzę.

Uśmiech wodza się pogłębił.

- Mężczyźni zawsze mówią o kobietach, że one ich nie pojmują. Wśród Triinów jest tak samo. A powinni pilniej wsłuchiwać się w słowa żon. Kobiety wiedzą więcej, niż myślisz.

Richius kiwnął głową. W tym geście było sporo rezygnacji.

- Owszem. Aleja próbowałem z nią porozmawiać... tylko, że ona mnie nie słucha.

Nie chce słuchać tego, co jej muszę powiedzieć. Dla niej to po prostu kolejna zła wiadomość.

Wódz zmrużył oczy i spojrzał na niego uważnie.

- Obserwowałem cię, Kalaku. Widziałem cię w działaniu i słyszałem, co mówią o tobie inni. Wiem, że byłeś przedtem żonaty. Dyana nie jest twoją pierwszą żoną.

Wiesz, strażnicy lubią sobie pogadać. Mówią, że jesteś tu nieszczęśliwy, a twoje serce łaknie krwi oraz zemsty. W nocy spacerujesz samotnie po dziedzińcu. Widziałem cię.

Wszystko to było prawdą, której Richius nie mógł się wyprzeć. Nocne przechadzki były próbami przepędzenia demona, który zawsze nawiedzał go we śnie.

Przenikliwość wodza sprawiła, że nagle poczuł się zagrożony. Wstał z błota, wytarł kolana, dłonie zaś oczyścił o spodnie. Karlaz spojrzał na niego z dołu, sam się jednak nie podniósł.

- Przeszkodziłem ci - odezwał się Aramoorczyk. - Przepraszam. Już sobie idę.

Odwrocił się i rzeczywiście odszedł. Był już niemal przy koniu, gdy dopadł go

głos Karlaza.

- Teraz Kalak ucieka - stwierdził wódz. - Ale nadal nie wie, co ze sobą zrobić.

Richius się odwrócił.

- Karlazie...

- Tak?

- Niełatwo mi o tym mówić. Karlaz nie odrywał od niego spojrzenia.

- Jeżeli odejdziesz, nadal zostaniesz zagubiony i zdesperowany. Potem powiesz żonie, że jesteś zagubiony i zdesperowany, i oboje wpadniecie w złość. Przyszedłeś, by mówić.

Mów. Ja cię wysłucham.

Było to dość osobliwe zaproszenie, ale ze wszystkich plemiennych wodzów, znanych Richiusowi, jedynie Karlaz wydawał się go rozumieć i był mu pokrewną duszą. Może dlatego inni unikali jego towarzystwa - wszystko go od nich różniło. Stojąc pomiędzy sadzawką i koniem, Richius zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nie umiał znaleźć żadnego konkretnego powodu, dla którego szukał towarzystwa lwiego wodza. Po prostu chciał znaleźć towarzysza.

A Karlaz - co Richiusa mocno zdumiało - potrafił niemal czytać w jego myślach.

Wódz wstał z kolan i podszedł do Narena.

- Lucyler to dobry człowiek - powiedział. - Ufam mu. Ale teraz jest zajęty wielkimi sprawami. Inni wodzowie szukają u niego rady, jak mają rozstrzygać te swoje głupie swary.

Zajmują mu czas głupstwami i braknie mu go dla ciebie. A to z kolei odbiera ci ochotę na rozmowę.

Richius parsknął śmiechem. Karlaz wydał mu się nagle czarodziejem.

- Tak - przyznał. - Myślę, że trafiłeś w sedno. Czuję się tu samotnie. Nie jestem Triinem... i nie ma tu dla mnie miejsca. I jeszcze... - Zatrzymał się niepewny, czy ma mówić dalej.

Wódz przechylił głowę na bok.

- I jeszcze?

- Mam sny - wyznał Richius. - Złe sny. O domu. O mojej pierwszej żonie, Sabine.

Wszystko to tkwi we mnie i z krzykiem wrywa się na zewnątrz. Nie należę do tej ziemi. Od zakończenia wojny nie zrobiłem niczego dla mego ludu w Aramoorze. Oni myślą, że ich zdradziłem, i chyba mają rację. Sabrinę zaś zabito z mojego powodu. - Uciekł wzrokiem w bok, przestraszony własnymi wyznaniem. - Karlazie, ciąży na mnie klątwa. Giną wszyscy, którzy mi zaufają, a mnie śmierć nie tyka. To moje przekleństwo - żyć, kiedy wszyscy wokół umierają. Karlaz zmarszczył brwi.

- Narenie są przesądni. Klątwy i omeny... ot, bzdury. Nie powinieneś w ogóle tak mówić. Kalaku, znam historię twojej żony, i wiem, jak ją skrzywdzili. Wielka jest twoja żądza zemsty i masz prawo czuć gniew. Tak się godzi prawemu mężczyźnie.

- Ale słyszę krzyki, Karlazie. Czasami nie mogę myśleć o niczym innym. Muszę coś zrobić dla Aramooru i pomścić to, co zrobili Sabrinie.

- Przecież ją pomściłeś - stwierdził Karlaz. - Słyszałem opowieści o człowieku z żelazną twarzą, tym, którego zwali Gayle. Pokonałeś go w pojedynku i zabiłeś.

Pomściłeś ją, Kalaku. Nie można zabić człowieka dwa razy.

- A bardzo bym chciał. - Richius splunął. Wiele by dał za to, by raz jeszcze powtórzyć tamtą chwilę. Często wspominał, jak jego miecz przejechał po krtani Gayle'a, i sycił pamięć widokiem zaskoczenia w oczach mordercy żony. Ale pan z Czarnej Kniei był tylko pionkiem, marionetką w ręku Biagia. Gayle zginął, a Biagio pozostał przy życiu... i miał jeszcze odpowiedzieć za swoje zbrodnie. - Jest jeszcze jeden - wyjaśnił Karlazowi. - Ten, który kazał ją zabić. Wiem, że nie znasz Narenów, ale uwierz mi na słowo - to istny diabeł.

Jest nareńskim szlachcicem. Był najbliższym doradcą imperatora, zanim ten wyzionął ducha.

Nazywa się Biagio.

Karlaz zrobił niemały wysiłek, by wypowiedzieć imię wroga Richiusa.

- Bijagio? - zdołał rzec. - Niedobry człowiek?

- O, powiedzić, że jest niedobry, to za mało. Jest zły do szpiku kości. Czy wy, Triinowie, wierzycie w istnienie piekła? On jest czartem, który wyrwał się z piekielnych czeluści, mogę to przysiąc. Rozkazał zniszczyć mój dom ogniem i mieczem, a kraj oddał we władzę tym draniom z Talistanu.

Karlaz splótł na piersi potężne ramiona.

- Gdzie jest ten Bijagio? - warknął. - Gdzieś w Imperium?

Richius wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wiadomości, jakie ostatnio miałem z Nar, nie są pewne, ale podobno został wygnany. Po śmierci Arkusa w Nar rozpętał się chaos. Biagio musiał uciekać i teraz jest pewnie na swojej wyspie. W Nar włada teraz biskup... święty mąż, kapłan.

Nie jest przyjacielem Biagia, ale moim też nie. - Richius westchnął. - Nie mogę ci tego wyjaśnić, musiałbyś zobaczyć, żeby uwierzyć, ale w Nar władają źli ludzie. Nie okrutni, czy podli, ale prawdziwie źli. Mają czarne dusze, rozumiesz? Czarne jak śmierć. Trzeba ich zniszczyć.

Karłaz spojrział na Richiusa tak, jakby oceniał wojownika przed walką.

- I to ty masz ich zniszczyć?

- Może i ja - odpowiedział Richius. - Dlaczego nie?

- Jeden człowiek przeciwko całemu Imperium. Brzmi to jak kruczata idioty.

Jesteś przecież banitą w Nar, nie pamiętasz? Pokaż tam tylko nos, a zadyndasz na stryczku. Twoja żona zostanie wdową, a córeczka sierotą. Czy nie lepiej zostać tutaj, jako bohater?

- Nie będę sam. Pójdę z Lisseńczykami. Przyłączę się do ich walki.

- Lisseńczycy porzucili już nasze wody. Nie przyplływają już na Lucel - Lor.

- Może jeszcze wróca. Tak powiedział ich wódz. Obiecał, że jeżeli zechcę, będę mógł popłynąć razem z nimi.

- A ty co mu odpowiedziałeś? - spytał Karłaz, robiąc przy tym minę, jakby z góry znał odpowiedź.

- Powiedziałem, że jeżeli będzie trzeba, to im pomogę. Możesz to przecież zrozumieć, Karłazie. Pomogłeś innym Triinom walczyć z Narenami, bo najechali twój kraj.

Gotów byłeś na śmierć. A ja co, mam stchórzyć?

- Kalaku, to inna sprawa.

- Dlaczego? - spytał Richius. - Powiedz mi, czym obrona Aramooru różni się od obrony waszych wiosek?

- A jednak się różni - odparł wódz. - Nie będę się z tobą spierał. - Westchnął, a na jego twarzy pojawił się smutek. - Za wiele myślisz, Kalaku. Powinieneś częściej mówić

do nieba.

Przez chwilę Richius myślał, że Triin z niego drwi.

- Mówić do nieba? Co to znaczy?

- U nas, w Chandakkarze, kiedy jakiś mężczyzna ma kłopoty, mówi do nieba.

Udaje się na pustkowie, takie jak tutaj. Musiałem przemyśleć kilka spraw.

Mówiłem do nieba.

„Do błota, wody i drzew też” - pomyślał Richius z drwiną.

- Karlazie, nie rozumiem. Chcesz, żebym odszedł? Mam opuścić Falindar?

- Na jakiś czas, tak. Przemów do nieba. Posłuchaj, co ono ci powie. - Rosły wódz tknął Richiusa palcem w pierś. - I posłuchaj tego, Richiusie. Swego serca, Kalaku. Swego serca.

Dyana Vantran miała zaledwie dwadzieścia lat, ale w swoim krótkim życiu widziała już niejedno. Urodziła się jako córka zamożnych rodziców, wychowano ją jak arystokratkę, nauczono języka Imperium Nar, a potem poślubiono mężczyźnie, który zabił jej ojca. Była zbiegiem, prostytutką, symbolem pogardy, a kilku ludzi popełniło dla niej szaleństwo.

Przeżyła dwie pustoszące kraj wojny. Ze wszystkich jednak wcieleń odpowiadało jej jedynie obecne - żony Richiusa Vantrana i matki jego córeczki, Shani. Pobyt w Falindarze uczynił ją szczęśliwą. Ale mimo najlepszych chęci, nie mogła zrozumieć, dlaczego Richius nie jest szczęśliwy jak ona.

Pamiętała jak to jest, kiedy człowiek kładzie się spać o pustym brzuchu, i choćby tylko dlatego rada była obfitości pożywienia w Falindarze. Nikt w cytadeli nie głodował - a już na pewno nie Shani - i byli tu bezpieczni przed kapryсами woli plemiennych wodzów.

Lucyler świetnie się spisywał w roli władcy Falindaru i, ze względu na łączącą go z Richiusem przyjaźń, dbał, by jego rodzinie na niczym nie zbywało. Cieszyli się też szacunkiem mieszkających tu ludzi, dla których młody Naren był bohaterem. On jednak patrzył na wszystko inaczej, co często złościło Dyane. Podczas kilku ostatnich miesięcy coraz częściej przyłapywała go na tym, że błądzi myślami gdzieś daleko, pograżając się w smutku.

Dyana wiedziała, że tęskni za morzem i lisseńskimi szkunerami. Nadal był

dobrym i czułym ojcem, Dyana jednak widziała, że coś się w nim zmienia. Pokochała człowieka o młodzieńczym wdzięku i niewinności i czasami tego jej w nim brakowało. Richius jakby zamykał się w sobie. Był spokojny, ale rzadko się do niej odzywał, i mogła tylko zgadywać, co też się dzieje w jego głowie. W pierwszym okresie małżeństwa mogła w nim czytać jak w książce, ale nie teraz. Zbudował wokół siebie mur, którego nie mogła pokonać.

Nawet kochali się w milczeniu.

Tej nocy, kiedy Richius wrócił wreszcie do cytadeli, Dyana już spała. Było późno i poszła do łóżka sama, jak to ostatnio weszło jej w zwyczaj. Shani była w sąsiedniej komnacie i też już spała. W pewnej chwili Dyana usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Otworzywszy jedno oko, zobaczyła oświetlonego księżycowym blaskiem Richiusa, który cicho skradał się ku łożu. Spojrzał w jej stronę, jakby chciał sprawdzić, czy jej nie obudził.

Dyana leżała nieruchomo. Słyszała, jak mąż ściąga ubranie, a potem myje się w misce przy oknie. Wreszcie włożył nocną koszulę i ostrożnie wślizgnął się do łóżka obok niej.

- Martwiłam się - stwierdziła Dyana.

Nastąpiła długa chwila ciszy, którą zakończyło westchnienie Richiusa.

- Przepraszam - rzekł pojednawczo.

- Jest późno. - Dyana spojrzała w okno. Księżyc świecił dość blado. - Blisko świt. Gdzie byłeś?

- W lesie. Rozmyślałem.

- Rozmyślałeś? Przepadłeś na cały dzień. - Kiedy nie odpowiedział, przysunęła się bliżej i lekko dotknęła jego ramienia. Wydało jej się, że unika spojrzenia jej wtwarz. - Richiusie - szepnęła prosząco. - Powiedz mi, dlaczego jesteś taki nieswój.

- Dyano, w niczym nie możesz mi pomóc. Postaraj się ponownie zasnąć. Przykro mi, że cię obudziłem.

- Nie zasnę. Nie teraz. - Potrząsnęła lekko jego ramieniem. - Proszę.

Odwrócił się wreszcie ku niej i spojrzał jej w oczy. Miał twarz zmęczoną, ściągniętą i pachniał wonią pól.

- Wiem, że jesteś tu nieszczęśliwy - stwierdziła Dyana. - Wiem, że chciałbyś się zemścić. Ale nie mogę cię puścić.

Głos Richiusa był ledwo słyszalny.

- Dyano, kocham cię i kocham Shani. Jesteście dla mnie wszystkim. Dlaczego więc odczuwam taki niepokój?

- Złe wspomnienia... - Pogładziła go po głowie w nadziei, że jej dotyk przyniesie mu ulgę. - To wpływ wojny. Przejdzie. Wiem, że trudno ci w to teraz uwierzyć, ale to minie.

Potrzeba ci tylko czasu, by wyleczyć rany w duszy.

- Wiesz, każdej nocy śni mi się, że wracam do Nar - wyznał. - Do Aramooru.

Porzuciłem ich, Dyano. Zostawiłem ich na śmierć. Słyszę, jak do mnie wołają, jak mnie oskarżają... Nawet Sabrina.

„Sabrina...” Teraz Dyana uciekła ze spojrzeniem w bok. Nigdy tego nie powiedziała Richiusowi, ale dzieliła z nim poczucie winy za śmierć dziewczyny, której nawet nie знаła.

On jednak porzucił Aramoor i młodą żonę dla niej i z tego powodu Sabrina zginęła okropną śmiercią. Dłoń Dyany zadrżała i młoda kobieta cofnęła ją z czoła męża.

- Sabrina nie żyje - stwierdziła chłodno. - Nie możesz przywrócić jej życia.

Richius spojrzał na nią nie bez urazy.

- Wiem. Ale są zbrodnie, za które ktoś musi zapłacić.

- I ktoś płaci, najdroższy. Ty.

- Dyano, posłuchaj...

- Nie - przerwała mu - to ty posłuchaj. Sabrina nie żyje, a Aramoor należy do przeszłości. Teraz żyjesz tutaj, Richiusie. Pomiędzy Triinami, bo nie możesz wrócić do domu.

Wszystko, co twoje, jest tutaj. - Spojrzała w bok. - Ja też jestem twoja i jestem wszystkim, co możesz tu mieć.

Poczuła okropny wstyd. Wreszcie mu się do tego przyznała. Poczuła się lepiej, ale zaraz potem zapadło milczenia. Richius patrzył na nią i się nie odzywał. Czowała na sobie jego wzrok, który przeszywał ciemności. Odrzucał ją, ona zaś o tym wiedziała.

- Przyszedłeś tu dla mnie - stwierdziła ponuro. - Ale to był twój wybór, Richiusie,

nikt cię do niczego nie zmuszał. Nigdy cię nie poprosiłam, byś mi przybył na ratunek.

Myślałeś, że jak dopniesz swego, to będziesz szczęśliwy, ale ty chyba nie umiesz być szczęśliwy. A teraz mnie winisz za swoje cierpienia.

Richius usiadł.

- Nie obwiniam cię - rzekł z naciskiem w głosie. - Zrozum, nikogo nie obwiniam.

- A jednak! Widzę to w twoich oczach, ilekroć na mnie spojrzysz. Chcesz wyjechać z Falindaru i ruszyć na wojnę z Lisseńczykami, ale nic cię nie obchodzi, co się stanie z nami tutaj. Nie widzisz niebezpieczeństwa, bo zaślepiała się nienawiść. Nar się rozpada, a ty chcesz mieć w tym swój udział.

- Aramoor to mój kraj. Jestem jego królem.

- Nie jesteś - odpowiedziała Dyana. - Już nie. I choćbyś nie wiem, co zrobił w Nar, nawet gdybyś zabił Biagia, nie oddadzą ci Aramooru. - Pochyliła ramiona w geście smutku i żalu. - Dlaczego zmuszasz mnie, bym ci mówiła tak okrutne rzeczy? Dlaczego to ja mam ci o tym mówić, podczas gdy powinno to być oczywiste przede wszystkim dla ciebie?

Zadziorność Richiusa natychmiast rozplynęła się w niepewności.

- Robiłem tylko to, co było słuszne i prawe - odparł po chwili cichym głosem.

-

Teraz już nie wiem, co o tym myśleć.

- Ja też. Ale chcę, byś skończył z tymi rozterkami. Chcę, byś jak dawniej był mi mężem.

Richius objął ją delikatnie, Dyana zaś zadrżała od tego dotknięcia. Mąż ułożył sobie na piersi jej głowę i delikatnie zaczął gładzić białe jak śnieg włosy. W jego objęciach poczuła się jak dziecko, słabe i rozpuszczane pieszczotami. Nie chciała, by zobaczył jej łzy. Chciała być dla niego podporą.

- Triinowie mają takie powiedzenie - zaczął. - „Mówić do nieba”. To właśnie, jak sądzę, trzeba mi zrobić.

- Co takiego?

- Muszę przemówić do nieba. Nie znasz tego określenia?

- Gdzie je usłyszałeś?

- Karlaz mi powiedział. Powiada, że to właśnie robią triińscy mężczyźni, kiedy są

w rozterce. Oddalają się od ludzkich siedzib i przez jakiś czas żyją wśród natury. I czekająca odpowiedź bogów.

- Być może tak jest w Chandakkarze - ucieła Dyana. - Ale tu nigdy wcześniej o tym nie słyszałam. - Ułożyła się wygodniej w zgięciu jego ramienia. - To właśnie chcesz zrobić? Wyjechać z Falindaru?

- Owszem - odpowiedział.

- Sam?

- Dyano, nie byłoby dobrze, gdybym pojechał w towarzystwie. Muszę wszystko przemyśleć. Na jakiś czas powinienem opuścić Falindar. Muszę jakoś uporządkować siebie od środka. Czy to źle, że tego pragnę?

- Nie mogę cię zatrzymać.

Richius spróbował przywołać na twarz uśmiech.

- Jesteś zagniewana.

- Owszem - odpowiedziała Dyana. - Cały czas opowiadasz mi, w jakim to jestem niebezpieczeństwie, a teraz sam wyjeżdżasz. A co z Biagiem? Już się go nie boisz?

- Lucyler zadba o to, by nic wam się nie stało - stwierdził Richius. - A jeżeli będziesz robiła to, o co cię stale proszę, jeżeli nie będziesz pod moją nieobecność opuszczała zamku, nic wam obojgu nie grozi. - Spojrzał na nią błagalnie. - Dyano, proszę, nie sprzeciwiaj się. Pozwól mi jechać z czystym sumieniem. Z pewnością do was wrócę.

Dyana westchnęła. Nie musiała nalegać, by przysięgał; wiedziała jak bardzo kocha ją i Shani.

- Jak długo cię nie będzie? - spytała.

- Nie wiem, może tydzień, ale chyba nie dłużej.

- Dokąd pojedziesz?

- Właściwie i tego nie wiem. Myślałem o tym, by z Karlazem udać się do Chandakkaru. On niedługo stąd wyjeżdża. Ale mówił, że powinienem być sam... - Nieoczekiwanie dla samego siebie Richius parsknął śmiechem. - Wszystko to okaże się pewnie jakąś szamańska bzdurą. Ale tak czy inaczej, chcę spróbować...

- Zaznać trochę samotności. Wiem, wiem. - Dyana przysunęła się bliżej i zwinęła w kłębek. W jego objęciach było jej ciepło i czuła cudowną świadomość bezpieczeństwa.

Jak zawsze. - Jedź - powiedziała. - Jedź i przemów do niebios. Dowiedz się, co zechcą ci powiedzieć.

- Teraz sobie ze mnie kpisz...

- Wcale nie - odpowiedziała. - Ludzie są bardzo różni, Richiusie. Niektórzy odnajdują swoje przeznaczenie w towarzystwie rodziny. Inni muszą zaznać samotności. Ty należysz do tych ostatnich. Myślę, że zawsze byłeś samotnikiem...

Sześć BLIŹNIACZY DIUKOWIE

Lorla nie знаła swojego nazwiska.

Nie wiedziała, czy ma rodzeństwo, nie znała swoich rodziców i nie miała pojęcia, dlaczego ją powierzyli naukowcom z wojennych pracowni. Pamiętała ich dość niejasno i to było wszystko. Matka, którą sobie przypominała jak przez mgłę, była niewysoką, mało urodziwą kobietą. Ojca zapamiętała jako otyłego człowieka o ciemnych włosach.

Więcej nie pamiętała i nie mogła sobie przypomnieć, a czasami ją to nieco niepokoiło, zwłaszcza, kiedy odczuwała samotność, co ostatnio zdarzało się coraz częściej. W drodze do Smoczej Paszczy wydawało jej się, że te poszarpane fragmenty pamięci to wszystko, co jej zostało.

Od wielu dni niebo się nie przejaśniało, co zaczynało już im trochę ciążyć.

Daevn, jej małomówny przewodnik, utrzymywał szybkie tempo, by uciec przed burzami, ale i tak padli ofiarą zimnej mżawki, i Lorla często musiała chuchać w dłonie, by nie zamarzły.

Uciekła z Goth odziana w wełnianą opończę i rękawiczki bez palców, kierowali się jednak na północ i zbliżała się zima. Wkrótce zrobi się zbyt zimno na podróż. Lorla zaczynała tęsknić za miską gorącej stawy i ciepłym miejscem do spania. Nie zatrzymywali się na noc w żadnej z mijanych wiosek. Dziewczynka podejrzewała, że jej misja jest zbyt ważna, by ryzykować odkrycie, zostawała więc w lesie, podczas gdy Daevn udawał się pomiędzy ludzi, by kupić żywność, a potem oboje nocowali pod gołym, pozbawionym gwiazd niebem, rozpalając tylko niewielki ogień, by nie przyciągać uwagi postronnych. Lorla miała już dość małych ognisk.

Marzyła o wielkim ogromnym stosie.

Usiłując osłonić się przed wiatrem, dziewczynka naciągnęła kaptur opończy, by choć częściowo zakryć usta i nos. Nienawidziła zimna, jakby było jakąś żywą istotą.

Nienawidziła swoich nauczycieli, którzy ją ostrzegali, że jej ciało jest delikatne i wrażliwe, co będzie odczuwała szczególnie w zimie. Zastanawiała się, czy Daevn odczuwa zimno tak samo, czy przenikający ją chłód jest tylko sprawką jej wyobraźni.

Kucyk, którego nazwała Duszkciem, był ciepły i Lorla pochylała się nisko, by

ogrzać się ciepłem jego karku. Duszek był dobrym kompanem i dziewczynka miała nadzieję, że będzie mogła zatrzymać zwierzę, gdy dotrą do Smoczej Paszczy. W warsztatach Bovadina pozwalano jej na bardzo niewiele, Lokken był jednak dla niej bardzo dobry i traktował ją jak własną córkę. Ale diuk był już teraz pewnie martwy. Diuszesa Kareena też. Choć minęli kilka wsi, w żadnej z nich Daevn nie dowiedział się niczego o losie, jaki spotkał Goth. Tak przynajmniej jej mówił. Lorla coraz częściej badała go wzrokiem. Po powrocie z ostatniej wyprawy był dziwnie milczący. Lorla chciała nawet go wypytać, ale potem zrezygnowała.

Daevn otrzymał rozkaz, by jej towarzyszyć i ją ochraniać, nic więcej - i nawet nie próbował z nią rozmawiać, czy ją pocieszać. Dziewczynka podejrzewała, że ze względu na jej misję, tak jest lepiej.

Jakakolwiek ta misja była.

„Dotrę do Smoczej Paszczy - powtarzała sobie dziewczynka - i tam się ogrzeję.

Diuk już o mnie zadba. Lokken mówił, że zadba”.

Zastanawiała się, czy diuk Enli przypomina Lokkena i czy Smocza Paszcza podobna jest w czymkolwiek do Goth. Pokochała Goth z całej duszy - Warowny Gród był cudownym miejscem, w którym spędziła rok - traktowany przez nią jak wakacje. Wszystko zresztą było lepsze od warsztatów Bovadina i okropnej kobiety, którą jej przydzielono jako nauczycielkę.

Ale znosiła to cierpliwie, bo chodziło o cel. W laboratorium przepadano wprost za słowem „cel”. Powiedziano jej, że ma przed sobą wielki cel - co teraz na przykład sprawiało, iż pomyślawszy o nim, prostowała się w siodle. Cokolwiek Mistrz dla niej przygotował, nie zawiedzie go.

Mimo to jej umysł zaczynał zbaczać ku ścieżkom szaleństwa. W Goth mogła się bawić z innymi dziećmi i choć umysłowo znacznie je przerastała, teraz po prostu za nimi tęskniła. Zastanawiała się, czy w Smoczej Paszczy też były dzieci. Może znajdzie tam chłopczyka w swoim wieku...

Nagle się ocknęła i zaczęła sobie robić wymówki, że pozwala, by jej umysł uciekał ku sprawom przyziemnym. W jej wieku... Ile też rzeczywiście miała lat? Nie potrafiła odliczyć lat wstecz i nie miało to sensu, gdy patrzyła na własne, wyszkolone i wytrenowane ciało.

„Przestań!” - upomniała samą siebie. Musiała się skupić, tak jak ją tego nauczono.

Przeszkadzał jej w tym chłód, przed czym też ją zresztą ostrzegano. Otrząsnęła się z dziecinnych marzeń i chuchnęła w dłonie. Chciałaby się zatrzymać i rozniecić ognisko, było jednak wcześniej i mieli jeszcze przed sobą spory kawałek drogi. Daevn powiedział, że przy odrobinie szczęścia dotrą dziś do Smoczej Paszczy.

- Gorąca herbata - wymruczała niczym kotka. - Mmm... gorąca i z miodem. I świeży, chrupiący chleb. - Parsknęła śmiechem. Dla czegoś takiego mogłaby teraz zabić.

Wyobraziła sobie, całą ucztę rozstawioną przed nią na stole, w ciepłej jadalni, gdzie na kominku trzaska ogień. Westchnęła cicho, bawiąc się tą grą wyobraźni. Pomimo swoich lat wyobraźnię wciąż miała dziecięcą, choć zdawała sobie sprawę z przemian, jakim podlega jej umysł i ciało - w tym wieku większość dziewcząt miała już za sobą pierwsze miesięczne krwawienia.

Ciało Lorli nie rozwinęło się na tyle, by krwawiła jak kobieta, ale miewała własne tajemnice.

Przypomniała sobie słowa, jakimi opisywano ją w pracowniach wojennych - była kimś bardzo szczególnym.

Ku jej wielkiemu rozczarowaniu tej nocy nie dotarli do Smoczej Paszczy. Słońce znikło za kłębowiskiem ciemnych chmur, co przyspieszyło nadejście zmroku, o zmierzchu więc musieli poszukać miejsca, gdzie mogliby zatrzymać się na noc. Daevn oczyścił siekierką niewielką polankę z krzaków, a potem puścił konie luzem, pozwalając im paść się w wysokiej, gęstej i suchej trawie. Rozpalił ognisko - tym razem na prośbę Lorli duże - i zrobił kolację składającą się z sucharów i podsuszanej kielbasy, rarytasu, który nabył w mijanej ostatnio wiosce. Ponieważ następną kolację mieli jeść w Smoczej Paszczy, oboje nie żalowali sobie, jedząc do woli. Lorla aż do rana spała mocnym głębokim snem.

Kiedy wstali, zobaczyli że od północy nadciąga śnieżycą. Słońce prawie nie grzało i niewiele się różniło barwą od reszty nieba. Lorla przytuliła się do karku Duszka, szukając zwierzęcego ciepła. Droga wkrótce zupełnie opustoszała. Tu, na pomocy, zima odarła już liście z drzew, stały więc nagie i jakby osmalone. Lorla zaczęła przeczuwać jakieś nieszczęście. Nikt jej nie opowiadał o Smoczej Paszczy, ale bajkowa nazwa wyczarowała w jej głowie zupełnie inny wizerunek tego miejsca niż ten, na jaki teraz

patrzyła.

Lokken mówił jej tylko, że Smocza Paszcza jest daleko na północy i nie brakuje tam śniegu.

Cały półwysep miał wyglądać jak smoczy pysk, skierowany na zachód. Było to jedno królestwo, którym rządili dwaj bliźniaczy diukowie, Enli i Eneas. Każdy miał własny zamek. Diuk Enli zbudował swój na dolnej, południowej „szczęce”, a jego brat zajął górną, północną. Lorla wyobrażała sobie zamek o baśniowych wieżach i oknach o barwnych witrażach, ale posępna, otaczająca ją kraina przypomniała jej opowieści, w których pełno było pajęczyn i kurzu.

Jechali jeszcze przez ponad godzinę, aż wreszcie Lorla wyczuła zapach morza. Gdy dotarli do rozwidlenia dróg, Daevn zatrzymał konia. Obie drogi były obsadzone gęsto drzewami i obie wyglądały jednakowo odpychająco. Przewodnik obdarzył Lorłę osobliwym spojrzeniem rzuconym przez ramię.

- Oto i Smocza Paszcza - powiedział. Lorla lekko się skrzywiła.

- Którędy pojedziemy?

- Tędy. Jedziemy na południe, do diuka Enli. Północna droga wiedzie do diuka Eneasa.

Lorla chciała zadać tysiące pytań.

- Daevnie, znasz diuka Enli. Jaki on jest?

Jak zwykle, wypytywanie Daevna na nic się nie zdało.

- Nigdy go nie widziałem - stwierdził. - I nigdy nie byłem w Smoczej Paszczy.

- Spokojnie tu - stwierdziła Lorla. Spojrzawszy przed siebie, zobaczyła tylko baldachim uschniętych gałęzi, zwisających nad drogą. - Gdzie podziiali się ludzie?

- Mają dość rozumu, by skryć się przed zimnem. A teraz przestań gadać, to zrobimy to samo.

Nie czekając na nią, spiął konia i ruszył drogą na południe. Duszek popędził za nim i już wkrótce oboje gnali do diuka Enli.

Drzewa rosły tu wyżej, sięgając koronami ku niebu, a w ich gęstwinie kryły się jakieś wielkookie zwierzątka i gnieździły się ogromne, czarnopióre, podobne do kawek ptaszyska.

Lorla wpatrzyła się w płataninę gałęzi nad głową. Wiatr tu był słabszy, bo jego

podmuchy zatrzymywały gałęzie, a z koron opadały ku nim brązowe, zeschnięte liście, unoszone słabnącymi powiewami. Lorla oblizła wargi i wyczuła sól. Powietrze było rzeźkie, ostre i pełne woni morza. Niekiedy baldachim gałęzi otwierał się niespodziewanie i dziewczynka widziała zwisające nisko chmury.

- Daevnie? - spytała niespokojnie po dłuższej chwili. - Jak daleko do zamku?

Przewodnik wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Będzie chyba lało. Mocno...

W chwilę później z nieba lunęły strugi deszczu. Droga szybko zamieniła się w grzęzawisko, w którym do kopyt koni lgnęło gęste błocko. Lorla spojrzała na Daevna.

- Dalejże! - ponaglił ją. - To musi być gdzieś blisko. Dziewczynka zadrżała. Jej opończa przemokła w jednej chwili, a zaraz potem zaczęły jej marznąć wystające spod skóry rękawic koniuszki palców. Duszek parł spokojnie przez deszcz, podążając tuż za koniem Daevna. Niebo przeciął zygzak błyskawicy, po którym niemal natychmiast zadudnił grom.

Lorla zamknęła oczy. Chciała, żeby burza odeszła, ale zamiast tego uderzyło ponownie i bliżej. Pogoniła Duszka i podjechała do Daevna.

- A może powinniśmy się zatrzymać? - spytała. Rosły przewodnik potrząsnął głową.

- Zaraz się przetrze. - Spojrzał na nią poprzez smugi deszczu i niespodziewanie się uśmiechnął. - Nie przejmuj się. To tylko grzmoty.

- Ja się nie boję - zełgała pospiesznie, nie chcąc zostać uznana za tchórza. - Jestem tylko przemoczona, zziębnięta i zmęczona jazdą. Daevnie, znajdź w końcu ten zamek.

Daevn skłonił się drwiąco.

- Na rozkaz waszej wielmożności. A jak sądzisz, co ja robię od godziny?

Dalej jechali w milczeniu wąską drogą, aż w końcu deszcz zelżał.

- O, tam - oznajmił Daevn. - Spójrz.

Lorla skierowała wzrok za palcem Daevna. Na szczycie otulonego mgłą wzgórza stał zamek z czerwonego kamienia. Dziewczynka wytężyła wzrok, usiłując dostrzec coś poprzez mżawkę. Budowla była wysoka, ponura, i Lorla natychmiast zrozumiała, że to

dom diuka Enli z jej złych przeczuć. Władca Smoczej Paszczy nie mieszkał w baśniowym zamku, o jakim marzyła. Lorla widziała przed sobą ponure gmaszysko, a właściwie jedną potężną, wyrastającą wprost z ziemi wieżę o ścianach z brunatnych cegieł, tu i ówdzie poprzecinanych ciemnymi otworami okien. W porównaniu z pięknem rozciągającego się za nim morza, zamek wydał jej się koszmarem ze złego snu i wznosił się w górę, jakby urągając całemu światu. Lorla zagryzła wargi... i nagle, zerkając w górę spojrzała na powiewający nad wieżą proporzec. - Daevnie! Spójrz, oni wywiesili Światłość Boga! Widzisz?

Widok ów zaskoczył starego przewodnika, bo spodziewał się, że nad Smoczą Paszczą będzie powiewała Czarna Flaga.

- Dziecko, nawet i w tych okolicznościach ufam Lokkenowi. Jeżeli chciał, byś tu dotarła, a nie gdzie indziej, nie ma mowy o pomyłce.

- Ale...

- Lorlo, zaufaj mu. - Daevn nagle się roześmiał. - Wkrótce się znów ogrzejesz.

A mnie może uda się dziś zasnąć w towarzystwie prawdziwej kobiety!

Obraza ucięła Lorlę jak smagnięcie lodowatym biczem. Prawdziwa kobieta? Co to ma znaczyć? Zmierzyła wojaka gniewnym spojrzeniem, on jednak chyba nawet tego nie zauważył. Zamiast się przejąć, ponaglił konia przez błocko ku widocznemu na wzgórzu zamkowi. Spostrzegłszy, że Lorla za nim nie jedzie, odwrócił się i ponaglił dziewczynkę machnięciem dłoni.

- Jedziesz czy nie? A może wolisz tu moknąć?

- Wolę moknąć - mruknęła do siebie.

Nagle wszystko wydało jej się lepsze i jaśniejsze, niż majaczący wśród deszczu zamek na wzgórzu. Wyczerpanie i chłód kazały jej jednak szarpnąć za wodze. Duszek ruszył przed siebie. Kucyk podobnie chyba jak Daevn, nie życzył sobie moknąć dłużej na deszczu. W miarę, jak się zbliżali do zamku, droga się poszerzała, a po obu jej stronach pojawiły się małe domki i zagrody, ciche teraz i spokojne za zamkniętymi okiennicami. Wewnątrz domków płonęło kilka świec. Lorla czuła, że przeszywają ją liczne spojrzenia, oczy patrzących znikają jednak, gdy tylko zwracała się w ich stronę.

Kiedy dotarli pod wzgórze, dziewczynka spostrzegła, że drogę po obu stronach wysadzono wysokimi sosnami, które niczym milczący wartownicy spoglądały wrogo na

gości i rzucały chwiejne, ledwo widoczne w półmroku gasnącego dnia cienie. Pod kopytami ich koni zazgrzytał żwir, deszcz jednak pozostał ten sam, zimny i nieprzyjazny.

Lorla zauważyła zamkowe wrota. Byli już niemal na szczycie wzgórza, i mogli spoglądać w dół na fale oceanu. U bramy stali dwaj wartownicy w czarnych, brzydkich zbrojach, z twarzami ukrytymi za opuszczonymi, przypominającymi gadzie pyski przyłbicami hełmów. Obaj zbrojni byli w halabardy. Lorla zerknęła w górę na przytłaczającą ich swoim ogromem wieżę.

Budowla była lekko pochylona ku przodowi, jakby zaraz miała się zwalić gościom na głowy. Z otwartych paszcz gargulców lała się woda, a po nieco zmurszałym, ceglany murze pięły się w górę macki zielonego mchu. Drewniane, nabijane ćwiekami skrzydła bramy były zawarte.

Obaj wartownicy mierzyli przybyszów baczny, nieprzyjazny wzrokiem. Daevn podjechał bliżej i pomachał przyjaźnie dłonią.

- Przybyliśmy z Goth - zawołał. - Jestem Daevn z Warownego Grodu. Chcę się zobaczyć z waszym diukiem.

Wartownicy kiwnęli głowami.

- Z koni! - warknął jeden z nich.

Podszedł do przybyszów, podczas gdy jego towarzysz zabrał się do otwierania wrót.

Daevn zeskoczył z siodła i skinieniem dłoni kazał Lorli zrobić to samo. Strażnik wziął od niego wodze wierzchowców i spojrzał na Lorlę ponagląjącym spojrzeniem.

Dziewczynka nie bardzo była pewna, czy mężczyzna godzien jest zaufania.

- No dalej, dziecko - odezwał się jej przewodnik. - Zsiądź z kucyka, żebyśmy mogli wejść pod dach.

Lorla zsunęła się z siodła i podała wodze wartownikowi, który nie spuszczał z niej baczego wzroku. Dziewczynka szybko podeszła do Daevna. Tymczasem drugi ze strażników zdążył już otworzyć jedno skrzydło bramy, zalewając podejście pomarańczowym, bijącym ze środka blaskiem pochodni. Zziębniętej Lorli nie trzeba było dalszych zachęt.

Wszedłszy do środka, znalazła się w rozległym przedsionku z szarego kamienia, pełnym zbrojnych ludzi, którzy co chwila wybuchi śmiechem. W głębi widać było

przemykające szybko sylwetki kobiet. Na widok Lorli wszyscy zamierali w bezruchu, zaskoczeni jej dziecięcym wyglądem. Nikt tu się nie spodziewał małej dziewczynki.

- Zaczekajcie tutaj - rozkazał strażnik. - Powiadomię diuka Enli o waszym przybyciu.

- Myślę, że na nas czeka - stwierdził Daevn i rozejrzał się dookoła. - A my tymczasem usiądziemy i odpoczniemy...

- Pewien jestem, że diuk zaraz do was zejdzie - stwierdził wartownik. - Sam zadba o to, by wam niczego nie zbrakło. Na razie poczekajcie.

Lorla i Daevn odprowadzili wartownika wzrokiem, nieco dotknięci jego szorstkością, ale zadowoleni z tego, że znaleźli się pod dachem, z dala od deszczu.

Dziewczynka przysunęła się do jednej z wielkich pochodni, tkwiących w żelaznych obejmach przytwierdzonych do ścian, i wyciągnęła rączki ku płomieniom, by się choć trochę ogrzać.

Zdjęła rękawiczki i zaczęła rozcierać zdrętwiałe palce. Miały sztywne stawy, a paznokcie zdążyły już zsinieć. Poczła też ściekające z jej włosów i liżące po szyi zimne strumyczki wody. Żywiła nadzieję, że diuk znajdzie dla niej ciepłą, czystą odzież.

Zsunąwszy przemoczoną opończę z ramion, poczuła niespodziewaną ulgę - namoknięte sukno miało swój ciężar, z którego nawet nie zdawała sobie przedtem sprawy. Daevn stał nieopodal i rozmawiał z żołnierzami. Lorla doszła do wniosku, że wyglądają dość osobiłwie, ale w końcu zdecydowała, iż ich hełmy nawet jej się podobają. Wykuto je na podobieństwo smoczych pysków, wytłoczono na nich łuski i wprawiono dwa obsydiany zamiast smoczych ślepiów.

Zbrojni mieli na sobie nabijane czarnymi ćwiekami brygandyny, jak legioniści z Nar, tyle że cięższe i robiące więcej hałasu. Lorla patrzyła i podziwiała, zafascynowana zgrzytem metalu.

- Lorlo?

Dziewczynka podskoczyła na dźwięk swego imienia. Z głębi sali szedł ku niej wysoki, szeroko uśmiechnięty, chuderlawy mężczyzna o tłustych włosach. Nie był ubrany jak żołnierz - z jego ramion zwisała podbita wilczym futrem opończa. Idąc ku niej, wyciągnął dłoń w geście powitania. I wtedy wszedł pomiędzy nich Daevn.

- Jesteś diuk Enli? - spytał szorstko.

Nieznajomy uśmiechnął się do Daevna, ale nie odpowiedział. Przechylił głowę, by spojrzeć na Lorlę zza Gothajczyka.

- Lorla, tak? - spytał. - Jak się czujesz, dziecko?

- Dobrze, panie - odpowiedziała Lorla, mierząc go bacznym, niezbyt ufnym spojrzeniem. Nieznajomy miał miłą twarz.

Daevn chrząknął znacząco i dopiero wtedy gospodarz zwrócił na niego uwagę.

- A, strażnik i przyboczny. Witajcie oboje w moich progach.

- Mam na imię Daevn - odpowiedział chłodnym tonem. - Daevn z Goth. Jesteś diuk Enli?

- Nie - odpowiedział nieznajomy. - Jestem Faren, służący diuka. Przyszedłem po was. Diuk bardzo się ucieszył na wieść o waszym przybyciu. Chciałby natychmiast się z wami widzieć.

- Czy nie moglibyśmy się przedtem czegoś napić? - spytała Lorla. - Gorącej herbaty, na przykład?

- Skąd tu tylu żołnierzy? - odezwał się Daevn. - Macie jakieś kłopoty?

Faren przeszedł obok Daevna, zupełnie go ignorując. Ukląkł na jedno kolano i jego twarz znalazła się na jednym poziomie z twarzą Lorli.

- Herbaty mamy aż nadto, droga Lorlo. I mleka też. Mogę kazać służącym, by ci trochę zagotowały.

Lorla omal się nie skrzywiła, choć udało jej się tego uniknąć. Mleko piły małe dzieci i niemowlaki.

- Wystarczy herbata, jeśli łaska - poprosiła. - Oczywiście, jeżeli to nie sprawi kłopotu...

- Cokolwiek zechcesz, drogie dziecko - odpowiedział Faren. Uśmiechnął się jeszcze bardziej. - Chodź. Zdejmiemy z ciebie te mokre rzeczy i damy ci coś cieplejszego. - Wyciągnął rękę ku dziewczynce. Lorla jej nie podjęła i uśmiech mężczyzny jakby nieco przybladł.

- Gdzie znajdziemy diuka? - spytał Daevn.

- Zaprowadzę was do niego. Tędy, jeśli łaska.

Lorla spojrzała pytająco na Daevna, ten jednak tylko wzruszył ramionami. Wyszli z wielkiego przedsionka i poszli za Farenem obok kuchni, z których niesło pysznymi

zapachami. Trafili na kolejny korytarz mający po obu stronach szeregi dębowych drzwi.

Jedne z nich były uchylone i Lorla dostrzegła przez nie tańczące cienie płomieni wielkiego kominka. Zapach pachnącej sośniny ciągnął ją ku sobie z niemal nieodpartą mocą.

Faren zatrzymał się na progu i szerokim gestem ręki zaprosił dziewczynkę do środka.

- To bawialnia diuka. Wejdźcie. Diuk przyjdzie lada moment. Lorla weszła, przyciągana przez blask i ciepło kominka niczym ćma. Była to chyba najprzyjemniej i najwygodniej urządzone komnata ze wszystkich, jakie widziała. Pod ścianami stały regały pełne książek, a pod nimi wielkie, miękkie fotele obite wytartą już nieco skórą.

W powietrzu unosił się zapach dobrego tytoniu. Na jednym z niewielkich stolików leżała fajka pełna popiołu. Goście zaraz po wejściu zwrócili uwagę na portret wiszący nad kominkiem - olejne malowidło przedstawiające dwóch ludzi, z których każdy był zwierciadlanym odbiciem drugiego. Obaj siedzieli na koniach, obaj byli obleczeni w pyszne zbroje, obaj mieli gołe głowy, a u boku każdego z nich wisiał piękny miecz. Wspaniałe malowidło zdominowało całą komnatę.

- Lorlo, zechciej tu zaczekać - poprosił Faren. - Diuk zaraz się zjawi. Ja tymczasem każę służbie przynieść herbatę, o którą prosiłaś, i może jeszcze trochę biszkoptów, co ty na to?

- Dziękuję - odpowiedziała dziewczynka.

- Ja też napiłbym się herbaty - stwierdził Daevn kwaśnym tonem. - Oczywiście, jeżeli żądam za wiele...

- Właściwie Daevnie - rzekł Faren - diuk chciałby z tobą porozmawiać najpierw.

Czy nie zechciałbyś pójść za mną?

- Daevnie, dokąd idziesz? - spytała zaniepokojona Lorla.

- Nie martw się, dziecko - odparł Daevn. - Zostań tutaj. Wróć z diukiem. Pij herbatę i jedz biszkopty. - Spojrzał na Farena. - Znajdziecie dla dziewczynki jakieś szatki? Przemokła do cna.

- Oczywiście - odparł zagadnięty. - Lorlo, zechciej się czuć jak u siebie w domu.

Zaraz ci przyślę suchą odzież.

Lorla pożegnała się grzecznie z Daevnem, a potem zaczęła oglądać wspaniałości

komnaty. Na stolikach leżały rozmaite drobiazgi, pierścienie ze zmatowiałymi od starości klejnotami, a na półkach dość było książek, by dostarczyć lektury na setki lat.

Lorla uwielbiała czytać - w wojennych pracowniach przejrzała wszystkie książki i rękopisy (przynajmniej te, które pozwolono jej czytać) i pochłonęła całą bibliotekę Lokkena.

Zastanawiała się, czy diuk Enli pozwoli jej wszystko przeczytać, czy raczej zachowa przyjemność tylko dla siebie. Na jednym z wielkich foteli znalazła mały, szkarłatnej barwy koc. Dotknięcie tkaniny było samym ciepłem. Okrywał cały fotel, Loda zaś przyłożyła do niego twarzyczkę, wchłaniając wspaniały zapach ciepłej wełny. Koc zachował chyba wszystkie zapachy komnaty. Dziewczynka błyskawicznie się rozebrała i rzuciła mokrą bieliznę na posadzkę. Szybko wdrapała się na fotel i wtuliła w jego objęcia.

Skórzane obicie lekko zaskrzypiało pod jej ciężarem. Lorla okryła się kocem i zaczęła oglądać komnatę z nowego, wspaniałego miejsca. Jej uwagę znów przykuło malowidło nad kominkiem.

Długo mu się przyglądała. Podobały jej się konie, nie była jednak pewna, czy polubiłaby jeźdźców.

Wkrótce pojawiła się służąca i ustawiła na stoliku obok Lorli imbryczek z herbatą.

Spostrzegłszy stosik mokrej odzieży, zapewniła Lorłę, że zaraz przyniesie suchą, czystą bieliznę i jakąś suknię. Żwawo napełniwszy kubek, wetknęła go dziewczynce w dłoń, po czym postawiła tuż obok tacę pełną biszkoptów. Lorla wybrała największy i włożyła go do ust, jednocześnie grzejąc sobie palce ciepłem, które promieniowało z kubka. W końcu służąca wyszła, rozplywając się w uśmiechach, i dziewczynka znów wróciła spojrzeniem do portretu.

Zaczęło ją też morzyć ciepło i zmęczenie. Poczowała, że oczy same jej się zamykają. Wciąż jeszcze patrzyła na portret...

- Podoba ci się? - zagrzemiał jakiś głos nad nią. Poderwała się tak nagle, iż z kubka wylało się sporo ciepłego płynu. Spojrzała bezradnie na poplamiony koc, a potem przeniosła wzrok na stojącego w drzwiach mężczyznę. Nie był to Faren, lecz ktoś znacznie roślejszy - mąż o szerokich barach, czarnych włosach i kruczej barwy brodzie.

Miał surową twarz i oczy, którymi niemal przeszywał rozmówcę. Teraz skierował je na Lorłę.

- Przepraszam - odezwała się dziewczynka. Odstawiła kubek i zeskoczyła na ziemię, nadal otulając swe nagie ciało kocem. Nagle poczuła zakłopotanie. - Poplamiałam ten koc...

- To tylko koc - odpowiedział nieznajomy. Wszedł do komnaty i zamknął za sobą drzwi. Wszystkie dźwięki natychmiast pochłonęła cisza.

Lorla z uwagą przyjrzała się przybyszowi.

- Kim jesteś? - spytała.

- Diuk Enli, pan Czerwonej Wieży. - Gospodarz spróbował uśmiechnąć się przyjaźnie, wyszedł mu jednak tylko dziwnie nieprzyjemny grymas. - Będiesz moim gościem... przez jakiś czas... Podszedł bliżej i spojrzał na Lorłę z góry. W jego brodzie odbijał się niemal blask płomieni, a pierścienie słały z jego palców kolorowe iskry światła. Podobnie jak Faren, miał na sobie płaszcz dla ochrony przed chłodem - obszerny, wyszywany purpurą i spięty pod szyją złotą broszą. Broszę wykuto w kształt smoczego pyska z ostrymi kłami. Diuk wyciągnął ku Lorli swe łapska w geście przyjaznego powitania.

- Mała Lorla - zadudnił. - Rad jestem, że mogę ci zapewnić bezpieczeństwo.

Czekałem na ciebie. Martwiła mnie ta pogoda.

Lorla kiwnęła głową.

- Owszem, było zimno.

- Zimno? - zaśmiał się diuk. - Dziecko, wcale nie jest zimno. Dla mnie to lato. Ale ty, owszem, wyglądasz na wymizerowaną. Faren kazał ci przynieść ciepłą odzież i przygotowano już dla ciebie przytulne łóżko.

- Dziękuję, panie.

Diuk spojrzał na nią oczami iskrzącymi się ciekawością.

- Ile ty właściwie masz lat? Siedem, osiem...

- Prawie szesnaście - odpowiedziała Lorla obojętnym głosem. Oczy diuka aż zogromniały ze zdziwienia.

- Szesnaście? Boże, nie dałbym ci nawet jednego dnia ponad osiem latek!

Przysięgam... nawet jednego dnia. - Pochylił się, by obejrzeć ją dokładniej, i

powiódł jednym ze swoich paluchów po jej policzku, jakby badał jakieś domowe zwierzątko. - Niesamowite... - zachichotał. - Doprawdy... niesamowite.

- Diuku, gdzie jest Daevn? - spytała Lorla.

- Aaa... ten... - Enli cofnął paluch i raz jeszcze spróbował się uśmiechnąć. - Teraz odpoczywa. Lorlo, chciałbym porozmawiać tylko z tobą.

- Ze mną? Ale Faren powiedział...

- Wiem, co powiedział - przerwał jej diuk, wskazując fotel.

- Usiądź, proszę.

Lorla zrobiła, co jej kazano, nie spuszczać z diuka uważnego spojrzenia. Enli milczał przez dość długą chwilę, rozmyślając nad czymś, potem westchnął i sięgnął po fajkę.

Wetknąwszy w zęby cybuch, usiadł na pobliskim fotelu. Przygryzając cybuch, patrzył na dziewczynkę oczami pełnymi zdumienia i fascynacji. Lorla widziała w nich też niedowierzenie.

„Jestem kimś szczególnym” - przypomniała sobie.

- Nie chcę, byś trapiła się myślą o Daevnie - odezwał się w końcu diuk. - Przywiódł cię tutaj, za co jestem mu wdzięczny. Ale jego misja dobiegła końca, odsyłam go więc z powrotem.

Lorla lekko się skrzywiła.

- Diuku, nie jestem pewna, czy powinnam ci uwierzyć. Enli znów parsknął śmiechem.

- Dobry Boże, ty wcale nie mówisz jak ośmioletnie dziecko... i jesteś równie podejrzliwa, jak twój Mistrz. - Wyjął fajkę z ust i wymierzył w nią cybuch. - Teraz widzę, dlaczego Biagio wybrał akurat ciebie. Jesteś piękna, prawda? I przebiegła.

- Dziękuję - odparła Lorla sucho. Nie była pewna, czy to, co usłyszała, ma traktować jak komplement.

- A co z twoimi oczami? Dlaczego nie są niebieskie?

- Nie wiem - odpowiedziała. - A powinny być?

- Dziecko, co ty wiesz o sobie? Ile ci powiedzieli?

Pytanie wytrąciło Lorłę z równowagi. Nie miała wspomnień, tylko ich strzępy.

Uczucia i kilka widmowych niemal postaci.

- Mam szesnaście lat, choć wyglądam na osiem - odpowiedziała. - Marzę nawet tam, gdzie innym jest ciepło. Doskonale pamiętam diuka Lokkena. Polubiłam Goth.

Więcej... nie mogę niczego powiedzieć. Laboratoria Bovadina były miejscem pełnym tajemnic.

Enli uśmiechnął się dość paskudnie.

- A, tak. Mówiono mi o tych pracowniach wojennych. A twoi rodzice? Jacy byli?

- Nie wiem, prawie ich nie pamiętam. Czy to ważne?

- Nie, myślę, że nie - odpowiedział Enli. - Ważne jest, dziecko, to co razem zrobimy. Na zawsze zmienimy obecny kształt Imperium. - Diuk pochylił się ku niej i przemówił konspiracyjnym szeptem. - I jak się z tym czujesz?

- Jak zwykle - odpowiedziała dziewczynka. Nie czuła niczego szczególnego i zastanawiała się, dlaczego tak jest. Chciała zadowolić Mistrza. To wszystko. - Jestem tu z woli Mistrza - dodała.

- Powiedziano mi, że masz mi pomóc. Czy nie zechciałbyś mi tego wyjaśnić?

- Owszem - odpowiedział Enli. - Przedtem jednak ty mi coś powiedz. Spotkałaś kiedyś Biagia?

- Nigdy, panie.

- A jednak nazywasz go swoim Mistrzem. Nie żywisz żadnych wątpliwości?

- Nie, panie. - Pytanie mocno zdziwiło dziewczynkę. - On jest Mistrzem.

- Tak... - westchnął Enli. - Nie inaczej. - Zamyślił się. - Doskonała... - rzekł jakby do siebie samego. - Wcielenie ideału...

- Diuku, czy będę mogła czytać te książki? To znaczy... czy mi pozwolisz?

- Jeżeli chcesz... - Enli wzruszył ramionami. - Przez jakiś czas tu zostaniesz. Czuj się jak u siebie w domu. Przed zabraniem cię do Nar muszę załatwić jeszcze kilka spraw.

- Nar? Mam pojechać do Nar?

- Nie od razu. Przedtem, jak rzekłem, muszę uporać się z kilkoma sprawami.

Zajmie mi to parę tygodni. Ale w końcu... tak, zawiozę cię do Nar.

Lorla osunęła się w głąb fotela, zdumiona i oszołomiona nowiną. Nie widziała Czarnego Grodu od roku... to znaczy od opuszczenia pracowni wojennych i zamieszkania w zamku Lokkena. I w zasadzie nigdy nie mogła się dobrze przyjrzeć miastu - ściany pracowni niewiele miały okien. Okna były dla starszych, tych, którzy tam pracowali na

stałe. Jakie wielkie zadanie wybrał dla niej Mistrz?

- W Nar byłam dawno temu - odpowiedziała rozmarzonym głosem. - Potem było już tylko Goth. Myślę, że chyba mi się to spodoba.

Diuk skrzywił się lekko.

- Łatwe to nie będzie, moja droga. Biagio chce, byśmy oboje dokonali nie lada sztuki. Trzeba, żebyś całkowicie się poświęciła wykonaniu zadania. Rozumiesz to?

- Oczywiście - odpowiedziała Lorla, darząc jednocześnie gospodarza karcącym spojrzeniem. - Wiem, kim jestem, panie diuku. Jestem kimś bardzo szczególnym.

- W to nie wątpię - przyznał Enli. - Kiedy tu wszedłem, widziałem że przyglądasz się malowidłu nad kominkiem. Czy wiesz, kogo ono przedstawia?

- Owszem - odparła Lorla. Znow spojrzała na portret, tym razem szukając podobieństw. - Który z nich, to ty, panie?

- Ten z lewej. A w zasadzie to wszystko jedno. Mój brat jest moim idealnym bliźniakiem, nawet obecnie. - Wargi diuka wywinął grymas niesmaku. - Eneas ma bliznę na policzku. Przyjrzyj się dokładnie, to zobaczysz ją bez trudu. To jedyna różnica pomiędzy nami. To... i stosunek do Czarnego Odrodzenia.

- Twój brat, jak i ty panie, żyje w zamku. Tak mi to opisał diuk Lokken. Czy jego zamek też jest czerwony?

- Nie - odpowiedział Enli. - Eneas żyje w Szarej Wieży, na przeciwległym cyplu zatoki. Możesz ją zobaczyć z niektórych tutejszych komnat. Każdy z nas włada jedną częścią Smoczej Paszczy. Zawsze tak było, nawet za życia Arkusa. - Diuk zmierzył dziewczynkę ostrym spojrzeniem. - Wiesz, kim był Arkus, prawda?

Pytanie było głupie. Dziewczynka odchrząknęła.

- Arkus z Nar, Arkus Wielki, Arkus Ojciec Czarnego Odrodzenia, Bestia z Goss, Mór Criisii, Zdobywca...

- Dobrze już, dobrze... - warknął Enli, podnosząc dłonie do uszu. - Nie zamierzałem cię urazić, mała. Chciałem się tylko przekonać z kim, albo z czym mam honor.

Często cię tak traktują, prawda? Ludzie cię nie doceniają i nie pojmują, kim jesteś...

|- Myślę, że tak - odpowiedziała Lorla. - Nie jestem tą, na którą wyglądam. - Raz

jeszcze spojrzała na malowidło. - Ile lat mieliście wtedy, panie, ty i twój brat?

- Po dwadzieścia - odpowiedział Enli. - Pamiętam, bo matka zamówiła portret na jej urodziny. Chciała mieć nas razem. - Westchnął. - Wtedy jeszcze nie dzieliła nas nienawiść.

- Nienawidzicie się? - spytała dziewczynka. - Naprawdę?

- Ależ tak - zapewnił ją diuk. - Jak na dziecko, które wie tak wiele, jesteś zdumiewająco słabo zorientowana w sprawach tego świata. Wszyscy w Nar znają historię bliźniaków ze Smoczej Paszczy.

Lorla zmarszczyła brwi.

- Ja nie znam.

- Cóż, nie będę ci objaśniał tej materii. To sprawa osobista i nie będzie miała żadnego wpływu na twoją misję u Herritha. Jego znasz, prawda?

Lorla skinęła.

- Mistrz posyła mnie do Nar właśnie z powodu biskupa - stwierdziła rzeczowo. - Po śmierci imperatora Arkusa musiałam uciekać z sekretnych pracowni. Mistrz wysłał mnie do diuka Lokkena, gdzie się mną troskliwie zaopiekowano. Lokken jednak występował otwarcie pod flagą Starego Imperium i został zamordowany. - Dziewczynka rzuciła diukowi ostre spojrzenie. - Nie wywiesił, jak ty, panie, Światłości Boga.

- Światłość Boga to obrzydlistwo - przyznał jej diuk. - Ale nie wywiesiłem jej dlatego, że sprzyjam Herrithowi. Wszystko to jest częścią większego, wspaniałego planu.

- Jakiego planu?

- Powiem ci już niedługo. I będziesz się mogła zemścić na biskupie za to, że cię skazał na wygnanie. W jego upadku odegrasz ważniejszą rolę, niż ktokolwiek inny.

Wierz temu, co ci mówię, i rób to, co każę, a napelnisz dumą serce swego Mistrza. Na razie jednak musisz okazać cierpliwość. Pierwej trzeba mi załatwić sprawy z bratem.

- Z bratem? - zdumiała się Lorla. - Diuk Lokken powiedział, że mi pomożesz. Ta sprawa z bratem... czy ona nie przeszkodzi mi w wykonaniu mojego zadania?

- W najmniejszej mierze - zapewnił ją diuk. - Widzisz, tak naprawdę chodzi o to samo. - Enli wstał ze swego fotela i podszedł do Lorli, gdzie ukląkł i spojrzał jej prosto w oczy. - Dziecko, musisz mi zaufać. Gdy wykonamy stojące przed nami zadanie, całe

Imperium wstrzyma oddech ze zdumienia. A gdy twój Mistrz wróci do Nar, oboje zostaniemy wynagrodzeni ponad miarę. Mistrz uczyni cię królową! I co ty na to?

Mówił do niej jak do dziecka, co ją nieco rozzłościło. Z drugiej jednak strony, zaczęła obracać ten pomysł w głowie. Być królową... To mogło się okazać cudowne. Może, gdyby była królową, mężczyźni zaczęliby patrzeć na nią z pożądaniem?

- Królowa... - westchnęła. - Mmm... Tak, za zgodą Mistrza. Pewnie by mi się to spodobało.

Enli ścisnął jej palce i uśmiechnął się.

- Więc nią zostaniesz, maleńka Lorlo. Ty i ja... razem odzyskamy Imperium dla Biagia. Ty i ja ponownie przywołamy z niebytu ideały Arkusowego Czarnego Odrodzenia... i nie powstrzyma nas nawet ten zwariowany Bóg Herritha.

Daevn czekał w zamkowej bibliotece przez niemal godzinę, co chwila zapewniany przez Farena, że diuk „lada moment” tu zajrzy. Wyciągnąwszy się na jednej z bibliotecznych kanap, zjadł ze smakiem gorącą zupę i ciepły jeszcze chleb, flirtując przy okazji ze służącą, która je przyniosła. Niestety, mimo że kilkakrotnie prosił, nie przyniesiono mu suchej odzieży, choć Faren zapewniał go, iż służba ciągle szuka czegoś odpowiedniego.

Przewodnik zadowoliłby się czymkolwiek, byle było suche - nawet niekoniecznie czyste. Ale ponieważ siedział przy płonącym jasno kominku i niedawno się objadł gorącą zupą i chlebem, rad był i temu, czekał więc cierpliwie na przybycie diuka.

Minęła prawie godzina, aż wreszcie w komnacie ponownie pojawił się Faren, rozkładający od progu ręce w przeprosinach.

- Przykro mi - sumitował się - ale diuk poczuł się niezdrów. Być może to wina kiepsko przyrządzonej przez kucharki ryby. Na razie nie może cię przyjąć, panie. Trzeba poczekać do rana, a wtedy się zobaczycie.

Daevn odłożył łyżkę do prawie pustego talerza po zupie.

- Gdzie jest Lorla?

- Zapewniam, że dziewczynka jest bezpieczna - odpowiedział uśmiechnięty Faren.

- Otrzymała własny ciepły pokój. Myślę, że zdążyła już zasnąć. Postarałem się przydzielić ci komnatkę obok niej. Możesz ją zobaczyć, jeżeli zechcesz, panie.

Daevn wziął w garść resztę chleba i wstał.

- Pokaż mi ją - zażądał, starając się, bez większego zresztą powodzenia, by nie zabrzmiało to obraźliwie. Wiedział, że irytowanie panów na Smoczey Paszczy na nic mu się nie zda. Po upadku Goth nie bardzo miał się gdzie podziać. - I, panie Farenie, racz nie zapominać o tych ubraniach dla mnie.

- Czekają w sypialni, panie - stwierdził Faren. Odstąpiwszy na bok, wskazał gestem próg. - Przodem, jeśli łaska...

- A, tak - odpowiedział Daevn. Minąwszy służę, przekroczył próg i był już prawie na zewnątrz, kiedy poczuł nagle szarpnięcie na krtani. Natychmiast uniósł obie dłonie do gardła.

Coś go pociągnęło w tył. Cienka linka lub rzemień... Faren stęknął i pociągnął ponownie, pozbawiając Gothajczyka równowagi. Daevn usiłował krzykiem wezwać pomocy, ale z jego zduszonego gardła wydobyło się tylko ciche rżenie. Napiął mięśnie szyi, usiłując zaczerpnąć tchu, linka jednak nieubłaganie wrzynała mu się w krtani, pozbawiając go nawet najbardziej płytkiego oddechu. Przez chwilę usiłował jeszcze wcisnąć palce pod pętlę i jakoś ją poluzować, Faren jednak miotał nim z boku na bok niczym rekin ofiarą, sprawiając, że linka z każdym szarpnięciem wcinała się coraz głębiej.

- Krzepki z ciebie człowiek... - warknął Faren. - Złapałem doprawdy wielką rybę!

Daevn po raz ostami spróbował zaczerpnąć tchu. Faren zacisnął morderczą pętlę jeszcze mocniej... i pod Gothajczykiem ugięły się kolana.

- Nikt nic nie musi wiedzieć!

Daevn słyszał jeszcze, ale niczego już nie pojmował. Popadał w coraz głębszą otchłań niebytu. Ostatnim wrażeniem, jakie poczuł, było przecięcie krtani przez nieubłaganą linkę.

Zdziwiło go to, że prawie nie czuł bólu...

Siedem „KSIĄŻĘ LISS”

Na oceanach wokół Nar dni były krótkie, a noce długie. Tu, na północnych wodach jesień już prawie przeminęła i białe grzywy fal robiły się coraz wyższe, w miarę jak zbliżał się czas mroźnej zimy. Na horyzoncie majaczyły rozległe brzegi występnego Czarnego Imperium, ale lisseńskim żeglarzom widok ten wcale nie dodawał otuchy. Wyruszyli na morze wiele miesięcy temu, zostawiając za sobą spalone domy i płaczące żony, a w zimnych kubrykach ich szkunerów mogli się ogrzać tylko wspomnieniami lepszych dni. Misja była zuchwała i niebezpieczna, a wielu z nich, ledwie wyrosłych z lat chłopięcych, nigdy jeszcze nie stawało z wrogiem twarzą w twarz. Wojna miała z nich zrobić mężczyzn.

Dowodzący flotyllą komandor Prakna miał w swojej kabinie jedno okrągłe okienko.

W ciasnej kajucie na forkasztelu szklana płytką nie była większa od jego własnego oblicza.

Dla Prakny jednak było to okno na inny świat. W spokojne noce, takie jak ta, kiedy zmęczenie żeglarzy spowijało pokład w ciszę, Prakna wyglądał ze swego okienka, patrząc na zamglone światła odległego Nar, zastanawiając się, kim też są jego mieszkańcy. Po dziesięciu latach uporczywych, nieprzerwanych zmaganiach nie wiedział o nich więcej, niż na początku wojny. Niekiedy zapominał o wszystkim i patrząc w odległe światła, poddając się rytmowi fal, błąkał się myślami po krainie wspomnień. Czasami zaś marzył: o świeżej stawie i owocach, o ciepłym Archipelagu Stu Wysp, o żonie i o tym, jak to było, kiedy się kochali.

Prakna był już zmęczony. On i jego szkunery patrolowali brzegi Nar niczym wilcza zgraja piratów, wrywając smakowite kąski towarów przewożonych na statkach Imperium.

Prakna starał się, jak mógł, by wypełnić przysięgę, że rzuci nieprzyjaciół na kolana.

Pozbawione ochrony Czarnej Floty wybrzeża Nar były otwarte dla wszelkiego rodzaju łupieży - jednak tylko brzegi, bo głębi kraju wciąż strzegła nareńska armia.

Prakna liczył na to, że pewnego dnia wewnętrzne napięcia w Imperium rozedrają na dwoje, do tego jednak czasu będą mogli pływać tylko po wodach wokół Nar, łupiąc wszystko do woli, płacąc Narenom za to, co zrobili.

Dzisiejszy wieczór nie różnił się niczym od innych. Okręt Prakny, „Księżę Liss”, leniwie przecinał dziobnicą wody oceanu. W maleńkiej kajucie komandora było zimno. W sztormowej lampce płonęła jedna świeca. Nad głową Prakny skrzypiały deski pokładu, a wokół niego zewsząd niosło się trzeszczenie wręg i klepek poszycia spokojnie płynącego okrętu. Szkło jedyne okna pokrył osad morskiej soli. Na koi Prakny leżały porzucane koce - pozostałość po kolejnej bezsennej nocy. Komandor siedział przy stoliku i patrząc na gasnącą świecę, czekał na świt. Przed nim leżała karta żółtawego papieru. Prakna patrzył na napisany właśnie list i zastanawiał się nad tym, jakie też są szanse, że dotrze do adresata.

Napisał go jednak i zamierzał wysłać. Kiedy pisał, było tak, jakby żona siedziała obok niego.

Przejrzał to, co już napisał, a potem zanurzył pióro w kałamarzu, by jeszcze coś dodać.

Wróćę, kiedy będę mógł. Narenie nie potrafią się bronić bez Czarnej Floty, ale nie wierzę, by ta zostawiła ich na zawsze. Nar jest w końcu jej domem. Sam dobrze wiem, najdroższa, co to znaczy tęsknota za macierzystym portem. Wróćę, kiedy odciągniemy ich flotę od Crote.

Zmarszczywszy brwi, zastanowił się nad ostatnim zdaniem. Śmiała obietnica, ale dałby wszystko, by jej dotrzymać. J'lari go potrzebuje. Od śmierci synów snuła się po domu niczym widmo. Pomyślał o tym, czy nie napisać jej o zabitych Narenach i o tym, jak bierze pomstę, potem jednak się rozmyślił. J'lari nie cierpiała wojny. Błagała go, by został w domu.

On jednak dowodził flotą i nie było sposobu, by kapitanowie wypłynęli bez niego. Musiał ją zostawić samą. Wiele miesięcy temu...

Kiedy wróćę, będę miał dla ciebie prezenty. Pierścień i kilka innych drobiazgów, które zdobyłem na kobietach Narenów. Powinnaś je zresztą sama zobaczyć, najdroższa, te tutejsze damy. Nie są drobne i delikatne, jak mieszkanki Liss. Są rosłe i twarde.

Zobaczywszy kilka z nich, jeszcze bardziej zatęskniłem za tobą. Okropnie się nas

tu boją. Wciąż się zastanawiają, dlaczego nie broni ich Czarna Flota, a na sam widok naszych szkunerów zaczynają krzyczeć ze strachu.

Prakna nawet lubił te wrzaski. Uwielbiał też przerażenie, jakie jego flotylla budziła w Narenach.

Ponieśliśmy pewne straty, ale nadal jest nas wielu i nie martw się o moje bezpieczeństwo.

Kłamstwo, ale Prakna napisałby to i tak. Z każdą napaścią na nowe miasto ponosili ofiary. Jego Lisseńczycy nie byli żołnierzami, tylko żeglarzami. Dlatego właśnie potrzebny był im Richius Vantran.

Najdroższa, brak mi ciebie i naszych synów. Gdybyś prawdziwie знаła moje serce, nie zastanawiałabyś się, dlaczego robię to, co robię. Mężowie nie są tacy jak żony, które zostawiają w domach, a ja nie mogę się oprzeć żądzy zemsty, jaka rozgorzała w moim sercu.

Powiedz innym żonom członków mojej załogi, że ich mężowie nie biją się dla przyjemności, tylko mszczą honor Liss.

Liss bowiem zostało zhańbione. Tak właśnie mówili teraz między sobą o ojczystych wyspach: Zhańbione Liss. Sto Wysp spustoszyli Narenie, reszty dokonała dziesięcioletnia blokada brzegów, ale ojczyzna Prakny nigdy się nie poddała i nie zrezygnowała z honoru.

Wyspiarze samotnie przeciwstawili się nareńskiemu smokowi i nie pozwolili sobie nałożyć pęt Czarnego Imperium z jego okrutnym i bezwzględny władcą, Arkusem. Przez dziesięć lat Liss samotnie opierało się Narenom, podczas gdy reszta świata przyglądała się rzezi.

Poddani Narenów zbyt byli przerażeni, by rzucić wyzwanie imperialnym władcom.

Poza Triinami z Lucel - Loru jedynie Lisseńczycy ostali się przed furią Arkusa. A teraz Arkus wreszcie wyzionął ducha, Imperium pogrążyło się w chaosie, Liss zaś gotowe było odrodzić się z popiołów.

Najdroższa żono, mam nadzieję, że spałaś dziś słodko i spokojnie. Mam też nadzieję, że w Liss jest ciepło i obudzi cię piękny ranek. I pamiętaj o mojej obietnicy.

Jeszcze się zobaczymy.

Podpisał zwyczajnie: „Prakna”.

Przez chwilę patrzył jeszcze na list, a potem wetknął pióro w kałamarz. List miał spocząć w szufladzie obok innych listów, czekających na to, aż zwolni się jakiś okręt, który zabierze je na Liss. Ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej. Byli daleko na północy, a Prakna chciał być gotowy na powrót Czarnej Floty. Od wielu miesięcy nękali wybrzeża Nar, licząc na to, iż uda im się wyciągnąć liniowce Nicabara z portów na Crote. Mieli spore sukcesy - posłali na dno ponad trzy dziesiątki statków kupieckich. Prakna wiedział, że okoliczności zmuszą w końcu Nicabara do podjęcia jakichś działań. Nigdy nie spotkał się z admirałem, ale zdążył poznać jego zwyczaje i ulubione taktyczne sztuczki. Wiedział, że dowódca „Nieustraszonego” nie zdoła żyć z hańbiącym piętrem tchórza.

- A wtedy weźmiemy Crote - wyszeptał jak zakłęcie, czy słowa modlitwy. -
Weźmiemy Crote.

Wyspa byłaby idealną bazą do ataku na Czarny Gród. Gdyby ją zdobyli, mogliby zmienić losy całej wojny. Najpierw jednak musieli odciągnąć stamtąd „Nieustraszonego”.

Prakna odłożył list i odchylił się, wpierając plecy w oparcie krzesła.

„Nieustraszony”, chluba, duma Czarnej Floty i postrach lisseńskich szkunerów. Nawet „Książę Liss” nie mógłby sprostać olbrzymowi. Flagowego okrętu Nicabara nie dało się porównać z żadnym innym - był pływającą, niezniszczalną fortecą. Powiadano, że nie da się go zatopić. Prakna się zastanawiał, ile jest w tym prawdy. Nicabari jego okręt byli przekleństwem floty lisseńskiej.

Zbudowany jako tajna broń przeciwko wyspiarzom „Nieustraszony” był opoką, na której opierała się cała blokada Liss. Nie pływał równie chyżo, jak inne liniowce, ale mówiono, że góra nie musi być szybka.

Potężny okręt miał kadłub z kutej stali, podwójne dalekosiężne ogniomioty i jak do tej pory wszystkie posyłane przeciwko niemu szkunery kończyły na dnie.

Jak „Ognisty Ptak”.

„Ognisty Ptak” natknął się na „Nieustraszonego” pod wyspą Meer. Jedno celne trafienie z ogniomiotu i poszedł na dno w kilka minut. Niektórzy z członków jego załogi spróbowali dostać się wplaw na brzeg. Wody wokół Meer były ciepłe... i pełne rekinów.

Prakna zamknął oczy. Nie chciał, by jego obaj synowie służyli na tym samym

okręcie.

Wiadomości dotarły do niego tydzień później. Od tamtej pory J'lari stała się widmem dawnej żony. Milczącym. Przestali się kochać - dla niej ta czynność była teraz stratą czasu; była zbyt stara, by ponownie urodzić mu synów. Prakna też się zresztą zmienił. Ze śmiercią chłopców umarło w nim sumienie, co zrozumiał zbyt późno. Mógł już tylko szeptać swej królowej o zemście. Odbudował flotę i stworzył nową armadę. A kiedy się okazało, że można ruszyć na morze, zrobił to aż zbyt chętnie. Prakna czuł, że została mu już tylko pomsta za honor Liss.

Z częściowo zamkniętymi ze znużenia oczami położył głowę na blacie stolika.

Czuł, jak jego okręt kołysze się rytmicznie na długich falach i słyszał uderzenia grzywaczy o kadłub, gdy „Księżę Liss” przecinał kolejny wał wody. Powoli powieki komandora opadły i zmorzył go sen. Mógł mieć tylko nadzieję, że nic mu się nie będzie śniło...

Obudziło go pukanie w drzwi kajuty. Komandor powoli rozchylił powieki. Nie minęła nawet godzina. W kajucie nadal było mroczno. W sztormowej lampce wciąż płonęła ta sama świeca.

- Tak? - odpowiedział zaspanym głosem.

Niewielkie drzwi uchylły się nieco i przez otwór wsunęła się głowa Marusa.

Pierwszy oficer i zastępca natychmiast spostrzegł, że komandor zasnął na krześle, i uśmiechnął się przepaszająco.

- Komandorze?

Prakna podniósł głowę i skinieniem dłoni zaprosił przyjaciela, by wszedł głębiej.

- Wejdz, Marusie... - wychrypiął. - Nie spałem.

- Spałeś... - poprawił go Marus. - Przepraszam, że przeszkadzam.

- Dlaczego mnie budzisz?

- Statek. Dwadzieścia stopni na bakburcie od dziobu, idzie równoległym kursem.

- Co to za statek?

- Za daleko, żeby coś rzec - odparł oficer. - Ale pomyślałem, że powinienes wiedzieć.

Marus postępował zgodnie z utartą praktyką, co Praknie bardzo odpowiadało. Był doskonałym oficerem, takim, jakiego chciałby mieć u swego boku każdy dowódca i

kapitan.

Służyli razem od wielu lat, a znali się jeszcze jako dzieci. Kiedy przyszła pora, by wybrać pierwszego na „Księcia Liss”, Praknie od razu przyszedł na myśl Marus. Obu zresztą łączyło ponure pokrewieństwo. Marus też stracił syna.

- Wracaj na pokład i poczekaj na mnie - polecił Prakna, rozglądając się po kajucie za butami. - Zaraz będę na górze.

Gdy Marus wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Prakna znalazł buty pod koją i szybko wsunął w nie stopy. Zerknąwszy przez bulaj, zobaczył tylko mrok, wiedział jednak, że lada moment należy spodziewać się świtu. Zastanawiał się, co im ujawni zdradzieckie światło dnia. Kolejny statek Narenów. Niemal na pewno statek kupiecki. Kurs przywiódł ich w pobliże Dorii, głównego portu Imperium. Raz już złupili Dorię, co wywołało prawdziwe trzęsienie ziemi wśród tamtejszych towarzystw okrętowych. Prakna rozkazał patrolować okoliczne wody, czekając na nieunikniony powrót statków handlowych. Teraz uśmiechnął się do siebie, rad z tego, że jego przewidywania się sprawdzają.

Wciągnął płaszcz, zdmuchnął świecę w sztormówce i wyszedł z kajuty. Trafił na pusty korytarz i znalazł wiodący w górę trap. Wspiął się zręcznie, na górze pchnął klapę liku i znalazł się na forkaście. Natychmiast poczuł na twarzy ukąszenia chłodnego wiatru. Wokół huczały fale oceanu. Rozejrzawszy się po pokładzie, odnalazł Marusa. Obok niego stało dwóch młodszych członków załogi i wszyscy trzej wypatrywali czegoś na morzu.

Marus przytykał do oka tubus lunety. Ciemności rozjaśniało tylko światło jednej tranowej latarni. W tej chwili „Księżę Liss” gwałtownie przechylił się na bok, uderzony podmuchem szkwału.

Prakna przyłączył się do trzech towarzyszy i stanąwszy obok, też zaczął badać wzrokiem horyzont. Gdy dziób „Księcia Liss” dźwignął się w górę, komandor zauważył jakieś tańczące w oddali na falach światelko. Domyślił się, że widzi blask okien kajuty. Marus podał mu lunetę.

- Za ciemno, by stwierdzić coś pewnego - zauważył oficer. - Ale to nie okręt wojenny.

Nie ma eskorty, płynie samotnie.

Prakna podniósł lunetę do oka. Horyzont był jeszcze pograżony w mroku i komandor nie od razu odszukał nareński statek, ale w końcu dostrzegł niewyraźnie migoczące światełko.

Był duży i płynął powoli, ale nie był to okręt wojenny. Prakna poczuł, że zapał, z jakim wyskoczył na pokład, powoli gaśnie. Właściwie nie spodziewał się, że akurat tutaj znajdzie przeciwnika, ale i tak zawód nieco go rozczarował. Złożył lunetę i podał ją Marusowi.

- Daj znać innym jednostkom. Pójdziemy za nim, aż się rozwidni. A wtedy zobaczymy, z kim mamy honor.

- Aye, sir! - Marus zasalutował i wykrzyczał rozkazy.

Na pokładzie zawrzało. Na śródokręciu żeglarze chwycili za kołki, by skrócić żagle, a sygnaliści w koszach zaczęli wywijać chorągiewkami, przekazując rozkazy innym statkom patrolu. Maszty „Księcia” pochyliły się ku horyzontowi i okręt skręcił na bakburtę, gdy sternik zakręcił kołem, kładąc szkuner na kurs pościgowy. Prakna prowadził sforę, a jego śladem gnało tuzin chyżych, żądnych krwi i łupu drapiezców. Komandor spojrział na sterburtę. Na horyzoncie, nad Nar, pojawiły się pierwsze promyki przedświtu.

Komandor niedawno kreślił na mapie powrotny kurs na Dorię i widział w oddali zamieszkały przez nich skrawek lądu, niezmiernie mały z tej odległości. Port był kropką na bezkresnych obszarach oceanu. Okręty szły pod wiatr, kładąc się na kurs północ północny zachód.

Halsowanie zwalniało pościg, ale Prakna i tak wiedział, że na tych wodach nie ma bardziej chyżych okrętów od jego szkunerów. Nie mógł im sprostać żaden liniowiec czy fregata Narenów.

Podczas wieloletnich zmagania z Lisseńczykami Narenie mogli wypróbować rozmaite projekty okrętów, ale jak dotąd naukowcy z wojennych pracowni nie potrafili wymyślić nic, co pływałoby równie szybko, jak małe, zwrotne lisseńskie szkunery. Była to zresztą jedyna przewaga taktyczna, jaką Prakna mógł przeciwstawić większym i lepiej uzbrojonym nareńskim liniowcom.

„Księżę Liss” i reszta jego grupy ścigali nieznany okręt, aż się rozjaśniło.

Prakna i jego oficerowie stali na pokładzie forkasztelu i opierając się o reling,

wszyscy wbijali wzrok w cel. Komandor znów wziął w dłonie lunetę. Teraz już mógł wyraźnie zobaczyć ścigany statek. Mieli przed sobą sporą kryptę o masztach i żaglach wypełnionych wiatrem.

Na najwyższym, środkowym maszcie trzepotała nowa flaga Narenów, ta, którą nazywali Światłością Boga. Pod nią wywieszono zwykły, trójkątny proporzec Dorian: obnażony miecz w złotym polu. Prakna natychmiast zrozumiał, że nie jest to okręt wojenny.

Śródokręcie było niskie, rozparte na wielkich ładowniach. Prakna złożył lunetę i zwrócił się do towarzyszy.

- Handlarze niewolników - stwierdził z pogardą w głosie. - Prawdopodobnie płyną z Bisenny.

Marus kiwnął głową.

- Owszem, ładownie pełne niewolników. Nieszczęśnicy. Przerwywamy pościg?

- Przeciwnie, dogonić i zatopić.

- Komandorze?

- Marusie, słyszałeś rozkazy?

- Owszem. Najbliżej są „Mściciel” i „Szara Pani”.

- Niech go zajdą z obu burt. My prowadzimy.

- Aye, sir - odparł służbiście Marus i odszedł, by przekazać rozkazy dowódcy.

Gdy „Książę” skoczył ku ofierze, tnąc fale ostrym niczym brzytwę dziobem, Prakna zachwiał się lekko, ale zapobiegł upadkowi, chwytając się relingu. „Mściciel” i „Szara Pani” oderwały się od grupy głównej i przyłączyły do „Księcia”, gotowe do zadania miażdżącego ciosu swoimi okutymi w stal taranami dziobowymi. Pękata ofiara zobaczyła wilcze stado i najwyraźniej podjęła niezdarne manewry, mające na celu ratowanie się. Marus zagrzmiął rozkazami, po których załoga skoczyła do lin, i „Książę” pomknął za umykającym statkiem niewolniczym. Na masztach szkunerów, które jakby połykały przestrzeń, trzepotały dumnie morskie lisseńskie węzowe bandery. Na pokładach uwijali się majtkowie, którzy kąpiąc się co chwila w bryzgach piany, ciągnęli liny i refowali żagle. Potężny, trójkątny żagiel nad bukszprytem „Księcia” jęczał i coraz bardziej się napinał. Ciągący od bakburty „Mściciel” parł przed siebie, podczas gdy jego mniejsza partnerka, „Szara Pani”, ciężko walczyła z falami.

- Chyba już nas widzą! - zawołał Prakna do Marusa. Marus wyglądał na nieco zdezorientowanego.

- Nie inaczej. Widzą nas z pewnością.

- Marusie, sentymenty na bok! - odpowiedział mu okrzyk Prakny. - To nie są tylko niewolnicy... To Narenie!

Prakna z rozkoszą posłałby na dno zupełnie inny okręt, ale na razie ten oto miał jakoś ugasić płonącą w jego sercu żądzę zemsty. Nawet teraz, kiedy Imperium sypało się w gruzy, Narenie nie rezygnowali z niewolnictwa. Na samą myśl Praknę chwyciły torsje.

Chwyciły go torsje na myśl o wszystkich Narenach. W podbitej Bisennie nareńscy szlachcice gromadzili niewolników jak snopy zboża. Prakna słyszał już o tym. W kajdany zakuto niektórych z jego ziomków - ci zostali wywiezieni do Czarnego Grodu, by do śmierci gnić w podziemiach pracowni wojskowych. Komandor uważał, że lepsza już byłaby śmierć.

„Książę” podpłynął bliżej do rozpaczliwie usiłującego uciec statku Narenów.

Prakna widział już ludzi na pokładzie, którzy z wytrzeszczonymi zgrozą oczami wpatrywali się w ciągnących na nich morskich łupieżców. Od bakburty do ofiary zbliżał się „Mściciel”, szykując się do zadania ciosu taranem. „Książę” podpłynął jeszcze bliżej. Z drugiej strony drogę ucieczki handlarzom odcinała „Szara Pani”. Prakna okrzykiem wydał rozkaz Marusowi - „Książę” miał zająć ofiarę od przodu. Maszty szkunera zatoczyły łuk, gdy sternik zakręcił kołem. Na śródokręciu żeglarze z drużyny abordażowej szykowali już kordelasy i wspinali się na wanty.

„Dziś jesteśmy piratami - pomyślał Prakna. - Tak jak mówią o nas Narenie”.

Tamci jednak nie zasługiwali na nic lepszego - nawet te nieszczęsne gnojki z Bisenny.

Dla Prakny wszyscy byli Narenami. Synami tej paskudnej, wiecznie goniącej za przyziemnymi przyjemnościami rasy, która niewoli siebie samą i zadaje gwałt wszystkim innym. Gdyby mógł, wszystkich osobiście spaliłby w jednym ognisku.

Nareńscy handlarze niewolników, widząc, że nie ujdą pogoni, wywiesili białą flagę.

Wielki statek zwolnił i skrócił żagle. Nareńscy żeglarze machaniem rąk z pokładu dawali znać, że się poddają. Prakna stał nieruchomo niczym posąg. „Książę” gnał przed

siebie.

„Mściciel” i „Szara Pani” zataczały łuki, szykując się do uderzeń taranami. Mimo szumu fal Prakna słyszał stłumione okrzyki nareńskich marynarzy. Zaczerpnął tchu. Podjęcie decyzji nie zajęło mu więcej czasu, niż trwa jedno uderzenie serca. Potem wydał rozkaz.

- Sygnał do „Mściciela”! - zawołał do Marusa. - Taranować!

Marus ponuro kiwnął głową. Rozkaz podano wzdłuż pokładu do sygnalisty, który uniósł kolorowe flagi. „Mściciel” zareagował niemal natychmiast - zmianą kursu, nieznaczną, ale taką, że okuty stalą dziób okrętu skierował się prosto w środek kadłuba ofiary. Szkuner ruszył do przodu jak ogromny żarłacz, z każdą chwilą nabierając szybkości i energii. Ludzie na jego pokładzie zebrali się w sobie i każdy chwycił się czegoś silnie przytwierdzonego do pokładu. „Szara Pani” odpadła od wiatru i ruszyła równoległe do nareńskiego statku, a „Księżę Liss” odciął nieszczęśnikom drogę od dziobu. Kapitan Narenów wrzeszczał coś rozpaczliwie i machał ku „Mścicielowi”. Prakna zacisnął pięści...

- Teraz!

Dziób „Mściciela” wciął się głęboko w kadłub niewolniczego statku. Powietrze wypełniły natychmiast pełne 7. <gcoTy, nienawiści i strachu wrzaski oraz trzask łamiącego się drewna. „Mścicielem” targnęło w górę, gdy uwolnił się dziób szkunera - przez ułamek sekundy Praknie wydało się, że widzi nosorożca unoszącego łeb do zadania śmiertelnej rany.

„Księżę Liss” opływał nareński statek od przodu. Wszyscy członkowie załogi milczeli jak zakłęci.

- Dobrze się przyglądajcie... - mruknął Marus.

Kadłub nareńskiego statku dygotał kurczowo, targany wstrząsami wywołanymi przez potoki zalewającej go wody. Nareńscy żeglarze zeskakiwali z pokładu w morze, bo ich statek silnie się przechylił na sterburtę. Kołysali się jeszcze na falach, przerażeni i zaskoczeni, gdy ruszyła na nich „Szara Pani”. Prakna patrzył bez zmrużenia na rozcinane dziobem mniejszego szkunera ciało. „Mściciel” uwolnił się już całkowicie, wydzierając z kadłuba ofiary potężne kawałki drewna. Główną troską jego kapitana było oderwanie się teraz od ofiary, by ta, idąc na dno, nie pociągnęła kata za sobą.

Prakna zadowolony z siebie skrzyżował ramiona na piersi. „Księżę Liss” zwolnił i tryumfalnie opływał tonącego wroga. Wielki kadłub jęczał, trzeszczał i szybko wchłaniał wodę. Ocean nieubłagane wciągał nareński okręt w głębię. Ostatni członkowie załogi z dzikimi wrzaskami przeskakiwali przez relingi i dawali nura w fale.

W ładowniach, gdzie trzymano niewolników, panowała już martwa cisza.

„Mściciel” zdołał się uwolnić i odpływał od swej ofiary. „Szara Pani” zataczała krąg, by po raz drugi zebrać żniwo śmierci. Narenie z przerażeniem w oczach, rozplątali się na wszystkie strony, desperacko usiłując ująć mordercom. Niektórzy, błędnie oceniwszy odległość, rzucali się w pław ku brzegowi. Inni po prostu unosili się na falach, i przejęci grozą czekali bezradnie na uderzenie dziobu szkunera.

W kilka sekund później nareński statek znikł pod falami. Prakna zacisnęła szczęki, aż zagrały mu mięśnie na policzkach. Zatopił właśnie przeklęty statek niewolniczy.

Ofiara w pełni zasłużyła na to, by puścić ją na dno - z załogą i „pasażerami”. Komandor patrzył na fale, aż zobaczył tylko skłębioną pianę, którą zaraz uniosły w dal podmuchy bryzy.

Dopiero wtedy odwrócił się od relingu... by spojrzeć w twarz Marusa. Pierwszy oficer miał ponurą minę.

- Wieźli niewolników - wymamrotał Prakna w formie usprawiedliwienia, zwracając się raczej do siebie, niż do zastępcy. - Poszliby do robót w kuźniach, i kopalniach. I do stoczni...

- Nie inaczej. Prakna przełknął ślinę.

- Wracamy na kurs patrolowy - rozkazał cicho. - W razie czego znajdziesz mnie w kajucie.

- Aye, sir. - Marus odstąpił w bok i wykonał zwrot, tak że przepuścił komandora przed sobą.

Prakna zdążył odejść kilka kroków, kiedy usłyszał za sobą głos zastępcy.

- Prakna?

Prakna zatrzymał się i odwrócił, by spojrzeć swojemu przyjacielowi w twarz.

- Tak?

- Teraz kolej na „Nieustraszonego” - stwierdził Marus.

Osiem **MROCZNE SERCE**

Simon Darquis najchętniej spędzał czas na pokładzie „Pogromcy”, spacerując po pokładzie. Wszystko wokół niego toczyło się zwykłą koleją rzeczy bez jego udziału i nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Wzięto go na pokład z rozkazu hrabiego Renato Biagio, i załódze nie powiedziano niczego więcej o ich osobliwym towarzyszu podróży, bo też nic nie musieli wiedzieć. Simon robił co mógł, by nikomu nie przeszkadzać, musiał jednak wychodzić na słońce, którego nikłe promienie opalały mu skórę; rad był też powiewom wiatru. Przyszło mu głodować, ponieważ jego żołądek kiepsko znosił nieustanne kołysanie - wszystko, co spuszczał przetykiem w dół, natychmiast wracało tą samą drogą. Po trzech nieskończonej długich tygodniach od wypłynięcia z Crote Simon ani razu porządnie się nie najadł. Zawsze szczupły teraz stał się chudzielcem - co było dokładnie tym, czego potrzebował do oszukania Szakala. Swoje przebranie - uniform nareńskiego legionisty - wywiesił na jednym z masztów, a od czasu do czasu owijał go siecią i zanurzał w wodzie. Do tego, aby wymyślona historyjka i przebranie mogły odegrać swoją rolę, uniform - i on sam - musieli wyglądać na poddanych długiej poniewierce. W kabinie miał też parę typowych, produkowanych dla wojska buciorów, tak steranych, że włożywszy je, piętami niemal dotykał ziemi. Sam wymyślił przebranie i swoją historię, Biagio zaś je zaaprobował.

Nie znał Szakala z Nar i nie żywił do niego żadnej urazy. W pewien sposób nawet go podziwiał. Vantran potrafił dokonać nie lada wyczynu - rozpętał chaos w Imperium, porzucił swoje królestwo w Aramoorze i przekształcił Triinów w armię zdolną do odparcia legionów Vorta. Wszystko to z miłości do kobiety. W innych okolicznościach, rozmyślał Simon, mogliby zostać przyjaciółmi. Simon jednak był Roshannem, a Biagio za wszelką cenę chciał się zemścić na Richiusie.

Nie mówił Eris o celu swojej misji. Nigdy by go nie zrozumiała, a gdyby poznała prawdę, mogłoby to oznaczać koniec łączącej ich miłości. Mimo tego, że żyła w cieniu Biagia, niewiele naprawdę wiedziała o Roshannach i ich sprawach. Zresztą w zasadzie nie zawarł z hrabią żadnej wiążącej umowy. Biagio po prostu chciał, by Simon to zrobił, niezależnie od jego małżeństwa z tancerką. Eris była zaś nagrodą za lata wiernej służby.

W taki sposób Mistrz chciał Simonowi okazać swoje szczególne przywiązanie. Simon o tym wiedział... i pomyślawszy o tym aspekcie sprawy, lekko się wzdrygnął. Okazał Biagiowi szczerą i zaufanie. Kochał Eris i gotów był dla niej na wszystko - nawet na porwanie dziecka, którego nigdy wcześniej nie widział. Szczerze mówiąc, wiedział, że dziewczynka nie opuści Crote jako żywa istota - mogą ją za to wywieźć stamtąd w kawałkach.

Biagio przepadał za posyłaniem ludziom głów ich bliskich.

Jego Mistrz był potworem. Teraz Simon już o tym wiedział. Patrząc z pokładu na fale, myślał o tym, że służy szaleńcowi, istocie o umyśle zniszczonym i wyżartym przez środki odurzające i eliksir nieśmiertelności. Biagio nie zawsze był taki i Simon ogromnie mu współczuł. Za wczesnych dni Roshannów, kiedy hrabia był jeszcze młodzieńcem, a Simon chłopcem, lud Crote uważał Biagia za bohatera. Powiódłszy wyspiarzy w objęcia Imperium, nasycił ich apetyty niezliczonymi, sprowadzanymi z kontynentu towarami i dał im to, czego zawsze pragnęli i pożądali - szacunek wśród innych narodów. Gdy Biagio został prawą ręką imperatora, przestano nazywać jego ziomków zbieraczami oliwek i moczymordami.

Stali się narodem Roshannów, a tych wszyscy się bali. Za to jedno choćby wyspiarze gotowi byli wielbić Biagia wiecznie... i wybaczyliby mu wszystko inne.

Nawet szaleństwo.

Na pokładzie „Pogromcy” zbudził się kolejny, chłodny dzień. Płynący pod pełnymi żaglami liniowiec bez wysiłku rozcinał fale. Simon stał na rufie i patrzył na pianisty ślad, zostawiany na wodzie przez okręt. Okręt był doskonały, nowszy niż większa część floty.

Nie tak wielki, oczywiście, jak „Nieustraszony”, przez co lepiej się nadawał do tajnych misji. Okrążywszy północny kraniec Lucel - Loru, płynęli teraz ku Falindarowi.

Kapitan N'Dek nie chciał żadnych kłopotów, trzymał się więc otwartego morza i unikał bliskości brzegów. Stary wilk morski opowiadał Simonowi, że na tych wodach można się było natknąć na ogromne węże morskie i kałamarnice, zdolne do wciągnięcia pod fale okrętu nawet tak wielkiego, jak „Nieustraszony”. N'Dek był przewrotnym człowiekiem skłonny do łągarstw, Simon jednak wciąż mierzył wody podejrzliwym spojrzeniem. Jak na człowieka urodzonego na wyspie, szczególnie nie cierpiał morza.

Wkrótce miał się znaleźć na Lucel - Lorze. Rad był myśli o tym, że stanie wreszcie na stałym lądzie, ale przerażała go idea całej misji. Rzecz, poza wszystkim innym, była niemożliwa do przeprowadzenia i nie sądził, by sprawa się udała. Vantran będzie podejrzewał wszystko i wszystkich. Był zresztą nie lada przeciwnikiem, człowiekiem któremu udało się przeżyć imperatora, zabić Gayle'a z Czarnej Kniei i, co najtrudniejsze ze wszystkiego, przechytryć Biagia. Simon uważał za rzecz prawie niemożliwą, by tak bystry człowiek pozwolił sobie porwać córkę spod nosa. Vantran miał jednak pewną słabą stronę - był Narenem, co oznaczało, że na Lucel - Lorze musi się czuć bardzo samotnie. Nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać o dawnych sprawach, i z pewnością rad powita krajana.

Była to oczywiście ryzykowna zagrywka, ale mająca szansę powodzenia. Odwoła się do sympatii i uczuć Vantrana i wkradnie się w jego łaski. Vantran przywyknie do obecności przyjaciela i obdarzy go zaufaniem. I wtedy Simon uderzy, nagle i podstępnie niczym kobra.

„Nie mam żadnych zasad moralnych - pomyślał Simon. - Boże, miej mnie w swej opiece”.

Dlatego zresztą był tak dobrym agentem, i dlatego Biagio tak na nim polegał.

Nazwisko Simona nie było przypadkowe. Wybrał je po długim namyśle. W języku Vosk, którym od urodzenia mówiła jego matka, słowo to znaczyło „mroczne serce”.

Simonowi wydało się idealnym nazwiskiem dla człowieka bez sumienia.

„Nie” - poprawił się natychmiast. Nie był bez sumienia. Nie stracił jeszcze jego resztek. Czuł jego wyrzuty z powodu tej misji, dostatecznie silne, by mógł się uznać za człowieka, co mu nawet odpowiadało. Gdyby był religijny, modliłby się o przebaczenie, ale nowy Bóg Narenów był głuchy na modły mieszkańców Crote. Simon zachował więc milczenie i teraz, stojąc na pokładzie wojennego okrętu, patrzył na kilwater i dziwił się jego długości. Wiatr smagał jego okoloną bródką twarz i zostawiał mu słony posmak na wargach.

Za plecami Simona słońce już chyliło się ku zachodowi, a ludzie na pokładzie nawoływali się monotonicznie i zajmowali swoją pracę. Simon pomyślał o Eris, o jej idealnie wyrzeźbionej twarzyczce i przepięknie sklepionych piersiach. Miała nogi godne

bogini, długie, szczupłe i na samą myśl o nich Simon poczuł, że wzbiera w nim pożądanie, przez które coraz trudniej mu było znosić samotność. Już niedługo będzie miał córkę Szakala, a potem na zawsze pozbedzie się samotności. Zamknął oczy, uśmiechnął się, a zaraz potem usłyszał za sobą kroki kapitana.

- Wiedziałeś jakieś węże morskie? - spytał N'Dek. Kapitan podszedł do Simona i żartobliwie trącił go łokciem w żebra. - Dobre miejsce na to, by się tu wyrzygać, prawda, panie Darquis? - zadrwił marynarz. - Może dobrze byłoby przynieść tu twoją koję?

Simon parsknął śmiechem. Pomimo zgryźliwości starego żeglarza młodzieniec bardzo go polubił. Był złośliwym dziwakiem i miał wśród załogi reputację człowieka twardego, ale uczciwego.

- Nie stawaj za blisko, kapitanie. Mogę stać się wylewny... prosto na wasze piękne szaty.

- Rzygałeś cały dzień i masz w sobie tylko wodę - zlekceważył groźbę kapitan.

-

Powinieneś więcej jeść. Mocniejszy podmuch zniesie cię za burtę.

- Nie mogę niczego przełknąć - stwierdził Simon. - Nie odpowiada mi wasze buntownicze, galernicze żarcie. Owszem, próbowałem, ale ono zawsze wyrywa się na wolność.

- Rzecz nie w żarcu. - Kapitan tknął Simona w pierś kościstym paluchem. - To ty jesteś mięczakiem, panie Darquis. Jak wszystkie szcuchy lądowe. - Zachichotał wyzywająco, Simon jednak nie podjął gry.

- Masz rację - stwierdził spokojnie. - To dlatego legiony wciąż tkwią w Nar, a Czarna Flota bezpiecznie kryje się u brzegów Crote. Szkoda, że wszyscy ludzie Vorta nie są tak twardzi jak ty, kapitanie.

Twarz N'Deka nagle spochmurniała.

- Panie Darquis, mógłbym cię za to wyrzucić przez reling. Ale hrabia Biagio by się zirytował, gdyby się dowiedział, że jego ulubiony szpieg przepadł w odmętach.

Kapitan położył szczególny nacisk na słowo „ulubiony”, co bardzo się nie spodobało Simonowi.

- N'Dek, jak się czuje człowiek będący chłopcem na posyłki? Czy to dobre zajęcie?

- Nie jestem chłopcem na posyłki! - syknął N'Dek.

- Kiedy wrócę powiem hrabiemu, że powinien stworzyć gołębią pocztę. Ptaki z pewnością byłyby szybsze od tego wraku.

- Zdumiewasz mnie, dobry panie Darquis. Jestem kapitanem tej łajby. Mógłbym zostawić cię na brzegu z triińskimi przyjaciółmi., Co ty na to? Na resztę życia zostać z gogami, co? Mógłbym po prostu rzec hrabiemu, że przepadłeś i nie stawieś się na umówione miejsce. Co za okropność, nieprawdaż? Mogłeś się przecież zgubić.

- Nie taka znów okropność, N'Dek. Przynajmniej nie musiałbym patrzeć na twoją gębę w drodze powrotnej.

Kapitan parsknął śmiechem.

- Już niedługo, panie szpiegu. Wziąłem namiary. Zgodnie z moimi mapami za dwa dni powinniśmy dotrzeć do Falindaru.

- Dwa dni? Jesteś pewien?

- Owszem, chyba że wiatr się zmieni. Wcześniej się oczywiście zatrzymamy. Nie chcemy przecież, by nas widziano.

- Strażnica - przypomniał mu Simon. - Macie mnie wysadzić pod strażnicą.

- Tak, tak... - Kiwnął głową N'Dek, poirytowany tym, że młodzieniec przypomina mu rzecz oczywistą.

- I, kapitanie, nie podpływajcie za blisko - pouczył go Simon. - Ta cytadela jest cholernie wysoka. Mogą nas z niej zobaczyć.

- Zbyt wiele bierzesz na swój łeb - zawrzał nagle gniewem kapitan. - Nie trzeba mnie uczyć mojego rzemiosła. Roshannie, trzymaj się lepiej swoich trucizn i sztyletów!

Simon zrozumiał ostrzeżenie. N'Dek miał swoiste poczucie humoru, ale istniały pewne granice w żartach, których lepiej było nie przekraczać. Jak wszyscy kapitanowie Nicabara i ten nie znosił agentów Biagia, co ukrywał, ale czynił niedbale i niechętnie. Nie lubił zresztą kryć się na Crote. Chciał wracać do Nar, by brać na cel swoich dział legiony Vorta i lisseńskie szkunery nękające brzegi Imperium. Wytrzymywał niewygody służby transportowej, bo takie otrzymał rozkazy od admirała, ale nie lubił hrabiego Crote i wszystkich jego agentów.

- Tkwisz tu cały dzień - odezwał się N' Dek po dłuższej chwili milczenia. - Zejdź pod pokład i nieco odpocznij. Czeka cię ciężka przeprawa i trzeba ci będzie sił.

Simon ustąpił, bo dalsze spory nie miały sensu. Był wyczerpany, osłabiony brakiem porządných posiłków i nieustannymi sensacjami w żołądku. Na górze było świeże powietrze, ale i koja miała swoje zalety. Młodzieniec skinął i odwróciwszy się od kapitana, ruszył w stronę trupu. Był już prawie przy nim, kiedy usłyszał głos N'Deka.

- Och, Darquis, byłbym zapomniał. Na kolację będziemy mieli ośmiornicę.

Zechcesz zrobić mi zaszczyt i zjesz ze mną?

- Niech cię piekło pochłonie, N'Dek!

Następny dzień Simon spędził w kajucie, zastanawiając się, jak daleko jest jeszcze do Falindaru. Mniej więcej o zachodzie słońca w jego brzuchu zaczęło narastać nerwowe napięcie. Zawsze niecierpliwił się przed misją i nawet polubił to uczucie.

Utrzymywało go w gotowości i wyostrzało zmysły. Tym razem jednak rzecz się miała inaczej. Leżąc na koi i patrząc na gasnące światło słońca, myślał o Eris, ich przyszłym, wspólnym życiu i zastanawiał się, czy będzie to życie spokojne i pozbawione żalów. Jego rodzice bardzo się kochali, a po śmierci ojca, kiedy matka płakała, pogrążona w rozpacz, powiedziała mu, że nie chciałaby zmienić ani jednej spędzonej z mężem chwili. Teraz, dręczony chorobą morską Simon, widział przed sobą twarz matki i myślał o Eris, która została na wyspie z szalonym Biagiem, kochającym zadawanie bólu Savrosem, oraz z tym karzełkiem mądrałą o przewrotnym umyśle.

I zaczynał się bać.

Tej nocy prawie w ogóle nie spał, a rano powitał jak starego przyjaciela. Gdyby wiatr się utrzymał, mogli pod wieczór dotrzeć do celu. Ubrał się szybko i stwierdził, że wraca mu apetyt. Na pokładzie N'Dek i jego oficerowie niecierpliwymi krokami przemierzali śródkręcie. Okręt płynął pod skróconymi żaglami, przez co sunął przez fale powoli, niczym ogromny rekin szukający ofiary. Simon szybko podszedł do kapitana, który powitał go skąpym uśmiechem.

- Witaj, panie Darquis. Spójrz, proszę, ponad moim ramieniem.

Simon zrobił to, co mu polecono. Z powodu porannej mgły widoczność była słaba, ale w oddali zobaczył ląd, którego mimo mgły nie sposób było wziąć za co innego.

Młodzieniec odetchnął i spojrzał pytająco na N'Deka.

- Lucel - Lor?

- Nie inaczej - Kapitan kiwnął głową. - Dokładnie tam, gdzie powinien być. Czy

poznajesz cokolwiek?

Simon zaprzeczył. Nie widział wieży strażniczej i nie wiedział, jak dokładne są mapy N'Deka. Był tu już przedtem, ale niezbyt dobrze znał triińskie wybrzeże.

- Niewiele można stąd zobaczyć - stwierdził. - Nie da się dopłynąć bliżej?

- Spróbujemy, choć i tak już sporo ryzykujemy. Panie Darquis, zbierz swoje rzeczy. Jeżeli ta mgła się utrzyma, może uda ci się dopłynąć do brzegu na wiosłach, tak by nikt cię nie zobaczył.

- Zgoda - odpowiedział Simon i wrócił do kabiny. Znow dopadło go to uczucie obawy, potrząsnął więc głową, by wziąć się w garść. W zasadzie nie miał oporządzenia, tylko przebranie legionisty, i wkładając je, postarał się jeszcze bardziej je pomiać i porozdzierać.

Znalazłszy pod koją sterane buty, wzuł je także, a potem dokończył przebrania, zatykając za pas jedyny oręż, w jaki się uzbroił - sztylet legionisty. W kajucie było zwierciadło, w którym z satysfakcją się przejrzał. Uśmiechnął się do swojego odbicia. Kilkutygodniowa choroba morska odpowiednio go wychudziła, a skórę miał popękaną od wiatru i spaloną słońcem.

Wizerunku dopełniały przetłuszczone, brudne włosy, pozlepiane morską solą.

- Możesz tego dokonać - szepnął, patrząc w lustro. - Musisz. Dla Eris.

Dla Eris. Zaczerpnął tchu, zatrzymał powietrze w płucach i wyszedł z kajuty.

„Pogromca” był już bliżej brzegu. Simon ledwie widział poszarpaną linię brzegową. Ten skrawek Lucel - Loru nazywano Tatterak. Tu właśnie wznosiła się falindarska cytadela.

Władał nią kiedyś plemienny wódz o imieniu Kronin, zginął jednak podczas inwazji Narenów. Zgodnie z tym, co zeznał nieszczęsny Hakan, teraz rządził tu niejaki Lucyler.

Simon powtarzał to sobie nieustannie, szukając jakiegoś faktu, z którego mógłby zrobić użytek. Gdyby rzeczywiście przez cały rok błąkał się po Lucel - Lorze, wiedziałby znacznie więcej. Jedna pomyłka, jedno niewłaściwe stwierdzenie i Vantran wszystkiego się domyśli.

Liniowiec dopływał coraz bliżej do lądu. Ocenivszy odległość na taką, jaką da się pokonać o wiosłach, N'Dek rozkazał rzucić kotwicę, która opadła w fale z głośnym

pluskiem, po którym natychmiast rozległ się grzechot łańcuchów. Simon czekał przy relingu na sygnał od N'Deka. Twarz kapitana, który właśnie się do niego zbliżał, przybrała wyraz niezwyklej powagi.

- Jesteś gotów?

Simon kiwnął głową. Niewiele widział przez mgłę, ale robiło się coraz jaśniej i lada moment promienie słoneczne mogły rozprężyć opary. Trzeba będzie się pospieszyć.

- Dwóch ludzi odwiezie cię na brzeg. Znajdź tę wieżę tak szybko, jak zdołasz.

Dostaniesz latarnię sygnałową, hubkę i krzesiwo, które dobrze ukryj. Będą ci potrzebne, by dać nam sygnał. Będziemy tu czekać za czterdzieści dni.

- Czterdzieści dni - powtórzył Simon. - Powinno wystarczyć. N'Dek wbił w niego twarde spojrzenie.

- Panie Darquis, masz dokładnie czterdzieści dni, nie mniej i nie więcej. Nie pomyśl się. Niezbyt dobrze się czuję sam na tych trińskich wodach. Jeżeli gdzieś tu się snują jacyś Lisseńczycy...

- Nie ma tu żadnych Lisseńczyków.

- ...jeżeli są tu jacyś Lisseńczycy - kapitan jakby go nie słyszał - to nas stąd przegonią, a ty zostaniesz zdany na samego siebie. Jeżeli nie stawisz się w porę, odpłyniemy na Crote bez ciebie. Pojmujesz?

- Pojmuję - odpowiedział Simon. - I dziękuję.

- Nie wiń mnie za nic. Wcale ci nie zazdroszczę, panie Darquis, to prawda. Ale mam własnych ludzi i muszę dbać o ich tyłki.

- I o własną skórę. Owszem, wszystko rozumiem. Nie przepraszaj, kapitanie. Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. Dzięki i za to, że podwiozłeś mnie aż tutaj. - Nieoczekiwanie dla samego siebie tknął N'Deka palcem w pierś i uśmiechnął się przyjaźnie. - Bądź tu tylko, kiedy przyjdzie mi wracać.

Kapitan zaskoczył Simona równie przyjaznym uśmiechem.

- Za czterdzieści dni. Masz moje słowo. - Wyciągnął dłoń. - Powodzenia, szpiegu.

Simon potrząsnął podaną mu dłonią i odpowiedział:

- I wzajemnie.

Potem odszedł do łodzi. Małą szalupę przemieszczano właśnie za burtę, gdzie zawisła, czekając na pasażera. W łodzi siedzieli dwaj majtkowie, z których jeden trzymał

worek z zapasem żywności i latarnią sygnałową. Simon wskoczył do łodzi, omal się nie przewracając.

Kiedy się usadowił, jeden z wioślarzy dał sygnał, by łódź opuszczono na wodę i szalupa powoli zaczęła zsuwać się w dół. Simon widział, że N'Dek odprowadza go wzrokiem, dopóki łódź nie opadła na fale. Majtkowie osadzili wiosła i skierowali szalupę do mglistego brzegu, oddalając się od górującego nad nimi okrętu. Po chwili „Pogromca” rozplynął się w szarości poranka. Simon spojrzał ku coraz bardziej ostro rysującemu się brzegowi Lucel - Loru.

- Boże - mruknął. - A miałem nadzieję, że nigdy już tu nie wrócę.

Marynarze zostawili tę uwagę bez komentarzy, monotonicznie wiosłując. Simon przyjrzał się podejrzliwie skalistej wysepce, zobaczył jednak tylko mewy i chmary komarów.

Potem z mgły wyłoniła się wieża. Była dokładnie taka, jaką ją zapamiętał - wiekowa i chyląca się ku upadkowi kamienna budowla z czasów starych wodzów, wzniesiona na skalistym gruncie. Simon wskazał ją ręką.

- Tam - szepnął do wioślarzy.

Szalupa skręciła i wzięła kurs na wysepkę. Po chwili jej kil zazgrzytał o przybrzeżny żwir. Wioślarze podnieśli wiosła i przez chwilę czekali, aż Simon wyskoczy na brzeg.

Młodzieniec wziął worek, po raz ostatni spojrzał ku niewidocznemu już zupełnie „Pogromcy” i opuścił łódź. I natychmiast poczuł, że przez dziury w butach sączy się do nich zimna, morska woda.

- Powiedźcie kapitanowi, żeby się stawił na spotkanie - poprosił. - Wrócę tu za czterdzieści dni.

Jeden z wioślarzy kiwnął głową.

- Po prostu zapal latarnię, panie. Wrócimy.

„A spróbujcie nie wrócić!” Te słowa jednak zachował dla siebie. Odepchnął łódkę i przez chwilę jeszcze patrzył za oddalającymi się i niknącymi we mgle wioślarzami, a potem odwrócił się i brnąc w wodzie, ruszył ku brzegowi. Przed nim wyrastał Lucel - Lor, wielki i groźny, pozbawiający go resztek dzielności. Był to świat stary, obcy ponad wszelkie wyobrażenie, a mieszkający tu ludzie nie przypominali żadnej z ras żyjących w

Imperium.

Niektórzy nazywali ich czarownikami, ale Simon nie należał do przesądnych.

Wiedział tylko tyle, że byli tajemnicą, którą daremnie usiłował zgłębić Arkus z Nar. Szybko dał nura pomiędzy krzaki, a potem skrył się w zagajniku drzew, który osłaniał go aż do opuszczonej wieży. Znalazł ją podczas swej pierwszej podróży na Lucel - Lor, stwierdzając, że idealnie wprost nadaje się na kryjówkę. Była zbyt daleko od wiosek i zabudowań, tak że nie zaglądały tu nawet wszędobylskie dzieciaki. Wyglądała przy tym na miejsce nawiedzane przez duchy, z tych wzbudzających nocne koszmary. Nie miała drzwi, ale wewnętrzne schody zachowały się w niezłym stanie i wspiawszy się na ich szczyt, Simon mógł sięgnąć wzrokiem na odległość wielu mil.

Zagajnik pod wieżą otwierał się na niewielką polankę. Simon znalazł ją szybko i kryjąc się między drzewami, przyjrzał się uważnie wieży. Nie zobaczył nikogo i nic też nie usłyszał. Przez chwilę łowił nosem zapachy, ale nie zwęszył niczego, prócz woni morskiej soli. Zadowolony wysunął się ostrożnie spomiędzy drzew i niby cień przemknął otwartą przestrzeń dwudziestu kroków, dzielącą drzewa od podstawy wieży. Przekroczywszy próg, zatrzymał się, bo ogarnęły go ciemności. Przez chwilę znów nasłuchiwał - ale usłyszał tylko wiatr i bicie własnego serca. Worek zadrżał mu w dłoni. Coś tu chyba było nie tak. Simon zaklął w uchu.

„Uspokój się, durniu. Nikogo tu nie ma”.

Przez chwilę wpatrywał się w mrok, usiłując przyzwyczaić oczy do ciemności.

Ktokolwiek niegdyś tu mieszkał, zostawił po sobie jedynie zapach stęchlizny.

Kiedy budowano tę wieżę, w Tatteraku szalała wojna. Takie budowle spotykało się zresztą na całym kontynencie - wysoko wzniesione punkty obserwacyjne, z wierzchołków których straż miała oko na ruchy nieprzyjaciela. Lucel - Lor miał historię pełną wojen i gwałtów - niezbyt zresztą różniącą się od historii Nar. Jego mieszkańcy potrafili się zdobywać na niebywale okrucieństwa. Simon parsknął nerwowym śmiechem. Podobieństwa bywały niekiedy uderzające.

Położywszy worek na ceglanej posadzce, zaczął przeglądać jego zawartość. Jak mu obiecano, były w nim latarnia, krzesiwo i hubka, a także bukłak pełen wody, trochę suszonego mięsa i marynarskich sucharów. Nie za wiele, ale w końcu Simon nie powinien wyglądać na dobrze odżywionego. Wyjąwszy latarnię, skrzesał ogień, a potem

podpalił knot.

Ten zajął się szybko i wkrótce w latarni zapłonął ciepły, mały płomień dający niewiele światła - akurat tyle, ile było trzeba. Simon podniósł worek i trzymając latarnię przed sobą, ruszył po schodach na górę. Oddalając się od wejścia, pogrążył się w mroku, rozjaśnianym tylko słabym światłem lampy. Wspinał się powoli. Simon mijał wprawione niegdyś w ściany żelazne, zgryzione już przez rdzę uchwyty na pochodnie. Spajająca cegły zaprawa w wielu miejscach rozsypała się w pył. Młodzieniec dla pewności wodził jedną ręką po ścianie i wymacał wszelkie nierówne miejsca.

Dotarłszy na szczyt wieży, trafił do okrągłej komnatki o wielu, potrzaskanych teraz oknach. Od oceanu dął chłodny wiatr, przejmujący Simona do szpiku kości.

Przybysz opuścił worek na posadzkę i dłonią osłonił płomień latarni. Przed nim w dole rozciągał się rozległy i niezbadany Lucel - Lor. Simon poszedł do jednego z okien i wyjrzał na zewnątrz.

Poranne promienie słońca zalewały już ziemię i morze. Na wschodzie rozciągały się jałowe, skaliste ziemie, poprzecinane pasmami lasów zaciągniętych przez jesień czerwienią i stromymi grzbietami niewysokich gór. Stojąc na szczycie świata, Simon poczuł się małą i niewiele znaczącą istotką, a stara wieża dała mu poznać nietrwałość wszelkich rzeczy.

Któregoś dnia ocean upomni się o ten skrawek lądu, który odstąpił człowiekowi, i wieża rozpadnie się w pył.

Wciąż jeszcze czując osłabienie trudami podróży na pokładzie „Pogromcy”, postanowił odpocząć. Vantran może poczekać, do czasu, aż Simonowi skończy się kręcić w głowie. Otworzył latarnię i zdmuchnął niewielki płomyk, niepotrzebny już w blasku słońca.

Wychyliwszy się przez rozbite okno, pozwolił sobie na chwilę wytchnienia i podstawił twarz na podmuchy wiatru. Pod sobą znów miał solidny grunt.

Odsunął się od okna i włożył latarnię do parcianego worka. Potem wyjął kawałek suchara i zjadł, tylko tyle, by się nie rozchorować. Na koniec oparł się plecami o jedną z brudnych ścian i po raz kolejny zaczął obracać w myślach wszystkie elementy swego planu.

Falindarska cytadela była oddalona o jeden dzień marszu. Da mu to czas, by się

jeszcze bardziej ubrudzić i zanurzyć w miejscowe zapachy. Opuści wieżę po południu, kiedy słońce zdąży już nieźle ogrzać ziemię. Kiedy dostanie się do Falindaru i odszuka Richiusa Vantrana, zacznie swoją oszukańczą grę.

Postanowił, że porwie córkę Vantrana. I jeżeli - jak zapewniał biskup Herrith - piekło istnieje, niechybnie zapewni w nim sobie miejsce.

Tego samego popołudnia Simon zostawił wieżę za sobą i rozpoczął pieszą wędrówkę do Falindaru. Słońce, które jeszcze rankiem wyglądało tak obiecująco, zawiodło i nie rozwinęło się w nic ponad mglisty pomarańczowy krąg - więc po kilku godzinach młodzieniec dygotał z zimna. Bolały go stopy - co zawdzięczał przemoczonym buciorom - i czuł, że w otartych miejscach nabrzmiewają pęcherze. Były to jednak tylko drobne niedogodności. Zamiast siedzieć w ciasnej kajucie znajdował się na otwartej przestrzeni, owiewało go czyste, świeże powietrze i rad był nawet nikłemu słońcu i chłodnym podmuchom wiatru. Tatterak mocno się różnił od innych ziem zamieszkałych przez Triinów.

Było tu chłodniej, kraj miał bardziej surowy klimat, a drzewa rosły na wprost niebotyczne wysokości. Simon szedł powoli, czujnie przepatrując okolicę i nasłuchując każdego dźwięku.

Wędrował doliną pomiędzy dwoma łańcuchami niewysokich pagórków, miejscem pełnym zieleni, złotych kwiatów i unoszonych wiatrem liści. Trawa sięgała mu niemal do połowy ud, dzięki czemu mógł muskać jej źdźbła końcami palców. Uśmiechał się do siebie jak uczeń, który wykradł się chyłkiem ze szkoły. Był to dziewiczy kraj, jakże różny od Nar, pełnego dymów i duszących wyziewów. Wyglądało na to, że Triinowie zupełnie zapomnieli o tym miejscu, albo zostawili je własnemu losowi.

Było już późne popołudnie, kiedy doszedł do przeciwległego krańca doliny. I nagle poczuł jakiś zapach, który obudził w nim poczucie niebezpieczeństwa. Zatrzymał się, cichy i czujny jak kot. Szybko określił pochodzenie woni.

- Ogień - szepnął sam do siebie.

Ogień w pobliżu? Przechyliwszy głowę na bok, przez chwilę nasłuchiwał szumu wiatru i śpiewu ptaków. Przed sobą widział kolejny, rozciągający się przynajmniej na milę las wielkich sosen. Domyślił się, że zapach ciągnie właśnie stamtąd, ruszył więc ostrożnie, aż wreszcie dostrzegł smużkę dymu. Białą i cienką. Paliło się niedaleko. Simon

odgadł, że dym pochodzi z obozowego ogniska. Zatrzymał się, by podjąć decyzję. Postanowił, że obejdzie ogień bokiem, by nie natknąć się na tego, kto go rozpałił. Kiedy się odwrócił, zobaczył wylaniającego się zza drzew mężczyznę z naręczem chrustu.

Simon zamarł w bezruchu.

Nieznajomy opuścił chrust na ziemię i przez chwilę wpatrywał się w Simona szeroko otwartymi oczami. Nie był Triinem. Stwierdziwszy to, Simon omal nie drgnął.

Nieznajomy nie był Triinem!

- Kim ty, u licha, jesteś? - warknął wreszcie tamten.

Był niższy od Simona, ale szerszy w barach. Miał ciemne włosy. Zadanie pytania miało zwieść Simona, bo nieznajomy natychmiast rzucił się do ataku, sięgając jednocześnie po miecz. Simon podniósł ręce i otworzył usta, by się wytłumaczyć - podając dawno przemyślane powody swej obecności w tym miejscu. Niestety, jego inicjatywa została źle przyjęta.

- Nie ruszaj się! - ryknął tymczasem nieznajomy, podnosząc trzymany oburącz miecz.

Simon podniósł ręce jeszcze wyżej.

- Spokojnie - poprosił. - Zachowaj spokój... Nieznajomy był odziany jak Triin, ale niewątpliwie był Narenem. Simon przestał się cofać i pozwolił, by obcy podszedł bliżej.

- Nie mam broni - oznajmił głośno. - Tylko ten sztylet, za pasem. Sztylet, rozumiesz?

- Nie ruszaj się! - powtórzył nieznajomy, przytykając sztych miecza do gardła Simona. - Nie ruszaj się, albo przysięgam Bogu, że za chwilę będziesz gryzł ziemię!

- Nie ruszam się - odparł Simon. - Ani na włos!

Nieznajomy przyjrzał mu się uważnie, a potem błyskawicznie wysunął rękę i chwycił Simona za kołnierz. Szarpnąwszy w bok, rzucił go na kolana, a potem pchnął w plecy i zwałił na ziemię. Simon boleśnie uderzył piersią o grunt. Nieznajomy zakończył akcję, stawiając mu stopę na karku i naciskając.

- Przestań! - jęknął Simon.

- Zamknij się! - polecił nieznajomy. Pochyliwszy się, wparł Simonowi kolano w plecy i przystawił mu ostrze miecza do krtani. Drugą ręką chwycił go za włosy i szarpnął w tył. - Kim, u diabła, jesteś? Gadaj, albo skręcę ci kark.

Dzięki szkoleniu Simon nawet w takiej sytuacji zdołał się uspokoić.

- Jestem Simon - odpowiedział.

- Co za Simon?

- Simon Darquis. Z Vosk.

- Kłamstwo! - rozjuszył się nieznajomy, uderzając twarzą Simona o ziemię.

Młodzieniec poczuł, że z rozbitego nosa leje mu się krew. Jęknął z bólu i nieznajomy podniósł mu głowę nieco wyżej. - Mów prawdę, nareński bydlaku! Co tu robisz?

- Jestem dezertorem... - wyjąkał Simon. - Z nareńskich legionów. Jak ty...

Nieznajomy znów zawrzał gniewem.

- Posłuchaj, ty mały brudny szurze! Ja nie jestem dezertorem. Ty też nie jesteś dezertorem, prawda? Prawda?

Simon prawie nie mógł już oddychać.

- Jestem - wycharczał, jednocześnie zaśmiewając się w duchu. Nie mógł niemal uwierzyć własnemu szczęściu. - Przysięgam, że jestem. Nazywam się Simon Darquis i pochodzę z Vosk. Jestem porucznikiem.

- Kto dowodzi? W którym służysz regimencie?

- Odeszli. Już mówiłem...

- Z nareńskimi legionami?

- Tak!

- Jeżeli się ruszysz, skręcę ci kark! - raz jeszcze zagroził nieznajomy. - A teraz gadaj wszystko. Czego tu szukasz? Kto cię nasłał?

- Nikt mnie nie nasłał - zdołał jakoś wycharczeć Simon. - Boże! Zabijesz mnie!

Rozjuszony Vantran, bo on był chyba tym nieznajomym, gwałtownym szarpnięciem przetoczył Simona na plecy i przyłożył mu sztych pod brodę.

- Wetknę ci to w krtani, jeżeli mi wszystkiego nie powiesz - warknął ostrzegawczo.

Miał dzikie spojrzenie zaszczutego psa.

Simon charczał... i milczał. Nagle stracił zaufanie do własnych zdolności perswazyjnych.

- Przysięgam Bogu, że jestem nikim - wystękał. - Błagam... Zechciej uwierzyć.

Jestem deztererem. Porzuciłem służbę. Rok temu. Może dłużej, nie wiem, pogubiłem się.

- To co robisz akurat tutaj? - warknął Vantran. - I dlaczego zdezerterowałeś?

Simon wzruszył ramionami, jakby bał się odpowiedzieć.

- Chciałem być wolny. Uciekłem i zabłąkałem się aż tutaj. To wszystko.

Twarz Vantrana złagodniała. Simon poczuł ulgę. Jego staranne przemyślenia zaczynały przynosić skutek.

- Nie chciałem ci zrobić krzywdy - dodał. - Przysięgam! Jeżeli to twoja ziemia...

- Milcz! - uciszył go Vantran.

- Puść mnie! - odezwał się Simon błagalnie. - Odejdę, skąd przyszedłem.

Proszę...

- Kazałem ci milczeć! - Vantran cofnął miecz, ale tylko o cal. - Mów prawdę! - warknął znowu. Tym razem w jego głosie było coś na kształt desperacji.

- Co mam powiedzieć? - jęknął. - Jestem deztererem! Simonem Darquis i nikiem więcej.

-: Simonie Darquis, jeżeli łżesz, to prędzej czy później to odkryję. A wtedy... pożałujesz, żeś się urodził. - Vantran nie zdjął buta z piersi Simona. - Przysłał cię tu Biagio.

Mimo niewygodnej pozycji Simon znów omal się nie roześmiał w duchu.

- O czym, do diabła, mówisz?

- Próbujesz mnie podejść, a ja o tym wiem. Niech ci będzie... - Vantran odjął sztych miecza od krtani Simona. - Pójdiesz ze mną rozkazał - albo cię zabiję.

Rozumiesz?

- Z tobą? Dokąd?

- Na razie dość pytań - stwierdził Aramooreczyk. Wstał, ale przez cały czas trzymał miecz zwrócony do więźnia. - Wstań.

Simon wstał bardzo ostrożnie. Vantran wyciągnął rękę, wyjął mu zza pasa sztylet i zatknął go za własny pas. Potem wskazał ręką drzewa, za którymi płonęło jego ognisko.

- Tędy. - rozkazał. - Marsz!

- Po co? Dokąd idziemy?

- Nie gadaj, tylko zacznij przebierać nogami. - Vantran znów zaczął zachowywać

się nerwowo.

Simon robił, co mógł, by ukryć wewnętrzną radość. Co prawda przyszło mu to bez trudu, jako że obficie krwawił z rozbitego nosa. Szli w stronę drzew i ogniska.

Vantran cały czas trzymał Simona pod sztychem. Głos młodego człowieka lekko drżał, co było dla Simona kolejną dobrą oznaką. Doszedł do wniosku, że jego przeciwnik jest dość zapalczywy i łatwo go wyprowadzić z równowagi. A to dzikie spojrzenie świadczyło, że się czegoś boi.

- Dokąd mnie zabierasz? - Simon w końcu się odważył na zadanie pytania. - Powiedz!

- A po co miałbym to robić?

- Twój obóz jest niedaleko - zaleciał mnie jego zapach. Dlatego tu przyszedłem. Jestem głodny.

- I będziesz jeszcze głodniejszy, przyjacielu.

Szli przed siebie, aż dotarli do obozowiska Vantrana. Było to miłe miejsce, z oznakami dłuższego już pobytu, jakby Vantran spędził tu sporo czasu. Obok ogniska rozłożono pełniący funkcję posłania koc, kilka przedmiotów przydatnych człowiekowi w głuszy, a do jednej z pobliskich sosen uwiązano na długiej linie konia, muskularne zwierzę, które zmierzyło Simona podejrzliwym spojrzeniem. Simon podszedł do ognia, rozkoszując się jego ciepłem.

- Siadaj! - rozkazał mu Vantran.

Simon posłusznie wykonał polecenie. Vantran nie usiadł, tylko spojrzał na jeńca z góry. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Twarz Vantrana ożywiały irytacja i zaskoczenie, ale przez długi czas w ogóle się nie odzywał, tylko mierzył więźnia uważnym spojrzeniem.

Simon spróbował odpowiedzieć podobnym, do czego potrzebował całego zapasu spokoju i odporności, jakie zawdzięczał swemu szkoleniu. Przeciągnął rękawem po nosie i odkrył, że ten jest w gorszym stanie, niż myślał. Przez twarz przebiegł mu płomień bólu, poczuł głucho tętnienie w uszach.

- Złamałeś mi nos, ty skurwysynu!

Vantran westchnął. Wbił sztych miecza w ziemię i splótł dłonie na kuli zwieńczającej jego rękojeść.

- Wiesz, kim jestem?

Simon kiwnął głową.

- Chyba tak. Jesteś Vantran, prawda?

- Szybko ci to poszło...

- A kim innym mógłbyś być? - Simon spojrzał krytycznie na rozmówcę. - Popatrz tylko na siebie... jesteś ubrany jak Triin. Odgadłem, z kim mam honor, jak tylko cię zobaczyłem.

- W to akurat nie wątpię. Pomijając wszystko inne, właśnie mnie szukałeś, prawda?

- Vantranie, coś ci powiem. Cały ten pobyt na Lucel - Lorze przyprawił cię o szaleństwo. Widzę to w twoich oczach. Nie mam pojęcia, za kogo mnie wzięłeś, i prawdę rzekłszy, nic mnie to obchodzi. Odpocznę chwilkę i pójde swoją drogą. Co ty na to?

- Rusz się tylko z miejsca, a wepchnę ci w brzuch zimną stal na cały łokieć.

Zrozumiałeś?

- A szczam na ciebie i twój miecz!

Twarz Vantrana znów wykrzywił wyraz gniewu.

- Nie łzyj, tani morderco! Wiem, kim jesteś! Wysłał cię tu Biagio, ot co!

- Biagio? - Simon zaryzykował i parsknął śmiechem. - Jest, jak mówiłem.

Zwariowałeś!

- Ja jestem szalony... proszę, proszę... A ty jesteś biedną zbłąkaną owieczką, dezserterem, który się wzdraga na samą myśl o powrocie do Nar, prawda? I sądzisz, że ja w to uwierzę?

- Wierz sobie, w co tylko chcesz - odpowiedział Simon. - Nic mnie to nie obchodzi.

Po prostu korzystam z miejsca przy ogniu.

- Jesteś z Vosk?

- Nie inaczej.

- Porucznik?

Simon kiwnął głową.

- Byłem w regimencie przysłanym tu z Gayle'em, by cię odnaleźć.

Samo wspomnienie Gayle'a wywołało grymas nienawiści na twarzy Vantrana.

Uważnie obserwując twarz przeciwnika, Simon na ułamek sekundy poczuł litość.

Okrutna krzywda, jaką pan z Czarnej Kniei wyrządził Vantranowi, przeszła do legendy.

Zaskoczyła go dalsza reakcja Vantrana, który pochylił miecz, niemal wypuszczając go z palców, a potem osunął się na ziemię, klękając przed Simonem.

- Sam już nie wiem, w co wierzyć. Czy jesteś tym, za którego się podajesz?

Jeżeli nie, to już po mnie, prawda? Jeżeli jesteś zabójcą, to znaczy, że Biagio wie, gdzie mnie szukać.

Simon skrzywił się z dezaprobatą.

- Czy ja wyglądam na zabójcę?

- Widywałem już dzieła hrabiego i wiem, jaki potrafi być przebiegły.

- Czy na tyle, by obrócić zdychających z głodu dezertersów w zabójców? - Simon tknął palcem we własną pierś. - Spójrz na mnie. Jestem strzępem człowieka.

Wszystko zboże stąd do Ackle - Nye spalono na pniu. Kryłem się po jaskiniach i żarłem wszystko, co mogłem złapać lub ściągnąć z drzewa. Myślisz, że jestem jednym z tych jego wychuchanych Roshannów? Każdy z nich na moim miejscu już dawno by zdechł!

Vantran przeniósł wzrok na niebo i przez chwilę patrzył na zachodzące słońce.

- Zabrałbym cię do Falindaru, ale zbliża się noc. Musimy tu zostać. Ruszemy rankiem.

- Do Falindaru? - jęknął Simon. - Nie! Wszędzie, tylko nie tam! To przeklęte miejsce!

- Do Falindaru... i przestań pyskować. Jesteś moim jeńcem.

- Akurat! - Simon splunął. - A jak nie pójdę?

Vantran wzruszył ramionami.

- To cię tam zaciągnę, albo tu zostanie twój trup.

Simon skrzywił się, bo poczuł nawrót bólu w rozbitym nosie.

- Jestem głodny.

- Przykro mi.

- To co, mam głodować?

Vantran spojrzał na Simona, a wyraz jego twarzy nagle złagodniał.

- Nie... coś na to poradzimy.

Gdy słońce skryło się za górami, dolinę otulił mrok nocy. Richius Vantran usadowił się przy ognisku tak, że jego twarz oświetlały tańczące płomienie, i milczał.

Obok niego leżał na ziemi talerz z częściowo zjedzonym, pieczonym, złowionym w sidła ptakiem.

Simon ukradkowo obserwował swoją przyszłą ofiarę. Kolację zjedli w milczeniu. Simon pochłonął swoją porcję w kilku kęsach. Nareszcie poczuł się syty i zadowolony. Co więcej, jego samego zdziwiło tempo, w jakim wymuszał na Vantranie kolejne ustępstwa. Do kolacji ów głupiec nawet rozwiązał mu ręce. Po skończonym posiłku spętał je co prawda ponownie, ale ten akt zaufania był dla Simona znakiem, że wygrywa.

Nieco później szary dzień zamienił się w jasną, księżycową noc. Ku obozowi skradały się zimne palce jesiennego chłodu, odpierane ciepłem ogniska, a drzewa szemrały, gdy przemykały po nich nocne stworzenia. Richius Vantran jadł swoją kolację powoli i niewielkimi kęsami, od czasu do czasu spoglądając ku drugiej stronie ogniska, gdzie siedział Simon. Wyjaśnił już jeńcowi, że pęta były niezbędne, nie mógł bowiem Simonowi zaufać, zwłaszcza w nocy, a chciałby się wyspać. Simon protestował, ale nie za bardzo, nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Miał być zbyt osłabiony, by stawiać Vantranowi opór, więc pozwolił mu się po kolacji związać. Teraz usiłował - bez powodzenia - usadowić się jakoś wygodniej pod pnem drzewa. Poszukując ciepła, wyciągnął obute nogi w stronę ogniska. Bolały go nadgarstki i kręciło mu się w głowie. Nos pulsował bólem, choć przestał krwawić po tym, jak Vantran obmył mu go wilgotną szmatką. Ten gest skłonił Simona do refleksji nad charakterem swojego ciemniejszego. Ile miał teraz lat? Prawie dwadzieścia siedem?

Nie taki już młodzieniaszek, a zachowywał się niekiedy jak mały chłopiec. Simonowi podobało się jego zmieszanie. Patrząc nad migoczącymi płomieniami ogniska na Vantrana, zadawał sobie w duchu rozmaite pytania. Wiedział, że jest bezpieczny - Vantran nie był zabójcą.

Gest, jakim obmył Simonowi twarz, zdradził, że jego przeciwnik zdolny jest do zgubnych dla siebie sympatii. Jego sceptycyzm powoli ustępował.

- Wciąż jestem głodny - przerwał milczenie Simon. - Zjesz tego ptaka, czy nie?

- Dostałeś swoją część - odpowiedział Vantran.

- Jeżeli chcesz mnie zabrać do Falindaru, musisz mnie lepiej karmić. Mogę paść po drodze.

- To niedaleko.

- Ale chyba nie dojdę. Pozwól mi jechać z tobą na koniu.

- Mam propozycję. Powiedz mi, kim naprawdę jesteś, a ja przemyślę sprawę transportu.

- Głuchy jesteś, cholerny głupcze? Powiedziałem ci już wszystko. Ty mnie po prostu nie słuchasz.

Vantran ziewnął i demonstracyjnie się przeciągnął.

- Jestem na to już zbyt zmęczony. Pogadamy rano.

- To wszystko? - rozjuszyl się Simon. - Zostawisz mnie tak związanego na całą noc? Jestem nareńskim legionistą, psiakrew! Żądam choć odrobiny szacunku!

- Legionistą? Naprawdę? - Vantran objął ramionami kolana i uśmiechnął się ponuro. - Przyjacielu, masz nerwy jak postronki. Legionista... dobre sobie.

Nawet gdybyś nim był kiedyś, to teraz jesteś dezerterem i zdrajcą.

- Ach tak? - odpowiedział Simon. - A ty oczywiście jesteś biegły we wskazywaniu zdrajców, prawda, Szakalu?

Uśmiech znikł natychmiast z twarzy Vantrana.

- Nie nazywaj mnie tym imieniem!

- A dlaczego nie? Tak właśnie mówią o tobie w Nar. Ty zresztą o tym wiesz, prawda? Szczerze mówiąc, myślę, że to odpowiednie dla ciebie miano.

- Jestem Richius Vantran, król Aramooru. Nazywaj mnie Vantranem, królem, lub jak tam sobie chcesz, ale nie mów do mnie Szakal. Na to nie pozwolę.

- Król? - skrzywił się Simon. - Nie ma już Aramooru, Vantranie. Już nie. Co ty zresztą wiesz o Imperium? Gayle z Czarnej Kniei odebrał tron Aramooru członkom twojej rodziny. Teraz to prowincja Talistanu.

- Wiem.

- A jak mówią do ciebie tutejsi? - spytał Simon. - Nazywają cię królem?

- Nie - przyznał Aramoorczyk.

- Nie. Ponieważ nie jesteś już królem. Nawet Triinom to wiadomo, Szakalu.

Nazywają cię tu Kalakiem, prawda? Tak się do ciebie zwracają?

- Natrętny z ciebie łotrzyk - oznajmił Vantran. - Ale teraz zamknij gębę i daj mi spać.

- Co tu robiłeś? - dopytywał się Simon. - Dlaczego jesteś tu sam?

Vantran wznosił oczy do nieba.

- Panie, daj mi cierpliwość.

- Mieszkasz w Falindarze?

- Owszem, z moją żoną.

Simon uśmiechnął się paskudnie.

- A tak, z żoną. Porzuciłeś dla niej swoje królestwo, prawda? Wszyscy znają tę historię. Gayle nazywał to „Opowieścią o szaleństwie Vantrana”, i ochoczo nam ją opowiadał. Ta twoja żona... nie lada z niej osobka, co?

- Powiem ci to jeszcze raz i więcej nie powtórzę. Nie chcę, byś już więcej mówił dziś wieczorem, jasne? I nie chcę, byś w ogóle mówił o mojej żonie. Nie ufam ci bardziej, niż węzowi, i nie odezwę się już do ciebie więcej, oszczędź więc sobie trudu, przyłóż pysk do ziemi i spróbuj zasnąć.

Simon pochylił się.

- Za kogo ty mnie uważasz? No, powiedz. Myślisz, że mnie posłano, bym cię zabił.

Patrzył nie bez wewnętrznej uciechy, jak twarz Vantrana krzywi się w grymasie gniewu.

- Mam wielu wrogów - stwierdził Aramoorczyk. - Możesz być jednym z nich.

Szczerze mówiąc, nie umiem odpowiedzieć na twoje pytanie. Ale nie zamierzam ryzykować.

- Biagio nas tu wysłał, byśmy cię pojмали i wzięli żywcem. Taki był w dużej mierze nasz cel. Mieliśmy tu znaleźć magię, która mogłaby utrzymać imperatora przy życiu, ale Gayle i Biagio chcieli jeszcze dostać ciebie. Przyznaję i nie będę się tego wypierał. Ale to było dość dawno temu. O ile wiem, jestem jedynym Narenem, poza tobą, który został na całym Lucel - Lorze. - Simon uśmiechnął się łagodnie. - Tkwisz tu już ponad rok i jak widzę, jesteś niezrównoważony i pełen strachu. Czytam to w twoich oczach.

- Na dodatek jesteś mistykiem? - spytał Vantran z sarkazmem w głosie.

- Nie trzeba żadnej mistyki, by stwierdzić, że się czegoś boisz. Może i masz powody, nie wiem. Ale mnie z pewnością nie musisz się obawiać. Mogę ci na to przysiąc, Vantranie. Jestem tylko dezenterem.

Vantran znów zmierzył go sceptycznym spojrzeniem.

- To niemożliwe. Legioniści słyną daleko i szeroko ze swej wierności.

- Królowie też - stwierdził rzeczowo Simon. - I co wobec tego tu robisz?

Vantran namyślał się dość długo. Wreszcie jego spojrzenie złagodniało. Simon obserwował go beznamiętnie, patrząc, jak topi się mur lodowej nieufności, jakim otoczył się Vantran. Młody człowiek oparł podbródek o kolana i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w płomienie, przenosząc się myślą zupełnie gdzie indziej. Wreszcie odezwał się spokojnie i bez emocji.

- Dlaczego więc porzuciłeś służbę bez pozwolenia? - spytał cicho. - Co było tego przyczyną?

- Nar, Vantranie... Nar i nic więcej. Nar i jego nikczemność. Nigdy nie czułem się dobrze w mundurze. Zaciągnąłem się, bo nie miałem żadnych widoków na przyszłość, a coś trzeba było jeść. Ale kiedy wysłano mnie tutaj, zrozumiałem, że nie jestem jednym z nich.

- To nie jest odpowiedź. - Vantran wciąż błędził myślami gdzie indziej i wpatrywał się tępo w płomienie. - Dlaczego uciekłeś?

Simon spojrział w ogień, przypominając sobie szczegóły przemyślanej wcześniej i oczywiście fałszywej historii legionisty dezentera. Spodziewał się tych pytań.

- Ackle - Nye - odpowiedział cicho. - Pamiętasz, co zrobiono z tym miastem?

Vantran tylko kiwnął głową.

- To była zwykła rzeź. Kiedy przedarliśmy się przez przesmyk, Triinowie podjęli próbę obrony, ale oczywiście nie mieli niczego, co by się do tego nadawało.

Spaliliśmy miasto do gołej ziemi. Zabiliśmy tam wszystkich. Ja... - Simon zrobił dramatyczną przerwę, udając wstyd i żal - ...zabijałem dzieci. Niektóre z nich nie sięgały mi do kolan. Oczywiście, wykonywałem rozkazy, ale wcale mi to nie ulżyło. A kiedy już wyrznęliśmy wszystkich, do akcji weszły ogniomioty.

- Gorejące Miasto - odpowiedział Richius. - Takie właśnie miano zyskało Ackle - Nye po nocnej rzezi. Mówiono, że płomienie można było zobaczyć z drugiego

krańca świata.

- Szczerza prawda. To byli tylko żebracy, uciekinierzy, stare kobiety i dzieci... a my zabiliśmy ich wszystkich. Vantranie, nigdy już nie będę taki, jak przedtem. Nie pouczaj mnie, jak to brzydko jest być zdrajcą. Ucieczka wymagała sporej odwagi. Nigdy już nie wrócę do Imperium. Utknąłem tu na zawsze.

Vantran w końcu spojrzał na Simona.

- Dokonałeś wyboru - rzeki. - Będziesz musiał z tym żyć.

- Nie wypieram się niczego - odpowiedział Simon. I przechyliwszy głowę, zapytał:

- A co z tobą?

Vantran uchylił się od odpowiedzi, czego się zresztą Simon spodziewał.

- Jakoś sobie radzę - odparł. - I nic ci do moich spraw.

- Żyjesz w Falindarze?

- Tak.

- Pod władzą tego plemiennego wodza?

- W Tatteraku nie ma już plemiennego wodza. - Ostatnie słowo Vantran wymówił z naciskiem. - Poprzedni nie zostawił dziedzica.

- To do kogo mnie tam prowadzisz? - spytał Simon. - I dlaczego jako jeńca?

- Bo nie jesteś godzien zaufania. Nie wiem, czy to, co mi tu mówiłeś, jest prawdą, czy jednym z wymysłów Biagia. Tak czy inaczej, zamierzam mieć cię na oku, Simonie Darquis. To zaś znaczy, że musisz ze mną wrócić do cytadeli. Porozmawiasz z jej panem, Lucylerem. Razem zdecydujemy, co z tobą zrobić.

- Taka jest sprawiedliwość Triinów? - zawrzał Simon. - Według ciebie to jest uczciwe? Poderzną mi gardło tylko za to, że jestem Narenem.

- Może i tak - odparł Vantran obojętnie. - A może i nie. - Obrzucił Simona uważnym spojrzeniem i uśmiechnął się skąpo. - Chciałbym ci wierzyć... uwierz mi, że chciałbym. Ale nie mogę. Gdyby ciebie ścigano tak jak mnie, zrozumiałbyś to.

- Bzdury - odpowiedział Simon. - Ścigają cię akurat tak samo, jak mnie. Masz za bujną wyobraźnię. Nie ma się czego obawiać, ale chcesz mnie wciągnąć w twoje iluzje. W tym sęk, Vantranie. Żyjesz iluzjami. Żal mi cię.

Twarz Aramooczyka stężała.

- Zachowaj litość dla samego siebie. Jeżeli odkryję, że kłamiesz, nie ma na ziemi nikogo, kto cię przede mną uchroni.

Z tymi słowy Richius Vantran wstał i odszedł w mrok, zostawiając Simona samego przy ognisku. Simon spoglądał za nim przez chwilę, a potem wpatrzył się w ciemności.

Ogarnął go ponury nastrój, bo wiedział już, że osiągnie swój cel.

Dziewięć KATEDRA MĘCZENNIKÓW

W samym środku miasta Nar, nieopodal lśniącego Czarnego Pałacu za rzeką Kiel, nad zanieczyszczonymi ulicami wznosiła się Katedra Męczenników, której metalowa iglica sięgała ku niebu ponad rozciągającą się na wszystkie strony pokrywą dymów z kominów zbrojowni i wytwórni broni. Z narożników budowli czujnie łypały na miasto kamienne gargulce, a mozaikowe okna rzucały barwne promienie światła, otulając przyległe ulice kobiercami tęczyowych blasków. Setki lat znoszonych przez budowlę cierpliwie burz i deszczów poryły bruzdami gładź licujących ją granitowych płyt i okryły zielenią miedziane poszycie dachu. Nad jej wzniesieniem mozoliło się dziesięć tysięcy niewolników podczas dziesięciu lat, i nawet w czasach ogarniającego obecnie Imperium chaosu, pielgrzymka do katedry była celem życia wielu wiernych z całego kontynentu. W każde święto plac wokół katedry zapępniały tłumy ludzi spragnionych Słowa Bożego i rozgrzeszenia za popełnione złe uczynki.

Arcybiskup Herrith doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia katedry. Była droższa niż pismo i broniłby jej, narażając własne życie. Wierzył głęboko, że pomiędzy jej ścianami, pod sklepieniem żebrowanej nawy głównej mieszka Bóg we własnej boskiej osobie; to miejsce wybrał sobie bowiem na swą ziemską siedzibę. Herrith miał już dobrze ponad pięćdziesiąt lat, z których większość spędził w tym świętym miejscu, błogosławiąc wiernych. Tu właśnie nareńscy możni panowie zostawali poślubieni swoim żonom; tu też koronowano Richiusa Vantrana, Szakala z Nar, i stąd - taką przynajmniej święty maź miał nadzieję - zabierze Herritha Bóg, jeżeli w swej łaskawości zechce powołać go na swe łono. W licznych sanktuariach świątyni Herrith umieścił wiele przedmiotów - cudownych oczywiście - takich jak płaczący posąg Matki Boskiej, kielich broczący krwią. Były to niesłychanie cenne przedmioty. Czerpał z nich siłę. A w tych pełnych mroku dniach siły potrzebował najbardziej.

Chciał, by Bóg przemówił do niego wprost i wyraźnie, niewiele bowiem mu przychodziło z pośrednictwa kapłanów i jasnowidzów. Spędzał długie godziny na modłach, poszcząc i błagając Niebiosa o rady, a także borykając się ze sprawami, które Bóg polecał jego pieczy.

Tego dnia, jak podczas wielu innych, zajął się sprawami dotyczącymi funkcjonowania ogromnego gmaszyska. Miał akolitów, których nie można było spuszczać z oka, i całą armię kapłanów odzianych w habity z kapturami; musiał się też zajmować tysiącem drobiazgów, które wymagały jego uwagi. Męczyła go wojna z Goth i wciąż trwająca walka ze zradzieckim Biagiem - tęsknił za odrobiną samotności i tęsknił za czasami, kiedy był tylko pokornym sługą Wszechmocnego. Cały ranek spędził w towarzystwie generała Vorta, wysłuchując szczegółowego raportu z gothajskiej kampanii, a dudniący głos olbrzyma przyprawił go o ból głowy. Przemykał pełnymi złoceń korytarzami katedry w nadziei, że nikt go nie zauważy i zatrzyma. Był Siódmy Dzień - dzień, w którym katedra otwierała swe podwoje dla tych, którzy chcieli wyznać swoje grzechy. Od uczestnictwa w tym najbardziej sekretnym z sakramentów zwykle uwalniali Herritha jego akolici, od czasu do czasu jednak również biskup wysłuchiwał grzechów któregoś z członków swej trzódki. Dziś potrzebne mu było czyjeś wyznanie win. Potrzebna mu była świadomość, że na tym świecie oprócz niego żyli i inni grzesznicy.

Herrith potrafił się poruszać tak, że jego kroki nie zagłuszyłyby najdelikatniejszego szeptu. Przemykając korytarzami niczym duch, naciągnął na twarz kaptur białego, jedwabnego habitu. W jednym z konfesjonałów czekał na niego ojciec Todos, jego prawa ręka. Był z nim niezwykle grzesznik, który teraz krył się przed jednym i drugim.

Todos jednak uznał, że rozpoznaje głos penitenta i poprosił Herritha, by ten wysłuchał jego spowiedzi. Przywilej prywatnej spowiedzi przysługiwał tylko możnym i wysoko w hierarchii państwowej stojącym Narenom - pospólstwo musiało się tłoczyć w nawie głównej, i czekać na spowiedników, którymi byli zwykli akolici. Herrith zawsze uważał ów podział za dziwaczny i niemiły Bogu, godził się z nim jednak, ponieważ taka była wola Arkusa. Po śmierci imperatora biskup uznał, że nie trzeba drażnić szlachty i utrzymał obyczaj spowiedzi w sekretnych konfesjonałach. Zbyt wielu możnych popierało Biagia. Diuk Goth był ostatnim i najgorszym z odstępców. Herrith modlił się, by płomień herezji zaczął wreszcie wygasać, gdyż jego Kościół mógłby na dłuższą metę mu nie sprostać.

Po przeciwległej stronie wielkiej sali, gdzie malarz Darago niez mordowanie

pracował nad swoim ostatnim arcydziełem, stał rząd prywatnych konfesjonatów, oddzielonych od spowiedni publicznych. Herrith poruszał się tu ostrożnie, by nie potrącić żadnego z narzędzi artysty. Ponieważ był Siódmy Dzień, Darago wziął wolne, ale zostawił swoje utensylia - pędzle, dłuta i garnki z farbami. Przechodząc przez nawę, Herrith spojrzał w górę na zamówione przez siebie sklepienie. Darago wkrótce miał ukończyć pracę i wielką nawę otworzy się dla wiernych. Zobaczą dzieło mistrza i przekonają się na własne oczy o istnieniu Boga. Bez Jego natchnienia żaden człowiek nie potrafiłby malować jak Darago.

Jego sklepienie było jak spojrzenie prosto w Niebiosa.

Wzrok Herritha długo błędził po sklepieniu. Przechylił głowę, by lepiej przyjrzeć się freskowi, którego niektóre fragmenty zakryto przed wzrokiem ciekawskich płachtami płótna.

Były tu panele, których nie widział jeszcze sam arcybiskup, ponieważ Darago, jak wszyscy artyści był dziwakiem, ekscentrykiem i człowiekiem niesłychanie drażliwym. Choć biskup nieustannie dopytywał Daraga o postępy, ten trzymał rzecz w tajemnicy i obiecywał tylko Herrithowi, że oniemieje, zobaczywszy efekt końcowy. Herrith już był zachwycony.

Sklepienie było takim właśnie arcydziełem, jakiego się spodziewał. Idealnie nadawało się na dar dla Boga.

Bóg wydał Nar w jego ręce. Zabił nieśmiertelnego Arkusa i przepędził tego czarta, Biagia. Chwała należała oczywiście do Boga, ale Herrith chciał spłacić dług niebiańskiemu Ojcu. Zamówił to sklepienie przed wieloma laty, zanim w Żelaznym Kręgu zaczęły się rysować linie podziału, ale wydało mu się właściwe, że Darago kończy akurat teraz, kiedy Herrith ujął wreszcie Nar w okowy wiary. Biskup doszedł do wniosku, że wszystko było częścią boskiego, niedostępnego ludzkiemu pojmowaniu planu. Czarne Odrodzenie, które sprowadzało Boga do roli kolejnego, dogodnego narzędzia kontroli nad społeczeństwem, niemal w pełni zostało wykorzenione, a Pan przemówił do Vorta i sprowadził go na drogę prawdy. Bóg był dobry i potężny. Bóg chciał unicestwić Czarne Odrodzenie. A Herrith, który poświęcił swe życie bożej służbie, nie zamierzał rozczarowywać Pana.

Chyłkiem przemknął do sąsiedniej nawy, strzeżonej przez poświęcony posąg. Był

to święty Carlarian od Łaski, który zmierzył biskupa podejrzliwym spojrzeniem marmurowych oczu. Znalazłszy się wewnątrz, Herrith odsunął kaptur na plecy i rozejrzał się dookoła. Nawa była pusta. Spodziewał się, że zostanie tu czekającego na niego Todosa.

Przeszedł przez nawę, uchylił boczne drzwi i zajrzał do korytarza spowiedników. Przed jednym z konfesjonałów stał ojciec Todos. Mnich miał zamknięte oczy i modlił się żarliwie.

- Todosie? - szepnął biskup.

Oczy Todosa otworzyły się nagle. Przyłożywszy palec do ust, nakazał Herrithowi zachowanie ciszy. Potem wskazał jeden z konfesjonałów.

- Tam - powiedział bezgłośnie samym ruchem warg.

- Kto?

Todos podszedł do biskupa i szepnął mu do ucha jedno słowo.

- Kye.

Herrith zmarszczył brwi. Nie życzył sobie, by pułkownik wycofał się z ponurego zadania. Bez sprawnego dowództwa legiony mogły pójść w rozsypkę.

- Pomyślałem, że powinieneś się o tym dowiedzieć - rzekł Todos w formie przeprosin.

- Jestem prawie pewien, że to on. Ten głos...

Herrith kiwnął głową. Głosu Kye'a nie sposób było pomylić z innym. Pułkownik mówił chrapliwie i niewyraźnie - co spowodowała triińska strzała, którą kiedyś, na Lucel - Lorze przeszyto mu krtań. Teraz, by go zrozumieć, trzeba było dobrego słuchu.

- Postąpiłeś właściwie - stwierdził Herrith łagodnie. - Dziękuję ci.

- On tam czeka - dodał Todos. - Ale nie jestem pewny, czy Wasza Świątobliwość powinien wysłuchać jego spowiedzi. Rozpozna twój głos.

- I cóż to szkodzi? On się spowiada Bogu, nie mnie. Teraz już odejź, przyjacielu. Dobrze się spisałeś.

- Dziękuję Waszej Świątobliwości.

Przez chwilę Herrith odprowadzał wzrokiem pomocnika. Bardzo kochał starego przyjaciela, ale nikt nie powinien być świadkiem tego, co się tu stanie. Kye był niedowiarkiem i trzeba go było nawrócić. I choć Herrith wiedział, że ma reputacją

człowieka nieskorego do gwałtów, Bóg żądał od niego postępów, które często zmieniały jego osobowość. Niedobrze by było, gdyby jego akolici usłyszeli, jak gniewnie na kogoś wykrzykuje.

„Postaraj się - napomniął sam siebie, wchodząc do konfesjonału i zamykając za sobą drzwi. - Ten człowiek jest ci potrzebny”.

Tak samo potrzebni mu byli Vorto i jego legiony. Tylko oni potrafili powstrzymać narody Nar od ogłoszenia secesji. Lojalistów Biagia w szachu trzymał strach przed legionami.

Strach był pięścią Boga. Biskup wiedział, że bez popierającej jego Kościół armii Biagio i jego nienawistne Czarne Odrodzenie zatryumfuje.

W niewielkim pomieszczeniu znajdowało się wygodne krzesło przeznaczone dla kapłana. Herrith usiadł i spojrzał na drobną kratę, oddzielającą go od klęczącego po drugiej stronie człowieka. Z trudem rozróżniał zarys sylwetki pułkownika, który cierpliwie czekał na spowiednika. Biskup zmówił w duchu modlitwę, zebrał się w sobie i zwrócił się do penitenta.

- Zaczynaj, mój synu.

Nastąpiła długa chwila namysłu, po której Kye zmienił lekko pozycję.

- Tak, ojciec - zakrakał. - Przyszedłem tu, bo zgrzeszyłem. Herrith zamknął oczy.

Głos należał do Kye'a, o pomyłce nie mogło być mowy.

- Mój synu, jak dawno ostatnio się spowiadałeś?

- Nigdy się nie spowiadałem, ojciec... To... pierwszy raz.

- Rozumiem. Pozbądź się obaw, jestem tu po to, by ci pomóc. Herrith zobaczył, że pułkownik intensywnie nasłuchuje, usiłując rozpoznać głos spowiednika. Znowu nastąpiła długa pauza, a potem biskup usłyszał odpowiedź.

- Nie wiem, jak zacząć - powiedział Kye nieco drżącym głosem. - Może lepiej będzie, jak sobie pójdę...

„Odgadł, że to ja - pomyślał Herrith. - Doskonale”.

- Nie odchodź. Bóg nie dba o to, że nie znasz rytuałów. Chce tylko, byś mówił szczerze, prosto z głębi serca. Możesz to dla Niego zrobić?

Znowu cisza. A potem odpowiedź.

- Mogę. Tak, mogę.

- To dobrze, synu. Wysłuchamy cię, Bóg i ja. Wyznaj swoje grzechy. Jakież to troski cię tu przywiodły?

- Nigdy nie uważałem się za wierzącego - odezwał się bezcielesny głos pułkownika. - Teraz jednak mogę się uciec tylko do Boga. Chcę wiedzieć, czy będę przeklęty za to, co zrobiłem...

- A co zrobiłeś?

- Bardzo wiele - załkał pułkownik. - Tak wiele...

- Powiedz mi - ponaglił go Herrith. - Wyznaj wszystko Bogu...

Po drugiej stronie kraty rozległo się westchnienie. Cień pułkownika podniósł dłoń do czoła. Kye zaczął oddychać szybko i nierówno. Drżał też, jakby lada moment miał się rozplakać. Herrith się nie odzywał, czekając aż penitent weźmie się w garść.

- Zabiłem tylu ludzi... - zaczął wreszcie pułkownik. - Wasza Świątobliwość, na moich dłoniach jest krew... wiele krwi...

- Wiesz, kim jestem - przerwał mu biskup. - Czy to cię nie przeraża, Kye?

- Owszem - przyznał wojskowy. - Ale powinienesz wiedzieć, co zrobiliśmy dla ciebie i twojego Kościoła. Powinienesz się dowiedzieć, ile przelaliśmy krwi. Tyle jej było, że mogłaby wypełnić koryto rzeki.

Herrith też zadrżał, ale nie z gniewu. Targały nim wyrzuty sumienia. Wysłuchał już raportów o losie, jaki Vorto zgotował Goth. Granulki Formuły B spisały się nadspodziewanie dobrze. Rozkaz zaś wyszedł od niego. Jeżeli na dłoniach Kye'a była krew, to i dłonie Herritha też powinny być nią zbrukane.

- Zgroza... - ciągnął Kye rozdygotanym głosem. - Boże, zlituj się nade mną za to, co zrobiłem. - Zgarbił się i zaczął ciężko dyszeć, aż w końcu w konfesjonale rozległ się szloch. - Powiedz mi, że Bóg istnieje - rzekł błagalnym tonem. - Wasza Świątobliwość, daj mi rozgrzeszenie!

- Pułkowniku Kye, Bóg jest potężniejszy niż ty czyja. To Bóg, którego zamiary mogą się nam wydawać surowe, ale który żąda od nas niekiedy poświęcenia. W Jego oczach jesteś czysty, pułkowniku. Ty, a nie Vorto jesteś jednym z jego żołnierzy. Miej ufność i zachowaj wiarę. Czynisz Jego dzieło.

Mówiąc to, Herrith zastanawiał się, czy to prawda. Kye zresztą nie wyglądał na szczególnie pocieszonego. Łkał i szlochał, aż Herrith przestał rozumieć jego charczący

głos.

Kye bełkotał coś o dzieciach, ich krzykach i konających matkach. I o Goth, mieście umarłych, gdzie nie została ani jedna żywa istota.

- Taka była wola Boga - rzekł biskup, usiłując ułagodzić pułkownika. - Wszyscy są teraz w jego rękach. Śmierć to tylko brama do lepszego świata. Wiesz o tym, prawda, synu?

Bezgrzeszni są teraz na Jego łonie.

- Och, nie! - jęknął Kye. - Skąd dziecko może znać pojęcie grzechu? Jak mogłem popełnić tak zły czyn? Jestem przeklęty! Przeklęty na wieki!

Arcybiskup zawrzał gniewem.

- Posłuchaj mnie! - zagrzemiał. - Boże dzieło nie może być złem! To oczyszczenie świata ze zła! Goth popierało tego czarta, Biagia. Wywiesili Czarną Flagę, urągając w ten sposób Bogu! Jesteś po słusznej stronie, Kye, i nie waż się myśleć inaczej!

Uwalniamy świat od obrzydliwego wrzodu!

Kye spróbował się jakoś uspokoić i odkaszlnął, oczyszczając gardło z flegmy.

- Jestem tylko człowiekiem - powiedział. - Nie jestem kapłanem, ani Bogiem.

Nie wiem niczego o Niebiosach. Nie można ode mnie żądać, bym wykonywał Jego dzieło.

- Posłuchaj - nalegał Herrith. - Bóg jest bardziej rzeczywisty, niż ty czyja, i On zna twoje serce, Kye z Nar. Wie, czy jest czyste. Boisz się potępienia za to, że czynisz Jego dzieło, ale nie widzisz chwały tego, co robisz.

- Widzę tylko rzezie - odparł Kye. - I twarze, które mnie nawiedzają w snach.

- To, co widzisz, to tylko sprawy ziemskie - upierał się Herrith. - Nicóż ziemskiej egzystencji i marność kondycji człowieczej. Kye, jest jeszcze życie po śmierci.

Ci, którzy biorą udział w urzeczywistnieniu Bożej woli, zostaną wyniesieni w przyszłym życiu.

Czyniący im wstręty zgorzeją w ogniach piekielnych. Nie pójdziesz do piekła za to, żeś zniszczył Goth i jego dzieci. Pójdziesz do nieba, za to że je uratowałeś od mąk piekielnych!

Kye milczał. Odchyliwszy się do tyłu, oparł głowę o tylnąściankę konfesjonału i wpatrzył się w jego daszek. Przez chwilę milczał, nie wydając żadnego dźwięku.

Nagle stał się tylko nieruchomą powłoką, wypełnioną żalem i smutkiem, a patrzący na niego Herrith poczuł strach, bo mrok w duszy pułkownika stał się też jego udziałem.

- Wszystko jest w świętej księdze, mój synu - odezwał się w końcu cicho biskup.

Usłyszawszy słowa, Kye'a zrozumiał, że stara się też przekonać samego siebie. - Służ Bogu, a będziesz nagrodzony. Sprzeciw oznacza potępienie.

- Ja Mu się nie sprzeciwiam - odpowiedział Kye. - Ja tylko zadaję Mu pytanie.

Tym razem Herrith nie znalazł odpowiedzi. Starannie zastanowił się nad słowami żołnierza, znajdując w nich odbicie własnych myśli, sam bowiem ostatnio też zadawał Niebiosom pytania. Znalazł pocieszenie w piśmie, ale to mu nie ulżyło. Podobnie jak Kye'a, przepełniało go uczucie żalu i rozpacz. Ale Słowo Boże wyjaśniało wszystko w sposób jasny i oczywisty. Biagio był sodomitą i grzesznikiem. Pokładał się z mężczyznami. A Czarne Odrodzenie, za którym obstawał, określało, że najwyższą władzą i mocą jest imperator, co było zbyt już długo tolerowaną przez biskupa herezją.

- Nie jest mądrze kwestionować wolę Boga i zadawać Mu pytania - odrzekł w końcu Herrith. - Jeżeli szukasz usprawiedliwień, Kye, rób to na własną odpowiedzialność, ale wiedz, że narażasz duszę na niebezpieczeństwo.

Głos Kye'a był zaledwie szeptem.

- To dla ciebie takie proste? - spytał. - Gdybyś był w Goth, zmieniłbyś zdanie.

Wasza Świętobliwość, nigdy wcześniej nie widziałem czegoś równie strasznego, a widziałem wiele. Wasza Formuła B nie może być dziełem Bożym. Przysięgam, że stworzył ją diabeł.

- Formułę B pod wpływem natchnienia stworzyli ludzie pełni wiary - odpowiedział biskup. - A natchnienie pochodzi tylko od Boga.

- Kłamstwo! - odpowiedział Kye. - Wiem, że pierwszy wymyślił ją Bovadin. W warsztatach zbrojeniowych tylko ją udoskonalili.

- Ależ Bóg właśnie jest doskonałością. I w tym sensie Formuła B jest Jego dziełem. - Biskup przyłożył twarz do krat. - Och, mój dobry synu! Jakże rozumiem twoją mękę. Nie myśl, że jestem aż tak pozbawiony serca i współczucia. W końcu jestem ziemskim sługą Boga. Siedząc tu, w tej katedrze, zamartwiałem się myślami o losie tych dzieci, choć wiem, że tobie może się to wydać niemożliwe. Nie zawsze jednak

otrzymujemy odpowiedzi na pytania zadawane Ojcu. Czarne Odrodzenie to rzecz straszna, rozdzierająca kraj niczym rana.

Musimy ją wypalić żywym ogniem, bo nie ma innej drogi uzdrowienia naszej ziemi.

- Dzieci, Wasza Świątobliwość - rzekł Kye głuchym głosem.

- Bez skóry. Bez oczu. - Przetarł dłonią twarz. - I wciąż bezustannie do mnie krzyczą.

Nie przerywają. Wasza Świątobliwość, każ im przestać. Zabierz je ode mnie...

Herrith wiedział, że tego zrobić się nie da. Słyszał te głosy we własnej głowie i żadna modlitwa nie łagodziła jego mąk. Dzieci Goth były niezmordowane. Po śmierci potrafiły krzyczeć głośniejsz, niż za życia.

- Śaniczym anioły ciemności - odpowiedział w końcu. - Nie zwracaj na nie uwagi, a tracą wszelką władzę nad tobą. Wyprzyj się ich, Kye, i odpędź je od siebie.

Czynisz dzieło Boga. Nie musisz odpowiadać na wrzaski tych widm.

Kye jakby kiwnął głową.

- Jestem zatem rozgrzeszony? - spytał.

- Kye z Goth, nie trzeba ci żadnego rozgrzeszenia. Idź z Bogiem, pułkowniku.

Wracaj do swej pracy. I szukaj wsparcia u Vorta, który ci pomoże wszystko zrozumieć.

Vorto był rzeźnikiem, z czego Herrith doskonale zdawał sobie sprawę. Imię generała miało jednak niemal magiczny wpływ na służących pod jego rozkazami ludzi. Był wcieleniem imperialnej legendy. A Kye, któremu daleko było do tego, by wejść do żołnierskich legend, podziwiał Vorta. Mógł zaczerpnąć od niego siły. Vorto mógł posłużyć im wszystkim za przykład oddania woli Bożej.

- Synu, zrozumiałeś to, co rzekłem?

- Myślę, że tak - odpowiedział Kye. - I z pomocą Boga, postaram się sprostać wszystkiemu.

- Bóg chce od ciebie tylko twej miłości - powiedział biskup.

- Kochaj go, a On ci pomoże. Przekonasz się. Zobacysz, że to, co robisz, nie opiera się na fałszu, ale na największej ze znanych w Nar prawd. Obiecuję ci to, pułkowniku.

Przysięgam w obliczu Niebios.

Kye wstał i przez chwilę chwiał się lekko, a potem przyłożył twarz do krat i spojrzał na Herritha.

- Wiem, że woła Waszej Świątobliwości jest w tym miejscu prawem - powiedział.

-

Wszystko, co tu rzekłem, pozostanie tajemnicą, prawda? Moi podwładni nigdy się nie dowiedzą o tej rozmowie. Ani generał Vorto. Czy tak?

- Tak - odpowiedział Herrith.

- I Wasza Świątobliwość nigdy nie przekaze jej treści nikomu, ani słowem, ani na piśmie?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział nieco zaskoczony Herrith.

- Niech Wasza Świątobliwość przysięgnie.

- Co mam przysiąc?

- Przysięgnij, że o dzisiejszej rozmowie nigdy nikomu nie powiesz. Przysięgnij przed Bogiem.

Herrith podniósł jedną dłoń i powiedział.

- Przysięgam, że stanie się tak, jak powiedziałem.

Zadowolony w końcu Kye opuścił konfesjonał, zostawiając Herritha w mroku.

Arcybiskup zamknął oczy i oparł się o tylną ścianę, poddając się spływającej fali nieszczęsnych wyznań pułkownika. Był to jeden, niepowstrzymany potok krwi, i to taki, którego upust spowodowała jego decyzja. W warsztatach wojennych udoskonalono Formułę B na jego polecenie, a Vorto i Kye zrzucili pojemniki na Goth z jego rozkazu.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście nakazał mu to głos Boga, czy może podszepty własnego, mściwego umysłu. Przyłożył dłoń do czoła, starając się pozbyć okrutnych, złych myśli.

Tak wiele dzieci. Córki diuka. Diuszesa Kareena... „W jakim stopniu były niewinne?”

Pamiętał piękną twarz młodej Kareeny, pamiętał, jakim szczęściem promieniała, gdy przybyła do Nar, by odbyć pielgrzymkę i zobaczyć wielką katedrę. Spowiadał ją wtedy i przyznała mu się tylko do jednego grzechu - zbyt długo czekała z wędrówką do świętego miejsca. Klęcząc, pocałowała jego pierścień, on zaś podziwiał urodę, jaką ją

obdarzyła łaską Najwyższego.

A teraz ją zamordował.

Całe Goth stało się pustkowiem, na którym nigdy nic już nie wyrosnie, jak zapewnił go Vorto. Kye powtórzył mu to samo. Straszliwa Formuła B, która wyszła z wojskowych laboratoriów, spełniła najśmielsze oczekiwania. Biskupa uderzyło jednak, że generał w ogóle podzielał wątpliwości, które stały się udziałem jego podwładnych. Vorto przybył do Nar uśmiechnięty i zwycięski. A teraz Herrith zalewał się łzami, nie umiał bowiem zapomnieć ani o tym uśmiechu, ani o straszliwych obrazach, jakie przedstawił mu Kye.

Niedaleko katedry był sierociniec, który Herrith sam zbudował i utrzymywał z kościelnych funduszy. Uwielbiał dzieci. Ale... z dzieci wyrastają dorośli, prawda? A czy rodzice nie zdeprawowali tamtych tak, iż niemożliwa już była poprawa? Takie właśnie było Czarne Odrodzenie - pięknie rzeźbiony sztylet, który wbijano pomiędzy żebra ludu Bożego.

Herrith modlił się żarliwie o narzędzie, z pomocą którego mógłby położyć kres nieprawościom, i Bóg dał mu Formułę B. Nie nakazał mu zawarcia pokoju ze złem, tylko dał tę straszną broń. Był to znak. Bovadin nie potrafił udoskonalić własnego dzieła, co bez niego udało się zdumiewająco łatwo. Herrith uznał to za niechybny cud.

Jakże mu było ciężko żyć z tym odkryciem. Biskup ukrył twarz w dłoniach. Bóg, który istniał, obarczał niektórych ludzi brzemieniem cięższym niż te, które zsyłał na zwykłych śmiertelników. Herrith wiedział jednak, że nigdy nie było to brzemień ponad miarę, skupił więc swe myśli w milczącej modlitwie do Niebios i swojego boskiego Ojca.

„Święty Ojcze, pomóż mi. Wesprzyj mnie swoją wolą, bym zdołał to jakoś znieść.

Czynię to dla ciebie, Panie. Tobie przypadnie w udziale moc i chwała. Teraz i zawsze i na wieki wieków. Błagam Cię, pomóż mi się sprawić z tym krwawym dziełem. Daj mi siłę i mądrość. I gdy tylko będzie to możliwe, pozwól mi wrócić do dawnej łagodności”.

Zebrawszy się w sobie, stłumił łkania, a gdy otworzył oczy, był sam w pustym konfesjonale, świat zaś zaległa śmiertelna cisza. Coś takiego zdarzało mu się już wcześniej.

Od porzucenia eliksiru tracił kontrolę nad sobą częściej, niż mogłoby się to wydawać. Elixir trzymał na uwięzi jego emocje na równi z tym, jak zatrzymywał proces starzenia się. Bez niego kontrola nad samym sobą stawała się nieustanną i gwałtowną bitwą.

- Biagio... - warknął.

Wszystko było winą tego łajdaka. Złoty hrabia płał w eliksirze i pluł w oblicze Boga. Twierdził, że kocha Nar, ale okazał się załganym sodomitą, dyrygującym ze swej wyspy rozpadem i zniszczeniem całego kontynentu. Herrith zatrząsł się z odrazy na samą myśl o swoim stojącym ponad upływem czasu przeciwniku. Biagio zawsze był ulubieńcem Arkusa. We dwoje pozbawili wiarę i religię wszelkiego znaczenia. Używali jej jako narzędzia do kontrolowania ludzi, sami jednak pozostali niedowiarkami. I udało im się wreszcie znużyć Boga swoją natarczywością i bezczelnością. Arkus Nieśmiertelny umarł. Czort Biagio został wygnany. By się uspokoić, Herrith zaczerpnął tchu i powstrzymał emocje.

- Mędrzec czyni, a nie oddaje się jałowym rozmyślaniom - napomniął sam siebie, wycierając załzawione powieki rękawem szaty. - Nie ma czasu na bzdury. Bóg, jak zawsze, patrzy na moje uczynki. Nie mogę go zawieść. Powinienem...

- Wasza Świątobliwość?

Herrith zagryzł wargę. Todos? Natychmiast wytarł łzy i przybrał obojętny wygląd.

Todos był tuż obok. Zapukał dyskretnie do drzwi.

- Wasza Świątobliwość? Jesteś tam?

- Co się stało? - zapytał Herrith tonem nieco ostrzejszym niż powinien.

- Wasza Świątobliwość zechce mi wybaczyć... Muszę natychmiast coś ci powiedzieć. Stało się coś ważnego...

W głosie Todosa dźwięczało prawdziwe przejęcie. Herrith zaklął cicho.

- Na Niebiosa i piekło! Todosie, jestem zajęty. Czego chcesz?

- Wasza Świątobliwość musi sam to zobaczyć. Pojawił się „Nieustraszony”!

Zabrzmiało to tak, jak wieść o powrocie Boga.

- Co takiego? - spytał Herrith, podrywając się z krzesła i otwierając drzwi konfesjonału. - Coś ty powiedział?

- „Nieustraszony”, Wasza Świątobliwość. Wpłynął do portu! W eskorcie jeszcze czterech liniowców. Co mamy robić?

Herrith słuchał lekko oszołomiony rozwojem wydarzeń. Co Nicabar miał do roboty w Czarnym Grodzie? Czy to początek inwazji? Trzeba zawiadomić Vorta, niech przygotuje oddziały do walki. Boże, nikt nigdy się czegoś takiego nie spodziewał...

- Co oni knują? - spytał biskup.

Todos nieco nerwowo wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, Wasza Świątobliwość. Te statki pokazały się bardzo niedawno.

Przybyłem tu, jak tylko mi o nich powiedziano.

- Powiadasz, że jest ich razem pięć?

- Chyba tak. Ale głowy bym nie dał, Wasza Świątobliwość. Musimy coś zrobić.

Herrith zgrzytnął w duchu zębami.

- I zrobimy, Todosie, niechybnie zrobimy. Ale pierwszej trzeba nam się dowiedzieć, co ten nieprawy syn zamierza.

Admirał Nicabar stał na pokładzie „Nieustraszonego” i patrzył na portowy pomost, od którego przed chwilą odbiła mała, kierująca się na jego okręt łódeczka. Obok „Nieustraszonego” stali na kotwicach jego czterej mniejsi bracia z lufami dział wymierzonymi na miasto. Najwyższym gmachem, jaki widział Nicabar, była Katedra Męczenników; wysoka i groźna stała dumnie, błyskając w słońcu zielonosrebrnymi iglicami wież. Nicabar rozkazał, by lufy ogniomiotów skierowano na katedrę. Co prawda z tej odległości nie mogły jej uszkodzić nawet dalekosiężne ogniomioty „Nieustraszonego”.

Nicabar wiedział jednak, że wystarczyła sama groźba, by zmusić Herritha do reakcji. Za pazuchą kurtki miał list od Biagia, z odcisniętą w laku osobistą pieczęcią hrabiego. Płynące z Crote okręty miały za sobą długą i śmiertelnie nudną podróż, ale Nicabara cieszyła możliwość ponownego ujrzenia macierzystego portu. Niewiele się tu zmieniło. Kominy zbrojowni wciąż rzygały w niebo pióropuszcami czarnego, gryzącego dymu. Szerokie ulice Nar jak dawniej wypełniały tłumy przechodniów i gapiów, którzy teraz przyglądali się stojącym na kotwicy okrętom. Szlachetni panowie i damy tłoczyli się wraz z żebrakami, by lepiej przyjrzeć się „Nieustraszonemu”. Zebrali się też co do

jednego stacjonujący w mieście legionišci Vorta.

Samego generała nigdzie nie było widać, co Nicabar poczytał za dodatkową, miłą niespodziankę, bo obaj darzyli się szczególną nienawiścią.

Obok „Nieustraszonego” kołysały się na fali liniowce „Sławny” i „Czarny Gród”.

Za nimi do portu wpłynęły jeszcze dwa inne, nieco lżejsze liniowce: „Żelazny Diuk”, którym dowodził stary przyjaciel Nicabara, komandor Dane, i nieco mniejszy, ale jeden z najszybszych w całej flocie, „Nieustrudzony”. Oba zataczały wolne kręgi nieco dalej, gotowe na wszelkie niespodzianki. Nicabar nie miał pojęcia, jak blisko Nar byli Lisseńczycy, i nie życzył sobie żadnego zaskoczenia. Co prawda działa „Nieustraszonego” mogły się sprawić z każdym lisseńskim szkunerem, ale ciężkich liniowców miał tylko dwa.

Tymczasem niewielka wiosłowa łódź podpłynęła bliżej. Nicabar mógł już się przyjrzeć jej pasażerowi. Jak tego zażądał, jego wioślarze płynęli z ojcem Todosem, przybocznym i sekretarzem Herritha. Admirał uśmiechnął się do siebie lekko zaskoczony tym, że biskup zgodził się na wymianę. Nie sądził, by Herrith ufał mu aż tak dalece, ale był to jedyny logiczny wybór. Herrith z pewnością nie zgodziłby się wejść na pokład „Nieustraszonego”, a jeżeli mieli porozmawiać, Nicabar potrzebował zakładnika.

Wiedział, że Herrith i Todos byli dla siebie niemal braćmi. Święty mąż nigdy by świadomie nie dopuścił do tego, aby Todosowi stała się jakakolwiek krzywda. Nicabar odetchnął z ulgą.

Ujrzawszy Todosa, zrozumiał natychmiast, że nie musi się obawiać żadnych podstępów.

- To on - stwierdził pewnym siebie głosem.

Porucznik Garii kiwnął głową. Trzymał niewielką, metalową szkatułkę, pozbawioną ozdób, niewiele większą od męskiej dłoni. Był to dar dla biskupa Nar.

- Wciągnijcie go na pokład, Garii - polecił Nicabar. - Chcę, by poczuł się jak w domu. Dajcie mu, co zechce - napitek, jedzenie, wszystko. Zrozumieliście?

- Aye, sir! - odpowiedział młody człowiek. Zaraz potem wydał rozkazy wioślarzom w łodzi. Ze śródokręcia opuszczono drabinkę linową. Wioślarze podprowadzili łódkę do burty liniowca. Ojciec Todos, zacisnąwszy szczęki, patrzył na wznoszący się nad łodzią niczym górskie zbocze kadłub „Nieustraszonego”. Nicabar

uśmiechnął się z góry. Todos był porządnym człowiekiem. Wierzył w swój Kościół, co czyniło z niego wroga, ale za czasów Arkusa byli niemal przyjaciółmi. Admirał nie chciał, by temu łagodnemu człowiekowi stała się jakaś krzywda, i miał nadzieję, że Herrith nie knuje żadnej zdrady. Gdyby na przykład Nicabar został uwięziony lub zabity, Todos musiałby umrzeć.

Majtkowie z łodzi pomogli Todosowi wspiąć się na drabinę. Nicabar podszedł do kapłana, by go powitać. W połowie drogi Todos spostrzegł, kto jest jego gospodarzem, i zatrzymał się w miejscu.

- Dalejże, ojcie - zachęcił go Nicabar. - Nic ci tu nie grozi... przynajmniej za moją sprawą.

Todos skrzywił się lekko, ale ruszył w górę. Admirał wyciągnął rękę przyjętą przez kapłana nie bez oporów i wciągnął go na pokład. Wioślarze w łodzi zostali na dole - czekali na admirała. Ojciec Todos odchrząknął nerwowo i spojrzał na Nicabara, nadrabiając miną.

- Jestem. Przybyłem, jak chciałeś - odezwał się Todos. - Bóg mnie obroni.

Nicabar zachichotał.

- To ja cię chronię, kapłanie - stwierdził rzeczowo. - Nic ci się nie stanie, chyba że coś przydarzy się mnie. - Spojrzał ku dokom, gdzie pospiesznie stawały w szyku oddziały Vorta. - Bezpieczne przejście pomiędzy tymi legionistami, do katedry i z powrotem. Tak się umówiliśmy, prawda?

- Tak - odpowiedział Todos. - Arcybiskup już na ciebie czeka. Niech wasza rozmowa będzie krótka. Załatw swoje diabelskie sprawki i wracaj na okręt. Nie odpłynę stąd, dopóki nie wrócisz.

- Tego jestem pewien - zaśmiał się Nicabar. - Wpław to dość daleko. - Odwrócił się do Garii i wziął od niego metalową szkatułkę.

Todos, który wszystko obserwował, podejrzliwie łypnął okiem.

- Co to jest? - spytał.

- Prezent dla biskupa - odpowiedział Nicabar. - Od hrabiego Biagia.

Todos skrzywił się z niesmakiem.

- On go nie przyjmie. To obraza. Jak ten demon w ogóle śmie próbować kupić przebaczenie biskupa?

- Ojczy, mamy na pokładzie wino i mięso. Porucznik Garii zadba o twoje potrzeby.

Rozgość się. Ja wrócę, kiedy będę mógł.

- Jakież wieści ośmielasz się przywieźć biskupowi, heretyku? - spytał Todos. - Czy ten twój hrabia zboczeniec wreszcie się opamiętał?

Nicabar spiął się, ale zignorował zniewagę. Cofnąwszy się, wstąpił tyłem na drabinkę, trzymając szkatułkę pod pachą.

- Dowiesz się, jak wrócisz do katedry, ojczy Todosie. A na razie korzystaj z mojej gościnności.

- Admirale? - odezwał się kapłan.

Nicabar zatrzymał się i spojrzał na Todosa.

- O co chodzi?

Todos nakreślił przed nim w powietrzu znak krzyża.

- Idźcie z Bogiem.

- Owszem - odpowiedział sucho Nicabar. - Nie omieszka. I znikł Todosowi z oczu, opuszczając się po drabince ku łodzi.

Majtkowie zerwali się, by mu pomóc, on jednak ich odepchnął. Wioślarze napanli na wiosła, odepchnęli łódź od burty „Nieustraszonego”, a potem usiedli i osadziwszy wiosła w dulkach, ruszyli ku brzegowi. Nicabar pozostał wyprostowany; skrzyżował ramiona na piersi i mierzył zbierających się na brzegu legionistów wyzywającym spojrzeniem.

Wspaniale wyglądał w swoim czarnożółtym uniformie, a kolorowe wstęgi i medale na jego piersiach dumnie lśniły w blasku słońca. W kieszeni kurtki miał pismo do Herritha, a szkatułkę zawierającą dar hrabiego Biagia dla biskupa zatknął sobie pod pachę. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak też Herrith zareaguje na dar, którego - oczywiście - wcale się nie spodziewa.

Dotarłszy niemal do brzegu, łódź skrzyła ku pomostowi, na którym karnie, w dwa szeregi, twarzami do środka ustawili się żołnierze. Ciężkozbrojni nie schylali głów i w ogóle nie reagowali na spojrzenia Nicabara. Po prostu czekali, zachowując kamienne twarze, a ich towarzysze w głębi odpychali gapiów, który przyszli obejrzyć sławnego admirała.

Nicabar obdarzył tłum i żołnierzy kryjących twarze pod okapami hełmów drwiącym uśmiechem, który znikł natychmiast, gdy gość zobaczył czekający na niego powóz. Był to spory pojazd, jeden z należących niegdyś do samego Arkusa, ozdobiony szlachetnymi kamieniami i zaprzężony w cztery białe rumaki. Obok pojazdu siedział na swojej czarnej bestii generał Vorto, który mierzył Nicabara wyzywającym spojrzeniem. Wojenny topór Vorta tkwił jak zwykle w objęciu na jego plecach. Minął ponad rok od ich ostatniego spotkania i Nicabar stwierdził, że generał ma tak jak i wtedy paskudną gębę. Na swoim ogromnym wierzchowcu wydawał się jeszcze większy, i Nicabar osądził, że gdyby go ustawiono jako posąg na jednej z uliczek, wreszcie na coś by się przydał. Vorto był zimny, nieruchomy i nieprzystępny. Gdy łódź podpływała do pomostu, generał spiął konia i truchtem podjechał bliżej.

Admirał poczekał, aż jego wioślarze ustawią łódź równolegle do pomostu i przytwierdzą liny kołkami, a potem wszedł na deski pomostu. Vorto czekał, patrzył wyzywająco, i nie zsiadł ze swego beczelnie parskającego konia.

- Witaj w domu, Danarze! - zadudnił w końcu. W jego głosie była jawna drwina.

-

Miło jest znów cię tu zobaczyć!

- Powiedziałbym to samo, ale nie lubię łąć - odciął Nicabar. Nie skłonił się generałowi ani nie wykonał żadnego przyjaznego gestu. Pozostając w siodle, generał bardzo go obraził, i przybysz nie zamierzał okazać rzeźnikowi żadnej oznaki szacunku. - Przywiozłem wiadomość dla Jego Świątobliwości. A z tobą nie mam o czym gadać.

- Cóż, marynarzu... trzeba nam będzie zatem z dyskusją poczekać. Ale obiecuję ci, że jeszcze pogadamy. Wsiadaj do powozu. Zawiozę cię do katedry.

Nicabar rozejrzał się i powiódł wzrokiem po gęstniejącym tłumie gapiów.

- Obietnica za obietnicę. Ty i twój biskup zdołaliście sobie jakoś podporządkować tych ludzi. Sądzę, że powinienem wam pogratulować. Ale długo to już nie potrwa.

- Admirał wskazał dłonią na tkwiące w porcie na kotwicy okręty. - Przyjrzyj się dobrze i zakarbuj sobie w pamięci: jeżeli coś mi się stanie, ci chłopcy otworzą ogień na katedrę. Zrobią w niej taką dziurę, że nawet ty przejdiesz przez nią bez trudu.

- Niech ci Bóg wybaczy bluźnierstwo, Danarze. Żal mi cię. Właź do pojazdu. Na dziś masz moje słowo - włos ci z głowy nie spadnie. Ale w przyszłości...

Słowo Vorta nie mogło mieć żadnego znaczenia, bo nie on decydował, ale Nicabar wsiadł do powozu. Rozsiadłszy się w pustym wnętrzu, powiódł dłonią po aksamitnej wykładzinie ścian i siedzenia. Potem wyjrzał przez okno. Kilku śmielszych mieszkańców pomachało mu dłońmi, na co on też odpowiedział przyjaznym gestem i nagle poczuł dziwną satysfakcję z odwiedzin w domu. Na Crote tęsknił za Nar. Życie marynarza jest znośne tylko wtedy, gdy ma się dokąd wracać, on zaś nie miał swego domu. Utrata Czarnego Grodu była jak rozstanie z piękną kobietą, której nie sposób zapomnieć.

Vorto wydał krótki rozkaz, kolumny legionów rozsunęły się i powóz ruszył, wywożąc Nicabara z portu. Gdy znaleźli się na ulicach Nar, szybko wjechali w strefę cienia rzucanego przez ogromne budynki. Niebo zasnuwały mgły i dymy z gigantycznych kominów. W oddali majaczyły wieże Czarnego Pałacu, w którym jeszcze nie tak dawno mieszkał zmarły imperator, spoczywający teraz w ogromnym czarnym mauzoleum, wzniesionym przez Biagia dla upamiętnienia jego ukochanego władcy. Na brudnych, zanieczyszczonych falach rzeki Kiel błyskały promienie słońca, a gdy powóz potoczył się po żelaznym moście, wyglądający przez okienko Nicabar popatrzył ponad rzeką na wspaniałości Nar, wzniesione na jej drugim brzegu. Wkrótce przed Nicabarem wyrósł ogrom Katedry Męczenników, przesłaniającej słońce swoimi złożonymi iglicami. Przetoczywszy się po moście, pojazd skrył się w cieniu budowli. Jadący na czele orszaku Vorto wiódł karocę Aleją Świętych ku wielkim, otwartym wrotom siedziby Herritha. Przed katedrą zebrały się tysiące ludzi, by choć rzucić okiem na sławnego żeglarza. Na ich widok serce Nicabara niemal zupełnie się rozpułnęło.

Był jednym z nich, jakże różnych od pokornych mieszkańców Crote, pomiędzy którymi przyszło mu żyć.

W tej chwili dałby wszystko za to, by położyć kres rozdarciu w Imperium.

Zaraz jednak przypomniał sobie, że była to wojna dwóch sprzecznych i niemożliwych do pogodzenia ideałów, zebrał się więc w garść, bo ogromna i wspaniała katedra była coraz bliżej. Była piękna i straszna, a zamieszkujący ją fanatyk miał dwa serca - jedno ze złota, drugie z żelaza. Herrith z Nar był mistrzem intryg i podstępu, zdolnym do nieopisanych okrucieństw, który potrafił jednak równocześnie przeznaczyć wielkie sumy na jałdo dla głodujących dzieci w sierocińcach. Arkus z Nar był nie lada

rzeźnikiem, ale jego największe zbrodnie blakły w porównaniu z tym, co biskup zrobił z Goth. Opowieści o losie Warownego Grodu sprawiły, że nawet zimnemu przecież i beznamietnemu zwykle Biagiowi zastygła krew w żyłach. Nicabar gardził biskupem i nienawidził go równie silnie, jak Vorta, którego nie cierpiał głównie z powodu jego głupoty. Generał podążał za Herrithem jak pies i gotów był ślepo wykonywać najbardziej nieludzkie z jego rozkazów.

Vorto zatrzymał kolumnę tuż przed drzwiami katedry. Wprawdzie ogromne wrota stały otworem, ale admirał nie mógł wewnątrz dostrzec niczego, poza grupą czekających na niego akolitów w białych habitach z kapturami na twarzach. Kapłani jakby unosili się nad posadzką, pozbawieni ciężaru. Nicabar wysiadł z pojazdu, ściskając w dłoni szkatułkę. Vorto zeskoczył z konia, podszedł do admirała i skrzywił się z niesmakiem.

- Admirale, to święte miejsce - odezwał się. - Życzyłbym sobie, byś okazał mu szacunek. Jeżeli nie, własnoręcznie skręcę ci kark. Rozumiesz?

Nicabar nawet nie mrugnął.

- Wciąż ten sam brutal i bydlak, prawda, Vorto? Dobrze ci radzę, daj sobie spokój z pogroźkami. Na razie „Nieustraszony” nie użył swoich dział. Ale moi chłopcy mogą nie wytrzymać... Są młodzi i zapalczywi.

Vorto zachichotał.

- Bóg porazi was przedtem, zanim zdołacie odpalić choć jedno działo. To miejsce jest pod Jego opieką i wasze łotrostwa nas tu nie osiągną.

- Chętnie poddam tę teorię próbie, generale. I zrobię to przy pierwszej lepszej sprzyjającej okazji. A teraz przestań gadać i zaprowadź mnie do Herritha. Na twój widok zaczyna mnie mdlić.

Vorto odwrócił się i ruszył ku grupie akolitów. Nicabar poszedł za nim, w towarzystwie dwójki przybocznych generała. Obaj byli w kirysach i trzymali obnażone miecze. Generał skłonił się nisko kapłanom, którzy bez słów odwrócili się i poprowadzili ich w głąb wysokiej nawy. Nad ich głowami rozpiwały się pyszne łuki sklepienia, ozdobione złotymi liśćmi i najpiękniejszymi miniaturowymi rzeźbami, jakie kiedykolwiek wyszły spod ręki człowieka. Były tam obrazy przedstawiające anioły, demony, a także brodate oblicze Boga i wizerunek jego Matki, ukazanej z odsłoniętymi piersiami. Sklepienie i ozdobione freskami ściany oświetlały jasne latarnie, a na

widocznym daleko w głębi ołtarzu płonął puchar wypełniony wonnościami i wiecznie płonącym płynem - symbol wiecznego życia dla Herritha i jego współwyznawców. Rozległa nawa była pusta. Wszyscy szli w ciszy, budząc liczne echa swoimi krokami, a ogrom świątyni tłumiał odgłosy entuzjazmu zebranych na zewnątrz tłumów. Do ołtarza dotarli pogrążeni w milczeniu. Vorto i jego przybocznicy padli tu na kolana, podobnie jak uczynili to legionieści z eskorty. Nicabar, mimo niedawnych pogroźek generała, stanął wyprostowany jak świeca. Kiedy świecący skończyli krótką modlitwę, kapłani wyprowadzili ich z nawy na korytarz, a potem powiedli ku nieskończonej długim, krętym schodom, które wznosiły się chyba do samego nieba. Legionieści zatrzymali się przed nimi.

Schody prowadziły do prywatnych apartamentów Herritha, gdzie wstęp mieli tylko najwyżsi wojskowi za imiennym zaproszeniem. Nicabarowi wydało się, że wspinaczka nie będzie miała końca, ale po kilku minutach trafili do kolejnego korytarza. Ten miał jedną ścianę z mozaikowego szkła, pełną wizerunków wydarzeń opisywanych w świętych księgach.

Nicabar niewiele mógł zobaczyć przez kolorowe szybki, ale zdawał sobie sprawę z faktu, że znaleźli się bardzo wysoko. Koniuszki palców zmroził mu chłodny powiew przeciągu.

Podeszli wreszcie do drzwi na końcu korytarza. Akolici weszli jeden po drugim, nie pukając. Vorto nie odezwał się ani słowem, tylko czekał cierpliwie na ich powrót. Gdy się pojawili, otworzyli drzwi szeroko, tak by gość i Vorto mogli przejść. Nicabar, któremu ogrom generalskiej tuszy niemal całkowicie zasłonił wnętrze komnaty, zdołał dostrzec tylko, że była rozległa i zalana promieniami słońca. Na przestrzeni jednej ściany rozciągało się w niej ogromne okno, dające doskonały widok na leżące w dole Nar. Przy oknie, patrząc przez szkło niczego nie dostrzegającym wzrokiem, stał z założonymi za plecy rękoma arcybiskup Herrith.

Akolici bez słów wyszli na korytarz. Nicabar czekał na reakcję gospodarza, a Vorto stał niczym posąg.

- Wejdźcie, przyjaciele - odezwał się w końcu biskup.

Głos miał czysty i jasny, niczym promienie słońca, ciepłem których się sycił.

Nicabarowi wydało się, że Herrith stracił nieco na wadze, co należało chyba

przypisać przymusowemu odstawieniu eliksiru nieśmiertelności. Uśmiechnął się w duchu, rad myśli, że Herrith kiedyś umrze. Oczy biskupa były lekko zamglone, jak oczy Vorta, który również wkroczył do komnaty. Nicabar wszedł za nim. Nigdy tu nie był, teraz zaś mimo woli zachwyił się ogromnym oknem, wysokim jak drzewo i szerokim jak rzeka. Z miejsca, gdzie stał, mógł zobaczyć całe wschodnie Nar i rozciągający się w oddali ocean.

Widział też okręty swojej małej armady, kołyszące się na falach w porcie. Vorto podszedł do biskupa i głośno runął na kolana. Herrith nawet nie odwrócił się od okna, tylko wyciągnął rękę za siebie.

Generał chwycił podaną mu dłoń i ucałował ją oznakami najwyższej czci.

- Wasza Świątobliwość - rzekł olbrzym pokornym głosem - przywiódłem go, jak tego chciałeś.

- Dziękuję, przyjacielu. Raczyłem to zauważyć. - Herrith odwrócił głowę i powitał Nicabara uśmiechem. - Wstań, generale. Witaj, admirale Nicabar...

Nicabar nie odpowiedział ukłonem, ani nie pozwolił sobie na żaden uśmiech. Po prostu ruszył ku biskupowi, mówiąc:

- Herricie, mam dla ciebie list od hrabiego Biagia. Chciałbym go jak najszybciej przekazać i odejść.

Herrith uśmiechnął się, jak ojciec witający dawno nie widzianego syna.

- Danarze, tak długo się nie widzieliśmy. Przecież nie musimy rozmawiać ze sobą jak wrogowie. - Skinieniem dłoni wskazał przeciwległą część komnaty, gdzie w pełnym słońca kącie ustawiono stół z misami z jedzeniem i kubkami z parującymi napojami. - Kazałem podać posiłek. Zechciej usiąść i coś zjeść.

- Nie jestem głodny - oznajmił Nicabar.

- A to szkoda, bo ja tak - odpowiedział biskup, podchodząc do stołu i siadając w jednym z dwóch przystawionych tu foteli. Skinieniem dłoni wskazał drugi. - Poczuję się dotknięty, jeżeli przynajmniej nie usiądziesz. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

- Herricie, nie mamy w ogóle o czym ze sobą rozmawiać. Jestem tylko doręczycielem.

- Siadaj, dumny bluźnierco - syknął Vorto, który z najwyższym trudem powstrzymywał wybuch wściekłości. - Ostrzegam cię, Nicabar...

- Mój Vorto, ja bardzo źle znoszę ostrzeżenia - odparł Nicabar zimno. - I nie mam ochoty na pogawędkę z żadnym z was. Arcybiskupie, odbierzesz wiadomość, czy nie?

Herrith układał sobie serwetkę na kolanach.

- Tak, oczywiście, że tak. Ale Danarze, jest pora posiłku. Nie wierzę, że tak długa podróż cię nie zmęczyła. - Wziął ze stołu kawałek placka i wsunawszy go sobie w usta, westchnął z zadowoleniem. - Och... to jest naprawdę smaczne. Doprawdy, Danarze, powinienes coś zjeść.

- A więc dobrze - zgodził się w końcu Danar, któremu znudził się spór. Usiadł naprzeciwko Herritha i położył przed sobą srebrną szkatułkę. Drobiazg natychmiast zwrócił na siebie uwagę biskupa.

- Co to jest? - spytał Herrith, nie przerywając jedzenia.

- Podarunek - odpowiedział Nicabar, pchnawszy szkatułkę w stronę biskupa. - Od hrabiego Biagia.

- Podarunek? A wiadomość?

- Tutaj - odpowiedział admirał, wsuwając dłoń za pazuchę i wyjmując stamtąd list.

- Hrabia własnoręcznie odcisnął w laku swą prywatną pieczęć. Z pewnością ją rozpoznasz. W szkatułce jest po prostu podarunek, tak jak mówiłem.

Herrith podniósł szkatułkę, uśmiechnął się jak dziecko i lekko nią potrząsnął.

- Co tam jest? - spytał, przysłuchując się głuchemu grzechotowi wewnątrz.

- Wasza Świątobliwość! - odezwał się Vorto, wyciągając błagalnie dłonie. - Proszę, pozwól, że ja to otworzę.

- Akurat! - zaśmiał się Herrith. - To moje!

- Wasza Świątobliwość, w tym może się kryć jakiś podstęp. Ten diabeł z Crote potrafi wymyślić rozmaite rzeczy. Proszę, pozwól, że ja to otworzę.

Herrith zmarszczył brwi i spojrzał bystro na Nicabara.

- Danarze, czy to niebezpieczne?

- W najmniejszym stopniu - odparł admirał. - Jak mówiłem, to prezent.

Absolutnie niegroźny, masz na to moje słowo.

- Hmm... mimo wszystko... Myślę, że lepiej będzie, jak ty to otworzysz, przyjacielu. - Herrith podał szkatułkę generałowi. - W końcu diabeł jest ojcem kłamstwa.

Ale uważaj...

Okazując głupią brawurę, Vorto otworzył szkatułkę i zajrzał ciekawie do środka.

Przyglądający mu się uważnie Nicabar z przyjemnością zauważył, że generał zmartwił z wrażenia.

- Matko Boża - wyszeptał.

- Co tam jest? - dopytywał się Herrith. Vorto spojrział z ogniem w oczach na admirała.

- Podstępny wężu! - syknął. - Powinienem cię za to zabić!

- Dość! - uciął Herrith. - Vorto, co jest w szkatułce? Daj mi ją natychmiast!

- Wasza Świątobliwość...

Herrith wyrwał szkatułkę z dłoni Vorta i płonąć z ciekawości, zajrzał do środka.

I on znieruchomiał, zdumiony jej zawartością. Biskup jednak nie zawrzał gniewem, tylko przez długą chwilę tęsknie patrzył na niewielką, szklaną fiołkę. Był to eliksir Bovadina, idealnie błękitny w przezroczystej fiołce, lśniący, ze wszech miar pożądany i wart fortunę. Drżącymi dłońmi biskup wyjął kryształową fiołkę ze szkatułki i uniósł ku słońcu.

- Boże, miej nas w swojej pieczy! - jęknął wreszcie. - Danarze, coś ty mi przyniósł? To napój potępionych!

- Biskupie, sam wiesz, co to jest - odparł spokojnie Nicabar.

- To nie ja ci to daję, tylko hrabia. Gdyby to ode mnie zależało, nigdy bym tobie tego nie dał, ale hrabia nalegał.

- Oczywiście, że nalegał! - zagrział Vorto. - A to drań o czarnym sercu! Chce, byśmy znów się uzależnili od tego diabelskiego napitku! Oby zgorzał w piekle!

Herrith wyciągnął dłoń, chcąc go uspokoić.

- Przyjacielu, zachowaj spokój. - Przez dłuższą chwilę podziwiał zawartość fiołki, patrząc na nią mętными, pustymi oczami. Kiedyś oczy biskupa były jasnoniebieskie i gorzały blaskiem zapалу, teraz zaś były puste i obojętne niczym oczy trupa. Ale gdy patrzył na buteleczkę, znów coś w nich zaiskrzyło. - Ach, Danarze - westchnął wreszcie.

- Sam nie wiem, czy cię błogosławić, czy przeklinać za to, coś mi dziś przyniósł. Obaj z Biagiem jesteście jak dwa bliźniacze diabły.

- Herricie, to solidna porcja - stwierdził Nicabar. - Przywróci ci dawne siły.

Bovadin specjalnie ją zageścił, tak że efekt będzie trwały. Ale trzeba ją dozować stopniowo, w przeciwnym razie umrzesz.

- Nie będzie z niej pożytku! - warknął Vorto. - Możesz, psie, zabrać swoją truciznę z sobą do piekła, z którego wylazłeś!

Herrith włożył fiolkę z powrotem do szkatułki i zamknął wieczko, ale nie oddał prezentu Nicabarowi. Zamiast tego zatrzymał go w dłoni i przez chwilę jakby rozkoszował się jej ciężarem.

- Siadaj Vorto - odezwał się wreszcie spokojnie. - Za wiele wśród nas wrogości... a wcale tak być nie musi. - Podniósł ze stołu list, ale go nie rozpieczętował, tylko podał generałowi. - Przeczytaj - polecił. - Przeczytaj głośno, tak żebyśmy dobrze słyszeli.

Vorto wziął krzesło spod ściany, postawił je obok siedzenia swego pana, usiadł i złamawszy pieczęć, otworzył list. Przez chwilę przyglądał mu się podejrzliwie, a potem zaczął czytać.

- „Mój drogi biskupie. Mam nadzieję, że mój list zastanie cię w dobrym zdrowiu.

Mam także nadzieję, że dobrze dbasz o miasto i Imperium. Dla nas wszystkich nastały mroczne czasy i nie będę ci łąał, pisząc, że nie brak mi Czarnego Grodu. Tęsknię doń całym moim sercem”. - Vorto zatrzymał się i skrzywił. - Jakim sercem? Czy ten czart ma w ogóle jakieś serce?

- Generale, proszę... - ponaglił go Herrith, który przez cały czas lektury nie spuszczał wzroku z Nicabara.

- „Ty i ja nie różnimy się od siebie za bardzo” - podjął wątek Vorto. - „Nasza przeszłość uczyniła z nas nieprzyjaciół, ale przyszłość rokuje lepiej. Są rzeczy, które mogę ci dać, i dam ci je z przyjemnością. Elixir Bovadina to tylko jedna z nich. Żaden z nas nie musi umierać, drogi Herricie...”

Biskup zachichotał.

- Ma już dość, prawda?

Nicabar nie odpowiedział.

- Czytaj dalej - zwrócił się biskup do Vorta. - Zobaczmy, czy on potrafi zaproponować coś sensownego.

- „Proponuję, by wszyscy nareńscy lordowie spotkali się na mojej wyspie Crote” - ciągnął generał. - „To jedyne miejsce, gdzie nie stanie mi się krzywda. Możemy

spokojnie omówić dzielące nas różnice i rozpocząć od nowa. Nalegam, byś spokojnie rozważył moją propozycję. Możemy razem władać Imperium, tak jak tego chciał Arkus. Ty znów będziesz miał eliksir. Nar znów stanie się silne”. - Vorto podniósł wzrok znad pisma. - To wszystko - oznajmił, rzucając papier na stół. - Masz zuchwałego pana, Nicabarze. Ośmielił się nawet pomyśleć, że może nas przekupić obietnicami pokoju. A to spotkanie na Crote? Czy on przypadkiem nie zwariował?

Nicabar zlekceważył Vorta i zwrócił się do Herritha.

- Mam poczekać na odpowiedź i wrócić z nią na Crote - oznajmił. - Zaczekam na pokładzie mojego okrętu. Rankiem prześlij mi odpowiedź.

- Nie ma potrzeby, byś czekał - odpowiedział spokojnie Herrith. - Mogę odpowiedzieć już teraz. - Sięgnął po pismo, zmiął je w kulkę i cisnął Nicabarowi w twarz. - Odpowiedź brzmi: nie. Nicabar skrzywił twarz w drwiącym uśmiechu.

- Tego właśnie się spodziewałem. Herrithcie, Biagio jest dla was zbyt łagodny.

Mówiłem mu, by nie tracił czasu na pokojowe propozycje, ale się uparł.

Najwyraźniej uważa, że gdzieś tam w tej twojej czaszce jest jakiś mózg. Ja nie.

- Jeżeli kiedykolwiek się zdecyduję na jakiegokolwiek rozmowy z tym piekielnikiem, to ja będę dyktował, gdzie i kiedy mamy się spotkać. Nie jego jest rzeczą ustalać termin i miejsce. Nie jestem wojownikiem, ale zdaje mi się, że warunki ustala zwycięzca, prawda?

- Nie będziecie zwycięzcami - odpowiedział spokojnie Nicabar. - Nie macie środków. Narody Nar nigdy za tobą nie pójda, bo nie uwierzą w te twoje bajeczki.

A teraz jeszcze musicie się rozprawić z Liss. |- Admirał kpiąco zmrużył jedno oko. - Sam wiem, jak bardzo ci piraci potrafią utrudnić życie.

Wzmianka o Lisseńczykach natychmiast starła z twarzy biskupa wyraz satysfakcji.

- Danarze, to co nas spotyka ze strony Liss, to twoja wina. Napadają nasze wybrzeża, a ty nie robisz nic, by temu przeszkodzić. Zatapiają nasze statki, a ty siedzisz z założonymi rękoma. I ty ośmielasz się mówić o sobie, że jesteś nareńskim admirałem?

Budzisz we mnie tylko śmiech i odrazę. Gdybyś w istocie był bohaterem, za jakiego niektórzy wciąż jeszcze cię uważają, broniłbyś Nar!

- Ależ bronie, Wasza Świątobliwość - odparł Nicabar. - Bronię go przed tobą.

- Bluźnierca! - warknął Vorto. Generał wstał i jednym kopnięciem odrzucił krzesło. - Okaż nieco szacunku w domu Bożym, bo przysięgam, że cię zabiję!

- Siadaj, mój dobry człowieku. - Nicabar po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Vorta. - Jesteś nudny. Biskupie, wyjaśniałem już temu małpoludowi, że cokolwiek mnie tu złego spotka, zostanie stokrotnie zwrócone miastu i katedrze. „Nieustraszony” ma działa wymierzone prosto w twoją siedzibę. Strzały może doniosą, a może nie. Tak czy inaczej, miasto stanie w ogniu. Na twoim miejscu bardzo bym uważał na to, co mówi ten twój pies, ponieważ zaczynam już mieć dość tych gróźb.

Herrith rozważył implikacje, szukając w głosie admirała choć cienia fałszu - i nie znalazł. Skinieniem dłoni nakazał Vortowi, by ten usiadł. Generał podniósł przewrócone krzesło, postawił je i zajął miejsce obok biskupa. Herrith zabębnił pulchnymi palcami po powierzchni srebrnej szkatułki.

- Co mam począć? - zaczął się głośno zastanawiać. - Danarze, liczyłem na to, że nasza rozmowa przyniesie wszystkim korzyści. Wstyd powiedzieć, ale sądziłem, że uda mi się ukazać ci drogę prawdy i skłonić do porzucenia tego twojego utkanego z łągarstw i nieprawości hrabiego. Zbyt wiele już lat byłeś mu przyjacielem. Czy nie dostrzegasz prawdy?

- Czyjej prawdy? - spytał Nicabar. - Twojej?

- Prawda jest zawsze prawdą, Danarze - odrzekł biskup ostrzegawczym tonem. - Moją prawdą jest szczerść Boga i jego aniołów. Biagio to grzesznik i sodomita.

Nawet jego małżeństwo było drwiną. Pokłada się z mężczyznami. Wiesz o tym, a jednak przy nim obstajesz. Taki prawdziwy mężczyzna jak ty?

- Owszem, wiem jaki on jest - odpowiedział Nicabar. - I tak naprawdę, nic mnie to nie obchodzi. Arkusa zresztą też nie obchodziło. Może to jest i grzechem w twoich oczach i w oczach tego twojego mitycznego Boga, ale mnie nic do tego. Jest moim przyjacielem... znacznie lepszym, niż ty kiedykolwiek byłeś, Herricie.

- Pozwól więc, Danarze, że cię ostrzegę. Czas Biagia już minął. Czarne Odrodzenie umarło razem z Arkusem. A z jego resztkami wkrótce się uporamy.

- Owszem - syknął Nicabar. - Tak jak z Goth?

Twarz Herritha stężała niczym kamień.

- Owszem - odpowiedział. - Tak jak z Goth.

Nicabar poczuł się tak, jakby jego serce ścisnęła jakaś lodowata dłoń. Z Herrithem stało się coś okropnego. Może jego mózg zmienił się pod wpływem narkotyku, tak jak to było w przypadku Biagia, a może przeciwnie - trzeba to było przypisać brakowi eliksiru. W każdym razie nie sposób było racjonalnie rozmawiać z człowiekiem, który tak spokojnie i bez wyrzutów sumienia wydał rozkaz ludobójstwa.

- Niechże i tak będzie - odezwał się w końcu admirał, wstając z krzesła. - A zatem dalsze rozmowy są bezcelowe.

Biskup teatralnie bezradnym gestem rozłożył ręce.

- Też mi się tak wydaje. Proszę, przekaz hrabiemu moją odpowiedź, Danarze. I powiedz mu, że codziennie się modlę o zbawienie jego duszy.

- Pewien jestem, że bardzo się z tego ucieszy - zakpił Nicabar. - I co, podziękować mu w twoim imieniu za podarunek? Czy może mam go zabrać ze sobą?

Vorto spojrział na szkatułkę, na Herritha i znów na szkatułkę. Dłoń biskupa zakryła podarunek i chciwie się na nim zacisnęła.

- Sądzę, że powinienem to zatrzymać - powiedział. - Mimo wszystko to prezent.

Podziękuj Biagowi za jego domyślność.

Vorto zbladł niczym papier.

- Wasza Świątobliwość...

- Milcz! - warknął Herrith. - Danarze, dziękuję za to, że się tu pofatygowałeś.

Może mi nie uwierzysz, ale było mi miło. Generał zadba o twój bezpieczny powrót na pokład okrętu. Bezpiecznej podróży, przyjacielu.

Nicabar wyszedł bez pożegnania. Za nim szedł ogłupiały i skonfundowany Vorto.

Znalazłszy się w drzwiach, generał obejrzał się przez ramię i zobaczył, że biskup machinalnie pieści szkatułkę dłonią.

Dziesięć OBIETNICA SKRYTOBÓJCZY

Po podróży, która zajęła im sporą część dnia, Richius i Simon dotarli do Falindaru.

Widok wież cytadeli ucieszył obu, byli bowiem zmęczeni swoim towarzystwem.

Rankiem Richius stwierdził, że jego dziwny towarzysz nie jest zdolny do samodzielnej wędrówki, pozwolił mu więc dosiąść wierzchowca i podróżowali na zmianę - jeden w siodle, drugi pieszo. Richius nie miał wyboru, bo niewiele brakło, by Simon padł z wyczerpania. Sam zresztą, wypoczęty po roku bezczynności w Falindarze, chętnie podjął fizyczne wyzwanie.

Kiedy Simon jechał, Richius szedł obok i rozmyślał o rozmaitych sprawach.

Pobył w dziczy wcale mu nie pomógł w znalezieniu odpowiedzi na dręczące go pytanie. Pomimo rady Karlaza, jego rozmowa z Niebiosami miała raczej charakter monologu.

I choć rad był zobaczyć Falindar, gdzieś tam w głębi duszy bał się spotkania z Dyaną. Żona miała prawo spodziewać się zmiany na lepsze... on zaś jęrozczaruje.

Simon okazał się dość zajmującym kompanem w podróży. Potrafił zadawać dociekliwe i sensowne pytania; równie często jak Richius popadał w zamyślenie, i tylko od czasu do czasu jeden drugiego czymś irytował. Ponieważ nie mógł podróżować w pętach, Richius go rozwiązał, on zaś zrewanżował się za uprzejmość i nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. Wyjaśnił Richiusowi, że i tak nie miał dokąd pójść, a choć nie w smak mu była ponura reputacja cytadeli, ciągnęła go ku niej perspektywa dachu nad głową i ciepłej strawy. Richius niemal polubił dezentera - jeśli Simon rzeczywiście był dezenterem. Po spędzeniu w jego towarzystwie niemal całego dnia, Aramoorczyk wciąż nie był pewien, czy Naren jest tym, za kogo się podaje - a to Richiusa prawdziwie niepokoiło.

Wiedział, do czego zdolny jest Biagio. Każdy Naren mógłby przytoczyć kilka mrozących krew w żyłach opowieści. Roshannowie byli wszędzie - subtelni i podstępni. Tajne bractwo Biagia spenetrowało wszystkie warstwy nareńskiej społeczności. Byli jak powietrze - niewidzialni i wszechobecni.

Tak więc, gdy tylko przybyli do cytadeli, Richius od razu zabrał oszołomionego Simona do Lucylera. Jego przyjaciel był panem cytadeli i powinien sam zdecydować, czy obcy był szpiegiem, czy też wygnańcem, któremu trzeba okazać gościnność. Lucyler jednak był akurat zajęty czymś innym. Zjawił się u niego wódz Ishia z gór. Ishia potrzebował rady i Lucyler zamknął się z nim w Sali Narad, wydając rozkaz, by nikt im nie przeszkadzał. Ta okoliczność dała Richiusowi okazję do odwiedzenia żony i córki, poszedł więc do swoich komnat, zostawiając Simona pod opieką straży w wartowni. Simon pożegnał się z Richiusem, przesyłając mu nieco niepewny uśmiech, i Richius nie umiał się powstrzymać od powiedzenia kilku słów pociechy.

- Jeżeli mówiłeś prawdę, nic ci nie grozi - obiecał, zamykając za sobą drzwi.

Na zewnątrz stanął na warcie jeden z wojowników. Kilka minut zajęło Richiusowi wydanie poleceń przesłania więźniowi posiłku, czystej odzieży i przygotowania kąpieli, ale potem już poszedł zobaczyć się z Dyaną. Żona powitała go z radością, choć niedawne napięcie pomiędzy nimi wcale nie zelżało. Shani uściskała ojca, co go trochę pocieszyło.

Richius i Dyana spędzili noc we wspólnym łóżu, ale dzielące ich nieporozumienia wcale nie znikły, rankiem więc Richius nie bez ulgi ruszył na poszukiwanie Lucylera. Jego triiński przyjaciel wstał tego dnia wcześniej niż zwykle. Ishia, wódz Kes, akurat opuszczał cytadelę w towarzystwie kręcących się wokół niego wojowników. Zaniepokojony Richius przez chwilę przysłuchiwał się ich rozmowom. Stara waśń pomiędzy Ishią i Praxtin - Tarem przygasła tylko na krótko. Wiedział, że jeśli w Kes zaczną się kłopoty, Lucyler wkrótce zostanie wciągnięty w wir wydarzeń.

Ruszył do komnat Lucylera na parterze twierdzy. Były to dawne apartamenty Thama, poprzedniego władcy cytadeli. Lucyler niewiele w nich zmienił. Na półkach regałów leżały okryte kurzem książki Tharna, a po kątach upchnięto nareńskie manuskrypty. Jediną osobistą rzeczą, którą umieścił tu Lucyler, był jego jiihtar. Triin powiesił go na ścianie tak, że każdego ranka wpadające przez okno promienie słońca oświetlały bliźniacze ostrza broni.

Trafiwszy do komnat Lucylera, Richius spodziewał się, że na nikogo się nie natknie, jednak w drzwiach zobaczył triińskiego wojownika, tego samego, któremu powierzył wczoraj Simona.

Drzwi do apartamentów stały otworem. Richius zajrzał i ku swemu zaskoczeniu odkrył, że pan Falindaru nie jest sam.

Był z nim Simon.

Obaj rozmawiali zupełnie spokojnie. Richius zatrzymał się w progu, mocno zaskoczony tym widokiem. Rozbity nos Simona opatrzone czystym bandażem, co sprawiało, że Naren wyglądał nieco komicznie i niegroźnie. Zgodnie z jego własnym rozkazem, Simonowi dano nową odzież - tradycyjny triiński strój, który do dezertera zupełnie nie pasował. Ujrawszy Richiusa, Lucyler uśmiechnął się przyjaźnie.

- Witaj Richiusie. Czekałem na ciebie.

- Doprawdy? - rzekł Richius z przekąsem. - Jakież to miłe.

|- Siadaj - odpowiedział Lucyler, wskazując mu krzesło skinieniem dłoni.

Richius rzucił Simonowi jadowite spojrzenie. Naren odpowiedział szerokim, przyjaznym uśmiechem.

- Lucylerze, skąd on się tu wziął? - spytał Richius gospodarza.

- Posłałem po niego. Posłałbym i po ciebie, ale wiedziałem, że i tak tu przyjdiesz.

Nie patrz tak na mnie.

- Jak mam nie patrzeć?

- Jakbym cię zdradził. Chciałem porozmawiać z tym człowiekiem sam, bez twoich podpowiedzi. Proszę, usiądź.

Richius, niepewny, przyciągnął jeden ze stołków i usiadł obok Simona. Naren znów się do niego uśmiechnął.

- Dzień dobry - rzekł, jakby nie było pomiędzy nimi żadnej wrogości. - Dobrze spałeś?

- Dość! - ostrzegł go Richius. - Nie zaczynaj znów tych twoich sztuczek. - Obrzucił Lucylera kwaśnym spojrzeniem. - To podobno miało być przesłuchanie. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że chcesz go zobaczyć?

Lucyler uniósł jedną brew.

- Przesłuchanie? Richiusie, nie jestem daegogiem. Co miałbym z nim zrobić? Kazać go wtrącić do lochów?

- To może by nie było takie złe - odciął Richius. - Kilka dni ze szczurami

rozwiązałoby mu język. Przebóg, Lucylerze, dlaczego nie naradziłeś się ze mną wcześniej?

Muszę ci powiedzieć o kilku sprawach.

- Jestem tego pewien. Bez urazy, stary druhu, ale wszędzie widzisz wrogów.

Richius zacisnął zęby, by nie wybuchnąć gniewem. Lucyler od wielu miesięcy oskarżał go o paranoję i nie zamierzał teraz wszczynać dawnego sporu, zwłaszcza nie przed Simonem. Lucyler nigdy nie był w Nar i nie miał podstaw, by lękać się Biagia tak jak on.

- Lucylerze, zechciej mnie wysłuchać - odpowiedział, usiłując zachować spokój. - Nie mamy pojęcia, kim jest ten człowiek. Może być tym, za kogo się podaje, ale może też być kimś innym. Przywiodłem go tutaj, ponieważ nie chciałem, by wędrował wokół Falindaru bez niczyjego nadzoru. Jeżeli to jeden z ludzi Biagia, to powinniśmy się strzec.

Nie wiadomo dlaczego, ale Triin poczuł się dotknięty.

- Nie zamierzałem popełnić niczego głupiego. Kazałem go tu przyprowadzić, by z nim porozmawiać. Sam. Ale myślę, że masz rację. Nie sposób powiedzieć, z kim mamy honor. Może mówi prawdę, a może...

- Ależ mówię prawdę! - wybuchnął zrozpaczony Simon. - Ludzie, co, do cholery, z wami jest? Popatrzcie na mnie!

- Już ci się przyjrzałem, Simonie Darquis - odpowiedział Lucyler. - Patrzyłem i słuchałem. Ale wciąż ci nie ufam. Szczerze mówiąc, jedyny Naren, któremu ufam, jest w tym pokoju, ale to nie ty. Wiem, do jakich oszustw i kłamstw są zdolni twoi ziomkowie. A Richius już mi powiedział o wrogości, jaką żywi do niego Biagio. Możesz po prostu być jednym z psów tego nikczemnika.

Simon parsknął niewesołym śmiechem i potrząsnął głową.

- Wszyscy jesteście stuknięci. Naprawdę stuknięci. Gdybym chciał zabić Vantrana, już by był trupem. Boże, ten głupiec złamał mi nos, a potem wsadził na swojego konia!

Myślicie, że do tego, aby go zabić, potrzebny byłby aż agent Roshannów? Dziecko by to zrobiło tępym scyzorykiem!

- Pozwoliłem ci dosiąść mojego konia, bo wyglądało na to, że zabije cię kichnięcie komara - odparł się Richius. - I dlatego, że chciałem tu dotrzeć przed upływem

roku. Simonie, nie pomyśl przypadkiem, że ci ufamy tylko dlatego, że z tobą spokojnie rozmawiamy, zamiast od razu kopniakami pognać cię do lochu. Nie wierzę ci ja, nie wierzy też Lucyler. - Spojrzał na Lucylera, szukając poparcia. - Prawda, Lucylerze? Triin wzruszył ramionami.

- A niby skąd mam wiedzieć? Jesteś Narenem, Richiusie. To ty mi powiedz.

Rozmawiam z nim niemal od godziny. To, co mówi, brzmi przynajmniej z pozoru prawdopodobnie. - Triin spojrzął na Simona. - Jesteś dezterem?

- Na litość boską...

- Odpowiadaj, jak pytają - rzekł sucho Lucyler.

- Tak, do cholery, tak! Jestem dezterem.

- Skąd się tu wziąłeś?

Simon wznosił oczy do nieba.

- Przyszedłem z południa.

- Czy ktoś cię widział?

- Wielu ludzi - odparł więzień. - Nie udawajcie durni, nie mogłem się wечно ukrywać. Potrzebowałem wody i pożywienia. Ale z nikim nie rozmawiałem, jeżeli mogłem tego uniknąć. Nie znam przecież języka, prawda?

- Skąd brałeś jedzenie?

- Kradłem, gdzie się dało. Trochę polowałem. - Simon odwrócił się do Richiusa.

-

Zabrałeś mi sztylet. Chcę go dostać z powrotem.

- Dostaniesz, kiedy uznam, że mogę ci go oddać - odpowiedział Richius.

- Szedłeś z południa? - naciskał Lucyler. - To znaczy skąd?

- Nie wiem, psiakrew. Przeszedłem przez Dring z resztkami ludzi Gayle'a. A potem ich... opuściłem. Triinie, to nie jest mój kraj. Nie mam żadnych map. Po prostu szedłem, gdzie mnie oczy poniosły. Błąkałem się przez rok, a potem wpadłem na tego tu Vantrana. I oto jestem.

Richius szukał jakiegoś potknięcia i nie znajdował żadnego. Simon powtórzył dokładnie to, co zeznał już jemu, i ani razu się nie zająknął. Wbrew sobie samemu, zaczynał wierzyć w opowieść więźnia. A może po prostu chciał uwierzyć. Brakowało mu towarzystwa Narenów. Przekonał się o tym podczas długiej wędrówki z Simonem do

Falindaru.

Więzień był jego ziomkiem. Przebywanie w jego towarzystwie stawało się dla niego namiastką powrotu do Aramooru.

Zirytowany na samego siebie skłął się w duchu. Simon przecież mógł stanowić zagrożenie - nie tylko dla niego samego, ale dla Dyany i Shani. Biagio był dostatecznie podły, by zaplanować akurat coś takiego. I nagle Richius stwierdził że patrzy na wynędzniałą twarz Simona. Może jednak więzień był tym, za kogo się podaje...

- Simonie - zaczął, starannie dobierając słowa. - Chciałbym ci wierzyć. Myślę, że o tym wiesz. Ale nie mogę. Jeszcze nie.

Simon wzruszył ramionami.

- Szakalu, nic mnie nie obchodzi to, czy mi wierzysz, czy nie. Jeżeli chcesz mnie uważać za jakiegoś ducha, czy demona, to też się nie krępuj. Ale nie pozwolę się tu więzić. - I nagle skierował wybuch gniewu na Lucylera. - Słyszycie? Jestem nareńskim legionistą! Jeżeli zamierzacie mnie zabić, zróbcie to od ręki, bo mam już dość gróźb. I nie pozwolę się wrzucić do jakiejś śmierdzącej jamy.

- Przede wszystkim - najeżył się Lucyler - zakarbuji sobie, że nie ty tu rozkazujesz, tylko ja - Lucyler z Falindaru, władca tej cytadeli. To czyni ze mnie twego pana. Mogę cię zabić w jednej chwili, Simonie Darquis, i nie daj się zwieść mojej uprzejmości.

Zabiję cię, gdy dasz mi jakikolwiek powód, więc nie kuś losu.

Simon nie dał się zastraszyć.

- Jestem więźniem, tak? I cóż takiego zrobiłem? - Wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę Richiusa. - Mam zgnieć w lochu tylko z powodu jego podejrzliwości?

Lucyler przeniósł wzrok na Richiusa.

- To ty go tu sprowadziłeś. Co mam z nim zrobić?

- Nie wiem - przyznał bezradnie Richius. Wydało mu się nagle, że nie ma sposobu, by podjąć właściwą decyzję. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle sprowadził Narena do Falindaru. Z rozbitym nosem, blady Simon nie był groźniejszy od dziecka lub kalekiego żebraka. A gdy podniósł na Richiusa spojrzenie rozbieganych oczu, Aramoorczykowi wydało się nagle, że w głębi tych oczu mignęły przestraszony i poczucie bezsilności. Jeżeli te uczucia były udane, to tak zręcznie, że nie można było

ich odróżnić od prawdziwych.

- Szakalu, niczego nie zrobiłem - odezwał się Simon. - Ani tobie, ani komu innemu. Chcę tylko, by mnie zostawiono samemu sobie, w spokoju. Dlatego uciekłem, szukając wolności. Nie pozwolę się wrzucić do jakiegoś triińskiego lochu.

Musicie mnie najpierw zabić.

- Nie słuchałeś uważnie, prawda? - spytał Richius z przekąsem. - Nie jestem Szakalem. Nazywaj mnie Kalakiem, jak zwracają się do mnie moi tutejsi przyjaciele. Albo mów do mnie Richiusie lub Vantranie. Ale jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie Szakalem...

- To co? Kazesz mnie zabić jednemu z twoich triińskich kompanów? Owszem, Szakalu, widziałem, jak ci się tu kłaniają i skaczą wokół ciebie. Nic dziwnego, że porzuciłeś Aramoor. Tu też żyjesz sobie jak król.

Richius parsknął śmiechem.

- Sam widzisz, Lucylerze. Trzeba go zakuć w kajdany, bo za dużo gada.

- Nie dbam o to, co postanowisz, Richiusie - odpowiedział Lucyler surowo. - Zostawiam to w twoich rękach. Simonie, dopóki Richius nie rozstrzygnie o twoim losie, masz siedzieć w swojej komnacie. Nie wolno ci ich opuszczać, rozumiesz? Postawię przed nimi wojownika na straży. Wysuń tylko nos za drzwi, a będziesz martwy. Masz na to moje słowo.

- To wszystko? - zdziwił się Richius. - Nic więcej nie powiesz?

- Nic - odpowiedział Lucyler. - Richiusie, na Lorrisa i Pris, to ty go tu sprowadziłeś! On nie przybłąkał się tu za tobą, jak zgubiony kotek. To twój problem, nie mój.

- Triin zmarszczył brwi. - Ja mam dość własnych kłopotów.

- I? - napierał Simon. - Co ty na to, Vantranie? Co ze mną zrobisz?

Richius wstał i zmierzył Lucylera gniewnym spojrzeniem.

- Jazda - warknął do Simona. - Przedstawienie cię władcy Falindaru nie było najlepszym z moich pomysłów. Zabiorę cię do twego pokoju.

- Więc jestem wolny? - spytał Simon, nie zdradzając ochoty do wyjścia.

- Na razie nie - odpowiedział Richius. Podeszedł do drzwi. Stojący za nimi wojownik zajął pozycję dogodną do podążania za Simonem, dokądkolwiek ten by się

udał. Na jego widok Simon wyraźnie zbladł.

- Panie Lucylerze - odezwał się prosząco. - Ujmijcie się za mną, proszę. Nie jestem bandytą, przysięgam.

- To nie powinieneś uciekać od swoich - stwierdził Lucyler.

- Zostawiam sprawę w rękach Richiusa. - Spojrzał na przyjaciela.

- Richiusie, zostań. Simonie, ty pójdziesz z tym wojownikiem. - Lucyler zwrócił się do przybocznego i powiedział do niego kilka szybkich zdań w swoim języku.

Wojownik kiwnął głową i schwycił Simona za rękaw, a potem wyprowadził z komnaty.

- Zaraza na ciebie, Vantranie! - zaklął Simon. Wyrwał rękaw wojownikowi i zaparł się w drzwiach. - Zostaw mnie!

Wojownik chwycił go za kołnierz i wyprowadził na korytarz. Przez chwilę jeszcze Simon mierzył Richiusa wściekłym spojrzeniem, a potem znikł za zakrętem. „Dziki kocur z tego Darquisa” - pomyślał Richius, zmuszony przyznać uczciwie, że zachowanie więźnia mu się podobało. Mimo woli uśmiechnął się, słuchając klątw Simona.

- Richiusie, zamknij drzwi - odezwał się łagodnie Lucyler. Richius spełnił prośbę przyjaciela, ale nie usiadł, tylko stanął nad nim i zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Twarz Lucylera miała ten sam wyraz, jaki niekiedy widuje się na obliczach ojców zmuszonych do rozstrzygnięcia tysięcznych sporów skłóconych dzieci.

- Proszę... - powiedział Triin. - Usiądź. Richius tylko skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie? Nie siądziesz? Jak wolisz, uparty głupcze. Stój, gdzie chcesz, ale mnie wysłuchaj. Mylisz się, myśląc, że przez cały dzień nic nie robiłem. Potem przyprowadzasz do mnie tego Narena i żądasz, bym rozstrzygał o jego losie. I co miałem zrobić?

Zabić go za ciebie?

- Oczywiście, że nie - skrzywił się Richius. - Ale mógłbyś mi trochę pomóc.

- Pomagam ci! - zawrzał gniewem Lucyler. - Pomagam ci, odkąd przyszedłeś tu z Dyaną. A co otrzymuję w zamian? Skargi, tylko skargi. Dąsz się jak małe dziecko, i to tylko dlatego, że nie możesz sobie znaleźć miejsca.

- A więc od niedawna czytasz w myślach?

- Wcale nie muszę. Wystarczy popatrzeć, jak się zachowujesz.

Ale to nie moja wina, ani wina Dyany, i nie masz prawa obarczać nas winą.

- Wcale tego nie robię - mruknął Richius.

- Owszem, robisz. Widzę to w twoich oczach. A teraz ten Simon Darquis... I co ja miałem z nim zrobić? To twoja sprawa, Richiusie. Nie podoba mi się to, że chcesz ją rzucić na mnie.

- No dobrze, przepraszam - odezwał się Richius pojednawczo. - Ale wciąż nie mam pojęcia, co z nim zrobić.

Lucyler wzruszył ramionami.

- Złamałeś mu nos. Nie wystarczy ci?

Obaj parsknęli śmiechem, a potem Richius przyciągnął stołek i usiadł obok przyjaciela. Niewiele było chwil, w których mogli sobie po prostu usiąść i z czegoś się pośmiać, Richius cieszył się więc tą okazją. W dniach polityki i walk o władzę trudniej było z Lucylera wydusić śmiech, niż wyłudzić złotą monetę od lichwiarza.

- Lucylerze, o co chodzi? - spytał w końcu. - Czuję, że coś wisi w powietrzu.

- Jak twoja wycieczka? - Lucyler odpowiedział pytaniem na pytanie. - Znalazłeś odpowiedzi?

- Nie - westchnął Richius. - Miałem już wracać, kiedy natknąłem się na Simona.

Szczerze mówiąc, nie wiem, po co się trudziłem. Chyba chciałem spokojnie o wszystkim pomyśleć.

- I co odkryłeś?

- Lucylerze, dlaczego mnie o to pytasz? Nic mi nie jest, wszystko w porządku.

- Nie - odparł Lucyler. - Nie próbuj mnie zwieść, Richiusie. Coś cię gryzie i to widać. Ale nie sądzę, bym ci mógł pomóc. Czegokolwiek szukasz, możesz to znaleźć tylko w swoim sercu.

Richius uśmiechnął się szeroko. Zabrzmiało to zupełnie tak, jak te bzdury o mówieniu do Niebios, które słyszał od Karlaza.

- Unikasz odpowiedzi - stwierdził z kpiną w głosie. - Powiedz mi, co się dzieje u Ishii.

- A, Ishia... - jęknął Lucyler. Odchyliwszy się, wparł plecami w ścianę i wpatrzył się

na sufit. - Skarzy się, że Praxtin - Tar gromadzi siły na zachód od Kes. Zebrał tam około dwustu wojowników, może nieco więcej.

- Może Ishia ma przywidzenia, tak jak ja - zadrwił Richius. - I zawsze o wszystko wini Praxtin - Tara. Wierzysz mu?

- Czy mu wierzę? Muszę. Jestem teraz panem Tatteraku. - Lucyler zamknął oczy.

-

Chce, bym ruszył do Praxtin - Tara i z nim pomówił, żeby go skłonił do zawarcia rozejmu.

Uważa, że jak mnie Praxtin - Tar zobaczy tam pod flagą Falindaru, to zrozumie, że nie może, ot tak sobie, napaść na Kes. Że mu to nie ujdzie na sucho, bo będzie miał ze mną do czynienia.

- I co? Pojedziesz?

- Muszę. - Lucyler znów westchnął. - Nie mam wyboru. - Otworzył oczy i spojrzał smutno na Richiusa. - Zbyt wiele trudu włożyłem w to, by w kraju zapanował pokój, żeby teraz pozwolić na rozpętanie kolejnej zawieruchy. Ale jestem już zmęczony, przyjacielu.

Czasami wydaje mi się, że to wszystko jest ponad moje siły.

Richius kiwnął głową.

- Wiem, Lucylerze.

- Wiesz? Nie jestem pewien. Chcesz, bym posłał wojska, z którymi mógłbyś odbić Aramoor i odebrać go Talistańczykom, ale nie mogę. Chcesz, bym pomógł Lisseńczykom przeciwko Nar, ale i tego nie mogę zrobić. Co ty naprawdę o mnie myślisz, Richiusie?

Nienawidzisz osobnika, którym się stałem?

- Wcale nie. Przebóg, Lucylerze, nigdy tak nie mów. Jesteś dla mnie jak brat.

Zawsze będą stał przy tobie. A co do tych innych spraw... Nawet się nie tłumacz.

To, czego pragnę, nie wyszłoby na dobre Lucel - Lorowi, a wiem, że tym powinieneś się kierować przede wszystkim.

Lucyler uśmiechnął się.

- Nielatwo jest ci żyć wśród nas. Przykro mi z tego powodu. Nie chciałem, byś był tu nieszczęśliwy.

- Przestań - wyszeptał Richius. - Wcale nie jestem nieszczęśliwy.

- Teraz masz się czym martwić - stwierdził Lucyler. - Nie kłamałem, mówiąc o tym, że będziesz teraz odpowiadał za tego Narena. Ty sam musisz podjąć decyzję, co mamy z nim zrobić.

- Ależ ja nie mam pojęcia, co z nim zrobić! - wybuchnął Richius. - Może popełniłem błąd, przyprawdzając go tutaj, ale chyba nie miałem wyboru. Jeżeli jest tym, za kogo się podaje, potrzebuje pomocy. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, przyjacielu, ale właściwie to byłem rad, gdy się na niego natknąłem. - Richius skrzywił się ponuro. - Myślę, że powoli wariuję.

- A jeżeli on nie jest nieszkodliwym dezertorem? Jeżeli rzeczywiście jest jednym ze skrytobójców Biagia?

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Richius splótł palce i przez chwilę rozważał wszystkie za i przeciw.

- To pewnie już jestem martwy, jak sądzę. Ale dlaczego jeszcze żyję? Chcę powiedzieć, że to co mówił, nie brzmiało głupio. Gdyby chciał, mógłby mnie już zabić ze sto razy. I cała ta jego opowieść trzyma się kupy. A przynajmniej jest prawdopodobna.

Lucyler zmarszczył brwi.

- Czy wśród legionistów zdarzają się wypadki dezercji?

- Nie wiem - odpowiedział Richius. - A wśród królów?

- A więc? Jaka jest twoja decyzja? Mamy go puścić?

- Tego nie powiedziałem - stwierdził Richius. - Sam już nie wiem...

- No dobrze - odpowiedział Lucyler, który nie umiał ukryć rozczarowania. - To znaczy, że jak wrócę, ten Darquis może jeszcze tu będzie. A może i nie.

- Może.

- Kiepska sprawa z tym podejmowaniem decyzji. Nie chce mi się jechać do Kes, ale jeszcze mniej podoba mi się myśl o powrocie plemiennych wojen. Muszę zrobić to, co słuszne. - Lucyler spojrzał w bok. - I ty też.

- A jeżeli nie wiem, co jest słuszne? - spytał Richius. - Co wtedy?

- To musisz podjąć decyzję na podstawie tego, co wiesz, i pogodzić się z konsekwencjami. - Lucyler nagle się uśmiechnął. - Richiusie, pozwól, że ci coś powiem, jak przyjaciel przyjacielowi. Mogę?

- Mów śmiało.

- Masz tu swoje miejsce, w Lucel - Lorze. Nie widzisz tego, bo zawsze oglądasz się wstecz. Któregoś dnia będziesz jednak musiał przestać rozmyślać o przeszłości i zadbać o przyszłość. Musisz to zrobić, zanim sam siebie zniszczysz.

Richius milczał przez chwilę, a potem spytał:

- Kiedy wyjeżdżasz do Kes?

- Pojutrze. Ishia bardzo mnie potrzebuje. Powiedziałem, że się stawię.

Richius ponuro skinął głową.

- Muszę już iść - stwierdził. - Powinienem jeszcze coś zrobić.

- Zamierzasz porozmawiać z tym Simonem?

Richius był już prawie za drzwiami.

- Coś w tym rodzaju - rzucił przez ramię, wychodząc na korytarz.

Szybko znalazł komnatę, w której więziono Simona. Była we wschodnim skrzydle zamku, ponurym miejscu dawno już pozbawionym wszelkich ozdób, które sprzedano, by uzyskać fundusze na wojnę z Nar. Korytarze były tu węższe i ciemniejsze niż w innych częściach zamku. Żyła tu kiedyś służba daegoga, poprzedniego władcy Lucel - Loru, który uczynił Falindar swoim domem. Richius dość łatwo znalazł komnatę Simona - była jedyną, przed którą stał strażnik. Wojownik przed jej drzwiami miał minę śmiertelnie znudzoną, ale rozjaśnił się na widok Vantrana.

- Witaj, Kalaku - odezwał się w języku Triinów. - Chcesz porozmawiać z Narenem?

- Owszem - odpowiedział Richius. - Chcę go gdzieś zabrać. Masz coś przeciwko temu?

Wartownik parsknął śmiechem.

- To twój więzień, Kalaku. Możesz z nim zrobić, co zechcesz. - Otworzywszy drzwi, odstepił na krok i przepuścił Richiusa przed sobą. - Mam iść z wami? - spytał.

- Nie - odpowiedział Richius, zaglądając do spartańsko urządzonego pomieszczenia. Simon leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, ale podniósł głowę, gdy usłyszał Vantrana. - Zaczekaj tutaj - polecił Richius strażnikowi i wszedł do środka, nie zamykając drzwi.

Simon usiadł, zwieszając nogi z łóżka.

- Czego chcesz? - spytał zgryźliwie.

- Chcę z tobą porozmawiać - odparł Richius. - I chciałbym ci coś pokazać.

- Co?

- Chodź ze mną - poprosił Richius.

- Vantranie...

- Simonie, proszę. Zrób mi tę uprzejmość. To ważne. Odwróciwszy się, ruszył w głąb korytarza, nie czekając aż Darquis wstanie. Zgodnie z jego oczekiwaniami Simon poszedł za nim, choć stapał ostrożnie. Naren wykręcał głowę, badał wzrokiem korytarz, szukając w nim pułapek, i kiedy się zorientował, że nie ma żadnej, podbiegł do Richiusa.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Na zewnątrz. Jak mówiłem, chcę ci coś pokazać.

Z jednego korytarza weszli w drugi, bardzo podobny, który zawiódł ich do wielkiego zamkowego przedsionka - wspaniałej, wysoko sklepionej sali, wywierającej na każdym przybyszu niezatarte wrażenie. Brama zamkowa stała otworem, jak zawsze za spokojnych dni, a zza uchylonego skrzydła wpadały tu promienie jesiennego słońca. Richius wyszedł na zewnątrz, rozważając w myślach plan, który niedawno mu się objawił. Pomysł przyszedł mu do głowy w błysku natchnienia wypływającego z desperacji, ale znalazłszy się na zewnątrz, zaczął się zastanawiać, czy ma jakąkolwiek wartość. Każdego ranka Dyana zabierała Shani na spacer. Jeżeli było ciepło, tak jak dzisiaj, siedziały na zewnętrznym, otwartym dziedzińcu, gdzie razem się bawiły, a Dyana czytała niektóre z ksiąg Tharna. Jeżeli domysły Richiusa były prawdziwe, powinien je znaleźć mniej więcej teraz.

- Vantranie... - dopytywał się Simon. - O co chodzi?

Richius podniósł dłoń.

- Nic nie mów. Za chwilę sam zobaczysz.

Simon mruknął coś pod nosem, ale już się nie odezwał, nie protestował też, gdy Richius powiódł go dalej. Wszędzie kręcili się wojownicy i rzemieślnicy, podkuwano konie, a w kątach kryli się szepczący coś do siebie kochankowie. Richius podszedł ku krańcowi dziedzińca, gdzie zaczynała się zieleń i zarośla, a płaski teren chylił się ku zboczowi wzgórza. I tam pomiędzy drzewami znalazł Dyane, siedzącą pod głazem. Dyana trzymała w dłoniach książkę. Richius zwolnił kroku, by Simon mógł się zorientować,

dokąd go prowadzi. Na widok Dyany Naren świsnął przez zęby.

- Kto to jest? - zapytał oczarowany urokiem kobiety i dziecka. Richius nie odpowiedział. Podeszedł do żony i córki i wskazał obie dłonią. Dyana, nieco zaskoczona, podniosła wzrok na męża.

- Kto to jest? Czy coś się stało?

- Simonie... - zaczął Richius z nutkami desperacji w głosie.

- To moja żona, Dyana. A ta dziewczynka to Shani. Chcę, żebyś im się dobrze przyjrzał.

- Richiusie, co ty wyprawiasz? - spytała zaskoczona Dyana.

- Oto moja rodzina, Simonie - ciągnął Richius. - Dlatego tu jestem, dlatego porzuciłem Nar i zostałem tu po wojnie. Spójrz na nie. Czyż nie są piękne?

- Owszem - wyszeptał Simon. - Są piękne.

- To wszystko, co mam - mówił Richius łamiącym się głosem.

- Kocham je obie. Kocham. Czy rozumiesz, co to znaczy kochać?

- Czego się po mnie spodziewasz? - spytał Simon. Richiusowi wydało się nagle, że Naren dałby wiele za to, by teraz znaleźć się gdzie indziej.

- Tak, to twoja rodzina, rozumiem. Dlaczego mi je pokazujesz?

- Bo choć nie chcę, muszę ci zaufać... Nie mam wyboru. Chciałem ci pokazać, co zniszczysz, jeżeli zrobisz im krzywdę. Patrz!

Dyana zaczęła tracić cierpliwość.

- Richiusie, co się dzieje? O czym ty mówisz?

- To ten Naren, o którym ci mówiłem w nocy - powiedział Richius. - Ten, o którym myślę, że przysłał go Biagio, by mnie zabił. Albo ciebie, albo Shani. Chcę, by zobaczył was obie. Chcę, by się przekonał, dlaczego wyrzekłem się tronu, Arkusa i zawiodłem oczekiwania Biagia. Dobrze się im przyjrzyj, Simonie.

- Patrzę - mruknął Simon ponurym głosem. Zgarbił się i stracił całą dotychczasową zuchwałość i zادیorność. Uśmiechnął się lekko do Dyany. - Są bardzo piękne.

Masz szczęście.

- Tak... - Richius pochylił się i podał rękę Dyanie, która ujęła ją niepewnie, nie spuszczać wzroku z Simona. - Biagio wie, jak bardzo kocham tę kobietę. Może i

dowiedział się czegoś o Shani. Tego nie jestem pewien. Kimkolwiek jesteś, Simonie Darquis, musisz dać mi słowo. Lucyler wyjeżdża za dwa dni i dotyczącą twego losu decyzję złożył w moje ręce.

Chce, bym postanowił o twoim losie, a ja nie mogę tego zrobić. Nie wiem, kim jesteś.

- Richiusie? - spytała Dyana. - Czy jesteś pewien tego, co robisz?

- Spójrz na nie, Simonie - mówił Richius, jakby nie usłyszał żony. - Zapamiętaj sobie ich twarze. A potem daj mi słowo, że ich nie skrzywdzisz. Widzisz je obie?

- Tak - odparł Simon ochryłym szeptem. - Widzę.

- Obiecaj mi zatem, proszę...

- A uwierzysz, jeśli ci obiecuję? - spytał Simon cicho.

- Będę musiał - odpowiedział Richius. - Nie mam wyboru. Nie mogę trzymać cię tu jako więźnia, a gdybym cię odesłał, nie masz dokąd pójść. Jeżeli wygnamy cię z Falindaru, zamarzniesz gdzieś, albo zagłodzisz się na śmierć. Obiecuj mi zatem, błagam cię...

Simona spojrzał udręczonym wzrokiem na Dyanę i Shani. Richiusowi wydało się nagle, że Naren błądzi myślami zupełnie gdzie indziej i przyglądając się swemu życiu, odkurza przeszłość.

- Masz moje słowo - powiedział w końcu. - Z mojej strony nic im nie grozi.

Przysięgam.

- Nie tak - nalegał Richius. - Przysięgnij w obliczu Boga. Simon zebrał się w sobie.

- Przysięgam w obliczu Boga.

I nagle uśmiechnął się do Dyany, co rozjaśniło jego wymizerowaną twarz. Potem odwrócił się i zostawił rodzinę samą, niknąc w głębi dziedzińca. Richius odprowadził Simona zamyślonym spojrzeniem. Dyana szarpnęła męża za rękę, nalegając, by usiadł koło niej.

Richius bez słowa opadł na ziemię, ale nie odrywał wzroku od odchodzącego Simona.

- Richiusie? - nalegała Dyana. - Co to wszystko znaczy?

- Sam nie wiem - odpowiedział łagodnie Richius. Wciąż jeszcze na nią nie

patrzył. - Ale nie martw się. Myślę, że nic nam nie grozi.

Jedenaście **ANIOŁ DIUKA ENLI**

Podczas nieskończenie długich zimowych nocy Czerwona Wieża Smoczej Paszczy była bardzo ponurym i samotnym miejscem. Dmące znad oceanu wichry bezlitośnie wgrzywały się w zmurszałe cegły zamkowych ścian, tak że przeciągi chwiały płomieniami świec. Ciepłe zapachy niosące się z kucheni i palenisk ściągały ku nim gromady szukających ciepła żołnierzy i posługaczy. Tak daleko na północy słońce o tej porze roku zachodziło bardzo wcześnie. A Czerwona Wieża była zbyt wielką budowlą dla kogoś tak niedużego, jak Lorla.

W nocy spała sama, daleko od komnat diuka Enli, w głębi niesamowicie wyglądającego korytarza, pełnego skrzypiących drzwi i okropnych przeciągów. Skulona pod grubą warstwą koców dziewczynka wsłuchiwała się w mroczną pieśń Smoczej Paszczy i rozmyślała o ponadczasowym zamczysku.

Od przybycia do Smoczej Paszczy rzadko widywała swego gospodarza, który przeważnie był zajęty. Z początku samotność dziewczynce nie doskwierała, bo była zmęczona podróżą i miała całą wieżę do zbadania. Obejrzała dokładnie niemal wszystko i wykorzystując zezwolenie diuka, zawarła kilka znajomości wśród kuchcików i stajennych, a także nieźle poznała rozkład pomieszczeń. Czerwona Wieża w niczym nie przypominała gothajskiego zamku diuka Lokkena. Tamten był jasny i wszystko dawało się przewidzieć.

Bardzo jej się podobało w Warownym Grodzie, ale wieża diuka Enli była jaskinią skarbów, labiryntem krętych, pełnych świszczącego wiatru korytarzy, ogromnych mozaikowych okien i ścian obramowanych drzwiami wiodącymi do zapomnianych i zapuszczonych komnat.

Były tu pamiątki po dawnych wojnach, stosy starej broni zwalonej bezładnie w piwnicach, zakurzone szafy pełne moli i zetkniętych szat, a także balkony oplecione winoroślą i bluszczem, których wielkie jak jej palce ciernie i purpurowe kwiaty wydawały się zupełnie nieczułe na chłód. Książki znalazła dość, by czytać do końca życia - były to opasłe żółte tomiska, oprawne w pachnącą stęchlizną skórę i pełne stron wypełnionych wyblakłym pismem. Lorla zebrała te, które jej najbardziej przypadły do

gustu, i ułożyła je na stosie obok swego łóżka. Niektóre napisano języku Dawnego Nar, ale ponieważ w pracowniach Bovadina opanowała podstawy martwej już od dawna mowy, mogła tu znów ćwiczyć ten język, do czego nie miała okazji od kilku miesięcy.

Nie mogła się doczekać podróży do Nar, gdzie liczyła na to, iż uda jej się zajrzeć do tajnych pracowni. Enli jednak nie mówił o jej misji, więc o nic nie pytała.

Nauczyła się już, że nie należy okazywać zbytnej ciekawości. Była to jedna z jej pierwszych lekcji, na którą nauczyciele kładli szczególny nacisk. Mistrz wyznaczył jej miejsce w swoich planach i więcej nie potrzebowała wiedzieć. Mistrz powierzył nadzór nad całą operacją diukowi Enli. Nie pytała diuka o nic, ponieważ wiedziała, że bardzo dba o jej dobro. Ale brakowało jej kontaktu z diukiem. Brakowało jej brzmienia jego głosu i tonu, w jakim do niej przemawiał. Pozostali mieszkańcy Czerwonej Wieży byli zupełnie od niego różni. Oczywiście traktowali jągrzecznie i uprzejmie, wyczuwała w nich jednak pewną rezerwę i niemal bojaźliwe nastawienie, które kazały jej się zastanawiać nad swoim wyglądem, czy manierami.

W porach pomiędzy posiłkami Lorla podjadała coś niekiedy w kuchni. Inne dzieci w zamku, zaskakująco nieliczne, w odróżnieniu od Lorli jadły ze swoimi rodzicami.

Jedzenie przygotowywane dla Lorli przynosiła lady Preen, ale nigdy nie usiadła, by z nią porozmawiać. Dziewczynka zjadała zupę, zagryzając ją chlebem i patrząc w okno, co pomagało jej zapomnieć o coraz silniej gnębiącej ją samotności. Lady Preen była pulchną, miłą kobietą, która zręcznie jej usługiwała, gotując i sprząając, nie była jednak dla Lorli przyjaciółką. Dziewczynka nie zaprzyjaźniła się też z żadnym z żołnierzy, nieustannie musztrowanych na dziedzińcu, ani z żadnym stajennym, którzy oporzadzali konie, a zamieszkujące Czerwoną Wieżę dzieci zachowywały tę samą rezerwę, co ich rodzice, i zawsze milkły, gdy Lorla do nich podchodziła. Właściwie to nawet jej nie unikano - każdy wita! ją uprzejmym słowem, nigdy jednak nie ofiarowano jej niczego ponad zdawkową grzeczność. Po dwóch tygodniach od przybycia do zamku zdążyła go już dobrze poznać i jej ciekawość nowości zaczynała przygasać. Chciała się zobaczyć z diukiem.

Enli jednak zawsze gdzieś przepadał, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy dziewczynce udawało się go dostrzec, był zawsze w towarzystwie żołnierzy.

Ciekawe, że liczba mieszkańców zamku z każdym dniem wydawała się rosnać.

Teraz, gdy Lorla patrzyła z góry na dziedziniec, widziała znacznie więcej żołnierzy z ich niezwykłymi hełmami, niż przedtem. Koni też przybywało. Było oczywiste, że diuk Enli po prostu nie ma dla niej czasu.

Jak do tej pory odwiedził ją tylko raz. Była akurat w łóżku i czytała, kiedy usiadł na brzegu i przemówił do niej łagodnie, gładząc ją włosach, tak jak to mogłaby robić matka.

Przepraszał ją za swoją nieobecność.

Wyjaśniał, że wszystko było jak najbardziej nieodzowne.

Jak już powiedział, kiedy przybyła do Smoczej Paszczy, musiał załatwić pewne sprawy ze swoim bratem. Dopiero potem ruszą do Nar. Pocałował ją na dobranoc i wyszedł, a pocałunek ten na długo został Lorli w pamięci.

Po południu w dzień rozpoczynający jej trzeci tydzień pobytu w Smoczej Paszczy Lorla postanowiła odszukać diuka. Był to dzień szary jak poprzednie, a dziewczynka podjęła decyzję po kolejnym samotnym posiłku w małej kuchence. Lady Preen powiedziała jej, że diuk niedługo wyjeżdża, a gdy Lorla zapytała o powód wyjazdu, służąca po prostu wzruszyła ramionami, jakby niczego nie wiedziała. Dokładniej rzecz biorąc, dziewczynka była pewna, że lady po prostu zdradziła się przypadkiem, a nie umiała kłamać. Dokończywszy posiłek, wyszła, powiadamiając opiekunkę, że idzie poczytać w swojej komnacie. Oczywiście wcale tam nie poszła. Ruszyła w przeciwną stronę, ku północnej części zamku, w której znajdowały się komnaty diuka Enli. Do tej części wieży nigdy nie zaglądała, bo diuk jej tego - bardzo uprzejmie - zakazał. Idąc pustym korytarzem, czuła nerwowe sensacje w brzuchu, ale liczyła na łagodność diuka, który z pewnością się na nią nie rozgniewa.

Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że północna część zamku bardzo przypomina resztę, choć było tu nieco chłodniej i bardziej spokojnie. Gdy zagłębiła się w korytarz o ścianach oświetlonych olejnymi kagankami i gęstym nalocie sadzy na sklepieniu, odgłosy zwykłego zamkowego życia zostały za nią. Ściany były tu ze zmurszałej cegły, a po obu stronach korytarza poustawiano rozmaite rodzinne pamiątki. Wszystkich drzwi strzegły puste zbroje, zwieńczone charakterystycznym dla rycerstwa ze Smoczej Paszczy hełmem. Lorla szła w milczeniu, gdyż zniecała poczuła tchnienie strachu. Spróbowała ruszyć jedną z gałek u drzwi, i nagle się zawahała. Nie chciała sprawiać diukowi niemiłej

niespodzianki. Ale zawrócić też wcale nie miała zamiaru. Zagubiona w ponurym gmaszysku dziewczynka poczuła się ogromnie samotna. Rozejrzała się dookoła i z zadowoleniem stwierdziła, że nikt jej się nie przypatruje i nikt nie chowa się za rogiem. Poczuła się maleńka i nic niewarta - jakby cały dom zbudowano dla olbrzymów. Drzwi pochylały się nad nią groźnie, rzucając milczące wyzwanie. Lorla sięgnęła po zimną gałkę i delikatnie ją przekręciwszy...

...znalazła się na progu niezwyklej komnaty.

Zdumiona i zachwycona stała i wpatrywała się w milczeniu na wspaniałą komnatę, wysoką niczym katedra, ze ścianami zastawionymi przez niezliczone półki uginające się od książek i manuskryptów. Komnatę oświetlały dwa wysokie okna, rozjaśniające łagodnym blaskiem mahoniowe półki, a pod zachodnią ścianą w wielkim kominku trzaskały wesoło drwa, nadając jej ciepłą i przytulną atmosferę. Nad kominkiem wisiało jedno z niezwykłych malowideł diuka, tym razem przedstawiające jasnowłosą kobietę o zielonych oczach, patrzącą na Lorlę wesoło i przyjaźnie. W pobliżu okna ustawiono dwa ogromne fotele, większe niż jakiegokolwiek inne oglądane dotąd przez dziewczynkę. Były miękkie, wygodne i nieodparcie przyzywały Lorlę, by wzięła jedną z książek i wygodnie wtuliła się w miękkie objęcia któregoś z nich. Pośrodku komnaty, w pobliżu stołu z kilkoma zapomnianymi filiżankami do herbaty, stała na piedestale klatka, w której rozpierał się czarnopióry kruk. Ujrawszy Lorlę, ptaszysko zakrakało przyjaźnie. Poza ogniem płonącym na kominku, ptakiem i nie wytartymi filiżankami nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek tu bywa. Lorla niepewnym krokiem przeszła przez próg, na wszelki wypadek nie zamykając za sobą drzwi. Kruk patrzył na nią uważnie, bacznie śledząc każdy jej ruch swoimi podobnymi do czarnych lśniących guziczków ślepiami.

- Hej, hej! - zawołała Lorla niezbyt głośno. - Jest tu kto?

Poczuła wielką ulgę, gdy nie usłyszała odpowiedzi. Biblioteka była pusta. Lorla zaryzykowała kolejny krok. Kruk raczył wyrazić swoje niezadowolenie gniewnym krakaniem. Lorla przyłożyła palec do ust.

- Pst! - syknęła. - Nie hałasuj. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Chcę się tylko rozejrzeć.

Przebiegła wzrokiem po otaczających jąregałach. Zobaczyła drabinkę pomocną

przy przeglądaniu zawartości wyższych półek, które wspinały się aż do sklepienia. Gdy Lorla okręciła się na pięcie, by obejrzeć wszystkie, na jej twarzyczce zakwitł pełen radosnego zdumienia uśmiech. Enli ani słowem nie wspomniał o tym miejscu. W innych komnatach było dość ksiąg, by ją zająć, ale tu było wprost uroczo. Zapomniawszy o obawie, że ktoś może ją usłyszeć, zaśmiała się głośno, a kruk jej zawtórował, kłapiąc dziobem.

- Jak tu pięknie! - zawołała pełna zachwyty.

Raz jeszcze obróciwszy się dookoła, spostrzegła, że dama z portretu bacznie się jej przygląda.

- Ty, pani, też jesteś piękna. Ciekawe, kim jesteś? - spytała, zwracając się do obrazu. Twarz kobiety promieniowała dobrem jak słońce ciepłem. Kobieta miała długie, złote, opadające na ramiona włosy, odziana była w szmaragdowej barwy suknię, a jej wiśniowe usta wyginał figlarny uśmieszek. Zielone oczy damy z portretu kryły się w cieniu długich rzęs, ale patrzyły na Lorlę łagodnie i przyjaźnie. Dziewczynka podeszła bliżej i uniosła głowę.

- Jesteś bardzo piękna - szepnęła, ogarnięta nieoczekiwaną falą smutku. - Kim jesteś?

Bardzo chciała, aby dama z portretu mogła jej odpowiedzieć i pocieszyć w samotności. Jednak obraz to tylko obraz. Kruk hałaśliwie zatrzepotał skrzydłami.

Lorla odwróciła się od portretu i podeszła do klatki, przyglądając się ptaszysku.

Czarne oczy kruka zmierzyły ją spokojnie i z uwagą.

- Kim jesteś? - zaskrzeczał kruk.

Lorla odskoczyła w tył, a potem klasnęła w dłonie.

- Umiesz mówić? - zawołała. - Cudo!

- Cudo! Cudo! Kim jesteś?

Lorla parsknęła śmiechem i ponownie klasnęła w dłonie.

- Och, ptaku, jesteś taki piękny. Jak brzmi twoje imię?

- Cudo! Cudo!

- Tak, tak - odpowiedziała Lorla. Spróbowała mówić wolniej, by ptak ją zrozumiał.

- Jakie jest twoje imię?

Tym razem ptak po prostu zaskrzeczał i wyraźnie znudzony rozłożył skrzydła.

- Ja jestem Lorla - nie poddawała się dziewczynka, wskazując palcem na siebie.

-

Loorlaaa. Możesz powtórzyć?

Ptak uparcie milczał.

- No, jak chcesz. Możesz nic nie mówić. - Odwróciwszy się do kruka plecami, udała, że się nim przestaje interesować.

W sekundę później ptak znów otworzył dziób.

- Lorla!

- A widzisz! - zawołała dziewczynka.

- Anioł! Anioł! - rozdarł się ptak, przeskakując niecierpliwie z miejsca na miejsce na swojej grzędzie. - Cudo!

Lorla aż się uniosła na palcach.

- Anioł? Czy to twoje imię?

- Lorla! Cudo!

- Nie, nie pytam o moje imię. Czy to twoje imię? Anioł?

- Anioł - odpowiedział kruk jak echo. - Anioł!

Lorla zbliżyła twarz do krat i obdarzyła ptaka uśmiechem.

- Cóż, zatem witaj, Aniele. Miło mi cię poznać. Jestem tu od niedawna. Czy diuk Enli mówił ci coś o mnie?

Ptak milczał.

- Ja jestem Lorla z Goth. A właściwie to z Nar. Tam się chyba urodziłam. Ale potem przeniosłam się do Goth, by zamieszkać z rodziną diuka Lokkena. Teraz mieszkam tu, w Smoczej Paszczy. Ale to chyba nie potrwa długo. Diuk Enli wkrótce znów zabierze mnie do Nar. A ty, Aniele, byłeś w Nar?

- Nie, nie był. - Głos rozległ się od drzwi tak niespodzianie, że Lorla aż podskoczyła. W drzwiach stała młoda kobieta, pięknie odziana i urodziwa. - Nie był nigdzie, poza Smoczą Paszczą - uzupełniła poprzednią wypowiedź, wkraczając do komnaty. - Jest tutejszy, jak ja.

- Kim jesteś, pani? - spytała dziewczynka.

- Nie uważasz, że ty pierwsza powinnaś się przedstawić? Choć właściwie, ja

wiem kim jesteś... Lorlo.

Nieznajoma była oszałamiająco piękna. Gorzej - była ucieleśnieniem kobiety z portretu. Lorla patrzyła na nią ze strachem i z fascynacją.

- Przepraszam - wyjąkała w końcu. - Nie powinnam tu przychodzić.

- Prawda, nie powinnaś. Czy nikt ci nie powiedział, że ta część zamku jest zamknięta?

- Ja się tu tylko rozglądałam - rzekła dziewczynka tonem wyjaśnienia.

Młoda kobieta odsunęła rygiel w klatce i wsunąwszy rękę do środka, podała ją krukowi. Ptak przeskoczył na palec i nieznajoma wyjęła go z klatki, gwizdząc przy tym łagodnie. Lorla patrzyła na to wszystko uważnie i z fascynacją. Ptak był spokojny; podstawił łepkę do pogłaskania.

- Mój słodki - zamruczała nieznajoma. - Czy Lorla cię nie przestraszyła?

- Nie - odparła dziewczynka z urazą. - Nawet go nie dotknęłam.

- Lorla! - zaskrzeczał ptak. - Cudo!

Nieznajoma uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Myślę, że Krak cię polubił. - Wyciągnąwszy rękę, musnęła dłonią ramię dziewczynki. Kruk zręcznie przeskoczył na bark Lorli, która zachichotała zachwycona sztuczką.

- Och! - pisnęła, czując przez suknię dotknięcie kruczych szponów. Dotyk nie sprawił jej bólu, choć wrażenie było dość osobliwe. Kruk zaczął dziobem chwytać jej włosy.

- Krak? - spytała. - Czy to jego imię?

- Tak - odparła nieznajoma. - Nazwaliśmy go tak z powodu jego śmiechu.

Słyszałaś go?

Lorla skinęła twierdząco.

- Chyba tak. Ale myślałam, że nazywa się Anioł. Tak się przedstawił.

- Och, nie - sprostowała nieznajoma. - To nie jego imię. Tak niekiedy reaguje, gdy widzi ludzi patrzących na obraz. - Wskazała wspaniały portret nad kominkiem. - To jest Anioł.

- To ty - stwierdziła Lorla. - To twój portret, prawda, pani?

- Nie. Ja mam na imię Nina. To moja matka. Anioł.

- Jest bardzo piękna - rzekła Lorla. - Jesteś, pani, bardzo podobna do matki.

Nina sięgnęła dłonią ku portretowi, ale zatrzymała ruch w połowie.

- To ulubiony obraz mojego ojca. Ma ich wiele, ale jej portret jest tylko jeden. - Zmarszczywszy brwi, Nina odwróciła się do Lorli. - Nie powinnaś tu przychodzić.

Diukowi Enli to się nie spodoba. To jego prywatny księgozbiór.

- Tak, przepraszam. - Dziewczynka odwróciła się lekko, podsuwając Ninie ramę z ptakiem. - Czy nie mogłabyś, pani...

Nina wyciągnęła rękę i odwołała ptaka, który przeskoczył z ramienia dziewczynki na jej dłoń. Młoda kobieta pieszczotliwie pogłaskała Kraka, jednocześnie patrząc na Lorlę wzrokiem, którym żądała wyjaśnień.

- Wiem, że nie powinnam tu przychodzić - sumitowała się Lorla. - Ale szukałam diuka Enli. Muszę z nim porozmawiać. Nie wiesz, pani, gdzie go zastanę?

Nieznajoma uśmiechnęła się lekko.

- Dziecko, czy wiesz, kim jestem?

- Nie sądzę - odpowiedziała Lorla. - A powinnam?

- Diuk Enli nic o mnie nie mówił?

Lorla lekko się skrzywiła, zaskoczona dziwnym pytaniem. Właściwie to diuk Enli w ogóle niczego jeszcze jej nie powiedział. Gdyby to uczynił, nie przyszłaby tutaj w poszukiwaniu odpowiedzi.

- Masz na imię Nina - odpowiedziała. - Niczego więcej o tobie nie wiem.

- Lorlo, jestem córką diuka. Mieszkam tu razem z nim. Nikt ci niczego nie powiedział?

- Jesteś jego córką? - spytała dziewczynka prawdziwie zakłopotana. - Lady Nino, nikt mi niczego nie mówi. Jestem za mała, by ktokolwiek się tu mną zajmował.

Przykro mi. - Dygnęła niezbyt składnie. - Miło mi cię poznać. - Zgięta w ukłonie, zerknęła niespokojnie w twarz lady Niny i z ulgą stwierdziła, że córka diuka się do niej uśmiecha.

- Masz szczerą twarzyczkę - stwierdziła Nina. - Chyba mogę ci zaufać. Ale nie powinnaś lekce sobie ważyć rozkazów mojego ojca. Bardzo nie lubi, gdy ktoś obcy wtyka nos w jego sprawy. W tej części wieży nie znosi obcych. Nie wpuszcza tu prawie żadnego ze sług.

Jeżeli ci powiedział, żebyś tu nie zaglądała, to powinnaś mu okazać posłuch.

- Ale ja muszę go zobaczyć! - wybuchnęła Lorla. - Muszę z nim porozmawiać. Lady Preen mówi, że diuk wkrótce gdzieś wyjeżdża. Powinien zabrać mnie do Nar. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Twarz Niny jakby lekko przygasła. Młoda kobieta włożyła Kraka z powrotem do klatki, a potem podeszła do jednego z foteli przy oknie, gdzie westchnąwszy, usiadła. Przez dłuższą chwilę patrzyła na Lorlę, myśląc o czymś intensywnie, a potem przywołała dziewczynkę do siebie.

- Lorlo, zechciej tu podejść - poprosiła. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Porozmawiajmy jak przyjaciółki, dobrze?

- Bardzo chętnie - odparła Lorla. Podeszła do fotela stojącego naprzeciwko Niny i siadając wygodnie, wtuliła plecy w oparcie, tonąc w nim niemal całkowicie. - O czym chcesz porozmawiać, lady Nino? Możesz rzec mi wszystko. Potrafię dochować tajemnicy.

Nauczono mnie tego w Nar, gdzie sekretom i tajemnicom poświęcano specjalne zajęcia. Nie powiem nikomu.

Twarz Niny spochmurniała.

- Owszem, chętnie w to uwierzę - odparła z rezerwą. - Powiedz mi coś. Czy wiesz, po co cię tu przywieziono?

Lorla wzruszyła ramionami.

- Twój ojciec, diuk, ma mnie zawieźć do Czarnego Grodu, gdzie mam wykonać pewną pracę dla hrabiego Biagia.

- Co to za praca?

- Nie wiem - odpowiedziała Lorla szczerze. Nie chciała się wydać głupią, ale wolała nie kłamać. - Twój ojciec, pani, niczego mi jeszcze nie powiedział.

Dlatego właśnie go szukam. Do tej pory zachowywałam się grzecznie i posłusznie.

- Ile masz lat?

Pytanie to zadawali Lorli wszyscy, którzy się z nią stykali, i dziewczynkę już znudziło odpowiadanie. Ale spróbowała nie okazać złości.

- Szesnaście.

Brwi Niny lekko się uniosły.

- Szesnaście? To niemożliwe. Chciałam powiedzieć, że twój wygląd...

- Lady Nino, mam szesnaście lat. Wiem to na pewno. Nina znów uniosła brwi.

- Tak, tak, oczywiście. Nie chciałam cię urazić, dziecko. Ale kiedy ojciec powiedział mi, że tu jesteś, nie rzekł ani słowa o powodzie. Myślałam, że ty przynajmniej go znasz.

Przykro mi, że nie umiem ci pomóc.

Przeprosiny nie były potrzebne, jako że Lorla rzadko kiedy brała urazę do serca.

- Lady Nino, wiem że różnię się od innych - powiedziała. - Proszę nie czuć się skrępowaną. Zbijam z tropu wielu ludzi, choć nie jest to moim zamiarem. - Pochyliła się.

- Jest pani bardzo piękna. Jak matka. Chciałabym być taka jak ty.

Nina zachichotała.

- Ależ ty jesteś piękna, Lorlo. Urocza. Twarzyczka Lorli okryła się chmurą.

- Nie - odpowiedziała. - Jestem ładna jak mała dziewczynka. Ale nigdy nie będę taka jak ty. Pani jest... - przez chwilę szukała słowa - ...pełna.

Nina zbladła.

- Pełna?

- Dojrzała. I wyższa ode mnie. A ja nie wiem, czy kiedykolwiek będę choć o pół cala wyższa. Ale jestem kimś szczególnym. Wiesz to? Kimś bardzo szczególnym. Tak o mnie mówili w Nar.

Córka diuka uniosła dłonie, jakby chciała zatrzymać słowa Lorli, zanim dotrą do jej uszu.

- Dziecko, przestań. Nie powinnam o nic cię pytać. Przepraszam. Nie mówmy o tym. - Spróbowała się uśmiechnąć, choć nie bardzo się jej to udało. - Powiadasz, że nikt tu z tobą nie chce rozmawiać?

- Oni się chyba mnie boją, ale nie wiem, dlaczego.

- O, w to nigdy nie uwierzę - zaprzeczyła Nina łagodnym głosem. - Po prostu wiedzą, że jesteś gościem mojego ojca, i nikt nie chce cię urazić. Mój ojciec jest bardzo surowy i wymagający. Służba boi się jego, nie ciebie.

- Jego? Przecież on jest taki miły. Rozmawia ze mną, choć wie, jaka jestem.

Dlatego chciałam go zobaczyć. Możesz mi powiedzieć, gdzie go znajdę?

- Lorlo, nie możesz się z nim zobaczyć. Nie dziś. Lady Preen miała rację. Mój ojciec rzeczywiście wybiera się w podróż. Niedługo wróci, nie bój się. Teraz jednak jest bardzo zajęty i nie będzie miał dla ciebie czasu.

- Ale to ważne - nalegała Lorla. Wielki fotel skrzyknął, gdy pochyliła się prosząco do przodu. - Może przekazesz mu moją prośbę? Jemu, albo twojej matce...

- Lorlo, nigdy nie powtarzaj takiej prośby - zeszywniała Nina. - Moja matka nie żyje. Nigdy przy moim ojcu nie wspominaj jej imienia. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedziała Lorla, którą nagła zmiana w twarzy Niny mocno stropiła. Podniosła wzrok na piękną kobietę z portretu, a potem znów spojrzała na Ninę. Były tak podobne, że omal się nie pogubiła. - Obiecuję, że nigdy nawet słówkiem nie wspomnę o niej przy twoim ojcu. Żal mi cię, lady Nino.

- To malowidło to wszystko, co zostało po mojej matce. Ojciec bardzo je ceni. Dlatego trzyma je tu, u siebie. Bardzo ją kochał.

- Co się z nią stało? - spytała Lorla. - Możesz mi powiedzieć?

- To długa historia. I nie jestem pewna, czy powinnam ją opowiedzieć komuś tak młodemu, jak ty.

- Aleja nie jestem dzieckiem! Mam szesnaście lat. Jestem prawie dorosłą kobietą, jak ty. Ile masz lat? Siedemnaście?

- Osiemnaście. Ale powinnaś pomyśleć o swoich manierach. Nie pyta się kobiety o jej wiek.

Zakłopotana Lorla złożyła ręce przed sobą.

- Gdybym ja miała matkę - odpowiedziała - chętnie bym o niej rozmawiała. Nie kryłabym się przed nikim. A ona była tak piękną kobietą... Powinna się znaleźć w głównej komnacie, a w każdym razie w jakimś lepszym miejscu. Nie należy jej tu zamykać.

Nina zachichotała.

- Och, rzeczywiście nie mówisz wcale jak ośmioletnia dziewczynka.

Lorla obdarzyła ją figlarnym uśmiechem.

- Dziwne, że ojciec cię przed tym nie ostrzegł, pani.

- Ostrzegł, ostrzegł. A przynajmniej częściowo. Powiedział, że jesteś znacznie bystrzejsza, niż można się spodziewać po dziewczynce o twoim wyglądzie. - Nina

westchnęła. - Jeżeli chcesz, opowiem ci o matce. Nie jest to w końcu taki wielki sekret. Wielu ludzi zna opowieść o braciach ze Smoczej Paszczy. Ale nie wolno ci powiedzieć mojemu ojcu, że wiesz o tym ode mnie. Nie chciałby, żebym o tym opowiadała, a zwłaszcza nie tobie.

- Dlaczego nie?

- Bo myślę, że on ma jakieś plany związane z tobą. Nie powinnam ich znać, ponieważ jestem jego córką i on stara się mnie chronić, a w każdym razie próbuje. W Imperium jednak dzieje się wiele spraw, a mój ojciec ma w tym wszystkim swój udział. I ty też będziesz miała swoją rolę do odegrania, gotowa jestem się założyć.

Lorla nie umiała powstrzymać się od okazania ciekawości.

- Jaką rolę? - spytała szybko. - Mam zrobić coś ważnego?

- Dowiesz się w swoim czasie, kiedy mój ojciec będzie gotów ci o tym powiedzieć, masz na to moje słowo. Teraz jednak nie wolno ci nawet wspomnieć mojemu ojcu o tym, co tu usłyszysz.

- Nie powiem - obiecała Lorla ogarnięta ciekawością. - Obiecuję.

Nina rozejrzała się podejrzliwie dookoła. Lorla uwielbiała osobiste sekrety.

- Słyszałaś o moim stryju Eneasz? - spytała młoda kobieta.

- Mieszka w Szarej Wieży - odpowiedziała dziewczynka, przypominając sobie słowa diuka Enli. - Jest bliźniaczym bratem twojego ojca.

- Prawda. I wiesz o tym, jak są podobni. Widziałaś malowidło w gabinecie mojego ojca?

Lorla skinęła.

- Widziałam. Nie bardzo mi się spodobało.

- Mnie też - roześmiała się Nina. - Stryj Eneas nie za często nas odwiedza.

Tak naprawdę to od lat go tu nie widziałam. On i mój ojciec już ze sobą rozmawiają. Od dnia, w którym zabił moją matkę.

Lorla zdumiona cofnęła się w głąb fotela.

- Zabił? Mówiłaś, pani, że twój ojciec bardzo kochał twoją matkę.

- Och, kochał. Tak bardzo, że oddałby za nią życie. Była piękną kobietą i, jak mi mówiono, wielu mężczyzn starało się o jej względy. W tamtych dniach była już tu lady Preen.

Co nieco mi opowiedziała.

Ojciec nie był jedynym z diuków Smoczej Paszczy, który pokochał moją matkę.

Eneas, jego brat, też zapalał do niej gorącym uczuciem. Walczyli o jej rękę przez wiele miesięcy i to ich poróżniło.

- Jak to? - spytała Lorla.

- Diuka Eneasa zżerała zazdrość o mojego ojca. Nigdy mu nie wybaczył tego, że matka wybrała właśnie jego, i oskarżał go o to, że mu ją haniebnie skradł.

- Skradł? Naprawdę to zrobił?

- Nie umiem ci odpowiedzieć. Ale mocno w to wątpię. Mój ojciec jest dobrym człowiekiem, Lorlo. Potrafi być niekiedy groźny, zwłaszcza dla wrogów, jednak postępuje honorowo. Sama się przekonasz, gdy go lepiej poznasz.

- Jeżeli zdążę - stwierdziła Lorla, nagle się zasepiwszy. Bez Lokkena i Kareen, którzy traktowali ją jak własną córkę, brakowało jej towarzystwa dorosłych, ludzi świadomych jej prawdziwej natury. - Ale mów dalej - ponagliła Ninę. - Co się stało z twoją matką?

- Jak powiedziałam, stryj Eneas posadził mojego ojca o to, że mu skradł moją matkę. I pewnej nocy przybył do Czerwonej Wieży, by odebrać ją ojcu. On i kilku z jego ludzi zakradli się tu chyłkiem i spróbowali ją porwać. Prawie im się udało. - Twarz Niny zbladła nagle. - Ale tylko prawie.

- Opowiedz.

- Wszczęła się walka. Gdy wywiedli ją poza wieżę, matka zaczęła krzyczeć. Nikt nie wie, jak to naprawdę było, ale zdołała obudzić krzykiem strażę mego ojca.

Przybocznicy ją usłyszeli i ruszyli w pościg za Eneasem i jego ludźmi. Tamci mieli konie i pognali jak wicher.

Było późno i ciemno. Ojciec popędził za nimi, ale... - Głos na chwilę zamarł Ninie w krtani.

Lorla odczekała chwilę, ale niedługo wytrzymała.

- Ale co? Co się stało?

- Matka spadła z konia - odpowiedziała Nina bezbarwnym głosem. - Upadek ją zabił, skręciła kark. Lady Preen twierdzi, że ojciec znalazł ją w objęciach płaczącego Eneasa. Była już martwa. Wszyscy ludzie stryja wycofali się do Szarej Wieży, ale Eneas

został, by stawić czoło mojemu ojcu. Przynieśli ją tu razem. Pochowano matkę w północnym skrzydle, tak by mogła patrzeć na morze. - Błada jak płótno Nina zdołała jakoś podnieść wzrok i spojrzeć na Lorlę. - Byłam wtedy dzieckiem, miałam zaledwie sześć lat.

Lorla zagryzła wargi, pragnąc jakoś ukoić ból swej nowej przyjaciółki i nie wiedząc, jak się do tego zabrać. Piękna twarz Niny przygasła, jakby okrył ją cień. Lorla zsunęła się z fotela i podeszła do Niny, ofiarując jej uśmiech i dotknięcie dłoni.

- To bardzo smutne - stwierdziła cicho. - Żal mi cię, pani. Żal mi też twojego ojca. Nina ujęła dłoń Lorli i lekko ją uścisnęła.

- Tak to było - powiedziała. Poklepała miejsce obok siebie; wielki fotel mógł pomieścić je obie. - Usiądź przy mnie, Lorlo. Przytul się do mnie. Boże, jestem taka niemądra. To wszystko stało się tak dawno temu... i prawie jej nie znałam.

- Ale tak już jest - odpowiedziała dziewczynka. Usiadła obok Niny i przytuliła się do niej. - Tak samo ja to odczuwam. Wspominam często moją matkę. Ojca też. Ale nie za dobrze ich pamiętam. Właściwie to prawie niczego nie pamiętam. Wywieziono mnie z Nar i...

Przerwała. Nina patrzyła na nią uważnie.

- Co było potem? - spytała Lorla, zmieniając temat. - Czy twój ojciec stoczył walkę ze swoim bratem?

- Nie - odpowiedziała Nina. - Nigdy do tego nie doszło. Ale każdego roku, w dniu śmierci mojej matki, Eneas przybywał do Czerwonej Wieży, by błagać ojca o przebaczenie za to, co zrobił. I każdego roku mój ojciec mu odmawiał. W końcu Eneas dał sobie spokój.

Kiedy tu przyjeżdżał, przywoził mi rozmaite prezenty, usiłując okupić swoją winę. Jakby to było możliwe. Nikczemnik!

- A teraz już nie przyjeżdża?

- Od wielu lat. Ostatni raz był tu pięć, może sześć lat temu. - Nina kiwnięciem brody wskazała zamkniętego w klatce kruka. - Krak to prezent od niego. Potem nigdy go już nie widziałam. Od tamtej pory już z ojcem nie rozmawiali.

Historia była bardzo smutna i Lorli zachciało się płakać. Ale nie zapłakała.

Musiała okazać hart ducha - tak jak ją tego uczono. Przeznaczone do specjalnych

celów dziewczynki, takie jak Lorla, musiały być silne. Zamiast więc powiedzieć Ninie, jak bardzo jej współczuje, zmieniła temat.

- Krak jest prezentem? To dziwne. Nina parsknęła śmiechem.

- Owszem, ja też kiedyś tak sądziłam. Ale Eneas hoduje kruki. To jego jedyna rozrywka. Jak słyszałam, robi to bardzo dobrze.

- Hoduje kruki? Po co?

- Do obrony swego zamku. Ojciec mi mówił, że Eneas przyuczył kruki do walki, jak sokoły. Nazywa je swoją podniebną armią. Cały czas krążą nad Szarą Wieżą i chronią ją przed napaścią.

- Nie wierzę - roześmiała się Lorla. - To niemożliwe.

- A jednak to prawda. Tak mi powiedział ojciec. Wszystkim to wiadomo... oprócz ciebie. Nie wiesz za wiele o Smoczej Paszczy, prawda?

- Nie - przyznała Lorla. - Ale to dobra opowieść. Ja lubię ptaki. Chciałabym zobaczyć wieżę Eneasa.

- Obawiam się, że mogłabyś to zrobić tylko na skrzydłach Kraka. Co prawda, gotowa jestem się założyć, że jest mądrzejszy od innych ptaków Eneasa. Ojciec poświęcił wiele czasu na jego szkolenie. Krak lubi go chyba nawet bardziej ode mnie. - Nina odwróciła się z uśmiechem do ptasiej klatki. - Prawda, skarbie? Kochasz ojca?

Ptak nie odpowiedział, ale Nina nadal się do niego uśmiechała.

- Krak jest dobrym przyjacielem - stwierdziła. Potem spojrzała na Lorlę. - Lorlo, wiem jak dokuczliwa jest samotność w Czerwonej Wieży. - Ponownie ujęła dłoń dziewczynki. - Czujesz się samotna?

Na tak postawione pytanie Lorla nie miała innej odpowiedzi.

- Tak... - przyznała z ponurą miną.

- Cóż, to nie musi być takie złe. Kiedyś pojedziesz do Nar, ale do tego czasu możemy zostać przyjaciółkami. Co ty na to?

- Bardzo bym chciała - stwierdziła Lorla. - Bardzo!

- To dobrze. Może zaczniemy od tego, że będziesz się do mnie zwracała po imieniu. Mów mi Nino i nic więcej. Przyjaciółki nie zwracają uwagi na tytuły. A ja nie będę cię nazywała księżniczką. Zgoda?

Lorla musiała się roześmiać.

- Zgoda... Nino.

- A będziesz cierpliwa? Już nie ruszysz na poszukiwania mojego ojca?

Odpowiedź na to pytanie była trudniejsza. Lorla bardzo chciała się zobaczyć z diukiem Enli, żeby się dowiedzieć, jakież to tajemnicze zadanie przeznaczył dla niej Biagio.

Nina jednak patrzyła na nią, czekając na obietnicę, a Lorla nie chciała narażać nowej przyjaźni na próbę.

- No... dobrze. Nie będę już myszkować po zamku, szukając diuka Enli. Ale czy mogę tu na chwilę zostać? Przejrzeć niektóre z tych książek?

- Tak ci na tym zależy? Chcesz poczytać?

- Na razie - odpowiedziała Lorla, uchylając się od wyraźnego stwierdzenia.

Nina skinieniem dłoni wskazała półki pełne książek.

- Czytaj, co chcesz - powiedziała.

Lorli nie trzeba było powtarzać dwa razy. Zeskoczyła z fotela i pomknęła ku drabinie, na którą wspięła się zręcznie, niczym małpka. Była to jedna z nielicznych korzyści, jakie dawało jej drobne ciało.

Dwanaście MISTRZ KRUKÓW

Szara Wieża stała na północnej mierzei Smoczey Paszczy, zimna i samotna na kawałku skały. Jak jej bliźniacza Czerwona Wieża była miejscem niewzruszonym i obojętnym na upływ czasu. Bez znaku sprzeciwu stawiała czoło sezonowym burzom i smagającym ją nieustannie słonym mżawkom, zrywającym się ze spienionych fal. Jak jej czerwona siostra miała oddzielać władcę od rządzanego przez niego ludu - pan wolał się trzymać daleko i wysoko od kmieci i tego, co przemierzało ich pola. Diuk Eneas kochał swoją Szarą Wieżę.

Kochał widoki, które mógł oglądać z najwyższych pięter, najbliższą okolicę porośniętą wysokimi dębami i wysokie, żelazne wrota strzeżone przez wartowników o ostrych niczym kruki rysach twarzy - ludzi, którzy złożyli mu hołd i nosili jego czarne zbroje.

Byli lojalni i oddani swemu kochającemu się w dziwactwach panu, on zaś traktował ich całkiem przyzwoicie. Wszyscy wywodzili się z mieszkańców północnej mierzei. A Szara Wieża była doskonale strzeżona, nie tylko przez obleczonych w metal wartowników, ale i stanowiącą przedmiot największej dumy diuka siłę, którą sam stworzył.

Jego podniebną armię.

Była to nazwa mocno przesadzona i dziwaczna, ale Eneasowi podobało się jej brzmienie. Pięć setek kruków było postrachem ludności. Wszyscy w Smoczey Paszczy wiedzieli o tej podniebnej armii i nikt nie ośmielał się zjawiać pod Szarą Wieżą nieproszony, nie ryzykując natychmiastowego wydziobania oczu. Diuk Eneas spał bezpiecznie w wieży, niczego sobie nie robiąc z knowań brata i możliwości napadu. Broniła go podniebna armia.

Kruki były jego dziećmi i wykonywały wszystkie jego polecenia, ponieważ był ich bogiem i wystarczyło mu świsnąć, zgiąć palec, albo przechylić głowę, by ptaki pojęły polecenie. Był to dar, który wyniósł jeszcze z dzieciństwa, a którego Enli zawsze mu zazdrościł i się obawiał.

Teraz - podczas lat spędzanych z dala od brata - Eneas cieszył się z panowania

nad krukami.

Strzegło go pięć setek czujnych, czarnych par ślepiów. Mógł spać spokojnie.

Nie zawsze czuł strach przed bratem. Bracia bliźniacy byli niegdyś najlepszymi z przyjaciół. Dzielili ze sobą każdy sekret i wyrosli na kochających i szanujących się nawzajem młodzieńców. Ich matka była świętą kobietą, klejnotem niewieściego rodu, i obaj rzewnie płakali po jej śmierci, a na pogrzebie ojca, nie wstydząc się łez, serdecznymi i ciepłymi słowami pocieszały jeden drugiego, dodając sobie nawzajem otuchy. We wczesnych latach władzy Arkusa obaj należeli do najwierniejszych stronników imperatora i obaj z dumą wywieszali ze szczytów swoich zamków Czarną Flagę - rozdzieleni wodą, ale nie duchem. Mieli oddzielne zamki, ale nie życia i często pisywali do siebie listy. Rozmawiali o władaniu ludem, zostawionym im przez ojca, a ich spory dotyczyły głównie jakości win. Jak rycerzy na wyprawie krzyżowej, łączyły ich więzy silniejsze od krwi.

Było to jednak, zanim wstąpiła pomiędzy nich kobieta.

Jak większość wieczorów w Smoczej Paszczy i ten był zwodniczo spokojny. Słońce osuwało się w dół po niemal purpurowym nieboskłonie. Uporczywy, choć niezbyt silny wiatr chłodził Szarą Wieżę i szarpał poły oponczy krążących po jej dziedzińcu wartowników.

Ceglane ściany oblepiły kruki kraczące ponuro, wydziobujące spomiędzy cegieł naniezione przez wiatr ziarna i straszące pióra na znak obojętności wobec chłodu. W głębi dziedzińca, w jamie mogącej pomieścić człowieka płonął ogień ogrzewający swoimi jęzorami zebrane wokół niego ptaki. Za jamą zbudowano osłoniętą z trzech stron budę, która dawała osłonę przed dmącymi od morza wiatrami i w której cenne ptaki diuka zawsze mogły się schronić.

Ogień podsycano nieustannie, tak jak i nieustannie donoszono krukowi jedzenie.

Diuk nie szczędził wydatków na swoich ulubieńców i płacił ich opiekunom tak dobrze, że chętnie godzili się na dzielenie chłodu z ptakami. Teraz grzędy były prawie puste, Eneas jednak wiedział, że jego pupile zlecą się tu po zachodzie słońca i osłonięte przed wiatrami, ogrzane przez ogień będą spały aż do rana. Ptaki potrafiły się odwdzińczyć za uczucie i Eneas wiedział, że jego kruki, dobrze karmione i zadbane, nigdy zbyt nie oddalą.

Jak każdego wieczoru, przed udaniem się na spoczynek diuk wychodził na spacer wokół wieży, otulony w grubą, wełnianą opończę i kryjący brodate oblicze pod kapturem. Na ramieniu niósł towarzyszącego mu wszędzie ptaka, przywódcę stada i najbliższego z przyjaciół, kruka o imieniu Czarny. Podczas spaceru zwierzał się cicho ptaszysku ze swoich kłopotów, mówił mu o tym, że bolą go plecy, że zaczyna strzykać mu w kościach i w zasadzie strzepił sobie język po próżnicy. Czarny słuchał i milczał. Był to piękny ptak, godzien swego stanowiska, i miał posłuch u innych kruków, ponieważ te widziały, że Czarny jest ulubieńcem pana. Dla podkreślenia statusu pierwszego między równymi kruk miał na szyi srebrny łańcuch, założony tak, by nie spadał podczas lotu. Z łańcucha zwisał medalion z godłem Smoczej Paszczy. Ptak był mądrym, dobrym kompanem i Eneas niekiedy czuł się dotknięty jego milczeniem. W chwilach - takich jak ta - gdy ogarniał go smutek, diuk mówił i mówił, nie potrafiąc przerwać potoku własnych słów.

- Nadchodzi zima - mruknął Eneas.

Okrążyli przednią część dziedzińca i szli teraz ku ognisku i ptaszarni. Czarny jednak nie miał spędzić nocy ze swymi pobratymcami. Sypiał na grzędzie obok łóżka Eneasa i jadał posiłki razem z diukiem. Kruk zastępował Eneasowi brata, z którym rozłączyła go kobieta.

Usłyszawszy uwagę pana, kruk nastroszył pióra.

- Zimno! - zakrakał.

Eneas wiedział, że Czarny nie rozumie tego słowa - po prostu powtarza to, co często słyszał z jego własnych ust. Diuk zatarł dłonie, zmarznięte mimo noszonych rękawic, i chuchnął w nie.

- Owszem, zimno - potwierdził. Zatrzymał się na chwilę pośrodku dziedzińca, by spojrzeć na słońce i ocenić, ile czasu zostało do zmierzchu. Nie lubił już zim.

Jego ciało buntowało się przeciwko chłodom. Zastanawiał się, czy Enli też tak dygocze, czy też może nie uległ zębowi czasu. Anioł zginęła w zimie i od jej śmierci każdego roku, gdy spadały śniegi, Eneas ponownie przeżywał te straszne chwile i zadreślał się wspomnieniami widoku martwego ciała ukochanej. Tamtego dnia umarło dla niego wszystko. Diuk patrzył w słońce i widział w nim twarz ukochanej.

- Zimno! - zakrzyknął kruk. - Zimno!

Diuk Eneas obdarzył ulubieńca nikłym uśmiechem.

- To prawda, przyjacielu. Wejdźmy pod dach.

Razem podeszli do głównych wrót Szarej Wieży, mijając wartowników w kruczych hełmach na głowie. Żołnierze bez słów otworzyli oba skrzydła. Wewnątrz przywitało ich ciepło. Czarny sfrunął z ramienia diuka i poleciał ku swemu zwykłemu miejscu - specjalnie dla niego zrobionej półce nad kominkiem. Zbliżała się pora kolacji i Eneas czuł zapach przygotowywanych w kuchniach potraw. Zaraz też zaburzało mu w brzuchu.

Postanowił, że dziś solidnie podje i pójdzie wcześniej spać, mając nadzieję, że nic mu się nie przyśni.

Ostatnio sny dręczyły go nawet na jawie. Opisywał je w swoim dzienniku, a potem porównywał opisy. Nie dziwiło go wcale to, że wszystkie mają jeden wspólny temat: samotność.

W Smoczej Paszczy zima była porą, w której samotność dawała mu się szczególnie we znaki.

Diuk podszedł do kominka, nad którym rozpierał się Czarny, i pochylił się w stronę ognia, by ogrzać zziębnięte dłonie. Zdjąwszy rękawice, wyciągnął ku płomieniom długie palce, rozkoszując się ciepłem. Kruk zamknął swe hebanowe ślepia, jakby nad czymś rozmyślał. Obu łączyła szczególna, czarodziejska niemal więź. Eneas miał ten dar od dziecka.

Los obdarzył jego ojca iskierką, a matka potrafiła czytać w umysłach kotów, jednak dar z całą siłą objawił się dopiero w Eneasz. Tylko on potrafił przeniknąć do prymitywnych ptasich mózgow i pojąć, o czym myślą. Wiedział, że Czarny był teraz bardziej głodny, niż zmęczony - co innym, patrzącym na zasypiającego niemal kruka nie przysłoby do głowy.

Eneas wiedział, kiedy ptaki były chore, przepełnione strachem, czy gniewne; wiedział, kiedy potrzebne im były ćwiczenia, a kiedy okazanie zainteresowania. Był niemal czarodziejem, i choć dar ów przerażał jego brata, sam nigdy się nie czuł nim skrępowany. Cieszył go, tak jak cieszyły go ptaki. W tych ponurych czasach kruki były mu jedynymi przyjaciółmi.

Dzielił się z nimi sekretami, jakie dawniej zdradzał tylko bratu. Opowiadał im o

swoich pragnieniach i zamiarach, a także o kobiecie, która kochał, i dziewczynie, którą nazywał swoją córką.

- Głodny jesteś, przyjacielu? - spytał Czarnego.

Wskazującym palcem pogładził ptaka po głowie. Na kruczym obliczu Czarnego pojawił się wyraz, jaki Eneas uznawał za uśmiech. Ptak przeskoczył Eneasowi na ramię i zaczął pieszczotliwie poszcypywać go dziobem w ucho. Szczypanie miało oznaczać, że ptak jest bardzo głodny. Od śmierci dzieli go tylko włos.

- Zaraz coś na to poradzimy - pocieszył go diuk. Odwróciwszy się od kominka, poniosł kruka ku kuchniom, gdzie na obu czekał suty posiłek.

Diuk Enli na swojej południowej mierzei Smoczej Paszczy czekał i patrzył na zachód słońca. Patrzył na jego opadający w dół krąg, widział, jak zachodnia połać świata pogrąża się w mroku. Patrzył na zasnuwaną ciemnościami ziemię, aż kanał dzielący posiadłości obu braci pokrył się czernią, a wiatr stężał i zaczął mocno dąć. Ze swego miejsca ledwie dostrzegał Szarą Wieżę i skałę, na której ją wzniesiono. Zaczynał się przyływ i woda zdążyła już polizać buty Enliego. Było zimno, jego ludzie zmarzli, a łódka, która miała ich przewieźć przez zatokę, wyglądała żałośnie krucho. Księżyc zalewał ziemię smugami nikłego blasku, bieląc światłem grzywy fal. Enli odsunął szybkę w swojej latarni i zdmuchnął płomień. Grupa liczyła sześciu ludzi razem z diukiem. Na ramieniu Enliego cierpliwie przycupnął Krak.

Zebrani wokół łodzi ludzie czekali, aż diuk coś powie, ten jednak milczał.

Ludzie ci należeli do najbardziej zaufanych z jego stronników. Wiedział, że byli zręczni, doświadczeni i zrobią, co w ich mocy, a jednak trapiła go myśl o zbliżającej się walce. Ponieważ powodzenie misji zależało raczej od zręczności niż siły, wszyscy pozdejmowali broje, wszyscy też mieli doświadczenie w skrytych napadach. W przeciwieństwie do najemników, kupowanych przez niego za pieniądze Biagia, tych ludzi darzył zaufaniem. Ich wierność daleko przekraczała kupowaną za złoto lojalność.

Byli jego towarzyszami od lat i wybrał ich dziś ze względu na znaczenie nocnej misji.

Oddziały najemników opuszczały właśnie Czerwoną Wieżę, zajmując pozycje przed ziemią Eneasa.

Jeżeli dziś w nocy wszystko pójdzie dobrze, na jeden sygnał diuka Enli pójda na

Szarą Wieżę.

Był pewien problem, z którym Enli długo nie umiał się uporać, i do znalezienia jego rozwiązania trzeba było dopiero bystrego umysłu Biagia. Teraz, mając Kraka na ramieniu, diuk rozmyślał o oczywistości tego, co Biagio wymyślił. To właśnie wyróżniało hrabiego spośród innych. Przebiegłość. Biagio dostrzegał rzeczy i zjawiska, których nie widział nikt, poza nim samym - i dlatego Arkus jemu polecił stworzenie Roshannów. Niektórzy uważali, że pierwszym umysłem Imperium był Bovadin, Enli jednak wiedział, że jest inaczej. Biagio - oto był umysł nad umysłami! Enli uśmiechnął się z rozmarzeniem w oczach. Wyjął z kieszeni kulkę suszonego mięsa i podał pokarm Krakowi, który schwycił go łapczywie. Kruk zakrakał, domagając się następnego poczęstunku, i Enli znów go nakarmił. Ptak miał dziś odegrać ważniejszą rolę, niż którykolwiek z zebranych przy diuku zabijaków. Tylko Krak mógł uspokoić podniebną armię Eneasa; miał on wiernych strażników i lojalnych poddanych, ale lepiej niż cokolwiek innego chroniły go jego kruki - bardziej zajadłej armii Eneas nigdzie by nie znalazł, choćby przeszukał całe Nar. W jego krukach było coś złowrogiego, coś co sprawiało, że silni ludzie drżeli na samą wzmiankę o nich. Ale dziś, jeżeli pomysł Biagia się sprawdzi, podniebna armia podporządkuje się napastnikom.

- Dobry ptaszek. - Enli pogładził swego ulubieńca po głowie. - Postarasz się dziś w nocy, prawda?

- Dobry ptaszek - odpowiedział Krak jak echo. - Dobry ptaszek.

Pogrążeni w milczeniu czekali jeszcze godzinę, dopóki Enli się upewnił, że w ciemnościach nikt niczego nie zobaczy. Dopiero wtedy wydał rozkaz wsiadania do łodzi.

Każdy z ludzi miał krótki kord i kuszę, które wsunięto pod ławki, a dwóch najsilniejszych zasiadło do wiosł. Krak podfrunął do łodzi przed diukiem i usadowił się na jej dziobie. Gdy diuk zajął miejsce, dwóch ostatnich zepchnęło łódź na wodę. W górze nad nimi wznosiła się błyskająca płomieniami pochodni i świec Czerwona Wieża. Enli zebrał się w sobie, patrząc na oddalający się dom i szukając w oknach sylwetki Niny. Nie dostrzegał jej, ale też właściwie tego nie oczekiwał. Córka wiedziała jedynie, że zamierza wyrzucić pomstę na bracie i wszyscy zebrani w zamku żołnierze zaatakują wkrótce Szarą Wieżę. Nina była wrażliwą dziewczyną i to właśnie przekonało go, iż to on ją splodził, a nie jego posępny brat. Nie sprzeciwiała się wcale jego planom podboju północnej

mierzei. W jednym tylko musiał jej zełgać. Obiecał, że oszczędzi Eneasa. Enli wiedział, że gdyby córka kiedykolwiek się dowiedziała, co zaplanował na dzisiejszy wieczór, na zawsze by go znienawidziła.

Myśl ta sprawiła, że zamknął oczy. Usiadłszy na ławie obok Kraka, przegnał z głowy wszelkie wspomnienia z Czerwonej Wieży. Zganił się w duchu, bo miał przecież przed sobą nie lada zadanie. Dość sentymentów. Wioślarze stękali równomiernie, wbrew falom i wiatrowi prowadząc łódź ku Szarej Wieży. Księżyc skrył się za chmurą, pograżając świat w niemal zupełnej czerni. Krak szczytną diuka w dłoń, domagając się pieszczoty.

Diuk podał mu palec i przeniósł na ramię, gdzie kruk usadowił się wygodnie i na chwilę przycichł.

Żołnierze Enliego rozglądali się dookoła posepnie i pomrukiwali coś pod nosami.

Niektórzy machinalnie bawili się rękojeściami kordów, ale wszyscy zachowywali ciszę.

Przebycie zatoki zajęło im prawie godzinę, i gdy wreszcie zobaczyli wyłaniające się z mroku zarysy Szarej Wieży, Enli wznosił dłoń, by ostrzec wioślarzy.

- Teraz powoli - powiedział - żeby nic nie skrzypnęło... Nie chciał, by ich zobaczył którykolwiek z wartowników, ani ze skrzydlatych obrońców wieży. Zacisnął zęby i wbił spojrzenie w mrok. Widział z dołu migoczące w oknach światełka. Było jeszcze wcześniej i znów księżyc pokazał się zza chmury. Łódka powoli i niepostrzeżenie podpłynęła do brzegu.

Enli poczuł przeszywający go dreszcz emocji. Ostatni raz widział Eneasa dawno, bardzo dawno temu. Zastanawiał się, czy brat mocno się zmienił. Nagle ogarnęła go fala wspomnień, krusząca jego zdecydowanie. Kiedyś bardzo się kochali. Ale zaraz potem wspomniął swoją żonę i prawa do Niny, jakie Eneas sobie przypisywał; wszystko to znów rozogniło starą nienawiść. Dziś wyrze zemstę, której tak długo odmawiał mu los. Najemnicy Biagia dobrze się zaś przysłużą im obu, zajmując północną mierzeję.

Łódź powoli dopływała do brzegu. Ludzie nagle umilkli i sięgnęli po kordy i kusze.

Wioślarze trudzili się jeszcze przez chwilę, naprowadzani szeptem przez diuka.

- Na wschód - szepnął Enli. - Powoli, powoli...

Od wschodu cypel porastały drzewa; wznosiły się tam skały, wśród których mogli znaleźć ukrycie, stamtąd też biegła ku bramie główna droga. Jeżeli podstęp miał się udać, wszystko trzeba było rozegrać jak należy. Gdy łódź dobiła do brzegu, żołnierze diuka wyskoczyli na kamienistą plażę i okryci mrokiem błyskawicznie zanurkowali pomiędzy głazy. Szara Wieża była tuż za kamienistym wzgórzem. Enli odczekał chwilę, aż łódź dobrze osiadnie na kamieniach, i dopiero wtedy wysiadł na brzeg. Jego ludzie szybko wciągnęli szalupę na ląd i ukryli wśród głazów, maskując dla niepoznaki mchem. Diuk przez chwilę przyglądał się Krakowi. Ptaszysko wyglądało tak, jakby świetnie się bawiło.

- Ruszajcie na drogę, tak jak się umówiliśmy - zwrócił się Enli do swoich wojów.
- Poczekajcie na mnie, niedługo do was wrócę.

- Powinieneś pójść z nami, panie - stwierdził Faren, jeden z najbardziej zaufanych sług diuka. - Ptaka możesz wypuścić z drogi. Nie podoba mi się to, że znikniesz nam z oczu.

- Ruszajcie - odparł Enli, nie przejmując się troską sługi. Nie lubił, gdy kwestionowano jego rozkazy, a teraz po prostu chciał przez chwilę zostać sam na brzegu północnej mierzei. Wiele lat minęło od czasu, kiedy jego buty deptały ziemię po tej stronie Smoczej Paszczy. Za niecałą godzinę jego brat może już będzie trupem. Enli przez chwilę jeszcze chciał być sam. - Zjawię się tam niechybnie - zapewnił Farena. - A teraz już ruszajcie.

Żołnierze odeszli bez entuzjazmu, ale ponagleni rozkazem szybko znikli między skałkami. Enli patrzył za nimi przez chwilę, a gdy się już upewnił, że są daleko, wyjął z kieszeni notatkę. Była trzykrotnie złożona, tak by Krak bez trudu mógł ją donieść do okna Eneasa. Diuk zdjął kruka z ramienia, a potem mocną, cienką, wyciągniętą z kieszeni nitką przymocował list do ptasiej nogi. Ptak poruszył się niespokojnie, ale nie próbował rzucić nitki, jak to czynił w czasie szkolenia, za co Enli był mu teraz ogromnie wdzięczny.

Powtarzał to z ptakiem dziesiątki razy. Był pewien, że Krak sprosta zadaniu.

Zawiązał węzeł i odstąpiwszy o krok, popatrzył na swoje dzieło. Czarne oczy ptaka zmierzyły go badawczym spojrzeniem.

- Bardzo dobrze - stwierdził Enli. - Sam wiesz, co masz robić. Wszystko teraz zależy od ciebie.

Ptaka rozwarł dziób, jakby chciał ziewnąć, a potem rozpostarł skrzydła i rzucił swemu panu ponure spojrzenie.

- Anioł! - zakrakał. - Anioł!

Enli uśmiechnął się szatańsko.

- Tak właśnie. Anioł. A teraz leć, mój piękny. Leć i zanieś mu moją zemstę!

Kruk rzucił się w powietrze i jednym zamachem skrzydeł wzbился w górę, spiesząc z wiadomością od swego pana. Enli patrzył przez chwilę, jak Krak szybuje ku Szarej Wieży i wielkiemu balkonowi zwieszającemu się nad jej zachodnią ścianą, jedyne mu ozdobionemu marmurowymi gargulcami.

Dokładnie tak, jak go wyszkolił.

Diuk Eneas zjadł solidny posiłek ze swoimi ludźmi i teraz razem z Czarnym udał się na spoczynek. Z nastaniem zimy w Szarej Wieży niewiele było roboty, a pomocna szlachta wypełniała sobie długie wieczorne godziny głównie czytaniem książek.

Odziedziczywszy po matce zamiłowanie do czytania, Eneas często brał do łóżka jakąś lekturę i stawiając na stoliku obok kubek herbaty z miodem, czytał pod czujnym okiem Czarnego, który pilnie go obserwował z klatki zawieszanej nad kominkiem. Tego wieczoru legł diukowi na żołądku nie dogotowany kawałek mięsa z gulaszu, zrezygnował więc z herbaty i poszedł do łóżka tylko z książką, ale i dieta niewiele mu pomogła. Jednak, zgodnie ze swoim zwyczajem, przeczytał kilkanaście stron, zanim odłożył książkę, by zasnąć. Korytarz na zewnątrz pogrążył się w ciszy, bo służba знаła zamiłowanie diuka do spokoju, wszyscy więc poruszali się na palcach, by mu nie przeszkodzić we śnie. O szyby balkonu tłukł się wiatr znad oceanu i Eneas słyszał poświstywanie niosące się ze szczelin w ceglach i stękanie balkonowych gargulców. Był to jedyny ozdobny balkon w całej wieży, dar od sławnego Darago, który przysłał go diukowi jako prezent na czterdzieste urodziny. Eneas początkowo uznał gargulce za parę potworów, ale Darago był znanym artystą, którego dziełami szczyciły się Katedra Męczenników w Nar i liczne wielkie dwory w całym kraju. Jego rzeźby zbierał sam imperator.

Odrzucenie podarunku rzeźbiarza byłoby nietaktem, Eneas zresztą podczas kilku następnych lat polubił szkaradzieństwo. Były teraz jak kruki - stały się dla podwładnych kolejnym dowodem dziwactwa pana Szarej Wieży.

Eneas niedługo musiał czekać na sen. Księga, którą czytał, legła na stoliku rozjaśnionym blaskiem jednej świecy. Usypiające pohukiwania wiatru ukończyły wreszcie jego żołądek, i diuk wkrótce zasnął.

Śniło mu się coś, czego nie mógł zapamiętać, kiedy do rzeczywistości przywróciło go uporczywe stukanie. Gdy zatrzepotał otwartymi powiekami, dźwięk nagle ucichł.

Wiatr?

Spojrzał na Czarnego, który też się obudził i patrzył na drzwi balkonowe. Diuk również spojrzał w tę stronę. Na zewnątrz, wczepiony szponami w drewnianą obęjmę szyby przycupnął kruk, który przyciskał dziób do szkła. Zaciekawiony i nieco oszołomiony Enli obserwował intruza i w końcu na jego twarzy powoli zaświtało zrozumienie. Dziwny kruk ponownie zastukał dziobem w szybę, jakby się domagał, by go wpuścić. Eneas zmarszczył brwi.

- Co u licha? - mruknął, spuszczać z łoża bosc stopy. Patrząc na balkon, poszukał wzrokiem innych ptaków, ale kruk był sam. Czarny wyfrunął z klatki i przysiadł diukowi na ramieniu. Eneas pogładził łepok przyjaciela, jakby szukając u niego siły. Dziwna wizyta wytrąciła go z równowagi, choć nie wiedział dlaczego. Kruk za szybą nie ustępował Czarnemu wielkością, miał też tak samo bystre wejrzenie. Diuk ruszył ku szybce i natychmiast zauważył przywiązany do nogi nocnego gościa jakiś niewielki przedmiot.

Zwinięty skrawek papieru? Wyciągnął dłoń, by otworzyć drzwi na balkon, ale nagle usłyszał pełne wrogości krakanie Czarnego.

- Spokój! - rozkazał Eneas, sam lekko wystraszony wybuchem ulubieńca. - Nie masz się czym przejmować, zazdrośniku! To tylko ptak.

Czarny uparcie protestował, diuk jednak przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

Dziwny kruk natychmiast wskoczył do środka i zaskrzeczał, domagając się uwagi. Czarny wbił mocniej szpony w ramię diuka, jakby chciał mu przypomnieć o swojej obecności.

Eneas cofnął się lekko, by uważnie przyjrzeć się przybyszowi.

- I kogóż my tu mamy, przyjacielu? - spytał Czarnego. Jego kruk syknął dziwacznie i nastroszywszy pióra, wbił wzrok w obce ptaszysko.

- Ciekawe, doprawdy... Nie ufasz mu?

Kruk, który obudził diuka, nie miał zamiaru się uspokoić. Skakał wokół jego stóp, patrzył mu w oczy i trzepotał dziko skrzydłami. Eneas nigdy nie widział tak natrętnego ptaszyska. Nawet Czarny nie umiał się tak narzucać. Diuk przykucnął. Skądś znał tego kruka, a przywiązane do jego nogi posłanie kusiło, by je przeczytać. Eneas sięgnął ostrożnie ku nitce i delikatnie poluzował węzeł. Kruk znieruchomiał, pozwalając na odczepienie zwitka papieru od swojej nogi. Uwolnwszy papier, Eneas usiadł i uważnie spojrział na ptaka.

- Skądś cię znam - stwierdził z namysłem. - Ale widziałem już tak wiele ptaków.

Coś ty za jeden?

Kruk znieruchomiał. Przez chwilę po prostu patrzył na diuka swoimi czarnymi jak węgiel ślepiami. Eneas skupił się i zagłębił w prymitywny ptasi umysł, sondując jego najgłębsze warstwy. I nagle pamięć człowieka rozświetliło rozpoznanie. Ogarnęła go fala obaw i podniecenia.

- Krak! - wykrzyknął. - To ty!

Kruk lekko uniósł głowę.

- Mój Boże!

Zdumiewające i niewyobrażalne. Krak. Jego córka. Ale w jaki sposób ptak przeleciał nad zatoką? I po co? Zdumienie diuka było tak wielkie, że na moment zapomniał o kartce. Po chwili jednak nerwowo zaczął rozwijać papier. Nie wstając z podłogi, przeczytał pisane idealnie równym pismem słowa. Treść była zwięzła i krótka. Serce diuka tłukło się w piersi jak ptak.

Drogi ojcze. „Ojcze!”

Błagam o pomoc. Czekam na zewnątrz zamku przy głównej drodze. Twój brat mnie ściga. Wiem już, kim jestem. Przybądź, proszę.

Podpis był krótki: „Nina”.

Serce Eneasa zaczęło walić jak szalone. Przez jego głowę przemknęły tysiące pytań zmieszanych z obrazami i wspomnieniami. Oddychał szybko i nierówno. Nina! Tu, pod Szarą Wieżą! Czekaj na zewnątrz. Odwrócił głowę, by spojrzeć na siedzącego mu na ramieniu Czarnego.

- Moja córka! - zwrócił się do ptaka. - Jest tutaj!

- Nie! - zaprotestował Czamy. - Nie!

Eneas zignorował sprzeciw przyjaciela. Nikt inny nie mógł posłać mu Kraka. Ptak był jego darem dla dziewczyny, teraz istniała pomiędzy nimi więź. Enli był zbyt głupi, by nauczyć się panować nad ptakiem. To musiała być jego córka i nikt inny. Patrzył na list, zastanawiając się, co robić.

- Jest zbyt przestraszona, by się zjawić pod Wieżą - stwierdził Eneas.

Do wrót jego siedziby nikt nie śmiał się zbliżyć ze strachu przed krukami. Musi do niej spieszyć! Powinien obudzić żołnierzy i ostrzec ich, że trzeba się liczyć z możliwością ataku ze strony Enliego. Zdenerwowany Eneas przytknął dłoń do ust. Jeżeli jego brat nadciągał, wszyscy byli w wielkim niebezpieczeństwie. A jak Nina się dowiedziała prawdy o tym, kto jest jej ojcem? Diuk kołysał się w tył i w przód, niezdolny do jasnego, logicznego rozumowania. Czarny patrzył na niego z gniewem, a we wzroku Kraka czaiło się szaleństwo strachu. Diuk przenosił spojrzenie z jednego ptaka, na drugiego, nie wiedząc, któremu z nich zaufać. Jeżeli gdzieś tam rzeczywiście kryła się Nina, będzie jej potrzebna jego pomoc. Teraz i zaraz. A Czarny był najpewniej po prostu zazdrosny.

Eneas spojrział w dół i uważnie przyjrzał się Krakowi.

- Możesz mnie teraz zaprowadzić do Niny? - spytał kruka, wyraźnie wymawiając każde słowo. - Do twojej pani?

- Tak - tak! - zaskrzeczał kruk. - Nina. Tak - tak!

- A więc dobrze. Prowadź.

Diuk wstał i podszedł do drzwi, otwierając je kopnięciem. Głośnym okrzykiem, który w pustych korytarzach zabrzmiał niemal jak ryk rozjuszonego olbrzymia, wezwał strażników.

- Nadciąga Enli! - grzmiał. - Zbudźcie podniebną armię! Ostrzeżcie warty i przygotujcie mojego konia. Zbliża się mój brat! I moja córka!

Diuk Enli czekał na swoją ofiarę tuż poza granicą rzucanego przez wieżę cienia, nieopodal drogi biegnącej wśród bujnie rozrośniętych drzew. Obserwował bacznie szlak i nasłuchiwał tętentu końskich kopyt. Obok niego, kryjąc się za niewielkim pagórkiem, leżeli, mierząc ku drodze, dwaj jego najlepsi kusznicy, Faren i Yory. Po drugiej stronie zaczęli się też niewidoczni L'rou i Devon, a z tyłu zajęli stanowiska Jace i Sen. Enli

wiedział, że brat nie pojawi się sam, ale też nie weźmie ze sobą zbyt licznej drużyny. Większość załogi Szarej Wieży zostanie na miejscu, by przygotować się do obrony przed napaścią. Diuk Enli miał też po swojej stronie przewagę wynikającą z zaskoczenia. Na drodze zaległ już mrok, który krył wszystkie elementy zasadzki. Enli prawie nie widział Farena i Yory'ego, którzy leżeli w odległości paru stóp. Pozostali idealnie wtopili się w tło. Diukowi było zimno, czuł jednak ulgę i grzała go myśl o zbliżającej się niechybnej zemście. Już wkrótce skończy się jego udręka, w jakiej żył po śmierci żony. Nina nigdy nie usłyszy łgarstw stryja, który beczelnie nazywał siebie jej ojcem. Na samą myśl o tej potworności szczęki diuka zwały się z nienawiści.

Anioł oczywiście nie była dziwką, ale pretensje Eneasa plamiły jej pamięć. Za tę zbrodnię Enli poprzysiął mu śmierć. Dziś wreszcie dopełni ślubu, jednocześnie pomagając Biagiowi i pracując dla Czarnego Odrodzenia.

- Pamiętajcie - zwrócił się szeptem do Farena i Yory'ego. - Jeżeli będzie ich zbyt wielu, pozwólcie im przejechać. W końcu i tak się rozdzielą i zaczną szukać Niny. A wtedy zabijecie Eneasa.

- Zbyt wielu, znaczy ilu? - spytał niespokojnie Faren. Był dzielnym żołnierzem, ale plan jego pana nie bardzo mu się podobał.

- Dziesięciu, dwunastu - odpowiedział diuk. - Nie więcej, niż tuzin. Nie martw się, aż tylu nie będzie. Znam Eneasa i wiem, że potrafi być idiotycznie ufny.

Jego brat z pewnością nie będzie się umiał oprzeć wezwaniu zawartemu w notatce.

Nie, jeżeli pomyśli, że jego autorką jest Nina. A uwierzy z pewnością, ponieważ Enli w młodości słabo sobie radził ze zwierzętami. Enli był pewien, że Eneas nie zdołał wytresować Kraka tak, by ten był mu posłuszny. Przesadna pewność siebie. Była to jedna z wad Eneasa.

Zebrani za pieniądze Biagia najemnicy zajęli pozycje u wejścia na północną mierzeję, tuż za granicą posiadłości Enliego. Po otrzymaniu rozkazu uderzą i zaczną akcję, która bez podstępów Biagia niechybnie przekształciłaby się w długie, uciążliwe i najpewniej skazane z góry na niepowodzenie oblężenie Szarej Wieży. Podniebna armia doskonale broniła dostępu do twierdzy Eneasa. Wraz ze zwykłymi strażami czyniła zamek niemożliwym do zajęcia przez wroga. Być może spod wieży odszedłby z

kwitkiem również w niesławie cały legion Vorta.

Dzisiejsza noc miała to wszystko zmienić.

- Nie zapomnijcie o ptaku - przypomniał Enli Farenowi i Yory'emu. - Zabijcie go albo złapcie, ale za żadną cenę nie pozwólcie mu odlecieć.

- A jeżeli nie będzie go miał ze sobą? - spytał Faren.

- Będzie. Nigdy się z nim nie rozstaje. Jeżeli chcesz, weźcie najpierw na cel ptaka.

Tylko nie spudłujcie! Zrozumiano?

Faren sapnął gniewnie.

- Mój panie, ciężko będzie tak po ciemku. Ale zrobimy, co w naszej mocy.

- Postarajcie się, bo będzie z nami krucho! - syknął Enli. Yory przełknął nerwowo ślinę i ponownie zajął się obserwacją drogi. Enli wziął własną kuszę, położył się na brzuchu i, oparty na łokciach, mrużąc jedno oko, wymierzył broń w drogę. Drugiej szansy nie będzie.

Serce zaczęło walić mu w piersiach, a oddech stał się płytki i nierówny. W odróżnieniu od pozostałych członków drużyny, wybranych z powodu ich strzeleckiej biegłości, on sprawiał się z kuszą zaledwie przeciętnie. Postanowił, że od razu weźmie na cel coś większego, niż kruk. Gdy tylko pojawi się pierwszy z żołnierzy, wpakuje mu belt w pierś. Z tej odległości pocisk z kuszy przejdzie przez łuski kirysu jak igła przez kartę papieru. Enli obliznął zeschnięte od wiatru wargi.

„Dobranoc, braciszku. Pozdrów ode mnie ojczulka”.

Nagle wszyscy usłyszeli jakiś dźwięk. Nadstawili uszu. Faren ostrzegawczo przyłożył palec do warg. Koń. Nie, kilka koni. Szybko się zbliżają. Diuk pochylił się jeszcze, stając się prawie niewidoczny. Powoli, ostrożnie, podniósł kuszę i zmrużył jedno oko, skupiając uwagę na mrocznym, wąskim szlaku.

Diuk Eneas nie miał nastroju odpowiedniego do sporów. Spieszył, by odszukać córkę, i głuchy był na okrzyki towarzyszy, domagających się, by wstrzymał konia. Nie zabrał nawet miecza i nie włożył kruczego hełmu, bo chciał, żeby Nina natychmiast go rozpoznała i przestała się bać. Jego ludzie jednak okazali znacznie dalej posuniętą ostrożność i rozwagę.

Każdy z nich miał kolczugę i hełm, każdy trzymał w dłoni obnażony miecz, przed

nimi zaś jechał młody giermek z pochodnią rozjaśniającą ciemności. Obudzono już kruki, które krążyły wysoko, wypatrując nieprzyjaciół nadciągających z ziemi czy z morza, zaalarmowano też strażę na murach, gotowe teraz do odparcia napastników.

Diuk Eneas gnał na czele kolumny, popędzany niepokojem i chęcią wzięcia córki w opiekę, zanim dziewczyna ponownie wpadnie w łapy Enliego. Przed nim ciągnął się mroczny i niewyraźnie rysujący się w ciemnościach szlak, a targający rudą grzywę diuka wiatr upodabniał go do komety. Czarny wczepił się w ramię pana i kracząc wściekle, miotał przekleństwa na drugie ptaszysko, które wskazywało drogę. Krak pędził przed siebie i prowadził oddział na poły skacząc, na poły podlatując.

- Mieście oczy otwarte! - zawołał diuk przez ramię do swoich ludzi. - Nie wiem, gdzie ją znajdziemy, nie wiem nawet, czy już nie wpadła w łapy mojego brata. Uważajcie na wszystko, chłopcy!

Uważali. Byli najlepszymi ludźmi z załogi Szarej Wieży i Eneas ufał, że zdołają go obronić i odnajdą jego córkę. Potem będą razem, jak to powinno się dziać od osiemnastu lat, on zaś zabierze Ninę do swej wieży, rzuci podniebną armię przeciwko bratu i skończy z trwającym od kilkunastu lat szaleństwem. Nina nareszcie zostanie jego córką.

Tak, jak tego chciała jej matka.

Skaczący przed nimi po drodze ptak głośnym krakaniem ponaglił ich do pośpiechu.

Eneas nie spuszczał Kraka z oczu, ale też i pilnie baczył na otaczające ich pagórki i drzewa, bojąc się zasadzki. Bardziej jednak obawiał się tego, że nie odnajdzie Niny przed bratem. Nie wiedział, jak dawno temu wysłała mu wiadomość. Może Enli zdążył ją już pojmać?

Od tej myśli zrobiło mu się niedobrze. Stracić ją teraz, kiedy była tak blisko...

- Pospieszcie się! - zawołał do swoich ludzi, przekrzykując wycie wiatru. - Musimy ją znaleźć!

Skaczący przed oddziałem ptak zaskrzeczał ponownie. Czarny wbił szpony w kolczugę diuka. Wjeżdżali w wąski parów, kiedy wierzchovec Eneasa prychnął potężnie, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary. Drzewa nad ich głowami przygiął podmuch wiatru.

Diuk słyszał za sobą tętent końskich kopyt i ciężkie oddechy swoich ludzi. I nagle coś świsnęło mu koło ucha. Zaraz potem rozległ się drugi i trzeci świst. Eneas zatrzymał konia i spojrzał na Kraka, który nagle wzbił się w powietrze. Zaraz potem usłyszał za sobą wrzaski swoich ludzi i poczuł, że jakiś płomień przesywa mu ramię. Czamy szarpnął się gwałtownie i poderwał do lotu. Diuk odwrócił głowę w samą porę, by zobaczyć, jak jego ptaka przesywa krótki, gruby belt.

- Co u diabła...?

Ramieniem Eneasa targnął nagły ból. Strzała przeszła przez nie prawie na wylot.

Diuk złapał się za ramię i niewiele brakło, a spadłby z konia. Otaczający go świat nagle pograżył się w chaosie. Eneas odwrócił się, by zobaczyć, jak jego ludzi kosi nieubłagana ulewa strzał.

Jeden z nich walił się właśnie na ziemię z hełmem przesytytym na wylot strzałą.

Wokół niego zbierali się przybocznicy, by go osłonić. Eneas zauważył, jak chłopiec trzymający pochodnię runął, gdy strzała przebiła mu krtań. Przez chwilę trzymał się jeszcze na kolanach, ale niemal natychmiast z ust trysnęła mu krew i zwałił się na plecy. Tuż obok niego, na ziemi leżał Czarny, rozdarty przez belt niemal na dwie części. Eneas uniósł się w siodle, sięgnął po miecz i bluznął w mrok przekleństwami.

- Enli! - ryknął. - Ty morderco! Pokaż się, nędzniku!

Odpowiedziała mu kolejna strzała, która tym razem wbiła się w jego pierś. Eneas raz jeszcze zaklął i zgiął się w pół. Przez chwilę jeszcze trzymał się w siodle, ale położyła temu kres kolejna strzała. Ugodziła konia w czoło i powaliła go na ziemię. Diuk puścił miecz i runął na ziemię. Upadek wybił mu dech z piersi. Jego przybocznicy wpadli w szal.

Wbijali wzrok w ciemności, usiłując dostrzec choć jednego z wrogów, ale ukryci wśród drzew napastnicy spokojnie wybierali cele i raz po raz pozbywali się któregoś z poddanych Eneasa.

Diuk Eneas zdołał się jakoś przetoczyć na pobocze i krzyknął ku swoim, by się schowali. Sam ukryty zobaczył, że zza drzew wyłania się kilkudziesięciu odzianych w czerń napastników, którzy obnażywszy rapiery, otoczyli jego ludzi. Zaraz też zaczęła się zaciekle walczyć. Eneas zdołał jakoś dźwignąć się na nogi. Zacisnąwszy dłonie w pięści, ruszył ku drodze.

- Enli! - zagrzmiął z furją. - Tu jestem! No chodź!

I nagle na jego krtani zacisnęło się muskularne ramię, zaraz też poczuł pod brodą sztych sztyletu.

- Jestem, braciszku!

Eneas znieruchomiał. Sztylet wbił się nieco głębiej i diuk poczuł, że po jego krtani sączy się strużka krwi.

- Enli! - wycharczał. - Ty draniu!

Zawierucha na drodze już wygasła. Na oczach diuka zwalono jednego z jego wojów, potem drugiego i trzeciego. Zabójcy w czerni świetnie znali swój fach. Eneas się zakrztusił - częściowo dławiła go wściekłość, a częściowo krew z przebitego strzałą płuca.

- Gdzie jest Nina? - wyszeptał diuk, oddychając z najwyższym trudem. - Coś ty z nią zrobił?

- Nina? - odezwał się stojący tuż za nim brat. Puścił Eneasa, który opadł na kolana.

Eneas podniósł wzrok, wciąż charcząc i chwytając się za pierś. W świetle gasnącej już pochodni zobaczył patrzącego na niego z pogardą brata. Z nieba sfrunął kruk, który bezczelnie usadowił się na ramieniu Enliego.

- Zdradzieckie gnojki! - syknął Eneas pod adresem ptaka i brata.

Z tyłu doleciały go jęki jego konających ludzi. Słyszał też świst głowni tnących ciała i błaganie młodego giermka, by go oszczędzono. A potem zapadła cisza. Eneas wbijał wzrok w brata. Wokół niego zaczęli gromadzić się zabójcy. Twarz Enliego była ogarnięta szaleństwem i zupełnie nie przypominała oblicza, które Eneas pamiętał z przeszłości. W oczach brata płonął dziki ogień tryumfu, a siedzący na jego ramieniu ptak uśmiechał się owym szczególnym, ptasim uśmiechem. Eneas wiedział, że zostało mu już tylko kilka minut życia. Z najwyższym trudem bronił się przed upadkiem, a każdy oddech przesywał jego pierś ogniem bólu.

- Moja córka - jęknął. - Gdzie ona jest?

- Moja córka została w domu, drogi bracie - odpowiedział Enli. - Tam, gdzie jest jej miejsce.

Eneasowi chciał się roześmiać, wyszedł mu jednak tylko charkot.

- Dowiedziała się prawdy? O tym, że jestem jej ojcem?

- Nie, twoje łągarstwa jej nie dosięgły. Ona wie, że ja jestem jej ojcem. - Enli zmrużył oczy. - I nigdy już nie usłyszysz żadnego z twoich łągarstw, bo zdechniesz tu jak pies, Eneasio!

- No to mnie zabij! - Eneas rozłożył ręce, zapraszając brata do zadania zabójczego ciosu. - No, dalejże! Weź i to na swoje sumienie. Zabij mnie, jak zabiłeś swoją żonę!

Enli uderzył brata w twarz.

- Bezczelny kłamco! - ryknął. - Ja ją kochałem! I nadal Kocham. A ty mi ją odebrałeś!

Eneas zaśmiał się tryumfalnie. Anioł nigdy nie kochała Enliego. Przekonawszy się, jakim jest szaleńcem, próbowała od niego uciec. A Enli ją za to zabił.

- Żyj z tym kłamstwem, bracie - odezwał się cicho. - Zabij mnie i odeślij do mojej ukochanej. Jeżeli to zrobisz, nareszcie się z nią spotkam.

Jego brat zatrząsał się z wściekłości. Sztylet w jego dłoni lekko zadygotał.

- Niech cię piekło pochłonie! - ryknął. - Obyś zgorzał za to, że mnie do tego zmuszasz!

- Umieram, bracie! - ponaglił go Eneas. - Pospiesz się. Weź sobie tę twoją zemstę, bo za chwilę będzie za późno.

- Ukradłeś mi ją!

- No, zabij mnie wreszcie, ty nędzny tchórz!

Enli wydał z siebie dziki, przenikliwy wrzask. Ujrzawszy, że brat stracił nad sobą kontrolę, Eneas poczuł, iż opuszcza go wszelki gniew. Nie opuściwszy rozłożonych ramion, spokojnie przyjął śmiertelny cios.

Enli stał nad ciałem brata przez krótką chwilę, która jemu jednak wydała się wiecznością. Światło pochodni zdążyło już zgasnąć i okolica pogrążyła się w mroku. Było zimno i diuk zadrżał, czując ciepło spływających mu po twarzy łez. Wiedział, że patrzą na niego jego ludzie. Faren gapił się z niedowierzaniem, a Devon aż otworzył usta.

Enli nie mógł jednak się ruszyć, nie mógł się nawet zmusić do otarcia sztyletu z krwi brata.

Stał się oto mordercą. Czuł to tak samo, jak powiewy wiatru na policzkach. Załzawionymi oczami spojrzął na leżące u jego stóp ciało. Tknął Eneasa czubkiem buta i nie bez zdziwienia stwierdził, że brat się nie rusza.

- Diuku? - odezwał się Faren niepewnym głosem. - Diuku, musimy się pośpieszyć.

- A tak... - powtórzył machinalnie Enli. - Musimy się pośpieszyć...

- Panie, ptak nie żyje. Twój plan...

- Tak - powtórzył Enli. - Plan...

Krak wciąż jeszcze siedział na jego ramieniu. Enli odetchnął, przetarł oczy i skinieniem dłoni wskazał ciało brata.

- Rozbierzcie go - rozkazał. - Szybko.

Sam zaczął zdejmować odzież, powoli rozpinając guziki kurtki. Jego ludzie rzucili się na trupa i bezceremonialnie zwlekli z niego niemal wszystko. Milczący przez cały czas Yory podszedł do martwego Czarnego i podniósłszy go z ziemi, podał diukowi. Srebrny łańcuch wciąż dyndał na skręconym karku. Enli westchnął z ulgą.

- Zdejmij ten łańcuch. Uważaj, by go nie zerwać.

Yory bardzo ostrożnie zdjął łańcuch z szyi martwego ptaka, prawie odrywając mu głowę, gdy szukał zatrzasku. W końcu zwolnił zaczep i podał niezgrabnie łańcuch swemu panu. Enli, który zdążył już zdjąć koszulę, zwrócił się do Kraka.

- Spokojnie... - wyszeptał, przekładając ozdobę nad głową kruka. - Nie bój się, nic ci nie zrobię.

Zdumiało go nieco to, że Krak przechylił łepkę, pozwalając sobie włożyć łańcuch bez żadnych oporów. Diuk upewnił się, czy ozdoba nie spadnie w czasie lotu. W końcu zadowolony podniósł ptaka na rękę i uśmiechnął się do niego szeroko.

- Piękny jesteś, mój mały - powiedział cicho. - A teraz leć. Sprowadź tu twoich braci i siostry.

Uniósł dłoń w powietrze i Krak wzbił się do lotu, natychmiast znikając w ciemnościach. Enli przez chwilę patrzył tęsknie w górę.

- Mój panie! - ponaglił go Faren. - Zechciej się ubrać. Kuisz śmierć!

Zimno było wprost nieopisanie, ale Enli w ogóle tego nie spostrzegł, dopóki nie usłyszał ostrzeżenia sługi. Żołnierze przynieśli mu kurtkę i kolczugę, i Enli włożył je pośpiesznie, nie spuszczać wzroku z nagiego ciała swego brata, leżącego na poboczu drogi, naszpikowanego strzałami i broczącego jeszcze krwią od rany zadanej sztyletem w pierś.

Ubranie Eneasa było ciepłe i zakrwawione. Enli czuł zapach brata. Wdziewał jedną część odzieży po drugiej, a na koniec zapiął pas z mieczem. Potem machnął ręką, wskazując ciało Eneasa.

- Zabierzcie go gdzieś - rzekł z niesmakiem. - I pospieszcie się. Kruki nie mogą go zobaczyć.

Yory i Jace natychmiast wykonali rozkaz diuka, dość bezceremonialnie odciągając trupa Eneasa pomiędzy drzewa. Przenieśli go daleko, by kruki nie zwęszyły jego zapachu i nie zobaczyły go z góry. Enli wiedział, że gdyby tak się stało, ptaszyska zwróciłyby się przeciwko niemu. Były to inteligentne stworzenia, które do kruczego plemienia dałoby się zaliczyć tylko wtedy, gdyby pojęcie „ptak” mocno naciągnąć. Pojawiły się na świecie w wyniku wieloletnich starań i wysiłków Eneasa. Jak zrodzona w laboratoriach wojennych Lorla, stały się stworzeniami, o których Matka Natura nigdy by sama nie pomyślała. Faren i pozostali ustawili się obok Enliego, niespokojnie zerkając ku niebu. Żaden z nich nie wiedział, czy wymyślny plan się powiedzie, ani ile czasu upłynie, zanim kruki uznają w Enlim swojego pana. Załoga Szarej Wieży niewątpliwie z niecierpliwością czekała na powrót pana. Jeżeli Eneas szybko nie wróci, ruszą go szukać, a wtedy będzie ich więcej.

Enli wzdrygnął się nagle na myśl, że zemsta na bracie może i jego kosztować życie.

Nie chciał umierać tu, na północnej mierzei.

Czekali dość długo, aż w końcu Yory i Jace wrócili z lasu, umazani krwią Eneasa.

Mieli lekko zaskoczone miny, jakby zdziwiła ich nieobecność ptaków, ale nie powiedziawszy ani słowa, stanęli obok reszty drużyny i jak tamci, zwrócili wzrok na wschód.

Enli poczuł, że zamiera w nim serce. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że ptaki mogą nie przylecieć.

Ale przynajmniej zabił Eneasa.

- Matko Święta! - stęknął nagle Faren, wskazując tarczę księżyca. - Spójrzcie tylko!

Enli popatrzył ku niebu. Z daleka wysuwała się ku nim jakby czarna dłoń, utworzona z tysięcy drobnych, czarnych, lśniących punkcików. Ludzie Enliego cofnęli

się przerażeni; niektórzy zaczęli się żegnać, inni, drżąc na całym ciele, zabrali się do modłów.

Enli jednak stał niewzruszenie, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. Pan Czerwonej Wieży szeroko rozłożył ramiona, jakby chciał nimi objąć całe nieboskłon i uśmiechając się szaleńczo, wzywał ku sobie podniebną armię.

Trzynaście PRZECIWKO „NIEUSTRASZONEMU”

„Księżę Liss”, płynąc pod pełnymi żaglami, rozcinał dziobnicą białe, gnające mu na spotkanie grzywy fal i szedł kursem północ ku północnemu zachodowi wzdłuż wybrzeży Nar.

Zgodnie z rozkazem dowódcy eskorta została za nimi, okręt zaś miał tylko dwa dni drogi do Czarnego Grodu. Towarzyszące „Księżciu” jednostki, takie jak „Mściciel”, „Topór Bojowy” i inne, czekały u brzegów Casarhoon, jednej z położonych na południu prowincji Imperium, gdzie miały łupić, co się tylko dało, z pływających tam, słabo uzbrojonych okrętów nareńskich. „Księżę Liss” samotnie popłynął na północ.

Podczas gdy statek znów płynął ku mrozom i chłodom, zgarbiony nad mapami komandor Prakna czekał w swojej kajucie. „Szarej Pani” nie widziano od tygodnia, co było znacznie dłuższym okresem czasu, niż trwanie jej patrolu, i Prakna zaczął się martwić jej nieobecnością. Podczas rejsu na południe prawie nie widywali nareńskich okrętów, ocean jednak był rozległy i nawet okręt liniowy mógł się przemknąć obok nich niepostrzeżenie.

Niedawno odbyli rejs na południe, by się choć trochę ogrzać na cieplejszych wodach, Prakna zaś osobiście skierował „Szara Panią” na północ, by przeszukała wody w pobliżu nareńskiej stolicy. Kapitan Haggi był żeglarzem ze wszech miar ostrożnym i Prakna ufał jego rozumowi.

Haggi był także jego przyjacielem i Prakna zastanawiał się teraz, czy wysłanie na północ jednego okrętu bez towarzystwa było posunięciem roztroprnym. Z drugiej strony nic nie świadczyło o tym, że rejs jest niebezpieczny, a Haggi sam chętnie podjął się tej misji.

Zasepiony teraz Prakna rozmyślał o tym wszystkim, mierząc podejrzliwym wzrokiem mapy i ruty. „Szara Pani” była pięknym statkiem, ale w starciu z którymkolwiek imperialnym liniowcem nie miałyby szans.

Ta zabawa w kotka i mysz z Narenami mocno już Praknę zmęczyła. Była zresztą niebezpieczna i Prakna rozumiał, że ostatnie sukcesy uderzyły mu do głowy.

Jeśli dobrze wiedział, Czarna Flota wciąż stała na kotwicach wokół Crote i

ochroniała Biagia, co otwierało morza przed szkunerami z Liss. Po spuszczeniu na dno statku handlarzy niewolników Prakna skierował dzioby statków na południe i spustoszył portowe miasteczko Karva. W tej zawierusze nie stracił ani jednego człowieka, co samo w sobie należałoby uznać za sukces, a potem ruszyli na Dahaar, gdzie przyłapali flotyllę statków kupieckich płynących z towarami do Czarnego Grodu. Te również posłano na dno - wszystko po to, by wreszcie zmusić zgromadzonych wokół Crote kapitanów Czarnej Floty do podniesienia kotwic. Teraz, gdy Prakna rozmyślał o zagadkowym losie „Szarej Pani”, nie był pewien, czy to wszystko miało jakiś sens.

Robiło się coraz zimniej, ale popołudnie było piękne. Prakna pracował przy blasku sącących się przez bulaj promieni słonecznych. Marus i inni oficerowie na pokładzie nadzorowali pracę załogi. Dach nad głową komandora trzeszczał znajomymi odgłosami okrętu płynącego pod żaglami. Pomimo szaleństwa, jakim był jego zamiar samotnej wyprawy poszukiwawczej, załoga ochoczo zabrała się do dzieła. Długie tygodnie pobytu na morzu zrobiły z nich bandę wychudzonych i nerwowych drabów, wciąż jednak pozostawali najlepszą załogą, jaka się kiedykolwiek trafiła Praknie i można było na nich liczyć w każdych okolicznościach. Jeżeli gdzieś tam na północy mieli się natknąć na jakieś kłopoty, Prakna nie chciał w nie wciągać reszty swojej eskadry. Był pewien, że „Książę” zdoła umknąć każdemu liniowcowi, pod warunkiem oczywiście, że dostrzegą Narena pierwsi. „Szara Pani” mogła nie mieć tyle szczęścia. W tym zresztą zasadzała się cała sztuka walki z liniowcami.

Ich dalekonośne ogniomioty mogły jednym, dobrze wymierzonym zniecka strzałem spalić całe ożaglowanie szkunera. Ale okręty nareńskie były ciężkimi łajbami, których kapitanowie mogli tylko pozazdrościć Lisseńczykom zwrotności i szybkości ich szkunerów. A Haggi był doświadczonym żeglarzem. Jeżeli natknąłby się na jakieś liniowce, wiedziałby, co robić.

Taką przynajmniej Prakna miał nadzieję.

„Zbyt szybko” - pomyślał Prakna. Haggi zawsze pływał za szybko. Jeżeli trafiłby na okręt liniowy, mogło mu zabraknąć czasu na dokonanie zmiany kursu, albo na wymanewrowanie butnych piekielników. A tamtym wystarczył jeden celny strzał.

Ofuknął sam siebie za brak wiary i odsunął mapy na bok, kryjąc zmęczoną twarz w dłoniach. Od dwóch dni - jak zresztą wszyscy członkowie jego załogi - nie miał zbyt

wielu okazji do snu. Żegluga przybrzeżna wymagała wielkiej uwagi. Nie byli już na głębokich wodach i każdy mógł ich tu zobaczyć. Musieli zachować dalece posuniętą czujność.

Prakna jednak czuł, że niedługo już tak wytrzyma. Jego myśli nieustannie się rozbiegały i coraz trudniej było mu je zebrać. Okrzyk z pokładu początkowo w ogóle nie zrobił na nim wrażenia, ale zaraz go powtórzono. Prakna uniósł głowę. Ktoś zbiegał po trapie do jego kajuty. Zaraz potem rozległo się łomotanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wychylił zza nich głowę kapitan Marus.

- Komandorze, to „Szara Pani” - wypalił. Na jego twarzy malował się cały trud trudnego rejsu. - Nareszcie ją zobaczyliśmy!

Prakna zerwał się z krzesła i ruszył ku drzwiom.

- Gdzie ją zobaczono? Płynie sama?

- Nie - stwierdził Marus. - Ma towarzystwo liniowców.

- Przekleństwo. Ile ich jest?

- Chyba trzy, komandorze. Na razie trudno rzec coś pewnego, bo są daleko.

Ścigają „Szara Panią”.

Obaj szybko wspięli się po trapie i wyskoczyli na pokład, gdzie oficerowie wykrzykiwali rozkazy swoim podwładnym. Kanonierzy szykowali działa, nabijając je prochem i kartaczami. Obserwatorzy z bocianich gniazd wskazywali kierunek północny, leżący prosto na kursie. Prakna zapiął kurtkę i spojrzał nad dziobem. W pewnej odległości pruća mocno przechylona na jedną burtę „Szara Pani”, za którą gnały pod pełnymi żaglami trzy liniowce, spieszące by dostać szkuner w zasięg swoich dział. Tuż za „Szara Panią” pędził jeszcze jeden okręt, mniejszy od liniowców - prawdopodobnie fregata. Zajądło prześladowała „Szara Panią” i płynąc równolegle, zaganiała szkuner ku brzegowi. Na horyzoncie wznosiła się niczym góra potężna sylwetka jeszcze jednego okrętu, olbrzymiego, złowrogiego, o prostokątnych żaglach, którego dziób wznosił się nad wodą niczym skalna ostroga.

Ujrzawszy go, Prakna otworzył usta.

- O Boże... - wyszeptał. - „Nieustraszony”!

- Komandorze? - odezwał się Marus. - Jakie rozkazy?

- Utrzymać kurs - odpowiedział Marus. - Podpłynijmy bliżej. Przenieść wszystkie

działa na sterburtę. Osłonimy ucieczkę „Szarej Pani”. Ruszaj, człowieku.

Szybciej!

- Aye, sir! - odpowiedział Marus, natychmiast przystępując do działania.

Chwyciwszy jednego z kadetów, ruszył z nim ku działom. Na pokładzie „Księcia” było ich tylko cztery, ale można je było łatwo przemieszczać z burty na burtę, co czyniło z nich idealną broń dla lekkich szkunerów. Co prawda kryły w sobie spore niebezpieczeństwo, gdyż nie zamontowano ich na stałe. Miały też oczywiście mniejszą nośność niż potężne działa okrętów liniowych. Naładowane kartaczami mogły jednak poczynić spore spustoszenie w takielunku wrogiego okrętu, a nawet go unieruchomić. Marus wraz z grupą kanonierów zajął się teraz przenoszeniem dział na prawą burtę i osadzaniem ich w prowizorycznych łożach.

Łoża poumieszczano w pewnej odległości jedno od drugiego, by iskry z jednego działa nie spowodowały zapłonu w sąsiednich. Kanonierzy unieśli lonty, gotowi do strzału.

Nieprzyjaciel wciąż jeszcze znajdował się poza zasięgiem, ale kurs „Księcia” niósł go prosto na wrogie okręty.

Prakna przeszedł na dziób, patrząc w morze. Czuł się tak, jakby ktoś odkręcił w nim jakiś kurek i rozładował jego wewnętrzne napięcie. Widok „Nieustraszonego” wywołał na jego twarz zły uśmiezek. Przekonał się oto, że udało im się odciągnąć lewiatana od Crote, choć wciąż jeszcze nie dowierzał swemu szczęściu. Ale „Szara Pani” była w opałach.

Podbiegł do niego porucznik Vax, który podał mu lunetę. Był to człowiek młody, wysoki i chudy. Dobrze się spisywał na morzu, ale widok „Nieustraszonego” i liniowców powlókł mu twarz bielą.

- „Szara Pani” dostała - powiedział drżącym głosem. - Zechciej popatrzeć, komandorze.

Prakna przyłożył lunetę do oka. Zobaczył „Szara Panią”, która płynęła ku nim co sił w żaglach. Okryte pancierzem boki szkunera znaczyły brzydkie plamy trafień ogniomiotów.

Jeden ze sztaksli miała podarty w strzępy, osmolony zaś bukszpryt i jego ożaglowanie też nie nadawały się do użytku. Uszkodzony szkuner płynął z prędkością

nieznacznie tylko większą od prędkości liniowców. Ścigająca ją fregata była za rufą i manewrowała tak, by zająć pozycję dogodną do otwarcia ognia. Nieco dalej dwa liniowce rozplywały się na boki, jakby rozciągały sieć. Potężny „Nieustraszony” trzymał się z tyłu, gdyż nie mógł rozwinąć szybkości dostatecznej, by zagrozić choćby nawet uszkodzonemu szkunerowi. Prakna odjął lunetę od oka i złożył ją, wydając westchnienie pełne bezsilnej wściekłości. Z pokładów liniowców niewątpliwie dostrzeżono już „Księcia”. Byli jednak zbyt daleko, by im zagrozić.

Praknę martwiła tylko fregata.

- Fregata manewruje, by dopaść „Szarą Panią” - zwrócił się do Vaxa. - Prawdopodobnie próbują tego od kilku dni. Spróbujemy ją odpędzić. Poruczniku, wszystkie żagle w górę! Kurs na jej sterburłę.

- Pomiędzy nich? - spytał Vax z niedowierzaniem w głosie.

- W sam środek. Odetniemy drani od „Szarej Pani”. Pospieszcie się! Jazda!

Vax kiwnął głową i przekazał rozkaz dalej. „Książę” przechylił się w lewo, kiedy jego dziób skierował się pomiędzy „Szarą Panią” i jej prześladowcę. Jeżeli się pospieszą - a Prakna wiedział, do czego zdolny jest jego okręt - zdążą wejść w środek i odpalić działa z prawej burty, zanim liniowce podejną bliżej.

- Chłopcy, zróbcie trochę hałasu! - zagrział, zwracając się do członków swojej załogi. - Chcę, by te skurczybyki się dowiedziały, że tu jesteśmy!

Admirał Danar Nicabar stał na forkaasztelu „Nieustraszonego” i krzywił twarz w uśmiechu, w którym radość szła o lepsze z niedowierzaniem. W odległości dwóch dni drogi od Nar nie tylko dostali lisseński szkuner, ale w jego sieć wpadła większa rybka, prawdziwie warta zachodu. Admirał zatarł dłonie, z niecierpliwością czekając na bitwę. Raz tylko z daleka widział „Księcia Liss”, ale flagi Lisseńczyka i kształtu jego dzioba nie można było nie rozpoznać. Okręty Nicabara od dwóch dni ścigały uciekający szkuner, w nadziei, że naprowadzi flotyllę na większe lisseńskie zgrupowanie. Mogli spalić szkuner do stępki, ale zadali mu tylko lekkie uszkodzenia, Nicabar zaś wstrzymał się z rozkazem zatopienia wroga.

Biagio chciał, by Lisseńczyki zobaczyli Czarną Flotę pod Nar i Nicabar, który nigdy nie kwestionował rozkazów hrabiego, postanowił, że pozwoli szkunerowi uciec. Teraz jednak mógł sobie pozwolić na odrobinę satysfakcji. Sam Prakna przekonał się, że

pod Nar pojawił się „Nieustraszony”, teraz więc Nicabar mógł zatopić uszkodzoną, uciekającą jednostkę.

- Jesteś dzielnym i sprytnym durniem, Prakna - mruknął cicho, przyglądając się rozgrywającemu się przed nim dramatowi.

Prakna wpłynął pomiędzy szkuner i „Nieustraszonego”. Jeżeli miał na pokładzie „Księcia” jakieś działa, kazałby je przenieść na sterburtę, by ostrzelać takielunek fregaty.

Nicabar miał nadzieję, że kapitan Carce zdążył się tego domyślić. Czy Carce w ogóle rozpoznał „Księcia”? Nicabar zmarszczył brwi. Fregata była szybka, ale niestety nie miała dostatecznej prędkości. Admirał spojrzął na prawo, ku liniowcowi „Sławny”. Okręt zostawał w tyle za „Nieustraszonego” i trzymał się nieco z boku. Jeżeli Prakna popłynie dalej tym kursem, zanieś go prosto na „Sławnego”.

- Kapitanie Blasco - zwrócił się do swego zastępcy, który stał tuż za nim i czekał na rozkazy. - Zarządźcie zmianę kursu. Dziesięć stopni na sterburtę, ku „Sławnemu”. Niech i Prakna ma trochę zabawy...

- Aye, sir - Blasco potwierdził odebranie rozkazu szerokim uśmiechem. - Czy przygotować działa?

Nicabar dość długo milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie chciał zatopić „Księcia”, nie życzył też sobie, by Lisseńczyka za bardzo uszkodzono. Był im potrzebny jako przynęta. Prakna miał powiadomić innych o obecności Czarnej Floty pod Nar.

Biagio znów udowodnił, że ma rację. Admirał uśmiechnął się skąpo. Może Herrith miał rację, mówiąc o Biagiu, że jest wcielonym diablem?

Wreszcie podjął decyzję.

- Owszem, zabierzcie się za wytaczanie dział. Trzeba trochę utrzeć nosa temu Lisseńczykowi.

„Księżę Liss” błyskawicznie zbliżał się ku „Szarej Pani”. Prakna widział ją teraz wyraźniej - rozpaczliwie zmieniając hals, usiłowała ująć fregacie. W zwykłych okolicznościach szybsze okręty lisseńskie bez trudu wyprzedzały jednostki nareńskie, zbudowane według przestarzałych już planów, ale stan takielunku „Szarej Pani” nie pozwalał jej teraz na ostrzejsze stawanie do wiatru. Wyglądało na to, że prędkości obu przeciwników są mniej więcej równe, a ponieważ „Szara Pani” wciąż była poza

zasięgiem ognia ścigającej ją fregaty, ta zaprzestała ostrzału. Z pokładu szkunera niewątpliwie zobaczono idącego mu z pomocą „Księcia”, „Szara Pani” trzymała się więc teraz kursu, który pozwalał Praknie szybko wejść pomiędzy oba okręty. U sterburty „Księcia” przygotowano już działa, a kanonierzy mierzyli wzrokiem odległość, szykując się do otwarcia ognia. Fregata zwolniła, a z pokładu „Nieustraszonego” nie przekazano żadnych rozkazów. Prakna dostrzegł jednak, że wielki liniowiec zmienił kurs, idąc tak, by przeciąć „Księciu” drogę, i Prakna raz jeszcze rozważył w myślach wszystkie elementy swojego planu. „Książę” szedł już kursem, który miał go zawieść ku jednemu z mniejszych liniowców, i Lisseńczyk zakładał, że jego okręt, szybszy i mogący płynąć znacznie ostrzej do wiatru, poradzi sobie z mniej zwrotnym, choć lepiej uzbrojonym przeciwnikiem. Teraz jednak szedł na niego też „Nieustraszony”.

Musiał więc albo zmienić kurs, skazując tym samym na zagładę „Szara Panią”, albo zaryzykować starcie z dwoma liniowcami. Zaklął pod nosem, dość głośno, by Marus go usłyszał.

- Zmieniamy kurs? - spytał niespokojnie kapitan.

- Nie, nawet o włos.

- Ale... „Nieustraszony”...

- Marusie, sam widzę.

Kapitan umilkł. Nie był tchórzem i Prakna wiedział, że wykona każdy rozkaz.

„Książę” trzymał się poprzedniego kursu i po paru minutach znalazł się w odległości kilku lig od dwóch wrogów. „Szara Pani” szła ostro na bakburtę, by jak najszybciej zbliżyć się do „Księcia”. Idąca za nią fregata nie zmieniła kursu, ciągnąc prosto na „Księcia”, jakby chciała go staranować. Lada chwila miała wejść w zasięg gotowych do otwarcia ognia na jej takielunek dział „Księcia”. Płynący w głębi liniowiec z lewej strony rombowej formacji Narenów zmienił kurs, by przeciąć drogę „Księciu”, a „Nieustraszony”, idąc pod pełnymi żaglami, też się zbliżał nieubłaganie jak przeznaczenie.

- Bliżej! - zawołał Prakna do sternika. - Jeszcze bliżej!

Musieli podejść bliżej, by wskórać coś ogniem z dział, które miały niewielki zasięg.

Lonty w dłoniach kanonierów sypały skrami, jakby nie mogły się doczekać

chwili, w której opadną na panewki dział i wyślą ku wrogom ładunki kartaczy. Prakna obejrzał się przez ramię, pragnąc zlokalizować trzeci liniowiec. Naren też zmienił kurs i zbliżał się do uszkodzonej „Szarej Pani”. Serce komandora zamarło, ściśnięte złowrogim przecuciem.

Idący tym kursem nieprzyjacielski liniowiec mógł za chwilę dotrzeć do szkunera i otworzyć ogień, zanim Prakna zdoła uporać się z fregatą. Zgrzytnął zębami w bezsilnej wściekłości.

- Gotuj się! - zawołał do kanonierów. „Szara Pani” skryła się za rufą „Księcia”.

- Gotuj...

Nareński liniowiec wchodził w zasięg strzału.

- Gotuj...

„Szara Pani” ocalała. Znajdująca się w odległości jednej ligi fregata szła prosto na śródokręcie „Księcia”, nie zmieniając kursu, jakby jej dowódca za wszelką cenę postanowił staranować lisseński okręt. Prakna zwinął dłoń w pięść i ryknął.

- Pal!

Z pokładu „Księcia” zagrzmiały działa. Jedno po drugim rzygały ładunkiem śmierci, kołyszając szkunerem. Ich lufy raz po raz błyskały ogniem, wyrzucając złowrogie kartacze.

Cały pokład zasnuł się dymem. Prakna zmrużył oczy, by dostrzec coś przez sinawą mgłę.

Takielunek fregaty smagał ognisty deszcz, który siejąc spustoszenie, rwał liny, łamał reje i darł żagle, wszystko jednocześnie podpalając. A jednak fregata parła przed siebie, uszkodzona, ale wciąż trzymająca się kursu. Prakna okrzykiem wydał rozkaz sternikowi, by skręcił ostro na bakburtę, by uniknąć kolizji. Szkuner położył się na nowy kurs, przechyliwszy się tak ostro, że niewiele brakło, a kilku marynarzy poleciałoby za burtę.

Kanonierzy gorączkowo przeładowywali działa, ale fregata już znalazła się poza zasięgiem.

Nareński okręt minął szkuner w odległości kilku jardów i Prakna nie bez satysfakcji zobaczył, że takielunek wroga płonie i rozpada się bardzo szybko. Ale trzeba było pomyśleć o coraz bliższych „Nieustraszonym” i liniowcu. Trzeci z nareńskich

okrętów ciągnął na „Szarą Panią”, która przed chwilą o włos umknęła fregacie.

Z pokładu „Nieustraszonego” sygnaliści przekazywali rozkazy admirała skierowane do okrętów eskorty. „Sławny” miał z dogodnej pozycji otworzyć ogień do „Księcia”.

Polecenia dla kapitana „Czarnego Grodu” były bardziej jednoznaczne.

Zatopić uszkodzony szkuner.

Stojący na dziobie „Nieustraszonego” Nicabar patrzył, jak Prakna kieruje swój okręt pomiędzy ofiarę i „Niestrudzonego”. Wybuchnął nawet śmiechem, ujrawszy zniszczenie takielunku „Niestrudzonego”, przeklinając jednocześnie głupotę Carce’a, który liczył na staranowanie „Księcia”. Teraz pozbawiona żagli fregata będzie musiała powoli, z podkulonym ogonem wrócić na Crote. Ale zuchwałość Prakny mogła go drogo kosztować.

Teraz niosło go ku „Nieustraszonemu” i „Sławnemu”, i musiał przejść pomiędzy nimi tak samo, jak niedawno wdarł się pomiędzy „Niestrudzonego” i jego ofiarę. Tym razem jednak kanonierzy „Niestrudzonego” skierowali lufy dział ku przodowi, a i „Nieustraszony” ustawiał się tak, by otworzyć ogień.

- Ster lewo dziesięć! - zawołał Nicabar do swego kapitana, który natychmiast przekazał rozkaz sternikowi. Olbrzymi okręt zwrócił się w lewo, sterburtą na „Księcia”. Na pokładzie artyleryjskim syknęły ozywające ogniomioty. „Nieustraszony” miał dwie baterie po sześć luf z każdej burty. Jedno trafienie mogło bez trudu zniszczyć takielunek „Księcia”, który za kilka już chwil miał się znaleźć w zasięgu ognia. Nicabar wiedział, że musi zachować ostrożność. Nie zamierzał uszkodzić Lisseńczyka, chciał mu tylko dać nauczkę.

Po kilku chwilach „Nieustraszony” znalazł się na dogodnej pozycji. Górnym pokładem zatrzęsło, gdy na pokładzie artyleryjskim zaczęto obracać działa.

Tymczasem „Sławny” podjął śmiałą próbę zmiany kursu, ustawiając się równoległe do „Księcia”. Oba liniowce płynęły na południowy wschód, podczas gdy „Książę” kierował się prosto pomiędzy nareńskie okręty, płynąc kursem północno zachodnim. Nicabar wiedział, że pozornie głupie posunięcie da Praknie możliwość ucieczki.

- On nas bierze za idiotów! - syknął admirał rozjuszony lekceważeniem, jakie

okazywał im przeciwnik. - Prakna, przysięgam ci, że któregoś dnia cię za to zabiję! - Odwrócił się i zawołał przez ramię: - Blasco! Gotuj się do otwarcia ognia! I raz jeszcze przekażcie sygnał na „Czarny Gród”! Na co, u diabła, oni czekają?

„Książę Liss” parł przed siebie z pełną prędkością. Prakna czuł powiewy wiatru na twarzy. Przyglądając się rosnącej sylwetce „Nieustraszonego”, komandor poczuł ogarniającą go falę strachu. Z lewej zachodził go mniejszy liniowiec, który miał ich już prawie w zasięgu z pewnością gotowych do strzału dział. Za sterburtą wznosił się jak góra z morza „Nieustraszony”, którego działa mogły już ich ugodzić, choć nie wiadomo dlaczego gigant nie otwierał ognia. Oba liniowce miały minąć „Księcia” z dwóch stron i Prakna czekał na morderczą salwę. Gorączkowo obracał w myślach wszystkie możliwe posunięcia swoje i wroga. Jego własne działa na sterburcie znów były gotowe, komandor wiedział jednak, że niczego nimi nie wskóra przeciwko potężnemu opancerzeniu okrętu flagowego Nicabara, nie wydawał więc rozkazu otwarcia ognia. Kartacze po prostu odbiłyby się od kadłuba olbrzyma.

Nie miał też dział na bakburcie, zza której nadciągał mniejszy liniowiec, ale i tym się nie przejmował. Ten Naren też był opancerzony dostatecznie, by oprzeć się atakom szkunerów.

Prakna nabrał zimnego wiatru w płuca i podjął decyzję.

- Marusie - odezwał się szybko do zastępcy. - Ster w lewo. Skieruj nas na mniejszy okręt.

- Aye, sir! Ster w lewo! - powtórzył Marus i okrzykiem przekazał rozkaz sternikowi.

„Książę” natychmiast skrzył na bakburtę, naprowadzając lśniący taran na mniejszy liniowiec. I nagle powietrzem wstrząsnął potężny huk. Prakna spojrzał na „Nieustraszonego” pewien, że Nicabar właśnie otworzył ogień. Ale nie, działa giganta milczały.

Grzmiał trzeci liniowiec, ten który pognał za „Szarą Panią”. Spojrzawszy w jego stronę, komandor zobaczył, jak ożyły lufy ogniomiótów na nareńskim okręcie, miotając strugi płomieni na uszkodzoną „Szarą Panią”. Wszystkie zagrały jednym głosem i Naren znikł na chwilę za ścianą ognia i dymu. W następnej chwili „Szarą Panią” ogarnęły płomienie. Podsycane wiatrem natychmiast zaczęły pożerać pokład i takielunek.

Prakna patrzył na to wszystko ogarnięty zgrozą i nienawiścią. Ogniomioty liniowca zagrzmiały ponownie. Płomienie znów ugodziły w „Szarą Panią”, zamieniając ją w gorejącą plamę na morzu. Na pokładzie „Księcia” zapadła śmiertelna cisza.

- Opamiętajcie się, chłopcy! - zagrzemiał Prakna. - Uwaga na wroga!

Usłyszawszy okrzyk dowódcy, lisseńscy żeglarze szybko się otrząsnęli. Czekali na uderzenie tarana. Liniowiec ciągnął prostopadle do ich kursu, ale jego działa milczały.

Zamiast nich odezwały się ogniomioty „Nieustraszonego”.

Praknie wydało się nagle, że jest świadkiem końca świata. Raz tylko słyszał grzmot dział flagowego okrętu Narenów, a i to z daleka. Teraz te potworne lufy wymierzone były w niego. Niebo nad „Księciem” rozdarła ruda błyskawica. Topy stanęły w ogniu, który ogarnął też bocianie gniazdo, pożerając tkwiących w nim ludzi. Głośniejszy od gromu grzmot rozdarł flagę i zniszczył najwyżej położone części takielunku. Kolejne uderzenia poszły obok burt; powietrze natychmiast nasycił zapach płonącej kerosyny. Oczy komandora wypełniły się łzami, zapiekła go skóra twarzy, karku i dłoni. „Księżę” wystrzelił ku przodowi, w stronę mniejszego liniowca. Gdy strugi ognia się rozwiały, Prakna zrozumiał, dlaczego wciąż jeszcze żyje. „Nieustraszonego” nie mógł w nich ugodzić w obawie przed trafieniem własnego okrętu.

- Trzymać kurs! - ryknął Prakna, zwracając się do całej załogi.

Drugi z liniowców wciąż nie otwierał ognia - jego dowódca niechybnie bał się trafienia w ukochany okręt Nicabara. „Księżę Liss” z płonącymi wierzchołkami masztów i wysuniętą ostrogą tarana ruszył na ofiarę. Liniowiec jednak szybko zmienił kurs, usuwając się z drogi atakującego szkunera. Prakna zaklął paskudnie, potrząsając pięścią, ale Naren miał choć tyle szybkości, że zdołał zejść „Księciu” z drogi. Płynący z tyłu „Nieustraszonego” nie zmieniał kierunku, choć „Księżę” wyszedł już z jego strefy ostrzału, nie próbował też odzyskać straconej przewagi. Mniejszy liniowiec poszedł w ich ślady. Prakna zacisnął dłonie na relingu, aż mu zbieleły knykcie, błyskawicznie rozważając wszystko w głowie.

Zdumiewającym zrządzeniem losu udało im się ujść cało, z dostateczną ilością zagli, by ich uniosły. „Nieustraszonego” zaczął wreszcie powolny, majestatyczny zwrot mający na celu ponowne ostrzelanie „Księcia”, ale szkuner rwał już ku otwartemu morzu.

Marynarze powitali zmianę sytuacji entuzjastycznymi krzykami. Radość na

pokładzie „Księcia” szybko jednak przygasła, gdy lisseńscy żeglarze zwrócili spojrzenia na płonący wrak „Szarej Pani”.

Trzy liniowce i mały szkuner to zwykła egzekucja - a uszkodzona fregata zdążyła się schronić pod działa „Nieustraszonego”. „Szara Pani” płonęła, na co musieli bezradnie patrzeć żeglarze z pokładu „Księcia”.

- Komandorze? - spytał Marus niepewnym głosem. - Zmieniamy kurs, by im pomóc?

- Pomóc? A jak chcesz im pomóc, Marusie? Już po nich. Utrzymać kurs.

Wynosimy się stąd tak szybko, jak się tylko da.

Już po nich. Po Haggim i pozostałych towarzyszach broni. „Książę” uchodził z pola bitwy z osmalonymi topami, straciwszy spalonych żywcem dwóch członków załogi, a Prakna pograżył się w ponurym milczeniu. Patrzył z nienawiścią, jak „Nieustraszone” i pozostałe jednostki zamknęły wokół „Szarej Pani” pętlę śmierci. Nareński gigant odwrócił się ku szkunerowi burtą. Członkowie jej załogi, jeszcze przez chwilę usiłujący stłumić bezlitosne płomienie, zaczęli skakać z pokładu w morze. Potem rozległo się kilka grzmotów i działa „Nieustraszonego” unicestwiły unieruchomiony szkuner.

Lisseński okręt rozleciał się na strzępy. W jednej chwili „Szara Pani” jeszcze tam była, w następnej znikła, przemieniona w plamę płonącej na morzu kerosyny i masę drobnego, pływającego śmiecia. Patrzącym na to z pokładu „Księcia” ludziom odebrało mowę. Prakna też rozwarł szeroko oczy, niezdolny do wymówienia słowa do wpatrującego się w niego z przerażeniem Marusa.

- Co teraz? - spytał kapitan.

Prakna podniósł dłoń, by uciszyć przyjaciela. Haggi był dobrym człowiekiem.

Kochał swoją rodzinę, jak Prakna. Komandor wiedział, że kiedy wróci na Liss, będzie musiał powiedzieć młodej żonie Haggiego, że jej mąż nie żyje. Nie powie jej jednak, jak łatwo przyszło Narenom unicestwienie jego statku i zabicie pływających na nim Lisseńczyków.

- Komandorze? - nalegał Marus. - Jaki weźmiemy kurs? Zawracamy, by ostrzec pozostałych?

- Płyniemy na południe - oznajmił komandor. - Przekażemy naszym ostrzeżenie, jeżeli natkniemy się na któregoś z nich. Jeżeli nie, płyniemy na Lucel - Lor, tak szybko,

jak się da. - Dowódca floty obdarzył kapitana smętnym uśmiechem. - „Nieustraszony”
odpłynął spod Crote, Marusie. Teraz trzeba nam odnaleźć Vantrana.

Czternaście WIEKOWY DĄB

Richius Vantran dobrze znał życie w puszczy. Urodził się i dorastał w Aramoorze, niewielkim kraju znanym ze swoich koni i lasów, w których dominowały potężne, wyniosłe świerki. Całe niemal życie spędził w lasach, przemierzając je ze swoim ojcem, łowiąc ryby w jeziorach i polując na jelenie. Rad był każdej okazji zanurzenia się w gęstwinę, gdzie mógł się sycić świeżym powietrzem i przepędzić z płuc zamkowe zapachy i smrody. Jak wszyscy Aramoorczycy był w równej mierze leśnikiem, co żołnierzem, i jak wszyscy jego ziomkowie wolał być tym pierwszym. Najbardziej lubił jednoczyć się z naturą i zajmować niewielkimi sprawami, jakie niesło codzienne życie. A gdy jeszcze dosiadał konia, to już niewiele więcej potrzebował do pełni szczęścia.

W Lucel - Lorze zbliżanie się zimy oznaczało konieczność nagromadzenia zapasów drewna do kominków. Falindarska cytadela leżała daleko na północy i wiatry potrafiły dać się tu we znaki. W wielkim zamku było wiele kominków i palenisk i wiele rąk oraz stóp do ogrzania. Zamieszkujący cytadelę Triinowie, będący raczej wojownikami niż ludźmi lasu, chemie pozostawiali to Richiusowi. Lucyler kilka dni wcześniej wyjechał do Kes i zamek był niespodzianie cichy i spokojny. Richius spędził kilka godzin z żoną i córeczką, ciesząc się ich towarzystwem, ale jego myśli krążyły gdzie indziej. Niepokoił się o Lucylera.

Martwiło go to, że nie wiedział, kim jest Simon. Najbardziej jednak ze wszystkiego gryzł się wspomnieniami Aramooru obrazami talistańskich żołdaków niewolących jego kraj. Chciał wrócić do domu.

Chciał wiedzieć, co się wydarzyło w Aramoorze i co porabiał Biagio. Mimo towarzystwa Dyany i córeczki, mimo tego, że wszyscy w Falindarze lubili go i szanowali, czuł się jak samotny rozbitek na bezludnej wyspie, bezradny i pozbawiony wieści z domu.

Nienawidził tego uczucia.

Kiedy triińscy przyjaciele złożyli mu propozycję, by zadbał o zamkowe zapasy drewna na zimę, wcale go to nie zirytowało - przeciwnie, nawet go to ucieszyło.

Ucieszyła się też Dyana, rada każdemu zajęciu, które jakoś zajmowało jej posępnego męża. Oboje jednak zdziwili się dokonaniem przez Richiusa wyborem pomocnika. Ścinanie drzew toporem i przeciąganie ciężkich pni było męczącą pracą i nie dało się tego robić samotnie, Richius poprosił więc Simona, by mu w tym pomógł. Polubił Simona. Ku swemu zaskoczeniu odkrył to zaledwie w kilka godzin po znalezieniu Narena w lesie na wschód od Falindaru.

Simon okazał się zresztą doskonałym kompanem i gościem. Nie narzucał mu się i zgodnie z obietnicą trzymał się z dala od dziecka i Dyany. Większość czasu spędzał w przydzielonej mu komnacie, gdzie samotnie zjadał wszystko, co mu przyniesiono z kuchni. Podczas rzadkich okazji, kiedy ze sobą rozmawiali, okazywał już mniej kąśliwości. Zdumiewające było i to, że Naren też ucieszył się ze złożonej mu propozycji.

- Obu nam dobrze zrobi pobyt poza obrębem cytadeli - powiedział Richiusowi.

Następnego więc dnia Richius i Simon przekroczyli zamkową bramę. Obaj stanowili najbardziej osobliwą parę, jaką kiedykolwiek widziały mury Falindaru. Odziali się jak Triinowie, choć nie włożyli błękitnych luźnych szat wojowników, tylko zwykłe ubrania, jakie nosili do pracy triińscy rzemieślnicy i kmiecie. Richius zostawił swój ulubiony miecz i zabrał w zamian ciężką siekierę. Taką samą dał Simonowi. Kolumnę prowadził Richius na swoim aramoorskim wierzchowcu, Błyskawicy, za którym jechał Simon na równie krzepko zbudowanym wałachu miejscowego chowu. Z tyłu jechał wóz zaprzężony w parę muskularnych i silnych siwych mułów, dostatecznie wytrzymałych, by ciągnąć ciężkie pnie.

Pojazd był na tyle mocny, że można na niego było załadować dwa pnie, ścięte po całym dniu pracy.

Był piękny, chłodny, bezchmurny jesienny ranek. Oddech Richiusa znaczyły chmurki pary. Horyzont zdominowały góry Tatteraku, surowe, odwieczne i porośnięte u podstaw niebieskawym z tej odległości mchem lasów.

Richius jechał przed siebie przepelniony radością. Nie spieszyli się za bardzo, nie chcąc zmęczyć koni, ale nie trzeba było długo czekać i maleńką karawanę ogarnął cień lasów.

Wśród drzew wiła się kręta droga, biegnąca do Dring i południowych rubieży Lucel - Loru.

Dziś było na niej cicho i spokojnie, a powietrze wypełniały trele ptaków, które nie zdążyły jeszcze odlecieć do cieplejszych krajów. Cały szlak był zasłany opadłymi liśćmi, które zbierały się w sterty na poboczu, gdzie je zwiewały beztroskie podmuchy wiatru.

Podczas jazdy Simon i Richius prawie się do siebie nie odzywali. Simon trzymał się z tyłu i prowadził muły, które ciągnęły wóz bez sprzeciwu, nie rozglądając się na boki. Ale kiedy dobrze zagłębili się w las, Richius odwrócił się w siodle.

- Pięknie tu, prawda? - odezwał się do Simona. - Mam na myśli ten las.

Podobnie wygląda mój kraj.

- Miło tu - przyznał obojętnie Simon. - Zimno, ale miło.

- Simonie, wcale nie jest zimno, choć już niedługo tak będzie.

- To może lepiej przestańmy się lenić i zabierzmy za rąbanie jakiegoś drzewa.

-

Naren rozejrzał się dość niepewnie. - Wygląda na to, że możemy zacząć choćby tutaj.

Richius potrząsnął głową.

- Nie. Podjedźmy jeszcze trochę dalej i pomyszkujmy po lesie. Osobiście bardzo mi się tu podoba i wcale mi nie spieszo do powrotu. Im więcej czasu spędzimy poza twierdzą, tym lepiej. I tak zresztą nie uporamy się z tą robotą w ciągu jednego dnia.

Simon podniósł jedną brew.

- Nie za bardzo ci się tu podoba, Vantranie, prawda? To dość widoczne.

- Rzecz w tym, że to miejsce nie jest prawdziwym domem. Nie moim, w każdym razie. I nie Dyany. Żadne z nas nie uważa się za mieszkańca Falindaru. Nawet Lucyler. - Richius z rezygnacją wzruszył ramionami. - Wygląda jednak na to, że utkwiliśmy tu na dobre.

No, jazda. To już niedaleko.

Simon nie oponował, bo w końcu było mu wszystko jedno, gdzie znajdą drewno na opał. Ruszył za Richiusem bez słowa, jak chłopiec za starszym bratem i nie protestował, gdy Richius rozglądał się po lesie. Vantran czuł jednak na plecach badawcze spojrzenie Simona.

Simon patrzył spokojnie, bez cienia wrogości i Richius w końcu zaniechał prób odgadnięcia zamiarów Narena. Po doprowadzeniu Simona do Falindaru postanowił

zaakceptować jego opowieść o blisko rocznej tułaczce - głównie dlatego, że Simon nie dawał mu podstaw do tego, by w nią zwątpić - i przyzwyczaił się już do dziwactw w jego zachowaniu.

Richius dawno już nie miał do czynienia ze swoimi ziomkami i zapomniał, jak się potrafią zamykać w sobie.

Podróżowali jeszcze przez milę lub dwie, aż trafili w końcu na rejon, gdzie wiązy i brzozy zaczęły ustępować dębom. Stały tu leśne olbrzymy, które wznosiły się dumnie i wysoko i których rozłożyste korony wspierały się na potężnych, sękatych pniach.

Na ich widok Richius uśmiechnął się szeroko. Właśnie te drzewa były powodem, dla których bardziej zagłębił się w las.

- Tutaj! - oznajmił z dumą w głosie. Zatrzymawszy konia, zeskoczył na ziemię i bacznie rozejrzał się dookoła. Miejsce było ciche, czyste, a jego atmosfera budziła przyjemne rozmarzenie. Aramoorczyk odczepił przytroczoną do siodła siekierę i uśmiechnął się do Simona. - Tutaj znajdziemy to, czego nam trzeba.

Simon lekko zeskoczył z siodła, zupełnie nie poruszony urodą dębowego lasu.

Wziął topór i podszedł do Richiusa.

- Który? - spytał.

- Nie wiem - odpowiedział Vantran. - Wybierz, który chcesz.

- Vantranie, to ty jesteś leśnikiem. Mnie wszystkie wydają się jednakowe. - Chuchnął w dłonie, jakby podkreślając wielkość swego poświęcenia. - Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzi, które zwalimy, byle dało dość ciepła.

- Jak zaczniesz machać tą siekierą, zaraz się rozgrzejesz - zapewnił go Richius. - No dalej, wybierz któreś. Tylko niech nie stoi za blisko drogi, bo niedobrze by było ją zatarasować.

Przywiązawszy do kilku gałęzi konie, Richius zszedł z drogi, wzywając Simona, by udał się za nim. Naren zaśmiał się lekko i potrząsnął głową, rozbawiony entuzjazmem Richiusa, ale miał dość uprzejmości, by nie drwić z młodzieńca. Richius trzymał język za zębami, postanowiwszy za wszelką cenę zdobyć zaufanie Simona. Chciał - a co więcej, było mu to potrzebne - zaprzyjaźnić się z nim. Czy mu się to podobało, czy nie, był tylko Simon i dlatego on miał wybrać drzewo do zrąbania.

- O, to mi wygląda na drzewo w sam raz dla nas - zaproponował Richius,

wskazując solidnie wyglądający dąb rosnący nieco na uboczu. - Dostatecznie wielkie, a dookoła jest dość miejsca, by porządnie się zamachnąć. Jak myślisz?

- Dobrze - odparł szybko Simon. - Jak chcesz.

- Ależ Simonie, włóż w to trochę serca. Powiedz mi, co naprawdę o tym myślisz.

Simon spojrzał Richiusowi prosto w oczy.

- Myślę, że to jest drzewo. Myślę, że jak je porąbamy na szczapy, to te szczapy będą się paliły. To mi wystarczy.

Richius postarał się nie pokazać po sobie urazy, Simon jednak spostrzegł nieznaczoną zmarszczkę na jego czole i westchnął.

- Nie jestem człowiekiem lasu. Do licha, zgodziłem się przecież na to, by wyjechać z zamku i odetchnąć świeżym powietrzem. Dotarliśmy na miejsce, prawda? Zetnijmy to drzewo i już.

- Niech ci będzie - zgodził się Richius.

Podniósłszy siekierę, podszedł do dębu. Simon podążył za nim bez jednego już słowa.

Pod ich stopami szeleściły zeschnięte liście, co pogłębiało jeszcze chłodną ciszę, jaka zapadła pomiędzy nimi. Richius zamachnął się siekierą, ale Simon nagle chwycił go za rękę.

- Czekaj! - powiedział. - Proszę, zaczekaj. - Rozglądając się dookoła, kilkakrotnie z niesmakiem potrząsnął głową. - Nie to drzewo. Jest...

- Jakie?

- Zbyt małe - skrzywił się Simon. - Tak, zbyt małe. Nie wystarczy nam ciepła nawet na tydzień.

- Zbyt małe? Moim zdaniem jest dostatecznie wielkie. Daj spokój, przestań się wygłupiać.

- A ja ci mówię, że jest za małe. - Simon wetknął siekierę w ziemię i skrzyżował ramiona na piersi. - Nie będę go ścinał. Sam sobie wybiorę drzewo na opał.

- Boże Wszechmogący...

- Powiedziałeś, że mogę wybierać - uciął Simon. Podniósł topór i ruszył w głąb puszczy.

- A jak wielkie cię zadowoli? - zawołał za nim Richius.

- Wielkie! - zaśmiał się Simon, nie odwracając głowy. - Tak wielkie, jak Falindar. Albo jeszcze większe.

- Tak? A kto je będzie ścinał? Ty i ja? Tylko we dwóch?

- Nie jestem takim słabeuszem, na jakiego wyglądam, Vantranie! Pokażę ci, jak się ścina drzewa!

Richius parsknął śmiechem, bo spodobał mu się wariacki pomysł Narena. Stracili z oczu Błyskawicę i resztę zwierząt, ale młodzieniec wcale się tym nie przejął. Po raz pierwszy od kilku miesięcy był w doskonałym nastroju. Simon kilkakrotnie zatrzymywał się pod różnymi dębami, przyglądał się uważnie każdemu i odchodził z demonstracyjną wzdychaniem.

- Dajcie mi olbrzyma! - zawołał teatralnie, wymachując toporem.

I nagle się zatrzymał, a potem wznosił oczy ku niebu. Przed nimi zasłaniał słońce i połowę nieboskłonu największy, najpotężniejszy i najwyższy z dębów, przy którym karłały wszystkie inne. Drzewo wyglądało na starsze niż góry czy ziemia, i wznosiło dumnie ku słońcu swą koronę, jakby urągając upływowi czasu.

- Ten - wyszeptał ogarnięty podziwem Simon.

- Ten? - spytał Richius. - Oszalałeś? Nie damy rady zrąbać tego giganta tylko we dwóch. Stracimy cały dzień. Boże, to drzewo ma większy obwód niż cały Aramoor!

- Ten - uparł się Simon. - Tylko ten, inne mnie nie obchodzą. Chcę akurat tego drania.

- Simonie, miej rozum. Mamy tylko jeden wóz.

- Po resztę możemy wrócić później - nalegał Simon. Stał jak zaczarowany. Nie odrywał wzroku od drzewa i podniósł głos. Co więcej, w jego oczach pojawił się jakiś niezdrowy błysk. Wymachując siekierą, czynił to teraz powoli i jakby machinalnie, cały czas badając wzrokiem łup.

Richius westchnął z desperacją.

- Ten dąb jest za stary - stwierdził. - Uważam, że powinniśmy zostawić go w spokoju.

Popatrz, jaki jest piękny. Stoi tu prawdopodobnie od stuleci.

Simon ponuro kiwnął głową.

- Właśnie. Od stuleci.

- Zaniechajmy go. Okażmy mu choć trochę szacunku.

- Nie. Ani myślę. On jest za stary. Za stary, psiakrew. - Naren wyciągnął siekiere, oskarżycielskim gestem wskazując nią drzewo. - Popatrz. Powinien paść kilkadziesiąt lat temu, ale nie... On oszukuje. Kradnie innym życie, do którego nie ma już prawa, jak jakiś świński nareński wielmoża.

Richius poczuł głęboki smutek.

- A ja myślę, że to drzewo jest bardzo piękne - powiedział. - Nie chcę go ścinać.

- Piękne? - zachichotał Simon. - Być może, z wierzchu. Ale głęboko wewnątrz jest z pewnością spróchniałe. Nie. Żyło zbyt długo i stało się pozbawionym wszelkiego uroku stosem drewna. Powiedziałeś, że mogę wybrać sobie drzewo. Wybieram tego starucha. Jeżeli chcesz, to mi pomóż. Jeżeli nie, to nie. Sam sobie poradzę.

Simon umilkł i zamachnąwszy się potężnie toporem, uderzył w stary dąb, wbijając ostrze głęboko w korę, zadając pierwszą ranę. Potem wziął drugi zamach, jeszcze jeden i wkrótce od potężnego pnia zaczęły odpadać szczapy - jak żelazne łuski z kirysu o dziesięciostopowej szerokości. Richius patrzył i zdumiewał się nagłemu atakowi nienawiści, jakiemu uległ Simon. Ten zaś nieustannie rąbał siekiere. Po dość długiej chwili daremnego czekania na wygaśnięcie furii Simona Richius stanął z drugiej strony wielkiego pnia i też uderzył. Simon przerwał na chwilę, spojrzął na Richiusa, a na jego twarzy pojawił się skąpy uśmiech. Odczekał, aż Richius uderzy, i sam wziął zamach. Po dwóch uderzeniach znaleźli wspólny rytm - Simon, potem Richius i znów Simon, a potem Richius. Powoli, bardzo powoli, powiększali ranę starego dębu.

Była to gigantyczna praca. Po kilku minutach Richius poczuł krople potu na czole, a Simon zaczął ciężko dyszeć. Obaj dodawali sobie otuchy spojrzeniami i stękając z wysiłku, zajadle rąbali grubą korę i twarde jak kamień drewno. Pracowali godzinę lub dłużej, ale gdy wreszcie wycięli w pniu głęboki zacios, Simon podniósł rękę.

- Boże, ależ jestem zmęczony! - zaśmiał się chrapliwie. Oparł się o topór.

Jego twarz i koszula były mokre od potu. Choć zdołali się wgryźć w potężny pień, zacios był niezbyt głęboki i mieli jeszcze przed sobą wiele godzin pracy.

- Jesteś pewien, że to był dobry pomysł? - jęknął Richius. On też miał już dość.

Simon gniewnie kiwnął głową.

- Absolutnie. Chce mi się pić... - Wskazał widoczną w głębi między drzewami

drogę. - Powinniśmy wziąć ze sobą wodę.

- Przyniosę - zaproponował Richius. Rzuciwszy siekierę na ziemię, ruszył ku miejscu, gdzie zostawili konie. U ich boków kołysały się pękate, pełne wody bukłaki.

Richius odpiął je, zabierając też z juków sakwę z jedzeniem. Chciało mu się pić, czuł też niemal całkowite wyczerpanie, a przed nimi było jeszcze mnóstwo roboty. Musieli zwalić olbrzyma, porąbać go na części i przeciągnąć polana na wóz. Richius zaklął pod nosem, wyrzucając sobie, że pozwolił Simonowi na wybór drzewa. Potem jednak wspomniał błysk w oczach Narena, energię, jaką wkładał w uderzenia toporem, i doszedł do wniosku, że rad jest z jego wyboru.

Wszelki gniew, jaki tamten odczuwał, uchodził z niego z każdym uderzeniem w pień. Po raz pierwszy Richius poczuł, że są ziomkami... i może zostaną przyjaciółmi.

Pospiesznie wrócił z żywnością i wodą do starego dębu. Simon znów zabrał się do roboty, rąbiąc z furią stary pień. Richius skinieniem ręki dał znać, by Simon przerwał i podał mu jeden z bukłaków. Simon rzucił narzędzie i z wdzięcznością przyjął bukłak.

Pociągnął łyk i otarł usta rękawem.

- To było dobre... - westchnął. - Dzięki. A to co? Jedzenie?

- Żona coś dla nas zapakowała. Głodny?

- Zawsze i wszędzie! - Simon uśmiechnął się lekko i spojrzał na drzewo. - Ale mamy jeszcze mnóstwo roboty. Może to odłożymy?

Richius usiadł na ziemi, krzyżując nogi, i zaczął rozwiązywać worek.

- Jak chcesz, to poczekaj. Ja posiedzę, podjem i popatrzę. Zgoda?

- Jeszcze czego! - wykrzyknął Simon, puszczając stylisko. Przechylił głowę, by zajrzeć do trzymanego przez Richiusa worka. - Co tam masz?

Richius zaczął rozkładać zawartość worka na porastającym polankę mchu. Dyana zapakowała im dwa nieduże okrągłe bochenki chleba, trochę jarzyn, kilka porcji suszonego mięsa i owoce przypominające jabłka. Była to oczywiście żywność Triinów, Richius jednak przywykł do niej od dawna, a Simon zdążył już zgłodnieć tak, że zjadłby wszystko. Usiadł więc i wbił łapczywy wzrok w rozłożone przed nim dobra. Wziął jeden z owoców i skosztował. Westchnął z zadowoleniem.

- Co to jest? - spytał. - Dobre.

- Triinowie nazywają je shibo - odpowiedział Richius. - Jabłko miłości. To owoc

drzew rosnących niedaleko stąd. Na jesień zbiera się je tutaj jak u nas jabłka.

Simon wyjął zza pasa sztylet i przekroił owoc, a następnie jedną część podał Richiusowi. O tej porze drzewa shibo uginały się pod ciężarem owoców. Richius oderwał kawałek chleba od bochenka i wyciągnął dłoń do Simona. Naren wziął i powąchał.

Wciąż jeszcze miał spuchnięty nos, ale poczuł zapach.

- Boże, jak dobrze jest znów zobaczyć coś do zjedzenia! - westchnął. - I w takiej ilości. Nie mam pojęcia, dlaczego nie czujesz się tu dobrze, Vantranie. Mogłeś trafić znacznie gorzej.

- Może i tak. - Richius wzruszył ramionami. - Ale sam wiesz, że życie nie składa się wyłącznie z posiłków. Niekiedy mężczyźnie trzeba czegoś więcej, niż dachu nad głową i pełnego brzucha. - Podniósł wzrok ciekawej reakcji Simona. - Ty tak nie sądzisz?

- To prawda, człowiekowi potrzeba naprawdę niewiele - odpowiedział Simon. - Ty urodziłeś się w królewskiej rodzinie. Nie wiesz, jak to jest, kiedy się nie ma niczego. Ja wiem.

Myślę, że dobry chleb smakuje mnie bardziej, niż tobie. Ty przywykłeś do tego, że wszystko ci podawano na tacy, prawda? Bez urazy, przecież to szczerza prawda. Mam rację?

- Nie masz. Kiedy się biliśmy w dolinie Dring, nie mieliśmy niczego, bo zawiodły nawet dostawy z Imperium. Nigdy też nie chciałem zostać królem. To się stało po śmierci mojego ojca i niewiele miałem w tym względzie do powiedzenia. Nikt też mi nie dał Dyany ani Shani. Musiałem walczyć z niemal całym światem, by je odzyskać. Zapłaciłem za to wygnaniem z Nar. Straciłem Aramoor. Nie uważaj mnie za bogacza, Simonie, bo nim nie jestem. Już nie.

Simon siedział z dość obojętną miną. Ostrożnie odciął sztyletem kolejny kawałek owocu i zdjął go z ostrza wargami. Kiedy rozgryzał miąższ, na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

- I co? Będziemy sobie opowiadać, kto z nas jest biedniejszy, Szakalu? Nie radzę. Przegrasz.

- Może i tak. Ale nie chcę, byś powziął o mnie fałszywe mniemanie. Cokolwiek słyszałeś od Gayle'a, to fałsz. Nie jestem jakimś tam rozpieszczonym książątkiem. Brałem udział w ciężkich walkach tu, na Lucel - Lorze. Widziałem X7.&zxy, które

zmroziłyby ci krew w żyłach. Straciłem wielu przyjaciół. Simonie, nie każ mi bronić ich pamięci. To ty przegrasz.

Simon podniósł dłoń w udawanej kapitulacji.

- Niech ci będzie. Bez urazy, jak powiedziałem. Ale godzi się rzecz, że chodzisz po zamku, jakbyś dźwigał na ramionach ciężar całego świata.

- Nie wiesz, o czym mówisz - stwierdził Richius zwoiniczo łagodnym głosem.

- Może i nie. To dlaczego nie chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Bo to moja sprawa.

- Los nas skazał na wzajemne towarzystwo - odparł Simon. - Ja ci już opowiedziałem wszystko o sobie... Wyjawilem ci przyczyny mojej dezercji. Teraz twoja kolej.

- Nie jesteśmy parą młokosów, którzy się przechwalają. Nie muszę ci niczego mówić.

Simon uśmiechnął się kpiąco.

- Vantranie, wiesz, co widzę, kiedy na ciebie patrzę?

- Racz mnie oświecić.

Naren oparł się wygodniej o pień drzewa.

- Widzę, że masz już dość życia wśród Triinów. Chcesz wrócić do Nar i zamieszkać pomiędzy swoimi. Wciąż się zastanawiasz, co się dzieje w Aramoorze, prawda?

Ja też wciąż rozmyślałem o tym, jak sobie radzą w Imperium beze mnie, a zwłaszcza w Dorii.

Ale dałem temu spokój. A ty nie. Ciebie wciąż to gryzie.

- Nie mogę się pozbyć tych myśli - przyznał Richius. - Ale mylisz się. W moim przypadku rzecz miała się inaczej. Ty nie byłeś królem Dorii, Simonie. Nie porzuciłeś swoich ludzi, zostawiając ich na rzeź.

W oczach Simona pojawił się błysk zrozumienia.

- A ty?

Pytanie było z gatunku tych, które tną jak mieczem. Richius odwrócił wzrok i skierował go na ziemię i częściowo zjedzony bochenek chleba.

- Owszem - wyszeptał po długiej chwili milczenia. - Porzuciłem żonę. Ty zresztą

o tym wiesz. Zabił ją Gayle z Czarnej Kniei.

Gayle i Biagio. - Zamknął oczy, przywołując jasną, czystą twarz dziewczyny, która mu zaufała. - Miała na imię Sabrina.

- Była bardzo piękna - powiedział Simon. - Słyszeli o tym wszyscy, którzy służyli pod Gayle'em. To, co on jej zrobił, było czystym barbarzyństwem. Głęboko ci współczuję.

- Owszem, morderstwo było dziełem Gayle'a. Teraz drań nie żyje. Dziękuję Bogu, że wydał go w moje ręce. Ale został jeszcze tamten czart, Biagio. Gayle wykonywał tylko jego rozkazy. A wraz z Arkusem Biagio wydał Aramoor w łapy Talistańczyków. - Richius podniósł wzrok na Simona i zobaczył, że jego twarz pełna była współczucia i smutku. - Nie mogę z tym żyć, Simonie. Kiedy patrzysz na mnie, nie widzisz smutku, tylko trawiącą mnie żądzę zemsty.

- Jak już powiedziałem, serdecznie ci współczuję - odparł Simon i co dziwne, spojrzął na drzewo. - Ale żądza zemsty to straszna rzecz. Potrafi zniszczyć człowieka.

Zniszczy i ciebie, jeżeli na to pozwolisz.

- To już się stało - stwierdził Richius ponurym głosem. - Nie mogę myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by dopaść Biagia. Jest jeszcze Aramoor.

Przysięgłem sobie, że kiedyś go odzyskam.

Simon zachichotał drwiąco.

- To mi przechwałka! Na przyszłość składaj skromniejsze przysięgi. Nie obarczaj się aż takimi zobowiązaniami, bo jeszcze umrzesz, a swego i tak nie dopniesz.

- Dopnę - stwierdził Richius z powagą w głosie. - Wiem, że tobie może się to wydać niemożliwe, ale dotrzymam słowa. Nie wiem, jak i kiedy, ale dotrzymam.

- Prędzej skryje cię ziemia - obiecał mu Simon. - Nie wiesz, z czym zamierzasz walczyć. Byłeś kiedyś w Nar?

- Tam mnie koronowano - stwierdził Richius. - Spotkałem się z imperatorem.

- Tak? To powinieneś mieć dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że niczego nie wskórasz przeciwko takiej potędze. Nar to nie armia czy naród. Nar to nawet nie legiony. To sposób na życie. Tym właśnie jest Czarne Odrodzenie. Można tę ideę porównać do żywej istoty. Nikt i nic się jej nie oprze. A już na pewno nie ktoś taki jak ty.

- Twarz Simona spochmurniała. - Jeden człowiek nie może się przeciwstawić

takiej maszynie.

- W tych legionach wbijają wam to nieustannie do głowy, nic dziwnego więc, że tak myślisz. Zrobili ci we łbie taki mętlik, że uważasz, iż bez nich jesteś nikim. Ale tu właśnie się mylisz. Jeden człowiek może wiele zmienić. Sam jestem żywym tego przykładem.

Uwieram Imperium jak cierni, a któregoś dnia upomnę się o Aramoor.

- Vantranie, jeden człowiek przeciwko całemu Nar jest niczym liść w czasie burzy.

Jesteś po prostu zbyt młody i naiwny, by to zrozumieć. Ale kiedyś się o tym przekonasz na własnej skórze.

Z takimi argumentami nie można się było spierać, o czym Richius dobrze wiedział, więc zamiast odpowiedzieć oderwał od bochenka kolejny kawałek chleba i wetknął go sobie w usta, popijając wodą z bukłaka. W pewnej chwili spostrzegł, że Simon przerwał jedzenie.

Naren utkwił zamyślane spojrzenie w ogromnej ranie zadanej drzewu siekierami, ale patrzył tak, jakby duchem przebywał zupełnie gdzie indziej, jakby widział coś, co ukazało się tylko jemu.

- Simonie... - Richius postanowił przywrócić go rzeczywistości. - Jedz.

Simon wstał. Podszedł do miejsca, gdzie zostawił siekiere, i podniósł narzędzie, a potem przyłożył ostrze do wielkiej już szczyrby w pniu.

- Sam zjedz - powiedział. - Ja muszę zrąbać to drzewo.

Piętnaście SIEROTA

Nazywano je Wzgórzami Locwali i były wspaniałe. Wysokie, majestatyczne i porośnięte bujną zieloną roślinnością, stały się legendą w całym Imperium nie tylko ze względu na swą zieleń i panujący wśród nich nastrój spokojnej harmonii, ale i dlatego, że w ich głębi zbudowano największe miasto, jakie kiedykolwiek wzniosła ludzka ręka.

Nie było sposobu, by dotrzeć do stolicy Imperium, omijając Wzgórze Locwali, chyba, że podróżnik był człowiekiem dostatecznie zamożnym i mógł zapłacić za wynajęcie statku z załogą.

Wszyscy pozostali pielgrzymi w drodze do Czarnego Grodu musieli przebyć Wzgórze Locwali i podejmować ryzyko, ponieważ nie było sposobu, by przejść przez te wzgórza bez zmian w duszy.

Wzgórze były bowiem przedsiódkiem raju. Nareńscy artyści i uznani w Czarnym Grodzie ludzie pióra nazywali je najpiękniejszym miejscem na świecie, oazą nieskażonej natury, którą Bóg stworzył, by ukazać swą dobroć mieszkańcom metalowego mrowiska wzniesionego przez ludzi. Na Wzgórzach Locwali prawie nie czuło się kwaśnego smrodu, jakim przesiąknięte było powietrze w stolicy i nie słyszało się hałasu hut, w których wytapiano miedź i żelazo. Było to miejsce nie tknięte ręką cywilizacji, co zresztą gwarantował edykt imperatora, który nazywał siebie Arkusem Wielkim. Był władcą stęsknionym piękna i kochającym różę, ale choć jego dziełem było mechaniczne mrowisko, jakie wznosił na brzegach morza Dhoon, jako człowiek praktyczny wiedział, że zamieszkujący Czarny Gród nareńscy szlachcice, znudziwszy się widokiem wież i ulic pełnych żebraków, zapragną znaleźć się w miejscu, gdzie jest czyste powietrze i rosną wysokie drzewa. Wzgórze Locwali pozostały więc takie, jakie były przed wiekami - ścięcie choćby jednego drzewa czy zostawienie czegokolwiek przy jednej z przecinających je dróg Arkus ogłosił zbrodnią karaną śmiercią. Prawa tego nie zmienił też arcybiskup Herrith, który stał się władcą Nar po śmierci Arkusa. Mówiono w Nar, że biskup uznał, iż Locwala jest miejscem świętym i sam Bóg rozkazał Arkusowi, by je zachował w pierwotnym stanie. Nikt w Czarnym Grodzie, niezależnie od tego, czy należał do wiernych, czy do lojalistów, nie próbował sprzeciwić się temu dekreto-
wi.

Locwała należała do wszystkich i każdego cieszyła świadomość jej istnienia.

Siedząc na grzbiecie swojego kucyka. Lorla wyciągnęła rękę i chwyciła zwisający z gałęzi uschnięty liść. Wiedziała o imperialnym edykcie, nie sądziła jednak, że jeden liść może zrobić komukolwiek jakąś różnicę. Był zresztą uschnięty, jak wszystkie inne o tej porze roku, a szelest zetlanej tkanki w dłoni sprawił dziewczynce przyjemność. Okolice była piękna, ale Lorla oglądała ją już cały dzień i widok wzgórz oraz obsadzonych drzewami krętych dolin zaczynał dziewczynkę nudzić. Duszek, kucyk na którym wyjechała z Goth, niósł ją spokojnie za kolumną jeźdźców. Kolumnę wiodł Enli siedzący na swoim karym rumaku bojowym.

Podczas ostatnich tygodni diuk okazywał jej rezerwę i Lorla nie była już pewna, czy go lubi.

Na swój szorstki sposób okazywał jej uprzejmość, rzadko jednak się do niej odzywał. Po wyjeździe ze Smoczej Paszczy diuk mocno się zmienił. Zachowywał się tak, jakby nieustannie coś go nurtowało, błędził gdzieś myślami, drażniło go zachowanie podwładnych, a szczególnie towarzyszących mu wojów z kuszami.

Lorla tęskniła za Smoczą Paszczą. Brakowało jej Niny, książek i własnego pokoiku do spania. Polubiła myszkowanie po Czerwonej Wieży, najbardziej jednak tęskniła za miejscem - jakimkolwiek miejscem - które mogłaby nazwać domem. Podróż ze Smoczej Paszczy była długa i uciążliwa. Enli opłacał pokoje w oberżach i miejsca do spania, kiedy na takowe natrafiali; wszystkich karmiono nie najgorzej, ale mimo dobrych dróg podróż do Nar była męcząca, zwłaszcza dla małej dziewczynki. Tak zresztą Lorla ostatnio o sobie myślała - czuła, że jest małą, słabą dziewczynką. Mimo przeżytych tu i tam szesnastu lat, była właściwie dzieckiem, bezradnym pionkiem w grze rozgrywanej przez Mistrza. Enli już jej powiedział, co ma robić i jak ma się zachowywać po przybyciu do stolicy, i ofuknął ją, gdy mu powiedziała, że chciałaby jeszcze choć na krótko odwiedzić pracownię wojenne.

- W ogóle o nich nie wspominaj - powtórzył jej kilkakrotnie. - Zapomnij o tym, że je kiedykolwiek widziałas. Jesteś teraz Lorlą Lon, sierotą ze Smoczej Paszczy.

Pamiętaj o Mistrzu i o tym, że ci zaufał. Jego przyszłość zależy od tego, czy będziesz postępować dokładnie według instrukcji.

Wszystko zależało więc tylko od niej i świadomość odpowiedzialności ogromnie

jej ciążyła. Nawet Nina jej o tym przypomniła. Córka diuka pożegnała ją serdecznym uściskiem i siostrzanym pocałunkiem, przedtem jednak nie omieszkała jej przypomnieć, że misję musi uwieńczyć powodzenie. W Smoczej Paszczy rozgorzał płomień wojny, a Mistrz liczył na jej lojalność.

Mistrz. Zawsze i wszędzie liczyła się tylko wola Mistrza.

Lorla nigdy nie spotkała się z hrabią Biagio, ale też i nie znała swojego prawdziwego ojca. Kiedy rozmyślała o tym, kim i czym się stała, słyszała jego głos, a jego dekrety dudniły jej w głowie niczym huk kościelnych dzwonów. W pracowniach wojennych nauczono ją, że Biagio jest źródłem wszelkiej wiedzy i wszelakiego dobra - i że bardzo ją kocha.

Dziewczynkę zdumiewało jednak to, że i ona go pokochała. Tak przynajmniej określała żywione przez nią do hrabiego uczucie. Tak naprawdę to nie miała pojęcia, czym jest miłość.

Ale kiedy rozmyślała o Mistrzu, czuła strach i rodzaj wdzięczności za to, że zgodnie z jego właśnie poleceniami uczyniono z niej kogoś szczególnego - z pewnością była to więc miłość.

Diuk Enli zdawkowo tylko opowiedział jej, co zaszło w Smoczej Paszczy, Lorla jednak bez trudu domyśliła się reszty. Zestawienie wszystkiego razem było sprawą dość prostą, a gdy się wspomniłał temat, jakich w rozmowach unikała Nina, wyłaniał się jasny kształt mrocznych wydarzeń. Diuk nienawidził swojego brata. W zamku i okolicy roilo się od żołnierzy. Teraz zaś jechali do Nar, poprosić o pomoc biskupa i żołdaków z Czarnego Grodu.

Jakikolwiek był plan Biagia, Lorla wiedziała, że Smocza Paszcza nie zostanie już taka jak przedtem. Obie mierzeje ogarnął płomień wojny. Udało jej się podsłuchać rozmowę kilku żołnierzy Enliego, z której wywnioskowała, że Eneas został zabity. Zastanawiała się, czy diuk żałuje swego brata, ale Enli był wyjątkowo małomówny. Przekazał jej tylko polecenia Biagia i nie zdradzał ochoty do rozmowy o czymkolwiek innym.

Podczas podróży humor Lorli psuł się z godziny na godzinę. Enli cały niemal czas pokazywał jej tylko plecy. Dziewczynka usiłowała zachować dobrą minę, diuk jednak po prostu przestał się nią interesować. Nie chciała się nawet zastanawiać nad tym, co on

naprawdę o niej myśli. I dała spokój próbom rozmów, czy zwrócenia na siebie jego uwagi.

Były to zupełnie bezowocne wysiłki. Diuk Enli zamknął się w swoim ponurym świecie. Nie odzywali się do niego nawet jego ludzie - widać było zresztą, że pogrążył się w głębokim smutku.

Loda jechała więc na końcu całej kolumny, mając Duszka za całe towarzystwo, i przyglądała się drzewom. Wkrótce mieli przybyć do Czarnego Grodu. Wyjeżdżając do Goth, opuściła laboratoria wojenne wiele, wiele miesięcy temu. Teraz wyciągnęła szyję i usiłowała zobaczyć coś nad szczytami wzgórz, ale nie mogła dostrzec nawet zarysu wież Nar.

Jednak świadomość bliskości celu dodawała jej otuchy. Spieszno jej było do zakończenia podróży, Enli zaś zapewnił ją, że Herrith troskliwie się nią zajmie.

Obiecanej nawet, iż tamten nie zdoła się jej oprzeć i niczego jej nie odmówi. To twierdzenie wywołało mętlik w jej głowie. Czy była aż tak piękna? Może słudzy Biagia w pracowniach stworzyli ją specjalnie dla biskupa? Zadrżała na myśl o tym, kim i czym się stała. Mówiono, że Herrith jest nienasyconym potworem. Ciekawa była, jaki jest rodzaj apetytu, który mogą zaspokoić małe dziewczynki.

Diuk Enli odezwał się dopiero po kilku godzinach, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, zrobiło się chłodniej i trzeba było zatrzymać się na noc. Wkrótce miał zapaść zmrok i należało rozbić obóz. Diuk pomagał swoim żołnierzom zdejmować juki z końskich grzbietów, podczas gdy inni - znalazłszy niewielką polankę przy drodze - rozpalili ognisko.

Lorla, która zdążyła się zapoznać z codziennym rytuałem, rozwinęła swój śpiwór i ułożyła go przy ognisku, a potem poszła w głąb lasu, by nazbierać chrustu i drewna do podtrzymania ognia. Przyboczny diuka, Faren, zajął się przygotowaniem kolacji, podczas której zabawiał wszystkich mocno już spłowiałymi żartami. Był to człowiek prosty i Lorla zdążyła go polubić. Był też niebezpieczny, przystojny i odrobinę bezczelny. Lorle jednak traktował łagodnie, uprzejmie, zręcznie gotował skromne posiłki i dziewczyna ufnie kładła się na noc obok jego posłania. Nigdy nie spała w pobliżu diuka, ponieważ Enli trzymał się na uboczu nawet podczas snu. Tej nocy zjadł kolację w samotności - zabrał swój cynowy talerz i usiadł pod mrocznym, posępnym drzewem, skąd

przysłuchiwał się śmiechom i żartom swoich ludzi.

Kiedy jadł, dziewczynka rzucała w jego stronę ukradkowe spojrzenia, szczerze się nad nim litując. Jakże szybko znikł z jego oczu blask zadowolenia z życia, jaki w nich gościł jeszcze podczas jej pierwszych dni pobytu w Czerwonej Wieży. Teraz były martwe. Diuk bardzo też schudł, co było skutkiem tego, że jadał niewiele, albo w ogóle rezygnował z posiłków.

Kiepsko sypiał i rankami wstawał bardzo wcześnie. Jego ludzie bali się nawet szeptać, ale Lorla wiedziała, że wyczuwali głębokie zmiany w charakterze pana.

Po kolacji, kiedy ludzie rozsiedli się przy ognisku, by pogawędzić, Lorla została pomiędzy nimi. Słuchała wszystkiego, nie wtrącała się do rozmów i rozmyślała o tym, jak też jej się będzie żyło u Herritha. Enli udał się na spacer, z którego wrócił dopiero po godzinie. W świetle ogniska jego twarz była blada niczym papier. Lorla podniosła wzrok i powitała go spojrzeniem nad płomieniami.

- Lorlo - odezwał się łagodnie. - Podejdz tu, proszę. Spełniła prośbę, wstając i otrzepując odzież z kurzu. Faren i jego towarzysze skwitowali odejście dziewczynki milczeniem, a potem wrócili do przerwanych rozmów. Diuk wyciągnął dłoń i podał ją Lorli.

Dłoń była wielka, zimna i dziewczynka ujęła ją, czując niepokój.

- Przejdźmy się - zaproponował diuk, odciągając dziewczynkę od ogniska.

Lorla usiłowała się uśmiechnąć, ale niź z tego nie wyszło. Przeszli do mrocznego już brzozowego zagajnika. Enli zatrzymał się i podniósł wzrok na krwawy księżyc. W księżycowej poświacie jego czerwona broda i wargi lśniły jak ognie. Diuk silnie ścisnął dłoń dziewczynki.

- Jutro dotrzemy do miasta - oznajmił. - Przekażę cię Herrithowi i już się więcej nie zobaczymy.

- Wiem - potwierdziła Lorla.

- To, co robisz, jest bardzo ważne. Zawsze miej to w pamięci.

- Nie zapomnę.

Diuk uśmiechnął się do dziewczynki.

- Wiem, że nie zapomnisz. Jesteś dokładnie taka, jaką mi cię opisywano. Nie lada z ciebie dziecko, Lorlo. I masz dokonać nie lada dzieła. Może nie rozumiesz

wszystkiego, co Mistrz polecił ci zrobić, ale stoisz przed wielkim zadaniem. Czyny, których dokonasz podczas kilku najbliższych tygodni, przejdą do historii i zmieniają bieg.

Ciężar tego stwierdzenia sprawił, że pod dziewczynką zadrżały kolana.

- Diuku, zrobię co będzie w mojej mocy. I... dziękuję.

- A więc wiesz, co masz zrobić?

- Tak - odpowiedziała Lorla.

Omawiali to już dziesiątki razy. Była Lorlą Lon, dziewczynką osieroconą przez wojenne działania w Smoczej Paszczy. Zaatakował ich diuk Eneas, a jego ludzie zabili jej rodziców. Teraz szuka ochrony u Herritha, bo bez niej zginie. Enli uważał, że Herrith nie zdoła się oprzeć urokowi dziewczynki.

- Kiedy będą twoje urodziny? - spytał.

- Za dwa tygodnie.

- Jak się nazywa ulica, na której miał warsztat rzemieślnik wyrabiający zabawki?

- Wysoka - odpowiedziała. - Nieopodal, na rogu, jest kram ze świecami.

- Dobrze - westchnął Enli. Puścił jej rękę i wpatrzył się w niebo. - Musisz tylko dobrze odegrać swoją rolę - podjął wątek po chwili. - Herrith cię pokocha.

Biagio ma rację.

Zna biskupa lepiej, niż którykolwiek z nas, a oprócz tego ma szpiegów. Wkradnij się w łaski Herritha. Namów go, by cię zabrał do pracowni mistrza, który wyrabia zabawki.

Resztę zrobi Biagio.

- Zrobię, co do mnie należy - obiecała Lorla.

- Wierzę ci - stwierdził diuk. - Naprawdę ci wierzę. - Westchnął, tym razem jednak głośno i tak żałośnie, że ciężko było tego słuchać. Enli opadł na jedno kolano i ujął dziewczynkę za ramiona. Jego ogromne ręce uwięziły ją jak uścisk pytona, choć ich dotyk był delikatny i łagodny. - Chcę ci coś powiedzieć - rzekł. - I chcę, byś mnie uważnie wysłuchała.

Zasłużyłaś na to, bym ci to powiedział.

Lorla przygotowała się na wysłuchanie opowieści Enliego.

- Słucham, diuku.

- Chcę, byś usłyszała prawdę - podjął. - Moją prawdę. I chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała. Zrobisz to dla mnie?

- Oczywiście - odparła dziewczynka. - Możesz powiedzieć mi wszystko. Potrafię dochować sekretu.

- Tak, to prawda, potrafisz. Posłuchaj więc, bo to ci się przyda. Powinnaś wiedzieć, że zabiłem mojego brata.

- Zdążyłam się domyślić - powiedziała Lorla. - Pewna jestem, że miałeś swoje powody.

- Miałem powody - odpowiedział Enli. - A raczej sądziłem, że mam powody. Tak czy inaczej, Eneas jest martwy, a ja muszę walczyć o Smoczą Paszczę. Pomaga mi Biagio.

Nie zdołam jednak wygrać, jeżeli ty mi nie pomożesz, Lorlo. Jeżeli zawiedziesz, stracę Smoczą Paszczę, a wojna będzie trwała dalej. I wielu ludzi zginie. Rozumiesz?

- Nie - odpowiedziała szczerze dziewczynka. - Niczego nie rozumiem. Nigdy zresztą nie rozumiałam. Wykonuję tylko polecenia i rozkazy. - Spuściła wzrok, unikając spojrzenia rozmówcy. - Nienawidzę tego. Nienawidzę istoty, którą się stałam.

Nienawidzę tego, że mnie wykorzystujecie, ty, panie, i Mistrz. Ja... - Przerwała nagle. Jak mu powiedzieć o jej samotności? Diuk ją po prostu wyśmiej.

- Co jeszcze, Lorlo? - nalegał diuk. - Powiedz... Lorla znów spojrzała mu w oczy.

- Diuku, robię, co mi się każe, bo tak jest najlepiej dla ciebie i dla Mistrza. I jeszcze dlatego, że nie umiem robić niczego więcej. Coś we mnie powstrzymuje mnie nawet teraz... nie mogę o tym mówić. - Dziewczynka poczuła, że wzbierają w niej emocje i że lada moment zaleje się łzami. - Pójdę do Herritha i tak go omotam, że mnie pokocha. Jeżeli tego akurat chce Mistrz, to zrobię to dla niego.

- Mówię ci, Lorlo, że nie chodzi tylko o to, czego chce Biagio. Nie chodzi i o to, czego chce ja. Na tobie spoczywa odpowiedzialność za los Imperium.

Lorla skinęła, z całej siły powstrzymując łzy.

- Tak, wiem o tym wszystkim...

- Och, dziecko...

- Nie jestem dzieckiem! - wykrzyknęła i wyrwała się z objęć diuka. - Mam szesnaście lat! Jestem prawie kobietą.

- Kobieta w ciele dziecka - poprawił ją diuk. - Wychowano cię dla tej właśnie chwili.

Jest tak, jak ci powiedziano w laboratoriach wojennych - jesteś kimś szczególnym. - Diuk wyciągnął dłoń, by pieszczotliwie rozwichryć jej włosy. To wystarczyło, by z oczu Lorli popłynęły łzy. - Nie zapomnij o tym - westchnął Enli. - Nie zapomnij o swojej misji, ani o tym, kim jesteś. Potrzebują cię Mistrz i Nar.

- To ciężkie brzemię - szepnęła Lorla. - Może za ciężkie...

- Masz małe ramiona, ale mocne - zażartował diuk. - Wiem, że sobie poradzisz.

- Boję się...

- Nie ma w tym niczego złego - stwierdził Enli. Diuk zaczął mówić szeptem. - Prawdę rzekłszy, ja też się boję. To jednak nie umniejsza naszej odwagi. Robimy to, co musimy.

Diuk odsunął pasmo włosów z czoła dziewczynki. Lorla zamknęła oczy i zaczerpnęła tchu. Nagle ze wszystkich stron przed jej oczami zaczęły pojawiać się twarze.

Zobaczyła łagodny uśmiech Lokkena i wargi jego żony, Kareeny. Pomyślała o Goth, zniszczonym przez Herritha i o swej nowej przyjaciółce, Ninie, w której straciła tak bardzo upragnioną siostrę.

Zapagnęła, by wszyscy poczuli się z niej dumni... nawet ci, którzy już umarli.

- Zrobię to, o co prosił Mistrz i ty, diuku - rzekła zdecydowanym głosem. - Nie zawiodę żadnego z was.

- Wiem, że nie zawiedziesz. Mam do ciebie wielkie zaufanie, tak samo, jak twój Mistrz. - Diuk znów położył dłonie na ramionach dziewczynki, tak że nie mogła się odsunąć.

- Nie byłem dla ciebie dobrym gospodarzem. Teraz tego żałuję. Zasłużyłaś na lepsze przyjęcie i traktowanie. Ale spadło na mnie wiele utrapień. - Na twarzy diuka pojawił się nikły uśmiech. - Będzie mi ciebie brakowało, Lorlo.

- Naprawdę?

Enli kiwnął głową.

- W końcu, nie jestem aż takim niegodziwcem, prawda? Powiedz mi, że nie jestem.

- Nie jesteś - zaśmiała się Lorla. - Pracujesz dla Mistrza. Jak możesz być złym człowiekiem?

Twarz Enliego zbladła. Odjął dłonie z ramion dziewczynki i opuścił bezwładnie ramiona.

- Oczywiście... - stwierdził posepnie. - Pracuję dla Mistrza...

I nagle księżyc zakryła chmura, powlekając świat mrokiem.

- Herrith jest wcielonym diabłem - stwierdził Enli, patrząc w niebo. - Nie daj się zwieść, choćby ci okazywał nie wiadomo jak wielką troskę i łagodność. Ta rada jest jedyną ochroną, jaką ci mogę dać.

- Zapamiętam - odpowiedziała Lorla. - I dziękuję... Przez chwilę patrzyła na diuka z ukosa, on jednak chyba tego w ogóle nie spostrzegął. Spoglądał w gwiazdy nad głową. Jutro mieli wreszcie dotrzeć do Nar i spotkać dziwnego biskupa, którego Lorla miała uwieść i zdobyć jego serce. Mieli jednak jeszcze kilka godzin, a tej nocy księżyc zdołał zaczarować czas tak, że wszystko to wydało się Lorli nieskończenie odległe. Postanowiła, że dziś w nocy zaśnie, wspominając dawne życie. Dawna Lorla miała umrzeć rankiem, zostawiając pole nowej, wyrachowanej i zimnej.

Biskup Herrith leżał nieruchomo na łożu w swej komnacie znajdującej się wysoko w górującej nad miastem Katedrze Męczenników i patrzył w sufit. Przez wielkie okno satynową pościel łoża rozgrzewały wlewające się do komnaty promienie porannego słońca. Na piersi Herritha leżała Święta Księga, otwarta, nietknięta i unosząca się miarowo w takt jego oddechu. W pewnej chwili arcybiskup zaczerpnął tchu, starając się wprowadzić więcej powietrza w umęczone płuca. Obok łoża stał srebrzysty i skomplikowany metalowy aparat, w którym tkwiła odwrócona wylotem w dół butelka z błękitnym płynem. Z butelki wysuwało się żądło zakończonej igłą rurki, która skręcała ku łożu. Igła tkwiła w ramieniu Herritha.

Biskup leżał bez ruchu, płyn zaś sączył się do jego żył. Od czasu do czasu zaciskał tylko i rozluźniał pięść, rozprowadzając eliksir po żyłach. Oczy Herritha płonęły, jakby napełniono je żrącą substancją. Gdy dodający siłę eliksir wsączał się do jego żył, biskup czuł się tak, jakby jego ciało rozdierano na strzępy. Ale targany bólami dostojnik nie wydał żadnego jęku. Była to wspaniała agonia, dość łatwa do zniesienia. Powoli, bardzo powoli przywracała go życiu.

Diabelski dar Biagia nie był wcale zatruty, jak się tego biskup początkowo obawiał.

Zgodnie ze słowami Nicabara, okazał się koncentratem eliksiru Bovadina. Zgodnie też z ostrzeżeniem nienawistnego admirała, Herrith sam zmieszał roztwór, rozrzedzając ciecz wodą, tak by można ją było wlewać sobie do żył. Zażywanie eliksiru stało się dla biskupa czymś w rodzaju tygodniowego rytuału, stosowanego dokładnie tak, jak w dawnych czasach, kiedy błękitnej cieczy miał pod dostatkiem. Herrith zamknął oczy, ogarnięty nagłym uczuciem nienawiści do samego siebie. Biagio był podstępny czartem. Za dawnych czasów, kiedy obaj służyli Arkusowi, Biagio nigdy otwarcie nie występował przeciwko biskupowi, choć wiedział, że Herrith szepcze imperatorowi do ucha zatrute słowa przeciwko niemu. Obaj jednak darzyli się głęboką nienawiścią. Herrith sądził, że zdobył nad hrabią przewagę. Teraz, leżąc w łóżku i sycąc się diabelskim darem, zaczynał podejrzewać, że się głęboko mylił.

Miał jednak czas na przemyślenie sprawy. I zaplanowanie przeciwdziałań. W małej, dostarczonej mu przez Nicabara fiołce został jeszcze spory zapas płynu. Mógł zdobyć jeszcze więcej. Biagio był skłonny do negocjacji. Trzeba będzie zawrzeć z bestią jakiś układ, przekonywał Herrith sam siebie. Kiedy fiołka się opróżni, będzie miał już nowy zapas. Jeżeli Biagio chciał odzyskać w Nar choć część dawnych wpływów, będzie musiał mu dostarczać dalsze porcje bezcennego płynu.

- Nie ty jeden znasz się na podstępach! - syknął biskup. - Ja też znam tę grę.

Gra toczyła się o wielką stawkę i była niebezpieczna. Biskup nie znał się na taktyce i szpiegostwie. Żył jednak w Nar od wielu lat i doskonale wyczuwał atmosferę tego miejsca.

Nie był też tak całkowicie pozbawiony wpływów. Na jego ustach zaigrał lekki uśmiezek. W jego żyłach płonął już ogień eliksiru. Biskup jednak ani drgnął - kochał uczucie, kiedy płyn obmywał swą magią jego stawy, mięśnie i zęby, wzmacniając je i wypełniając braki, przywracając mu młodość i zatrzymując upływ czasu. Już odzyskiwał bystrość wzroku.

Spojrząwszy w lustro, zobaczy wpatrzony w niego dwa lśniące, szafirowe klejnoty.

- Jestem silny - szepnął sam do siebie. - Iz każdym dniem coraz silniejszy.

Nie straci Nar na rzecz Biagia. Nie po tym wszystkim, przez co musiał przejść.

Eliksir kropla po kropli sączył się do rurki, obmywając każdy zakątek biskupiego ciała. Herrith otworzył oczy i spojrzał na fiolkę. Była już prawie pusta.

Wzdrygnął się i zmusił do zachowania spokoju. Kuracje takie jak ta były niezdrowe, ale przecież zaczął je niedawno. Ustąpiły dotychczasowe cierpienia, a wraz z żądzą zemsty wrócił mu apetyt. Jak młodzieniec mógł zjeść ze stołu wszystko, co mu podano, i zostawało mu jeszcze sporo miejsca na deser. W dawnym Nar znany był z tuszy, ale niedostatek eliksiru ogromnie go wychudził. Był teraz starszy i nie tak piękny, jak Biagio, jednak do zniszczenia Czarnego Odrodzenia potrzebował siły, nie urody. Siła zaś w nim aż kipiała. Była to oczywiście zwodnicza żywotność, zrodzona z eliksiru.

Za oknem wstawało już słońce. Biskup pomyślał, że już wkrótce jego skóra znów się wyziębi i jak dawniej będzie tęsknił za ciepłem. Eliksir, zmieniając barwę oczu, mroził jednocześnie ciało i żaden mężczyzna czy kobieta nie mogli bez drżenia znieść uścisku lodowatych dłoni biskupa. Co prawda nie miało to wielkiego znaczenia. Było to jedno z poświęceń, jakie poczynił na rzecz Niebios - nigdy nie miał lec w łóżu z inną osobą. Był mężczyzną targanym żądzami, potrafił jednak utrzymać je pod kontrolą, i choć widok pięknych kobiet przyspieszał mu tętno, tłumiał swe pragnienia. Czynił Boże dzieło. Dbał o dzieci i głosił słowo Pana. Nie dbał o cielesne rozkosze, nikłe i ulotne. W młodości, zanim Pan wezwał go na służbę, poszukiwał w mieście towarzystwa kobiet, zaspokajając swój apetyt z dziewczynkami i dziwkami, Bóg jednak w swej nieskończonej łaskawości raczył go uratować. Jego ciało było czyste i nieskażone. Tak jak jego umysł.

Prawie.

Wciąż rozmyślał o Goth, szczególnie podczas największych bólów, jakie sprawiała mu kuracja. Bóg nieustannie poddawał go próbie. Ciężka mu też niczym kowadło myśl o Kye i ogromnym brzemieniu winy, jakie dźwigał pułkownik. Boże ścieżki były splątane i pełne tajemnic. A przecież wskazówki Niebios były jasne i nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Herrith całym sercem wierzył, że to, co robi, jest konieczne i nieodzowne. Ale gryzło go niekiedy sumienie, którego wyrzuty były tak silne, że nie poddawały się nawet kojącemu wpływowi narkotyku.

„Prawie koniec” - rozmyślał, obserwując, jak z butelki wyciekają resztki płynu.

Następną kurację powinien zaaplikować dopiero za tydzień. Bovadin silnie

zagaścił eliksir.

Herrith zgiął i wyprostował palce. Były teraz grubsze, obleczone w mięśnie i bardziej giętkie, niż jeszcze kilka dni temu.

Z rozmarzenia wyrwało biskupa pukanie do drzwi. Wstrzymał oddech, rozgniewany na nieproszonego gościa. Wciąż jeszcze leżał w łóżku, służbie zaś zostawiał wyraźne polecenie, by mu nie przerywano. Jeżeli za drzwiami czekał Vorto...

- Co tam?! - ryknął w stronę drzwi.

Te zaczęły się bardzo ostrożnie i powoli uchylać, aż w końcu wysunęła się zza nich twarz ojca Todosa. Na obliczu mnicha malował się wyraz zakłopotania. Akolita odwracał wzrok, by nie patrzeć na żalony widok człowieka w łożu.

- Wasza Świątobliwość zechce wybaczyć... - wybąkał. - Mamy... gości...

- Gości? Jakichże to gości?

- Ze Smoczej Paszczy, Wasza Świątobliwość. Diuk Enli. Powiada, że musi natychmiast zobaczyć Waszą Świątobliwość. Nalega...

- Durniu! Spójrz na mnie! Jak mogę mu się tak pokazać?

Todos ostrożnie wszedł do komnaty i zamknął za sobą drzwi.

Jego zuchwałość szczerze Herritha zdumiała. Składając wyjaśnienia, kapłan nie podniósł jednak głowy.

- Najusilniej przepraszam Waszą Świątobliwość, ale diuk Enli był bardzo natarczywy.

Prosi o natychmiastowe posłuchanie. W jego kraju szaleje wojna.

Ostatnie słowo poderwało Herritha z poduszek.

- Co masz na myśli? - spytał ostro. - Jaka wojna?

Todos wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, Wasza Świątobliwość. Diuk powiada, że będzie mówił tylko z Waszą Świątobliwością. Mówi, że to bardzo pilne.

Herrith oparł się o miękkie poduszki i podjął próbę odzyskania spokoju. Zarzewie wojny w Smoczej Paszczy tliło się już od lat. To, że rozgorzało ogniem teraz, gdy Imperium pogrążone było w chaosie, nie powinno być niespodzianką. Enli i jego brat byli cierniami również w boku Arkusa. Herrith wiedział od dawna, że konflikt pomiędzy braćmi może zaowocować gwałtownymi, strasznymi czynami.

- Cokolwiek się stało, wieści mogą poczekać, póki nie będę gotów - stwierdził, odsyłając Todosa machnięciem dłoni. - Idź i powiedz diukowi, że na razie jestem niedysponowany. Przyjmę go jak tylko będę mógł.

Kapłan nerwowo zmarszczył brwi.

- Jak długo przyjdzie mu czekać? Chcę wiedzieć, co mam rzec diukowi.

- Todosie, jesteś bardziej natrętny, niż była moja matka! Daj mi choć kilka chwil!

- Wasza Świątobliwość raczy wybaczyć. Powiem diukowi, żeby zaczekał.

- Precz!

Kapłan wycofał się pospiesznie, zamykając za sobą drzwi. Natomiast Herrith opadł na poduszki i zaklął.

Dokończenie kuracji i odzyskanie sił zajęło biskupowi jeszcze prawie godzinę.

Pod koniec tejże godziny był już całkowicie odziany i gotów na przyjęcie diuka Smoczej Paszczy.

Za drzwiami komnaty czekał ojciec Todos, który powiadomił biskupa, że Enli czeka na parterze, w jednej z licznych komnat któregoś z kościelnych urzędów. Oznajmiając biskupowi nowiny, Todos łapał na niego podejrzliwie, zaskoczony zmianami w wyglądzie Jego Świątobliwości. Herrith słuchał przyjaciela z pobłażliwym uśmiechem.

Przepelniała go energia i rozbawienie. Znakomity eliksir raz jeszcze w tajemniczy sposób dodał mu wigoru.

Todos przeprowadził biskupa krętymi schodami w dół do komnaty, w której czekał już diuk Enli. Była to piękna sala, zbyt wielka na aktualne potrzeby, z typowym oknem na całą ścianę i półkami zastawionymi księgami i rzeźbami świętych mężów oraz niewiast.

Pośrodku ustawiono rzadko przez Herritha używane biurko i kilka prostych krzeseł. Gdy Todos otworzył drzwi, wchodzących owionął nieuchwytny zapach wyprawionej skóry.

Obok biurka, całą swą postawą zdradzając zakłopotanie i zaniepokojenie, stał zmęczony i wymizerowany diuk Enli. Nie towarzyszyli mu żadni żołnierze, ale nie był sam.

Obok niego na jednym z krzeseł siedziała dziewczynka o ufnej twarzyczce,

beztrosko wymachując nóżkami. Gdy Herrith wszedł do komnaty, oboje spojrzeli na niego z niepokojem w oczach.

- Diuk Enli - przedstawił gościa Todos. - Arcybiskup Herrith. Diuk opadł na kolana, schylił pokornie głowę, ujął dłoń Herritha i ucałował biskupi pierścień.

- Wasza Świątobliwość zechce przyjąć wyrazy mej wdzięczności za udzielenie mi audiencji - wymamrotał. - Jestem pokornym sługą Kościoła.

Herrith prawie go nie słuchał. Nie spuszczał wzroku ze zdumiewająco pięknej dziewczynki. Dziecko uśmiechnęło się do niego, ale nie opuściło miejsca.

- Wstań, diuku - odezwał się wreszcie Herrith łaskawie. - I usiądź, proszę...

Wyglądasz na zmęczonego.

- Rzeczywiście jestem zmęczony, Wasza Świątobliwość - przyznał diuk. Wziąwszy krzesło, usiadł, co bardziej przypominało upadek. - Dziękuję Waszej Świątobliwości.

- Todosie, czy zaproponowałeś naszym gościom jakiś poczęstunek?

- Tak, Wasza Świątobliwość - odpowiedział kapłan.

- Ojciec był bardzo uprzejmy - pospieszył z wyjaśnieniami diuk. - Ale obawiam się, że nie jestem w nastroju do jedzenia. Pilną rzeczą jest, byśmy porozmawiali, Wasza Świątobliwość.

- Oto mnie masz, diuku - stwierdził biskup. Skierował się ku swojemu fotelowi za ozdobnym biurkiem. Był to ogromny fotel z czerwonego aksamitu, podobny raczej do tronu. - Todosie, zostaw nas samych. Myślę, że diukowi łatwiej będzie mówić bez postronnych świadków.

Zawsze posłuszny Todos wyszedł. Diuk odetchnął głęboko i bezradnie rozłożył ręce.

- Wasza Świątobliwość, błagam o przebaczenie za natarczywość. Po prostu nie mam się do kogo zwrócić. Przyjechaliśmy tu aż ze Smoczej Paszczy, by poprosić Waszą Świątobliwość o pomoc.

- Słucham cię, przyjacielu - odparł biskup. - Zawsze byłeś wiernym sługą Pana.

Możesz mnie prosić, o co zechcesz. Ale pierwej... - Herrith spojrzął na dziewczynkę. - Powiedz mi, kim jest to piękne dziecko.

- Na imię ma Lorla - odparł Enli. - Lorla Lon. Jest z południowej mierzei Smoczej

Paszczy. Jej rodzice zostali zamordowani podczas napaści.

- Jakiej napaści? - spytał Herrith.

- Tej, która jest powodem mojego przyjazdu do Nar, Wasza Świątobliwość. W Smoczej Paszczy rozgorzała wojna. Mój brat Eneas uderzył na południową mierzeję.

Wywiesił Czarną Flagę. - Diuk spojrział na dziewczynkę ze smutnym uśmiechem.

- Rodzice Lorli zginęli jako ofiary tej napaści. Nie oni jedni, zresztą. Przywiozłem ją tutaj w nadziei, że jej pomożesz, panie. Wiem, jak jesteś łaskaw dla sierot, Wasza Świątobliwość.

Pomyślałem, że mi pomożesz znaleźć jej jakieś miejsce.

Dziewczynka była wprost urocza z tą grzywką platynowych włosów, o jasnych oczach, niemal równie błękitnych, jak oczy Herritha. Jego Świątobliwość uśmiechnął się, dokładając starań, by uśmiech nie był zbyt śmiały, ani zbyt przyjazny.

- Witaj, Lorlo - zaczął łagodnie, jakby mówił do ptaka, którego nie chciał spłoszyć.

Dziewczynka odpowiedziała mu uśmiechem, który biskup uznał za rozkosznie nieśmiały.

- Witam Waszą Świątobliwość - powiedziała. Jej słowom towarzyszyło lekkie skinienie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Herrith. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Jestem zmęczona - stwierdziła dziewczynka. - Bardzo zmęczona. - Jej twarzyczka powlekła się cieniem smutku. - I boję się.

- Zapewniam cię, dziecko, że nie masz się tu czego obawiać. Nikt nie zamierza ci zrobić krzywdy. To dom Boży. Wszyscy są tu bezpieczni.

- Nie bój się, Lorlo - diuk zawtórował biskupowi. - Jego Świątobliwość jest człowiekiem o wielkim i dobrym sercu. Pomoże ci. - Enli zwrócił się do biskupa.

- Pomożesz jej, prawda, Wasza Świątobliwość?

- Oczywiście - rozpromienił się Herrith. - Jesteś milutka, Lorlo. I ładna jak anioł.

A te twoje oczy... są prawie równie błękitne, jak moje.

Lorla uśmiechnęła się z rezerwą.

- Dziękuję Waszej Świątobliwości.

Biskup odchylił się i wsparł na poręczach fotela.

- Dziecko, ile masz lat? Czy jest ci to wiadome?

- Mam osiem lat - odpowiedziała Lorla. - Prawie dziewięć.

- Cudownie - rozmarzył się Herrith. - Mamy w sierocińcu wiele dzieci w twoim wieku. Jeżeli chcesz, możesz je poznać i zawrzeć nowe przyjaźnie. Chcesz?

Lorla spojrzała na Enliego, jakby szukała u niego pomocy. Diuk skinął twierdząco głową.

- Odpowiedz Jego Świątobliwości, Lorlo. Zapewniam, że cię nie skrzywdzi.

Dziewczynka przez chwilę intensywnie rozważała w głowie usłyszaną odpowiedź.

Miała wygląd wymizerowany i wyglądała na zmęczoną - Myślę, że tak - odpowiedziała w końcu, zwracając się do Herritha. - Chciałabym mieć własne miejsce.

- Dziecko, pozbądź się obaw, z pewnością znajdziesz takie miejsce - obiecał Herrith. - Zajmiemy się tobą. Jesteś głodna? Zaraz ci znajdziemy coś do zjedzenia. - Poklepał się wesoło po brzuchu. - Mamy tu mnóstwo jedzenia.

- Chętnie bym coś zjadła - stwierdziła Lorla. - Za zezwoleniem diuka Enli... - Znów spojrzała pytająco na diuka. - Mój panie... mogę? Mogę coś zjeść?

- Oczywiście - odpowiedział Enli. - Nie czekaj na mnie, tylko zabieraj się do jedzenia.

- Na korytarzu znajdziesz Ojca Todosa - Herrith zwrócił się do dziewczynki. - Powiedz mu, że jesteś głodna i chcesz odpocząć. On ci znajdzie jakąś komnatkę.

Lorla żwawo zeskoczyła z krzesła i pomknęła do drzwi.

- Już biegnę - rzuciła radośnie.

Na widok biednej, zagłodzonej i umęczonej dziewczynki serce Herritha ścisnął ból.

Wojna najbardziej dawała się we znaki dzieciom. Tego się nauczył podczas lat życia pod władzą Czarnego Odrodzenia. Podczas prowadzonych wtedy wojen osierocono wiele tysięcy dzieci. Dlatego to właśnie Herrith założył sierociniec. Tęsknym spojrzeniem pożegnał dziewczynkę, która zamknęła za sobą drzwi.

- Cudowne dziecko - wyszeptał nieświadomie. Zaraz potem ofuknął się za to, że pozwolił, by tę ostatnią uwagę usłyszał Enli.

- Owszem - stwierdził diuk. - Doświadczyla wielu okropności, a jednak ani razu,

podczas całej drogi ze Smoczej Paszczy aż tutaj nie usłyszałem od niej słowa skargi. Wasza Świątobliwość ma dla niej miejsce, prawda? Nie chciałem okazać natarczywości, tylko...

- Nie trap się już myślą o dziewczynce, diuku - odezwał się biskup. - Znajdziemy jej jakieś miejsce. Ale racz mi powiedzieć, jakież to złe wieści mi przynosisz?

Toczysz wojnę z bratem?

- Rzeczywiście, złe to wieści - stwierdził Enli, rozcierając dłonią zmarszczki na twarzy. - Bardzo złe, Wasza Świątobliwość. Smoczą Paszczę rozdziera wojna, czego się od dawna obawiałem. Eneas, mój brat...

- Podstępnie cię napadł? - podsunął biskup. Enli kiwnął głową.

- Dogadał się jakoś z Biagiem. Wywiesił Czarną Flagę. Moi ludzie widzieli ją nad jego zamkiem. Napadnięto nas bez ostrzeżenia. - Diuk zwinął dłonie w pięści. - Niech mnie Bóg przeklnie za moją naiwność, ponieważ powinienem się tego spodziewać.

Wiedziałem, że po śmierci Arkusa Eneas spróbuje akurat czegoś takiego. I nie podjąłem żadnych kroków!

- Uspokój się - rzekł Herrith łagodnie. - I powiedz mi wszystko, co się tam stało.

Kiedy twój brat was napadł?

- Och, teraz to już będzie kilka tygodni temu. Nie mam pojęcia, co się tam wyrabia.

Kiedy wyjeżdżałem, sytuacja utknęła w martwym punkcie. Oddziały Eneasa zajęły część południowej mierzei, ale moi ludzie zdołali ich odeprzeć. Nie wiem jednak, czy się utrzymali.

Podniebna armia jest niestrudzona, Wasza Świątobliwość. Te ptaszyska nie pozwalają nam na żaden ruch. - Na twarzy diuka znów pojawiła się troska. - Boję się, Wasza Miłość!

Herrith wstał i obszedłszy biurko, zbliżył się do diuka. Ból Enliego przyciągał go niczym magnes. Biskup spojrział na rozmówcę, przybierając stanowczy wyraz twarzy.

- Mój synu, pozbądź się obaw. Nad twoją mierzeją Smoczej Paszczy powiewa Światłość Boga, prawda?

- Owszem, Wasza Świątobliwość. Jakżeby inaczej?

- Więc Bóg cię obroni. Zaufaj Panu.

- Wasza Świątobliwość, potrzebne mi coś więcej, niż tylko wiara. Potrzebuję twojej pomocy.

Diuk zaczął wstawać, Herrith jednak go zatrzymał, podnosząc dłoń.

- Siadaj, diuku. Musisz odpocząć. Powiedz mi, czego się po mnie spodziewasz?

- Wasza Świątobliwość, potrzebujemy pomocy wojskowej. Żeby stawić czoło mojemu bratu, muszę mieć legiony. Jak w Goth.

Herrith zmartwił.

- Goth? Co wiesz o Goth?

- Wiem, że oddziały Waszej Świątobliwości zmiażdżyły tam resztki Czarnego Odrodzenia - odpowiedział Enli, którego twarz powlekła się bladością. - Przepraszam Waszą Świątobliwość. Myślałem, że wiedzą o tym wszyscy. Nie chciałem urazić...

- Nie czuję urazy, mój synu - odpowiedział Herrith. Biskup nie spodziewał się, że wieści o zagładzie Goth rozejdą się tak szybko. - To prawda. Unicestwiliśmy Czarne Odrodzenie w Goth. Musieliśmy zapłacić straszliwą cenę, ale nie można było inaczej...

- Owszem - przyznał Enli. - W ten sam sposób możesz pomóc i mnie, Wasza Świątobliwość. Proszę, błagam. Poślij razem ze mną do Smoczej Paszczy generała Vorto i jego oddziały. Jeżeli Enli ich zobaczy... kto wie, może się nawet podda. Ale trzeba to zrobić szybko, zanim stracimy południową mierzeję.

Herrith oparł się o swoje biurko, rozmyślając o tym, co powiedział Enli. Żądanie było śmiałe, by nie rzec bezczelne. Smocza Paszcza była daleko i nie należała do ważnych części Imperium. Zanim Vorto doprowadzi tam legiony, może minąć kilka tygodni. Co gorsza, zbliżała się zima - nie najlepsza pora roku na prowadzenie działań wojennych.

Biskup obracał w myślach żądanie diuka. Enli patrzył uważnie. Diuk był dobrym człowiekiem. Choć miał opinię człowieka skłonnego do niezależności, popierał Arkusa i stare Imperium, ale kiedy imperator wyzionął ducha - wreszcie! - nie opowiedział się po stronie Biagia, tylko stanął pod sztandarami Boga Światłości. Idealista - człowiek bardzo rzadki w tych czasach.

- Prosisz o rzecz niełatwą - stwierdził wreszcie biskup. - Jeżeli Vorto dotrze do Smoczej Paszczy i przekona się, że Eneas zajął twoje dziedziny, może dojść do kolejnej rzezi.

Nie chcę cię zwodzić i nie podoba mi się myśl o kolejnym brzemieniu, jakim będę musiał obciążyć swoje sumienie.

- Ale my, z południowej mierzei jesteśmy wierni Bogu - odparł diuk. - Pokładamy ufność w Waszej Świątobliwości i w nowym porządku. Nie możesz pozwolić, by zatryumfowało u nas Czarne Odrodzenie! Nie proszę o nic dla siebie... zrób to dla Nar!

Smocza Paszcza to tylko początek. A gdzie się to wszystko skończy?

„To prawda, gdzie?” - pomyślał ponuro Herrith. Enli może i kochał się w dramatycznych wypowiedziach, ale miał rację. Nie wolno pozwolić na to, by Biagio zdobył dla siebie i swoich ludzi przyczółek w Nar. Dlatego właśnie Kościół pozwolił na zniszczenie Goth, dlatego wypuszczono z laboratoriów demona Formuły B. Biskup doszedł do wniosku, że Bóg oto poddaje go kolejnej próbie. Nie może zawieść.

- Diuku, przemyślę to, co od ciebie usłyszałem. Zapomnij o obawach. Bóg wskaże mi właściwą drogę. Naradzę się też z generałem Vorto. Jest w końcu wojskowym.

Wiele będzie zależało od tego, co on mi powie.

- Z całym szacunkiem dla Waszej Świątobliwości, nie mamy za wiele czasu.

Trzeba nam...

- Diuku, na modły zawsze jest czas. Musimy znaleźć czas dla Boga. - Herrith wyciągnął rękę, podając dłoń diukowi. Diuk przyjął dłoń, ale nie zdołał ukryć rozczarowania.

Bez entuzjazmu pozwolił sobie pomóc przy wstawaniu z krzesła, wzdrygając się pod lodowatym dotykiem biskupiej ręki. - Idź i odszukaj ojca Todosa. Da ci jeść, pić i znajdzie miejsce na spoczynek. Przywiódłeś ze sobą jakichś ludzi?

- Owszem, Wasza Świątobliwość. Pobożny ojciec już się nimi zajął.

- To dobrze. Pozbądź się obaw, mój synu. Bóg nam podsunie właściwą decyzję.

Enli skłonił się głęboko i wyszedł. Kiedy drzwi zamknęły się cicho za diukiem, Herrith został sam.

„Biagio!”

Czarci pomiot! Wygnany na Crote nawet tam snuł swoje pajęczne nici, usiłując ponownie wciągnąć Imperium w mrok. Ludzie tacy jak biskup musieli z nim walczyć, niosąc wszędzie Światłość Boga. Herrith wstał i przeszedłszy przez komnatę, zatrzymał

się przy oknie i spojrzął na miasto. Słońce, które zdążyło wspiąć się już wyżej, przenikając przez szybę, ogrzewało lodowatą skórę biskupa. Mógł teraz dostrzec wszystko z niezwykłą wyrazistością - widział niemal każdą drobinę kurzu unoszącą się nad miastem, każdą smużkę dymu ulatującego z kominów hut i kuźni. Za rzeką, na szczycie wzgórza stał opustoszały już Czarny Pałac, przytłaczający swoim ogromem wszystkie pobliskie budowle.

W jego pustej sali tronowej stał rdzewiejący Żelazny Tron, nietknięty od śmierci imperatora.

Myśl, że na tym tronie miałby zasiąść Biagio, zatrzęsła biskupem jak wichura samotnym liściem.

- Nigdy! - syknął. - Nigdy, jak długo tchu mi stanie w piersi!

Potem przypomniał sobie o tej małej, Lorli. Była niczym klejnot wdeptany w ziemię żołnierskimi buciorami. Twarz Herritha złagodniała. Biedactwo. Świat pełen był okrucieństwa i udręki.

Lorla stała samotnie przy oknie w przydzielonym jej pokoiku i popijając owocowy sok ze szklanki, patrzyła z góry na rozległe miasto. Znajdowała się bardzo wysoko, wyżej niż była kiedykolwiek w Czerwonej Wieży i obserwując rozciągające się w górze miasto, poczuła się jak szybujący w przestworzach ptak. Ojciec Todos przyprowadził ją tu, by mogła coś zjeść i odpocząć. W rogu komnaty stało łóżko, miękkie i wygodne, pokryte czystą pościelą i grubymi poduszkami, w których głowa Lorli niemal utonęła, gdy dziewczynka je wypróbowała. Na tacy obok łóżka spoczywały resztki obfitego śniadania, które przyniósł jej Todos. Było tego dość dla dwóch osób, i Lorla najadła się do syta. Zza szyby wabiło ją Nar.

Dziewczynka nie pamiętała, że było tak rozległe i przerażające, dawniej jednak widziała z okien pracowni tylko jego niewielką część. Teraz, stojąc wysoko przy oknie wyniosłej katedry, rozumiała, dlaczego nazywano je Prześwietnym Nar. Patrząc na miasto, nie czuła wagi, ciała i więzów z ziemią.

Faren i jego ludzie gdzieś znikli, Lorla jednak wcale się tym nie przejmowała.

Wiedziała, że i tak już ich nie zobaczy. Jej nowym życiem było teraz Nar. Nina, diuk Enli, wspomnienia z Goth - o tym wszystkim trzeba jej było zapomnieć. Była teraz Lorlą Lon.

Uśmiechnęła się na myśl o swoim mniemanym sieroctwie. To akurat mogła udać bez trudu.

Kimże była, jeżeli nie sierotą? Nie miała matki ani ojca. Jedynym rodzicem, jakiego znała, był Biagio, on jednak równie dobrze mógł okazać się duchem, czy istotą z baśniowych opowieści, nie bardziej uchwytną niż powietrze. Pomyślała, że mogłaby zobaczyć się z diukiem Enli, zanim ten wyjedzie, ale nawet i ta myśl nie wzbudziła w niej emocji. Nadszedł czas przecięcia więzów. Czas stać się kimś całkowicie innym.

„Lorla Lon miała matkę imieniem Nefri i ojca zwanego Po - powtórzyła w myślach.

-

Ma osiem lat, wkrótce skończy dziewięć. Za dwa tygodnie będą jej urodziny. Z tej okazji zechce dostać prezent, dom dla lalek, który wygląda jak katedra. Na ulicy Wysokiej mieszka wytwórca zabawek, który może zrobić dla niej taki dom. Jeżeli go nie dostanie, będzie płakać”.

Uśmiechnęła się na myśl o tej rozgrywce. Dlaczego wszystko przychodziło jej z taką łatwością i tak naturalnie? W pracowniach wojennych nauczono ją wielu rzeczy - wśród nich i takich, o których jeszcze nie wiedziała. Herritha też zaskoczy. Lorla zmarszczyła brwi, zawstydzona myślą o sobie samej. Inne dzieci uczono, że kłamstwo jest rzeczą złą. Wiedziała o tym, ponieważ w Goth widywała inne dzieci z matkami, które nieraz łąjały swoje pociechy.

Nikt nigdy nie łąjał Lorli. Czyżby dlatego, że była dzieckiem idealnym?

A może dlatego, że była kimś szczególnym?

W tej chwili ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Lorla rozejrzała się dookoła z dość niemądrym wyrazem twarzy.

- Proszę... - odezwała się niepewnie.

Drzwi skrzypnęły, otwarły się lekko i wyłoniła się zza nich uśmiechnięta przyjaźnie twarz biskupa Herritha.

- Czy mogę wejść, Lorlo? - spytał przymilnie.

- Proszę bardzo - odpowiedziała dziewczynka, pomyślawszy przelotnie, że może powinna wstać. Nie wstała.

Biskup wślizgnął się przed uchylone drzwi i podszedł bliżej, a potem spojrzał na

opróżnioną niemal tacę z jedzeniem.

- Taaak, nie ulega wątpliwości, że byłaś głodna - zażartował. - Niczego ci nie brak?

- Niczego, Wasza Świątobliwość - odpowiedziała. - Mam wszystko, czego mi trzeba.

Biskup znów się uśmiechnął.

- Myślę, że ci się tu spodoba. To miejsce jest bezpieczne. Chcę, byś o tym wiedziała. Nikt ci tu nie zrobi krzywdy. Mamy całą armię do obrony.

- Ja się nie boję, proszę Waszej Świątobliwości - odpowiedziała Lorla, uśmiechając się tak miło i ciepło, jak tylko mogła. Już nie. - Rozejrzała się po małej komnatce. - Ładny pokój. Czy w sierocińcu jest tak jak tutaj?

Biskup lekko się skrzywił.

- Nie... właściwie to nie. Ale jest tam czysto i schludnie, a o dzieci dbają dobrzy ludzie, czyniący Boże dzieło. Mamy wiele dzieci, o które musimy się troszczyć.

Przykro mi to rzec, ale zbyt wiele. W Imperium toczono - i nadal się toczy - wiele wojen.

- Gdzie jest ten sierociniec? Mogę go zobaczyć z tego okna?

- Nie, chyba nie - odpowiedział Herrith. - Zbudowano go z drugiej strony katedry.

Ale nie myśl o sierocińcu. - Biskup podszedł bliżej i usiadł obok dziewczynki, dotykając jej prawie ramieniem. - Podoba ci się ta komnatka?

- O tak! - odpowiedziała dziewczynka szczerze. Nigdy nie widziała tak wspaniałego widoku z okna. - Tu jest tak miło.

- Bardzo mnie to cieszy - stwierdził Herrith. Wziął z tacy jakiś owoc i zważył go w dłoni. - Możesz tu zostać. Wcale nie musisz iść do sierocińca. Nie wiem, czy to byłoby dla ciebie najlepsze.

- Zostać tutaj? W tej komnacie?

- Oczywiście, jeżeli zechcesz. W sierocińcu też jest miło i znajdziesz tam swoich rówieśników. Ale nie będziesz miała takiego widoku z okien i własnej sypialni z łóżeczkiem.

Słowa te trochę Lorlę przestraszyły, ale postarała się z tym nie zdradzić.

Herrith zmierzał prosto do celu. Dziewczynka wsłuchiwała się w jego głos, ale ku

swemu zaskoczeniu nie znalazła w nim żadnego fałszu. Biskup patrzył na nią swoimi roziskrzonymi, błękitnymi oczami. Dziewczynka szukała w myślach właściwej odpowiedzi. I zamiast niej, znalazła pytanie.

- Dlaczego? Dlaczego Wasza Świątobliwość zadaje sobie tyle trudu?

Arcybiskup odłożył jabłko na tacę. Lorla widziała, że Herrith szuka najbardziej szczerzej, oczywistej odpowiedzi. W końcu wzruszył ramionami i westchnął z rezygnacją.

- Lorlo, powiem ci coś, co cię może zaskoczy. Jestem starym i bardzo samotnym człowiekiem. Poświęciłem swoje życie Bogu. Czy wiesz, co to oznacza?

- Właściwie to nie - pisnęła.

- Kapłanom nie wolno zawierać związków małżeńskich. Oznacza to, że poza Kościołem nie mają innej rodziny. Nie możemy mieć dzieci. - Lorli wydało się, że wyznanie to bardzo Herritha zakłopotало. - Kocham Kościół i Nar. Ale niekiedy czuję brzemień samotności. Myślę, że to z tego powodu założyłem sierociniec. Chciałem od czasu do czasu mieć styczność z dziećmi. Zawsze chciałem mieć swojego synka lub córeczkę. Ja...

- Przerwał i nagle się zarumienił. - Och, ale chyba cię przestraszyłem. Wybacz mi. - Wstał i ruszył do drzwi. - Lorlo, zostań tu, jak długo zechcesz. Na razie się wyśpij i odpocznij.

Rankiem porozmawiamy albo ojciec Todos zaprowadzi cię do sierocińca.

Lorla zrozumiała, że musi go zatrzymać.

- Poczekaj, proszę... Biskup przystanął na progu.

- Tak?

- Ja... ja się boję. Nie chcę zostać sama. Czy mógłbyś jeszcze trochę ze mną posiedzieć?

Wypowiadając te słowa, poczuła wstyd, a zmiana wyrazu twarzy starego człowieka sprawiła, że niemal się znienawidziła. Na jej prośbę oczy Herritha rozgorzały niezdrowym ogniem.

- Jeżeli chcesz - odpowiedział, słodko się uśmiechając - możemy dzielić się swoją samotnością.

- Bardzo bym chciała - stwierdziła, na wewnętrzny użytek notując w duchu, że powiedziała dokładnie to, co czuła. Zeskoczywszy z łóżka, podeszła do biskupa.

„To człowiek przewrotny, na którym ciążyą liczne zbrodnie” - napomniała samą siebie.

Jest wrogiem Mistrza, a ten wie to najlepiej. A jednak biskup był dla niej miły i uprzejmy, okazując prawdziwie ojcowską troskę, i Lorla z najwyższym trudem opierała się łagodnemu brzmieniu jego głosu. - Pokaż mi więcej cudów tego miejsca - porosiła. - Zrobisz to dla mnie, Wasza Świątobliwość?

- Och dziecko, z największą przyjemnością. - Biskup się rozpromienił. - To cudowne miejsce i mój dom. - Podniecony aż strzelił palcami. - Tak! Pokażę ci coś pięknego!

- Wyciągnął ku niej rękę. - Chodź, jest tu coś, co niechybnie powinnaś zobaczyć.

Lorla ujęła jego dłoń bez najmniejszego namysłu. Była wielka jak dłoń Enliego, ale znacznie bardziej miękka, prawie jedwabista w dotyku. I nieznośnie zimna.

Dziewczynka pisnęła i cofnęła rączkę.

- Przepraszam. - Biskup z niechęcią spojrział na własną rękę.

- To nic. Uboczny skutek pewnej... kuracji. Zechciej mi wybaczyć.

- Otworzył drzwi. - Proszę...

Wyszli razem na wspaniałą korytarz. Lorla pozwoliła się poprowadzić przez pokrytą przepysznymi malowidłami, złoconą i pełną przepychu galerię. Sklepienie znajdowało się wysoko i zdobił je fresk. Ze wszystkich kątów spoglądały na nich marmurowe oczy rzeźbionych aniołów. Na ścianach wisiały srebrne świeczniki, a gładko polerowane płyty posadzki głośnym echem odpowiadały na każdy krok. Lorla rozglądała się pilnie po tych wszystkich cudach. W całym swoim życiu nie widziała niczego, co można by porównać z przepychem tego świętego miejsca.

- Dokąd idziemy? - spytała wreszcie.

- Zobaczysz. Zaufaj mi. To coś pięknego.

Właściwie wszystko dookoła było piękne. Szli przez galerię, Lorla zaś przyglądała się oknom i ich sławnym bajecznie kolorowym witrażom. Przechodzące przez nie promienie słońca malowały na posadzce ogniste obrazy. Na końcu galerii były schody, opadające spiralą w dół. Herrith ruszył po nich z zapalem godnym człowieka o połowę od niego młodszego i prawie zbiegł po nich, płonąc z niecierpliwości. Zerknąwszy na niego z ukosa, Lorla z trudem powstrzymała śmiech. Pobiegnęła za

biskupem, dotrzymując mu kroku, i razem znaleźli się na dole, gdzie Herrith się zatrzymał i spojrzął na towarzyszkę.

- Cyt! - szepnął, przykładając palec do ust. - Jesteśmy prawie na miejscu.

- To znaczy gdzie? - Tajemniczość biskupa udzieliła się Lorli, która pytanie zadała również szeptem.

- Prawie na miejscu - drażnił się z nią biskup. - Ciepło, ciepło, coraz cieplej...

Odwrócił się i ruszył dalej. Lorla podreptała za nim. Znajdowali się w opustoszałej części katedry i choć z daleka dobiegały tu głosy wiernych, nie napotkali nikogo. Korytarz był szeroki, miał doskonale proporcje i piękne, zebrowane sklepienie ozdobione gipsowymi płaskorzeźbami. W głębi korytarza widać było łukowe wejście do rozległej nawy.

Kiedy się zbliżyli, Herrith zwolnił kroku.

- Wielka nawa - wyszeptał. - Ją właśnie chcę ci pokazać. Przeszli pod łukiem sklepienia i weszli do nawy. Wszystkie kamienne płyty mozaikowej posadzki pokryto zgrzebnym sukmem, na którym ktoś beztrosko porzucił pędzle, garnki z farbami i papierowe kartusze. Całą nawę wypełniały kolumny ukośnie padającego, barwnego światła, sączącego się przez wysokie okna ozdobione witrażami. Oszołomiona pysznym widokiem Lorla rozejrzała się dookoła. Potem popatrzyła pytająco na biskupa, który się tylko uśmiechnął i wskazał palcem sklepienie.

- Popatrz tam - powiedział cicho.

Lorla podniosła wzrok. Rozciągające się na wysokości setki stóp sklepienie pokrywał wspaniały fresk, mistrzowska robota genialnego artysty, który pracowicie przeniósł na nie swą barwną wizję Niebios. Pod ścianami stały jeszcze rusztowania z drabinami, na sklepieniu zaś, spleceni w osobliwym kręgu unosili się bohaterowie, dziewice, piękni bogowie, pyzate anioły i złowrogie demony o czerwonych jęzorach. Dziewczyńce wydało się, że patrzy w same Niebiosy. Niezdolna do powiedzenia choć jednego słowa, wydała z siebie tylko ciche westchnienie zachwytu. Obraz tętnił życiem, był niesłychanie wyrazisty i sugestywny, a jego widok zapierał dziewczynce dech w piersiach.

- Co to jest? - spytała szeptem. - Takie piękne...

- Księga Stworzenia - odparł Herrith również szeptem. - To malowidło wyraża

wszystko. - Wskazał północną część fresku. - Widzisz? To upadek Adana. A tu masz zabójstwo Kiana. Poznajesz?

- Nie - odpowiedziała dziewczynka. - Ale to piękne. Takie piękne...

- Opowiem ci... o wszystkim ci opowiem, Lorlo - rzekł cicho biskup. - Każde dziecko powinno znać treść świętych ksiąg. To jest tam, na sklepieniu. - Na twarz Jego Świątobliwości wypłynął uśmiech pełen dumy. - Darago, malarz, pracował nad tym od wielu lat. Teraz jego dzieło jest już prawie skończone, Gdy nawa zostanie otwarta dla wiernych, wszyscy ujrzą Bożą chwałę. - Herrith ukląkł obok dziewczynki. - To mój największy dar dla całego kraju. Chciałem, żebyś to zobaczyła, Lorlo. To sklepienie i uwiecznione na nim malowidło cenię sobie ponad wszystko inne. Jesteśmy w domu Boga, który stał się moim domem. A jeżeli chcesz, może się stać i twoim.

Lorla była tak przejęta tym, co zobaczyła, że z trudem mogła się zdobyć na odpowiedź. Twarz Herritha oblekła się w łagodny, proszący wyraz i dziewczynka nie umiała się od niej odwrócić, choć próbowała.

- I co się tu ze mną stanie? - spytała. - Co tu będę robiła?

- Co zechcesz - odpowiedział Herrith. - Będziesz pobierała nauki i dowiesz się, jak wyrosnąć na piękną, mądrą i dobrą kobietę. Nar się zmienia. Myślę, że już niedługo stanie się wspaniałym miastem, w którym będziesz mogła wieść ciekawe, pełne życie. Uczynię to miasto wielkim. Dla ciebie i innych dzieci. - Jego ręce unosiły się i krążyły wokół niej, jakby biskup chciał ją objąć, ale bał się wrogiej reakcji. - Nie mogę ci zastąpić utraconej rodziny, ale będę dla ciebie dobry, dam ci wykształcenie i nauczę cię wielu rzeczy.

Możesz tu znaleźć szczęście, Lorlo. Przy moim boku.

Lorla skinęła, niepewna co odpowiedzieć. Całe jej serce zapragnęło nagle przyjąć propozycję Herritha i to pragnienie zaskoczyło ją samą. Katedra Męczenników zachwyliła ją, a i biskup nie okazał się człowiekiem, jakiego jej opisywano. I nagle poczuła strach, a w jej brzuchu rozděła się zimna kula.

„Śniadanie - powiedziała sobie. - Za bardzo się objadłam”.

- Jeżeli się zgodzę, zostawisz mi tamten pokój?

- Tak! - rozpromienił się Herrith. - Dostaniesz znacznie więcej. Pokażę ci całe

Nar.

- Patrzył na nią z nadzieją w oczach i czekał na odpowiedź.

Obronne mury, które Lorla wzniosła wokół swego serca podczas podróży ze Smoczej Paszczy, nagle runęły.

- Zgadzam się z największą chęcią - powiedziała wreszcie. - Nie chcę już być sierotą.

Szesnaście URZĄDZENIE

Hrabia Renato Biagio w ubrudzonych mokrym piaskiem butach stał na swojej prywatnej plaży i patrzył na pracujących poddanych. Był ciepły, typowy dla Crote dzień.

Dmący od morza lekki wietrzyk targał jedwabną koszulę hrabiego i zwiewał mu na czoło jasne włosy. Obok niego stał znużony i utrudzony admirał Nicabar. W odległości trzydziestu stóp kilku ludzi hrabiego mozoliło się z drewniana skrzynią, ładując ją do szalupy, która miała ją zawieźć na czekający w pobliżu okręt. Pracę nadzorował Bovadin, nieustannie przypominający ludziom o potrzebie zachowania najwyższej ostrożności. Był to dzień, na który Nicabar czekał z niepokojem i niechęcią - dzień załadunku urządzenia piekielnego karła. Biagio tymczasem uśmiechał się promiennie, jakby w ogóle nie odczuwał obaw.

Pomimo, że twarz małego naukowca marszczyła troska i niepokój, hrabia wiedział, iż Bovadin jest pewien, że jego dzieło spełni wszelkie oczekiwania, przede wszystkim zaś nie wybuchnie przed czasem. Zadowolony z siebie Biagio splótł ramiona na piersi.

Jego wygnanie na Crote ostatnio zaczęło mu się dawać we znaki i rad był, że w końcu zaczyna dostrzegać przed sobą przyjemniejsze perspektywy.

- Boisz się, Danarze - wytknął przyjacielowi. - Niepotrzebnie. Bovadin doskonale zna się na rzeczy.

- Renato... - zaczął Nicabar. - Ono jest pełne paliwa!

- Bovadin zastosował odpowiednie środki bezpieczeństwa. Zaufanie, mój przyjacielu, to podstawa stosunków międzyludzkich...

- Sam zobacz! - przerwał mu Nicabar, wskazując swoich ludzi. Niewiele brakło, a przewróciliby skrzynie na bok. Bovadin też zaskrzeczał. - Może powinniśmy się odrobinę cofnąć...

Biagio roześmiał się bez troski.

- Drogie Danarze, gdyby to urządzenie było tak niebezpieczne, jak sądzisz, z pewnością nie pozwoliłbym na jego montaż w moim domu, prawda? Najbardziej niebezpieczna część jest już za nami. - Hrabia uśmiechnął się drapieżnie. - No,

przynajmniej jeżeli chodzi o nas. Teraz bać się powinien Herrith.

- Darago już prawie zakończył malowanie. Czy ci o tym mówiłem?

Biagio kiwnął głową. Pamięć Nicabara nie zawsze mu dopisywała, co było jednym z wielu niepożądanych i niespodziewanych ubocznych skutków zażywania eliksiru Bovadina.

- Mówiłeś.

- Herrith okropnie się nim pyszni. Widziałem fragment, kiedy mnie zaprowadzono do Katedry Męczenników.

„I kiedy tamten odrzucił moją propozycję zawarcia pokoju” - pomyślał Biagio.

Herrith był durniem, co się zowie.

- Doprawdy, szkoda - zauważył obojętnym tonem. - To znaczy - szkoda będzie dla całego miasta. Ale cóż, wszystko ma swoją cenę.

Na brzegu Bovadin wskakiwał właśnie do łodzi, by pokierować dalszym załadunkiem skrzyni. Ciężar małego naukowca prawie nie zachwiał łodzią, ale gdy pierwsza połowa skrzyni znalazła się w szalupie, ta dość silnie się przechyliła. Bovadin skrzywił się z niepokojem, ogarnięty nagłym strachem. Biagio przestał się uśmiechać. Czy łódź była dostatecznie duża?

- Danarze...?

- Nie martw się - pocieszył go cierpko admirał. - Wytrzyma.

- Dobrze by było. Bovadin pogodził się już z myślą, że kiedyś sam siebie wysadzi w powietrze, ale z pewnością nie spodoba mu się perspektywa utonięcia. Nie sądzę, by ten karzeł kiedykolwiek się nauczył pływać.

Nicabar nawet się nie uśmiechnął. Dalej stał i z kamiennym wyrazem twarzy patrzył, jak jego ludzie mozolą się ze skrzynią. Biagio zerknął ukradkiem na admirała i spostrzegł jego niepokój. Dobrze było mieć go znów na Crote. Rad był i temu, że Nicabar nie musiał dostarczyć urządzenia do Nar osobiście. Od czasu, kiedy Simon wyjechał na Lucel - Lor, nie miał mu kto dotrzymać towarzystwa.

Bovadin zawsze był zajęty swoimi projektami i pomysłami, a Savros był cichym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Z nich wszystkich zresztą Biagio do swoich przyjaciół zaliczał tylko Nicabara. A w tych czasach przyjaciele trafiali się nad wyraz rzadko. Wszystko zresztą wiązało się z tym, że hrabia stał na czele tajnej policji, a takiemu

człowiekowi nikt nie ufał. W Nar, za życia Arkusa, zawsze otaczali go ludzie - piękne, wyrafinowane i obsypane ozdobami kobiety, ambitni książęta potrzebujący jego przysług. Wszyscy oni jednak kryli w sercach zdradę i wcale im nie zależało na jego przyjaźni. Z Danarem Nicabarem rzecz miała się inaczej. Był jednym z przedstawicieli zanikającego już gatunku idealistów.

Prawym człowiekiem uczyniło go może wojskowe wychowanie, a może szlachetne urodzenie.

Tak czy inaczej, Biagio mógł go darzyć zaufaniem. Na Nicabarze zależało mu tak, jak - prawie - na nikim innym.

Wyjątkiem był Simon Darquis.

Simon wyjechał na Lucel - Lor przed wieloma dniami i znacznie więcej ich miało jeszcze upłynąć do jego powrotu. Dwór był bez niego spokojny, szary i bezbarwny.

Biagio usiłował jakoś zabijać czas planami zemsty, lub obserwacjami ćwiczeń swojej protegowanej, Eris, zawsze jednak w jego myśli wciskał się wizerunek urodziwej twarzy Simona.

W tej chwili dobry nastrój hrabiego też się rozplątał. Brakowało mu Simona bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Co gorsza, uczucie to przypominało mu jego żal po utracie Arkusa, bo na myśl o Simonie czuł ból w sercu. Nie była to jednak sprawa, o której mógł porozmawiać z Nicabarem, przegnał więc natrętne wspomnienia, skupiając się na obserwowaniu załadunku urzędnika.

„Już prawie czas, Herricie - pomyślał. - Tik - tak, tik - tak...”

Ciekaw był reakcji Herritha. Biskup kochał swą katedrę tak, jak Biagio kochał Crote.

Ale nie da się zrobić omletu bez rozbijania jajek.

- „Morski Cień” dotrze do Casarhoon za trzy dni - stwierdził Nicabar. - A potem kolejne trzy dni na podróż do Nar.

- Upewnij się, że Thot dostarczy ją na jakiś szybki okręt - rzekł Biagio. Nie podobała mu się myśl o tym, że przesyłkę trzeba będzie przeladowywać z okrętu na okręt, ale nie dało się tego uniknąć. W Czarnym Grodzie wszyscy znali jego „Morski Cień”; urządzenie trzeba było przywieźć na pokładzie jakiegoś statku handlowego.

Biagio był zadowolony z tego, że wszystko się odbędzie pod okiem Bovadina.

- Kapitan Thot wie, co ma robić - stwierdził krótko Nicabar.

- W to nie wątpię. Danarze, nie chciałem cię urazić. Ale to urządzenie koniecznie trzeba dostarczyć na czas. Wszystko zostało starannie zaplanowane. Maleńkie spóźnienie i mój wspaniały plan wezmą diabli. To się nie może zdarzyć.

- Nie będzie spóźnień - obiecał Nicabar. - Możesz mi zaufać. Thot i jego okręt dostarczą wszystko na czas. Gotów jestem zresztą dać głowę, że Bovadin będzie go nieustannie poganiał.

W tej właśnie chwili Bovadin uniósł głowę i spojrzał w stronę admirała, jakby usłyszał swoje imię. Naukowiec raz jeszcze popatrzył na skrzynię i uspokojony tym, że wreszcie znalazła się bezpiecznie w łodzi, wyskoczył i ruszył do brzegu, brnąc przez wodę. Z jego twarzy znikło napięcie; teraz malowała się na niej ulga. Karzeł podszedł do Nicabara i spojrzał mu w oczy, a potem westchnął i machnąwszy za siebie kciukiem, wskazał łódź.

- Zabieram je na pokład „Morskiego Cienia”. Biagio spojrzał z góry na karła i uśmiechnął się wesoło.

- Pomyślnych wiatrów, przyjacielu. I baw się dobrze w Nar. Prawie ci zazdroszczę.

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to niedługo tu wrócę - stwierdził uczonec. - I prawdę rzekłszy, wolałbym zostać. Nie bardzo podoba mi się myśl o tym, że mogłaby nas po drodze złapać jakaś burza... z tym urządzeniem na pokładzie.

- To twoje dzieło - uciął Nicabar. - Nie mów mi, że stwarza jakieś niebezpieczeństwo dla okrętu. To moja załoga i moi ludzie!

- Wcale temu nie przeczę. Ale zawsze istnieje pewne ryzyko. Jeżeli na przykład okręt zacznie tańczyć na falach, a w którejś z rurek zrobi się maleńka szczelina...

- Sam mi mówiłeś, że dokładnie wszystko sprawdziłeś i poddałeś to świństwo próbom!

- Owszem! Ale zawsze może się zdarzyć coś, czego nikt nie przewidział! - Bovadin spojrzał na Biagia, jakby szukał u niego wsparcia. - Powiedz mu sam, Renato...

Biagio skwitował spór ziewnięciem.

- Nie będę się z tym sprzeczał. Ważne jest, że wszystko wreszcie rusza. Ale drogi Bovadynie, nie spuszczań go z oka. Nie wtykaj też nosa, gdzie nie musisz. Pozwól

Thotowi robić swoje i dowodzić okrętem. Jeżeli traficie na burzę, to niech ją Thot ominie, albo przeczeka. Rozumiesz?

- Renato, sam powiedziałeś, że trzeba to dostarczyć na czas - upierał się Bovadin.
- Pozwól mi robić, co do mnie należy. Znajdę tego wytwórcę zabawek i dostarczę mu urządzenie osobiście. Ty tylko się upewnij, że ta mała nie zapomni o swoich urodzinach.

Biagio nie lubił, gdy mu się sprzeciwiano, ale teraz nie oponował. Bovadin spisał się na medal. Zasłużył na odrobinę łagodności.

- Uważaj na siebie - powiedział do Karła. - O nic więcej nie proszę.

- Będę uważał. Zobaczymy się wszyscy w Nar. - Na twarzy Bovadina pojawił się delikatny uśmiech. - Powodzenia.

- I nawzajem, przyjacielu - powiedział hrabia, podając mu dłoń. Bovadin uściśnił ją lekko, a potem się odwrócił i ruszył ku obciążonej skrzynią łodzi. Biagio z ulgą patrzył w ślad za odchodzącym Karłem. Nie spodziewał się żadnych kłopotów, ale Bovadin coś takiego skonstruował po raz pierwszy. Choć wszystko zostało starannie przemyślane, rozrysowane, a potem poddane różnym próbom, nawet Bovadin nie mógł zagwarantować stabilności mechanizmu. Była to niebezpieczna rzecz, być może najgroźniejsza z dotychczas skonstruowanych przez Karła broni i Biagio nie chciał jej mieć na swojej wyspie.

Wkrótce zresztą, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wyspa i tak znajdzie się w poważnych tarapatkach; hrabia nie widział potrzeby przyspieszenia zniszczenia Crote. Przez chwilę jeszcze patrzył, jak Bovadin człapie ku łodzi. Potem szalupa odbiła od brzegu i skierowała się ku czekającemu na kotwicy „Morskiemu Cieniowi”. Patrzący z brzegu Biagio widział zaniepokojone twarze oficerów i marynarzy, którym nie podobało się przewożenie tak niebezpiecznego ładunku.

- Wracajmy - odezwał się wreszcie hrabia. - Zobaczyliśmy już wszystko, co można było zobaczyć.

- Ja tu zaczekam - odpowiedział Nicabar. - Ot tak, dla pewności.

- Jak chcesz, przyjacielu. Ale nie zwlekaj z powrotem. Chcę ci opowiedzieć o Smoczej Paszczy.

Nicabar odwrócił wzrok i spojrzał przez ramię na rozmówcę.

- A co tam się stało?

- Niedługo powinieneś wyjechać. Musimy porozmawiać.

- Renato, ja wiem, jak się tam płynie.

- To nie żarty, mój drogi - odpowiedział Biagio z powagą w głosie. Nowiny ze Smoczej Paszczy docierały rzadko i z opóźnieniem. - Jest powód, dla którego musisz tam dotrzeć na czas. Jeżeli Enli nie zdoła zapanować nad krukami, będzie musiał jak najszybciej się stamtąd wynieść, jeszcze przed przybyciem Vorta. A ty mu w tym pomożesz.

Nicabar potrząsnął głową.

- Renato, nie popłynę tam po to, by uratować skórę tego ponuraka. Popłynę tam po głowę Vorta.

- Miejmy taką nadzieję - stwierdził Biagio z drwiącym uśmiechem. - W samą porę, by przesłać kolejną wiadomość Herrithowi. Przekażesz mu ją ode mnie, prawda, stary druhu?

Admirał w lot pojął głębię i przewrotność pomysłu hrabiego.

- Z największą przyjemnością, stary druhu.

Tej nocy Biagio przewracał się niespokojnie w swojej drogiej pościeli, bo dręczył go niepokój. Śnił o urzędzeniu Bovadina. Widział wielką Katedrę Męczenników i mały sklepik z zabawkami na ulicy Wysokiej - miejsce, gdzie zamożni Narenie zaspokajali kaprysy swoich berbeciów. Widział w snach Lorłę o nienaturalnie zielonych oczach. Mówiła coś do niego, ale kiedy się obudził, nie umiał sobie przypomnieć jej słów. Przez okno sączyło się światło księżycy, zabarwiając wszystko nierzeczywistym, srebrnym blaskiem. Gdy Biagio otworzył oczy, twarzyczka Lorli rozmyła się w tej właśnie poświacie. Hrabia przerzucił bosc stopy przez krawędź łoża i przetarł czoło. Wokół panowała idealna cisza. Położył się dziś samotnie, co ostatnio weszło mu w zwyczaj, a niewolnicy, którzy zwykle towarzyszyli mu przy wstawaniu, gdzieś przepadli. Hrabia wyrzwał przez okno wychodzące na ogród i spojrzał na pełne owoców drzewo. Na jednej z gałęzi siedział kruk, który odpowiedział mu beczelnym spojrzeniem i uśmiechnął się przewrotnie. Biagio syknął gniewnie, przypomniawszy sobie kruki Eneasa. W głowie miał natłok myśli, a wszystkie po kolei budziły jego niepokój. Był tak znużony, że nie mógł zasnąć. Na stoliku obok jego łoża stała w połowie opróżniona kryształowa karafka brandy. Hrabia na oślep sięgnął po trunek, ale tylko przewrócił karafkę i rozlał złocisty

płyn.

- Niech to lichy! - zaklął. Brandy wylała się na kosztowny dywan. Hrabia targany bezsilnym gniewem patrzył, jak plama rozpełza się coraz szerzej.

„Jestem zmęczony - przypomniał sam sobie. - Piekielnie zmęczony”.

Nie zawsze tak było. Kiedy mieszkał w Nar i był u szczytu swej potęgi, miał bystry umysł. Wraz z Arkusem kroczyli po ziemi niczym bogowie, on zaś był najbliższym przyjacielem władcy, jedynym członkiem Żelaznego Kręgu traktowanym przez starszego władcę jak syn. Teraz był wygnańcem, zmuszonym planować każdą minutę. Każdy wysiłek go otępiał. Nie pomagał nawet eliksir Bovadina. Biagio był niemal u kresu sił.

Ignorując poplamiony dywan, podszedł do okna, otworzył je i zaczerpnął głęboki haust powietrza. W nocnym wietrze wyczuwał morską sól, słyszał też muzykę dalekiego przyboju. Otwarcie okna spłoszyło kruką, który niezadowolony zerwał się do lotu.

Biagio posłał w ślad za nim przekleństwo. Obiecał ptakowi, że jeżeli wróci, trafi na jego stół jako danie na śniadanie. Widok odlatującego ptaszyska nieco go podniósł na duchu.

Crote należało do niego. I tak zostanie, niezależnie od tego, co się stanie. Odbierze je Lisseńczykom. Kiedy Nar wpadnie mu w ręce, do niego będzie należeć cały świat.

Jak zdarzało się ostatnio dość często, znów pomyślał o Simonie. Zastanawiał się, czy Simon zna jego prawdziwe uczucia. Był w końcu Croteńczykiem, a ci często podejmowali... eksperymenty. Simon jednak był niepodobny do swoich ziomków. Przypominał raczej Herritha. Nie można było go nazwać człowiekiem pobożnym, ale nie lubił nowości.

Sama myśl o tym przygięła ramiona hrabiego w bezsilnej rezygnacji. Biagio nie lubił zabiegać o uczucia kochanków. Teraz zaś czuł się jak uczeń, ogłupiały i bezradny. Jego żona Elliann, uważała go za zimnego i wyrachowanego, nie tracącego głowy nawet podczas najdzikszych orgii. Mogłaby się przespać z tygrysem i wyjść z tego bez szwanku. Była kochanką dziką, namiętną i żywiołową, a podczas pierwszych lat małżeństwa prawdziwie go podniecała. Ale - jak w przypadku innych nareńskich wielmożów znudzili się sobie i żadne z nich nie wyrażało sprzeciwu, gdy drugie brało

sobie kochanków. Biagio wciąż jeszcze darzył żonę sympatią i nie życzył jej źle. Nie była urodzona do wojny i buntu - na samą myśl o nich marszczyła z niesmakiem nos. A ponieważ uznała, że to Herrith wyjdzie obronną ręką ze starcia z Biagiem, przyłączyła się do stronników biskupa. Biagio nie oponował i pozwolił jej na wszystko. Teraz patrzył w okno i myślał o żonie, leżącej gdzieś w Nar obok młodego kochanka w pachnącej pościeli. Na jego usta wypłynął nikły uśmiešek. Może, kiedy wróci do Nar, powinien po niąposłać.

Obejrzał się na swoje łożo, zimne i sterylne. Jego sypialnia była wspaniała, rozległa, funkcjonalna i ozdobiona bezcennymi dziełami sztuki, porozwieszanymi na ścianach i poukładanymi na półkach. Ale Biagiowi nie dawało to dziś żadnej satysfakcji; narastało w nim coraz silniejsze pragnienie wyjścia na zewnątrz. W sali muzycznej stało pianino - kiedy miał jakieś problemy, zasiadał do klawiatury i wygrywając grzmiące melodie, uwalniał się od trosk. Była to dość szczególna terapia, ale w jego przypadku skuteczna, teraz więc zrzucił nocny strój i pogrzebawszy w jednej z wielu szaf, wybrał koszulę i spodnie, które wdział szybko i niedbale. Potem wzuł pantofle i wyszedł na pusty korytarz swego skrzydła pałacu, w którym jedynymi dźwiękami był syk płonących knotów wonnych lamp w ozdobnych kandelabrach. Jego wielki i groźny cień skakał po płytach posadzki, a podeszwy pantofli lekko skrzypiały. Nie było tu strażników, którzy mogliby zakłócić jego spokój, i żaden sługa nie giął się tu w ukłonie. Biagio przeszedł w milczeniu do sali muzycznej, nie mogąc się doczekać pierwszych uderzeń w klawisze. Ale kiedy dotarł na miejsce, znalazł drzwi otwarte, ze środka zaś sączyło się światło.

Zaintrygowany zwolnił kroku i ostrożnie zerknął do środka. Wewnątrz, pogrążona w milczącym, pełnym wyrazu tańcu śmigła po posadzce jego najcenniejsza niewolnica, Eris.

Była piękna i poruszała się z gracją gołębicy. Jej długie nogi bez najmniejszych oznak zmęczenia wirowały w piruetach. Dziewczyna, tańcząc, wyciągała ręce ku niebu, jakby błagała Boga o wysłuchanie jej milczących modłów. Jej błyszczącą od potu twarz oświetlał płomień jednej świecy, rzucającej długie cienie na policzki dziewczyny. W oczach Eris lśniły łzy, gdy tak tańczyła niebaczna na nic, smutna, i samotna.

Biagio patrzył jak zaczarowany. Dziewczyna była jego największą, najcenniejszą zdobyczą. Kiedy tak przed nim tańczyła, słyszał niemal, jak aniołowie w niebie zgrzytają

z zazdrości zębami. I nagle zrozumiał, czym tak dalece ujęła serce Simona, że zaryzykował dla niej niełaskę. Ta kobieta była wcieleniem doskonałości. I tańczyła jak bogini.

Nie było mężczyzny zdolnego się jej oprzeć. A już na pewno nie był nim nieszczęsny Simon.

Skończywszy ćwiczenia, opadła na posadzkę, na której legła bez ruchu z przechyloną głową. Przez chwilę Biagiowi wydawało się, że słyszy łkanie. Bardzo ostrożnie pchnął drzwi, rozchylając je nieco szerzej. Dziewczyna niczego nie usłyszała.

- To było cudowne - odezwał się łagodnie. - Dziękuję... Eris podniosła wzrok i na ułamek sekundy zdrętwiała. Potem krzyknęła cicho:

- Mistrzu! - I zerwawszy się na nogi opuściła wzrok ku ziemi. - Zechciej mi wybaczyć... - wyszeptała po chwili spokojniejszym tonem. - Ja ćwiczyłam. Nie wiedziałam, że tu jesteś i patrzysz.

- Nie masz za co przepraszać - rzekł Biagio, wślizgując się do sali. Objął ją swoim zimnym ramieniem i uniósł jej twarz. Spojrzał dziewczynie w oczy. - Patrzenie na ciebie sprawiło mi ogromną przyjemność.

Stwierdzenie i gest hrabiego mocno zakłopotwały dziewczynę, ale się nie cofnęła.

- Cieszy mnie to - zdołała wyjąkać. - Ja tylko ćwiczyłam.

- Nie, nie ćwiczyłaś - poprawił ją hrabia. Lodowatym kciukiem otarł z jej policzka łzę. - Nigdy przedtem nie widziałem, byś podczas ćwiczeń płakała. Skąd te łzy?

- Mistrzu, to nic. Fragment, który ćwiczyłam, był bardzo wzruszający, to wszystko.

- Fragment? Z czego? Nie znam tego utworu. Twarz dziewczyny wyrażała determinację.

- To... moja własna kompozycja. Dziś w nocy nie mogłam zasnąć. Trapią mnie rozmaite myśli. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Ale to wszystko drobiazgi, mój panie.

Naprawdę niewarte twojej uwagi.

Biagiowi strach dziewczyny sprawił wyraźną przyjemność. Opuścił palec na jej szyję i musnął nim złotą obręcz niewolnicy, jaką Eris nosiła na znak swej pozycji w jego domu.

- Droga Eris, przeklnę dzień, w którym nie będziesz mi mogła wyznać prawdy -

powiedział. - Dlaczego nie chcesz mi się zwierzyć? Ja też nie mogłem dziś zasnąć.

Pomyślałem, że zagram kilka melodii. Ty jesteś miłą, nocną niespodzianką.

- Wybacz, Mistrzu - poprosiła Eris cicho i błagalnie. Biagio zobaczył nagle, że tancerka wcale nie jest dziewczynką, na jaką wyglądała. - Jeżeli pozwolisz, to już sobie pójdę.

- Nie, wolę, żebyś została.

Hrabia odjął palec od jej obroży. Odwróciwszy się, podszedł do pianina i usiadł na wykładanym aksamitem taborecie. Eris została na środku sali, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć. Hrabia objął ją wzrokiem posiadacza, który się chlubi jakimś pięknym dziełem sztuki.

- Eris, i ja nie mogłem zasnąć tej nocy. Mnie też trapią rozmaite myśli.

Gdybym mógł posłuchać o twoich kłopotach, może choć na krótko zapomniabym o moich.

Powiedz mi więc proszę, co cię dręczy?

- Och, Mistrzu, to naprawdę sprawy bez znaczenia. Nigdy się nie odważę opowiadać ci o rzeczach tak trywialnych.

- Nalegam. - Biagio wskazał jej posadzkę u swoich stóp. - Podejdz tu i usiądź przy mnie.

Eris spełniła polecenie. Hrabia był wysokim mężczyzną, więc gdy usiadła na posadzce, zawisł nad nią niczym wieża. Był jednak dziś w łagodnym, melancholijnym nastroju; domyślał się zresztą przyczyn strapienia dziewczyny. Powód mógł być tylko jeden.

Eris podniosła wzrok tak smutny, że musiał sięgnąć dłonią i pogłodzić ją po głowie.

- Dziewczyno, pozbądź się niepokoju - powiedział. - Chcę tylko porozmawiać.

Albo, co bliższe prawdy, chcę posłuchać, jak mówisz. Chodzi o twego ukochanego, prawda?

- Mistrzu...

- Przestań. Wiem o wszystkim, pamiętasz? W końcu, dałem cię Simonowi.

- Tak, Mistrzu. Dziękuję. Nie wiem, jak będę się mogła odwdziżyć.

- Dziecko, dziękujesz mi każdym tańcem. A kiedy wrócimy do Nar i zatańczysz

dla wszystkich mieszkańców Czarnego Grodu, również tym tryumfem spłacisz wszelkie długi. - Biagio poczuł przypływ podniecenia. - We trójkę wrócimy do Nar. Będzie wspaniale.

- Bardzo bym chciała - wyznała Eris - zatańczyć w Nar dla wszystkich lordów i dam... Od dziecka o tym marzyłam.

- Zatańczysz dla nich, Eris, i całkowicie ich zawojujesz. Nareńscy wielmoże będą ci się kłaniać. Twoje imię zasłynie w całym Imperium, możesz być tego pewna.

- I pobierzemy się? Simon i ja?

Hrabia poczuł się jakby ktoś wbił mu sztylet w serce.

- Jeżeli będziesz chciała. Dziewczyno, nie złamię słowa, które dałem Simonowi Darquis. Będziesz jego, gdy tylko zrobi dla mnie to, do czego się zobowiązał.

Kiedy wróci, będziecie się mogli pobrać. Jeżeli zechcesz, to zrobicie to natychmiast po jego powrocie.

- Chcę, Mistrzu. Bardzo chcę. Jest mi drogi... i kocha mnie. - Nagle przerwała, zdając sobie sprawę z tego, co i do kogo mówi. - Oczywiście, zależy mu i na innych sprawach. Bardzo wysoko ceni sobie służbę u ciebie, Mistrzu. Cały czas mi o tym mówił.

- Chętnie temu wierzę - odparł sucho hrabia. Eris nie umiała kłamać. - A jak ty sama jesteś mu droga? Często się nad tym zastanawiam. Dano ci wielki dar, dziecko.

Wszyscy artyści w Imperium oddaliby duszę za to, by mieć twój talent. A ty? Co kochasz bardziej?

Eris zmarszczyła brwi.

- Mistrzu...

- Gdybyś musiała wybierać, co byś wybrała?

- Ależ nie muszę wybierać - odpowiedziała dziewczyna. - Miłość i talent są częściami mnie samej i nic tego nie zmieni. Simona kocham jak nikogo na świecie.

Ale taniec jest dla mnie wszystkim. Gdybym nie mogła tańczyć, byłabym nikim. Byłabym jak martwa.

Martwa. Biagio długo rozmyślał nad tym słowem. Wiedział jak to jest, kiedy coś komuś tak bardzo zapada w serce. Tak właśnie myślał o Nar i jego nieżyjącym już imperatorze. Dopiero teraz, po roku, zaczął jakoś dochodzić do siebie po szoku, jaki nim wstrząsnął po śmierci Arkusa. Zdziwiło go to, że cieszy się z radości Eris.

Dziewczyna miała jakiś cel w życiu, co było ostatnio rzadkością wśród Narenów.

- Jesteś moim wielkim skarbem, Eris - odezwał się cicho. - Ale dam cię Simonowi, ponieważ on też jest mi drogi. Od wielu lat służył mi wiernie i z zapalem. Kiedy będziesz jego. Jeżeli zechcesz, może dać ci wolność, ja jednak jeszcze cię poproszę, byś udała się ze mną do Nar, gdzie dasz popis swojej sztuki. Zrobisz to dla mnie, prawda?

- O tak, Mistrzu. Z największą ochotą.

- Simon pojedzie z tobą i wszyscy troje zamieszkamy w Czarnym Grodzie. Może nawet w Czarnym Pałacu?

To akurat nie wzbudziło w Eris entuzjazmu.

- Jeśli tego sobie życzysz, Mistrzu.

Biagio westchnął. Zmęczenie dawało o sobie znać w tym choćby, że mówił głupstwa.

Simon nie dbał o niego i taka była prawda. Kochał tę śmiertelną, siedzącą na posadzce kruchą istotę o zielonych oczach i miękkich piersiach. Kiedy wróca do Nar - zakładając oczywiście, że do tego w ogóle dojdzie - Simon i Eris odejdą, by założyć własną rodzinę, a Biagio w Czarnym Pałacu zostanie sam, bez żony i imperatora, który mógłby go pocieszyć.

Delikatnym ruchem wyciągnął dłoń i pogładził czarne włosy dziewczyny, zachwycając się ich miękkością. Eris pokornie pochyliła głowę. Biagio wyczuł jej obawę, ale ją zignorował. Choć jej pożądał, nie mógł jej wziąć do łóża. Zawsze dotrzymywał słowa, a obiecał Eris innemu.

Tancerka należała teraz do Simona.

Siedemnaście WEZWANIE DO BRONI

„Księżę Liss” ciął północne wody Lucel - Loru ostrą niczym brzytwa dziobnicą.

Oddaliwszy się od Nar na odległość trzech tygodni żeglugi, okręt okrążył przylądek Kes i pod pełnymi żaglami płynął ku półwypowi Tatteraku. Było południe i widok z pokładu dawał doskonały wgląd na cały horyzont. Załoga „Księcia” zebrała się na dziobie i wszyscy utkwili zaciekawione spojrzenia na celu podróży. Od kilku dni myszkowali u brzegów Tatteraku, przemierzając zimne, nie znane sobie wody. Byli znużeni, tęsknili za domem, ale widok cytadeli nappełnił ich serca radością.

Komandor Prakna, patrząc na Falindar, poczuł się małym i niewiele znaczącym człowiekiem. Widział w życiu niejedno, bywał w rozmaitych krajach, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Górski zamek przytłaczał swoim ogromem, wyciągając ku niebu lśniące niczym diamenty białe wieże. Najwyższe iglice mogły służyć aniołom za drabiny, a u ich podstaw rozciągały się ogrody, stajnie i zabudowania, wszystko wyzywająco wycięte w zboczu góry. Prakna poczuł, że ogarnia go zachwyty. Dumni musieli być ludzie, którzy zdobyli się na coś takiego.

- Zdumiewające - powiedział Marus. - Miałeś rację.

- Niezapomniane miejsce - stwierdził Prakna. Przedtem widział zamek tylko raz, z daleka i w mglisty dzień, ale i wtedy Falindar wywarł na nim niezatarte wrażenie.

- Powinniśmy dać jakiś sygnał - zasugerował Marus. - Niech wiedzą, że przybyliśmy.

Prakna parsknął śmiechem.

- Myślisz, że nas stamtąd nie zobaczą?

- Nie w tym rzecz. Sporo czasu upłynęło od dnia, kiedy lisseński okręt po raz ostatni przemierzał te wody. Nie powinniśmy się skradać.

- Marusie, mamy tylko jeden okręt, a oni rozpoznają nasze barwy. Wiedzą, że jesteśmy przyjaciółmi. - Mówiąc to, wskazał na dumnie powiewającą na topie lisseńską banderę. - Niełatwo ją też zapomnieć.

Uspokojony tym Marus dał wreszcie spokój. „Księżę” płynął wprost na cytadelę, a załoga szykowała się do rzucenia kotwicy. Prakna postanowił, że sam popłynie na

brzeg, by się zobaczyć z Vantranem i tym drugim, nowym panem Falindaru. Przez chwilę grzebał w pamięci, usiłując przypomnieć sobie jego imię. Lucyler? Ale Vantran z pewnością będzie go pamiętał. W tej chwili Marus zadał pytanie, po którym komandor spojrzał na niego podejrzliwie, bo zabrzmiało tak, jakby pierwszy oficer umiał czytać myśli.

- A jeżeli Vantrana tam nie będzie?

- Będzie - odparł Prakna. - A gdzie miałby się podziać?

- To wielki kraj - stwierdził Marus. - Mógł się osiedlić w stu innych miejscach.

Prakna nie odpowiedział, bo stwierdzenie było prawdopodobne. Wszelkie swoje rachuby oparł na nadziei. Jeżeli Vantrana nie zastaną w Falindarze, to na próżno się tu fatygowali.

- Wynajdujesz trudności, jakby ci za to płacono - ofuknął przyjaciela.

- Możliwe - odparł sucho Marus. - Ale nawet jeżeli tam jest, jak chcesz go przekonać, by z nami popłynął?

- I znów pytania!

- Owszem. A ty ich sobie nie zadajesz, komandorze?

- Owszem, ale się nimi nie przejmuję - odpowiedział Prakna. - Przekonywać Szakala, by wystąpił przeciwko Nar, to tak, jakby przekonywać wodę, by płynęła.

Nie będę nawet próbował.

- To już przeszłość - rzekł Marus. Skinieniem dłoni wskazał cytadelę. - Gdy człowiek pomieszka w miejscu takim jak to, mogą mu się zmienić poglądy na życie.

- Naprawdę tak uważasz? - Prakna zmierzył swego oficera kosym spojrzeniem. - A gdybyś ty pomieszkał w takim pałacu, czy zrezygnowałbyś z chęci zemsty za gwałty na Liss?

- Sam wiesz, że nie!

Prakna już się nie odezwał. Odwrócił się i wbił wzrok w rosnącą szybko cytadelę.

Pewien był, że Vantran się do nich przyłączy. Ta sama nienawiść do Nar, która wrzała w sercu Aramooczyka, kazała im wszystkim porzucić domy oraz rodziny i zmieniła ich w piratów. Vantran niczym się od nich nie różnił. Jak i oni, wiedział, co znaczy stracić najbliższych. Podczas ich pierwszego spotkania Prakna widział w jego oczach ten sam ogień, który płonął we wzroku jego marynarzy - ogień, którego nie

sposób było ugasić.

Prakna znał go z własnego doświadczenia. Marus też.

- Bardzo chciałbym poznać tego Vantrana - rzekł Marus. - Mam nadzieję, że pojawi się na naszym pokładzie. Mógłbym rzec żonie, że go widziałem.

- Nie martw się, będziesz miał powód do przechwałek - zapewnił go Prakna. - Kiedy się dowie, co mu proponujemy, nie zdoła się oprzeć pokusie.

Richius Vantran stał na brzegu i patrzył na nadpływający lisseński szkuner.

Więści o pojawieniu się okrętu znalazły go w jego komnatach, gdzie razem z Dyaną bawili się z Shani.

Podbiegł do okna i natychmiast zobaczył gościa.

Nie sposób było pomylić „Księcia” z innym okrętem.

Podczas nieobecności Lucylera rządy w cytadeli sprawował Deemis. Był to jeden z doradców Kronina i Lucyler darzył go wielkim zaufaniem. To właśnie Deemis przyniósł mu wieści o przybyciu lisseńskiego szkunera, trafnie odgadłszy, że Richius chętnie weźmie udział w powitaniu niedawnych sojuszników. Nie czekając na Dyanę, młodzieniec ruszył za Deemistem wiodącą w dół drogą na brzeg. Dyana pobiegła za nimi, gdy tylko znalazła niańkę.

Teraz stała obok męża i ze ściągniętą niepokojem twarzą patrzyła na zbliżający się okręt.

Przed nimi ustawili się wojownicy Deemisa z jiktarami osadzonymi w przytroczonych do pleców pochwach. Gdy tak patrzyli, od burty okrętu oderwała się niewielka szalupa, w której było dwóch wioślarzy i jeden pasażer. Richius z trudem krył zniecierpliwienie.

Nie widział, kim byli wioślarze, pewien był jednak tożsamości pasażera.

Prakna.

Wyglądało na to, że lisseński komandor chciał dotrzymać obietnicy. Powiedział kiedyś Richiusowi, że wróci na Lucel - Lor, jeżeli będzie potrzebował pomocy.

Richius zagryzł wargi i zerknął na żonę. Dyana stała zmartwiała z troski. Młodzieniec delikatnie ujął jej dłonie w swoje i ścisnął, jakby chciał jej dodać otuchy. Dyana cofnęła się o krok.

- To koszmar - szepnęła. Richius spróbował się uśmiechnąć.

- Może niepotrzebnie się niepokoisz - powiedział, zdając sobie sprawę z tego, że jego pocieszenia zdadzą się na nic.

- Co tu się wyrabia? - rozległ się za nimi głos Simona, który dołączywszy do grupki, patrzył na morze, osłaniając dłonią oczy. - To Lisseńczycy?

- Owszem - odparł Richius.

- Przyłynęli po Richiusa - stwierdziła ponuro Dyana.

- Tego jeszcze nie wiemy.

- Po ciebie, Richiusie? - spytał zaskoczony Simon. -| Wygląda więc na to, że miałeś rację. Jesteś im potrzebny.

- Simonie, proszę...

Ujrawszy wyraz twarzy Dyany, Naren skrzywił się z niechęcią.

- Przepraszam. Nie pomyślałem...

Beztroskie stwierdzenie sprawiło, że Richius poczuł rosnące zdenerwowanie.

Podczas kilku minionych tygodni oboje z Dyaną zdążyli już się przyzwycząić do obecności dezertera.

Choć rzadko rozmawiali, Simon już jej nie unikał, kiedy natykał się na nią na korytarzu.

Richius aż do tej pory był nawet z tego zadowolony.

Teraz Simon uśmiechnął się przeproszająco i cofnął o krok. Wiatr zadał mu w twarz i rozwichrzył włosy. Dyana zadrżała i objęła się ramionami. Deemis i jego ludzie stali z kamiennymi twarzami i obojętni na zimno, wyglądali prawdziwie po królewsku, gdy ich białe grzywy rozwiewały podmuchy wiatru. Razem z Deemsem było ich pięciu. Richius doszedł do wniosku, że nie było to powitanie, jakiego Prakna mógłby się spodziewać. Miał nadzieję, że widok wojowników nie spłoszy Lisseńczyka, który pewnie oczekiwał, że to Lucyler go powita.

Szalupa była już prawie przy brzegu. Pośrodku łodzi stał wysoki człowiek, który skrzyżował ramiona na piersi i przechyliwszy lekko głowę, wpatrywał się w stojących na plaży, usiłując ich rozpoznać.

Richius zmrugał oczy i przypomniał sobie, co mu było wiadomo o Lisseńczyku.

Poznał jego pociągłą twarz, jasne i krótko obcięte włosy oraz poorane zmarszczkami czoło.

Gość miał na sobie lekko już spłowiałą błękitną kurtkę ze złotymi guzikami, a do pasa nie przypiął żadnej broni. Kiedy podpłynęli bliżej, Lisseńczyk uniósł dłoń w geście powitania.

Richius odpowiedział takim samym gestem, choć Dyana i Triinowie ani drgnęli.

- Czy to on? - spytała Dyana.

- Chyba tak - odpowiedział Richius. Patrząc pod słońce, niełatwo było poznać twarz gościa, a zresztą wszyscy Lisseńczycy wydawali mu się podobni do siebie, tak samo zresztą jak Triinowie. Dyana westchnęła, jak osoba która traci ostatki nadziei.

- Jest wysoki - zauważył Simon. - Nigdy przedtem nie widziałem mieszkańca Liss.

Są trochę podobni do Triinów.

Rzeczywiście podobieństwo było dość znaczne, choć najłatwiej dostrzegali je postronni. Jak ich triińscy krewniacy, wyspiarze byli szczupli, smukli, długonodzy, mieli delikatną budowę ciała i migdałowe oczy, które nadawały im trochę niesamowity wygląd.

Mieli urodziwe twarze i odznaczali się lekko wyzywającymi manierami. Patrząc na nadpływających, Richius nagle zrozumiał, dlaczego tak bardzo i tak długo fascynowali Arkusa.

- Król Vantran? - zawołał mężczyzna, gdy łódź utknęła dziobem w piasku. - Czy to ty?

- Owszem - odpowiedział Richius, który sam nie bardzo wiedział, jak się przedstawiać. Wystąpił naprzód, by powitać Lisseńczyka. - Komandor Prakna?

- Tak, chłopcze! - wypalił gość, który nie dbając o konwenanse i nie czekając, aż jego ludzie złożą wiosła, wyskoczył w wodę. Ruszył ku brzegowi, brnąc po płyciźnie. Na twarzy wysokiego mężczyzny pojawił się uśmiech ulgi. Nie zwracając uwagi na Deemisa i jego ludzi, podszedł do Richiusa i złapawszy go za dłoń, zaczął nią energicznie potrząsać. - Bóg mi świadkiem, rad jestem ze spotkania. Obawiałem się, że cię nie znajdę.

- Witajcie, panie Prakna. - Richius nie bardzo wiedział, co rzec. - Ja też się cieszę, że cię widzę. Ale godzi się rzec, że nie bardzo rozumiem... Czy coś się stało?

Prakna uśmiechnął się tajemniczo.

- Vantranie, musimy porozmawiać. Wszystko wyjaśnię. Ale pierwej... - Komandor odwrócił się ku Dyanie i opadł na jedno kolano w pełnym szacunku ukłonie. - Pani Dyana, prawda? - spytał.

- Małżonka Vantrana?

- Owszem - odparła Dyana zaskoczona sposobem powitania. Spojrzała pytająco na Richiusa, ten jednak wzruszył tylko ramionami. - To ja. Witam, panie Prakna.

Lisseńczyk pochylił głowę.

- Rad jestem, że dano mi cię widzieć, pani. Na Liss mówi się o tobie z wielkim szacunkiem.

- Naprawdę?

- O tak... o was obojgu... Znana jest historia króla Richiusa i jego pani.

Jest w końcu Szakalem z Nar. Bohaterem. A ty jesteś damą jego serca, pani. - Prakna wstał i uśmiechnął się rozbrajająco. Ale kiedy zobaczył stojącego za Richiusem Simona, jego grzeczność rozwiała się jak nadmorska mgła. - A to co za jeden? - spytał ostro.

Richius odsunął się na bok, pozwalając Simonowi na wysunięcie się naprzód.

- To, komandorze, jest Simon Darquis.

- Naren?

- Mój przyjaciel - odparł Richius z lekkim naciskiem w głosie.

- Owszem, jest Narenem. Porzucił służbę w nareńskich legionach. Simon lekko pochylił głowę.

- Komandorze...

Twarz Prakny stężała, niczym bryła lodu. Przez dłuższą chwilę mierzył Simona wzrokiem, nie omijając spojrzeniem nawet jego lekko jeszcze spuchniętego nosa.

- Dezerter z legionów? Nie sadziłem, że coś takiego jak dezercja znana jest legionistom. Jak długo jest już z wami?

- Od kilku tygodni - odpowiedział Richius. - Może nieco dłużej. - Nie spodobało mu się to, że Lisseńczyk tak podejrzliwie odnosi się do jego krajana, ale postanowił na razie nie drażnić tematu. - Komandorze, on nikomu nie zagraża, jeżeli to akurat cię trapi. Sam początkowo miałem te same wątpliwości, co ty. Zapomnij o obawach.

- Zechciej wybaczyć, ale nie jest mi łatwo zachować spokój przy jednym z tych

nareńskich rzeźników. - Mówiąc te słowa, komandor patrzył Simonowi prosto w oczy i nawet nie mrugnął. - Bez urazy, panie... Simonie Darquis.

Simon milczał, a kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był słodki niczym miód.

- Nie czuję urazy, panie... Lisseńczyku. Wiem, czym jest Imperium i co jego siepacze zrobili na waszych wyspach. Dlatego właśnie zrezygnowałem ze służby w legionach.

- Nie masz pojęcia, co twoi rodacy zrobili na Liss - odpowiedział Prakna przez zęby. - Nie mówmy już o tym.

- Komandorze... - wtrącił się Richius w nadziei, że zdoła zmienić temat rozmowy.

- To Deemis, jeden z obrońców cytadeli.

Granitowe oblicze Deemisa pękło w uśmiechu. Oblicze komandora natychmiast złagodniało i Prakna odpowiedział uśmiechem. Zaraz potem nisko się skłonił, witając wszystkich Trinów.

- Wielki to dla mnie honor - powiedział. - Zechciej wybaczyć, ale nie znam waszego języka. Lady Dyano, proszę, przetłumacz łaskawie, co powiedziałem. Powiedz im, że jestem zaszczycony i rad temu, że znów mogę stąpać po jego ziemi.

Dyana szybko przetłumaczyła słowa gościa i kamienne oblicza wojowników trochę złagodniały. Tymczasem wioślarze Prakny wyciągnęli szalupę na brzeg. Marynarze ubrali byli podobnie jak ich przelożony - mieli na sobie mocno wyświechtane kurtki. Gdy się uporali z łodzią, Prakna skinieniem dłoni wezwał ich ku sobie.

- To dwaj członkowie mojej załogi - rzekł, przedstawiając żeglarzy. - Od kilku miesięcy razem ze mną z pokładu „Księcia Liss” nękają nareńskie wody.

- A tak - powiedział Richius. - Słyszałem o tym, jak uczycie Narenów bojaźni Bożej. A więc to prawda, co ludzie mówią?

- Prawda, wszystko prawda - odpowiedział Prakna. - Na razie nam się udaje.

Królu Vantranie, mam ci wiele do powiedzenia. Za twoim pozwoleniem odprowadzę cię do cytadeli i po drodze opowiem, po co tu przypląnałem. Chętnie się też zobaczę z lordem Lucylerem, jeżeli oczywiście zechce mnie przyjąć.

- Przykro mi, komandorze, ale w tej chwili to niemożliwe - odpowiedział Richius.

Szybko wyjaśnił nieco rozczarowanemu Lisseńczykowi, że pilne sprawy wezwały Lucylera do Kes, gdzie próbuje uśmierzyć spór pomiędzy dwoma kłótliwymi wodzami.

Usłyszawszy te niewesołe wieści, Prakna potrząsnął głową.

- Lord Lucyler ma pełne ręce roboty - rzekł ze smutkiem. - Wcale mu nie zazdroszczę. Tharna pochowano zaledwie rok temu i triińscy wodzowie znów skaczą sobie do gardeł. - Spojrzawszy na stojących nieruchomo wojowników, dodał: - Oby Bóg zechciał położyć kres wszystkim wojnom.

- Owszem - wtrąciła się Dyana. - I niech to zrobi jak najszybciej.

Prakna w lot się zorientował, co piękna Triinka miała na myśli.

- Pani Dyano, wiem, że jestem nieproszonym gościem i nie witasz mnie rada.

Proszę tylko, byś nie osądzała mnie zbyt pochopnie. Sprawa, jaką mam do twojego męża, jest wielkiej wagi.

- Widziałam już kilka wojen - odpowiedziała chłodno Dyana.

- Wiem, po co mężczyźni je toczą.

Prakna uśmiechnął się zdawkowo, jakby mówił do dziecka.

- Pani, nie będę się spierał. Sam nie jestem miłośnikiem wojennej wrzawy. Czy możemy porozmawiać? - z tym pytaniem zwrócił się do Richiusa.

- Proszę na komnaty - zaproponował Richius. - Oczywiście dotyczy to też twoich ludzi, komandorze. Jeżeli jesteście godni, czy znużeni...

- Wielkie dzięki za wszystko, co ofiarujecie moim ludziom. Ale wolałbym porozmawiać z tobą na osobności.

Dyana uniosła jedną brew w górę.

- Wolałabym być przy tej rozmowie. Podejrzewam, że przynajmniej po części będzie mowa i o mnie.

- Zechciej wybaczyć, pani... - zaczął się sumitować Prakna - ale sprawy, jakie chcę omówić z twoim mężem, nie są przeznaczone dla niewieścich uszu.

- Dyano... - Richius złagodził swe słowa uśmiechem. - Pozwól mi porozmawiać z komandorem w cztery oczy, dobrze?

Twarz Dyany okryła się chmurą gniewu i młoda kobieta zagryzła wargi.

- Komandorze - zwrócił się Richius do gościa. - Każę służbie podać coś do zjedzenia. Pewien jestem, że chętnie coś przekąsicie.

- Z przyjemnością - zgodził się Prakna. Potem zerknął na Simona i znów spojrzął na Vantrana. - Rozumiem, że kiedy mówiłeś o rozmowie w cztery oczy, miałeś na myśli

i tego... pana.

- Kogo? Simona? - spytał Richius. - Nie, oczywiście że nie będzie nam towarzyszył.

- To bardzo dobrze - odpowiedział Prakna z widoczną ulgą.

- Nie sądzę, byś miał coś przeciwko temu - zwrócił się Richius do Simona.

- Nie, skądże - odpowiedział Simon. Uśmiechnął się zdawkowo do Lisseńczyka. - Miło mi było cię poznać, komandorze. Życzę powodzenia we wszystkim, co zamierzacie.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył ku ścieżce wiodącej w górę do cytadeli. Richius spojrzął za nim, ogarnięty nagłą skruchą.

- Komandorze - zwrócił się po chwili do Prakny. - Życzyłbym sobie, byś uważał na to, co mówisz, kiedy rozmawiasz z Simonem. Niewielu mam przyjaciół i bardzo mi na nich zależy. Następnym razem, kiedy natkniesz się na Simona, postaraj się o bardziej uprzejmy ton.

Komandor zmarszczył brwi.

- Postaram się ze względu na to, że jest twoim przyjacielem. Teraz jednak trzeba się nam rozmówić. Sprawa jest bardzo pilna.

- No to chodźmy - odpowiedział Richius, prowadząc gości pod górę.

Dyana spacerowała niecierpliwie wzdłuż korytarza przed komnatą, w której Richius rozmawiał z Prakną. Była dość daleko, by gość jej nie słyszał - ona zresztą też niczego nie słyszała, co ją irytowało. Obaj zamknęli się tam przed kilkoma minutami, ona jednak już płonęła z niepokoju. Na prośbę Richiusa Deemis i inni Triinowie zabrali żeglarzy Prakny do innej części cytadeli, gdzie mieli coś zjeść i odpocząć. Richius poprosił Dyane, by poszła z tamtymi, na co początkowo się zgodziła, potem jednak zawróciła ku komnacie, w której jej mąż rozmawiał z lisseńskim komandorem. Czekwała na końcu korytarza niczym porzucone dziecko, ale choć wytężała słuch, niczego się nie dowiedziała. Nie mogła się jednak zdobyć na to, by odejść. Pełna złych przeczuc myślała tylko o mężu.

- Dyano?

Zaskoczona odwróciła się i zobaczyła Simona, który wyglądał zza rogu z krzywym uśmiechem na twarzy. Naren też miał w oczach niepokój. Dyana kiwnęła dłonią, zapraszając go, by podszedł bliżej.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Szukałem cię - odpowiedział. - Tak sobie pomyślałem, że cię tu znajdę. Ja...

-

Wzruszył ramionami. - Trochę się niepokoję.

- On chce mi zabrać męża - szepnęła Dyana cicho i żałośnie.

- Może Richius z nim nie popłynie.

- Popłynie - odpowiedziała Dyana. - Wciąż tylko o tym myśli. Sam zresztą to widzisz. On jest jak ci Lisseńczycy. Opętała go żądza zemsty.

- Przecież cię kocha. Simon podszedł bliżej.

Dyana spojrzała z lekkim zdziwieniem. Co ten Naren mógł wiedzieć o miłości?

- Skąd wiesz? - spytała.

- Przecież widzę. Każdy to widzi. Może źle go osądzasz? Nie jestem pewien, czy się zdobędzie na to, by cię opuścić.

Dyana oparła się o ścianę.

- Bardzo bym chciała, by się okazało, że masz rację. Wiem, że mnie kocha, ale jedną rzecz powinienes o nim wiedzieć - on nie umie zapominać ani przebaczać.

Jeżeli ten Prakna podsunie mu okazję do zemsty, Richius natychmiast z niej skorzysta. A ja nie zdołam go zatrzymać.

- Wiem, że nie jest tu szczęśliwy - przyznał Simon. - Ale czego tak naprawdę chce od niego ten Lisseńczyk? Richius nie jest żeglarzem.

- Nie wiem - przerwała Dyana. Spojrzała na Simona i poczuła, że jest rada temu, że jej tu towarzyszy. W tej chwili potrzebowała obecności kogokolwiek, z kim mogłaby porozmawiać. Choćby Simona. Niekiedy Naren zaskakiwał ją domyślnością. Miał swoją tajemnicę, ale zaczynała ją powoli rozgryzać. - Simonie, czy jesteś tu szczęśliwy? - zapytała. - Nie tęsknisz za domem?

- Dlaczego pytasz? - Naren zmarszczył brwi.

- Jesteś Narenem, jak Richius. Nigdy nie byłem w Nar. Czy jest tam dużo lepiej niż tu, w Falindarze?

- Nie da się odpowiedzieć na tak postawione pytanie - odparł Simon - ale myślę, że w domu jest zawsze lepiej, niż na obczyźnie. Szczególnie jeżeli masz tam kogoś, kto cię kocha. Odpowiedź zaintrygowała Dyane.

- Zostawiłeś w domu ukochaną osobę? Mam na myśli kobietę.
- Dawno już nie byłem w domu - odpowiedział Simon ze smutkiem w głosie.
- Ale był ktoś? Straciłeś ją, kiedy zdezerterowałeś?

Widać było, że Simonowi niełatwo odpowiedzieć, ale zamknął oczy i w końcu wykrztusił:

- Można to i tak określić.
- Przepraszam. Nie powinnam pytać. Wybacz mi.
- Nie musisz mnie wcale przepraszać. Sam podjąłem taką, a nie inną decyzję.
- Decyzję o dezercji?

Naren kiwnął ponuro głową.

- Owszem, można by tak to nazwać.

Dyana poczuła wstyd. Prawie nie znając tego człowieka, wymuszała na nim wyznania.

Ale widoczny w oczach Simona smutek kazał jej zadawać te pytania. Wiedziała już, że nie do końca powiedział im prawdę o sobie. Simon musiał być świadkiem przerażających wydarzeń.

Jak Richius. Wojna wywarła niszczące piętno na nich obu. Pozamykali się w sobie, otaczając swe serca murami nieprzystępności.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że tu jestem. To znaczy... gdybyś chciał porozmawiać. Richius też. Możemy stać się przyjaciółmi, jeżeli dasz nam szansę.

- Jesteś bardzo uprzejma - odpowiedział Simon. Jego twarz nieco złagodniała. - I tak wiele już dla mnie zrobiliście. Dziękuję. - A potem niespodziewanie parsknął śmiechem. - Kiedy twój mąż na mnie skoczył tam w lesie, myślałem, że już po mnie!

- Richius bywa podejrzliwy - przyznała Dyana. - Ale cię polubił. Wiem na pewno. I dobrze, że cię znalazł. Nadciąga zima.

- Temu nie zaprzeczę, choć sam znalazłbym jakieś schronienie. Po wojnie wszędzie jest dość opuszczonych domostw i budowli. Mógłbym się skryć w jednym z nich.

Dyana zmarszczyła brwi.

- Opuszczone budowle? Gdzie je widziałeś?

Simon umilkł na chwilę.

- No wiesz, opuszczone z powodu wojny. Widziałem je po drodze. Na przykład wieża. - Spojrzał na zamknięte drzwi na końcu korytarza. - Myślę, że powinniśmy stąd odejść. Mogą nas usłyszeć i pomyśleć, że podsłuchujemy.

- I mieliby rację - stwierdziła Dyana cierpkim głosem. - Na Lorrisa i Pris, wiele bym dała za to, żeby usłyszeć, o czym oni tam rozmawiają.

Komandor Prakna z westchnieniem odstawił puchar na stół. Podczas kilku pierwszych chwil spotkania nie rozmawiali, bo Prakna sycił się poczęstunkiem, na który składały się falindarskie plony. Jego chęć rozmowy rozproszyła się jak dym, gdy zobaczył przed sobą na stole świeże owoce. Richius wiedział, czym jest głód, ale kiedy tylko Prakna przerwał jedzenie i podniósł wzrok, natychmiast skorzystał z okazji do zadania pytania.

- I cóż, komandorze - zaczął. - Co cię tu sprowadza?

- A co? Czekałeś na mnie? - Prakna odpowiedział pytaniem na pytanie. - Powiedziałem, że wrócę, kiedy będę cię potrzebował. Sądzisz, że tak się właśnie stało?

- Ot, tak się tylko zastanawiam. Tu w Falindarze żyjemy trochę na uboczu głównego nurtu wydarzeń.

- Ale miałeś nadzieję, prawda? - nie poddawał się Lisseńczyk. Nachylił się nad stołem. - Nie wyszedłbyś mi na spotkanie, gdybyś na nas nie czekał.

- Komandorze Prakno, nie chciałbym, żebyś mnie wziął za natręta, ale przypominam, że zadałem ci pytanie - stwierdził rzeczowo Richius. - Powiedz, po co tu przybyłeś.

- Jak to po co? Po ciebie, oczywiście. Potrzebna nam twoja pomoc.

- Nam, to znaczy komu?

- Liss - odpowiedział komandor. Odsunął talerz z owocami, jakby nagle poczuł do nich niechęć. - Mógłbym rzec, że jesteś potrzebny wszystkim, którzy mają rachunki z Nar.

Królu Vantranie, będę szczery. Chcesz się zemścić, dokładnie tak samo, jak ja.

Widziałem to w twoich oczach, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy i widzę to teraz. Ja dam ci możliwość wyrównania rachunków.

- To mi nie wystarczy - odpowiedział Richius, zbywając wyjaśnienia Lisseńczyka machnięciem dłoni. - Zacznij od początku. Co się dzieje na Liss? Słyszałem, że

napadacie na nareńskie statki, ale to wszystko, co mi wiadomo.

- Mam flotę składającą się z ponad pięćdziesięciu okrętów, które patrolują wody Imperium - odparł Prakna. - Większość z nich to szkunery, jak „Księżę Liss”.

- „Księżę Liss”?

- To mój okręt flagowy, stojący na kotwicy pod zamkiem. Powiem więcej, nie ograniczamy się tylko do posyłania na dno nareńskich okrętów. Dodam, że zatopiliśmy ponad ćwierć setki wrogich jednostek. Nękamy również ich miasta przybrzeżne - ostatnio spaliliśmy Dorię. - Twarz komandora rozświetliła się dumą. - Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów te nareńskie świny poznały, co to znaczy być nękanym.

Odpowiedź mocno Richiusa zaskoczyła.

- Doria? Jakże to? A Czarna Flota?

Prakna podniósł dłoń.

- Zaczekaj. Sądzę, że przyda ci się przegląd wydarzeń. Czy się mylę?

- Raczej nie - przyznał Richius. - Jak powiedziałem, żyjemy tu na uboczu i nie docierają do nas wieści ze świata.

- Pozwól więc, że coś ci opowiem - zaczął Prakna.

Dość zwięźle opisał zamęt, w jaki Nar popadło po śmierci Arkusa, nie bez uciechy opowiadając o wrogości dwóch stronnictw, Biagia i Herritha. Nie było to dla Richiusa nowością, nie wiedział jednak o tym, że Czarna Flota, opowiedziawszy się za Biagiem, ustawiła kordon wokół jego ojczystej wyspy Crote. Dalej Prakna opowiedział o tym, jak to w Nar niemal wytepiono zwolenników Czarnego Odrodzenia i o tym, że za Herrithem stanęły imperialne legiony. Nareńska flota, dodał, trzyma się z dala od brzegów Imperium.

- Opanowaliśmy nareńskie wody - ciągnął Prakna. - I dajemy im łupnia. Nie dlatego, że chcemy krzywdzić Narenów. Mamy ważniejszy cel - chcemy wywabić „Nieustraszonego” i resztę nareńskiej floty i ściągnąć ich pod Nar!

Stwierdzenie to mocno Richiusa zdumiało.

- „Nieustraszonego” to okręt Nicabara, prawda? Dlaczego chcesz, by was ścigał?

Widziałem nareńskie liniowce. Pewien jestem, że mają ich dość, by dać warn do wiwatu.

- Nie będę się z tym spierał - odparł Prakna. - Ale ty mnie nie słuchasz uważnie.

Nie zależy nam, by je ściągnąć pod Nar. Chodzi o to, by je odciągnąć od Crote.

Co nam się wreszcie udało. Dwa tygodnie temu sam natknąłem się na „Nieustraszonego”. On i przynajmniej dwa inne liniowce opuściły wody Crote. Biagio pozostał bez ochrony.

- I cóż z tego? - wzruszył ramionami Richius.

- A to, że nareszcie trafiła się nam okazja, na którą czekaliśmy - stwierdził Prakna.

Położywszy dłonie na stole, rozsunął palce i przez chwilę ważył każde słowo, które miał powiedzieć. W końcu spojrział Richiusowi prosto w oczy. - Królu Vantranie, Liss zamierza uderzyć na Crote.

Ważkość stwierdzenia dotarła do Richiusa dopiero po chwili. A kiedy to się stało, młodzieniec aż się poderwał.

- Co powiadacie?

- Crote jest strategicznie najsłabszym elementem Imperium. Jeżeli opanujemy Crote, nasza flota, operując stamtąd, będzie mogła z łatwością pustoszyć nareńskie wybrzeża.

Możemy przecinać im linie zaopatrzenia, niszczyć handel...

- Czy na pewno jesteś przy zdrowych zmysłach? Najechać Crote? A Biagio...

- Nawet się nie spostrzeże, czym dostał w łeb! - warknął komandor. - Jeżeli Czarna Flota opuściła wody wyspy, nie ma tam nikogo, kto by go chronił. Moje szkunery mogą wysadzić desant, zanim zdąży kogokolwiek wezwać na pomoc. A siły wojskowe na Crote są bardzo nieliczne i głównie strzegą pałacu Biagia.

- A skąd weźmiesz ludzi do tego „desantu”? Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale mówiono mi, że podczas działań wojennych ludność Liss została zdziesiątkowana.

Masz tylko garstkę żeglarzy! I tak się dziwię, że zdołaliście obsadzić dość okrętów, by nękać Imperium.

- Powoli odrabiamy straty - stwierdził Prakna z dumą. - Ale masz rację. Nie umiemy się bić na lądzie. Nigdy przedtem tego nie robiliśmy. I dlatego potrzebujemy ciebie.

Richius mógł się tylko roześmiać. Przejrzał rozmówcę na wylot.

- A, tak. Jestem więc lekarstwem na wasze kłopoty. I co mam zrobić? Chcecie,

żebym wyszkolił armię?

- I stanął na czele inwazji - odparł Prakna zupełnie poważnie. - Mamy więcej ludzi chętnych do uderzenia na Nar, niż mógłbyś się spodziewać. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Mógłbyś...

- Nie - uciął Richius. Wstał i potrząsnął głową. - Myślę, że wyrobiłeś sobie o mnie błędną opinię. Nie jestem wodzem.

- Z całym szacunkiem, ale to ty się mylisz - odparł Prakna. - Wiem o tobie wszystko, królu. To ty byłeś tym, który pokonał Narenów w bitwie o Dolinę Dring.

Miałeś też własną kompanię w Aramoorze. Jesteś urodzony do walki z konia. I załóż się, że świetnie władasz mieczem.

- Przegrałbyś, szermierz ze mnie nie za wielki.

- Ale dość dobry, by wybebeszyć Gayle'a z Czarnej Kniei - stwierdził rzeczowo Prakna. - A to mi wystarczy. Nie przypląnąłbym tutaj, gdybym nie uważał, że możesz nam pomóc. Liss potrzebuje kogoś takiego jak ty. Potrzebny nam ktoś znający się na taktyce, strategii i z doświadczeniem w walkach na lądzie. - Na jego twarzy pojawił się niemal błagalny wyraz. - Królu Vantranie, jesteś nam potrzebny.

W uszach Richiusa zabrzmiało to jak modlitwa, której nie mógł nie wysłuchać.

Przesunął swoje krzesło na drugą stronę stołu i usiadł tak, by spojrzeć Praknie prosto w twarz.

- Komandorze... - odezwał się łagodnym głosem. - Przybyłeś tu na próżno.

Myślałem, że chcesz, żebyśmy się do was przyłączyli, a ty mi proponujesz objęcie dowództwa.

Niezależnie od tego, co o mnie słyszałeś, nie jestem wodzem. I dobrze by było, żebyś po powrocie do domu powiedział swoim, by przestali mnie wielbić jak bohatera. Nie pokonałbym Narenów bez pomocy innych. Pomogli mi Triinowie. Wielu z nich zapłaciło za to życiem. Powinieneś się nad tym zastanowić.

- Już o tym myślałem - odparł Prakna lodowatym głosem. - Nie mów mi o śmierci, młodzieńcze. Od dziesięciu lat idzie za mną krok za krokiem. Ale teraz mamy szansę wyrównania rachunków. Czy tego nie dostrzegasz? Wiem, co Biagio zrobił twojej żonie. To on wydał rozkaz jej egzekucji. Nie powiesz mi chyba, że nie myślałeś o zemście!

- Dość! - syknął Richius, unosząc palec. - Ani słowa więcej! Moja żona to nie twoja sprawa. I przestań mi mącić w głowie! Nie wiesz, co czuję!

- I znów się mylisz. Wojna z Nar kosztowała mnie życie dwóch synów. Kiedy napadli nas Narenie, mieli po kilkanaście lat. Ale gdy tylko podrosli na tyle, by unieść broń, zbiegli z domu, by stanąć w szeregach obrońców ojczyzny. Teraz obaj nie żyją.

Który z nas stracił więcej? Myślę, że nie ma się o co spierać, a ty?

W głosie Prakny było tyle bólu, że Richius zachował spokój jedynie dzięki ogromnemu wysiłkowi woli.

- Głęboko ci współczuję, komandorze - odparł, gdy zdołał wreszcie się opanować. - O niczym nie wiedziałem. Ale też i niczego to nie zmienia. Nie mogę wam pomóc, nie mogę stanąć na czele inwazji. Nie mam pojęcia, jak przekształcić rybaków w żołnierzy.

- Ależ świetnie to umiesz! - znów sprzeciwił się Prakna. - Poprowadziłeś do walki swoich krajanów, prawda? A czymże jest Aramoor, jeżeli nie krajem kmieci i hodowców koni? Dam głowę, że wśród twoich ziomków są i rybacy. Nie różnimy się aż tak bardzo, jak myślisz. Pozwól sobie pomóc w zemście na Narenach. I pozwól rzec, że teraz, póki są słabi, jest najlepsza pora.

Nie dało się zaprzeczyć, że propozycja była kusząca. Prakna miał wielki dar przekonywania. Co więcej, Richius wiedział, że plan ma pewne szanse powodzenia.

Crote było małą wysepką, pozostawioną niemal bez ochrony. Prakna nie mylił się też co do jej strategicznej pozycji. Usadowiwszy się tak blisko kontynentu, Lisseńczycy będą mogli uderzać, kiedy zechcą i gdzie zechcą. Wszystko to jednak nie miałyby znaczenia, gdyby Prakna nie miał w zanadru jeszcze większej przynęty.

Biagio.

- Dlaczego sądzisz, że Czarna Flota nie wróci pod Crote? - spytał. - Biagio źle się czuje bez ochrony.

- Do inwazji nie użyjemy wszystkich naszych okrętów. Udział w niej wezmą tylko te, które będą potrzebne do przewiezienia oddziałów i zapasów potrzebnych do prowadzenia działań. Reszta będzie nadal nękała brzegi Nar tak, by Nicabar miał jakies zajęcie. - Lisseńczyk zrobił przebiegłą minę. - Nie martw się, już my zadamy o to, by mieli pełne ręce roboty.

- No, nie byłbym taki pewien. Biagio jest przebiegły i wszędzie ma swoich ludzi.

Jeżeli powźmie podejrzenie, że chcecie mu się dobrać do skóry, to wasza inwazja skończy się szybko i widowiskowo.

Prakna lekceważąco machnął dłonią.

- Biagio został osamotniony. Przyznaję, że jest przebiegły, ale i nam nie brakuje sprytu. Nie będzie się niczego spodziewał.

- A co zamierzacie z nim zrobić, gdy już zdobędziecie wyspę?

- To już będzie twoja sprawa - obiecał Lisseńczyk. - Biagio wchodzi w skład naszej umowy. Ja wezmę wyspę. Ty weźmiesz Biagia. Jest twój. Możesz zgasić jego żywot jak niepotrzebną świecę. To będzie zresztą sprawiedliwe, nieprawdaż?

- Nie jestem mordercą, komandorze. Nie zniżę się do jego poziomu.

- Bzdury - przerwał mu Prakna. - Nikt z nas nie jest lepszy od innych. Królu, nie różnimy się tak bardzo, ty i ja. Urodziliśmy się na przeciwległych krańcach świata, ale teraz jesteśmy tacy sami, bo życie uczyniło z nas braci. Wiesz o tym, prawda? Nie zaprzeczysz, nie możesz zaprzeczyć. Widać to na twojej twarzy. Owszem, nie jesteś rzeźnikiem takim jak Biagio, ale możesz go zabić. Jeżeli go wydam w twoje ręce, osobiście poderżniesz mu gardło.

- Prakna pochylił się i spojrzał Richiusowi w oczy. - Może nie?

Richius wstał, niezdolny do odpowiedzi. Nie wiedział zresztą, i nie chciał się dowiedzieć, co mógłby rzec Lisseńczykowi.

- Możesz zostać w Falindarze, jak długo zechcesz - rzekł Praknie. - Niech twoi ludzie zejść na brzeg, by odpocząć i zjeść do woli świeżych owoców. Wszyscy znajdą tu też noclegi.

- Królu Vantranie - odezwał się Lisseńczyk ostrzegawczym tonem. - Domagam się odpowiedzi. - Wyciągnął rękę, podając ją Richiusowi. - Pójdiesz z nami, czy nie?

- Komandorze...

- Nie każ mi żałować straconego czasu - nalegał Prakna. - Nie dokonamy tego bez ciebie. Nie mamy twojej wiedzy.

Richius westchnął.

- Kiedy odpływacie? Wtedy dam odpowiedź.

- Wiem, że myślisz o żonie. Ja swoją także zostawiłem... na Liss. Ma na imię J'lari.

Bardzo ją kocham. Ale to niczego nie zmienia. - Prakna nie cofał dłoni. - Liss cię potrzebuje.

- Przyjacielu, może się okazać, że obaj popełniamy szaleństwo - odparł Richius z powagą.

I uderzył swoją dłonią w dłoń Lisseńczyka.

Wszędzie panowała cisza. W ogrodach zrobiło się chłodno i Simon wzdrygnął się lekko z zimna. Z wierzchołka drzewa przyglądał mu się podejrzliwie jakiś ptak, a na poły zarośnięte mchem posągi przysłuchiwały się powiewom wiatru głuchymi uszami.

Simon przechylił głowę i rozejrzał się dookoła. Oprócz swego niespokojnego oddechu nie usłyszał niczego podejrzanego. Nad jego głowapięły się ku niebu oświetlone pochodniami wieże Falindaru. Było już późno i większość mieszkańców cytadeli udała się na spoczynek. Przed chwilą przez ogród przeszli dwaj triińscy strażnicy, którzy obrzucili go nieco zaskoczonymi spojrzeniami. Simon kiwnął im głową i to wystarczyło, by poszli dalej. Dzięki Vantranowi darzono go tu teraz zaufaniem.

Wetknąwszy dłoń do kieszeni, wyjął niewielki, starannie złożony kawałek papieru, który rozwinął, i przyjrzał się wypisanym na nim liczbom od jedynki do czterdziestki.

Wszystkie, prócz ostatnich pięciu zostały przez niego w miarę upływu kolejnych dni przekreślone. Podniósł głowę, by zerknąć na księżyc. Choć do świtu zostało jeszcze wiele godzin, wyjął z kieszeni kawałek grafitu i przekreślił liczbę trzydzieści sześć.

Za cztery dni u brzegów pojawi się „Pogromca”. Tyle też zostało mu czasu na porwanie Shani.

Simon zmełł w ustach przekleństwo. Doskonale się spisał, zyskując zaufanie Vantrana. W zwykłych okolicznościach byłby z siebie dumny. Tym razem czuł się podle. Vantran i jego żona traktowali go jak przyjaciela, czego nie wziął pod rachubę, i co sprawiało, że sam w sobie godny pogardy akt porwania dziewczynki wydał mu się jeszcze bardziej obrzydliwy... i trudniejszy. Polubił Richiusa. Polubił też jego żonę. Wiedział, że utrata córeczki złamie młodej kobiecie serce. Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni.

„Biagio! - pomyślał z nienawiścią. - Obyś zgorzał w piekle za to, że mnie do tego zmusiłeś!”

Wmawiał sobie, że nie ma wyboru i nigdy go nie miał. Pomimo uprzejmości, jaką okazywał Vantranowi, jego determinacja w wykonaniu zadania wcale się nie zachwiała.

Chodziło o Eris. Jeżeli nie wróci na Crote z dziewczynką, jak to obiecał Biagiowi, życie ukochanej nie będzie nic warte. Biagio nie tylko cofnie zgodę na ich małżeństwo.

Zabije ją.

Gorzej jeszcze, bo może zechce wydać ją Savrosowi, który „rozbierze” ciało dziewczyny ze swoją zwykłą, maniacką starannością. Były to naturalne metody postępowania Biagia.

Teraz Simon darzył go głęboką nienawiścią. Uczucie to zaskoczyło go swoją gwałtownością, ponieważ kiedyś kochał Biagia równie mocno, jak go teraz nienawidził. Był jednak Roshannem, co oznaczało niezachwianą lojalność. Ale Biagio zmienił się bardzo z biegiem lat. Znieprawiły go eliksir i marzenia o nieśmiertelnej władzy. Był kiedyś czas, kiedy Biagio oszczędziłby dziewczynkę, ale to już minęło. Teraz ucinął głowy bez najmniejszych skrupułów i posyłał całe rodziny do lochów w warsztatach wojennych, gdzie przeprowadzano na nieszczęśnikach przeciwne naturze eksperymenty. Był takim samym potworem jak Savros i pozostali członkowie Żelaznego Kręgu. Simon zaś tkwił po uszy w jego sidłach i jedyne, co mógł zrobić, to okazać ślepe posłuszeństwo.

- Dostaniesz to dziecko, draniu - wyszeptał, rzucając słowa wiatrowi. - Ale z nami już koniec.

Kiedy wypełni misję i dostanie Eris, zabierze dziewczynę z Crote. Nie pojedą z Biagiem do Czarnego Grodu. Porzucą go dwór i zaszyją się w jakiejś głuszy, gdzie służby hrabiego nigdy ich nie odnajdą. Będą żyli jak zwykli ludzie, a Simon zapomni o rozlanej przez siebie w służbie hrabiego krwi.

Jeżeli zdoła zapomnieć...

Nie był już tego pewien. Wiedział, że przez resztę życia będzie mu towarzyszył widok targanej rozpaczą twarzy Dyany. A Richius z pewnością będzie go ścigał. Szakał był świetnym tropicielem. Vantran porzuci zemstę na Biagiu i do ostatniego tchu będzie tropił człowieka, który porwał jego córeczkę. Nie znajdzie go - podobnie jak Biagio.

Simon był Roshannem, a lata służby niejednego go nauczyły.

- Nic na to nie poradzę - wyszeptał smutno, patrząc na księżyc. - Tak musi być.

Gdyby jeszcze był człowiekiem, zapłakałby, ale szkolenie Roshannów i tego go

pozbawiło. Wszystkim, co czuł, była żółć w krtani. Zastanawiał się, co też by o nim pomyślała Eris, gdyby kiedykolwiek dowiedziała się prawdy. Wiedziała, jaką pracę wykonywał dla hrabiego, ale był pewien, że tego akurat nigdy by nie zrozumiała.

Dziecko najpewniej zostanie zamordowane. Simon mógł mieć tylko nadzieję, że Shani nie trafi w łapy Savrosa Łamacza Woli. Przyłożył dłoń do czoła, by przegnać z myśli koszmarnie wizje.

„Szybko! - zawołał w duszy. - Zabij ją szybko, draniu. To tylko dziecko!”

Rzecz w tym, że o cierpieniach dziewczynki - lub ich braku - miał zadecydować kaprys woli Biagia. Jeżeli popadnie w nastrój wielkoduszności, dziecko umrze szybko.

Jednak równie dobrze mógł skazać Shani na wielomiesięczne męczarnie. Simon oparł się plecami o ceglany mur i powoli osunął na ziemię. Siedział tak przez kilka długich minut, nie mogąc się nawet ruszyć.

„Jeszcze tylko cztery dni”.

W pewnej chwili usłyszał szuranie czyichś butów o bruk ścieżki po przeciwległej stronie ogrodu. Otrząsnął się szybko i spojrzał w lewo. Zza kępy paproci wyłoniła się znajoma sylwetka.

- Simonie? - zawołał cicho Richius.

Naren milczał, licząc na to, że Vantran go nie zobaczy. Ale Richius okrążył kępę i ujrzał Simona siedzącego na ziemi i obejmującego ramionami kolana. Zatrzymał się w odległości kilku kroków.

- Co z tobą, Simonie? Źle się czujesz?

- Nic mi nie jest. Richius podszedł krok bliżej.

- Co ty tu robisz?

- Dobre pytanie. A ty?

- Szukam ciebie. Strażnicy powiedzieli, że widzieli cię gdzieś tutaj. - Richius rozejrzał się, jakby szukając powodu, dla którego Simon zatrzymał się akurat w tym miejscu.

Nie znalazłszy niczego, znów spojrzał na Simona. - Dlaczego siedzisz tu i marzniesz?

- Lubię chłód - odpowiedział Simon. - I lubię samotność. Richius udał, że nie pojął wskazówki.

- Czy coś się stało?

- Nie.

- Powiedz...

- Czego ty chcesz, Richiusie?! - zawrzał gniewem Simon, przelewając na Vantrana całą wściekłość, jaką budziła w nim myśl o Biagiu. - Nie widzisz, że chcę być sam?

- Widzę, że coś cię gryzie - odparł Richius. - To wszystko. Chciałem z tobą pogadać. Szukam cię od godziny.

- No to mnie znalazłeś. - Simon poklepał zimne cegły bruku. - Siadaj.

Ku jego zaskoczeniu, Richius bez wahania usiadł obok niego. Gdy Simon zerknął kątem oka, zobaczył, że Vantran patrzy na księżyc.

- Przyłazłeś tu, żeby o czymś pogadać - ponaglił Naren. - Dalejże, mów.

- No dobrze - odezwał się Richius. - Płynę na Liss z Prakną. Simon kiwnął głową.

- Podejrzewałem, że tak właśnie zrobisz. Powiedziałeś Dyanie?

- Owszem. Jest wściekła.

- I cóż takiego obiecał ci ten Lisseńczyk? Możliwość walki za Aramoor? Kilka nareńskich łbów?

- O, znacznie więcej. Obiecał mi Biagia.

Zdumiony Simon mógł tylko zamrużyć. Co u licha planował ten Lisseńczyk?

- Biagia? - wystękał wreszcie. - Jak to Biagia?

- On zamierza uderzyć na jego wyspę - wyjaśnił Richius. - Powiedział, że udało im się odciągnąć Czarną Flotę spod Crote. Do tej pory okręty Nicabara czaiły się u brzegów wyspy i osłaniały ją. Ale w końcu najazdy Lisseńczyków na kontynent przyniosły skutek i imperialne liniowce odpłynęły, by osłaniać nareńskie wybrzeża. Prakna zamierza wysadzić desant na Crote, jak tylko zbierze i wyszkoli dostateczną liczbę ludzi.

„Boże Wszchemogący!” Simon spojrział w bok, usiłując nie zdradzić zaskoczenia, ale wiadomość nim wstrząsnęła. Inwazja na Crote? A Biagio niczego nie podejrzewał!

Zginą setki ludzi. Będzie rzeź. Zabijają może i Eris!

- A ty do czego mu jesteś potrzebny? - spytał Richiusa. - Chce, byś mu pomógł w walkach?

- Coś w tym rodzaju. Prakna chce, bym objął dowództwo nad jego ludźmi. Mam ich wyszkolić. - Richius parsknął pełnym goryczy śmiechem. - On uważa, że beze mnie sobie nie poradzą. Lisseńczycy są żeglarzami i nie potrafią się bić na lądzie.

Potrzebny im ktoś doświadczony, kto ich poprowadzi.

- A ty jesteś najlepszy z tych, których mogli znaleźć - uściślił Simon. - Niech się Bóg nad nimi zlituje.

- Simonie, ja już prowadziłem ludzi do boju. Myślę, że dam sobie radę. A poza tym... - Vantran zatarł dłonie. - To szansa, by dopaść tego drania, Biagia.

Prakna powiedział, że jak go złapiemy, będę mógł z nim zrobić, co zechcę.

Niewiele brakło, a Simon by się poddał wynikającemu z wieloletniego nawyku treningowi i wsadził Richiusowi sztylet w żebra lub porwał go za łeb i walił o cegły muru, aż popękałyby kości. Tak by zrobił kiedyś. Teraz jednak się opanował. Powstrzymała go myśl o jego misji.

- Jesteś cholernym głupcem - odezwał się po długiej chwili milczenia. - Stajesz na początku ścieżki, z której nie ma odwrotu.

- Simonie, muszę to zrobić. Jestem to winien ludowi Aramooru i Sabrinie.

- Richiusie, przestań się oszukiwać. Nie chodzi o Aramoor, ani o pierwszą żonę, prawda? Chcesz się po prostu zemścić.

- A co w tym złego? - warknął Aramoorczyk, podrywając się na nogi. Płonącym wzrokiem zmierzył siedzącego nadal Simona. - Pomyślałem, że choć ty mnie zrozumiesz!

Wiesz, jak jest w Nar. Czy to źle, że chcę się zemścić? - Tknął się kciukiem w pierś. - A tak, chcę się zemścić. I niech Bóg przeklnie wszystko i wszystkich, zemszczę się!

- A mścij się do woli. - Simon uśmiechnął się zimno. - I po to mnie szukałeś?

Chciałeś się ze mną podzielić wieścią o twojej bohaterskiej wyprawie?

- Nie - odparł Richius. - Chciałem cię prosić o przysługę. Proszę cię, byś podczas mojej nieobecności zaopiekował się Dyaną i Shani. Bądź dla Dyany przyjacielem, ze względu na mnie. Ona czuje się tu obco, a zwłaszcza teraz, kiedy nie ma Lucylera. A ciebie chyba polubiła. Możesz ją chronić i opiekować się nią. Zrobisz to dla mnie?

Simon nie chciał o tym nawet pomyśleć.

- Nie zrobię - odpowiedział bezbarwnym tonem. - To ty jesteś odpowiedzialny za żonę i córeczkę. Nie próbuj tego zwalić na mnie.

Mówiąc to, poczuł obrzydzenie do siebie samego. Złamał już jedną daną Richiusowi obietnicę, którą złożył, gdy pod zamkiem spotkali Dyanę i Shani. Przysiągł, że nie skrzywdzi żadnej z nich, a tę przysięgę miał złamać w ciągu najbliższych czterech dni. Nie chciał uciekać z Lucel - Loru z jeszcze jedną złamaną obietnicą sumieniu.

- Simonie, proszę cię jak przyjaciela - nalegał Richius. - Zadbaj o nie do mojego powrotu.

- A co będzie, jak nie wrócisz? Co wtedy mam z nimi zrobić?

- O co chodzi, Simonie? - spytał Richius, kucając na ogrodowym bruku. - Dlaczego się tak na mnie wściekasz? Myślałem, że choć ty jeden mnie zrozumiesz.

- No i się pomyliłeś. - Simon uciekł ze spojrzeniem w bok, nie mogąc znieść widoku błagalnej miny na twarzy Vantrana. Wiedział, że to, co czuje, nie było nienawiścią, tylko głębokim wstydem. - Nie obarczaj mnie swoimi problemami. Dość mam własnych.

- Proszę - nalegał Richius. - Odpywam z Prakną pojutrze. Obiecuj mi, że się przynajmniej namyślisz. Nie każ mi wyjeżdżać z sercem przepełnionym troską o żonę i córkę.

Bez Lucylera...

- Powiedziałem nie! Ogłuchłeś, czy co? Nie zamierzam się nimi opiekować! Nie dostaniesz mojego błogosławieństwa i nie powiem ci, że wszystko jest w porządku i możesz się przestać martwić! Swoje szaleństwa popełniaj bez mojego udziału!

Richius ukląkł i zastygł jak rażony gromem. Po chwili zaczął wstawać, bardzo wolno, jak stary człowiek. Przez chwilę jeszcze stał nad Simonem, ale w końcu odwrócił się i odszedł. Zatrzymawszy się obok kępy paproci, raz jeszcze spojrzął na Simona.

- Nie wiem, co cię tak rozjuszyło - odezwał się cicho. - Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Odszedł równie szybko, jak przyszedł - po sekundzie pochłonęły go ciemności.

Simon skrył twarz w dłoniach i zamknął oczy.

- Nie wiesz, dlaczego jestem taki wściekły, głupcze? - wyszeptał w mrok. - Bo kiedy ty odejdziesz, a ja porwę dziecko, Dyanie nie pozostanie już nikt i nic.

Osiemnaście ZBROJNI

Diuk Enli rozsiadł się na miękkich poduszkach siedzenia karety, bardzo z siebie zadowolony. Od jego przyjazdu do Nar minęły zaledwie cztery dni, a armia Vorta szykowała się już do wymarszu. Po naleganiach diuka arcybiskup, nie zwlekając, zajął się przygotowaniem do stoczenia bitwy o Smoczą Paszczę. Tej samej jeszcze nocy wezwał do katedry Vorta i wszyscy trzej zajęli się planowaniem kampanii. Wieści o szybkim wymarszu nie za bardzo ucieszyły Vorta, ale też i nie oponował. I pomimo niechęci, z jaką powitał rozkaz podjęcia długiej wyprawy na kraniec świata, rozpoczął przygotowania z zaskakującą szybkością. Teraz Enli spoglądał przez okienko karocy na woźnicę, który przyniósł mu wiadomość. Był to człowiek Vorta, który zjawił się dość niespodzianie w komnacie Enliego w katedrze.

- Generał Vorto chce cię widzieć - oznajmił. - Natychmiast.

Było tuż po świcie. Enli przetarł zmęczone powieki. Początkowo chciał posłać woźnicę do wszystkich diabłów, ale pomyślał, że lepiej nie czynić sobie wroga z generała.

Vorto był kluczową postacią całego planu. Diuk musiał zdobyć jego zaufanie.

Siedząc w karocy, zastanawiał się, dokąd go wiozą. Przejechali właśnie po moście nad rzeką Kiel i kierowali się w stronę Czarnego Pałacu, opuszczonego teraz niegdysiejszego siedliska władzy. W Czarnym Grodzie nazywano pałac „onyksowym klejnotem” i Enli zrozumiał teraz powód takiej nazwy. Miał przed sobą ogromną budowlę, porażającą swoją wielkością i rozmachem, z jakim ją wzniesiono. Pałac nie był piękny, tak jak katedra, ale jego widok oszałamiał i budził dreszcze. Wstające właśnie słońce rozogniło szyby okien i gładź czarnych kopuł. W porównaniu z Czerwoną Wieżą diuka pałac był olbrzymią budowlą zbudowaną dla olbrzymów.

Woźnica nie powiedział mu, dokąd go wiezie, tak więc Enli skazany był na domysły.

Przypuszczał, że Vorto zajął rezydencję w pałacu.

„Ten ci ma jaja z żelaza” - pomyślał.

Promienie wstające za okienkiem słońca rzucały na ulice długie cienie. Unoszące

się znad zanieczyszczonej rzeki i warsztatów zbrojeniowych smrody przesączały się nawet przez szczelnie zamknięte okno, gryząc diuka w nos. Blask słońca, który z trudem przebijał się też przez zalegającą nad miastem mgłę, zabarwiał niebo na niezdrowy, rdzawy kolor.

Czarny Gród budził się do kolejnego dnia. Kramarze i przekupnie brnęli już ze swoimi wózkami na targ. Karoca diuka minęła handlarza niewolników, który szedł na czele swej karawany, a potem przemknęła obok bandy żebraków, którzy zbierali się w jednej z bocznych ulic pomiędzy dwoma budynkami. Mieli oni zacząć dzień od śniadania, na który składało się kilka złapanych w nocy szczurów, a potem zabierali się do myszkowania po cudzych kieszeniach.

Życie w Nar nie sprzyjało biedakom. Za to w wysokich wieżach swoich pałaców nareńscy wielmoże o miękkiej, natartej olejkami skórze budzili się we wspaniałych łóżach, otrząsając umysły z narkotycznego oszołomienia. Znużeni nocnymi orgiami podejść do okien, sprawdzą jaka jest pogoda i ani jednej myśli nie poświęcą żyjącym na dole nędzarzom. Enli zmrużył oczy i spojrzał wyżej. Jednym z tych wielmożów był Biagio. Hrabia zaś w ogóle nie przejmował się nędzą czy zepsuciem - chciał tylko Nar.

Woźnica skierował karetę szeroką ulicą ku pałacowi. Miał on tylko jeden podjazd, wykładaną marmurem szeroką aleję oświetlaną złotymi lampionami, która wiała się niczym wąż ku pałacowej bramie. Enli zdziwił się, bo spodziewał się, że droga będzie pusta, a stwierdził coś przeciwnego. Ku zamkowi ciągnął sznur żołnierzy, a drugi, równoległy, kierował się w dół. Pieszono i konno w obie strony ciągnęli ludzie noszący godło nareńskich legionów, w górę i w dół jechały też wozy, do których zaprzężono konie, muły i woły. Nieco dalej na ulicy zrobiło się tłoczno. Enli kilkakrotnie kopnął w przednią ścianę karocy, ponaglając woźnicę do pośpiechu. Ten jednak prowadził powoli, każąc diukowi zastanawiać się, jaki też, u diabła, mógł być powód tak wczesnego wezwania. Mocno już rozdrażniony Enli przysunął twarz do szyby i zaczął się przyglądać żołnierskiej ciżbie. Po chwili odkrył, że w ich ruchach jest jakaś celowość i natychmiast pojął, że oto ma przed oczami siłę, którą zebrał dla niego Vorto.

I wtedy w jego serce wkradł się strach.

Było ich tak wielu. Poprosił o wsparcie dywizji, nie bardzo wiedząc, ile to ludzi.

Biagio zamierzał wyciągnąć z Nar tylu legionistów, ilu się tylko da - i teraz Enli

był świadkiem skuteczności planu przewrotnego hrabiego. Diuk szeroko otworzył w zdumieniu oczy. Vorto potraktował jego prośbę o pomoc jak najbardziej poważnie. Enli szybko zabrał się do przybliżonych obliczeń. W domu miał swoje oddziały i najemników Biagia - wszyscy czekali na niego w Smoczej Paszczy. Mógł też liczyć na pomoc Czarnej Floty Nicabara, jeżeli admirał rzeczywiście już wypłynął, tak jak mu to Biagio obiecał. Ale czy te siły wystarczą?

Miał przed sobą naprawdę całą dywizję, i ten widok zachwiał jego dotychczasową pewnością siebie.

Woźnica zdołał wreszcie przeprowadzić karocę przez żołnierską cizbę i zatrzymał powóz na szczycie pagórka, który górował nad rozległym, rozciągającym się przed dawną siedzibą Arkusa placem parad. Enli zaczekał wewnątrz, wciąż oszołomiony widokiem.

Zobaczył przed sobą setki ludzi, obleczonych w metal i ciężkie, tłoczone skóry, którzy trudzili się w porannych promieniach słońca, rolując koce, sprawdzając końskie podkowy, ostrząc miecze i ładując na wozy rozmaite bagaże. Widział też używane do ciągnięcia bojowych wozów potężne gregany - rogate i gruboskórne bestie, które ryczały przeciągle i parślały, gdy ich nadzorcy zakładali im uzdy i uprzęż. Wszędzie kręcili się jeźdźcy w charakterystycznych butach o wysokich cholewach, którzy siedząc na swoich rumakach, z góry patrzyli na mrowiących się wokół nich piechurów. Pośrodku nich wszystkich stała grupka oficerów, którzy raz po raz przerywali rozmowy, by grzmiącymi głosami wydawać rozkazy swoim ludziom. Nadzy do pasów niewolnicy popychali barkami opancerzone ciężkie wozy bojowe, przesuając je na wyznaczone pozycje, podczas gdy ich towarzysze podtaczali już ogniomioty. Na kratownicach wieńczących szczyty wielu wozów umieszczono kwasomioty, z których zwisały luźno workowate, puste na razie jeszcze pojemniki.

Obok nich, na specjalne powozy ładowano pojemniki z jadowitymi substancjami, które bez wysiłku mogły się przeżreć przez ludzkie ciało.

- Za wielu ich - wyszeptał do siebie Enli. - Do diaska, za wielu!

Przed wyjazdem do Czarnego Grodu obliczył, że ma czterystu najemników oraz dwustu własnych ludzi. Oznaczało to, że staną wobec przewagi liczebnej, a już z pewnością przeciwnik będzie miał znacznie lepsze i o większym zasięgu działa. Jeżeli do

Smoczej Paszczy nie dotrze Nicabar ze swoją artylerią okrętową, to diuk i jego ludzie zostaną starci na proch. Zaklął po cichu, wściekły sam na siebie za to, że w rozmowie z Herrithem mówił aż tak bardzo przekonująco. Błagał biskupa o pomoc, a teraz przypomniał sobie stare powiedzenie, zalecające umiarkowanie w prośbach, bo mogą zostać spełnione.

Tymczasem woźnica zszedł z kozła i okrążył karocę, by otworzyć diukowi drzwi.

Enli poczuł wiszący w powietrzu natrętny zapach końskiego nawozu. Wydostawszy się na zewnątrz, stanął na ubitej setkami kopyt ziemi i rozejrzał się dookoła, porażony kakofonią dzikiej wrzawy.

- Gdzie znajdę Vorta? - spytał woźnicę.

Ten chwilę się zastanawiał, a potem kościstym paluchem wskazał grupkę oficerów stojących pośrodku ciżby. Enli zmrużył oczy i już po chwili dostrzegł górującego nad nimi niczym wieża olbrzyma. Ogolona głowa generała sterczała wśród tłumu. Vorto rozmawiał z dwoma oficerami, z których jednego - chudzielca o skwaszonej twarzy, pułkownika Kye - Enli poznał dwa dni wcześniej. Generał wskazywał platformę na kołach, na której trudziła się grupa techników, mocujących stojak na pojemniki z kwasem. Obok pojazdu zgromadzono kilkanaście metalowych baryłek, dziwnie ukształtowanych i większych niż te, które podczepiano do kwasomiotów. Enli ruszył w tłum i po chwili krótkiego przepychania się ku przodowi stanął przed generałem. Olbrzym dostrzegł go dość szybko i na jego twarzy pojawił się sardoniczny uśmiech.

- Diuk Enli! - zagrział zachęcająco, kiwając dłonią. - Podejdz i zobacz, co dla ciebie przygotowałem!

Enli nie uznał za konieczne powitania generała ani jego podkomendnych.

- Czy to twoi ludzie? - spytał. - Wszyscy mają ruszyć na Smoczą Paszczę?

- Mam nadzieję, że nie uznasz, iż to zbyt małe siły - rzekł Vorto. - Przygotowywaliśmy się przez całą noc. Przy odrobinie szczęścia jutro będziemy mogli wyruszyć.

- Zebraliście tu całą armię - stwierdził diuk, rozglądając się dookoła. - Ilu ich jest?

- Jedna dywizja - odpowiedział Vorto. - O tylu prosiłeś, prawda?

- A dokładniej?

Vorto i jeden z oficerów zachichotali. Kye nie odezwał się ani słowem.

- Dywizja to trzy pułki - rzekł Vorto. - Czy to wystarczy?

Enli westchnął, zbyt zmęczony by się bawić w gierki słowne.

- Wygląda na to, że tak. A jeżeli ci ludzie są tak dzielni, jak utrzymujecie, to zwycięstwo powinno nam przypaść bez trudności.

- Przypadnie nam bez trudności - stwierdził Vorto. - Tę nie mającą pojęcia o dyscyplinie hołotę ze Smoczej Paszczy pokonamy w godzinę. Spójrz tylko... - Generał skinieniem dłoni wskazał żołnierzy. - Mam tu więcej ludzi i środków, niż pod Goth. Wozy bojowe, kwasomioty, zapasy na drogę... Jest wszystko. - Vorto wyciągnął rękę i poklepał Enliego po policzku. - Nie martw się, mój słodki. Odbijemy twój kraj.

Bezczelny gest sprawił, że Enli poczuł dreszcz nienawiści, ale zdołał jakoś opanować gniew.

- Dobra robota, Vorto. Smocza Paszcza będzie wdzięczna. Pierś Vorta uniosła się z zadowolenia.

- Kiedy się z tym uporamy, chciałbym, żeby wdzięczność okazały mi jakieś hoże dziewczki, diuku. Niech córki Smoczej Paszczy pokażą, co mają najlepszego!

Młody porucznik znów parsknął śmiechem. Kye milczał uparcie. Obok nich zatrzymał się jakiś zbłąkany koń, który wypróżnił się niemal wprost na ich buty. Enli odwrócił się, a twarz Vorta poczerwieniała z wściekłości.

- Zaraz się tym zajmę - rzucił Kye, który szybko ujął wodze zwierzęcia i odprowadził je na bok, rozglądając się za jego panem.

Vorto przez chwilę nie spuszczał wzroku z pleców pułkownika. Enli szybko spostrzegł, że generała coś piekielnie drażni.

- Dobry człowiek - stwierdził olbrzym - ale nie ma w nim wiary. - Odwróciwszy się do diuka, tknął go w pierś grubym paluchem. - Powinieneś mieć wiarę, diuku.

Masz ją w sobie?

- Wiarę w co?

- W Boga Wszechmogącego - zagrzemiał Vorto. Odjąwszy paluch od piersi Enliego, wskazał nim powiewającą pośrodku zgrupowania flagę, wszechobecny w Nar sztandar Światłości Boga. - Oto, o co walczymy, diuku. Nie miej złudzeń. Jeżeli zachowamy czystość serc, Bóg niechybnie da nam zwycięstwo.

Enli zaryzykował skąpy uśmiech.

- Będę ostatnim człowiekiem, który odrzuci Bożą pomoc. Ale to nie będzie przechadzka po różanym ogrodzie, tak jak to sobie wyobrażacie. W Smoczej Paszczy jest już zima, mój brat zaś ma wojsko.

I oczywiście ma jeszcze podniebną armię.

- A owszem, słyszałem co nieco o ptaszkach Eneasa. Sądzę, że mówiąc o nich, trochę przesadziłeś.

- Nie mówiłbyś tak, generale, gdybyś sam je zobaczył w akcji - zauważył Enli.

Poczuł dreszcz emocji. - Albo gdyby przyszło z nimi walczyć. To nie są zwykłe kruki, w każdym razie nie przypominają ptaków, z jakimi miałeś dotąd do czynienia.

Okropne bestie, nie mniejsze od twojej głowy, generale. Trafiają się i większe. Potrafią wykluć ofierze oczy i wykrwawić ją na śmierć, niczym wampiry.

Stojący obok Vorta porucznik lekko zbladł.

- Aż takie wielkie? - stęknął. Rozstawił dłonie na odległość stopy. - Takie?

- Większe - odparł niemiłosierny Enli. - Nie takie jak twoja głowa, chłopcze, ale takie jak generalska.

Vorto zmarszczył brwi.

- Ale brak im ludzkiego mózgu.

- Nie za bardzo się tym przejmują. Mózg też potrafią wydziobać. - Enli uśmiechnął się do młodzika niemal przyjaźnie. - Weź ze sobą solidny hełm, chłopcze.

- Generale? - zapiszczał żołnierz.

- Vale, on próbuje cię przestraszyć i tyle. Skorzystaj z tego, co masz między uszami.

Postrącamy te ptaszyska z nieba. - Vorto spojrział na Enliego i parsknął śmiechem.

- Cholerne ptaki. W dniu, w którym dam się przestraszyć jakiemuś upierzonemu potworkowi, powieszę się na najbliższej solidnej gałęzi. Diuk wzruszył ramionami.

- To może nastąpić szybciej, niż myślisz. Ale nie ma się co martwić zawczasu, prawda?

- Ge... generale...

- Vale, zamknij pysk. Enli, zastanawiam się, jak można by zniszczyć te krwiożercze ptaszyska. Legiony same są pod opieką Niebios. - Vorto skrzyżował swe muskularne łapska na piersiach. - Dla twojego przeklętego braciszka również my

będziemy mieli niespodzianki.

- Jakież to niespodzianki, jeżeli wolno zapytać?

Vorto wskazał podbródkiem leżące już na łóżach wyrzutnie rakiet.

- Takie.

Enli potrząsnął głową.

- Nic z tego nie będzie. Na północy zapadła już zima. Dmą tam za silne wiatry.

Rakiety na nic się nie zdadzą.

- Nie miałem na myśli rakiet, diuku. - Vorto pochylił się ku Enliemu i uśmiechnął konspiracyjnie. - To coś znacznie lepszego.

Enli łypnął okiem na metalowe pojemniki.

- Co w nich jest? Kwas?

Vorto objął diuka ramieniem i podszedł z nim ku pojemnikom. Zobaczywszy, że podchodzi do nich wódz, ładujący zbiorniki na platformę żołnierze zaczęli uwijać się szybciej. Enli nie czuł się najlepiej w niedźwiedzim uścisku olbrzyma, ale nie próbował się wyrwać.

- To coś niezwykłego - wyszeptał generał. - Coś, przed czym nie ucieknie nawet ta podniebna armia. Ostatni wynalazek z warsztatów wojennych.

Zbiorniki miały rozmiar ludzkiej głowy, a ich metal wypolerowano do niemal zwierciadlanej gładzi. Enli przesunął palcami po powierzchni, szukając nierówności. Nie znalazł niczego, prócz precyzyjnie wykonanej powierzchni, którą mogła zapewnić tylko obróbka maszynowa.

- Wyrzutnie rakiet zmodyfikowano do odpalania tych pojemników - wyjaśnił Vorto. - Nie muszą bić tak celnie, jak rakiety.

- Co w nich jest? - spytał Enli, unosząc jeden z pojemników i lekko nim potrząsając.

Wewnątrz coś zachlupotało. Diuk przechylił głowę, by lepiej wsłuchać się w dobiegający z pojemnika dźwięk, a potem, tknięty nagle przerażającą myślą, odłożył pojemnik na bok.

Podniósł wzrok na Vorta i zobaczył, że generał uśmiecha się szatańsko.

- Goth... - wyszeptał Enli. - Nie powiesz mi chyba, że...

- A owszem, to Formuła B. Udoskonalona, choć nie przez Bovadina. Przyda się

przeciwko tym ptaszkom.

- Nie! - wykrzyknął Enli. - Nie wypuścicie tej trucizny w Smoczej Paszczy! Nie pozwolę!

- Nie pozwolisz? - zaśmiał się Vorto. - Ależ nie będziesz miał w tej sprawie niczego do gadania! To moja wojna i poprowadzę ją po swojemu.

- Ale to mój kraj, bałwanie! Nie pozwolę obrócić go w pustkowie, byście mogli zabić kilka setek ptaków!

Obraza podziałała na Vorta jak smagnięcie batem.

- Będziemy się bić na północnej mierzei, nie na twoim terenie! Żeby ją zdobyć, zrobię, co będę musiał. Czarne Odrodzenie, Enli! Oto powód wszystkiego! Zrobię, co w mej mocy, by je unicestwić, dokładnie tak, jak to zrobiłem w Goth. A jeżeli będziesz się na mnie wydzierać... - Schwycił Enliego pozbawioną dwóch palców ręką za wyłogi kurtki. - Rzucę cię ptaszkom twojego brata i będę patrzył, jak wydziobują ci flaki!

Enli bardzo powoli chwycił generalską dłoń i zdjął ją z siebie, jakby usuwał coś paskudnego. Nie cofnął się przed płonącym ogniem fanatyzmu spojrzeniem Vorta, tylko odpowiedział mu wzrokiem tak twardym, jak skały, na których wzniesiono jego wieżę.

- Vorto, nie pozwolę zamordować mojego kraju. Jedziecie ze mną, by stłumić bunt.

I to wszystko. Gdy się znajdziemy w Smoczej Paszczy, pójdziecie pod moją komendę!

Wyrzucenie z siebie tych słów wywarło oczekiwany efekt. Generał nie cofnął się, ale Enli wyczuł jego zaskoczenie.

- To na wszelki wypadek - oznajmił Vorto. - Użyjemy tego tylko w razie potrzeby.

- Jeżeli pojawi się potrzeba użycia tego diabelstwa, to będziemy trupami, generale.

- Enli zwrócił uwagę na rozmiary pojemnika.

- Jeżeli wyrzucicie te pojemniki, a wiatr przypadkiem się zmieni, nie będziemy się mieli gdzie ukryć.

- Pan jest moim pasterzem - odparł Vorto pewnym siebie głosem. - Jeżeli jego wolą będzie użycie Formuły B, to potrafi nas ochronić.

Enli odwrócił się, bo zrozumiał, że z fanatykiem nie ma się co spierać. Vorto był figurantem Herritha i jeżeli biskup kazał mu użyć Formuły B, to Vorto jej użyje bez względu na konsekwencje. Wyda rozkaz odpalenia pojemników na pierwszy szelest kropli dżdżu albo opadającego liścia - jeżeli uzna je za znak od Boga. Diuk trącił nogą jeden z pojemników, sprawdzając jego stabilność. Nie sądził, że Herrith postanowi zrobić ze Smoczej Paszczy kolejny przykład tłumienia oporu za pomocą tej trucizny. Zastanawiał się, czy wszystko wynikało z błędnych rachub Biagia, czy z nadmiernego fanatyzmu biskupa.

Urażony w swej dumie generał Vorto podszedł do diuka i chwyciwszy go za ramię, odwrócił ku sobie.

- Myślałem, że będziesz zadowolony - oznajmił z goryczą w głosie. - Popatrz na to wszystko, co dla ciebie przygotowałem. - Szerokim gestem objął całe pole i wszystkich zebranych na nim zbrojnych. - I co teraz? Kazesz mi się wycofać jak tchórzliwemu mięczakowi? Uważasz mnie za Kye'a, albo za jakąś babę? Przypomnij sobie, że to twój pomysł, diuku.

- Pięknie - odpowiedział Enli. - Wszystko mi odpowiada... oprócz tej trutki. - Mijając generała, ruszył z powrotem ku karocy.

- Przygotuję się do jutrzejszego wyjazdu.

- Czarne Odrodzenie! - zawołał za nim Vorto. - Unicestwimy szkodliwą narośl, która niszczy Nar!

Enli uśmiechnął się do siebie. „A więc dałeś się podejść, szalony człowiecze!”

Dziewiętnaście CÓRKA SZAKALA

Po zachodzie słońca Simon Darquis szedł korytarzami falindarskiego zamku do komnat Dyany. Podczas nieobecności męża żona Szakala jadała kolację z innymi kobietami w głównej kuchni na parterze. Simon sunął przed siebie niczym cień, trzymając się mrocznych wnęk i unikając miejsc mocno oświetlonych światłem lamp. Drżały mu dłonie i dudniło w skroniach, ale uporał się ze swoim sumieniem i odłożył wszelkie wyrzuty w głąb swego szkolonego umysłu, gdzie - przynajmniej na razie - miało mu nie doskwierać.

Dziś wieczorem znów stał się Mrocznym Sercem.

Komnaty Vantrana mieściły się na końcu korytarza, w otoczeniu innych, równie skromnych pomieszczeń. Drzwi do nich były częściowo pootwierane i zza niektórych rozlegały się ludzkie głosy. Na wieczorne posiłki mieszkańcy cytadeli zbierali się na dole, daleko od pokojów zajmowanych przez Richiusa. Simon niejednokrotnie był tego świadkiem.

Wiedział już teraz doskonale, kiedy Dyana była przy Shani, a kiedy zostawiała córeczkę piastunce. Po wyjeździe Richiusa do Liss rzadko z nią rozmawiał, ponieważ Dyana zachowywała dystans. Wszyscy w Falindarze rozmawiali nieustannie o Szakalu i o tym, jak zostawił żonę i córeczkę, nie mogąc ugasić płonącej w jego sercu żądzы zemsty.

Dzisiaj Simon prześledził każdy ruch Dyany. Obserwował ją niewidzialny dla niej niczym kryjący się w cieniach duch. Widział, jak spacerowała z Shani po ogrodzie, patrzył, jak płacze, przytulając córeczkę - a wszystkiemu temu się przyglądał z osobliwą rezerwą.

Dyana zajmowała się swoimi codziennymi sprawami tak zagubiona, że w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, iż czający się Roshann był na tyle blisko, że mógł wyczuć zapach jej perfum. A teraz zostawiła Shani, żeby zjeść kolację z innymi kobietami.

Simon szedł korytarzem czujnym, ale spokojnym krokiem, aż dotarł do komnat Richiusa, gdzie zatrzymał się na chwilę przed drzwiami, nasłuchując odgłosów kroków.

Zaraz potem usłyszał, że ktoś otworzył i zamknął wewnętrzne drzwi. Potem rozległ się szelest odzieży i jakiś skrzypiący dźwięk, którego Simon nie umiał rozpoznać.

Posłuchawszy przez chwilę i przemyślawszy wszystko, doszedł do wniosku, że jest tam jedna, niewielkiej postury osoba - najpewniej piastunka. Dziecko być może spało. Simon zaczerpnął tchu i zapukał do drzwi, obkleśszy twarz w przyjazny uśmiech.

Kroki zbliżyły się do drzwi, które po chwili uchyliły się z lekkim zgrzytem i na progu stanęła znana już Simonowi Triinka. Ujrzawszy niespodzianego gościa, szeroko otworzyła oczy.

- Simon? - spytała, silnie akcentując O. Nie znali się prawie i fakt, iż znała jego imię, lekko Roshanna zaskoczył. - Co się stało?

- Dyana - odpowiedział Simon i rozłożył ręce. - Dyana chce Shani. Teraz. Na dół.
- Udał, że szuka właściwych słów. - Na dole. Rozumiesz?

- Znam twój język. - Triinka zmrużyła oczy. - Czy Dyanie coś się stało?

- Nie. Dlaczego? Byłem na dole i jadłem kolację. - Simon wzruszył ramionami. - Chce tylko zobaczyć dziecko. Myślę, że ona źle znosi nieobecność Richiusa.

Chciała przyjść tu sama, ale jej powiedziałem, że mogę jej przynieść Shani. Pójdiesz z nami?

Tresh zrobiła grymas rozterki.

- Shani już śpi... i Dyana o tym wie. Ta dziewczyna... - potrząsnęła głową ze smutkiem - ...ma zamęt w głowie.

Simon westchnął ze zrozumieniem.

- Richius...

- Owszem, jej mąż. - Tresh pogroziła Narenowi palcem. - Jesteś jego przyjacielem.

Powinieneś go zatrzymać. Teraz Dyana jest na ciebie wściekła.

- Wiem - zełgał Simon. - To moja wina. Próbowałem go namówić, by został, ale nie chciał nawet słuchać. Sama wiesz, jaki potrafi być uparty. - Jednym okiem zerknął w głąb komnatki, ponad ramieniem Tresh. Shani nigdzie nie było widać. - To co? Mam powiedzieć Dyanie, że córeczka zasnęła? - spytał. - Ona to chyba zrozumie.

- Nie, nie - mruknęła Tresh. - Obudzę ją i zejdę z tobą na dół. To pomoże Dyanie.

Obecność córeczki dobrze jej robi.

Triinka odwróciła się od Simona i cofnęła w głąb sypialni. Simon ostrożnie ruszył za nią. Poczul ucisk w brzuchu. Sięgnąwszy ostrożnie za siebie, pchnął lekko drzwi, by się zamknęły, nie robiąc hałasu. Potem jego dłoń cofnęła się do pasa i wyciągnęła sztylet.

- Dyanie dobrze zrobi widok dziecka - mówiła tymczasem Tresh. - Jest teraz taka smutna. Shani...

Głos zamarł w krtani Tresh w tej samej chwili, kiedy ostrze sztyletu wniknęło w jej plecy. Wolna ręka Simona wysunęła się do przodu i zamknęła na ustach ofiary, podczas gdy druga pchała sztylet głębiej i głębiej. Kobieta szarpnęła się rozpaczliwie, ale już miękkły jej kolana. Po ręce Simona spłynęła krew. Niewiele brakło, a dostałaby torsji, ale on nie puścił, niemiłosiernie wbijając ostrze, aż Tresh szarpnęła się po raz ostatni i znieruchomiała.

- Dobrzy ludzie idą wprost do Nieba - wyszeptał morderca. I zamarł, porażony cynizmem swej wypowiedzi. Potem powoli i łagodnie ułożył ciało Tresh na podłodze, nie odejmując dłoni od jej ust. - Wybacz mi, kobieto - poprosił. - Odejdź z Bogiem.

I przeklnij mnie, kiedy staniesz przed Jego obliczem.

Konająca piastunka usiłowała jeszcze podnieść ramiona, ale jej się to nie udało.

Z jej oczu spłynęła łza. Raz jeszcze westchnęła, usiłując nabrać tchu. Otworzyła usta w bezgłośnym jęku.

I skonała.

Simon ukląkł nad martwą kobietą. Aż do tej pory nie myślał o tym, jakich okrutnych czynów będzie się musiał dopuścić, by doprowadzić misję do końca. Teraz ogarnęła go fala wstrętu do samego siebie. Wyciągnął zakrwawioną dłoń i delikatnie zamknął oczy ofiary.

Odciągnął ciało ze środkowego pokoju, przesuwając je do jednej z bocznych sypialni. Z unoszącego się tu w powietrzu zapachu wywnioskował, że jest to sypialnia Dyany, którą kiedyś dzieliła z Richiusem. Otarł dłonie o suknię Tresh i wziął się w garść.

Nie chciał, by dziecko ujrzało jego strach i gniew.

„Spokojnie - powiedział sobie. - Nie chcesz chyba przestraszyć Shani”.

Wysiłkiem woli uspokoił i zwolnił swoje tętno. Potem odetchnął kilka razy i opanował oddech. Na jego twarzy pojawił się spokojny, łagodny uśmiech - przekonywał siebie, że leżący w pokoju obok trup piastunki jest tylko częścią złego snu. Spokojnie, jak

w transie, wyszedł do głównej komnaty i od razu skierował się do sypialni Shani. Gdy uchylił drzwi i zajrzał do środka, rozległ się cichy zgrzyt zawiasów. Natychmiast spostrzegł córeczkę Szakala, leżącą w białej pościeli na małym drewnianym łóżeczku. W pomieszczeniu panował mrok, ale przez okno sączyły się jeszcze ostatnie promienie gasnącego słońca.

Simon zdążył już zapomnieć o zamordowanej kobiecie i jego twarz rozjaśnił przyjazny uśmiech.

Ostrożnie przemknął do łóżeczka i ukląkł obok niego, przyglądając się córeczce Szakala.

Miała okrągłe oczy swego ojca i mlecznobiałą skórę matki. Niesforny kosmyk włosów opadający jej na czoło nadał twarzyczce dziecka niewinny i beztroski wygląd. Shani miała tylko roczek i na razie ograniczała się do bardzo ostrożnie stawianych pierwszych kroków. Simon pomyślał, że wydostanie się z nią na zewnątrz może nastąpić pewnych trudności. Postanowił jednak, że nie zrobi dziecku krzywdy. Przez chwilę zastanawiał się, czyjej nie zakneblować i wsadzić do worka, ale szybko porzucił ten zamysł. Postanowił spróbować innego sposobu, takiego, który mógł się udać tylko z pomocą Niebios.

Po prostu wyjdzie, niosąc ją na ręku.

Większość mieszkańców cytadeli zdążyła się już do niego przyzwyczaić, więc jeżeli ktokolwiek zobaczy go niosącego dziecko w stronę kuchni, nawet nie zostanie zatrzymany.

Wyciągnąwszy dłoń, delikatnie musnął czoło dziewczynki i odsunął jej z twarzy niesforny loczek.

- Shani - wyszeptał radośnie. - Obudź się. Zabiorę cię do mamy.

Usłyszawszy obcy głos, Shani otworzyła oczka. Spojrzała na Simona, ale nie okazała lęku.

- Hej - wymruczał łagodnie Simon. Uśmiechnął się do dziewczynki, nie przestając gładzić jej główki. - Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy. Mama chce cię zobaczyć. Mama.

Dziewczynka zmarszczyła brewki i fuknęła, co było oznaką niezadowolenia. Simon powoli zsunął z niej kołderkę i ujął ją za rączkę.

Dziecięca rączka była niezwykle drobna. I gładka, niczym płatek róży. Małe paluszki odruchowo objęły palec Simona.

- Jestem Simon - przedstawił się. - Przyszedłem...

Przerwał, niezdolny do zełgania dziewczynce prosto w oczy. Pomyślał o Eris, a potem o Biagio i Savrosie, którzy czekali na to dziecko. Usiłował się opanować, ale nie zdołał powstrzymać drżenia.

- Shani... - wyszeptał z rozpaczą w głosie. - Wiem, że tego nie zrozumiesz, jednak posłuchaj. Jestem złym człowiekiem. Ale kocham pewną kobietę i nie mogę dopuścić do jej śmierci. Zabiorę cię daleko stąd, ale obiecuję, że zrobię co w mej mocy, by cię tam chronić.

Przysięgam.

Zaskoczył go uśmiech dziewczynki i fakt, że nie cofnęła rączki. Delikatnie wyjął Shani z łóżeczka. Za kilka godzin u wybrzeży Lucel - Loru miał się pojawić N'Dek na pokładzie „Pogromcy”.

Nie spodziewał się, że dziecko okaże taki spokój. Shani stała o własnych siłach, choć lekko się chwiała, gdy towarzysząc Simonowi, przemierzała posadzkę bosymi stopkami do szafki z ubraniami. Simon szybko zdjął jej nocną koszulkę i ubrał wienne suknie.

Dziewczynka wierciła się i chichotała, uradowana przygodą. Naren wciągnął jej pończoszki i wzuł małe trzewiczki, a potem znów ujął ją rączkę. Zaraz za rogiem korytarza ukrył ciepły płaszcz, który miał chronić dziewczynkę przed chłodem, podczas jazdy ku wieży.

Przed godziną uprowadził jednego ze wspaniałych falindarskich rumaków. Wiedział, że brak konia szybko zostanie zauważony.

- Pojedziemy na koniku - powiedział dziewczynce. - Proszę cię, bądź grzeczna.

Po kolacji Dyana wyszła z kuchni, ignorując prośby przyjaciół, którzy nalegali, by z nimi została i porozmawiała. Minawszy triińskich wojowników zgromadzonych w wielkiej sali, przeszła na tyły cytadeli, gdzie rosły wysokie drzewa, a skały spadały stromo ku morzu.

Było zimno, ale księżyc szybował już w górę, a przebiegające po skórze Dyany dreszcze pogłębiły tylko jej smutek i melancholię. Rósł tu samotny serdecznik, drzewo

będące symbolem bogów, który zasłaniał jej teraz księżyc. Dyana przez chwilę patrzyła na drzewo, a potem niespodziewanie dla samej siebie załapała się łzami.

Bez Richiusa czuła się tu ogromnie samotna. Różniła się od innych zamieszkujących cytadelę Triinów. Tamci mówili o niej, że jest bardziej Narenką niż Triinką, i chce być mężczyzną, zamiast kobietą. Niezależność nie przysporzyła jej tu popularności i teraz, kiedy Richius wyjechał na swoją idiotyczną krucjatę, czuła ciężar samotności. Aby się jakoś ogrzać, objęła się ramionami.

Nie błagała męża, by został, i nie wylewała przed nim łez. Teraz zaś płakała i wiele by dała za to, aby się znalazł teraz przy niej i żeby ją ukoił. Ale mężczyźni byli szaleńcami, nawet ci dobrzy, tacy jak Richius. Wszyscy tak łatwo ulegali żądzy zemsty. Dyana gniewnie starła łzy. Została jej Shani. Nie okaże się słabą, płacziwą matką, tak jak się tu tego spodziewano.

Wróciwszy do cytadeli, wspięła się na spiralne schody, wiodące na piętro, gdzie mieszkała. Na korytarzu było bardzo cicho. Już z daleka spostrzegła, że drzwi do jej komnat były lekko uchylone. Nie zastanawiając się nad powodem, pchnęła je i otworzyła.

- Już jestem, Tresh - oznajmiła w języku Triinów. - Shani? Jeszcze nie śpisz?

Żadnej odpowiedzi. I żadnego dźwięku. Dyana pobiegła do pokoiku córeczki i jęknęła na widok panującego tu nieładu. Wszystkie sukienki i kocyki były rozrzucone po podłodze.

Posłanie Shani też ktoś rozrzucił, a najgorsze było to, że łóżeczko było proste.

Serce Dyany zaczęło tłuc się jak szalone. Rzuciła się do swojej sypialni...

...i zobaczyła leżącą na podłodze Tresh.

Zamarła w bezruchu i przez chwilę patrzyła na martwą piastunkę, nie mogąc złapać tchu i nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Tresh leżała otoczona plamą czerwieni z zamkniętymi oczami i bezwładnie rozrzuconymi ramionami i nogami. Życie z niej uciekło razem z zalewającą podłogę krwią. Dyana zaczęła się cofać, najpierw powoli, potem coraz szybciej.

- Shani! - zawołała rozpaczliwie, wybiegając z sypialni. - Ratunku! Na pomoc!

Na korytarzu z trzaskiem zaczęto otwierać drzwi. Zaskoczeni Triinowie, niektórzy obudzeni ze snu krzykiem Dyany, bojaźliwie wyglądali zza drzwi. Dyana

pobiegła ku schodom, pytając, czy któryś z nich nie widział Shani. Wszyscy jednak potrząsali tylko zmieszani głowami. Żaden z nich nie wiedział jeszcze, że popełniono morderstwo.

Dyana nie zatrzymała się, by cokolwiek wyjaśnić, tylko pokonując po trzy stopnie jednocześnie, pomknęła schodami w dół. Jediną osobą, która natychmiast przyszła jej na myśl, był Simon.

- Drań! - syknęła przez zęby, pewna trafności domysłu. - Ty to zrobiłeś, potworze!

Nie bez zdziwienia stwierdziła w pewnym momencie, że przeklina obu Narenów - Simona za to, że porwał jej córeczkę, a Richiusa, bo ją opuścił. Nie mogła pogodzić się z myślą, że jej córeczka może być...

- Nie! - wyrzuciła z siebie, nie chcąc uwierzyć w jedyne możliwe rozwiązanie. - Nie odbierzecie mi dziecka!

„Biagio...”

Imię to uderzyło w nią niczym grom. Na dole schodów zderzyła się z Deemisem.

Widząc jej rozpacz i przerażenie, wojownik chwycił ją i podtrzymał.

- Kobieto, co się stało? - zapytał władczo. Dyana obiema dłońmi wczepiła się w jego kurtkę.

- Widziałeś gdzieś moją córkę? Widziałeś Shani?

Deemis mocno zaskoczony zmarszczył brwi.

- Nie. A co się stało?

- A Simon? Widziałeś go?

- Nie, Dyano. Ale...

- Deemisie, pomóż mi! On ją porwał, wiem, że ją porwał. W mojej sypialni leży zabita Tresh! Zabił ją i porwał Shani! Muszę ją znaleźć!

Szarpnęła się, by pobiec za Simonem, ale Deemis ją zatrzymał.

- Przestań! - rzucił szorstko. - Gdzie Tresh? Co się stało?

Dyana szybko wyjaśniła, że wróciwszy do swoich komnat, znalazła zamordowaną Tresh. Oznajmiła też, że jej córeczka znikła, co mogło być tylko dziełem Simona.

- Richius miał rację, Deemisie! - mówiła pospiesznie. - On ją porwał. Musimy go znaleźć. Lorrise i Pris, pomóżcie mi!

- Wrócisz do kuchni i poczekasz tam z kobietami - rozkazał jej Deemis. Ująwszy ją za ramiona, zmusił do wysłuchania jego poleceń. - Zostań z nimi. Znajdziemy twoją córeczkę i tego węża! - warknął. - Znajdziemy niechybnie. A teraz idź!

- Deemisie...

- Idź! - zagrział, popychając ją w stronę kuchni. Nie czekając aż dziewczyna odejdzie, odwrócił się i pobiegł ku stajniom, głośnym okrzykiem zwołując wojowników, którzy zaczęli się zbiegać ze wszystkich stron. Usłyszawszy rozkaz dowódcy, natychmiast skierowali się do wyjścia, rozchodząc się za bramą w szeroki wachlarz. Dyana oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Dotychczasowe rozterki i niedawne sprzeczki z Richiusem wydały jej się teraz niczym w porównaniu z falą rozpaczy, jaka ją ogarnęła.

Koń, którego Simon uprowadził ze stajen, był szybki, czarny i prawie niewidoczny w nocy. Roshann pochylił się nisko w siodle i trzymając przed sobą zawiniętą w kocyk córeczkę Szakala, pędził przez mrok, podążając ścieżkami przez trawiaste doliny, lasy, gdzie z dziupli podejrzliwie przyglądały mu się sowy, a światła wież Falindaru oddalały się coraz bardziej.

W pierwszej godzinie jazdy Shani prawie się nie odzywała, ale później zaczęła marudzić.

Simon usiłował ją jakoś uspokoić, ale nie odważył się zwolnić tempa szalonej jazdy. A dziewczynka niemal z każdym skokiem konia coraz głośniejszymi okazywała niezadowolenie. W trzeciej godzinie płakała już histerycznie.

- Spokojnie, maleńka, spokojnie - błagał ją Simon. Pędzili przez mroczną puszcę, gdzie jedynym światłem był blask księżyca i Naren zaczął się obawiać, że koń może złamać nogę. Było już późno i zbliżała się godzina spotkania na plaży. Simon gnał jak szalony i cały czas się zastanawiał, czy niecierpliwy N'Dek zechce poczekać dłużej, niż do północy.

Pojawienie się lisseńskiego szkunera mogło odstraszyć kapitana, który poza wszystkim innym mógłby dojść do wniosku, że się z pasażerem rozminęli. Simon usiłował nie myśleć o tym, co się z nim stanie w takim wypadku, i odkrył, że pomagają mu w tym krzyki Shani.

- Już niedługo, maleńka - zwrócił się do dziewczynki, usiłując ją uspokoić. - Wiem, że ci zimno. Przykro mi.

Rzeczywiście było mu przykro. Żałował każdego swego postępuku w Falindarze. Ale potem przypomniał sobie Eris w łapach zdeprawowanego eliksirem wieczności Biagia i zdołał stłumić wyrzuty sumienia. Trzymając wodze jedną ręką, drugą obejmował dziewczynkę i starał się jakoś ją uspokoić. Shani w końcu się umościła w jego ramionach - zwyciężyła ludzka potrzeba ciepła i czułości. Dziewczynka wtulona w opończę Simona była lekka, jak jej matka. Roshann starał się trzymać ją delikatnie.

Dyana z pewnością już odkryła jego zniknięcie z córeczką. I niewątpliwie wpadła w furję. Simon wiedział, że zniszczył jej życie i uczynił jej coś znacznie gorszego, niż to, co zrobił Tresh. Ból piastunki trwał krótko i już minął. Cierpienia Dyany dopiero się zaczynały i nie będzie im końca.

- Twoja matka bardzo cię kocha - powiedział dziewczynce, kiedy pędzili pod baldachimem drzew ciężkich od owoców. - I jeszcze ją zobaczysz, jeżeli tylko będę mógł coś w tej sprawie zrobić. Zrobię zaś wszystko, co w mojej mocy, tak mi dopomóż Bóg.

Jeżeli Bóg nie był głuchy na modły morderców, jeżeli troszczył się o niewinne dzieci, z pewnością Simonowi pomoże. Pomyślawszy o tym, Simon zgrzytnął zębami. Nagle zapragnął, żeby Bóg go przeklął, by wtrącił go do piekła za jego niezliczone grzechy i skazał na wieczne potępienie. Ogarnięty uczuciem odrazy do samego siebie złożył w duchu Niebiosom obietnicę, że godzi się na potępienie, jeżeli Bóg uratuje Eris i córeczkę Vantrana.

Przez następną godzinę gnali w milczeniu, szybko pokonując odległość pomiędzy Falindarem a wieżą. Piesza wędrownica zajęłaby Simonowi cały dzień, ale konna jazda trwała zaledwie kilka godzin - i gdy wreszcie Roshann zobaczył brzeg, pojął, iż są już blisko miejsca spotkania.

Simon Darquis poczuł kolejny dreszcz obrzydzenia do samego siebie.

Zwolniwszy tempo jazdy, przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać. Shani przestała płakać, zaciekawiona szumem przyboju. Simon wciągnął powietrze w nozdrza i złowił słonawy zapach morza. Zmrużywszy oczy, zaczął przeszukiwać wzrokiem horyzont i patrząc pod światło księżyca, szybko dostrzegł zarysy wieży bystryimi oczami. Ożywiony tym widokiem uderzył konia piętami, ponagłając do jeszcze szybszego galopu. Droga była wąska, kręta i zdradziecka, jednak kończył się czas i cierpliwość Simona, więc zirytowany zwłoką w reakcji wierzchowca na rozkaz, uderzył mocniej, wyładowując

gniew i desperację na końskich bokach. Ale gdy zbliżyli się do polany, na której stała wieża, ponownie pociągnął wodze, by zwolnić tempo, aż w końcu, znalazłszy się w cieniu wieży, zatrzymał rumaka zupełnie.

Shani zagulgotała gniewnie i wierzgnęła, wyrażając tym swoje niezadowolenie.

Simon uśmiechnął się lekko.

- Słusznie się obawiasz - przyznał.

Wieża wyglądała na opuszczoną, ale w świetle księżyca Simon dostrzegł na wodzie dwie czarne plamki. Przez chwilę patrzył na horyzont, nie wiedząc, co o tym myśleć. Dwa okręty? Co ten N'Dek znów wymyślił? Nie dbając o to, że koń ucieknie, zeskoczył z siodła i zdjął zawiniątko z Shani. Nie postawił dziewczynki na ziemi, ale trzymając ją w ramionach, zostawił zmęczonego wierzchowca jego losowi i stąpając ostrożnie, ruszył ku wieży. Łukowe wejście straszło plamą czerni. Simon wstrzymał oddech. Shani wyczuła jego rozterkę i zrobiła to samo. I nagle Roshann usłyszał dobiegający z wnętrza wieży skrzyp skórzanej podeszwy buta o kamienną posadzkę. Gdy dźwięk rozległ się po raz wtóry, Simon znieruchomiał.

- Kto tu jest? - spytał.

Odpowiedziało mu milczenie. W końcu jednak w wejściu ukazał się cień jakiegoś człowieka. Zaraz za nim ukazał się drugi, trzeci i czwarty. Ujrzawszy barwę ich skóry, Simon natychmiast zrozumiał, że nieznajomi nie są Triinami.

- Jestem Simon Darquis! - zwrócił się głośno do mrocznych sylwetek. - Wyjdźcie i pokażcie się, coście za jedni!

Nieznajomi podeszli bliżej, co Shani skwitowała westchnieniem przestachu. Z czterech mężczyzn dwaj mieli na sobie mundury marynarzy Czarnej Floty, a dwaj pozostali ubrania cywilne. Wszyscy stanęli w świetle księżyca i spojrzeli badawczo na Simona. Jeden z nich, wysoki gładko ogolony mężczyzna z blizną na twarzy, wystąpił do przodu i zwrócił się do Simona.

- Darquis - powiedział i skinieniem dłoni dał znak, że rozpoznał przybysza. - Czy to jego dziecko?

- Owszem - odparł Simon. - A ci dwaj, co za jedni?

Wszyscy czterej Narenie podeszli bliżej, patrząc na zmieszane i przestraszone dziecko. Marynarz, który odezwał się pierwszy, na widok dziewczynki parsknął

śmiechem.

- Myśleliśmy, że gogowie poznają, co z ciebie za ptaszek - zwrócił się do Simona jeden z dwóch cywili.

Simon wbił w nich kamienne spojrzenie.

- A ty kto? - spytał. - Bo żeglarzem z pewnością jesteś.

Nieznajomy nie dał po sobie poznać, że się poczuł dotknięty. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Darquis, mamy tego samego Mistrza. Wiem o tobie i wiem, co tu robiłeś.

Simon natychmiast poczuł ukłucie niepokoju.

- Przesłał cię Biagio? Po co?

- Mamy pilnować Szakala, gdy ty będziesz wioził na Crote jego córkę - odpowiedział nieznajomy. Miał charakterystyczny dla wielu Roshannów śpiewny akcent, a jego głos nie wyrażał żadnych emocji. - Mistrz czeka na Crote, ale nie chce tracić oka z tego, co się tu będzie działo.

„A to drań!” - syknął w duchu Simon. Biagio przestał już ufać komukolwiek.

- I dlatego u tutejszych brzegów krążą dwa okręty? - zwrócił się gniewnie do żeglarza. - Durnie! Kręć się tu lisseńskie szkunery! Jeżeli tamci zobaczą wasze cholerne łajby, to już po nas!

- Nie natknęliśmy się na żadne szkunery - wyjąkał marynarz.

- Tak nakazał Biagio. - Wybuch Simona zdumiał go i przestraszył.

- Okręt był eskortowany. Niczego więcej nie wiem.

- O świcie musimy się znaleźć poza zasięgiem widoczności z brzegu - warknął Simon, znów zwracając się do Roshannów. Już miał im powiedzieć, że Richius wyjechał, ale coś go powstrzymało.

- Słyszycie? Przed świtem wasz okręt musi stąd odpłynąć!

- „Zemsta” przybyła tu dwa dni temu - odezwał się drugi z agentów. Był niewysoki, miał ciemniejsze włosy i cerę od towarzysza, czarne oczy i białe zęby lśniące w świetle księżyca. - Przywiozła nas tutaj, my zaś zakładamy w tej wieży bazę operacyjną.

Kiedy się z tym uporamy i nie będziemy potrzebowali okrętu, odpłynię.

- Mamy cię zabrać na pokład „Pogromcy” - oznajmił milczący dotąd marynarz,

starając się nie okazać strachu w obliczu wściekłości Simona. - To znaczy, gdy będziesz gotów.

- Kapitan N'Dek nie może się już doczekać - stwierdził niższy z agentów.

Wyciągnąwszy dłoń, pogłodził Shani po policzku.

- Nie zwlekaj. Mistrzowi pilno zobaczyć swoją zdobycz. Simon cofnął dziecko, usuwając je spod rąk agenta.

- Precz z łapami! - ostrzegł. - I nie mów mi, Roshannie, co mam robić. Jestem Mroczne Serce.

Imię to miało swoją wagę i uśmiech znikł z twarzy agenta.

- Dobrze się sprawiłeś, tak jak się Mistrz spodziewał. Teraz zawieź mu to dziecko.

Wracaj do domu, Mroczne Serce. Odpocznij na Crote.

Simon nagle przypomniał sobie o trzymanej w ramionach dziewczynce. Zerknął na porwane przez siebie dziecko. Shani odpowiedziała mu spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że jest jej zimno, nieznajomi napawają ją strachem, ona sama zaś niczego nie rozumie. Z jej noska wypłynęło kilka kropli śluzu, które Simon wytarł rękawem.

- Łódź już czeka - stwierdził marynarz, wyciągając rękę ku skalistemu brzegowi.

- O, tam.

Wszyscy na niego patrzyli, on zaś popełnił łajdactwo, z którego nie mógł się już wycofać, ruszył więc w milczeniu ku łodzi, która miała go zabrać na pokład „Pogromcy”.

Północ zastała Dyanę Vantran w sypialni jej porwanej córeczki. Falindar zapadł w ciszę, na niebo zaś wypłynął księżyc. Deemis i jego wojownicy nie odnaleźli Shani i choć wciąż jeszcze uporczywie przeszukiwali okolicę, Dyana czuła coraz większą rozpacz. Zniknął też Simon Darquis - jeżeli było to prawdziwe miano Narena - i zbieżność tych dwóch wydarzeń podpowiadała Dyanie, jaki los spotkał jej córeczkę. Kiedy przez otwarte okno patrzyła na księżyc, przypomniały jej się słowa męża.

„Roshannowie są wszędzie”.

Nie wierzyła. Nie wierzył też Lucyler. Teraz już wiedziała, że złoty demon, Biagio, który nawiedzał Richiusa w snach był bardzo realny - i tak zły, jak utrzymywał jej mąż. Tresh była martwa. Ludzie Deemisa zabrali już jej ciało i oczyścili podłogę z krwi.

Dziś w nocy Dyana nie chciała towarzystwa przyjaciółek. Nalegała, by zostawiono ją samą, w sypialni Shani. Teraz wyglądała przez okno i zastanawiała się, co też pomyślałby o niej Richius.

Wyjechał zaledwie przedwczoraj, ona zaś zdążyła już stracić córkę. Była teraz sama, jak przedtem, zanim spotkała Richiusa... i poznawała na nowo dawno już zapomniane uczucia.

- Gdzie jesteś, Simonie? - spytała szeptem. Słyszała szum oceanu, widziała morze i oświetlone blaskiem księżycy fale, widziała księżyc na niebie, i wszystko to jakoś pomogło jej się opanować, nieco uspokoić. - Roshannie - powiedziała, jakby rzucała zaklęcie. - Gdzie jesteś?

Nie miała wątpliwości, że łotr przypląnął na Lucel - Lor na pokładzie okrętu.

Nie mógłby się tu dostać pieszo czy konno. Falindar leżał na północnych krańcach Lucel - Loru, daleko od przesmyku Saccenne, który był jedynym szlakiem łączącym Imperium z krainami zamieszkanymi przez Triinów. Dyana skupiła więc swe myśli na oceanie, przypominając sobie wszystko, co wiedziała o Narenie. Był chudy, wysoki i bardzo opanowany - a ostatnio wręcz nienaturalnie spokojny. Porwanie z pewnością starannie zaplanował i przygotował.

Dyana przypomniała sobie rozmowę, jaką przeprowadzili na korytarzu przed komnatą, w której Richius przyjął Praknę. Wydało jej się wtedy, że Simon troszczy się o nią. Była głupia, że mu uwierzyła. Tak jak Richius powiedział, Roshannowie byli niczym diabły - umieli się wcielić w dowolną postać i udąć każde uczucie.

- Popełniłam błąd - syknęła.

Zastanowiło ją to, gdzie Simon znalazł tak zniszczone i zużyte ubranie, w którym się u nich zjawił. Jeszcze jedna sztuczka Narena? Głodził się i leżał na słońcu?

Utrzymywał, że błąkał się po Lucel - Lorze od czasu najazdu Gayle'a. Zgodnie z tym, co powiedział jej Richius, żywił się tym, co zdołał złowić, znaleźć i czasami ukraść. Trzymał się na uboczu i nie pokazywał ludziom na oczy. W Tatteraku były setki porzuconych farm.

Ale nie było wież...

Porażona domysłem, Dyana odskoczyła od okna i niewiele brakło, a by upadła.

„Wieże!”

Simon powiedział, że widział wieże. Ale na południu nie było żadnych wież.

Jedyną opuszczoną budowlą tego typu była...

Wybiegłszy z pokoiku Shani, Dyana rzuciła się do swojej sypialni, szukając butów i cieplejszych sukien. Przepelniona nową nadzieją pospiesznie się ubrała i zasznurowała buty.

- Wieże - wyszeptwała. - Wiem, gdzie jest jedna!

Wieża, która przysła jej na myśl, była daleko, za doliną nad morzem. Od wielu już lat stała opuszczona i porzucona. Kiedyś, pewnego letniego dnia Lucyler pokazał ją jej podczas konnej przejażdżki.

Wieża była wysoka, mocno zrujnowana i świetnie się nadawała na kryjówkę. Jeżeli Simon wiedział o jej istnieniu, z pewnością zełgał o tym, że przybył z południa.

- Tam jest - wyszeptwała do siebie. - Musi tam być.

Jeżeli chciał uciec, musiał też mieć tam jakiś statek, który na niego czekał.

W zamku zostało niewielu mężczyzn, którzy mogliby jej pomóc, Dyana zresztą wiedziała, że i tak na nic by jej nie pozwolono. Była kobietą, a w trzymającym się dawnych obyczajów Tatteraku znaczyło to bardzo niewiele.

Skoczyła ku drzwiom i przebiegłszy korytarz, ruszyła schodami w dół.

Musiała znaleźć jakiegoś konia. Nie czuła się w siodle tak swobodnie, jak jej mąż, ale mogła się w nim utrzymać, wiedziała też, że w stajniach został jeden wierzchowiec, którego nikt nie ośmielił się dosiąść - nawet Lucyler.

Błyskawica.

Koń Richiusa był szybki, Dyana zaś wiedziała, że będzie na nią czekał, choć wszystkie inne konie zabrali szukający Shani ludzie Deemisa. Znalazłszy się na dole, zaczerpnęła tchu, by się uspokoić. Było późno i prawie wszyscy pozostali w cytadeli udali się na spoczynek, Dyana jednak wolała nie ryzykować. Gdyby ją zobaczył Deemis, albo któryś z jego ludzi, odprowadzono by jąchoćby siłą do jej komnat. A czasu było coraz mniej.

Ostrożnie i cicho przemknęła pustymi korytarzami cytadeli do podwójnych drzwi, przez które mogła dotrzeć do stajen.

Gdy wyszła na zewnątrz, ogarnęła ją fala chłodu. Z każdym oddechem z jej ust wydobywała się chmurka pary. Szybko rozejrzała się po pustym dziedzińcu, ale nie

dostrzegła nikogo. Odetchnąwszy z ulgą, ruszyła przez udeptane pole do stajen.

Był to ozdobny budynek, zbyt wielki dla zwierząt, który wzniesiono dla kaprysu któregoś z poprzednich, królewskich władców Falindaru. Wielkie, ozdobne drewniane drzwi, na których wyrzeźbiono końskie głowy, były uchylone. Dyana zajrzała do środka. Tak jak przypuszczała, Deemis i jego ludzie zabrali wszystkie konie do pościgu za Simonem.

Wszystkie, oprócz jednego.

Błyskawica stał spokojnie w swoim boksie na końcu stajni. Zobaczywszy go, Dyana poczuła nagły przyływ otuchy. Brązowe oczy konia zwróciły się ku niej w niemym pytaniu.

- Spokojnie, mój piękny - wyszeptała młoda kobieta. Wyciągnęła rękę i poklepała go łagodnie po pysku. - Nie zrobię ci krzywdy. Znasz mnie, prawda? Jestem Dyana.

Koń ostrożnie ją obwąchał.

- Tak. To ja. Błyskawico, proszę... ponieś mnie na swoim grzbiecie - poprosiła błagalnie.

Do tej pory dosiadła konia tylko raz, a i to z Richiusem. Zwierzę jednak miało poczciwy charakter i Dyana pospiesznie narzuciła na niego derkę, a potem włożyła mu ogłowie, zarzuciła siodło i dociągnęła popręg, tak jak to czynił jej mąż. Na koniec otworzyła drzwi boksu i wróciła do konia.

- Chcę, byś mnie zawiózł do mojej córeczki - powiedziała zwierzęciu. - Pomożesz mi?

Bardzo ostrożnie wsunęła stopę w strzemię. Błyskawica rażno parsknął. Dyana pogłaskała gładką skórę zwierzęcia, przez chwilę uspokajała go łagodnym głosem, a potem wspięła się na siodło. Zwierzę zadrżało. Dyana objęła go za szyję i znów zaczęła przemawiać, jakby uspokajała dziecko.

- Nic się nie bój, nie zrobię ci krzywdy - zapewniła go. - Ale musimy się pospieszyć.

Moje dziecko... dziecko twego pana... potrzebuje naszej pomocy.

Koń ruszył ku wyjściu z boksu. Dyana znów dodała mu otuchy niezbyt głośnym okrzykiem. Przypomniawszy sobie wszystko, co wiedziała o jeździectwie, chwyciła wodze i skierowała konia do wyjścia. Potem przejechali truchtem do bramy, aż wreszcie

wydostali się na dziedziniec, gdzie koń przystanął, czekając na dalsze polecenia.

- Dziękuję - westchnęła Dyana. - W imieniu Lorrisa i Pris, dziękują. A teraz, Błyskawico, pokaż mi, co potrafisz!

Stojący na kotwicy i oświetlony blaskiem księżyca „Pogromca” kołysał się na falach.

Simon, który był na jego pokładzie zaledwie od godziny, już czuł nawrót morskiej choroby.

Stał teraz na wyżce rufowej i balansując dla zachowania równowagi, przyglądał się zakotwiczonemu obok okrętowi. „Zemsta” była większa od „Pogromcy” i łatwiej ją było zobaczyć z brzegu. Simon zastanawiał się, czy którykolwiek z okrętów zdoła dotrzeć do Crote tak, by nie zostać przyłapany przez lisseńskie szkunery. Jeżeli Prakna ze swoją flotą krążył jeszcze po wodach Lucel - Loru, z pewnością odkryją obecność Narenów.

Z pokładu statku widział stojącą na brzegu wieżę, której sylwetka prawie rozmywała się we mgle. Dwaj agenci Roshannów, których przysłał tu Biagio, wciąż jeszcze mościli sobie tam legowisko, nieświadomi faktu, że Szakal opuścił już Lucel - Lor. Simon zastanawiał się, dlaczego im o tym nie powiedział. Działo się z nim coś niedobrego - tracił kontrolę nad swoim zachowaniem i reakcjami. Dotarło do niego teraz, że mogą poszukać Dyanę.

Myśl ta mocno go przestraszyła, doszedł jednak do wniosku, że na razie będą zajęci zabezpieczaniem swej kryjówki i nieprędko się dowiedzą o nieobecności Richiusa.

- Przywiozę ci dziecko - mruknął. - Dla Eris. Ale nie spodziewaj się, że zrobię cokolwiek ponad to.

Biagio będzie musiał na własną rękę dobrać się do Richiusa. Simon już mu w tym nie pomoże. Wyda dziecko swemu panu, a potem umknie z Eris. Zniszczy to rodzinę Vantranow, ale Richius będzie mógł potem poszukać odwetu na Biagiu, a później na nim samym.

Któregoś dnia, jeżeli istnieli na Niebiosach jacyś bogowie, Biagio zda rachunek ze swoich postępów. Simon, choć mogłoby się to komuś wydać dziwne, zaplanował już resztę swojego życia. Poślubi Eris i ucieknie z nią z Crote i od Biagio, a potem ukryje żonę tak, by nie znaleźli jej nawet wszyscy Roshannowie razem wzięci, jeżeli w ogóle

coś takiego będzie możliwe, i resztę życia spędzą razem. Eris będzie szczęśliwa, on zaś będzie żył w ciągłym strachu. Każda myśl będzie mu przypominała o Biagiu, jego przebiegłości i zawziętości.

Będzie podskakiwał za każdym razem, gdy usłyszy trzask pękającej gałązki.

Kolejnym powodem jego obaw będzie Richius Vantran, ponieważ poświęci on każdą chwilę życia na znalezienie człowieka, który mu odpowie za śmierć córeczki. Simon poczuł ogromne brzemie winy.

- Gdzie mała? - rozległ się obok znajomy głos. Do Simona podszedł kapitan N'Dek, dowódca „Pogromcy”. Na jego twarzy tańczył zagadkowy uśmiech. - Co z nią zrobiłeś, szpiegu? Nie wyrzuciłeś jej chyba za burtę, prawda?

- Zostawiłem ją w mojej kajucie - odparł Simon. - Zmęczyła ją nocna jazda.

- Mamy mleko i trochę jedzenia odpowiedniego dla dzieci - oznajmił N'Dek. - Nie za wiele, ale powinno wystarczyć do najbliższego przyjaznego portu. Tam kupimy wszystko, czego będziesz dla niej potrzebował.

- Ja? Kapitanie, nie jestem kobietą. Dziewczynką powinien się zająć ktoś inny.

- Ostatni raz widziałem moje dzieci bardzo dawno temu. Powinieneś porwać i piastunkę, szpiegu.

„Chętnie bym to zrobił, niestety, musiałem ją zabić” - pomyślał Simon ze złością.

- Zatrzymam ją przy sobie - zgodził się po chwili. - Nie chcę, by ją spotkało coś złego.

- Zupełnie słusznie - zaśmiał się N'Dek. - Biagio z pewnością nie byłby zadowolony, gdybyś mu przywiózł martwe dziecko. - Kapitan umilkł i przez chwilę patrzył na fale. - Teraz chce dostać Vantrana. Widziałeś tych agentów?

Simon skinął.

- Twój Mistrz to król intryg, panie Darquis. Chętnie mu to przyznam. Ale zbyt wiele czasu traci na zemstę, a zbyt mało myśli poświęca odzyskaniu Żelaznego Tronu.

Odwiozę cię na Crote, ale potem chciałbym zobaczyć jakiś postęp. Nie jestem chłopcem na posyłki.

- Biagio wie, co robi - odpowiedział Simon. - Ruszy na Herritha, kiedy będzie gotowy. Nie wcześniej.

- Myślę, że już się zabrał do dzieła - stwierdził żeglarz. - Słyszałem, że admirał

Nicabar z niewielką flotą odpłynął spod Crote. Płyną na pomoc diukowi Enli w Smoczej Paszczy.

- Z jakiego powodu? Co w Smoczej Paszczy jest tak ważne?

- To tajemnica - odpowiedział N'Dek. - Twój Mistrz nikomu nie zdradza swoich planów i wszyscy jesteśmy zdani na domyśle. A to nikomu się nie podoba.

Simon uśmiechnął się niewesoło.

- Zapewniam cię, że mnie też, kapitanie. - Odwrócił się, by zejść do swojej kajuty.

- Kiedy postawicie żagle?

- Za chwilę - odpowiedział marynarz. - Teraz podnosimy kotwicę.

Simon odszedł, postanowiwszy, że jego noga nigdy już nie stanie na ziemi Lucel - Loru.

Odległość, która niedawno jeszcze wydawała jej się ogromna, Dyana pokonała tak szybko, że prawie tego nie zauważyła.

Wierzchowiec Richiusa, nawykły do szybkiej jazdy, galopował w blasku księżycyca.

Bardzo szybko przemknęli przez dolinę, lasy i skaliste pagórki wybrzeża. Koń się spienił, ale miał silne, zdrowe serce i nie zawiódł. Wyczerpana dziką jazdą Dyana z najwyższym trudem skupiała uwagę na uchylaniu się przed nisko zwisającymi gałęziami drzew porastających pobocza wąskich ścieżek. Falindar został daleko w tyle i młoda kobieta miała niejasne poczucie zagubienia, pewna jednak była, że zdoła odszukać wieżę. Tymczasem ćmiło jej się w oczach, a jej dłonie zeszywniały z zimna. Ciepłe ciało Błyskawicy grzało ją w uda, pochyliła się więc do końskiego karku, by znaleźć choć tak mizerną osłonę przed zimnem, kryjąc za końską grzywą smaganą przez ostry wiatr twarz.

W końcu, kiedy już zaczęła myśleć, że lada moment spadnie z siodła, zobaczyła wieżę. Zbliżał się świt. Na wschodzie pojawiły się pierwsze oznaki brzasku, który spędzał mrok z nieba. Dyana zaczęła wstrzymywać konia, aż w końcu Błyskawica pobiegnął truchtem.

Przed nią wznosiła się wieża, mroczna i ponura. Dalej za wieżą, ledwo widoczny na falach oceanu widać było jakiś okręt. Dyana poczuła tchnienie nadziei. Simon jeszcze nie odpłynął.

Dyana doszła do wniosku, że łotr kryje się wieży, czekając na świt.

- Nie ma za wiele czasu - szepnęła koniowi.

Ponagliła Błyskawicę, by podbiegł do wieży, kryjąc się w cieniu. Byстрыm i uważnym spojrzeniem przeszukała polankę, ale oprócz opadających liści nie dostrzegła żadnego ruchu.

Świt miał przynieść ze sobą światło, które ujawni jej obecność, postanowiła więc przyspieszyć bieg wydarzeń. Błyskawica wyczuwał jej niepokój. Zmierzał ku środkowi polanki powoli, spokojnie i cicho niczym polująca górską pantera. Kiedy dotarli do drzew rosnących na krawędzi polany, Dyana zatrzymała konia.

- Dość - szepnęła. - Ani kroku dalej.

Wiedziała, że wroga musi podejść pieszo, dając tym samym zmęczonemu koniowi chwilę wytchnienia. Przez chwilę patrzyła na zionące mrokiem i pustką wejście do wieży. I nagle zobaczyła wewnątrz jakiś błysk. Zagryzła wargi, pewna że widzi ogień skrzesany przez Simona. Ześlizgnąwszy się z konia, poklepała znużone zwierzę po boku. Wiedziała, że Błyskawica na nią zaczeka, jak zawsze czekał na Richiusa. Jeżeli wróci. Jeżeli Simon jej nie zabije, a Shani jest jeszcze wśród żywych.

„Dość!”

Zacisnęła pięść. Przedtem jakoś jej nie przyszło do głowy, by zabrać ze sobą jakikolwiek oręż, który teraz bardzo by się jej przydał. Sztylet, topór, cokolwiek, co mogłaby wbić Simonowi w plecy. Jeżeli zrobił Shani krzywdę, wydrze mu serce choćby gołymi dłońmi. Zapłaci za to, co zrobił!

Przeszła polankę i szybko dotarła do wejścia na wieżę. Zatrzymała się przy pokruszonej ścianie i ostrożnie zajrzała do środka. Przede wszystkim dostrzegła widziany już wcześniej ogień, płonący po przeciwległej stronie parterowej, okrągłej komnaty.

Simona nigdzie nie było widać. Nie było zresztą widać nikogo, tak przynajmniej wydało jej się na pierwszy rzut oka. Pomieszczenie było rozległe i pełne mrocznych zakamarków. Po krótkiej chwili czujnego nasłuchiwania Dyana usłyszała dźwięk, który ją zaskoczył - szuranie kroków.

Przeniosła wzrok na spiralne, niknące w górze stopnie. Ktoś schodził na dół.

Dyana zebrała odwagę i weszła do środka.

- Simonie! -| zawołała. - Zejdź na dół!

Tuż u boku wyczuła jakiś szybki ruch. Z mroku wypadł mężczyzna, zaskoczony jej okrzykiem. Z góry zbiegł jeszcze jeden i wytrzeszczył na nią zdumione oczy.

Bliższy osobnik dał nura za jej plecy i natychmiast złapał ją z tyłu, zamykając jej ramiona w silnym uścisku.

Dyana zakłęła i szarpnęła się kilkakrotnie, ale była zbyt osłabiona i zziębnięta, by się uwolnić.

Czuła na karku gorący oddech nieznajomego, przepojony zapachem podłego trunku.

Ciemnowłosy nieznajomy ze schodów podszedł bliżej i stanął przed nią.

- Kim ty, u licha, jesteś? - warknął, wyciągając jednocześnie sztylet zza pasa.

Dyana wierzgnęła w jego stronę, co zmusiło go do ostrożności. Opór nie zdał się na wiele, gdy ciemnowłosy szybko przystawił jej sztych noża pod brodę. - Gadaj, dziewczko!

Cośtyzajedna?

- Gdzie jest Simon? - syknęła Dyana. - Gdzie jest moje dziecko?

Trzymający ją z tyłu mężczyzna zacisnął łapy, pozbawiając ją tchu. Dyana zgrzytnęła zębami, a potem splunęła na trzymającego sztylet. Drab cofnął się, wybuchając szalonym śmiechem.

- Twoje dziecko? - wystękał. - Jesteś matką tego bachora? Żoną Szakala?

- Gdzie ona jest, potworze? Gdzie jest moja córeczka?

Ciemnowłosy łotr spojrział na nią z niedowierzaniem w oczach.

- Donhedrisie! Udało nam się schwytać cenną rybkę! Ta pięknotka jest żoną Vantrana!

Donhedris uniósł ją nad ziemię.

- Aha! - zahuczał jej prosto w ucho. - Więc to ty jesteś jałówką, dla której Vantran zdradził Imperium! Och, ładniutka z ciebie dziewczka! - Polizał ją w szyję.

Obrzydliwość tej pieszczoty wydarła Dyanie krzyk z ust.

- Dranie! - Ogarnęło ją niemal szaleństwo i odraza. - Boże, gdzie ją ukryliście?

Gdzie...

- Twojej córeczki tu nie ma - odpowiedział osobnik ze sztyletem. Zręcznym ruchem obrócił broń w palcach. - Nie ma też tutaj Mrocznego Serca, tego, którego

nazywasz Simonem. Zabrał ją.

- Nie!

- Ależ tak i nic już na to nie poradzisz. - Na twarzy ciemnowłosego pojawiło się pytanie. - Ale teraz mamy problem... Co zrobić z tobą? Czy twój mąż wie, że tu jesteś?

- Richius wyjechał! - słowa te wyleciały z ust Dyany jak splunięcie. - Popłynął na Liss, by...

W tej chwili zrozumiała, że w gniewie powiedziała coś, o czym lepiej było milczeć, i umilkła, przeklinając własną głupotę. Ciemnowłosa obrzucił ją osobliwym spojrzeniem.

- A to ciekawe... - stwierdził. Przyłożył dłoń do podbródka Dyany i lekko nacisnął. - Mów, albo stracisz zęby.

Dyana zamknęła oczy.

- Nic wam nie powiem.

- Człowiek ma trzydzieści dwa zęby. Ciekawe, czy Triinowie mają tyle samo?

- Przestań - odezwał się Donhedris. - Biagio nie życzyłby sobie, żeby jej się stała jakaś krzywda. Powinniśmy ją zabrać na Crote, gdzie się nią zajmie Savros Łamacz Woli.

- Ależ tak! - odparł ciemnowłosa, z niewiadomych dla Dyany przyczyn nagle rozpromieniony. Natychmiast puścił szczękę młodej kobiety. - Ponieważ Szakał opuścił Falindar, nie mamy już tu nic do roboty. Mistrz nagrodzi nas sownie za dodatkową zdobycz.

Doskonale się spisaliśmy, Donhedrisie. - Płazem sztyletu pogłaskał Dyane po policzku. - Zobaczysz tego twojego bachora - zadrwił. - Jest jeszcze ktoś, kto się z przyjemnością tobą zajmie. Jeżeli idzie o nakłanianie ludzi do zwierzeń, ten ktoś jest znacznie lepszy ode mnie.

Dwadzieścia PRZEBUDZENIE

Lorla Lon z nową tożsamością cały dzień spędziła, wędrując po korytarzach i salach wielkiej katedry, zachwycając się pomysłowością inżynierów i wyobraźnią architektów. Goth ją oszołomiło, Smocza Paszcza zajęła jej serduszko, ale szybujące ku niebu wieże Katedry Męczenników wywarły na niej niezatarte wrażenie. Ojciec Święty Herrith, którego teraz nazywała po prostu „ojcem”, okazał jej dobroć, kupując drobne ozdoby, piękne ubranka i pozwalając jej do woli zwiedzać swój wspaniały dom. Poza kilkoma prawdziwie świętymi miejscami mogła chodzić, dokąd chciała, dotykać wszystkiego, co wzbudziło jej ciekawość.

Przestała nawet tęsknić za diukiem Enli i Smoczą Paszczą. Trochę jej brakowało Niny, bo ta była dziewczyną, a poza nią samą w katedrze nie było żadnych kobiet. Owszem, były zakonnice, ale Lorla nie mogła ich jakoś polubić, tych starych, wiecznie skwaszonych kobiet, które niezmiennie obdarzały ją spojrzeniami pełnymi dezaprobaty. Nikt jednak nie ośmielił się udzielić jej choćby drobnej nagany. Była ulubienicą Ojca Świętego i w pełni wykorzystywała swoją nową pozycję. Każdego wieczoru jadła z Herrithem wystawną kolację, niekiedy w towarzystwie innych kapłanów, niekiedy tylko w dwójkę - mogli wtedy do woli pośmiać się i porozmawiać. Każdy dzień był nową przygodą. Patrzyła na napływających do katedry pielgrzymów - białoskórych Dorian i smagłych mieszkańców Crote, biednych i bogatych, których osaczały rzesze żebraków. Uczestniczyła w ceremoniach i tłumnych mszach, na których sam Herrith wzywał Boga, by zechciał zstąpić na zebranych.

Niektórzy z wiernych mdleli, poczuwszy potęgę jego niewidzialnej obecności.

Siódmego Dnia, który był dniem tygodnia poświęconym modłom i pobożnym rozmyślaniom, główna kaplica pękała wprost od natłoku nareńskich magnatów, a na terenie wokół katedry mrowili się najrozmaitsi wierni, którym niska pozycja społeczna nie pozwalała na wejście do środka, czekali więc w deszczu na zewnątrz, na słowo Pana głoszone z balkonu przez Herritha.

Wielka katedra nieustannie podsuwała Lorli wspaniałe widowiska, pompatyczne i wystawne, dziewczynce zaś się to ogromnie podobało.

Ze wszystkich widowisk ofiarowanych jej przez katedrę, najbardziej polubiła śluby.

Każdego dnia pojawiał się tu orszak nareńskich dam, odzianych w białe, bogate powiewne szaty, z szeroko otwartymi i pełnymi łez oczami. Lorli wydawały się bardzo piękne, przybywały w towarzystwie urodziwych mężów, wszyscy byli świetnie odziani, zachowywali się z wyszukaną gracją i budzili w dziewczynce dziwne tęsknoty. Przypominali Lorli o jej prawdziwym wieku, i zapominała wtedy, że jest karlicą; odczuwała swą cielesność, jakby budziło się w niej coś, co chce się wyrwać na wolność. Ojciec Herrith rzadko zajmował się tymi uroczystościami, zostawiając je swoim podwładnym, niekiedy jednak, gdy młodzi pochodzili z wpływowych rodzin - albo gdy trafiał mu się łaskawszy humor - obdarzał kaplicę swą obecnością, łączył parę w związek, a wtedy wszyscy zebrani zalewali się łzami, wydawali tysięczne westchnienia zachwyty i zasypywali ołtarz deszczem złotych monet.

Wszystkie były darami dla Boga, wyjaśnił jej Herrith, i dlatego kapłani zbierali je bardzo skrzętnie.

Od przybycia do katedry Lorla widywała sierociniec jedynie z okien karocy. Nie potrzebowała przyjaciół i bała się tego, co mogłaby tam znaleźć. Herrith kilkakrotnie jej proponował, że zabierze ją tam, gdzie będzie mogła znaleźć rówieśników, ona jednak uparcie odmawiała, grając na jego uczuciach i mówiąc mu, że nie potrzebuje nikogo, oprócz niego samego. Jego niesamowicie niebieskie oczy topniały wtedy i zachodziły mgłą rozkoszy, dziewczynka zaś wiedziała już, że zawojowała serce i wolę arcybiskupa. Stało się dokładnie tak, jak przepowiedział to diuk Enli - nie zdołał się jej oprzeć. Był człowiekiem samotnym, smutnym i trapionym niepomyślnymi wieściami. Nie był wcale zdradzieckim, sprośnym demonem, jakiego Lorla spodziewała się zastać w Czarnym Grodzie. Traktował ją łagodnie i z troską. Dawał jej to, co chciała, nie pragnąc w zamian żadnej nagrody - wszystko wypływało z jego wrodzonej dobroci serca. Myśli o nim sprawiały niekiedy dziewczynce ból, wiedziała bowiem, co musi zrobić i co niechybnie zrobi. Pomimo pozorów był wrogiem Mistrza, a to oznaczało, że musi go zniszczyć. Popołudnie dziewiątego dnia zaczęło się w katedrze jak zwykle - zapowiadało się spokojnie, ale kryło w sobie obietnice ciekawych wydarzeń.

Posłuszna sugestii Herritha dziewczynka unikała do tej pory nawy głównej, gdzie

pracował wielki artysta Darago, dziś jednak popadła w buntowniczy nastrój i po obiedzie przemknęła schodami w dół, by zobaczyć, nad czym też pracuje malarz o legendarnej sławie.

Nigdy go nie widziała, choć Herrith ją ostrzegwał, że Darago jest surowym i poważnym człowiekiem, który nie znosi, kiedy mu się przeszkadza. Lorla postanowiła więc, że nie da się na tym przyłapać, i skradała się teraz ostrożnie, krzywiąc twarz za każdym razem, gdy jej trzewiki zaszurały przypadkiem o marmurową posadzkę. Przed sobą miała wielką nawę, oświetloną tuzinami pochodni i światłem wlewającym się przez mozaikowe okna. Z daleka już słyszała odgłosy usilnej pracy pomocników Daraga. Od czasu do czasu rozlegały się też głosy, przeważnie młode i jasne, tłumione szybko przez czyjeś gniewne ryki.

- Nie, do kata, nie! - grzmiał ów władczy głos. - Powiedziałem na sucho, bałwanie!

Nie na mokro!

Lorla zamarła w bezruchu, ale zapach farby ogromnie ją kusił. Po chwili wahań ruszyła dalej, nie mogąc się oprzeć własnej ciekawości. Wielka nawa leżała za łagodnym zakrętem korytarza. Doszedłszy do niego, zatrzymała się i ostrożnie zajrzała do środka.

Sklepienie było już odsłonięte - zdjęto zakrywające je przedtem płachty płótna.

Choć nie dokończony, fresk zapierał dech w piersiach. Lorla zapatrzyła się na obrazy, zapominając o tym, że miała się kryć. Z góry patrzyły na nią czerwone demony i tłuste cherubiny, a święci i ukrzyżowani męczennicy odpierali ataki wężów. Dziewczynka stała i patrzyła, przypominając sobie historie opowiedane jej przez Herritha - o Kevenie Chrzycielu i Złotym Gralu, który żywił Bożą Matkę. Wszystko było na tym sklepieniu. Zapewniał, że mogła zobaczyć całą historię Stworzenia. Poczwała się cudownie małą, nic nie znaczącą istotką - nic nie było ważne, oprócz wiszącego nad nią sklepienia.

Gdyby mogła, wspięłaby się na rusztowania, by dotknąć malowidła i zjednoczyć się z promieniującą od niego mocą.

- Kto tam? - zachrypiał gdzieś nad nią gniewny głos. Lorla ocknęła się natychmiast i spojrzała w głąb nawy. Pośrodku rusztowania, na wysokości czterdziestu stóp nad posadzką, tkwił jakiś człowiek o dzikim spojrzeniu, trzymający w dłoni malarski nóż, w stroju poplamionym gipsem i farbami. Nieznajomy był krępej budowy i miał

gęstą czuprynę czarnych włosów, opadających mu zmierzwioną falą na szerokie barki. Schodził właśnie z drabiny, a ujrawszy Lorłę, zatrzymał się, oszołomiony i nie posiadający się z gniewu.

- Hej, ty tam! - zagrział. Wszyscy jego pomocnicy podskoczyli jak oparzeni. I każdy odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że nie on był adresatem furii mistrza.

- Tak, ty!

Skąd się tu wzięłaś?

- Ja tylko patrzę - odparła Lorla, nadając głosowi brzmienie uosobienia dziecięcej niewinności. Nie była pewna, czy ta sztuczka podziała na artystę, ale postanowiła spróbować.

- Nie chciałam nikomu szkodzić, panie. Chciałam tylko popatrzeć.

- Tu nie ma nic do oglądania! Wynoś się!

- Czy jesteś mistrzem Darago? - spytała dziewczynka. - Tak, to z pewnością ty.

Mam rację?

Artystę niemal zatkało z oburzenia.

- Oczywiście, że to ja! Kto inny mógłby namalować takie arcydzieło? - Machnął energicznie nożem. - Jesteś bardzo głupią dziewczką, jeżeli nie wiesz, przed kim stoisz! A teraz zmiataj. Mam robotę.

- Mogę popatrzeć? - Lorla zaryzykowała kolejny krok. - Obiecuję, że nie będę przeszkadzać. Chcę tylko zobaczyć, jak malujecie te cuda.

- To nie cyrk! - zadudnił Darago. - A ja nie jestem linoskoczkiem! Popatrzeć to sobie możesz gdzie indziej. Ja jestem artystą.

Lorla spojrzała na sklepienie i wzruszyła ramionkami.

- Nie rozumiem połowy z tego, co tam namalowałaś, panie. Widać nie jesteś takim mistrzem, jak mi mówiono.

Okrągłe oblicze Daraga niebezpiecznie poczerwieniało. Wszyscy jego czeladnicy opuścili pędzle i na przemian przenosili spojrzenia z bezczelnej smarkuli na rozjuszonego mistrza.

- Coś ty powiedziała? - syknął artysta. Puścił nóż, który z brzękiem poleciał na dół i spadł na marmurową posadzkę, pokrywając ją rozbryzgami czerwonej farby. - Bezmózga smarkulo, jak śmiesz mnie osądzać? Co ty wiesz o wielkim Darago? Tworzę

arcydzieła, którym nikt niczego nie zarzuca!

- Więc cóż to jest? - rzuciła Lorla wyzywająco, wskazując rączką fragment jednego z panelów. - Wyglądają jak elfy. Czy to elfy?

- To anioły Foria - odparł Darago, który zdążył się zsunąć z drabiny - niewiele brakło, a by z niej spadł - i podejść do Lorli, nad którą zatrzymał się, wielki i kipiący gniewem. - Nie znasz tej opowieści? To duchy, które zawiodły Boskiego Foria do Niebios.

Lorla zmrużyła oczy.

- Z Księgi Galliona!

- Ach!

Darago obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Na litość boską, otwórz oczy! Wszystko jest tam, na sklepieniu!

- Teraz widzę - ustąpiła dziewczynka. Irytowanie Daraga sprawiło jej niemałą uciechę. Próżność artysty dorównywała co najmniej jego talentowi. - Ładne.

- Ładne! Dobrze sobie! Skromnie powiedziane! To... - Artysta opamiętał się i spojrzał na swoich pomocników. - Wracajcie do roboty! - warknął. Wszyscy natychmiast porwali pędzle i palety, udając zaciekle, że nie słuchają toczącej się w dole rozmowy. Darago wbił płonący wzrok w Lorlę. - Jesteś bardzo głupia, skoro nie znasz historii Foria.

- Nie jestem tutejsza.

- To skąd się tu wzięłaś? Z księżycy? Wszyscy znają opowieść o Foriu. Jest w pierwszej ze świętych ksiąg.

- Chyba tak...

Potulna zgoda rozjuszyła artystę jeszcze bardziej, niż poprzedni krytycyzm.

- Coś ty za jedna? I dlaczego mi przeszkadzasz? Ta nawa jest zamknięta dla publiczności, dopóki nie skończę i nie będę zadowolony z mego dzieła!

- Jestem Lorla Lon, wychowanka arcybiskupa - przedstawiła się dziewczynka. - Ja tylko okazałam ciekawość, mistrzu Darago. Nie chciałam obrazić twojego sklepienia. Jest bardzo piękne. - Uśmiechnęła się czarująco. - Naprawdę.

Twarz Darago natychmiast złagodniała.

- Naprawdę?

- Ależ tak! - zapewniła go Lorla. - To najpiękniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek widziałam. Arcybiskup pokazał mi sklepienie już pierwszego dnia mojego pobytu w katedrze. Ale wtedy prawie całe było jeszcze zasłonięte. Widziałam tylko ten panel - zaśmiała się i wskazała palcem. - O, i jeszcze tamten. Piękne, przepiękne...

- Nie inaczej - zgodził się Darago, składając ramiona na beczkowatej piersi. - Pracę zacząłem przed pięcioma laty. Żył jeszcze wtedy imperator Arkus, on jednak nie zobaczył nawet kawałka mojego dzieła. Był... już bardzo osłabiony. Ale biskup... o tak!

Ten zna się na sztuce!

- A ty już prawie skończyłeś - stwierdziła Lorla. - Tak mi mówił ojciec Herrith.

- Ojciec Herrith?

Lorla zrobiła zakłopotaną i zasmuconą jednocześnie minę.

- Tak kazał mi się nazywać. Teraz on się mną opiekuje. Ja jestem sierotą.

Brwi malarza frunęły w górę.

- Sierota?! To musisz znać historię Elioës.

- Elioës? Nie, chyba jej nie znam. Darago uniósł oczy w górę.

- O, tam - powiedział, wskazując nie dokończony panel we wschodnim rogu wielkiej nawy. - To Elioës. Kaleka sierota, którą uzdrowił nasz Pan. Była niedołączna od urodzenia, aż Bóg sprawił cud.

Lorla spojrzała na tę część sklepienia, gdzie widniała figura odzianej w nędzne szmaty dziewczynki, z powyginanymi nóżkami i strąkami jasnych włosów. Na jej twarzyczce malował się wyraz absolutnego szczęścia i spokoju, a w jej oczach płonął niebiański blask.

Wokół niej widać było złotą aureolę, a tuż obok Darago namalował bezcielesną, widmową dłoń, która wyciągała ku dziewczynce przezroczyste palce, by ją uleczyć.

Dziewczynka miała piękną, uduchowioną twarzyczkę. Jak wszystkie arcydzieła Darago, i ten obraz był czymś więcej, niż tylko nagromadzeniem farb na warstwie gipsowego podkładu.

Przyjrawszy się Elioës, Lorla odniosła wrażenie, że widzi dzieło Boga.

- Jest do mnie podobna - odezwała się po chwili. - Spójrz. Ma jasne włosy. I jest tak samo niska jak ja. Ile ona miała lat, mistrzu Darago?

Artysta wzruszył ramionami.

- Przyznam, że nie wiem. Dziesięć? A ty, ile masz lat, Lorlo Lon?

Lorla nie bardzo miała ochotę na okłamywanie tego człowieka, ale odpowiedziała.

- Osiem. Niedługo będę miała dziewięć... właściwie to już za kilka dni.

- Ach, w takim razie twoje urodziny zbiegną się z ukończeniem sklepienia - stwierdził Darago. - Mam tylko miesiąc na to, by doprowadzić wszystko do końca.

Herrith chce, bym odsłonił moje dzieło pod koniec Krenu.

- Krenu?

Darago skrzywił się z dezaprobatą.

- O Krenie też niczego nie wiesz? Czy ty naprawdę jesteś wychowanką arcybiskupa?

- Jestem sierotą - odpowiedziała Lorla, jakby to wyjaśnienie wystarczyło za wszelkie tłumaczenia. - Co to jest Kren?

- Wielki, święty miesiąc - odparł Darago. - Zaczyna się za trzy dni. - Ująwszy dziewczynkę za rękę, podprowadził ją do rusztowania. - Kren to miesiąc pokuty.

Pościmy i błagamy Boga, by odpuścił nam nasze grzechy. - Tknięty nagłą myślą artysta zmarszczył brwi i obrzucił Lorlę podejrzliwym spojrzeniem. - Wiesz, co to grzech?

Lorla skinęła.

- Grzech to zło.

- To czyny popełnione przeciwko słowu i woli Boga. Owszem, to zło. Podczas Krenu gotujemy się do świętowania Eestrii. To będzie od dziś za trzydzieści trzy dni. Herrith obiecał całemu miastu wielkie wydarzenie. Wszyscy z największą niecierpliwością czekają na odsłonięcie mojego dzieła. I nie bez powodu.

Rusztowanie można było przesuwac na kołach. Darago puścił Lorlę i zaczął pchać metalowego potwora do wschodniego rogu nawy, gdzie z nie dokończonego malowidła patrzyła na nich Elioes. Pomocnicy pospieszyli z pomocą, ale mistrz ich odpędził niecierpliwymi machnięciami dłoni.

- Możesz się wspinać? - spytał Lorlę.

- To akurat robię najlepiej - stwierdziła Lorla i nie czekając na Daraga, zaczęła piąć się po skrzypiącej, srebrzystej drabince.

Darago ruszył za nią, a gdy znaleźli się na wysokości pięćdziesięciu stóp, stanęli na szczytowej platformie, twarzą w twarz ze świątobliwą sierotą. Lorla poczuła zmęczenie wspinaczką, dało jej się też we znaki patrzenie na jaskrawe kolory. Wyciągnęła rączkę, wiedząc, że nie dotknie sklepienia, a potem westchnęła.

- Chciałabym jej dotknąć - rzekła smutno. - Jest taka piękna. Darago bez namysłu objął rękoma jej kibić i uniósł ją w górę, aż znalazła się tuż przy wizerunku Elioës. Lorla pisnęła z uciechy. Pomocnicy mistrza gapili się na to z dołu oczami pełnymi zdumienia i niedowierzania.

- Jest już sucha - oznajmił. - Możesz jej dotknąć.

Lorla niezmiernie delikatnie dotknęła sklepienia. Przez chwilę wydawało się jej, że Elioës obdarzyła ją śmiechem. Lorla przesunęła paluszkami wzdłuż szyi dziewczynki, niemal ją dotykając, a potem musnęła doskonale namalowanego materiału jej kołnierza.

Ciało Elioës było różowe i prawie ciepłe w dotyku. Dziewczynka wyglądała niezwykle żywo - jakby Darago zamknął w gipsie prawdziwe dziecko.

- Och! Jest cudowna!

- Jestem z niej dumny - wyszeptał Darago. - Więcej w niej życia, niż w jakiegokolwiek innej, namalowanej tu przeze mnie postaci. Kiedy objawię ją wszystkim, zawojuje serca Narenów.

- Czy widział ją ojciec Herrith?

- Nie, jeszcze nie.

- Pokochają. Będzie jego ulubienicą, bardziej niż inne postaci ze sklepienia.

Jestem tego pewna. - Lorla oderwała wreszcie wzrok od malowidła. - Puść mnie już, proszę.

Darago spełnił prośbę i ostrożnie postawił dziewczynkę na platformie.

- Podoba ci się moja malowana córka, prawda?

- Prawda - odpowiedziała Lorla. - Chciałabym się dowiedzieć o niej czegoś więcej.

Powiedz mi wszystko, co o niej wiesz, panie.

- Wiem tylko to, co tu namalowałem - przyznał Darago ze śmiechem. - Jest dziewczynką. Przywołałem ją z niebytu śmierci. Bóg obdarzył ją swoją łaską, a teraz obdarzył ją mną, bym dał Elioës nowe życie. Co też uczyniłem. - Podniósł dłonie tak, by

Lorla mogła im się przyjrzeć. Były pokryte odciskami, szorstkie i poplamione farbami. - To dłonie Boga.

Kiedy rzeźbię, lub maluje, przestają należeć do mnie. Jestem tylko narzędziem aniołów. Lorla kiwnęła główką, jakby się z nim zgadzała.

- Czy to Bóg nakazał ci namalować Elioos?

- Tak, na Jego sposób. Z tego, co tu widzisz, niczego nie stworzyłem sam. - Obszernym gestem wskazał sklepienie, obejmując nim anioły, które jakby przysłuchiwały się rozmowie. - Te trole, które widzisz tam na dole... te, które mi pomagają, nic nie znaczą. W oczach Boga są jak mrówki. Może któregoś dnia jeden lub dwóch z nich stworzą jakieś własne dzieło, ale nie wcześniej, niż pokieruje nimi dłoń Pana. Tak, jak kieruje mną.

- Podoba mi się Elioos - westchnęła Lorla. Ponownie spojrzała na twarz sieroty, tak spokojną po uzdrowieniu jej przez Boga. - Chciałabym się o niej dowiedzieć czegoś więcej.

Powiedz mi o niej, mistrzu, bardzo cię proszę...

- Nie mnie powinnaś o to pytać. Mogę ci rzecz wszystko o farbach i kamieniu.

Ale o to dziecko spytaj Ojca Świętego.

- Tak - zgodziła się Lorla. - Tak zrobię. - Pochyliwszy się, zaskoczyła Daraga pocałunkiem w policzek. - Dziękuję, mistrzu. Dziękuję z całego serca.

Nie czekając na artystę, zaczęła zsuwać się po drabinie, aż drząc z pośpiechu i chęci jak najszybszego znalezienia się na dole. Znow opamiętała ją dawne pożądanie wiedzy.

Wybiegła z wielkiej nawy, minęła małe budki konfesjonałów, w których zakapturzeni akolici słuchali o naderiskich grzechach i łajdactwach i w końcu znalazła się na szerokich, wspaniałych schodach, które ją miały zawieść do komnat ojca Herritha. Nie widziała go od śniadania, a teraz uświadomiła sobie, że rzadko go w ogóle widywała podczas dnia.

Postanowiła go zaskoczyć. Z pewnością będzie rad, mogąc ją zobaczyć. W głowie kłębiły jej się liczne pytania dotyczące Elioos. Czy w istocie była tak piękna, jak to przedstawił Darago?

Czy naprawdę była sierotą? Jeżeli została świętą, Lorla znalazła swoją patronkę.

„Święta od Sierot” - pomyślała dziewczynka z uśmiechem.

Dotarłszy do korytarza, przed komnatą biskupa zwołała kroku. Imperialne rozmiary korytarza całkowicie ją zdominowały. Od ścian patrzyły na nią oczy posagów i portretów, ale poza tym korytarz był pusty. Nigdzie nie było widać nawet ojca Todosa, co bardzo Lorłę ucieszyło. Lubiła Todosa, ale teraz chciała być z Herrithem sama, tak by im nikt nie przeszkadzał, gdy go będzie wypytywała. Drzwi do biskupich komnat były na końcu korytarza, strzeżone przez rzeźbione gargulce z brązu. Lorla podeszła na palcach, starając się, by jej nie usłyszano. Przełożywszy ucho do drzwi, nasłuchiwała przez chwilę. I usłyszała czyjś ciężki, niepewny i nierówny oddech.

Przez chwilę stała bez ruchu, zastanawiając się, co robić. W końcu ciekawość wzięła górę nad ostrożnością i powoli obróciła gałkę. Drzwi nie były zamknięte i łatwo się otworzyły. Spizowate zawiasy przesunęły się bez dźwięku, pozwalając jej na lekkie uchylenie jednego skrzydła. Lorla ostrożnie zajrzała do środka. Przed nią rozciągała się pysznie urządzona komnata, pogrążona teraz w cieniu. Ciężki, chrapliwy oddech rozlegał się teraz znacznie głośniejszy. Lorla znów pchnęła drzwi, otwierając je nieco szerzej.

Zobaczyła leżącą bezładnie na posadzce ceremonialną albę Herritha. Obok niej leżała biała stula.

Zaraz potem Lorla zobaczyła Herritha.

Kłęcząc na posadzce zgarbiony i z pochyloną głową. Był odziany w powłóczyście szatę, miał jednak obnażone jedno ramię, z rękawem podwiniętym aż do pachy.

Przyciskał to ramię do piersi i pojękując cicho, kołysał się w przód i w tył. W nadgarstek tego ramienia miał wbitą srebrną igłę, która kończyła się rurką. Przez rurkę sączył się jakiś niebieski płyn ze srebrnego pojemnika. Biskup oddychał ciężko i jednocześnie nucił cichą melodię.

Był to chyba jakiś hymn, choć Lorla miała trudności z rozpoznaniem, bo śpiew biskupa nieustannie przerywało charczenie.

Ujrawszy to wszystko, dziewczynka stanęła jak wryta.

Po chwili ostrożnie otworzyła drzwi. Zaraz potem zrezygnowała z ostrożności, bo spostrzegła, że Herrith w ogóle jej nie słyszy. Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

Herrith nadal się kołysał, i dziewczynce wydało się nagle, że biskup płacze.

- Ojciec Herrith?

Usłyszawszy jej głos, biskup odwrócił się szybko i, zaskoczony, otworzył usta.

- Lorla - wychrypiał.

- Co robisz? - spytała dziewczynka, nie ośmielając się podejść bliżej. - Co ci się stało?

Igła wbita w ramię Herritha zamigotała odbitym światłem. Lorla poczuła napływ obrzydzenia i niczym młot uderzyły w nią wspomnienia, o których myślała, że dawno się ich już wyzbyła. Cofnęła się i oparła o drzwi, niezdolna do oderwania wzroku od aparatu, który sączył niebieski płyn w ramię Herritha. Biskup wyciągnął ku niej podobną do szponu dłoń.

- Nie - jęknął. - Nie bój się! Nic mi nie jest!

Lorla jednak się bała. Ogarnęła ją groza, choć dziewczynka nie знаła jej źródeł.

Widok igły i eliksiru sprawił, że poczuła mdłości, jakby chwyciły ją torsje.

Zamknęła oczy, by jakoś się opanować i mocniej wparła plecy w drewno drzwi.

- Co to jest? - pisnęła. - Co ty robisz?

- Proszę, Lorlo - rzekł Herrith błagalnym tonem. - Przestań się bać. To ja sam... pomagam sobie, leczę się.

- Jak to?

- Otwórz oczy i spójrz na mnie! - zażądał biskup.

Lorla spełniła polecenie. Herrith wciąż klęczał na posadzce z igłą wbity w nadgarstek.

Jego twarz była zatroskana, zaniepokojona i pokryta warstwą potu. Wyciągnięte ramię zapraszało Lorlę, by podeszła bliżej.

- To ja, maleńka - wyszeptał. - To tylko ja. Nie bój się. Nikt ci nie zrobi żadnej krzywdy.

Lorla nie mogła się ruszyć, została więc na miejscu. W jej pamięci poruszyło się coś dawno zapomnianego... błyski bólu i szmer jakichś głosów. Nagle poczuła chłód i znalazła się w pomieszczeniu bez okien. Jej małe ciało chwyciły czyjeś chłodne dłonie, przyciskające ją do stołu. Ona zaś krzyczała. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Herrith patrzył na nią przerażonymi oczami.

- Lorlo! - zawołał. Jego głos usłyszała tak, jakby wołał z daleka. - Co z tobą, dziecko?

- Nie wiem! - Lorla zanosła się płaczem. - Nie wiem! Co ty robisz? Ta rzecz...
Co to jest?

Podbiegła do niego i zaczęła tłuc piąstkami po aparacie podtrzymującym rurki.

Biskup chwycił ją wolnym ramieniem i odciągnął.

- Przestań! - syknął.

Jego dotyk sparzył ją lodowatym chłodem. Lorla szarpnęła się w tył, zaskoczona wrażeniem. Biskup jednak jej nie puścił, tylko przyciągnął bliżej i zmusił, by uklęknęła obok.

Błękitny płyn sączył się w jego żyły, on zaś na przemian śmiał się i płakał.

- Nie bój się, dziecko - rzekł wreszcie władczo. - Jestem tym samym Herrithem, którego znasz.

- Nie! - wykrzyknęła. - Jesteś kimś innym!

- Wcale nie. Jestem ten sam... i już mi lepiej. Uwierz mi, dziecko. Uwierz.

W jego głosie było tyle bólu, że Lorla w końcu ustąpiła. Pochyliła się ku niemu i przyjrzała jego zasmuconej twarzy. Zmarszczki na obliczu Herritha mocno się pogłębiły, nabrzmiały czerwienią, a jego oczy lśniły szafirowym blaskiem. Wszystko to razem przypomniało Lorli coś, o czym dawno już zapomniała, i chciała, by pozostało w otchłani niepamięci. Teraz usiłowała przypomnieć sobie, co to takiego, ale nie mogła - czuła tylko gniew i ból.

- Boję się, ojciec Herrithcie.

- Och, dziecko... - Biskup zmuszał się z trudem, by mówić spokojnie. - Co ty tu robisz?

Chwilę trwało, zanim Lorla zdołała sobie przypomnieć, po co tu przyszła.

- Chciałam porozmawiać - odpowiedziała. - Miałam zapytać o sklepienie nawy...

- I w końcu mnie znalazłaś - stwierdził Herrith. - W takim stanie... - Potrząsnął smutno głową. - Niech Bóg się nade mną zlituje za to, iż zobaczyłaś moje utrapienie...

- Ojciec...

- Wyglądam okropnie, wiem. Ale to tylko... kuracja. To coś, czego nie mogę uniknąć, Lorlo. Proszę, zechciej przy mnie usiąść, dziecko. Jesteś mi potrzebna.

Możesz mi pomóc.

Lorla spełniła prośbę biskupa i usiadła przed nim na posadzce, ze skrzyżowanymi

nogami. Biskup odchylił głowę w tył, odetchnął głęboko i uśmiechnął się krzywo.

- Niekiedy nie jest łatwo robić to, co się musi. Ten środek jest bardzo silny.

Ale jest mi potrzebny. Bez niego bym umarł, a już na pewno nie miałbym sił do służby Panu. A w tych dniach siły są mi potrzebne, bo mam przed sobą wielkie dzieło. Możesz to zrozumieć?

- Owszem - skinęła. - Ale co to jest?

- Tego ci rzec nie mogę. Wystarczy ci wiedzieć, że to bardzo silny eliksir. Nie mam go jednak za wiele i nie mogę go marnotrawić. Dlatego cię powstrzymałem, gdy po niego sięgnęłaś. - Spojrzał na nią błagalnie. - Nie chciałem cię skrzywdzić. Wybacz mi.

- Ojczy Świety...

- Ojczy.

- Tak. Ojczy. Co się dzieje? Dlaczego jesteś... - Lorla szukała właściwego słowa, przyglądając się uważnie jego twarzy i ramionom - ...taki osłabiony?

Herrith wyciągnął rękę i musnął palcami policzek dziewczynki.

- Droga Lorlo, zbyt wiele musiałbym ci teraz wyjaśniać. Musisz mi zaufać, to wszystko. I musisz zaufać Bogu. Prosiłem Niebios, by wskazały mi drogę, i aniołowie powiedzieli, że muszę być silny. Przekazali mi ten eliksir. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest darem diabła, teraz jednak wiem, że pochodzi od Boga. Pan dał go w moje ręce, ponieważ chce, bym się przygotował na ostatnią bitwę.

- Z Biagiem? - spytała Lorla. Często słyszała, jak biskup mówił o Mistrzu.

- Owszem. Z Biagiem i tym jego Czarnym Odrodzeniem. - Herrith przez chwilę łapał oddech. - Toczą Nar jak złośliwa narośl, Lorlo. Zniszczą Imperium i wciągną nas z powrotem w czeluści piekieł. Tylko ja mogę ich powstrzymać. I zatrzymam ich z woli Niebios. Zatrzymam!

Lorla ukryła swe uczucia za maską spokoju. Za każdym razem, kiedy Herrith mówił o Mistrzu, uśmiechała się przyjaźnie.

- Jesteś silny, ojczy - stwierdziła. - Nikt nie zdoła ci się oprzeć.

- Nikt nie zdoła się oprzeć Bogu - poprawił ją biskup. - Ja jestem tylko wykonawcą Jego Woli.

- Jak Darago - powiedziała wesoło. - On też jest taki, jak ty.

- Nie inaczej - zgodził się biskup. - A ty skąd to wiesz?

- Poszłam zobaczyć sklepienie nawy. Wiem, że nie powinnam tego robić, ale się na mnie nie gniewaj. Rozmawiałam z Darago. Pokazał mi rozmaite rzeczy.

Herrith parsknął śmiechem.

- Darago się zniżył do rozmowy z dzieckiem? Aż nie mogę w to uwierzyć!

- To prawda! - odparła Lorla. - Wziął mnie nawet na drabinę, by pokazać sklepienie z bliska. Dotykałam sklepienia, ojczy!

Herrith zapomniał chyba o swoim cierpieniu.

- Niezwykłe! - wyszeptał. - Dotykałaś sklepienia, powiadasz? To święte miejsce.

Jesteś błogosławiona.

- Widziałam obraz Elioes - ciągnęła Lorla. - Darago powiedział, że była sierotą, jak ja. Czy to prawda?

- Prawda.

Herrith spojrział na rurkę wbity w ramię. Była już pusta. Biskup zamknął oczy w milczącym dziękczynieniu i wyjął igłę. Lorla przełknęła ślinę, by ukryć ogarniające ją znowu mdłości.

- Powiedz mi o niej - poprosiła biskupa. - Chcę wiedzieć wszystko... wszystko o Elioes.

- Innym razem - odparł Herrith, wyciągając ku niej ramię. - Dziecko, pomóż mi, proszę, wstać. Po tej kuracji zawsze czuję się nieco osłabiony.

Lorla podała mu rękę i z całej siły pociągnęła, pomagając biskupowi się podnieść. Jego Świątobliwość zachwiał się lekko, ale szybko odzyskał równowagę.

- Tak... Teraz już poradzę sobie sam. Dziękuję ci, dziecko. Ale... - Spojrział na nią badawczo. - Ty mnie o coś pytałaś...

- O Elioes. Darago mi mówił, że mógłby mi o niej opowiedzieć.

- Mógłbym - odparł Herrith.

Przeszedł do sąsiedniej komnaty, w której stało rozległe łóżko. Zasłony były tu odsunięte, wpuszczając snopy promieni słońca. Biskup opadł na łóżko, przez chwilę siedział bez ruchu, łapiąc oddech, a potem poklepał pościel obok siebie, zapraszając dziewczynkę, by usiadła. Lorla skorzystała z zaproszenia i wpatrzyła się z uwagą w twarz świętego męża.

- Powiem ci wszystko o Elioes, i to, co mi wiadomo o świętej księdze. Będiesz

się uczyła i rosła w siłę, maleńka. Ale przedtem opowiedz mi o sklepieniu. Widziałaś je całe?

- Było odsłonięte - odparła dziewczynka. - Darago i jego pomocnicy pokrywali je malowidłami. Tak, widziałam wszystko.

- Było piękne? Jest już chyba na ukończeniu?

- Bardzo piękne - odparła rozpromieniona Lorla. - Piękniejsze niż wszystko, co przedtem widziałam. I tak... myślę, że jest już prawie gotowe. Darago mówi, że chcesz by je szybko odsłonił. Na święto. Kren?

- Eestrii. Kren to miesiąc pokuty. Ale prawie trafiłaś. - Biskup zmarszczył brwi. - Wiesz, co to Kren, prawda? A może zapomniałem ci powiedzieć?

- Widziałam kapłanów, którzy dekorują katedrę. Ale nie wiem nic o Krenie. Przykro mi...

- Nie powinno ci być przykro. To moja wina, że ci niczego nie wyjaśniłem.

Zapomniałem, że wy, tam, w Smoczej Paszczy, byliście izolowani od świata. - Biskup czuł się już znacznie lepiej. Z każdym oddechem jego skóra się chłodziła, a zmarszczki na twarzy szybko znikwały. Herrith objął dziewczynkę ramieniem. - Zanim zacznie się Kren, będzie wielkie święto zwane Sethkin. Wszyscy mieszkańcy Czarnego Grodu będą się przygotowywać do miesięcznego postu. Zacznie się tańcami, potem będą śpiewy i uczty. - Jego Świątobliwość roześmiał się wesoło. - Sam cię tam zabiorę. Ulicę będą pięknie ozdobione. Na pewno ci się spodoba!

- Chętnie pójdę - obiecała Lorla podniecona perspektywą widowiska. - To będzie wspaniałe święto moich urodzin!

- Urodziny? - spytał biskup. - Będziesz obchodziła urodziny?

Lorla udała, że zdradziła się mimo woli, uciekła więc ze spojrzeniem w bok.

- Tak, ojcze. Przykro mi. Nie powinnam ci o tym mówić.

- Ależ skąd! To radosne święto, maleńka. Będzie mi bardzo miło. Możemy świętować Eestrii i twoje urodziny. Cudownie!

Lorla znów poczuła wyrzuty sumienia. Z każdym dniem, podczas którego oszukiwała biskupa, nienawidziła się coraz bardziej.

- To nic, ojcze. Ja tylko chciałam zobaczyć święta. To wszystko.

- Zobaczysz, drogie dziecko, zobaczysz. - Biskup obdarzył ją uśmiechem pełnym

czułości. - Będziemy świętować Eestrii razem z twoimi urodzinami, a ty zostaniesz księżniczką tego dnia. Na ulicach będą kramarze sprzedający piękne rzeczy, a wszyscy rzemieślnicy otworzą drzwi swoich pracowni i warsztatów. - Pochyliwszy się, złożył pocałunek na czole dziewczynki. - Pomyśl o tym! Musisz przecież wybrać dla siebie jakiś podarunek. To będzie coś niezwykłego!

Lorla odpowiedziała mu zniewalającym uśmiechem. Doskonale wiedziała, o jaki prezent poprosić biskupa.

Dwadzieścia jeden DUCHY SZAREJ WIEŻY

Nina jechała konno przez pole zasiane trupami, zdumiewając się rzezi, jaką urządził jej ojciec.

Był to kolejny mroźny dzień na północnej, należącej niedawno jeszcze do Eneasa, mierzei Smoczej Paszczy. Okrutny wiatr szarpał oponę Niny i przebijał ją lodowatymi szponami. Śnieg otulał białym kocem drogę, opuszczone budynki o pozamykanych okiennicach i leżące na ulicach ciała z martwymi, zamrożonymi oczami wytrzeszczonymi ze zgrozy. Gdzieś tam, w oparach mgły, popołudniowe słońce bezskutecznie usiłowało ogrzać ziemię. Ulica pełna była sopli zakrzepłej krwi, które połyskiwały szkarłatem, odbijając się od bieli śniegu. Koń Niny błąkał się bez celu po mieście, równie zagubiony jak oszołomiony jeździec, a stukot jego kopyt o bruk był jedynym odgłosem zakłócającym lodowatą ciszę.

Daleko w przodzie wyrastała sylwetka Szarej Wieży, wysoka, mroczna i strasząca pootwieranymi pustymi okiennicami. Siedziba diuka Eneasa rzucała mroczny cień na spustoszone miasto niczym ponury nagrobek dla wszystkich zamrożonych trupów.

Zemsta diuka Enli była pełna i dogłębna. Jak dogłębna - Nina dowiedziała się dopiero dzisiaj. Cały tłumiony latami gniew, cała nienawiść, jaką żywił do brata, wyładowała się w jednym, dzikim, bezlitosnym potoku krwi i gwałtów. Nina rozglądała się dookoła i z coraz większym przerażeniem uświadamiała sobie, że nie wie niczego o człowieku, którego nazywała ojcem.

- Mój Boże, Grath... - szepnęła na wiatr. - To wszystko jest waszym dziełem?

Grath z Dorii jechał tuż za nią z orszakiem swoich ludzi, kilkunastu najemników z jego rodzinnego kraju.

- Dziewczyno, dostałem rozkazy - stwierdził, nawet nie mrugnawszy. Wydawało się, że nic nie zdoła go poruszyć - ani nieprzyjazny wiatr, ani okropność dokonanych czynów.

- Od kogo? - spytała Nina. - Od mojego ojca?

- Owszem. I od tych, którzy mi płacą - odpowiedział najemnik. Wszyscy zebrani wokół niego pokiwali głowami, jakby powołanie się na mocodawców rozgrzeszało ich z

morderstw i rzezi. - Biagio bardzo dokładnie nam rzekł, co mamy robić - ciągnął Grath. - Zrobiłem tylko to, za co mi zapłacono.

Nina nie mogła już na niego patrzeć, więc odwróciwszy wzrok, skierowała go na martwe ciała - mężczyzn, kobiet i nawet dzieci. Patrzyła na zmiażdżone krucze hełmy, w których tkwiły pozbawione twarzy głowy wojaków diuka Eneasa. Ich trupy leżały wszędzie i zewsząd unosiły zeszytywniałe od mrozu palce ku niebu w milczącym wezwaniu o pomstę.

Była to największa osada północnej mierzei, otoczona farmami i zamieszкана niegdyś przez żyjących w twardych warunkach wieśniaków. Wymordowano ich do ostatniego. Grath i jego najemnicy oszczędzili inne wioski, ale nie Zachodni Wiatr. Tu właśnie stoczono bitwę i u stóp Szarej Wieży żołnierze Eneasa bronili czci swego diuka - za co wszyscy zapłacili najwyższą cenę. Bez podniebnej armii, która miała ich osłaniać, oddziały wojsk zostały wyrzucone do nogi. Dziwny hrabia z Crote zapłacił fortunę, by zgromadzić najemników, i Grath miał pod swoimi rozkazami blisko trzy setki ludzi. Nina nie była biegłą w wojennym rzemiośle, ale często słyszała, jak mówił o tym jej ojciec, ponieważ był żołnierzem z urodzenia i nieustannie rozmyślał o swoim siedzącym za kanałem bracie. Teraz jego obsesja zaowocowała okropnymi skutkami.

Dziewczyna zamknęła oczy z odrazą. To przecież byli jej ziomkowie. Zobaczywszy pomordowanych, zaczęła się zastanawiać, czy jej ojciec jest przy zdrowych zmysłach.

- Dobry Boże, nie oszczędzili nikogo! - odezwała się drżącym głosem. - Ojcze!
Jak mogłeś? Jak mogłeś?

Nikt nie mógł udzielić jej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Nina nigdy nie podejrzewała go o zdolność do zbrodni na taką skalę.

Patrzyła na opustoszałą, widoczną w oddali Szarą Wieżę, zamieszkaną teraz tylko przez trupy i gniewne duchy. Od jej ostatniego pobytu na północnej mierzei minęło ponad dziesięć lat. W tamtych czasach mogła do woli biegać po wieży stryja, szczęśliwa z nim i jego krukami. Ludzie żyli tu szczęśliwie i w pokoju. Czasy się zmieniły... i to znacznie.

- Grath, jesteś potworem. Ty i twoi podwładni nie macie w sobie nic ludzkiego!
Grath zmrużył oczy z absolutną obojętnością.

- Lady Nino, mówiłem, co tu znajdziesz. Ale jesteś uparta, jak twój ojciec. - Zawrócił konia. - No, zbierajmy się. Nie mamy tu czego szukać. Gdyby było lato, wyzdychalibyśmy od smrodu.

- Zostań! - rozkazała Nina. - Ja jeszcze nie skończyłam.

W jej głosie zabrzmiały stalowe nutki, które zatrzymały najemnika na miejscu.

Prawdą było, że jąostrzeżał i prosił, by tu nie przyjeżdżała. Nina jednak zbyt długo siedziała zamknięta w Czerwonej Wieży, zastanawiając się, co też zaszło na pomocnej mierzei. Od wyjazdu jej ojca z Lorlądó Nar Grath i jego ludzie byli bardzo zajęci. Nina dość łatwo się domyśliła, co robili - ale nie podejrzewała ich o aż tak potworną rzeź. Żywiła nawet złudną nadzieję, że jej stryj został przy życiu.

Dopiero Grath jej powiedział, jak się rzeczy miały naprawdę.

Po powrocie ze swej mrocznej krucjaty Dorianin opowiedział jej wszystko.

Usłyszała więc o tym, jak jej ojciec zabił swego brata. Nowiny te załamały młodą kobietę.

Jak zagubione dziecko ukryła się w Czerwonej Wieży, odrzucając od siebie myśli, że jej ojciec mógł rozpocząć wojnę z bratem, choć wojna ta szalała po drugiej stronie dzielącego mierzeje kanału. Mówiła nawet Lorli, że wszystko będzie dobrze. Teraz przeklinała samą siebie i swoją naiwność. Gdyby stanęła przy ojcu, mogłaby go przekonać, by powstrzymał to szaleństwo. Była jedyną osobą, na której opinii mu zależało, i doskonale o tym wiedziała.

Była ostatnią nicią łączącą go z matką.

„Powinnam przynajmniej spróbować” - myślała teraz.

Czy mogłaby dotrzeć do jego myśli i ułagodzić szalejące w nich furie? Boże, czyżby to była jej wina? Nina potrząsnęła głową, nie mogąc się z tym pogodzić.

„Nie! Przestań o tym myśleć!”

- Nie ma tu czego oglądać! - warknął Grath.

W miarę upływu czasu opanowywał go coraz większy niepokój. Najemnik zaczynał też chyba odczuwać strach. Jak do tej pory nikt ich nie zaczepił, gdy jechali przez północną mierzeję, co jednak wcale nie oznaczało, że nic takiego zdarzyć się nie może.

Grath łpał niespokojnie oczami na opustoszałe domy i zalegające okolicę trupy,

jakby się spodziewał, że ożyją. Jego ludzie dzielili niepokój wodza - im też udzielił się ponury nastrój otoczenia.

Podążyli za Grathem aż tutaj, gdyż taka była wola Niny, ale posłuch u najemników miewał swoje granice. Przypomniawszy to sobie, Nina uśmiechnęła się niewesoło. I tego się dowiedziała od swego ojca.

„Masz to, czego chciałeś, ojciec - pomyślała. - Cała Smocza Paszcza należy teraz do ciebie”.

Enliemu dostały się nawet kruki, osławiona podniebna armia. Na jej ramieniu siedział Krak, który kłapał z zimna dziobem. Przed wyjazdem z Lorlą do Nar ojciec ją ostrzegł, by zawsze i wszędzie zabierała kruka ze sobą.

- On jest teraz przywódcą stada - oznajmił.

Nina doskonale wiedziała, co to znaczy. Krak nosił na szyi złoty łańcuch, symbol przywództwa wśród kruków. Nina przypomniawszy sobie to, co opowiedział jej Eneas, który był bardzo dumny ze swoich ptaków i nieustannie się nimi chełpił. Wiedziała wszystko o tym, co znaczy pozycja przywódcy stada. Kruk, który przewodził stadu dla Eneasa, musiał zginąć ze swoim panem. Nina spojrzała na siedzącego na jej ramieniu ptaka, rada choć z takiego towarzystwa. Według powszechnego mniemania, podniebna armia Eneasa wciąż krążyła wokół Szarej Wieży, czekając na powrót swego pana. Pozbawione wodza ptaki bez sprzeciwu pozwoliły Grathowi i jego ludziom na wymordowanie obrońców wieży.

- Zostań ze mną - zwróciła się do ptaka. - Możesz mi być potrzebny.

Nie wiedziała, czego się może spodziewać po wejściu do Szarej Wieży. Nie powiedziała nawet Grathowi, że wieża jest jej celem. Przez chwilę zastanawiała się, jaka też byłaby jego reakcja, gdyby się o tym dowiedział wcześniej. Choć była córką diuka, jemu zaś płacono za jej ochronę, łatwo mógł ją zostawić własnemu losowi. Odwiozł ją aż dotąd, jedynie dlatego, że usilnie nalegała. Żeby pojąć głębię ojcowskiego szaleństwa, musiała zobaczyć pobojuwisko własnymi oczami.

I oto Szara Wieża zaczęła ją wzywać w sposób, jakiego nie oczekiwała. Ogarnęła ją fala dawno zapomnianym wspomnień. Patrzyła na wieżę, czuła jej zew i zastanawiała się, jak też by wyglądało jej życie, gdyby tu przyjechała wcześniej.

Może by się skończyło.

- Jedziemy dalej - powiedziała cicho. Jej głos prawie nił w szumie wichury.

- Dalej? - spytał Grath. - To znaczy dokąd?

- Do wieży.

- Nie. Ani myślę.

Nina jednak nie dała się zbić z tropu.

- Ja jadę. Wy możecie pojechać ze mną, albo zostać, jeżeli się boicie. Sama wrócę do Czerwonej Wieży.

Najemnicy wydali pomruk niechęci. Grath podprowadził konia bliżej i pochylił się ku dziewczynie, tak by jego podwładni nie słyszeli, co chciał jej rzec.

- Słuchaj, smarkulo - syknął. - Przywiozłem cię aż tutaj, ale dość tego! W tej wieży nie ma nic, co byłoby warte obejrzenia. Nie zmuszaj mnie, bym cię odstawił na południową mierzeję jak nieposłusznego bachora!

- Chcę wszystko zobaczyć sama! - upierała się Nina.

- Tam są tylko trupy, głupia dziewczko! Chcesz pooglądać nieboszczyków? To się rozejrzyj! Tutaj masz ich chyba pod dostatkiem!

Krak nastroszył pióra.

- Jadę! - uparła się Nina. - Z wami albo bez was!

Twarz Gratha poczerwieniała.

- Tylko spróbuj, a knę się na piekło, że...

- Co, Grath? Przerzucisz mnie przez siodło i zawieszysz do Czerwonej Wieży jak worek żyta? Nie sądzę. - Nina wbiła w niego lodowate spojrzenie. - Rusz tylko palcem, a powiem ojcu, że ośmieliłeś się mnie tknąć! Powiem, że mnie zgwałciłeś. Poskarży się Biagiowi i nie dostaniesz złamanego szeląga!

Groźba w jej głosie sprawiła, że Grath zaczął się wahać. Wiedział, że Enli uwielbia córkę, a bez jego rekomendacji Biagio nie rozwiąże sakiewki. I w końcu Grath ustąpił.

- Nie ma tam niczego godnego uwagi - ostrzegł ją ponownie. - Znajdziemy tam tylko te przekłete ptaszyska. Jeżeli nas zaatakują...

- Nie zaatakują - zapewniła go Nina. - Krak nas ochroni. Trzymajcie się blisko mnie a nic wam nie będzie.

Były to śmiałe słowa i dziewczyna spostrzegła, że najemnicy rozważają w

myślach.

Sama nie była pewna, czy tak będzie w istocie. Choć ostatni raz odwiedziła Szarą Wieżę jako pięcioletnie dziecko, pamiętała, że kruki Eneasa były przerażającymi stworzeniami. W jej umyśle pojawiła się wizja tysięcy wpatrzonych w nią ognistych oczu. Trwało to jednak tylko chwilę. Szara Wieża czekała - a w niej być może odpowiedzi na niektóre z dręczących ją pytań. Zdrada ojca zostawiła jej pustkę w duszy. Po raz pierwszy w życiu w niego zwątpiła. A może po raz pierwszy odważyła się na samodzielną ocenę. Nie wiedziała. Ale nadszedł kres szczęśliwego życia, jakie wiodła w samotni Czerwonej Wieży i potrzebny był jej ktoś, od kogo mogła zażądać rachunku.

- Jedźmy! - rzuciła rozkaz i skierowała konia drogą ku wieży.

Podjazd był długi, droga gęsto porośnięta drzewami. Podczas jazdy wiatr jeszcze przybrał na sile. Grath i jego najemnicy skwitowali rozkaz niechętnymi pomrukami, ale usłuchali i wkrótce cały oddziałek opuścił osadę, wjeżdżając pod baldachim drzew osłaniających krętą drogę. Koń Niny parsknął z niezadowoleniem. Siedzący na jej ramieniu Krak wydał długi, przeciągły gwizd, który to zwyczaj przejął od diuka Enli. Nina naciągnęła na twarz kaptur opończy, by jakoś osłonić się przed przenikliwym wiatrem.

Wyjechali z południowej mierzei przed kilkoma godzinami i dziewczyna czuła już mróz przenikający skórę jej rękawiczek.

Grath pognął konia i podjechał bliżej.

- Głupio postępujesz, moja panno - rzekł. - Uganiasz się za duchami. Już mówiłem, że nie ma tam czego szukać.

- To czego się boisz?

Grath odpowiedział grymasem niechęci.

- Ja się niczego nie boję. Ale tracimy czas, a tu jest sakramencko zimno. I może trochę niebezpiecznie. Dla ciebie.

- Właśnie po to tu jesteście - by mnie bronić. A teraz zamknij gębę. Niedobrze mi się robi od twojego oddechu.

Podjechali jeszcze dalej. Droga pod sosnami pogrążona była w mroku, a po obu jej stronach zalegały głębokie cienie. Splatające się nad głowami jeźdźców gałęzie pokrywały czapy śniegu, które od czasu do czasu obsypywały ich białym, lodowato

zimnym pyłem.

Zbliżali się już do końca pomocnego cypla. Nina wyczuwała nikły zapach soli w powietrzu, a w jej uszy zaczynał się sączyć szum fal przyboju. Popędziła konia do szybszej jazdy, bo miała już dość zimna - spodziewała się też, że w wieży znajdzie jakieś ciepło.

I w końcu korytarz gałęzi otworzył się na Szarą Wieżę. Jeźdźcy zobaczyli przed sobą mroczną, opustoszałą budowlę o ścianach pokrytych wilgocią i śniegiem tysięcy burz.

Patrzącą na wieżę Ninę ogarnęła fala wspomnień. Poczła też silne wzruszenie i gdyby nie baczne spojrzenie Gratha, zalałaby się łzami.

- Ojczy - szepnęła. - Coś ty uczynił?

Szara Wieża odpowiedziała jej posępną ciszą. Po drugiej stronie niewielkiej polanki, przed wejściem do Szarej Wieży Nina widziała resztki pobojowiska - bezładnie porozrzucane ciała obrońców i rdzewiejącą w śniegu broń. Łączka była stratowana kopytami i pokryta kępami powyrywanej trawy. Śnieg otulał leżące wszędzie trupy, z niemożliwie powyginanymi rękoma i nogami, leżące tam, gdzie trafiły po upadku z blanków wieży.

Ujrawszy to wszystko, Nina pomyślała, że gdy nadejdzie wiosna i zrobi się cieplej, może tu wybuchnąć zaraza, która sięgnie też na drugą stronę zatoki. Pewna była, że taka możliwość przerazi jej ojca. Grath i jego ludzie nie zadali sobie wysiłku oczyszczenia terenu.

Dziewczyna powiodła wzrokiem po otoczeniu, szukając jakichś oznak życia, choćby jednej najmniejszej istotki, której udało się przeżyć... i nie zobaczyła żadnej.

Oprócz kruków.

Te były wszędzie. Wielkie i czarne. Obsiadły kamienie i leżące w śniegu ciała i nie przejmując się chłodem, wydierały trupom kawałki mięsa. Ich czarne pióra lśniły w promieniach słońca jak ocean antracytu. Niektóre z ptaków spostrzegły zbliżających się jeźdźców i zaczęły podejrzliwie łytać na nich swymi paciorkowatymi oczami.

Najemnicy niespokojnie wierzili się w siodłach. Nina przełknęła ślinę. Na widok tyłu przerażających stworów jej serce zaczęło trwoźnie tłuc się o żebra. Patrzyła na potwory zrodzone z uporu i przemyślności Eneasa. Obsiadły każdy zakątek murów i

każdy kamień. Teraz jeden po drugim podnosiły głowy, gapiąc się na Ninę i Dorian.

- Dobry Boże - mruknął Grath. - Tylko spójrzcie. Siedzą tak sobie i patrzą...

- Wynośmy się stąd! - warknął jeden z najemników. Pozostali gniewnymi pomrukami zamanifestowali poparcie dla tego pomysłu. Grath uciszył ich wszystkich ostrym spojrzeniem - Spokój, durnie! - zagrział. Potem zwrócił się do Niny. - Oni mają rację.

Wynośmy się stąd, dopóki mamy jeszcze oczy na swoich miejscach.

Nina pogłaskała Kraka po głowie.

- Ja się nie boję. Możesz tu zostać, jeżeli chcesz. Nie musicie jechać dalej.

Ale ja zajrzę do środka.

- Po co? - jęknął Grath z desperacją w głosie. - Tam nic nie ma!

- Jest! - odpowiedziała z uporem dziewczyna. - Znajdę tam moje wspomnienia. - Uśmiechnęła się przelotnie, gdy dotarło do niej, jak niemądrze musiało to zabrzmieć. - Grath, jedźcie, jeżeli chcecie. Nic mi się tu nie stanie. A z wami... Kruki na widok tyłu jeźdźców już się zaczynają denerwować. Weź swoich ludzi i wracaj pod osłonę drzew. Wkrótce do was dołączę.

- Nie! - sprzeciwił się żołnierz. - Pojadę z tobą, niech mnie diabli! Mam cię chronić. - Westchnął wściekły na swoje poczucie obowiązku. - Jesteś pewna, że ten ptak nas obroni? - spytał, wskazując Kraka podbródkiem.

- Jestem pewna - odpowiedziała Nina. Właściwie nie miała takiej pewności, ale potwierdzenie dodało jej odwagi. Krak był teraz przywódcą stada. Podniebna armia nie podejmie żadnej akcji wbrew woli przywódcy. - Nie zrób żadnego głupstwa - zwróciła się do kruka, który przechylił głowę, na znak, że wie i rozumie.

Nina skierowała konia ku wieży. Grath jechał tuż za nią, dokładając starań, by siedzące wokół ptaszyska dobrze widziały kruka na ramieniu dziewczyny.

Przejazdowi Niny i Dorianina towarzyszyły trzepot skrzydeł i okazjonalne krakanie zebranych ptaków.

Nina walczyła z ogarniającym ją coraz większym strachem. Jej koń drżał także, łypiąc niespokojnie ślepiami na zebrane wokół drapieżniki. Grath zgrzytał zębami i powtarzał:

- Boże, tylko spójrz na nie...

- Spokój - syknęła Nina.

Nawet niezbyt głośny dźwięk mógł zaniepokoić ptaki i poderwać je do lotu. Krak jednak siedział dumnie na jej ramieniu, toczył wokół władczyim spojrzeniem, a siedzące na dziedzińcu kruki zobaczyły przywódcę, jego złoty łańcuch, więc szybko przestały się interesować grupą, przybyszów. Bijące jak szalone serce Niny zwolniło; odetchnęła z ulgą.

Przed sobą widziała już otwarte i zasypane śniegiem po próg wrota do wieży. Na progu leżał jakiś trup blokujący wejście. Na jego głowie usadowił się ogromny kruk, który najwyraźniej nie przejął się tym, że przycupnął na nieboszczyku. Nina ostrożnie skierowała konia ku wejściu, starając się unikać większych zgrupowań ptaków. Całą drogę tarasowały zwłoki żołnierzy Eneasa. Oddział diuka liczył co najmniej dwustu ludzi, a najemnicy dokładnie wykonali rozkaz, który nie pozwolił im brać jeńców. Teraz, jadąc przez krwawe pobojowisko, Grath zachował stoicki spokój. Udawał, że nie widzi tu niczego złego. A przynajmniej, że nic go to nie obchodzi.

Kruki rozdzieliły się wokół nich, pozwalając na swobodny przejazd. Dotarłszy do wieży, Nina wydała westchnienie ulgi. Ostatni z ptaków powitał ich u wejścia, łypiąc na nich zuchwale z hełmu martwego obrońcy. Krak przepędził go gniewnym okrzykiem, za co Nina podziękowała ulubieńcowi ciepłym uśmiechem.

Przejechali obok trupa i wjechali do środka, gdzie Grath zeskoczył z siodła i zatrzasnął drzwi, oddzielając ich od kruków solidną zaporą. Przedsiónek wieży pełen był mroków i cieni. Nina powoli zsunęła się z siodła na ziemię. Minęło ponad dziesięć lat od chwili, w której widziała tę siedzibę po raz ostatni, ale wspomnienia powróciły nieodpartą i nieoczekiwaną falą. Usłyszała w duchu siebie samą, jak śmiejąc się, biegała po tych korytarzach. Porzucenie wieży już wywarło zły wpływ na stan dywanów, ze ścian zaś pozdejmowano ozdoby i obrazy, ale nawet po tak wielu latach wieża wciąż jednak pozostawała dla niej siedzibą jej stryja.

- Stryju... - wyszeptała cicho, licząc na to, że usłyszy ją choć duch Eneasa. - To ja...

Przez długą chwilę stała bez ruchu, nie wiedząc, od czego zacząć poszukiwania.

Zsunęła kaptur z głowy i otrząsnęła włosy z kropel wilgoci. Potem otrzepała buty ze śniegu, mocno tupiąc stopami o posadzkę. Wszystko to czyniła jak w powitalnym

rytuale, choć doskonale rozumiała, że próżne są wysiłki zebrania razem strzaskanej przeszłości.

Przedsionek rozjaśniały promienie słońca, przedostające się przez powyrywane okiennice.

Szarą Wieżę zbudowano według równie prostego planu, jak jej czerwoną siostrę. W wysokiej wieży nie było zresztą zbyt wiele miejsca na liczne komnaty. Po przeciwległej stronie przedsionka była biblioteka i gabinet jej stryja. Dalej kuchnia i jadalnia - rozległa, pomalowana na wesołe barwy komnata, gdzie kiedyś siadywała pomiędzy stryjem i ojcem, słuchając jak się śmieją nad kuflami piwa. Teraz wspominała to z bólem.

- Muszę znaleźć komnaty stryja - oznajmiła Grathowi cicho lecz stanowczo.

- Dziewczyno, to wariactwo. O co ci chodzi?

W odpowiedzi Nina wzruszyła ramionami.

- Może o nic...

Nie sposób było wyjaśnić Grathowi, co nią kierowało. Nie mógłby pojąć pustki, jaką nieświadomość wniosła do jej życia. Rozumiała ją tylko Lorla. Dziewczynka jednak wyjechała, biorąc udział w nieprzeniknionych planach jej ojca.

- Zostań tutaj - zwróciła się do Gratha. - Zajmij się końmi. Ja niedługo wrócę.

Grath zacisnął pięść.

- Nie, dziewczyno, nie! Dość już tego. Nigdzie nie pójdziesz.

- Nie otwieraj drzwi - ostrzegła go Nina, nie zwracając uwagi na protesty najemnika. - Kraka biorę ze sobą, a bez niego nie będziesz tu bezpieczny.

- Tam do kata! Nino!

- Zostań! - rozkazała mu i ruszyła w głąb przedsionka.

Ku jej uldze Grath został na miejscu. Natychmiast opadły ją tysiące wspomnień, miłych i przykrych, które pogrzebała w pamięci dziesięć lat temu. W przedsionku leżało więcej trupów, zabitych przez ludzi Gratha - była wśród nich stara służąca, którą Nina pamiętała z dzieciństwa. Stała nad ciałem. Nie pamiętała imienia kobiety, pewna jednak była, że widziała ją pracującą w kuchni. Kiedyś podała Ninie marchewkową zupę. A teraz leżała martwa. Pod jej głową rozlała się wielka kałuża krwi, która przykleiła włosy staruszki do ziemi. Nina z trudem oderwała od niej wzrok.

- Stryju! - zawołała, pewna jednak, że nikt jej nie odpowie. I nikt jej nie odpowiedział.

Musi znaleźć jego komnaty. Zaszedłszy za róg, stanęła u stóp spiralnych schodów wiodących wyżej. Gdy ruszyła w górę, granitowe stopnie echami odbijały jej kroki. Podczas wspinaczki wodziła palcami po ścianach, wywołując kolejne wspomnienia. Jako dziecko często się tu bawiła. W końcu dotarła do komnat Eneasa, które zapamiętała bardzo dobrze. Na balkonie stryj miał gargulce. Kamienne figury były дарami samego Arkusa z Nar, wyrzeźbionymi przez wielkiego artystę Daraga. Nina wkroczyła do korytarza i parsnęła śmiechem. Stryj nie cierpiał tych rzeźb.

Krak wczepił się pazurami w jej opończę. Zdradzał oznaki niepokoju - co było zrozumiałe w trupiarni na dole. Tu jednak, w komnatach Eneasa trupów nie było.

Nie było też porozbijanych okien. Podczas rabunku wieży drzwi powywalano kopniakami, miejsce było też obrabowane ze wszystkiego, co cenniejsze. Ninie jednak wydało się, że większość mieszkańców pobiegła na dół, by bronić wejścia, gdzie wszystkich spotkała śmierć.

Dziewczyna w milczeniu szła korytarzem, przyglądając się wypalonym świecznikom i wąskim oknom. Za rogiem nieopodal regału wypełnionego wiekowymi księgami była sypialnia Eneasa. Skręciła za róg i stanęła przed regałem. Patrząc na bezładnie zgromadzone książki, niemal wybuchła płaczem. Drzwi do sypialni stały otworem. Na progu leżały rozmaite przedmioty, wywleczone ze środka przez ludzi Gratha, którzy szukali ostatnich pozostałych przy życiu obrońców wieży. Nina podeszła bliżej, bojąc się tego, co mogła zobaczyć wewnątrz.

Duch Eneasa nie wyszedł jej na powitanie. W sypialni zobaczyła tylko kolejne obrazy spustoszenia - przewrócone łóżko, za którym mogło się ukryć przestraszone dziecko, jakieś papiery, które strącił ze stołu wiatr dmący od otwartych drzwi na balkon, a za balkonem widok białej pustyni Smoczej Paszczy. Nina weszła do komnaty, powstrzymując cisnące się jej do oczu łzy. Dziewczynka, którą była kiedyś, wyrosła na kobietę nie znającą swojego stryja, za którym tęskniła przez wszystkie minione lata.

- Ojczy - wyszeptała. - Bądź przeklęty!

Czegoś takiego mógł dokonać tylko diabeł. Ojciec sprzedał swą duszę za możliwość zemsty. Teraz zaś wróci do Smoczej Paszczy, a spokojne niegdyś miejsce

zamieni się w piekło rządzone żelazną pięścią przez tyrana Biagia. I w końcu na policzkach Niny pojawiły się łzy. Chciałaby zniechęcić ojca, ale nie mogła się na to zdobyć. Chciała uratować stryja, ale to się jej nie udało. Pokonana przez okoliczności opadła bezsilnie na kolana w rozrzucone podmuchami wiatru papierzyska, i ukryła twarz w dłoniach.

Pogrążona w rozpacz nie wiedziała nawet, jak długo płakała. Czas pełznął powoli, albo i płynął wstecz. Kiedy otworzyła oczy, łzy przestały z nich płynąć.

Powiedziała sobie, że płacze nadaremnie. Łzy nie przywrócą życia martwym. Miała już wstać, kiedy jej spojrzenie padło na skrawek papieru, który przyłgnął do podeszwy jej buta. Podniosła go i natychmiast rozpoznała pismo ojca.

Drogi ojcze.

Błagam o pomoc. Czekam na zewnątrz zamku przy głównej drodze. Twój brat mnie ściga. Wiem już, kim jestem. Przybądź, proszę.

Nina.

Potrząsnęła głową i mocno zacisnęła usta z obrzydzenia, jakiego doznała ujrzawszy ten dowód ojcowskiej zdrady. Cofnęła się pamięcią do tamtej nocy, odległej już o kilka tygodni, kiedy ojciec zostawił ją samą, by załatwić brudne porachunki ze swoim bratem. Nina aż do dnia dzisiejszego zastanawiała się, jak ojcu udało się wyciągnąć brata z Szarej Wieży.

Teraz już wiedziała.

- Ojcze! - jęknęła, tracąc panowanie nad sobą. - Ojcze!

Nagle zadygotała z morderczego gniewu. Ojciec ją wykorzystał, uczynił z niej nieświadome narzędzie do zabójstwa brata, na którym kiedyś jej zależało. I...

Serce Niny zamarło, kiedy dziewczyna dostrzegła jeszcze jedną możliwość.

- O, Boże! Nie! - jęknęła. To nie mogło być prawdą! Przeczytała liścik jeszcze raz, potem drugi i trzeci, aż powoli w jej umyśle ukształtował się nowy obraz.

„Ojcze?”

- Kim więc jestem? - jęknęła pogrążona w rozpacz. - Kim jestem?

- Dom! - wypalił Krak. Ptaszysko zaczęło niecierpliwie podskakiwać na jej ramieniu. - Dom! Dom!

Nina pokazała mu papier.

- Wiedziałaś o tym, obrzydliwa bestio! Kraku, kim jestem?

Ptak spojrzał jej prosto w oczy.

- Dom! Dom!

- Nie zamierzam wracać! Z tego, co mi wiadomo, mój dom jest tutaj!

Krak zaskrzeczał i wbił szpony w jej ramię, przeszywając opończę i skórę.

- Dom! - powtórzył, a potem kiwnął dziobem w stronę okna.

- Anioł!

- Nie! - wykrzyknęła Nina, potrząsając głową. - Nie wracam, Kraku.

Ptak znów zaskrzeczał gniewnie, a potem sfrunął z jej ramienia. Zatrzymał się przed otwartym oknem, jakby chciał jej zagrozić ucieczką.

- A leć sobie, jak chcesz! - rzuciła Nina z goryczą w głosie. Ja zostaję.

Krak mrugnął do niej, jakby ze smutkiem, a potem ku jej zaskoczeniu rozpostarł skrzydła i śmignął przez okno, zostawiając ją samą. Patrzyła za nim, czując, że ogarnia ją poczucie bezradności i samotności.

Enli. Czy był jej ojcem? Nie wiedziała tego i nie była pewna. Przyszła do Szarej Wieży w poszukiwaniu odpowiedzi, a zyskała w zamian tysiące nowych pytań.

- Nino?

Dziewczyna otworzyła oczy. Grath zawołał ponownie, a gdy nie odpowiedziała, wetknął głowę przez drzwi.

- Co, u licha, zajmuje ci tak wiele czasu? - zapytał gniewnie.

- Chcę się już stąd wynieść.

- Ja zostaję, Grath - odpowiedziała. - Ty możesz iść. Grath parsknął śmiechem.

- Dość już żartów. Ruszajmy, zgoda?

Nina spojrzała na niego gniewnie.

- Powiedziałam, że zostaję, ty bydlaku. Tu jest moje miejsce. Nie zdołasz mnie stąd zabrać wbrew mojej woli.

- Ależ zdołam, zdołam - warknął najemnik. Zrobił krok w jej stronę. - Przestań się zachowywać jak idiotka. Twój ojciec nie życzyłby sobie, żebyś tu zostawała.

- Mój ojciec? - zaśmiała się Nina z goryczą. - Powiedz temu szaleńcowi, że moja stopa nigdy już nie postanie w Czerwonej Wieży. Jeżeli zechce mnie zobaczyć, może tu przyjść... i niech spróbuje ruszyć mnie stąd siłą.

- Ty idiotko... - Grath umilkł nagle i rozejrzył się po komnacie. - Gdzieś podziła tego ptaka?

- Precz!

- Gdzie ten ptak, przeklęta dziewko?!

- Odleciał - odparła Nina. - Wygląda na to, że jesteście zdani na samych siebie.

Jak ci się to podoba, Grath?

Grath skoczył ku niej i chwycił ją za nadgarstki, a potem potrząsnął.

- Głupia! Dlaczego pozwoliłaś mu odlecieć?

Nina wyrwała się i odepchnęła go.

- Nie waż się mnie tknąć! - syknęła. - Nigdy więcej! Przysięgam, że jeżeli zrobisz to jeszcze raz, każę diukowi Enli wyciąć ci twoje robaczywe serce. A teraz precz! Zostaw mnie samą.

- Mam się wynosić? - warknął Grath. - A jak ty to sobie wyobrażasz? Przez ciebie wszyscy zginiemy, kretynko! Te kruki porozdzierają nas na strzępy!

- Nie zrobią niczego podobnego - zapewniła go Nina, choć w gruncie rzeczy było jej wszystko jedno, co się stanie z najemnikami. - Sam widziałeś, jak były spokojne. Nie tkną żadnego z was. Bez Eneasa są bezradne i nie wiedzą, co mają robić.

- Ale ten kruk...

- Odleciał - ucięła Nina. Odwróciła się ku balkonowi i zapatrzyła w pustkę. - Stało się i już się nie odstanie. Ale poradzicie sobie bez niego. Wystarczy, że ich nie będziecie irytowali. Jedźcie spokojnie, a one zostawią was w spokoju.

Grath zwlekał z odejściem, bo nie był pewien, czy Nina ma rację, a myśl o tysiącach kruków dziobiących jego wątrobę napawała go strachem. Zdawał sobie sprawę z faktu, że jeżeli ptaki okażą wrogość, mieczem niewiele przeciwko nim zwojuje. Nina zaś nie wiedziała, czy ptaki okażą wrogość, czy nie.

- Powiem twemu ojcu, gdzie jesteś - odparł wreszcie najemnik. I dodał z drwinąw głósie: - Bądź pewna, że się tu zjawi, by wywlec cię stąd siłą.

- Niech próbuje - odpowiedziała Nina.

Usłyszawszy kroki opuszczającego komnatę Gratha, wyszła na balkon i zerknęła z góry na wszechobecne kruki. Ciekawa była, co też się stanie z Grathem i jego ludźmi.

Wychodzącego z komnaty Gratha dławiła wściekłość, ale gdy pomyślał o

perspektywie samotnej przejażdżki wśród kruków, poczuł obawę. Na zaspokojenie kaprysu rozpuszczonej smarkuli stracili cały dzień, a teraz jeszcze będzie to musiał jakoś wyjaśnić jej ojcu. Poprzysiągł sobie w duchu, że nie da się staremu oszukać. Jeżeli Enli spróbuje odwlec zapłatę, żywcem wyrwie mu serce.

- Suka! - splunął, schodząc po schodach. Zapalczywa jak jej ojciec. A niech tu sobie zostanie i zgnije z tymi trupami.

Dotarł do przedsionka, gdzie zatrzymał się na chwilę, rozważając swoje położenie.

Nerwowo podrapał się po brodzie. Odruchowo sięgnął po miecz i wyciągnął go na poły z pochwy. Co robić? Broń mogła spłoszyć te cholerne ptaki. Niemądrze byłoby je denerwować.

Grath puścił miecz i pozwolił mu powoli wsunąć się z powrotem w pochwę.

- Przekleństwo! - warknął, nie bardzo wiedząc, co począć. Bestie dały mu raz wolny przejazd, kiedy zdobywał zamek, ale wtedy sprawy wyglądały inaczej. Teraz był sam przeciwko tysiącom ptaków. Zastanawiał się też, jak sobie radzą jego ludzie w lesie.

- Nie pobijesz mnie, smarkulo! - Syknął groźnie, podchodząc do drzwi i otwierając je bardzo powoli. Natychmiast poczuł na twarzy ostre smagnięcia wiatru. Oblizął wargi i ostrożnie wyrzwał na zewnątrz. Kruki siedziały tam, gdzie widział je niedawno, na płotach i gałęziach drzew. Po drugiej stronie dziedzińca widział zaniepokojone twarze swoich ludzi.

Postąpił naprzód, ostrożnie unikając nadeptnięcia na leżącego na progu trupa, a potem skinieniem dłoni dał znak swoim, że żyje i ma się dobrze. Towarzysze odpowiedzieli takimi samymi machnięciami, dając znaki, że chcieliby się stąd jak najszybciej wynieść.

Grath zaczerpnął tchu, by się uspokoić. Kruki łypały czarnymi guzikami oczu, patrząc obojętnie i spokojnie. Grath poczuł się pewniej i ruszył pomiędzy ptactwo.

Czarna fala rozstąpiła się przed nim, dając mu przejście.

- I co, nie jesteście już takie straszne? - szepnął, zwracając się do ptaków. - Czarne dranie!

Kruk przed nim nastroszył tylko pióra. Grath nagle zapragnął wymierzyć ptakowi kopniaka. Wszystkie były obrzydliwymi i irytującymi stworami, produktem chorego

umysłu.

Grath nie zastanawiał się wcale nad powodami, które kazały Enliemu pragnąć śmierci brata.

Żeby powołać do życia takie koszmary, Eneas tak naprawdę musiał być chory. Idąc ku swoim, najemnik badał wzrokiem dziedziniec. Ptaków było mnóstwo, ale teraz nie wydawały mu się już groźne. Zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście były niebezpieczne, czy może po prostu Eneas celowo i z rozmysłem rozpuszczał pogłoski o ich żarłoczności, by siać postrach wśród poddanych.

W połowie drogi spostrzegł kruka, który oskubywał palec martwego żołnierza. Trup leżał z odrzuconą na bok ręką, a ptak usadowił się na jego dłoni i dziobał pierścień z palca nieboraka. Ogromny, połyskujący w słońcu rubin przykuł uwagę najemnika. Kruk próbował ściągnąć pierścień z martwego palca. Oskubał już prawie ciało, obnażył kość, a teraz dziobał niecierpliwie, za wszelką cenę pragnąc zabrać błyskotkę. Grath powoli podszedł do ptaka.

Przypomnił sobie słowa ojca, który opowiadał mu w dzieciństwie, jak to kruki i wrony przepadają za świecidełkami i często zabierają je do swoich gniazd. Grath nie wiedział, dlaczego tak się działo, ale na tym dziedzińcu nie było nic bardziej lśniącego od tego pierścienia. Niewątpliwie był też wart fortunę.

Ostrożnie, by nie zdradzić się przedwcześnie chrupnięciem śniegu pod butem, Grath podkraść się do trupa i kruka dziobiącego uparcie palec nieboszczyka.

Wstrzymawszy oddech, pochylił się nad ptakiem i nakrył go swoim cieniem. Ptak uparcie go ignorował, niestrudzenie próbując złamać kość palca - co było oczywiście dla jego dzioba niemożliwe.

Grath zamachał rękoma w nadziei, że odstraszy uparciucha, który odleci.

- A kysz! - syknął. - Uciekaj, precz!

Kruk spojrzał zdziwiony i jakby nieco poirytowany. W oczach ptaka niewątpliwie malowała się inteligencja. Jego spojrzenie rozjuszyło Gratha, który machnął teraz bardziej zdecydowanie i gwałtownie.

- Zmiataj! - warknął. - Precz, głupie ptaszysko, precz!

W końcu stracił cierpliwość i odsunął ptaka butem. Ptak dziobnął go w stopę, a gdy Grath nachylił się, by zdjąć nieboszczykowi pierścień z palca, uderzył go dziobem w

dłoń.

Grath bez namysłu trzepnął ptaka w łeb i odrzucił. Uwolnił pierścień i podniósł go, by podziwiać jego blask w promieniach słońca.

- Mój Boże! - powiedział, obracając łup w palcach i zachwycając się lśnieniem każdej fasety. - Piękny...

I nagle tuż przed oczami wybuchło mu coś gwałtownego i opierzonego. Grath wrzasnął dziko przeszyty okropnym bólem. Kruk uderzył go dziko, wbijając szpony w jego nos i policzki, i rozdzierając skórę. Grath zamachał rozpaczliwie ramionami, usiłując strącić ptaka, ale wskórał tylko tyle, że czarne szpony wbiły się jeszcze głębiej w jego policzki. W końcu obiema dłońmi zdołał strącić napastnika z twarzy, choć pazury kruka rozdarły mu przy tym nos.

- Skurwysyn! - wrzasnął wściekle.

Z nosa trysnęła mu struga krwi. Kruk wyrwał mu się, zawrócił i zaatakował ponownie.

Grath podniósł ręce, zasłonił twarz i rzucił się na oślep do ucieczki pomiędzy kruki, które nagle podniosły dziką wrzawę.

W następnej sekundzie były już na nim.

Tysiące rozjuszonych ptaszysk wbiło w niego swe szpony, ciągnąc go w tył, choć rzucił się gwałtownie w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Słyszał trzask rozdzieranej odzieży i widział rozglądających się przerażonych podwładnych, których również opadły wściekle bestie. Zaraz potem otuliła go fala lśniącej czerni, która kęs po kęsie zaczęła mu odrywać ciało od kości.

Ogarnięta zgrozą Nina patrzyła z balkonu, jak kruki rzucają się na Gratha i jego ludzi.

Pod niebo wzbily się zgrzytliwe wrzaski ptactwa i trzepot skrzydeł. Nad wszystkim górowały okropne krzyki Gratha, pokrytego setkami oszalałych napastników. Przerażone konie stawały dęba, zrzucając ludzi na ziemię. Najemnicy też zaczęli wrzeszczeć ze zgrozy.

Nina patrzyła na to wszystko, nie wierząc własnym oczom, zaraz jednak się opamiętała i skoczyła do środka, zamykając za sobą drzwi.

Potem rzuciła się schodami w dół i zaczęła zatrzaskiwać każdą napotkaną

okiennicę.

Dwadzieścia dwa WYTWÓRCA ZABAWEK

Ulica Wysoka była jedną z najczęściej odwiedzanych i najbardziej ruchliwych miejskich alei. Szeroka, zabudowana wysokimi budynkami, znajdowała się w najlepszej dzielnicy starego miasta, blisko dworów najmożniejszych lordów i naprzeciwko katedry, która leżała po drugiej stronie rzeki. Podczas letnich wieczorów, kiedy słońce rzucało na miasto długie cienie, na ulicy Wysokiej mrowili się kupcy i przekupnie, wrzaskliwi handlarze niewolników zachwalający swój żywy towar, wędrowni myśliwi objuczeni przytroczonym do pasów ptactwem, żebracy, złodzieje, dziwki, rajfurki i - co najbardziej zaskakujące - handlarze zabawkami. Ta część Nar opływała w pieniądze, zdobyte podczas tysięcznych łupieskich kampanii, a bogaci mieszkańcy miasta uwielbiali psuć swe pociechy, kupując im zmyślne zabawki. Nareńskie damy spacerowały po ulicy Wysokiej, ciągnąc za sobą swoje aroganckie, rozpuszczone dzieciaki i od niechcienia rozglądały się po sklepowych wystawach.

Często też zaglądały do ciastkarni, która stała w środkowej części ulicy Wysokiej, nieopodal kantoru wymiany monet. Zdarzało się, że odwiedzał ją nawet sam arcybiskup, który był wielkim miłośnikiem słodczy. Ulatujące z ciastkami aromaty były jedną z atrakcji ulicy Wysokiej, które wszyscy witali chętnie jako miłą odmianę po smrodach i wyziewach warsztatów i zbrojowni. Dzieci przychodziły tu pogapić się na wystawione w oknach cudne pyszności w nadziei, że wyproszą jakąś słodycz od właściciela albo jego żony, a kiedy odchodziły z brzuskami wypchanymi świeżymi wypiekami, zawsze zaglądały do innej atrakcji ruchliwej ulicy - niezwyklego sklepu z zabawkami Kobziarza.

Sklep z zabawkami był drugą wielkich atrakcji ulicy Wysokiej. Rezydował tu od ponad czterdziestu lat i niewielu mieszkańców Czarnego Grodu mogło się pochwalić pamięcią czasów, kiedy Kobziarza tu nie było. Choć dawno już dorosli, wszyscy pamiętali niezwykle zabawki z warsztatów Kobziarza - lalkę, którą ciągaliby za sobą, aż się zupełnie zniszczyła, lub mechaniczną łódkę śmigającą rażno po wodzie, gdy się ją nakręciło. Zabawki wyrabiane przez Kobziarza z typową dla Narenów pomysłowością były czymś wyjątkowym, wartym spaceru i kupna. Kobziarz był sławny w całym Imperium - prawdziwy mistrz lalkarza, który uczył się u rzemieślników z Vosk, a potem

przybył na południe i założył warsztat w stolicy. W Czarnym Grodzie obdarzano go uwielbieniem, a jego sklep - niepozornie wyglądająca pracownia wciśnięta pomiędzy kuźnię i pracownię odlewacza świec - najczęściej pełen był dzieci i dorosłych, którzy niejednokrotnie ze skrywanym poczuciem winy sami bawili się jego wyrobami. Największe tłumy gapiów przyciągało jednak okno wystawowe pracowni.

Zestawione z wysokich szklanych prostokątów okno pokazywało najlepsze z dzieł Kobziarza. Było to widowisko z możliwością bezpłatnego oglądania go z ulicy.

Kobziarz ustawił tu maleńkie żołnierzyki ze srebrnymi ogniomiotami i odlanymi ze spiżu działami.

Obok nich można było podziwiać lalki z bujnymi włosami odziane w kosztowne suknie i obute w maleńkie trzewiczki, tak drobne, że patrzącemu nie chciało się wierzyć, że wykonała je ludzka ręka. Wypchane zwierzęta obleczone w prawdziwe skóry czaiły się obok maleńkich skrzypeczek z polerowanego drewna, nad nimi zaś przemykały maszyny latające z płótna, które unosiły się w powietrzu zawieszane na niewidocznych nitkach. W pełnych wody basenach pływały modele wielkich okrętów, a pozamykane w butelkach stateczki intrygowały widzów pytaniami, jak też je zbudowano. Był tam też model trzystopowego elfa grającego na kobzie, którego ruchome palce z mechaniczną precyzją biegały po instrumencie, wydającym nieustannie powtarzaną melodię. Elf nazywał się Darwin, a imię to znane było każdemu dziecku w mieście. Darwin ze swoją kobzą był symbolem sklepu i pracowni zabawkarskiej Kobziarza, i taką samą stołeczną osobliwością, jak Czarny Pałac czy Katedra Męczenników.

Każdego ranka, gdy Kobziarz otwierał swój sklep, Darwin grał melodię powitalną - długą i skomplikowaną frazę, którą elf opanował po roku starań i wysiłków ze strony mistrza. Jak wszystkie dzieła Kobziarza, Darwin zdumiał i oszołomił mieszczuchów - co nie należało do łatwych czynności w mieście będącym kolebką pracowni wojennych Bovadina.

Ale choć Kobziarz znany był ze swoich mechanicznych cudów, dziewczynki z Nar przyciągała do jego sklepu inna z umiejętności mistrza. Był on bowiem niewątpliwie najwybitniejszym w Imperium wytwórcą domów dla lalek. Mógł zbudować dosłownie każdy dom, niezależnie od tego, jak był skomplikowany, duży czy mały, i uradować najbardziej rozpieszczoną nareńską dziewczynkę. Jego repliki Czarnego Pałacu sławne

były wszędzie, a biegłości mistrza w oddawaniu najdrobniejszych szczegółów nie mógł dorównać żaden inny rzemieślnik czy mechanik. Dumny ze swoich umiejętności w budowaniu domów dla lalek Kobziarz zawsze umieszczał kilka z nich w oknie wystawowym. Był pomiędzy nimi niezwykle dom z tuzinem facjatek i o dachu pokrytym tysiącem drobniutkich drewnianych gontów, z których każdy został starannie wycięty z klonowej deszczułki i pomalowany na ceglastą czerwień. Dom miał trzy piętra, wewnątrz zawieszona na złotych zawiasach drzwi otwierały się i zamykały, a oszklone okienka wychodziły na balkony. Dom nazwano Belinda, na cześć dawno zmarłej żony Kobziarza. Przyciągał nieodparcie wzrok widzów, jak zresztą wszystko inne na sklepowej wystawie. Kobziarz doskonale o tym wiedział i był bardzo dumny ze swoich dzieł. Powiadał, że nie buduje zabawek, tylko tworzy uśmiechy.

Obecnie zbliżał się do sześćdziesiątki. Choć bolały go powykęcane artretyzmem ręce, gdy zbierało się na deszcz, wciąż wstawał wczesnym rankiem i przesiadywał w swoim warsztacie do późnego wieczora. Naprawdę nazywał się Redric Bobs, ale niewielu ludzi zwracało się do niego po nazwisku. W młodości, zanim odkrył swe zamiłowanie do wytwarzania zabawek, kochał muzykę i zawsze znajdowano go z fletem przy ustach.

Choć był muzykiem nie spełnionym, przylgnęło do niego muzyczne przewisko, a Redric Bobs nigdy nie porzucił swych muzycznych zamiłowań. Wciąż jeszcze grywał na flecie, choć bardzo rzadko i nigdy dla popisu. Niegdyś grał dla swojej żony, Belindy, ona jednak leżała teraz w grobie. Kobziarz żył samotnie.

Nie miał dzieci, ani rodziny godnej tego miana, ponieważ porzucił swoich dawno temu, kiedy ruszył do Czarnego Grodu, by zająć się nową sztuką. Jego żona, Belinda, umarła na złośliwy nowotwór piętnaście lat temu, nie pozostawiając potomstwa. Pochował razem z nią marzenia o własnej rodzinie. Belinda darzyła męża głęboką miłością i była z nim szczęśliwa, nawet gdy opróżnił dom, by zbudować warsztat zabawkarski i gdy tworzył w nim zabawki, niecierpliwie czekając na przyjście na świat dzieci. Przez wiele lat czekali na dziecko, modląc się do Boga, by pobłogosławił ich związek potomstwem, On jednak postanowił odmówić im tego daru. Po wielu latach bezowocnych prób poszli w końcu do sierocińca, pewni, że kapłani nie odmówią dziecka tak kochającej się parze. Ale tak jak odmówił im Bóg na Niebiosach, tak odmówili im

jego ziemscy słudzy.

- Jesteście za biedni - usłyszeli.

Było to przed wielu laty, zanim Kobziarz został uznanym mistrzem zabawkarskiego fachu. Później, kiedy już mieli pieniądze pozwalające im na zapewnienie dziecku dobrobytu, kapłani zatrzasnęli przed nimi drzwi z innego powodu.

- Jesteście za starzy - rzekli.

Odmowa złamała serce Belindzie Bobs. Serce Redrica stwardniało niemal na kamień.

W rok później Belinda zachorowała. Dla obojga małżonków zaczęło się dziesięć lat piekielnych mąk, podczas których choroba zjadała ją żywcem. To dlatego Redric rzadko się uśmiechał, dlatego zamykał się do późnych godzin w swoim warsztacie, kryjąc się nawet przed oczami dzieci. Dlatego każdy wieczór poświęcał na ciężką pracę.

Siedząc teraz w pracowni na tyłach sklepu, Redric Bobs zręcznie manipulował umieszczoną końcu igły kropelką kleju, osadzając ją na maleńkim drewnianym pręcie w drewnianej wieży. Miniaturowa belka była jedną z tysiąca jej podobnych, częścią krzyżowych złącz tworzących szkielet ogromnego modelu. Katedra Męczenników stanowiła nie lada wyzwanie dla mistrza zabawek, bo przy budowie jej modelu musiał rozwiązać wiele problemów, z których wcale nie najmniejszym była konstrukcja wysokiej wieży z miedzi i żelaza. Model musiał być wierny, mocny i zbudowany dokładnie według skali - i choć Bobs nie miał mechanicznego wykształcenia, doskonale potrafił się wczuć w nastroje i myśli ludzi, którzy wznosili tę budowlę przed wielu laty. Pewną dłonią Redric opuścił pręt na miejsce i delikatnie go nacisnął. Klej wypełnił złącze, a jego nadmiar Redric usunął trzymaną w drugiej dłoni szmatką. Potem zadowolony odstąpił o krok, by lepiej przyjrzeć się swemu dziełu.

Wieża była już niemal ukończona. Jeszcze tydzień pracy i cała budowla będzie gotowa. Wtedy zacznie pracę nad nawą. Skrzywił się lekko, nie był bowiem pewien, czy zdoła dotrzymać terminu, który wyznaczył mu hrabia. Praca taka jak ta wymagała czasu i cierpliwości, Biagio zaś nie chciał mu dać ani jednego, ani drugiego. Co gorsza, święto Eestrii było odległe zaledwie o kilka tygodni. Kobziarz złożył dłonie i przyjrzał się starannie budowanemu modelowi. Był piękny i wydawało się, że zbrodnią będzie go zniszczyć.

- Już prawie czas, najdroższa Belindo - wyszeptał. Miał pewność, że małżonka wciąż jest przy nim, ponieważ na łożu śmierci obiecała, że go nie opuści.

Przed nim leżały wszystkie potrzebne materiały i narzędzia. Wielkie bloki drewna, małe metalowe zaciski i bolce, żyłki złotego drutu i motki nici, płytki kolorowego szkła i setki pojemniczków z farbami - wszystko stało na pokrytej kurzem drewnianych opiłków podłodze. Na wbitych w ściany hakach wisały rozmaite narzędzia - niektóre wielkie jak jego ramię, inne tak małe, że trudno je było dostrzec. W swej pracy nad modelami często potrzebował miniaturowych narzędzi, które trzymał w skrzyni na stole i strzegł ich zazdrośnie, bo przybyły tu z nim jeszcze z Vosk przed dziesiątkami lat. Miał wkrętaki, małe młoteczki, szczypce i kleszcze, oraz ostre igły, którymi mógł wiercić niemal niewykrywalne dziurki. Były drobniutkimi kawałkami żelaza, Kobziarz jednak bardzo je sobie cenił. Nadawały jego życiu sens i cel. A dzieło, nad którym pracował obecnie, stanowiące największe wyzwanie jego życia, miało go okryć wieczną sławą.

„Albo niesławą” - pomyślał Redric Bobs, marszcząc brwi. Tak naprawdę nie był jeszcze tego pewien.

W warsztacie było zimno. Kobziarz czuł, że drżą mu palce, buntując się przeciwko chładowi. Podszedł do żeliwnego piecyka i wzięwszy z wiadra kilka kostek węgla, włożył je długimi szczypcami do paleniska. Potem zatrzasnął drzwiczki piecyka i przez chwilę ogrzewał palce, trzymając je tuż nad jego powierzchnią. Nadciągała zima, on zaś nigdy nie lubił tej pory roku. Opisywany przez setki bajarzy Czarny Gród, z jego wieżami i pałacami zwabił go z przeciwległej strony kontynentu. Było to ponad czterdzieści pięć lat temu. Kiedy tu przybył, zobaczył tkwiący na wysokich fundamentach Czarny Pałac, wabiący podróżnych z odległości dziesiątków mil. Widok ten na zawsze zmienił jego duszę, podobnie jak widok innych stołecznych cudów. Nic jednak nie przewyższało pięknem Katedry Męczenników.

Choć Czarny Pałac wzniesiono wyżej i bardziej wystawnie, katedra była prawdziwym klejnotem miasta, jedyną budowlą, której widok wciąż jeszcze mógł wycisnąć łzy z oczu starego już człowieka. Podczas wielu lat usiłował oddać w miniaturze piękno tej budowli, nigdy mu się to jednak nie udawało. Wzniesiono ją według bardzo skomplikowanego i zawilego planu. Czas i nienawiść wyostrzyły w końcu

umiejętności artysty i wreszcie był gotów do zbudowania swego majstersztyku. Rozgrzewał palce i patrzył na swoje dzieło, lekko się uśmiechając.

Gdzieś w głębi zabrzączał dzwonek. Odjął dłonie od piecyka, zastanawiając się, kogo też licha niesie o tak późnej porze. Powoli przeszedł przez pracownię i stanął na progu sklepu, gdzie trzymając się cienia, zerknął ku wejściu. Na szklane drzwi padał cień czyjejś sylwetki, niewysokiej i mogącej należeć tylko do dziecka.

„Mały żebrak” - pomyślał. Zawsze go irytowali swoimi prośbami, by pozwolił im pobawić się cudeńkami widocznymi w oknie wystawowym. Ruszył ku drzwiom, gdy usłyszał rzenie konia. Ten dźwięk mocno go zaskoczył. Dzwonek u drzwi odezwał się ponownie, gdy stojący za nimi osobnik szarpnął niecierpliwie za łańcuch. Zerkając ponad postacią Darvina i innych zabawek, zobaczył na ulicy wielki, drewniany wóz, o który stało opartych czterech ludzi, czekających, by im otworzył drzwi. Malec u drzwi raz jeszcze szarpnął łańcuszek dzwonka, a potem zaczął łomotać pięściami w drzwi.

- Kobziarzu! - rozległ się nie znany rzemieślnikowi głos. - Otwieraj!

Głos był przenikliwy i wysoki, jak dziecięcy, ale silniejszy. Kobziarz przez chwilę zastanawiał się, co robić. Spodziewał się agentów Biagia, nie sądził jednak że przybędą o tej porze i w takiej liczbie. Poczł strach i zaczęły drżeć mu dłonie.

- Idę, idę! - zawołał, podchodząc do drzwi. Szybko odsunął rygle i otworzył.

Do wnętrza sklepu wpadł zimny podmuch nocnej bryzy. Stojący na progu, odziany w czerń malec spojrzał swoimi niesamowitymi oczami na lalkarza. Rysy jego twarzy wskazywały na dojrzały wiek, ale wzrostem przypominał karła. Nie powitał gospodarza uśmiechem, tylko wbił w niego baczne spojrzenie hipnotycznie niebieskich oczu.

- Minister Bovadin! Czy to ty, panie?

- Otwórz drzwi, Bobs - rzekł sztywno karzeł. - Mam coś dla ciebie.

Kobziarz otworzył drzwi i wytknął głowę, by zobaczyć, jaki to też prezent mają nocni goście. Na wozie spoczywała wielka, drewniana skrzynia. Opierający się o wóz ludzie popatrzyli na niego obojętnie, a z ich twarzy niczego nie można było wyczytać.

Zobaczywszy rozmiary skrzyni, Kobziarz wydał mimowolne stęknienie.

- Czy to jest to, o czym myślę? - spytał z niedowierzaniem. Karzeł kiwnął głową.

- Nie inaczej.

- Całe? Znaczący... takie wielkie?

Nareński minister wszech nauk precyzyjnie przycisnął się obok nóg mistrza zabawek i wszedł do sklepu.

- Nie martw się. Większa część to podpórki, trzymające wszystko razem. Samo urządzenie nie jest większe ode mnie. - Bovadin podejrzliwie wodził spojrzeniem swoich niesamowitych oczu po wnętrzu sklepu. - Musimy szybko złożyć wszystko tutaj, w środku.

Gdzie to umieścimy?

- W moim warsztacie - odpowiedział Kobziarz. - Na tyłach. Pomożesz mi to rozpakować?

- Oczywiście. Nie mogę przecież zostawić takiej pracy na twojej głowie, prawda?

Minister przeszedł w głąb sklepu i na chwilę znikł mu z oczu. Wróciwszy, kiwnął aprobująco głową.

- Wystarczy - mruknął, a potem wyszedł przed sklep i dał znak tragarzom.

Wspięli się na wóz i razem chwycili za rogi skrzyni. Kiedy zdejmowali ją z wozu, Bovadin otworzył jak najszerzej drzwi. A potem zaklął szpetnie, kiedy się przekonał, że wejście jest za wąskie.

- Kiepska sprawa - zwrócił się do mistrza zabawek. - Nie zmieści się w tych drzwiach.

- Na tyłach są szersze, podwójne - oznajmił mu rzemieślnik. - Zanieście to naokoło. Ja tymczasem otworzę tamto wejście.

Bovadin zgrzytnął zębami i wrócił do wozu, rozkazując swoim pomocnikom, by zaczęli wyładunek skrzyni. Redric Bobs przeszedł na tyły sklepu i otworzył rygle bliźniaczych metalowych drzwi. Bardzo często dostawał ładunki, które były zbyt duże, by precyzyjnie je przez drzwi wejściowe, lepiej zresztą było, by tę osobliwą skrzynię wniesiono do jego warsztatu przez zaułek. Wkrótce pojawił się tam Bovadin na czele swoich ludzi. Rośli tragarze z przesadnym stękanem wniesli nieporęczną skrzynię przez otwarte drzwi. Kobziarz skierował spoconych pacholków do swojego warsztatu, gdzie Bovadin rozsiadł się już na roboczym stole, krzyżując pod sobą nogi. Gdy jego ludzie wniesli skrzynię, karzeł z przejęcia klasnął w dłoń.

- Ostrożnie! - powiedział. - O tak, właśnie tutaj...

Skrzynia spoczęła na podłodze. Bovadin zeskoczył ze stołu i sięgnął po zwisający ze ściany łom. Narzędzie wisiało tuż poza zasięgiem pulchnych palcy karła. Kobziarz uniósł oczy ku niebu, a potem zdjął łom z haka i podał go niziolkowi. Bovadin rzucił łom jednemu ze swoich pomocników.

- Otwórz! - polecił.

Tragarz wcisnął płaski pazur łomu pod pokrywę i mocno naparł z góry. Gwoździe poddały się powoli, wysuwając się ze skrzypieniem z drewna. Drugi z pomocników zabrał się do pokrywy z przeciwnej strony skrzyni, a potem obaj odstawili pokrywę pod ścianę.

Następnie wszyscy zabrali się do ścian bocznych, otwierając skrzynię jak pomarańczę. Redric wyciągał szyję, usiłując zobaczyć coś spoza drewnianych wsporników. Dostrzegł tylko srebrzysty błysk i węzową płataninę rurek, trzymanyh razem linkami i skózanymi paskami.

Cokolwiek to było, Bovadin nie zamierzał podejmować żadnego ryzyka podczas transportu.

Opuściwszy boki skrzyni, pomocnicy odstępili na bok, pozwalając Kobziarzowi podziwiać dzieło Bovadina.

Bovadin zaśmiał się rad z siebie.

- Dobrze się przyjrzyj, mistrzu zabawek. Niczego podobnego już nigdy nie zobaczysz.

- Podeszedł do skrzyni i delikatnie, z uczuciem pogładził rurki. - Piękne, prawda?

Kobziarz nie był pewien, co odpowiedzieć. Urządzenie z pewnością było zdumiewające. Ale piękne? Tchnęło tajemnicą, jak od jakiegoś nieznanego morskiego potwora. Nie wiedział, czemu to miałyby służyć, nie mógł więc odpowiedzieć.

- Powiedziałbym, że jest interesujące - przyznał. - Ale nie wiem niczego ponad to.

- Dlatego, że go nie rozumiesz - mruknął Bovadin. Znów pogłaskał dziwny aparat.

- Nikt tego nie rozumie. Tylko ja.

- Racz mnie więc oświecić - odrzekł kąśliwie lalkarz. - Mam to umieścić w moim modelu, prawda?

- Owszem - odpowiedział minister. Skrzywił się na swoich ludzi i jednym gestem

odesłał ich na zewnątrz. Kiedy był już pewien, że nie mogą go usłyszeć, podjął wątek. - Wysłałem ci plany. Widzę, że zbudowałeś odpowiednio duży model.

- Jeszcze nie jest gotowy - stwierdził Kobziarz. - Ale owszem, powinno być w nim dość miejsca.

- Sam się zająłem mechanizmem zegarowym. - Wskazał niewielką dźwignię na szczycie metalowego cylindra. - Anioł nad wejściem musi mieć połączenie z tą dźwignią.

Powinien mieć możliwość ruchu, ale tylko w poziomie. - Minister Bovadin poruszył dźwignią z boku na bok, demonstrując potrzeby. Kobziarz zbladł. - Aparat nie jest uzbrojony - wyjaśnił Bovadin, uśmiechając się dziwnie. - Ale po uzbrojeniu, opóźnienie wyniesie tylko godzinę, potem aparat się uruchomi. Możesz skonstruować anioła, prawda?

Rodric kiwnął głową.

- Już go zrobiłem.

Podszedł do warsztatu i otworzył ukrytą w stole szufladę. Wewnątrz leżała nie pomalowana jeszcze figurka anioła, który trzymał przy ustach trąbkę. Figurka była doskonała w każdym szczególe, identyczna z prawdziwą, umieszczoną nad wejściem do katedry.

Kobziarz ostrożnie podał ją Bovadinowi, który wzięwszy ją w swoje drobne dłonie, aż westchnął z radości.

- Uroczy - zachwycił się. - Rodricu Bobs, nie lada z ciebie mistrz. - Drobnymi palcami muskał pieszczotliwie twarz i skrzydła anioła. - Te szczegóły...

Zdumiewające. Jak prawdziwy - Nie mogło być inaczej - odparł Kobziarz z fałszywą skromnością. - Miał być identyczny z prawdziwym. To właśnie robię, ministrze. Oblekam marzenia w ciało.

Bovadin spojrzał z ironią w oczach.

- Nie uważasz, że to dość osobliwy sposób określenia tego, co obaj zamierzamy zrobić?

- Ministrze, wolno ci myśleć, co chcesz. Dla mnie to spełnienie marzenia.

Istotnie, dla Redrica Bobsa spełniało się hołubione od wielu lat marzenie. Całą duszę i wszystkie umiejętności włożył w wykonanie modelu katedry, który uważał za swoje najpiękniejsze dzieło. Nie chodziło mu o zwykłą zemstę. Czyn ten rozpatrywał

raczej w kategoriach naprawy wyrządzonych krzywd. Ostrożnie podszedł do tkwiącego jeszcze w skrzyni aparatu i przyjrzał się mechanizmowi. Pomysł był zdumiewający, a wszystko przewyższało precyzją najlepsze z jego zabawek.

- Powiedz mi coś więcej o tym urządzeniu - poprosił. - Jak to ma działać?

- Nie trzeba ci tego wiedzieć - nadął się Bovadin. - Skup się raczej na stojącym przed tobą zadaniu.

Kobziarz skrzywił się mocno urażony.

- Może i nie jestem uczonym, ale z pewnością zrozumieć zasadę działania.

- W to nie wątpię. Ale nie chcę, byś ją rozumiał. Dziewczynka przesuwająca anioła.

Zaczyna się odliczanie. To wszystko, co musisz wiedzieć.

- Do czego są te przewody? - naciskał mistrz zabawek. - Popłynię nimi paliwo, prawda? Dzięki nim będzie chłodniejsze? Paliwo jest pod ciśnieniem. Dlatego te przewody wykonano z metalu. I dlatego zaplanowałeś wszystko na zimę. - Uśmiechnął się do Bovadina.

- Zgadłem, prawda?

- Muszę przyznać, że jesteś bystrzejszy, niż na to wyglądasz. Ale rób, co do ciebie należy, mistrzu zabawek. I nie zadawaj zbyt wielu pytań.

- Ja tylko usiłuję złożyć jedno z drugim - odciął Kobziarz. - To mój dom i moja posiadłość. Chcę wiedzieć, co tu wnieśliście.

Naukowiec podszedł do Kobziarza i obdarzył go gniewnym spojrzeniem.

- Jeżeli mamy pracować razem, będziesz robił, co każę, i nie zadawał żadnych pytań, rozumiano?

- Nie - odpowiedział, krzyżując ramiona na piersi. - Nie tak sobie wyobrażam wspólną pracę. Chcę, byś się podzielił ze mną wiedzą o tym aparacie. Chcę wiedzieć, jak działa.

Bovadin parsknął śmiechem.

- I co jeszcze? Widzę, że coś knujesz, mistrzu zabawek. Czy uważasz, że nie otrzymasz dostatecznej rekompensaty? Pozwól, że rozwieję twoje obawy. Każdy, kto pomaga Biagowi, zostanie sownie wynagrodzony.

- Co takiego? - zachnął się Kobziarz. Odczuł obrazę tak, jakby mu chluśnięto w twarz zimną wodą. - Uważasz, niziolku, że robię to dla nagrody? - Wymierzył palec

prosto w nos Bovadina. - Mylisz się! Nic mnie nie obchodzi Biagio ani jego Czarne Odrodzenie. Mam swoje powody, dla których się z wami związałem.

Karzeł wzruszył ramionami, jakby wybuch Kobziarza był mu zupełnie obojętny.

- Tak czy inaczej, nagroda cię nie minie. Pod warunkiem, że będziesz robić to, co ci każe. Ustawię zegarowy mechanizm opóźnienia, by uruchomił wszystko w godzinę po przesunięciu dźwigni. Reszta zależy od ciebie.

- Wszystko pójdzie jak z płatka - zapewnił go Rodric. - Ale co z dziewczynką?

Jeszcze nie przyszła po swój dom lalek.

- Przyjdzie podczas święta rozpoczynającego Kren. Zobaczysz w oknie jeden z twoich domów dla lalek i poprosi biskupa, by jej kupił któryś z nich, jako prezent urodzinowy. Herrith się zgodzi. A ty mu powiesz, że zbudujesz odpowiedni.

Kobziarz kiwnął głową.

- Rozumiem... Trzeba więc, by trafiła tu w odpowiednim czasie.

- Miej wiarę - rzekł mu Bovadin. Odwrócił się od mistrza zabawek i ruszył do wyjścia z warsztatu. - Wszystko idzie zgodnie z planem Biagia. Już niedługo dana ci będzie satysfakcja, której pragniesz.

Czterej ludzie, którzy przybyli z Bovadinem, wyprężyli się, kiedy ich pan pojawił się przed sklepem. Bovadin odprawił ich skinieniem dłoni. Zanim jednak sam znikł w mroku, dał Kobziarzowi ostatnie ponaglenie.

- Pospiesz się ze swoją pracą, mistrzu. Do Eestrii zostało niewiele czasu.

- Zdążę - zapewnił go Bobs.

- Wrócę przedtem i pomogę wstawić urządzenie na miejsce. Nie rób tego beze mnie.

- Co takiego? Nie wyjeżdżasz z miasta? - spytał zaskoczony Rodric. Podobnie jak Biagio, Bovadin był obecnie poszukiwanym banitą.

- Mam przyjaciół, którzy mnie ukryją do Eestrii - oznajmił karzeł. - Nikt się nie dowie o tym, że jestem w Nar. Ty też nikomu nie powiesz, prawda, Kobziarzu?

Nie czekając na odpowiedź, poczłapał w mrok. Kobziarz patrzył przez chwilę, jak cała grupa wchodzi na wóz, który następnie zniknął w cieniach zalegających ulicę Wysoką. Przez dłuższą chwilę Redric Bobs stał na progu i dygotał. Nie lubił Bovadina. Nie lubił też Biagia.

Obaj jednak dali mu sposobność do czegoś, czego pragnął od dawna, a czego sam nie umiał dokonać - wzięcia odwetu na Kościele. Kobziarz nie dbał o ideologię, nie był też buntownikiem. Nie interesowało go też, kto zasiądzie na Żelaznym Tronie.

Przyłączył się do krucjaty Biagia wyłącznie z żądzy zemsty.

Dwadzieścia trzy LISS O STU WYSPACH

Richius Vantran stał w bocianim gnieździe „Księcia Liss” i podziwiał rozciągający się stąd widok. Zacisnąwszy dłonie na relingu, poddawał twarz pieszczocie wiatru i promieni słońca. Podmuchy ostrej bryzy gwizdały w olinowaniu i szarpały kołnierzem jego marynarskiej kurtki. Długie włosy Richiusa powiewały na wietrze niczym złota bandera.

Przed młodzieńcem leżały niezmierzone połacie oceanu pod równie bezkresnym nieboskłonem, a w pewnej odległości od okrętu igrali w wodzie członkowie stada wielorybów, których grzbiety połyskiwały w słońcu, a pióropusze ich oddechów rażno wzbijały się w górę. Richius patrzył na to wszystko oczarowanym wzrokiem i po raz pierwszy od wyjazdu z Falindaru zapomniał o dręczącym go poczuciu winy. Poddając się ogarniającej go fali entuzjazmu, puścił reling, uniósł ramiona w górę i wydał dziki okrzyk radości.

Czuł się lekko, bezcielesnie i wydało mu się, że lada moment uniesie go jak piórko pierwszy lepszy podmuch wiatru. Nie czuł prawie platformy pod stopami. Zaśmiał się radośnie, zapominając o życiu i rodzinie, które zostawił za sobą.

- Spokojnie, młodzieńcze! - zawołał ku niemu Marus z pokładu. Pierwszy oficer, który namówił go na wspinaczkę do bocianiego gniazda, patrzył teraz na podopiecznego z niepokojem w oczach. - Weź w dłonie reling, tak jak cię uczyłem!

Richius nie przejął się krzykami Lisseńczyka. Zamknął oczy i poddał twarz promieniom słońca, wyobrażając sobie jednocześnie, że jest ptakiem. Czym było życie na morzu? Zastanawiał się teraz, dlaczego tak się bał długiej podróży i dlaczego zmarnotrawił tyle czasu w ciasnocie kabiny? Zew morza poczuł dopiero po dwóch tygodniach podróży z Lucel - Loru.

- Marusie! - zawołał z góry. - Spójrz na mnie! Jestem wielkim komandorem Prakną!

- No dobra, dość już tego! - odrzyknął z dołu Marus. Richius usłyszał w jego głosie początki irytacji i ponownie ujął w dłonie liny relingu. Wiedział, że Marus stojący trzydzieści stóp niżej na pokładzie patrzy na niego gniewnym spojrzeniem.

- Nie martw się! - zawołał. - Nic mi nie będzie! Wszystko to jest takie niezwykle!

Marus parsknął śmiechem. Podczas podróży on i Richius dzielili kajutę. Często próbował wyciągnąć Vantrana na pokład. Zapewniał młodzika, że wizyta w bocianim gnieździe na zawsze zmieni jego stosunek do morza. Teraz Richius odpowiedział mu szerokim uśmiechem. Na górze było bardzo zimno, on jednak prawie tego nie odczuwał.

Słyszał tylko ryk wiatru i widział przed sobą ogrom morskich przestworów.

Opanowanie wspinaczki po linach i przyzwyczajenie ciała do chwiejącego się okrętu zajęło mu sporo czasu i raz czy dwa chciał już nawet zrezygnować. Nagrodą za wytrwałość było wspaniałe poczucie swobody. W zasięgu wzroku nigdzie nie było widać żadnego lądu, ani żadnych ptaków. Na całym świecie istnieli tylko oni i stado potężnych wielorybów, a choć lisseński okręt flagowy nie należał do małych, na przestworach oceanu był tylko drobną, nic nie znaczącą łupinką. Jego maszty kołysały się zgodnie z oddechem morza, żagle wzbierały wiatrem, a bocianie gniazdo zataczało wielkie łuki, sprawiając Richiusowi niebywałą uciechę.

Tuż nad głową młodzieńca buńczucznie trzepotała na wietrze wężowa bandera Liss.

Nadęte poły ciężkiej oponczy unosiły się tuż za nim niczym skrzydła. Richius obciągnął płaszcz i pozapinał metalowe guziki. Z nie ogoloną twarzą i w niebieskim płaszczu wyglądał niemal jak jeden z członków załogi „Księcia”. Poczucie jedności z załogą też zresztą było dla niego źródłem radości. Na Liss czekała praca. Nie będzie wyrzutkiem ani samotnikiem.

Fala uderzyła z boku i „Księżę” przechylił się na sterburtę. Richius mocniej ujął reling i patrzył, jak cały świat przechyla się na bok. Zaśmiał się, każdą cząstką ciała chłonąc radość istnienia. Czuł się jak wypuszczony na wolność dziki żreback. Podobnie jak w domu, w Aramoorze, gdzie ważny był każdy drobiazg, cieszył się chwilą, wiedząc, że to uczucie nie będzie trwało wiecznie.

- Richiusie! - zawołał z dołu Marus. - Już dość! Złaź!

Vantran pomachał mu ręką, na znak, że zrozumiał i ostrożnie zaczął opuszczać się na dół, uważnie wymacując stopami szczeble linowej drabinki. Wiatr smagał mu twarz, trzymał się więc mocno, ale bez lęku. Zerknął na leżący daleko w dole pokład. Marus powtarzał machinalnie jego ruchy, jak ojciec przejęty wspinaczką syna.

- Trzymam się! - zapewnił go Richius.

Wokół Marusa zebrała się gromadka majtków, którzy kwitowali wyczyn Aramoorczyka radosnymi okrzykami. Gdy wreszcie zeskoczył na pokład, powitali go śmiechem i oklaskami. Marus odetchnął ciężko i uderzył Richiusa w ramię.

- Dobrze, chłopcze! - oznajmił radośnie. - Straciłeś morskie dziewictwo!

Zebrani wokół nich marynarze parsknęli śmiechem i zaczęli częstować Richiusa dobrodusznymi kuksańcami. Tomroy i Pips, dwaj młodszy oficerowie, z którymi Richius dzielił kajutę, zgięli się przed nim w żartobliwych ukłonach. Byli porucznikami, znacznie młodszymi od Marusa. Richius podejrzewał, że nie są starsi od niego samego. Byli jednak dobrymi kompanami i z chęcią dzielili z Vantranem niewielką przestrzeń kajuty.

Radzi mu byli tak samo jak Marus i tak samo jak on zasypywali go nieustannie gradem pytań o Nar i Lucel - Lor, a także o bitwy, które stoczył w imieniu Imperium i przeciwko niemu. Richius z przyjemnością odpowiadał, był to bowiem jedyny sposób, w jaki mógł im się odwdziżyć.

- Chciałbym, żeby zobaczył to komandor - stwierdził Tomroy. - Byłby zachwycony.

- Dostałby ataku serca i padłby trupem - sprzeciwił się Pips. - Mamy w końcu na niego uważać.

- Owszem - odezwał się Marus. - Prakna by się wściekł. Ale to zrobiło chłopakowi dobrze, to widać. - Żeglarz wyciągnął dłoń i uszczypnął Richiusa w policzek. - Popatrzcie na tę gębę. Miła i opalona, jak wszystkie nasze pyski!

Załoga znów ryknęła śmiechem. Richius obciągnął wydęty wiatrem płaszcz, a potem wsunął dłonie w kieszenie, by je choć trochę ogrzać. Płaszcz dał mu Marus, sięgając do własnej skrzyni. W tym klimacie bez płaszcza Richius zamarzlby na kość. Płynęli na południe, ale zima w Liss była prawdziwą zimą.

- To było cudowne - odezwał się Aramoorczyk, potrząsając głową z niedowierzaniem. - Mogłem wzrokiem sięgnąć na wiele mil! Jakbym był w nareńskiej wieży, choć bez ich dolegliwości - widoku nie kryły dymy, ani budowle. Boże, czułem się jakbym był mewą!

- A owszem - odezwał się Marus z przekąsem. - Przez chwilę myślałem, że się zerwiesz do lotu. Richiusie, nigdy więcej nie odrywaj dłoni od relingu. To było bardzo,

bardzo głupie!

- Daj mu spokój. - Tomroy stanął w obronie świeżo upieczonego marynarza. - Pierwszy raz był na górze. Richiusie, może powierzmy ci służbę w bocianim gnieździe na stałe? Co ty na to?

- Powiem nie! - odparł Aramooreczyk. - Za zimno tam, cholera!

- Ale nie będziesz się już krył w kabinie, prawda? - spytał Pips.

- Wy macie morze we krwi, a ja nie - odpowiedział Vantran. - Ale przyznam, że to było wspaniałe uczucie.

Oficerowie, dumni z tego, że udało im się namówić lądowego szczura do wycieczki na maszty, spojrzeli na siebie, jakby chcieli sobie rzec: „A nie mówiłem?” Richius powiedział prawdę - mieli morze we krwi. Przekonywał się o tym z każdym dniem. Lisseńczycy kochali morze tak samo jak Aramooreczycy kochali konie, albo wędrówki po sosnowych lasach.

Żeglarze darzyli morze szacunkiem, morze zaś odpowiadało im tym samym i w jakiś szczególny, magiczny sposób poddawało się ich woli. Byli członkami dziwnej, wojowniczej rasy, ale w największym bitewnym zapale nie zapominali o tęsknocie za domami.

- Mam zamiar zejść pod pokład i trochę się ogrzać - oznajmił Richius. Rozległ się chóralny jęk zawodu, który Vantran skwitował stanowczym: - Przestańcie kwękać.

Chcę się napić czegoś ciepłego i basta. Czy ktoś raczy mi towarzyszyć?

- A jakże, chłopcze, pójdę z tobą - oznajmił Marus. - Inni niech wracają do zajęć.

Tomroy, sprawdź wytyki. Trzeci wygląda mi luźno.

- Aye, sir - odpowiedział służbiście Tomroy. Wraz z towarzyszami rzucili się do swoich zajęć z szybkością wynikającą z długiej wprawy. Marus objął Vantrana ramieniem i skierował go do trapu.

- Zejdźmy do kambuza, zanim twój nos zamarznie na sople - powiedział, ruszając przodem.

Richius zszedł za nim po trapie i pod pokład, a potem jeszcze niżej, aż dotarli na poziom, gdzie na rufie okrętu umieszczono kambuz. Było to pomieszczenie, do którego wiódł mroczny, długi i wąski korytarz o ścianach trzeszczących od uderzeń fal.

Oświetlały go niewielkie metalowe kaganki, w których płonęła oliwa. Richius

zataczał się lekko, wciąż jeszcze miał bowiem za mało doświadczenia, by stąpać pewnie. Zdążył też uderzyć kilkakrotnie głową o ściany, dorabiając się pięknych siniaków i guzów. Kiedy doszli do kambuza, chwycił za framugę okrągłych drzwi i wciągnął się do środka.

Kambuz świecił pustkami, za co należało podziękować losowi, bo pomieszczenie było bardzo ciasne. Wzdłuż ścian ustawiono spartańskie drewniane ławy, wyświechtane już do gładkości siedzeniami majtków, a większą część pomieszczenia zajmowały stoły o poplamionych i pokierszowanych blatach. W rogu ustawiono niewielki żelazny piecyk na podmurówce, obok którego na hakach powieszono kilka garnków i patelni. W skrzyni obok piecyka można było znaleźć kilka miedzianych nakryć stołowych przeznaczonych do ogólnego użytku. Na piecyku stał unieruchomiony specjalnymi uchwyty parujący kociołek.

Pokrywę kociołka umocowano zatrzaskami z grubego drutu i wywiercono w niej dziury, przez które uchodziła para. Mógł tu przyjść każdy, kto miał ochotę i apetyt, by się poczęstować zupą. Była to jedyna potrawa, jaką majtkowie mogli się opychać do woli, ponieważ chleb i mięso racjonowano. Okrętowy kucharz, Bowen, dbał o to, by kociołek zawsze był pełen. Zupa była cienka i niemal pozbawiona smaku, ale jej zapach i tak oczarował Richiusa. Pogrzebawszy w nakryciach, znalazł dwa talerze i dwie łyżki, a Marus podniósł pokrywę i chochlą napełnił oba naczynia. Potem starannie zamknęli kociołek i usiedli za stołem. Zabrali się do jedzenia. Richius przedtem roztarł dłonie nad parą. Zapach zupy i ciepło opalanego węglami piecyka przywróciły mu chęć do życia. Marus nie czekał na niego, tylko wetknął łyżkę w zupę, wyłowił największy ziemniak i wsadził go sobie w usta.

- Dobrze sobie radziłeś tam na górze - odezwał się po chwili, przełknąwszy porcję. - Jestem z ciebie dumny. Będzie jeszcze z ciebie marynarz, królu.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien - ostrzegł go Richius. - Bawiłem się doskonale, ale żaden ze mnie marynarz.

Marus wzruszył ramionami.

- Nic nie szkodzi. Prakna nie wiezie cię na Liss, byś nam zbudował flotę. Tę już mamy.

Richius spojrział na Marusa, podnosząc łyżkę do ust. Czekał, aż Lisseńczyk

zacznie swoje pytania. Gdy Marusowi udało się przyłapać go gdziekolwiek, gdzie mogli być przez chwilę sami, zaraz zasypywał go pytaniami.

- Aramoor nie ma żadnej floty, prawda? - zaczął pierwszy oficer.

- Żadnej. Nie mamy ani jednego statku czy okrętu. Tak przynajmniej było tam za moich czasów, bo nie mam pojęcia, co wyprawiają teraz Gayle'owie.

- Nie mogę sobie wyobrazić wojny bez okrętów - stwierdził Marus. - Bez naszych szkunerów byłoby już po nas.

- Aramoor w niczym nie przypomina Liss - odparł Richius.

- To ład. Nie ma tam kanałów, przesmyków, zatok... niczego w tym rodzaju. - Odłożywszy łyżkę, postanowił zmienić temat rozmowy.

- Marusie, powiedz mi o waszych kanałach. Czy to prawda, że są wszędzie?

- Wszędzie - odrzekł pierwszy oficer. - Nie ruszamy się nigdzie bez łodzi.

Cały ład jest zabudowany, a budowle są wysokie. Musieliśmy wykorzystać każdy skrawek ziemi, jaki nam dano.

- Zdziwiałące - stwierdził Richius. - Nie za bardzo różnicie się od Nar, prawda?

Lisseńczyk natychmiast się najeżył i sypnął skrami z oczu.

- Bardzo się różnimy.

- Przyjacielu, nie miałem zamiaru cię urazić. To ot, taka sobie, luźna uwaga.

Nie mogę się doczekać widoku Stu Wysp. Nie znam nikogo, kto je oglądał - oprócz was, tu na tym statku. Prakna był pierwszym Lisseńczykiem, którego spotkałem. - Richius oparł się o ścianę, i przez chwilę oceniał nastrój Marusa. - Dziwny z niego człowiek, prawda?

- Kto? Prakna?

- Tak. Zachowuje się z ogromną rezerwą. I ciągle jest bardzo...

- Richius kilka chwil szukał właściwego słowa - ...zamyślony.

- Ma wiele na głowie.

- Wiem. Ale rzadko widuje się go na pokładzie. Boże, w swojej kabinie spędza więcej czasu, niż ja. Co z nim jest, Marusie?

- Królu... - ostrzegł go Marus. - Zadajesz zbyt wiele pytań.

- Ale trafiłem, prawda? - uśmiechnął się Aramooreczyk.

- Może... - Marus wbił wzrok w podłogę. - Prakna jest człowiekiem

skomplikowanym. Widział wiele i wiele dokonał. Nie będę przy zupie dyskutował o moim przełożonym.

- A jednak, znasz go od dawna. To widać. Jesteście przyjaciółmi. Niejedno razem przeszliście podczas wojny i wcześniej. - Richius powoli jadł zupę. - Prakna mi mówił, że jest żonaty.

Marus kiwnął głową.

- A co z jego dziećmi?

Marus zeszywniał.

- A co ma być?

- Prakna mi powiedział, że stracił na wojnie dwóch synów. Czy to prawda?

Marus bardzo wolno opuścił łyżkę, odsunął na bok talerz nie dojedzonej zupy i spojrzał Richiusowi prosto w oczy. Richius zrozumiał, że posunął się za daleko.

- Richiusie, pozwól, że cię ostrzegę. Nigdy więcej nie wypytuj nikogo z załogi o Praknę. Nie pytaj o jego żonę i nigdy, przenigdy nie pytaj o jego synów.

Zrozumiałeś mnie?

- Owszem, zrozumiałem. - Richius też odsunął talerz na bok.

- Ale ta żądza zemsty niszczy komandora i nie pozwala mu jasno myśleć.

Twarz Marusa spochmurniała jeszcze bardziej.

- Królu, Liss ostatnio przeżyło ciężkie czasy. Wiesz o wojnie, ale nie sędzę, byś miał pojęcie, jak bardzo zniszczyła nasze wyspy. Ale przetrwały. Podczas tej wojny zginęło wielu młodych ludzi... takich jak ty. To prawda, Prakna stracił dwóch synów. A ja... - Głos mu się załamał i twardy żeglarz odwrócił twarz. - Ja też straciłem chłopaka. Jedyne go syna.

Proste wyznanie poraziło Richiusa niczym grom. Młody człowiek sięgnął przez stół i ujawszy palce Marusa, ścisnął je lekko, wyrażając swoje współczucie.

- Przykro mi - powiedział przepaszającym tonem. - Głupiec ze mnie, że pytam.

Powinienem wiedzieć...

Marus zakłopotany zbył uwagę machnięciem dłoni.

- Nie - odpowiedział. - Spójrz na mnie, płaczę jak baba! To było dawno temu. I dla mnie i dla Prakny. Ale nie wiem. Być może radzę sobie z tym lepiej, niż komandor. Wieść o śmierci synów niemal go zabiła.

- W to nie wątpię - odpowiedział Richius. Przypomnił sobie swoją pierwszą żonę Sabine i zgrozę, która go ogarnęła, kiedy znalazł jej głowę z szkatułce przyniesionej mu przez Anioła Cienia. Ta jedna chwila rozpałała w jego sercu nienasycony płomień zemsty.

Mężczyzna nie mógł się pogodzić z taką stratą, jeżeli był człowiekiem godnym tego miana i miał serce. - Nie powinienem pytać o coś takiego - rzekł wreszcie. - Nie wiedziałem. Gdybym wiedział... cóż...

- Byli świetnymi chłopakami - wspominał Marus. - Służyli razem na „Ognistym Ptaku”. Zaciągnęli się, gdy tylko osiągnęli odpowiedni wiek. Prakna nie chciał, by obaj służyli na jednym okręcie. No i wyszło na to, że miał rację. „Ognisty Ptak” poszedł na dno w kilka minut.

- Jak to się stało? - spytał Richius.

- „Nieustraszony” - odpowiedział Marus. - Znasz ten okręt?

- Dobry Boże, tak. To okręt Nicabara. - Richius potrząsnął głową. - Powiem ci, że mam złe wspomnienia związane z tym człowiekiem. Spotkałem go kiedyś w Czarnym Grodzie.

Marus zmrużył oczy.

- Naprawdę? Jaki on jest?

- Wielki jak dom i twardy jak skała. Do końca życia nie zapomnę jego twarzy, ani tego, co mi powiedział.

- Dlaczego? Co takiego powiedział?

Richius przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy dobrze robi, opowiadając Lisseńczykowi o spotkaniu z Nicabarem.

- Marusie, nie powinienem ci tego mówić. Wprawi cię to tylko we wściekłość.

- Powiedz - nalegał pierwszy oficer. - Chcę wiedzieć.

- A więc, dobrze. To było przed dwoma laty, gdy Nar wciąż jeszcze atakowało Liss, usiłując was skłonić do poddania się. Nicabar dostał pod komendę kilka nowych okrętów, które zaplanowano w warsztatach wojennych. Nie mógł się wprost doczekać chwili, w której wypróbuje je przeciwko Liss. Był wtedy chyba wściekły na cały świat, dlatego, że nie zdołał was pobić.

- I miał cholerną rację - mruknął Marus. - Próbował przez dziesięć lat, ale my się

nigdy nie poddaliśmy. Co wtedy ci powiedział?

- Powiedział, że płynie na Liss po raz ostatni i że dokończy dzieła.

- I co jeszcze?

- Że każde lisseńskie dziecko wrzuci do tych waszych kanałów, rekinom na pożarcie. Że zamierza zabarwić wszystkie kanały czerwienią waszej krwi. A marynarzy potopi jak kocięta. Myślał, że to bardzo zabawne...

W kambuzie zapadła martwa cisza. Richius zmusił się, by podnieść wzrok na Marusa.

Twarz starego żeglarza powlekła się bladością - opadły go naraz wszystkie tragiczne wspomnienia. Obaj znów trafili na tę samą ścieżkę zemsty i krwi. Życie ich obu zniszczyło Imperium, i jedynym ich obecnym pragnieniem była zemsta. Richius pomyślał nagle, że Dyana głęboko się myliła. On był jednym z tych ludzi, a ich sprawa była jego sprawą.

- Admirał Danar Nicabar to potwór, nikt nie próbuje temu zaprzeczyć - stwierdził wreszcie Marus. - Dlatego Prakna się zmienił. Dlatego musimy walczyć przeciwko Nar.

Richius uśmiechnął się ponuro.

- Mocni z was ludzie, jeżeli wytrzymaliście takie prześladowania. Nie lada to dla mnie zaszczyt, że zaproponowaliście mi dowodzenie armią. Zrobię, co tylko się da, macie na to moje słowo.

- Wiem, że zrobisz, królu - odparł Marus. - A teraz jedz. Za kilka dni będziemy na Liss. Czeka cię tam robota, do której potrzebne będą wszystkie siły.

Skończyli rozmowę i zajęli się jedzeniem. W kajucie zapadło milczenie, przerywane jedynie siorbaniem. Łykając zupę, Richius rozmyślał o Liss i jego dzielnych mieszkańcach - plemieniu, które odważyło się przeciwstawić Narenom i zacząć walkę o wolność.

Postanowił, że pomoże tym ludziom, choćby wyspy miały się zapaść pod wodę. Wszystkie swe umiejętności i wiedzę poświęci na to, by wyszkolić armię, a któregoś dnia wróci zwycięski do Falindaru i udowodni Dyanie, że nie popełnił błędu, ufając Praknie.

Załoga „Księcia” dostrzegła pierwsze lisseńskie wyspy rankiem, kiedy niebo powlekały srebrne chmury, a na pokład posypały się pierwsze płatki śniegu. Za widokiem ojczystych brzegów wszyscy tęsknili od dawna - co teraz ujawniali i chłopcy okrętowi, i

starzy marynarze. Porzuciwszy zajęcia, zbiegli się do burty i w milczeniu wbili spojrzenia we wspaniałe, wynurzające się z mgły Sto Wysp. Komandor Prakna stał na forkasztele w powiewającym na wietrze płaszczu, a na jego twarzy gościł rzadki uśmiech melancholii. Z lewej strony komandora stał Marus, a z prawej Richius, który aż się wychylił przez reling, pragnąc lepiej się przyjrzeć upragnionemu celowi podróży.

Richius, patrząc na wylaniające się z mgły wybrzeża, zrozumiał, że rzeczywiście jest tu przynajmniej sto wysp. Niektóre z nich były maleńkie, inne zaś wytrzymałyby porównanie z Aramoorem, porozdzielane krętymi kanałami, po których uwijały się łodzie żaglowe i poruszane wiosłami. W głębi dostrzegał wysokie wieże i jakieś spiralne budowle z kamienia i spizu, a także drewniane mosty i wysokie akwedukty. Liss było białe, obsypane śniegiem, ale też rozległe i w znacznym stopniu zrujnowane. Richius widział na brzegach uszkodzone przystanie. Sterczące ku niebu kły ruin były pozostałością po dziesięcioletnim oblężeniu wysp. Na każdy nietknięty budynek przypadał drugi, zniszczony, któremu brakło dachu albo straszyl rozbitymi ścianami. Z głębin morskich wystawał wrak gigantycznego okrętu ze złamanym kilem, niczym tonący człowiek wyciągający dramatycznie ku niebu palce poczerniałych masztów.

Leżące na stu wyspach Liss mogło jednak ofiarować przybyszowi coś więcej, niż tylko widoki zrujnowanych brzegów. W głębi, na horyzoncie Richius widział zarysy miast - wielkie kamienne łuki nietkniętych budowli, wznoszonych przez wspaniałych artystów. Liss wyglądało na krainę starszą od Nar, starszą nawet od samej ludzkości, która nawołuje do powrotu swoich synów wizjami i wspomnieniami przepięknych miejsc i zjawisk.

Komandor Prakna splótł dłonie i złożył na nich głowę w milczącej modlitwie, do której przyłączyli się Marus i pozostali członkowie załogi. Przez chwilę na pokładzie „Księcia” słychać było tylko łopot żagli i szum wiatru. Na znak szacunku dla ich modłów Richius opuścił wzrok ku deskom pokładu. Nie był człowiekiem religijnym, a przeżycia ostatnich lat pozbawiły go resztek złudzeń, ale szanował tych ludzi, zachował więc ciszę.

Kiedy Prakna skończył medytacje, zwrócił się do Richiusa i wskazał dłonią ojczyznę.

- Oto jest Liss - powiedział cicho. - Mój dom. A teraz i twój, Vantranie.

Przynajmniej na jakiś czas.

- Pięknie tu - przyznał Richius. - Nigdy bym się nie spodziewał, że te wyspy są tak wielkie.

- Och, widzisz tylko część z nich. Jesteśmy jeszcze za daleko. Przyjacielu, okaz cierpliwość. Już niedługo.

Przywoławszy na pomoc całą cierpliwość, na jaką mógł się zdobyć, Richius czekał, aż „Książę” i jego stęskniona załoga przetną dzielący ich od brzegów przestwór wody.

Sygnaliści, którzy wspięli się na wanty, zaczęli wywijać swoimi kolorowymi chorągiewkami, a na ich wezwanie odpowiedziały małe okręciki i łodzie, których cała armada wyroiła się spomiędzy wysp jak wyczarowana machnięciem magicznej różdżki. Na brzegach zbierały się grupki dzieci, witających „Księcia” i jego załogę radosnym machaniem dłoni i wrzawą.

Prakna złożył ramiona na piersiach i poddał się urokowi chwili, kwitując okrzyki dzieci melancholijnym uśmiechem. Richius uważnie słuchał Marusa, który postanowił pokazać mu co większe wyspiarskie osobliwości. Pierwszy oficer był podniecony, uradowany powrotem do domu, i zasypywał Vantrana gradem informacji o faktach z lisseńskiej historii, tradycji i zwyczajów. Kiedy podpłynęli bliżej i „Książę” zwołał, Richius mógł podziwiać niegdysiejszy majestat szpecących port ruin i wraku okrętu, który leżał na mulistym dnie.

Odległe wieże wabiły go tysiącem kolorów, o których nawet nie wiedział, że istnieją, promieniując tęczami blasków ze zwierciadlanych okiennych szyb. Wzdłuż wybrzeża wzniesiono wspaniałe przystanie z ogromnymi pomostami, choć nigdzie nie było widać cumujących przy nich szkunerów, co wzbudziło jego podejrzliwość. Nad głowami powracających krążyły wielkie morskie ptaki o niezwyklej rozpiętości skrzydeł, mające wspaniałe, pomarańczowe pióropusze. Promienie wznoszącego się z morza za wyspami słońca sprawiały, że wyspy Liss płonęły feerią ognia, a sypiący śnieg otulał świat dziewczęcą bielą.

- Widzisz kety? - spytał Marus. - Będą naszą eskortą.

- Kety? - spytał Richius. Widział łodzie, ale nie pojmował, o co pyta pierwszy.

- Tak je nazywają z powodu takielunku. Ket ma jeden maszt, ustawiony w przedniej części kadłuba. Kety to środek transportu pomiędzy wyspami. Co prawda

nieczęsto korzystają z żagli, a to dlatego, że wewnętrzne kanały rzadko kiedy mają dobry wiatr.

Richius podziwiał flotyllę małych łodzi, które otoczyły „Księcia”. Siedzący w nich żeglarze powitali flagowy okręt kocią muzyką rogów sygnałowych i dzwonów. Liss rosło w oczach, gdy zbliżali się do portu, najwidoczniej zbudowanego do przyjmowania większych jednostek. Prakna wydał oficerom polecenie, by się przygotowali do rzucenia cum.

Wszyscy zajęli się swoimi zadaniami i skracając żagle, kierowali okręt ku przystani.

Kety omijały „Księcia” szerokim łukiem. Na brzegu zebrała się już gromadka kobiet i dzieci, które wymieniając radosne uwagi z rozpromienionymi twarzami, szykowały się do powitania ojców i mężów. W tłumie prawie nie było widać mężczyzn. Richius zmrużył oczy, usiłując ocenić liczebność przyszłych rekrutów - ale dostrzegł głównie starców.

„Wojna - pomyślał z goryczą. - Czymże się w końcu stanie to miejsce?”

I cóż będzie warta armia starców? Przeniósł wzrok na otaczające ich ruiny, poniszczone pochylnie i walące się ściany budynków. Przypomniał sobie, że Nar przez dziesięć lat zasypywało te porty gradami pocisków, usiłując złamać i upokorzyć wyspiarzy.

Patrząc na szczupłe dzieci i smukłe, drobnokościste kobiety, zastanawiał się, jak mogły tyle wytrzymać. Przed wieloma laty jego ojciec poddał Aramoor Arkusowi, bojąc się tej próby.

Od tamtych czasów Aramoor rozkwitł, nie zaznawszy wojennych niedoli i utrapień.

Ale nie był wolny. Nie władali już nim nawet Vantranowie. Pomimo otaczających go zewsząd ruin Richius zrozumiał, że podejmując walkę, Lisseńczycy dokonali lepszego, choć trudniejszego wyboru.

„Księżę” powoli i majestatycznie płynął ku pomostowi, a kety uwijały się obok.

Grupka żeglarzy na pomoście przygotowała cumy, gdy Prakna i Marus kierowali się na pomost. Rozległ się grzechot łańcuchów i skrzyp bloków, a załoga rzuciła się do cum. Ludzie chwycili ciśnięte z brzegu liny i założyli je na krążki. Cał po cał żeglarze

podciągali „Księcia Liss” naprzód, aż w końcu okręt przywarł burtą do nabrzeża i się zatrzymał. Prakna i Marus szerokimi uśmiechami powinszowali sobie udanego cumowania.

- Witaj na Liss, Richiusie z Vantranow - odezwał się komandor. - Wiesz, wszyscy ci ludzie zebrali się, by zobaczyć również ciebie.

Kiedy majtkowie spuścili trap, Prakna sprowadził Marusa i Richiusa na brzeg, prosto w czekającą na nich cizbę gapiów. Richius przez chwilę chybotął się na nogach, usiłując na nowo przypomnieć sobie, jak się stąpa po stałym lądzie. Niewiele brakowało, a by się wywrócił, jednak Marus w porę złapał go za ramię.

- Jeszcze się przyzwyczaisz - szepnął oficer.

Richius nie bardzo był tego pewien. Schodząc na ląd, trzymał się Marusa. I natychmiast został ogarnięty przez dzieciarnię. Złote główki chwiała się na wysokości jego pasa. Wszystkie gapiły się na niego niemiłosiernie, szarpały poły jego płaszcza i łapały go za ręce. Prakna i Marus też zostali otoczeni, ale to Naren zawładnął niepodzielną uwagą tłumu.

Zebrane na przystani kobiety, zbyt dobrze wychowane, by się prostacko tłoczyły, patrzyły z mieszaniną strachu i fascynacji w oczach. Jakaś dziewczynka chwyciła go za palce, ścisnęła i pociągnęła z całej siły, zmuszając go, by się nachylił. Richius przystanął i uśmiechnął się, spojrzawszy na jej uroczą twarzyczkę. Dziewczynka odskoczyła z udanym strachem i parsknęła śmiechem.

- Hej! - pozdrowił ją Richius.

- Ty jesteś Naren - oznajmiła mu z powagą. - Szakal.

- Nie - poprawił ją łagodnie młodzieniec. - Mam na imię Richius. - Wskazał na siebie palcem. - Jestem Richius.

- Szakal! - zawołało jakieś inne dziecko. - Szakal z Nar!

Richius lekko się zirytował.

- Niech warn będzie - warknął. - Szakal. Zwichrzywszy dziewczynce włosy, ruszył dalej, potrząsając głową. Obok niego szedł i śmiał się Marus.

- Lepiej, żebyś się zaczął przyzwyczajać - poradził Vantranowi. - Wszyscy znają cię tu pod takim mianem.

- Doprawdy? A czyjaż to sprawka, jeżeli wolno spytać?

- Och, ludzie po prostu opowiadają sobie rozmaite zasłyszane historie - odparł Marus. - Nikt nie zamierzał cię tu urazić. Triinowie też nazywają cię Kalakiem.

- Owszem, ale niezbyt to pochlebne imię.

Prakna poprowadził ich do innego stateczku, jednej z wszechobecnych na kanałach łodzi wiosłowej, pomalowanej na złoto i zielono i ozdobionej na dziobie figurą dwugłowej ryby. Wystające z obu burt wiosła upodabniały łódź do wielkiej stonogi. Obok niej czekali dwaj odziani po królewsku żeglarze. Na piersiach ich długich kurtek mieli wyszyte to samo niezwykle godło. Gdy Prakna się do nich zbliżył, obaj skłonili się i powitali go uśmiechami.

- Komandorze... - odezwał się jeden z szacunkiem. - Witamy w domu.

- Rad jestem z powrotu - oznajmił Prakna. Nawet w wyświechtanym uniformie budził szacunek. - Proszę o pozwolenie wejścia na pokład.

Żeglarz usunął się na bok.

- Pozwolenia udzielam z przyjemnością, sir.

- Dokąd nas zabierają? - Richius spytał Marusa.

- To przyboczni królowej - wyjaśnił Marus. - Zabiorą nas do pałacu, który wzniesiono na wyspie Haran.

- Do królowej? - zdziwił się Richius, spoglądając na swe brudne odzienie. - Mam się spotkać z królową w tych szmatach?

- Wszyscy mamy tę samą odzież, Richiusie. Rozejrzyj się dookoła. Zapewniam, że królowa nie będzie się czuła dotknięta.

Na zrujnowanym nabrzeżu stwierdzenie to było nawet do przyjęcia, ale Richius mimo to zabrał się do wygładzania fałd zmiętej odzieży. Prakna był wśród załogi znany ze swej małomówności i ani słowem nie zdradził Richiusowi, że czeka go spotkanie z lisseńską władczynią. Vantran sądził, że może trochę odpoczną, a potem rankiem zabiorą się do dzieła.

Ale jego misja najwyraźniej miała dla wyspiarzy większe znaczenie, niż sądził.

Co prawda, miał za sobą audiencję u Arkusa z Nar, ale myśl o spotkaniu władczyni Liss nieco go niepokoiła. W ślad za Prakna i Marusem wsiadł do łodzi, uważając, by się nie poślizgnąć na ośnieżonych deskach pomostu, a potem pomachał na pożegnanie wyspiarzom zebranych na przystani.

Wszyscy wciąż się na niego gapili. Ale odgrywanie roli bohatera nawet mu się spodobało. Pomyślał tylko, że szkoda, iż nie widzą go Dyana ani Shani.

Gdy znaleźli się na pokładzie, mała łódź odbiła od brzegu i wpłynęła w szeroki kanał przecinający wyspę. Po obu jego stronach wznosiły się stare lisseńskie budowle, tak pochylone, że Richius mimowolnie wcisnął głowę w ramiona, obawiając się katastrofy. Nie omieszkął zauważyć niemożliwych do pomylenia z czymkolwiek innym śladów wybuchów ogniowców - te budowle poddane były intensywnemu ostrzałowi. Liczne dziury wypaliły działa nareńskich liniowców. Ulice zasypane były rumowiskami gruzu, a kanały pełne rozmaitego śmiecia. Prakna i Marus rozmawiali z marynarzami, a Richius przeszedł na dziób łodzi, by mieć lepszy widok. Miał przed sobą leniwie się rozwijającą panoramę Liss. Z widocznych w oddali spiralnych wież rozlegało się monotonne porykiwanie alarmowych syren, jednak syjący się do wody śnieg oblekał wszystko inne całunem ciszy.

Wokół wznosiły się opuszczone budynki, ale po kanale krążyły inne łodzie, podobne do tej, która wiozła ich do królowej, przewożące pomiędzy wyspami ludzi i towary. Wśród ruin uwijali się kilkunastoletni chłopcy i dziewczyny, zajęte uprzątnięciem rumowisk. Drużyny sprzątaczy przerywały tylko na chwilę, by ich członkowie mieli czas na przyjrzenie się łodzi i pozdrowienie gości machnięciami rąk.

- Nie wszystko stracone - odezwał się nagle Marus. Podszedł do Richiusa z tyłu i położył mu dłoń na ramieniu. - Nie martw się, idzie ku lepszemu.

- Ile tu zniszczeń... - stwierdził Richius. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Jesteście dzielnym ludem, Marusie, skoro tyle wytrzymaliście.

- Nasze wyspy były takie od zarania dziejów. Nigdy nie oddamy ich obcemu. - Lisseńczyk wskazał na widoczną w głębi archipelagu wysepkę. - Widzisz tamten port? Był tam „Nieustraszony”. Nicabar otworzył ogień, zanim szkunery zdążyły podpłynąć bliżej... Nie dało się go powstrzymać. I wtedy na olbrzyma ruszyło ponad tysiąc mężczyzn i kobiet, w takich jak ta łódeczkach. Bywały chwile, że walka toczyła się na noże. - Twarz Marusa okryła się chmurą. - Było to bardzo krwawe starcie. W pewnym momencie kanały spłynęły czerwienią. Kiedy „Nieustraszony” przerwał ogień, wszystko stało w płomieniach.

Ponad rok zajęło samo uprzątnięcie gruzów.

- A wewnątrz kraju? - spytał Richius. - Bardzo ucierpiało?

- Dzięki Bogu, nie. Kanały są za wąskie, by mogły na nie wpływać liniowce.

Jest tam zresztą cały system śluz i zapór. Nicabar usiłował wysadzać desant, ale oddziały zawsze się gubiły i wycinano je w pień. Nie mamy zbyt licznych szlaków dla ciężkiego sprzętu, więc nareńska taktyka nie sprawdziła się.

- Ale nie zaniechali bombardowań - zauważył Richius. - Zaskakujący upór.

- Trwało to dziesięć lat - uzupełnił Marus. Zamknawszy oczy, rozpamiętywał przez chwilę czas krwawej zawieruchy. - Ale teraz to już przeszłość - odezwał się wreszcie. - Nadszedł czas wystawiania rachunku za krzywdy i zapłaty.

- Powiedz mi coś o wyspie Haran - poprosił Richius. - Co to znaczy? To jakieś lisseńskie słowo?

- Mniej więcej. - Marus wyciągnął dłoń i pokazał figurę zdobiacą dziób łodzi: wspaniałą, dwugłową rybę. - Oto Haran.

- To? Ta ryba?

- Nie jakaś tam sobie zwykła ryba - odparł Marus. - Haran. Bóstwo... albo coś w tym guście. Lisseńczycy wierzyli, że Haranowie byli bogami, ponieważ posiadali wielką mądrość. Kilku z nich wciąż jeszcze żyje, ale zostało ich już niewiele. Wszyscy zamieszkują wody wokół pałacu królowej.

- Wyglądają... zdumiewająco - stwierdził Richius. - Są duzi?

- Czasami. Jednak zwykle nie więksi od człowieka.

- Co takiego? - zachnął się Richius, odstępując od relingu.

- Zobaczysz ich, kiedy znajdziesz się w pałacu. Królowa ma kilku w ogrodowej sadzawce. Jeżeli poprosisz, pewnie ci ich pokaże.

- A sama królowa? Jaka jest?

Twarz Marusa przybrała tajemniczy wyraz.

- Na razie zostawmy to twojej wyobraźni, przyjacielu. Pozwól mi tylko rzec, że królowa Jelena jest kimś niezwykłym. Pewien jestem, że cię zachwyci i oszołomi.

Richius znów odwrócił wzrok i spojrzał na zasnuty śniegiem horyzont.

- Nie wątpię.

Wiosłowa łódź niemal całą następną godzinę płynęła krętym kanałem, poruszana łagodnymi pchnięciami. Szlak nieco się zwęził, w kilku miejscach zaś się rozgałęział, by

połączyć się z innymi, podobnymi kanałami. Wszędzie wokół nich wznosiły się niezwykle lisseńskie budowle. Nad ich głowami rozpięły przęsła swych łuków wielkie mosty, ozdobione starożytnymi rzeźbami. Po mostach przechodzili ludzie, zajęci swoimi codziennymi sprawami. Łódź dość szybko wydostała się poza strefę zniszczeń i dotarła do serca wyspiarskiej krainy, dokąd nie dochodziły nawet dalekosiężne działa nareńskich liniowców. Ruiny ustąpiły miejsca prawdziwym cudom architektury, którymi Richius mógł się wreszcie do woli nacieszyć i które mógł podziwiać. Opadające na brwi i rzęsy płatki śniegu znów przypomniały Aramoor, potem ponownie pomyślał o Dyanie i Shani i o tym, jakby to było cudownie przywieźć je tutaj, aby razem z nim mogły podziwiać te cuda. Może będzie czas na takie przyjemności, kiedy na świecie wreszcie zapanuje pokój.

Prakna i Marus stali na rufie łodzi, obok wiosłarzy, zostawiając dziób Richiusowi.

Aramoorczyk zaczął podejrzewać, że jest to ich sposób na danie mu swobody pozwalającej na szybsze przyzwyczajenie się z otoczeniem i poznanie okolicy. Delikatność gospodarzy bardzo przypadła mu do serca. Podobnie jak przedtem, myśl o powołaniu pod broń armii lisseńskich ochotników wydała mu się niemożliwa do realizacji - ale teraz był w samym sercu Liss.

Wciąż dręczyła go niepewność odpowiedzi, której oczekiwali od niego Marus i Prakna, gdyż sam nie wiedział, co im rzec i czy sprosta zadaniu. Ale czy miał - i czy powinien! - rozczarować ludzi, którzy pozdrawiali go machaniem dłoni z balkonów i rzucaniem mu pod nogi bukietów? Oni wydawali się nie mieć żadnych wątpliwości.

W końcu brzegi kanału rozbiegły się na boki i łódź wpłynęła na rozległe jezioro pełne krystalicznie zielonej wody. Pośrodku jeziora wznosiła się wyspa, samotna i nie połączona z brzegami żadnym mostem. Wyspa miała łagodne, opadające ku wodzie zielonozłote stoki, a w jej głębi widać było faliste wzgórza zwieńczone wysokimi drzewami. Pośrodku wyspy stał samotny pałac z białego marmuru. Nad pałacem wznosiły się trzy strzeliste wieże, z których środkowa była najwyższa. Wokół pałacu wykopano fosę, wypełnioną czystą, rozmigotaną teraz wodą. Richius stał i wyteżał wzrok, usiłując dostrzec jak najwięcej szczegółów. Miejsce było piękne i tchnęło jakąś dziewiczą prostotą. W odróżnieniu od innych lisseńskich budowli ta wydawała się nie tknięta zębem czasu i pogody, bo nawet zima otulała ją tylko łagodnym białym pledem,

nie waząc się wgryzać w mury lodowymi kłami. Na powierzchni otaczającej pałac rzeki igrały promienie słońca, a ożywiały ją stada pływających po niej dostojnie szarych wodnych ptaków. Za rzeką, nieopodal środkowej wieży, widział kaskadę wodospadu, który tryskał z żywej skały i zasilał otaczającą pałac rzekę. Pod wodospadem wzniesiono łuk, rozdzielający wodną kurtynę i tworzący pałacową bramę. Łuk był niewiarygodnie wysoki i patrząc na wznoszące się po obu jego stronach ściany wody, Richius pomyślał, że widzi oto dzieło prawdziwej magii, bo nie znał sposobu tak wysokiego spiętrzania wody.

Patrzył i podziwiał. Widział Nar, jego sięgającą wieżami gwiazd katedrę, złowrogi Czarny Pałac, a ostatnio żył w falindarskiej cytadeli, o której mniemał, że nie ma na świecie równego jej cudu architektury. Żadna z tamtych budowli nie mogła rywalizować z pałacem królowej Jeleny.

Jego niewymuszone piękno nasuwało myśli że twórca tego dziwu urzeczywistnił tylko swój sen. Jeżeli Bóg miał na ziemi jakąś siedzibę, to - być może - tylko ona mogłaby zaćmić urodą oglądany teraz przez niego pałac.

- Gotów jestem to pokochać - oznajmił Richius cicho. Nie znajdował się tak daleko od innych, by nie mogli go usłyszeć, wcale jednak o to nie dbał. Widok pałacu poruszył w jego sercu jakąś głęboko ukrytą strunę tęsknoty za własnym domem i utwierdził w przekonaniu, że za wszelką cenę trzeba się przeciwstawić Nar. Usłyszawszy ostatnie stwierdzenie, Prakna podszedł bliżej i przyłączył się do podziwiającego zdumiewający widok Richiusa.

- Wyspa Haran - oznajmił komandor. - Siedziba królowej.

- Wspaniała - przyznał Richius. - Naprawdę. Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem widziałem coś równie pięknego. A jakim sposobem unosicie tę wodę tak wysoko?

- Podziemne źródła. Budowniczości pałacu chcieli je jakoś wykorzystać, zrobili więc tę wodną bramę. - Komandor westchnął. - Za każdym razem, kiedy widzę ten pałac, jego piękno wzrusza mnie do łez. Dla Lisseńczyków ta wyspa jest symbolem tego, o co walczyliśmy.

To serce naszej ojczyzny.

- Marus niczego mi nie chciał rzec o królowej Jelenie. Może ty mi coś powiesz?

Prakna potrząsnął przecząco głową.

- Mówiono mi kiedyś, że wyspami władał król. Co się z nim stało?

- Król Tyri umarł. Resztę wyjaśnień zostawmy królowej.

- Czego ona chce ode mnie? - naciskał Richius. - Wiesz może?

- Myślę, że wiem - odpowiedział Prakna, ale na tym poprzestał. Podniósł wzrok na srebrne chmury, pozwalając, by płatki śniegu opadały mu na brodę. - To zdumiewająca, nadzwyczajna kobieta. Powinieneś czuć się zaszczycony.

- I jestem - stwierdził Richius. - Chciałbym tylko wiedzieć, czego się spodziewać.

- Królu Vantranie, dość pytań, proszę. Jestem pewien, że nasza królowa ma powody, dla których zapragnęła cię zobaczyć. Po co mamy zgadywać, skoro wkrótce sama ci o nich powie? Rozmawiałem z jej przybocznymi, tu na pokładzie. Zabiorą cię do niej.

Królowa nie życzy sobie, żebym był przy waszym spotkaniu.

- Nie życzy sobie? A to dlaczego?

- Bo taka jest jej królewska zachcianka - odpowiedział komandor. - A teraz dość już pytań. Cieszymy się chwilą. Rano wszystko się zmieni. Obaj zabierzemy się do roboty. Ale ten dzień jest twój. Ta chwila należy do ciebie. Dziś, Richiusie Vantranie, jesteś bohaterem.

Słowa te zabrzmiały tak zdecydowanie i ostatecznie, że Richius dał spokój wypytywaniom. Po kilku minutach niewielka łódź wiosłowa dotarła do celu, a wtedy sterujący nią przybocznicy królowej zajęli się cumami. Marus i Prakna nie ruszyli im z pomocą - zgodnie ze swoją pozycją i rangą stali i patrzyli, jak tamci się trudzą. Kiedy łódź została zabezpieczona, Prakna skinieniem dłoni zaprosił Richiusa, by pierwszy zszedł na ląd.

- Ona chce się zobaczyć z tobą, nie ze mną - stwierdził komandor. - Idź.

Richius na chwilę się zatrzymał.

- A ty?

- Ja się zobaczę z królową później - stwierdził Prakna. - Na razie ma ona sprawę do Szakala z Nar. Nie martw się, ci ludzie cię do niej zaprowadzą. - Komandor mrugnął konspiracyjnie, jakby chciał dodać mu otuchy. - No, dalej, chłopcze. Ona czeka.

- Więc zobaczymy się później. - Po tych słowach Richius zręcznie zeskokczył z

chwiejnego pokładu i stanął na obsypanych śniegiem deskach pomostu. Przed nim wznosił się wspaniały pałac królowej. Richius słyszał huk zdumiewającego wodospadu, na twarzy zaś czuł muśnięcia drobniutkich kropelek mgiełki. Dookoła pałacu stali gwardziści, odziani jak ci, którzy go tu przywieźli. Dwaj z nich podeszli bliżej.

- Królu Vantranie... - powitał go jeden z nich. - Moja pani, królowa Jelena, prosi byś zechciał się z nią zobaczyć. Powiedziano jej już o twoim przybyciu i gotowa jest cię przyjąć. Czy zechcesz łaskawie pójść za nami?

- Prowadźcie - odpowiedział Richius.

Do pałacu wiodła długa aleja z gładkich kamieni połączonych złocistej barwy zaprawą. Nie było tu dzieci, tylko nieliczna grupka młodych ludzi strzegących bezpieczeństwa swej królowej. Żaden z nich nie wyglądał na starszego od Richiusa i widok tylu naraz młodych twarzy sprawił, że sam poczuł się dziwnie staro. Kiedy dotarli do wodnej bramy, Richius zatrzymał się i przez chwilę podziwiał konstrukcję, wsłuchując się w głośny huk spadającej wody. Przewodnicy zatrzymali się obok niego i znieruchomieli, pozwalając mu do woli przyglądać się niezwyklej bramie. Po chwili Richius zaspokoił swą ciekawość i wszyscy ruszyli dalej.

Przedsiónek pałacowy powitał go głęboką ciszą. Choć burzliwy wodospad znajdował się o kilka stóp stąd, grube kamienne ściany tłumiły wszelkie dźwięki. Prostota konstrukcji zewnętrznej znalazła swoje odbicie w dekoracji wnętrza. Ściany były gołe oprócz pięknych kobierców, które zwisały luźno z paszcz dwugłowych złotych haranów - tych samych zdumiewających stworzeń, które zdobiły dziób królewskiej łodzi. Gość przez dłuższą chwilę uważnie się przyglądał kobiercom, spostrzegając dziwne, haftowane na nich obrazy bohatersko unoszących się na falach okrętów i boskich istot łączących w sobie cechy ryb i ludzkie, wylaniających się z morza. Na niektórych kobiercach igrały wśród fal nagie syreny, na innych kroczyli uzbrojeni Narenie o obliczach pełnych nienawiści, wywijający czarnymi toporami i mieczami. Na tych kobiercach odtworzono historię Liss, a były ich tu całe tuziny porozwieszane na białych ścianach; tworzyły galerię zdumiewających portretów.

Richius świsnął z podziwu i jego gwizd przez chwilę krążył echem, odbijając się od żebrowanych łuków sklepienia.

- Zaprowadzimy cię do wodnego ogrodu - oznajmił strażnik. - Tam się spotkasz z

królową Jeleną.

Wodny ogród leżał tuż za salą z kobiercami, na końcu krytego żebrowanym sklepieniem korytarza, który się kończył parą okutych żelazem drzwi. Oba skrzydła stały otworem. Strażnicy zatrzymali się każdy pod jedną ścianą, pozwalając Richiusowi przejść pod portalem. Richius znalazł się na tyłach pałacu, na rozległym placu pełnym wodotrysków, wodospadów i łagodnych pagórków, otoczonym białą kolumnadą. Ogród był pełen krętych strumieni i rzeczulek, kolumny zaś porastał bluszcz, teraz przysypany śniegiem.

Płatki śniegu opadały też na głowy posągów, przedstawiających nagie, młode i figlarnie uśmiechnięte kobiety. W lewej części ogrodu wznosiło się łagodne wzgórze ze schodami z piaskowca, które nikły w gęstwinie krzewów. Najbardziej jednak zdumiewający ze wszystkiego był ogromny szklany zbiornik, wystający ponad poziom jeziora i wypełniony jego wodą, która przelewała się przez krawędzie szkła. Zbiornik miał gigantyczne rozmiary i zdominował cały ogród. Jego wielkość nieodparcie przyciągała Richiusa. Podszedł bliżej.

Strażnicy, którzy zostali przy drzwiach, zamknęli je za nim, Richius jednak zupełnie się tym nie przejął, oczarowany zbiornikiem, jego wielkością i mieszkańcami.

Harany.

Kilkunastu z nich spoglądało na niego z drugiej strony szkła oczami, w których iskrzyły się rozum i inteligencja. Każdy z nich miał dwie węzowe głowy na giętkich, skręconych śrubowo jedna wokół drugiej szyjach, wyrastających z pokrytego łuskami ciała unoszącego się w wodzie. Niektórzy byli mali, niczym płatki. Inni nie ustępowali wielkością rekinom. Jak to miejsce, które nazywały swoim domem, istoty te były boskie i piękne.

Richius przyłożył dłoń do szkła i znieruchomiał. Zobaczywszy ten gest, jeden z haranów podpłynął do szyby i przyłożył do niej usta, jakby chciał zbadać smak ludzkiej dłoni. Druga głowa bacznie obserwowała młodzieńca, wypuszczając z ust banieczki powietrza.

Zachwycony i oszołomiony Richius przyłożył drugą dłoń do szyby, bo oto i druga głowa istoty zaczęła trącać szybę. Inne harany podpłynęły bliżej, by obserwować obcego. Ich ostro zakończone ogony miarowo poruszały się z boku na bok. Wodne istoty wyczuły

jego rozradowanie i najwyraźniej je podzielały, kołysząc głowami i rytmicznie wypuszczając z ust bąbelki powietrza. Na obrazach mogły wydać się komuś demonami, Richius jednak uznał je za podobne bóstwom - tak jak mu to mówił Marus. Nie zastanawiał się już, dlaczego Lisseńczycy oddawali im cześć. Zrozumiał to, obserwując, jak się śmieją i burzą wodę płetwami.

- Tak - rozległ się głos od strony wzgórza. - Są piękne, nieprawdaż?

Zaskoczony Richius oderwał dłonie od szkła i cofnął się od zbiornika. Wszystkie harany spojrzały w lewo. Zwróciwszy wzrok w tę samą stronę, Richius dostrzegł stojącą na szczycie schodów kobietę o prawdziwie królewskiej postawie i urodzie. Jej złote, przetykane pasmami czerwieni i morskiej zieleni włosy opadały niemal do kolan. Miała na sobie jedwabną suknię z trenem, który ciągnął się za nią po ziemi. Niezwykle błękitne oczy iskrzyły się, a jej twarz rozjaśniał uśmiech, który odsłaniał małe alabastrowe ząbki.

Młoda kobieta pomalowała wargi na czerwono, a na policzki położyła delikatną warstwę różu, w uszy zaś wpięła dwa złote kolczyki, które lekko dzwoniły przy każdym ruchu. Na nogach miała pantofle, te jednak zaledwie dotykały śniegu. Stała, nie zwracając uwagi na chłód, choć na jej włosach zaczynały osiadać płatki śniegu.

Richius patrzył i podziwiał.

„Sabrina - pomyśł. - Ona wygląda jak Sabrina...”

- Ty jesteś Szakal z Nar - odezwała się młoda kobieta. Zaczęła schodzić po schodach, nie zostawiając niemal żadnych śladów na śniegu.

- Jestem Richius Vantran - odpowiedział gość. - A ty, kim jesteś, pani?

Na odpowiedź przyszło mu zaczekać do chwili, w której młoda kobieta dotarła do końca schodów.

- Jestem Jelena - odpowiedziała spokojnie. - Królowa Liss.

- Królowa? Ależ to niemożliwe! Królowa nie może być tak...

- Młoda? - domyśliła się Jelena. Podeszła bliżej i obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. - Owszem, jestem młoda. Jestem też królową, Richiusie Vantranie. - Ujęła go za rękę, a potem opadła przed nim na kolana i opuściła wzrok na ziemię, zupełnie nie dbając o to, że jej wspaniała suknia brudzi się mokrą ziemią. - Królu Vantranie, jestem do twoich usług. Całe Liss jest twoje.

- Wstań! - wykrzyknął Richius. - Wstań, proszę, tak się nie godzi! - Spróbował ją

podnieść, ona jednak uparcie trzymała się ziemi.

- Liss należy do ciebie - powtórzyła. - Niewiele możemy ci dać, ale wszystko, co tu widzisz, może być twoje, jeżeli tylko zechcesz. W ten sposób chcemy wyrazić swoją wdzięczność za to, że przybyłeś na nasze wezwanie.

- Ależ wstań, pani. O nic więcej nie proszę.

Nie wstała, ale przynajmniej podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Richiusie Vantranie, Szakalu z Nar, przybyłeś nam pomóc. Racz zrozumieć, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni. Nie odrzucaj tego, co możemy ci ofiarować.

Richius cofnął dłoń, tak łagodnie, jak tylko mógł bez jej wrywania.

- Królowo, komandor Prakna dał mi już wszystko, czego mi trzeba. Nie przypląnąłem tu zresztą kierowany szlachetnymi pobudkami, o czym musisz chyba wiedzieć.

- Szukasz zemsty - odpowiedziała dziewczyna. - Wiem o tobie wszystko, Richiusie Vantranie. Nie różnisz się od nas tak bardzo, jak mogłoby się to wydawać.

Dlatego zgodziłeś się nam pomóc.

- Pani, słyszałaś gadki, które krążą po świecie. Są oczywiście przesadzone, a po części zmyślone. - Richius cofnął się lekko, pochylił, ujął dłoń królowej i podniósł Jelenę z ziemi. - Nie powinnaś przede mną klękać. Jesteś królową. Tak się nie godzi.

Była skończenie piękna. Tak jak jej pałac. Miała delikatne dłonie, równie nieskazitelne w kształcie, jak jej twarz. Kiedy Richius ją podnosił, Jelena skrzywiła się ze smutkiem.

- Nie jestem pewien, czy zdołam wywiązać się z tego, co obiecałem Praknie - ciągnął Richius. - Może zresztą wszystko, co o mnie słyszałaś, jest nieprawdą. Ale spróbuję stanąć na wysokości zadania. Zrobię, co w mej mocy. Powinnaś jednak wiedzieć, że kieruję się dość... egoistycznymi pobudkami.

Królowa spojrzała w bok i utkwiała wzrok w zbiorniku z wodą.

- A ty powinieneś wiedzieć, że i my przywieźliśmy cię tutaj dla naszych własnych celów. Jak powiedziałam, nie różnimy się aż tak, jak można by się tego spodziewać.

Patrząc na nią, Richius zorientował się, że królowa na coś czeka. Zastanawiał się, po co go tu sprowadzono. Ostrożnie podszedł bliżej i udając, że się przygląda niezwykłym rybom, czekał na to, co powie. Po chwili zaczęła mówić cichym, pełnym

smutku głosem.

- Chciałabym ci raz jeszcze podziękować za to, że zechciałeś tu przybyć, Richiusie Vantranie. Nie będę czyniła żadnych obietnic, ale powtórzę, że dam ci chętnie wszystko, czego tylko zapragniesz, a co jest na mojej ziemi. - Oderwała wzrok od zbiornika, Richius zaś uświadomił sobie nagle, że wpatruje się w nią bezwstydnie. Jelena uśmiechnęła się lekko. - Co się stało? Czy coś zobaczyłeś?

- Racz wybaczyć, pani - odpowiedział Aramoorczyk. - Przypominasz mi kogoś, to wszystko.

- Kogoś, kto był ci bliski?

Richius kiwnął głową.

- Tak. Powiedz, królowo, po co mnie tu sprowadziłaś? Nie chciałbym zostać źle zrozumiany, ale czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Twarz Jeleny oblekła się rumieńcem.

- Tak łatwo mnie odczytać? Doprawdy, w zasadzie zaprosiłam cię tu bez powodu. Po prostu byłam ciekawa, jaki jesteś.

- Byłbym gotów się z tobą zgodzić, ale myślę, że jest inaczej. - Richius podszedł bliżej i ośmielił się znów dotknąć jej dłoni. - Powiedziałaś: wszystko?

Zadrżała pod jego dłonią i nagle wydało mu się, że ma przed sobą małą dziewczynkę.

- Królu Vantranie, chciałam cię zobaczyć. Od wielu miesięcy czekałam na to spotkanie i dłużej już czekać nie mogłam. Wszyscy mówią o tobie z najwyższym szacunkiem i uznaniem. Prakna twierdzi, że jesteś wielkim wodzem. Moja matka i ojciec nazywali cię bohaterem. Musiałam sama zobaczyć, jaki jesteś.

- Twój ojciec i matka? - spytał Richius. - Kim oni są?

Jelena zaśmiała się.

- Mówiłeś, że jestem młoda, prawda? A jak długo według ciebie jestem królową?

Przedemną rządzili tu mój ojciec i matka. Byli prawdziwym królem i królową Liss. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. - Kiedy umarł twój ojciec, miałeś dwadzieścia pięć lat. W tym wieku zostałeś królem Aramooru. Ja mam siedemnaście. Niedawno byłam dziewczynką. Nie wiem, co robić, i potrzebuję twojej pomocy.

Nagle Richius zrozumiał smutek czający się na dnie oczu młodej królowej. To

samo zagubione spojrzenie widywał często w zwierciadle, przed dwoma laty, kiedy zasiadł na opustoszałym ojcowskim tronie. Ledwo zdążył wyrosnąć z wieku młodzieńczego, a okoliczności zmusiły go do objęcia królewskiej władzy, i niewiele brakło, a załamałby się pod ciężarem jej brzemienia. W takiej samej sytuacji była stojąca przed nim dziewczyna.

- Królowo, głęboko ci współczuję - powiedział. - Uwierz mi, że mówię prawdę. Musisz odczuwać wielki ból.

- Gubię się w tym wszystkim - wyznała. - Królu Vantranie, muszę wiedzieć, od czego zacząć, a nie ma na Liss nikogo, kto mógłby mi pomóc. W tej chwili nie mam nikogo, kto poprowadzi za mnie moją armię. Prakna jest bohaterem, ale nie królem. Ludzie chcą, bym stanęła na ich czele. A ja... - skrzywiła się. - Ja jestem tylko dzieckiem. Jak to trafnie zauważyłeś.

- Nie - poprawił się Richius. - Nie miałem racji. Wiesz, co o tobie mówi Prakna i inni poddani? Mówią, że jesteś nadzwyczajną osobą. Mówią, że drugiej takiej jak ty nie ma na całym świecie. I mają rację. Każdy, kto wstąpił na tron w tak młodym wieku jak ty, i zdołał się na nim utrzymać, jest kimś niezwykłym.

Policzki Jeleny znów oblekły się czerwienią.

- Królu Vantranie, niezwykle uprzejmy z ciebie człowiek. Ala ja potrzebuję czegoś więcej, niż słów, choćby nie wiadomo jak pięknych i dwornych. Potrzebuję nauczyciela i przewodnika. Kiedy stworzysz tę armię, kiedy zdołasz wyszkolić ludzi tak, by mogli pobić Narenów, czy zechcesz wrócić do mnie? Szukam wychowawcy i mistrza, królu Vantranie.

Czy możesz mi w tym pomóc?

Pytanie było tak smutne i tak źle postawione, że Richius nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Królowo...

- Jeleno! - poprawiła. - Nie chcę, byś nazywał mnie królową.

- Ja też nie chcę, byś mnie nazywała królem. Już nim zresztą nie jestem. Ale, moja pani, pozwól sobie powiedzieć, że się boję, iż wprowadzono cię w błąd, jeżeli idzie o moją osobę. Być może zwiedziono i Praknę. Może i całe Liss dało się oszukać. Jestem tylko człowiekiem. I do tego człowiekiem, który dał się porwać żądzy zemsty. Może i

mam pewną wiedzę na temat taktyki, której brak komandorowi. Ale przysięgam, że się mylisz, jeżeli uważasz, iż mogę cię nauczyć czegokolwiek o sztuce rządzenia. - Nagle opadło go wielkie poczucie winy, której nie umiał sobie wybaczyć. - Aramoor nie należy już do mnie, ponieważ okazałem się nad wyraz nieudolnym królem. Straciłem kraj ojców, ponieważ nie umiem sprawować władzy. - Skrzywił się pogardliwie. - Potrzebny ci nauczyciel?

Wybrałaś najgorszego z możliwych, pani.

Jelena położyła mu dłoń na ramieniu i odwróciła go ku sobie tak, by spojrzeć mu w twarz.

- Zaprosiłam cię tutaj, bo chcę zobaczyć, jakim królem może zostać chłopiec.

Rzeknij, że dziewczynka, która stoi przed tobą, może stać się królową.

- O, tego jestem pewien - stwierdził Richius. - Twój poddani dają ci posłuch właśnie dlatego, że już widzą w tobie królową. Są ci oddani i to wszystko, czego ci trzeba.

Reszta zależy tylko od ciebie. - Wymierzył w nią palec. - Królowo Jeleno, wsłuchaj się w głos swego serca. Nie ja ci powiem, kim masz być.

- Serce mi mówi, żebyś ci zaufała - stwierdziła Jelena. - To ono kazało mi cię tu sprowadzić. Prakna mówi o tobie z wielkim szacunkiem. Powiada, że tylko ty możesz stworzyć armię, która zawojuje Crote. Uważa, że jesteś urodzonym wojskowym i genialnym strategiem.

Richius parsknął śmiechem.

- A tak, już o tym słyszałem. Dobry żart, ani słowa. Pani, nie jestem w niczym lepszy od ludzi, którymi przeszło mi dowodzić. Weźmy dla przykładu ciebie. Swoją siłę czerpiesz z zaufania, jakim darzą cię Prakna, Marus i inni. Twój ojciec musiał wiedzieć, że król jest tak silny, jak silni są jego poddani. Powinien ci to powiedzieć przed śmiercią.

Twarz Jeleny nagle stężała.

- Może i masz rację. Ale mój ojciec i matka wcale się nie wybierali na tamten świat. To nie choroba ich zabiła, tylko Narenie.

- Narenie? Wybacz, że pytam, ale jak to się stało? Ta wyspa wydaje się absolutnie bezpieczna.

- Wojna z Nar trwała bardzo długo, królu Vantranie.

- Richiusie.

Odpowiedziała mu uśmiechem, który natychmiast przygasł.

- Więc dobrze, Richiusie. Wojna trwała dziesięć lat. A pod jej koniec, Liss potrzebowało każdego zdolnego do noszenia broni. Poszli też moi rodzice. Ojciec w młodości dowodził szkunerem, jak Prakna. Zaciągnął się na okręt przeciwko nareńskiej armadzie.

Matka poszła w jego ślady. Cała pałacowa służba uczyniła to samo. Zostałam sama, z kilkoma kobietami, które miały o mnie zadbać. Wszyscy Lisseńczycy wzięli udział w walce z Nar. I prawie wszyscy zginęli. Jak moi rodzice.

- Dobry Boże! - jęknął Richius. - Widzisz? Mówiłem ci, Jeleno, jaki ze mnie głupiec. Twój ojciec był wielkim człowiekiem. Matka również.

- Owszem, byli - zgodziła się dziewczyna. - A teraz ja muszę ich pomścić.

Przez chwilę patrzyli na siebie i Richius znów poczuł się tak, jakby z głębin przeszłości spojrział na niego jego własny sobowtór. Widział w dziewczynie odbicie własnej młodości; cała nienawiść, jaką czuł do krzywdzicieli, gorzała teraz w jej oczach.

- Jeleno... - zaczął powoli, by nie zniechęcić jej do siebie pierwszymi słowami. - To, co mówisz, jest niegodziwe w ustach dziewczyny. Żałoba po rodzicach jest zrozumiała, ale myślę, że zemstę powinnaś zostawić innym.

- Dlaczego? - spytała dziewczyna szczerze zdziwiona. - Obowiązkiem królowej jest chronić swój lud. A powinnością córki jest pomsta za rodziców. Tak przynajmniej uważamy na Liss.

- Więc macie rację - odpowiedział Richius. - Nie różnimy się pomiędzy sobą...

Ty i ja. Ale powinnaś wziąć pod uwagę to, co straciłem, i to czego musiałem się wyrzec. W Lucel - Lorze zostawiłem żonę i dziecko. Musiałem je zostawić, by tu przyjechać, ale jeżeli nie wrócę, zostaną same. - Ujął jej brodę w palce, by skłonić ją do uważnego wysłuchania jego słów. - Oto co z człowiekiem robi pragnienie zemsty. Strzeż się tego, królowo.

Jesteś zbyt młoda, by poznać taką nienawiść.

- Mam siedemnaście lat - odparła z urazą. - Dość, by wiedzieć, co jest właściwe i słuszne, a co nie. Złe jest to, co Narenie zrobili Lisseńczykom. Dobro jest tym, co my zamierzamy zrobić im teraz.

- Więc nie prosz mnie o rady - uciał Richius. - Nie są wam potrzebne, jeżeli nie zamierzasz im dawać posłuchu.

- Ależ Richiusie, potrzebuję twoich rad, by wiedzieć jak rządzić! - błagała go Jelena, dławiąc się jednocześnie gniewem. - Wiem, że możesz mnie tego nauczyć.

Tak samo, jak możesz wyszkolić naszą armię.

- Armię? A skąd ją weźmiesz? Powołasz pod broń dzieci? Nie przepłynąłem oceanu po to, by poprowadzić na rzeź garstkę gówniarzy! Jeżeli tego właśnie chcesz, to racz o tym zapomnieć!

- Otrzymasz wszystko, co Liss ma najlepszego do zaofiarowania! - odpowiedziała Jelena. Chwyliła go za rękę i ścisnęła ją z uwielbieniem. - Mówiłam już, że wszystko, co jest na Liss, należy do ciebie. Żądaj, czego tylko zapragniesz. Jest twoje. Możesz rozkazywać wszystkim synom i córkom Liss!

- Córkom? O nie, Jeleno! Żadnych kobiet! Nie w armii, którą ja będę dowodził.

Ostatnia uwaga najwyraźniej mocno dotknęła młodą kobietę.

- Tu, na Liss, kobiet walczą na równi z mężczyznami. W Nar być może są bezmyślnymi lalkami, ale nie tutaj. Od dziesięciu lat bronimy naszej ojczyzny. A teraz ją pomścimy.

- Beze mnie! Przebóg, dziewczyno... To, o co prosisz, jest niepodobieństwem!

Nie powiodę kobiet na rzeź! Dość już wzięłam na swoje sumienie. Nie trzeba mi żadnego grzechu więcej!

Odwrocił się do niej plecami i wbił wzrok w szklany zbiornik. Jeden z haranów patrzył na niego z głębi, monotonnie poruszając obiema głowami z boku na bok.

Jelena przytuliła się nagle do jego pleców i położyła mu dłonie na ramionach. Opuścił wzrok, by spojrzeć na jej palce, przesuujące się pieszczotliwie po jego piersi.

- Richiusie... - usłyszał smutny szept. - Bez ciebie się nie obejdziemy.

Wszystko, co ci możemy zaproponować, to młodzi ludzie i młode kobiety... może kilku nieco starszych. Ale ty możesz zrobić z nich armię. Wiem, że możesz...

- A jeżeli się nie zgodzę?

- To Liss nigdy nie zazna spokoju i nie zostanie pomszczone. Morderstwo moich rodziców zostanie bez odpłaty, a Nar pójdzie dalej swoją drogą, jak zawsze, i ze wszystkimi krajami będzie robiło, co zechce. Tak jak z Aramoorem.

Richius zamknął oczy.

- Aramoor...

- Tak. A Biagio zostanie na wolności. Nikt go nie ukarze za jego zbrodnie, ani za to, że zabił twoją pierwszą żonę.

- Co takiego? - spytał Richius i odwrócił się ku Jelenie.

- Owszem, wiem o Sabrinie. Czy nie przypominam jej z wyglądu? Czy nie jestem do niej podobna?

Jej kalkulacje były brutalnie skuteczne. Już była władczynią, bardziej nawet niż myślała.

- Tak... - musiał przyznać Richius. - Bardzo...

- Cieszę się. Więc kiedy będziesz na mnie patrzeć, nigdy o niej nie zapominaj.

Wspomnij jej głowę zamkniętą w szkatułce i powiedz, że nie wyszkolisz naszej armii. Jak sądzisz, potrafisz się na to zdobyć?

Richius nie odpowiedział. Jego milczenie było na tyle wymowne, że królowa skinęła z ponurą satysfakcją.

- Pomożesz nam - odpowiedziała samej sobie. - Prakna wiedział, że nam pomożesz... i ja też to wiem. - Podeszła do niego i wtulając się w jego pierś, objęła go z pasją. Richius poczuł się nieswojo. - Dziękuję... - szepnęła cicho. - Dziękuję, Szakalu, za to, że nam pomagasz.

Richius podniósł dłoń. Przez chwilę trzymał ją nad jej głową, a potem dość niezgrabnie pogładził Jelenę po włosach. Nie sposób było ją łajać. Jej dziewczęca łagodność dawno już legła w gruzach, zniszczona przez pragnienie zemsty. Pragnienie to zżerało jej duszę, tak samo jak zżerało duszę Prakny, Marusa i każdego członka tego starego narodu.

Richius wiedział, że nie zdoła jej uratować przed nią samą. Machinalnie ucałował jej głowę.

- Zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł - obiecał. - Masz na to moje słowo.

Młoda królowa mocniej wtuliła się w jego pierś.

- Wiem, że go dotrzymasz. Jesteś bohaterem, o jakim mi mówił Prakna...

Dwadzieścia cztery POWRÓT DO DOMU

Uporczywie sypiący śnieg przestał już prawie padać, gdy Prakna wreszcie dotarł do swego domu na Chaldris. Było już późno i słońce chyliło się ku zachodowi.

Budynki rzucały długie cienie na kanały, gdy mała łódeczka wioząca Praknę przecięła kanał Balaro i przybiła do brzegów jego wysepki. Zgodnie ze zwyczajem komandor stał na dziobie, ignorując ławeczkę, a wioślarz cierpliwie odpychał łódkę drągiem od dna. Ławeczki były dla dzieci i starych bab. Mężczyźni zawsze stali na dziobie. Kanał Balaro pełen był wszechobecnych gondoli, przywiązanych do nabrzeżnych palików i kołyszących się na falach.

Chaldris należała do najstarszych lisseńskich wysp, była gęsto zamieszкана i krążyło wokół niej wiele łodzi. Prakna urodził się na tej wysepce i tu spędzał czas, kiedy nie krążył po morzach niczym duch lisseńskiej zemsty. Widok rodzinnego domu za każdym razem przywoływał uśmiech na surowe oblicze srogiego komandora.

Jak każdą z pozostałych lisseńskich wysp, Chaldris poprzecinano tysięcznymi kanałami, nad którymi porozpinano kamienne mostki, w gondoli trzeba więc było uważać.

Niektóre z mostków były dość niskie i rośli mężczyźni, tacy jak Prakna, musieli się schylać, by uniknąć guza. Inne - takie jak ten, do którego teraz podpływali - były wysokie, tak że jedynie ptak mógłby sobie rozbić o nie głowę. Kiedy małe łódeczka zbliżała się do jego domu, komandor podniósł wzrok ku niebu. Mostek wiodący do jego domostwa był zapuszczony, porośnięty mchami i jakimś zielskiem, które beztrudno zostawiono własnemu losowi. J'lari była kiedyś świetną ogrodniczką, ale teraz przestała dbać o cokolwiek. Słońce nad mostem skryło się w gęstwinie chmur. Na twarzy Prakny osiadały małe płatki śniegu.

Po przeciwległej stronie wąskiego kanału machali do niego jacyś ludzie, którzy zajęci własnymi sprawami zdążyli jednak odnotować powrót bohatera. Komandor jednakże prawie nie zwrócił na to uwagi. Na pozdrowienia odpowiadał zdawkowo, bardziej z przyzwyczajenia, niż ze szczerą chęcią, ale nie odrywał wzroku od okien swojego domu. J'lari powinna już otrzymać wieści o jego powrocie. Powinna też wyjść

mu na powitanie.

Prakna oblizał wargi. Dawno już nie widział żony.

- Zbyt dawno - wyszeptał.

Gondolier usłyszał i spojrzał na niego lekko zdumiony.

- Sir?

- Nic, nic - uspokoił go komandor.

Gondolier wzruszył ramionami i wrócił do swego zajęcia. Prakna westchnął ciężko.

W kieszeni kurtki miał wszystkie listy, jakie napisał do żony podczas patrolowania brzegów Nar.

Nigdy ich nie wysłał, licząc na to, że któregoś dnia doręczy je sam. Kiedy żona je przeczyta, ucieszy się bardzo i oboje będą się radować z jego powrotu do domu, aż znów ogarnie ją smutek i J'lari wycofa się w swoje upierne milczenie. Kiedyś była silną, dumną kobietą. Ale życie w żałobie zrobiło swoje.

Po drodze do domu złożył już wizytę pod cenotafem. Ogromny monument wzniesiony na pamiątkę poległym podczas wojen z Nar nie był daleko od domu Prakny. Miał własną wyspę i gdy sypało śniegiem, jak dzisiaj, panująca na niej cisza była wprost ogłuszająca.

Świętość tego miejsca szanowały nawet najbardziej niesforne dzieciaki. Prakna kupił dwa małe kwiaty i położył je obok monolitu - i innych bukietów, które złożono już dzisiaj na cześć poległych. Na Liss nie kopano grobów - było na to za mało miejsca. Kiedy umierał mężczyzna czy kobieta, ich ciała wrzucano do morza. Dlatego to miejsce miało tak wielkie znaczenie. Lisseńczycy mogli tu przychodzić, by oddawać się żałobie po zmarłych, poległych i zaginionych. Byli tacy, którzy pragnęli wyryć w kamieniu imiona wszystkich poległych, ale wtedy monument musiałby mieć gigantyczne rozmiary. Dziesięcioletnia wojna zebrała okropne żniwo. Wielu zmarłych było bezimiennych. Cenotaf był więc tylko zwykłym, wysokim granitowym prostopadłościanem, podobnym do ogromnego nagrobka, na którym wyryto lisseńskie modlitwy za zmarłych i pod którym składano kwiaty. Okryty śniegiem miał w sobie szczególne piękno. Prakna otaczał go wielką czcią. Oprócz wspominek, jakie zaginionym synom urządzała jego żona, była to jedyna rzecz, która mu ich przypominała.

Teraz trzymał w dłoniach jeszcze jeden kwiat - piękną, czerwoną dalię, którą kupił dla żony. Prezent był kosztowny, ale twarz komandora była znana, handlarz obniżył więc cenę, zostawiając Praknie dość pieniędzy, by ten mógł jeszcze zapłacić gondolierowi.

Komandor osłaniał kwiat przed wiatrem i śniegiem, kryjąc go pod opończę. Pewien był, że J'lari na widok dalii bardzo się ucieszy. Kiedy dotarli do pomostu przy domu Prakny, przewoźnik zręcznie podprowadził łódź do przystani i zatrzymał ją niemal nie dotykając desek.

Uśmiechnął się serdecznie do Prakny.

- Oto jesteście, sir - stwierdził wesoło. - Witaj w domu.

- Dziękuję - skwitował komandor. Sięgnął do kieszeni po kilka monet, przewoźnik jednak zaprotestował uniesieniem dłoni.

- Wstrzymaj się, panie. Nie trzeba pieniędzy. Cała przyjemność po mojej stronie.

Prakna nie zamierzał się spierać. Podziękował przewoźnikowi uściskiem dłoni i zeskoczył na pomost przystani swego domu - po raz pierwszy od kilku miesięcy. Na końcu pomostu w zamkniętej latarni płonęła świeca. Nikłe te światełka miały służyć jako znaki dla wracających do domu żeglarzy. Podczas wojny świeciła się tak cała osada. A gdy otrzymywano straszną wieść, że żołnierz nie wróci, bo go zabito albo zaginął na morzu, świecę gaszono i zastępowano czarną gwiazdą. Prakna rozejrzał się dookoła.

Galaktykę światełek zastąpiło mrowie czerni.

Gondola odплыnęła cicho, zostawiając Praknę samego, pod bezszelestnie opadającymi płatkami śniegu. Ze zwieszających się nad nim budowli słyszał rozmaite głosy, niosły się też od nich znajome zapachy kuchenne i komandor mimo woli wrócił myślami do czasów, kiedy te głosy były głosami jego synów, a z kuchni J'lari ciągnęły zapachy. Ogarnął go smutek, wyjął więc dalię spod płaszcza i spojrzał na kwiat. Była piękna, największa, jaką handlarz miał na sprzedaż, ale czy mogła zastąpić jego żonie dwóch zaginionych na wojnie synów?

Prakna bardzo kochał J'lari. Ogromnie go bolało to, że niewiele mógł zrobić, by ulżyć jej cierpieniom. Jako mężczyzna często musiał wypływać na morze, zostawiając ją samą w pustym domu.

Stał przed wąskimi schodami z kamienia, pnącymi się zygzakami do jego

apartamentów. Spojrzał na nie ogarnięty nagłą obawą. Ostatnim razem, kiedy widział żonę, była niemal tak blada, jak opadające teraz płatki śniegu.

- Bądź mężczyzną - napomniął sam siebie.

Wetknął nos w płatki kwiatu, nabrał tchu dla otuchy i szybko ruszył schodami w górę.

Ponieważ postanowił sobie, że będzie udawał szczęśliwego, oblekł twarz w uśmiech. Zawsze gdy wracał, przyjaciele witali go z entuzjazmem, dziś jednak postanowili uszanować jego pragnienie prywatności. Kiedy wreszcie dotarł do mostku wiodącego ku jego domowi, zobaczył, że znajdujące się po jego drugiej stronie drzwi są lekko uchylone.

Przystanął na środku mostku. Drzwi otworzyły się nieco szerzej. Prakna nabrał tchu w płuca.

- J'lari! - zawołał cicho. - Wyjdz najmilsza. To ja. Usłyszał drżące westchnienie i drzwi stanęły otworem. Na progu pojawiła się J'lari z mokrymi od łez, szeroko otwartymi oczami i zaczerwienionymi policzkami. We włosy wpięła brązową klamrę, która przytrzymała je z tyłu. Miała na sobie piękną, koronkową suknię, która otulała jej ciało, trzepocząc lekko na wietrze. Prakna opuścił daleko do boku i stanął jak wryty.

Gdy J'lari przechyliła głowę i uśmiechnęła się wreszcie do niego, poczuł się tak, jakby na niebie po okropnym, pochmurnym dniu pojawiło się wreszcie słońce.

- Prakna... - szepnęła J'lari zduszonym głosem. Podniosła dłoń do ust i zadrżała. - Och, mój mężu...

Prakna niemal frunął nad mostkiem, by zamknąć żonę w niedźwiedzim uścisku.

J'lari wybuchła płaczem i wtuliwszy się w jego pierś, mała, niemal nieważka, łkała cicho i radośnie. Komandor pochylił głowę i przez chwilę sycił się zapachem jej włosów, czując rozlewające się po całym ciele ciepło, którego źródłem były jej piersi.

Zamknawszy oczy, gładził włosy żony, dziękując Bogu za to, że po raz kolejny pozwolił mu wrócić do domu.

- Tęskniłam... - szepnęła mu J'lari do ucha. - I tak się bałam...

- Wróciłem - odpowiedział po prostu. - Mówiłem ci, że wrócę. - Odsunął się lekko i podał jej kwiat. - To dla ciebie.

J'lari zaczerwieniła się jak dziewczyna na pierwszej schadzce. Choć miała

czterdzieści lat, uśmiech ujmował jej połowę wieku.

Przyjęła podany jej kwiat i obróciła go w palcach. Na mostek wpadł zimny podmuch wiatru, kobieta jednak, zachwycona pięknem kwiatu, w ogóle tego nie zauważyła.

- Piękny... - powiedziała łamiącym się głosem. - Bardzo piękny... - Musnęła dłonią policzek męża. - Jak ty...

Komandor ujął jej dłoń i ucałował, trzymając ją długo przy ustach. J'lari wybuchnęła śmiechem, który mieszał się z łkaniem.

- Kochany...

- Wejźmy do środka - przerwał jej, łagodnie się uśmiechając. Dobrodusznym gestem wskazał okoliczne okna. - Gapią się na nas...

J'lari kiwnęła głową i znów się roześmiała.

- Owszem, masz rację.

Ciekawscy byli sąsiadami albo dobrymi przyjaciółmi, żadne z nich jednak nie chciało psuć im uroku powitania. J'lari - z kwiatem niesionym dumnie w dłoni - powiodła męża do domu, którego nie widział od wielu miesięcy. Prakna skwapliwie podążył za nią.

Marzył o tej chwili niemal od dnia wypłynięcia na wyprawę, z której właśnie powrócił, tęsknił za uściskiem ramion żony, i choć wciąż wydawała mu się duchem, była kobietą z krwi i kości, której pożądał każdym swoim nerwem. Dziś, jeżeli będzie mu sprzyjało żeglarskie szczęście, weźmie ją do łóża i będą się kochać.

Minęła godzina. Prakna rozluźnił się i rozkochanym spojrzeniem wodził za żonę, która śmigła po domu, spełniając wszystkie jego zachcianki. Zachowywała się radośnie, tak jak przedtem, zanim otrzymała okropną wieść o śmierci synów, i Prakna zastanawiał się, czy podczas jego nieobecności odzyskała spokój ducha i nauczyła się cieszyć tym, czego życie jeszcze jej nie odebrało. Zjedli doskonałą kolację, popili ją świetnym winem, które J'lari nabyła specjalnie na tę okazję. Na stole postawili świecę zabraną z okna. J'lari trzymała podarowaną przez męża dalię stale w zasięgu ręki i podczas rozmowy wciąż ją dotykała, podziwiając piękno kwiatu i tylko na krótkie chwile odrywała od niej wzrok, by popatrzeć na męża. Prakna miał wiele spraw, które chciał z nią omówić, i wiele wspomnień, którymi chciał się z nią podzielić. J'lari słuchała i patrzyła, jak mąż

oczyszcza talerz kawałkami chleba i pije wino jak człowiek, który cudem uszedł głodowej śmierci. Prakna jadł, dopóki nie napełnił brzucha i dopóki nie zaczął mu niebezpiecznie trzeszczeć pas. Mówił cały czas, a gdy J'lari zaczęła sprzątać ze stołu nie przerwał, tylko dalej opowiadał o Narenach, o swoich planach dotyczących Imperium, i o żądzy zemsty, jaka ogarnęła Richiusa Vantrana. Mówiąc, obserwował ją czujnie, pilnie bacząc na wszelkie oznaki smutku. Ku jego uldze, J'lari nie rozplakała się ani razu. Gdy dał jej listy, w jej oczach pojawiły się łzy, ale były to łzy radości, które Prakna delikatnie otarł. J'lari usiadła i przez jakiś czas czytała listy.

Świeca wypaliła się niemal w całości, komandor więc wstał i zamienił ją na nową, by żona mogła czytać dalej.

Niekiedy uśmiechał się z zakłopotaniem, gdy J'lari czytała na głos bardziej osobiste fragmenty jego listów. Był lekko podпиты, trochę zmęczony, ale choć miał pełen brzuch, wciąż jeszcze nie ugasił innego, głęboko w nim tkwiącego pragnienia. Patrzył na żonę i pragnął jej coraz bardziej.

Udali się na spoczynek, gdy było już bardzo późno. Prakna rozmyślnie unikał sypialni, ona jednak sama go do niej zaprowadziła i zobaczył, że przygotowała dla niego łożo. Oblekła je w najlepszą pościel. W powietrzu unosił się nikły zapach perfum, jakimi skropiono pościel, a przez otwarte szeroko okiennice sączyło się do komnaty światło księżyca.

Ujrawszy to wszystko, Prakna lekko zadrżał. Od śmierci chłopców kochali się z żoną tylko raz, co wspominał z przykrością, jako że akt niewiele się różnił od gwałtu. J'lari nie mogła tego już znieść. Ale wygląd komnaty powiedział Praknie, że coś się w niej zmieniło i komandor z najwyższym trudem stłumił wzbierającą w nim pasję. Musiał sam siebie napomnieć, że J'lari jest krucha i delikatna. A małżeństwo było czymś więcej, niż sypialnianymi zapasami.

- Prakna... - powiedziała cicho, prowadząc go do sypialni. - Witaj w domu.

Nie odpowiedział. Nie chciał rozmawiać, nie chciał słyszeć niczego, co nie było jej oddechem. Śnieg za oknem przestał już padać. Miasto zalało purpurowe światło księżyca, w którego blasku kanały mieniły się srebrem i szkarłatem. J'lari w milczeniu zsunęła ze stóp pantofle i podeszła do okna, by je zamknąć. Prakna usiadł na łóżku i patrzył na żonę, która stanęła przed nim w koronkowej sukni, przylegającej do

wszystkich kuszących łuków i krzywizn jej ciała. Biała skóra i gładkie ramiona nadawały jej anielski wygląd, czysty, nieskałany... i komandorowi wydało się nagle, że J'lari jest zbyt niewinna, by żyć na tak okrutnym świecie. Zmrużył oczy i przez długą chwilę sycił się urodą żony.

Policzywszy miesiące, podczas których nie miał kobiety, odkrył ogromny niedostatek.

- Najdroższa... - wyszeptał, z trudem wydobywając z siebie słowa. - Jesteś taka piękna...

J'lari uśmiechnęła się lekko, usłyszawszy komplement. Nie odezwała się jednak ani słowem, nie chcąc zepsuć uroku chwili. Prakna ujrzał w jej oczach technienie obawy, ale trwało to tylko chwilę. Żona uniosła rękę i zdjęła klamrę, puszczając ją luźno na ziemię.

Potem przemknęła po posadzce i wtuliła się w mężowskie ramiona.

Prakna wstrzymał oddech. Na sekundę przedtem, zanim dał się porwać żądzy, ich oczy się spotkały, a potem przytulił głowę do jej brzucha, chłonąc przez jedwab sukni jego ciepło. Porwawszy ją w ramiona, obsypał pocałunkami, a J'lari westchnęła cicho i odchyliła głowę w tył.

Przyciągnął ją bliżej, aż opadła na kolana. Przesunął palcami po ramiączkach sukni, a gdy zaczął całować smukłą szyję, poczuł, że J'lari zadrzała. Była słodka, kochana i upragniona, a smak jej skóry napełnił ogniem jego żyły. Delikatnie wgryzł się w jej kark i dłonią przytrzymał jej głowę. J'lari zadrzała. Prakna, nie dbając już o nic, przesunął dłonie po jej ramionach, zsunął z nich suknię i obnażył je, a potem otworzywszy oczy, przez chwilę sycił wzrok widokiem światła księżyca igrającego na jej barkach.

„Powoli, powoli...”

Była już prawie zupełnie naga. Wyczuł jej obawę. Znow miał przed sobą dziecko, bojaźliwą dziewicę. Usiłował się powstrzymać, ale nie mógł. Kiedy jego dłoń ześlizgnęła się na jej pierś, usłyszał głośne westchnienie, które zabrzmiało, jak płacz. J'lari zeszywniała i zamarła w bezruchu. Prakna powściągnął żądzę i wstrzymał oddech. I wtedy usłyszał jej szept, nieledwie nikłe technienie:

- Och, Boże, pomóż mi, błagam... Przytulił żonę.

Zaniosła się łkaniem, jakby jego w ogóle tu nie było, jakby klęczała w kościele przed ołtarzem Boga. Nie ośmielił się na nią spojrzeć. Nie musiał zresztą widzieć jej twarzy.

Poczuł, że koszula nabrzmiewa mu wilgocią jej łez. Słyszał tylko jej drżący głos, który odarł go z wszelkiego pożądanego. Targająca nim żądza rozplynęła się w nicość, zastąpiona przez litość do tej łkającej u jego kolan kobiety. Pod przeciwległą ścianą sypialni stało lustro, w którym komandor zobaczył zwierciadlane odbicie nagiej sylwetki żony i pełnej nieszczęścia własnej twarzy. Wyglądał jak starzec. J'lari znów zadrżała. Prakna wstał i objął żonę, bez wysiłku podnosząc ją z podłogi. Gdy układał ją na łożu, nie patrzyła mu w twarz.

- Przepraszam... - odezwała się cicho. Obiema dłońmi przykryła swoje piersi. - Wybacz mi...

- Nic nie mów - skarcił ją Prakna. Delikatnie podciągnął koc i przykrył nim żonę.

Pochylił się nad nią tak, by jej nie dotknąć. - Odpocznij, kochana. Po prostu odpocznij. Jestem przy tobie.

J'lari skwapliwie skinęła głową.

- Tak, jesteś. Jesteś ze mną. Zostań, proszę... - Nadal nie otwierała oczu.

Ukryła twarz w pościeli, zawstydzona własnym wyglądem i umalowanymi ustami. - Nie odchodź...

- Nie odejdę - obiecał Prakna spokojnie. - Posiedzę przy tobie. Pozwolisz, prawda?

- Nie zostawiaj mnie. Ani teraz, ani nigdy w przyszłości.

- Nigdy to bardzo długi okres czasu, najdroższa.

- Jest tu Szakal. On rozprawi się z Narenami zamiast ciebie. A my... możemy już być razem. Na zawsze razem.

Komandor uciekł spojrzeniem w bok. Wszystko potoczyło się tak szybko. Beztroski nastrój J'lari, świetnie przygotowana kolacja, perfumy... i zaraz potem powróciła żona, którą zostawił, wypływając w morze. Kochał ją za bohaterską próbę odtworzenia przeszłości, ale w głębi ducha przeklinał jej zranione serce. To już nie była żaloba... J'lari popadała w szaleństwo i Prakna zrozumiał, że nigdy już nie ujrzy kobiety, którą kiedyś pokochał.

- Najdroższa, nic nie mów - odezwał się wreszcie. - Oboje mamy za sobą długi, męczący dzień. Posiedzę przy tobie, a porozmawiamy rano, jeżeli zapragniesz.

Potem zabiorę cię na spacer.

J'lari otworzyła oczy i po raz pierwszy od wejścia do sypialni, spojrzała na niego przytomnie.

- Przykro mi - powiedziała cicho. - Nie jestem kobietą, jakiej ci potrzeba.

- Zawsze byłeś kobietą, jakiej pragnąłem. Dałeś mi wszystko, czego chciałem - odpowiedział. - Jak sądzisz, dlaczego wciąż wracam? Ciągnie mnie do ciebie z drugiego końca świata.

Żona parsknęła cicho.

- Istotnie, zawsze wracasz, I niejedną raz zastanawiałam się, dlaczego.

- To już się nie zastanawiaj - odpowiedział łagodnie. Zaryzykował i wziął ją za rękę. - Zawsze będę do ciebie wracał.

- Ale już nie musisz odchodzić. Szakał zrobi wszystko za ciebie. - W jej głosie pojawiły się błagalne nutki. - Mój mężu, niech walką zajmą się młodzi, a my zostaniemy razem.

Czy to niemożliwe?

Prakna poczuł, że coś go dławi w krtani.

- J'lari...

- W Szakalu jest dość nienawiści za nas wszystkich - przypomniała mu. - To twoje słowa. Nie jesteś mu potrzebny, mężu. A mnie tak.

- Ale żyje we mnie pamięć o naszych synach i ona nie daje mi spokoju - stwierdził komandor. - Nie mogę pozwolić, by pomścił ich obcy. To mój obowiązek. I mój honor...

J'lari kiwnęła głową, Z tym argumentem nie sposób było się spierać, o czym dobrze wiedziała.

- Kocham cię - odpowiedziała tylko. - Oprócz tej miłości nic mi już nie zostało.

Na twarz Prakny wypłynął smutek. Była to prawda dla nich obojga. J'lari w istocie stała się jego lepszą połową. Druga była martwa, skostniała i ożywiała ją jedynie chęć zemsty.

Sednem sprawy nie było to, że chciał ją porzucić - bo nie chciał. Chciał wrócić na

Liss z pękiem nareńskich głów u pasa i spędzić resztę życia z J'lari w poczuciu spełnionego obowiązku. Lisseńczycy nazywali go bohaterem, on jednak uważał, że na ten tytuł jeszcze nie zasłużył. Synowie żądali od niego działania.

- Zamknij oczy i spróbuj zasnąć - polecił żonie. - Zobaczymy się rano.

- Zostaniesz ze mną? - spytała go.

- Jeżeli chcesz...

J'lari kiwnęła głową, a potem rzeczywiście zamknęła oczy. Prakna usiadł na łóżku obok żony i przez dłuższą chwilę patrzył na jej skąpaną w blasku księżyca twarz.

Z początku oddychała szybko, ale wkrótce się uspokoiła, a napięte mięśnie twarzy rozluźniły się, znów czyniąc ją piękną. Po kilku minutach już spała, błędząc po jakimś trapiącym smutkami kraju sennych marzeń. Prakna powoli i ostrożnie wstał z łoża. J'lari poruszyła się niespokojnie, ale nie przerwała snu, komandor podszedł więc do drzwi i je otworzył. Na stole w jadalni leżała porzucona przez żonę dalia. Prakna ją podniósł, przez chwilę przyglądał się jej i podziwiał, a potem wrócił do sypialni. J'lari leżała z głową odwróconą ku oknu. Przez chwilę patrzył na nią, a potem położył kwiat obok jej skroni na poduszce. W tej chwili, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie modlitwę, którą odmawiano przy cenotafie, kiedy składano kwiaty w darze poległym i zaginionym. Przyszła mu na myśl, kiedy patrzył na twarz żony.

- Kwiat dla umarłych - wyszeptał, po czym odwrócił się i wyszedł.

Dwadzieścia pięć „POGROMCA”

Shani Vantran odziedziczyła buntowniczą i niezależną naturę po ojcu i matce. Nie chciała jeść, kiedy Simon usiłował ją nakarmić, i nie zasypiała, gdy zapadał zmrok. Nieustanne kołysanie statku nie przyprawiało jej o mdłości, ale zwracała prawie wszystko, czym Simon usiłował ją nakarmić. Po Richiusie odziedziczyła nie tylko jego okrągłe oczy, ale i skłonność do popadania w ponure nastroje. Według opinii Simona była jednorocznym piekielnym bachorem i miał przy niej znacznie więcej zajęcia, niż mógłby to sobie wyobrazić.

Od ucieczki z Falindaru dzieliła z Simonem jego ciasną kajutę i oboje wkrótce zaczęli się darzyć serdeczną wrogością. Simon początkowo usiłował robić, co w jego mocy, by zadowolić dziewczynkę, ta jednak tęskniła za domem, była przerażona utratą rodziców, a wszechobecne na nareńskim statku odgłosy skrzypienia poszycia i szum fal niepokoiły ją tylko i wprawiały w coraz gorszy humor. Jadła niewiele, większość jedzenia zrzucała na podłogę, a piła tylko tyle, by zupełnie nie zmarnieć. Zachowała żywe kolory, ale coraz częściej okazywała niezadowolenie i złość, Simon zaś wiedział, że go znienawidziła. Dzieci w szczególny sposób potrafią czytać w ludzkich duszach i Simonowi wydawało się nieraz, że Shani zna jego zbrodnie i wie, że kiedyś przyjdzie mu za nie wszystkie odpowiedzieć.

Sam też wybuchał gniewem pod byle pozorem. Poczucie winy, które miał nadzieję zostawić na Lucel - Lorze, podążyło za nim na pokład okrętu, budziło go niekiedy w nocy i pozbawiało apetytu. Jadł nawet mniej niż Shani i znaczną część czasu spędzał z twarzą nad wiadrem, albo wisząc po zawietrznej na relingu. Wzburzone morze odejmowało mu krzepę w nogach i przyprawiało o torsje. Po dwóch tygodniach przestał już nawet marzyć o towarzystwie kobiety, lub świeżej żywności. Jego sny przekształciły się w koszmary, w których ściagały go morskie potwory o twarzy Biagia, szydząc niemiłosiernie i dręcząc go jego śmiechem. Śnił o takich okropnościach, jak twardy grunt, który nagle pod jego stopami zamienia się w lotne piaski, albo o gwałtownych szkwałach, które zatapiały „Pogromcę” i często budził się obłany potem i śmierdzący jak najbrzydliwszy z oceanów.

Przed trzema dniami minęli Liss, które okrążyli szerokim łukiem, tak by ich nie dostrzeżono z żadnego ze szkunerów. Byli na głębokich, pełnych niebezpieczeństw wodach, daleko od lądu i zbliżali się do Przylądka Casarhoon. Jeszcze najwyżej tydzień i dotrą na Crote. Biagio dostanie swój łup. A Simon zabierze Eris, choć ostatnio myśl o niej coraz mniej go cieszyła i nie dawała żadnego już usprawiedliwienia. Coraz częściej myślał o swojej wybrance, zawsze były to jednak strzępy wspomnień skażone świadomością, że popełnia dla niej ohydny czyn.

Dzisiejszego wieczoru, jak zawsze Simon siedział w swojej kajucie i przygotowywał zupkę dla Shani. Nieco światła padało z bulaju, ale i ono słabło, w miarę jak słońce zanurzało się coraz niżej pod fale. W kajucie było mroczno, ciasno, a na stole płonęła jedna świeca w kaganku. Shani siedziała na podłodze, oglądając zabawkę, jaką jej przyniósł z pokładu - była to drewniana część zdobienia okrętu, którą oderwał, gdy nikt nie patrzył.

Przyniesiony przez niego fragment był rzeźbą syreny i do niedawna jeszcze tkwił na dziobie forkasztelu. Teraz bawiła się nim dziewczynka, która z nudów gryzła drewnianą płetwę i przesuwiała syrenę po podłodze. Simon obserwował Shani, mieszając w garnku okruszki chleba oraz rodzyнки i dodając do nich odrobinę cukru. Cukier był jedyną rzeczą, jaką mógł dla niej zdobyć. Zbliżali się już jednak do kresu podróży i kończyły im się zapasy, Simon wrzucił więc do garnka tylko odrobinę, mając nadzieję, że dziewczynka nie zwróci uwagi na niedostateczną słodycz posiłku. Wetknąwszy palec w zupkę, spróbował i stwierdził, że jest okropna.

Gdyby dziewczynka była nieco starsza, znalazłby dla niej coś pożywniejszego, ale miała ząbki jednolatka, więc okrętowe suchary czy suszone mięso absolutnie się dla niej nie nadawały.

Wszystko, co jadła - oprócz mleka - trzeba było najpierw rozmoczyć w wodzie, ale nawet i wtedy marszczyła nos.

- Rozpuszczony z ciebie dzieciak - powiedział jej z uśmiechem. Shani spojrzała na niego uważnie. - Tak - roześmiał się głośniejszym głosem. - Wiesz o tym, prawda?

Miała piękną twarzyczkę, jak jej matka, i jasne, niemal piaskowej barwy włosy, które opadały niesfornymi kosmykami na czoło. Kiedy się uśmiechała - co ostatnio zdarzało się nad wyraz rzadko - wyglądała jak aniołek. Simon nie dziwił się, że jej

uśmiech rozjaśniał życie rodziców. Zerknął na kociołek, machinalnie mieszając jego zawartość. Jeżeli będzie miał szczęście, zje trochę i pozwoli mu przespać całą noc. Sam zrezygnował z kolacji - co zresztą nie było żadnym poświęceniem, bo i tak wszystko, co zjadał, natychmiast zaczynało gwałtownie się wyrywać na wolność. Znow stracił na wadze - wszystkie te kilogramy, które oblekły jego ciało podczas pobytu w Falindarze. Tęsknił za całkiem niezłą kuchnią Triinów i różnorodnością pożywienia. Tęsknił za owocami, czystą wodą i podłogą, która nie kołysałaby mu się pod nogami.

- Wiesz, co ci powiem, Shani? - odezwał się, mieszając zupę. - Jak się nie będziesz darła przez całą noc i pozwolisz mi trochę pospać, rano spróbuję ci znaleźć inną zabawkę.

N'Dek ma chyba na tym okręcie jeszcze jedną syrenę. Co ty na to?

Shani spojrzała na niego beznamiętnie.

- Mmm... Całkiem niezłe to wygląda, prawda? - spytał podstępnie. Podniósł łyżkę i kusząco podsunął jej pod nos zawartość garnka. - Simonowi bardzo smakuje.

Pyszne...

Dziewczynka uparcie milczała. Simon podsunął jej jedzenie, siadając obok niej na zimnej podłodze. Udał ze smakuje dość kiepską w gruncie rzeczy zupkę.

- Aj... to naprawdę pyszne - rzekł rażno. - Chcesz trochę?

Jak zwykle Shani powąchała łyżkę i skrzywiła się pogardliwie.

Podniosła rączkę i odepchnęła łyżkę, rozbryzgując zupę na spodnie Simona.

Skrzywił się i potrząsnął głową. Zaczynała go ogarniać desperacja. Jak, u licha, Dyana radziła sobie z tym małym czartem?

- Mała, nic innego nie mamy - ostrzegł ją. - Jeżeli nie zjesz, pójdziesz spać o pustym brzuszku.

Znow popatrzyła na niego bez zainteresowania.

- Nie chcesz? No dobrze, ale nie przyłaż do mnie w nocy z płaczem, jak zaczniesz ci burczeć w żołądku. Do Crote mamy jeszcze kawał drogi i minie parę dni, zanim nam się trafi coś porządnego do zjedzenia.

Prawdziwość tego stwierdzenia przygnębiła go jeszcze bardziej. Minie parę dni, zanim staną na twardym lądzie i dostaną jakiś przyzwoity posiłek. N'Dek i jego ludzie mieli zamiast żołądków przepastne jamy, w których bez śladu znikало wszystko, co

wpadało im w łapy, Simon jednak zbyt długo żył na Crote. Przywykł do kuchni Biagia i podawanych na jego stół wymyślnych potraw. Teraz jednak się poddał; patrząc na Shani, opuścił łyżkę do garnka i odsunął go na bok. Dziewczynka przestała zwracać na niego uwagę i znów zajęła się syreną.

Z początku szukała u niego ochrony i pomocy, szybko jednak zrozumiała, że nikt na pokładzie nie zamierza jej skrzywdzić, zaczęła więc Simona karać rozmyślnym ignorowaniem jego osoby.

- Wiesz, mnie samemu się to wszystko nie podoba - szepnął konspiracyjnie. - I nie zrobiłbym ci tego, gdybym miał jakiś wybór.

Nie słuchała, co w końcu zirytowało Simona do tego stopnia, że odebrał jej zabawkę.

Dziewczynka natychmiast wybuchła płaczem i zaczęła sięgać po syrenę, podczas gdy Simon złośliwie trzymał ją poza zasięgiem jej rąk.

- Najpierw mnie wysłuchaj - droczył się z Shani. - Wysłuchaj, albo wyrzucę zabawkę w morze. Do kata! Chcę ci powiedzieć coś ważnego!

Kolejny wybuch płaczu i krzyków. Simon potrząsnął głową i znów podrażnił dziewczynkę, machając zabawką tuż przed jej nosem.

- Bądź grzeczna, albo ci ją zabiorę.

Shani przestała sięgać po zabawkę, zmarszczyła brwi, a potem odwróciła się do niego plecami. Simon mimo woli parsknął śmiechem.

- No dobrze - rzekł, opanowując się z trudem. - Poddaję się. Masz.

Podał dziewczynce drewnianą syrenę, przesuwając ją po podłodze. Shani porwała ją szybko, a potem odwróciła się i spojrzała pytająco na Simona.

- A, więc teraz wreszcie mnie wysłuchasz? Piękne dzięki. Złożył ręce na podołku i odchylił się w tył, usiłując usiąść wygodniej. Dziewczynka patrzyła oczekująco, jakby się spodziewała bajki na dobranoc.

- Słuchaj, maleńka. Chcę tylko, byś mi zaufała. Przyznaję, że lotr ze mnie nie lada.

Ale nie zrobiłbym ci tego, gdybym miał jakikolwiek wybór. Nie mam go, niestety.

Jeżeli nie odwiozę cię Biagiowi, drań zabije moją dziewczynę, a do tego nie mogę

dopuszczyć.

Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Cóż robić, takie jest życie. Nie mam nic przeciwko tobie, ale muszę ratować Eris... Więc, mówi się trudno. Mam rację?

Shani patrzyła poważnie i nawet nie mrugnęła.

- Wiesz, twój ojciec też dokonał niełatwego wyboru. Tak jak ja. Mógł zostać z tobą i twoją matką, ale zżerała go nienawiść, której nie umiał się przeciwstawić.

Podobnie jest ze mną. Kocham Eris. Gdyby cokolwiek się jej stało...

Przerwał. Pomyślał nagle o Dyanie i stracie, jaką przez niego poniosła.

- Cóż, w tej chwili to i tak nieważne - dokończył cicho.

Sięgnął dłonią i musnął jasne włoski dziewczynki, zachwycając się ich miękkością i delikatnością. Jak to się niekiedy zdarzało, Shani pochyliła się ku niemu, czekając na dalsze pieszczoty. Simon uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

- Ależ ze mnie drań... - szepnął.

Był takim samym łajdakiem, jak Biagio. Albo Bovadin. Mógł stanąć obok Savrosa z jego nożami i pokreconą psychiką. Kimże byli, jeżeli nie złymi, chciwymi władcy ludźmi? A on? Kim był, jeżeli nie ich cieniem? W młodości, na Crote, wierzył w ideały i uważał się za człowieka szlachetnego. Wierzył, że świat można zmienić, jeżeli ma się dostatecznie silną wolę. Niestety, głęboko się mylił.

- Mam nadzieję, że jakoś wyjdiesz z tego cało - zwrócił się do dziewczynki. - Jeżeli przeżyjesz, czego ci raczej nie wróżę, mam nadzieję, że wrócisz do swoich rodziców i spędzisz z nimi na Lucel - Lorze długie, szczęśliwe życie. Trzymaj się z daleka od Nar, maleńka. Ten kraj cię zniszczy.

Shani wypuściła z rączek drewnianą syrenkę i ruszyła do Simona. W kajucie było zimno, za zimno dla dziecka, Simon więc objął ją, przytulił i zaczął kołysać.

Dziewczynka wtuliła się w jego ramiona i uszczęśliwiona ciepłem, zaczęła oddychać spokojnie i miarowo.

- Będiesz pamiętała, co ci obiecałem? - spytał ją. - Pomogę ci, jeżeli będzie to w mojej mocy. Zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł.

Wiedział, że to czcza obietnica. Zamknął oczy, przepojony nienawiścią do samego siebie. Jego obietnica nic go nie kosztowała. Porywając Shani, właściwie ją zabił. Kiedy dotrą na Crote, dziewczynka będzie zgubiona.

Trzymając dziecko w ramionach, odchylił się w tył, czując ucisk rękojeści sztyletu, który miał zatknięty za pas. Zawsze miał go przy sobie, ale przypomniał mu o nim dopiero ten niewielki ból. Może byłoby lepiej dla nich obojga, gdyby po prostu poderznął im gardła?

Słońce zapadło się już pod fale. Brak światła w bulaju okrył kajutę cieniem.

Simon sięgnął do rękojeści sztyletu i wyjął go ostrożnie, tak by dziewczynka nie zobaczyła broni.

Spojrząwszy na ostrze, zamyślił się głęboko. Samobójstwa popełniali idealisci. Samobójstwo wymagało pewnej szlachetności.

Simon nie był typem człowieka, który przyparty do muru, popełnia samobójstwo.

Kapitan N'Dek rozsiadł się po drugiej stronie stołu naprzeciwko Simona i raz jeszcze spojrzał na swoje karty. Miał poważny wyraz twarzy, jaki przybierał zawsze, gdy dostawał dobre karty. Simon spojrzał w bok, udając obojętność. N'Dek był złym graczem, który uważał się za bardzo dobrego. Simon też nie należał do mistrzów, ale umiejętność czytania mowy ciała dawała mu znaczną przewagę nad zarozumiałym kapitanem. Pozwolił N'Dekowi wygrać kilka pierwszych rozdania, by dodać mu pewności siebie. Stolik i karty oświetlała samotna świeca, w blasku której twarze obu graczy nabrały upiornej bladości.

Shani spała spokojnie na koi Simona, nie zwracając uwagi na toczącą się w odległości kilku stóp grę.

Jak się tego Simon spodziewał, N'Dek skwapliwie skorzystał z propozycji rozegrania kilku partii kart. Doskonale pamiętał, że kapitan w ten właśnie sposób spędzał czas na łodzi, ale jako oficer Czarnej Floty nie mógł zaspokajać żądzy hazardu podczas rejsów, surowe przepisy regulaminu zabraniały mu bowiem bratania się z podwładnymi. Simon sięgnął po kufel cienkiego piwa. Łyknął ostrożnie, nie chcąc drażnić żołądka, i spojrzał na N'Deka ponad szklaną krawędzią. Po trzech kuflach kapitan zaczął tracić precyzję ruchów. Jego powieki opadły, a zwykle zaciśnięte mięśnie szczęk były rozluźnione. Simon ostrożnie łyknął raz jeszcze.

- Smarkula śpi dość głęboko - zauważył N'Dek, nie odrywając spojrzenia od kart.

- Za bardzo się skarżyłeś, szpiegu. Ona w ogóle nie sprawia żadnych kłopotów.

- Poza tym, że trzeba w nią wmuszać każdy posiłek i nie daje mi spać - zgodził się

Simon. Obaj mówili cicho, nie chcąc zbudzić śpiącego dziecka. Simon zerknął ukradkiem na Shani, zaskoczony tym, że mała śpi. Może znów odgadła jego zamiary? - Dzięki Bogu już niedługo będziemy na Crote - stwierdził. - Nie zniósłbym jeszcze jednego tygodnia z tym dzieciakiem.

- Będziesz musiał - odpowiedział N'Dek. - Przed nami jeszcze co najmniej tydzień rejsu, a morze jest dość wzburzone. Zmniejsza to naszą szybkość.

- Ale mam nadzieję, że mnie dostawisz na miejsce w jednym kawałku, kapitanie.

- Nie mam wyboru - zaśmiał się N'Dek. - Jeżeli na moim pokładzie ciebie, albo tę smarkulę spotka jakaś zła przygoda, Biagio mnie wypatroszy. - Kapitan wyjął jedną kartę spośród trzymanyh w dłoni i wymienił ją na inną. Twarz natychmiast mu pojaśniała, choć starał się to ukryć pod grymasem udawanego rozczarowania. - Brak nam już niemal wszystkiego. Na szczęście spodziewam się dotrzeć do Crote, zanim zacznie nam brakować słodkiej wody.

- Już byśmy tam byli, gdybyś się tak nie bał Lisseńczyków - rzekł Simon.

Obraza była poważna i kapitan podniósł wzrok znad kart.

- Darquis, jak na takiego mądralę jesteś cholernym durniem. Musiałem opłynąć Liss dookoła. Gdybym zrobił inaczej, mamy byłby nasz los. Wiesz, co robią ze złapanymi Narenami? Rzucają ich rekinom.

- Bzdura - skrzywił się Simon. - Pierwsze słyszę.

- Nie jesteś marynarzem. Wiem to, bo już walczyłem z tymi diabłami. To istne demony. Ale kiedyś jeszcze się z nimi porachuję. Nicabar też. Już o tym rozmawialiśmy.

- Tak? - spytał Simon niemal bezwiednie. Patrzył we własne karty, zdając sobie sprawę z faktu, iż rozdanie - mimo że należało do niego - było nad wyraz kiepskie. - I co im zrobicie? Zagadacie ich na śmierć?

- Skończymy to, co zaczęliśmy - nadał się N'Dek. - Te durne skurwysyny myślą, że mogą napadać na Czarny Gród! Ha! Uważają, że Czarna Flota nie jest już taka potężna?

Szlag by ich trafił, jeszcze zobaczymy, czyje będzie na wierzchu!

- Sza! - skarcił go Simon. - Nie unosz się takim entuzjazmem. Obudzisz dziewczynkę.

N'Dek trochę się zmytygował.

- Dobrze... Powiadam tylko, że jeszcze nie skończyliśmy z Liss i to wszystko.

Kiedy Biagio zdobędzie władzę nad Nar, będzie musiał wynagrodzić ludzi, którzy go popierali. A ja już wiem, czego zażąda Nicabar.

- Naprawdę? Czegóż więc zażąda nasz postrach mórz?

- Liss, głupcze! Nie słuchałeś? Dlatego właśnie Nicabar pomaga twojemu panu.

Chce raz jeszcze spróbować szczęścia z wyspiarzami i tym durniem Prakną. - N'Dek położył karty na stole koszulkami do góry. - Przez dziesięć lat gonił za tym czortem i wszystko na próżno. Nigdy się nie starli... ani razu. Uwierzysz? Ale teraz będzie inaczej. A ja tam będę i sobie popatrzę.

- To pięknie - zakpił Simon. - Mężczyzna powinien mieć jakieś marzenia.

- To nie tylko moje marzenie, szpiegu. Śni o tym Nicabar i każdy marynarz Czarnej Floty. Ty też powinienes o tym, marzyć.

- Ja? - zaśmiał się Simon. - A co mnie obchodzi to, czy Liss się utrzyma, czy padnie? To nie mój problem, panie N'Dek.

- Tu cię mam, szpiegu! W tym sęk! Tacy już jesteście, wy, Roshannowie! Na niczym warn nie zależy. Jesteście ludźmi bez sumienia. Nie dbacie o nikogo, oprócz siebie samych. Gdyby było inaczej, wiedzielibyście, jaką sławą okryje nas powrót na Liss!

Simon spojrział na N'Deka ponad kartami, lekko się uśmiechając.

- Jeszcze jedną kartę?

- A owszem - odpowiedział N'Dek.

Tym razem nie rozłożył swoich kart, tylko, nie oglądając podanej mu przez Simona, wsunął ją pomiędzy inne. Simon też wziął jedną. Miał kiepski układ, którego wyciągnięta karta wcale nie polepszyła. To rozdanie z pewnością będzie należało do N'Deka.

- Nie lubię się mieszać w sprawy, które mnie nie dotyczą, N'Dek - stwierdził Simon. - Jeżeli chcesz wracać i bić się z wyspiarzami, to twoja rzecz. Nie będą cię zatrzymywał. Ale po co miałbym tym sobie zawracać głowę? Wybacz, wielki kapitanie, ale nie widzę w tym żadnej chwały.

- A co z Czarnym Odrodzeniem? W nim nie widzisz chwały?

Tym razem Simon musiał sprawę przemyśleć. Był czas, kiedy dzielił z Biagiem

jego wizję przyszłości, ale i to mu przeszło.

- Myślę, że nie da się go zatrzymać, ponieważ stoi za nim Biagio. To jedyne, co się liczy. Moja osobista opinia nie ma znaczenia. Wszystko wróci do Nar. Herrith i jego Bóg niczego nie wskórają.

- Cholerna prawda - mruknął N'Dek. W oczach kapitana pojawił się błysk chciwości, który powiedział Simonowi, że tamten wygrał. Marynarz odchylił się w tył. - Ostatnia karta - stwierdził. - Czas zobaczyć, co tam masz, szpiegu.

- A wiesz, że masz rację - zauważył Simon. - Rzeczywiście zależy mi na bardzo niewielu rzeczach. Kiepska sprawa. Może któregoś dnia upodobnię się do ciebie, kapitanie.

- Mocno w to wątpię. No dalej, pokaż swoje karty.

Simon cały czas trzymał karty w jednej ręce, rozsuwając je i składając palcami.

Druga dłoń spoczywała luźno u jego boku, od czasu do czasu podnosząc tylko kufel z piwem, zawsze jednak pozostając poza zasięgiem wzroku N'Deka. Teraz bardzo wolno zaczęła się przesuwać ku pasowi, gdzie Simon miał zatknięty zdobny srebrnym sztylet.

- Myślę, że nieważne jest, co człowiek robił przez całe życie. Ale pod koniec, gdy zamyka wszystkie sprawy, musi zrobić jedną dobrą rzecz. Chcę powiedzieć, że nawet jeżeli spędziłem całe życie na truci i zabijaniu, będę mógł wyjść z tego z twarzą, jeżeli na koniec zrobię coś dobrego. Choć raz coś dobrego, wiesz?

N'Dek doszedł do wniosku, że filozofia szpiega jest bardzo zabawna.

- O tak! - zaśmiał się rubasznie. - Jeżeli obrazałeś Boga swoimi postępami, wystarczy, że go przeprosisz na łożu śmierci!

- Mniej więcej - odpowiedział Simon. Obserwował N'Deka bardzo uważnie. Lewą dłonią rozkładał karty na stole, a palce prawej zamykały się na rękojeści sztyletu. - Oto, co mam - powiedział. - A ty?

Ujrzawszy karty Simona kapitan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Leżysz, panie szpiegu - odparł z uciechą. - Znowu przegrałeś.

Położył karty na stole. I nagle czas zwolnił swój bieg. Lewa dłoń Simona śmignęła ku dłoni N'Deka i przycisnęła ją do stoki. Prawa, trzymająca już sztylet, uniosła się błyskawicznie i opadła, przyszpilając rękę kapitana do stołu. Kapitan krzyknął i

podskoczył.

Simon przytrzymał sztylet, spod którego trysnęła struga krwi. Ten znieruchomiał i wbił przerażony wzrok w szpiega. Simon zaś wolną ręką sięgnął ponad stołem i chwycił żeglarza za wyłogi kurtki.

- Cisza - syknął. - Milcz, albo poderżnę ci gardło!

N'Dek pojękiwał jak dziecko i usiłował ostrożnie uwolnić dłoń, ale sztylet tkwił w stole i mocno trzymał. Karty szybko spłynęły krwią. Shani poruszyła się niespokojnie, obudzona kapitańskimi jękami. Simon dłonią zamknął N'Dekowi usta.

- Nie żartuję, N'Dek - szepnął złowrogo. - Zamknij pysk, albo ci wepchnę w niego sztylet po samą rękę.

N'Dek z trudem stłumił kolejny jęk bólu. Zamknął oczy i energicznie potrząsnął potakująco głową.

- Grzeczny chłopczyk - ucieszył się Simon. - Wiesz, jeszcze mnie polubisz. A teraz pewnie cię ciekawi, co dalej? Zawrócisz tę balię, przyjacielu. Płyniemy na Liss.

Z zamkniętych dłonią Simona ust N'Deka wydobył się stłumiony protest. Kapitan cofnął się, uwolnił od dłoni Simona i wyrzucił z siebie pytanie:

- Na Liss? Po co?

Simon wcisnął sztylet głębiej, by wymusić posłuch. N'Dek jęknął z bólu i zaczął błagać szpiega, by przestał. Niewiele brakowało, by się rozplakał.

- No to jak, będziesz posłuszny, paskudo? - spytał Simon.

- Ale po co na Liss? - wybełkotał N'Dek. Drugą ręką usiłował jakoś powstrzymać upływ krwi z przebitej dłoni. - Po co?

Simon podał jedyny powód, który przyszedł mu do głowy.

- Rozkazy Biagia - odpowiedział. - Mam tam zawieźć dziewczynkę.

- Ale po co, u diabła?!

Kolejne szarpnięcie sztyletem wydobyło nową falę jęków.

- Żadnych pytań! - uciął Simon. - Jestem Roshannem! Ty i cała twoja załoga macie mnie słuchać! Albo, Bóg mi świadkiem, gdy wrócimy na Crote, Biagio wywlecze z was wszystkie flaki!

- Darquis! Przecież nie mogę skierować okrętu na Liss! Biagio oszalał...

Simon znów błyskawicznie zakrył dłonią usta kapitana.

- N'Dek, powiem ci to tylko jeszcze jeden raz, więc słuchaj uważnie. Mocą danej mi władzy przejmuję ten okręt dla Roshannów. Będziesz robił dokładnie to, co ci powiem. Jeżeli nie, tą balią popłyniesz na Crote tylko po to, by wejść na szafot. A teraz wydam ci rozkaz.

Zawracamy. Natychmiast!

N'Dek, przerażony i zbolały, mógł tylko kiwnąć głową.

- Dobra, wygrałeś - jęknął. - W porządku, stuknięty szpiegu. Zrobię, co każesz.

Simon uśmiechnął się promiennie.

- Tak będzie najlepiej dla wszystkich, przyjacielu. Ale boję się, że nie mogę ci pozwolić na wyjście z tej kajuty.

Błyskawicznym ruchem wyrwał sztylet ze stołu i przyłożył go do kapitańskiej krtani.

Potem jednym kopnięciem odrzucił stół, chwycił N'Deka za włosy i zwałił go na ziemię.

Przewróciwszy kapitana na brzuch i wcisnąwszy mu ostrze sztyletu w kark, przygniótł go jeszcze kolanem.

- Co robisz, u licha? - jęknął oszołomiony N'Dek.

- Muszę mieć pewność, że nigdzie się stąd nie ruszysz, kapitanie. Będę cię miał na oku.

Liny były pod stołem, tam gdzie je wcześniej ukrył. Simon szybko związał obie zakrwawione ręce N'Deka za jego plecami. Kapitan jęczał i próbował stawiać opór, szpieg był jednak silniejszy i już po chwili waleczny marynarz leżał związany. Nie mógł się podnieść, z dłoni sączyła mu się krew i tylko łypał na Simona nienawistnym spojrzeniem.

- Biagio wystawi ci za to rachunek! - stęknął. - Gdy Nicabar się o tym dowie, zapłacisz za wszystko!

- Oj, kapitanie, bo przestanę cię lubić - skrzywił się Simon. - Potrzebuję twojej pomocy. Wszyscy przecież na tym pokładzie jesteśmy członkami jednej rodziny. I cała rodzinka zatańczy, jak jej zagram, bo jestem Roshannem. A wiesz przecież, co to znaczy, prawda?

N'Dek znów łypnął wściekle oczami.

- Prawda? - wrzasnął Simon, wymierzając kapitanowi kopniaka w zębra. Kapitan zwinął się w kłębek i rozpaczliwie zaczął łapać ustami powietrze. Simon klęknął przy nim i niemal pieszczotliwie przystawił mu wargi do ucha. - Mój dobry człowieku, wiem, że mnie rozumiesz i zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Jeżeli którykolwiek z twoich ludzi zechce się buntować i nie popłyniemy prosto na Liss, potnę cię na drobne kawałeczki.

N'Dek jęknął boleśnie. Shani, która zdążyła się już obudzić, patrzyła na nich spod przeciwległej ściany kajuty. Simon uśmiechnął się do dziewczynki, jakby chciał jej dodać otuchy.

„Nie martw się - pomyślał w nadziei, że dziewczynka go zrozumie. - Już niedługo zobaczysz tatusia”.

Dwadzieścia sześć WYSPA SZALEŃSTWA

Dyana ocknęła się w całkowitych ciemnościach.

Było tak, jakby w ogóle nie otwierała oczu, albo jakby słońce na zawsze znikło z nieboskłonu. Nie chciało jej się ruszyć czy odwrócić na bok, nie zadała sobie nawet trudu okrycia się kocem. Czuła natarczywy zapach gnijącego ziarna i kwaśnych przypraw, ale zdążyła już do tego przywyknąć i nie targnęły nią torsje. Po prostu leżała w mroku i zbierała myśli.

Czas stracił dla niej wszelkie znaczenie. Nie wiedziała na przykład - i było jej to w zasadzie obojętne - czy spała kilka dni, czy kilka minut. W uszach nieustannie miała szum fal, które uderzały w kruchą ścianę jej więzienia - brudnego schowka na zapasy pod pokładem nareńskiego okrętu wojennego. Łoskot fal był jej jedynym towarzyszem w głębokich ciemnościach, oczywiście oprócz pajaków, które łaziły po niej, gdy spała. Ludzie zaglądali do niej rzadko, czemu zresztą była rada. Niekiedy podsuwano jej coś do jedzenia, ale było to prawie niejadalne świństwo. Przestała więc jeść. Być może za tydzień skona z wycieńczenia.

Co prawda, najbardziej nie doskwierał jej głód, tylko brak światła.

Od wypłynięcia z Falindaru, jeśli mogła sobie przypomnieć, widywała światło tylko wtedy, gdy jej ciemnicy przynosili jej coś do jedzenia, albo gdy przychodzili opróżnić wiadro służące jej za nocnik. Albo - co było znacznie gorsze - gdy pojawili się, by się z nią podrażnić. Ten wielki, Donhedris, uwielbiał ją obmacywać. Jak do tej pory nie posunął się dalej, wiedziała jednak, że jest to tylko kwestią czasu. Słyszała historie o marynarzach i o tym jak całymi miesiącami musieli się obywać bez kobiet. Obawa gwałtu była kolejnym koszmarem, który jakoś musiała nauczyć się znosić. Jej suknia była w strzępach, a dziko splątane włosy sterczały jej z głowy na wszystkie strony. Skóra cierpła od okropnych smrodów ładowni, nieustannie odczuwała mdłości, a przedramiona pogryzły jej szczury.

Obrzydliwe stworzenia zawsze podkradały się do niej, gdy spała, i gryzły ją dopóki się nie obudziła, tak że musiała odpędzać je z krzykiem. Były równie natrętne jak Donhedris i wiedziała, że z nimi też przegra... któregoś dnia...

„Zemsta” była na morzu od wielu dni. Dyana była pewna przynajmniej tego. W innych sprawach w jej umyśle ziały pustki. W ładowni panował przejmujący chłód i jej opończa wraz z kocem nie bardzo sobie z nim radziły. Doskwierało jej też wszechobecne porozsypywane ziarno, które było szorstkie i piekielnie drapało, a żyjące w szczelinach desek pająki opuszczały się nocą ze swoich jedwabnych lin na jej twarz, by ciąć ją jadem.

„Która godzina?” - zastanawiała się. Równie dobrze mogło być południe, albo północ.

Mrok zawsze był taki sam. A posiłki, nie dość że były kiepskie, to przynoszono je o najrozmaitszych porach, tak że na ich podstawie nie mogła ocenić upływu czasu.

Rozmyślała więc o drobiazgach i wspominała lepsze czasy, by choć czymś zająć umysł.

Doskonale pamiętała opowieści Lucylera o tym, jak go zamknięto w lochach Falindaru, kiedy jej pierwszy mąż, Tharn, zapragnął mu pokazać, jak dręczono jego samego. Była to tylko nauczka, Lucyler wtedy jednak o tym nie wiedział i musiał użyć całej swej przemyślności, by nie oszaleć.

„Myśl -! przypomniła Dyana samej sobie. - Zostały ci jedynie spryt i przebiegłość.

Musisz oprzeć się na nich, i tylko na nich”.

Postanowiła, że zachowa trzeźwość umysłu i zdrowy rozsądek. Musiała mieć siły, by na wyspie stawić czoło Biagiowi i odebrać mu córeczkę. Wiedziała, że będą jej do tego potrzebne spryt, przebiegłość i przytomność umysłu. Biagio był podstępny diabeł. Richius twierdził, że zawsze wszystko starannie planował i jako doskonały taktyk nie zapominał o najdrobniejszych szczegółach. Młoda kobieta chwyciła w dłonie skrawek okrywającego ją koca i spróbowała przypomnieć sobie twarz męża. Zaskoczyło ją to, że oblicze Richiusa zaczynało się już rozplýwać w niepamięć. Podobnie było z twarzą Shani, co ją już przestraszyło.

„Myśl - ponagliła samą siebie. - Nie daj się zwariować. Znajdź jakiś sposób, by się stąd wydostać”.

Była na okręcie płynącym na Crote. Nawet gdyby się jej udało uciec z ładowni, w której ją zamknięto, nadal miałyby jeszcze przed sobą otwarte morze. Ucieczka z pewnością została odkryta, ona zaś mogłaby się spodziewać jedynie surowej kary.

Donhedris był pożądanym draniem, ale Malthrak, ten mniejszy, był jeszcze gorszym dręczycielem.

Niekiedy uśmiechał się sardonicznie, przynosząc jej żywność, i cieszył się jej strachem. Po to w końcu byli Roshannowie. Richius miał rację, uważając ich za psy. Wszyscy byli tacy sami - tacy, jak Simon. Kiedy go dopadnie, wyrwie mu serce z robaczywej piersi.

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Dyana usiadła, klnąc w duchu intruza.

Usłyszała szczęk zamka i brzęk łańcuchów rygli. Odruchowo osłoniła oczy przed sprawiającym jej teraz ból światłem. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem zawiasów.

Na tle plamy światła ukazały się dwie sylwetki. Dyana zamrugła powiekami i poznawszy ciemniców, odwróciła spojrzenie w bok. Jak zwykle Malthrak wszedł pierwszy, zostawiając Donhedrisa z tyłu.

- Och, jakież piękny smród - zadrwił Malthrak. Nie zamknął za sobą drzwi i stał teraz w ich świetle, bezczelnie gapiąc się na Dyane. - Hej ty! Spójrz na mnie! Mówię do ciebie!

Dyana spojrzała przez palce, choć oczy i tak zaszyły jej łzami od światła.

Myślała, że jest jeszcze noc, ale światło z korytarza było już blaskiem dnia. Albo poranka.

Nie mogła tego odgadnąć. Malthrak spojrzał na nią z szyderczym uśmiechem na twarzy. Donhedris otworzył usta, udając, że się zachłysnął smrodem. Dyana obdarzyła obu spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Co znowu? - warknęła.

- Wstawaj - rozkazał Malthrak. - Czas się zbierać.

- Zbierać? Dokąd?

- Sama zobaczysz.

Malthrak usunął się na bok i wpuścił Donhedrisa. Dyana cofnęła się aż pod ścianę, ale Donhedris pochylił się, objął ją ramieniem i bez wysiłku podniósł z podłogi.

Dziewczynie zakręciło się w głowie i niewiele brakowało, a by zemdląca. Była zbyt słaba, by walczyć z mężczyzną, ale zdołała wbić mu paznokcie w ramię, drapiąc go aż do krwi.

Donhedris zaklął szpetnie i silnie nią potrząsnął, a potem ścisnął tak, że straciła

dech.

- Gdzie mnie zabieracie? - spytała wściekle. - Mówcie, skurwysyny!

- Przebóg, cóż to za język! - zadrwił Malthrak.

Odwrociwszy się w tył, wyszedł z ładowni, gestem dłoni wzywając Donhedrisa, by poszedł za nim. Ten przerzucił sobie Dyane przez ramię i wyszedł z ładowni.

Promienie światła, które przeszły powieki Dyany, sprawiły, że z jej oczu znów popłynęły łzy. Wytarła je gniewnie i rozejrzała się, usiłując zobaczyć, dokąd ją zabierają.

Usłyszała skrzyp trapu, świadczący o tym, że idący przodem Malthrak wspina się wyżej.

Potem Donhedris się schylił, przechodząc pod jakąś poprzeczną belką, kładąc jednocześnie mięsistą dłoń na jej głowie i naciskiem zmuszając, by się zgięła i uniknęła kolizji.

Ruszyli w górę, wznosząc się na wyższy pokład, a potem wspięli się na jeszcze jeden.

Dyana usłyszała głosy marynarzy i szum morza. Powietrze było czyste i pachniało solą.

Mogła już prawie widzieć, choć niewiele dałoby się teraz zobaczyć, kiedy widok zasłaniały jej szerokie plecy Donhedrisa. Obejmował ją niczym pyton i wyciskał dech z piersi. Jeszcze jeden poziom i poczuła na skórze liźnięcia chłodnego wiatru, który bez trudu przedzierał się przez jej poszarpaną suknię. Poczuła też na twarzy i zmrożonych powiekach piekące dotknięcie światła.

- Postaw ją na pokładzie - rozkazał Malthrak.

Donhedris przystanął i rozluźnił uścisk. Dyana niepewnie stanęła na deskach.

Zaraz potem usiadła i przez chwilę potrząsała głową. Zmrużywszy oczy, zobaczyła zebranych wokół niej mężczyzn, żeglarzy, którzy przynieśli ją na pokład jeszcze pod Falindarem. Stali i gapili się, górując nad nią mrocznymi sylwetkami. Dyana wzięła się w garść i choć trochę kręciło jej się w głowie, uklękła najpierw, a potem wstała. Zaraz jednak się zachwiała, nieprzywykła do kołysania okrętu. Malthrak chwycił ją za włosy i szarpnął jej głowę w tył.

- Patrz! - warknął jej w ucho.

Wyciągnął rękę i wskazał coś ponad relingiem. Gdy oczy Dyany przywykły do

słońca, zobaczyła w oddali jakiś ląd, a właściwie wyspę, wokół której krążyły wielkie, czarne okręty o wysokich masztach i wydętych wiatrem, czarnych żaglach.

- To Crote - oznajmił Malthrak. - Twój nowy dom.

Hrabia Renato Biagio siedział w salonie i bezwiednie kołysał w dłoni lampkę koniaku.

Komnatę zalewało jasne światło słońca z szerokich okien, przez które hrabia, patrząc ponad różanym ogrodem, mógł zobaczyć odznaczającą się na horyzoncie „Zemstę”. Na kominku huczał ogień napelniający salon gorącym. Hrabia wiercił się niespokojnie na swoim podobnym do tronu fotelu, aż skrzypiała skóra pokrycia, ale nie mógł jakoś znaleźć wygodnej pozycji, co go nieco irytowało, ponieważ rozmyślał o sprawach wielkiej wagi.

„Zemsta” wróciła za wcześnie, a „Pogromca” w ogóle się nie pokazał. Służba już go powiadomiła, że na pokładzie wracającego statku nie ma Simona. Biagio zakołysał trzymaną w dłoni lampką i machinalnie powąchał trunek. Nieoczekiwany zwrot wydarzeń tak go zirytował, że na razie jeszcze nawet nie umoczył w nim ust.

Problem.

Powiedzieć o Simonie, że był kiepskim żeglarzem, byłoby złożeniem mu komplementu, ale N'Dek był marynarzem wprost zawołanym. Co prawda niewielkie były szansę, że niepomysłne wiatry zmusiły „Pogromcę” do zejścia z kursu lub rzuciły go gdzieś na skały, ale z taką możliwością trzeba się jednak było liczyć, zwłaszcza w tak długim rejsie.

To, że „Zemsta” wróciła tak wcześnie, również było zdumiewające. Gdzie, u diabła, podziewał się Simon? Biagio zamknął oczy i przez chwilę siedział bez ruchu, opanowując irytację. Donhedris i Malthrak nie powinni zobaczyć, że cokolwiek w ogóle może go wyprowadzić z równowagi.

- Oby mieli jakieś wytłumaczenie - odezwał się Savros.

Łamacz Woli czekał w salonie obok Biagia, ciekaw nowych wieści od agentów.

Biagio pozwolił mu zostać. Widok oprawcy miał szczególny wpływ na ludzi, a Biagio chciał, by jego agenci czuli strach. Złożywszy dłonie za plecami, krążył teraz po komnacie, a błękitne oczy iskrzyły mu się ciekawością. Był chudy, a jego cień na posadzce wyglądał jak cień trzciny. Hrabia patrzył na swego oprawcę i zastanawiał się,

dlaczego nie słyszy odgłosu jego kroków.

- Nie odzywaj się - ostrzegł Savrosa. - Kiedy się tu zjawią, ja sam z nimi pogadam.

- Renato, jeżeli nie będą mieli dziecka...

Hrabia podniósł dłoń, co wystarczyło, by zamknąć oprawcy usta. Bywały chwile, takie jak ta, w których nawet najbliżsi współpracownicy Biagia wiedzieli, że lepiej jest milczeć.

Savros jednak przypominał charakterem papugę - nieustannie się wiercił i coś pomrukiwał.

Przyjął upomnienie i podszedł do biurka, gdzie nalał sobie koniaku. Wyciągnął też karafkę w stronę hrabiego, ten jednak odmówił, kręcąc przecząco głową. Nie miał ochoty na alkohol.

Dręczył go niepokój i potrzebował odpowiedzi na zadawane sobie pytania.

Nie czekał długo, kiedy u mahoniowych drzwi rozległo się delikatne pukanie.

Savros spojrzał pytająco na Biagia, ten jednak wiedział, że nie musi odpowiadać. Drzwi otworzyły się ostrożnie i do salonu zajrzał Malthrak z Isgar, za którym widać było ogromną sylwetkę jego brata, Donhedrisa. Pierwszy zaryzykował i wsunął się do komnaty.

- Panie? - odezwał się od progu. - Możemy wejść?

- Oczywiście - odpowiedział obojętnie hrabia. - Czekam właśnie na was.

- Obaj czekamy - uśmiechnął się Savros.

Na widok oprawcy twarze obu agentów, zgodnie z oczekiwaniami hrabiego, zbladły jak płótno. Roshannowie weszli, zamknęli za sobą drzwi i natychmiast przyklękali.

- Mistrzu, racz wybaczyć, że ci przeszkadzamy - zaczął Malthrak - ale mamy dla ciebie wieści i podarunek.

Twarc Biagia natychmiast się rozpromieniła.

- Podarunek? Więc przywieźliście mi to dziecko?

- N-nie, panie - zająknął się Malthrak. - Dziecko ma Simon Darquis.

- Malthraku, spójrz mi w oczy. Agent bojaźliwie spełnił rozkaz.

- Jak rozkażesz, mój panie...

- Simona Darquisa tu nie ma - syknął hrabia. - „Pogromca” jeszcze nie wrócił. Co to znaczy, przyjacielu?

- Uczciwie odpowiem, panie, że nie wiem - odparł Malthrak, oblizując wargi. - Widziałem Darquisa, kiedy opuszczaliśmy Lucel - Lor. Wypłynęli dzień przed nami.

- Agent wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, gdzie się podziewają.

- Donhedrisie? - naciskał Biagio. - Czy to prawda?

- Prawda, mistrzu - odpowiedział zagadnięty. W odróżnieniu od brata mówił, nie podnosząc głowy. - Doskonale to pamiętam - „Pogromca” odpłynął spod Falindaru jeden dzień wcześniej przed nami. Simon Darquis był na jego pokładzie. Miał ze sobą dziecko Vantrana.

Biagio zamknął oczy i pozwolił sobie na pełne zdziwienia westchnienie. Malthrak i jego brat nie byli łgarzami i z pewnością nie ośmieliliby się wprowadzić go w błąd. Od wielu lat wykazywali niezachwianą wierność i zręczność w wielu sprawach, a wszystko, co mówili hrabiemu, zawsze odpowiadało prawdzie - przynajmniej w ich rozumieniu. Biagio doszedł do wniosku, że i teraz nie mają powodów do kłamstwa, a to oznaczało, że Simon gdzieś przepadł.

- Zechciejcie mi to wyjaśnić - odezwał się wreszcie. - Gdzie może być „Pogromca”?

- Uczciwie odpowiemy, mój panie, że nie wiemy - odezwał się Malthrak. - Darquis ostrzegał nas przed kręcącymi się gdzieś tam lisseńskimi szkunerami. Mówił, że widział je na własne oczy. Może pojмали ich ci Lisseńczycy?

- Lisseńczycy? - Biagio niemal podskoczył. - Na Lucel - Lorze? Jakim cudem?

Malthrak zbladł jeszcze bardziej.

- Nie wiem.

- Ty w ogóle niewiele wiesz, mój Malthraku - odpowiedział Biagio, w którego głosie zaczęły pobrzmiwać stalowe nutki. - Domagam się odpowiedzi, a nie bezmyślnego mamrotania. Spróbuj ruszyć głową. Widzieliście jakieś lisseńskie okręty?

- Nie, panie. Żadnego.

- A pogoda? Jaka była?

- Nie mieliśmy żadnych kłopotów. A już na pewno nie natknęliśmy się na nic, co

mogłoby znieść z kursu „Pogromcę”. Powinni już tu być, panie.

Biagio pochylił się.

- Tyle to i ja wiem. Wstawajcie, obaj.

Malthrak i Donhedris wstali. Savros tymczasem podszedł i zatrzymawszy się za fotelem Biagia, przechylił głowę i zmierzył obu braci spojrzeniem, które wieszczyciło im kłopoty.

- Ostatnie pytanie - odezwał się spokojnie Biagio. - Dlaczego wróciliście?

- Panie, mamy bardzo ważne wieści - odparł skwapliwie Malthrak. Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu jedynie martwy grymas. - I coś ci przywieźliśmy.

Można by rzec... prezent.

- Hrabia słucha - odezwał się Savros. - Mów dalej, dobry człowieku.

Malthrak przysunął się bliżej.

- Mistrzu, Richiusa Vantrana nie ma już w Falindarze. Opuścił Lucel - Lor i popłynął na Liss.

- Co takiego? - Tym razem Biagio naprawdę podskoczył, zrywając się z fotela. - Skąd to wiecie?

- Od jego żony - skwapliwie wyjaśnił Malthrak. - Mamy ją. Złapaliśmy tę dziewczkę, kiedy usiłowała odnaleźć Darquisa. Przywieźliśmy ją ze sobą.

Ta wiadomość rzuciła Biagia ponownie na jego fotel. Spojrzał na Savrosa, oprawca jednak był tak samo oszołomiony, jak on sam. Malthrak tymczasem kiwnął głową i odzyskując pewność siebie, nawet lekko się nadał.

- To prawda, panie. Złapaliśmy tę kobietę przy wieży, gdzie się spotkaliśmy z Darquisem. Jakimś sposobem domyśliła się, gdzie go szukać. Trochę się jednak spóźniła, bo on już odpłynął.

- Więc zamiast ona jego, to wy ją złapaliście - domyślił się Biagio. - Była sama?

- Owszem - odpowiedział Malthrak. - Tego akurat jesteśmy pewni, Mistrzu.

- Zdumiewające - wyszeptał Biagio, zwracając się raczej do siebie, niż do swoich sługusów. Zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami usłyszanych przed chwilą rewelacji, machinalnie gładził się po brodzie. Simon gdzieś przepadł, ale teraz miał tę kobietę.

Było to prawie równie dobre, jak porwanie dziecka. Co prawda, ważniejsza była

wieść o tym, że Vantran popłynął na Liss. Tego akurat nie uwzględnił w swoim wspaniałym planie. Jeżeli Lisseńczycy zwrócili się z prośbą o pomoc do Vantrana, może rzeczywiście szykowali się do ataku.

- Ta kobieta... - odezwał się głosem zwodniczo łagodnym. - Powiedzcie mi o niej.

Dotarła tu w dobrym zdrowiu?

- No... dość dobrym - odpowiedział Malthrak. - Nie bardzo chciała jeść, a poza tym morska podróż trochę podkopała jej zdrowie. Jeżeli pytasz o to, czy może mówić, to tak, mój panie, może.

- Powiedziała wam coś? - pytał dalej Biagio. - Mówiła, po co Vantran popłynął na Liss?

Malthrak potrząsnął głową.

- W ogóle nic nie chciała powiedzieć, panie. Pomyśleliśmy, że nie trzeba jej za bardzo naciskać. Doszliśmy do wniosku, że sam zechcesz ją o wszystko wypytać, mój panie.

Savros aż klasnął w dłoń.

- O, to mi dopiero mądrale! - powiedział z uciechą. - Wykazaliście się nie lada sprytem.

- Więc wy nic więcej nie wiecie? - spytał Biagio.

- Nie, panie. Ale ta kobieta z pewnością powie ci wszystko, co zechcesz wiedzieć.

A choć nie masz, panie, dziecka, możesz przeciwko Vantranowi użyć jego żony. - Malthrak skromnie spuścił wzrok na swoje buty. - Myśleliśmy, że się ucieszysz, panie.

Biagio obdarzył obu szpiegów słonecznym uśmiechem.

- Drogi mój Malthraku, w istocie jestem z was zadowolony. Spisaliście się bardzo dobrze. A teraz chcę zobaczyć tę kobietę. Czy jest już na brzegu?

- Tak, panie. Jest na brzegu, choć nie sądzę, by się z tego cieszyła.

- Bardzo dobrze - rzekł Biagio. - Więc ją tu sprowadźcie.

- Teraz, panie?

- Tak - odpowiedział Biagio. - Dawać ją tu natychmiast. Obaj bracia skłonili się nisko i wyszli, nie zamykając drzwi całkowicie. Kiedy znikli, Biagio spojrzął na Savrosa i zobaczył w jego oczach jakiś przeciwny naturze głód, podobny do cielesnej żądzy, ale zaprawiony sporą dawką szaleństwa i niegodziwości. Ten sam błysk pojawiał się w

oczach katów, gdy wznosili topór lub pociągali za dźwignię szubienicznej zapadni. Łamacz Woli szczęśliwy jak nigdy przedtem, splótł palce.

- Słyszałem, że ta dziewczka Vantrana jest bardzo piękna - powiedział Savros, oblizując wargi. - Och, to będzie cudowne przeżycie...

- Nie podniecaj się, przyjacielu - ostrzegł go hrabia. Savros już go nie słyszał.

- Renato, ja ją skłonię do mówienia. Powie ci wszystko o wyprawie Vantrana na Liss. Tylko mi jadaj... Proszę... proszę...

- Cierpliwości, Savrosie, cierpliwości. Zobaczmy, co sama zechce nam powiedzieć.

- Renato...

Gdy hrabia skinął dłonią, Savros zamilkł. Hrabia nienawidził, kiedy oprawca tak skomlił. Bywały chwile, w których żałował tego, że zabrał go ze sobą na Crote.

Mistrz tortur nie miał tu za wiele okazji do popisania się swoim kunsztem. Ekscytował się tylko i z każdym dniem okazywał mniej opanowania. Biagio nie był wcale pewien, czy oddanie mu żony Szakala byłoby najlepszym pomysłem. Mogłoby się zdarzyć, że Łamacz Woli zabrałby dziewczynę do lochów i wrócił z kilkoma skrawkami poszarpanej skóry... i niczym więcej. A mając tylko to w garści, nie za bardzo można byłoby z Vantranem pertraktować.

Chwilę później usłyszeli jakąś szamotaninę na korytarzu. Ciężki but Donhedrisa uderzył w jedno skrzydło drzwi, otwierając je, i agent wpadł do środka niczym bomba. Rzucił na dywan niesioną przez siebie kobietę. Miała związane na plecach ręce, ale jakoś udało jej się wstać. Ujrawszy Biagia, rzuciła się na niego jak dzika kocica, ale Donhedris zdążył ją złapać z tyłu za białe włosy i zatrzymać potężnym szarpnięciem.

- Puszczaj! - zawołała, daremnie kopiąc jego podobne do dwóch pni nogi.

Donhedris zignorował kopniaki. Kobieta spojrzała dzikim wzrokiem na hrabiego. - Biagio! - syknęła.

Hrabia Renato Biagio wygiął wargi w drwiącym i pełnym satysfakcji uśmiešku, uradowany jak dziecko, które dostało oryginalną zabawkę. Dziewczyna była piękna nawet ze zmierzwionymi włosami i pokryta warstwą brudu, którego pochodzenia nie należało analizować, by nie drażnić żołądka. Mógł ją sobie wyobrazić, jak wykąpana i namaszczona wonnościami wchodzi do jego łóża.

Savros na jej widok poczuł, że miękną mu kolana. W pierwszej chwili ruszył na nią, ale natychmiast się zatrzymał, choć opanowanie własnej natury przyszło mu z największym trudem.

Malthrak wkroczył do komnaty z tryumfalnym uśmiechem na twarzy.

- Dyana Vantran - oznajmił tonem sługi zwiastującego przybycie niezwykłego gościa.

- Jest twoja, Mistrzu.

Dyana wierzgała, przeklinała jak portowy tragarz i parskła niczym wściekła kotka.

Donhedris trzymał ją za włosy i nieustannie szarpał w tył. Biagio zaś patrzył, oczarowany urodą i temperamentem kobiety. Oto miał przed sobą dziewczynę, dla której Vantran porzucił Nar, która go oczarowała i stała się pośrednią zabójczynią Arkusa.

- Gdzie ona jest?! - wykrzyknęła. - Gdzie ukryliście moją córeczkę?!

W pewnej chwili - a ujrawszy to Biagio nie uwierzył niemal własnym oczom - wyrwała się Donhedrisowi i rzuciła się na hrabiego.

- Mów! - wrzasnęła.

W następnej sekundzie Donhedris znów ją dopadł i objął od tyłu potężnymi łapskami.

Dziewczyna wpadła w histerię, jak niektórzy szaleni nareńscy żebracy. Biagio nawet nie drgnął powieką.

- Dyano Vantran - odezwał się łagodnie - zdumiewasz mnie. Jesteś osobą większego i jednocześnie mniejszego pokroju, niż się spodziewałem. Witaj na Crote, mała dzikusko. W moim domu. Od tej zaś chwili i w twoim.

Na twarz kobiety odmalowało się nagłe załamanie jej furii.

- Pozwólcie mi ją zobaczyć - jęknęła błagalnie. - Pokażcie mi Shani!

- Oooch... jakaż ona jest piękna - wystękał Savros. - Renato, daj mi ją... proszę.

- Uspokój się! - syknął Biagio.

Patrzył na Dyanę i dokładnie się jej przyglądał, a bardzo nie lubił, by mu przerywano.

Zobaczywszy, że dziewczyna jest mocno związana, wstał z fotela i stanął nad nią, okrywając jej twarz cieniem. Nie mogąc sobie odmówić przyjemności, pochylił się i

musnął dłonią jej gładki policzek. Dyana odsunęła się z jękiem, Biagio zaś wzdrygnął się nagle, oparzony ciepłem bijącym od kobiety.

- Rozwiąż ją, Donhedrisie - rozkazał.

- Ależ panie...

- Nie będę powtarzał.

Donhedris wykonał polecenie, choć całą swoją postawą dawał do zrozumienia, że jest stanowczo przeciw. Dyana Vantran wstała wściekła, ale najwidoczniej straciła chęć skoczenia hrabiemu do gardła. Stała po prostu i patrzyła z milczącym błaganiem w oczach.

- Wyjdźcie wszyscy - odezwał się nagle Biagio. - Zostawcie mnie z nią samego.

- Renato!

- Mistrzu?

- Precz! - ryknął hrabia, odwracając się ku swoim sługusom. - Wszyscy precz!

Trzeba przyznać, że podwładni nie od razu zrozumieli żądanie swego pana. Ostatni wyszedł Savros. Przez chwilę patrzył na Dyane łapczywym wzrokiem, ale w końcu i on znikł za drzwiami, zamykając je za sobą. Dyana została sama, zatopiona w milczeniu.

Biagio patrzył na nią jak wąż na swoją ofiarę. Nie próbował dotknąć jej po raz drugi. Z jego twarzy niczego nie dałoby się teraz wyczytać. W końcu się cofnął i ponownie usiadł na swoim fotelu.

- Jeżeli zmarzłaś, ogrzej się przy kominku - zaproponował.

- Gdzie jest Shani? - ponagliła go Dyana. - Powiedz mi, na Lorrisa i Pris!

Proszę...

Biagio tymczasem zastanawiał się, ile jej można powiedzieć. Widać było, że utrata dziecka lada moment przyprawi ją o utratę zmysłów. Oczywiście nie wiedziała, że Simon jeszcze nie wrócił. Nie powiedzieć jej o tym, byłoby rozkosznie okrutne, ale niczego w ten sposób by nie zyskał. Biagio podniósł swój trunek i przez chwilę obserwował bursztynowy płyn.

- Kobieto, twej córeczki tu nie ma - odparł w końcu i po prostu. - Nie wiem też, gdzie może być.

- Kłamca! - zawrzała. - Gdzieś ją tu więzicie!

- Wcale nie, choć muszę przyznać, że z chęcią bym to zrobił. Wszystko poszło nieco innym torem, niż to sobie umyśliłem. Ciebie, na przykład, wcale nie chciałem porywać. - Hrabia odstawił koniak i spojrzał na Dyanę. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie i jakiś rodzaj strachu. Uwierzyła mu... prawie mu uwierzyła. - Dyano Vantran, ja nie kłamię - zapewnił ją. - Gdybym miał twoje dziecko, z pewnością bym ci o tym powiedział.

To moja wyspa. Ja tu jestem panem i władcą. Ukrywając przed tobą tę wiadomość, niczego bym nie zyskał.

- O Boże, nie! - jęknęła. Zaraz potem ugięły się pod nią kolana i młoda kobieta, wyczerpana i przybita złą wieścią, opadła na pokrywający posadzkę kobierzec. - W takim razie gdzie? Gdzie ona jest?

- Może przepadła na morzu. Okręt, na którym miała tu przybyć, jeszcze się nie pokazał. Może przyplynie, ale na razie nikt z moich ludzi go nie widział. - Biagio westchnął teatralnie. - Nieszczęsne dziecko! Wiem, że musi to być dla ciebie ciężki cios...

- Co ty wiesz? - Splunęła mu w twarz. - Potworze! Porwałś mi córkę i teraz...

Nie mogąc dokończyć, Dyana Vantran pochyliła głowę i z trudem stłumiła rozpaczliwe łkanie. Odgłosy jej rozpaczki obudziły w Biagiu coś, co tkwiło w nim bardzo głęboko, i miał nadzieję, że już nigdy tego nie doświadczy - poczucie wielkiej straty.

Przypomniał sobie śmierć Arkusa i okropną pustkę w sercu, jaką odczuwał po jego pogrzebie.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu poczuł dla tej kobiety współczucie. Utrata dziecka była przypuszczalnie nieznośnie bolesna. Zastanawiał się, czy w czymkolwiek przypomina jego ból po utracie imperatora. Wstał z fotela. Gdy do niej podchodził, jego długi płaszcz ciągnął się za nim po podłodze. Stał nad Dyaną i przez chwilę patrzył na nią z góry.

Była dumną istotą, zbyt dumną i silną, by dać upust swej rozpaczki, zalewając się łzami.

Poczuł do niej szacunek.

- Kobieto, wszystko to nie musi być dla ciebie koszmarem - odezwał się, usiłując by zabrzmiało to łagodnie i uprzejmie. - Nie odzyskasz wolności. Nigdy. Ale możesz tu

sobie jakoś ułożyć życie.

- Obyś zgorzał w piekle, Biagio! - padła odpowiedź.

- To jeszcze się może zdarzyć, jeżeli niektórzy ludzie dopną swego. - Hrabia skrzyżował ramiona na piersi. - Spójrz na mnie, kobieto! - zażądał. - Nie będę mówił do kupy szmat.

- Mów, albo nie - odpowiedziała Dyana. - Nie dbam o to. Biagio, rozjuszony jej obojętnością, chwycił ją obiema dłońmi i bez najmniejszego wysiłku podniósł z ziemi.

- Tak! - warknął. - Jestem silniejszy, niż na to wyglądam, nie uważasz? - Potrząsnął nią energicznie. - Wysłuchasz mnie, suko, albo pożałujesz!

Z ust Dyany strzeliła strużka śliny, trafiając go w oko. Hrabia zaklął i rzucił dziewczynę na posadzkę.

- Nie drażnij mnie! - zagrzmiał. - Mam do ciebie kilka pytań, kobieto.

Odpowiedz, albo oddam cię Łamaczowi Woli, a ten wyciągnie z ciebie wszystko, czego mi będzie trzeba.

W oczach Dyany pojawiła się groza. Biagio uśmiechnął się drapieżnie.

- O właśnie, zaczynamy się rozumieć, prawda? Nie przysparzaj sobie niepotrzebnych cierpień, kobieto. Odpowiedz na moje pytania, a oszczędzę ci rozmowy z Savrosem. Jeżeli nie... niedawno ostrzył wszystkie noże i haki.

- Czego ode mnie chcesz? Nic nie wiem.

- Kłamiesz i to niezbyt dobrze. Wiesz na przykład, dokąd popłynął twój mąż. - Hrabia podszedł nieco bliżej. - Udał się na Liss. Po co?

Dyana zaśmiała się z nienawiścią i pogardą.

- Dlaczego miałabym ci cokolwiek mówić? Wiesz co ci powiem? Powieś się!

- Nienawidzisz mnie, prawda? - spytał Biagio z uśmiechem. - Mogę to zrozumieć.

Ale trzeba nam rozważyć kwestię Savrosa. Ostatnio był bardzo podniecony, a ty pobudziłaś jego apetyt. Muszę ci rzec, że Savros nie jest podobny do innych mężczyzn.

Tamci, kiedy widzą piękną kobietę, taką jak ty, chcą ją wychędożyć. Savros chciałby ją obdrzeć powolutku ze skóry.

Dyana zbladła. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, a potem nagle je zamknęła i zacisnęła zęby.

- No to mnie oddaj na tortury - powiedziała. - I tak ci niczego nie powiem.

- Sam jestem tego ciekaw - przyznał Biagio. Krążył wokół niej jak sęp, spoglądający z góry na swą ofiarę. - Savros mógłby cię skłonić do rozmowy, ale mnie na tym za bardzo nie zależy. Ostatecznie twój trup na nic mi się nie przyda. Chciałbym twoją córeczkę zabrać do Nar, kiedy odzyskam tron. Chciałem, żeby twój mąż przyjechał po nią i by się oddał w moje ręce. Ale jeżeli wolisz, to mogę do tego samego użyć ciebie.

- Co takiego? - Podniosła wzrok pełen rozpacz.

- Dyano Vantran, być może twoja córeczka wciąż jeszcze do mnie płynie. Simon Darquis spóźnia się w końcu na razie tylko jeden dzień. Kiedy przybędzie - i jeżeli przybędzie - będzie miał ze sobą twoją córeczkę. Nie potrzebuję was obu. - Biagio zatrzymał się i przykucnął przed Dyaną. Ujawszy jej podbródek w palce, zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Czego twój mąż szuka na Liss?

Dyana próbowała się wyrwać, ale hrabia trzymał mocno.

- Co to ma znaczyć? - spytała głosem pełnym nadziei. - Chcesz mi oddać córeczkę?

- A odpowiesz szczerze? - naciskał Biagio.

- Co z moją dziewczynką?

- Powiedz mi, co chcę wiedzieć, a ja oszczędzę dziecko. Zamiast niej zabiorę do Nar ciebie. I nie oddam cię mojemu oprawcy. - Biagio puścił jej brodę i łagodnie pogładził ją po policzku, zafascynowany delikatnością jej skóry. - Doprawdy, daję ci tak wiele, a żądam tak niewiele. Uważam, że to bardzo szlachetne z mojej strony. A ty, co o tym myślisz?

Odsunęła się, by uniknąć jego pieszczot.

- Daj mi słowo - zażądała. - Nie wiem, czy jest coś warte, ale przysięgnij.

Uwolnisz moją córeczkę?

- Odeślę ją na Lucel - Lor w całości, albo w kawałkach - odpowiedział Biagio.

-

Wybór należy do ciebie. Powiedz mi, co chcę wiedzieć.

- Takie jest twoje słowo? - skrzywiła się Dyana. - I mam ci zaufać?

Biagio sięgnął pod płaszcz i wyjął sztylet Roshannów - jedyną broń, jaką kiedykolwiek nosił przy sobie. Na widok ostrza źrenice Dyany rozszerzyły się strachem.

Hrabia dramatycznie obrócił sztylet tak, by zamigotał przed oczami Dyany, a potem bez jednego słowa zaszedł ją z tyłu i przeciął krępujące ją sznury. Potem wstał, wsunął sztylet na miejsce i obojętnie podszedł do swego fotela.

- Zaczyna mnie już męczyć pytanie o to samo - poskarżył się, siadając. - Dlaczego Szakal popłynął na Liss?

Oszołomiona kobieta roztarta zbolełe nadgarstki. Hrabia myślał przez chwilę, że rzuci się na niego, ale potem zobaczył, że w jej oczach nie płonie żądza krwi, tylko błysk zdziwienia.

- Powiedz to jeszcze raz - zażądała. - Powtórz mi, że oszczędzisz moją córeczkę.

Obiecuj, że ją odeślesz bezpieczną na Lucel - Lor, a wtedy ja powiem ci prawdę, taką jaką znam. Przysięgnij, Biagio, albo niczego się nie dowiesz.

- Przysięgam że zrobię to, co obiecałem - odpowiedział wreszcie hrabia. - Jeżeli pojawi się tu Simon Darquis z twoją córeczką, zadbam o to, by wróciła bezpiecznie na Lucel - Lor. Nie stanie jej się żadna krzywda. A teraz... - skrzywił się lekko - ... odpowiedz mi wreszcie!

Dyana spuściła wzrok na dywan.

- Richius popłynął na Liss, by pomóc jego mieszkańcom w walce z tobą - odpowiedziała cicho. - Ma im tam wyszkolić armię. Oni chcą zająć twoją wyspę.

Biagio słuchał tego jak muzyki. Na jego urodziwej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Kiedy to ma nastąpić? - spytał.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała. - Do Falindaru przyplłynął lisseński kapitan i zabrał męża, niedługo przed moim pojmaniem. Nazywał się Prakna. Powiedział Richiusowi, że planują napisać na Crote, ale do tego potrzebna im jest jego pomoc. - Odwróciła spojrzenie, przejęta obrzydzeniem do samej siebie. - Obiecałeś, Biagio. Pamiętaj!

- Mam pamięć jak żelazna szkatułka, kobieto. Mów dalej.

- To wszystko - odpowiedziała nieszczęsna Dyana. - Więcej nic nie wiem.

- To nie może być! - nalegał hrabia. - Ilu ludzi? I kiedy? Muszę znać terminy!

- Nie znam terminów! - wybuchnęła. - Przysięgam, że powiedziałam prawdę!

Richius i Lisseńczycy zamierzają zaatakować Crote. Chcą użyć tej wyspy jako

bazy do napaści na kontynent i Czarny Gród. Ale kiedy to będzie, nie wiem. I nie wiem, jak chcą to zrobić. Choć myślę, że niedługo przyjdzie ci czekać. To wszystko.

Niedługo. Biagio uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie mogąc powstrzymać ogarniającej go fali radości, podniósł lampkę koniaku i ukrył uśmiech za szkłem. Jego agenci spisali się nad podziw dobrze. Tak samo Nicabar i pozostali. Prakna prawdopodobnie był dumny z małomówności swoich ludzi, w każdym planie jednak znajdowała się jakaś szczelina, przez którą wyciekały informacje, a czegoś tak wielkiego jak inwazja nie dało się utrzymać w tajemnicy, zwłaszcza przed Roshannami. Biagio pogratulował sobie w duchu.

Wszystko szło zgodnie z jego planem. Prawie wszystko.

- Powiedziałaś prawdę - rzekł. - Dlatego uszanuję obietnicę, jaką ci złożyłem.

I wierzę, że powiedziałaś mi wszystko, co wiesz.

- Wszystko! - zapewniła go Dyana. - Przysięgam.

- Przestań się obawiać o życie córeczki, kobieto. I nie bój się Łamacza Woli.

Sam się z nim rozprawię. - Biagio spojrzał na Dyanę krytycznym wzrokiem. - Wyglądasz okropnie. Przyślę ci kogoś do pomocy w kąpielni i znajdziemy ci czystą odzież.

Mój dom jest bardzo wygodny, Dyano Vantran. Nie widzę potrzeby zadawania ci cierpień. Nie ty jesteś celem mojej nienawiści.

- Nie - odpowiedziała Dyana z goryczą. - Chcesz Richiusa. W ten sposób zamierzasz zmusić go do uległości, prawda?

- Twój mąż odebrał mi coś bardzo cennego - odparł hrabia. - Ja tylko płacę pięknym za nadobne.

Dyana skinęła.

- Tak, znam tę historię. Mylisz się, Biagio. Winisz Richiusa o śmierć swego imperatora, ale on nie miał z nią nic wspólnego.

- Miał, i to jeszcze jak! - wykrzyknął hrabia. Wstał z fotela i podszedł do Dyany. - Twój przeklęty kochaś zabił Arkusa! Przez ciebie porzucił służbę u imperatora i przyłączył się do Triinów, stając przeciwko Nar. A to spowodowało śmierć na Arkusa. Vantran miał pojechać na Lucel - Lor, by go uratować!

- Nie! - zaprotestowała Dyana. - Mylisz się... Wszyscy się mylą! Na Lucel - Lorze

nigdy nie było magii, która mogłaby uratować imperatora. Richius nie mógł mu w niczym pomóc.

Hrabia czuł, że lada moment wybuchnie gniewem.

- Nie próbuj go bronić! - syknął. - Nie przede mną! Znam prawdę o Szakalu. Wiem, co zrobił Arkusowi. I każę mu zapłacić za to, co zrobił mnie!

Obrócił się tak energicznie, że płaszcz zawirował wokół jego stóp, unosząc się nad podłogę, i jednym haustem opróżnił lampkę koniaku, z najwyższym trudem zwalczając chęć uderzenia kobiety. Była żalostną ofiarą uroku Szakala, tak samo jak wielu innych głupców.

Koniak spłynął mu przez gardło piekącą falą, wywołując atak kaszlu. Wściekłym ruchem cisnął pustym naczyniem o kominek, rozbijając je w drobny mak.

- Nigdy więcej w mojej obecności nie mów o nim dobrze! - ostrzegł Dyana. - Możesz za to stracić język.

- Nie złam tylko złożonej mi obietnicy - odpowiedziała Dyana. - Bo jak nie, któregoś dnia poczujesz nóż w plecach!

Spojrzał na nią zaskoczony i zdumiony groźbą.

- O, pewien jestem, że to akurat potrafisz - odpowiedział. - Bez obaw, będę się strzegł.

Teraz już idź. Wykap się i zjedz coś.

Dyana zmieszana rozejrzała się dookoła.

- To wszystko?

- Na razie tak. Jeżeli będę cię potrzebował, to po ciebie poślę. Idź. Na zewnątrz z pewnością czeka na ciebie Malthrak. Powiedz mu, żeby cię zaprowadził do kobiet ze służby.

Niech ci znajdą jakąś komnatę i wykapią. - Biagio z niesmakiem machnął dłonią. - No, idź już.

Pospiesz się.

Oszołomiona Dyana Vantran wyszła z komnaty. Biagio usłyszał, że znalazłszy się na korytarzu, przekazała Malthrakowi jego polecenie. Upewniwszy się, że sobie poradziła, podszedł do drzwi i zamknął je, nie chcąc, by Savros lub ktokolwiek inny mu przeszkodził.

Wabiła go butelka koniaku na antycznym biurku. Wziął ją i pociągnął łyk. Na Crote nie było ostatnio łatwo o dobry koniak. Zaczynało brakować wszystkiego, włączając w to cierpliwość.

Biagio przez dłuższą chwilę siedział nad butelką koniaku. Powinien być rad z wieści o Liss, ale nie wiadomo dlaczego myślał tylko o Simonie.

Simon, jego uwielbiany przyjaciel. Gdzież się teraz podziewał? Czy płynął ku Crote?

A może leżał na dnie morza otoczony rekinami? Biagio szybko wychylił trunek i nalał sobie następną porcję. Nie był gotów na wyciąganie wniosków - nie wtedy, gdy w grę wchodziły emocje. Zamknął oczy i ujrzał twarz Simona, a potem szybko odpędził ją w niebyt.

Miał przed sobą sporo pracy. Nie mógł sobie pozwolić na tęsknotę za kochankiem, który właściwie nigdy nim nie był. Jego wspaniały plan był prawie gotów. Zostało jeszcze tylko parę drobiazgów...

Dyana rozsiadła się w ogromnej wannie, pełnej bulgoczącej wody i zamknawszy oczy, pozwoliła służącej Biagia oblać się dzbanem cudownie gorącej wody. Komnata, do której ją zaprowadzono, leżała daleko od salonu Biagia, w części pałacu zamieszkaney głównie przez niewolników i niewolnice, takich jak ta, która teraz jej usługiwała. A jednak, mimo niskiej pozycji społecznej mieszkańców tego skrzydła, łazienka była niezwykle wymyślnie urządzona. Na środku komnaty stała ogromna wanna na lwich łapach. Podłoga była złożona z mozaikowych płytek, a po wyłożonych pięknymi kobiercami ścianach pięły się piękne, kwitnące pnącza. Na satynowych poduszkach spoczywały delikatne i kruche naczynia z porcelany, a na spiżowych hakach wisały niezwykle szaty obrębione złotogłowiem.

W przesyconym parą powietrzu wisiał zapach lawendy, który rywalizował z wonią białej niczym kość słoniowa orchidei kwitnącej w złotej wazie ustawionej na marmurowym postumencie.

Na półkach stały szklane naczynka z barwnymi olejkami do nacierania po kąpieli i liczne wonne mydła, powycinane w rozmaite wzory i poukładane w plecionych koszach.

Dyana jednak myślała tylko o Shani.

To, że Simon nie wrócił na Crote, wydało jej się niepodobieństwem, a jednak uwierzyła Biagiowi. Nie widziała powodu, dla którego hrabia miałby jej zełgać, choć kłamstwo było jego domeną. Jeżeli jednak powiedział prawdę, oznaczało to, że Shani jest w niebezpieczeństwie. Albo coś gorszego. Dyana jęknęła, gdy niewolnica nacierała jej włosy oliwą i zmywała z nich brud. Przebyła całą tę drogę, przecierpiała tę nie poddającą się żadnemu opisowi podróż i obmacywanie ciemnoców tylko dlatego, iż podtrzymywała ją na duchu pamięć o jasnej twarzyczce córeczki. Myśl o tym, że na koniec wreszcie zobaczy małą, dodawała jej sił, a teraz, siedząc w wannie, czuła, że traci resztki nadziei. Po jej twarzy i piersiach spływała rozkosznie ciepła woda, ona zaś bezwstydnie i na oczach obcej kobiety pograżyła się w melancholii.

- Jesteś, pani, bardzo ładna - odezwała się niewolnica, ciemnowłosa dziewczyna o bezmyślnym, głupiutkim uśmiechu.

Czy ona w ogóle wiedziała, że jest niewolnicą? Jakim miejscem jest ta wyspa?

Wszyscy służący okazywali obrzydliwą radość i służalczość, jakby te złote obroże na ich szyjach były tylko nic nie znaczącymi ozdobami. Niewolnica przedstawiła się Dyanie, ta jednak jej nawet nie usłyszała. Dziewczyna miała na imię bodajże Kyla.

- Nie martw się, zaraz cię umyję - zapewniła Dyanę niewolnica, potrząsając głową w geście współczucia. - Na tym okręcie musiało ci być okropnie. Czasami kąpię marynarzy, kiedy schodzą na ląd. Trafiają się jeszcze brudniejsi od ciebie!

Dyana westchnęła z irytacją. Taka zdawkowa rozmowa tylko ją rozpraszała, a ta idiotka uwielbiała czczą gadaninę. Od chwili, kiedy Dyana weszła do łaźni, zalewała ją niemal nieprzerwanym potokiem słów. Niewolnica zanurzyła dłonie w wodzie, nabrała płynu i oblała nim twarz Dyany, by obmyć ją z mydlin.

- Nigdy nie widziałam Triinki - paplała dalej. - Twoja skóra jest taka biała.

Jak u gołębic. - Przesunęła miękką dłoń po ramionach Dyany, by sprawdzić, jaka jest w dotyku. - Delikatna...

- Co ze mną będzie? - ucięła Dyana. - Jak myślisz, co ze mną zrobi Biagio?

Kobieta parsknęła śmiechem.

- Nic, Dyano Vantran. Powiedziano mi, że mam się tobą zająć. Po kąpieli odprowadzę cię do komnaty. Już się ją dla ciebie szykuje, pani, ale tym zajęli się inni.

- Komnaty? - skrzywiła się Dyana. - To wy tu tak nazywacie cele w lochu?

- Ależ skąd! - poprawiła ją spokojnie niewolnica. - Nikt cię tu nie będzie więził.

Znaczy... trochę tak, ale nikt nie będzie cię traktował jak więźnia. Mistrz jest bardzo uprzejmy dla swoich gości... Wyjawszy tych, oczywiście, którzy go zdołali zirytować.

Jeżeli będziesz robiła to, co Mistrz każe, nic ci tu nie grozi.

- Mistrz! - Słowo to wypadło z ust Dyany niemal jak splunięcie. - Dlaczego go tak nazywasz? Ja go uważam za łajdaka nad łajdakami!

- Powinnaś go nazywać hrabią Biagio - wyszeptała przestraszona dziewczyna.

- W ogóle nie chcę mówić o tym potworze. Może mnie więzić na tej wyspie, ale co myślę, to moja sprawa, i będę mówiła o kimkolwiek tak, jak będę chciała!

- Minie trochę czasu i zmienisz zdanie. - Niewolnica się uśmiechnęła.

- Prędzej piekło zamarznie! - odparła Dyana. Usiadła sztywno, co wywołało falę, która chlupnęła za krawędź wanny. - I sama się mogę namydlić! - syknęła. - Idź sobie, proszę!

Jej wybuch zdumiał, przestraszył, a także nieco uraził niewolnicę, która cofnęła się, z trudem ukrywając gniew.

- Jak sobie życzysz, lady Vantran. - Wstała z klęczek. - Musisz być bardzo zmęczona, pani. Poczekam na ciebie na zewnątrz. Jeżeli zechcesz wstać, zawołaj mnie, a przyjdę i cię wytrę.

- Wytrzeć też się mogę sama - odpowiedziała Dyana. Wskazała dłonią drzwi. - Żegnaj.

Po wyjściu niewolnicy Dyana znów się zanurzyła w wannie, kryjąc się aż po brodę.

Nozdrza nappełnił jej natarczywy zapach kwiatów, bądź co bądź znacznie przyjemniejszy, niż okropny smród okrętowej ładowni. Czucie znów wracało w jej kończyny, przepędzając chłód, a woda zmyła warstwę brudu, którą do niedawna uważała za swoją drugą skórę.

Poczuła się... lżej. Biagio zamknął ją w zdumiewająco przytulnym więzieniu. Jeżeli dotrzyma słowa i oszczędzi Shani, również ona dotrzyma przysięgi, jaką mu złożyła. Nieważne, co planował dla niej, nieważne, jak podły był jego plan... Wszystko mogła poświęcić, by uratować córeczkę.

- Nie odbierzesz mi dziecka - szepnęła z wyzwaniem w głosie. - Ani męża. Pobiję cię, diable.

Zaczęła snuć skomplikowany plan, kiedy drzwi do łaźni otworzyły się znowu. Przez uchyloną szparę wyglądała zza nich inna dziewczyna, której Dyana jeszcze nie widziała - kruczowłosa, czarnooka piękność, która ujrawszy Dyane, uśmiechnęła się do niej nieśmiało.

Miała na szyi zwykłą obręcz niewolnicy, ale odziana była zupełnie nie jak służąca. Jej suknia była droga, piękna i uszyta ze świetnego materiału, który doskonale przylegał do ciała nieznajomej. Dziewczyna ostrożnie przestąpiła przez próg.

- Przeszkadzam? - zapytała.

- Tak - odpowiedziała Dyana.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, ale nie cofnęła się. Zamiast tego weszła dalej i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Poruszała się lekko jak duch, bezgłośnie i gibko. Dyana, czując nagłe zakłopotanie, osunęła się głębiej w wodę i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Kim jesteś? - spytała.

Dziewczyna podeszła bliżej i zatrzymała się obok wanny. Dyanie wydało się, że nieznajoma nie wie, od czego zacząć, okazując na przemian strach i ożywienie.

- Mam na imię Eris - odparła. - Chciałam cię zobaczyć.

- No, to już mnie sobie obejrzałaś. Czego się spodziewałaś, pani?

Eris powstrzymała złość.

- Przepraszam, zachowuję się głupio. Muszę z tobą pomówić. Jesteś pani, Dyana Vantran, prawda?

- Owszem, jestem. A ty jesteś Eris. Witaj, pani. Dziewczyna rozpromieniła się nagle.

- Witaj, lady Vantran. Wiem, że przeszkadzam, i przepraszam. Ale musiałam się z tobą zobaczyć i rozmówić. To bardzo ważne.

Dyana też się uśmiechnęła. Natrętna piękność wyglądała uroczo i nie sposób było ją zbyć zdawkowymi słowami. Triinka skupiła uwagę na otaczającej ją pianie.

- Ważne? Cóż, więc mów, o co chodzi? Siadaj, proszę. Przy wannie był ozdobny taboret. Eris odciągnęła go nieco dalej, by zachować pełen szacunku dystans, i usiadła,

krzyżując przed sobą nogi.

Jej niepokój zaintrygował Dyane.

- W czym rzecz, Eris? - spytała uprzejmie. - Skąd wiesz, kim jestem?

- Wszyscy w tym pałacu wiedzą, kim jesteś, lady Dyano. Jesteś żoną Szakala.

Wszyscy też o tobie mówią. Kiedy się dowiedziałam o twoim przybyciu do pałacu, postanowiłam przyjść i zapytać o pewną osobę.

- A dlaczego wszystkich aż tak bardzo interesuję? Czy jestem pierwszą i jedyną Triinką na Crote?

- Och, pani, nie pytam o ciebie. Chcę zapytać o kogoś innego.

- O kogo?

Eris pochyliła się, obejrzała przez ramię, jakby chciała sprawdzić, czy są same, a potem szepnęła konspiracyjnie:

- O Simona.

Pytanie natychmiast rozwiało dobry nastrój Dyany.

- O Simona? - spytała gniewnie. - A co chcesz wiedzieć o tym łajdaku?

Eris pobladła.

- Tak, o Simona. Znasz go, prawda?

- Znam - warknęła Dyana. - A ty?

- On... ja... - Dziewczyna jeszcze bardziej zniżyła głos i mocno się zarumieniła. -

My się kochamy.

Dyana zamrugła. Przez chwilę patrzyła na rozmówczynię niepewna, co odpowiedzieć; nie mogła pojąć, jak to możliwe, że tak piękna osoba kocha takiego potwora, jak Simon. Eris odpowiedziała jej wzrokiem równie zdumionym i zmieszanym.

- Lady Vantran, widziałas Simona, prawda? Bardzo się o niego martwię. Powinien już wrócić do domu, ale nie wrócił. Wiesz, gdzie może być?

- Och, dziewczyno... - westchnęła Dyana. - Nie mogę ci pomóc... I naprawdę uważam, że lepiej będzie, jeśli odejdziesz.

- Dlaczego? - spytała Eris z desperacją w głosie. - Powiedz mi, proszę. Co o nim wiesz? Czy coś mu grozi?

- Och, Eris, przestań mnie wypytywać - poprosiła błagalnym tonem. Nie mogła znieść widoku niewinnej twarzyczki dziewczyny i malującej się na niej udręki. - Nie

mam pojęcia, gdzie teraz jest Simon. Gdybym miała, z pewnością bym powiedziała.

Ja... - Potrząsnęła głową i uciekła spojrzeniem w bok. - Proszę, niczego nie wiem.

Eris, która poza wszystkim innym wyglądała na przenikliwą osobkę, potrząsnęła głową.

- Kłamiesz - powiedziała bezbarwnym tonem. - Coś przede mną ukrywasz. - Wstała z taboretu i uklękła obok wanny. - Pani, wiem, że Simon szpiegował dla Mistrza.

Wiem, że musisz go nienawidzić. Chcę tylko, byś mi powiedziała, czy go widziałaś i czy jest bezpieczny. Dlaczego nie chcesz mówić?

- Tak uważasz? - spytała Dyana. - Sądzisz, że Simon po prostu wykonywał w Falindarze szpiegowską misję? Dziewczyno, jesteś w błędzie. Twój ukochany popłynął tam, by wykraść moją córeczkę. I w tej chwili ma ją gdzieś ze sobą.

- Och, nie! To niemożliwe! Simon popłynął tam, by szpiegować twojego męża.

Sam mi to mówił!

- Skłamał - upierała się Dyana. - Poderznął gardło piastunce mojej córeczki, a potem uprowadził dziecko. Tak właśnie zrobił. Jeżeli nie wierzysz, spytaj Biagia. Sam się do tego przyznał.

W oczach Eris zamigotało i zgasło jakieś światełko. Zdumiona usłyszana wieścią otworzyła usta, nie wydała jednak żadnego dźwięku, tylko długie, bolesne westchnienie.

- To prawda, Eris - ciągnęła Dyana. - Dlatego właśnie tu jestem. Przywieziono mnie tu, bo szukałam córeczki porwanej przez Simona i zostałam pojmana przez ludzi, których on posłał. Nie wiem, gdzie on jest. I nie wiem, gdzie jest moje dziecko.

Ale kiedy go znajdę, zabiję drania. Przysięgam!

- Nie - odpowiedziała Eris, potrząsając uparcie głową. - To niemożliwe. Simon nigdy by tego nie zrobił. Wiem, że by nie zrobił!

- Jesteś w błędzie - odpowiedziała Dyana bez cienia litości w głosie. - Zrobił to.

Ten twój kochaś jest czarującym człowiekiem. Wszystkich nas oszukał. Sprawił, że go polubiliśmy i myśleliśmy, że i on nas lubił. A potem porwał moją małą córeczkę. Może i ciebie oszukał.

- Nie! - zawołała Eris. Podniosła się i zasłoniła sobie uszy, jakby nie chciała słuchać. - Kłamiesz, pani! Nienawidzisz Simona, bo służy Biagowi. Ale on jest inny. Jest dobry i łagodny!

- Dobry i łagodny dla ciebie... być może - stwierdziła Dyana.

- Nam jednak wyrządził niesłychane okrucieństwo. - Wyciągnęła ociekające wodą ramię i pochwyciwszy Eris, przyciągnęła ją bliżej.

- To prawda, dziewczyno. Możesz sobie myśleć o Simonie, co chcesz, ale ja ci nie skłamałam. Uprowadził Shani. A teraz oboje przepadli. Ty straciłaś swego mężczyznę, ja straciłam córeczkę.

- O Boże! - jęknęła Eris. - To wszystko przez Biagia! To on namówił do tego Simona.

Mieliśmy się pobrać! Biagio go zmusił, nie mogło być inaczej!

Niewolnica wybuchnęła płaczem. Dyana trzymała ją za ramię. Chciałaby jakoś pocieszyć płaczącą, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać, ani dlaczego miałyby to robić.

Dziewczyna niechybnie była niewinna; przebiegły agent hrabiego ogłupił ją tak samo, jak innych. W ciągu kilku minut pomiędzy Dyaną i niewolnicą zrodziła się więź podobna do pokrewieństwa.

- Ale może on żyje - podsunęła Dyana. - Może nic się nie stało jemu i mojej córeczce. Nie możemy się spierać. Musimy mieć nadzieję.

- Ale ty go zabijesz - chlipnęła Eris. - Pewnie ci się to nie uda, ale będziesz, pani, próbowała. Och, zechciej zrozumieć! On to zrobił dla mnie! Tylko wzgląd na mnie mógł go skłonić do porwania twojego dziecka. Wierz mi, znam Simona lepiej, niż ktokolwiek inny. On nie jest potworem, za jakiego go uważasz.

- Eris...

- Nie jest! - upierała się Eris. - Chcę, żebyś w to uwierzyła.

- Nie mogę - odpowiedziała Dyana. Spróbowała cofnąć dłoń, ale Eris chwyciła ją i nie puszczała.

- Lady Vantran, nie chcę, byś myślała, że Simon cię nienawidzi, albo życzy ci źle.

Wobec twojego męża też nie żywi złych zamiarów. On tylko robi to, co każe mu nasz Mistrz, ot i wszystko. Jeżeli rzeczywiście porwał twoje dziecko, to jestem pewna, że nie uczynił mu żadnej krzywdy.

Dyana przełknęła ślinę, by powstrzymać wybuch płaczu. Nie mogła znieść myśli o tym, że Shani jest w obcych rękach i rozpaczliwie zapragnęła uwierzyć Eris.

Przypomniła sobie nieliczne chwile, w których miała okazję poznać bliżej Simona w Falindarze, przypomniała sobie, jak wielką zawsze okazywał rezerwę i zaczęła się zastanawiać, czy pod jego maską kryła się w ogóle jakaś odrobina człowieczeństwa, która kazałaby mu zatroszczyć się choćby pobieżnie o zdrowie Shani. Eris sądziła widocznie, że tak. Dyana pozostała tylko nadzieja, że niewolnica lepiej od niej poznała swego kochanka.

- Co jest z twoim panem? - spytała, by zmienić temat rozmowy. - On jest szalony.

Od razu poznałam, gdy tylko go zobaczyłam. A te jego oczy! Są jak błękitne diamenty. Skąd to się wzięło?

Eris kiwnęła bezradnie głową.

- To skutek eliksiru.

Wyjaśniła, jak bardzo Biagio był uzależniony od eliksiru, który trzymał go przy życiu.

Powiedziała też, że oboje z Simonem doszli do wniosku, że diabelski eliksir wyżarł hrabiemu część mózgu i przypawił o szaleństwo. Dyana wiedziała o eliksirze od Richiusa, ale potwierdzenie tych rewelacji z ust Eris, a przede wszystkim spojrzenie w niesamowite oczy Biagia poraziło ją niczym grom. Eris mówiła szeptem, jakby się bała, że ktoś może je podsłuchać.

- Nie zawsze był taki - ciągnęła. - Za młodu był normalnym człowiekiem. Ale teraz eliksir zapanował nad nim całkowicie. A od śmierci Arkusa zmienił się jeszcze bardziej.

- Arkus! - Dyana zgrzytnęła zębami. - To imię poznałam aż za dobrze! Twój pan oskarża mojego męża o spowodowanie śmierci imperatora. Próbowałam mu powiedzieć, że się myli, ale on w ogóle nie chciał mnie słuchać.

- Nikogo nie słucha - zgodziła się Eris. - I wciąż się obnosi z żałobą po Arkusie.

Stary imperator był dla niego jak ojciec. Simon mówił, że ta śmierć go zniszczyła. Widzisz, on ma tak niewiele... Nie ma żadnej rodziny. Zostali mu tylko niektórzy z Żelaznego Kręgu...

- Żelazny Krąg?

- Jego poplecznicy, ci, którzy się z nim sprzymierzyli przeciwko Herrithowi. - Eris uśmiechnęła się lekko. - Dyano Vantran, o bardzo wielu sprawach jeszcze nie wiesz.

I nie rozumiesz Biagia prawie wcale.

Dyana skinęła.

- To powiedz mi o wszystkim, o czym powinnam wiedzieć, Eris. Jeżeli przyjdzie mi tu żyć, muszę poznać wszystko i wszystkich. Biagio chce mnie wziąć do Nar. Chcę, byś mi opowiedziała o wszystkim, co jest ci wiadome.

Na twarzy Eris pojawił się nieco przewrotny uśmiezek.

- A wiem bardzo wiele - szepnęła.

I zaczęła opowiadać o Biagiu i jego przeciwnej naturze miłości do Simona.

Dwadzieścia siedem KU SMOCZEJ PASZCZY

Admirał Danar Nicabar napchał sobie brzuch rybami, otulił szyję wełnianym kołnierzem i zapatrzył się w noc, w dwa okręty, które podążając za „Nieustraszonym”, przecinały fale zimnego oceanu. Dwa okręty eskorty, „Intruz” i „Czarny Gród” były prawie niewidoczne w ciemnościach. Sztorm z południa gnał ich na północ, spychając ku Smoczej Paszczy. Nicabar widział na horyzoncie zygzaki błyskawic, które na krótko rozjaśniały niebo.

Ostry wiatr hulał po pokładzie, szarpiąc admiralską opończę i rozwiewając Nicabarowi włosy, ale ten nie zwracał na nic uwagi. Lata służby na morzu zahartowały go na kaprysy pogody.

Usłyszawszy o surowych zimach w Smoczej Paszczy, roześmiał się z drwiną. Po niedolach morskiej pogody nie było na lądzie niczego, co mogłoby go zniechęcić.

A już z pewnością nie bał się generała Vorta.

Miał trzy liniowce, z których jednym był „Nieustraszony”. Nicabar uśmiechnął się z satysfakcją. Biagio nie był pewien, czy trzy okręty wystarczą, ale Nicabar ufał swoim działom. Vorto mógł przywieść do Smoczej Paszczy cały legion, ale tych sił i tak nie wystarczyło, by oprzeć się bombardowaniu. Jeżeli Enli zrobił swoje i unieszkodliwił kruka brata i jeżeli najemnicy Biagia zajęli zgodnie z planem północną mierzeję, trzy okręty liniowe wystarczą aż nadto.

W pewnej chwili Nicabar przestał się uśmiechać i zmarszczył brwi. Sporo było tych, jeżeli”. Ale diuk Enli był mądrym i przebiegłym człowiekiem. A Vorto był bałwanem. Biagio oczywiście był z nich wszystkich najbardziej przebiegły i skoro wszystko do tej pory szło zgodnie z jego wspianym planem, Nicabar nie widział powodów do obaw o ostateczny wynik. Plan był skomplikowany i precyzyjny, i niekiedy nawet sam Nicabar zastanawiał się, czy da się go ziścić, ale Biagio po mistrzowsku potrafił manipulować ludźmi i wydarzeniami.

Kiedy pociągał za niteczki, cały świat tańczył zgodnie z jego wolą.

Południową część nieboskłonu rozdarła oślepiająca błyskawica, która zostawiła powidok pod powiekami admirała trwający jeszcze w chwilę potem, jak zgasła.

Admirał” czekał na nieunikniony grzmot. A potem go usłyszał, głośniejszy niż głos Boga huczący z nieba. Wkrótce takie huki wstrząsną Smoczą Paszczą, pomyślał Nicabar. Kiedy „Nieustraszony” otwierał luki artyleryjskie, drżał cały świat. Nicabar zsunął z dłoni rękawicę i pogłaskał najbliższy maszt. Drewno było twarde, solidne i niepodatne na pogodę. Żadna lisseńska łajba nie mogła sprostać „Nieustraszonemu”. Okręt był bez skazy, zbudowano go z najlepszych materiałów i Nicabar darzył go największą miłością. Niektórzy ludzie pożąдали kobiet, inni - jak Biagio - woleli mężczyzn. Admirał Nicabar przyszedł na świat, by dowodzić wielkimi okrętami. Był tego pewien jak niczego innego na świecie. Bóg sięgnął ku niemu swą potężną dłońią z Niebios i wskazał mu przeznaczenie słowami: „Oto jest mąż, który będzie władał morzami. Daję mu nad nimi wszelką władzę”.

Pierś Nicabara wezbrała dumą. Rządy nad morzami nie były przeznaczeniem Liss. Te miały należeć tylko do niego. Lisseńczycy byli uzurpatorami. Myśleli, że położenie ich wysp dawało im prawa do światowych wód. Nic bardziej błędnego. Tak samo mylił się Prakna. Na myśl o nienawidzącym go Lisseńczyku Nicabar uśmiechnął się szeroko. Prakna był żalonym, godnym litości głupcem. Owszem, niezły był z niego żeglarz, ale Nicabarowi nie dorastał do pięt. Admirał wiedział, że któregoś dnia udowodni to. Biagio był mu wiele winien za niezachwianą wierność, a Nicabar chciał od niego tylko jednego.

Liss.

- Cóż, na razie trzeba będzie z tym poczekać - szepnął admirał sam do siebie.

Raz jeszcze poklepał pieszczotliwie maszt okrętu i naciągnął rękawicę, chuchając uprzednio na palce, by trochę je ogrzać. Przede wszystkim musiał się rozprawić w Smoczej Paszczy z Vortem.

Nie była to wcale niemiła perspektywa.

Dwadzieścia osiem ŚWIĘTO SETHKIN

Wielkie Święto Sethkin zaczęło się w piękny, słoneczny dzień, w centrum Nar nieopodal Katedry Męczenników. Jak to było z zwyczaju, otworzył je uroczystym kazaniem arcybiskup Herrith. Był to jedyny dzień w roku, w którym Ojciec Święty spacerował wśród swojej trzódki bez straży, jakby był jednym z nich i jakby dzielił z nimi trudy żywota. Ulice ozdobiono barwnymi sztandarami i girlandami, a nad nimi powieszono wielkie i złowieszcze obrazy o treści religijnej. Wszędzie słychać było dźwięki muzyki i okrzyki kramarzy, zachwalających swoje dobra. Powietrze było przesycone egzotycznymi woniami, a na ulicach zabawiali tłumy sztukmistrze i treserzy zwierząt. Na poboczach ulic porozsiadali się ze swoimi rodzinami nareńscy panowie, ciesząc się widokiem procesji i pełnymi płucami wdychając czyste powietrze, ponieważ z rozkazu biskupa na ten dzień pozamykano huty i kuźnie, by ich kominy nie rzygały dymem i nie psuły świątecznej atmosfery.

Wzdłuż całej ulicy Wysokiej spacerowali panujący książęta z całego Imperium trzymający się niezamężnych panien, przed którymi chępli się swoimi bogactwami, a majątni kupcy wędrowali od kramu do kramu, by obwiesić swe żony kosztownymi drobiazgami wystawionymi na sprzedaż przez sklepikarzy, którzy nie mogli się wręcz doczekać pieniędzy zalewających miasto. Święto Sethkin było czymś więcej niż tylko dniem poświęconym religii. Było to wielkie święto całego Nar, podczas którego bogacze schodzili ze swoich wież i mieszały się w tłumie z biedakami.

Zgodnie z dekretem Herritha szeroko otwarto drzwi sierocińca. Ulica Wysoka pełna więc była osieroconych dzieci, których twarzyczki płonęły podnieceniem. W tłumie kręcili się wszędobylscy akolici z katedry, którzy mierzyli trzódkę bacznymi spojrzeniami i nieustannie przypominali wiernym o potrzebie pobożności i dotacjach na zbożne cele. Kren było czasem poświęconym na post i medytacje, okresem pokuty, który miał swoją kulminację podczas Eestrii, najważniejszego ze świętych dni w nareńskim kalendarzu. Podczas najbliższego miesiąca wierni mieli więc się modlić, regularnie odwiedzać kościoły i składać w nich hojne datki. Co ważniejsze, mieli błagać Boga, by w swej nieskończonej łaskawości zechciał wybaczyć popełnione grzechy. Herrith wiedział,

że w Nar żyło wielu grzeszników.

Nie był oczywiście jednym z nich, ale nawet i on musiał okazywać pokorę w obliczu Pana.

Podczas Krenu nawiedzały go też szczególnie wyraźne niebiańskie wizje.

Jutro wszyscy mieli zacząć trwające do Eestrii głodówki, dziś jeszcze jednak można było do woli używać dóbr danych ludziom przez dobrego Boga - z czego korzystał cały Czarny Gród. Pośrodku ulicy Wysokiej pobudowano platformy dla menażerii z Dorii, gdzie wystawiano na pokaz przerażające bestie, na widok których dorośli i dzieci otwierali z podziwu usta. Były tu słonie o potężnych kłach, żółtawe lwy, tańczące psy i śmiejące się przeraźliwie małpy. Pogromcy i treserzy przemawiali do tłumu, przedstawiając zwyczaje swych podopiecznych i namawiając dzieci do spróbowania przejażdżki na słoniu. Do wtóru przygrywali im muzycy, a kupcy rozkładali swe wspaniałe towary na licznych kramach, tak że ulica Wysoka nie przypominała już pospolitego targowiska. Jak co roku przekształcała się w wystawę przepychu i wspaniałości.

Zadowolony arcybiskup spacerował wśród tłumu, uśmiechając się łaskawie do Narenów, którzy błagali o pozwolenie dotknięcia rąbka jego świętych szat. Obok niego szła Lorla Lon, trzymająca go prawą rączką. W lewej trzymała lodowy przysmak, kawałek mrożonej słodkości na patyczku, który kupił jej Herrith. Lizła łapczywie i siorbała z apetytem, wodząc zachwyconym wzrokiem po cudach i cudeńkach doriańskiej menażerii.

Herrith zdążył się już opchać ciastkami z niedalekiego kramu pełnego słodkich wypieków. Od czasu, kiedy zaczął przyjmować eliksir Biagia, wrócił mu apetyt. Bez problemu łykał teraz tuzin najlepszych ciastek.

Herrith podprowadził Lorlę ku stojącej na poboczu ławce. Siedział już tam jakiś człowiek w otoczeniu swojej rodziny, ale ujrawszy biskupa, wszyscy oddalili się pospiesznie, zostawiając miejsce świętemu mężowi. Po obu stronach ławki zatrzymali się dwaj akolici, którzy stanowili dziś eskortę dostojnika. Właściwie w dzień taki jak dzisiejszy biskup powinien obywać się bez straży, ale jego zakapturzeni słudzy woleli nie ryzykować - uzbroili się w sztylety, które teraz ukryli pod habitami. Lorla usiadła pierwsza, wywijając w powietrzu nóżkami i przechyliwszy główkę, patrzyła na paradę

zwierząt. Odziana w niebieską sukienkę, którą na tę okazję kazał jej uszyć Herrith, wyglądała jak anioł, albo jak dziecko jednej z najzamożniej szych nareńskich rodzin. Biskup usiadł obok i podwinął pod kolana poły długiego habitu. Zebrany wokół tłum rozdzielił się, by Ojciec Święty miał lepszy widok.

- Dobrze się bawisz, dziecko? - spytał Herrith, podnosząc głos, by dziewczynka mogła go usłyszeć w tym tumultcie.

Lorla skinęła główką.

- Och, tak, ojczy. To jest cudowne.

Było cudowne. Herrith czuł się tak, jakby przeżywał na jawie najpiękniejszy sen.

Będąc sługą bożym, nie był żonaty, ani nigdy po złożeniu ślubów nie miał kobiety.

Posiadanie rodziny i dzieci takich jak Lorla od dawna było mu zabronione. Teraz jednak czuł się prawie jak zwykły człowiek, za czym od dawna tęsknił w duchu. Miał swego Boga i dziecko, których mógł uwielbiać, co dawało mu szczęście. Lorla dała mu więcej, niż śmiał przypuszczać. Nie w tym rzecz, że nazywała go „ojcem”. Od przybycia do katedry była mu w istocie córką. Pomiedzy obojgiem wytworzyła się szczególna więź, Herrith zaś nie dbał o tych, którzy za jego plecami wymieniali kpiące spojrzenia. Zawsze istniały jakieś plotki, krążące nawet wśród kapłanów. Niektórzy przypisywali mu obrzydliwe obyczaje.

Herrith jednak wiedział, że jego serce jest czyste. Kiedy spoglądał na Lorlę, widział tylko życie, jakie pragnął kiedyś wieść, i wszystkie możliwości stojące przed młodym człowiekiem.

Bóg kochał dzieci i nakazał ludziom je kochać. To, co biskup robił, było tylko stosowaniem się do Bożej woli.

Ponownie ujął teraz Lorlę za rękę i zaczął jej pokazywać rozmaite zwierzęta, zaskakując ją rozległością swojej wiedzy. Widywał już niezliczone uroczystości, a Dorianie co roku obnosili się ze swoimi menażeriami. Herrith znał wszystkie ich sztuczki.

Ale jego znajomość zwierząt nie tłumila entuzjazmu, a kiedy słonie stanęły na tylnich nogach i uniósłszy zagięte wężowo trąby, ryknęły równie radośnie, co hałaśliwie, Herrith wraz z innymi parsknął śmiechem i zakrył uszy.

- Ojejku! - zaśmiewała się uradowana Lorla. - Jakie to głośne!

Niewiele brakło, a ryk słoni straciłby loda z patyczka, Lorla zdążyła jednak temu zapobiec. Doszedłszy do wniosku, że najlepszym miejscem dla słodyczy była jej buzia, znów zaczęła ssać zimną rozkosz, jednocześnie podskakując w takt muzyki. Kiedy się objadała, Herrith patrzył na nią spod oka, bezgranicznie szczęśliwy, że może z nią dzielić swoją radość.

Za kilka dni miała obchodzić urodziny; kończyła dziewiąty rok życia. W jej wieku każdy miniony rok był kamieniem milowym. Biskup pragnął, by Lorla wiedziała, jak wielkim ją darzy szacunkiem. Dlatego pozwolił jej swobodnie myszkować po katedrze, dlatego też pozwolił jej od czasu do czasu nękać Daraga i zachwycać się malowanym przez niego sklepieniem, choć tej przyjemności odmawiał nawet sobie samemu. Lorla zdążyła już przecież tak wiele wycierpieć. Czarne Odrodzenie uczyniło z jej dzieciństwa złowrogi koszmar, pozbawiając ją rodziców i niemal całej pamięci. Teraz jednak miała zacząć nowe życie w katedrze - a Herrith otrzymał jeszcze jeden powód do zniszczenia Biagia i jego obrzydliwych popleczników.

- Spójrz tam, dziecko - rzekł Herrith, pokazując dziewczynce idących ulicą klaunów.

Było ich trzech, wszyscy mieli na nogach szcudła, a na jaskrawo pomalowanych twarzach zastygły im sztuczne, gumowe i złośliwe uśmiechy. Każdy miał długą, pomalowaną w żywe kolory szatę, z przyszywanymi barwnymi wstęgami i cekinami. Na głowy powciskali zielone, gęste peruki, które otaczały ich głowy dziko splataną gęstwiną.

Lorla zmarszczyła brwi.

- Śnieżadni - powiedziała szybko. - Nie podobają mi się.

- Wiesz, kim oni są? - spytał biskup, pewien, że dziewczynka nie zna odpowiedzi.

Z białymi twarzami i okropnymi uśmiechami klauni przypominali bardziej demony, niż cyrkowych artystów. - To Klauni Eestrii. Są symbolami grzechu. Jeden uosabia pychę, drugi żądzę, trzeci gniew. Przed tymi uczuciami powinniśmy się strzec podczas Krenu.

Lorla wyjęła loda z buzi, czemu towarzyszył osobliwy dźwięk przypominający cmoknięcie.

- Klauni Eestrii? Nigdy o nich nie słyszałam. Dlaczego wyglądają tak okropnie?

- Mają nam przypominać, że zawsze czają się gdzieś w pobliżu. Co roku w tłumie grasują Klauni Eestrii. Próbują nastraszyć dzieci, by te zawsze pamiętały ich twarze. W ten sposób dzieci się uczą odrazy do grzechu. - Herrith zachichotał. - Niektórym dorosłym też się trzęsą łydki.

- Brzydale - oznajmiła apodyktycznie Lorla. - Uważam, że nie powinni się tu pokazywać.

- Ależ powinni - sprzeciwił się Herrith. - Mają nam przypominać o tym, że zawsze są niedaleko i nawet podczas takiego jak to święta, powinniśmy się wystrzegać grzechu.

- Który z nich jest który?

Herrith parsknął śmiechem.

- Nie mam pojęcia. A ty jak uważasz?

- Zaraz... powiedz mi jeszcze raz, jak się nazywają.

- Żądza, pycha i gniew. Trzy największe nareńskie grzechy. Ten to chyba żądza. - Herrith wskazał najniższego z trójki, którego szczudła nie były tak długie, jak jego kompanów. Klaun miał osobliwy błysk w oczach, który przywodził na myśl coś nieczystego.

- A ty co o tym myślisz?

Lorla ściszyła głos.

- To gniew - stwierdziła z powagą.

- Naprawdę? - spytał Herrith, zbity z tropu jej powagą. - Skąd wiesz?

- Już go widziałam - odpowiedziała dziewczynka, odwracając spojrzenie i patrząc na ulicę. - Poznaję go.

- A gdzie go widziałas, dziecko? - spytał łagodnie biskup. Wiedział, że zapuszcza się na niepewny grunt, ale nie umiał się oprzeć pokusie. Lorla była tajemniczą osobką, a jej przeszłość kryła liczne mroczne tajemnice, które Herrith postanowił rozwikłać. - Możesz mi powiedzieć - rzekł tonem namowy. - Nikomu nie zdradzę żadnego z twoich sekretów.

Lorla przez chwilę głęboko namyślała się nad jego propozycją.

- Takie miny robił diuk Enli, kiedy mówi o swoim bracie. Właśnie tak wtedy wyglądał.

Usłyszawszy to przerażające wyznanie, Herrith puścił dłoń dziewczynki. Od Lorli

nagle powiało chłodem, a w jej niezwykłych oczach, przypominających jego własne, błysnął skrywany gniew. Herrith natychmiast pożałował swego pytania. Cokolwiek widziała, cokolwiek się stało w Smoczej Paszczy, zmieniło ją głęboko. Już nie była małą dziewczynką.

- Diuk Enli wkrótce się opamięta - zapewnił ją. - Wszyscy w Smoczej Paszczy będą bezpieczni, skoro tylko generał Vorto pokona wrogów. A pokona ich z pewnością, to ci mogę obiecać - Uśmiechnął się wstydliwie. - Wierzysz mi, prawda?

- Chyba tak.

- Maleńka, pozbadź się obaw. Vorto zabrał tyle wojska, ile uznał za potrzebne, by odzyskać Smoczą Paszczę dla Boga. Diukowi Enli nic nie będzie. Wkrótce obejmie władzę na całej Smoczej Paszczy. Może zresztą zobaczysz się z nim któregoś dnia, gdy tam zapanuje pokój. Jeżeli zechcesz, mogę doprowadzić do waszego spotkania. Na razie oczywiście jeszcze nie. Ale kiedyś nastąpi to z pewnością.

- Ja nie chcę wcale wracać do Smoczej Paszczy - oznajmiła Lorla. - Nigdy. Tam już nie ma mojego domu... ojczyzny.

Herrith uśmiechnął się.

- Więc będziesz mieszkała tutaj, w katedrze, jak Elioes. Wzmianka o osieroconej świętej rozpromieniła twarz Lorli.

- Powiedz mi coś o niej... Jeszcze jakąś historię.

- Lorlo...

- Opowiedz - nalegała. - Cokolwiek.

Herrith miał w głowie pustkę. Opowiedział już Lorli wszystko, co mu było wiadome o świętej. Dziewczynka chłonęła jego opowieści z otwartymi ustami. W kalekim dziecku odnalazła swoją świętą patronkę i nie wystarczyło jej już tylko patrzenie na fresk Daraga.

Chciała wiedzieć więcej. Jak dziecko, którym przecież była, zawsze chciała więcej.

- Ja ci już opowiedziałem wszystko, co wiem - odpowiedział po chwili. - W świętych księgach nie ma o niej za wiele. I wszystko, co tam można znaleźć, już ci opowiedziałem.

- To zacznij od początku - westchnęła Lorla rozmarzonym głosem. - Powiedz mi,

jak została sierotą i jak spotkała Pana, który ją uzdrowił. To piękna opowieść.

Bardzo ją lubię.

Właściwie istniała tylko jedna opowieść o Elioies i Herrith opowiedział ją jeszcze raz.

Kiedy mówił, Lorla zapomniała o otaczającym ją rozbawionym tłumie, ignorując menażerię i okrzyki sokolników. Herrith mówił i patrzył w jej oczy. Za każdym razem, kiedy wymawiał słowo „sierota”, widział błysk w głębi jej niebieskich oczu. Uwielbiała opowieść o Elioies, która miała ukoić dzieci i ukazać im Bożą moc. Lorla jednak słyszała w niej coś więcej niż tylko zwykłą bajkę. Dla niej była to prawda.

- Bóg ujrzał w Elioies coś niezwykłego - oznajmił Herrith na koniec. - Tak samo, jak widzi coś szczególnego w każdym z nas. Nawet w tobie i we mnie.

- A w tobie, ojczy? Co widzi niezwykłego? - spytała Lorla nagle. Czekaając na odpowiedź, lizała loda.

Herrith pospiesznie przypomniał sobie wszystkie frazesy... i nagle postanowił odpowiedzieć zgodnie z tym, w co wierzył.

- Jestem Jego sługą - oznajmił z dumą. - Wie, że bez wahania poddam się Jego woli. Dlatego obarczył mnie tym brzemieniem. Mam dla niego wykonać wielką pracę.

- Zniszczyć Biagia.

- Nie inaczej. On jest szatańskim pomiotem. Moim zadaniem jest unicestwienie jego samego i wszystkich jego diabelskich dzieł. Tego żądają ode mnie Niebiosy.

Muszę to zrobić, nie oglądając się na koszt. - Herrith obejrzał się dookoła, przestraszył się bowiem własnych słów. Poczul się nagle stary i zgarbił się. - Lorlo, popełniałem czyny, z których nie jestem dumny. Straszne czyny. I muszę je popełniać nadal, bo tego żąda ode mnie Bóg.

Dlatego mnie powołał na głowę swego Kościoła... i może po to przyszedłem na świat. Jestem jedyną nadzieją Nar. Jego zbawicielem.

Dziewczynka uśmiechnęła się dość dziwnie. Herrith nie umiałby rzec, czy mu uwierzyła, ale ciepło jej spojrzenia sprawiło mu sporą przyjemność.

- I o to się toczy wojna w Smoczej Paszczy? - spytała. - Bóg tak chce?

- Bóg chce, by cała ziemia stała się Jego Królestwem - odpowiedział Herrith. - Jeżeli będziemy musieli się o to bić, jeżeli trzeba będzie do tego poświęcić... niech się

dzieje Jego wola. Małeńka, Bóg mi to ukazał bez żadnych niedomówień. Dlatego zabił imperatora Arkusa i dlatego dał mi do rąk oręż potrzebny do spełnienia Jego zamysłów. Ale... - Na twarzy Herritha pojawił się wymuszony uśmiech. - Dość już o tym. Przed nami cały miesiąc refleksji i rozmyślań. Dziś się bawimy.

Nagle przez ulicę przebiegła małpka, która wskoczyła Lorli na kolana.

Dziewczynka krzyknęła z przestachu, upuściła loda i uniosła w górę rączki, bojąc się dotknąć natręta.

Gniewny ryk Herritha ściągnął uwagę tresera i właściciela małpki.

- Bobo! - krzyknął treser, młody Dorianin w odświętnej odzieży. Przybiegł natychmiast i zgiął się przed dostojnikiem w przepaszającym ukłonie. Akolici Herritha zdążyli już go zająć z tyłu. Małpka tymczasem podskakiwała radośnie na kolanach Lorli. Jak treser miała na sobie zieloną kurtkę i czerwony, stożkowy kapelusz na kudłatej główce.

Błyskając żółtymi zębami, pokrzykiwała coś w małpiej mowie, ale w jej głosiku nie było groźby. Wyglądało na to, że najbardziej ją interesuje leżący na ziemi zgnieciony lód.

- Nic się nie stało - uspokajał Herrith Lorlę i tresera. Obrzucił też gniewnym spojrzeniem przybocznych, którzy natychmiast się cofnęli. - Nie bój się, Lorlo.

Małpka nie zrobi ci krzywdy.

- Bobo nikomu nie zrobi krzywdy, Ojciec Święty - zapewnił ich młody Dorianin.

Uśmiechnął się, a potem roześmiał się głośno ujrzawszy uciechę w oczach Lorli. - Nie bój się.

On chce się tylko z tobą przywitać.

- Hej, Bobo! - zagadnęła Lorla, spoglądając z góry na przekorne stworzonko.

Usłyszawszy swoje imię, Bobo podskoczył, a potem delikatnie zaczął wodzić rączką po twarzy Lorli. Dziewczynka zachichotała, poczuwszy na wargach delikatne muśnięcie małych palcy. - A czyja mogę go dotknąć? - spytała. - Nie ugryzie mnie, prawda?

- No, śmiało - zachęcił ją treser. - Pogłaszcz go po główce. On to lubi.

Lorla wyciągnęła rączkę i ostrożnie pogłaskała małpkę po głowie. Na jej twarzy natychmiast zakwitł radosny uśmiech.

- Ma takie miękkie futerko! - oznajmiła.

- Bobo pochodzi z Casarhoonu - wyjaśnił treser. - Przybył tu z daleka, by się z tobą przywitać i pokłonić się Ojcu Świętemu. Podoba ci się?

- Bardzo! - odpowiedziała dziewczynka entuzjastycznie. Głaskała zwierzę po główce, co je uspokoiło. Małpka zamknęła oczy z rozkoszy. - Jest bardzo miły.

- I mądry - zapewnił ją Dorianin. - Umie liczyć do dziesięciu. I zna swoje imię lepiej od niejednego człowieka. Pomaga mi przy pracy z innymi zwierzętami. A słonie bardzo się go boją!

Herrith patrzył na Lorłę i Bobo, i nagle wpadł na niespodziewany pomysł.

Dziewczynka w katedrze musiała odczuwać samotność. Jedyne jej towarzyszami byli księża. Musiało brakować jej towarzystwa innych dzieci. Niechby miała choć jakieś zwierzątko. Dyskretnie pociągnął tresera za rękaw.

- Ile chcesz za tę małpkę, synu? - spytał. Dorianin zamrugął.

- Nie rozumiem Waszej Świątobliwości.

- Kupuję małpkę dla dziewczynki. Ile?

- Naprawdę, ojczu? - ucieszyła się Lorla. - Dla mnie?

- Na twoje urodziny - oznajmił Herrith. Ucieszyła go radość, która rozświetliła twarz dziewczynki. - Tylko dla ciebie. Podoba ci się?

- Wasza Świątobliwość... Bobo nie jest na sprzedaż - oznajmił Dorianin. - On jest mój.

W głosie młodzieńca drżała jednak nutka niepewności i Herrith natychmiast pojął, że da się przekonać do sprzedaży. Uśmiechnął się przyjaźnie i odchylił w tył.

- No, no, mój synu... To tylko zwierzę. Ile może być dla ciebie warte? Dam ci dwa razy tyle, ile sam zapłaciłeś. To bardzo szczodra oferta.

- Mmm... Ojczu? - odezwała się cichutko Lorla. Herrith nie słuchał.

- Podwójna cena, mój synu - oznajmił, podnosząc w górę dwa palce. - A zatem ile?

- Bardzo mi przykro, Wasza Świątobliwość, ale nie chodzi mi o pieniądze. Bobo nie jest zwykłym zwierzęciem. To mój... przyjaciel. Nie mogę go sprzedać.

- Ojczu, ja nie chcę tej małpki - oznajmiła Lorla, pociągając rąbek biskupiej szaty. Herrith spojrzał na nią mocno zdumiony.

- Nie chcesz? - spytał. - A to dlaczego?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie chcę i tyle. Niejako prezent na urodziny. Chcę coś innego.

- Co?

- No... coś innego - stwierdziła po prostu, po chwili jednak zmarszczyła brwi i spojrzała na małą. - Ale to miłe zwierzątko. - Głaszcząc Bobo po główce, spojrzała przez ramię na jego tresera, który uśmiechnął się z ulgą na twarzy. - Masz szczęście.

Jestem pewna, że Bobo to dobry przyjaciel.

Treser uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Owszem - potwierdził i zabrał małą z kolan dziewczynki. Zwierzątko wspięło mu się na ramię, gdzie usadowiło się wygodnie i pomachało Lorli i biskupowi. - Pożegnaj się, Bobo - skarcił je młodzieniec.

Bobo zaskrzeczał coś niezrozumiałego. Lorla odwróciła się i też pomachała rączką, po czym para niezwykłych przyjaciół znikła w tłumie. Dziewczynka patrzyła za małą, dopóki mogła ją jeszcze widzieć.

- Myślałem, że chciałabyś mieć jakieś towarzystwo - odezwał się Herrith. - To zwierzątko byłoby dla ciebie pięknym prezentem urodzinowym. Ale będę musiał coś wymyślić. Chociaż... - wstał i ujmując ją za rączkę, podniósł dziewczynkę z ławy. - Znam chyba miejsce, gdzie znajdziesz coś dla siebie.

- Co to za miejsce? - spytała Lorla.

- Zobaczysz.

Poprowadził ją obok popisujących się zwierząt i ulicznego sztukmistrza w długim płaszczu, trzymającego w dłoniach karty, które ciągle mu gdzieś znikają. Biskup nie zwracał uwagi na hałasy ani na pobożne pozdrowienia mijanych gapiów, którzy rozpoznawali dostojnika. Wiedział, że temu, co chce jej pokazać, Lorla się nie oprze. Szedł prosto na róg ulicy Wysokiej, pomiędzy sklep wyrabiacza świec i warsztat kowalski. Cel, do którego zmierzał, spostrzegł już z daleka.

Sklep z zabawkami słynnego Kobziarza.

Przed oknem wystawowym kłębił się tłum dzieci, które przyciskały noski do szyby, by zobaczyć cudenka na wystawie. Herrith z daleka usłyszał graną przez mechanicznego kobziarza melodię, która przebijała się nawet przez uliczny zgiełk.

Pokazał Lorli okno sklepu.

- O, tam - oznajmił. - Tam właśnie idziemy. Lorla wyteńczyła wzrok.

- Co tam jest?

- Sklep z zabawkami. Jeszcze takiego nie widziałaś, maleńka. Uwierz mi, że gdzie jak gdzie, ale tam z pewnością znajdziemy coś godnego twoich urodzin.

- O tak! - odparła dziewczynka, z zapalem ściskając dłoń biskupa. - Tak, jestem pewna, że tam coś znajdę.

Teraz to ona prowadziła, ciągnąc go niemal przez ulicę, by jak najszybciej dotrzeć do sklepu. Kiedy w końcu dotarli do wystawy, Lorla zostawiła dostojnika i zagłębiła się w tłum dzieciarni, łokciami przepychając się do szyby. Herrith zatrzymał się na chodniku i z radością patrzył na dziewczynkę. Naciskana z obu stron przyłożyła ręczki do szyby i chłonęła wystawę wzrokiem. Herrith nie musiał widzieć jej twarzy, by wiedzieć, jaki się na niej maluje zachwyty.

Lorla stała i stała, wpatrując się na wystawione cuda. Inne dzieci śmiały się i pokrzykiwały, ona jednak milczała niczym głaz, oczarowana widokiem mechanicznego kobziarza i wspaniałych domów dla lalek. Herrith, patrząc przez szybę, dostrzegł w głębi sklepu Redrica Bobsa, właściciela i wytwórcę zabawek. Ich wzrok zetknął się na ułamek sekundy, a potem lalkarz odwrócił się do klienta. Jak to można było przewidzieć, sklep Kobziarza pełen był klienteli. Wszędzie tłoczyli się szlachetni panowie i ich latorośle, wrywające sobie zabawki wytworzone przez mistrza zabawek. Herrith odrzucił myśl o tym, by wmieszać się w tłum. Był w końcu arcybiskupem Nar i nie musiał czekać, by go obsłużono. Gdy Lorla patrzyła na zabawki, Jego Świątobliwość obserwował ich twórcę.

Doprawdy, smutny był los tego człowieka. Wielki artysta po śmierci żony stał się odludkiem.

Żadnych dzieci. Herrith zamknął oczy i zmówił w duchu krótką modlitwę za Redrica Bobsa.

Ten człowiek prawdopodobnie był ogromnie samotny.

- Ojczy! - zawołała Lorla. Nie odwróciła się od okna i nawet nie odjęła rączek od szyby. - Ojczy, chodź, popatrz!

Herrith łagodnie, ale stanowczo zaczął się przeciskać przez tłum. Zgromadzeni rozsunęli się lekko, pozwalając mu przejść. Jak zawsze, tuż za biskupem ciągnęli jego

akolici.

Dotarłszy do okna wystawy pełnej zabawek i mechanicznych, ruchomych cudów, biskup spojrział na swoją podopieczną i uśmiechnął się do niej łaskawie.

- Widzisz? Mówiłem ci. Cudowne.

- Cudowne! - zawtórowała mu Lorla. Dziewczynka utkwiała wzrok w pięknym domu dla lalek, wielkim modelu z pracowicie odtworzonymi drewnianymi gontami, pomalowanym na piękny różowy kolor. Był większy niż wszystkie inne wspaniałe domy w oknie i bardziej zdumiewał, niż drewniany kobziarz i wygrywane przez niego melodie.

- Spójrz na ten dom... - wyszeptwała dziewczynka. - Ten różowy. Jest piękny, prawda?

- W istocie - zgodził się Herrith. - Wszystko to jest dziełem człowieka nazywanego Kobziarzem. Tak jak ten, który gra na kobzie, o tam.

Próbował jej pokazać drewnianego grajka, Lorla jednak w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Nie odrywała wzroku od domku dla lalek. Jej małe usteczka wykrzywił grymas smutku.

- Taki piękny... - stwierdziła. - Nigdy nie miałam takiej zabawki.

- A chciałabyś?

Dziewczynka podniosła spojrzenie na biskupa.

- Naprawdę chcesz...

- Prezent, ode mnie, dla ciebie. Specjalnie na twoje urodziny.

- O tak! - westchnęła Lorla. - Tak, bardzo bym chciała. Tylko żeby był duży!

Jak ten różowy.

- Nie jestem pewien, czy Kobziarz zgodzi się na sprzedanie tego różowego modelu - rzekł biskup z powątpiewaniem. - O ile mi wiadomo, buduje je po jednym. Ten różowy zbudował dla siebie. Jest na tej wystawie od bardzo dawna.

- To niech będzie inny, byle był mój - zaszczebotała uradowana Lorla. - Tylko mój! Zrobi mi jeden, prawda? Może zbudować wszystko, co zechcę!

- No to chodźmy - zaproponował Herrith, ponownie ujmując jej rączkę. - Spytajmy go.

Wszedłszy do sklepu, Herrith, uniesiony niespodziewaną radością jak Lorla, zapomniał o bożym świecie. Wewnątrz powitał ich unoszący się w powietrzu silny zapach drewnianych opiłków i rozmaitych farb, a także brzęk, mruczenie i

poskrzypywanie zabawek będących dziełem Kobziarza. Oczarowana tym wszystkim Lorla roześmiała się radośnie, razem zaś z nią roześmiał się Herrith, który dotąd widywał zabawki jedynie na wystawie.

Sklep Redrica Bobsa był miejscem pełnym cudów. Gdy tylko właściciel zobaczył świątobliwego gościa i jego podopieczną, pospieszył z ukłonami, ignorując dotychczas obsługiwanego klienta, nareńskiego szlachcica z wielkim brzuchem i pewnie jeszcze większą sakiewką. Szlachcic skrzywił się paskudnie, a potem oblał się czerwienią i natychmiast przesunął, zobaczywszy z kim teraz rozmawia Bobs.

- Wasza Świątobliwość... - Kobziarz powitał gościa drżącym głosem. Był kościstym człowiekiem o pajęczych palcach, podobnym do konstruowanych przez siebie lalek, a kiedy mówiąc, potrząsał głową, drewniane opiłki sypały mu się z włosów jak lupież. - Nie spodziewałem się tak szlachetnych gości. - Ukłonił się raz jeszcze, jakby mu się zupełnie pomyliło wszystko związane z protokołem.

- Witajcie w mojej pracowni.

- Wstań, mistrzu Bobs - polecił mu Herrith. - Dziś mamy święto. Cała ta pompa jest niepotrzebna. Przyszedłem tu, jak ci wszyscy dobrzy ludzie, aby coś u ciebie kupić.

Kobziarz podszedł nieco bliżej. Wyglądał jak oczarowany, dokładnie tak samo jak Lorla, gdy ujrzała różowy dom lalek, ale dziwny wyraz na jego twarzy nie miał swojego źródła w strachu przed Herrithem, tylko w zachwycie nad Lorlą. Mistrz zabawek patrzył na dziewczynkę, mierząc ją pełnym zachwytu wzrokiem, jakby nagle zobaczył coś, co utracił dawno temu i za czym nieustannie tęsknił. Nie wiedząc nawet, co czyni, ukląkł przed dziewczynką na jedno kolano. Wokół całej grupy zaczęli zbierać się gapię, Redric Bobs jednak chyba w ogóle nie widział nikogo, poza Lorlą.

- Wasza Świątobliwość przyprowadził to dziecko, bo zobaczyło coś godnego najwyższej uwagi, prawda? - spytał, nie odrywając spojrzenia od twarzyczki dziewczynki.

- Tak - odparł Herrith. - Chcę jej kupić coś na urodziny.

- Urodziny... - powiedział Kobziarz rozmarzonym głosem.

- Jak miło...

- Będę miała dziewięć lat - oznajmiła Lorla, unosząc brodę.

- Dziewięć lat - machinalnie powtórzył za nią Redric Bobs. Zachowywał się dość

dziwacznie, co zaczynało lekko niepokoić Herritha.

- Owszem, człowieku, dziewięć lat - stwierdził ostro. - I chcę kupić jeden z miniaturowych domów.

Lorla wskazała rączką wystawę.

- Ten różowy... Jest taki piękny!

- Ach, Belinda. - Kobziarz jakby trochę się opamiętał. - Owszem, mnie się też bardzo podoba. - Wyciągnął dłoń i delikatnie rozwichrzył jej włoski. - Belinda zawsze ściąga do mojego sklepu ładniutkie dziewczynki. Ale obawiam się, że nie jest na sprzedaż. Zrobiłem go dla mojej żony.

Herrith wcisnął się pomiędzy mistrza zabawek i dziewczynkę.

- Nie chcemy kupować tamtego. Trzeba nam czegoś niebywałego. Chcemy kupić jeden, robiony na zamówienie. Możesz zrobić coś dla mnie, prawda?

Kobziarz wstał i Herrith gotów byłby przysiąc, że w oczach rzemieślnika mignęło coś jakby nienawiść.

- Oczywiście, że mogę - oznajmił Bobs. - Tym się właśnie zajmuję: robię domki dla lalek. Mogę zrobić wszystko, co ona zechce. - Rozejrzał się i powiódł wzrokiem po twarzach gapiących się klientów. - Ale wyjdźmy stąd i przejdźmy tam, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Mam obszerne biuro. - Kiwnął dłonią, wskazując boczne drzwi. - Wasza Świątobliwość...

- Doskonale - odpowiedział Herrith, popychając lekko Lorlę w stronę wskazanego pomieszczenia.

Kobziarz grzecznie poprosił pozostałych klientów, by zechcieli się rozejrzeć, a potem poszedł za biskupem i jego podopieczną do niewielkiej komnatki z ręcznie rzeźbionym biurkiem. Na biurku rozłożono kolekcję maleńkich zabawek, czekających na to, aż jakieś dziecko zwróci na nie uwagę. Obok biurka było krzesło, w którym usadowiła się Lorla, jak księżniczka na należnym jej tronie. Redric Bobs zamknął drzwi i zostawił gwar na zewnątrz.

- Przykro mi, Wasza Świątobliwość, że nie mam tu niczego, co mógłbym ci zaproponować - odezwał się pokornie. - W moim sklepie nieczęsto się widuje ludzi Kościoła.

- Dość mam już słodczy i napitków - stwierdził Herrith. - I nie zabierzemy ci za

wiele czasu, dobry człowieku. - Przysunął się do Lorli. - A teraz, powiedz nam, co możesz dla nas zrobić.

Kobziarz uśmiechnął się lekko.

- Dobrze wyglądasz, Wasza Świątobliwość - zauważył uprzejmie, ignorując pytanie Herritha. - Widziałem cię w powozie... przed kilkoma miesiącami. Znow nabierasz ciała.

Jeżeli wolno mi zauważyć, wyglądasz tak, jakbyś odzyskał siły, mój panie. I kolor twoich policzków też jest zdrowy...

Herrith lekko zmarszczył brwi. Czyżby ten kupczyk uważał, że wolno mu prawieć komplementy nawet arcybiskupowi? Dziwactwa Redrica Bobsa były w Nar dość znane.

Może wdychał za dużo niezdrowych zapachów unoszących się z nad pojemników z farbami?

- Czuję się dobrze - uciął wreszcie biskup. - A teraz...

- Niektórzy przestali już liczyć na to, że wyzdrowiejesz - ciągnął Bobs. - Ale wszyscy się żarliwie modliliśmy, Wasza Świątobliwość. I proszę, Bóg wysłuchał naszych prośb.

„Bóg nie mógł się obejść bez tej niebieskiej buteleczki” - pomyślał Herrith z nagłą goryczą. Odkąd zaczął ponownie zażywać eliksir, stał się znow zdrowym człowiekiem.

Redric Bobs nie mógł jednak wiedzieć o eliksirze, co najwyżej mógł słyszeć plotki, które powtarzano dyskretnie w całym Imperium. Herrith zmrużył oczy i bacznie przyjrzał się Kobziarzowi, usiłując przeniknąć fasadę niewinności, za jaką skrył się konstruktor zabawek.

Nie lubił, gdy mu przypominano o jego uzależnieniu, i nie mógł pozwolić, by się na to ośmielał człowiek z gminu, choćby i zręczny rzemieślnik. A w buteleczce, którą mu przesłał Biagio, zostało już żałośnie mało płynu. Herrith wiedział, że już niedługo będzie musiał pójść na układy z hrabią, by dostać kolejną porcję narkotyku. Ale na to miał jeszcze nadejść czas.

Ten dzień zapowiadał się tak pięknie, ale wyglądało na to, że Bobsowi uda się mu zepsuć nastrój. Kiedy wreszcie Herrith odezwał się do lalkarza, jego głos brzmiał cicho i niemal groźnie.

- Może ograniczycie się jednak tylko do powiedzenia nam, jaki model możecie zbudować dla tej dziewczynki? - spytał. - Chcielibyśmy z tym skończyć jeszcze przed wieczorem.

- Ma być duży - oznajmiła Lorla, rozkładając szeroko ręczki. - Jak te w oknie.

- Dziecko, mogę zbudować taki, jaki zechcesz - obiecał Bobs. - W każdym stylu i kolorze. I taki duży, jak zechcesz. Więc jaki ma być, Lorlo?

- W dowolnym stylu? - spytała Lorla.

- Tak - skinął głową konstruktor zabawek.

- I może być taki, jak zechcę?

- Taki jak zechcesz.

Lorla uśmiechnęła się promiennie.

- Więc już wiem, co bym chciała. - Odwróciła się do Herritha i uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. - Chcę, byś mi zbudował coś bardzo szczególnego.

Najlepszy model, jaki kiedykolwiek wyszedł spod twojej ręki. I masz go zbudować dla nas obojga... dla mnie i ojca Herritha.

- Co takiego? - zachnął się zaskoczony biskup. - Ależ, Lorlo...

Lorla spojrzała błagalnie na konstruktora zabawek.

- Chcę, żebyś zbudował model Katedry Męczenników. Herrith zdębiał. Oszłomiony cofnął się aż do biurka i spojrzał na Lorlę.

- Dziecko, co ty mówisz? Dlaczego akurat katedrę?

- Bo stała się moim domem - odpowiedziała cicho dziewczynka. - Moim nowym domem. Jedyńm, jaki mam. - Pochyliła się i chwyciła Herritha za palce. - Dla nas obojga, ojcie! I będzie to coś, czym wszyscy będą się zachwycali. Jak sklepieniem Daraga! Możemy ustawić model w wielkiej nawie, pod sklepieniem. Ludzie będą podziwiać jedno i drugie.

- Ależ Lorlo, to nie jest prezent dla dziewczynki! Chciałem ci dać dom dla lalek, taki jak jeden z tych na wystawie! Coś różowego i ładnego. Coś, czym mogłabyś się cieszyć.

- Z modelu katedry też się będę cieszyła - odpowiedziała Lorla. Uśmiechała się promiennie, a jej oczy wrażały prośbą. - Bardziej niż z małpki lub innej zabawki. Chcę czegoś niebywałego.

Herrith nie mógł się oprzeć zbiegowi okoliczności. Dziewczynka, którą dał mu Enli, była tak cudowna... W tej chwili uznał ją za prawdziwy dar Niebios.

- Cóż ty na to, panie Bobs? - spytał przez ramię. - Możesz zrobić dla nas coś takiego?

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której konstruktor zabawek zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Musiałby to być bardzo skomplikowany model - odparł wreszcie, pocierając brodę dłonią. - Katedra ma bardzo wiele drobnych elementów. Będę musiał nad tym zmitrzyć mnóstwo czasu. Na kiedy to ma być gotowe?

- Na Eestrii - odpowiedział Herrith. - Chcę, by wszyscy mogli podziwiać model, kiedy przyjdą oglądać arcydzieło Daraga.

- Na Eestrii... - mruknął Kobziarz. - Nie za wiele czasu. Nie będzie i miesiąca.

Żeby zdążyć, będę musiał pracować bez chwili wytchnienia.

- A to już twoja sprawa - odparł biskup. - Pracuj od świtu do zmierzchu, albo i przez całą dobę. Zapłacę, ile zechcesz. Ale dobrze się postaraj, mistrzu Bobs.

Powierzam ci bardzo niezwykle zadanie. Chcę, by to było dzieło, jakiego nikt nie zdoła zapomnieć.

- Wszystko, co robię, jest doskonałe - odezwał się konstruktor z lekką urazą w głosie. - Wasza Świątobliwość będzie zdumiona rezultatem, daję na to głowę...

- Więc przyślij mi rachunek, dobry człowieku - odparł Herrith. - Zapłacę z przyjemnością. - Podniósłszy Lorlę z fotela, postawił ją na podłodze, a potem ujął ją za rączkę i wyprowadził z biura. - Żegnam, Redricu Bobs. Dobrze się baw podczas święta. I pamiętaj... przed Eestrii.

Lalkarz skłonił się nisko, ale Herrith nawet nie raczył zwrócić na to uwagi.

Miłość Lorli i wpływ niedawno zażytego eliksiru ożywił go tak, że czuł się prawdziwie nieśmiertelny. Mieli jeszcze przed sobą całe popołudnie i Jego Świątobliwość ruszył przed siebie z silnym postanowieniem niezamarnowania go na czeze rozważania. Dziś był szczęśliwy. Jutro lub pojutrze znów usłyszy jakieś złe wieści, dowie się o rzezi w Smoczej Paszczy, albo innym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu, ale dziś było święto... Z uśmiechem na twarzy wyszedł z pełnego wspaniałości sklepu z zabawkami i powiódł swoją idealną, adoptowaną córeczkę w sam środek rozbawionej

gawiedzi zebranej na ulicy Wysokiej.

Dwadzieścia dziewięć LORD SZAKAL

Noce na Liss były ciche i duszne. Jedynymi dźwiękami na wyspie Haran był szum fal, poświsty zimowego wiatru i okazjonalne trzepoty ptasich skrzydeł. Pałacową ciszę rzadko zakłócał odgłos kroków. Po zapadnięciu zmroku pałac Jeleny przypominał grobowiec - wielki i zbyt rozległy dla jednej młodej osoby. Wysokie sklepienia i puste korytarze nieustannie przypominały o wszystkim, co Liss utraciło podczas wojny z Nar. Po komnatach nie kręcili się już rozmawiający ze sobą głośno mężczyźni i kobiety, a królewskie dzieci nie biegały po pustych korytarzach. Wszędzie panowała chłodna atmosfera służbistości, a kamienne oblicza gwardzistów rzadko kiedy rozjaśniał uśmiech - rzadko też się odzywali do siebie bez potrzeby. Za dnia pałac mógł uchodzić za istny cud, ale po zapadnięciu zmroku rządziły w nim cienie.

Po trzech dniach Richius zdążył już poznać pałacowe obyczaje. Życie Jeleny było równie przewidywalne, jak wschody i zachody słońca. Służba i gwardziści dbali o jej wszystkie potrzeby. Kety i gondole nieustannie krążyły po kanałach, przywożąc wszelkie potrzebne zapasy, Richius zaś podziwiał wspaniałe wodne wrota. Poza tym jednak pałacowe życie było piekielnie monotonne i młodzieniec szybko zaczął tęsknić za jakąkolwiek odmianą.

Królowa Jelena od samego początku traktowała go jak równego sobie króla. Oddała do jego dyspozycji kilka komnat niezbyt odległych od jej własnych - na parterze i z widokiem na wspaniałe ogrody z sadzawką haranów. Miał pod dostatkiem ciepła i pożywienia, a każde jego życzenie w lot spełniali cisi niczym cienie służący. Szafy wypełniono czystymi lisseńskimi szatami, będącymi wspaniałą i bardzo pożądaną odmianą po długim obywaniu się bez świeżej bielizny podczas minionego rejsu. Zapewniono mu też ciszę i spokój potrzebne do planowania działań przeciwko Crote. Wszystko urządzone wspaniale i nie miał żadnego powodu do narzekań. Pozostał tylko jeden problem.

Nie miał pojęcia, od czego zacząć.

Przez trzy ostatnie dni tkwił samotnie na Haran, za całe towarzystwo mając jedynie Jelenę. Prakna gdzieś przepadł - Jelena twierdziła, że komandor dotrzymywał

towarzystwa żonie - a pozostali członkowie załogi „Księcia” też się nie pojawiali. Nie miał też armii i musiał się zadowolić obietnicami jej powołania. Jelena zapewniała go, że już jutro Prakna wróci na Haran i zawiezie go do czekających żołnierzy, Richiusowi jednak wydawało się, że są to obietnice bez pokrycia. Co gorsza, żywił obawy, że tak może być w istocie.

Mimo wspaniałości otoczenia, odmawiano mu rzeczy, których naprawdę potrzebował.

Musiał mieć na przykład mapy Crote - a tych nie było. Potrzebował doświadczonych wojaków, którzy by mu scharakteryzowali rzeźbę terenu na Crote, i oczywiście potrzebował broni dla jego ludzi.

Brakło mu ludzi zdolnych zająć się kwatermistrzostwem i niższych oficerów, a także biegłych w sztuce operacyjnej, którzy mogliby określić wojenne możliwości Crote i słabości w obronie wyspiarzy. Trzeba było zająć się planowaniem, nakreślić terminarz kampanii, nanieść na mapy cele uderzeń i poczynić przygotowania na wypadek niepowodzeń. Miał oto wszystko absolutnie rzucić na jedną kartę, a zostawiono go samemu sobie. Był generałem bez armii, którego przyszłość napawała przerażeniem. Tym razem miał paść ofiarą swej zuchwałości. W końcu podjął się zadania, które praktycznie było niewykonalne.

- Dyana miała rację - mruknął sam do siebie. - Nie powinienem tu przyjeżdżać.

Noc była długa i niespokojna. Wyszedł ze swoich komnat i trafił na pomost tuż przed pałacem, skąd patrzył na przepływające tam i z powrotem kety. Podczas minionych trzech dni obficie sypało śniegiem, ale teraz niebo było czyste i spokojne. Przenikliwy wiatr zmienił się w łagodną bryzę, której powiewy lekko targały mu włosy i nanosiły mu je na twarz. Miał już dłuższe kosmyki, których zresztą nie przyglądał podczas dnia. Ostatnio przestał się też golić.

Odziany był jednak w czyste szaty i miał na sobie żeglarską opończę, którą dał mu Marus.

Było mu w niej wygodnie i przyjemnie grzała mu nogi. Podobało mu się też jego odbicie w lustrach. W tej opończy czuł się jak uczestnik jakiejś dalekiej wyprawy na przygodę bez nazwy, która nie dotyczyła pełnej utraień przeszłości. Oparłszy się o solidny, choć zardzewiały pachołek opatrzony ciężkimi łańcuchami, spojrzął w niebo.

Iskrzyły się na nim miliony gwiazd.

- Bohater - zadrwił, myśląc o sobie. - Szakal z Nar.

Tak go tu nazywano. Tak mówiła o nim Jelena. Nie przejmowała się tym, że miano to było właściwie obrażą. Pod tym imieniem go poznała. W oczach Lisseńczyków Szakal z Nar był kimś w rodzaju świętego, wielkiego wojownika, który pobił Imperium i uratował ojczyznę Triinów. Wielu uważało to za bohaterską legendę. Richiusowi wszystko to wydawało się jakimś przewrotnym żartem. Przeszłość jednak uparcie podążała za nim i choćby nie wiadomo ile razy powtarzał ludziom, że wszystko to było nieprawdą, niezmiennie nazywali go Szakalem albo Kalakiem i spodziewali się po nim wielkich czynów.

- Czy mogę tego dokonać? - zadał sam sobie pytanie na głos. Choć był daleko od Lucel - Loru, rozmawiał niekiedy z Niebiosami, tak jak go tego nauczył Karlaz. I wciąż nie mógł się doczekać odpowiedzi. - Żądają ode mnie tak wiele. A ja nie mam nic.

Gdzie moja armia?

Niebiosa, jak zwykle, odpowiedziały milczeniem. Ignorując jego pytanie, gwiazdy migotały z niewzruszonym spokojem, więc odwróciwszy wzrok, uśmiechnął się z lekką drwiną. I spojrzał w dal, ponad wielkie jezioro oddzielające Haran od innych wysp. Po drugiej stronie widział kanały, w których odbijało się światło gwiazd i rozpięte nad nimi mostki. Ku niebu wznosiły się wysokie budowle, których okna jarzyły blaskiem świec. Widział też sylwetki ludzi, złotowłosych mężczyzn i kobiet w łodziach. Lisseńczycy byli piękną rasą. I wszyscy stanowili dla Richiusa tajemnicę. Rozumiał ich nie lepiej niż Triinów, wśród których spędził już kilka lat życia. Szczególnie intrygowała go Jelena.

Na myśl o królowej zamknął oczy. Była bardzo urodziwa - jak Sabrina. A jej samotność była niemal dotykalna. Wokół siebie rozsiewała mroczną aurę, jakby nigdy nie opuszczał jej smutek. Straciła rodziców i tożsamość, potem zakiełkowała w niej chęć zemsty, której oddała się niemal bez reszty, a jednak gdzieś w głębi duszy pozostała dzieckiem.

Richius myślał o niej jak o dziewczynce, która przebrała się w szaty matki, nosiła się i czasami nawet zachowywała się jak królowa, ale wszystko to kryło w sobie jądro niedojrzałości. Lubił Jelenę, ona jednak, jak Prakna i pozostali Lisseńczycy, oczekiwali,

iż zrobi dla nich coś absolutnie niewykonalnego. Chciała mieć bohatera. Oczekiwała jakiegoś smokobójcy z nareńskich mitów. Tkwiąc tu na pomoście, pozbawiony armii Richius czuł, że nie bardzo mógłby obronić samego siebie, a cóż mówić o całym narodzie.

Jak zawsze, gdy czuł się samotny, pomyślał o Dyanie. Było bardzo późno. Powinna już położyć Shani do łóżeczka. Gdyby był teraz w domu, brałby ją właśnie w ramiona, a potem by się kochali. Prakna był ze swoją żoną. Marus pewnie też. Co on, u licha ciężkiego, robił tutaj, pół świata od własnej rodziny? Odpowiedź pojawiła się natychmiast i ugodziła go z siłą ciosu młota.

- Biagio...

Wypowiedział to imię na głos, na pustym pomoście. Dwaj, skryci w cieniu strażnicy spojrzeli z zaciekawieniem w jego stronę. Richius zbył ich machnięciem dłoni.

- Mówiłem do siebie - wyjaśnił. - Wariaci już tak mają.

- Zdrowi też - rozległ się głos z mroku.

Richius odwrócił się zaskoczony i ujrzał wdzięczną sylwetkę królowej idącej ku niemu od pałacu. Jelena rozjaśniła swym uśmiechem cały pomost. Miała na ramionach etolę z białego futra. Warkocz, w jaki splotła włosy, jedwabiście połyskiwał w świetle gwiazd.

Aramoorczyk cofnął się lekko, bo jej nagłe wtargnięcie w jego myśli nieco go zirytowało.

- Królowo, co tu robisz?

- Szukałam cię - odpowiedziała. Podeszła bliżej i stanęła przed nim, zwróciwszy się do niego twarzą. - Nie znalazłam cię w komnatach i trochę się zaniepokoiłam.

- Cóż, znalazłaś mnie. Czy coś się stało?

Jelena zmarszczyła brwi.

- Richiusie, co cię trapi?

- Nic - zełgał Richius. - Po prostu chciałem trochę pobyć sam. A dlaczego mnie szukałaś, pani?

- Chciałam zobaczyć, jak sobie radzisz. Jutrzejszy dzień będzie bardzo ważny.

Wiem, że masz na głowie wiele spraw. - Królowa nieśmiało wzruszyła ramionami. - Sądziłam, że chcesz, ot tak, porozmawiać.

- Nieszczególnie - odpowiedział Richius. Oparł się o pacholek, usiłując nie patrzeć na młodą kobietę. Jej podobieństwo do Sabriny było niesamowite i niekiedy zupełnie zbijało go z tropu. - Możesz wrócić do swoich komnat. Nic mi nie jest.

Jelena przesunęła się tak, by znów stanąć z nim twarzą w twarz, zmuszając go, by na nią spojrzał.

- Doskonale wiem, kiedy mój rozmówca kłamie. Gdyby nic ci nie było, spałbyś spokojnie, czekając na jutro. Ale coś cię gryzie, dlatego wyszedłeś na chłód, jak pies gapiący się na księżyc. - Spojrzała z prośbą... nie, rozkazem w oczach. - Powiedz, co cię niepokoi?

- A może powiem, co mnie nie niepokoi? - odparł gniewnie. - Potrwa to znacznie krócej.

- Dobrze, powiedz co, według ciebie, jest w porządku?

- Nic, Jeleno. Wszystko jest nie tak. Nie powinienem tu w ogóle przyjeżdżać.

Jelena westchnęła, jak matka rozmawiająca z upartym dzieckiem.

- Richiusie, po prostu boisz się jutrzejszego dnia. Jesteś zdenerwowany. Ale zapewniam, że wszystko pójdzie dobrze.

- Nie słuchasz, co mówię. - Richius położył dłonie na ramionach królowej. - Jestem wściekły i to bardzo. Rozumiesz? Ty zaś wcale mi nie pomagasz. Przestań gadać o tym, jaki to jestem wspaniały, i zacznij mi wreszcie dostarczać to, czego mi trzeba!

Królowa patrzyła zdumiona i zaskoczona. Na pomost wpadli jej strażnicy, kryjący się dotąd w cieniu. Richius zobaczył ich, nie puścił jednak Jeleny, ale wbił w nią gniewne spojrzenie.

- Potrzebne mi wojsko - stwierdził bezbarwnym głosem. - Potrzebne mi mapy i pomocnicy. I nie mogę już czekać, Jeleno. Muszę wiedzieć, w co się wpakowałem.

- Richiusie... - upomniała go królowa. - Puść mnie.

- Słuchasz, czy nie?

Dziewczyna skinęła.

- Słucham. Moi strażnicy też. Jeżeli mnie natychmiast nie puścisz, polecą twoja głowa.

- Lekko się uśmiechnęła. - Proszę...

Richius puścił ją niezbyt chętnie. Podchodzący jak do niebezpiecznego zwierza

strażnicy natychmiast znieruchomieli. Królowa odprawiła ich gestem i znikli w mroku, kryjąc się poza zasięgiem słuchu. Królowa jawnie zaniepokojona, potrząsnęła głową.

- Co ci jest? Szakalu, jeszcze cię takim nie widziałam...

- Nie nazywaj mnie tak! - wykrzyknął Richius. - Nie jestem żadnym Szakalem.

Przyszedłem na świat jako Richius Vantran. Dlaczego to miano nie może się przebić do waszych tępych łbów?

Jelena uśmiechnęła się pobłaźliwie, co Richiusa rozjuszyło jeszcze bardziej.

- Dla nas jesteś Szakalem. I, jak rzekłam, nie jest to miano w żadnej mierze obrazą.

- Nie? A ja go nienawidzę. Jeżeli ktokolwiek jeszcze tak się do mnie zwróci, to go po prostu zignoruję.

- Richiusie, będziesz musiał do tego przywyknąć - odpowiedziała Jelena, ujmując go delikatnie pod ramię. - Musisz pojąć, kim dla nas jesteś.

Richius spojrział w niebo, jakby chciał je wziąć na świadka głupoty sytuacji.

- Ależ wiem, wiem. Jestem bohaterem.

- Owszem. Czy to coś złego?

- Jeleno, nie mogę być waszym bohaterem narodowym. Jeżeli nadal będziecie mnie za takiego uważali, doznacie bolesnego rozczarowania. Dajcie mi choć zacząć robić to, do czego mnie tu sprowadziliście. To wszystko, o co proszę.

- I my tego chcemy - zapewniła go. - Pozbądź się obaw. Ufamy ci bardziej, niż ty sam sobie. Wiemy, że możesz zacząć i wygrać tę wojnę.

- Nie bądź tego taka pewna. Nie zabrałem się jeszcze nawet do układania planów.

A dlaczego? Bo nie mogę! Jeleno, nie mam map! Muszę, do licha, wiedzieć, w co się pakuję!

- Mów ciszej! - syknęła. - Proszę. Nie każ mi tego powtarzać. Richius miał ochotę zawyc wściekle na znak protestu. Czy oni wszyscy na tych wyspach powariowali zupełnie?

Nikt go nie słuchał. Jak do tej pory nie udało mu się porozmawiać z jakąkolwiek ważną osobą. Owszem, spotkał się z Jeleną, ona jednak była zbyt zakochana w otaczającej go legendzie, by dostrzec prawdę.

- Przebóg, Jeleno, zechciej mnie wysłuchać - odezwał się wreszcie. Zamknąwszy

oczy, zaczął mówić cicho i spokojnie, w nadziei, że szept łatwiej do niej dotrze, niż dotychczasowe krzyki. - Tylko posłuchaj, dobrze? Chcę ci powiedzieć, jak się rzeczy mają naprawdę.

- Słucham - odpowiedziała królowa.

Richius otworzył oczy. Rzeczywiście słuchała. Ująwszy ją za rękę, poprowadził nieco dalej na przystań, gdzie usiedli oboje, spuściwszy nogi nad wodę. Jelena nie protestowała, przeciwnie: intymność sytuacji sprawiała jej wyraźną przyjemność.

- No, mów - poprosiła. - Co cię trapi?

- Przede wszystkim coś mi obiecaj. Wysłuchaj tego, co powiem. Ale naprawdę wysłuchaj tego z uwagą.

- Wysłucham. - Królowa skinęła głową.

- Dobrze. - Richius westchnął i przez chwilę zbierał myśli. Miał w głowie zamęt, na który składały się pomysły i ich konsekwencje. W końcu złożył ramiona na piersiach.

- Jeleno... - zaczął. - Nie jestem żadnym bohaterem. Nie mogę poprowadzić waszej armii tak, jak to sobie wyobrażacie. Uważacie mnie za bohatera, bo nie wiecie, jak było ze mną w istocie... i dlatego, że Prakna i inni nie chcieli słuchać prawdy, kiedy do nich mówiłem.

- Więc jaka jest prawda?

- Niepiękna. Jestem po prostu człowiekiem, który miał paskudne szczęście. A wokół mnie umierali ludzie.

- Wokół mnie też. Richius podniósł palec.

- Racz pani pamiętać, że teraz moja kolej.

- Będę pamiętała - odpowiedziała po prostu.

- Wojna nie jest pełną chwałą przygodą, jak może wszyscy myślicie - ciągnął Vantran. - Jest wstrętna. Wiem, bo sam tego doświadczyłem. I jedynie łasce Niebios zawdzięczam to, że jestem tu i mogę wam o tym mówić, bo dziesiątki razy powinienem zginąć. Po to, żebym mógł tu siedzieć z wami i patrzeć na gwiazdy, ginęli dobrzy, szlachetni ludzie. Straciłem wielu przyjaciół i członków rodziny. - Podniósł wzrok i spojrzął w niebo. - Boję się, Jeleno.

Po tym wyznaniu zapadła chwila niezręcznej ciszy. Po chwili Richius odważył się zerknąć na królową i ku swemu zdziwieniu odkrył, że Jelena się uśmiecha.

- Co się stało? Dlaczego się śmiejesz?

- To wszystko, co mi chciałeś powiedzieć, królu Richiusie? Że się boisz?

Wszyscy się boimy. Ja każdego dnia boję się o moje życie i duszę. Nie uważam, żeby to, iż jesteś do mnie podobny, umniejszało cię w jakikolwiek sposób. Nikt nie spodziewa się po tobie nadludzkich czynów. Ani ja, ani twoja armia.

- A, prawda - skrzywił się Richius. - Armia. Na twarzy Jeleny pojawiła się uraza.

- Richiusie... Ta armia naprawdę istnieje. Nie powinieneś żywić żadnych wątpliwości.

- Patrzyła na niego przez chwilę, a gdy nie odpowiedział, tknęła go palcem w pierś. - Nie wierzysz mi?

Richius wzruszył ramionami.

- Myślę, że ich przede mną ukrywasz - stwierdził po prostu. - Podejrzewam, że nie jesteś dumna z tej zbieraniny oberwańców, jakich udało ci się zgromadzić, i chcesz po prostu wykrzesać z nich choć odrobinę żołnierskiego ducha, zanim mi ich pokażesz. Tak myślę... i boję się, że mam rację.

- Mylisz się - odparła z przekąsem. - Istnieje armia, która na ciebie czeka.

Jesteśmy z nich dumni. Zobaczysz ich jutro rano.

- Jutro... wciąż słyszę to słowo. Jestem na Liss już od trzech dni. Dlaczego nie mogę zobaczyć ich teraz? Dlaczego nie mogę się zabrać do roboty?

- Oni dopiero się zbierają, Richiusie. Jest jeszcze wiele do zrobienia.

Jutro...

- Tak, tak... - Richius machnął dłonią. Urażona Jelena wstała gwałtownie.

- Naprawdę mi nie wierzysz? - spytała, wbijając w niego gniewne spojrzenie.

- Już ci powiedziałem, w co wierzę.

Królowa chwyciła go za kołnierz i zmusiła, by wstał.

- No to chodź! - syknęła gniewnie. Odwróciła się i ruszyła wzdłuż pomostu, wzywając go machnięciem dłoni. - Za mną!

- Co znowu? Dokąd idziesz?

- Zabieram cię na spotkanie z twoją armią, Szakalu. Natychmiast i bez zwłoki.

- Teraz? Ależ, Jeleno...

- Za mną! - rozkazała królowa.

Strzeliwszy palcami, wydała polecenie strażnikom, które ściągnęło jeszcze kilku,

i to biegiem. Richius pospieszył za nią, zaskoczony i zbity z tropu jej stanowczością. W mgnieniu oka znikła gdzieś cała dziewczęcość w zachowaniu królowej. Richius podązał pokornie za świadomą swych sił i możliwości władczynią. Jelena zarządziła zbiórkę ludzi i rozkazała natychmiast sprowadzić łódź.

- Łódź? - spytał zupełnie zbity z tropu Richius. - Ale jest jeszcze noc...

- Chciałeś zobaczyć swoją armię, prawda? - odpaliła gniewnie. - Tam właśnie się udajemy. Ponieważ nie ufasz mi na tyle, by poczekać do rana, popłyniemy tam teraz!

- Nigdy nie powiedziałem, że ci nie wierzę - spróbował usprawiedliwić się Richius.

Jelena jednak nie słuchała.

Kiedy gwardziści zabrali się do dzieła, szykując łódź dla swojej pani, stała i czekała z kamienną twarzą. Niewielki port zawrzał życiem. Z mroków wyłonili się majtkowie nawołujący się do pośpiechu, niosący latarnie i liny. Po raz pierwszy od kilku dni Richius ujrzał prawdziwy ruch wokół pałacu, co go jednocześnie podniosło na duchu i zbiło z tropu.

Dokąd mieli popłynąć, na wszystkie piekła?

Królowa Jelena znów zignorowała Richiusa, kiedy jej poddani powiedli oboje do przycumowanego na końcu pomostu ketu. Był podobny do łodzi, która przywiozła Richiusa na królewską wyspę - piękny, jednomasztowy stateczek z dziobową figurą harana i ozdobną, błyszczącą spiżowymi okuciami, niewielką wyżką rufową. Żagiel był zwinięty, a na pokład wchodzili wiosłarze, kolejno zajmując pozycje na ławach i ujmując w dłonie długie drzewca wąskich wiosł. Byli doskonale zgrani i łódź niemal natychmiast stanęła w gotowości do wykonania zadania, jakie królowa postawiła załodze. Gdy Richius i Jelena zbliżyli się do ketu, podbiegł do nich człowiek, który dopinał jeszcze na sobie guziki żeglarskiego uniformu.

Dokończywszy pospiesznie tej czynności, powitał władczynię uśmiechem i ukłonem, który Jelena oddała mu z bezbłędną precyzją.

- Timrinie - oznajmiła królowa. - Chcę popłynąć na Karalon. Natychmiast.

Usłyszawszy rozkaz, Timrin lekko zbladł, co było widać, mimo iż stał w cieniu.

- Moja królowo... to nie jest bezpieczne. Pozwól, że zawiozę tam samego Szakala.

Myślę, że lepiej będzie, jeżeli zostaniesz, pani, tutaj. Wody wokół Karalon są...

ehm... zdraдлиwe.

- Szakał z Nar nalega, by mu przedstawić armię jeszcze tej nocy - odparła królowa.

- Muszę mu towarzyszyć, bo chcę coś udowodnić. Nie sprzeczasz się ze mną, Timrinie, proszę.

- Jak sobie życzysz, pani - odpowiedział marynarz bez zbytniego entuzjazmu w głosie. Odstąpił na bok, dając królowej przejście. Jelena nie czekała, aż zdumiony Richius podejdzie do trapu, ale stanąwszy na pokładzie i zobaczywszy, że został na pomoście, ponagliła go gniewnym skinieniem dłoni.

- Idziesz, czy nie?

Richius tupnął nogą.

- Nie ruszę się z miejsca, dopóki mi nie powiesz, dokąd płyniemy. Czym jest Karalon?

- To miejsce, gdzie się zbiera twoja armia. Na razie nie powiem ci niczego więcej. Potrafię być równie uparta jak ty, Richiusie. Właż na pokład!

Richius, mimo że był przekonany, iż cała wycieczka zda się psu na budę, podszedł do zacumowanej jeszcze łodzi. Siedzący na ławeczkach i pochyleni nad wiosłami wiosłarze patrzyli wyczekująco, podczas gdy inni rozpalali lampy, których światło miało przebić ciemności. Zapalano je jedną po drugiej, aż całą łódź rozświetlił łagodny nimb złotego blasku.

Ostatni na pokład wszedł Timrin, który najwidoczniej był kapitanem niewielkiego stateczku.

Wciągnął za sobą wąską deskę trapu i spojrzał w mrok z troską w oczach. Potem zajął miejsce na dziobie, nieopodal ławeczki, którą zajęła królowa. Richius pozostał wyprostowany i zaraz po wejściu na pokład obrzucił Jelenę pytającym spojrzeniem. Królowa go zignorowała.

- Nie musisz się tak nadymać - odezwał się łagodnie Aramoorczyk. - Nie powiedziałem, że ci nie ufam.

- Usiądź, Richiusie. Możesz się przewrócić i coś sobie zrobisz.

- Jeleno...

- Siadaj. - Wskazała dłonią miejsca na ławeczce obok siebie. - I tak już niedługo

zobaczysz, dokąd płyniemy.

Richius usadowił się więc obok Jeleny na zimnej, twardej ławie, podczas gdy wioślarze czekali na rozkaz Timrina. Kilku marynarzy, którzy zostali na pomoście, odwiązało cumy i łódź powoli odsunęła się od przystani. Widoczny w oddali pałac jaśniał oświetlony blaskiem pochodni i kaganków. Richius poczuł nagłą skruchę i pożałował ostrych słów, którymi odezwał się do królowej. Jej pałac, jedyny dom, jaki miał teraz, wabił go ku sobie z nieodpartą siłą. Stateczek jednak szybko zaczął się oddalać, gdy tylko wioślarze umieścili wiosła w dulkach, popychając ket ku mrocznym wodom jeziora. Szybko ogarnęły ich ciemności, w których światła latarni przygasły jakby, rozświetlając tylko przestrzeń na odległość kilku stóp od nich samych. Po lewej widzieli jeszcze światełka lisseńskich miasteczek i wiosek, ale i te wkrótce pochłonął mrok. Płynęli ku rozciągającej się przed nimi plamie ciemności, coraz bardziej oddalając się od wyspy Haran. Richius wbił wzrok w ciemności, usiłując dojrzeć cokolwiek, przed nimi jednak leżała nieskończenie głęboka plama czerni. Uczucie osamotnienia ogarnęło go z siłą fali hucznego przyboju.

- Dobrze płyniemy? - spytał z niepokojem. - Czy Timrin widzi cokolwiek?

Jelena odwróciła dumnie głowę, udając, że nie usłyszała pytania.

- Dziewczyno, nie denerwuj mnie - rzekł Richius. - Dokąd płyniemy?

- Już ci powiedziałam - odparła Jelena tonem, jakim matka odpowiada na zadane po raz setny to samo pytanie dziecka. - Na Karalon.

- To wiem. A gdzie dokładnie jest to Karalon?

- Zobaczysz.

- Daleko to?

- Nie za bardzo.

- I co tam jest?

Jelena odwróciła się, nie mówiąc już ani słowa. Wąski stateczek płynął ku nieznanemu przeznaczeniu, powoli rozcinając wodę dziobem, gdy wioślarze miarowo zanurzali pióra wiosel w wodzie i mocnymi pociągnięciami pchali łódź coraz dalej. Na dziobie przy latarni stał Timrin, który usiłował przebić wzrokiem ciemności.

Latarnie rzucały na wodę krąg blasku, poruszający się wraz z ketem. Richius obserwował Timrina, zaskoczony skupieniem, z jakim kapitan prowadził łódź.

„Jest na poły rybą - pomyślał Aramoorczyk. - Wszyscy ci wyspiarze są na poły rybami”.

Tak jak mu to powiedział Marus, Lisseńczycy mieli morze we krwi, zmieszanej częściowo ze słoń wodą. Teraz jednak widać było, że Timrinowi wcale się nie podoba misja, jaką go obarczyła jego królowa. Nie odwracał twarzy od morza, nie pozwalając, by cokolwiek innego zakłóciło jego uwagę, ale widać było, że naprawdę się niepokoi.

Czymkolwiek było Karalon, nie należało się tam zjawiać po nocy.

Płynęli o wiosłach niemal całą godzinę. Jelena milczała niczym głaz i nie odezwała się ani słowem. Światła miasteczek przepadły już w mroku, a jezioro zwężało się stopniowo, aż w końcu wpłynęli na wąską, krętą rzeczkę o leniwym nurcie. Pojawił się też lekki wietrzyk, na tyle chłodny, że Richius zaczął trząść się z zimna. Z mroku dobiegały ich odgłosy nocnych, kręcących się na brzegu stworów i obco brzmiące skrzeczenie gadów. Uszy miał pełne brzęczenia owadów. Z obu burt rozciągał się widok na mokradła - poprzecinane krętymi rzeczkami odpychająco posępne skrawki łądu. Wszędzie wiły się rzeczki i strumienie przypominające węzowiska - jedne szerokie jak główne lisseńskie kanały, inne wąskie, tak że mogłyby po nich pływać jedynie stateczki zabawki. Wioślarze z niemałym mozolem prowadzili statek przez zdradziecki wodny labirynt. Rzeka, po której płynęli, nieustannie się zwężała. Przed nimi pojawił się ostry zakręt.

- Uważajcie tutaj - Timrin napomniiał wioślarzy, którzy zwolnili tempo. Richius kilkakrotnie usłyszał zgrzyt dna stateczku o piasek. W pewnej chwili ket gwałtownie przechylił się w prawo, rzucając niemal Jelenę w jego ramiona. Timrin zaklął i oburącz chwycił się burty, jednocześnie ponagłając ludzi okrzykiem do wysiłku. Wioślarze przy sterburcie chwycili za długie drągi i zaczęli spychać stateczek ze zdradliwej mielizny.

Rozległy się kolejne zgrzyty, kilkakrotnie jeszcze łodzią silnie szarpnęło, ale w końcu zaczęła słuwać z płycizny. Richius, pewien że lada moment ket zostanie rozdarty na połowy, mocno trzymał Jelenę w ramionach. Gdyby wpadli do lodowatej wody, czekałaby ich niechybna śmierć.

- Trzymam cię!

Usiłował dodać ducha dziewczynie, która wdzięczna za pomoc, wczepiła się palcami w ławę. Wioślarze stękali z wysiłku. Timrin ponaglał ich okrzykami, aż wreszcie

łódź uwolniła się z głośnym zgrzytem kadłuba. Gdy odskoczyli nieco dalej, Richius zobaczył rafę - kilka czarnych, pokrytych błotem skał. Timrin potrząsał głową, wściekły na siebie i na cały świat. Odwrócił się do królowej, by zapytać o jej zdrowie, ale Jelena machnięciem ręki dała mu znak, że nic jej nie jest. Tym samym gestem nakazała mu, by wrócił na swoje miejsce.

- Nic się nie stało, Timrinie - stwierdziła. - Rób swoje. Pilnuj kursu.

- Jesteś pewna, że nic ci się nie stało? - spytał ją Richius. Nadal obejmował ją ramionami w talii. Spostrzegłszy to, Jelena zaczerwieniła się lekko i odsunęła na bok.

- Nic mi nie jest - zapewniła go. - Dziękuję. Richius też poczuł się nieco zawstydzony.

- Powiedźże mi wreszcie - zagadnął Jelenę - dokąd płyniemy? Czy to Karalon? Jelena skinęła głową.

- Tak. Albo może lepiej będzie rzec, że Karalon jest częścią tych bagien. Jesteśmy już bardzo blisko.

- Te mokradła? To tu się gromadzi moja armia?

- Pośrodku mokradeł jest wyspa - wyjaśniła królowa. - Znacznie większa od pozostałych wysp archipelagu. Tam właśnie gromadzi się twoja armia, Richiusie.

Czekając na ciebie, szykują zapasy i gotują się do walki. Ale niełatwo było zebrać ich wszystkich. Dlatego trwało to tak długo.

Richius rozejrzał się dookoła, zaskoczony posępnym wyglądem bagnisk. Niełatwo mu było uwierzyć, że w tym jałowym, osamotnionym miejscu zebrała się jego armia.

- Tutaj? - wyrzucił wreszcie z siebie pytanie. - Nie pojmuję. Dlaczego akurat tutaj?

- Bo to najbardziej bezpieczne miejsce na całym archipelagu Stu Wysp - odpowiedziała Jelena. Mówiła z przejęciem i smutkiem, których Richius nie umiał przeniknąć intuicją. Nie patrzyła w mrok, jak to czynił Richius, nie przechyliła też głowy, by wypatrywać choćby najbardziej nikłych oznak niebezpieczeństwa, jakie jeszcze mogło zagrozić stateczkowi. Po prostu siedziała i milczała. Richius ujął ją za rękę i poprosił o wyjaśnienia.

- Powiedz mi coś więcej - odezwał się łagodnym głosem. - O co tu tak naprawdę

chodzi?

Jelena westchnęła.

- Karalon jest bardzo trudno dostępne. Prowadzi do niej jeden tylko zdatny do żeglugi szlak wodny i nie ma sposobu, by się tam dostać lądem. Na Karalon można dotrzeć tylko łodzią, taką jak nasza. I trzeba znać drogę, jak zna ją Timrin - a takich jak on nie ma wielu.

Szlak jest bardzo niebezpieczny... i jego istnienie otacza tajemnica.

- To już rozumiałem. Ale po co to wszystko?

- Bo niczego innego już nie mamy! - ucięła Jelena z gniewem w głosie. Odsunęła się jeszcze dalej. - Oni są naszą jedyną nadzieją, Richiusie. To jedyni wojownicy, jakich możemy ci przekazać. Chronimy ich, bo już nas nie stać na stawianie oporu Nar... nawet na naszej ziemi.

I nagle Richius wszystko rozumiał. Gdyby Narenie raz jeszcze uderzyli na Liss, jak się tego obawiała królowa Jelena, żadną miarą nie mogliby osiągnąć tej armii na niedostępnej wyspie Karalon. Pomiędzy tymi jałowymi zatoczkami, zakolami i rzeczułkami na nic by się zdały najpotężniejsze działa nareńskich liniowców. Wpłynęli w najgłębsze lisseńskie ostępy, leżące daleko od głównych wodnych szlaków i miast, dotarli do jądra archipelagu, gdzie nie mógł dotrzeć żaden Naren... i gdzie wyspiarze nie musieli się bać groźby zniszczenia resztek nadziei na odwet.

Richius uśmiechnął się do królowej ciepło, dając jej znać, że wszystko rozumiał.

Lisseńczycy byli w istocie dumną i piękną rasą. Rasą zdesperowaną i przypartą do muru.

- Osadziliście ich więc tutaj, by ich ochraniać - powiedział.

- Są tu nie tylko mężczyźni. Kobiety też. Zebrali się tu wszyscy dostatecznie dorośli, którzy wyrazili chęć wstąpienia w szeregi twojej armii. Tu ich zgromadziliśmy. I tu będziesz ich szkolił, tu zrobisz z nich wojsko. Zebraliśmy ich tu dla ciebie, Szakalu.

Richius potrząsnął głową.

- Jeleno, zdumiewa mnie myśl o ogromie wysiłku, jakiego się podjęliście.

Sprowadziliście mnie tu z drugiego krańca świata. A teraz to... - Wzruszył ramionami, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. - To wszystko... Nie wiem, co powiedzieć.

- Przyznaj po prostu, że się pomyliłeś - podsunęła mu Jelena. - Przyznaj, że mamy dla ciebie armię i że nigdy cię nie okłamałam.

- Przepraszam... - poddał się wreszcie Richius. - Byłem dla ciebie zbyt surowy.

Ale niechże mi wolno będzie rzec, że się bałem. Teraz zresztą też nie wiem, co o tym myśleć!

Wszystko to mnie zdumiewa. Liss jest inne od wszystkiego, z czym się zetknąłem wcześniej.

- Gotowa jestem się zgodzić, że nie podejrzewałeś, iż Liss jest takie, jakie jest - przyznała Jelena. - Teraz jednak wspólnie musimy się zabrać do stojącego przed nami zadania. I jeśli chcemy, by się nam powiodło, musimy sobie zaufać. - Spojrzała na Richiusa ostro i badawczo. - Potrafisz się na to zdobyć, Richiusie?

- Spróbuję - odparł. - Już się zgodziłem, że zrobię dla was wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, Jeleno. Możesz w to nie wątpić. A teraz... - Rozejrzał się.

- Gdzie jest ta moja armia?

- Nie jest to najlepsza droga - odezwał się niespodziewanie Timrin. - Musimy poruszać się powoli, albo pójdziemy na dno.

- To już niedaleko, Richiusie - pocieszyła gościa Jelena. - Okaż jeszcze trochę cierpliwości.

Cierpliwość była cnotą, której Richiusowi zawsze brakowało, usiadł jednak i starając się zachować spokój, wodził wzrokiem po mglistym horyzoncie. Widział jedynie niewyraźne zarysy jakichś kształtów - od czasu do czasu zamajaczyła mu w mroku jakaś rzeczka lub rozległa kępa poruszanej wiatrem trzciny. Wioślarze złożyli już wiosła i teraz prowadzili łódź po grząskim nurcie, odpychając ją od dna i brzegów długimi drągami. Noc wypełniły miarowe cmoknięcia mieszanego błočka i pluśnięcia wody. W pewnej chwili Richius dostrzegł pierwsze zarysy niewyraźnego brzegu, oświetlone nikłym blaskiem latarni. Wyspa była wysoka, skalista, z plażą usianą piaszczystymi wydmami i porośniętą kępami wysokiego sitowia.

- Tam płyniemy? - spytał pełen obawy, że odpowiedź będzie twierdząca.

- To właśnie jest Karalon - odparła królowa.

Richius stracił resztki nadziei. Jakąż armię można tu było utrzymać? Mimo jego rozterki, łódź miarowo parła ku wyspie. Timrin chwycił jednym ramieniem za burtę i

odwrócił się ku wioślarzom, by nimi pokierować. Wyborni lisseńscy żeglarze ostrożnie prowadzili łódź ku zdradliwemu brzegowi. Pod nimi zgrzytały o skaliste dno klepki poszycia, kiedy piasek i kamienie ocierały się o dno i stępkę. W końcu stateczek przechylił się po raz ostatni i znieruchomiał. Richius pomyślał, że wszystko wokół ogarnął dziwaczny, niesamowity bezruch.

- I co teraz? - spytał. - Wysiadamy?

- Witaj na Karalon, mój bohaterze - odezwała się Jelena, uśmiechając się z odrobiną złośliwości.

Richius wstał i pomógł się podnieść Jelenie. Timrin i jego towarzysze wysiedli już i skoczywszy na błotnisty brzeg, ułożyli dla królowej trap. Inni zajęli się latarniami, zdejmując je z pachołków i szykując się do wycieczki przez mrok. Timrin też wziął jedną do ręki i podszedł do królowej.

- Moja królowo, zechciej trzymać się blisko mnie - poradził. Kapitan był znacznie starszy od królowej, a w jego głosie zabrzmiała szczerza troska. Richius dopiero teraz dostrzegł paskudną bliznę, przecinającą twarz marynarza. Zauważył też, że zostało mu tylko jedno ucho. - Nie chcę, by przydarzyło ci się coś niemiłego, pani - ciągnął tymczasem Timrin, podając królowej rękę. - Droga jest kamienista, więc uważaj, proszę.

Wszyscy troje opuścili pokład ketu. Prowadzili Timrin z Jelena, a Richius szedł tuż za nimi. Powietrze było gęste i przesycone wilgotną wonią gnijącej trawy i wodorostów. Szli po grząskim gruncie, smagani zimnymi podmuchami wiatru i na domiar wszystkiego musieli przedzierać się przez kępy wysokiego, natrętnego sitowia. Drogę oświetlała im latarnia Timrina, rzucając smugi tańczącego światła na zbocze wydmy, po którym się pięli.

Gdy wreszcie stanęli na szczycie, marynarz i Jelena zatrzymali się i spojrzeli na wyspę. Richius również przystanął obok nich i popatrzył. Przed nimi rozciągała się rozległa, płaska łąka, na której porozstawiano namioty i inne prędko sklecone budowle oświetlone teraz blaskiem pochodni. Pośrodku łąki wzniesiono wysoką, drewnianą, zbitą z drągów wieżę, na szczycie której powiewała dumnie wężowa bandera Liss. Nieco dalej, aż po horyzont ciągnęły się baraki o sklepieniu zbitym ze skrzyżowanych belek. Po przeciwległej stronie łąki leżał plac ćwiczeń - teren, na którym ziemię ubiły na klepisko tysiące obutych w wojskowe buty stóp.

Richius stał na szczycie wydmy, wystawiał twarz na podmuchy wiatru i podziwiał rozmiary obozowiska.

- Niewiarygodne... - wyszeptał wreszcie. - To...

- ...twoja armia, lordzie Szakalu - dokończyła Jelena. Richius wciągnął w płuca głęboki chust wilgotnego powietrza.

W głębi obozu widział poruszające się sylwetki ludzi - lisseńskich mężczyzn i długowłosych kobiet z hełmami na głowach. Pole ćwiczeń było niemal puste, ale w obozie zgromadzili się ludzie, którzy teraz zwrócili twarze w ich stronę. Narastała też wrzawa. I zaczęto pokazywać ich sobie dłońmi.

- Chcę ich zobaczyć z bliska - odezwał się Vantran. - W tej chwili.

Nie poczekał na Jelenę ani na Timrina, tylko potykając się w piasku, ruszył w dół. Coś go nieodparcie ciągnęło w krąg światła pochodni. Piasek obsuwał mu się spod nóg, on jednak nie ustawał, tylko na poły biegnąc, na poły idąc, zstępował coraz niżej. Jelena i Timrin ruszyli za nim dopiero po chwili. Królowa zawołała, by się zatrzymał, on jednak szedł przed siebie głuchy na wszelkie wezwania i przystanął dopiero u podnóża wysokiej wydmy, gdzie zobaczył idącą ku niemu kobietę, odzianą w długi, wyświechtany płaszcz, bez nakrycia głowy. Luźno puszczone długie włosy nieznajomej targał wiatr. Była wysoka, gibka, miała muskularne ramiona i pociągłą twarz. Przez chwilę patrzyła lekko zdumiona na Richiusa, potem przeniosła wzrok na królową, potem znów zatrzymała spojrzenie na Aramoorczyku. W jej wzroku pojawiło się zdumienie. Zatrzymawszy się nagle, poruszyła ustami, usiłując coś powiedzieć. Kiedy jej się to nie - udało, padła w piach na kolana i pochyliła głowę w głębokim pokłonie.

- To ty... - odezwała się wreszcie, przemagając świst wiatru. - Lord Szakal.

Richius stanął jak ogłuszony. Jelena zsunęła się już ze zbocza i zatrzymała obok niego, ale dziwna kobieta nie jej składała królewski hołd. Całe uwielbienie oddała Richiusowi. Ukłękłszy przed nim, nie podnosiła głowy, jakby się bała, że obrazi go swoim spojrzeniem. Po chwili odezwała się drżącym głosem:

- Czekałam na ciebie, Lordzie Szakalu. Błagałam Boga Wszechmogącego, by cię przysłał nam na wodza.

- Jak mówisz? Lord Szakal? - spytał Richius ochrypłym szeptem.

- Tak cię tu nazywają - szepnęła Jelena, która podeszła bliżej i nachyliła się do

jego ucha. - To twój tytuł. Bardzo proszę, nie każ mu go im zmieniać.

Młoda kobieta pozostała na ziemi i nie podniosła głowy. Miała chyba nie więcej niż dwadzieścia lat, ale jej zachowanie świadczyło o większej dojrzałości. Richius patrzył na nią z góry, nie bardzo wiedząc, jak się do niej zwrócić i jak zareagować na niezwykle hołd.

Spojrząwszy dalej, zobaczył zebranych na polu ludzi, młodych mężczyzn i kobiety; wszyscy pokazywali go sobie rękoma i patrzyli na niego i królową. Z namiotów wybiegali nowi i tłum szybko gęstniał, podnosząc coraz głośniejszą wrzawę.

- Wstań, dziewczyno - odezwał się wreszcie rozkazująco. Podeszedł bliżej i spojrzał na nią z góry z naganą we wzroku. Młoda kobieta wstała niepewnie. Miała zielone jak ocean oczy, charakterystyczne dla większości Lisseńczyków, i to samo niespokojne spojrzenie, jakim go przywitała Jelena podczas ich pierwszego spotkania. Była lepiej umięśniona i mniej gustownie odziana od swej królowej, ale mimo to pozostała atrakcyjną, urodziwą osobą. - Kim jesteś? - odezwał się Richius. - Pytam o twoje imię.

Dziewczyna nerwowo oblizwała wargi.

- Mam na imię Shii, lordzie Szakalu. Jestem dowódcą zgrupowania na Karalon.

- Dowódcą?

- Och, zechciej wybaczyć, lordzie Szakalu... - wyjąkała. - Pozwól, że się poprawię.

To ty jesteś tu wodzem. Ja tylko... - Przez chwilę szukała odpowiednich słów, a potem się poddała i wzruszyła ramionami. - Dbałam o innych.

- Wstań, natychmiast wstań, Shii z Karalon. Nigdy więcej tak mi się nie kłaniaj.

Dziewczyna spojrzała niepewna, czy dobrze go zrozumiała. Richius się uśmiechnął i podał jej rękę.

- Przyjmij moją dłoń - ponaglił ją.

Spełniła jego żądanie. Dziewczęca, pokryta odciskami dłoń była w jego palcach jak piasek. Nie czuł miękkiej, delikatnej skóry, jaką miała na dłoniach królowa.

Ręka Shii przypomniała mu dłonie wieśniaków, ludzi, którzy utrzymywali się z ciężkiej pracy fizycznej.

Patrząc w jej pociągłą twarz i trzymając w palcach szorstką dłoń dziewczyny,

Richius odgadywał jej surowe losy. Dziewczyna stała przed nim dumna i wyprostowana, smukła jak aramoorska sosna. Pozostali Lisseńczycy zbierali się wokół nich w pełnym szacunku oddaleniu. Nie mając śmiałości podejść bliżej, patrzyli tylko, jak dowodząca nimi dotychczas Shii wita przybyłego lorda. Niektórzy pozdrawiali ukłonami Richiusa, inni chylili czoła przed królową, wszyscy jednak wyglądali na zaskoczonych niespodziewaną wizytą. W dalszych barakach i namiotach zapalano wciąż nowe lampy i kaganki. Wokół przybyszów zebrały się najpierw dziesiątki, potem setki ludzi - wszyscy zaś byli młodzi i patrzyli na Richiusa z uwielbieniem w oczach.

- Są tak młodzi... - stwierdził cicho Richius. - Dlaczego akurat ci, Jeleno?

- Richiusie, oni są dziećmi Liss - odpowiedziała królowa. Nie wystąpiła do przodu, by dzielić z Richiusem oddawany mu hołd, a mówiąc, robiła przerwy, pozwalając mu cieszyć się chwilą. - Przybyli tu z twojego powodu, by ci służyć i podążać za tobą. Dziś jesteś lordem Szakalem.

- Ilu ich jest?

Jelena nie odpowiedziała, Richius zwrócił się więc z tym pytaniem do Shii.

- Dziewięć setek - odpowiedziała z dumą. - Może więcej. Richius zamrugał.

- Aż tylu? Tutaj? Na Karalon?

- Niektórzy wciąż jeszcze się zjeżdżają, ale owszem, lordzie Szakalu, tylu nas będzie - odpowiedziała dziewczyna zadowolona z jego zdumienia. - Przybyliśmy, byś nas poprowadził. Pomścimy Liss.

- Przecież jesteście jeszcze dziećmi - westchnął Richius. Odwróciwszy się, spojrzał na jej twarz, jasną, pełną radości i oczekiwania. - Shii, przecież ty jesteś dziewczyną.

Domyślam się, że nie masz jeszcze dwudziestu lat.

- Mam prawie siedemnaście - odparła Shii z urazą w głosie. - Nie jestem już dzieckiem, lordzie Szakalu. I potrafię się bić. Niczego też się nie boję.

- Jestem pewien, że nie znasz strachu - odparł Richius. Żadne z nich się nie bało.

Po dziesięciu latach oblężenia zapomnieli, czym może być strach. Przepelniała ich żądza krwi i dla zemsty byli gotowi poświęcić wszystko, nawet własne życie. - Siedemnaście lat... - zachichotał. - Rówieśniczka królowej. Ale gdzie są starsi? Spodziewałem się, że zastanę tu dorosłych mężów.

- Tamci służą we flocie - odpowiedziała Shii z urazą w głosie. - Oprócz nas nie ma na Liss nikogo, kto mógłby się zaciągnąć do twojej armii, lordzie Szakalu. Ale nie uważaj nas za dzieci. Jesteśmy dorośli. Przybyliśmy tu z własnej woli.

- Niektórzy z nich mogliby się przyłączyć do Prakny - dodała Jelena. - Jest tu wielu młodzieńców na tyle dorosłych, że nadają się już do służby na morzu. Postanowili jednak stanąć przy tobie, lordzie Szakalu. W ten sposób wyrazili swój szacunek i podziw.

Richius uśmiechnął się melancholijnie.

- W istocie. Shii, czuję się zaszczycony. Wszystkich was głęboko podziwiam i szanuję. - Spojrzał na nią z błyskiem determinacji w oczach. - Zrobię, co w mej mocy, by was najlepiej wyszkolić i poprowadzić.

- To właśnie chcieliśmy usłyszeć, lordzie Szakalu - odpowiedziała Shii. - Długo tu na ciebie czekaliśmy. Proszę, nie odrzucaj nas i nie zostawiaj swojemu losowi.

Richius położył jej dłoń na ramieniu, jak to czynił wielokrotnie w przeszłości, gdy stał obok dawnych towarzyszy broni.

- Daję ci moje słowo, Shii. Ty zaś pomożesz mi dotrzymać mojej przysięgi.

Będziesz mi potrzebna, Shii. Jeżeli ty tu dowodzisz, muszę ci rzec, że przed nami wiele pracy.

Trzeba się niezwłocznie zająć różnymi sprawami.

- Powiedz, co robić - odpowiedziała Shii. - Rozkazuj.

- Wszyscy czekają na twoje rozkazy, Richiusie - zawtórowała jej Jelena. - Spójrz tylko na nich.

Richius przeniósł spojrzenie z twarzy Shii na pozostałych ochotników, którzy zbierali się szybko w nocnym chłodzie, by choć popatrzeć na przybysza z Nar. Wszędzie widział młode twarze i mógł wyczuć ich podziw. W oczach młodych Lisseńczyków płonęła żądza zemsty, która pozbawiła ich wszelkich innych uczuć i zostawiła im jedynie nienawiść do wrogów. Byli jak Jelena i Prakna. Całe Liss zostało zarażone nienawiścią.

Nie czekając na Jelenę i pozostałych członków eskorty, Richius ruszył w głąb obozu.

Wszedł pomiędzy swoich przyszłych żołnierzy, nie bardzo wiedząc, co im rzec.

Kiedy się zbliżył, wszyscy zebrani padli na kolana. A noc zagrzmiała tysiącem młodych głosów, powtarzających jego imię.

Trzydzieści BITWA O SMOCZĄ PASZCZĘ

Usadowiony wysoko na gałęzi drzewa Krak patrzył na wszystko, co się dzieje w dole.

Przed wieloma dniami porzucił Ninę i zajął miejsce na wysokiej gałęzi, by czekać na rozkazy diuka, który był jego prawdziwym panem. Oczekiwanie było długie i uciążliwe, Krak jednak od pisklęcia był szkolony w posłuszeństwie; przeskakiwał z gałęzi na gałąź tylko po to, by nasycić głód i nigdy nie poświęcił nawet chwili na czynności, jakimi z zapałem oddawały się inne kruki - na przykład szukaniu partnerki. Jego umysł, choć ubogi, nakierowano na jeden tylko cel.

Kruk podejrzewał, że Nina wciąż jeszcze była tam, gdzie się rozstali. Część myśli poświęcił samotnej dziewczynie. Podczas wielu spędzonych na gałęzi godzin Krakowi przypominała się niekiedy na krótko jej twarz, i ulubieniec diuka martwił się o nią na swój ptasi sposób. Zastanawiał się nawet nad tym, żeby do niej wrócić i zobaczyć, czy inne kruki zostawiły ją w spokoju. Ale zadanie, jakim obarczył go pan, było dla niego ważniejsze.

Czekał więc na gałęzi drzewa rosnącego w miejscu, gdzie Smocza Paszcza rozdzielała się na dwie mierzeje, ponieważ wiedział, że jego pan jeszcze wróci, Krak zaś był obowiązkowy i bardzo chciał go zobaczyć. Przez wiele dni tkwił na szczycie najwyższego drzewa, jakie mógł tu znaleźć, cierpliwie znosząc chłód i opierając się podmuchom wiatru, aż wreszcie jego bystre oczy dostrzegły na horyzoncie coś wielkiego, czarnego, i pełzającego ku niemu powoli pomiędzy drzewami. Ptak jednak nadal czekał nieruchomo, wiedział bowiem, że jeszcze nie pora. Upewnił się dopiero, gdy zobaczył jasne, wielkie ogniska. Gdzieś w głębi ptasiego umysłu drgnęła jakaś struna i Krak zrozumiał, że to diuk wraca do domu, wzbił się więc w powietrze, by zbadać sprawę.

Z nadejściem nocy znalazł sobie nowe miejsce, na którym podjął wartę. Usadowił się na szczycie wysokiego, górującego nad obozowiskiem świerku. Żołnierze byli tak liczni, jak mrówki, zapelnili niemal całą przestrzeń pomiędzy drzewami i przywieśli ze sobą dziwaczne, wielkie i przerażające maszyny. Inne ptaki i zwierzęta natychmiast

wyczuły zagrożenie i szybko opuściły niebezpieczną okolicę. Krak obojętnie patrzył, jak uciekały.

Miejsce, w którym się znajdował, nie należało właściwie do Smoczej Paszczy - było raczej pograniczem.

Ze swej gałęzi widział wyraźnie rzekę, która niosła wodę ziemiom jego pana i nad którą zbierały się łosie. Ludzie zwykle unikali tych okolic, ale ci obleczeni w żelazo przybysze nie znali strachu. Krak patrzył uważnie, aż odszukał wzrokiem ognistą czuprynę swego pana.

Ujrawszy diuka, poczuł głębokie zadowolenie płynące ze spełnionego obowiązku.

Enli siedział przy jednym z wielkich ognisk i wyciągnawszy dłonie ku płomieniom, cheiwie łowił w palce wszelkie ciepło. Z ust diuka wydobywały się obfite kłęby pary. Widać było, że się posila. Wokół niego zgromadzili się inni, metalowi ludzie o lśniącej skórze. Kruk tkwił teraz niemal prosto nad nimi. Nie odrywał wzroku od swego pana. I wreszcie stało się to, na co czekał. Diuk zobaczył go, poznał i dał mu znak.

Trwało to tylko chwilę, ptak jednak zrozumiał, że został rozpoznany. Na ustach pana pojawił się krzywy uśmiezek. Krak, choć zziębnięty, rad z siebie usadowił się wygodniej i zaczął czekanie na kolejne polecenie swego pana.

Diuk Enli siedział przy ogniu, grzejąc zziębnięte dłonie i starając się nie zerkać w górę, by nie zdradzić swego kruka. Ujrawszy Kraka, uśmiechnął się do siebie.

Ptak był blisko i można go było spostrzec. Było już późno, a całodzienna jazda mocno diuka zmęczyła.

Wokół niego wojacy Vorta oddawali się swoim codziennym, wieczornym czynnościom - rozniecali ogniska, gotowali posiłki i szykowali posłania na noc. Kolumna rozciągnęła się wzdłuż drogi tak, że jej koniec ginął w mroku. Na poboczu szlaku porozpalano ogniska.

Konie i gregany pojono bezpośrednio w rzece, gdzie mogły zaspokoić choćby największe pragnienie. Opiekunowie greganów i stajenni okrywali zwierzęta kocami, by ochronić je przed nocnym chłodem. Po przeciwnej stronie drogi ustawiono wozy taboru, obładowane wyrzutniami rakiet i kwasomiotami. Nieco dalej, w bezpiecznej odległości od ognisk, ustawiono wóz z trucizną - substancją nazywaną przez Vorta Formułą B.

Pojazd otoczono strażą, na którą składali się legioniści uzbrojeni w miecze. Enli mimo woli zerknął w górę i mrugnął do Kraka. Dostrzegłszy ptaka, Enli odetchnął z ulgą. Wszystko szło tak, jak należało.

Podniósł talerz pełen mięsa i fasoli i zajął się jedzeniem. Całodzienna jazda mocno go wygłodziła i mizerne jadło smakowało mu jak nigdy przedtem. Wokół niego obżerali się Faren i inni; nieświadomi obecności ptaka dość obojętnie przysłuchiwali się temu, co mówił Vorto. Generał zdążył już zjeść, teraz zaś golił głowę prostą brzytwą, zanurzając co chwila ostrze w helmie napelnionym rzeczną wodą. Niesiony wiatrem chłód pokrył jego łysy czerep kryształkami lodu, Vorto jednak nie zwracał uwagi na oczywisty ból i mówił, jednocześnie starannie goliąc każdy skrawek skóry.

- ...rano - pochwalił się. - A potem ruszymy do Szarej Wieży.

Enli westchnął i przełknął kęs. Prawie nie słuchał, co mówił Vorto. Od kilku tygodni wysłuchiwał tych samych przechwałek. Vorto chełpił się nieznośnie, opowiadając, że przejdą burza przez północną mierzeję, a potem zmiotą z powierzchni ziemi oddziały Eneasa i uderzą na jego wieżę. Generał był absolutnie pewien zwycięstwa, a teraz, w przededniu bitwy płonął wprost z entuzjazmu. Wyjaśnił wszystkim, że ogolenie głowy było rodzajem ceremonii.

- Zawsze golę głowę przed bitwą - oznajmił. - Wydaję się przez to jeszcze większy, niż jestem.

Złudzenie wielkości nie było jedyną rzeczą, o której generał powinien pomyśleć, ale nie przerywał rytuału, wodząc brzytwą po czerepie, aż załśnił w świetle księżyca niemal lustrzaną gładzią. Pochłaniając posiłek, Enli patrzył na generała z nienawiścią w oczach.

Uczucie to zakiełkowało i wyrosło w nim podczas minionego miesiąca, teraz zaś wypatrywał okazji do zabicia znenawidzonego olbrzyma. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro o tej porze Vorto będzie już nieboszczykiem, Enli zaś wróci do Czerwonej Wieży i obejmie władzę nad całą Smoczą Paszczą. Wspaniały plan Biagia bez najmniejszego opóźnienia przeistaczał się w rzeczywistość.

- Hola, Enli! - zagrzmiął generał, wycierając głowę z lodowatej wody. - Dlaczego jesteś taki ponury? Myślałem, że z nas wszystkich dziś wieczorem to ty będziesz miał najwięcej do powiedzenia.

Diuk przełknął kolejny kęs, jednocześnie zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie lubił rozmów z Vortem. Wystarczającym wysiłkiem było znoszenie jego widoku.

- Myślę, że nie powinniśmy dać się porwać zapałowi - odpowiedział wreszcie. - Wciąż jeszcze nie zajęliśmy Smoczej Paszczy, generale. Kto wie, z czym się zetkniemy po przekroczeniu granicy?

- Eee... - skrzywił się Vorto. - Diuku, martwisz się i zrzedzisz jak starucha rybaczka. Powinieneś być rad temu, że wracasz do domu.

Generał wytarł głowę ręcznikiem, który mu podał adiutant - milczący i niewzruszony pułkownik Kye. Podczas całej podróży Kye niemal się nie odzywał. Ze wszystkich legionistów Enli jego właśnie polubił najbardziej. Pułkownik miał naturę kontemplacyjną i wyglądał na człowieka szczerego w swoich uczuciach. Wcale nie przypominał przełożonego, który nieustannie sypał cytatami ze świętych ksiąg. Teraz stał spokojnie za generałem, czekając aż ten odda mu ręcznik. Kye nigdy nie jadł, dopóki nie zobaczył, że Vorto już się nasycił. Nigdy też ani słowem nie zdradził się ze swymi uczuciami. Nareński pułkownik był tajemnicą, której Enli nie umiał przeniknąć. W tej chwili diuk pomyślał, że Kye'a coś trapi.

- Kiedy uporamy się z zadaniem i wrócimy do Nar - ciągnął generał - każę sobie przygotować wielką wannę pełną gorącej wody. I posiedzę w niej przynajmniej ze cztery dni.

Przebóg, jaką wy tutaj macie pogodę! Żeby wytrzymać te mrozy, trzeba mieć skórę jak greegan!

- To sprawa krwi, generale - odparł Faren. Zawsze gotów do obrony Smoczej Paszczy nigdy nie pozwalał, by ktoś bezkarnie obrażał jego ojczyznę. - Ludzie się tu hartują.

Nie tak jak twoi legioniści, przywykli do południowego słońca i ciepła.

Vorto ryknął śmiechem.

- Hartują? Ha! Jak gąsienice! Wystarczy, że spojrzę na tego śmiecia Eneasa i w mig zrobię z nim porządek.

- Zobaczymy - stwierdził ostrożnie Enli. - Jutro się wszystko wyjaśni. Ale oni będą na nas czekali. Powinniśmy poczynić przygotowania. Ludzie Eneasa z pewnością już nas spostrzegli.

- Niewątpliwie tak - zgodził się Vorto. - Ale to nie ma znaczenia. Rozejrzyj się dookoła, Enli. Mamy tu dość ludzi, by z łatwością sobie poradzić z drużyną twojego brata.

Pewnie w ogóle nie dojdzie do walki. - Ta uwaga sprawiła, że generał lekko zmarszczył brwi.

- Uczciwie mówiąc, wolałbym się bić. Ale najpewniej nic z tego nie będzie. Jutro wieczorem zasiądziesz na tronie brata.

Enli miał już dość przechwałek olbrzyma.

- Zapominasz o podniebnej armii, generale - odezwał się dość ostro.

- Nie zapomniałem - odpowiedział Vorto. - Po prostu wcale się nie boję tych osławionych ptasich wojowników. To zwykłe ptaki, a tylko dureń boi się ptaków.

- A ty, oczywiście, durniem nie jesteś, generale, prawda? - uśmiechnął się Enli.

- Nie, nie jestem - oznajmił butnie Vorto. - Ale zgłodniałem. Kye, znajdź mi coś do zjedzenia. Jutro będę potrzebował siły! Mięsa! Mięsaaaa!

Kye kiwnął głową i odszedł bez słowa, by poszukać dla obu stawy. Pod nieobecność pułkownika Vorto rozsiadł się przy ognisku z Enlim i jego ludźmi i wyciągnął dłonie ku płomieniom, wariacko szczerząc zęby. Jego ogromny cień padł na twarz diuka niczym wielka, owalna tarcza. Enli patrzył na generała ponad płomieniami i radował się w duchu na jutrzejszy dzień. Kruki wydziobią generałowi oczy i poślą go wraz z jego legionem prosto do piekła. Te ptaki były jego jedyną szansą. Enli wiedział, że bez nich jego plan zawiódłby - nie miał dość sił, by się rozprawić z Vortem i jego ludźmi. Zdawał też sobie sprawę z faktu, że podniebna armia może zniszczyć najeźdźców.

- Pojadę rano przodem - zwrócił się do generała - i wezwę pod broń moich ludzi.

Przywiodę tu wszystkich, którzy mi zostali.

Vorto potrząsnął głową.

- Nie będą potrzebni. Możesz ruszyć i zebrać ich wokół siebie, ale my nie będziemy czekali. Mam dość sił, by zgnieść Eneasa. I nie mogę się już doczekać bitwy. Nie potrzebujemy twoich ludzi, by się rozprawić z przeciwnikiem. A zresztą i tak wielu ich chyba nie zostało.

Enli uniósł w górę brwi, w nadziei, że generał się nie pomylił.

- Więc ruszycie na Szarą Wieżę beze mnie?

- Ty i ci z twoich ludzi, którzy ocaleli i których zdołasz zebrać, możecie później do nas dołączyć. Owszem, o świecie zamierzam ruszyć prosto na Eneasa. Jestem pewien, że nas zobaczy ze szczytu Szarej Wieży i się podda. Jeżeli nie... - Vorto westchnął jak dziecko. - Tym lepiej dla mnie. Z przyjemnością go zabiję i wytlukę te jego przekłete ptaszyska. - Przeżegnał się i zamknął oczy. - Na chwałę Pana - dodał. - Zrobimy to w imię Boga.

Kye wrócił w dwiema pełnymi miskami. Jedną, pełną fasoli z mięsem, podał generałowi. Vorto wziął łyżkę i zaczął jeść ze zdumiewającą szybkością, pochłaniając strawę i robiąc przerwy jedynie dla zaczerpnięcia tchu. Po minucie wydał z siebie potężne beknięcie.

Enli skrzywił się z niesmakiem. Nie wszyscy Narenie byli tacy jak Vorto, diuk jednak wciąż nie mógł się doczekać chwili, kiedy zaczną ich zabijać. Bez śladu skruchy myślał o swoim ulubieńcu, usadowionym wysoko na gałęzi drzewa nad nimi i o tym, jak rano odzyska władzę w Smocznej Paszczy. Jeżeli Grath czekał na niego z innymi najemnikami, tak jak to zostało zaplanowane, i jeżeli Nicabar sprowadził już swoje liniowce na uzgodnione wcześniej pozycje, zapowiadał się doprawdy ciekawy dzień.

„Ruszaj na Szarą Wieżę, Vorto - pomyślał Enli, gotując się z wewnętrznej uciechy. - A tam już zatroszczy się o ciebie Nicabar”.

Vorto był klasycznym wprost przykładem durnia.

Następnego dnia już o brzasku Enli zebrał Farena z jego ludźmi i ruszyli ku granicy.

Mieli tylko przebyć las i wjechać do wioski Larn, gdzie, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, powinni na nich czekać Grath i najemnicy Biagia. Wspinając się na siodło, Enli z trudem opanował drżenie, nie mógł się bowiem doczekać wyjazdu z obozu. Następnym razem, kiedy zobaczy generała, ten będzie trupem.

- Nie czekaj na nas - zwrócił się do Vorta, sadowiąc się w siodle. - Zbierz ludzi i ruszaj na Szarą Wieżę. My do was dołączymy. Może nie będzie nas zbyt wielu, ale zjawimy się tam z pewnością.

- Ilu was będzie, tylu będzie - zgodził się Vorto. - Spróbujemy coś i dla was zostawić.

Enli przez chwilę jeszcze patrzył generałowi w oczy, usiłując znaleźć w nich resztki człowieczeństwa, które mogłyby go powstrzymać przed zabiciem olbrzyma. Nie znalazł żadnych. Vorto spojrział na niego lekko zdziwiony.

- Wyglądasz, diuku, na wystraszonego - zauważył. - Nie ma powodów. Odbijemy ten kraj dla ciebie.

Diuk uśmiechnął się krzywo.

- Owszem... - odpowiedział cicho. - Dziękuję, generale. Zawróciwszy konia, ruszył od obozu ku granicy. Jego ludzie pociągnęli za nim. Zagłębił się w mroki prześwitu i ruszyli drogą ku południowej mierzei, należącej do Enliego, gdzie mieli na nich czekać Grath i jego najemnicy. Nikt nie odezwał się słowem, Enli widział jednak radość w oczach swoich ludzi, wszyscy bowiem nie mogli się doczekać chwili, w której zostawią Narenów i przyłączą się do najemników. Enli miał ochotę wybuchnąć śmiechem, pozwolił sobie jednak tylko na niezbyt widoczny w gęstwinie czerwonej brody uśmiech. Po kilku minutach jazdy, gdy dobrze zagłębili się już w las, diuk nagle zatrzymał konia. Faren i pozostali zrobili to samo. Enli obejrzał się przez ramię, nie zobaczył jednak niczego, prócz drzew. Przez kilka sekund jeszcze nasłuchiwał, ale też niczego nie usłyszał. W końcu zadowolony spojrział w niebo, włożył dwa palce do ust i gwizdnął przeraźliwie.

- Krak! - zawołał. - Przybądź, przyjacielu! Już można. Przez chwilę przeszukiwał wzrokiem baldachim gałęzi nad głową i kilka plamek widocznego poprzez nie nieba.

Minęło kilka dłuższych chwil. Ludzie zaczęli pomrukiwać, Enli jednak był pewien swego.

Po chwili nad ich głowami pojawił się czarny punkcik, który rósł w oczach, spływając spiralą w dół.

Diuk wyciągnął ramię i wezwał ptaka ponownym okrzykiem. Krak sfrunął w dół wdzięcznym łukiem i usiadł na dłoni swego pana. Ujrzawszy, że czerwona broda pęka w uśmiechu, kruk sam zaniósł się chrapliwym śmiechem.

- Pan! - zaskrzeczał. - Dom!

- To prawda, wróciłem do domu, mój przyjacielu - przytaknął mu diuk. Wolną ręką podniósł ptaka do twarzy i zajrzał mu prosto w czarne niczym onyksy oczy. - Doskonale się spisałeś, mój piękny - pochwalił ulubieńca. - Powiedz mi, że twoi bracia

czekają na me wezwanie. Czy moja podniebna armia jest gotowa?

Kruk przechylił głowę, co było znakiem potwierdzenia.

- Ruszajmy zatem - oznajmił Enli. Usadowiwszy ptaka na ramieniu, zwrócił się do swoich ludzi. - Do Larn, chłopcy. Śmigniemy tam szybciej od wiatru.

I rzeczywiście popędzili z wiatrem w zawody, gnając na złamanie karku po wąskiej leśnej drodze ku południowej mierzei w pierwszych promieniach poranka. Nieopodal były pojedyncze gospodarstwa i wioski, ale do Larn mieli najbliżej. Podczas tej jazdy serce diuka biło jak szalone. Mógł tylko żywić nadzieję, że Grath na czele najemników Biagia w istocie rozpędził oddziały brata na cztery wiatry i oczyścił drogę, którą Vorto miał dotrzeć pod Szarą Wieżę.

„Zepchniemy go do oceanu - marzył Enli. - Zagonimy na plażę i tam zniszczymy”.

Reszty dokonają działa liniowców Nicabara. Uwięzieni z jednej strony pomiędzy okrętami Czarnej Floty i przyduszeni do ziemi przez podniebną armię legionistów Vorta zostaną po prostu zmasakrowani.

- Szybciej, chłopcy! - ponaglał diuk swoich ludzi. - To wyścig z czasem!

Kiedy wreszcie jeźdźcy wpadli do Larn, słońce już zupełnie wynurzyło się zza horyzontu. Osada była zbiorowiskiem małych, kamiennych domków zamieszkałych przez kowali i farmerów. O tej porze roku Lam spało otulone śniegiem, a jego mieszkańcy z trudem radzili sobie z okowami zimy. Enli wiedział, że było to doskonałe miejsce na ukrycie jego drużyny. Osada leżała tak blisko granicy, że na północną mierzeję można stąd było uderzyć w ciągu godziny. Wpadając do Lam, diuk gromkim okrzykiem wezwał do siebie najemników.

- Grath! - zagrział. - Do mnie! Oto jesteśmy!

Zobaczył swoich żołnierzy czekających niecierpliwie na koniach i zebranych pośrodku wioski. Mieszkańcy Larn pozamykali się w domach, zostawiając wioskę na łasce wojska. Trzy setki wojaków kręciło się po wiosce bez wyraźnego celu. Byli to ludzie o okrutnym wyglądzie, którym przypadkowo podobierane zbroje nadawały wygląd mozaiki kolorów i metalu, lub raczej grupy niezdyscyplinowanych barbarzyńców. W świetle poranka lśniły groty długich włóczni, a nie ogolone twarze co chwilę wybuchały śmiechem.

Ujrzawszy diuka, najemnicy niezbyt chętnie zaczęli stawać w szyku. Enli podjechał bliżej, szukając wzrokiem ich wodza.

- Gdzie jest Grath? - warknął gniewnie. - Odpowiadać!

Kilku ludzi z książęcej drużyny, którzy wmieszali się w tłum Dorian, podbiegło, by powitać pana. Na ich czele stanął Yarllyle, stary żołnierz z załogi Czerwonej Wieży. Enli spojrział na wychudzoną i strapioną twarz wojaka.

- Yarllyle, gadaj mi zaraz! - zagrzemiał. - Co się stało?

- Przykro mi, diuku... - wybąkał żołnierz, - Gratha tu nie ma. On... - żołnierz przełknął ślinę - ... nie żyje.

- Nie żyje? - zachnął się Enli. - Jak to się stało?

- Zginął w walce? - wtrącił się Faren.

- Nie, panie - odpowiedział żołnierz, zwracając się wprost do Farena, który był jego bezpośrednim przełożonym. - Nie w walce. Zabiły go te bestie, jak sadzę.

Kruki.

Enli jęknął i opadł na siodło.

- Natychmiast mi to wyjaśnij - rozkazał. - Szybko, człowieku. Mów!

Yarllyle wyjaśnił, jak żołnierze zajęli północną mierzeję. Zgodnie z rozkazami Eniego mieszkańcy wioski Zachodni Wiatr i wszyscy członkowie drużyny Eneasa poszli pod miecz.

- Co dalej? - ponaglił go Enli. - Jak dotąd słyszę same dobre wieści. Co się stało z Grathem?

Yarllyle skrzywił się ponuro.

- Przykro mi rzec, diuku, ale...

- Co?

- Twoja córka... - odpowiedział drżącym głosem zapytany. - Nina. Grath i kilku jeszcze ludzi zawieźli ją do Szarej Wieży. Do tej pory nie wrócili.

Potrzeba było chwili, by Enli zrozumiał konsekwencje usłyszanych wieści, ale gdy to się stało, diuk zachwiał się w siodle.

- Nina? - jęknął. - Moja Nina?

- Diuku...

- Nina! O Boże! - jęknął Enli, zaciskając dłoń w pięść. Tego się nie spodziewał,

bo nie umiałby sobie nawet wyobrazić podobnej okropności. Faren i inni mówili coś do niego, usiłując go pocieszyć, ale ich słowa docierały do niego jak przez gęstą mgłę.

- Jesteś pewien? - udało mu się wystękać po chwili, choć język odmawiał mu posłuszeństwa. - Widziałeś ją martwą?

- Nie, panie - odpowiedział Yarlyle. - Ale prawdę mówiąc, nie mogła przeżyć.

Te kruki...

- Nie! - Enli uchwycił się ostatniej nadziei. - Ptaki nie zrobiłyby jej krzywdy, jeżeli został przy niej Krak! - Odwrócił się do ulubieńca. - Powiedz mi! - zagrzemiał. - Krak, gdzie jest Nina? Czy żyje?

Usłyszawszy imię dziewczyny, Krak poruszył się niespokojnie.

- Nina! - zaskrzeczał. - Żyje! Żyje!

Enli wstrzymał oddech. Żyje! Oczywiście, ptak musiał wiedzieć! A jeżeli żyła, to mogła się schronić tylko w jednym miejscu.

- Dobry Boże! - jęknął znów diuk Enli. - Szara Wieża!

Generał Vorto, który z niedawno ogoloną głową wspaniale się prezentował w zbroi, jechał na czele kolumny składającej się z tysiąca ludzi. Jego ogromny topór bojowy spoczywał w objęciu na generalskich plecach. W sercu Vorta płonęła żądza krwi.

Obok generała jechał milczący i drżący z zimna pułkownik Kye, a tuż za nim podążał chorąży - dumnie wyglądający młody człowiek, unoszący wysoko drzewce Światłości Boga, tak by wszyscy mogli zobaczyć Boży sztandar. W powietrzu niesło się parskanie koni i szczęk oręża. Vorto słyszał dodający wszystkim ducha zgrzyt wozów bojowych, które parły przed siebie na żelaznych gąsienicach. Wyruszyli przed godziną i posuwając się wolno, lecz miarowo, zdążyli już przekroczyć granicę Smoczej Paszczy. Wszędzie wokół panował niezwykle spokój, co trochę generała niepokoiło. Jechali jedyną porządną drogą, wiodącą w głąb północnej mierzei. Vorto był pewien, że miejscowi już zdążyli ich dostrzec.

Nie dotarli jeszcze do żadnej większej osady, ale z pewnością było ich zbyt wielu, by wszyscy mogli się skryć. Generał Vorto zmarszczył brwi, czując na policzkach ukąszenia zimnego wiatru.

- Powinniśmy pojechać przodem - odezwał się Kye. - Musimy zobaczyć, co

znajduje się przed nami. Albo poczekać na powrót Enliego. On lepiej zna te okolice.

- Rozejrzyj się dookoła, Kye - poradził mu Vorto. - Nie ma tu niczego, czego powinniśmy się obawiać. Jedźmy dalej.

- Myślę, generale...

- Nic mnie nie obchodzi, co myślisz, Kye. Naprawdę nic. - Vorto nie lubił, by kwestionowano jego rozkazy, zwłaszcza zaś nie cierpiał, gdy robił to Kye, którego zachowanie ostatnio zdradzało pewne oznaki kryzysu lojalności. Generał zaczynał podejrzewać adiutanta o tchórzostwo. - Nie potrzebujemy Enliego i tej jego zbieraniny maruderów. Wydaje mi się zresztą, że walki ustały tu same z siebie, szlag by to trafił.

Rozumowanie generała nie przekonało Kye'a.

- Jest zima - przypomniał przełożonemu. - W zimie zwykle nie toczy się wojen, a szczególnie domowych. Może zawarli rozejm aż do wiosny? Albo nas zobaczyli i szykują zasadzkę.

- Zasadzkę? Z kim? Eneas miał może dwie setki ludzi. Po bitwie, jaką musieli stoczyć, została mu pewnie połowa. Pułkowniku, przesadzasz z tą ostrożnością.

Jedźmy dalej.

Kye obejrzał się przez ramię. Mieli ze sobą tylu ludzi, że mogli zgnieść wszelki opór stawiany przez drużynę Eneasa. A jednak w oczach pułkownika czaił się prawdziwy strach, który to widok wyraźnie irytował Vorta. Generał sapnął gniewnie i zwrócił się do pułkownika.

- Kye... - zaczął. - Powiedz mi, co cię niepokoi? Te kruki?

- Owszem - odpowiedział pułkownik. - I panująca tu wszędzie cisza.

- Kye, idziemy w bój pod sztandarem Bożej Światłości. Miej wiarę, pułkowniku.

Bóg nas obroni.

- Generale, jeszcze większą ufność pokładam w głowni mojego miecza.

Vorto parsknął śmiechem.

- Nie wkładam hełmu, bo niczego się nie boję, pułkowniku. Jestem pod ochroną Niebios. Powinieneś mieć wiarę.

- Mam instynkt - odparł Kye - który jak do tej pory mnie nie zawiódł, generale.

- Wiara, Kye - upierał się Vorto. - Wiara.

Ruszyli dalej w milczeniu, a kolumna podążyła za nimi. Zaczął padać śnieg,

dodając jeszcze jedno do wielu utrapień. Z nieba sypnęły najpierw pojedyncze płatki, które szybko zgęstniały w białą mgłę, tnącą dokuczliwie po twarzach i zacierającą zarysy drogi. Konie zaczęły parskać z niezadowoleniem, greegany podniosły gniewną wrzawę, ale legionści Vorta parli przed siebie bez słowa skargi czy sprzeciwu. Generał nastawił twarz na ukąszenia wiatru i uśmiechnął się sam do siebie.

„Najlepsi z najlepszych - powiedział sobie z dumą. - Zrobią wszystko, co do nich należy”.

Ale gdy śnieg zaczął ciąć coraz gęściej, Vorto sam kilkakrotnie sapnął gniewnie.

Łeb piekł go z zimna, Kye zaś nieustannie chuchał w dłonie, usiłując je choć trochę rozgrzać.

Jeżeli tak dalej pójdzie, będą musieli poszukać jakiegoś schronienia. Generał zaczął rozmyślać, czy nie należałoby się zatrzymać i rozbić obóz. Nie był tym zachwycony. Nie.

Mieli przed sobą zadanie, które należało wykonać, parli więc naprzód, choć droga zrobiła się śliska i grząska. Wkrótce wyjechali na otwartą przestrzeń, otoczoną wzgórzami, na horyzoncie zaś zamajaczyły niewyraźne plamki domostw i zabudowań. Vorto pomyślał, że jednak przyjdzie im się tu zatrzymać, ale zmienił zdanie, usłyszawszy pełne ulgi westchnienie Kye'a.

- Tam, generale - odezwał się pułkownik. - Spójrz...

Vorto wbił wzrok w zasnutą śniegiem dal. Za wzgórzami, dość daleko przed nimi, widać było zabudowania jakiejś wioski. Wyglądała na zaniedbaną, ale tak czy inaczej, w jej domkach można się było schronić przed śniegiem i Vorto natychmiast poczuł, że wraca mu dobry humor. Podniósł dłoń i ponaglił żołnierzy do dalszego marszu.

- Podjedź ze mną, pułkowniku - rozkazał i spiął konia, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w wiosce i zobaczyć, co się w niej kryje.

Kye szarpnął wodze i puścił konia w klus za generałem. Wkrótce obaj odbili daleko w przód, gnając przez śnieg ku zbiorowisku nędznych chatek i zabudowań gospodarskich. Vorto wiedział, że wieśniacy z pewnością musieli już ich dostrzec. Oczekiwał, że kiedy wjedzie w obręb domków, tamci zbiorą się pośrodku uliczki i będą się gapić z otwartymi gębami. Ale wpadłszy do wioski, nie zastali w niej nikogo. Nie powitał ich ani jeden człowiek, wszystkie zaś okiennice były szczelnie pozamykane.

Vorto nagle szarpnął wodze i osadził konia w miejscu. Popatrzył na uliczkę i poczuł tchnienie niepokoju.

- Co się stało? - spytał Kye, zatrzymując swego rumaka obok generała.

Vorto uważnie przyglądał się doświadczonym okiem wiejskim chatkom, wysypanej zwirem drodze i pozamykanym okiennicom. Śnieg zaczął sypać niedawno i na ziemi zostały spore połacie odsłoniętego gruntu. Wszędzie wokół widać było ślady końskich kopyt - ziemię stratowały tu podkowy wojskowych rumaków. Niesamowita, panująca wokół cisza przemówiła z siłą dzwonu, przypominając mu Goth. Rozejrzał się dookoła i powiódł wzrokiem po zabudowaniach. Wewnątrz nich ukryli się ludzie, którzy uważnie obserwowali go zza okiennic... i którzy się go bali.

- Dostrzegli nas - mruknął, zwracając się do Kye'a. - I cały czas nas obserwują.

Kye łypnął okiem na chatki.

- Jest zimno i zbiera się na śnieżycę. Może...

- Nie, Kye. Spójrz na ziemię. Były tu konie, wiele koni. I to nie tak dawno temu.

Kye kiwnął głową na znak, że rozumie.

- Bitwa?

- Możliwe. A może po prostu przejechali przez wioskę.

- Ale gdzie się podziali? - spytał Kye. - Gdzie są ludzie Eneasa?

Vorto milczał dość długo, zastanawiając się nad odpowiedzią. Może zostali pobici?

Czyżby Enli miał aż tak dobrych żołnierzy? Może już wygrali? Generał rozejrzał się podejrzliwie dookoła, nie bardzo wiedząc, co myśleć o tym wszystkim, i co odpowiedzieć pułkownikowi. Przez chwilę wyteżał słuch, łowiąc uchem wszystkie dźwięki niesione przez wiatr. Musiał uzyskać odpowiedzi - ale wioska nie bardzo była skłonna do tego, żeby mu ich udzielić.

Rozgniewany ciszą, ruszył w głąb uliczki i zatrzymał konia przed największą i najbardziej okazałą z chat. Zmieszany Kye podążył za generałem. Ten zeskoczył z siodła i wyjął topór z obejmą na plecach. Nie pytając o nic, Kye wyciągnął z pochwy własny miecz o wąskim ostrzu z polerowanej stali. Vorto nie czekał, by ktoś mu otworzył drzwi, i nawet nie zadał sobie trudu, by zapukać. Podniósł obutą w ciężki kawaleryjski but stopę i rąbnął nią w drzwi, wybijając je jednym kopnięciem. Wewnątrz rozległ się krzyk i płacz

dziecka. Vorto spokojnie ujął w obie dłonie drzewce topora i wszedł do izby.

- W imieniu arcybiskupa Herritha! - zagrzmiął. - Wyłazić!

Z głębi izby ktoś odpowiedział mu w szybkich i nie bardzo zrozumiałych słowach.

Vorto przez chwilę wpatrywał się w mrok, przyzwyczajając oczy do ciemności.

- Jestem generał Vorto z Nar! - ryknął. - Wyłazić mi zaraz, albo poniesiecie konsekwencje waszej głupoty!

W mrocznym kącie ktoś się poruszył. W drzwiach ukazała się opatulona w nędzne koce sylwetka, a za nią jeszcze dwie. Pierwszym był mężczyzna, z wyglądu kmić.

Za nim szły jego żona i córka. Cała trójka bojaźliwie spoglądała na Vorta.

Dziewczynka, która niedawno dopiero nauczyła się chodzić, wczepiła się rączkami w matczyną suknię.

- Chodźcie tutaj! - rozkazał Vorto, opuszczając nieco topór, na tyle tylko, by okazać tubylcom odrobinę dobrej woli. - Wszyscy.

Kmić wyprowadził żonę i córkę z kryjówki. Wszyscy troje przeszli na środek izby.

Patrzyli w ziemię i żadne nie podniosło wzroku na najeźdźców. Vorto przyglądał się im przez chwilę i doszedłszy do wniosku, że nie są zdolni do aktów gwałtu i przemocy, podszedł bliżej. Dziewczynka spojrzała mu w twarz przerażonymi oczami i wybuchła płaczem, a matka zaczęła ją pospiesznie uspakajać.

- Uspokójcie się - zwrócił się do nich Vorto. - Nikt was nie skrzywdzi. Jestem generał Vorto, naczelny wódz nareńskich legionów.

Wieśniak lekko się skrzywił.

- Tak, panie - odpowiedział z lękiem w głosie. - Nie zrobiliśmy niczego złego, panie. Przysięgam. My się po prostu boimy. Wszyscy tu w naszej wiosce się boimy.

I nic więcej.

- Kogo się boicie? - spytał Vorto. - Ludzi Enliego?

- O tak, panie. - W końcu podniósł pełen nadziei wzrok na Vorta. - Przyszliście nas przed nimi obronić? Przed najemnikami diuka Enliego?

Vorto zmrużył oczy. Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, zachował milczenie.

Spojrzał pytająco na Kye'a, ten jednak odpowiedział mu dokładnie w taki sam sposób.

Generał poczuł nagle dreszcz złego przeczucia.

- Jakich najemników? - spytał. - O kim ty gadasz, człowieku?

- O najemnikach z Dorii - odpowiedział kmieć, oblizując wargi językiem.

Pogłaskał córkę po główce, by ją uspokoić. - Walczyli pod sztandarami Czerwonej Wieży ramię w ramię ze smoczymi żołnierzami Enliego. Były ich setki.

- Mój Boże! - jęknął Kye.

- Opowiedz mi wszystko po kolei - napierał Vorto. - Co tu się wydarzyło?

Kmieć, który nagle się zmieszał, dokładnie tak samo jak wypyujący go najeźdźcy, opowiedział o napaści ludzi diuka Enliego, o zabójstwie Eneasa i o spustoszeniu północnej mierzei. Powiedział, że najemnicy wyrznęli w pień wszystkich mieszkańców Zachodniego Wiatru, osady położonej tuż przy Szarej Wieży.

- Armię Eneasa wycięto w pień - stwierdził. - Może zostały jeszcze tylko kruki... Nie wiem. My się jednak boimy opuścić progi domów. Nie ma nikogo, kto by nas bronił.

A jak ci najemnicy wrócą...

Vorto podniósł dłoń, by go uciszyć. Musiał pomyśleć, by rozwikłać zagadkę, którą postawił przed nim Enli. Poczul ogarniającego nagle falę gorąca i strachu.

- Sprytny bydlak... - wyszeptał sam do siebie.

Enli wywabił z Nar blisko tysiąc legionistów. Teraz utknęli tu na tym półwyspie, setki mil od domu, i ze zbliżającą się zimą na karku. Nie mówiąc o doriańskich najemnikach.

Generał nerwowo przesunął dłonią po swojej łysinie.

- Kye - stwierdził bez wstępu. - Mamy kłopoty.

- Powinniśmy się tu zatrzymać - odpowiedział szybko pułkownik. - Musimy się tu umocnić i przygotować do obrony.

Pomysł był dobry, ale niedostatecznie dobry.

- Nie - odpowiedział Vorto. - Jest lepsze miejsce, które się do tego nada. - Szybko odwrócił się do kmiecia. - Szara Wieża. Czy obsadzono ją jakimiś wojskami?

- Nie wiem, panie - wyjąkał zapytany. - Chyba nie.

- Otóż to! - odparł generał. Odwróciwszy się na pięcie, popchnął Kye'a. - Szybko,

Kye. Wynośmy się stąd!

Diuk Enli gnał jak szalowiec prosto w paszczę coraz gwałtowniej wyjącej śnieżycy i głośnymi okrzykami wzywał swoich ludzi, by nie zostawali w tyle. W sile trzystu ludzi galopowali po śliskiej, oblodzonej drodze, pod wiatr i śnieg ku północnej mierzei Smoczej Paszczy i czekającym na nich Narenom. Obok diuka pędził Faren, a nad jego głową unosił się Krak, który łopocząc skrzydłami, prowadził ich w nieznane. Broda diuka stężała od śniegu i zamarzniętej pary o koński bok łomotał miecz Enliego, któremu wydawało się chwilami, że ostrze łaknie krwi. Z pyska wierzchowca buchała para, a koński kark pokryły płaty piany, ale ogarnięty furją diuk nie zwracał na to uwagi. Dawno już przekroczyli granicę i teraz galopowali przez pierwszą z wiosek. Jak to przewidział Faren, okiennice we wszystkich domkach pozamykano na głucho, jeźdźcy zaś nie zatrzymali się nawet dla zebrania informacji. Enliemu dość było rzucić okiem na zdeptyany śnieg, by się dowiedzieć, że Vorto przejechał już przez wioskę. Wszędzie było widać ślady zostawione w śniegu przez wozy bojowe i odciski kopyt galopujących koni. Vorto i jego ludzie najwidoczniej pędzili, jakby ich gonił sam diabeł.

„Rozgryzł mnie - pomyślał Enli z niepokojem. - Wie, że go schwytaliśmy w pułapkę”.

Teraz zaś ruszy do Szarej Wieży, by jęcząc i się w niej zamknąć ze swymi ludźmi.

Enli zaklął, wściekły na siebie i swoją ignorancję. Jeżeli Nina jeszcze żyła, z pewnością tam właśnie będzie na niego czekała. Vorto ją odnajdzie i...

Nie mogąc znieść tej myśli, przegnał ją w najciemniejsze zakamarki pamięci.

Uparcie zgrzytnął zębami, nie chcąc się przyznać do przegranej. Jeżeli Nina jeszcze żyła, z pewnością ją uratuje. Uratuje ją i nikt - nawet Vorto - mu w tym nie przeszkodzi.

Wjechali na łąkę, białą i pokrytą śniegiem. Droga, którą gnali, pokryta była lodem, a hulający pomiędzy wzgórzami wiatr szarpał ich odzież i ciął skórę niczym ostrza tysięcznych noży. Twarz diuka płonęła, jakby ją srodze poparzył. Nie musiał patrzeć na swój nos, by wiedzieć, że pokryły go już sine plamy odmrożeń. Ze smaganych wiatrem oczu leciały zamarzające łzy, a spod paznokci na okrytych rękawicami dłoniach sączyły się krople krwi.

Co gorsza, Dorianie i jego ludzie wcale nie mieli się lepiej. Jechali za nim, bo wiedzieli, że nie mają innego wyjścia - wydostawszy się z pułapki, Vorto natychmiast dobierze im się do skóry. Wszyscy jednak mieli już dość jazdy, byli głodni i okropnie zziębnięci.

Enli zaś nie wiedział, czemu i komu będą musieli stawić czoło. Wiedział tylko, że jego córka - wciąż nazywał ją córką, mimo dowodów świadczących o czymś przeciwnym - była w rozpaczliwej sytuacji, a miłość, jaką dla niej żywił, kazała mu ścierpieć wszelki chłód.

Zamieć trwała, oni gnali niemal na oślep, aż diukowi zaczęło się wydawać, że rozpaczliwy wyścig nigdy się nie skończy. W końcu zobaczył oddziały Vorta przedzierające się przez śnieżycę i zasy. Podniósł dłoń, natychmiast zatrzymując swoich ludzi.

Nad legionistami powiewał sztandar Bożej Światłości. Wzdłuż szlaku jechały wozy bojowe, ciągnięte przez olbrzymie gregany, a konni niepowstrzymanym strumieniem parli ku Szarej Wieży. Byli już bardzo blisko. Ze swego miejsca na szczycie wzgórza Enli widział już niewyraźne zarysy twierdzy. Nie mógł jednak dostrzec stąd oceanu i nie potrafił powiedzieć, czy Nicabar stawił się na umówione spotkanie ze swoimi okrętami. Diuk potarł dłonie, niepokojąc się o powodzenie planu. Nieprzyjaciel wciąż miał miażdżącą przewagę liczebną.

Jeżeli Vorto dostrzegł ich wcześniej, niż oni jego, zostaną zdziesiątkowani.

Enli doszedł do wniosku, że może już liczyć tylko na jedno.

- Wezwij kruki - sapnął Faren z rozpaczą w głosie, jakby odczytał myśli swego pana. - Nie zwlekaj, bo zaraz nas zobaczą.

- Zgoda - sapnął Enli. Legioniści Vorta mogli ich dostrzec lada moment, ich największym wrogiem był teraz czas. Wyciągnął ramię ku niebu i zawołał: - Krak!

Do mnie!

Krążący nad ich głowami ptak sfrunął na dłoń Enliego. Diuk spojrział na kruka z rozpaczą w oczach.

- Jesteś mi teraz potrzebny, przyjacielu - powiedział. - Wezwij swoich braci.

Sprowadź ich tu i uderzajcie na naszych wrogów. Zabijaj, Krak. Zabijaj!

Potrząsnąwszy ramieniem podrzucił ptaka w górę. Krak znikł w kłębach zamieci,

kierując się na zachód, ku Szarej Wieży. Enli patrzył za nim i nerwowo zagryzał wargi.

Odległy o tysiąc jardów legion Vorta nagle się zatrzymał.

- Tam są! - syknął Vorto, wskazując ramieniem wzgórze na wschodzie. - Tam!

Zobaczył ich, patrząc przez tumany śniegu, czekających na wschodnich stokach wzgórz. Były ich tam chyba ze trzy setki. Może nieco więcej, razem z Dorianami, jak mówił tamten kmic. O tym, że miał do czynienia z najemnikami, świadczył przypadkowy dobór kolorów zbroi i uniformów. Obok Dorian stali smoczy żołnierze Enliego, w najeżonych kolcami zbrojach i gadzich hełmach. Cała nareńska kolumna zatrzymała się nagle i jedni po drugich zaczęli zwracać się frontem ku wschodowi.

- No to ich mamy! - zaśmiał się uradowany Vorto. Potrząsnął pięścią w nadziei, że Enli zobaczy ten gest. - Mam cię, zdradziecki kundlu! Nie sprostasz moim zuchom!

Rad był temu, że zabrał ze sobą tylu ludzi, i cieszył go widok wozów bojowych i kwasomiotów. Enli nie spodziewał się, że w Smoczej Paszczy zjawi się taka siła - i popełnił śmiertelny błąd.

- Dureń, setny dureń! - stwierdził Vorto. - Zdechniesz dziś jak pies.

Rozejrzał się szybko dookoła i zbadał wzrokiem okolicę. Znajdowali się w zasypanej śniegiem dolinie pomiędzy wzgórzami, rozległej i dającej mnóstwo miejsca na manewry.

Pozycja i przewaga liczebna stwarzały legionistom przygniatającą przewagę.

- Kye, to będzie nasze pole bitwy - odezwał się do pułkownika. - Piękne miejsce do walki.

- Generale, oni nas nie zaczepią - stwierdził pułkownik. - Najemnicy stwierdzą, ilu nas jest, i się wycofają.

- To pójdziemy w pościg, pułkowniku. W imię Boga i ojczyzny, musimy ich zniszczyć! Przygotuj ludzi. Po to właśnie przyszliśmy aż tutaj!

Nie mówiąc już słowa więcej, generał Vorto skierował się ku wschodowi, gdzie czekali jego wrogowie, i potrząsnawszy pięścią, przeklął wszystkich w imieniu swego Boga.

Przemarzniętego do szpiku kości generała ogarnęła żądza zemsty. Oddalił się nieco od legionu, odwrócił konia i stanął twarzą ku swoim ludziom.

- Oszukano was, moje zuchy! - zawołał. - Ale wróg raczył wreszcie się pokazać!

Tam jest, na wzgórzu. To diuk Enli!

Legioniści wydali bojowy okrzyk. Vorto sięgnął dłonią za siebie i wyjąwszy z rzemieni obejmujące lśniący topór, uniósł go w górę.

- Przyszliśmy tu po to, by się bić! - zagrział. - Jesteście gotowi?

Szeregi odpowiedziały mu kolejnym rykiem entuzjazmu, głośniejszym jeszcze i wyzywającym. Żołnierze chwycili za miecze i wyjąwszy je z pochew, zaczęli rytmicznie uderzać nimi w tarcze.

Greggany zawyły przeraźliwie, napełniając powietrze rykami sprzed milionów lat, a konie zarżały entuzjastycznie, wyrażając gotowość poniesienia jeźdźców w bój.

Pułkownik Kye ruszył między żołnierzy, wykrzykując rozkazy i ustawiając legion w słynny nareński potrójny szyk bojowy. Bojowe wozy zajmowały pozycje na skrzydłach, a kwasomistrze nadymali miechy, gotując miotacze do boju. Pośrodku szyku stanął wciąż silnie chroniony wóz z kapsułami Formuły B, które mogły przynieść śmierć wszystkim. Vorto uśmiechnął się, czując dumę ze swoich ludzi. Dziś Formuła B nie będzie im potrzebna. Wystarczy stara, dobra i niezawodna stal.

Odwrócił się ku wzgórzom. Enli i jego ludzie wciąż jeszcze tam byli. Nieco zdziwiony Vorto, który spodziewał się, że tamci rzucą się do ucieczki, pomachał im ręką.

- Czy mnie widzisz, Enli?! - wykrzyknął. - Dziś cię zabiję!

Na zboczu wzgórza widać było sylwetkę jeźdźcy, który nawet nieco przypominał diuka. Vorto mógł dostrzec błysk rudej brody Enliego. Jeździec usłyszał okrzyk generała i wbił w niego nieruchome spojrzenie. Vorto przyjął to za obrazę.

- Udajesz odważnego, skurwysynu? - mruknął. - No, zaraz zobaczymy, jak to z tym będzie.

- Dobry Boże! - wrzasnął ktoś za jego plecami.

Vorto odwrócił się ku swoim. Przez chwilę patrzył na nich, nie bardzo pojmując, o co chodzi, ale zaraz spostrzegł, że wszyscy gapią się na zachód. Generał skierował spojrzenie w tę samą stronę. Zza horyzontu wyłaniała się jakaś ogromna, gnająca ku nim szybko chmura, czarna i złowroga. Wiatr niósł ku nim osobliwy dźwięk, jakby ktoś otwierał jednocześnie dziesiątki tysięcy skrzypiących drzwi. Poruszająca się ku nim chmura gnała zbyt szybko jak na burzę i zbyt głośno jak na zwykłą nawałnicę. Wszyscy żołnierze Vorta pokazywali na niebo i wydawali pełne przerażenia wrzaski. Zupełnie

zbity z tropu generał uniósł się w siodle, pragnąc lepiej zbadać wzrokiem dziwną chmurę. Gdyby morze było czarne i mogło latać, Vorto pomyślałby, że gna na nich fala wysokiego przypływu.

- Matko Boska - wyszeptał generał. - Co to jest, na wszystkie piekła?

Natychmiast jednak zrozumiał, co to jest, a objawienie prawdy sprawiło, że zmartwił ze zgrozy. Leciała na nich podniebna armia, wypełniająca powietrze przeraźliwym jazgotem i niosąca śmierć na czubkach szponów. Vorto przeżegnał się, błagając Boga o to, by dodał mu sił w potrzebie. Nigdy, przenigdy nie spodziewał się, że przyjdzie mu stawić czoło czemuś takiemu. Ruszył ku swoim ludziom, wymachując ramionami, by zwrócić na siebie ich uwagę.

- Uspokójcie się! - ryknął, licząc na to, że zdoła przemoc ogarniającą ich zgrozę. - To tylko ptaki! Stawimy im czoło i zwyciężymy!

Wygłaszając tę przechwałkę, wąpił w głębi duszy w jej spełnienie. Lecące ku nim ptaki przypominały bestie z piekła rodem, wielkie i skrzydlate demony.

Powietrzem wstrząsała wrzawa dziesiątków, może setek tysięcy dziobów.

Generał Vorto postanowił, że drogo sprzeda swoje życie. Ujawszy w dłonie drzewce topora, zagryzł wargi i spojrzał na lecących ku niemu nieprzyjaciół.

Diuk Enli patrzył ze wzgórza, jak kruki rzucają się na niczym nie osłoniętych Narenów. Było to przerażające widowisko, a diuk uśmiechał się diabelsko.

Wiedział, że kruki zdziesiątkują nareński korpus ekspedycyjny, choćby był nie wiadomo jak liczny i uzbrojony.

Legioniści znajdowali się na otwartej przestrzeni i mimo zbroi byli w zasadzie bezbronnymi ofiarami latających bestii, które jednego po drugim zwały na kolana, po czym zrywały im hełmy z głów i wydziobywały oczy. Diuk podniósł dłonie do odmrożonego nosa.

Zupełnie go już nie czuł.

- Boże - wyszeptał Faren. Twarz żołnierza stężała w wyrazie grozy. - Zlituj się nad tymi nieszczęśnikami.

- Co znowu! - zadrwił Enli. - Bóg jest po ich stronie, o czym doskonale wiesz.

Z pewnością im pomoże.

- Uderzamy? - spytał jeden z najemników. - Zapędzimy ich do wieży?

- Nie ma potrzeby - odpowiedział Enli. - Niech rozprawią się z nimi kruki.

Dopiero potem pójdziemy do wieży... Sami.

„I znajdziemy Ninę” - pomyślał z nadzieją. Od córki oddzielał go teraz jedynie Vorto.

Zacisnął zęby. Bał się o córkę. Kochał ją i myśl o tym, że mogłaby odejść, była wręcz nieznośna. Aby zapomnieć o stracie, skupił uwagę na toczącej się w dole walce, spychając widmowy wizerunek córki w głąb pamięci. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu miał nadzieję, że jeszcze żyła i że te drapieżne ptaszyska jej nie dopadły.

- Błagam cię, Boże - wyszeptał. - Ocal ją, albo pozwól, że zrobię to ja.

A może zgodnie z tym, co mówił Vorto, Bóg wysłuchiwał tylko modlitw tych, którzy w niego wierzyli. Jeżeli tak było w istocie, jeżeli Bóg był taki jak Vorto, to jego córka była zgubiona.

Kye był skrajnie przerażony. Niebo zaciągnęło się czernią, ziemia drżała, on zaś czuł jedynie szarpiące go szpony i uderzenia ostrych jak sztylety dziobów. Wciąż jeszcze siedział na koniu, choć trzymał się resztką sił. Oślepiła go zamieć czarnych piór, więc nie umiałby nawet powiedzieć, gdzie jest Vorto i czy generał w ogóle jeszcze żyje. Wszędzie wokół niego ludzie krzyczeli przeraźliwie i wymachiwali mieczami, co nie na wiele się zdało.

Ziemia zasłana była trupami koni, którym bezlitosne kruki wywlekały już wnętrzności.

Kye cisnął swój miecz i obiema dłońmi usiłował utrzymać hełm na głowie. Przebijając się przez otaczający go chaos, czuł, że kruki dziobią okrutnie jego palce, usiłując go zmusić, by wypuścił z dłoni hełm. Miał ochotę zawyc z bólu, ale się powstrzymał - nie chciał tracić resztek tchu.

Koń pułkownika potykał się w śniegu, nie mając pojęcia, dokąd się skierować i gdzie uciekać. Pułkownik usiłował pognać go na zachód, ku odległej wieży, gdzie ewentualnie mogliby się schronić. Grunt był nierówny i śliski. Koń zachwiał się raz i drugi.

Zewsząd było słycać wrzaski kruków. Przedzierającego się przez zamęt pułkownika prześladowały przeraźliwe jęki ludzi, których ptaki zrzuciły z siodeł i

pozbawiły osłony hełmów, teraz zaś swobodnie wrywały im z twarzy kęsy żywego ciała.

Kye zrozumiał, że z tymi piekielnikami nie da się walczyć. Musiał zarządzić odwrót i przeprowadzić resztki legionu do Szarej Wieży. I nagle przypomniało mu się coś jeszcze - i pod wpływem tej myśli wnętrzości skrzyły mu się w zimny węzeł. Formuła B.

Jeżeli pęknie choć jeden z pojemników...

- Generale! - zawył. - Gdzie jesteś?

Z trudem przedzierał się przez czarną zamieć, szukając Vorta.

W końcu go znalazł nieopodal wozów z pojemnikami. Generał usiłował włożyć na głowę jakiś porzucony hełm. Kye przelotnie spojrzał na łysą głowę Vorta, paskudnie poraną i zakrwawioną. Pułkownik skierował rozpaczliwie miotającego się konia ku generałowi.

- Generale! - zawołał. - To ja, Kye. Weź mnie za rękę. Musimy się stąd wydostać!

Vorto był całkowicie ogłupiały. Włożył hełm i spojrzał przez wizjer przyłbicy przekrwionymi oczami na Kye'a. Podeszedł chwiejnym krokiem, chwycił dłoń pułkownika i z jego pomocą wdrapał się na siodło. Podwójnie obciążony rumak Kye'a stęknął boleśnie, ale się nie zachwiał, ani nie zrzucił jeźdźców.

- Do wieży! - syknął Vorto w ucho pułkownika. - Musimy się dostać do wieży!

- Generale! Pojemniki z gazem! Nie możemy...

- Powiedziałem już innym, że mają się tym zająć - wychrypiął Vorto. - Schroniwszy się w wieży, możemy poczęstować te bestie jak należy. Przebóg, Kye!

Zarządz odwrót! Żywo, człowieku, żywo!

Kye raz tylko rzucił okiem na osłabionego z upływu krwi generała i przejął dowodzenie, machając dłońmi, by zwrócić na siebie uwagę ludzi.

- Odwrót! - zagrzmiął całą mocą płuc. - Do wieży!

Admirał Danar Nicabar był znużony.

Jego niewielka flotylla liniowców od pięciu już dni manewrowała u północnych brzegów Nar, zajmując coraz to nowe pozycje pod Szarą Wieżą. Była to uciążliwa, nudna robota, której Nicabar miał już serdecznie dość, podejrzewając, że świat żyje gdzieś tam swoim życiem, podczas gdy on utknął tu w tej lodowej pustyni. Pokład

„Nieustraszonego” bez przerwy smagały poddmuchy lodowatego wiatru, które szarpały połami długiej, żeglarskiej oponczy admirała. Od dłuższego już czasu sypał gęsty śnieg, ograniczający pole widzenia, Nicabar jednak nie odrywał oka od lunety, licząc na to, że w końcu zobaczy coś godnego uwagi. Na pokładzie artyleryjskim wymierzono już wielkie działa okrętu flagowego, gotowego do natychmiastowego otwarcia ognia na wieżę. Na pozycjach za dziobem i rufą „Nieustraszonego” były już „Czarny Gród” i „Intruz”. Oba miały Szarą Wieżę w zasięgu. Pod krzyżowym ogniem budowla niechybnie się zawali. Nicabar nie mógł się doczekać chwili, w której będzie mógł wydać rozkaz rozpoczęcia ostrzału. Brakowało tylko Vorta.

- Nie zawieź mnie, generale - odezwał się Nicabar, który podczas wielu lat spędzonych na morzu nabrał nawyku mówienia do samego siebie. - Całą tę długą drogę przebyłem tylko dla ciebie, ty przerośnięty durniu.

Zniósł niedole i chłód długiego rejsu i niewiele brakowało, by oszalał - wszystko po to, by mieć przyjemność posłania Vorta do piekła. Patrząc w okular lunety, zastanawiał się, co też mogło zatrzymać Narenów. Może odkryto podstęp Enliego? Sam jednak mniej niż godzinę temu widział wzbijające się w powietrze kruki. Teraz z pewnością leciały do celu.

Szara Wieża była jedynym miejscem, gdzie mogli się schronić Vorto i jego ludzie.

Łysy olbrzym będzie musiał ich tam zaprowadzić. Nicabar był tego absolutnie pewien.

- Przekaż rozkaz na pokład artyleryjski - zwrócił się do bosmana. - Niech sprawdzą kąt podniesienia i azymut. Nie życzę sobie żadnych chybionych strzałów.

- Sir, już je sprawdzono! - zameldował podoficer. - Przed kilkoma minutami.

- To niech sprawdzą jeszcze raz! - warknął Nicabar. Młody człowiek w popłochu zbiegł na dół. Admirał opuścił lunetę i złożył ją z gniewnym przekleństwem. Nikt nie miał pojęcia, jak ciężkie było brzemię, które złożył na jego barki Biagio. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Vorta wezmą diabli, razem ze sporą częścią jego armii. Dlaczego ci durnie nie mogli zrozumieć, jakie to było ważne? Nicabar potrząsnął głową w bezsilnej złości.

Podczas swej kariery doznał wielu niepowodzeń i rozczarowań, widział, jak

Imperium przechodzi w tłuste łapy Herritha, musiał też odpłynąć z niczym i w hańbie po dziesięcioletnim oblężeniu Liss. Teraz, gdy klęska Vorta była tuż tuż, czuł, że nie mógłby znieść kolejnego niepowodzenia. Wszystko, czego mu było trzeba, to odrobina szczęścia - i zdrowego rozsądku Vorta, który mógłby ze swoimi ludźmi wreszcie wyłonić się z tumanów śniegu.

Uwagę generała obudził okrzyk z sailingu. Ponownie chwycił za lunetę, szybko ją rozciągnął i skierował na biel otulającą Szarą Wieżę. Przez chwilę nie widział niczego i już miał skląć majtka, kiedy obraz nagle się wyostrzył i admirał zobaczył coś wielkiego, czarnego, obleczonego w zbroję i poruszającego się wolno i z rozmachem.

- Vorto! - syknął pewien zwycięstwa Nicabar. - Witamy w Szarej Wieży!

Odwrócił się do czekających już na jego rozkazy oficerów.

- Przygotować się! - wykrzyknął radośnie. - Przekażcie kanonierom rozkaz, by otworzyli ogień na mój sygnał. Dajcie znać na „Czarny Gród” i „Intruza”. I niech nikt się nie waży wystrzelić bez mojego rozkazu. To moja walka i rozegram ją po swojemu.

Vorto i jego ludzie dotarli do Szarej Wieży oszołomieni i zakrwawieni.

Błyskawicznie wywalili kopniakami drzwi i wpadłszy do środka, szybko je zamknęli za sobą.

Vorto stracił tylu ludzi, że nie mógł na razie ogarnąć umysłem strat. Wiedział tylko, że od pola niedoszłej bitwy aż do wieży zostawili ciągnący się za nimi krwawy szlak poszarpanych trupów.

Przerażeni i zdesperowani zostawili gregany, bojowe wozy i kwasomioty diukowi Enli, popełniając taktyczny błąd mogący ich drogo kosztować. Udało im się jednak uratować Formułę B. Wóz z pojemnikami i zmodyfikowanym miotaczem był nietknięty. Gdy resztki jego ludzi zebrały się w twierdzy, Vorto rozkazał rozładować pojemniki z kapsułkami, choć potworne ptaszyska nie dawały za wygraną i wciąż atakowały wieżę, tłukąc dziobami w okiennice i wybijając szkła szyb. Przedśionek Szarej Wieży pełen był dzikich wrzasków rozjuszonego ptactwa. Vorto i Kye ponaglali ludzi, którzy rozładowywali pojemniki.

- Szybciej tam! - ryczał Vorto przez otwarte drzwi.

Podniósł jakiś miecz i machał nim na oślep, opędzając się od ptaków, które krążyły wokół niego jak ogromne czarne szerszenie. Kye zajął się szybko topniejącą

grupką rannych, przerażony ich stanem. Straty, jakie ponieśli, były niewiarygodnie wysokie.

Vorto widział, jak nawet teraz niektórzy z jego ludzi byli porywani z dziedzińca i wyciągani na zewnątrz przez niewiarygodnie mocne ptaki. Wiedząc, że będą musieli jak najrychlej zamknąć drzwi, skoczył do pomocy przy rozładowywaniu pojemników. Cały wóz obsiadły przeraźliwie skrzeczące kruki, które dziobały wściekle jego ludzi, zostawiając długie rysy na hełmach.

Vorto rzucił się na wóz i zaczął rozrywać ptaki łapami i zgniatać je buciarami.

Do rozładowania zostały jeszcze tylko dwa pojemniki, generał objął więc jeden z nich i podniósł go, ignorując kruki, które natychmiast obsiadły mu ramiona i hełm. Oczy zalewała mu krew ciekąca z wcześniej zadanych ran na czole i głowie. Słyszał głos Kye'a, który go ponaglał do pośpiechu. Obok niego dwaj ludzie taszczyli do twierdzy ostatni z pojemników.

Jakiś uparty ptak szarpnął go za hełm w tej samej chwili, gdy generał przekroczył próg bramy.

Usłyszawszy za sobą trzask zamykanych drzwi, puścił pojemnik i gołymi dłońmi sięgnął w górę, chwycił ptaka i jednym ruchem dłoni skręcił mu kark.

- Zgiń, przepadnij! - ryknął, ciskając ptasie ścierwo na ścianę. - Obyś zgiął w piekle!

Opadł na posadzkę, czując, że lada moment straci przytomność. Zerwał z głowy pogięty hełm i odrzucił go; zaczął macać palcami głowę, badając rany. Wokół niego zebrali się jęczący ludzie, którym z oczu wyzierały groza i przerażenie. Vorto szybko przeliczył ich wzrokiem. W przedsiönku zebrała się ich nieco ponad setka.

Setka... Zamknął oczy, przejęty bólem i rozpaczą. Tak niewielu ich zostało.

Wielokrotnie liczniejsza grupa leżała na zewnątrz, stając się żerem tych piekielnych ptaków.

Schwytano ich w pułapkę, odbierając im wszelkie możliwości ucieczki, chyba że zdecydowałiby się na użycie śmiertelnej trucizny. Enli i jego najemnicy lada moment otoczą wieżę i zaczną stawiać żądania. Vorto zwinął dłoń w pięść i rąbnął nią o kamienne płyty posadzki.

- To jeszcze nie koniec! - syknął generał. - Kye, wyślij ludzi, by przeszukali to

miejsce. Niech się tym zajmą wszyscy, którzy mogą chodzić. Pozamykać wszystkie okna i okiennice. Drzwi też. Zaprzyjcie je czymś, ale żywo! I poszukajcie broni... weźcie wszystko, co się nada. - Rozejrzył się dookoła po mrocznym przedsionku. Zaraz też stwierdził, że nie wszystkie leżące tu ciała należały do jego ludzi. To miejsce było widownią rzezi, tak samo bezwzględnej jak ta, która spustoszyła Zachodni Wiatr. - Enli, niech Bóg na wieczność ześle twą duszę do piekła! - Zgrzytnął zębami, rozglądając się po sali przedsionka. - Pospiesz się, Kye. Nie mamy za wiele czasu.

- Generale! - rozległ się czyjś głos z przeciwnej strony przedsionka. - Zobacz, co tu mamy!

Vorto otarł krew z oczu i spojrzał. Jeden z jego ludzi w przeciwległym krańcu przedsionka stał obok jakiejś... postaci? Vorto zamrugał, nie bardzo pewien, czy widzi to, co myślał, że widzi. Kobieta? Tutaj?

- Co, u licha?

Żołnierz popchnął kobietę ku niemu. Nieznajoma syczała jak wąż. Generał wstał z trudem i uważnie się jej przyjrzał. Kye zrobił to samo, i wkrótce wszyscy w sali gapili się na nieznajomą.

- Coś ty za jedna? - zapytał Vorto.

- Obyś zdechł! - syknęła kobieta i splunęła w jego stronę. Vorto machnął ręką i uderzył ją w twarz. Cios rzucił dziewczynę na ścianę. Vorto podszedł do niej, chwycił za podbródek i ścisnął brutalnie, aż jęknęła z bólu.

- Dziewko, nie mam ochoty na żarty. Powiedz mi, kim jesteś, albo wyrzucę cię przez okno tym ptakom.

- Nina! - wykrztusiła. - Mam na imię Nina. Jestem...

- Córka Enliego! - Vorto natychmiast cofnął dłoń, puszczając dziewczynę. - Co ty tu robisz, u licha? Jesteś sama?

Dziewczyna zagryzła wargi i spojrzała wrogo, ale do rozwiązania jej języka wystarczył tylko widok podniesionej znów generalskiej pięści.

- Tak - odparła pospiesznie. - Jestem sama. Przyszłam tu, bo chciałam coś znaleźć... i utknęłam, gdy te ptaki się zebrały.

Vorto cofnął się o krok, a na jego twarzy zakwitł złośliwy uśmiezek. Przyszła mu do głowy pewna szalona myśl.

- Kye, myślę, że trafiła się nam tu niezła broń na diuka Enli.

Diuk Enli i jego najemnicy ścigali legionistów do Szarej Wieży. Enli poganiał ludzi jak szaleniec. Dotarłszy na miejsce, najemnicy otoczyli wieżę, zatrzymując się tuż poza granicami dziedzińca, a potem zebrali się przy wschodniej stronie, gdzie była brama i gdzie teraz odpoczywały kruki, nasycone już, ale wciąż czekające na chwilę, w której Narenie wyjdą z kryjówek. Galopujący wśród swoich Enli dygotał z niepewności, bo rozdzierany pomiędzy chęcią uratowania córki i zniszczenia Vorta nie miał pojęcia, co robić.

Szara Wieża była potężną fortecą i choć Narenie zostali zdziśiatkowani, mieli przewagę, jaką im dawała umocniona pozycja. Mieli także Formułę B, tajną broń, o której diuk nie powiedział swoim ludziom. Był jednak zbyt zdesperowany, by odwołać akcję. Głównie ze względu na znajdującą się w wieży Ninę.

Mimo syjącego śniegu widział na szarych wodach zakotwiczone groźne sylwetki liniowców Nicabara. Zastanawiał się, czy Vorto też je zauważył i czy powinien dać jakiś sygnał Nicabarowi, czy ten może sam wyda rozkaz do otwarcia ognia. Zaklął, rozcierając zeszyt wniałe z zimna dłonie. Jego najemnicy z chęcią by się wycofali, zostawiając dokończenie sprawy „Nieustraszonemu” i jego braciom. Wśród kręcących się przed wieżą ludzi zaczynały się już nawet budzić niechętne pomruki, które diuk zignorował, skupiając swe myśli na ratowaniu córki. Jeżeli żyła, Vorto prawdopodobnie już ją odnalazł.

Generał z pewnością zechce postawić mu swoje warunki.

- Skurwysyn! - warknął Enli, wypatrując w oknach wieży jakiegokolwiek znaku. - Na co czekasz, Vorto?

Obsypany śniegiem i ubłocony Faren podjechał do pana i spojrzał z dezaprobatą.

- Diuku, musimy się stąd wynieść - stwierdził nieco nerwowym tonem. - Jeżeli te liniowce otworzą ogień, to będzie po nas!

- Zostajemy! - warknął diuk. - Nie zostawię Niny.

- Nie wiesz nawet, czy ona jeszcze żyje - powiedział Faren. - Proszę, zechciej mnie posłuchać. Zostawmy wieżę krukom. Vorto nie ośmielił się wychylić z niej nawet nosa. Nie mamy sposobu, by dać sygnał admirałowi Nicabarowi. Trzeba nam się stąd wynieść i to jak najprędzej!

- Nie! - ryknął Enli, obrzucając sługę wściekłym spojrzeniem. - Zostaniemy, dopóki się nie upewnię, że jej tam nie ma! Nie zostawię...

- Enli, ty piekielniku!

Usłyszawszy swoje imię, diuk spojrział w górę. Na jednym z balkonów otworzyły się drzwi i wyłonił się zza nich potrząsający pięściami olbrzym.

Vorto.

Głowa generała krwawiła z licznych ran. Vorto trzymał w ramionach jakąś kobietę.

Ujrawszy jej twarz, Enli jęknął ze zgrozy.

- O Boże! To Nina...

Na rozkaz Nicabara sygnaliści z pokładu „Nieustraszonego” zaczęli wywijać chorągiewkami, przekazując na „Czarny Gród” i „Intruza” komendę otwarcia ognia.

Czekający na nieuniknione wstrząsy marynarze zebrali się w sobie. Wszyscy powtykali sobie w uszy kawałki szarpi i każdy chwycił się jakiejś liny lub relingu. Pewien swego Nicabar opuścił lunetę. Wszyscy żołnierze Vorta zamknęli się już w wieży. Postanowił, że odda jeden strzał, by ostrzec najemników Enliego, a potem rozbije Szarą Wieżę w drobny mak.

- Długo na to czekałem - odezwał się do młodego porucznika, który towarzyszył mu na pokładzie. - Jeden strzał na początek, wysoko ponad wieżę. Niechaj Vorto się dowie, co go czeka. Poruczniku, wydaj rozkazy, proszę.

Młodzieniec przekazał komendę na niższy pokład. Nicabar złożył ramiona na piersi i spojrział na widoczną w dali wieżę, czekając jak dziecko na pokaz fajerwerków.

- Czego chcesz? - zawołał Enli do Vorta. Pragnął jak najszybciej zawrzeć ugodę, wiedząc, że lada moment zabraknie mu czasu na cokolwiek. - Mów, a ja się zastanowię!

- Po pierwsze, odwołaj te bestie! - zażądał Vorto. Trzymał Ninę, otaczając jednym potężnym ramieniem jej szyję. Dziewczyna szarpała się zaciekle, nie mogła jednak przemóc siły olbrzyma. - Dopiero wtedy pogadamy, zdrajco! Wiesz, że mamy ze sobą pojemniki Formuły B! Zrobisz, co ci każe, albo dostaniecie, co się wam należy!

Enli przez chwilę zastanawiał się nad możliwością przyjęcia tego ultimatum.

Generał mógł rzucać czcze pogrożki, diuk jednak wiedział, że gaz może przynieść śmierć wszystkim, nawet zamkniętym w wieży Narenom. Diuk skrzywił się, wiedząc, że

nie ma właściwie wyboru, zanim jednak zdążył otworzyć usta do odpowiedzi, morze za wieżą rozświetlił nagły błysk...

... po którym rozległ się straszliwy grzmot.

Niebo rozdarło się z hukiem i ognista smuga osmała szczyt wieży. Świat zatrząsł się w posadach. Przerażony koń diuka stanął dęba, zwalając jeźdźca na ziemię. Reszta wierzchowców zachowała się podobnie - wszędzie dookoła widać było jeźdźców usiłujących opanować rżące ze zgrozy konie. Ludzie wrzeszczeli w panice. Ogłupiały Faren rozglądał się dookoła. Enli podniósł wzrok na balkon. Oszołomiony Vorto wykręcał szyję i gapił się na morze. Mimo zasłony śniegu widać było, że twarz generała zbieiała ze zgrozy.

- Liniowce! - wrzasnął Faren. - Otworzyły ogień. Musimy natychmiast uciekać!

Enli stracił głowę.

- Nina... - jęknął jak w malignie. - Mój Boże! Muszę jąratować!

Faren wczepił się dłonią w rękaw diuka, desperacko próbując odciągnąć pana w bezpieczne miejsce.

- Nie, diuku! - zawołał. - Nic już dla niej nie da się zrobić! Uciekajmy!

- Uciekaj sam, Farenie! - krzyknął Enli, wyrwawszy się z uchwytu sługi. - Znajdź jakieś bezpieczne miejsce. Wszyscy się stąd wynoście! Ja muszę znaleźć Ninę!

Niebo rozdarła kolejna błyskawica - tym razem grom uderzył blisko, tak że obaj go poczuli. Nos diuka pokrył się pęcherzami, gdy ognista smuga uderzyła w mur wieży i otuliła go niby płonąca dłoń. Zaraz potem nastąpiły dwie kolejne detonacje. Diukowi zadzwoniło w uszach. Chwyił Farena za ramiona i potrząsnął nim, by zwrócić na siebie uwagę oszołomionego sługi i przyjaciela.

- Szybciej - ponaglił go. - Zbierz ludzi i wracajcie do Czerwonej Wieży.

Sługa spojrział z rozpaczą w oczach.

- Panie...

- Jazda! - wrzasnął Enli. Całą siłą ramienia odepchnął Farena ku lasom, a potem odwrócił się i pobiegł ku zamkniętym wrotom Szarej Wieży.

Znajdujący się w przedsionku wieży pułkownik Kye nie mógł uwierzyć własnym krwawiącym uszom. Wszędzie słyszał tysięczne echa, tak głośne i bolesne, iż przez chwilę myślał, że zaraz wypadną mu obluzowane zęby ze szczęk. Niektórzy, nie mogący

tego wytrzymać, leżeli targani torsjami, inni z najwyższym trudem utrzymywali się na nogach.

Seria wybuchów zatrzęsała ścianami i zachwiała fundamentami wieży. Vorto nie wrócił z góry i Kye nie był pewien, czy w ogóle zobaczy jeszcze swego dowódcę. Pułkownik poznał huk ogromnych morskich dział i natychmiast zrozumiał, że dostali się pod krzyżowy ogień kilku liniowych okrętów. Choć głowa pękała mu z bólu, osłonił uszy dłońmi i chwiejnie dźwignął się na nogi.

- Musimy stąd uciec! - zawołał w nadziei, że ludzie go usłyszą. Skinieniem ręki wskazał zabarykadowane drzwi. Z drugiej strony słychać było pełne desperacji uderzenia. Nie do wiary, ktoś chciał się dostać do środka. Dwaj legioniści, potykając się o leżących towarzyszy, albo o trupy, przedostali się do drzwi, gdzie mozolnie zaczęli usuwać belki zapory. Wieżę wstrząsnęły kolejne dwa uderzenia. Kye podbiegł do ludzi przy drzwiach i zaczął im pomagać... i nagle zauważył przechylone pojemniki z truczką. Pod wpływem każdego kolejnego wstrząsu przechylały się coraz bardziej i lada moment mogły wyskoczyć z nich zatyczki. Kye gapił się na nie przez chwilę, nie bardzo wiedząc, czy powinien ich dotykać, czy nie. Na domiar wszystkiego w tej samej chwili zadrżało i zaczęło pękać sklepienie, z którego posypał się tynk i odłamki gruzu. Z każdym strzałem w sali wzrastało też ciśnienie, huk wybuchów był coraz głośniejszy, aż w końcu Kye poczuł, że zaraz z bólu straci przytomność.

Wstrząsany drgawkami agonii, rzucił się ku drzwiom i wczepił paznokcie w szczelinę pomiędzy skrzydłami, by je otworzyć. Jego ludzie stękali, klęli okropnie i odciągali belki barykady, a potem zaczęli unosić ciężki rygiel. Łomotanie z przeciwnej strony drzwi nie ustawało. Kye słyszał desperackie wrzaski ludzi błagających, by im otworzono.

Kiedy wreszcie podniesiono rygiel, szarpnął oba skrzydła - i natychmiast został niemal zbity z nóg przez wpadającego do przedsionka jak burza diuka.

- Moja córka! - ryczał Enli. - Gdzie jest moja córka?

- Precz stąd, durniu! - syknął Kye.

Dziedziniec zewnętrzny ogarnęły płomienie. Jeźdźcy się rozproszyli, a kruki odleciały. Cały świat przybrał rudawą barwę. Okrętowe działa smagały wszystko ogniem, a fundamentami wieży wstrząsały coraz to nowe wybuchy.

Enli nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie Kye'a. Przepisnął się obok pułkownika, a potem potykając się o trupy i rannych, chwiejnym krokiem ruszył w głąb przedsionka. Ci z legionistów, którzy zdołali się jakoś otrząsnąć z szoku, zaczęli się czołgać ku wyjściu z wieży.

- Precz stąd, wszyscy! - powtarzał Kye. Podnosił rannych, i podpierając okaleczonych, przeprowadzał ich do wyjścia, cały czas czujnie spoglądając na pojemniki z Formułą B.

Przypomniawszy sobie, że były z metalu. Powinny wytrzymać. Ale te niewiarygodne loskoty robiły swoje. Każdy kolejny wybuch wprawiał je w rezonans. Pojemniki dźwięczały coraz głośniejsze i teraz niósł się od nich nieustanny brzęk - jak od roju wściekłych szerszeni. Dygotały też coraz silniej z każdym nowym wstrząsem wieży.

Kye tyrał jak szaleniec, pochłonięty jedną myślą - chciał uratować jak największą liczbę swoich ludzi.

Generał Vorto schodził po schodach kolejnych pięter trzęsącej się w posadach wieży, wciąż trzymając w ramionach wyrrywającą się dziewczynę. Nina wierzgała i szarpała się rozpaczliwie, ale duszący chwyt generała już ją osłabił, Vorto zaś postanowił, że nie wypuści z łap jedynej szansy na ucieczkę z wieży w jednym kawałku. Kolejne salwy liniowców Nicabara zerwały dach wieży i połowa klatki schodowej otwierała się na niebo, podmuchy wiatru i żar eksplozji. Nad głowami schodzących przemknął nowy czerwony błysk i Vorto się schylił. Schodami targnął kolejny wstrząs, który generał boleśnie odczuł w kolanach. Poprzez szczeliny w popękanej ścianie zobaczył „Nieustraszonego” i zrozumiał, że Nicabar przybył tu po jego głowę.

- Puść mnie! - zawołała dziewczyna szarpiąca się w jego ramionach. - Mój ojciec każe ci za to drogo zapłacić!

Generał czuł, że wszystko pływa mu przed oczami, płonie mu twarz oparzona jednym z bliskich wybuchów, schody trzęsą się pod nogami i lada moment polecą w dół na twarz.

Zrobił trzy kroki i zobaczył diuka Enliego, który pędził mu na spotkanie pod górę.

- Vorto, ty draniu! - zawył Enli. - Puść ją natychmiast!

- Stój, Enli, i nawet nie próbuj podejść bliżej! - ostrzegł go generał. - Jak nie posłuchasz, to skręcę jej kark jak jednemu z tych twoich ptaszków.

- Nie mamy czasu na porachunki, ty idioto! Puść ją, to obaj zdołamy stąd uciec.
Te liniowce...

- Tyś je tu sprowadził, zdradziecki psie! Przybyłem tu, by ci pomóc, i oto jak mnie przywitałeś! Zniszczyłeś nas!

- Możemy stąd uciec i żyć dalej - tłumaczył Enli. - Tylko puść dziewczynę.

Vorto potrząsnął głową, ale zanim zdążył otworzyć usta, Nina rąbnęła go łokciem w szczękę tak silnie, aż się zachwiał. Korzystając z tego, wyrwała się z uścisku i śmignęła po schodach ku diukowi. W następnym ułamku sekundy w wieżę trafił kolejny strzał, który oszołomił Vorta, spowijając go falą żaru. Gdy generał ponownie otworzył oczy, zobaczył, że z jego pancerza unoszą się smużki dymu. Poczul ogarniający go ból okropnie poparzonej skóry i gałek ocznych. Enli i dziewczyna patrzyli ze zgrozą. Vorto zawył raz jeszcze. Jego cielsko stanęło nagle w ogniu, pokryte od stóp po czubek hełmu płonąca kerosyną.

Generał, klnąc i wyjąc, ruszył ku diukowi.

- Bóg cię skarże! - wył płonący olbrzym.

Nić żywota Vorta przerwał kolejny strzał, który rozwalił mu czubek głowy.

- Córko! - zawołał Enli. Wybuch oślepił niemal diuka, który niewiele widział przez dym i drżenie rozgrzanego powietrza. - Gdzie jesteś?

- Ojczy? - usłyszał odpowiedź. Głos Niny, słaby i drżący, dotarł doń z głębi chaosu.

- Ojczy, gdzie jesteś? Nie widzę cię.

Enli zaczął macać schody, usiłując mruganiem pozbyć się łez, jakie dym wyciskał z jego oczu. Czuł straszne pieczenie poparzonej skóry. Ból przedzierał się nawet przez otępiałość, spowodowaną odmrożeniami. Każdy ruch wywoływał kolejną falę bólu, diuk jednak nie ustawał w wysiłkach, nie chcąc nawet myśleć o tym, co może zobaczyć, gdy dym się rozwieje.

- Jestem, córeczko! - wychrypiał. - Idę do ciebie.

Po schodach pełzały małe płomyki ognia. Obok diuka przesunęło się bezgłowe cielsko Vorta. Wreszcie, gdy dym się rozwiął, Enli zobaczył córkę. Westchnąwszy z ulgi, objął ją ramionami.

- Jestem przy tobie! - zapewnił. - Już się nie bój!

Jasna głowa Niny kołysała się bezwładnie. Dziewczyna na chwilę otworzyła oczy; diuk czuł, że jej ciało jest lekkie niczym piórko.

- Ojczy? - jęknęła. - Jestem ranna?

Enli spojrział na nią i ku swej nieopisanej grozie odkrył, że córka nie ma nóg, które jakaś potworna siła urwała jej w kolanach. Z kikutów buchały strumienie krwi.

Diuk opadł na kolana, nie wypuszczając córki z ramion.

- Jesteś moją córką! - zawołał. - Moją. Moją. Nina zadrżała.

- Czy to prawda?

Enli spojrział na dziewczynę, którą nazywał córką i która przypominała mu jedyną kobietę, którą kiedyś kochał. Ogromnie była do niej podobna. I do jego brata.

- Tak - skłamał. - Jesteś moją córką. Tylko moją, Nino.

- Ojczy... - wyszeptała Nina. - Wciąż jeszcze żyję. Jestem... Martwa.

Enli otworzył usta. Jego krzyk usłyszano by chyba w całej Smoczej Paszczy, ale wieżę ugodziła kolejna ruda błyskawica, która uciszyła diuka na zawsze.

Kye zdążył wyprowadzić z wieży niemal wszystkich ludzi, kiedy wreszcie sklepienie zawaliło się z hukiem.

Pułkownik leżał pod wyciskającymi mu dech z piersi blokami granitu i choć mąciło mu się w oczach, patrzył poprzez napływające mu do nich łzy wściekłości, na chwiejące się coraz silniej i lada moment mogące popękać pojemniki z Formułą B. Wibrowanie blach, słyszalne już teraz bardzo wyraźnie, osiągało wyższe tony, a na pojemnikach pojawiały się krople wilgoci. Trucizna ulatniała się coraz szybciej i nic nie mogło powstrzymać tego procesu. Ludzie na zewnątrz pospiesznie uciekali spod nieustannego ostrzału. Kye słyszał wrzaski płonących w swoich zbrojach legionistów, którzy na oślep biegali po dziedzińcu.

Wiedział, że niektórym może uda się uciec, on jednak był już trupem. Pojemniki znajdowały się poza jego zasięgiem, a gdyby nawet zdołał do nich dotrzeć, nie wiedział, co zrobić, by zatrzymać piekielną reakcję. Przeklął sam siebie, swoje życie i to wszystko, co zrobił dla Nar i jego głupich, zarozumiałych władców. Zmarnował dla nich całe życie.

- Dobry Boże! - błagał. - Jestem grzesznikiem. Jeśli w ogóle istniejesz, wybacz wszystko zło, które wyrządziłem niewinnym ludziom.

Po chwili pojemniki zaczęły pękać jeden po drugim, i wszędzie wokół rozsnuły

się smużki lotnego jadu.

Pułkownik Kye zamknął oczy, szczęśliwy, że wreszcie umiera.

Po półgodzinnym bombardowaniu Nicabar dał wreszcie rozkaz wstrzymania ognia.

Sygnaliści z „Nieustraszonego” przekazali rozkaz na pozostałe okręty i świat ogarnęła błoga cisza. Gdy rozwiął się dym, admirał wyjął z uszu sukienne zwitki. Śnieżyca ustała, ale nad morzem nadal dął gwałtowny wiatr, który szybko rozwiął ostatnie smugi dymu, aż wreszcie Nicabar mógł nasycić wzrok spustoszeniami, jakich dokonał na brzegu.

Z Szarej Wieży został dymiący szkielet. Na zasypanym rumowiskami gruzu dziedzińcu nie widać było żadnego ruchu - nawet kruki gdzieś przepadły.

Pierwszym uczuciem, jakim wezbrała pierś Nicabara, była duma. Potem jednak poczuł lekkie zdziwienie.

Z pewnością nie mógł zniszczyć wszystkiego. Ktoś powinien pozostać przy życiu.

Rozłożył lunetę i spojrzał na wieżę przez szkła. W istocie, została zniszczona.

Świadczyły o tym wielkie szczeliny w resztkach jej murów, zwały rumowisk i osmalone przestrelmy.

Ale na dziedzińcu leżała nadspodziewanie wielka liczba nieruchomych ciał. Pomiędzy trupami tkwiły kruki, nieruchome, obsypane śniegiem, ludzie zaś, którzy powinni bez trudu dotrzeć do bezpiecznych miejsc, siedzieli i leżeli na ziemi, sztywni jak kawałki mrożonego sztokfisz.

Wszędzie też widać było powalone, martwe konie, nie tknięte przez żaden wybuch i nie poszarpane dziobami kruków. Nicabar nie mógł pojąć, co zabiło wszelkie życie, niczego i nikogo widocznie nie tykając.

Zrozumiał, kiedy zobaczył wijące się nisko przy ziemi smużki zieleni.

- Matko Święta! - wystękał przejęty nagłą grozą. I nagle pojął, że powinni się spieszyć. - Kotwica w górę! Wynośmy się stąd! Żywo, do cholery, pospieszcie się!

Bombardowanie uwolniło kapsułki Formuły B. Vorto oczywiście okazał się dostatecznie głupi, by zabrać ze sobą pojemniki z trującym gazem! Nicabar pognał na pokład, okrzykami ponaglając ludzi do pośpiechu. Mógł mieć tylko nadzieję, że wiatr nie zwieje gazu na nich. Na całym pokładzie „Nieustraszonego” zawrzała gorączkowa praca

- żeglarze za wszelką cenę usiłowali ruszyć olbrzymia z miejsca. Nicabar wiedział, że muszą to zrobić szybko, zanim trucizna dotrze do niech ponad falami.

Ale nic straconego - jeszcze tu wróci. Wystarczy poczekać, aż gaz się rozproszy, co nie powinno potrwać dłużej niż tydzień i będą mogli wrócić do ruin Szarej Wieży.

Musi.

Obiecał Biagiowi, że osobiście mu wręczy specjalny prezent dla Herritha.

Wsluchując się w grzechot podnoszonego łańcucha kotwicznego, Nicabar zastanawiał się, co też zostało z Vorta. W końcu nie potrzebował wiele... ot, jeden większy kawałek.

Trzydzieści jeden PONOWNE SPOTKANIE

Simon patrzył przez maleńkie okienko swej kabiny na rozciągającą się przed „Pogromcą” wspaniałą panoramę lisseńskiego archipelagu Stu Wysp. Trzymając Shani tak, by mogła wyglądać przez okno, patrzyli oboje na wyspy, nie bardzo pewni tego, na co właściwie patrzą. Simon nigdy nie był na Liss, ale słyszał żeglarskie opowieści, choćby z ust N’Deka. Opowiadano, że uroku tego miejsca, z jego starymi mostami, iglicami wież i kanałami zastępującymi ulice z niczym nie dało się porównać. Pragnąc mieć lepszy widok, Simon wytarł parę z szyby. Wstające za wyspami słońce oblewało je pozłocistym blaskiem, który odbijał się od kopuł dalekich wież. Shani dyszała radośnie Simonowi prosto w ucho i zachwycona niezwykłym widokiem, zanosila się dziecięcym śmiechem. Simon przytulił ją mocniej. Dziewczynka wkrótce miała zobaczyć swego ojca. Udało mu się dopiąć swego i był z tego ogromnie dumny.

- Ziemia na horyzoncie, N’Dek - zadrwił. - Mówiłem ci, że się uda.

Kapitan N’Dek, wychudzony i wyczerpany, siedział związany na koi. Od wielu dni tkwił w kajucie razem z dzieckiem i swoim ciemieżcą. Simon go karmił, mył, a kapitan pod przymusem wykrzykiwał przez bulaj rozkazy strapiionym marynarzom, którzy byli pewni, że pakują się w okropne kłopoty, ale doświadczenie ich nauczyło, iż nie kwestionuje się władzy agenta Roshannów. Choć w Imperium panował chaos i nieład, Roshannowie nadal budzili lęk samą swoją obecnością. Simon stwierdził z ulgą, iż lęk ten był dostatecznie silny, żeby zmusić załogę „Pogromcy” do rejsu na Liss. Wyspy dostrzeżono przed godziną, a teraz podeszli już na niebezpiecznie bliską odległość. N’Dek wcale nie wykazywał chęci podejścia do bulaju i podziwiania pięknego widoku. Przepelniała go nienawiść do Simona i pogarda dla samego siebie. Siedząc w pętach, rzadko kiedy w ogóle się odzywał.

- Jak nas tylko zobaczą, przyślą okręty - rzekł N’Dek. - Jesteś gotowy na śmierć, panie Darquis?

- Nie zatopianas - stwierdził rzeczowo Simon. - To tylko jeden okręt. Najpierw zechcą z nami porozmawiać. Poproszę o eskortę do ich dowództwa.

N’Dek parsknął śmiechem.

- Co takiego? I myślisz, że tamci się zgodzą? Co za misję wymyślił dla ciebie Biagio?

- Zawrzyj gębę! - warknął rozeźlony nagle Simon. Nie mówił z kapitanem o swoich planach, bo właściwie nie miał żadnych. Mógł tylko mieć nadzieję, że Vantran bezpiecznie dotarł na Liss i że okupią życie przywiezieniem mu córeczki. - Kiedy tamci się pojawią, ja będę gadał - zwrócił się do kapitana, mówiąc przez ramię. - Pamiętaj o tym, N'Dek. Wciąż jeszcze dowodzę tym okrętem.

- Wiesz, Darquis, co zrobię, jak tylko wrócimy na Crote? - Niepostrzeżenie dla Simona poruszał palcami zabandażowanej dłoni, tej, którą Roshann przebił sztyletem.

- Racz mnie oświecić - zadrwił Simon.

- Powiem Nicabarowi, co zrobiliście. Powiem mu, że wszystko to się stało z rozkazu tego miłośnika męskich tyłków, zbrojeńca Biagia. A kiedy admirał się o tym dowie, obu was potnie na kawałeczki i wrzuci do morza na pastwę rekinom.

- Miła perspektywa.

- Na miłość boską! Jestem kapitanem Czarnej Floty!

- Uspokój się, N'Dek - poradził mu Simon. - Robisz z siebie kretyna.

N'Dek spojrział na niego z wściekłością. Simon wiedział, że kapitan gotuje się z gniewu. Strach był zaraźliwym zjawiskiem i sam Simon też nie pozostawał od niego wolny.

Ze względu na Shani dokładał jednak wszelkich starań, by nie dać niczego po sobie poznać, bo humor dziewczynki znacznie się ostatnio poprawił. Jak obaj dorośli również dziewczynka chciałaby niewątpliwie jak najszybciej opuścić śmierdzącą już i duszną kajutę.

Stali więc teraz oboje i patrzyli przez ośmiokątne okienko na rosnące w oczach wyspy archipelagu, aż w końcu zobaczyli cztery płynące ku nim okręty. Wszystkie były wielkie, płynęły pod białymi żaglami, a na ich masztach dumnie powiewała wężowa bandera Liss. Wszystkie też miały na dziobach złowrogo lśniące ostrza taranów. Ujrawszy je, Shani roześmiała się radośnie i wyciągnęła ku nim rączkę.

- Oto są, maleńka - szepnął Simon. - Zabiorą cię do taty.

- Co tam widzisz? - spytał z tyłu N'Dek.

- Cztery okręty - odpowiedział Simon. - Płyną prosto na nas. Kapitan zerwał się

na równe nogi, nie zwracając uwagi na swoje związane ręce.

- Jak szybko płyną? Na jakich są pozycjach?

- Spokojnie, N'Dek, nie sądzę, by nas chcieli taranować - odpowiedział Simon.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? Zejdź mi z drogi!

Kapitan przepchnął się obok nich i wyjrzał przez luk na zewnątrz.

W tejże chwili rozległo się łomotanie do drzwi kajuty.

- Kapitanie? - wołał zza drzwi jakiś marynarz. - Płyną na nas cztery okręty!

Zbliżają się bardzo szybko!

- Widzę! - odrzyknął N'Dek przez ramię. W sekundę później kapitan odwrócił się do Simona. - No dobrze, mądrało. Wypróbuj swoje sztuczki na tych diablach. Płyną ku nam bardzo żwawo i pewnie zechcą nam zadać kilka pytań. Mam nadzieję, że masz odpowiedzi, które ich zadowolą, bo jak nie...

Simon wyciągnął zza pasa sztylet, ten sam, którym okaleczył kapitana.

- Kapitanie, jak do tej pory byłeś bardzo grzeczny i robiłeś wszystko, o co poprosiłem - powiedział, podtykając N'Dekowi ostrze pod brodę. - Nie chciałbym, żeby na koniec doszło do przykrych nieporozumień. Zaraz wyjdziemy na pokład. Powiesz swoim ludziom, by wywiesili białą flagę. Żadnych mieczy ani sztyletów. Zamierzam się rozmówić z tymi Lisseńczykami i chcę być dobrze zrozumiany. Czy to jasne?

- Dureń! - syknął N'Dek. - Nie będą cię słuchać. Simon popchnął go ku drzwiom.

- Zobaczmy.

Trzymał w ramionach Shani, która ufnie objęła go za szyję.

- Otwórz drzwi! - zawołał. Po chwili drzwi się uchylły. Za nimi stali dwaj marynarze patrzący na wszystko lekko ogłupiałym wzrokiem. Widzieli już swego kapitana w pętach, ale sztylet przy jego gardle zbił ich z tropu jeszcze bardziej.

- Idziemy na górę! - zwrócił się do nich Simon tonem nie dopuszczającym żadnych dyskusji. - Wy dwaj ruszajcie przodem. Bóg mi świadkiem, że jeżeli na pokładzie szukujecie jakąś zdradę, kapitan zginie pierwszy, a wy dwaj zaraz potem. Z nożem sprawiam się bardzo żwawo, więc nie liczcie na to, że warn się uda. A teraz, jazda na górę!

Groźba sprawiła, że obaj podskoczyli ze strachu. Nawet z dzieckiem na ramieniu Simon budził w nich strach. Uświadomiwszy to sobie, Roshann uśmiechnął się szeroko.

Do przekonania Lisseńczyków o swojej dobrej woli miał dziecko Vantrana. Jeżeli to będzie możliwe, namówi ich, by oszczędzili załogę N'Deka. Kapitan był skurwysynem, ale go nie zdradził. Simon nie chciał już obciążać swego sumienia nowymi rachunkami krwi.

Popychając przed sobą potykającego się kapitana, Simon wspiał się za marynarzami po trapie na pokład. Powiew świeżego, chłodnego powietrza odczuł jak uderzenie młota. Nie byli odziani na taką pogodę. Simon poczuł, że przytulona do niego Shani dygocze z zimna.

Wokół nich zebrało się kilkunastu marynarzy, obserwujących ich czujnie, ale trzymających się z daleka. Darquis szybko rozejrzał się dookoła. Cztery okręty zbliżały się do nich od wschodu. Nie odejmując sztyletu od karku N'Deka, Simon przepchnął kapitana do relingu, a potem ustawił się plecami do morza.

- Opuście flagę - rozkazał krótko. - Nie mam zamiaru drażnić ich byle drobiazgiem. I niech ktoś przyniesie jakiś koc dla dziecka. Cholernie tu zimno!

Marynarze gapili się na Simona, ale żaden się nie ruszył.

- Róbcie, co mówi! - ryknął N'Dek. Usłyszawszy potwierdzenie rozkazów, żeglarze szybko rzucili się do ich wykonania. Kilku majtków szarpnęło za liny i Czarna Flaga spłynęła żałośnie w dół. Simon nie był pewien, czy Lisseńczycy na pokładach szkunerów dostrzegli ten akt dobrej woli. Co prawda tamci byli już dostatecznie blisko, by mogli się dobrze przyjrzeć niezwykłym lisseńskim okrętom. Wiodący grupę okręt był większy od pozostałych i płynął na czele niczym król otoczony wasalami. Na jego widok N'Dek wydał jęk przerażenia.

- O Boże! To „Księżę”!

- Księżę? - spytał Simon. - Jaki księżę?

- „Księżę Liss” - odparł gniewnie kapitan. - Okręt Prakny. Spotkał nas nie lada zaszczyt. Płynie do nas sam głównodowodzący lisseńskiej floty.

- Prakna? - Simon zmrużył oczy i po chwili rozpoznał szkuner, który już raz widział, gdy Prakna przybył na Lucel - Lor. Witano ich po królewsku. Albo czekała ich wspaniała egzekucja.

- Będiesz musiał bardzo szybko obracać językiem, by zdążyć powiedzieć swoje.

Prakna to straszny rzeźnik i z pewnością nierad nas tu widzi. Mam nadzieję, że się

dobrze nauczyłeś swojej przemowy, panie szpiegu. Jeżeli nie spodoba mu się to, co masz do powiedzenia, to już po nas. Po tobie też.

„Księżę Liss” i trzy inne towarzyszące mu okręty wolno do nich podpływały. Simon widział uwijających się na ich pokładach Lisseńczyków - jasnowłosych mężów o mlecznej skórze, czym przypominali Triinów. Ludzie, którzy oblepili nurty szkunerów wyglądali na takich, którzy poważnie podchodzą do sprawy i bez żadnych obiekcji posłają na dno okręt obcych, którzy tak niespodzianie zjawili się u ich brzegów. Simon jednak był pewien, że nie zrobią tego, nie zadawszy najpierw kilku pytań. Zebrał się w sobie i czekał, aż okręt flagowy podpłynie bliżej. „Księżę” był pysznie wyglądającym okrętem, długim i wąskim, niczym jakiś głębinowy stwór, z zębatym taranem, który oślepił odbitym od niego blaskiem słońca.

Simon widział już dość dobrze ludzi na jego pokładzie. Jednym z nich był Prakna.

Wysoki komandor stał z kamienną twarzą i patrzył na „Pogromcę”. Złożywszy ręce na piersiach, stał spokojnie i czekał, aż okręty zbliżą się na tyle, by mogli zobaczyć jedni drugich.

- To sam Prakna - stwierdził szybko Simon. - Każ swoim się poddać. Bezwarunkowo i w tej chwili.

N'Dek zmełł przekleństwo w ustach i wydał rozkaz jednemu z oficerów.

- Pozbądźcie się wszelkiej broni, jaką macie! - zawołał Simon. - Wyrzucicie ją za burtę!

Nareńscy marynarze zaczęli ciskać w morze pałasze, kordelasy i sztylety, okazując w ten oczywisty sposób, że się poddają. Prakna patrzył na to wszystko zmrużonymi oczami, podejrzewając jakiś podstęp. Porucznik N'Deka zaczął wołać ponad relingiem, machając rękoma i powtarzając, że się poddają. Prakna nie dał po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał.

- Komandorze Prakna! - Simon dołączył swój głos do głosu oficera. - Poddajemy się!

Poddajemy się!

„Księżę Liss” podpłynął bliżej. Część lisseńskiej załogi zajęła się skracaniem żagli, nie pozwalając, by wiatr zepchnął okręty na siebie. Simon machał do Prakny, komandor jednak patrzył z kamiennym wzrokiem, najmniejszym grymasem nie

zdradzając zainteresowania. Był jak posąg z granitu, wyciosany przez dziesięć lat wojny.

Simon poczuł nagle obawę, że cały jego plan spełznie na niczym. Może N'Dek miał rację i przyjdzie im tu zginąć.

- Komandorze, to ja! Simon Darquis! Z Lucel - Loru!

Z ogromną ulgą zobaczył, że na twarzy Prakny pojawiły się oznaki życia. Komandor uniósł brwi i odwrócił się do stojącego obok mężczyzny, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze usłyszał. Potem podszedł do relingu i zmrużywszy oczy, spojrział pod słońce.

- To ja, Simon Darquis! - wrzasnął znów Simon. - Przyjaciel Vantrana! Muszę z nim pomówić! To bardzo ważne!

Usłyszawszy nazwisko śmiertelnego wroga Imperium, N'Dek odwrócił się gwałtownie.

- Vantran? - syknął. - Co ja słyszę!

- N'Dek, nie teraz.

- Jego przyjaciel?! - wrzasnął kapitan. - Co tu się, do cholery, dzieje?!

- Zamknij pysk i pozwól, że się wytłumaczę, inaczej będzie z nami źle! - syknął Darquis. Uśmiechnął się przyjaźnie do Lisseńczyka, starając się za wszelką cenę nie wzbudzić w tamtym żadnych podejrzeń. Twarz Prakny zastygła w grymasie niedowierzania.

Simon podniósł Shani, tak by dziewczynka była dobrze widoczna z pokładu „Księcia”. - Mam tu córeczkę Vantrana! - zawołał. - Muszę się z nim natychmiast zobaczyć!

- Co wy tu robicie? - zagrział Prakna. - Co was sprowadza na nasze wody?

- Pozwólcie mi wejść na wasz pokład, a wszystko wyjaśnię - odkrzyknął Simon. - Proszę, to bardzo pilne.

Prakna najwyraźniej pogubił się w tym wszystkim, nigdy bowiem się nie spodziewał, że na lisseńskich wodach zobaczy samotny nareński okręt przyplływający z misją mającą wszelkie pozory samobójczej. Odwrócił się do stojącego obok mężczyzny i obaj zaczęli żywą rozmowę, której towarzyszyła gwałtowna gestykulacja. Najwyraźniej obaj nie bardzo wiedzieli, jak się zachować w tak niezwyklej sytuacji. Simon uważnie przyglądał się rozmówcom, usiłując coś odgadnąć z ruchów ich warg. Mógł mieć tylko

nadzieję, że skłonił Lisseńczyka do wysłuchania jego prośby. Miał w końcu dziecko Vantrana. Prakna nie mógł przecież narazić życia dziewczynki na niebezpieczeństwo.

Taką przynajmniej miał Simon nadzieję.

- Komandorze, proszę! - ponaglił Praknę. - Przysięgam, że nie kryjemy zdrady i nie stanowimy dla was żadnego zagrożenia. Rozbroiliśmy się i poddaliśmy!

Komandor lisseńskiej floty podszedł do relingu i wparł w niego obie ręce.

- Narenie, jeżeli to jakiś podstęp, to zapłacisz za niego głową!

Simon podniósł wolną rękę, jakby wzywał Niebiosa na świadka.

- Przysięgam, że nie knuję żadnej zdrady. Pozwólcie mi wejść na wasz pokład i zabrać dziecko ze sobą. Mam wieści dla Vantrana. Ważne wieści, które dotyczą was wszystkich. Komandorze, nie czas na jałowe dyskusje. Zgódź się, proszę...

- Niech będzie - warknął Lisseńczyk. - Poślemy po ciebie łódź. Wejdiesz na nią tylko ty i dziecko. I słuchaj uważnie, narenka świnio... Jeżeli coś będzie nie tak, jeżeli cokolwiek wzbudzi moje podejrzenia, osobiście utopię każdego z was gołymi rękoma.

Wygłosiwszy tę groźbę, Prakna odwrócił się z niesmakiem. Simon jednak był zadowolony. Spojrzał na N'Deka, który gapił się ze zdumieniem w oczach.

- Co tu się dzieje, Darquis? - spytał kapitan. - W co nas wpakowałeś?

Simon przełknął ślinę.

- Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić, N'Dek. To...

- Zdradziłeś nas, prawda? To wcale nie jest misja zlecona ci przez Roshannów.

Przebóg, Darquis! Jesteś zdrajcą!

Simon nawet się nie ruszył. Wiedział, że Narenie niczego już mu nie mogą zrobić.

Znajdował się na razie pod obroną Lisseńczyków. Oskarżenie N'Deka wciąż jednak huczało mu w głowie. Zdrajca... zdrajca...

- Wam nic się nie stanie - zapewnił kapitana. - Zadbam o to osobiście. Pozwolą wam odpłynąć.

N'Dek zgrzytnął zębami.

- Mylisz się, zdrajco. Zabiłeś nas... wszystkich zabiłeś. - Kapitan wbił w niego ciężkie spojrzenie. - Powiedz mi choć, dlaczego?

Jedyną odpowiedzią, jakiej mógł mu udzielić Simon, było przecięcie sztyltem liny krępującej nadgarstki kapitana. Był prawie pewien, że uwolniony Naren rzuci mu się

do gardła. N'Dek jednak spojrział tylko dziwnie zagubionym wzrokiem i zajął się rozcieraniem zdrętwiałych dłoni. Simon precyzyjnie się pomógł marynarzami ku linowej drabince zwisającej z burty „Pogromcy” i poczekał, aż podpływie ku nim łódź wysłana po niego i Shani z pokładu „Księcia”. Komandor zgodnie z obietnicą kazał spuścić szalupę, która płynęła teraz w stronę „Pogromcy”, z dwoma wioślarzami i czterema innymi marynarzami zbrojnymi w kordelasy. Kiedy podpłynęli do burty „Pogromcy”, jeden z Lisseńczyków zwrócił się do Simona:

- Złaż na dół.

- Mam dziecko - odpowiedział Simon. - Uważajcie na nią. Łódź zatrzymała się prosto pod nimi. Simon przestąpił burtę, mocno trzymając dziewczynkę jednym ramieniem.

Zanim jednak umieścił stopę na pierwszym szczeblu, spojrzął Shani w oczy.

- Maleńka, musisz się mnie mocno trzymać, dobrze? Nie puszczaj, choćby nie wiem co.

Shani objęła go za szyję i przygotowała się do zejścia. Simon zaczął ostrożnie opuszczać się na dół, nie wypuszczając córeczki Szakala z ręki. Była to mozolna droga, w końcu jednak zszedł do chyboczącej się łodzi i z uczuciem ulgi postawił stopę na drewnianej ławie. Marynarz, który kazał mu zejść na dół, chciał mu odebrać dziewczynkę, Simon jednak nie oddał Shani.

- Zabierzcie mnie do komandora - warknął. - I trzymaj łapy z daleka od małej.

Lisseńczyk skrzywił się ze złością, ale nic nie powiedział i wkrótce niewielka szalupa zaczęła się oddalać od burty „Pogromcy”, biorąc kurs na „Księcia Liss”.

Podczas kilku krótkich dni po przybyciu na Karalon, Richius dowiedział się ponurej prawdy o szkolonych przez siebie młodych Lisseńczykach - żaden z nich nie wyszedł z wojny z Narenami bez szwanku. Zaczynał rozumieć, że była to choroba wspólna dla wszystkich mieszkańców Stu Wysp. W pewnym sensie każdy z Lisseńczyków był nieco inną wersją królowej Jeleny. Jak ich władczyni, każdy stracił kogoś bliskiego. Mógł to być ojciec, brat, albo uprowadzona i zgwałcona matka czy siostra. Albo - jak w przypadku Shii - maleńki synek, wydarty z rąk i utopiony przez nareńskich marynarzy. Richius szybko też się dowiedział, że byli ludźmi zamkniętymi w sobie, chętnie wykonującymi rozkazy, ale małowównymi we wszystkim, co dotyczyło

ich przeszłości. Ćwiczyli bez wytchnienia, wstawali o świcie i bez szemrania wykonywali wszelkie rozkazy, ponieważ był lordem Szakalem, ich bohaterem, oni zaś nie mieli nikogo i niczego, poza nim i tą wyspą. Dzieci Liss podjęły się niezwykle dla nich ważnej misji i nic nie mogło im przeszkodzić w jej spełnieniu; nic też nie mogło zagoić ich ran.

Zgodnie z twierdzeniem Shii jego armia liczyła dziewięćuset ludzi - i była dostatecznie liczna, by zająć Crote i odebrać ją Biagiowi. Ci Lisseńczycy byli fanatykami.

Pragnęli krwi Narenów i nic nie mogło zaspokoić ich pasji. Richius musiał jakoś wykorzystać tę żądzę i wykuć z nich użyteczne narzędzie. Widział ból straty w oczach Shii i w oczach pozostałych swoich żołnierzy i wiedział, że ten gniew łatwo się może wyrwać spod kontroli, on zaś chciał mieć armię, a nie bandę szukających śmierci berserkerów. Szybko więc zabrał się do dzieła, zbierał ich w małe grupki i mówił im o tym, że istnieją wartości i cele większe, niż żądza zemsty i że powinni ze wszystkich sił starać się opanować bestię tkwiącą w każdym z nich. Nie była to łatwa praca i Richius nie miał pewności, czy w ogóle udało mu się cokolwiek osiągnąć. Shii, na której polegał najbardziej, była pełną pasji kobietą, żądną zemsty, i jak królowa Jelena pewna, że cel, któremu wszyscy się poświęcili, jest słuszny i prawy.

- Armii nie buduje się na żądzy zemsty - powiedział swej zastępczyni. - Jeżeli mamy być wojskiem, musimy oprzeć się na honorze i dyscyplinie.

Wbrew temu, czego się spodziewał, słowa te trafiły Shii do przekonania. Z dnia na dzień była coraz bardziej karna; gubiła gdzieś swoją dzikość i coraz częściej opierała się na rozumie, nie na reakcjach. Słuchała go, ponieważ był lordem Szakalem i ponieważ nurzał się w błocie razem z nimi. Nie wydawał rozkazów z wygodnego fotela, codziennie ćwiczył razem z nimi, umorusany jak oni i jak oni pogryziony przez natrętne owady wstawiał o świcie i kładł się spać późnym wieczorem. Pokazywał im, jak oddział ma się poruszać, którą to wiedzę nabył jeszcze podczas wojny przeciwko Triinom; jak się przekradać przez krzaki z mieczem u boku i jak przeczekać w błocie, umazawszy sobie nim twarz. Podczas nękania brzegów Nar Prakna zdobył nieliczny łup w mieczach, Richius uczył więc młodych szermierki, przypominając sobie młodość w Aramoorze u boku ojca. Był wymagający, jak stary Vantran, który nigdy nie darował synowi ani

godziny ćwiczeń, ponieważ miał przecucie, że wojna jest nieunikniona.

Nieunikniona. Richius uświadamiał sobie, że jest to smutna prawda i często o tym rozmyślał podczas szkolenia swojej armii. Nie był wszechstronnym ekspertem. Znał lepszych od siebie szermierzy czy taktyków, miał jednak doświadczenie, które szanowali młodzi Lisseńczycy zebrani na Karalonie.

Ze wszystkich spraw, jakich ich tu uczył, najważniejsza była sztuka posłuszeństwa.

Mieli w końcu stać się wojskiem. Z pomocą Shii zorganizował ich w drużyny, a te zebrał w plutony. Komendę nad każdym z plutonów powierzył jakiemuś zdolnemu młodzieńcowi lub dziewczynie, z którymi omawiał najważniejsze kwestie i potrzeby. Zawsze gotów był wysłuchać ich sugestii czy propozycji. Po kilku dniach dowodzenia spostrzegł, że chętnie go słuchają, co napełniło go dumą.

Po południu piątego dnia pobytu na Karalonie Richius pracował w swoim namiocie tuż obok placu, gdzie plutony ćwiczyły musztrę bojową. Usiadłszy w dość niewygodnym krześle z oparciem, szkicował mapę. Pomimo próśb przedstawianych nieustannie Jelenie wciąż nie miał map Crote, jeżeli nie liczyć tych kilku częściowych które dostarczyli mu Prakna i inni marynarze. Lisseński wywiad miał w najlepszym razie tylko fragmentaryczne dane dotyczące celu operacji, Richius zaś wiedział, że bez pełniejszych informacji szansę na powodzenie inwazji na Crote będą dość nikłe. Sam wiedział tylko to, co usłyszał podczas lat życia w Nar - że Biagio mieszkał w nadmorskim pałacu strzeżonym przez kompanię osobistych strażników. Wszyscy byli mieszkańcami Crote i strzegli swego pana nieprzerwanie we dnie i w nocy i niewątpliwie zostali wyszkoleni przez Roshannów, którzy nauczyli ich niejednej sztuczki. Czy na Crote aktualnie przebywali jacyś Roshannowie, było oczywiście zupełnie inną sprawą, też wymagającą wyjaśnienia. Richius podejrzewał, że z pewnością musi ich tam być przynajmniej kilku, i to od niedawna, jako że na Crote zebrali się ci z członków Żelaznego Kręgu, którzy uciekli z Nar razem z Biagiem. Wszyscy mogli mieć swoich strażników, co było kolejnym czynnikiem, jaki musiał wziąć pod uwagę. Nie przerażała go liczebność wrogów, bo miał pod swoją komendą setki Lisseńczyków marzących tylko o tym, by się dorwać do jakiegoś nareńskiego gardła. Martwił go brak dokładnych informacji. Mogli w ogóle nie odnaleźć pałacu Biagia, chyba że ten lśnił z daleka jak

latarnia morska. Mogli utknąć na plażach wyspy, nie mając pojęcia, od czego zacząć podbój - co trapiło go najbardziej. Potrafił nauczyć podwładnych władania mieczem, nie umiał jednak ich wyszkolić w tropieniu Biagia.

Przeglądając mapy i dokumenty, przeczesał włosy gestem znamionującym zmęczenie.

Ostatnio niewiele czasu udawało mu się poświecić na sen i teraz powieki same mu się zamykały, gdy usiłował odczytać własne, nieco koślawe pismo. Od otwartej klapy wejściowej dął chłodny przeciąg, poruszający dokumentami i przejmujący go dreszczem. Nalał sobie właśnie kubek gorącej herbaty, kiedy spostrzegł stojącą w wejściu do namiotu i patrzącą na niego nieśmiało Shii. Dziewczyna należała do odważnych, przy dowódcy jednak traciła rezon. Nie uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie, tylko zrobiła przepraszającą minę.

- Shii? - spytał Richius. - O co chodzi?

Shii przestąpiła z nogi na nogę.

- Przepraszam, że przeszkadzam, lordzie Szakalu. Ktoś chce się z tobą widzieć.

- Kto?

- Komandor, dowódca floty Prakna - odparła. - Właśnie się zjawił. Powiada, że musi się z tobą rozmówić.

- Prakna? - Richius poderwał się na nogi. Nie widział komandora od dnia przybycia na Liss. - Tutaj?

- Tak, lordzie - odpowiedziała Shii. - Ale nie przybył tu sam. Przywiózł kogoś.

- Shii... nie rozumiem - odezwał się Richius. - Kto jest z komandorem?

- Lordzie Szakalu, myślę, że to jakiś Naren. Widziałam go w łodzi komandora Prakny.

Richius podszedł do dziewczyny, by się upewnić, że dobrze usłyszał i zrozumiał.

- Komandor przywiózł tu jakiegoś Narena?

Shii wzruszyła ramionami.

- Wygląda jak Naren. Ma ciemne włosy, jak ty. Widziałam go z daleka. Prakna przyplłynął na swoim kecie. Wołał jeszcze przez wodę, że musi się z tobą zobaczyć. Myślę, że powinieneś tam pójść i dowiedzieć się, w czym rzecz.

- Masz rację.

Richius zapiał guziki płaszcza i odrzucił dłonią włosy z czoła. Spieszno mu było zobaczyć Praknę, ale równie ciekaw był tego, kogo komandor przywiózł ze sobą.

Może był to jakiś więzień pojmany podczas napaści na wybrzeże Nar? Albo może szpieg?

Kimkolwiek był, Prakna nie przywiózłby go na Karalon bez ważkich powodów.

Wyszędłszy z namiotu, ruszył za Shii przez plac ćwiczeń, gdzie drużyny młodych Lisseńczyków doskonaliły władanie pikami. Ćwiczyli manewr, który im niedawno pokazał - wbijanie tępych końców pik w ziemię dla odparcia ataku konnicy. Zmarszczył brwi, uświadomiwszy sobie właśnie, że nie wiedział nawet, czy na Crote jest w ogóle jakaś jazda!

Być może szkolił ich zupełnie niepotrzebnie. Tymczasem szedł za Shii ku wydmom.

Z daleka zobaczył idącego w ich stronę komandora. Byli z nim trzej uzbrojeni lisseńscy marynarze, otaczający czwartego człowieka, który trzymał w ramionach jakieś podobne do dziecka zawiniątko. Richius zmrużył oczy, by lepiej mu się przyjrzeć. Idący w eskorcie marynarzy był wysoki, szczupły i ciemnowłosy jak Naren. Ujrawszy jego twarz, Richius przypomniał sobie, że zna tego człowieka. To był chyba...

Przystanął.

- Skurwysyn!

Shii odwróciła się do niego z pytaniem w oczach.

- Lordzie Szakalu?

To było niemożliwe. Richius wiedział to, a jednak mężczyzna szedł ku niemu, otoczony Lisseńczykami.

- Simon - szepnął ze zdumieniem. - Co u diabła...

- Simon? Znasz tego człowieka?

Richius nie słyszał. Prakna podchodził coraz bliżej. W twarzy komandora widać było niepewność i gniew. Ani on, ani Simon nie pozdrowili Richiusa, kiedy go spostrzegli. Richius znieruchomiał, niezdolny do zrobienia kroku. To przecież był Simon... A może nie? Co on tam niósł? Szkolący się młodzieńcy i dziewczęta przerwali ćwiczenia. Wszyscy spostrzegli komandora oraz jego niezwyklego towarzysza i patrzyli na intruzów równie zdziwieni i zaskoczeni jak Richius. Aramooreczyk jeszcze przez

chwilę nie wierzył własnym oczom, ale gdy przybysze podeszli bliżej, stracił wątpliwości. Twarz Simona była doskonale widoczna.

Richius rozpoznał też trzymane przez niego dziecko. I natychmiast rzucił się ku córeczce.

- Shani! - zawołał, biegnąc ku przybyszom. - Przebóg, skąd się tu wzięłaś? Co się stało?

Prakna szybko podniósł ręce.

- Spokojnie, spokojnie - rzekł z naciskiem w głosie. - Nie dzieje się nic złego.

Twoja córeczka jest bezpieczna. Sam o to zadbałem.

Richius zdążył już podbiec do nich i szybko wydarł Shani z rąk Simona. Ujrawszy ojca, dziewczynka pisnęła radośnie. Richius powiódł dłonią po jej twarzyczce.

Trzymał ją mocno i patrzył na nią z niedowierzaniem, nie pojmując, skąd się tu wzięła.

- Co ty tu, do cholery, robisz?! - ryknął wreszcie, zwracając się do Simona. - Co się stało? Gdzie jest Dyana? Czy coś jej grozi?

- Richiusie, uspokój się - odpowiedział Simon, starając się mówić szybko i wyraźnie. - Dyana jest bezpieczna, przysięgam przed Bogiem. Przysięgam.

Richius postąpił krok bliżej.

- Więc cóż to wszystko znaczy? - syknął Simonowi prosto w twarz. - Co ty tu robisz?

I dlaczego przyniosłeś tu Shani?

- Przyplłynął na pokładzie nareńskiego okrętu - odezwał się Prakna. - Przechwyciliśmy ich, gdy podpływali do Liss. Przybyli tu do ciebie, Richiusie. Ten Naren twierdził, że ma twoją córeczkę. Przywiozłem go tu najszybciej, jak tylko się dało.

Richius spojrzał na Simona.

- Co się stało?

Simon zbladł i zagryzł wargę. Popatrzył na Praknę, a potem na zebranych wokół Lisseńczyków.

- Niełatwo wyjaśnić... - mruknął niechętnie. - Nie wiem, od czego zacząć...

W tym momencie cierpliwość zawiodła Praknę i podniósłszy nogę, kopnął Simona w plecy. Naren runął na kolana tuż przed Richiusem.

- Lepiej się pospiesz, nareński wieprzu! - warknął Prakna. - Albo wyrwę ci serce i zjem je na śniadanie!

- Simonie. - Richius podniósł dłoń, uspokajając komandora. - Myślę, że lepiej będzie, jak zaczniesz się tłumaczyć.

Simon nie próbował nawet się podnieść. Klęcząc w piachu, pochylił głowę i westchnął żałościwie.

- Porwałem twoją córkę - stwierdził. - Nie jestem tym, za kogo się podawałem. - Spojrzał Richiusowi w oczy. - Miałeś rację... wtedy kiedy się poznaliśmy. Jestem agentem Roshannów.

Roshann. Słowo to zawisło w powietrzu, i na chwilę czas jakby się zatrzymał.

Richius spojrzał na Simona, człowieka którego przywykł nazywać przyjacielem, i poczuł się tak, jakby niebo runęło mu na barki i zaczęło go gnieść ku ziemi. Przez chwilę gapił się tylko, nie wiedząc, czy to wszystko nie jest tylko jakimś przewrotnym żartem.

- To prawda - ciągnął Simon. - Bardzo mi przykro. Porwałem twoją córeczkę, zabrałem ją Dyanie. Miałem ją zawieźć na Crote do Bia...

- Nie! - zawołał Richius. - Nie mów tego!

Simon zamknął oczy.

- Przykro mi, Richiusie, ale to prawda.

Richius mocniej objął Shani i spojrzał na nią jeszcze raz. Bardziej uważnie.

Wyglądało na to, że dziewczynce nic nie jest, choć była nieco bardziej blada, niż zwykle.

Śmiała się jednak radośnie i wodziła paluszkami po twarzy ojca. Richius poczuł, że coś go dławi w krtani.

Nagle zapragnął cisnąć to wszystko w diabły, przebiec ponad falami oceanu do Dyany i ukryć je obie tak, by już nikt w świecie nie zdołał ich odszukać. Ale poczuł też, że rośnie w nim inne uczucie. Machinalnie podał dziecko Shii i zwrócił się do Simona, chwytając go oburącz za gardło.

- Skurwysynu! - syknął, dusząc Simona i jednocześnie usiłując skrócić mu kark.

-

Jak mogłeś mi to zrobić?

- Musiałem... - wycharczał Simon. - Musiałem!

Wokół nich zaczęli się zbierać młodzi Lisseńczycy, Richius jednak ich nie widział.

Oczy nabiegły mu krwią.

- Mów natychmiast, co knuje ten czart Biagio! - ryknął. - Mów, albo cię zabiję!

Simon jednak mówić nie mógł. Twarz mu poczerwieniała, bo zaczynał się dusić.

- Shani... - zdołał wychrypieć. - Twoja córeczka...

- Dlaczego? - Richius uniósł nieco głowę Simona i uderzył nią o ziemię. - Po co?

Naren popatrzył ze smutkiem w oczach, a potem rzekł tylko.

- Chodziło o ciebie...

Richius znieruchomiał. Siedząc na piersi Simona i gniotąc go do ziemi, zrozumiał, że Biagio wciąż na niego poluje. Minęło tak wiele czasu, a ten czart nie zrezygnował...

- Biagio cię wysłał? - spytał. Oddychał z trudem i trząsał się z wściekłości. - Kazał ci porwać moją córeczkę?

Simon uciekł wzrokiem w bok.

- Tak. Kazał mi ją zawieźć na Crote. Myślę, że chciał cię tam zwabić.

- A gdzie jest Dyana? - spytał Richius, chwytając Simona za kurtkę na piersiach i gwałtownie nim potrząsając. - Jeżeli tknąłeś ją choć palcem...

- Nic jej nie zrobiłem, przysięgam... - odpowiedział pospiesznie Simon. - Jest bezpieczna. Została w Falindarze.

Richius cofnął ręce. Wiedział, że Dyana musi przeżywać okropne męki, i myśl o cierpieniach żony sprawiła, że aż się zachwiał. Tracąc resztki opanowania, wałnął pięścią w nienawistną mu twarz Narena. Simon skrzywił się, ale nie wydał jęku. Patrzył na Richiusa bez słowa, oblizując tylko spływającą mu z nosa krew.

- Richiusie...

- Ani słowa! - syknął Richius. - Milcz! Mogłeś ją tym zabić... i nawet o tym nie wiesz, skurwysynu! Powinienem cię udusić, gdy tylko zobaczyłem cię przy tamtym ognisku!

- Przebóg, zabijmy go! - warknął z tyłu Prakna. - Richiusie, cofnij się i pozwól mi się nim zająć. Spraw mi tę przyjemność i daj mi sprawić tego wieprza!

Simon nadal milczał. Wydawało się, że jest zagubiony i nie wie, co rzec na swoją

obronę.

- I co? - warknął Richius. - O to ci chodziło? Mam pozwolić komandorowi, by wywlókł na piasek twoje flaki?

- Na nic innego nie zasłużył! - zagrział Prakna. - Szakalu, proszę...

- Powiedzże coś, Simonie. Rzeknij mi cokolwiek, co mnie powstrzyma przed wydaniem cię komandorowi.

Simon jednak nie odpowiadał. Zamknąwszy oczy, leżał nieruchomo, jakby chciał się odciąć od reszty świata.

- Popatrz na mnie, Simonie! - warknął Richius. - Otwórz oczy i spójrz na mnie!

Simon otworzył oczy. Były pełne bólu i rozpacz.

- Dlaczego mi ją oddajesz? - spytał Richius cicho. - Masz jakiś powód. Musisz mieć.

Powiedz, dlaczego jej nie zawiozłeś Biagiowi?

Wargi Narena zaczęły drżeć.

- Bo... kocham kobietę.

- Bzdura! Nie słuchaj go, Richiusie Szakalu!

Vantran podniósł dłoń by uspokoić Praknę.

- Co to znaczy? - spytał Simona. - Jaką kobietę? Masz żonę?

- Nie... jeszcze nie. - Simon odwrócił zakrwawioną twarz i znów uciekł ze spojrzeniem w bok. Nos już mu spuchł, jak za pierwszym razem, kiedy Richius mu go złamał.

- Ona... Biagio jąwwięził na Crote. Musiałem to zrobić, Richiusie. Musiałem. W przeciwnym razie... - Naren uniósł dłonie i skrył w nich twarz. Richius pomyślał, że agent płacze. - Teraz każe ją zabić. Zrobi to, chyba że mu przeszkodzimy. Dlatego przywiozłem ci twoją córeczkę.

Na Boga, Richiusie, pomóż mi!

- Co takiego? Jak mam ci pomóc?

Simon wziął się w garść, poskromił targające nim emocje i spojrzał Richiusowi w oczy.

- Mogę wam pomóc zorganizować inwazję na Crote. Znam tę wyspę lepiej, niż ktokolwiek inny. Jeżeli pozwolicie mi wam pomóc, zdołam wyrwać Eris z jego łap!

Możecie...

- Kłamstwa, same kłamstwa! - ryknął Prakna. - Nie słuchaj go, Szakalu!

- Nie kłamię! - zawołał histerycznie Simon. - Richiusie, proszę... zechciej mnie wysłuchać! Jeżeli pozwolicie, zaprowadzę was prosto do Biagia! Uratuję Eris, a wy zdobędziecie wyspę. Mówię prawdę, przysięgam.

Richius potrząsnął smutno głową.

- Raz już mi przysięgałeś, Simonie. Pamiętasz? Przysięgałeś, że nie skrzywdzisz Shani ani Dyany. Czy ty, będąc na moim miejscu uwierzyłbyś mi, gdyby role się odwróciły?

- Mogę ci pomóc - powtórzył Simon. - Nie kłamię. Gdybym kłamał, po co bym ci przywoził Shani?

Richius pomyślał, że jest w tym jakaś logika. Spojrzał na Shani, która objęła Shii za szyję i patrzyła na niego z góry, zmieszana i zbita z tropu całą sytuacją.

Wstał, podszedł do dziewczyny i wziął od niej córeczkę. Prakna tymczasem chwycił Simona za kark i bezceremonialnie poderwał go na nogi. Trzymając Narena za kołnierz, czekał na decyzję Richiusa. Wszyscy czekali - marynarze Prakny, Simon, Shii i otaczający ich Lisseńczycy; patrząc na niego jakby był wielkim mędrce, który lada moment oświeci ich i podzieli się z nimi wielką prawdą. Richius jednak w ogóle nie zwracał na nich uwagi.

Uśmiechając się do córeczki, pogładził ją po główce, a potem trącił nosem jej nosek. Dałby w tej chwili wszystko za to, by cofnąć czas i znaleźć się razem z nią i Dyaną Falindarze. Będzie musiał ją jakoś powiadomić. Musi namówić Praknę, by wysłał do Falindaru jakiś okręt, który powiezie dla Dyany wiadomość, że jej córeczka jest bezpieczna pod opieką ojca.

- Och, Shani - westchnął. - Wyobrażam sobie, jak się musi martwić o ciebie twoja matka.

- Richiusie - przerwał mu Prakna. - Co mam zrobić z tym kawałkiem gówna?

- Nie kłamię! - błagał Simon. - Musisz mi uwierzyć. Nie proszę o życie dla siebie, ale ulituj się nad Eris. Mieliśmy się pobrać, gdybym wrócił na Crote z twoją córeczką. Jak się tam nie pokażę, Biagio ją zabije! Zrobi to niechybnie, i nie będzie to moja wina.

Jeżeli mnie odtrącisz, jej krew spadnie na twoją głowę.

- Nie obciążaj mnie winami za swoje łajdactwa! - zawrzał gniewem Richius. -
Jeżeli Eris jest taka jak ty, to niech zdycha!

Simon potrząsnął głową.

- Nie mówisz tego poważnie. Wiem, że nie jesteś tak okrutny, jak mówisz. Ja
mogę być zły, ale ona jest inna. Nic ci nie zawiniła. - Szarpnął się, by wyrwać się z
uścisku Prakny, ale komandor nie puścił, i po krótkiej szamotaninie, poddał się. Naren
zrobił błagalną minę. - Richiusie - odezwał się raz jeszcze. - Proszę... mogę ci pomóc.
Znam Crote. A ty nie znasz.

Zaprzecz, jeżeli jest inaczej.

- Bardzo jesteś przebiegły, szpiegu - syknął Richius.

W głębi duszy wiedział jednak, że Simon ma rację. Nie mieli nawet map Crote,
bez czego inwazja mogła się zakończyć okropną klęską. W typowy dla Roshannów
sposób Simon zapędził ich w sytuację, w której musieli się zgodzić na jego warunki.
Richius przez chwilę zastanawiał się, czy w ogóle mają jakiś wybór. Mimo wszelkich
logicznych przesłanek, które kazały mu się zgodzić z Simonem, nie mógł się zmusić, by
przyznać to na głos.

Nie mógł na niego nawet spojrzeć.

- Wracam do kwatery - warknął wreszcie. - I niech mi nikt nie przeszkadza. Nikt,
słyszycie?

Odwrócił się i odszedł. Simon zaczął nawoływać go rozpaczliwie, on jednak
zignorował jego błagania. Odpowiedział dopiero na okrzyk Prakny.

- Szakalu? - zawołał za nim komandor. - Co mamy z nim zrobić?

- Nic - odpowiedział wściekle, nie odwracając głowy.

Tej nocy Richius nie mógł zasnąć. Wzburzony gwałtownymi wydarzeniami dnia
siedział samotnie w swojej kwaterze - pokoiku przyległym do jednego z koszarowych
baraków, ogrzewanym jedynie ogniem z niewielkiego kamiennego paleniska, które
Lisseńczycy zbudowali pośrodku pokoju, tak by drewniane ściany nie zajęły się
płomieniami.

Podłogę stanowiło klepisko, palenisko zaś osadzono głęboko w ziemi i obłożono
wokół słabo wypalonymi glinianymi płytkami, by nadać mu nieco porządniejszy wygląd.
Richius oddał łóżko Shani, a teraz troskliwie podtrzymywał ogień, którego blask

zabarwiał widoczną spod koca twarzyczkę dziewczynki rudawym blaskiem. Było już bardzo późno, a małą zmęczyła nie tylko podróż, ale też kilkugodzinna zabawa z ojcem. Zobaczenie córeczki pośród tej gromady oddanych zemście fanatyków wywarło na niego wielki wpływ. Nie mógł oderwać od niej wzroku. I wcale nie zamierzał tego robić.

Od wydm niósł się monotonny brzęk wydawany przez chmary jakichś owadów.

Richius siedział w skrzypiącym krześle i, słuchając pojękiwania insektów, patrzył na śpiącą córeczkę. Kwaterę zbudowano mu pospiesznie, więc nie było w niej okien, ale przez drewniane ściany przesączały się podmuchy przeciągów. Na zewnątrz prawdopodobnie świecił księżyc i lśniły gwiazdy. Richius zastanawiał się, czy nie obudzić Shani, by mogła je zobaczyć, ale po chwili stwierdził, że dziewczynka śpi tak słodko, że lepiej jej nie ruszać.

Rankiem będzie ją musiał odesłać do Dyany. Nie był pewien, czy może w tej mierze liczyć na dobrą wolę komandora, a nie chciał w tę sprawę wciągać królowej Jeleny.

No i - poza wszystkim innym - trzeba jeszcze było postanowić, co zrobić z Simonem.

- Co mam począć? - zastanawiał się głośnie Richius.

Simon przebył długą drogę, by oddać mu córeczkę. Ryzykował przy tym swoim życiem. Richius chciałby wierzyć, że wszystko to znamionuje początki jakiejś zmiany w charakterze Narena. Simon należał jednak do Roshannów, a tym - jako mistrzom manipulacji i podstępu - nie wolno było ufać. Biagiowi też.

„Biagio...” Richius przypomniał sobie, jak mówił Dyanie, że hrabia nigdy mu nie daruje, ani nie zrezygnuje z zemsty, i jak zarówno Dyana, jak i Lucyler uznali go za człowieka opętanego manią prześladowczą. Oni jednak byli Triinami. Nie znali prawdy o Biagiu i najpewniej nie umieliby pojąć głębi jego szaleństwa, tak jak pojmował ją Richius.

Miał tylko kilka okazji, by porozmawiać z hrabią, pamiętał jednak lśnienie jego niebieskich oczu i złotą skórę, a także godne beztroskiego chłoptysia maniery, które skrywały żelazną wolę i konsekwencję w postępowaniu. Biagio był przerażającą istotą, piękną i złowrogą, demonem bez krzty litości. Ze wszystkich popleczników Arkusa, Biagio był najgorszy.

Rozmyślania przerwało mu pukanie do drzwi. Spojrzawszy na Shani, przekonał się, że dziewczynka spokojnie śpi. Cicho wstał z krzesła.

- Prosiłem, by mi nie przeszkadzano - syknął zgryźliwie, podchodząc do drzwi i otwierając je ostrożnie, by nie obudzić dziewczynki. Nie spodziewał się, że zobaczy gapiącego się na niego Simona, którego mocno trzymał za ramię stojący obok Prakna.

- O co chodzi? - spytał Richius.

- Powiedział, że nie zamknie pyska, dopóki go do ciebie nie przyprowadzę, Szakalu - wyjaśnił kwaśno Lisseńczyk. - Mówi, że ma ci do powiedzenia ważne rzeczy.

- I to nie mogło poczekać do jutra?

- Nie, Richiusie, nie mogło - odparł Simon. Pozbył się już poprzedniej pokory i znów zachowywał się jak dawniej - butnie i wyzywająco. - Ważne jest, byś mnie wysłuchał.

Jak ci już kiedyś powiedziałem, nie dam się więzić.

Richius skrzywił się pogardliwie.

- Simonie, nigdzie stąd nie uciekniesz. Mogę cię uwolnić choćby w tej chwili i nie przeżyjesz tu sam jednego dnia. Szpiegu, jesteś moim więźniem, czy ci się to podoba, czy nie.

- Richiusie - rzekł Simon tonem perswazji. - Nie bądź upartym durniem. Mogę ci pomóc, a ty o tym dobrze wiesz.

- Ale nie wiem, czy naprawdę mi pomożesz - odparł Richius. - Jesteś załganym krętaczem. Już ci to udowodniono.

Twarz Simona stężała.

- Nie kłamie. Masz na to moje słowo.

Richius i Prakna, zaskoczeni bezczelnością Roshanna parsknęli serdecznym śmiechem. Simon strząsnął z ramienia dłoń Lisseńczyka i wbił wściekłe spojrzenie w Richiusa.

- Nie odrzucaj mojej propozycji - rzekł tonem ostrzeżenia. - Jeżeli tak zrobisz, gorzko pożałujesz. Wiem przecież, czego tu od ciebie chcą. I znam Crote, lepiej niż ktokolwiek z was. Chyba się z tym zgodzicie?

- Zgoda na to, że jesteś nareńskim wieprzem - skrzywił się Prakna.

- A ty co powiesz, Richiusie? - Simon się nie poddawał.

Richius miał ochotę zatrzaskać mu drzwi przed nosem i zapomnieć o załganym agencie, ale wiedział, że tego akurat uczynić nie może. Przez chwilę patrzyli na siebie - Simon wyzywająco, a Richius z trudem powstrzymując nienawiść. W końcu jednak twarz Vantrana lekko złagodniała. Simon natychmiast to wykorzystał.

- Mogę wam pomóc - rzekł pospiesznie. - Proszę, ze względu na Eris.

- Nawet jej nie znam. Simon lekko się uśmiechnął.

- Polubiłbyś ją, gdybyś ją znał. Richius zdesperowany potrząsnął głową.

- Komandorze, zechciej mi zrobić uprzejmość. Zostaw nas samych. Sam się nim zajmę i go popilnuję.

Prakna spojrział w górę, jakby chciał wezwać Niebiosa na świadka głupoty Vantrana.

- Richiusie...

- Nie protestuj, proszę. Zapewniam cię, że nic mi nie grozi. Chcę tylko wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. Zaufaj mi.

- Jak chcesz - mruknął komandor, po czym odszedł w noc, zostawiając Richiusa samego z Simonem.

Zapadła dość niezręczna cisza. Richius zamknął ostrożnie drzwi, starając się nie zbudzić córeczki. Simon nieco zakłopotany patrzył w ziemię. Po chwili wzruszył ramionami.

- Znowu złamałeś mi nos.

- Myślę, że ci się należało, nie uważasz?

- Nie będę się spierał.

Korzystając ze światła księżyca, Richius przyjrzał się Simonowi. Krwawienie ustało, ale nos Narena rzeczywiście spuchł i przekształcił się w nieforemną bulwę.

Wyglądał też na mocno obolały. Richiusa ten widok ogromnie cieszył w skrytości ducha. Simon - przeciwnie - miał minę ponurą i Vantranowi się wydało, że patrzy na człowieka opuszczonego, którego zawiodło wszystko i wszyscy. Roshann nie mógł się nawet zmusić do podniesienia głowy.

- Spójrz na mnie, Simonie - rozkazał Richius. Chciał popatrzeć Simonowi w oczy i wydusić z nich jakąś prawdę.

Darquis niechętnie spełnił polecenie.

- Przykro mi - odezwał się markotnie. - Wierz lub nie, ale żałuję wszystkiego, co zrobiłem.

- Nie wiem w co wierzyć - stwierdził Richius. - Uważałem cię za przyjaciela, Simonie. Czy wiesz, jak wielkiego durnia ze mnie zrobiłeś?

Simon nie uciekł ze spojrzeniem w bok, choć kosztowało go to sporo wysiłku.

- Nie mam do ciebie pretensji o to, że mnie nienawidzisz. Masz rację. I masz prawo odrzucić moją propozycję. Ale jeżeli to zrobisz, pozbawisz się znacznej szansy na powodzenie twej misji. Wiem, czego chcesz, Richiusie.

- No proszę... Czegóż więc chcę?

- Chcesz dostać Biagia. Richius skrzywił się lekko.

- Nietrudno zgadnąć.

- A ja mogę ci w tym pomóc - ciągnął Simon. - Wiem o nim wszystko, znam jego obyczaje i przyzwyczajenia. Mogę ci go podać na srebrnej tacy.

- Ale dlaczego miałbyś to zrobić? - spytał Richius. - Czy nie był twoim Mistrzem?

- Wypowiedział to słowo tak, jakby splotał.

- Robię to dla Eris - upierał się Simon. - I tylko dla niej.

- Bzdura. Jesteś Roshannem. Wiem, co to znaczy. Masz służyć Biagowi aż do śmierci. Roshannów obowiązuje zasada, prawda? Lepsza śmierć niż hańba. To, co mówisz, stanowi zdradę. - Richius tknął Simona palcem w pierś. - Podaj mi powód.

Simon westchnął i oparłszy się o drewnianą ścianę, podniósł wzrok na gwiazdy.

- Richiusie, moje życie się bardzo skomplikowało. Nie jestem już taki, jak byłem.

Biagio też nie. Stracił rozum. Wciąż zażywa ten przeklęty eliksir Bovadina, który ma go uczynić nieśmiertelnym.

- Wiem o tym eliksirze - stwierdził Richius. - Mów dalej.

- Myślę, że ten eliksir wtrącił go w szaleństwo. Wiem, że zabije Eris, jeżeli się dowie, że go zdradziłem. A dowie się niechybnie. Jeżeli nie znajdę sposobu, by ją uwolnić, ona zginie.

- A dlaczego miałbyś się tym dręczyć? Każda kobieta, która cię kocha, musi być równie szalona, jak Biagio.

Simon spojrział na Richiusa i uśmiechnął się melancholijnie.

- Richiusie, znam cię lepiej, niż myślisz. Eris jest niewinna, a ty nie umiesz się pogodzić z myślą, że przez ciebie umiera ktoś niewinny.

- I co z tego?

- Jeżeli nie pozwolisz mi sobie pomóc, Eris niechybnie umrze. Umrze także prawdopodobnie wiele z tych dzieci, które ty chcesz poprowadzić na Crote.

- Są żołnierzami - odpowiedział Richius zimno. - Nie zabijają dla pieniędzy, Roshannie. Wiedzą, co to honor.

- Zgoda - odparł Simon. - Ale może i ja mam honor. Odrobinę honoru, która została mi po wielu latach służby pod rozkazami Biagia... ale jednak istnieje. - Znów podniósł wzrok ku gwiazdom. - Chyba to jest to, co usiłuję ci powiedzieć.

W głosie Simona zadźwięczała nuta takiej szczerości, że Richius nagle rozpaczliwie zapragnął mu uwierzyć.

- Richiusie, mogę cię o coś zapytać? - odezwał się Simon spokojnym głosem.

- Pytaj.

- Co ty tu właściwie robisz? To znaczy poza zabiciem Biagia. Dziwne pytanie sprawiło, że Richius lekko się najeżył.

- Simonie... przyznam, że nie rozumiem, o co pytasz.

- Rozglądałem się dookoła. Widziałem to twoje tak zwane wojsko. To zwykłe dzieciaki.

Richius zachichotał.

- Powinieneś lepiej im się przyjrzeć, szpiegu. Jeszcze niedawno myślałem tak jak ty, ale zrozumiałem, że się myliłem. W sercach tych wyspiarzy jest więcej ognia i zapału, niż w sercach wszystkich narodów Nar razem wziętych. - Powiódł pełnym dumy wzrokiem po barakach uspionego obozu. - A ja nie tylko dowodzę tą armią. Staję w obronie słusznej sprawy.

- Doprawdy? - bąknął Simon. - I jakaż to sprawa?

- Odpowiem ci jednym słowem - stwierdził Richius. - Sprawiedliwość.

- Sprawiedliwość... - Simon się skrzywił. - A mnie się wydawało, że chodzi ci o zemstę.

- Myśl sobie, co chcesz. Ale ci chłopcy i dziewczęta mają coś, czego ty nigdy miał nie będziesz. Serce. Powiadasz, że wracasz na Crote ze względu na kobietę.

Myślisz, że to ci daje prawo uważać siebie za człowieka mającego serce? Może to kwestia zwykłej żądy?

Simon spojrział na Richiusa i uśmiechnął się.

- A wiesz... słyszałem już kiedyś historię o człowieku, który zdradził swój kraj dla pewnej kobiety. Wielu uznało go za wariata, który stracił rozum dla ładnego tyłeczka. On jednak zrobił tylko to, co uznał za słuszne. Tak przynajmniej utrzymywał. Nigdy się z nim nie spierałem, ale może dobrze byłoby go zapytać, czy uważa siebie za człowieka potrafiącego kochać i mającego serce...

- To co innego! - zachnął się Richius. - Ja nikogo nie porywałem!

- Przecież ci ją oddałem, Richiusie. Zrobiłem to, ponieważ uznałem, że to słuszne i tak trzeba. Proszę, zechciej uwierzyć przynajmniej w to! - Simon położył dłoń na ramieniu Richiusa. - Nie zmuszaj mnie, bym cię błagał. Nie każ mi klękać, by ratować kobietę, którą kocham.

Richius nie mógł się zdobyć na to, by strącić dłoń Simona ze swego ramienia.

Wiedział, że powinien to zrobić, wiedział, że Prakna byłby wstrząśnięty, ujrzawszy, że brata się z Narenem, ale poczuł, iż w głębi ducha cieszy się z tego i pragnie uwierzyć Simonowi.

Zamknawszy oczy, raz jeszcze rozważył wszystko w duchu.

- Wiesz, że Prakna może mnie za to zabić - stwierdził na koniec. - Jesteś pewien, że możesz nam pomóc?

- Owszem - odparł Simon. - Jestem absolutnie pewien.

Otworzywszy oczy, Richius ujrzał, że Naren patrzy na niego rozjaśnionym spojrzeniem oczu ożywionych nową nadzieją. Aramooreczyk wyciągnął dłoń, którą Simon uściskał mocno i pewnie.

- Simonie, nie chciałbym kiedyś żałować tej decyzji.

- Nie będziesz - zapewnił go Simon cichym głosem. - Jeżeli mam duszę, to przysięgam ci na nią, że nie będziesz.

Richius kiwnął głową, wyrażając pełną rezerwy aprobatę. Po chwili odwrócił się od Narena i zamykając za sobą drzwi, wrócił do izdebki, w której spała jego córka. Ukląkł przy łóżku, położył ostrożnie głowę na pościeli i musnął palcami delikatne włosy dziewczynki.

- Wybacz mi, Shani - szepnął. - Muszę mu zaufać. Nie obejdę się bez jego pomocy.

W tej chwili Shani otworzyła oczka. Dziewczynka ziewnęła i spojrzała na ojca zaspanym wzrokiem.

- Kocham cię - powiedział jej Richius. - Obyś mnie nie znienawidziła za to, co muszę zrobić.

Shani obdarzyła go niewinnym i pełnym miłości uśmiechem.

Trzydzieści dwa ZACIEKŁOŚĆ PRAKNY

Wychodzącego na pokład Praknę powitały mroczne wody morza. „Księżę Liss” milcząco i nieustępliwie przecinał fale, płynąc ku trzem szkunerom zakotwiczonym w porcie i strzeżonemu przez nie nareńskiego liniowcowi, który tamci zwali „Pogromcą”.

Nareński okręt stał się ich więźniem od chwili, w której zjawił się pod Liss. Nie mógłby umknąć szybszym szkunerom. Prakna wiedział, że cała jego załoga czekała na pokładzie i gryzła się myślami, jaki też czeka ich los. Sam stał teraz na dziobie okrętu i pozwalając, by wiatr targał jego włosy, zastanawiał się, co też będzie, jeżeli posłucha Richiusa Vantrana.

Szakał zostawił mu jasne i nie pozostawiające miejsca na wątpliwości rozkazy.

Nareńscy marynarze mającej się na ląd jako jeńcy wojenni, a ich okręt trzeba osadzić w doku.

Po inwazji na Crote jeńców odwiezie się na brzeg Imperium. Vantran powiedział, że nie można tego uczynić wcześniej, bo uprzedziliby rodaków o inwazji. Usłyszawszy te rozkazy, Prakna omal nie udławił się z gniewu. Najwidoczniej Szakał miał niewybaczalną słabość do swoich krajanów.

Stojący na pokładzie obok Prakny Marus skierował „Księcia” ku czekającym w gotowości szkunerom. Na innych lisseńskich okrętach rozjarzyły się latarnie sygnałowe, przekazujące rozkazy podpłynięcia bliżej. Zgodnie z poleceniem Marusa „Księżę” zwolnił.

Prakna zmrużył oczy, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności. „Pogromca” wciąż tkwił w środku pierścienia, jak zawsze paskudny. Na jego pokładzie stali ludzie w

nareńskich marynarskich opończach i mówili coś jedni do drugich z widocznym podnieceniem i zdradzając spore zdenerwowanie. Prakna też był niespokojny. Próbował nie okazywać tego po sobie, nie udało mu się jednak zwieść Marusa.

- Podpłynmy bliżej - odezwał się do pierwszego oficera. Marus przekazał rozkaz dalej.

„Książę” pochylił się, zwracając się do pozostałych okrętów sterburtą.

- Jak blisko chcesz podejść, komandorze? - spytał Marus.

- Na tyle, by móc pogadać - odpowiedział Prakna. - Chcę zobaczyć tego kapitana N'Deka.

- Wiesz, że on ci nie uwierzy. Komandor wzruszył ramionami.

- Nie musi.

Podczas tej rozmowy dał ostry wiatr. „Książę” podpływał coraz bliżej, aż prześlizgnąwszy się pomiędzy dwoma lisseńskimi szkunerami, zbliżył się do „Pogromcy”.

Marus znów wydał kilka rozkazów, których celem było podprowadzenie „Księcia” do bakburty liniowca. Na pokładzie nareńskiego okrętu ludzie zaczęli odwracać głowy i wymieniać pełne niepokoju uwagi dotyczące celu płynącego w ich stronę lisseńskiego okrętu.

Prakna zszedł z dziobu i podszedł do burty okrętu, który podpływał już tak blisko do „Pogromcy”, że ich kadłuby lada moment mogły się o siebie otrzeć. Marus jednak był mistrzem żeglugi i podprowadził okręt tak, by w razie potrzeby mieć trochę miejsca na manewr. „Książę” zatrzymał się, tańcząc na falach, podczas gdy załoga starała się wytłumić kołysanie.

Komandor przybrał najbardziej srogi wyraz twarzy, na jaki mógł się zdobyć.

Patrzył na oszołomionych Narenów, czując mdłości na widok ich nie mytych pysków.

Przypominało mu to przyglądanie się garstce zagnanych w pułapkę szczurów.

- Gdzie jest wasz kapitan? - zawołał wreszcie gromowym głosem. - Chcę z nim pomówić.

Na czoło gromady Narenów precyzyjnie przycisnął się człowiek o haczykowatym nosie i ostrym, przenikliwym spojrzeniu. Miał na sobie brudny, postrzępiony uniform i ostrożnie

podtrzymywał obandażowaną dłoń prawej ręki.

- Jestem kapitan N'Dek - odezwał się śmiało. - Ty zaś jesteś Prakna, prawda?

- Komandor Prakna - poprawił go zimno Lisseńczyk. - W tej chwili twój pan i władca, o czym radzę pamiętać.

N'Dek poczerwieniał z gniewu. Był dokładnie tak samo bezczelny, jak inni Narenie, i tak samo jak oni pewny siebie.

- Czego chcesz? - zapytał chłodnym tonem.

Prakna odchrząknął i szybko przypomniał sobie z góry ułożoną przemowę.

- Jesteście wolni - stwierdził. - Z rozkazu Richiusa Vantrana i Simona Darquisa zwraca się wam swobodę żeglugi. Możecie odpłynąć, dokąd zechcecie.

- Co takiego? - warknął N'Dek. - Puszczacie nas wolno?

- Radzę, byście sobie wydłubali wodorosty z uszu - uciał Prakna. - Nie będę powtarzał. Wasz okręt jest wolny.

Deklaracja ta wywołała gwałtowne poruszenie wśród nareńskiej załogi. N'Dek podniósł rękę, by uspokoić podwładnych.

- Dlaczego? - spytał podejrzliwie. - Z jakiego powodu okazujecie taką wspaniałomyślność?

- Mnie nie pytaj - odpowiedział Prakna. - Nie ja podjąłem tę decyzję. Tak postanowił Vantran.

- Ja jednak jestem dociekliwy - rzekł N'Dek. - Dlaczego?

- A co, wolisz pójść w niewolę? - warknął Prakna. - Gdyby to ode mnie zależało, już by was wszystkich wiązano.

Nareński kapitan rozejrzał się dookoła i łypnął okiem na trzy szkunery, otaczające jego okręt. Widok ów zbił go z tropu i pozbawił sporej części pewności siebie.

Prakna nie zmieniał nieprzeniknionego wyrazu twarzy. Jeżeli Naren zacznie coś podejrzewać, nie zechce postawić zagli i odpłynąć.

- Zabierajcie się stąd - zwrócił się do N'Deka. - Chcę, byście najdalej za godzinę opuścili lisseńskie wody. A jeżeli nie odpłyniecie, tylko zaczniecie coś kręcić, sam na was ruszę i spuszczę na dno.

N'Dek znów uśmiechnął się arogancko.

- Teraz już wiem, jak wyglądasz, komandorze, a to dla mnie nie lada zaszczyt.

Czy mam przekazać admirałowi Nicabarowi twoje pozdrowienia?

Marus nie wytrzymał.

- Ty zawszony...

- Dość! - uciął Prakna, kładąc dłoń na ramieniu swego zastępcy. Będzie jeszcze czas na pomstę obrazy. - Wynoś się stąd, Narenie - rozkazał. - Osobiście odprowadzę was do granicy naszych wód. Płyńcie prosto na wschód. Zmienicie kurs, a będzie po was.

N'Dek skłonił się z pełną drwiny uniżonością.

- Jak sobie życzysz, komandorze.

Odwrocił się i zabrał do wydawania rozkazów zdumionej załodze. Prakna stał przy burcie swego okrętu i uważnie wszystko obserwował. Rozkaz kapitana posłał nareńskich żeglarzy do want i na reje, gdzie zajęli się stawianiem żagli. Marus podszedł do Prakny i trącił starego druha łokciem w bok.

- Dobrze zagrane, komandorze - pochwalił dowódcę. Prakna uśmiechnął się skąpo.

- Marusie, my też ruszajmy. Nasz gołąbek potrzebuje trochę miejsca, by się wzbic do lotu.

Godzinę po odpłynięciu spod lisseńskich brzegów „Księżę” zakończył misję eskortowania „Pogromcy”, z którego pokładu N'Dek patrzył na odpływających Lisseńczyków i czuł ogromną ulgę. Z całej tej awantury wyszedł cało, ocaliwszy wszystkich marynarzy i - co liczył sobie za niemały sukces - swój okręt. Według wojennych zwyczajów należało to uznać za zwycięstwo. Zamknawszy na chwilę oczy, westchnął głęboko. Bolała go dłoń, burczało mu w brzuchu, ale przede wszystkim czuł ogromne zmęczenie. W tej chwili chciał tylko zejść do swej kabiny, położyć się na koi i zasnąć.

- Sen. - Powtarzał to słowo, jakby się modlił. Podczas ostatnich kilku dni spał tylko wtedy, gdy pozwalał mu na to Darquis, kładąc się na twardych deskach podłogi. Na wspomnienie agenta Roshannów zgrzytnął zębami. Przypomniał sobie obietnicę, jaką dał Darquisowi - że wróci na Crote i o wszystkim powiadomi admirała Nicabara. Ten zaś z pewnością wpadnie w furję.

„I bardzo dobrze” - pomyślał N'Dek z goryczą. Może wtedy wreszcie zrobi coś z Biagiem.

Jedyną rzeczą, jaka trapiła teraz N'Deka, było jego niezwykle uwolnienie.

Vantran był na Liss? O tym na Crote nie wiadano. Nie miał pojęcia, dlaczego Szakal pozwolił im odpłynąć. Kapitan potrząsnął głową zbity z tropu nieoczekiwaną zmianą kolei losu. Może Vantran był części planu Biagia? Albo może Simon przekonał Lisseńczyków, by puścili ich wolno? Kapitan wzruszył ramionami, wiedząc, że nigdy nie dowie się prawdy.

„Ciesz się z tego, że żyjesz” - powiedział sobie w duchu, ruszając do swojej kabiny.

„Księżę Liss” odpłynął na odległość dwóch morskich mil na zachód, zanim Prakna wydał rozkaz do zwrotu na przeciwny kurs. Niewiele brakło, a spostrzeżono by ich z pokładu któregoś z innych lisseńskich okrętów. Wkrótce miał nadejść świt, komandor zaś wołał, by jego atak skryły nocne ciemności. Gdy okręt zaczynał zwrot, kierując się ponownie na zachód i ruszając w pościg za uchodzącym liniowcem, komandor pozostał na pokładzie.

Prakna solennie sobie obiecał, że N'Dek nie będzie miał szans na to, by przekazać Nicabarowi jego pozdrowienia. Nie mógł się pogodzić z rozkazami Vantrana i z myślą, że Narenie ujdą cało. Wpłynęli na lisseńskie wody i byli Narenami. Dość tego było, by ich zatopić.

- Marusie! - zawołał do pierwszego oficera. - Każ rozpiąć dodatkowe żagle.

Musimy popłynąć szybciej, by się uwinąć ze wszystkim przed świtem.

Marus kiwnął głową. Podobnie jak Prakna, ani on sam, ani żaden inny z lisseńskich marynarzy nie miał niczego przeciwko zlekceważeniu rozkazów Vantrana. Na morzu prawem było słowo Prakny. Kiedy wrócą na Liss, wyjaśnią Richiusowi, że nareński kapitan, nie godząc się na niewolę, podjął próbę wyrwania się z kręgu szkunerów. Tamci nie dali im żadnych szans i trzeba było ich zatopić. Prakna nie był pewien, czy Vantran mu uwierzy, ale tak naprawdę, niewiele go to obchodziło. Wiedział, że żaden z lisseńskich marynarzy nie zdradzi obcemu prawdy.

Dziobnica „Księcia” cięła fale jak nóż. Wkrótce mieli ponownie znaleźć się przy „Pogromcy”. Prakna postawił kołnierz płaszcza, szykując się na nieuniknioną konfrontację.

Dawno już nie posłał na dno żadnego z nareńskich okrętów. Tego miał zatopić dla

J'lari.

Kapitan N'Dek kończył właśnie w swojej kajucie skromny posiłek, na który złożyła się zimna zupa i piwo. Potem zdmuchnął świecę i położył się na koi. Dotknięcie zbolałymi plecami miękkiego materaca sprawiło mu taką rozkosz, jak pieszczoty najpiękniejszej z kobiet i układając się wygodniej, wydał pełne satysfakcji stęknienie. Kajuta miała jeden bulaj - ośmiokątne szklane okienko, wpuszczające światło gwiazd. Wydał już sternikowi rozkaz wzięcia kursu wprost na Crote i rad był temu, że - przynajmniej na razie - miał już za sobą wszelkie troski. Do tygodnia będą już bezpieczni na wodach Imperium.

Zamknawszy oczy, przywołał z głębin pamięci wizerunek pewnej prostytutki, którą spotkał w Casarhoon, kiedy usłyszał jakiś odległy okrzyk. Otworzył niechętnie oczy i zaklął, wściekły na to, że mu przerwano sen. I wtedy usłyszał wrzask ponownie, głośniejszy i pełen przerażenia. Zamrugał, niepewny tego, co słyszał, i przerzucił nogi przez krawędź koi.

- Lisseńcy! - zaryczał mu ktoś nad głową. - Nadpływają od bakburty!

N'Dek poczuł, że jego żołądek wywija gwałtownego kozła. Rzuciwszy się do bulaju, wyjrzał na zewnątrz. Było ciemno, szkło zaś zasnuwała mgielka wilgoci, ale zdołał zobaczyć coś wielkiego, złowrogiego i błyszczącego.

Natychmiast pojął, że patrzy na idący wprost na niego lisseński taran dziobowy.

W następnej sekundzie był już trupem, przeciętym na dwie części przez nieubłagane ostrze.

Gdy taran „Księcia” ugodził niespodzianie w zupełnie zaskoczony lisseński liniowiec, Prakna wraz z resztą załogi wydał dziki okrzyk tryumfu. Szkuner wyłonił się z mroku niczym duch zemsty i uderzywszy w śródokręcie, zadał „Pogromcy” śmiertelny cios. Gdy „Książę” szarpnął się w tył, wrywając z kadłuba ofiary wielkie kawałki drewnianych belek i klepek poszycia, przez rozdarcie w kadłubie lunęła do środka liniowca woda, natychmiast zalewając kubryk i ładownie. Po pokładzie przetoczyła się lodowata fala, zmywając nieszczęsnych żeglarzy. Niczym gigantyczna łapa wcisnęła okręt pod wodę. Podniecony wspaniałym widokiem Prakna podniósł w górę pięść i kilkakrotnie nią potrzęsnał.

- Pozdrówcie ode mnie Nicabara! - ryknął, przemagając pieszczące jego uszy

dźwięki, jakie zawsze towarzyszyły zatopieniu wrogiego okrętu.

Na pokładzie żeglarze na próżno czepiali się lin takielunku, gdy okręt beznadziejnie chylił się na bok. Wrzaski tonących szybko stłumiły kolejne fale. Prakna modlił się, by idący na dno byli żonaci i zostawili po sobie wdowy. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, długo patrzył na widowisko, sycąc wzrok obrazami tonących Narenów.

Trzydzieści trzy „BYSTRY”

Dowódca należącej do Czarnej Floty fregaty „Bystry” kapitan Kelara stał na dziobie swego płynącego na zachód i oświetlanego z tyłu promieniami wstającego słońca okrętu.

Wiatr wypełniał żagle chyżej fregaty, która śmigła po falach niczym delfin. Z rozkazu Biagia i Nicabara „Bystry” od trzech tygodni patrolował wody wokół Liss. Mieli czekać, aż Lisseńczycy postawią żagle i ruszą na Crote. Dopiero wtedy powinni śmignąć na pełnych żaglach z powrotem, by ostrzec hrabiego o nadciągającej inwazji. Było to zadanie odpowiednie akurat dla tego okrętu, ponieważ „Bystry” należał do klasy Lampart, której okręty jako jedyne w nareńskiej flocie potrafiły pod względem szybkości dotrzymać pola lisseńskim szkunerom. Fregata miała dziób ostry niczym nóż, a na jej masztach rozpięto siedem szerokich żagli. Załogę „Bystrego” stanowiło dwudziestu marynarzy; okręt miał smukły kadłub i nie uzbrojono go w działa, aby nie stwarzać dodatkowego obciążenia. Jediną jego bronią była szybkość - fregata miała nie ustępować okrętom lisseńskim.

Kapitan Kelara darzył hrabiego Biagia wielkim podziwem. Ponieważ wierzył bez zastrzeżeń w taktyczny talent arystokraty, podjął się tej misji z wielką dumą.

Dzięki zaplanowaniu i podrzucaniu nieprzyjaciółom starannie dobranych ofiar, wpoił im przekonanie o własnej przewadze. Wkrótce zgodnie z przewidywaniami Biagia mieli rozpocząć inwazję na Crote, na co wyspiarze byli przygotowani. Najważniejsze w tym wszystkim było uprzedzenie hrabiego o uderzeniu. Na tym polegała misja Kelary, który mając do dyspozycji „Bystrego”, pewien był jej powodzenia.

Dzielny kapitan nie wziął jednak pod uwagę możliwości natknięcia się na „Pogromcę” i spostrzegłszy liniowiec płynący ku wyspie, stracił całą zuchwałość. Zaczął śledzić okręt N’Deka ze sporej odległości, kryjąc się stale w blasku słońca. Kiedy „Pogromca” dotarł do Liss i przepadł, Kelara zatrzymał fregatę, nie wiedząc, co teraz począć. Było to niemal piętnaście godzin temu.

Wreszcie „Pogromca” pojawił się ponownie.

Nie był sam.

Kelara patrzył przez szkła lunety, jak „Księżę Liss” taranuje liniowiec, którego załoga jak widać nie spodziewała się napaści. Zobaczył szkuner w chwili, w której miał wydać rozkaz do ruszenia na spotkanie z „Pogromcą”. Za późno było, by ostrzec towarzyszy, patrzył więc bezradnie na zagładę liniowca. „Księżę” przez blisko godzinę krążył jeszcze wokół miejsca egzekucji, najwyraźniej pilnując, by nikt nie ocalał. Kelara odważył się popłynąć naprzód dopiero wtedy, gdy Lisseńczyk znikł za horyzontem.

Następnie wysłał ludzi na salingi, by wypatrywali „Księcia” na horyzoncie i rozbitków w wodzie, i zaczął przeszukiwać miejsce, w którym zatonął „Pogromca”.

Na całe szczęście Kelara nie zobaczył innych lisseńskich okrętów. Ponaglając ludzi do pośpiechu, posłał ich na wanty z rozkazem, by uważnie przepatrywali morze. Nie podobała mu się myśl, że podpływa w pobliże Liss za dnia, a po obejrzeniu egzekucji „Pogromcy” postanowił nie podejmować żadnego ryzyka. Gdy podpłynęli na miejsce, gdzie poszedł na dno liniowiec, zobaczyli unoszące się na wodzie resztki belek i strzępy porwanego takielunku.

Kelara rozkazał zwolnić i fregata zaczęła przeszukiwać morze. Siła uderzenia ostrza lisseńskiego tarana była straszliwa - kadłub „Pogromcy” trzasnął niczym skorupka jajka.

Wkrótce zobaczyli pierwsze unoszące się na falach ciała. Wszystkie zdążyły już zeszywnieć w lodowatej wodzie i teraz kołysały się bezwładnie na wodzie. Każde miało siną barwę, charakterystyczną dla śmierci z wychłodzenia organizmu.

- A niech to siedem piekieł! - zaklął Kelara, potrząsając głową. Spóźnił się.

Nawet jeżeli ktoś z załogi „Pogromcy” przeżył katastrofę, zdążył już zamarznąć.

Wściekły na siebie kapitan uderzył pięścią w drugą, otwartą dłoń. „Bystry” był pięknym okrętem, ale bez dział niczego nie mógłby wskórać przeciwko szkunerowi. Kelarę ogarnęło poczucie bezsilnej wściekłości. Któregoś dnia okręty Czarnej Floty wrócą pod Liss. A wtedy...

- Kapitanie! Spójrz tam!

Okrzyk wydał jeden z tkwiących na salingach majtków. Kelara najpierw popatrzył w górę, a potem w stronę, którą pokazywał marynarz. W pierwszej chwili zobaczył tylko przewalające się leniwie fale. Potem, gdy wyostrzył mu się wzrok, ujrzał podskakującą w oddali ciemną plamkę. Przyłożywszy szybko do oka lunetę, ujrzał

wymachującego do nich rozpaczliwie, unoszącego się na wodzie człowieka.

- Wielkie nieba! - zawołał. - Poruczniku Nan, natychmiast skierujcie okręt w tamtą stronę. Ktoś przeżył tę rzeź!

Pchnięty rozkazami „Bystry” ruszył ku nadal dającemu rozpaczliwe znaki człowiekowi. Serce Kelary uderzyło szybciej, ożywione nową nadzieją. Jeżeli przeżył jeden, mogli przeżyć i inni. Szybko przeszukał wzrokiem okoliczne wody. Niestety, rozbitka otaczały wyłącznie trupy.

- No dobrze - stwierdził Kelara. - Tylko jeden. Warto było płynąć, by uratować choć jego. - Odwrócił się do porucznika Nana, który zręcznie manewrując, prowadził okręt ku rozbitkowi. - Pospieszcie się i weźcie go na pokład, zanim w tej wodzie zamrznie!

Trzydzieści cztery **ODKRYCIE DYANY**

Dyane, która zdążyła w życiu poznać blaski zamożności i cienie nędzy, pałac i posiadłość Biagia wydały się istnym cudem.

Od przybycia na Crote żyła otoczona zbytkiem, nie czując prawie więzów niewoli, i podziwiała wspaniałości, w otoczeniu których żył hrabia. Oglądała jego prywatne plaże, jadła egzotyczne potrawy i ubierała się w piękne jedwabne suknie, tak miękkie, jakich nigdy w życiu nie miała. Biagio nie szczędził kosztów, by zapewnić jej wygody. Wyjaśnił jej, że nie żywił urazy do niej: miał na pieńku z jej mężem - wydał więc polecenie wszystkim swoim licznym służącym, że mają się do niej zwracać z szacunkiem. Oddał do jej dyspozycji wspaniałą komnatę, pięknie umeblowaną, ze szklanymi drzwami wiodącymi do ogrodu.

Zasypiając wieczorami, słyszała szum oceanu, a wstając każdego ranka, znajdowała na stoliku pyszne śniadanie, przygotowane przez Kyle, młodziutką niewolnicę, którą jej przydzielono, gdy tylko znalazła się na Crote. Dyana nie miała pojęcia o tym, jak długo pozostanie u Biagia, ani czy ten zabierze ją do Nar, jak obiecał, ale stało się dla niej jasne, że hrabia postanowił jak najbardziej uprzyjemnić jej ostatnie dni życia.

Nie miała żadnego zajęcia, spędzała więc większość dni, spacerując po świetnie utrzymanych pałacowych ogrodach, podziwiając pielęgnację krzewów i żywopłotów i czytając książki z obszernej biblioteki hrabiego. Unikała towarzystwa innych Narenów, którzy - jak to jej wyjaśniła Eris - byli podobnie jak Biagio wygnańcami ze stolicy Imperium.

W niczym nie przypominali jej Richiusa. Mieli jasną, lśniąca od oliwy skórę i malowane usta.

Eris wyjaśniła jej, że to nareńscy lordowie. Dyana zastanawiała się, co też to naprawdę znaczy. W Aramoorze Richius byłby królem. Nigdy jednak nie wyglądał na tak zniewieściałego, jak Biagio albo inni. Bała się, że zgodnie z obietnicą hrabiego, przewiozą ją do Nar. Choć Richius opowiedział jej wiele historii o Czarnym Grodzie, dopiero teraz skłonna była w nie uwierzyć.

Jednego z Narenów obawiała się bardziej niż innych - tego, którego nazywano Savrosem. Przypatrywał jej się z ukrycia - czasami, kiedy była sama w ogrodzie, nagle czuła na sobie jego wzrok. Pamiętała, że Eris ostrzegła ją, by się trzymała od niego z daleka.

Powiedziała jej też, że Savros był zaufanym oprawcą Biagia, nazywanym przez innych Łamaczem Woli. Eris stwierdziła, że czerpał rozkosz z dręczenia swoich ofiar i zabijania, co obudziło w Dyanie dreszcz zgrozy. W oczach oprawcy widać było żądzę mordu. Dyana widziała ją wyraźnie... wraz z jakimś osobliwym, niedojrzałym uwielbieniem. Był okropny i Dyana robiła co się dało, by go unikać.

Z drugiej strony rzadko widywała Biagia. Po jej przybyciu na Crote hrabia rozmawiał z nią tylko raz, a i to była w zasadzie zupełnie zdawkowa rozmowa; Biagio chciał się upewnić, czy czuje się wygodnie w oddanej do jej dyspozycji komnacie. Dyana uznała go wówczas za człowieka, który lubi się chwalić - pokazawszy jej wspaniałe ogrody, oddalił się z dumnym, pełnym wyższości uśmiechem i płonącymi ogniem ożywienia błękitnymi oczami.

Po ostatnim spotkaniu z hrabią Crote, Dyana nie bardzo wiedziała, co o nim sądzić. Eris utrzymywała, że był szalony, ale jego szaleństwo datowało się od niedawna.

Powiedziała też Dyanie, że Biagio potrafi być łagodny i uprzejmy, o czym Dyana sama miała okazję się przekonać, a czego nigdy by się po nim nie spodziewała. A jednak w jego charakterze drzemała skłonność do okrucieństw. Wiedziała, że Biagio wyznaczył jej rolę przynęty i prawdopodobnie ją zabije, gdy Richius wpadnie mu w ręce.

Ze wszystkich mieszkańców pałacu jedyną jej przyjaciółką była Eris. Spędzały razem długie godziny, jadły wspólne posiłki i plotkowały o wszelkich wydarzeniach, które działy się w leżącym za morzem Imperium. Dyana opowiedziała Eris o Richiusie i Shani, za którymi tęskniła wprost nieznośnie, Eris zaś zatańczyła dla Dyany wszystkie znane jej sceny baletowe, co choć na krótko, pozwalało jej zapomnieć o grożącym jej okropnym losie.

Patrząc na taniec przyjaciółki, doskonale się obywającej bez muzyki, patrzyła z zachwytem i zapominała chwilowo o troskach, podziwiając giętkość ruchów wyćwiczonego ciała tancerki.

Dla Eris taniec był życiem. Kochała go ponad wszystko - taniec stawiała nawet

przed Simonem, i wyglądało na to, że nie sprzeciwia się temu, iż jest niewolnicą. Powiedziała, że to Biagio uczynił z niej wielką tancerkę. Szkolił ją i dzięki temu była tym, kim była - hrabia rozumiał muzykę jak niewielu ludzi na świecie i potrafił dostrzec w człowieku znamię wielkości. W Nar opłacał jej najlepszych nauczycieli, co kosztowało go fortunę. Choć Eris bała się swego pana, jednocześnie go kochała i prawdziwie wierzyła, że i on ją kocha.

Dyana wiedziała, że jest to miłość zbieracza klejnotów, jaką ten żywi do najpiękniejszych okazów swej kolekcji. Nie mogła się jednak zdobyć na to, by powiedzieć o tym Eris. Prawda złamałaby dziewczynie serce, Dyane zaś wcale nie zależało na niszczeniu jej złudzeń. Pozwoliła więc Eris wierzyć w to, co chciała, słuchała jej opowieści, patrzyła na jej tańce i była rada, że odnalazła w tym miejscu choć jedną przyjaciółkę.

Pewnej nocy, zupełnie podobnej do innych, Dyane obudził szum odległego morza.

Poprzez otwarte okiennice szklanych drzwi widziała ze swego pokoju sporą połąć wyspy.

Kołyszące się w ogrodzie trawy rzucały dziwne cienie na ściany i Dyana usiadła, nagle przejęta dziwnym dreszczem obawy, przypominając sobie z przerażającą wyrazistością śniony przed chwilą koszmar. Była na jakimś okręcie z Richiusem i Shani. Zaraz potem nadciągnęła burza, która zatopiła okręt, ona zaś sama zdołała jakoś dopłynąć do brzegu.

Obudziwszy się, przyłożyła drżącą dłoń do czoła. Richius i Shani rzeczywiście przepadli. Nie wiedziała, gdzie są. Nagle poczuła, że już tego wszystkiego nie wytrzyma.

Chciała zapłakać, ale zabrakło jej łez. Zamiast tego opadła więc na poduszki i zapatrzyła się na rozciągający się za szklanymi drzwiami widok. Shani mogła wciąż znajdować się na płynącym na Crote okręcie, choć teraz było to już mało prawdopodobne. Richius zaś gdzieś przepadł, poświęciwszy się swej szalonej wendecie. Dyana była sama. Znowu sama.

Nie mogąc zasnąć, wstała z łóżka, czuła bowiem potrzebę ruchu. Na chybił trafił wybrała jakąś kosztowną suknię z zostawionej jej przez Biagia do dyspozycji garderoby, a potem wsunęła stopy w skórzane trzewiki na miękkich podszwach, w których mogła

stąpić prawie bezgłośnie. Rzuciwszy przelotne spojrzenie w zwierciadło, zobaczyła twarz o podkrążonych ze zmęczenia oczach, zignorowała jednak swój kiepski wygląd i przekroczywszy próg, wyszła na pusty korytarz, w którym każdemu krokowi zwykle towarzyszyło głośnie echo. W obie strony ciągnęły się marmurowe ściany, ozdobione płaskorzeźbami, sufit zaś pokrywały pięknie rzeźbione drewniane kasetony.

Zamknęła za sobą drzwi i zawahała się na krótko nad wyborem kierunku.

Biagio był człowiekiem, który zazdrośnie strzegł swej prywatności. Choć dał jej dostęp do całego pałacu, skrzydło, w którym mieściły się jego komnaty, było niedostępne dla wszystkich - w tym dla jego nareńskich popieczników. Dyana postanowiła, że je obejrzy.

Doszła do wniosku, że skoro tak czy inaczej ma zostać zabita, nie musi przestrzegać reguł obowiązujących innych mieszkańców pałacu. Zobaczy przynajmniej, co on tam ukrywa.

Szybko przemknęła korytarzami, mijając kwatery niewolników, położone dość daleko od jej komnat, choć nie mniej eleganckie. Nawet służba Biagia pławiła się w przepychu.

Minąwszy pomieszczenia dla służby, trafiła na rozległą, okrągłą komnatę, której sklepienie wspierało się na białych kolumnach, udekorowanej portretami przodków hrabiego. Wszyscy byli szczupli i złotowłosi, jak Biagio. Przystanąła na chwilę, by przyrzeć się portretom. Miały wspólne, rodzinne podobieństwo, żaden jednak z czcigodnych przodków hrabiego nie miał niebieskich oczu jak on, nie wyglądał też na nieco zniewieściałego, co było charakterystycznym rysem urody Biagia. Żaden z przodków hrabiego nie wywarł na Dyanie takiego wrażenia, jak obecny właściciel pałacu.

Opuściwszy komnatę kolumnową, dość szybko znalazła się w prywatnym skrzydle zamieszkiwanym przez Biagia. Miejsce to od reszty pałacu oddzielało łukowe wejście pokryte gładkim białym tynkiem. Powietrze przesyciła tu woń pokrywającego ściany kwiecica, a nieco w głębi korytarza słychać było szmer niewielkiej fontanny. Z ust nagiej nimfy spływała woda na gładkie białe skałki. Dyana słuchała przez chwilę, zachwycając się cichym bulgotem, a potem złowiła uchem jeszcze inne dźwięki, napływające z przeciwległego krańca korytarza. Muzyka o tej porze?

Dźwięki podobne były do melodii granej na pianinie. Było bardzo późno i głos zagłuszał szmer fontanny. Muzyka była ostra, szybka i głośna. Przyciągała jednak Dyane.

Dziewczyna ruszyła przed siebie, mijając zakręty korytarza, aż w końcu zabrnąwszy daleko w głąb prywatnych apartamentów Biagia, zatrzymała się przed lekko uchylonymi drzwiami.

Stojąc na korytarzu, słyszała fragmenty muzyki i zdecydowane uderzenia palców w klawisze.

Podkradłszy się bliżej, zajrzała ostrożnie do środka. Muzyka była zdecydowanie za głośna.

Wewnątrz ujrzała marmurowe posadzki wyłożone grubymi dywanami o barwie winnej czerwieni, a pod ścianami marmurowe popiersia i portrety ludzi wyglądających na gwałtowników. Na krawędzi jej pola widzenia dostrzegła fragment białego pianina, nie widziała jednak grającego. Przywołała całą odwagę, pchnęła drzwi, by otworzyć je nieco szerzej, i ku swemu zdumieniu zobaczyła rozjuszonego Biagia.

Hrabia zgarbił się nad klawiaturą, gwałtownie uderzając w klawisze. Na jego twarzy perliły się krople potu, który pozlepił w strąki jego złote włosy. Grana przez niego muzyka wstrząsała instrumentem, komnatą jej dekoracjami. Hrabia pogrążył się w niej bez reszty, wałąc w klawisze jak szaleniec i kołysząc się w jej rytmie. Odziany był jak zwykle w jedwabie, ale rękaw jego koszuli był rozdarty, a przy ruchach ręki widać było błyski wbitej w mięśnie przedramienia igły. Igła kończyła się giętką rurką, która ciągnęła się aż do stojącej na pianinie fiolki. Fiolka podskakiwała z każdym uderzeniem palców Biagia w klawisze instrumentu. Twarz Biagia była ściągnięta, hrabia mocno zaciskał szczęki, a z oczu płynęły mu łzy. Miał wygląd człowieka dręczonego okropnym bólem, ale z jego ust nie wydobywał się najcichszy nawet jęk.

Dyana patrzyła przez chwilę, oszołomiona niezwykłym widokiem. Ostrożnie pchnęła drzwi, uchylając je jeszcze o cal. W stojącej na pianinie fiolce widać było jeszcze resztki jakiejś niebieskiej substancji. Przejrzystą rurką ciecz sączyła się w ramię Biagia. Hrabia uderzał w klawisze, nieświadomy tego, iż jest obserwowany. Oddychał ciężko i obficie się pocił. Wyglądało na to, że lada moment straci przytomność. Jego złota skóra miała blady, niezdrowy odcień. Dyana nie miała pojęcia, czy uciec, czy rzucić mu się na pomoc.

Wiedziała, że patrzy na kurację eliksirem Bovadina, ponieważ kiedyś opisał ją Richius. Nie miała jednak pojęcia, że był to akt wymagający gwałtu na własnej naturze. Biagio był słaby, wyczerpany i pozbawiony zwykłych sił. Ze zmęczeniem i łzami w oczach miał wygląd małego chłopca.

I nagle gra się urwała. Oddech Biagia gwałtownie przyspieszył i hrabia podniósł głowę z jękiem agonii. I właśnie wtedy dojrzał stojącą w drzwiach Dyane. Zerwał się z miejsca i spojrzał na nią dziko błyszczącymi oczami.

- Co ty tu robisz?

Dyana szybko się cofnęła. Uciekłaby, zrozumiała jednak, że jest za późno.

- Chodź tu natychmiast! - syknął hrabia. - Już!

Dyana wstrzymała oddech i pchnęła drzwi, otwierając je na oścież. Potem weszła do komnaty i stanęła przed targanym drgawkami hrabią. Wyglądał nieludzko i Dyanie wydało się, że Biagio lada moment padnie z wyczerpania. Ale furia trzymała go na nogach - chwycił powietrze raptownymi haustami. Zwinąwszy dłonie w pięści, potrząsnął nimi gwałtownie, strącając przy tym z pianina pustą fiolkę. Szklany drobiazg rozbił się o posadzkę.

- To moje miejsce! - syknął z wściekłością. - Moje! Co ty tu robisz?

- Przepraszam... - wyjąkała Dyana. - Nie miałam złych zamiarów. Usłyszałam muzykę i postanowiłam sprawdzić, kto gra.

- To moja muzyka! - wrzasnął hrabia. - Nie masz tu nic do roboty!

- Przepraszam... - powtórzyła, cofając się ku drzwiom. - Zechciej mi wybaczyć, hrabio. Już sobie idę.

- Bezczelna! - ryknął, rzucając się ku niej i chwytając ją za ramię. Jego palce były twarde jak żelazo i nieznośnie zimne. Dyana pisnęła z bólu.

- Wyrządzasz mi krzywdę - stwierdziła, usiłując zachować spokój. - Puść mnie, proszę...

- Chciałaś posłuchać muzyki - spytał z naciskiem - czy przyszłaś popatrzeć na odmieńca?

- Nie! - zaprzeczyła. - Po prostu usłyszałam, że ktoś tu gra na pianinie. Nie wiedziałam nawet, że to ty. - Skrzywiła się, bo jego palce miały siłę szczęk imadła, a potem znów spojrzała mu w oczy. - Puść, proszę...

Twarz Biagia złagodniała. Powoli rozluźnił palce i puścił jej rękę. W pierwszej chwili Dyana chciała się rzucić do ucieczki, ale poskromiła to pragnienie. Biagio uważnie ją obserwował. Po chwili cofnął się i opadł na ławeczkę przy pianinie; drżące palce położył na pokrywie instrumentu. Na jego skórze, jak przedtem, lśniły krople potu.

Dyana milczała. Biagio tymczasem westchnął, zamknął oczy, a potem smukłymi palcami wyciągnął igłę z przedramienia. Niedbale rzucił ją na ziemię, pomiędzy okruchy szkła fiolki. Powoli jego oddech się uspokoił, a skóra nabrała zdrowego koloru. Kiedy zaś otworzył oczy, znów jak dawniej lśniły przejrzystym błękitem.

- Muzyka to jedyna rzecz, która pomaga mi przetrwać kryzys - wychrypiął drżącym jeszcze głosem. - Gdyby nie ona, nie zniósłbym mąk tej kuracji.

Zażywając eliksir, Arkus słuchał gry na harfie. Mówił mi, że muzyka zawsze łagodzi ból.

- Dobrze się czujesz? - spytała Dyana. Zaryzykowała i podeszła o jeden krok bliżej, choć bała się, że hrabia znów wpadnie w furję. Coś jednak kazało jej zostać.

- Nic mi nie będzie - odpowiedział. - Elixir ma... dość gwałtowne działanie i trzeba chwilę poczekać, aż miną skutki pierwszego szoku.

- Wiem, co to za środek - stwierdziła Dyana. - Przywraca ci młodość.

Biagio skinął głową.

- Coś w tym rodzaju. - Spojrzał na nią uważnie. - Nie powinnaś tu przychodzić - odezwał się po chwili. - Nie życzę sobie, by mnie widywano w tym stanie.

- Masz rację - odparła nieśmiało. - Przepraszam. Odwróciła się i była już w pół kroku za progiem, gdy hrabia ją zatrzymał.

- Dlaczego nie śpisz? - spytał.

Dyana stanęła w progu. Powinna nienawidzić hrabiego, w tej jednak chwili był zbyt słaby, by czuć do niego odrazę.

- Coś mi się przyśniło - odpowiedziała. - Nie mogłam już potem zasnąć.

- Ja też mam sny - przyznał się Biagio, przesuwał dłoń po zlepionych potem włosach. - Nie potrafiłabyś sobie nawet wyobrazić koszmarów, które mnie dręczą.

- Myślę, że jednak bym potrafiła - odpowiedziała Dyana. - Straciłam jednocześnie męża i dziecko.

Hrabia skrzywił się pogardliwie.

- Cóż to znaczy w porównaniu ze stratą Imperium.

- Nie będę się z tobą spierała, hrabio - odpowiedziała Dyana, znów odwracając się ku drzwiom. - Dobranoc, hrabio.

- Poczekaj... - odezwał się nagle hrabia. - Przecież możesz się mylić. Twoje dziecko może jeszcze żyje.

- Jeśli żyje...

- Tak, tak - hrabia niedbale machnął dłonią. - Kobieto, pamiętam, co ci obiecałem.

Nie musisz mi tego przypominać za każdym razem, gdy tylko mnie zobaczysz. - Przebiegł palcami po klawiszach, wydobywając kilka dźwięków. Zgarbił się jednocześnie, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego zamyślenia. Dyana zrozumiała, że myśli w tej chwili o Simonie. Podeszła bliżej.

- Wcale nie musisz tego robić - zaczęła ostrożnie. - Ani ja, ani mój mąż w niczym ci nie zagrażamy.

Urażony Biagio podniósł głowę.

- Zapewniam cię, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę. W ogóle się nie przejmuję twoim mężem i tą żalną bandą lisseńskich obszarpańców. Są jak robactwo: dokuczliwe, ale niegroźne.

- To dlaczego występujesz przeciwko nam, dlaczego nas krzywdzisz? - Dyana wiedziała, że sprawa jest beznadziejna, ale musiała przynajmniej spróbować. - Gdybyś mnie puścił, powiedziałabym Richiusowi, że znasz jego zamiary. Mogłabym go namówić, by zrezygnował z planu inwazji na Crote.

Hrabia uśmiechnął się drwiąco.

- I cóż mi z tego? Twój mąż jest takim idealnym baranem. I wiesz, że wszystko, co robi, wchodzi w skład mego planu.

- Co masz na myśli?

Biagio machnął ręką.

- Zadajesz za wiele pytań.

- Ale ty wiesz, że mam rację - nie poddawała się Dyana. - Dlaczego nie puścisz mnie wolno? Richius nie żywił do ciebie żadnej urazy. Nie zabił też twojego imperatora.

Przykro mi z powodu straty, jaką poniosłeś, ale...

- Co ty możesz wiedzieć o mojej stracie? - zachnął się hrabia. - Oszczędź mi

swojej litości, kobieto. Nie wiesz nawet, o czym mówisz.

- Mylisz się - stwierdziła Dyana tonem wyzwania. Podeszła bliżej, na tyle by czuć zionące od niego zimno, a potem opadła na jedno kolano przed ławeczką. - Wiem, że kochałeś Arkusa. Richius mi o tym opowiedział. Wiem, że imperator był ci bardzo drogi... a i on bardzo cię kochał.

Przez twarz Biagia przemknął grymas bólu.

- To prawda - szepnął jakby sam do siebie. - Bardzo go kochałem. - Rozmyślając o przeszłości, machinalnie uderzył kolejno w kilka klawiszy. - Ale w tym, że mnie kochał, niezupełnie masz rację. Miał szansę przekazać Nar w moje ręce. Wiedział, że umiera, ale nie chciał się z tym pogodzić. Pragnął żyć wiecznie.

- Ale w Lucel - Lorze nie było magii, która mogłaby go uratować. Obarczyłeś Richiusa misją, która nie miała szans na powodzenie.

- Była magia - sprzeciwił się Biagio. - Wiem, że była.

- Był pewien człowiek - poprawiła go Dyana. - Nazywał się Tharn i był moim pierwszym mężem. Został obdarzony „dotykem bogów”. Ale nawet i on nie mógłby uratować imperatora. Nie mógłby... choćby nawet chciał. Hrabio, musisz w to uwierzyć.

Richius nic ci nie zawinił.

Biagio milczał. Po chwili Dyana westchnęła.

- Spójrz na siebie, hrabio - poradziła. - Ten eliksir kiedyś cię uśmierci. To nie jest naturalne.

Hrabia uśmiechnął się ponuro.

- Nie jest naturalne? Zatem doskonale do mnie pasuje. Ja nigdy nie postępowałem zgodnie z naturą rzeczy... co z chęcią w razie potrzeby potwierdzi ci biskup Herrith. - Odwrócił ku niej twarz i skrzywił się drwiąco. - Kobieto, czyżbyś nie wiedziała, kim jestem?

A może dlatego czujesz się przy mnie taka bezpieczna. Bo wiesz, że nigdy nie wezmę cię do łóżka?

- Wiem kim jesteś - stwierdziła Dyana. - I wcale się ciebie nie boję.

- A powinnaś. Jestem potworem.

Odwróciwszy się od niej, oparł łokcie na klawiaturze i skrył twarz w dłoniach.

Dyana nie wiedziała, czy jest to wskazówką, że powinna odejść, postanowiła

jednak zostać i poczekać, aż hrabiemu przejdzie ponury nastrój. Eris miała rację. Ten eliksir wpędzał hrabiego w szaleństwo. Dyana jednak nie czuła strachu. Coś w głębi jej serca kazało jej zostać i podjąć próbę obudzenia w Biagiu resztek ukrytego w nim człowieczeństwa, tak by mógł ujrzeć własne błędy. Być może w ten sposób zdołałaby też uratować Richiusa.

- Przecież nie musi tak być - odezwała się łagodnie i cicho. - Słyszałam o tobie rozmaite rzeczy. Nie tylko od Richiusa. Sama zresztą też mam oczy i umiem patrzeć.

- I co widzisz? - warknął hrabia.

- Widzę, co z tobą zrobił ten eliksir. Ludzie powiadają, że nie zawsze byłeś taki, jak teraz. Mówią, że w młodości byłeś kimś zupełnie innym.

Biagio podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Eris była niedyskretna, prawda?

- Nie składaj winy na Eris - poprosiła Dyana. - Powiedziała mi to tylko dlatego, że bardzo nalegałam. To zresztą jest oczywiste.

- Co jest oczywiste?

- To, że popadłeś w szaleństwo. Jak Arkus.

- Jak śmiesz?!

- Wszystko sprawił ten eliksir - upierała się Dyana. - To on wpędza cię w obłąd.

Może to stwierdzić każdy, kto choć raz na ciebie popatrzy, hrabio.

- Głupia! - skrzywił się Biagio. - Widziałaś tylko samą kurację. Ale nie zawsze wygląda to tak, jak dzisiaj. Elixir pozwala mi zachować młodość. Mam lepsze zdrowie, niż kiedykolwiek przedtem. Jestem silniejszy i bystrzejszy. - Potrząsnął dłonią, jakby odsuwał wszelkie argumenty. - Kobieto, nie powinnaś wierzyć we wszystko, co ci mówią.

Gdybyś była agentką Roshannów, sama byś wiedziała, jak wprowadzać ludzi w błąd.

- Wiem, co mówię - odpowiedziała Dyana, klękając obok hrabiego. - Wszystko to, co zrobiłeś, poświęciłeś zemście. Ale jeżeli puścisz mnie wolno i odeślesz na Liss, powiem Richiusowi, by zrezygnował z inwazji. On mnie posłucha i obaj będziecie mogli położyć kres temu szaleństwu.

- Nie chcę tego kończyć! Nie słyszałaś? Chcę, by Lisseńczycy na nas uderzyli!

- Dlaczego?

Biagio uderzył pięścią w klawisze.

- Ha! Myślisz, że ci powiem? Niech ci wystarczy moje stwierdzenie, że mam swoje powody.

- To szaleństwo - odpowiedziała Dyana cichym głosem. - Nic więcej, tylko szaleństwo. A ty nie jesteś przy zdrowych zmysłach, jeżeli tego nie widzisz. Ten eliksir...

- ...trzyma mnie przy życiu - uciął hrabia. - Dzięki niemu mogę zachować urodę w stanie nietkniętym. - Znów ujął jej nadgarstek i zmusił do spojrzenia w hipnotyzujące oczy.

Trzymał ją tak przez chwilę i nie puszczał. - Spójrz na mnie. Czyż nie jestem piękny?

Dyana bała się odpowiedzieć. Był piękny, ale była to nieludzka uroda, a w jego urokliwych, lśniących oczach czaiło się szaleństwo.

- Owszem - odparła. - Jesteś piękny. Ale to nie wszystko. - Uścisk palców hrabiego osłabł na chwilę, co Dyana wykorzystała i uwolniła się szybkim ruchem. - Ja widzę w tobie potwora. Nie wyglądasz jak potwór, ale nim jesteś. - Ostrożnie tknęła go palcem w pierś. - Chore jest to, co masz tutaj, wewnątrz.

- Mylisz się, lady Vantran. Elixir dodaje mi sił. Bez niego nie mógłbym poskromić Imperium i opanować ogarniającego je chaosu.

- I tylko to się dla ciebie liczy? Jesteś arogantem. Może Arkus miał rację, nie oddając ci władzy w Imperium. Może widział, jak daleko zabrnąłeś w szaleństwo.

On nigdy...

Dłoń Biagia skoczyła do przodu i trzasnęła Dyane w twarz. Zaskoczona i oszołomiona uderzeniem kobieta runęła w tył. Biagio zerwał się z ławki i stanął nad nią z twarzą wykrzywioną grymasem furii.

- Nigdy więcej w mojej obecności nie waż się wymówić jego imienia! - syknął. - Przeklęta dziewczko! Arkus mnie kochał! Byłem dla niego jak syn!

Dyana podniosła dłoń do policzka.

- Szaleniec - odpowiedziała. - Oto kim jesteś.

Wstała, odwróciła się i wyszła z komnaty. Biagio coś wołał za nią, ona jednak pobięła szybko korytarzem, ogarnięta pragnieniem oddzielenia się od szaleńca jak

największą odległością. Piekla ją twarz, ale to nie miało znaczenia. Bardziej bolała ją zraniona duma. Próbowała przemówić mu do rozumu, i zrobiła z siebie idiotkę. A przez chwilę nawet myślała, że może się udać i coś z tego będzie.

„Głupia, głupia...” - wściekała się na samą siebie, uciekając z hrabiowskiego skrzydła pałacu. Mimo miękkich podeszew, korytarz rozbrzmiewał echem jej kroków, ona jednak już nie dbała, czy ktoś ją usłyszy. Ogarnął ją gniew, nie tylko na Biagia, ale i na siebie samą.

Gdyby Richius zobaczył ją na klęczkach przed hrabią, byłby zdumiony i oburzony.

Minąwszy kwatery niewolników, skierowała się do własnej komnaty, oddalonej sporo od skrzydła pałacu, które Biagio zastrzegł dla siebie. Odetchnęła dopiero, gdy ją zobaczyła, ale jej ulga natychmiast przerodziła się w niepokój, kiedy spostrzegła, że drzwi są lekko uchylone. Podeszła ostrożnie i zatrzymawszy się przy drzwiach, nasłuchiwała przez chwilę.

Nie usłyszawszy niczego podejrzanego, zajrzała do środka. Wnętrze wyglądało tak, jak je zostawiła. Komnata była ciemna, ale w niektórych miejscach promienie zimnego księżycowego światła wydobywały z mroku zarysy mebli. Dyana odważyła się na jeden bezgłośny krok przez próg, a potem, ośmielona ciszą, zrobiła drugi. Zza okien dolatywał szum wiatru, ale nie słyszała niczego innego. Po ścianach tańczyły cienie poruszających się niespokojnie gałęzi. Dyana zmarszczyła brwi, pewna już, że daje się ponieść wyobraźni.

Musiała po prostu, wychodząc na nocny spacer, zapomnieć o zamknięciu drzwi.

- Muszę się wyspać - stwierdziła sennym głosem. Odpoczynek przywróci jej jasność umysłu i przegna nocne strachy.

Podeszła do sypialni i znalazła ją pogrążoną w mroku. W szklanych drzwiach prowadzących do ogrodu zamknięto okiennice. Dyana spojrzała na nie z niepokojem.

I nagle znów poczuła strach.

- Zostawiłam je otwarte - szepnęła sama do siebie. - Wiem, że...

Z mroku wysunęła się dłoń, która zamknęła się na jej ustach. A wokół niej owinęły się niezwykle silne ramiona.

- Nie bój się - usłyszała szept sączący się prosto do jej ucha. Głos był wysoki i

przypominał syk węża. Nie był to Biagio, ale ktoś znacznie od niego gorszy.

Dyana chciała krzyknąć, ale napastnik znał się na swoim fachu i nie zdołała wydusić z siebie żadnego dźwięku. Węchem złowiła zapach jakichś chemikaliów. Savros. Pochylił się nad nią i przytulił policzek do jej policzka. - Śliczne maleństwo - zamruczał. - Śliczne... śliczne...

Oddychał szybko i pożądliwie. Dyana szarpała się i wrywała, kopła i próbowała nawet gryźć krępujące ją łańcuszki, zaskoczona ich niezwykłą siłą. Savros kwitował jej starania gardłowym chichotem.

- Proszę, oszczędzaj siły - szepnął w pewnej chwili. - Nie szarp się. Zachowaj wigor na rwanie łańcuszków.

„Nie!” - chciała krzyknąć dziewczyna, zdołała jednak wydobyć z krtani cichy gulgot.

Savros ścisnął mocniej. Kątem oka widziała, że się uśmiecha.

- Patrzę na ciebie już od dawna - rzekł wysokim głosem. - Jesteś taka piękna.

Masz skórę tak delikatną, jak płatki lilii. Musisz być moja, piękna Dyano.

Rozchyliwszy wargi, wysunął język i polizał ją po policzku. Dyana targnęła falą obrzydzenia. Uderzyła go z całej siły łokciem w żebra, ale jego ciało było jak z kamienia.

Wytrzymał ciosy, które z pewnością zrobiłyby wrażenie na normalnym człowieku.

Przesunął ręce wyżej i ścisnął jej krtani, aż zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Mam takie miejsce - szepnął. - Na dole. Przygotowałem je z myślą o tobie. Tak, tak... o tobie.

Mówił coś jeszcze niewyraźnie, ogarnięty jakąś przeciwną naturze żądzą. Dyana czuła zimny pot spływający po jego zimnej skórze. Pociągnął ją ku drzwiom. Szarpała się, walcząc z ogarniającym ją mrokiem, ale jej szamotanina tylko zwiększała rozkosz Savrosa.

- O tak, tańcz dla mnie, piękna - szeptał. - Tańcz dla Savrosa.

Włókł ją przez główną komnatę. Dyana zaczynała się dusić. Szybko traciła siły, ale wiedziała, że będzie musiała mu się wyrwać, zanim ją zaciągnie do swego lochu.

Poraziła ją nagła eksplozja bólu, strachu i pełnych krwi wizji. Zdumiał ją też głos Eris, który - słyszany z ogromnej dali - kazał jej się strzec Savrosa.

Savros nie zwolnił uścisku. Podobnie jak w przypadku Biagia eliksir dał mu niemal nadludzką siłę. Otworzywszy ramieniem drzwi za sobą, wyciągnął ją na korytarz, cały czas trzymając jedną dłoń na jej ustach i krępując ją drugim ramieniem. Dyana traciła już przytomność, kiedy na korytarzu pojawiła się jeszcze jedna figura. Savros znieruchomiał, a stalowy chwyt jego rąk natychmiast zmiękł. W głębi korytarza stał Biagio, który na widok wleczonej przez oprawcę Dyany zamarł w pół kroku.

- Savrosie! - zdumiał się hrabia. - Co tu się dzieje?

Dłonie Łamacza Woli opadły w dół. Dyana wyrwała się oprawcy i skoczyła do Biagia.

Ten jednak biegł już ku nim, wyciągając ręce jak demon zemsty. Śmignął obok Dyany i porwał Savrosa za gardło.

- Jak śmiałeś mi się sprzeciwić! - ryknął, zaciskając palce. Savros charczał, otwierał usta, łapiąc powietrze, i błagał o litość.

- Mistrzu, proszę... nie...

Biagio nie słyszał. Ogarnięty szalonym gniewem uniósł Savrosa z ziemi i przycisnął do ściany.

- Ty bydlaku! Zabiję cię za to!

- Nie, Mistrzu! - wycharczał Savros ostatkiem tchu. Szarpał się, usiłując rozluźnić uścisk palców hrabiego. Jego stopy wierzgały rozpaczliwie i kopały powietrze.

Dyana oparła się o ścianę i patrzyła na wszystko ze zgrozą w oczach. Zdążyła już nieco uspokoić oddech i odzyskać siły. Nie mogła oderwać wzroku od rozgrywającej się przed nią dramatycznej sceny. Twarz Savrosa poczerwieniała okropnie, a oczy już niemal wylazły mu z orbit. Biagio jednak nie zwalniał morderczego uścisku, tylko walił łbem oprawcy o ścianę, z której po chwili zaczęły odpadać kawałki tynku.

- Zdychaj, bydlaku! Zdychaj!

Savros zacharczał po raz ostatni i zaraz potem rozległ się trzask pękającej kości. Ciało oprawcy zeszywniało ujęte skurczem, choć Biagio nadal zaciskał palce, aż w końcu rozległ się chrzęst łamanych kręgów karku. Savros zwiśł bezwładnie. Biagio trzymał go jeszcze przez chwilę, a potem z odrazą cisnął na posadzkę.

- Ostrzegałem cię! - splunął i kopnął trupa. - Nie próbuj zaprzeczyć.

Potem odwrócił się ku Dyanie i podszedł bliżej. Dziewczyna wyraźnie widziała,

że hrabia usiłuje się opanować i po chwili mu się to udało.

- Nie stała ci się krzywda? - spytał.

Dyana potrząsnęła głową, bo nie mogła wydusić z siebie słowa. Hrabia podszedł do niej i zbadął ją wzrokiem, a potem ujął jej palce i ścisnął lekko, jakby dodając jej otuchy.

- Przepraszam za ten wybuch wściekłości - odezwał się zdławionym głosem.

Dyana w końcu odzyskała zdolność mówienia.

- Nic mi nie jest - stwierdziła. - Tak myślę...

- Nie widać na tobie ran czy skaleczeń - stwierdził Biagio. - Szedłem właśnie, by z tobą porozmawiać. Chciałem... - Wzruszył ramionami i uciekł spojrzeniem w bok.

Dyana zdumiała się, że hrabia jakby zapomniał o leżącym na posadzce trupie poplecznika.

- Co chciałeś? - ponagliła ostrożnie rozmówcę. Trzymała jego lodowatą dłoń, w próżnej nadziei, że zdoła ją ogrzać.

- Nie powinienem cię tak uderzyć - bąknął hrabia. - Przepraszam. Nie chcę, byśmy byli wrogami, Dyano Vantran. Nie po to tu jesteś. A to... - Skinieniem dłoni wskazał martwego Savrosa. - Ten bydlak posunął się za daleko. Nigdy bym się na to nie zgodził.

Był pełen przeciwieństw i Dyana nie umiała go zgłębić. W ciągu kilku sekund przekształcił się z szaleńca w kogoś, kogo w zasadzie można by polubić. I nagle Dyana ogarnęła fala zmęczenia. Zamknęła oczy. Ugięły się pod nią nogi i gdyby nie dłoń Biagia, usiadłaby wprost na posadzce.

- Wcale nie czujesz się dobrze - stwierdził Biagio rzeczowym tonem. - Chodź, musisz odpocząć.

- Nie... Muszę tylko wyjść na powietrze - odparła Dyana. Krtań jąbolała w miejscu, gdzie Savros ją dusił, i spuchł jej policzek, w który uderzył ją wcześniej Biagio. - Proszę, pozwól mi usiąść.

Biagio bez słowa wziął ją w ramiona i przestępując nad trupem Savrosa, zaniósł do jej sypialni, gdzie złożył ją na pościeli. Dyana kręciło się w głowie. Uderzony policzek pulsował tępym bólem, czuła też ogromne wyczerpanie, w czym niemały udział miała szarpanina z oprawcą. Biagio, stanąwszy nad jej łóżkiem, przyglądał się przez

chwilę młodej kobiecie.

Promienie księżycy otoczyły jego sylwetkę osobliwą, bursztynową poświatą.

- Przyślę ci Kyle - oznajmił. - I zabiorę sprzed drzwi trupa tego bydlaka.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj mi, kobieto. To moja głupota była przyczyną tej całej sprawy.

Savros nie zaczepiłby cię, gdybym był bardziej czujny. To się już nie powtórzy.

- Nie - zgodziła się Dyana. - Chyba nie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Na twarzy Biagia malował się ból.

- Nie jestem szalony - powiedział cicho. - Mylisz się... nie jestem wariatem.

Dyana zdobyła się na nikły uśmiech.

- Może nie - odpowiedziała łagodnym głosem. - Może mylisz się też co do

Richiusa...

Biagio lekko się skrzywił.

- To akurat jest mało prawdopodobne. - Odszedł od łóżka i ruszył ku drzwiom. W progu jednak przystanął i odwrócił się ku Dyanie. - Z drugiej jednak strony... wszystko jest możliwe.

Rzuciwszy to zdumiewające wyznanie, zniknął za drzwiami, zostawiając ją samą.

Dyana długo patrzyła na opuszczone przez niego miejsce, zastanawiając się, czy naprawdę usłyszała to, co usłyszała.

Trzydzieści pięć PREZENTY

Ostatnie trzy dni przed Eestrii całe Nar spędziło na oczekiwaniu pod ciężką pokutną opończą. Ulice, nawet te odległe od Katedry Męczenników, oczyszczono z akrobatów, przepędzono właścicieli menażerii i ich podopiecznych, do miasta zaś zaczęły zewsząd napływać strumienie pielgrzymów, gotowych do spędzenia długich godzin na klęczkach i błagań Boga o przebaczenie za grzechy. W całym mieście usunięto niemal wszelkie ślady świętowania Sethkin. Podczas Eestrii rozległy plac przed katedrą mieli napęlić wierni, zebrani w wielkiej liczbie i gotowi do wysłuchania tego, co będzie im miał do powiedzenia Bóg poprzez usta Jego wiernego sługi, Herritha. Był to zwykle czas refleksji, w którym wielcy nareńscy magnaci oglądali się wstecz i zastanawiali nad tym, czy w dostatecznym stopniu oczyścili swe dusze. Mieli słuchać Herritha, który im powie, co przyniesie najbliższy rok i czy niebiańscy aniołowie są radzi z tego, co zobaczyli na ziemi. Po tym kazaniu Herrith zejdzie pomiędzy nich, by wszystkich obdarzyć rozgrzeszeniem. Resztę dnia spędzi na dotykaniu ich czoł i obdarzaniu łaską przebaczenia - a wszystkiego tego dokona dla uzdrowienia gnijącego ducha Nar.

Za dni Arkusa Eestrii zawsze było czasem dumy. Teraz jednak w Czarnym Grodzie władał arcybiskup, i nikt jeszcze nie wiedział, jak to wpłynie na punkt widzenia, z którego Niebiosa obserwowały to, co się działo na ziemi.

Od wielu lat Herrith zaczynał obchody ze swego balkonu, gdzie podnosząc ramiona, błogosławił tłumy i dzielił się z nimi swoją mądrością. Chwila ta trwała niebezpiecznie krótko i Herrith zawsze starał się jak mógł, by wymyślić na tę okazję coś niezwykłego.

Zwykle już na kilka dni przed tym wydarzeniem zamykał się w swoich komnatach, gdzie starannie dobierał słowa do mowy, jaką miał wygłosić pod wpływem boskiego natchnienia.

Zwykle.

Ale nie tego roku.

Tego roku Herrith miał na głowie inne sprawy i choć zamknął się tak, że nawet Lorla nie mogła do niego dotrzeć, nie zajmował się modłami, czy przygotowaniem

mowy.

Targały nim spazmy narkotycznego głodu i nawet Bóg nie mógł mu ulżyć w cierpieniach.

Oba skrzydła okiennic w jego sypialni były szeroko otwarte i wpuszczały do środka potoki słonecznych promieni. Herrith siedział przy swoim ozdobnym biurku, zaciskał rozdygotane dłonie na jego krawędzi i wpatrywał się w stojącą na nim szklaną fiolkę. W środku pozostało bardzo niewiele eliksiru - płytka warstwa zaledwie pokrywała teraz dno.

Były to ostatki koncentratu otrzymanego od Biagia; zbyt mało, by rozpuścić go w porcję wystarczającą na normalną kurację. Co kilka dni biskup mieszał koncentrat z wodą, otrzymując eliksir zatrzymujący starzenie się organizmu. Tak jak obiecał Nicabar, Bovadin stworzył mocny koncentrat, dzięki któremu Herrith przetrwał kilka tygodni. Teraz jednak na dnie naczynka zostało bardzo mało drogocennej substancji.

Herrith jęknął. Bolały go wszystkie kości i piekło go w oczach. Spazmy narkotycznego głodu dopadły go przed dwoma dniami, wyciskając życie niczym wąż dusiciel i od tamtej pory ślęczał nad niemal pustą buteleczką, daremnie usiłując wymyślić jakiś sposób na użycie eliksiru tak, by go jednak nie zużyć. Wiedział, jak niebezpieczne jest zmieszanie z wodą zbyt małej ilości eliksiru. Postępując tak, ryzykował życiem. Martwiła go też myśl, że roztwór może być słaby i w ogóle nie poskutkuje. To z kolei było niedopuszczalne, ponieważ oznaczało kolejne spazmy i w rezultacie - być może - szaleństwo. Raz już przechodził tę piekielną kurację odwykową. Wiedział, że ponownej nie wytrzyma.

- Miłościwe Niebios! - jęknął. - Co mam robić?

Potrzebował większej ilości eliksiru, dostatecznej, by podtrzymać go jeszcze trochę... na tyle długo, by znalazł jakieś wyjście z tej sytuacji. Bovadin nie mógł tkwić bez końca na tej przeklętej wyspie Biagia. Herrith był pewien, że nienawistny mu karzeł któregoś dnia zechce wrócić do Nar, nie potrafił jednak wymyślić sposobu wyciągnięcia go z jamy. Miał kiedyś nadzieję, że zdoła się uwolnić od nałogu - ale podarunek Biagia udowodnił, że był w błędzie. Co gorsza, Vorto go przed tym ostrzegwał. Biskup zgrzytnął zębami na myśl o tym, jak też generał będzie się pysznił swoją racją.

Vorto... Zawsze był od niego silniejszy. Herrith wiedział, że generał miał więcej

wiary od kogokolwiek innego - nie wyłączając jego samego. Gdy ujrzał dar Biagia, nawet nie mrugnął powieką.

„Powinienem go wtedy posłuchać. Powinienem się oprzeć pokusie. Wystarczy na mnie spojrzeć...”

I nagle uderzył pięścią w stół.

- Dość! Przestań się mazać! - Wziął fiołkę w rozdygotane dłonie. - Zażyję ostatnią dawkę - odezwał się. - Jeżeli mnie zabijesz, pošlesz mnie po prostu w ramiona Boga.

Obok fiołki na biurku stał dzban wody. Herrith wziął go w dłoń, rozbryzgując odrobinę płynu, i wlał wodę do fiołki, napełniając ją w połowie. Potem odłożył dzban i zatkawszy fiołkę kciukiem, potrząsnął nią kilkakrotnie, by dobrze zmieszać płyny. Potem podniósł eliksir i spojrzął na niego pod słońce. Woda zabarwiła się nikłym odcieniem błękitu.

Herrith poczuł, że jakaś zimna ręka skręca mu wnętrzności w lodowaty węzeł.

Przez chwilę miał ochotę po prostu połknąć zawartość fiołki, wiedział jednak, że byłoby to samobójstwem.

Nie bardzo wiedział, dlaczego tak było, ale eliksir Bovadina należało wprowadzać wprost do krwi, w przeciwnym wypadku w ogóle nie działał. Przez chwilę biskup patrzył na fiołkę i niepewnie mrugał. Był pozbawionym wiary głupcem. W tej chwili zrozumiał to z absolutną pewnością. Ale był też zmęczony, bardzo zmęczony. A eliksir dawał mu siłę i wigor.

Piekielny środek posiadał nad nim absolutną władzę. Herrith musiał przyznać, że poniósł klęskę.

- Boję się, że masz moc większą, niż Niebiosy - stwierdził. - Obaj powinniśmy zostać przeklęci na wieki.

Powłócząc nogami, podszedł do miejsca, gdzie trzymał aparat do wstrzykiwania płynu, i niemal na oślep wprowadził igłę w ramię.

Ocknął się po kilku godzinach, leżąc na posadzce. Ostrożnie otworzył oczy, czując ukłucia promieni słońca pod powiekami. Miał mgliste wspomnienia dręczących go niedawno mdłości. W brzuchu szalał mu dziwny żar. Zaczerpnął tchu, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Owszem, piekły go wnętrzności, ale poza tym czuł się wyśmienicie.

Przenikający go do szpiku kości ból przepadł gdzieś bez śladu.

- Dobry Boże - wyszeptał, unosząc głowę i poruszając na próbę nogami. - Podziałało.

Znów jestem sobą.

Złożywszy dłonie, wdzięczny Niebiosom zmówił krótką modlitwę. Poczul ogromną ulgę. Miał przed sobą przynajmniej jeden dzień, podczas którego będzie mógł z jasnym umysłem ułożyć plany targu, jaki trzeba mu będzie zawrzeć z Biagiem. Niestety, potrzebował kolejnych dawek eliksiru. I nie mógł zwlekać, w przeciwnym razie znów chwycą go spazmy.

Teraz jednak miał dość sił, by wstać i podejść do okna. Spoglądając z góry, zobaczył u swych stóp całe pokutujące Nar. Wkrótce wszyscy podniosą nań wzrok, czekając na jego słowa. Nagle zdał sobie sprawę z faktu, że za dwa dni rozpoczynało się święto Eestrii, on zaś nie ma pojęcia, co rzec wiernym.

- Bóg ześle mi natchnienie - przekonywał sam siebie. - Powinienem się tylko pomodlić.

„I błagać o przebaczenie za grzechy - dodał w duchu. - Mogę mieć tylko nadzieję, że Niebiosia o mnie nie zapomną”.

A tak był pewien swego, gdy zażywał eliksir po raz pierwszy. Teraz, gdy patrzył na swe niezbyt wyraźne odbicie w szybie, ogarniały go wątpliwości. Czyżby aż tak bardzo się pomylił? Czy Bóg w ogóle raczy do niego przemówić?

- Wciąż jeszcze jestem człowiekiem Boga - zwrócił się do swojego odbicia. - Nie wolno mi w to wątpić.

Dość było znaków, które go przekonały. Nadal miał Nar. Nawet w tej chwili patrzył na nie z góry. Vorto miał wrócić lada moment, z wieściami o podboju Smoczej Paszczy. Bóg z pewnością nie pozwoli, by tak rozległym Imperium władali heretycy. Dlatego właśnie kazał umrzeć nieśmiertelnemu Arkusowi. Herrith przyłożył dłoń do czoła. Opadła go nagła senność, która popychała go ku fotelowi. Ból w kościach jednak ustąpił... w znacznym stopniu. Biskup uśmiechnął się tryumfalnie.

- Widzisz, Biagio, wciąż jeszcze żyję - powiedział cicho. - Myślałem, że stać cię na coś lepszego.

W tej chwili usłyszał pukanie do drzwi. Zanim zdążył odpowiedzieć, ojciec

Todos otworzył je i wszedł do środka. Na jego twarzy widać było niepokój.

- Wasza Świątobliwość?

- Tak? - odparł cierpko Herrith. - Co tam znowu?

Todos podszedł bliżej i uważnie przyjrzał się przełożonemu. Od wycofania się w swoje sanktuarium Herrith prawie go nie widywał, mnich krążył więc na zewnątrz jak strapiona mateczka. Zobaczywszy teraz, że biskup ma się dobrze, poczciwy kapłan rozpromienił się niczym słońce.

- Rad jestem, że widzę cię w dobrym zdrowiu - stwierdził. - Mocno się o ciebie martwiłem.

- Dziękuję ci.

I wtedy Todos zobaczył stojącą na stole pustą fiolkę. Jego twarz natychmiast powlekła się chmurą.

- To już wszystko?

- Ostatnie krople.

- Wasza Świątobliwość...

- Todosie, nie sil się na nauki - przerwał mu Herrith. - Doskonale wiem, co robię.

- Czy na pewno? Niekiedy skłonny jestem w to wątpić... - Todos podszedł jeszcze bliżej i przyjrzał się badawczo twarzy biskupa. - Wyglądasz okropnie. Jesteś blady jak śmierć.

I pewnie znów nic nie jadłeś?

- Jadłem - odpowiedział Herrith nieco urażonym tonem.

- Nie, nie jadłeś. Uważnie śledziłem wszystko, co tu wnoszono i wnoszono.

Służące wносиły talerze prawie nietknięte. To przez ten eliksir... dawno już przeklęty przez Boga. Znów cierpiałeś od niedostatku narkotyku.

Herrith odwrócił twarz do okna.

- To minie - odezwał się po chwili. - Panuję nad tym.

- Ale teraz już nic ci nie zostało. Co dalej?

„Nie mam pojęcia” - pomyślał Herrith z drżeniem w sercu.

- Coś wymyślę - powiedział.

Todos stanął przed Herrithem, zasłaniając mu okno.

- A jeżeli nie? - spytał. - Co wtedy?

- Stary przyjacielu... - odezwał się łagodnie gospodarz. Okaż trochę wiary.

Biagio chce mieć Nar. Dał mi ten eliksir, by mnie przekupić. Owszem, dałem się skusić.

Ale na tym nie koniec. Już niedługo odezwie się ponownie. A kiedy to zrobi, postaramy się o większą ilość... dla mnie. - Spojrzał z powagą na przyjaciela. - Todosie, przed nami jeszcze wiele pracy. Nar toczy choroba. Muszę być silny. Starzec nie dokona tego, co musi być dokonane.

- Wasza Świątobliwość, proszę...

- Dość! - uciął biskup. - Zaufaj mi. Idę za głosem Niebios.

- Uśmiechnął się ciepło, zapominając o przeszywającym mu głowę bólu. - Zajmijmy się tym, po co tu przyszedłeś.

Twarz ojca Todosa ponownie rozjaśnił uśmiech.

- A tak, byłbym zapomniał. Jest tu ten wytwórca zabawek. Przyniósł prezent dla Lorli.

Herrith niemal podskoczył z radości.

- Naprawdę? A to mi nowina! Urodziny Lorli są tuż tuż. Dziecko się bardzo ucieszy.

- Wasza Świątobliwość, on przywiódł ze sobą ludzi. Dom lalek, jaki zrobił na zamówienie Waszej Świątobliwości, jest ogromny! Trzeba było czterech mężczyzn, by go tu wnieśli.

- Widziałeś go?

- Nie, Wasza Świątobliwość. Dom wciąż jeszcze jest w skrzyni. Chciał go pokazać ci osobiście. Mam mu rzec, żeby zaczekał?

- Ależ oczywiście! - odpowiedział Herrith. - Muszę to zobaczyć. - Przyniesiona przez Todosa wiadomość tak go uradowała, że zatarł zimne dłonie. - Jestem pewien, że stworzył istne cudo. Lorla będzie uradowana.

- Mam pójść i ją poszukać?

- Nie, jeszcze nie. Najpierw ja go zobaczę. Nie chcę, by cała wdzięczność Lorli przypadła Bobsowi. Oczywiście, zapłacę jak należy, ale chcę zobaczyć jej twarz.

Ta nagroda przypadnie mnie i tylko mnie...

- Spojrzał na swój pomięty habit. - Muszę się umyć i przebrać. Idź i powiedz

lalkarzowi, by na mnie zaczekał. Niech każe swoim ludziom, by przenieśli model do wielkiej nawy. Tylko sprawdź, czy gdzieś tam nie ma Daraga. Jeżeli jest, powiedz mu, żeby sobie poszedł.

Usłyszawszy polecenie, Todos lekko się skrzywił.

- Wasza Świątobliwość, nie jestem pewien, czy Darago się nie obrazi.

- Nic mnie nie obchodzi, co sobie pomyśli ten artysta - stwierdził Herrith. - Skończył już swoją robotę. Nie powinien zbyt długo przesiadywać w nawie.

Todos parsknął śmiechem.

- On jest bardzo dumny ze swego dzieła.

- I ma po temu powody. Ale dom lalek Bobsa też jest arcydziełem. Chcę go odsłonić razem ze sklepieniem, podczas Eestrii. Urodziny Lorli staną się niezwykłym wydarzeniem. Teraz idź już, Todosie, proszę... Zrób to, co ci kazałem. Potem spotkamy się obaj w nawie.

Todos skłonił się bez zbytniego entuzjazmu i wyszedł, zostawiając Herritha samego, by ten mógł się przebrać. Biskup podszedł do miski i chlusnął sobie w twarz zimną wodą.

Zawieszona nad miską zwierciadło ukazało zmęczoną, pomarszczoną twarz, wcale niemłodą.

Miał wciąż niebieskie oczy, ale dość wyraźnie zmętniały. Herrith zmartwił się widokiem swej twarzy, zastanawiając się nad tym, co to może oznaczać. Ze zwierciadła patrzyła upiorna maska, podobna do oblicza wampira z doriańskich opowieści ludowych. Podniósł dłoń i zasłonił oczy, a potem odwrócił się i podszedł do szafki z ubraniami, gdzie znalazł sutannę i albę, które szybko włożył. Spieszno mu było zobaczyć dzieło Kobziarza. Czterech tragarzy!

Musiało to być niezwykle dzieło, piękne i unikatowe. Lorla wpadnie w zachwyty.

Była tak dobrą dziewczynką i wdzięczną córką. Herrith czuł, że jest gotów na wszystko, by ją uszczęśliwić.

Ubrał się, napił wody, by uspokoić nerwy, a potem ruszył schodami w dół. Minął ciche teraz konfesjonały i trafił do wielkiej nawy, która od długiego czasu świeciła pustkami, jako że zamknięto ją dla wiernych na czas prac Daraga i jego pomocników, którzy odprawiali swe czary na sklepieniu. Herrith zobaczył tu Bobsa, który stojąc

pośrodku nawy, gapił się w górę. Freski były starannie zasłonięte płachtami płótna, Kobziarz jednak i tak zadzierał głowę.

Obok niego stała ogromna skrzynia, o trzech bokach jeszcze nietkniętych. Czwarty bok już odbito, by ujawnić lśniąca metalem zawartość. Herrith nerwowo oblizał wargi, nie mogąc się doczekać ujawnienia modelu. Odgłos kroków biskupa zwrócił na siebie uwagę Bobsa. Herrithowi wydało się przez chwilę, że w oczach lalkarza widzi błysk nienawiści.

- Przywiozłeś model osobiście, Bobs - stwierdził Herrith. - To cudownie.

- Tak jak to obiecałem Waszej Świątobliwości - odpowiedział lalkarz, pochyliwszy lekko głowę. - Urodziny dziewczynki są za kilka dni, prawda?

- Za dwa - odpowiedział Herrith. - Na Eestrii. Nie spóźniłeś się, Bobs.

Dziękuję.

- Czy Wasza Świątobliwość zechce zobaczyć, co kupił? - spytał lalkarz. W jego głosie zabrzmiała nutka dumy.

- Jestem równie ciekaw, jak mały chłopiec - odpowiedział biskup. - Pozwól mi zobaczyć to cudo.

Kobziarz odstąpił w bok, tak by Herrith mógł zobaczyć wnętrze skrzyni. To, co biskup ujrzał, zaparło mu dech w piersiach. Redric Bobs stworzył mistrzowskie dzieło, idealnie odwzorowany model wielkiej katedry, pieczołowicie odtworzony z najdrobniejszymi szczegółami, włącznie z maleńkimi aniołami, gargulcami i strzelistymi wieżyczkami z miedzi i żelaza. Nad miniaturowymi wrotami unosił się skrzydlaty archanioł z trąbką przy ustach, zmniejszony bez najmniejszego błędu. Każdy szczegół odtworzono ze zdumiewającą precyzją, budzącą bezbrzeżny podziw Herritha. Patrzył na model rzucający długi cień na posadzkę i nie umiał sobie wyobrazić niczego piękniejszego.

- Jest bezcenny - wyszeptał wreszcie. - Absolutnie bezcenny.

- Oczywiście, że nie jest - odpowiedział Bobs. - Ma swoją cenę, choć przyznam, że ta jest dość wysoka.

- Och, mistrzu Bobs... - westchnął Herrith. - Czymże są pieniądze w porównaniu z tym cudem? Nie masz pojęcia, jaką sprawiłeś mi radość. I Lorli...

- Miło mi to słyszeć - odpowiedział lalkarz. Herrith odwrócił się i spojrzał

badawczo.

- Co cię gryzie, mistrzu Bobs? Stworzyłeś arcydzieło, dzieło godne najwyższych pochwał. Powinieneś być z siebie zadowolony. Jeżeli chodzi ci o zapłatę...

- Nie, Wasza Świątobliwość, o to się nie martwię. Ojciec Todos poszedł właśnie po część pieniędzy i powiedział, że resztę dostanę już wkrótce.

- Więc o co chodzi? Dlaczego masz tak nietęgą minę?

Kobziarz wzruszył ramionami.

- Nie, nic - powiedział, jakby chciał zamknąć temat. - Rad jestem, że cię zadowolilem.

- Ja też - odpowiedział Herrith z uśmiechem. Nie wiedział, czy zasługę należy przypisać eliksirowi, czy widokowi wspaniałego modelu katedry, ale czuł się znakomicie, lepiej niż kiedykolwiek przedtem podczas minionych tygodni. Podszedł bliżej, by obejrzeć model. Żeby w pełni się napawać drobiazgowością odtworzenia wszystkich szczegółów, trzeba było oczu lepszych, niż jego, widział jednak dość, by się zachwycić pietyzmem i czasem, jaki twórca poświęcił modelowi, zręcznością, z jaką połączył klejem metalowe i drewniane drobiazgi, precyzją wycięcia wszystkich rzeźb pokrywających boki modelu, naśladujących runy dekorujące ściany prawdziwej katedry. Najbardziej zdumiewający jednak był anioł nad wejściem. Herrith wyciągnął dłoń, by go dotknąć.

- Nie! - zawołał Bobs. - Nie dotykaj niczego!

- A to dlaczego?

- Figurki są bardzo kruche. Możesz którąś uszkodzić. Proszę... Lepiej niczego nie dotykać.

Twarz Herritha lekko skwaśniała.

- Mistrzu Bobs, to zabawka dla małej dziewczynki...

- I dzieło sztuki - odpowiedział lalkarz nieśmiało. - Jeżeli mała będzie poczynala sobie z modelem zbyt surowo, uszkodzi go niestety. Szczególnie kruchy jest ten anioł. Proszę po raz wtóry, niczego nie dotykaj.

- No dobrze... - westchnął Herrith, odstępując od modelu. Kruchy czy nie, był cudowny. - Dziękuję ci za to, że go tu wniosłeś... i za to, że skończyłeś na czas.

Lalkarz kiwnął głową.

- Cieszy mnie radość Waszej Świątobliwości. Mam nadzieję, że dziewczynka się też ucieszy...

- O, jestem pewien, że całe Nar będzie podziwiał twoje dzieło. Zostawimy go tu, by wszyscy wierni mogli zachwycić się tym modelem, oglądając jednocześnie malowidło mistrza Darago.

- A tak, sklepienie - przypomniał sobie lalkarz. - Kiedy zostanie odsłonięte? Na Eestrii?

- Tak. Powinieneś przyjść na odsłonięcie, mistrzu. To będzie pamiętny, wspaniały dzień. Mój dar dla miasta. Chcę, by wszyscy wierni mogli go podziwiać.

Twarz Bobsa powlekła się rumieńcem. Nie należał do „wiernych”, o czym obaj doskonale wiedzieli.

- Może przyjdę - odpowiedział zdawkowym tonem. - Jeżeli znajdę chwilę czasu...

Niezręczną chwilę przerwało nadejście ojca Todosa, który niósł niewielki woreczek z pieniędzmi.

- To dla ciebie, mistrzu Bobs - oznajmił Todos. - Razem z naszymi podziękowaniami.

Wkrótce otrzymasz resztę.

Redric Bobs lekko się uśmiechnął.

- Nie ma pośpiechu. Dostateczną zapłatą jest widok radości na waszych twarzach...

- Nieważne... - przerwał mu Herrith. - Za swoją pracę otrzymasz sowite wynagrodzenie. Raz jeszcze dziękuje, mistrzu Bobs. Masz prawdziwie złote ręce.

Lalkarz skłonił się nisko, a potem cofnął ku wyjściu, usłyszawszy w głosie Herritha odprawę. Biskup rad był, że Kobziarz już sobie poszedł. Redric Bobs miał niezgłębioną, pełną sekretów duszę, i nie należał do przyjaciół Kościoła. A jednak był geniuszem i odtworzył model katedry bez najmniejszej skazy.

- Todosie, zechciej odszukać Lorłę - odezwał się biskup. - Przyrowadź ją tu, by mogła obejrzeć swój prezent.

Todos znalazł Lorłę w kaplicy, gdzie przyglądała się ceremonii ślubnej, jaką odprawiano, wiążąc małżeńskim węzłem syna jakiegoś barona i młodą czerwonowłosą

kobietę z Goss. Dziewczynka usadowiła się na podwyższeniu dla chóru, gdzie skuliwszy się za posągiem świętego Gowdona, śledziła uroczystość, nie zwracając na siebie uwagi weselników. Według miar stołecznego grodu była to bardzo skromna ceremonia, w której brało udział może ze trzy setki gości. Syn barona był urodziwym, jasnowłosym młodzianem.

Już wkrótce miały nadejść jej urodziny, co sprawiło, że dziewczynka musiała sobie wszystko przemyśleć.

Znalazłszy ją, ojciec Todos westchnął z desperacją, dość głośno, by wywołać poruszenie wśród zgromadzonych niżej gości weselnych. Na jego widok Lorla zrobiła grymas niezadowolenia. Spędzała w kaplicy wiele czasu i przyglądała się kapłanom, a żaden z nich nie zwracał na nią uwagi. Jedyne Todos traktował ją zawsze jak intruza.

Podejrzewała, że pobożny ojciec był zazdrosny o przychyłność, jaką ją darzył biskup Herrith.

- Lorlo! - syknął Todos scenicznym szeptem, kiwając dłonią z dołu. - Chodź do mnie.

- Cyt! - odpowiedziała dziewczynka, pokazując zebranych weselników. - Nie robię nic złego, tylko patrzę.

- Złaż! - nie ustępował Todos.

Kiedy przemawiał tym tonem, Lorla wołała mu się nie sprzeciwiać, ostrożnie więc cofnęła się w głąb chóru, cały czas nie wysuwając się z cienia, jaki rzucał posąg Świętego Gowdona.

- Czy coś nabroiłam? - spytała. - Nie przekroczyłam żadnego zakazu. Ojciec Herrith pozwolił mi przyglądać się ślubom.

- Nie w tym rzecz - stwierdził Todos. - Arcybiskup Herrith chce cię widzieć.

Przyniesiono twój prezent urodzinowy.

Lorla poczuła się tak, jakby ją ktoś ugodził pięścią. Prezent urodzinowy? Już?

Nie była pewna, czy w ogóle pragnie, by go przyniesiono. Kiedykolwiek...

- Naprawdę? - zaszcebiotała, udając niepewny uśmiech. - Gdzie on jest?

- W nawie głównej. Jego Świątobliwość już tam na ciebie czeka.

- A tak. Oczywiście... - wybąkała. - To cudownie.

- To prawda, prezent jest cudowny, moje dziecko. Nie uwierzysz własnym

oczom.

Ojciec Herrith nie pożądał na ciebie pieniędzy. Mam nadzieję, że o tym wiesz...

- Wiem - odpowiedziała Lorla ostrym tonem. Nie cierpiała, gdy Todos jej przypominał o tym, jak dobre serce ma Herrith. Wiedziała już, że biskup jest człowiekiem łagodnego serca, nie takim, jakiego jej ukazywano podczas szkolenia. - Możemy już iść i zobaczyć to чудо? - spytała nieco zgryźliwym tonem.

Todos potrząsnął głową.

- Znasz drogę, dziecko. Myślę, że ojciec Herrith nie chce dzielić tej chwili z nikim innym, tylko z tobą.

Przed odejściem kapłan uśmiechnął się do niej fałszywie. Lorla przez chwilę patrzyła za nim wzrokiem pełnym obawy. Niekiedy zastanawiała się, co Todos naprawdę o niej myśli.

On jeden wyczuwał w niej jakąś nieszczerość. Kiedy był w pobliżu, Lorla traciła grunt pod nogami. Herrith jękochał i miała nadzieję, że to jej wystarczy do wykonania zadania.

Odchodząc, zerknęła przez ramię, patrząc z tęsknotą na odprawianą niżej uroczystość ślubną, a potem pobiegła ku wielkiej nawie, gdzie czekał na nią jej prezent urodzinowy.

Biegąc cichymi korytarzami, znów usłyszała głosy w głowie. Zwolniła i przechyliła głowę, by lepiej im się przysłuchać. Ostatnio zrobiły się głośniejsze. Lorla wcale się ich nie bała. Przypominało to słuchanie muzyki. Nie mogła tylko zrozumieć, o czym mówią.

Niekiedy myślała, że jest to głos Mistrza Biagio, który mówi do niej łagodnie jak ojciec.

Dźwięk tego głosu ją uspokajał. Ostatnio często się zastanawiała, czy gdzieś na świecie istnieje jakieś miejsce, które mogłaby nazwać swoim. Kiedy to robiła, zawsze zjawiały się głosy, które łagodziły jej niepokój. Mistrz Biagio miał dla niej miejsce w swoich planach i słuchanie jego głosu - jeżeli to był jego głos - sprawiało, że nie czuła się tak bardzo osamotniona. Wydawało jej się, że Herrith jest dobrym człowiekiem i bardzo jej na nim zależało. Ale był wrogiem Mistrza.

I tylko to się liczyło.

Przyspieszyła kroku, popędzana przez niezbyt wyraźnie brzmiące głosy. Zostawiła daleko w tyle kaplicę, gdzie odbywała się ślubna ceremonia, a potem zeszła po schodach wiodących na niższe kondygnacje. Mijali ją akolici odziani w habity z kapturami, nie mogący jej pozdrowić z powodu złożonych ślubów milczenia. Inni kapłani pozdrawiali ją uprzejmymi kiwnięciami głów, a wiejscy księża, którzy trafili do katedry z pielgrzymkami, uśmiechali się do niej, zaciekawieni i zaintrygowani obecnością dziewczynki w świątyni. Lorla bawiła się w duchu tym wszystkim. Polubiła katedrę i wszystkich jej niezwykłych mieszkańców.

Uwielbiała przemykać się pod wysoko sklepionymi zębrowatymi łukami i budzić echa odgłosami swoich kroków.

Dotarłszy do wielkiej nawy, nieco zwolniła. Z daleka zobaczyła Herritha, który stał pośrodku i patrzył na zasłonięte sklepienie. Wyglądał mizernie i miał bladą, ściągniętą twarz.

Lorla nie widziała go od paru dni i teraz zaniepokoił ją jego wygląd. Obok niego stała drewniana skrzynia, większa niż on sam. Jeden z jej boków był otwarty, Lorla jednak ze swego miejsca nie mogła zajrzeć do wnętrza skrzyni. I nagle zrozumiała, że już jej nie zależy na urodzinowym prezencie.

- Ojczy? - zawołała.

Usłyszawszy jej głos, Herrith podniósł głowę. Wychudzoną twarz biskupa rozjaśnił uśmiech.

- Lorlo! Chodź tu, maleńka. Mam coś dla ciebie. Lorla podbiegła i obrzuciła go zatroskanym spojrzeniem.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze, dobrze - odparł Herrith, machnięciem ręki zbywając pytanie. - Lorlo, przyniesiono twój prezent. Jest wspaniały! - Odstąpił w bok, by mogła zajrzeć do skrzyni.

- Zobacz sama!

Lorla zajrzała i widok ją oczarował. Zobaczyła całą Katedrę Męczenników, magicznie zmniejszoną i umieszczoną w skrzyni.

- Och... - westchnęła. - To piękne!

Widok był bardziej niż piękny, ale dziewczynka nie znalazła słów, za pomocą których mogłaby opisać swoje wrażenia. Metalowe iglice, pokryte runami ściany,

maleńkie gargulce z wywieszonymi jęzorami - wszystko świadczyło o doskonałości bożego dzieła. Lorla stała jak zaczarowana. I nagle zobaczyła anioła nad bramą.

Poczuła wstrząs, jakby ją ktoś uderzył. Przez chwilę patrzyła tylko na anioła szeroko rozwartymi oczami. Głosy, które słyszała w głowie, niespodzianie rozkrzyczały się natarczywym wrzaskiem.

- Anioł! - wrzeszczały. - Anioł!

Lorla z trudem przełknęła ślinę i prawie odrzuciło ją w tył. Poczuła ogarniającą ją nagle falę gorąca, jakby oblano ją z góry wrzątkiem. Herrith patrzył na nią badawczo, przyglądając się jej spod zmarszczonych brwi. Po chwili Lorli udało się zapanować nad emocjami, stłumić natarczywe wrzaski i odzyskać panowanie nad sobą.

- Podobam się - westchnęła cicho. - Och, tak, jest... ładny.

- Ładny? - spytał Herrith z nagle rozbudzoną podejrzliwością. - Lorlo? Czy ty się dobrze czujesz?

„Nie wiem! - pomyślała dziewczynka. - Co się ze mną dzieje?”

- Ależ tak - skłamała. - Czuję się bardzo dobrze.

- Nie wyglądasz najlepiej.

„Przestańcie na mnie wrzeszczeć!” - wykrzyknęła w duchu, głosy jednak były uparte.

Nie przestawały krzyżeć: „Anioł! Anioł!”. Lorla zmusiła twarz do uśmiechu.

- Bardzo mi się to podoba - stwierdziła. - Dziękuję, ojcze!

Wydało jej się, że taka reakcja wcale Herritha nie zadowala. Pospiesznie zabrała się do naprawy błędu.

- Jest taka piękna! - dodała, klękając przed modelem. - I taka prawdziwa! Był tu ten lalkarz? Przyniósł ją osobiście?

- Tak - odpowiedział Herrith. Ukląkł obok dziewczynki i zaczął z nią oglądać niezwykle piękny model. Głosy w głowie Lorli jakby się uciszyły. Dziewczynka wciąż patrzyła na anioła... i nie wiadomo, skąd jej się ta wiedza wzięła, ale uświadomiła sobie nagle, co musi zrobić.

- Ojcze Herricie, odsłoń to na Eestrii? - spytała cicho. - Razem ze sklepieniem?

- To zależy od ciebie - odpowiedział biskup. - Ten model jest prezentem dla ciebie, Lorlo. Jeżeli zechcesz postawić go gdzie indziej, stanie się jak zapagniesz.

- Nie, nie! - odpowiedziała dziewczynka pośpiesznie. - Niech zostanie tutaj.

Chcę, by na Eestrii wszyscy mogli go zobaczyć. Razem ze sklepieniem Daraga.

Podniosła wzrok i spojrzała w górę. Wysoko nad nimi wisały płachty płótna skrywające jeszcze arcydzieło mistrza przed wzrokiem ciekawskich. Rusztowania już usunięto i wyniesiono, tak że w wielkiej nawie została teraz tylko skrzynia ze wspaniałym modelem katedry. Spojrzenie Lorli przeniosło się na miejsce, gdzie pod płótnem był fresk przedstawiający patronkę sierot. Elioes została pobłogosławiona ręką Boga. Była jedną z ulubienic Niebios, osobą niezwykłą i jedyną w swoim rodzaju. Myśl ta nagle zasmuciła Lorlę.

Czy i ona nie była kimś jedynym w swoim rodzaju? Tak zawsze jej powtarzali wszyscy, którzy się z nią zetknęli. Wkrótce zaczniesz się Eestri i nadejdą jej urodziny.

Będzie musiała udowodnić swą wierność Mistrzowi. I nagle zrozumiała, że wcale tego nie chce.

Powoli wsunęła rączki w dłonie biskupa. Herrith spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się uszczęśliwiony.

- Ojczy? - spytała szeptem. - Czy Bóg kocha wszystkich?

- Oczywiście, maleńka. - Biskup się uśmiechnął.

- I przebacza grzechy, choćby były nie wiadomo, jak wielkie?

- Tak, ale ty przecież nie masz się czym martwić, Lorlo. - Herrith mocno ścisnął jej rączkę. - Jesteś czysta i bez grzechu.

„Na razie” - skrzywiła się Lorla.

- Wasza Świątobliwość! - rozległo się nagle wołanie od wejścia. Lorla i biskup obejrzeni się jednocześnie i zobaczyli biegnącego ku nim z podkasany habitem ojca Todosa.

Twarz mnicha była strapiona. Todosowi brakło tchu, a gdy dobiegł do biskupa i dziewczynki, sapnął jak przepracowany greegan. Herrith wstał.

- Co się stało, Todosie?

Mnich klasnął w dłonie.

- Boże na Niebiosach, on wrócił! - wypalił. - Ma prezent dla Waszej Świątobliwości. I jakąś wiadomość.

- Człowieku, opamiętaj się - warknął gniewnie Herrith. - Jaką wiadomość? O kim

mowa?

- Nicabar! Jego okręty wpłynęły do portu!

Usłyszawszy to nazwisko, Lorla zamrugła. „Nicabar?”

Herrith zbladł jak płótno.

- Boże Miłosiwy! - jęknął. - Czego ten czort znów chce?

- Zostawił wiadomość dla Waszej Świątobliwości - stwierdził Todos. - Szkatułkę i pismo. Kilku z jego marynarzy zostawiło je na brzegu. Obie przesyłki zanieśono do gabinetu Waszej Świątobliwości.

- Szkatułkę? - powtórzył Herrith.

- I pismo - dodał Todos. - Wasza Świątobliwość zechce się pospieszyć. Okręty Nicabara lada moment mogą otworzyć ogień na miasto! A bez Vorta, który mógłby nas obronić...

- Todosie, zachowaj spokój - odpowiedział Herrith. - Zobaczę, co Nicabar przywiózł nam tym razem. - Odwróciwszy się do Lorli, poprosił ją wzrokiem o przebaczenie.

- Przykro mi, maleńka - powiedział łagodnie. - Czekają na mnie sprawy, którymi trzeba się zająć. Dziś wieczorem zjemy razem kolację, dobrze?

Lorla skinęła.

- Tak, ojczu. - Przez chwilę patrzyła za nim, gdy odchodził razem z Todosiem.

W nawie zapadła cisza. Lorla znów spojrzała na model katedry, z którego ponownie przemówił do niej anioł.

Herrith pędził do swego gabinetu, mając w głowie nie lada zamęt. Kolejna przesyłka od Nicabara mogła znaczyć tylko jedno: Biagio dostarczył mu eliksir. Powinien się domyślić, że niewielka porcja, którą mu przesłał poprzednio, już się wyczerpała. Herrith zatarł ręce, przepełniony nadzieją. Za nim szedł ojciec Todos, którego strapiona twarz nie zmieniła wyrazu, z jakim przed chwilą wbiegł do nawy.

- Nie mam pojęcia, co to może być - powtórzył. - Bez Vorta nasze siły są znacznie słabsze. Myślę, że tam stoją trzy okręty liniowe. Albo i cztery. Nie wiem też, dlaczego admirał nie zszedł na brzeg. Chyba się czegoś boi.

Todos coś jeszcze mówił, ale Herrith przestał go słuchać. Nie obchodził go zupełnie powód, dla którego Nicabar zatrzymał się na pokładzie i nie zszedł na ląd. Było

to dość oczywiste. Bez eskorty generała legionieci z miejskiego garnizonu rozdarliby go na strzępy.

Herrith pomyślał, że przysłane przez Nicabara pismo powinno wszystko wyjaśnić.

Może zresztą chciałby zejść do miasta i czeka teraz na zapewnienie mu bezpiecznego przejścia do katedry. Wkrótce się tego dowiedzą.

Drzwi do gabinetu Herritha stały otworem. Wewnątrz, obok biurka, na którym ustawiono szkatułkę, tkwili dwaj kapłani o nieruchomych twarzach. Obok szkatułki leżała zapieczętowana koperta. Herrith wszedł do gabinetu i spojrzał ciekawie na skrzynię. Tak wielka skrzynia mogła zawierać spory antałek eliksiru!

- Nie otwieraliście tego, prawda? - spytał kapłanów. Obaj potrząsnęli przecząco głowami.

- Wasza Świątobliwość, to przesyłka dla ciebie - wyjaśnił Todos. - Nie mieliśmy śmiałości...

- Dobrze, dobrze - odpowiedział Herrith. Przez chwilę stał nad szkatułką, przyglądając się pokrywie. Zamykał ją niewielki zatrzask. Herrith przesunął dłoń po skórzanym obiciu szkatułki, bojąc się ją otworzyć. Biagio był wcielonym diabłem.

Jeżeli w tej szkatule był eliksir, hrabia z pewnością zechce coś w zamian. Herrith wstrzymał oddech i nacisnął zatrzask, który odskoczył z cichym, metalicznym szczękiem. Wszyscy trzej kapłani przyglądali mu się jak zaczarowani. Herrith powoli podniósł wieko i zajrzał do środka.

Odpowiedziało mu martwe, przerażające spojrzenie czegoś częściowo przegniłego.

Serce Herritha zamarło na kilka sekund. Biskup patrzył przez chwilę, aż zrozumiał, że to, co się na niego gapilo z głębi szkatułki, jest martwą głową Vorta.

- Matko Boska!

Todos wrzasnął przeraźliwie, a dwaj pozostali kapłani przeżegnali się przerażeniem, co zobaczyli. Ze szkatułki uniosła się fala smrodu i biskup poczuł się jak człowiek uderzony ciężkim młotem. Głowa Vorta przypominała osmalony, rozbity melon, a oblicze generała było zmasakrowane i niemal nierozpoznawalne. Herrith zasłonił usta dłońmi i odskoczył od biurka jak oparzony.

- Biagio! Oby się Bóg nad tobą zlitował - szepnął.

- Co się stało? - zaskrzeczał Todos.

Herrith zaczerpnął tchu, a potem powoli zamknął skrzynię. Poczł się tak, jakby przeżywał koszmar na jawie. Nagle zrozumiał, że walczy z samym diabłem. Biagio był znacznie większym potworem, niż on sam mógłby sobie wyobrazić w najgorszych snach.

- Vorto, mój przyjacielu... - odezwał się cicho. - Spoczywaj w pokoju. Byłeś dzielnym i wiernym żołnierzem.

- Mój Boże! - zawołał Todos. - Jak to możliwe?

- Todosie...

- Wasza Świątobliwość! Biagio go zamordował! Nie mamy już generała!

- Todosie, zamknij się! - uciał Herrith, odwracając się do przyjaciela. - Pozwól mi pomyśleć... - Opadł na krzesło za biurkiem i zaczął się zastanawiać nad tym, po co Biagio przysłał mu tę skrzynię, i nad tym, w jak okropne popadli tarapaty. Todos miał rację. Bez Vorta nie mieli wodza. Owszem, wciąż mieli wojsko, ale na wieść o losie generała żołnierze się rozbiegnąjak stado wołów. Biagio powoli, ale nieuchronnie przechylał szalę zwycięstwa na swoją stronę.

I wtedy Herrith spostrzegł kopertę.

Sięgnął drżącą dłonią i podniósł pismo. Todos zaczął coś mówić, biskup jednak raz tylko spojrział na niego... i stary mnich zamknął usta.

- Zostań, Todosie - powiedział. - Jevic i Merrill, zechciejcie nas zostawić samych.

Dwaj niżsi rangą kapłani pochyłili się w pokłonie i odeszli, zamykając za sobą drzwi.

Todos stanął nad biskupem.

- To żądania - odezwał się. - Biagio chce, byśmy się poddali. Herrith złamał pieczęć, otworzył kopertę i wyjął z niej list. Od razu poznał pismo Biagia. Zamiast przeczytać list na głos, odwrócił się tak, by Todos nie mógł zobaczyć treści pisma.

Najdroższy Herricie, smutne to doprawdy, że sprawy potoczyły się takim torem.

Dzięki temu jednak możesz się przekonać, że naprawdę chcę się z tobą porozumieć i nie wolno mnie lekceważyć. Twój obrońca jest martwy, tak jak żołnierze, którzy za nim pociągnęli. Przelano mnóstwo krwi, co mnie ogromnie zasmuciło.

Ponownie cię proszę, byś przybył na Crote z wszystkimi lordami, którzy są ci

wierni.

Jak sam wiesz, ja nie mogę osobiście się stawić w twoim mieście. Teraz, kiedy zabiłem Vorta, legionieści nie pozwolą mi postawić stopy na nareńskiej ziemi. Bardzo jednak pragnę pokoju i błagam cię, byś zechciał się ze mną ułożyć.

Odrębną kwestią jest sprawa eliksiru. Jest tutaj i czeka na ciebie. Masz moje słowo, że nie będę ci go wzbraniał, jeżeli zrobisz to, o co cię proszę. Nicabar i jego okręty zostaną w porcie, dopóki nie podejmiesz decyzji i nie zechcesz mnie odwiedzić. Nie próbuj go odesłać, ponieważ zostanie w Nar, dopóki się nie namyślisz.

A namyślisz się z pewnością.

Twój przyjaciel, hrabia Renato Biagio.

Herrith cisnął list na biurko przed sobą.

- No proszę! Jakiś pewien siebie, ty diable! - syknął. Todos porwał list i zaczął go czytać.

- On sądzi, że ja zmienię zdanie! - zagrział Herrith. - Uważa się za mocniejszego ode mnie i od Boga! - Biskup uderzył pięścią w stół, aż podskoczyła nieszczęsna szkatułka. - No to się przekona, że jest w błędzie!

Todos potrząsnął głową.

- Wasza Świątobliwość, on z ciebie drwi, wspominając o tym eliksirze. Jeżeli nie zawrzesz z nim pokoju...

- Nie będę z nim mówił na jego wyspie - uciął Herrith. Niech Nicabar tkwi w tym porcie, aż porośnie mchem i pajęczynami. Nigdy nie postawię stopy na Crote!

Położył dłonie na szkatule z głową Vorta, błagając Boga, by dodał mu sił.

Wydarzenia zaczęły się toczyć z szybkością huraganu. Mogła ich uratować jedynie pomoc Niebios.

- Poślij wiadomość Nicabarowi - zwrócił się do Todosa. - Powiedz mu, że nie będzie rozmów z Biagiem i że żaden nareński magnat nie popłynie na Crote. Powiedz mu też, że wciąż mamy siły. Biagiowi udało się zabić kilkudziesięciu ludzi z naszej armii, ale to wcale nie znaczy, że już po nas. Idź, Todosie, i jak najszybciej odeślij mu moją odpowiedź.

Todos odszedł, zostawiając Herritha jego myślom. Biskup wstał z fotela i chwiejnym krokiem podszedł do szklanej ściany, za którą rozciągał się widok na całe

Nar. Z tej wysokości doskonale widział kołyszącego się na falach „Nieustraszonego” i towarzyszące mu liniowce. Wspaniała trójca. Jak Biagio, Nicabar i Bovadin. Co najgorsze, Herrith nigdy wcześniej nawet w najgorszych snach by nie wyśnił, że Biagio odważy się na coś takiego. I że mu się uda.

- Wszystko mi się rozłązi - stwierdził ponuro.

Rok temu uważał się za niepokonanego. Teraz nie był pewien tego, co może mu przynieść poranek.

Trzydzieści sześć ZDRADA

Hrabia Renato Biagio czuł się wprost cudownie. Do Eestrii pozostał tylko jeden dzień.

Arystokrata był w leniwym nastroju. Miał już dość świata i jego spraw, przepełniało go jednak głębokie zadowolenie, ponieważ po roku starań jego wspaniały plan dochodził wreszcie do punktu kulminacyjnego. Jutro wszystkie kawałeczki układanki trafią na swoje miejsca i Nar pojmie, jak potężny jest jego prawdziwy pan.

Rozparł się wygodnie w swoim ogromnym, pokrytym skórą fotelu, sączył sherry i podziwiał widok rozciągający się za oknem. Crote było bardzo piękne. I bardzo mu go będzie brakowało. Ale wielkich zwycięstw nie osiąga się bez poniesienia pewnych kosztów.

Któregoś dnia, gdy Nar będzie już należało do niego, urządzi tu najeźdźcom krwawą łaźnię i odbierze wyspę swoich przodków. Zastanawiał się, jak wtedy będzie wyglądała. Co zrobią Lisseńcy z jego piękną ojczyzną? Zamyśliwszy się nad tym, pociągnął kolejny, głęboki łyk. Za każdy spalony przez nich budynek, za każdy pozbawiony głowy posąg weźmie tysiąckrotną odpłatę. Zadba o to osobiście, choć wystarczy, że powierzy tę sprawę Nicabarowi.

To jednak na razie należało do przyszłości, a Biagio nie chciał wybiegać myślą aż tak daleko naprzód. Napawał się chwilą obecną i słodczą dni najbliższych. Pijąc wspaniałe sherry, uśmiechał się do siebie, wyobrażając sobie minę Bovadina, który będzie patrzył na ulice leżące przy katedrze, kiedy jego urządzenie zacznie działać. Karzeł pracował naprawdę ciężko. Był wiernym sługą i myśląc o nim, Biagio czuł dumę. Podobną dumę czuł na myśl o Nicabarze. Rozciągnął też to uczucie na małą dziewczynkę o imieniu Lorla.

Lorla.

Biagio kilkakrotnie powtórzył w duchu to imię. Było dla niej odpowiednie - sam je zresztą wymyślił. Hrabia uśmiechnął się do siebie. Dziewczynka była idealną kandydatką do tej misji, a pracując nad nią, Bovadin dokonał wprost cudu. Spojrzał w okno, na słońce.

Wkrótce się ściemni. A potem już niedługo przejdzie mu czekać.

- I tak wkrótce wygram, mój Herricie - mruknął, zwracając się do oddalonego o setki mil przeciwnika. - A ty przyjedziesz na Crote, ponieważ brak ci sił... i źle mnie oceniłeś.

Wszyscy źle go ocenili, nie pojmując, że los mu przeznaczył wielkość. Nawet Arkus popełnił ten błąd. Jego ukochany imperator nie okazał się dostatecznie przewidujący i nie zdał w jego ręce władzy nad Imperium. Biagio nie był próżny, czy przesadnie ambitny.

Jego osoba nasuwała się w sposób jedynie logiczny, a Arkus o nim zapomniał. Choć minął już rok, Biagio wciąż nie wiedział, czy powinien przebaczyć ten błąd człowiekowi, który był mu ojcem.

Jedynym jasnym punktem podczas ostatnich dni była kobieta Vantrana. Dyana okazała się cudem, na jaki w ogóle nie liczył, i po dwu tygodniach tak się do niej przyzwyczał, że nie miał niczego przeciwko jej obecności przy sobie. Była dostatecznie bystra, by nie myśleć ciągle o ucieczce i podczas tych rzadkich okazji, przy jakich się widywali, wciąż usiłowała go przekonać o tym, że jej mąż nie jest niczemu winien.

Byładobłą lojalną kobietą. Wierną swemu mężowi. Żona Biagia, Elliann w niczym jej nie przypominała. On sam z kolei nie był wzorem wiernego męża.

Postanowił, że nie będzie szukał Elliann. Kiedy wróci do Czarnego Grodu, dziwka - którą zresztą była - sama przepelźnie do niego, zwęszywszy władzę i bogactwo, on zaś ją odtrąci, choćby dla samej przyjemności patrzenia, jak jej rzędzie mina.

Odstawił szklankę. Na biurku leżały luźne kartki papieru; notatki, w których zapisywał bieżące wydarzenia. Notował wszystko bardzo starannie, niekiedy nawet utrwał słowo po słowie całe rozmowy, ponieważ chciał, by jego wspaniały plan mógł posłużyć agentom jako rodzaj poradnika i przewodnika. Wszyscy zostali na swoich stanowiskach w całym Imperium i czekali na jego powrót. Będzie miał im wiele do powiedzenia.

Czasami jednak zapisywał coś innego, niż plany przyszłych reform. Niekiedy jego notatki były refleksjami, jakie codzienne wydarzenia budziły w jego zimnym, wyrachowanym umyśle. Chwycił teraz pióro i zaczął pisać.

Żona Szakala wcale nie przypomina moich o niej wyobrażeń. Byстрым wzrokiem

przenika wszystkie moje sekrety, a jednak wcale się tym nie przejmuje. I wcale się mnie nie boi. Kiedy jej opowiadam o moich planach odzyskania Nar, zachowuje kamienny spokój. I nazywa mnie szaleńcem. To, że jestem panem jej losu, również nic dla niej nie znaczy.

I stanowiąc dla mnie zagadkę, wciąż mnie zmusza do myślenia.

Wetknął koniec pióra pomiędzy zęby i machinalnie zaczął go gryźć. Nie bardzo wiedział, o czym miałby rozmyślać. O swej nieśmiertelności? No tak... O niej także. Nie podobało mu się to, że ktoś ośmiela się kwestionować jego zdrowy rozsądek, szczególnie, że tym kimś była żona Szakala. W Imperium wielu było takich, którzy za szaleńca uważali Richiusa Vantrana, ale Dyana tym też się wcale nie zajmowała. Była zaślepiona urokiem męża. Jak zresztą wszyscy pozostali jego zwolennicy i przyjaciele.

A jednak Biagio wciąż go nienawdził. Pomimo próśb Dyany gniew hrabiego wcale się nie uśmierzał. Niczego tak nie pragnął, jak być na Crote, gdy Vantran zacznie swoją inwazję. Dużo by dał, by znów zobaczyć dawnego śmiertelnego wroga.

- Cierpliwości - skarcił sam siebie. - Masz przecież jego kobietę.

Za Dyana Richius pójdzie choćby do piekła, co zresztą raz już udowodnił. Biagio oparł się wygodniej i położył stopy na biurku. Dziś w pełni zaznawał smaku życia. A jutro będzie jeszcze lepsze. Zamknawszy oczy, oddał się marzeniom, które przerwało pukanie do drzwi. Hrabia otworzył oczy i warknął:

- Leraio, jeżeli to znowu ty...

- Mistrzu, proszę - rozległ się zza drzwi głos osobistego niewolnika. - To pilne...

- No to wejdź, niech cię diabli...

Leraio otworzył drzwi i ostrożnie wsunął się do środka. Wiedział, że pan cierpiał, gdy mu przeszkadzano, od razu więc przeszedł do rzeczy.

- Mistrzu, przyplłynął jeden z okrętów naszej floty. Biagio szybko zdjął nogi z biurka i wstał z fotela.

- „Bystry”?

- Nie inaczej, Mistrzu - odparł niewolnik. Na jego twarzy pojawił się uśmiech zakłopotania, który zaniepokoił Biagia.

- I co dalej? - naciskał hrabia. - Z tego twojego głupiego uśmiechu odgaduję, że nie powiedziałeś mi wszystkiego.

- Kapitan Kelara zszedł już na brzeg, mistrzu. Powiada, że musi się jak najszybciej z tobą zobaczyć.

Biagio uniósł dłonie w górę.

- No więc? Dawaj go tutaj.

- Przepraszam, Mistrzu. Myślałem, że...

- Co, Leraio? Cóż takiego sobie pomyślałeś? Powiedziałem, że chcę zobaczyć Kelarę, gdy tylko się pokaże. Dlaczego marnujesz mój czas na te bzdury? Nie gadaj nic, tylko go przyprowadź.

- Ależ Mistrzu... - wyjąkał niewolnik. - Nie jest tak, jak myślisz. Kapitan Kelara nie przybył sam. Przyprowadził ze sobą jeszcze kogoś. Innego marynarza...

Biagio skrzywił się. Dlaczego los ostatnio sprawia mu same niespodzianki?

- Jakiego marynarza?

- Mistrzu, Kelara twierdzi, że to człowiek z „Pogromcy”... Hrabia opadł na fotel z takim jękiem, jakby go ktoś nagle kopnął w brzuch.

- Och... nie!

Wieści nie były interesujące. Były okropne. Biagio usiłował poskromić emocje, ale niespodzianie dla niego samego wzięły nad nim górę. Nieprzewidziane pojawienie się człowieka z „Pogromcy” mogło oznaczać tylko jedno.

Simon jest martwy.

- Wprowadź ich - wyszeptał hrabia. - Wprowadź ich obu. Leraio cofnął się z niskim ukłonem. Biagio podniósł szklaneczkę do ust i jednym haustem wypił resztę sherry, ignorując miłe pieczenie, z jakim trunk spłynął mu w głąb krtani. Nagle zapragnął gdzieś uciec i skryć się tak, by nikt go nie zdołał odnaleźć. Przeklął się za swoją głupotę, pewien był bowiem, że misja, którą powierzył Simonowi, zabiła jego przyjaciela. Odstawiwszy szklankę, wpatrzył się pustym wzrokiem w próg, czekając na przybyszów i szykując się na przyjęcie jak najgorszych wieści.

Pierwszy pojawił się w drzwiach kapitan Kelara. Odziany w czysty i niedawno wyprasowany mundur przygotował się do audyencji, zdejmując kapelusz i oddając Biagiowi wojskowe honory.

- Panie hrabio... - zaczął. - Czy wolno na słowo?

- Mam nadzieję, że mi powiesz więcej, niż jedno słowo - odparł Biagio.

Skinieniem palca wezwał marynarza, by podszedł bliżej. - Wejź, kapitanie.

Kelara wszedł i odsłonił stojącego za nim człowieka, znacznie od niego młodszego, jasnowłosego i nieco wystraszonego. Młodzieniec miał jasną skórę, jak wielu z ludzi Nicabara, a ujrzawszy Biagia, śladem Kelary złożył niezgrabny ukłon.

- Marynarzu, jak się nazywasz? - spytał hrabia.

- Bosman Dars, sir - odpowiedział młodzieniec, oblizując nerwowo wargi.

- Bosman Dars z „Pogromcy”, czy nie tak?

- Tak, sir!

- I skąd się tu wzięłeś?

Bosman skrzywił się i spojrzał na Kelarę, jakby szukając u towarzysza pomocy.

Kelara wystąpił do przodu. Chmura na jego twarzy jeszcze się pogłębiła.

- Panie hrabio, wyciągnęliśmy go z wody. Przykro mi rzec, ale „Pogromca” poszedł na dno. Dars jest jedynym człowiekiem z załogi, który ocalał.

- Poszedł na dno... - powtórzył Biagio. - Jak to się stało?

- Staranował nas lisseński szkuner - wtrącił się Dars. - Wyłonili się z mroku i uderzyli nas w śródokręcie. Nawet nie widzieliśmy, jak nadpływają. Kapitan N'Dek i reszta chłopców poszli na dno. - Podoficer wbił ponure spojrzenie w posadzkę. - Tylko ja ocalałem.

Biagio poczuł, że wnętrzości skręca mu węzeł bólu. Nikt nie ocalał. Simon utonął.

Dziecko Vantrana też. Jęknął ciężko i boleśnie.

- Ale... ale czegoś nie rozumiem - odezwał się, gdy odzyskał zdolność mowy. -

„Pogromcę” ugodził lisseński szkuner. Znaczy...

- Hrabia wzruszył ramionami. - Płynęliście na Liss?

- Nie, sir.

- Więc jakim cudem znalazł was „Bystry”? - Biagio zaczynał tracić cierpliwość.

- I co u licha, robił tam „Pogromca”?

- Hm... myślę, że mogę to wyjaśnić, panie hrabio - wtrącił Kelara.

- A owszem, kapitanie, z chęcią posłucham.

- Panie hrabio... „Pogromca” nie płynął na Crote, jak to było zaplanowane.

Poszedł na dno na wodach lisseńskich. Znalazł się na nich... z rozkazu Simona

Darquis.

- Co takiego? - syknął hrabia, przenosząc spojrzenie z twarzy jednego marynarza, na twarz drugiego i z powrotem. - Co to znaczy? Odpowiadajcie!

- To prawda! - odezwał się Dars. - Simon Darquis wszedł na pokład pod Lucel - Lorem. Miał ze sobą córkę Szakala. I rozkazał nam płynąć na Liss.

- Uwięził kapitana N'Deka w swojej kabinie - dodał Kelara.

- Przejął komendę nad „Pogromcą”, powołując się na władzę, jaką mu dawała jego pozycja agenta Roshannów. Na twoją władzę, panie hrabio. N'Dek spełnił jego żądania i wysadził go na Liss. Zgodnie z tym, co mówi Dars, panie hrabio, Richius Vantran jest także na Liss. Darquis został razem z nim.

- On mówił, że to wszystko należy do twoich planów, hrabio - odezwał się Dars.

-

Wprawdzie tego nie rozumieliśmy, ale kiedy pozwolili nam od płynąć, byliśmy radzi.

Myśleliśmy, że się wykręciliśmy sianem... i wtedy nadpłynął „Książę”.

- Jaki książę? - spytał Biagio.

- „Książę Liss” - odpowiedział Kelara. - To okręt flagowy Prakny. Tamci wcale nie puścili naszych wolno. Kiedy już myśleli, że uszli cało, w nocy nadpłynął szkuner i ich zatopił. - Kapitan potrząsnął ponuro głową. - Widziałem wszystko, ale byłem zbyt daleko, by cokolwiek zrobić. Zresztą nie miałem żadnych dział. Jedyne, co mogłem zrobić, to uratować tego biedaka i przywieźć go tutaj.

Biagio słuchał zaskoczony. Nie obchodził go los „Pogromcy” ani jego załogi. W jego głowie utkwiała tylko jedna myśl, która dziko wrzeszcząc, domagała się uwagi.

Simon był na Liss! Było to niemożliwe, nieprawdopodobne, ale nieustannie huczało mu w uszach jedno, jedyne słowo. Zdrada.

- Nie może być! - ocknął się wreszcie. - Jakież sprawy mógłby mieć Simon na Liss? Nie dawałem mu takich rozkazów!

- Przysięgam, że to prawda - odparł bosman. - Słowo w słowo prawda. Simon Darquis przejął kontrolę nad naszym okrętem i kazał nam płynąć na Liss. I tam go zostawiliśmy. - Młodzieniec sapnął gniewnie. - Zawszony pies! Zdradził nas, panie, i zdradził twoje rozkazy. Zrobił to, klnę się na swój grób!

- Panie hrabio - wtrącił się Kelara - Ogromnie mi przykro. Wszystko to jest prawdą. Wyciągnęliśmy Darsa z wody i popłynęliśmy prosto tutaj. Sądziłem, że zechcesz usłyszeć te nowiny jak najszybciej.

Biagio milczał. Kelara spojrział pytająco.

- Mój panie?

- Tak, tak - wyszeptał hrabia. - Oczywiście, postąpiłeś jak należy, kapitanie.

Dars i Kelara spojrzeli na siebie ze zdziwieniem w oczach. Biagio wyglądał, jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu. Był oszołomiony, przygnieciony okropnymi nowinami i nie mógł się pozbierać. Simon go zdradził. Zdradził! Ta myśl była wprost nie do zniesienia. Gdyby hrabia się dowiedział, że jego przyjaciel jest martwy, rozpaczalby, ale jakoś w końcu by się z tym pogodził. Wieści o zdradzie zupełnie go załamały.

- Dziękuję, kapitanie Kelara - odezwał się wreszcie. - Musisz jednak wrócić do patroli.

- Tak jest, mój panie, jak tylko będziemy gotowi. Uzupełnimy zapasy i wracamy na morze. Chociaż myślałem, że uda się wykroić jeden dzień odpoczynku dla załogi i może weźmiemy na pokład kilku nowych marynarzy z innych okrętów.

- Cokolwiek zechcesz, kapitanie - odparł Biagio obojętnym tonem.

Bosman Dars postąpił krok do przodu.

- Panie... - zaczął. - Chciałbym się zaciągnąć na „Bystrego”. Zemszczę się na tych lisseńskich szcurach i odpłacę im, jak tylko będę mógł. Za twoim pozwoleniem...

Biagio podniósł wzrok.

- Zemsta? - spytał gorzko. - Oczywiście, dlaczego nie? Jeżeli Kelara znajdzie dla ciebie jakieś miejsce, możesz z nim popłynąć, nie widzę przeszkód. Zemścij się, jak chcesz, marynarzu. Ciesz się swoją maleńką zemstą.

Obaj marynarze skłonili się nisko i wyszli. Pogrążony w rozpacz Biagio prawie nie usłyszał odgłosu zamykanych drzwi. Ogarnęło go poczucie ogromnej samotności.

Spojrząwszy na szklanicę sherry odkrył, że jest pusta. Zerknął przez okno i stwierdził, że w ogrodzie też nie ma nikogo. Za szklanymi drzwiami rozciągała się strefa ciszy, której nie zakłócały nawet śpiewy odległych ptaków. Na Crote miała wkrótce zawitać zima, która wszystko zaciągnie białym całunem.

- Dlaczego? - wyszeptał hrabia. - Drogi mój przyjacielu, dlaczego mi to zrobiłeś?

Nie doczekał się odpowiedzi. Dał Simonowi wszystko - nie odmówił mu nawet Eris.

Obsypywał ulubieńca prezentami, dał mu wolność, odziewał go w wykwintne stroje i nie szczędził klejnotów, a jednak Simon go zdradził. Jak wielu głupców przed nim, dał się omotać czarom Richiusa Vantrana. Biagio jednym ruchem strącił szklanę z biurka, rozbijając ją o ścianę, a potem wstał gwałtownie z fotela, przewracając mebel na bok.

- Jak śmiałeś mi zrobić coś takiego?! - ryknął. - Jestem hrabia Renato Biagio!

Obok szafki bibliotecznej znalazł kolejną butelkę sherry. Przepelniony wściekłością przechylił ją i wypił kilkoma potężnymi haustami, rozlewając część trunku na jedwabną koszulę. W tej chwili przestało mu zależeć na dobrych manierach. Nie dbał o to, jak będzie wyglądał w oczach służby, ani co pomyślą sobie o nim inni. Ciągnął trunek jak prości majtkowie z okrętów Nicabara, nie odrywając wylotu szyjki od ust, dopóki nie opróżnił całej butelki. Na koniec cisnął pustym szkłem o ścianę, trafiając w bezcenny obraz, który natychmiast pokryła sieć pęknięć i plam po winie.

- O, Simonie, jeszcze z tobą nie skończyłem - warknął. - Kochałem cię! A tyś mną wzgardził!

Gorączkowo przeszukiwał komnatę wzrokiem, by znaleźć coś, co może rozbić, zmiażdżyć - i natrafił wzrokiem na wyrzeźbione w kości słoniowej popiersie Arkusa.

Ogarnięty nagłą nienawiścią go dawnego mentora i przewodnika podszedł, podniósł go razem z kolumienką, na której stał, i stęknawszy głucho, cisnął przez ogrodowe drzwi.

Odłamki rozbitego szkła rozprysły się na wszystkie strony.

- Obyś zgorzał w piekle, Arkusie! I ty, Simonie, smaź się obok niego!

Stracił nad sobą kontrolę, o czym doskonale wiedział, czując jak wypita sherry powoli zaczyna przejmować władzę nad jego umysłem. Ogarnęło go szaleństwo dające mu niemal fizyczną rozkosz i nie zamierzał mu się sprzeciwić. Opanowała go nienawiść i wciąż czuł ukłucia żądła nie odwzajemnionej miłości. Rozbijanie przedmiotów i wydawanie wściekłych wrzasków wcale nie zmniejszyły jego cierpień, które - przeciwnie - z każdą chwilą były większe. Przez jego głowę przelatowały błyskawicznie wizerunki różnych ludzi, którzy go zdradzili, lub porzucili - widział twarz Elliann, swojej żony, i

imperatora Arkusa, który umarł na jego rękach. Najczęściej jednak zwidywała mu się twarz Simona, człowieka, który go zdradził, który spopielił i wydarł mu serce z piersi. Mur, który Biagio wznosił, żeby odgrodzić się od innych, zaczął się walić, a razem z nim puściły wszelkie pęta, dzięki którym hrabia trzymał pod kontrolą swe okrucieństwo.

- Skrzywdziłeś mnie? - Syknał. - No to zobaczysz, co ja zrobię tobie!

Zaślepiiony gniewem wypadł z komnaty, a służby, na których natknął się po drodze, wciskali się w ściany, by uniknąć jego wściekłości. Simon nie miał na Crote prawie niczego.

Owszem, miał tu swoją posiadłość, w której jednak jako agent Roshannów prawie nie bywał i która nic dla niego nie znaczyła. Biagio chciał początkowo spalić wszystkie jego ubrania i cisnąć płonące szczątki w morze, zabraniając wszystkim pod karą śmierci wspominania jego imienia. Ale czy to w jakikolwiek sposób ugodzi w zdradzieckiego przyjaciela?

Tamten nawet się tym nie przejmie, a Biagio chciał, by cierpiał... cierpiał jak on sam.

Hrabia był w jakimś osobliwym stanie, jakby zawieszony pomiędzy światem prawdziwym i światem szaleństw; miał dostatecznie jasny umysł, by wiedzieć, co robi, ale nagle zapomniał, co to moralność.

Znalazł się przed swoim gabinetem muzycznym i jego zamkniętymi drzwiami. Te jednak go nie zatrzymały. Z głośnym okrzykiem furii wybił je jednym kopnięciem.

Jak się tego spodziewał, wewnątrz zobaczył Eris, która ćwiczyła przy poręczy pod ścianą.

Wtargnięcie hrabiego przeraziło ją. Biagio widział dziewczynę jakby przez czerwoną mgłę.

- Mistrzu? - szepnęła przerażona. - Co się stało?

Biagio ruszył na nią, drżąc cały.

- Zabrałaś mi go! - wychrypiał. - Przez ciebie zwrócił się przeciwko mnie!

Przerażona Eris cofnęła się aż do ściany. Hrabia szedł za nią, aż jego wysoki cień zasłonił jej twarz.

- Panie, proszę... - wyjąkała. - Co się z tobą dzieje?

Biagio chwycił ją za gardło. Eris szarpnęła się, usiłując krzykiem wezwać

pomocy, ale niewiele mogła wskórać przeciwko niewiarygodnie silnym palcom arystokraty.

Biagio drżał.

- Był mi drogi, dziewczyno - syknął jej w ucho. Spod opończy wyjął sztylet, który zawsze nosił przy sobie agenci Roshannów. - Tyś mi go odebrała. Terazja odbiorę coś, co jest drogie tobie...

Krzyki Eris słyszało dwudziestu niewolników. Żaden się nie ośmielił pobic jej na pomoc.

Dyana spędziła popołudnie w swoich osobistych komnatach, oddalonych od kwater niewolników. Była to cicha i spokojna część dworu, a ponieważ zjadła już obiad, rozsiadła się wygodnie do czytania książek z biblioteki Biagia, co jej pozwalało na doskonalenie znajomości nareńskiego języka. Mówiła już prawie płynnie i bez akcentu. Wciąż jednak miewała kłopoty z czytaniem i rozróżnianiem dziwacznych symboli na papierze, wertowała więc wszystko, co znalazła, niekiedy czytając trudniejsze słowa na głos.

Ponieważ nie miała na Crote zbyt wielu znajomych, najczęściej zostawała w swoich komnatach. Od wypadku z Savrosem dokładała starań, by nie natknąć się nigdzie na innego Narena. Oprócz Eris nie rozmawiała prawie z nikim, a Eris miała swoje codzienne ćwiczenia.

Tego dnia Dyana postanowiła, że nie będzie przeszkadzała przyjaciółce. Eris jej powiedziała, że już wkrótce wrócą do Nar, i musiała ćwiczyć codziennie, by utrzymać się w idealnej kondycji. Występ dziewczyny miał rzucić mieszkańców Nar na kolana - jak to przepowiedział Biagio. Dyana podniosła wzrok znad książki, uśmiechając się do swoich myśli. Nie była wiele starsza od Eris, ale niewinność tancerki czyniła z niej prawie dziecko.

Niezależnie od wszystkich okropnych czynów Biagia, Eris widziała w nim jedynie Mistrza.

Spojrzenie przez okno przekonało ją, że jest już późno. I nagle poczuła głód.

Minęła już pora obiadu i wkrótce powinni podać kolację. Ponieważ zawsze zjadała ją z Eris, postanowiła wyjść i poszukać przyjaciółki. O tej porze powinna ją znaleźć w sali muzycznej, gdzie bez końca powtarzała skomplikowane taneczne kroki.

Odłożywszy książkę na bok, wyszła z komnaty i pograżonymi w ciszy korytarzami przeszła do gęściej zamieszkanego części pałacu. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegła, były twarze mijanych przez nią sług, którzy wyraźnie unikali jej spojrzenia. Dyana też obserwowała ich spod oka. Dom Biagia pełen był niespodzianek, na które ktoś nieświadomy mógł się natknąć zupełnie bezwiednie. Kiedy zbliżyła się do sali muzycznej, spostrzegła zebrany przed jej drzwiami tłum. Pośród innych służących stała Kyla. Już z daleka Dyana spostrzegła przerażenie i zgrozę, malujące się na twarzach zebranych przed drzwiami niewolników. Kilka kobiet głośno płakało.

- Kyla? - zawołała. - Co tam się stało?

- Och, pani Dyano - jęknęła Kyla, podbiegając do swej pani. - To Eris. Mistrz ją okropnie skrzywdził.

Kyla wzdrygnęła się, jakby owionęła ją fala zimna.

- Co się stało? - powtórzyła Dyana, patrząc ponad ramieniem Kyli na tłum przerażonych sług. - Gdzie jest Eris? Co jej zrobiono?

- Niedobrze z nią, lady Dyano. Jest ranna. Mistrz Biagio... - Dziewczyna nie wytrzymała i rozplakała się bezradnie, jak dziecko. Dyana chwyciła ją za ramiona.

- Kyla, weź się w garść! Powiedz mi, co jej zrobiono! - zażądała. Wpadła w panikę i chciała czegoś się przynajmniej dowiedzieć. - Gdzie jest Eris? Dokąd ją zabrano?

- Zaniesiono ją do jej pokojów - odpowiedziała Kyla. Dziewczyna drżała jak w febrze i co gorsza, nie mogła się opanować. - Inni ją tam zanieśli i opatrzyli... Boże, tyle krwi...

Dyana nie czekała na dalsze wyjaśnienia, tylko rzuciła się biegiem do komnat Eris.

Przez głowę przelatywały jej rozmaite wyjaśnienia, jedno gorsze od drugiego. Co Biagio jej zrobił? Zgwałcił ją? Pobił? Gdy chodziło o dawanie nauczki nieposłusznym niewolnikom, potrafił wznieść się niemal na wyżyny sztuki. Biegąc do komnat przyjaciółki, Dyana zagryzła wargi. Jeżeli ten drań ją skrzywdził... Przed komnatą Eris znów natknęła się na gromadkę kobiet. Milczały groźnie, jakby stały na warcie. Drzwi do komnat tancerki były zamknięte. Dyana przepchnęła się do samego progu.

- Co tu się stało? - spytała. - Jak ona się czuje?

Stojąca przed drzwiami starsza kobieta z plamami krwi na sukni ponuro potrząsnęła głową. Dyana pamiętała jej imię - Bethia.

- Mistrz okaleczył ją nożem - powiedziała. - Eris ogromnie cierpi. Dałam jej coś na zmniejszenie bólu, ale... - Znów potrząsnęła bezradnie głową.

- Nożem? - szepnęła Dyana. - Pchnął ją nożem?

- Nie - Berthia położyła dłoń na ramieniu Dyany, jakby chciała jąuspokoić. - Zranił jątylko - powiedziała łagodnie. - W stopę.

Dyana zamrugnęła.

- Nie rozumiem - wyjąkała. - Dlaczego to zrobił?

- Żeby ją ukarać - odparła kobieta. Potem zaczęła opowiadać o nowych wieściach z Liss, i o tym, że Simon Darquis go zdradził. Kobieta wyjaśniła, że przyłączył się do męża Dyany i teraz razem pomagają Lisseńczykom.

Dyana nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Simon żyje? - spytała. - A co z...

- Twoja córeczka jest z nimi - oznajmiła jej Bethia. Na jej twarzy pojawił się szeroki, choć nieco smętny uśmiech. - Shani żyje, lady Dyano.

Dyana wybuchnęła płaczem. Bez śladu wstydu pozwoliła łzom spływać po twarzy.

Shani żyła! I była bezpieczna przy Richiusie! Wieści nie mogły być lepsze.

Tylko...

- Co się stało z Eris? Dlaczego hrabia ją zranił?

Rozmówczyni wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, dziecko. Przypuszczam, że w jakiś sposób chciał na niej wziąć rewanż za to, co nazwał „zdradą Simona”. Ale to niesprawiedliwe i okrutne. Obciął jej połowę stopy.

- O nie! - jęknęła Dyana. - Eris!

Musiała zobaczyć przyjaciółkę. Nikt ze sług nie zaprotestował, gdy ruszyła ku drzwiom. Zebrała całą swą odwagę i nawet nie pukając, pchnęła drzwi. Wewnątrz komnaty panował mrok; ktoś zaciągnął zasłony i zamknął okiennice.

- Eris? - odezwała się cicho. - To ja, Dyana.

- Dyano, odejdz proszę - rozległ się błagalny głos Eris. - Nie patrz na mnie, gdy

jestem w takim stanie...

Dyana zobaczyła przyjaciółkę, leżącą na łóżku pod przeciwległą ścianą. Całe jej drobne ciało przykrywały koce, ale okaleczona i obandażowana stopa wystawała poza krawędź materaca. Na widok wchodzącej Dyany Eris odwróciła twarz ku ścianie, kryjąc czerwone od płaczu oczy. Dyana nie zwróciła uwagi na błagania tancerki, proszącej, by sobie poszła. Przemknęła przez próg i zamknęła za sobą drzwi, co jeszcze pogłębiło panujący w komnacie mrok. Triinka ostrożnie przebrnęła przez ciemności, ale po chwili, gdy jej oczy przystosowały się do mroku, odnalazła łóżko Eris.

- Nie odsyłaj mnie, Eris - odezwała się łagodnie. - Pragnę ci pomóc.

- Nikt mi nie może pomóc. Zobacz, co on mi zrobił. Zobacz, co mi zrobił...

Z powodu panującego w komnacie mroku Dyana z trudem mogła zobaczyć okaleczoną stopę. Ale wiedziała, co miała na myśli Bethia. W pewnym sensie Biagio zabił Eris.

- I dlaczego mi to zrobił? - jęknęła Eris. - Żebym choć raz mu się sprzeciwiła...

- Och, Eris - westchnęła Dyana. - Tak mi przykro...

- Już nigdy nie zatańczę. Odebrał mi to, co było sensem mojego życia.

Dlaczego?

Na tak postawione pytanie Dyana nie miała odpowiedzi. Biagio oszalał. Było to jedyne możliwe wytłumaczenie. Dyana przyklęknęła obok łoża Eris i wsunęła dłoń pod koc, by ująć rękę przyjaciółki. Palce tancerki były zupełnie bezwładne. Eris patrzyła przed siebie spojrzeniem, które niczego nie dostrzegało.

- Eris, musisz być silna - zaczęła Dyana. - Proszę, nie poddawaj się. Ze względu na mnie... Jesteś mi tu potrzebna, bez ciebie zginę. Nie mam tu nikogo bliskiego oprócz ciebie.

- Nie mogę, Dyano - wyszeptwała nieszczęsna tancerka. - Straciłam wszystko, czym byłam. Odebrał mi to, co nadawało mojemu życiu jakąkolwiek wartość. Nic mi już nie zostało. Tylko śmierć...

- Nie umrzesz - upierała się Dyana. - Nie możesz, nie wolno ci. Nie pozwolę ci na to.

Życie to nie tylko taniec. Simon przecież żyje, Eris.

Dziewczyna skinęła.

- Wiem. Dlatego Mistrz mi to zrobił. - Odwróciła twarz ku ścianie. - Simon przestanie mnie teraz kochać. Jestem kaleką...

- Eris...

- Dyano, odejź proszę - zapłakała Eris. - Chce tylko, by mnie zostawiono w spokoju!

Dyana podniosła się z klęczek i przez chwilę stała nad łóżkiem. Wiele by dała za to, by jakoś ukoić ból przyjaciółki, ale nie było słów, jakimi mogłaby ją pocieszyć, ani zmniejszyć poczucie straty. Eris była tancerką, duszą i ciałem. Teraz stała się niczym...

Zamiast pięknej kobiety na łóżku leżała kukła.

- Zajrzę do ciebie później - odezwała się Dyana, przerywając milczenie. - Teraz odpocznij.

Eris nie odpowiedziała; leżała na łóżku, patrzyła w ścianę i milczała. Dyana pochyliła się, pocałowała ją w czoło, a potem odwróciła się i wyszła.

Tym razem jednak nie zamierzała ot tak, po prostu wrócić do swoich komnat.

- Gdzie jest Biagio? - warknęła ku niewolnikom. Stłoczyli się jak owce, bojąc się udzielić jej odpowiedzi. - Mówcie! - syknęła Dyana. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Bethią, z którą rozmawiała wcześniej. - Gdzie on jest? Musisz wiedzieć!

- Pani Dyano, zostaw go. Zdenerwuje się jeszcze bardziej.

- Nie broń tego potwora - warknęła Dyana, niemal dławiąc się z gniewu. - Niech mi tylko ktoś powie, gdzie go znajdzie.

- Nie wiem - odpowiedziała Bethia.

- Ale ja wiem - wpadł jej w słowo cienki głosik. Przed grupę wystąpiła jedna ze służących. - Widziałam, jak wychodził przez południową bramę i szedł ku plaży.

Nie dziękując dziewczynie, Dyana rzuciła się do południowej części pałacu.

Bethia coś za nią wołała, ona jednak nie zatrzymała się nawet, by posłuchać. Była wściekła i chciała porozmawiać z Biagiem, zanim gniew w niej zdąży ostygnąć.

Nieopodal południowej bramy stali dwaj strażnicy. Dyana przygotowała się na spór, ale ku jej zdziwieniu obaj bez słowa rozsunęli się na boki. Gdy wyszła na zewnątrz, w twarz ugodziły ją promienie słońca. W pewnej odległości od pałacu zobaczyła siedzącego na piasku Biagia, który patrzył tępo na kołyszące się na falach, dalekie okręty wojenne.

Wyglądał na zagubionego, opuszczonego i przygnębionego - wszystko w znacznie większym stopniu, niż w nocy, kiedy natknęła się na niego, gdy zażywał eliksir. Stłumiła pierwszy poryw wściekłości i podeszła bliżej. Wiatr przybrał na sile i rozbryzgi piany, niesionej jego porywami, ostro chłostały twarz hrabiego. Dyana, która nie miała opończy, zatrzęsła się z zimna. „Nie boję się go” - powiedziała sobie.

- Biagio! - zawołała.

Usłyszawszy jej głos, Biagio po prostu potrząsnął głową. Dyana podeszła bliżej i spojrzała na niego z góry. Miał zwichrzone, mokre od morskiej piany włosy, a na jego koszuli widać było czerwone plamy po winie. Kiedy w końcu podniósł na nią wzrok, zobaczyła, że ma czerwone od łez oczy. I twarz, którą można było nazwać jedynie twarzą szaleńca.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - odezwał się na poły z drwiną, na poły z gniewem w głosie. - I co? Nazwiesz mnie bydlęciem?

- Draniu! - zawrzała Dyana. - Jak mogłeś?

- Hrabia Biagio robi, co mu się podoba, kobieto. Nikogo nie musi pytać o pozwolenie.

Kierując się impulsem wściekłości, trzasnęła go w twarz. I nagle zapadła pełna obustronnego zdumienia cisza. Dyana cofnęła się krok, pewna, że tym gestem wydała na siebie wyrok. Biagio jednak wcale nie wpadł w furję. Zamiast tego podniósł dłoń do twarzy zrobił - co Dyane naprawdę zdumiało - skruszoną minę.

- Mów! - nalegała Dyana. - Nie waż się mnie ignorować. Nie jestem jedną z twoich niewolnic. I wcale się ciebie nie boję!

- Kobieto, jesteś taka sama, jak twój mąż. Oboje niczego się nie boicie. - Hrabia przerwał na chwilę. - Czy wiesz, co się stało?

- Chyba wiem. Przyszły wieści, że Simon żyje.

- Jest na Liss.

- To nie powód, by okaleczyć Eris. Przebóg, wielki hrabia Biagio postąpił jak rzeźnik!

- On mnie zdradził! - zawrzał gniewem Biagio. - Po tym, jak dałem mu wszystko!

Jest na tych przeklętych wyspach razem z twoim mężem... Ja mu tylko odebrałem to, co przedtem on mi zabrał.

- Nie miałeś prawa...

- Miałem, a jakże! - wrzasnął, trzęsąc się z wściekłości. - Jestem hrabia Renato Biagio! Eris należy do mnie i mogę z nią zrobić, co zechcę! Wszystko na tej wyspie należy do mnie! - Rozejrzawszy się dookoła, zaczął mówić sam do siebie. - Już wkrótce całe Imperium będzie moje. Wszystko wróci do dawnego stanu i będzie takie, jak być powinno.

Zasiądę na Czarnym Tronie i przywrócę Czarne Odrodzenie! Mój wspaniały plan spełni się co do joty!

Był tak roztrzęsiony, że prawie nie rozumiał, co się do niego mówiło. Dyana nie wiedziała, odejść czy zostać. Ale strażnicy Biagia przepuścili ją nie bez powodu. Wiedziała, że jest potrzebna temu szaleńcowi.

- Nie mówisz mi wszystkiego. - Postanowiła wyjaśnić wszystko od razu. - Twoi strażnicy pozwolili mi przejść. Dlaczego?

Biagio wzruszył ramionami.

- Słyszałaś nowiny?

- Jakie nowiny?

- O Simonie. I twojej córeczce.

- O Shani? Co o niej wiesz?

Biagio potrząsnął głową w geście czystej desperacji.

- Dlaczego udajesz taką idiotkę? Twoja córeczka żyje. Myślałem, że powinnaś się o tym dowiedzieć. To wszystko.

Niewiarygodne wyznanie na moment odjęło Dyanie mowę.

- To właśnie chciałaś mi powiedzieć? - spytała po chwili. - Dlatego polecieś strażnikom, by mnie przepuścili?

- A po cóżby innego? - odpowiedział Biagio obojętnie. - A teraz możesz już odejść.

Żegnaj.

- Nie odejdę - odpowiedziała. - Jeszcze nie. - Opadła na kolana w piasek, dość blisko, by wyczuć oddech Biagia. Był okropny. Cały urok hrabiego rozmył się w potoku łez.

Kiedy Dyana przysunęła się bliżej, hrabia zamrugnął i odwrócił twarz.

- Nie chcę, byś tu była - rzucił. - Odejdź.

Dyana uśmiechnęła się nieco sztucznie. Z tym szaleńcem należało postępować bardzo ostrożnie i łagodnie, pewna jednak była, że czyni postępy.

- Zniszczyłeś ją - stwierdziła. - Czy wiesz, jak okropny to czyn?

- To moje prawo! - syknął. - Eris jest moją własnością. Ty zresztą też, czy ci się to podoba, czy nie!

- Nie jestem niczyją własnością! - wykrzyknęła Dyana. - Jestem wolną kobietą!

Biagio parsknął śmiechem.

- Jesteś moim więźniem, chyba że potrafisz popłynąć stąd wpływ na Lucel - Lor. I nie lekceważ mnie, kobieto, tylko dlatego, że traktuję cię wyjątkowo uprzejmie. Dziś dałaś mi jeszcze jeden powód do tego, bym cię znienawidził tak samo, jak nienawidzę twego męża.

Jeżeli mnie się nie boisz, to jesteś głupia!

Dyana nawet nie drgnęła.

- Nie boję się. Już nie. Spójrz na siebie... Płaczesz, bo straciłeś kogoś, kogo kochałeś. Nigdy przedtem nie sądziłam, że to możliwe, ale wiem już, jaki jesteś naprawdę.

Och, możesz sobie mówić o tym, jaki to jesteś wyjątkowy, ale to nieprawda.

Jesteś jak każdy inny człowiek.

- Nie jestem taki, jak inni - odparł urażony Biagio. - Wkrótce zostanę imperatorem i wtedy będziesz się do mnie zwracać z należnym mi szacunkiem... Nie ośmielisz się mówić do mnie takim tonem jak dzisiaj. - Spojrzał na nią drwiąco. - Dyano Vantran, zabiorę cię ze sobą do Czarne Grodu. Nie myśl, że zdołasz się wykręcić.

Dyana potrząsnęła głową.

- Obojętnie, co zrobię, ty i tak nie będziesz słuchał, prawda? Przepelnia cię nienawiść!

- Mam po temu swoje powody! Twój mąż wciąż mi kogoś odbiera. Odbiera, odbiera, odbiera! Na początku odebrał mi Arkusa! I Imperium! A teraz... - Biagio przerwał. - Teraz moja kolej. Ty będziesz przynętą. A kiedy przybędzie, by cię ratować, schwycę go jak swego! Och, obiecuję ci, że szybko z nim nie skończę!

- Jesteś szalony - stwierdziła Dyana. Podniosła się z kolan, zrozumiałszy

daremność swoich wysiłków. - I masz rację. Ja jestem głupia. Myślałam, że zdołam cię przekonać, jak bardzo się mylisz. Myślałam, że uda mi się przedrzeć przez zapory twego szaleństwa, skłonić cię do tego, byś mnie wysłuchał. Ale wszystko na próżno. Nikt nie zdoła do ciebie dotrzeć. - Westchnęła ze smutkiem. - Jeżeli chcesz odzyskać Nar, proszę bardzo, bierz się do dzieła. Ale nie licz na to, że kiedykolwiek potrafisz mnie przestraszyć. Nigdy nie będziesz moim panem.

Biagio uśmiechnął się lekko.

- Jestem przy zdrowych zmysłach na tyle przynajmniej, by pamiętać o naszej ugodzie, Dyano Vantran. Nigdy już nie podejmę żadnej akcji przeciwko twojej córeczce. Nie muszę, skoro mam ciebie. Zechciej o tym pamiętać.

Dyana spojrzała na hrabiego, zupełnie zaskoczona. Nie rozumiała złotowłosego arystokraty, w którym najwyraźniej żyło dwóch różnych ludzi. Dotarł na przeciwległy kraniec świata, by porwać jej córeczkę, a teraz obiecywał jej bezpieczeństwo. Po chwili zrezygnowała z prób zrozumienia motywów, jakimi się kierował, wzruszyła po prostu ramionami.

- Nie spodziewaj się, że kiedykolwiek jeszcze do ciebie przyjdę - oznajmiła hrabiemu.

- Nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie ani słowa.

Potem odwróciła się i odeszła, zostawiając Biagia jego ponurym myśłom.

Eris leżała w swojej komnacie, pogrążona w narkotycznym śnie. Lek, jaki dała jej Bethia, wspaniale złagodził jej ból, nie stłumił jednak wcale poczucia straty.

Przez całe życie ćwiczyła, doskonaląc sztukę taneczną - taniec nadawał jej życiu sens i znaczenie. Nie była niewolnicą - była artystką, którą szanowano i której występów wszyscy wyglądali z największą niecierpliwością.

Teraz zaś stała się nikiem.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Mistrz jej to zrobił. Wiedziała tylko, że to zrobił, że nigdy już nie będzie mogła nawet chodzić jak zwykły człowiek, a tym bardziej nie będzie mogła tańczyć w Nar przed zgromadzonymi tam szlachetnymi widzami. Jej dziecięce sny rozwiały się jak dym. Czekala ją nieznośna pustka... i zapomnienie.

„Teraz jestem nikiem” - pomyślała. Głos ten dzwięczał w jej głowie, wzmocniony działaniem podanego jej wcześniej środka oszałamiającego. „Nie chcę być tutaj”.

Pokonując ból, wstała z łóżka i ściągnęła jedno z prześcieradeł.

Skręciła je w długą linę, którą przywiązała do jednego z haków do podtrzymywania lamp, wbitego wysoko w ścianę. Nie odsłoniła okiennic. Z wielkim mozołem dopchnęła do ściany krzesło, wspięła się na nie chwiejnie, a drugi koniec prowizorycznej, choć mocnej liny zadzierzgnęła w pętlę i założyła sobie na szyję.

O tym, że się zabiła, dowiedziano się znacznie później, kiedy wieczorem tego dnia odwiedziła ją Dyana.

Trzydzieści siedem EESTRII

Otworzywszy szeroko oczy, Lorla patrzyła na arcydzieło Daraga. Od ponad godziny do katedry napływał nieprzerwany strumień wiernych, którzy zachwycali się dziełem wielkiego artysty, odsłoniętym przez niego samego przy dźwięku fanfar. Dorianie i mieszkańcy Pogórza, pielgrzymi z Casarhoonu i rodziny z dalekiej Criisii, wszyscy przybyli podziwiać rezultat długiej pracy mistrza. Tysiące wiernych nappełniło katedrę i tereny do niej przylegające. Pośród tłumu przeciskali się kapłani i członkowie świątynnej straży utrzymujący porządek, ale niewiele mieli zajęcia, bo nawet płaczące dzieci przerywały utyskiwania, spojrzawszy w górę, oszołomione pięknem wielkiego malowidła. Cała nawa pełna była wiernych, a poza nią ustawiała się długa kolejka, która wiała się poprzez parter całej budowli i rozciągała na zewnątrz, gdzie wszyscy czekali cierpliwie, aż nadejdzie ich czas, by obejrzyć dzieło wielkiego artysty Daraga. Wszyscy wiedzieli, że zawdzięczali ten dzień Jego Świątobliwości.

Lorla czekała w wielkiej nawie, podziwiając freski razem z innymi. W święto Eestrii, najważniejsze w nareńskim kalendarzu, przypadały także jej urodziny. A może tę datę wmówił jej Mistrz Biagio? Nie była już tego pewna. Wiedziała jedynie to, że ma do wykonania misję.

O której powiedział jej anioł.

Przemówił do niej bezcielesnym głosem, który pojawił się znikąd w jej głowie. Za każdym razem, gdy spojrzała na anioła, głos przypominał jej o tym, co ma zrobić.

Niespodziewanie wszystko sobie przypominała. Pamiętała chłód pomieszczeń pracowni wojennych, dziwne eliksiry, którymi ją pojono, i ukłucia igieł. Wszystkie twarze, które od tak dawna były w jej pamięci tylko widmowymi zarysami, nagle pojawiły się jasne i wyraźne.

Zobaczyła Biagia. Miał złote włosy i urzekający uśmiech. Zobaczyła też jakiegoś karła, ale nie pamiętała jego imienia. Poczula się nagle inną osobą... i to ją przerażało.

Niedaleko od niej, trzymając się nieco z boku, stał Darago z dumnym uśmiechem na twarzy, i patrzył na pielgrzymów podziwiających jego dzieło. W pewnej chwili odwrócił się do Lorli i mrugnął do niej porozumiewawczo. Odesłał asystentów i stał

samotnie, chlubiąc się swoim dziełem. Tłum darzył go nieustannymi wyrazami uznania. Wszyscy z miejsca pokochali to, co dla nich zrobił, a niektórzy zalewali się łzami, ujrawszy wymalowane na sklepieniu nawy jego wizje świętych ksiąg. Postacie, które wcześniej pokazywał Lorli, przesycone żywymi barwami tętniły teraz życiem. Sierota Elioës odbierała dar Boży.

Zdradzony Adan opuszczał raj, a na innym malowidle jego dzieci wzajemnie się zabijały.

Lorla patrzyła na wielkie bitwy, tworzenie dusz i wraz z innymi widzami zaśmiewała się z komicznej postaci świętego Judika, który zdradził Boga. Wszystko to objaśnił jej ojciec Herrith. Ukazał jej ścieżkę prawości i odsłonił przed nią tajemnice świętych ksiąg. Teraz, patrząc na malowidło przedstawiające świętą Elioës, nie czuła się już sierotą.

Była kochana.

Ale Herrith był wrogiem Biagia. Nie wiedziała, dlaczego tak jest, ale tak właśnie było.

A mistrz był jej prawdziwym ojcem. Uratował ją przed okropnym życiem, jakie musiałyby wieść ze swymi rodzicami, i wybrał ją, ponieważ była kimś wyjątkowym. Nawet anioł jej mówił, że jest kimś wyjątkowym. Patrzyła teraz na niego z przeciwległego krańca nawy.

Wspaniały model katedry też wystawiono na widok publiczny i trzeba powiedzieć, że budził tyleż zachwytów i przyciągał tyleż samo pełnych podziwu spojrzeń, co arcydzieło Daraga, wywołując grymas zazdrości na twarzy mistrza. Podobnie jak freski na sklepieniu, model katedry był cudem samym w sobie, i wszyscy, którzy go oglądali, prześcigali się w zachwytach nad pomysłowością i precyzją wykonania, uznając jednocześnie ogrom uczucia, jaki w niego włożono. Wszyscy... oprócz Lorli, która znienawidziła model w tej samej chwili, w której go zobaczyła. Był doskonale piękny, ale tkwiło w nim coś złowrogiego, i ujrawszy go, pojęła natychmiast, że w jego wnętrzu czai się coś złego.

„Złego?” - spytała sama siebie. Nie, to było niemożliwe. Tak chciał Mistrz, który zawsze miał swoje powody. Potrząsnęła gniewnie głową, jakby chciała stłumić brzęczące wewnątrz niej głosy. Spierała się z nimi, one zaś ją karmiły, i wiedziała, że po części mają

rację.

- Mistrz Biagio dał ci życie - mówiły jej. - Czy chcesz go zdradzić?

Przepelniona poczuciem winy Lorla nie mogła im nie przyznać racji. Biagio był jej panem. Dał jej życie. Nie mogła temu zaprzeczyć. Ale Herrith obdarzył ją swą miłością. Stary człowiek zdobył jej serce i nie chciała go skrzywdzić. Przybyła do tej katedry, spodziewając się zastać w niej diabła, a znalazła łagodnego, pełnego troski opiekuna. Co więcej, nie przejrzał jej oszukańczej gry. Dla niego była idealną, grzeczną ośmioletnią dziewczynką.

„Jestem potworkiem - powiedziała sobie z goryczą. - Ani ze mnie kobieta, ani dziecko”.

Diuk Lokken i Kareena, diuk Enli i Nina, wszyscy oni w taki czy inny sposób dawali jej do zrozumienia, kim jest, ale nie Herrith. Ten po prostu akceptował ją taką, jaką była. On jeden pozwolił jej być dzieckiem, jakim mogłaby być, gdyby w sprawę nie wtrącili się uczeni z laboratoriów Biagia.

- Mistrzu Biagio - szepnęła z rozpaczą w głosie. - Nie zmuszaj mnie, bym to zrobiła.

Nie chcę...

Głosy odpowiedziały jej gniewnymi wrzaskami. Lorla wybuchnęła płaczem. Stojący człowiek, który w otoczeniu swej rodziny podziwiał sklepienie, spojrzął na nią i podszedł, by ją pocieszyć.

- Co się stało, dziecko? - spytał. - Czy ktoś cię skrzywdził?

Lorla podniosła spojrzenie na pytającego. Mężczyzna był bardzo wysoki i dziewczynka nagle zdała sobie sprawę z faktu, jak sama jest niska. Ubrany był w proste szaty i nie wyglądał na szlachcica, a członkowie jego rodziny byli jak on rośli i mieli solidną, krzepką budowę ciała. Chłopiec, dziewczynka i kobieta o zmęczonej twarzy - wszyscy stali, patrzyli na sklepienie i milczeli w nabożnym podziwieniu. Lorla zerknęła na swoją bogato zdobioną sukienkę i nagle poczuła wstyd.

- To nic - odparła szybko. - Patrzą na malowidła. Są bardzo piękne.

Jakże łatwo przychodziły jej łgarstwa.

- Nie inaczej - zgodził się nieznajomy. - Dziś możemy tu zobaczyć, co Bóg dla nas zrobił. To takie piękne. On chce, by cały świat był piękny. Ponieważ to niemożliwe,

posyła nam ludzi, takich jak Darago, którzy ukazują nam Niebios.

Lorla zamrugła, zaskoczona mądrością, jaką znalazła w słowach nieznajomego.

- Naprawdę? Wierzysz w to?

- Ależ tak! - odpowiedział zapytany. - Na świecie jest wiele zła. Ale bywają chwile, w których dane nam jest zobaczyć skrawek Niebios. - Ponownie spojrzął na sklepienie i na jego twarzy znów pojawił się uśmiech zachwytu. - Bóg planuje na większą niż ludzka skalę, dziecko, a człowiek jest tylko małą cząstką boskiego zamysłu. Nikt nie może się przeciwstawić Bogu, lub naturze... nawet tak wielki człowiek, jak Herrith.

- Nie? - spytała dziewczynka.

- Nie - odpowiedział mężczyzna z powagą w głosie. - Jest pewien porządek rzeczy ustanowiony przez Boga. Nie jest rzeczą człowieka stawanie przeciwko niemu.

Wypowiedziawszy te niezwykle słowa, odszedł, zostawiając Lorlę, by mogła nad nimi pomyśleć. Dziewczynka patrzyła jak przyłącza się do swej rodziny i wszyscy razem znikają w tłumie. Ponownie spojrziała na model katedry, ustawiony po drugiej stronie nawy.

Wokół niego też zebrał się tłum ogarniętych zachwytem widzów.

Ujrawszy ich wszystkich, Lorla zadrżała. Wkrótce do wiernych wygłosi swe orędzie ojciec Herrith. Kiedy skończy, opuści katedrę by ogłosić wszystkim odpuszczenie grzechów.

Czasu było coraz mniej.

Arcybiskup Herrith, wsparłszy czoło na złożonych dłoniach, siedział na niewielkim balkonie nad Placem Męczenników. Nieopodal ustawił się ojciec Todos i kilku innych kapłanów, którzy patrzyli przez szklane drzwi na tysięczne tłumy zebrane w dole.

Dorocznego orędzia biskupa przyszły wysłuchać gromady wiernych. Herrith słyszał pomruk tłumy, który przypominał mu szum oceanu. Wiedział, że tego roku wierni spodziewali się od niego wielkich słów.

On jednak nie wiedział, co im rzec.

Po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat biskup nie przygotował swojego orędzia.

Ostatnie dwa dni spędził na żałobie po śmierci Vorta i walce z własną słabością, która była skutkiem głodu narkotycznego. Nie uczestniczył nawet w odsłonięciu sklepienia - na co czekał cierpliwie przez wiele lat. Przeżył okropny dzień i był ogromnie wyczerpany.

W całym mieście pienią się pełne niepokoju plotki. Na horyzoncie czaiły się okręty Nicabara, widoczne z każdej niemal ulicy. Ludzie po prostu się bali.

Zastanawiali się, gdzie jest Vorto i dlaczego Herrith nie odesłał Czarnej Floty. Wszyscy patrzyli z oczekiwaniem na Katedrę Męczenników, szukając oparcia w Kościele i biskupie, który przyjął na swoje barki ciężar odpowiedzialności za ich los. Zamknawszy oczy, zaczął się modlić.

- Pomóż mi Ojcze, który jesteś w Niebiosach. Pomóż mi pokonać demona, który mnie opanował... choćby na jeden dzień. Zgrzeszyłem, bo jestem słaby. Pomóż mi.

Był to Dzień Odpuszczenia Grzechów, w którym Herrith miał zejść pomiędzy ludzi i udzielać im rozgrzeszenia w imieniu Boga. Gdy o tym pomyślał, opanował go pusty śmiech.

Jakże on, skażony grzechem, mógł udzielić komukolwiek rozgrzeszenia?

- Ojcze, na moich rękach jest tyle krwi - ciągnął. - Tak często błądziłem.

Wszystko jednak czyniłem dla ciebie. Ja...

Przerwał, nie mogąc kontynuować. Czarne Odrodzenie było złośliwą, śmiertcioną naroślą. Biagio był diabłem. Bóg wyznaczył Narenom rolę do odegrania w swoim planie.

Czyżby wszystkie te prawdy okazały się fałszem? Biskup już nie umiałby odpowiedzieć na to pytanie.

- Wasza Świątobliwość... - Todos delikatnie trącił go w ramię. - Już czas.

Wszyscy czekają.

Herrith otworzył oczy i spojrzał na pomocnika. Stary kapłan wyglądał na zaniepokojonego. „Czyżbym wyglądał aż tak źle?” - zdumiał się biskup. Wiedział, że w nocy głód narkotyczny dopadnie go z całą siłą, będzie miał gorączkę i legnie na łóżku niezdolny do ruchu. Po zjedzeniu czegokolwiek targną nim torsje, a dźwięki muzyki przejmą go takim bólem, że będzie miał ochotę krzyczeć. Teraz jednak wcale go to nie przerażało.

Chciał tylko przeżyć ten dzień. Jeżeli przyjdzie mu dziś w nocy skonać w łóżu, stanie przed Bogiem i wyzna mu swoje grzechy, Bóg zaś go osądzi na dobre i na złe, a potem ukarze lub nagrodzi żywotem wiecznym.

- Czekają? A owszem, spodziewam się... - Uśmiechnął się krzywo.

Todos podał mu dłoń.

- Wasza Świątobliwość, dasz radę stać o własnych siłach?

- Chyba tak - odpowiedział Herrith, rezygnując z pomocy przyjaciela. - Na razie...

- Wstał i zwrócił się w stronę balkonu. Przez przejrzyste szyby widział ocean twarzy mieszkańców Czarnego Grodu, którzy zebrali się przed Katedrą Męczenników w oczekiwaniu na swego pasterza. Niektórzy uważali, że Narenie nie mają innego boga poza nimi samymi, Herrith wiedział jednak, że to nieprawda. Obawiali się przyszłości, jak każdy, i jak wszyscy spoglądali w niebo, szukając odpowiedzi. U niego zaś szukali wsparcia.

Herrith odetchnął głęboko i skinieniem głowy dał znak czekającym u szklanych drzwi kapłanom. Gdy ci otworzyli oba skrzydła, wyszedł na balkon, gdzie powitał go radosny ryk tysięcy gardel.

Zwrócony plecami do tłumu Redric Bobs stał pomiędzy innymi zebranymi na placu przed katedrą i patrzył w górę na balkon. Wokół niego stali rozmaici ludzie, wierni Narenie, którzy przyszli posłuchać orędzia biskupa i zaczerpnąć z niego mądrości. Lalkarz poczuł dreszcz podniecenia. Przybył na plac jako jeden z pierwszych i cierpliwie czekał na pojawienie się Herritha. Kiedy uwielbiany przez tłum biskup stanął na balkonie, wokół podniosły się wiwaty i okrzyki radości. Kobziarz nie wiwatował. A kiedy zobaczył Herritha, zdziwił się.

- Mój Boże! - jęknął. - On wygląda okropnie!

Stojący obok niego zakapturzony człowieczek też podniósł wzrok w górę. Bovadin zerknął na balkon spod kaptura i uśmiechnął się złośliwie.

- Elixir - szepnął. - Jego brak zaczyna mu się dawać we znaki.

Kobziarz kiwnął głową, jakby zrozumiał. Bovadin był skrytym człowiekiem, którego emocje i sekrety odbijały się niekiedy tylko w jego błękitnych oczach. Redric Bobs wiedział co nieco o dodających wigoru eliksirach używanych przez ludzi z kręgów władzy.

Ujrawszy biskupa, skrzywił się i zmrużył oczy. Herrith wyglądał przerażająco. Bobs, choć nienawidził Kościoła i jego sług, nie ucieszył się, ujrawszy okropny stan Jego Świątobliwości.

Tymczasem ludzie wiwatowali i wiwatowali, aż wreszcie Herrith podniósł drżącą dłoń, by ich uciszyć. Lalkarz skrzywił się drwiąco i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Posłuchajmy tych głupstw - stwierdził zimno. Stojący obok niego zakapturzony Bovadin potrząsnął głową.

- Mistrzu Bobs, Herrith to utalentowany mówca, który umie przekonać do swoich racji. I wiele wie o ścieżkach, jakimi chadzają wyroki Pańskie.

- Nie jestem zainteresowany - zadrwił lalkarz. - Przyszedłem tu tylko by popatrzeć na... uroczystości.

- To już niedługo - odpowiedział Bovadin. - I wierz mi, mistrzu Bobs, będziesz oszołomiony.

W głosie naukowca dźwięczała prawdziwa duma. Redric Bobs jednak wcale jej nie czuł. Tak naprawdę nie zamierzał się chełpić tym, że zbudował doskonały model katedry i tym, że przemycił go skrycie do nawy. Wszystko było sprawą zwykłej konieczności.

To, co robił dzisiaj, czynił dla własnej satysfakcji. A jednak nie był z siebie dumny.

- I co? - szepnął, nachylając się do ucha karła. - Kiedy to się stanie?

- Dziewczynka musi pierwiej uruchomić urządzenie zapłonowe - odparł Bovadin.

- A to stanie się dopiero po tym, jak Herrith wygłosi swoje orędzie. Ale z serca ci radzę: gdy będzie udzielał sakramentu rozgrzeszenia, stań gdzieś z tyłu...

Rozgrzeszenie... Kobziarz Bobs zagryzł wargi. Pomimo wszystko pozostał człowiekiem wierzącym. Nikt o tym oczywiście nie wiedział, ponieważ od lat nie przystępował do sakramentów i nie bywał w kościele, ale na swój sposób święcił dni święte, i gdy zegar odliczał chwile pozostające do fatalnej godziny, a Herrith stał na balkonie z wyciągniętymi ku niebu ramionami, lalkarz zastanawiał się nad swoim udziałem w nadciągających nieuchronnie wydarzeniach i nad swoim miejscem w Niebiosach.

- Wiesz, trzeba to było zrobić - odparł, jakby myślał o czymś innym. - Tak, tak,

nie da się inaczej.

Bovadin uśmiechnął się szeroko.

- Mnie nie musisz przekonywać.

- Ale to prawda - nalegał Kobziarz. - On jest złym człowiekiem. Czyni zło, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Skrzywdził bardzo wielu ludzi. Skrzywdził mnie i moją żonę.

Bovadin uniósł głowę i przyjrzał się uważnie współnikowi.

- Mistrzu Bobs, uspokój się. I nie szukaj u mnie wsparcia.

- Nie szukam - odparł Bobs. - Dokładnie wiem, co robię. I wiem, co zrobiłem. A teraz zechciej zamilknąć. Pragnę posłuchać tego, co powie.

Stojący na balkonie wysoko ponad tłumem Herrith rozpoczął kazanie. Mówił drżącym i cichym głosem. Redric Bobs z trudem łowił uchem jego słowa. Poirytowany, syknął na sąsiadów, by pozamykali gęby. Najbliżsi w zasadzie tylko oddychali, ale Kobziarza drażnił nawet świst ich oddechów.

- Co on mówi? - Nachylił się do Bovadina.

- Zawrzyj gębę, bałwanie! - warknął zapytany.

I oto głos Herritha zaczął nabierać siły. Redric Bobs pochylił się ku przodowi, spodziewając się, że zmniejszenie odległości choć o kilka cali pomoże mu lepiej słyszeć.

Tysiące patrzących z niedowierzaniem na swego biskupa ludzi wokół niego zrobiło to samo.

Bobs poczuł nagle, że opanowują go mdłości. Wyglądało na to, że Herrith lada moment straci przytomność. A te krople na jego twarzy... czyżby to były łzy?

- ...wybaczenie - ciągnął biskup. By utrzymać równowagę, oparł dłonie o poręcz balkonu. - Nikt z nas nie jest bez grzechu. Grzech splamił i moją duszę.

Bobs aż się cofnął, zdumiony tak niesłychanym wyznaniem. Patrzył na Herritha niczym rażony gromem i widział, jak słaby człowiek z każdym słowem nabiera sił, aż w końcu jego głos zagrzmiął nad placem niczym głos samego Boga.

- I tak jak wy wszyscy, którzy przyszlście tu prosić Boga o wybaczenie grzechów - ciągnął Herrith potężnym głosem - tak i ja klękam w obliczu Pana i błagam go o odpuszczenie moich. Poprowadziłem Imperium na drogę zła. Powołując się na Boga, zabijałem i kaleczyłem. Myślałem, że taka jest Jego wola. Ale byłem w błędzie.

Przerwał, a na placu zapadła straszna cisza. Słuchacze nie spuszczaali z niego wzroku.

Redric Bobs też. Serce lalkarza miękło jak wosk z każdym nowym słowem, a gdy biskup zapłakał, otwarcie i bez wstydu, poczuł, że jego gardło ściska wzruszenie.

- Och nie... - szepnął do siebie. - Nie rób mi tego, draniu...

- Kiedy się obejrzyicie, zobaczycie w porcie okręty wojenne - oznajmił Herrith.

-

Do naszej ojczyzny znów zawitała wojna. Robiłem, co mogłem, by zachować Nar w pokoju.

Ale by to osiągnąć, krzywdziłem ludzi i zabijałem... i moja dusza zbrukana jest krwią.

Błagam Boga, by mi przebaczył. - Znów wyciągnął ramiona, tym razem ku stojącym w dole. - Błagam i was...

Znów nastąpiła chwila ciszy, przerywana pierwszym przepełnionym współczuciem okrzykiem sympatii, który natychmiast został wsparty przez drugi i trzeci głos, aż nad placem zagrzmiały tysiące głosów... aż wreszcie wszystkie gardła na placu zagrzmiały niczym ryk morza. Bobs nagle zmartwiał.

- Co on gada? - syknął Bovadin. Uczony odrzucił kaptur w tył i wbił ostry wzrok w Kobziarza. - Co to znaczy?

Redric Bobs westchnął ciężko.

- Prosi nas o przebaczenie, odmieńcie.

- Oszukuje - warknął karzeł. - To kolejna z jego sztuczek. Nie słuchaj go! Nie wierzcie mu!

Nie wyglądało to jednak na udawanie. Redric Bobs wiedział, że łyż Herritha są prawdziwe, bo nikt na świecie nie potrafiłby tak udawać. Lalkarz ponuro potrząsnął głową.

Za późno. Na wszystko było już za późno. Wszyscy pchali biskupa do zguby, a teraz broń, którą przeciwko niemu wymierzili lada moment mogła wypalić... zupełnie niepotrzebnie.

- O Boże! - jęknął. - O mój Boże!

- Zamknij gębę, idioto! - syknął Bovadin. - Nie zrobiliśmy niczego złego.

Redric Bobs spojrział na niego z gniewem w oczach.

- Owszem, zrobiliśmy - odparł ponuro. - I nie możemy nic zrobić, by temu zapobiec.

Loda nie wyszła na plac z innymi, by posłuchać orędzia Herritha. Została w wielkiej nawie i nieprzerwanie patrzyła na model katedry. W ogromnej sali była sama - jeżeli nie liczyć mistrza Darago. Artysta nie odrywał wzroku od sklepienia i patrząc na swe malowidło, poruszał wargami, jakby się modlił. Z góry na Lorłę patrzyła Elioes i inni święci, odmalowani tak, jakby byli żywi. Lorla pragnęła, by do niej przemówili - co może pomogłoby jej uporać się z huczącymi w jej główce głosami. Czuła się tak, jakby na jej piersi spoczął wielki ciężar.

Zastanawiała się, co takiego zrobiono z nią w laboratoriach wojennych i dlaczego ból nagle stał się tak nieznośny. „Czy tak właśnie się czują osoby szczególne?” Czas płynął coraz szybciej, a głosy coraz natarczywiej ponaglały ją do poruszenia anioła. Maleńka figurka unosząca się nad bramą modelu wzywała ją jakby dźwiękami trąbki. Lorla prawie słyszała jej diabelską muzykę. Czyj to głos do niej przemawiał? Głos Mistrza? Czy tego karła, którego imienia nie mogła sobie przypomnieć?

Czas płynął coraz szybciej. Lorla wiedziała, że ojciec Herrith kończy już swe orędzie.

Wkrótce uda się na plac, by udzielać rozgrzeszenia. Lorla postąpiła krok ku modelowi.

- Zrób to! - nalegały głosy. - Mistrz potrzebuje twojej pomocy!

Ponaglali ją diuk Enli i Nina. I diuk Lokken z diuszesa Kareeną. Dziewczynka przekonywała samą siebie, że jest częstką całości znacznie od niej większej i ważniejszej.

- Mistrz mnie kocha - mówiła sobie, desperacko chcąc w to uwierzyć. - Nie zrobiłby mi krzywdy. Chce tylko, bym była silna.

- Bądź silna i zrób, co trzeba - zgodził się głos.

Darago nie patrzył. Lorla ostrożnie, drżącą rączką sięgnęła i dotknęła anioła.

- Z boku na bok - przypomniła jej figurka. - Przesuń mnie z boku na bok.

Dłoń Lorli była jak wykuta z kamienia. Cokolwiek dziewczynka miała zrobić, wiedziała, że na zawsze odmieni to jej życie. Wszyscy jej mówili, że jej misja pomoże zwyciężyć zło. I że jest bardzo ważna. Ale już nie była tego taka pewna. To Herrith był

dobry.

W niczym nie przypominał potwora, jakiego jej przedstawiano, mówiąc, że taki właśnie jest.

Jak było w istocie?

„Nie wiem!”

Mimo wewnętrznej walki, przesunęła anioła z lewej strony na prawą. Przez chwilę stawiał opór, ale kiedy nacisnęła silniej, sam przeskoczył na nowe miejsce z mechanicznym szczękiem, który ją nieco zaskoczył. Odstąpiła o krok, pewna że zdarzy się coś strasznego. I natychmiast usłyszała cichutkie, monotonne brzęczenie.

- Lorlo... - z głębi nawy rozległ się za nią głos. Podskoczyła w miejscu.

Pod ścianą po drugiej stronie nawy stał ojciec Todos. Kapłan miał łzy w oczach, i ku swojemu zaskoczeniu dziewczynka zobaczyła na jego twarzy szeroki uśmiech.

- Jego Świątobliwość wygłosił orędzie. Teraz udaje się na plac, gdzie będzie udzielał rozgrzeszenia. Pragnie, byś mu towarzyszyła.

Lorla na chwilę zamarła w bezruchu, a potem cofnęła się od modelu. Jej umysł spowija mgła obojętności. Zrobiła to, czego żądał od niej Mistrz. Wszystko stało się w jednej chwili... i nagle głosy w jej główce ucichły, po raz pierwszy od kilku dni zostawiając ją w spokoju. Zmęczona i do cna wyczerpana skinęła obojętnie.

- Już idę - stwierdziła i wyszła za Todosem z nawy.

Wewnątrz urodzinowego prezentu Lorli obudziła się machina Bovadina. Puste od dawna rurki szybko napełniły się powietrzem i ciśnienie w srebrnym cylindrze zaczęło rosnać. Potem przewodami popłynęło wybuchowe paliwo, oziębiane przez rozłożone jak łuski skrzydełka chłodnicy.

Ciśnienie miało rosnać jeszcze przez godzinę.

Arcybiskup Herrith siedział w złotym fotelu na podwyższeniu otoczony kapłanami na Placu Męczenników. Ludzie, którzy tłumnie się zeszli, by wysłuchać jego kazania, ustawili się teraz w kolejkę, by przyjmować od niego sakrament odpuszczenia grzechów.

Pracował niemal nieprzerwanie przez godzinę, a jego twarz rozjaśniała ulga, gdy niezliczeni pielgrzymi z całego Imperium klękali przez nim i prosili go o rozgrzeszenie, którego im udzielał w imieniu Boga. Herrith kwitował prośby zawsze w ten sam sposób -

dotykając czoła penitenta, odmawiał nad nim krótką modlitwę.

- Bóg ci przebacza, moje dziecko.

Siedząca obok na podwyższeniu Lorla przyglądała się wszystkiemu, ujęta łagodnością i oddaniem biskupa. Wciąż wyglądał na osłabionego, ale jego oczy iskrzyły się życiem, a uśmiechem mógłby zaćmić słońce. Lorla pojęła nagle, że go kocha. Czekała obok, od czasu do czasu spoglądała przez ramię na katedrę, pewna że wkrótce zdarzy się coś strasznego.

Ojciec Herrith pragnął, by była przy nim. Ujrzawszy ją, przytulił ją szybko, ucałował po ojcowsku w oba policzki i umieścił na honorowym miejscu na podium obok siebie, zupełnie nieświadomy tego, co mu zrobiła.

Minuta goniła minutę, Lorlę zaś ogarniał coraz głębszy niepokój. Zaczęła się wiercić na swoim krzeselku, ustawionym przy krześle ojca Todosa. Kapłan wciąż przyglądał się Herrithowi z troską w oczach i miną matki patrzącej na chore dziecko. Sam Herrith chyba nie widział utrapienia na twarzy przyjaciela. Lorla powiodła wzrokiem po twarzach czekających na rozgrzeszenie. Niektóre z nich rozpoznawała - widziała je niedawno w nawie patrzące z zachwytem na sklepienie Daraga. I nagle zobaczyła twarz, która wydała jej się dziwnie znajoma. Przez chwilę usiłowała sobie przypomnieć, gdzie widziała ją wcześniej... aż pojęła, że patrzy na lalkarza.

Redric Bobs z twarzą bladą jak płótno pokornie stał w rzędzie ludzi czekających na rozgrzeszenie. Wkrótce miała nadejść jego kolej, by klęknąć przed biskupem.

Wytwórca zabawek pochylił twarz ku ziemi, a jego ramiona wstrząsał chyba szloch. Lorla wpatrzyła się w niego uważnie, przerażona myślą, że może ją zdemaskować. Ale lalkarz najwyraźniej miał na głowie inne strapienia. Tymczasem Herrith odprawił klęczącą przed nim młodą kobietę i spojrział na następnego penitenta - Redrica Bobsa.

- Mistrz Bobs? - spytał Herrith z niedowierzaniem w głosie. - To ty?

Stary człowiek stanął na podwyższeniu i ukląkłszy przed biskupem, na oczach tysięcy widzów spojrział na niego dzikim, przepełnionym bólem wzrokiem. Dziewczynce zaparło dech w piersiach.

- Wasza Świątobliwość... - jęknął Bobs. - Wybacz mi, Wasza Świątobliwość...

Wybacz mi to, co zrobiłem.

Ojciec Herrith uśmiechnął się do niego łagodnie. Serce Lorli zaczęło walić jak szalone. W jej główce, jakby znikąd, znów zrodziły się te głosy.

- Lalkami, uspokuj się - odpowiedział Herrith, najwidoczniej zmieszany. - To dzień radości. Nie rób takiej ponurej miny.

Kobziarz potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz - stwierdził. - A ja nie umiem ci tego wyjaśnić. Zresztą... już za późno. Wybacz mi, Wasza Świątobliwość... Wyciągnąwszy rękę, ujął doń Herritha, a potem ukrył w niej twarz i wybuchnął płaczem.

Lorla wstała z krzesła. Głosy rozkazywały, by ponownie usiadła, ona jednak je zignorowała. Łzy lalkarza poruszyły ją głęboko i zaczęła sobie coś przypominać.

- Ojczy HERRICIE! - odezwała się, nie mogąc powstrzymać słów, które same cisnęły jej się na usta. - Ja... ja przepraszam!

- Za co? - zdumiał się Herrith, przenosząc wzrok z Bobsa na dziewczynkę i wyjmując swoją dłoń z palców lalkarza. - Lorlo? Co się stało? O co chodzi?

Lorla milczała, bo nawet oddychanie przychodziło jej z trudem. A te głosy huczały w jej głowie niby dzwony.

- Nie! - zawołała wreszcie, przykładając rączki do skroni. - Uciszcie się natychmiast!

- Córeczko! - Biskup zerwał się na nogi.

Lalkarz patrzył na nią ogłupiałym wzrokiem. Z głębi tłumy wyrwał się jakiś karzeł, który nagle zaczął się przepychać na podwyższenie. Na Lorlę nagle zwały się wspomnienia.

Cofnęła się nagle, pewna, że karzeł zjawił się, by ją porwać, on jednak szarpnął w tył Bobsa.

- Bovadin! - Herrith poznał starego wroga.

Nad tłumem podniosła się wrzawa. Karzeł szarpał płaszcz Bobsa, pragnąc odciągnąć go w tył, a Herrith przejęty zgrozą patrzył na obu niedawnych sojuszników. W dłoniach stojących obok podwyższenia kapłanów pojawiły się sztylety. Karzeł syknął przekleństwami i zeskoczył z pomostu, znikając w ciżbie. Lorla widziała wszystko jak przez mgłę.

Czas pędził naprzód jak szalony...

Musiała coś zrobić.

Puściła się biegiem. Zeskoczywszy z podwyższenia, przebiła się przez tłum i rzuciła ku katedrze. Słyszała za sobą głos Herritha, który zaskoczony i przestraszony wołał, by wróciła. Nagle wokół rozpętał się dziki chaos i wszyscy zaczęli krzyżeć. Lorla nie zwracała na nich uwagi. Odciawszy się od wszystkiego, skupiła swą energię na dotarciu do wielkiej nawy. W jej głowie zahuczał gniewny głos Mistrza. I znów go zignorowała. Nagle znienawidziła Mistrza. Ojciec Herrith był dla niej dobry. Redric Bobs o tym wiedział. Płakał, a ona to widziała.

- Dajcie mi przejść! - krzyżała, przebijając się przez tłum. Wiedziała, że musi dostać się do modelu katedry i odczynić to, co zrobiła. Drogę zatarasowała jej grupka rodzin czekających u wejścia do katedry. Przemknęła nisko, niemal na czworakach, niczym pies pomiędzy nogami, i pomknęła do pustej nawy. Jej małe serduszko łomotało dziko, ona zaś niebaczna na nic biegła ku modelowi.

„Prawie zdążyłam”.

Przed nią otworzyło się wejście do nawy. Lorla wpadła do środka... i ujrzała Daraga, stojącego pośrodku i podziwiającego swoje malowidło.

- Mistrzu Darago, uciekaj! - zawołała Lorla, biegnąc w stronę modelu. - Uciekaj!

- Co? - zdumiał się malarz. - A to dlaczego?

- Po prostu uciekaj!

Wyciągnąwszy rączkę, chwyciła anioła i spróbowała go przesunąć. Figurka nawet nie drgnęła. Dziewczynka usłyszała niezmordowane, natarczywe brzęczenie wewnątrz, które osiągnęło już bardzo wysokie tony.

- Rusz się! - zwróciła się błagalnie do anioła. - Proszę cię, daj się ruszyć!

- Dziecko, co ty robisz? - zawołał poiryutowany Darago, podchodząc do niej szybkim krokiem.

Lorla wybuchła rozpaczliwym płaczem.

- Uciekaj! - zawołała. - Nie mogę tego zatrzymać!

Darago chwycił ją w pól i zaczął odciągać od modelu. Lorla szarpała się przez chwilę, wydając okrzyki rozpacz.

- Przestań!

Udało jej się wyrwać. Po raz ostatni rzuciła się ku modelowi, który był jej

prezenterem urodzinowym. Była o cal od anioła, kiedy ujrzała oślepiający błysk.

Siła eksplozji niemal rozniosła zgromadzony na Placu Męczenników tłum, ogłuszając wszystkich straszliwym hukiem. Herrith zatkał uszy dłońmi i patrzył ze zgrozą, jak jego katedrę ogarnia ognista kula. Jednocześnie od miejsca wybuchu wionął gwałtowny wiatr, który niemal odarł biskupa z szat. Wszędzie też natychmiast rozległy się krzyki i jęki kapłanów oraz wiernych, na których sypał się grad odłamków i kropli stopionego metalu. Z bramy świątyni trysnęła struga ognia, a wielka metalowa dzwonnica przechyliła się, gdy wstrząs zachwiał jej fundamentami. Z wybitych okien uniosły się ku niebu pióropusze czarnego dymu. Plac przed katedrą wypełniły tysięczne wrzaski i jęki bólu.

Herrith runął na kolana. Pałące światło bijące od umierającej katedry piekło go w oczy i musiał odwrócić wzrok i skryć twarz w dłoniach. Pojął, że Lorla zginęła w wybuchu.

Wszystko jego uczucia i cały świat zamknął się nagle w jednym słowie... imieniu, które podczas minionego roku wisiało nad nim niczym wyrok przeznaczenia. Pobity i pokonany przeklął to imię z całej duszy.

- Biagio...

Trzydzieści osiem **TOWARZYSTWO KRÓLOWEJ**

Dzień przed wyruszeniem na Crote królowa Jelena wezwała Richiusa do powrotu na wyspę Haran. Popłynęli z nim Prakna, Simon i Shii, która awansowała na porucznika i w zbliżającej się inwazji miała odegrać ważną rolę. Prakna odwiózł ich na królewską wyspę na pokładzie ketu. Richius po raz pierwszy od czasu, gdy przybył na wyspę, opuszczał ją i postawiwszy nogę na pomoście wyspy Haran, poczuł się dość dziwnie.

Odesłał Shani do Dyany na pokładzie jednego ze szkunerów Prakny i teraz czuł się bardzo samotny. Wraz z Simonem mieli zajęcia, które nie zostawiały im prawie żadnego wolnego czasu, ale brakowało mu obecności córki. I żony. Dlatego też z niecierpliwością wyglądał spotkania z Jeleną. Była młoda - jak Dyana - i niekiedy mu ją nawet przypominała.

Idąc teraz spokojnym krokiem ku jej pałacowi, przypomniał sobie to, co przed kilkoma tygodniami powiedział mu Marus - Jelena była kobietą niezwykłą.

Królowa chciała wiedzieć, co zaplanowali jej poddani. Jutro mieli wypłynąć w długi rejs na Crote i Prakna powiedział Richiusowi, że Jelena jest niespokojna.

Richius wiedział, że były po temu powody. Jego żołnierze ćwiczyli intensywnie i z zapalem, ale wciąż jeszcze pozostawali żółtodziobami. Richius nie był pewien, jak się sprawdzą w bitwie, choć wiedział, że nie zdradzi się ze swoimi wątpliwościami przed Jeleną. A jednak, ku swemu niemałemu zaskoczeniu, odkrył, że nie może się doczekać inwazji.

Podczas gdy on chciałby mieć trochę więcej czasu na opracowanie planów, żeglarze Prakny zaczęli się niecierpliwić. Potrzebny był im port w pobliżu granic Imperium, z którego mogliby przeprowadzać swoje ataki - do czego Crote bardzo dobrze się nadawało.

Było tam ciepło - a dla Lisseńczyków wielkie znaczenie miała bliskość Czarnego Grodu.

Według tego zaś, co mówił Simon, do podbicia wyspy nie trzeba było wielkiej armii. Richius obejrzał się przez ramię na idącego tuż za nim Narena. Simon miał w ręku kilka zwiniętych map, nad którymi ostatnio pilnie pracował. Richius zażądał, by nakreślił

wszystko, co mu było wiadome o brzegach Crote i wodnych szlakach wyspy, a także zaznaczył na mapach położenie pałacu Biagia. Zasób i bogactwo wiadomości Simona zrobiły na nim spore wrażenie. Były agent Roshannów znał mnóstwo szczegółów i chętnie się dzielił tymi wiadomościami, co gasiło wszelkie podejrzenia.

Podejrzliwości wobec Simona wyzbyli się wszyscy prócz Prakny. Komandor wcale nie ukrywał niechęci i pogardy, jakie żywił dla Narena. Simon był dla niego nie tylko nareńską świnia, ale również zdrajcą. Lisseńczyk nie spuszczał Simona z oka, a gdy się spierali - co zdarzało się nader często - podnosił głos niemal do krzyku. Simon jednak miał odporność greegana; wszelkie obrazy spływały po nim niczym ciepły deszczyk. Sam zresztą mocno się zmienił. Przestał przeproszać za swoją barwną przeszłość i zdecydowanie patrzył w przyszłość. Miał teraz tylko jeden cel - chciał uratować Eris z rąk Biagia.

Gdy we czwórkę zbliżyli się do pałacu, Simon zwolnił kroku i zaczął podziwiać wodną bramę. Wspaniały, świetlisty łuk powitał ich jak ciepły uśmiech. Słońce za pałacem chyliło się już ku zachodowi i jego promienie zabarwiły wodę czerwonymi iskierkami.

- Piękne... - stwierdził Simon. - Piękne jak sen.

- I dlatego oczywiście wy, bydlaki, usiłowaliście to zniszczyć - przyciął mu Prakna, który minął Simona i szedł już ku bramie.

Gdy wszyscy dotarli do wodnej bramy, na powitanie wyszli z niej dwaj przybocznicy Jeleny. Pertraktacjami zajął się Prakna. Strażnicy skłonili się uprzejmie i zaprowadzili ich do sali, której Richius nigdy przedtem nie widział - komnaty narad nieopodal bramy zachodniej.

Była już tam królowa Jelena, która siedziała na końcu długiego stołu. Dla każdego z gości przygotowano puchar wina i talerze z przekąskami. Przez wielkie okna widać było wspaniały zachód słońca. Ujrawszy wchodzących, młoda królowa wstała, by ich powitać.

- Cieszę się z waszego przybycia, przyjaciele - powiedziała radośnie, obejmując najpierw Praknę, a potem Richiusa, którego ciepło ucałowała w policzek. Richius zaczerwienił się jak uczeń, zakłopotany, ale mile połączony.

- Jeleno, i ja się cieszę, że cię widzę - odpowiedział z uśmiechem.

Oczy królowej rozbłysły słabo skrywanym podnieceniem.

- Miło mi - odparła. Skinieniem dłoni odprawiła strażników, którzy przyprowadzili gości. Obaj wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Jelena ujęła Richiusa pod ramię i poprowadziła go do stołu. - Siadajcie wszyscy - poprosiła, prowadząc Richiusa do krzesła stojącego obok jej fotela. Prakna usadowił się naprzeciwko Aramoorczyka, Shii usiadła posłusznie obok dowódcy, ale Simon nie usiadł.

- Królowo... - odezwał się formalnie. - Jestem Simon Darquis. - Ukłonił się dworsko. - Jestem zaszczycony...

- A tak - stwierdziła królowa. - Nareński szpieg. Witaj, panie Darquis, i dziękujemy za przybycie.

Spoglądali na siebie bacznie i niezbyt przychylnie. Richius wyczuwał, że pomiędzy Narenem i królową wznosi się niewidzialna ściana wrogości. Na swój łagodny sposób Jelena nienawidziła Narenów równie mocno, jak Prakna. Należało jej jednak przyznać, że doskonale ukrywała swoje uczucia, Simon zaś, kiedy podała mu dłoń, ucałował ją jak dwomy szlachcic.

- Siadaj, Darquis - warknął Prakna. - Mamy kilka spraw do omówienia.

- Po to tu jestem - oznajmił Simon. Ignorując Praknę, zwrócił się wprost do królowej. - Zechciej przyjąć, pani, moje podziękowania za to, że się zgodziłaś, bym wam pomógł.

Jelena nieznacznie zmarszczyła brwi.

- Pani, zaufałam ci pod wpływem sugestii lorda Szakala. Kiedy dotarły do mnie wieści o twoim przybyciu, przyznam, że byłam nieco... zaniepokojona. Ale Richius przemówił za tobą. - Zmrużyła oczy. - Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś zawiódł zaufanie, jakim cię obdarzyliśmy.

Simon przyjął ukrytą pogroźkę spokojnie i bez urazy.

- Pani, dałem słowo i dam je raz jeszcze, tobie osobiście. Jestem tu, by wam pomóc. - Położył mapy na stole i rozłożył tak, by wszyscy mogli je obejrzeć. - Znam wyspę Biagia lepiej chyba, niż nawet on sam. Urodziłem się i wychowałem na Crote. Wiele też czasu spędziłem z nim w jego pałacu. Na tych mapach zaznaczyłem wszystko, co mi wiadomo o wyspie. Jelena skinęła głową.

- To dobrze - odpowiedziała, zajmując swoje miejsce przy stole. Odchyliła się w

tył i spojrzała kolejno na wszystkich.

Richiusowi wydało się, że widzi lodową rzeźbę, piękną i zachwycającą, ale zbyt zimną, by jej dotknąć. Nagle stała się królową i tylko królową. Simon usiadł obok Richiusa, nie odrywając bystrego spojrzenia od młodej władczyni.

- Wszyscy jutro odpływacie - stwierdziła Jelena. - Miną tygodnie, zanim znów zobaczę kogokolwiek z was. Kazałam was tu sprowadzić, bo chciałam się dowiedzieć, co czujecie i jak oceniacie nasze szanse przeciwko Crote. Karalon jest odosobnione i nawet ja nie bardzo wiem, co się tam naprawdę dzieje. Mam więc tylko jedno pytanie: czy jesteście gotowi?

- Owszem - oznajmił Prakna. - „Księżę Liss” jest gotów do wyprawy i inne okręty też. Weźmiemy ze sobą cztery szkunery. Tyle wystarczy, by przewieźć oddziały na Crote.

Chciałbym, żeby było ich więcej, ale wciąż są zajęte pod Nar. Gdy tylko zajmiemy i opanujemy wyspę, pošlę wiadomość do mojej floty. Inne okręty będą się mogły wtedy do nas przyłączyć.

Spojrzenie Jeleny przeniosło się na Richiusa.

- A co ty powiesz, lordzie Szakalu? Czy twoi ludzie są gotowi?

Pytanie nie należało do tych, na jakie odpowiada się prosto i łatwo, Richius więc przez chwilę zastanawiał się nad repliką, aż spojrzawszy na siedzącą dumnie i sztywno Shii, zrozumiał, iż może odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

- Są pełni zapału - odparł. - Shii ogromnie mi pomogła przy pracy z nimi i wiem, że nas nie zawiodą. Nie mieli zbyt wiele czasu na przygotowanie się do walk, ale włożyli w ćwiczenia mnóstwo wysiłku i okazywali mi posłuch, dokładnie wykonując moje rozkazy.

Myślę, Jeleno, że jesteśmy gotowi.

- Owszem, jesteśmy, moja królowo - odpowiedziała Shii z zapałem. - Wiem, że jesteśmy. Lord Szakal mówi prawdę. Nie zawiedziemy. Daję ci na to moje słowo poparte przysięgą na duszę mojego synka.

- Lord Szakal umie dobierać sobie ludzi - odpowiedziała Jelena. - Z pewnością dokonał dobrego wyboru, wyznaczając ciebie na swojego zastępcę, Shii.

Shii skromnie spuściła wzrok i utkwiała go w stole.

- Robię, co w mojej mocy.

- I wreszcie ty, panie Darquis. - Jelena spojrzała na byłego agenta. - Powiedz mi, jak oceniasz nasze szansę na powodzenie?

- Uważam, że dzięki mojej pomocy znacznie wzrosły - odpowiedział Simon. Nigdy nie tracił rezonu i chłodny ton, w jakim zwróciła się do niego królowa, nie zbił go z tropu. - Beze mnie uderzylibyście na ślepo, co Richius zmuszony był mi przyznać. Ale wszystko, czego wam było trzeba, mam tutaj. - Poklepał się po głowie. - Nie martw się, królowo.

Zdobędziemy dla ciebie tę wyspę. I dopadniemy Biagia.

- Wydaje się, panie Darquis, że jesteś bardzo pewien swego - zauważyła Jelena z przekąsem. - Czy mógłbyś się podzielić z nami powodami, dla których żywisz taką pewnością?

- Biagio nie jest Bogiem - odpowiedział Simon - choćby nie wiadomo, co sobie wyobrażał. A jego pałacu nie strzegą zbyt liczni strażnicy. Ot, niewielka garstka, w sumie może ich będą ze cztery dziesiątki... a na Crote poza nimi nie ma żadnego wojska. Nigdy zresztą nie było potrzebne.

- Od zawsze korzystali z ochrony Imperium - dodał Richius. Simon przytaknął skinieniem głowy.

- Prawda. Dziewięciuset ludzi zbrojnych w miecze łatwo opanuje cały pałac. Gdy tylko to się stanie, Crote będzie nasze.

- A miejscowa ludność? - spytał Prakna. - Nie wystąpi przeciwko nam?

- Nie - odpowiedział Simon. - Racz sobie przypomnieć, komandorze, że i ja jestem z ich krwi. Bez przywództwa Biagia żaden nie podniesie przeciwko nam i nawet małego palca... Wystarczy, że zajmiemy dwór i okażemy swą siłę. Gdy tylko zobaczą na swoich wodach lisseńskie szkunery, pojmą, że zostali pobici i że jest po sprawie. Nie będą stawiali żadnego oporu.

- A inne kraje? - spytała Jelena. - Nie przyjdą wyspiarzom na pomoc?

- Jakim sposobem miałyby to zrobić? - spytał Simon. - Inne kraje mają wojska, owszem, ale do tego, by je przewieźć na Crote potrzebna byłaby Czarna Flota, a tej nie ma na wodach wyspy. - Spojrzał na Richiusa. - Nie ma jej tam, prawda?

- Tak myślę. Co na to komandor Prakna?

- Darquis ma racje - zgodził się stary żeglarz. - Moje szkunery sprawiają, że ich okręty mająmnóstwo zajęć gdzie indziej. Kiedy Narenie się spostrzegą i zechcą wrócić pod Crote, zdołamy się już na tej wyspie nieźle umocnić. Wezwę swoją flotę, by zajęła pozycje wokół wyspy. Tej blokady nie przerwie nawet Czarna Flota. Nie tym razem.

Richius z przyjemnością słuchał przepojonego pewnością siebie głosu Prakny.

Wiedział, dlaczego ludzie tak chętnie szli za komandorem. On był lwem oceanów.

- Komandorze - zwróciła się królowa do Prakny. - Czy jesteś zadowolony z map, jakie nakreślił pan Darquis?

Stary wyga niechętnie kiwnął głową.

- Wydaje się, że są w miarę dokładne.

- Skromnie powiedziane - oburzył się Simon. - Są na nich wszystkie szczegóły, jakich potrzebujesz, komandorze. Pamiętaj, że znam się co nieco na taktyce.

- A tak, pamiętamy i będziemy pamiętali - skrzywił się Prakna. - Dokładnie to sobie zapamiętamy.

Richius odchrząknął znacząco.

- Panowie... doprawdy... zechciejcie się uspokoić.

- Panie Lisseńczyku, nie traktuj mnie jak gówniarza - wzburzył się Simon. - Powinieneś się cieszyć, że zechciałem wam pomóc.

- Cieszyć się? Z pomocy zdradzieckiej nareńskiej świni? Gdyby nie Szakał, to...

- Przestańcie! - zawrzał gniewem Richius, uderzając pięścią w stół, aż podskoczyły puchary z winem. - Dość tych sprzeczek! Przed nami misja, której się podjęliśmy i którą mamy wykonać razem. Takie wzajemne animozje sązupełnie niepotrzebne... i szkodzą sprawie!

- Popieram lorda Szakala - dodała królowa. - Zechciejcie pamiętać, gdzie jesteście.

Prakna zaczerpnął tchu.

- Wybacz mi, Jeleno. Oboje macie rację... oczywiście.

- Widzisz, Jeleno - uśmiechnął się Richius. - Wszyscy jesteśmy jak jedna zgodna rodzina...

- Owszem - roześmiała się królowa. - Dokonałeś z nimi wielkiej rvczy,

Richiusie.

Jeżeli się nie pozabijają w drodze na Crote, to być może, mamy szansę.

- Królowo, to coś więcej, niż tylko szansa - wtrąciła się Shii. - Simon Darquis ma rację. Jeżeli Crote nie będzie miało ochrony, a na to wygląda, bez trudu odbierzemy wyspę Biagiowi. Masz na to moje słowo, nie zawiodę.

- Nikt z nas nie zawiedzie - oznajmił Prakna. Nie spuszczać wzroku z Simona, ciągnął dalej. - Czy nie tak, panie Darquis?

Simon zaśmiał się ponuro.

- Ja mam własne powody, by życzyć sobie powodzenia tej misji. Jeżeli coś pójdzie nie tak, to zapewniam was, że nie z mojego powodu.

- To bardzo dobrze - stwierdził Prakna. - Znaczy, rozumiemy się.

Simon miał już coś powiedzieć, ale Richius go ubiegł.

- Jeleno, nikt z nas nie zawiedzie - rzekł pospiesznie. - Mamy dzielnych, dobrze wyszkolonych ludzi i solidny plan.

- I ciebie. Poprowadzisz ich - dodała z uśmiechem Jelena.

Richius znów zobaczył w jej oczach znaną mu już sympatię. Jelena była piękna.

Jak Sabrina. Podejrzywał, że jego żądza zwycięstwa nad Biagiem po części brała się z podobieństwa obu młodych kobiet. Może jakąś cząstką swej duszy wciąż jeszcze chciał pomóc Sabrinie...

„Za późno” - przypomniał sam sobie.

Sabrina nie żyła i w żaden sposób nie dało się tego odczynić. Więc zemsta nad Biagiem była czymś, co chciał zrobić dla siebie. Kiedy dopnie swego, wróci na Lucel - Lor do Dyany i Shani, gdzie będzie żył z satysfakcją, że udało mu się zabić diabła.

Może choć wtedy przestanie go dręczyć duch Sabriny.

- Chcę, byście dobrze zrozumieli jedną rzecz - odezwał się ku własnemu zaskoczeniu.

- Gdy zdobędziemy Crote, każdy działa na własną rękę. Podobnie jak Simon, jestem tu dla własnych powodów. Chcę Biagia. To wszystko.

Jelena zrobiła minę, jakby ktoś właśnie złamał jej serce.

- Rozumiemy to, Richiusie - powiedziała cicho. - Ale tu zawsze będzie dla ciebie miejsce. I możesz nam być potrzebny jeszcze potem. Proszę, nie mów, że nas zostawisz

samym sobie. Bądź z nami przynajmniej do końca.

- Chciałbym, Jeleno, byś zrozumiała, o co mi naprawdę chodzi. Chcę Biagia.

- Nie ty jeden, Szakalu - odezwał się Prakna. - Wierz mi, nie ty jeden...

Richius kiwnął głową.

- Wierzę, ale ja mam z nim bardziej na pieńku, niż ktokolwiek z tu obecnych.

Chcę hrabiego!

- Dostaniesz go - obiecał Simon, kładąc dłoń na ramieniu Richiusa. - Obiecuję ci, że nam nie ucieknie.

Osobliwa obietnica sprawiła, że Richius się wzdrygnął. Nie wiedział już, komu zaufać. Chciałby ufać Simonowi, ale jak można zawierzyć człowiekowi, który zwraca się przeciwko swojemu dawnemu panu? Szanował Praknę, ale posępnie wyglądający komandor miał w oczach niesamowity, dziki błysk, tak samo jak Shii. A Jelena? Ona była z nich wszystkich największą niewiadomą.

Rozmawiali jeszcze przez blisko godzinę, dyskutując o mapach Simona i układając plan kampanii. Według przewidywań Prakny, na dotarcie do Crote trzeba było około tygodnia, musieli więc zabrać czystą wodę i zapasy żywności, ale o to mieli zadbać jego podwładni. Korpus Richiusa podzielono na trzy brygady, z których każdą oddano pod rozkazy innego dowódcy, ci zaś podlegali Shii i samemu Richiusowi. Uderzenie na pałac Biagia miało przyjść z trzech stron - dwór trzeba było otoczyć tak, by nie umknął ani jeden świadek, i z minimalnymi stratami własnymi.

Tak przynajmniej planowano.

Richius miał nadzieję, że ujrawszy się w pułapce, Biagio po prostu zrezygnuje ze stawiania oporu. Simon nie ryzykował żadnych przypuszczeń, podkreślił tylko, że hrabia jest dumny i sprytny... i może wydać im walkę na śmierć i życie. Wyjaśnił też, że Biagio kocha swój kraj jak nikt inny na świecie i wyrwanie Crote z jego łap nie będzie łatwe.

Richius jednak nie uważał, by Biagia za wszelką cenę trzeba było ująć żywcem. Człowiek układa plany, ale karty czasami rozdaje diabeł. Zależało mu tylko na tym, by nie ucierpieli inni mieszkańcy pałacu, szczególnie zaś chciałby ocalić Eris. Ze względu na Simona wiele by dał, aby dziewczynie nic się nie stało.

Kiedy wszystko już omówiono, posiedzieli jeszcze chwilę nad winem i zakąskami. W końcu Jelena wstała i smutno uśmiechnęła się do wszystkich.

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym wam powiedzieć - przyznała. - Zrobiłam dla was wszystko, co potrafiłam, a teraz mogę wam tylko życzyć, byście bezpiecznie wrócili na Liss. - Uśmiechnęła się do Simona. - Dotyczy to i ciebie, panie Darquis. Jeżeli w istocie jesteś tym, za kogo się podajesz, to możesz przywieźć tu swoją panią i ukryć ją wśród nas przed nareńskimi wrogami.

Oferta królowej chyba Simona wzruszyła.

- Pani, to bardzo szlachetne z twojej strony - odezwał się cicho. - Będzie nam potrzebne jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy zamieszkać. Ale nie sądzę, że tym miejscem powinno być Liss.

- Jeżeli Szakal nas opuści, to przyda się nam człowiek o twojej wiedzy i umiejętnościach, panie Darquis. Warto się nad tym zastanowić.

- Owszem - zgodził się Simon. - Warto. Uprzejmości te mocno zirytowały Praknę.

- Ja zaś myślę, że każdy powinien się trzymać swoich, panie szpiegu. Nie wszyscy Lisseńczycy są skłonni do przebaczenia, tak jak nasza królowa.

- A jednak - przerwała ostro Jelena. - Radzi cię tu powitamy, Simonie Darquis. Jeżeli okaże się, że twoje czyny są zgodne ze słowami.

- Okaże się, królowo. Dajcie mi tylko szansę na to, bym mógł wam to udowodnić. Jelena kiwnęła głową.

- A więc, niech wam szczęście sprzyja. I wracajcie bezpiecznie do domu.

Wszyscy wstali i ruszyli ku wyjściu. Na noc mieli zostać w pałacu, a rano ruszyć do portu. Pierwszy przy drzwiach znalazł się Simon, który z natury był śpiochem.

Prakna wyszedł za nim, zaraz potem do progu doszła Shii, ale Richiusa zatrzymał głos królowej.

- Richiusie, zostań. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Shii zatrzymała się i poczekała na swego dowódcę. Richius kiwnął głową, dając jej znak, by nie zwracała na niego uwagi.

- W porządku - powiedział jej. - Odnajdę was później. Odpocznijcie, ty i Simon. Porozmawiamy potem.

Shii, wychodząc z komnaty, uprzejmie zamknęła za sobą drzwi. Richius odetchnął głęboko, z przyjemnością chłonąc zapach perfum Jeleny. Kiedy się odwrócił,

zobaczył, że królowa stoi tuż przed nim i uśmiecha się nieco smutno... i bardzo pięknie.

- O co chodzi? - spytał.

- Będzie mi ciebie brakowało, Szakalu - odpowiedziała. - Bardziej, niż myślisz.

Chciałam ci tylko to powiedzieć.

- Tylko to?

Twarz Jeleny spłonęła rumieńcem.

- Myślę, że resztę wiesz...

Richius cofnął się i oparł plecami o drzwi.

- Lepiej nic nie mów - ostrzegł ją.

- Ależ ja chcę ci to powiedzieć - odparła młoda kobieta. Podniósłszy wzrok, spojrzała mu w oczy. Jej spojrzenie było tak smutne, że Richius pomyślał, iż lada moment utonie w głębi jej źrenic. - Tak wiele chciałam się od ciebie nauczyć. Teraz już nigdy nie będę miała okazji. Jeżeli nie wrócisz, nigdy już cię nie zobaczę.

- Moja królowo, nigdy to bardzo długo. Nie próbujmy przewidywać, co nam zgotuje przyszłość.

Jelena objęła go i położyła głowę na jego piersi. Nagle znów stała się dzielną, małą dziewczynką.

- Wiesz, że wcale nie musi tak być. Crote może się stać dla nas początkiem. Po jego wzięciu nabierzemy sił... i może sięgniemy po sam Czarny Gród.

- Może - westchnął Richius.

- Tu zawsze będzie dla ciebie miejsce. Wciąż możesz nas jeszcze wielu rzeczy nauczyć. Mnie też.

- Jeleno...

- Nic nie mów... - odpowiedziała królowa. - Posłuchaj tylko tego, co ci chcę powiedzieć. Choć ten jeden raz.

Richius zamknął oczy.

- No, dobrze.

- Kiedy pojawiłeś się tu po raz pierwszy, spodziewałam się po naszym spotkaniu czegoś więcej - wyszeptała. - Sądziłam, że zobaczę bohatera, choć Prakna już mi mówił, że jesteś tylko człowiekiem i to niewiele starszym ode mnie samej. Teraz widzę, że oboje mieliśmy rację. Jesteś tylko człowiekiem. Ale dla mnie pozostajesz bohaterem.

Bardzo bym chciała, żebyś tu został, choćby tylko po to, by mieć cię blisko. Potrzebuję cię, Richiusie. - Objęła go mocniej - Boję się.

- W obawach nie ma niczego złego - odpowiedział jej tak łagodnie, jak tylko potrafił. - Ale ty mnie nie potrzebujesz...

- Potrzebuję...

- Nie - sprzeciwił się Richius. - Rządziłaś wyspami i bez mojej pomocy, a kiedy odjadę, nadal pozostaniesz królową. Doskonale się spisałaś. Ty tylko tego nie widzisz. A ja nie mogę ci dodać pewności siebie. Ta musi się zrodzić w tobie. - Uwolnił się od jej uścisku. - Spójrz na mnie, Jeleno. Jestem tylko mężczyzną.

Uśmiechnęła się smutno.

- A ja? Jestem tylko kobietą.

- Kobietą i królową. Powinnaś być z tego dumna.

Nie to Jelena chciała usłyszeć, odsunęła się więc od niego i wróciła do stołu, na którym zostawiła niemal pełny puchar. Podniósłszy go do ust, wychyliła długi, powolny łyk.

Richius patrzył na nią zaintrygowany, pewien był bowiem, że królowa zechce mu jeszcze coś powiedzieć.

- Wiesz... martwię się o ciebie - stwierdziła wreszcie, odrywając wargi od pucharu. - Cieszę się z tego, że jesteś pewien powodzenia, ale ciągle dręczy mnie myśl o tym...

Darquisie. I nie jestem pewna naszych oddziałów.

Richius uniósł brew w górę.

- Zechciej sobie przypomnieć, że to ty byłaś osobą, która mi powierzyła tych ludzi.

- Wiem. Ale oni są młodzi i niedoświadczeni. Jak ja. Richius roześmiał się wesoło.

- Jeleno, jeżeli są tak silni, jak ty, to nie mam się o co martwić. - Podszedł bliżej i usiadł naprzeciwko dziewczyny. Wziął w palce swój puchar. - Nie bój się - pocieszył ją.

Trącił swoim kielichem brzeg jej pucharu. - Za nowy początek.

Jelena nie podjęła naczynia.

- Wierzysz w to?

- Wierzę - odpowiedział Richius z powagą. - Wierzę bez zastrzeżeń.

- Ja chyba też - odpowiedziała królowa nikłym głosem. Po chwili jednak podniosła głowę. - Tak. Ja też.

- I tak trzymać! - rozpromienił się Richius. - Dzieci Karalonu sprawią, że znów poczujesz się dumna. Zobaczysz.

- Richiusie... - odezwała się Jelena niespodzianie poważnym głosem. - Uważaj na siebie.

- Będę uważał - mrugnął porozumiewawczo.

- Mówię poważnie. Uważaj na siebie. I nie spuszczaaj oka z Prakny. To człek mściwy... a ja widziałam, jak patrzył na Simona Darquisa. Może sprawić ci kłopoty.

- Z Prakną dam sobie radę - zapewnił ją Richius. - Myślę, że się rozumiemy.

- Wiesz, że zatopił tamten nareński liniowiec?

Richius kiwnął głową. Słyszał tłumaczenia Prakny, które wydały mu się wystarczające.

- Nie miał wyboru. Tamci chcieli uciec. Jelena wzruszyła ramionami.

- Mimo wszystko...

- Królowo, proszę, nie trap się tymi rzeczami. Dzięki tobie mam grupę dobrych, godnych zaufania ludzi. Wiem, że z pomocą Simona wszystko się uda. Możesz mu nie ufać, aleja... tym razem mu wierzę. - Skrzywił się, jakby chciał zadrwić z samego siebie.

- Może jestem głupcem. Po tym, co mi zrobił, sam nie wiem, dlaczego miałbym mu ufać.

Ale mam przeczucie, że tym razem nas nie zawiedzie. Pomoże nam, jestem tego pewien.

Królowa wyciągnęła rękę, a gdy Richius ujął jej dłoń, uśmiechnęła się ciepło.

- Dziękuję ci za wszystko - powiedziała... i nagle jej głos się załamał. - Proszę... nie zapomnij o nas.

- Nie zapomnę. - Richius pochylił się i ucałował dłoń młodej królowej. - Nigdy nie zapomnę.

Powoli cofnęła rękę i Richius ruszył ku drzwiom. Czując na sobie jej wzrok, odwrócił się w drzwiach i uśmiechnął się do niej po raz ostatni.

- Dobranoc, królowo Liss.

Jelena została jeszcze w sali narad, czekała bowiem na pojawienie się Prakny.

Zostawiła wartownikom przy bramie polecenie, by po odejściu Szakala wezwali do niej komandora jeszcze raz. Nie musiała czekać długo. Prakna zjawił się dość szybko, lekko zaniepokojony niespodzianym wezwaniem.

- Królowo? - odezwał się od drzwi. - Wzywałaś mnie?

Jelena odstawiła puchar na stół i gestem zaprosiła Praknę, by wszedł.

- Wejdz, komandorze - powiedziała przyjaźnie. Była zarumieniona, co należałoby przypisać wypitemu trunkowi i niedawnej rozmowie z Richiusem, a jej nastrój można by opisać jako mieszaninę głębokiego smutku i odrobiny gniewu. - I zamknij drzwi.

Prakna zrobił, co mu kazano - wszedłszy do środka, zamknął za sobą drzwi, zostawiając wszelkie hałasy na korytarzu. Po odejściu gości mrok w komnacie się pogłębił i w świetle jednej lampy Jelena z trudem dostrzegła zarysy twarzy starego żeglarza.

- Usiądź bliżej - poprosiła. - Musimy porozmawiać.

- O czym? - spytał Prakna, zajmując miejsce obok królowej. Miał minę szczerze zatroskaną - wyglądało na to, że martwi go jej smutek. Królowa kochała go właśnie za tę bezpośredniość, z jaką zawsze okazywał swoje uczucia. - Moja królowo, co cię niepokoi?

- Wypływacie już jutro... i nie będę stąd mogła cię pilnować, komandorze. Ty zaś zabierzesz na Crote swoją mściwość i to właśnie mnie niepokoi.

Twarz Prakny zbladła.

- Jeleno, zrobię to, co trzeba zrobić. Ni mniej, ni więcej.

- Jak w przypadku tego nareńskiego liniowca?

Komandor skinął głową.

- To było konieczne. Szakal wciąż nic o tym nie wie.

- Masz rację... - stwierdziła ponuro Jelena. - On nadal wierzy w tę bajeczkę, jaką mu opowiedziałeś. Oboje go oszukaliśmy... i to też mnie przygnębia.

- Wiem - przyznał Prakna. - Dobry z niego człowiek. Wstydzę się, że muszę go oszukiwać i kłamać. Ale i on dostanie swoje... to, co mu obiecaliśmy. Będzie miał okazję do wywarcia zemsty na Biagiu. To powinno go zadowolić. Sama słyszałaś, pani, tylko na tym mu zależy.

Na twarzy Jeleny pojawił się grymas niechęci. Nienawidziła tego, że musi zwodzić i oszukiwać Richiusa, swego pięknego, zamorskiego przyjaciela. W niczym nie

przypominał innych Narenów. Był bohaterem, który z pewnością zasługiwał na coś lepszego, niż jej kłamstwa.

- Nie życzę sobie, byś zrobił coś poza zdobyciem Crote - stwierdziła tonem nieodwołalnego rozkazu. - Richiusowi by się to bardzo nie spodobało.

- Wiem - odpowiedział Prakna.

- Naprawdę? Słyszałam o twoim wyczynie. Komandor odchylił się, prawdziwie dotknięty.

- Królowo, czy przyszło ci do głowy, że nareńskie bydlaki na tamtym liniowcu mogły być tymi samymi, którzy zarżnęli twoich rodziców? Albo dziecko Shii? Czy i wtedy by ci doskwierała myśl o tym, że posłałem ich na dno?

- Nie... - przyznała Jelena. - Wtedy... nie.

- Oczywiście. Więc pozwól mi robić swoje. Pozwól mi pomścić pamięć o Zhańbionych Wyspach. Musimy się upewnić, że w przyszłości Imperium nigdy już nie będzie igrało z naszymi losami.

Te kilka zdań ponownie roznieciło gorejące w głębi duszy królowej pragnienie zemsty. Komandor niewątpliwie miał rację. Nar w pełni zasłużyło na wszystko, co najgorsze.

Jelenę zresztą nie obchodził los innych Narenów... poza Richiusem. A ten obchodził ją bardziej, niż uważała to za możliwe.

- Nie chcę, by Szakalowi stała się jakkolwiek krzywda - odezwała się, ale w jej głosie zadźwięczały stalowe nutki rozkazu. - W przeciwnym razie przysięgam ci, komandorze, że się policzymy...

Komandor uśmiechnął się szeroko.

- Moja królowo, szanuję i lubię tego chłopca tak samo, jak ty. Przysięgam ci, że nic złego mu się nie stanie.

- Temu drugiemu... Simonowi Darquis... też nie może włos spaść z głowy. Wiem, komandorze, że go nie cierpisz. Daj mi słowo, że rozciągniesz swoją ochronę i na niego.

Komandor zmarszczył brwi.

- Królowo, nie czyń ze mnie niańki tego łotrzyka.

- Komandorze, daj słowo - nalegała Jelena. - Masz go traktować jak sojusznika.

Zgoda?

Prakna milczał dość długą chwilę, aż wreszcie niechętnie kiwnął głową.

- Daję słowo - odezwał się z gniewem w głosie. - Choć wcale mi się to nie podoba.

- Nie musi ci się podobać - przypomniała mu Jelena. - Zrób tylko to, co ci kazałam.

- Uśmiechnęła się do swoich myśli, wspominając słowa Richiusa. - Ostatecznie to ja jestem królową.

Trzydzieści dziewięć JEDENASTU LORDÓW

W dwa dni po tragedii, jaka się wydarzyła w Eestrii, Herrith i wierni mu nareńscy lordowie ruszyli na Crote.

Podjęcie tej decyzji przyszło Herrithowi zaskakująco łatwo, ponieważ wiedział, że nie ma innego wyboru, z czym zgodzili się wierni mu magnaci. Biagio mógł dopaść każdego z nich nawet ze swojej wyspy. Rzeź wojsk Vorta, morderstwo generała i zniszczenie katedry...

Hrabia udowodnił, że nie wolno go ignorować bez ponoszenia okropnych konsekwencji.

Herrith, zrozpaczony i pogrążony w żałobie po śmierci Lorli, nie dbał o swe bezpieczeństwo.

Miał tylko nadzieję na to, że przekona hrabiego, iż Czarne Odrodzenie jest bezbożną herezją i że Imperium zyskało tylko na śmierci starego imperatora. Nie planował jednak przekazania Żelaznego Tronu Biagiowi. Nie zgodziłby się z tym zresztą żaden z nareńskich lordów.

Podróż miała być tylko próbą nawiązania pertraktacji i otwarcia dialogu. Nikt nawet nie zgadywał, dokąd ten dialog mógłby ich zawieść.

Arcybiskup wybrał jedenastu towarzyszących mu lordów po starannym namyśle, zasięgając opinii najbardziej wpływowych mieszkańców Czarnego Grodu. Był wśród nich baron Rictor, pan Wieży Prawdy; Claudi Vos, były Pierwszy Architekt; Tepas Talshiir, najbardziej wpływowy z miejskich kupców, mieszkający we własnym pałacu nie ustępującym pod względem przepychu i bogactwa żadnej z siedzib królewskich, i Kivis Gago, nareński minister wojny, który był przedstawicielem cywilnej władzy nad siłami zbrojnymi Imperium.

Gago miał ostatnio mnóstwo pracy związanej z reorganizacją legionów po śmierci Vorta i przekonywaniem rozjuszonych żołdaków, że potrafi im przewodzić. Wojskowi jednym głosem domagali się głowy Biagia w rewanżu za Vorta, i Gago musiał ich przekonywać, że niestety rzecz jest - przynajmniej na razie - niemożliwa. Biagio tkwił na wyspie ochranianej przez całą potęgę Czarnej Floty. Ten zresztą fakt, bardziej niż

cokolwiek innego, wpłynął na decyzję całej jedenastki o towarzyszeniu Herrithowi. Biagio po prostu przyparł ich wszystkich do muru.

O szarym świcie Herrith i gromadka nareńskich lordów z towarzyszeniem przybocznych odbili od pomostu. W głębi portu czekały na nich trzy okręty -

„Nieustraszony” i jego dwaj towarzysze - z pokładów których Nicabar wysłał długie szalupy, by zabrać lordów i ich orszaki. Herrith był jedynym, który nie miał własnych przybocznych. Nie towarzyszył mu nawet ojciec Todos. Wobec ogromu zniszczeń, każdy akolita i każdy kapłan potrzebny był w mieście. Trzeba było leczyć okropne rany, fizyczne i psychiczne, i wszyscy duchowni mieli pełne ręce roboty.

- Właśnie teraz - stwierdził Herrith, zwracając się do Todosa - prawdziwie czynimy dzieło Boże.

Bóg może chciał, by biskup rozmówił się z Biagiem, a może i nie chciał. Herrith nie wiedział, ponieważ jego modły pozostawały bez odzewu. Biskup coraz szybciej tracił wiarę.

Drżąc z zimna w porannym chłodzie, zastanawiał się, dlaczego Bóg go opuścił. A może... może to on opuścił Boga? Stojąc na pomoście, widział błyski na lufach dział „Nieustraszonego”. Potężne działa wymierzono wprost na miasto. Nicabar zagroził, że najmniejszy akt wrogości skierowany przeciwko któremukolwiek z jego okrętów wywoła natychmiastową odpowiedź w postaci spadającej na miasto ulewy ognia. Z Czarnego Grodu nie zostanie kamień na kamieniu. Wiadomość ta dotarła jednocześnie do Herritha i do Kivisa Gago. Gago natychmiast przekazał ją niecierpliwym się legionistom. Ci, choć nie spodobało im się to, musieli się zgodzić na zachowanie spokoju. Na razie przynajmniej miało obowiązywać zawieszenie broni.

Herrith liczył na to, że wystarczy im czasu. Zaciągnął kaptur opończy, by osłonić głowę przed podmuchami wiatru. Czuł się słabo, było mu niedobrze, a sama myśl o długiej morskiej podróży wywracała mu niemal żołądek na nice. Efekty ostatniej dawki eliksiru straciły już swą moc i ciałem biskupa targały dreszcze głodu narkotycznego.

Herrithowi wydawało się, że jego osłabione kości trzasną lada moment od podmuchów wiatru.

Przelknął pigułkę środka przeciwbólowego, jaki przygotowali dla niego medycy, licząc na to, że jego działanie osłabi choć trochę nieznośne spazmy. Wiedział jednak, że

lekarstwa na nic się nie zdadzą. Raz już przeżywał męki kuracji odwykowej i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jakie cierpienia ma jeszcze przed sobą.

Z głębi portu nadpłynęła jeszcze jedna szalupa. Herrith spojrział na nią i przekonał się, że na jej dziobie powiewał proporzec z „Nieustraszonego”. Razem z Kivisem Gago mieli zatem popłynąć na pokładzie okrętu flagowego Nicabara. Najwyraźniej admirał miał przygotować ich obu do rozmów dotyczących zawarcia ugody. Inni nareńscy lordowie, uporczywie odmawiający przyjęcia gościny Nicabara, mieli skorzystać z kajut na „Intruzie” i „Czarnym Grodzie”. Gdy łódź zbliżała się do pomostu, Herrith wziął się w garść.

W szalupie było czterech marynarzy, odzianych w czarne morskie uniformy. Łódź przybiła do pomostu, a jeden z żeglarzy, najwyraźniej starszy rangą, wyskoczył na deski i podszedł bliżej. Przybocznicy Kivisa Gago natychmiast się zjeżyli, gotowi bronić swego pana.

- Arcybiskup Herrith - odezwał się marynarz donośnym głosem. - Jestem porucznik R’Jinn. Mam zabrać ciebie i ministra Gago na pokład „Nieustraszonego”. - Porucznik skłonił się uprzejmie ministrowi. - Admirał Nicabar pragnie zapewnić obu swoich gości, że nie macie powodów do niepokoju. Obiecuję, że nie natkniecie się na żadne zniewagi i obu wam nie stanie się najmniejsza krzywda.

- Lepiej będzie, jeżeli dotrzyma słowa - warknął Gago. Był to wysoki mężczyzna, odznaczający się skłonnością do gróźb i przechwałek. - Jeżeli na jego pokładzie spadnie mi choć jeden włos z głowy, Nicabar nie znajdzie schronienia w całym Imperium, choćby się skrył w mysiej dziurze.

Usłyszawszy to, marynarz nawet nie mrugnął.

- Arcybiskupie możesz zabrać ze sobą swoich przybocznych i wszystko, co uznasz za konieczne. Admirał pragnie, by podróż upłynęła ci miło i szybko.

- Nie ruszę się nigdzie bez moich ludzi, młodziku! - zadrwił Gago. - Niepotrzebne mi zezwolenia Nicabara.

- Ja zaś nie mam żadnych strażników - dodał Herrith. - Zabierz nas na okręt Nicabara.

Porucznik zmarszczył brwi. Przez chwilę patrzył na zgarbionego biskupa i nagle w jego oczach pojawił się błysk współczucia.

- Bardzo dobrze - odpowiedział. - Proszę pozwoć, że ci pomogę, arcybiskupie.

Herrith ledwo się trzymał na nogach, nie miał więc sił, by odrzucić uprzejmą propozycję. Dwaj żeglarze wyskoczyli z łodzi i pomogli mu zejść z pomostu. Każdy krok sprawiał biskupowi ogromną udrękę. Kręciło mu się w głowie, stawy przeszywały płomień bólu, a gdy postawił stopę w chwiejnej łodzi, kołysanie przyprawiło go o mdłości. Porucznik pomógł mu zająć miejsce na jednej z ławeczek, gdzie Herrith zaczerpnął tchu.

Czuł się okropnie stary i zmęczony życiem.

Kiedy miejsca zajęli Kivis Gago i połowa z jego przybocznych, łódź odbiła od pomostu. Płynąc ku „Nieustraszonemu”, minęli drugą szalupę, kierującą się na pomost. Ta miała zabrać resztę orszaku Gago. Gdy minister siadał obok biskupa, jego ciężar niebezpiecznie zakłuł szalupę.

- Zdradzieckie śmierziele - skrzywił się i prychnął dość głośno, by go usłyszeli wiosłarze. Gago nie umiał kryć swoich antypatii, potrafił być wulgarny i Herrith wiele był dał za to, aby jego towarzyszem na pokładzie „Nieustraszonego” został kto inny.

Właściwie żaden z nich nie był mu przyjacielem, ale Gago był z nich najtrudniejszy do zniesienia.

Podobnie jak generał Vorto, nie umiał trzymać języka za zębami. Herrith spojrzał ponad falami na czekający na nich ogromny okręt. Nigdy przedtem nie był na pokładzie okrętu liniowego i mimo udręki ciekaw był swoich przysłych wrażeń. Nicabar był jednym z najwybitniejszych członków Żelaznego Kręgu. Herrith wiele by dał za to, żeby admirał nigdy nie stanął po stronie Biagia.

„Biagio jest demonem - pomyślał żałośnie. - To potwór, który się pokłada z mężczyznami i nie waha się przed popełnieniem żadnej zbrodni”.

A przecież miało być inaczej. Po śmierci Arkusa Herrith przejął władzę w Imperium nie bez powodów. Teraz jednak te powody utraciły dla niego znaczenie. Zbyt wiele krwi przelano, by dalej warto było toczyć tę walkę. Z jego rozkazu zabito tysiące ludzi, i nie był już pewien, czy Bóg zechce na niego spojrzeć łaskawym okiem.

I była jeszcze Lorla.

Wspomnienie pięknej adoptowanej córeczki wywołało skurcz w jego krtani. Czy i ona była częścią planu Biagia? Prawdopodobnie tak. Okazała się jeszcze jednym z tych

przeciwnych naturze dzieł Bovadina. Laboratoria wojenne dały Narenom kwasomioty, ogniowe działa i bezlitosne, niszczące wszystko, z czym się zetknęły, kapsułki Formuły B.

Herrith nie miał wątpliwości, że naukowiec nie miał najmniejszych skrupułów, biorąc się do szalonych eksperymentów z dziećmi. Karzeł już wcześniej setki razy udowodnił, że jest równie bezlitosny, jak sam diabeł. Przeszedłszy się wśród ruin katedry, biskup znalazł poskręcane i nadtopione resztki maszyny Bovadina. Nie wiedział właściwie, co to było, nie miał jednak wątpliwości, że jedynie Bovadinowi wystarczyłoby wyobraźni i wiedzy, by skonstruować coś takiego.

Ponownie wrócił myślami do tej chwili, w której Lorla mu kiedyś powiedziała, że jest kimś niezwykłym. Uśmiechnął się wtedy po prostu, jak dumny ojciec i nie zaprzeczył. Teraz jednak poznał ponurą prawdę. Było to jedyne wyjaśnienie, które wszystko tłumaczyło. To ona zwabiła go do lalkarza i namówiła na kupno modelu katedry. I przywiózł ją diuk Enli, którego zdrada stała się teraz faktem powszechnie znanym. Ale miłość, jaką mu okazywała, nie była uczuciem udawanym.

„Była prawdziwa” - powiedział sobie. Może zrodził ją fałsz, ale później dziewczynka szczerze go pokochała. I nawet próbowała go uratować.

Zbliżali się do „Nieustraszonego”, którego burta zasłoniła już horyzont. Szalupa cięła dziobem fale, spiesząc niczym dziecko do ojca. Herrith i Gago wpatrzyli się w okręt, oczarowani i urzeczeni jego ogromem. Liniowiec był jak legendarny morski potwór, a sterczące z jego boków lufy dział przypominały ciernie pięknej i niebezpiecznej róży.

Porucznik R’Jinn zręcznie doprowadził szalupę do burty olbrzyma. Z góry opuszczono długą, linową drabinkę. Zadarłszy głowę Herrith zobaczył twarze gapiących się na nich marynarzy.

Jego obecność sprawiła, że na chwilę zapomnieli o swoich obowiązkach i patrzyli z zainteresowaniem, niektórzy nawet przyjaźnie.

„Wszyscy należą do twego stada - napomniał biskup sam siebie. - Nawet jeżeli mają złego pana”.

- Arcybiskupie - odezwał się R’Jinn. - Czy sądzisz, że potrafisz się wdrapać na pokład, korzystając z tej drabinki?

Herrith spojrział na drabinkę i uśmiechnął się kwaśno.

- Każdego z nas Bóg doświadcza na inny sposób.

- Pomogę ci - oznajmił R'Jinn, jakby chciał mu dodać otuchy. - Będę się wspinał tuż za tobą.

- Bardzo dobrze - odparł biskup. Odczekał chwilę, aż łódź znieruchomiała, a potem wstał z trudem, czując drzenie nóg. Porucznik chwycił go pod ramiona i wraz z dwoma innymi marynarzami podprowadził ku drabince. Szczeble kołysały się i chwiały i patrzący na nie Herrith znów poczuł mdłości. Nie chcąc okazać słabości, wezwał cały swój hart ducha i ujął drabinkę w dłonie. Stęknął głośno i podciągnął się na pierwszy szczebel.

R'Jinn i inni pomogli mu, pchając go z tyłu. Kivis Gago parsknął śmiechem i zaczął klaskać w dłonie.

- Dobra robota, Herrithcie! - zażartował. - Dasz sobie radę. Drwina była wszystkim, czego biskup potrzebował, by zebrać siły. Dźwignął się w górę wyłącznie po to, by pokazać bezczelnemu szlachcicowi, że nie do końca sflaczały mu mięśnie. Wspinaczka była długa, ale dzięki pomocy R'Jinna zdołał się wdrapać na pokład bez poślizgnięcia. Przelazłszy przez burtę z pomocą jeszcze dwóch marynarzy, uśmiechnął się szeroko. Jego uśmiech szybko się jednak rozplątał, gdy Herrith zobaczył przed sobą admirała Nicabara.

- Witaj na pokładzie, Herrithcie - odezwał się admirał. - Honor to dla nas.

Ku swemu zaskoczeniu biskup nie wyczuł w głosie Nicabara żadnych nutek tryumfu.

Na kamiennym obliczu admirała nie było też widać śladu arogancji. Herrith przez chwilę łapał oddech, a potem skinął Nicabarowi głową.

- Wygląda na to, że miałeś rację, Danarze - stwierdził. - Oto jestem.

- To Biagio miał rację - poprawił go admirał. - Ja osobiście nigdy bym nie pomyślał, że postawisz stopę na moim pokładzie.

- Danarze, w moich działaniach kieruję się pragnieniem pokoju, nie widokami osobistych korzyści. Gdyby nie to, nigdy bym się nie zgodził na podjęcie rozmów z twoim panem, który jest ojcem wszystkich przemieszczonych.

Nicabar uśmiechnął się lekko.

- Doskonale, Herricie. Jak powiedziałem, rad jestem z tego, że przyjąłeś moją gošcinę.

Dołozymy starań, by ci uprzyjemnić podróż, i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, byś ją zachował w miłej pamięci. Mam już dla ciebie kabinę, jedną z największych na tym okręcie.

Herrith zrobił grymas niechęci.

- Ale dam głowę, że nie jest tak duża, jak twoja.

- Zapewniam cię, że jest dostatecznie duża - odpowiedział Nicabar. - Obiecuję, że nie znajdziesz powodów do narzekań. Dobrze o ciebie zadbamy.

- Admirale, nie traktuj mnie jak miłe domowe zwierzątko. Nicabar westchnął.

- Biskupie, zechcesz zobaczyć swoją kabinę, czy wolisz tu stać i marznąć na wietrze jak głupiec? Osobiście uważam, że powinieneś odpocząć. Wyglądasz okropnie.

- A tak, ostatnio spotkało mnie wiele niepowodzeń - stwierdził kąśliwie Herrith.

Spojrzał Nicabarowi prosto w oczy. - Ale ty o tym doskonale wiesz, prawda?

- Na wojnie, jak to na wojnie, ludzie giną... - odparł Nicabar. - Ty zresztą sam też miałeś niemały udział w jej okropnościach.

Był to argument, z którym Herrith nie mógł się spierać.

- Zaprowadź mnie do mojej kajuty - poprosił. - I ruszajmy, tak szybko, jak tylko się da. Ja...

W teŹe chwili ujrzał wychodzącego zza przybudówki Bovadina i słowa zamarły mu na ustach. Karzeł ruszył ku obu rozmówcom.

- To ty! - ryknął Herrith porzuciwszy wszelkie pozory. - Ty mały potworze!

Bovadin pojednawczo uniósł obie dłonie w górę.

- Herri the ie, uspokój się...

Herrith skoczył przed siebie i chwyciwszy karła za klapy kurtki, uniósł go w powietrze. Rycząc z wściekłości, przeniósł go ku burcie i przygniół do relingu.

Niespodziewanie dla niego samego, w jednym nagłym dreszczu wróciła mu cała siła, jaką mięśniom dawał diabelski eliksir. Bovadin szamotał się bezsilnie i charczał, usiłując się wyrwać z żelaznego uchwytu dłoni biskupa.

- Przestań, Herricie! - wrzeszczał piskliwie. - Uspokój się!

Nicabar skoczył ku obu przeciwnikom i odciągnął Herritha od relingu. Biskup

jednak nie puścił karła, tylko trzymał go nadal i trząsał nim.

- Morderco! - syknął. - Zabiłeś ją!

- Przestań, Herricie! - zagrzemiał admirał. Szarpnął silnie i odciągnął biskupa od ministra. Przeciwników natychmiast rozdzielili trzej marynarze, którzy murem stanęli pomiędzy nimi. Odciągany w tył Herrith wciąż miotał na Bovadina ciężkie przekleństwa.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem, karle! - ryczał wściekle. - Nawet nie zacząłem! Za to, coś zrobił, zgorzejesz w piekło!

- To będzie nas tam dwóch! - odciął się karzeł. Nicabar trzymał go jedną ręką, ale minister wciąż się szarpał i przeklinał Herritha. - To twoja wojna! Tyś ją zaczął!

- Zamknijcie się obaj! - ryknął Nicabar. Jednym gestem odrzucił Bovadina, jakby ten był natrętnym robakiem. - Wynoś się stąd, Bovadinie! Mówiłem ci, byś się tu nie pokazywał!

- Danarze...

- Precz!

Naukowiec raz jeszcze cisnął biskupowi spojrzenie, a potem odszedł, potrząsając głową. Nicabar zwrócił się teraz do biskupa.

- Jesteś silniejszy, niż mogłoby się zdawać - zauważył spokojnie. - Ale nie chciałbym, byś raz jeszcze dał załodze takie widowisko. To mój okręt. Jeżeli chcesz udusić Bovadina, zrób to gdzieś na Crote.

- Może jeszcze to zrobię - syknął Herrith. - Ty też mnie nie kuś!

- Chodź za mną! - warknął admirał. - Zamknę cię w twojej kajucie.

Biskup, którego szamotanina z karłem mocno wyczerpała, ruszył za nim bez słowa sprzeciwu. Nicabar powiódł go ku wąskiej klapie w pokładzie mostka, potem sprowadził po stromych schodkach do wąskiego, ciasnego i rozkołysanego korytarza. Dotarłszy do jego końca, pchnął i otworzył drzwi, zapraszając biskupa gestem ręki do środka.

- To twoja kabina - powiedział krótko. - Znajdziesz tu chyba wszystko, czego ci trzeba.

Herrith zajrzał do środka. Kajuta była śmiesznie mała, z jedną kojąwbudowaną ścianę, stolikiem i krzesłem. Na stole leżał list zapieczętowany znajomą pieczęcią Biagia. Na jego widok Herrith zamarł, niczym ptak, który ujrzał węża. List przyciskała do stołu

niewielka fiołka pełna niebieskiego płynu.

- Och, nie... - wyszeptał biskup. - Proszę, nie...

- To od Biagia - rzekł Nicabar tonem wyjaśnienia. - Hrabia wiedział, że teraz eliksir będzie ci bardzo potrzebny. Aparat do kuracji jest pod stołem. - Admirał uśmiechnął się zwycięsko. - Herricie, głowa do góry - powiedział, ustępując na bok, tak by biskup mógł wejść do kabiny.

Herrith potknął się o próg i zatoczył ku stołowi. Podniósł fiołkę i wbił w nią wzrok, nienawidząc chwili, w której będzie musiał podjąć decyzję.

- Powinieneś wyrzucić ją za burtę - powiedział. - To trucizna, Danarze.

- Nie dla mnie! - Nicabar łobuzersko błysnął niebieskimi oczami.

- Mylisz się - odparł Herrith. - Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

- Odpocznij - poradził mu Nicabar. - Od Crote dzielą nas dwa dni podróży. Jak tylko wypłyniemy, przyślę ci chłopca okrętowego, który się zajmie twoimi potrzebami. Jeżeli będziesz czegoś chciał, wystarczy, byś mnie poprosił.

Uprzejmość Nicabara obudziła w biskupie Herricie nagłą podejrzliwość.

- Nie chcę, by mi ktokolwiek przeszkadzał - odpowiedział. - Gdy będę czegoś potrzebował, sam mogę tego poszukać.

- Herricie, przestań się zachowywać jak dureń. Nie umiesz się poruszać po pokładzie, nie znasz rozkładu pomieszczeń, a moja załoga po prostu nie będzie ci posłuszna.

Pozwól, by o twoje potrzeby zadbał chłopiec okrętowy. Pomijając wszystko inne, to należy do jego obowiązków.

Nicabar wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Herrith opadł na niewielkie krzesło.

Przez chwilę patrzył na fiołkę z miłością i nienawiścią w oczach, umierając wprost z chęci wiania sobie w żyły jej zawartości. Jego ciało, głosem każdego włókna i każdej kosteczki domagało się natychmiastowego złagodzenia cierpień. Obliznął wargi nie bardzo wiedząc, co począć... i nagle jego spojrzenie padło na list Biagia. Drżącą dłonią odsunął fiołkę i sięgnąwszy po pismo, złamał pieczęć.

Mój drogi Herricie.

Wiedziałem, że zmienisz zdanie. Dziękuję.

Hrabia Biagio.

Herrith zawrzał gniewem. Zgniół list w dłoni i odrzucił. Bezcelność i arogancja Biagia nie miały granic. Hrabia miał paskudną zdolność przewidywania przyszłości, albo po prostu manipulował terażniejszością tak, by zawsze osiągać swoje cele. Herrith poczuł, że wokół jego serca zwiera się zimny uścisk palców hrabiego. Urabiano go niczym bryłkę gliny.

I czuł, że niczego nie może na to poradzić.

- Nie jestem całkowicie bezsilny - wyszeptał. - To mogę przynajmniej zrobić...

Powoli, nie bez oporów, sięgnął po fiolkę i podniósł ją ze stołu. A potem wyjął zatyczkę i wylał zawartość butelki na deski podłogi.

Czterdzieści LISSEŃCZYCY

Nareński okręt „Bystry” przebywał na lisseńskich wodach zaledwie jeden dzień.

Kapitan Kelara, zmęczony nieustannymi podróżami tam i z powrotem, większość czasu spędzał na pokładzie, lustrując horyzont wraz z marynarzami z salingów. Jeżeli jego misja miała się powieść, musiał zawczasu dostrzec okręty lisseńskiego korpusu ekspedycyjnego, samemu pozostając w ukryciu.

Nie spodziewał się jednak, że wszystko rozegra się tak szybko.

Patrząc przez szkła lunety, dostrzegł na horyzoncie żagle wielkiego szkunera.

Szybko oszacował jego kurs oraz prędkość i ocenił, że może to być sam „Księżę Liss”. W sekundę później usłyszał okrzyk chłopca z bocianiego gniazda.

- Cztery okręty! Dziesięć stopni na sterburtę.

Do kapitana Kelary podbiegł bosman Dars, który towarzyszył nielicznej załodze w powrotnym rejsie na Liss. Młody człowiek osłonił dłonią oczy i spojrzał w dal.

- Niczego nie widzę! - zameldował po chwili. - Gdzie oni są?

Kelara nie potrzebował już lunety, podał ją więc Darsowi. Bosman szybko skierował szkła w stronę, w którą wskazywał ręką chłopak z bocianiego gniazda, i zaraz potem zaklął.

- Są, skurwysyny! - Złożył lunetę i zwrócił się do kapitana: - Co robimy?

Kapitan cofnął się od relingu, gotów do wydania rozkazu.

- Teraz, bosmanie, wracamy na Crote. Zabawa dopiero się zaczyna!

Czterdzieści jeden SEKRETY

Richius siedział samotnie przy małym stoliku wbudowanym w ścianę kajuty, którą dzielił z Simonem i patrzył na swój dziennik. Pisanie było starym zwyczajem, porzuconym po zakończeniu wojen z Triinami, ale monotonia morskiej podróży kazała mu sobie przypomnieć o dawnym sposobie zabijania czasu. Odrywało to umysł od rozmyślań o niepewnej przyszłości i dawało jakieś zajęcie chroniące go przed nudą. „Księżę” opuścił Liss przed czterema dniami, a według szacunków Prakny od Crote dzielił ich jeszcze trzydniowy rejs.

Przyszła bitwa była coraz bliższa i siedząc nad kartą papieru w migotliwym świetle świecy, Richius śnił z otwartymi oczami, rozmyślając o nieuchronnych niebezpieczeństwach.

Jesteśmy już blisko celu - zapisał. - Za trzy dni wylądujemy na Crote, a ja nie mam pojęcia, na co się tam natkniemy. Może przybocznicy Biagia poddadzą się bez walki.

Jeżeli nie, wina za całą rzeź spadnie na ich głowy. Te dziewięć setek sierot, które prowadzę, to wilcze szczenięta głodne krwi. Robiłem, co mogłem, by uśmierzyć ich furję, ale wciąż jeszcze pragną zemsty. Patrząc na nich, widzę po części siebie samego. Mogę tylko mieć nadzieję, że nigdy nie stanę się taki, jak oni.

Spojrzał na wers, który właśnie zapisał. Wstydził się swoich uczuć, ale oto miał je przed sobą, zapisane własną ręką. Dawno temu ojciec dał mu bardzo cenną radę: generał musi kochać ludzi, których prowadzi do boju. Jeżeli będzie inaczej, podwładni szybko to odkryją i nie będą za nim walczyli. Młody wódz westchnął, przejęty troską i niepewnością.

Czy kochał tych Lisseńczyków? Chyba nie. Podziwiał ich i szanował, ale nie miał do nich serca. To, co czuł, podobne było litości i współczuciu. Zrozumienie tego faktu nappełniło go obawą. Odłożył pióro, nie mogąc kontynuować pisanie.

W Aramoorze - gdyby ten kraj jeszcze istniał - byłby królem. Nigdy nie pragnął korony i nigdy nie dążył do zajęcia miejsca na tronie. Nie chciał stawać przeciwko imperatorowi, ani bić się na Lucel - Lorze, gdzie zdobył sobie miano Szakala.

Nagle poczuł na barkach ciężar minionych lat.

- Zmieniłem się - szepnął sam do siebie.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się staro. Bał się wyprawy na Crote i bał się walki z Biagiem. Pragnął dopaść przeniewiercę i powoli wykroić mu serce... ale równie silnie pragnął w tej chwili zawrócić okręt i popłynąć do Falindaru, by zobaczyć jasną twarz Dyany. Nie bał się o swoje życie... obawiał się jednak, że może stracić duszę i rozum. Niekiedy mu się wydawało, że jedno i drugie odpływa od niego coraz dalej. Bał się, że resztę życia przyjdzie mu spędzić jak jakiemuś szalonemu bohaterowi nareńskiej legendy, którego nie imало się żadne ostrze, ale który powoli tracił rozum.

- Dość! - skarcił sam siebie, rzucając pióro. Powinien skupić myśli na czymś innym.

Nagle otworzyły się drzwi kabiny i do środka chwiejnym krokiem wszedł Simon.

Było już późno i w zwykłych okolicznościach obaj by spali, ale choroba morska nie dawała Simonowi wytchnienia i trzymała go na pokładzie. Twarz Narena miała niezdrowy, bladozielony odcień. Młody człowiek zamknął za sobą drzwi i z jękiem padł na swoją koję.

Richius natychmiast zauważył, że kurtka Simona poplamiona była wymiocinami.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził.

- Wstałeś oczywiście tylko po to, żeby mi to powiedzieć! - warknął Simon.

- Nie - odpowiedział Richius, zamykając swój dziennik. - Po prostu siedziałem i rozmyślałem.

- Czuję się tak, jakby mi ktoś podpalił flaki - jęknął Simon. - Nie powinienes mnie namawiać do jedzenia.

- Głodówka cię tylko osłabi. Zupełnie stracisz siły. Będziesz mi potrzebny na Crote, dlatego nie mogę na to pozwolić.

Simon przewrócił się na plecy i obdarzył Richiusa wściekłym spojrzeniem. Miał zupełnie mętny wzrok.

- Tobie też nic nie dadzą całonocne jałowe rozmyślenia przy stoliku. Sam wiesz o tym najlepiej. Możesz przeglądać te plany tysiące razy, ale co ma się stać, to się stanie, i nic się na to nie poradzi. Posłuchaj starszego, chłopcze. Do tej mądrości doszedłem ciężką drogą... - Simon spojrzał uważniej na dziennik Richiusa. - A tak w ogóle, o czym ty tam piesz?

- O różnych sprawach - odpowiedział Richius. Simon uśmiechnął się wyrozumiale.

- Daj spokój. Pogadajmy. Sam widzę, że cię korci, by z kimś porozmawiać. No, dalejże, mów...

Richius nie kwapił się z odpowiedzią. Przez chwilę wsłuchiwał się w szum fal i łagodne poskrzypywanie poszycia szkunera, rozmyślając o człowieku, z którym przyszło mu dzielić kabinę. Mimo wszystkiego, co się zdarzyło, nadal darzył Simona sympatią.

Doszedłszy do tego wniosku, postanowił mu zaufać bez reszty i odwrócił krzesło ku koi towarzysza podróży.

- Simonie, czy kiedykolwiek myślałeś o swoim życiu? - spytał łagodnie.

- Co takiego? - zachichotał Simon.

- Pamiętam, jak wyglądałeś, kiedy dotarłeś na Liss - ciągnął Richius. - A ty pamiętasz? Brakowało ci jednego kroku do śmierci.

Simon uciekł ze spojrzeniem w bok. Nigdy naprawdę o tym nie rozmawiali i Richius pomyślał, że lepiej będzie na razie się nie odzywać. Pamiętał jednak głęboki smutek, jaki widział tamtego dnia w oczach Simona. Wiele razy zastanawiał się, co też takiego mogło być źródłem tej rozpacz.

- Pamiętam - odpowiedział wreszcie Simon. - Ale nie jest to miłe wspomnienie.

- Smutny dzień dla ciebie, prawda?

- Richiusie, mógłbyś przestać krążyć wokół tematu jak sęp? - sarknął Simon. - Do czego ty właściwie zmierzasz?

- Sam nie wiem. Martwi mnie to wszystko, ot co - odparł Richius.

- Myślisz o Crote?

- I o sobie - odpowiedział Richius. Teraz on odwrócił wzrok, bo nie umiałby wyjaśnić powodów swej rozterki. Dyana nie chciała, by w ogóle podejmował się tego zadania.

Ostrzegła go, że szaleństwem jest poświęcanie się zemście, a poznanie Jeleny i pozostałych lisseńskich sierot sprawiło, iż Richius ponownie zaczął zastanawiać się nad słowami żony.

- Jeżeli martwi cię to, że działasz w złej sprawie, to przestań się gryźć - poradził mu Simon. - Wiem, co Biagio zrobił twojej pani. Słyszałem o tym, gdy mieszkałem w

Imperium.

Biagio to bestia.

Richius zmarszczył brwi.

- Był twoim Mistrzem...

- To niczego nie zmienia. Słuchałem rozkazów bestii, i tyle. Może przez to sam stałem się bestią. - Simon zamknął oczy. - To miałeś na myśli, mówiąc o smutku?

Powiedzmy, że masz rację. Nie jestem dumny z tego, co robiłem do tej pory.

- A co potem? - naciskał Richius. - Czy zabicie Biagia przywróci ci dumę z własnych czynów?

- Pierwej musimy go zabić - poprawił Simon. - Ale odpowiadając na twoje pytanie, nie, nie będę się tym chełpił. Richiusie, nie rozumiesz, co znaczy być Roshannem. Biagio dał mi tożsamość, poczucie przynależności i miejsce w świecie. Ukazał mi też cel godny wysiłków.

- To dlaczego się zbuntowałeś? Z powodu Eris?

- W dużej części tak. Ale też i dlatego, że Biagio nie jest już tym człowiekiem, którym był kiedyś. Elikسير sprawił, że zaczął się zachowywać jak szaleniec.

Osobiście uważam, że zwariował. Być może zabijając go, oddamy mu przysługę.

- Przysługę? - warknął Richius. - Simonie, nie zamierzam go zabijać dla jakichkolwiek sentymentalnych, bzdurnych powodów. Myśl sobie co chcesz, ale dla mnie to po prostu wyrównanie starych porachunków!

- Oczywiście, i Biagio w pełni sobie na to zasłużył - zgodził się Simon. - Nie będę się z tym spierał. Ale nie myśl, że to mnie uszczęśliwi. Biagio wiele kiedyś dla mnie znaczył... i doświadczyłem od niego wiele dobrego. I nie myślałem, że mógłby zrobić coś, co by to zmieniło. - Spojrzał na Richiusa, jakby szukając zrozumienia. - Gdybyś jak ja znał go od kilkunastu lat, prawdopodobnie inaczej byś o nim myślał.

- Wątpię - odparł sucho Richius. Nieunikniona śmierć Biagia była jedyną sprawą, która nie budziła w nim sprzecznych uczuć.

- Nie mogę pojąć, że po wszystkich popełnionych przez niego łajdactwach ty znajdujesz jeszcze w sobie jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla jego postępów.

Może się pomyliłem co do ciebie, Simonie? Może ty wcale się nie zmieniłeś?

- Uważaj - ostrzegł go Simon. - Nie jestem aż tak słaby i wciąż jeszcze mogę cię

wyrzucić przez bulaj. Nie powiedziałem, że on jest dobrym człowiekiem. Mówiłem tylko, że nie jest już takim, jakim był kiedyś. Ludzie się zmieniają, Richiusie. Niektórzy na lepsze, inni na gorsze, jak Biagio.

- Ludzie się zmieniają - powtórzył Richius, kiwając głową.

- I to właśnie mnie martwi. - Odchylił się i przez chwilę patrzył na migotanie płomyka świecy w szklanej osłonie. - Przed wyjazdem Dyana mnie ostrzegła, bym uważał.

Myślałem, że mówi o tym, bym uważał na siebie i nie dał się zabić. Teraz wiem, że miała na myśli co innego. Ona już wtedy widziała, że się zmieniam.

- Co masz na myśli?

- Och, niełatwo to powiedzieć - westchnął Richius. - Chodzi o to, że pragnienie zemsty wywiera piętno na człowieku. I ja nie byłem kiedyś taki, jak teraz. Też się chyba zmieniłem... jak Biagio.

- I ja - przypomniał mu Simon.

- O właśnie. - Richius się uśmiechnął. Simon usiadł, spuszczać nogi poza krawędź koi.

- Posłuchaj mnie, Richiusie. Jesteś dobrym człowiekiem. Po tym, jak skończymy tu z Biagiem, możesz wrócić do żony, do córeczki i żyć z nimi szczęśliwie i beztrudnie. Te niegodne sprawy zostawisz po prostu za sobą i postarasz się o nich zapomnieć.

Po śmierci Biagia nikt już o tobie w Nar nie wspomni. Nikt nie pójdzie na Lucel - Lor, by wyrzucić na tobie zemstę.

Richius zamknął oczy.

- Brzmi to wprost cudownie...

- Twoja córeczka będzie rosła zdrowa i szczęśliwa, ty zaś nie będziesz się musiał martwić myślami o wojnie, albo o szpiegach zakradających się do waszych okien.

Całe życie przed tobą. Możesz zapomnieć o Biagiu i Nar. Możesz zapomnieć o Aramoorze...

- Co takiego? - oburzył się Richius. Jego oczy zapłonęły gniewem. - Simonie, ja nigdy, nigdy nie zapomnę o Aramoorze!

- Musisz zapomnieć - napierał Simon. - Jeżeli nie, to znów dasz się porwać zemście. To już nie twoje królestwo. Zapomnij o nim.

- Nie mogę - odparł Richius. - To niemożliwe.

- Zapomnij - nalegał Simon. - Okażesz się durniem, jeżeli tego nie zrobisz.

Aramoor nigdy już nie będzie twój, Richiusie. Nigdy.

Słowa te zawisły w powietrzu, jak nieodwołalny wyrok losu. Richius przełknął ślinę.

Jakaś część jego duszy buntowała się przeciwko temu, co powiedział Naren. Nie mógł się pogodzić z myślą o utracie Aramooru.

- Więc po co to wszystko? - spytał cicho. - Po co tu jestem?

- Przyjacielu, sam sobie musisz na to pytanie odpowiedzieć - uśmiechnął się Simon.

Richius skinął.

- Uderz więc w imię Aramooru - poradził mu Simon. - Jeżeli tak będzie ci łatwiej, jeżeli zmniejszy to brzemię twego sumienia... Usuń Biagia i odejdz w spokoju.

- Nie wiem...

- Czego nie wiesz?! - huknął Simon, pochylając się ku przodowi. - Nie wiesz, czy chciałbyś resztę życia spędzić w spokoju? Nie wiesz, czy chciałbyś patrzeć, jak dorasta twoja córeczka? Richiusie, pozwól sobie coś powiedzieć. Uważam, że okazałeś się durniem, pozwalając się wciągnąć w tę awanturę. Lisseńczycy mogli uderzyć na Crote bez twojej pomocy. Zresztą oni też są durniami. Ty jednak jesteś od nich bardziej bystry.

Powinieneś mieć dość oleju we łbie, by pokazać Praknie drzwi, kiedy przypląnął po ciebie do Falindaru.

Ale ty przedłożyłeś zemstę nad miłość szlachetnej kobiety. Uważam, że próżno by szukać większego durnia od ciebie.

I nagle Simon opadł na swoje posłanie, a potem odwrócił się do Richiusa plecami.

W kajucie zapadła głęboka cisza. Richius gapił się na Simona z niedowierzaniem w oczach.

- Nic nie rozumiesz... - odparł wreszcie Richius.

- Właśnie. Nikt nie rozumie nieszczęsnego Richiusa. Przez całe życie nikt cię nie rozumiał.

- Simonie, spójrz prawdzie w oczy. Nigdy nie byłeś królem. Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczyło.

- Dobranoc, Richiusie.
- Nie zdradza się poddanych!
- Bądź tak dobry i zgaś świecę.

Kipiąc gniewem, Richius zdmuchnął płomyk, a potem usiadł w mroku i wbił spojrzenie w plecy Simona. Czy naprawdę lubił Narena? Teraz już nie był tego taki pewien.

Naren był gruboskórny i głupi.
Ale był też zaskakująco domyślny.

Zzuwszy buty, Richius wsunął się na swoją koję i nakrył się kocem. Poczł lekki przeciąg i zadrzał. Dziś w nocy nie będzie spał - w głowie kłębiło mu się zbyt wiele myśli.

- Nie jestem taki, jak ci Lisseńczycy - wyszeptał.
- Masz rację. Nie jesteś. A teraz śpij.
- Nie jestem! Słyszałeś, co mówiłem Jelenie! Chcę tylko dostać Biagia... i wracam do domu.

- Słyszałem.
- Ty mi nie wierzysz!
- Racja.
- Dlaczego?

Simon zaklął.

- Na Boga Wszchemogącego, czy ty mnie w ogóle słuchałeś? Mógłbyś się ograniczyć do wyszkolenia Lisseńczyków, a potem niechby sobie sami płynęli na Crote.

Zabiliby Biagia za ciebie i dla ciebie... o czym doskonale wiesz. Ale to by cię nie zadowoliło, prawda?

Gdybyś wrócił do Falindaru, też nie miałbyś satysfakcji. Zawsze będziesz jęczał, jak to zdradziłeś Aramoor. Powinieneś posłuchać Dyany! Nie jesteś już królem! Im szybciej to zrozumiesz, tym szybciej będziesz mógł zacząć nowe życie. A teraz, dobranoc!

Richiusa zatkało. Wybuch Simona tak go zaskoczył, że zapomniał języka w gębie.

„Ja tylko chcę Biagia - mówił sobie. - Tylko Biagia. Zabiję go i wrócę do

domu...”

Choć nieustannie powtarzał sobie w duchu te słowa, jednocześnie zastanawiał się, czy są prawdziwe.

Po drugiej stronie pogrążonego we śnie szkunera czuwał w swojej kabinie komandor Prakna. Siedział przy stoliku i czekał na gościa. Przed nim stała odpieczętowana butelka wina i dwa kubki. Było już bardzo późno i komandor odczuwał znużenie. Wolałby położyć się i zasnąć, miał jednak do załatwienia sprawę, wymagającą dyskrecji i braku postronnych oczu.

Upewniwszy się, że Marus poradzi sobie przy sterze, zszedł pod pokład jeszcze przed kilkoma godzinami. Czekając, zabijał czas pisaniem listu do J'lari. Napisał jej, jak bardzo ją kocha i jak mu jej brakuje. Znienawidził chwile, w których pisał te listy, ponieważ za każdym razem jego serce wyrывało mu się z piersi i każdy z listów był dla niego ciężką próbą. Przypominały mu o tym, jak bardzo jest stary i jak wiele utracił.

Przypominały mu, że J'lari wciąż pozostaje wewnętrznie rozdarta.

Za trzy dni dotrą na Crote. Wkrótce już nikt się nie odważy nazwać jego ojczyzny Zhańbionym Liss.

- Już nigdy więcej - mruknął posępnie.

Mieli przed sobą nie lada zadanie. Powinni zająć Crote błyskawicznym uderzeniem, a potem zwrócić się na wschód, ku kontynentowi. Kiedy się dowiedzą o zajęciu Crote, Narenie poczują strach. Prakna uśmiechnął się ponuro. Miła mu była myśl o trzęsących się ze strachu Narenach. Choć bardzo dzielni, jego ludzie nieraz doświadczali tego uczucia.

Teraz przyszła kolej na wrogów.

Kiedy nalewał sobie wina, usłyszał pukanie do drzwi.

- Wejdz - powiedział cicho i nalał wina do drugiego kubka. Drzwi lekko się uchylły, ukazując twarz Shii. Młoda kobieta zatrzymała się na progu.

- Komandorze? - odezwała się pytająco. - Chciałeś mnie zobaczyć?

- Wejdz, Shii, i zamknij drzwi - polecił jej Prakna.

Shii wykonała polecenie szybko i nie zadając dodatkowych pytań. Jego ranga najwyraźniej zrobiła na niej wrażenie. Dziewczyna karnie się wyprostowała, czekając na rozkazy. Kiedy podsunął jej kubek z winem, odmówiła, potrząsając głową.

- Nie, dziękuję, komandorze - odpowiedziała uprzejmie. Prakna się uśmiechnął.
- Jesteś zaniepokojona. Zapewniam cię, że nie masz powodu. Nie robisz nic złego.

Młoda kobieta odetchnęła z ulgą, co Prakna natychmiast zauważył.

- Nie, komandorze.

- Wiesz o tym, prawda?

- Tak, komandorze.

- To dobrze. - Prakna podał jej kubek. - Więc napij się ze mną. - Wstał i podsunął jej jedyne w kabinie krzesło, a sam usiadł na koi. Shii przez chwilę zwlekała, potem łyknęła wino, jakby chciała dodać sobie pewności siebie i wreszcie usiadła. Prakna uważnie jej się przyglądał. Była dobrym żołnierzem, lojalnym wobec Liss i swego lorda Szakala.

Nie podobało mu się to, że dziewczyna czuje się dość niezręcznie.

- Shii, uspokój się, proszę - poprosił dziewczynę. - Chcę tylko z tobą porozmawiać, to wszystko. Nie masz powodów do obaw.

- Ja się nie boję - powiedziała tonem usprawiedliwienia. - Tylko... - przerwała, szukając właściwych słów. - Polecieś, bym nie mówiła lordowi Szakalowi o naszym spotkaniu. Czuję się trochę niezręcznie.

- Rozumiem - odparł Prakna. - Vantran doskonale cię wyszkolił. Wszystkich was wyszkolił.

- Zrobił z nas wojsko - oznajmiła Shii.

- Chętnie mu za to podziękuję. Kiedy dotrzemy do Crote, wszyscy dacie mu powód do dumy. Jestem tego pewien. Chciałbym się tylko upewnić, że pojmujesz, na czym ma polegać nasza misja.

Shii spojrzała na niego, jakby nie zrozumiała, o czym mówi.

- Komandorze?

- Nasza misja, Shii - powtórzył Prakna. Pochylił się ku dziewczynie, a w jego głosie pojawiły się nutki surowej powagi. - Czyją rozumiesz?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Shii. - Mamy zdobyć Crote.

- I co dalej?

- Jak to, co dalej? - spytała Shii. - Zdobywamy wyspę i zakładamy na niej

warowny obóz. Umacniamy port, z którego będziecie mogli wypływać, by nękać brzegi Imperium. - Spojrzała pytająco na Praknę. - Nie mam racji?

- W zasadzie masz - odpowiedział komandor. - Ale nasze zadanie polega nie tylko na zdobyciu Crote. Chcemy wbić Narenom do łbów surową naukę. Zajmując wyspę Biagia, chcemy oznajmić całemu Nar, że Liss nigdy już nie będzie polem ćwiczeń dla ich floty.

Oddamy cios za cios za wszystkich naszych synów, braci, ojców i matki, którzy polegli w walce. - Umilkł na chwilę, pozwalając by jego słowa zapadły głęboko w świadomość dziewczyny. - Rozumiesz mnie, Shii?

Młoda kobieta kiwnęła głową.

- Sama straciłam bliskich, komandorze. Dlatego zaciągnęłam się do wojska, by służyć pod rozkazami lorda Szakala.

- Decyzja, której można tylko przyklasnąć - odpowiedział Prakna. - Całe Liss jest z was dumne. Ale nie wolno wam zapomnieć o tym, że jesteście Lisseńczykami. Macie zobowiązania wobec naszego ludu. Lord Szakal nie jest jednym z nas. Może nie zrozumieć w pełni naszego celu.

Shii popadła w rozterkę.

- Komandorze, zechciej wybaczyć, ale teraz ja cię nie rozumiem. Co masz na myśli?

Prakna dość miał już wybiegów i postanowił wreszcie się odsłonić.

- Shii... - odezwał się bezbarwnym tonem. - Mam zamiar zniszczyć Crote całkowicie i bez reszty. Z pałacu Biagia nie może ująć jeden żywy świadek klęski. Kiedy wylądujemy na Crote, będą na nas patrzeć nasi martwi synowie. Nie chcę i nie mogę ich zawieść.

Młoda kobieta skrzywiła się z troską.

- Komandorze, ja podlegam wyłącznie lordowi Szakalowi, on zaś nie wydał mi żadnych rozkazów, które choć po części przypominają twoją wolę. Wiem, że lord Vantran chce wziąć całą wyspę przy możliwie najmniejszych stratach i nie czyniąc niepotrzebnych zniszczeń.

- Szakal nie jest Lisseńczykiem - przypomniał jej Prakna. - W sprawie Stu Wysp odpowiedzialność za wszystko spada na Imperium. Nie mam zamiaru rozczarować moich

synów, kiedy przed nimi stanę w zaświatach. A ty? Czy sądzisz, że twój synek nie zasłużył sobie na to, by go pomścić?

Shii nie odpowiedziała.

- Wart jest pomsty, czy nie?

- Tak! - zawołała Shii, odstawiając kubek z winem i wstając ze złością z krzesła. - Nie każ mi tego powtarzać!

- Takich jak on jest tysiące, Shii - stwierdził Prakna. - Wszyscy nie żyją.

Pomyśl o tym. Tysiące matek, które nigdy już nie obejmą swoich dzieci. Myślisz, że w Nar mają takie problemy? Zabierają swoje dzieci na spacer, karmią je i odziewają, a nawet się z nimi bawią.

Robią wszystko to, co tobie odebrano.

Shii odwróciła twarz i wbiła wzrok w ścianę kajuty. Prakna wiedział, że jego słowa utkwiły w celu, dziewczyna musiała się tylko z nimi oswoić. Odczekał chwilę, a potem przemówił znowu.

- Shii, to zwykła sprawiedliwość - stwierdził cicho. - Nie wszyscy nawet nazywają to zemstą.

- Nie dbam o to - syknęła młoda kobieta. - Wiem tylko, że chcę to zrobić!

Prakna uśmiechnął się w duchu do swoich myśli.

- Wszyscy tego chcemy, dziewczyno - odpowiedział łagodnie. - Nawet Szakal. W końcu właśnie dlatego popłynął z nami. Zemsta. Znam go. Za to, co hrabia zrobił jego żonie, chce mu wydrzeć serce z piersi. I dlaczego nie miałby tego zrobić? Czy uważasz, że Biagio sobie na to nie zapracował?

- Tak! - odparła Shii. Lada moment mogła zalać się łzami.

- A ty? Nie uważasz, że Narenie, którzy zabili twego synka, powinni umrzeć?

Shii nie mogła już wydusić z siebie słowa, więc tylko kiwnęła głową. Prakna wstał, podszedł do niej i położywszy jej dłonie na ramiona, przysunął usta do jej ucha.

- Ja też tak uważam - szepnął jej. - Po to właśnie płyniemy na Crote.

Choć młoda kobieta pozornie była twarda i nieustępliwa, ugniótł ją według swej woli jak bryłkę wosku. W ciągu kilku minut przekonał ją do buntu. Obudził w niej okropne wspomnienia, one zaś dokonały reszty. Teraz delikatnie obrócił jej twarz ku sobie i spojrzał w przepelnione bólem oczy.

- Już pora - odezwał się łagodnie. - Mamy zobowiązania wobec naszych pomordowanych synów... twojego i moich... Wobec wszystkich zabitych, spalonych i potopionych. Wiesz o tym. Jesteś ze mną, czy przeciwko mnie, Shii?

Shii nie mogła odwrócić spojrzenia, jak zaczarowana patrzyła w jego oczy. Był przecież komandorem lisseńskiej floty, bohaterem większym od samego Szakala.

Prakna wiedział, jaką ma władzę nad swoimi ziomkami. Mógł to ujrzeć w wyrazistych oczach młodej kobiety.

- Jestem z tobą - odpowiedziała ostatecznie Shii.

- Słuszna to decyzja - zapewnił ją Prakna. - Za trzy dni staniemy się wykonawcami wyroków sprawiedliwości.

Prawie machinalnie pocałował ją w czoło. Shii zadrżała. Prakna westchnął w duchu.

Gardził sobą za to, że tak bezwzględnie wykorzystuje tych szlachetnych, pełnych zapału młodych ludzi do własnego celu. Shii łatwo poddała się jego woli i prawie się rozplakała, gdy ją pocałował. Potem lekko ją przytulił. Dziewczyna desperacko pragnęła bliskości drugiego człowieka. Oto, co wojna zrobiła z dziećmi Liss: uczyniła z nich pełne smutku, spragnione pieśczoł sieroty. Takie jak Jelena.

- Uspokój się, Shii - powiedział łagodnie. - Za trzy dni zaczniemy łagodzić twój ból.

- Ale czy nam się uda? - spytała Shii z nadzieją w głosie. Prakna przez długą chwilę milczał, zastanawiając się, czy powiedzieć jej prawdę. Na koniec postanowił uciec się do kłamstwa.

- Tak - odezwał się cicho. - Żaden ból nie trwa wiecznie.

Czterdzieści dwa SPOTKANIE MONARCHÓW

„Nieustraszony” i towarzyszące mu liniowce zjawily się pod Crote zaledwie w dwa dni po wypłynięciu z Nar. Biagio patrzył z plaży na zbliżające się okręty ogromnie z siebie zadowolony. Stał w otoczeniu swoich przybocznych, grupy doskonale wyćwiczonych młodych mieszkańców Crote, odzianych w kolorowe szaty. Gwardziści mieli broń w pochwach. Hrabia nie spodziewał się żadnych kłopotów, chciał jednak wystąpić godnie i okazale. Wciąż jeszcze nie wiedział, ilu nareńskich magnatów przybywa na pokładach okrętów Nicabara. Wiedział, że na pewno będzie miał nieprzyjemność goszczenia Herritha.

Nicabar wypłynął z Crote z wyraźnym rozkazem - miał nie wracać bez biskupa.

Był pogodny dzień i Biagio wyraźnie widział płynące ku brzegowi szalupy.

Niektóre wciąż jeszcze spuszczano z macierzystych okrętów, na pokładach których czekali nareńscy lordowie i ich strażnicy. Biagio bystrymi oczami przeszukiwał ocean. Na czele szyku płynęła szalupa z „Nieustraszonego”. Na jej dziobie stał Nicabar. Obok niego widać było białowłosego człowieka w kapłańskich szatach, całkowicie niemal przesłoniętego przez rosłego admirała. Biagio oblizał wargi, ogromnie rad z przybycia Herritha. Aby do tego doprowadzić, musiał pociągnąć za wiele sznurków. Marionetki zatańczyły dokładnie tak, jak sobie tego życzył. Czuł nawet pewne wyrzuty sumienia. Vorto był doskonałym generałem.

Jego śmierć utrudni zarządzanie Imperium. Hrabia westchnął lekko, wzruszeniem ramion zbywając myśli o konsekwencjach. Dziś nie chciał myśleć o przyszłych trudnościach. Herrith niewątpliwie zechce go wciągnąć w zaciekły spór. Biagio zamknął na chwilę oczy, ostrząc giętką klingę swego umysłu.

Od chwili, w której dowiedział się o zdradzie Simona, nie potrafił się odprężyć i odpocząć. Nocami przemierzał pałacowe korytarze niczym rozjuszony lampart, godzinami też przesiadywał w ogrodzie, gdzie marzył okryty jedynie lekką opończę. Czuł się porzucony przez wszystkich przyjaciół i głęboko niezrozumiany, a Dyana Vantran dotrzymywała swego słowa i unikała go pilnie, udając, że nie dostrzega jego uprzejmych uśmiechów.

Najczęściej tkwiła zamknięta w swoich komnatach, odmawiając wszelkich kontaktów z ludźmi.

Samobójstwo Eris głęboko ją dotknęło. Na myśl o tym, dobry nastrój Biagia zaczął się psuć.

Gdyby wiedział, że tancerka się powiesi, nie obszedłby się z nią tak surowo.

„Panuj nad sobą - upomniał się w myślach. - Nie daj się ponieść emocjom”.

Obecnie ta właśnie walka była najtrudniejsza. Ostatnio jego umysł zaczął się pogrążyć w marzeniach na jawie, przerywanych krótkimi błyskami szalonego gniewu. Hrabia wiedział, że wszystko to jest wynikiem ogromnego napięcia i świadomości, iż realizacja jego wspaniałego planu zbliża się do kluczowego momentu, nie tłumaczyło to jednak jego niektórych czynów. Machinalnie zaczął kopać piasek, rozgrzebując go czubkiem buta.

Ostatnio coraz częściej myślał o Dyanie Vantran. Była jak bystra, dokuczliwa mała muszka i nieraz go irytowała. Złościło go to, że czasami zmuszała go, by wspominał sprawy i sprawki, które chciał pogrzebać w niepamięci. Zawsze był pewien, że szaleństwo nawiedzało tylko ludzi o słabej woli. Arkus przecież nie był wcale szalony, prawda? Elixir trzymający go przy życiu prawie wcale nie wpływał na jego umysł.

„A może - pomyślał Biagio - obaj się okłamywaliśmy?”

- Mała wiedźma! - syknął gniewnie. - Próbuje rozproszyć moją uwagę i odwieść mnie od celu.

Hrabia zerknął na morze i natychmiast się wyprostował, wypinając przy tym pierś.

Szalupa Nicabara przybijała niemal do brzegu. Teraz widział Herritha całkiem wyraźnie.

Biskup też wpatrywał się w niego ponad dzielącą ich jeszcze wodą. Oczy biskupa zupełnie pozbawione były blasku. Biagio zmarszczył brwi. Czyżby Nicabar nie zabrał ze sobą eliksiru?

Nie, admirał z pewnością przekazał fiolkę biskupowi. Biagio znów podjął próbę uspokojenia rozbieganych myśli. W końcu tak czy inaczej, znajdzie haczyk na Herritha. Biskup był tak podatny na wszelkie sugestie...

Gdy szalupa zbliżyła się jeszcze bardziej, dwaj marynarze skoczyli w wodę i

brnąc po kolana, przepchali łódź do brzegu. Hrabia dopiero teraz ujrzał w łodzi drugiego, siedzącego obok Herritha gościa. I natychmiast poczuł wielką satysfakcję.

Kivis Gago.

Nareński minister wojny raczył się zjawić na Crote. Była to gratka, której hrabia wcale się nie spodziewał. Kivis Gago nienawidził Biagia niemal od zawsze, tak samo jak Herrith.

Biagio z najwyższym trudem ukrył uśmiech zadowolenia. Dał znak swoim przybocznym, by się cofnęli, gdy z łodzi wyskoczyli strażnicy ministra, otaczając swojego pana.

Goście natychmiast wyjęli miecze i otoczyli ministra siecią giętkiej stali. Nużący spektakl zirytował nieco Biagia, ale hrabia nie uczynił niczego, by go przerwać. Patrzył tylko, jak Gago wysiada z łodzi i brnie ku brzegowi. Twarz starego wroga była niczym kamienna maska.

Gago wyglądał inaczej, niż wtedy, gdy Biagio widział go po raz ostatni. Znikł błękit z jego oczu, zastąpiony przez naturalny, znacznie mniej interesujący brąz. Minister stracił też na wadze, co niewątpliwie było ubocznym skutkiem przymusowej kuracji odwykowej.

- Witaj na Crote, Gago - odezwał się Biagio, kłaniając się dwornie staremu wrogowi. - Powiedziałbym, że miło mi cię widzieć, ale obaj gardzimy kłamstwami, prawda?

Gago przystanął, oszołomiony bezczelnością powitania. Na jego twarzy zakwitł rumieniec nienawiści.

- Wciąż ten sam arogancki mały elf, prawda, Biagio? - odparował. - Myślałem, że na wygnaniu nieco poprawią ci się maniery. Ale widzę, że stałeś się jeszcze większym zgryźliwcem.

Biagio już go nie słuchał. Patrzył ponad jego ramieniem na Herritha. Stary biskup wychodził właśnie z łodzi i z trudem brnął ku brzegowi. Odrzuciwszy podane mu przez Nicabara ramię, szedł wyprostowany jak świeca, zaprzeczający tym swemu żalósnemu wyglądowi. Za nim kroczył Nicabar z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Kto jeszcze przybył? - spytał Biagio, myśląc o czymś innym.

- Claudi Vos, Tepas Talshir, Deboko... - odparł Gago. - Razem jedenastu lordów.

Biagio znów poczuł przyływ podniecenia.

- Ciesz się mnie to - odpowiedział spokojnie. - Może razem do czegoś dojdziemy.

- Nie bądź tego taki pewien, Biagio - ostrzegł go Gago. - Niektórzy z nas nie mają nastroju do rozmów.

„Ale jednak przybyliście - pomyślał z zadowoleniem Biagio. - Dureń z ciebie, ot co”.

- Zapomnijmy o uprzedzeniach i wrogości - odparł. Potem ruszył ku podchodzącemu do nich Herrithowi. Ku swemu zdziwieniu poczuł lekki niepokój. Herrith źle wyglądał, miał szarą twarz i podkrążone oczy, a jednak w starym człowieku była jakaś duma wzbudzająca szacunek. Biagio postanowił okazać go staremu wrogowi, kłaniając się nisko i godnie.

- Herrithcie - odezwał się grzecznie i pogodnie. - Dziękuję ci za zaszczyt, jaki mi sprawiłeś, przybywając osobiście. Witaj na Crote, stary przyjacielu.

Herrith wyglądał na człowieka, którego zaraz trafi szlag. Patrzył na hrabiego i milczał.

Biagio podjął kolejną próbę zjedwania go sobie.

- Chciałbym, żebyś się tu czuł swobodnie - odezwał się z uśmiechem. - Pozbądź się obaw. Jesteśmy tu tylko po to, by porozmawiać i nic ponad to.

- Na twój widok mdli mnie tak samo, jak dawniej - odezwał się wreszcie zagadnięty. - Nie nazywaj mnie przyjacielem, Biagio. Nie jesteśmy przyjaciółmi i nigdy nimi nie będziemy. Za to, co zrobiłeś, spadnie na ciebie Boża klątwa. Spłoniesz w piekle.

Przekleństwo zraniło dumę hrabiego. Usłyszał pełen satysfakcji chichot Kivisa Gago.

Przybocznicy ministra nadal trzymali w dłoniach obnażone miecze. Biagio wezwał na pomoc całe swe doświadczenie dyplomatyczne.

- Mimo wszystko, dziękuję ci, że tu przybyłeś i przywiodłeś ze sobą innych.

Gago mi powiedział, że przypląnął również Vos. To dobrze. A co z Oridianem?

- Jest na pokładzie „Czarnego Grodu” - odparł Nicabar. - Nie chciałem, by ten śmierdziel brudził mi kajuty na „Nieustraszonym”.

- Danarze, daj spokój starym animozjom - odezwał się Biagio z lekką przyganą w głosie. - Wkrótce jakoś się pojednamy.

- Nie - odparł Herrith lodowato. - Nie pojednamy się, hrabio. Nie tak łatwo.

Zgodziłem się tu przybyć tylko po to, by położyć kres rozlewowi krwi. Nie spodziewaj się niczego więcej.

Biagio kiwnął głową. Herrith nie miał pojęcia, co naprawdę znaczy rozlew krwi.

- Herricie, czy to nie ty w swoich kazaniach nauczasz, że pokój prowadzi do Niebios? Zacznijmy tę drogę tu i teraz. - Spojrzał na Gago. - Co powiesz?

- Jeszcze zobaczymy, czyje będzie na wierzchu, grzeszniku - skrzywił się zagadnięty.

Biagio spojrział na rozmówcę niewinnym wzrokiem.

- Kivisie, wszyscy jesteśmy grzeszni. Bacz, byś nie zblądził.

- Niektórzy są bardziej grzeszni, niż inni, hrabio - sprzeciwił się Gago.

Skinął dłonią i na ten gest jego przyboczni wsunęli miecze do pochew. - Ale masz rację, przynajmniej częściowo. Wysłuchamy cię. Nie traćmy więc czasu.

- Widzisz, Herricie? - rzekł Biagio. - Okazuje się, że możemy przekroczyć granice dzielących nas różnic, przynajmniej na ten jeden raz. Musimy się porozumieć, a do tego trzeba, żeby jedni wysłuchali, co mają do powiedzenia drudzy.

Biskup skrzywił się z niechęcią.

- Owszem, są sprawy, o których chętnie posłucham - warknął. - Posłucham, na przykład, jak się tłumaczysz. To po pierwsze. I niczego ci nie obiecuję, ty diable. Przybyłem tu. To wszystko.

Wszystkich słuchaczy uderzyła nienawiść brzmiąca w głosie Herritha. Biagio oczekiwał podobnych słów, nie spodziewał się jednak, że biskup zechce swoje uczucia okazać tak otwarcie. Zdławił słowa, cisnące mu się na usta w odpowiedzi i znów uśmiechnął się do wroga.

- Herricie, przejdźmy się - zaproponował. - Proszę, nie odmawiaj...

Odszedł kilka kroków wzdłuż plaży, zatrzymał się i odwrócił, czekając na biskupa.

Ten spojrział na niego zagadkowo, ale zaraz potem ruszył, idąc wolno i z wysiłkiem. Biagio odszedł jeszcze kilkanaście kroków, by się upewnić, że nikt nie usłyszy tego, co zechce powiedzieć staremu wrogowi. Oprócz odległości dyskrecją zapewniał też szum fal.

Hrabia zaczął od niewinnego pytania.

- Jak się czujesz? - spytał. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Te cierpienia powoduje kuracja odwykowa. Nie zażywam już twego piekielnego wywaru - odpowiedział Herrith.

- Nie zażywasz? Jak to? Czy Nicabar nie przekazał ci mojego ostatniego daru?

- Owszem. Jeżeli chcesz, możesz go zlizać z desek mojej kabiny. Tam właśnie go wylałem, prosto na podłogę.

Biagio zbladł.

- Jak mogłeś? Człowieku, spójrz na siebie... Ten eliksir jest ci niezbędny.

- Przeciwnie! - Herrith wyprostował się dumnie. - Bóg daje mi siłę, grzeszniku. Nie będę już handlował moją duszą w zamian za ten przeciwny naturze wymysł Bovadina!

- Herricie, ten środek trzyma nas przy życiu! - odparł hrabia.

- Nie tylko zresztą. Chciałem ci oszczędzić przynajmniej agonii śmiertelności.

- Śmierć pośle mnie w ramiona Boga - odparł Herrith - którego ty nigdy nie ujrzysz, uwierz mi.

Biagio westchnął.

- Ty i ja mamy wiele do omówienia. Byłoby łatwiej, gdybyś porzucił sarkazm.

Herrith stanął jak wryty. Spod habitu wysunęła się jego pomarszczona ręka, która chwyciła za rękaw kurtki Biagia i jednym szarpnięciem obróciła hrabiego twarzą do biskupa.

- Nie mów do mnie jak do dziecka, ty przewrotny degeneracje! - syknął. - Przy płynąłem tu tylko dlatego, by usłyszeć, co powiesz o tym, co ten twój karzeł zrobił z moją katedrą. I z moją córką!

- Z twoją córką? - uśmiechnął się szeroko Biagio. - A, tak. Wiedziałem, że się polubicie.

Twarz Herritha powlekła się purpurą i hrabia pomyślał, że biskup zaraz go uderzy.

- Bóg cię przeklnie, Biagio - syknął biskup. - Teraz możesz śmiać mu się w twarz, ale nadejdzie dzień sądu. Odpowiesz za swoje zbrodnie i grzechy, sodomito.

- Nie waż się mnie tak nazywać - ostrzegł Biagio Herritha, podnosząc palec w

górze. - Po raz ostatni spokojnie wysłuchałem od ciebie tej obelgi. To moja wyspa. Możesz sobie rządzić w Nar, ale na Crote to ja jestem panem sytuacji.

- Jesteś bluźnierczym gadem - odpowiedział Herrith. - Ślepym i głupim także.

Powiedz mi... - spojrzał na hrabiego z pytaniem w oczach. - Te zbrodnie i morderstwa... Po co to wszystko?

- Dla Nar - odparł Biagio głosem człowieka przekonanego o swojej słuszności.

Tknął się palcem w pierś. - Nar jest moje, a ty mi je odebrałeś.

- Mylisz się. Nar nie należy do żadnego z ludzi. Jest w ręku Boga.

- Nar to Imperium - syknął Biagio. - A Imperium powinno być zarządzane przez imperatora. Arkus chciał, bym ja zasiadł na jego tronie.

- Nigdy tego nie powiedział.

- Bo się bał - odparł Biagio. - Bał się własnej śmierci. Nie mógł się pogodzić z myślą o przekazaniu mi władzy i dlatego z tym zwlekał. Ale ty wiesz, że mam rację.

Wiedziałeś to od początku, ale zapragnąłeś zająć moje miejsce. Teraz się przekonałeś, że ja się tak łatwo nie poddam. Dlatego tu jesteś. Teraz ty się boisz.

Twarz biskupa była spokojna.

- Biagio, mam troski i lęki, o których nawet nie wiedziałem, że istnieją - odezwał się ze smutkiem w głosie. - Ty jesteś tylko jedną z nich... Wysłucham twoich bredni. Jeżeli trzeba się porozumieć, by cię powstrzymać od dalszego zabijania, to pójdę na ustępstwa. Ale nigdy się nie zgodzę na to, byś został imperatorem.

- Powiedz to, Herricie - odezwał się Biagio niemal błagalnym tonem. - Przyznaj, że Arkus chciał, bym władał Imperium. Wiesz, że to prawda.

- Powiem, jeżeli ma ci to przywrócić rozsądek. Arkus chciał ci przekazać władzę w Imperium. Kochał cię jak syna. Ale to niczego nie zmieni.

Dla Biagia jednak stwierdzenie to zmieniało wszystko. Przez chwilę patrzył na Herritha jak rażony gromem. „Kochał mnie. Jak syna”. I nagle jego gniew rozpląnął się w smutku.

- Więc dlaczego wystąpiłeś przeciwko mnie, Herricie? Co nas podzieliło?

- Powód był ten sam, dla którego wciąż będę z tobą walczył, hrabio. Jesteś szaleńcem i grzesznikiem. A Czarne Odrodzenie to choroba, która zniewala ludzi i obraża Boga. A ty chcesz ją znów ściągnąć do Nar. - Herrith potrząsnął głową. - Nigdy ci

na to nie pozwolę.

- Nie powstrzymasz mnie, Herricie - ostrzegł Biagio przeciwnika. - Nikt mnie nie powstrzyma. Dosięgnę każdego z was, dokądkolwiek uciekniecie. Już to udowodniłem.

- Owszem, pięknie się spisałeś, przerażając nas wszystkich - przyznał stary człowiek z goryczą w głosie. - Ale my zawarliśmy sojusz, by cię zatrzymać. Teraz masz zbyt wielu nieprzyjaciół, Biagio. Nie możesz pokonać nas wszystkich.

Biagio skwitował tę groźbę głośnym śmiechem.

- Widzę, że jest jeszcze wiele do omówienia - odpowiedział. - Poczekajmy z tego rodzaju oświadczeniami, bo zaczniemy wypowiadać groźby, których później będziemy się wstydzili. Dziś i jutro wszyscy powinniście odpocząć. A potem zaczniemy rozmowy.

- Wolalbym skończyć z tym jak najszybciej - oparł biskup. - I chciałbym jak najszybciej strząsnąć z podeszew piasek tej wyspy.

- Herricie, nie odmawiaj przyjęcia mojej gościny. Nie chcesz eliksiru, to zjedz coś i napij się wina. Wszystkiego mamy pod dostatkiem. Nie szczędziłem wydatków, by zapewnić wam wszelkim wygody. Patrząc na ciebie, widzę, że morska podróż mocno cię znużyła.

Herrith skrzywił się z niechęcią.

- Niechże i tak będzie. Zaczynamy pojutrze. - Odwrócił się i ruszył ku miejscu, gdzie zostały łodzie.

Biagio patrzył za odchodzącym starym wrogiem i zdumiewał się jego sile.

Wyrzeczenie się eliksiru było czymś, czego nigdy w życiu by się po Herricie nie spodziewał.

Nie podejrzewał biskupa o taką determinację. A jednak był bardzo zadowolony.

- Pojutrze... - wyszeptał.

Nie powiedział Herrithowi, że „Nieustraszony” i jego eskorta nie były jedynymi nareńskimi okrętami, które wpłynęły dziś na wody Crote. Trzy godziny przed nimi pojawił się „Bystry”.

Cały ten dzień Dyana spędziła w swoich komnatach, gapiąc się ponuro na ściany.

Słyszała pełne entuzjazmu okrzyki Kyli i innych służących, które licytowały się w ploteczkach dotyczących orszaków jedenastu nareńskich lordów, którzy przybyli na wyspę w orszaku arcybiskupa Herritha. Ciekawe te nowiny wcale Dyany nie poruszyły.

Biagio tkał wciąż nowe sieci i wszystko to było z pewnością kolejnym elementem jego wspaniałego planu. Pewna, że i tak nie wyrwie się hrabiemu, postanowiła, że zostanie bezczynną uczestniczką wydarzeń. Niczego nie mogła już zdziałać. Eris nie żyła, ona straciła wszelki wpływ na Biagia i wiedziała, że nie wolno lekceważyć jego gróźb. Z pewnością zamierzał ją zabrać do Czarnego Grodu. Miała być przynętą w pułapce, jaką skonstruował dla Richiusa.

Do niedawna jeszcze miała nadzieję, że może dotrzeć do jego pokrętnego umysłu i naprawić szkody, jakie wyrządził w nim diabelski eliksir Bovadina, teraz jednak zrozumiała, że Biagio nie podda się wpływom naiwnej dziewczyny z Lucel - Loru.

Od dnia śmierci Eris w ogóle zresztą z Biagiem nie rozmawiała. Raz jeden jedyny minęli się na korytarzu. Hrabia uśmiechnął się do niej krzywo, Dyana jednak minęła go z podniesionym nosem. Nie chciała dawać mu żadnej satysfakcji, okazując strach, nie życzyła sobie, by się nad nią litował. Ku swemu zdumieniu nie żywiła do hrabiego nienawiści, nawet po okropnej krzywdzie, jaką wyrządził Eris. Dyana widziała w nim raczej żalosne dziecko, które za wszelką cenę chce sięgnąć po niedostępną zabawkę. Dopuszczał się okropnych zbrodni, był bardzo niebezpieczny, ona jednak wciąż nie wiedziała, czy był z gruntu złym człowiekiem. Richius nazywał go diabłem. Dyana jednak urodziła się jako Triinka, a triińscy bogowie mieli bardziej skomplikowane osobowości. Żaden z nich nie był wyłącznie i do końca zły. Sama myśl o tym wydawała się Dyanie nieprawdopodobna.

„Nie można jednak się przebić przez skorupę, w jakiej się zamknął - przypomniała sobie. - Więc nawet nie próbuj”.

Było już po północy i pałac pogrążył się w ciszy. Dyana nie mogła zasnąć, leżała więc w łóżku i wpatrywała się w sklepienie. Na suficie wymalowano piękny fresk, ukazujący jakieś wydarzenie z historii wyspy, Dyana jednak nie miała pojęcia, co przedstawiał. Co jakiś czas ktoś przechodził pod jej drzwiami, co ją nieco rozpraszało. Przybycie nareńskich lordów niewątpliwie przysporzyło służbie wielu obowiązków. Dyana przypomniała sobie Falindar, gdzie jako żona Tharna też była rozpieszczana przez służących. Tharn był dobrym człowiekiem. Żadnego z jej kaprysów nie pozostawiał bez spełnienia i dawał jej wszystko, czego zapragnęła. Niekiedy, ku swemu własnemu zaskoczeniu, tęskniła za okaleczonym przez bogów pierwszym mężem. Dałaby wszystko

za możliwość powrotu do domu.

- Kobieto - odezwał się niespodziewanie znany jej głos. Przerażona wzdygnęła się.

Przeszukawszy wzrokiem mroczną komnatę, spostrzegła na progu hrabiego. Na jego widok poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

- O co chodzi? - spytała, naciągając na siebie koc.

Biagio powoli podszedł do jej łóżka. Jego oczy lśniły z podniecenia, a czerwona toga ciągnęła się za nim niczym welon panny młodej.

- Nie bój się - poprosił uspokajającym tonem.

- Jak się tu dostałeś? - spytała. W tej samej chwili zrozumiała, jak głupio brzmi to pytanie. Nic ją jednak nie obchodziło to, że Biagio był panem tego domu.

Sypialnia należała do niej!

- Nie zapukałem, bo pomyślałem, że możesz mnie nie usłyszeć - wyjaśnił. Patrzył na nią z ciekawością w oczach. Na jego twarzy widać było coś, jakby tęsknotę. - Nie chciałem cię przestraszyć.

- Wyjdz, proszę - odpowiedziała Dyana. Poczula się nagle małą i nic nie znaczącą osobą. W mroku hrabia wyglądał wspaniale.

- Nie jesteś tu mile widziany.

Biagio zrobił kolejny krok w jej stronę.

- Zaraz sobie pójdę - zapewnił ją szybko. - Chciałbym jednak się upewnić, że zrozumiesz to, co ci powiem. Jutro w nocy, dokładnie o tej samej porze, masz być gotowa do opuszczenia Crote.

- Wyjeżdżamy? - spytała. - Dokąd?

Odpowiedź, jaką usłyszała, potwierdziła jej najgorsze obawy.

- Wracamy do Czarnego Grodu. Kiedy przyjdzie pora, przyślę po ciebie niewolnicę.

Razem z innymi udasz się na plażę. Będzie na ciebie czekała łódź. Wsiądziesz do niej i odpłyniesz.

Dyana podniosła się i usiadła na łożu.

- Dlaczego akurat teraz? - spytała. - Skąd ten pośpiech?

Biagio uśmiechnął się złowrogo.

- Nadciąga twój mąż, z bandą lisseńskich opryszków. Zamierzają odebrać mi wyspę.

- Richius? - Zdziwiła się Dyana. - Skąd wiesz?

- Brwi hrabiego uniosły się.

- I znowu pytania. Myślałem, że już nigdy się do mnie nie odezwiesz.

- Odpowiedz! - napierała Dyana. - Płynie tu Richius? Skąd to wiesz?

- Kobieto, jestem Roshannem - przypomniał jej. - Mam swoje sposoby. Płynie tu twój mąż. Niewątpliwie zabrał ze sobą całą bandę lisseńskich obdartusów. Kiedy się tu zjawią, nikt nie będzie bezpieczny... nawet ty. - Hrabia skrzyżował ramiona na piersiach i patrząc na nią udatnie, sparodiował jej gniewne spojrzenie. - Nie chciałbym cię stracić tak szybko. Wciąż mam jeszcze pewne plany względem ciebie.

Dręczenie jej sprawiało mu przyjemność, ale Dyana już go przejrzała.

- Nie próbuj mnie przestraszyć - odparła gniewnie. - Wydaje mi się, że to ty czujesz strach. Uciekasz przed Lisseńczykami.

- Och, kobieto, jakaż ty jesteś krótkowzroczna - zaśmiał się Biagio. - Ty mnie wcale nie znasz. Ale mniejsza o to. Bądź gotowa, gdy po ciebie poślę. Jeżeli nie będziesz gotowa, zaciągnę cię na „Nieustraszonego” siłą... choćbyś była naga.

Wyjął z kieszeni mały klucz na srebrnym łańcuszku. Dyana obrzuciła klucz podejrzliwym spojrzeniem.

- Co to jest?

- Obawiam się, że nie mogę cię wypuścić z tych komnat aż do jutrzejszej nocy.

Nie chcę, by cię zobaczył którykolwiek z moich nareńskich gości.

Odwrócił się by odejść, ale zatrzymał go głos Dyany.

- Możesz mnie zamknąć, ale nie zostanę twoim więźniem - powiedziała z uporem.

- Jestem wolną kobietą. Nigdy nie będziesz moim panem, Biagio.

Hrabia zatrzymał się w progu.

- Dyano Vantran, w każdej chwili mogę zdmuchnąć twój żywot jak płomyk świecy.

Czy na tym ma polegać twoja wolność?

Nie poczekał na odpowiedź. Znikł w ciemnościach i Dyana usłyszała tylko zgrzyt klucza w zamku. Usiadła na łóżku i przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę swego

więzienia.

Nie bała się o siebie.

- Och, Richiusie - rzuciła błagalnie w mrok. - Proszę, bądź ostrożny...

Czterdzieści trzy POJUTRZE

Richius Vantran ocknął się przed świtem i marznąc na pokładzie, patrzył teraz na wyspę Biagia przez szkła lunety. „Księżę Liss” i trzy towarzyszące mu eskortowce czaiły się w mroku, który krył je przed wzrokiem mieszkańców wyspy. Kiedy do niej podpływali, nie natknęli się na żadne liniowce, byli więc spokojni o powodzenie inwazji.

„Księżę” zarzucił kotwicę w odległości jednej mili morskiej od pałacu Biagia. Richius czuł porywy przenikliwego morskiego wiatru, który targał mu kołnierz koszuli. Podobnie jak wszyscy jego podwładni, nie miał na sobie płaszcza, tylko grubą kurtkę z samodziału, IJ na którą włożył napiersnik ze skóry wzmocnionej naszytymi na nią stalowymi kółeczkami. Na dłonie wciągnął słabo chroniące przed zimnem myśliwskie rękawice z jeleniej skóry.

Ponownie zerknął w szkła, usiłując przejrzeć mrok. Wybrzeże Crote było łagodniejsze niż brzegi Liss - w świetle gwiazd widział długą, białą plażę i krótko przyciętą trawę, co można było spostrzec nawet z pokładu. Richius spokojnie obserwował okolicę. Obok niego stali Simon i Prakna. Shii wraz z tuzinem żołnierzy stała nieco dalej, gotowa wsiąść do pierwszej łodzi, którą spuszczano właśnie z pokładu. Podobną łódź przygotowywano przy przeciwległej burcie. To samo robiono na pokładach trzech pozostałych szkunerów.

Do każdej wsiadało tylu żołnierzy, ilu się w niej dało zmieścić.

Do świtu pozostały jeszcze dwie godziny. Richius miał nadzieję, że wystarczy czasu, by otoczyć pałac Biagia. Nie chcąc, by jego oddziały wycięto podczas lądowania na plaży, postanowił wysadzić desant nieco dalej, w miejscu, którego nie mogli zobaczyć wartownicy Biagia. Simon wybrał dogodne miejsce, zapewniając jednocześnie, że Lisseńczycy nie natkną się tam na żaden opór. Richius miał poprowadzić ku dworowi niewielką grupkę zwiadowców, którzy powinni bezszelestnie unieszkodliwić wartowników na posterunkach. W tej misji również miała się przydać wiedza Simona, który znał wszystkie zwyczaje i rozkład dnia w siedzibie Biagia. Tak przynajmniej twierdził. Richius zacisnął zęby i oddał lunetę Praknie.

Potem spojrzął wyczekująco na Simona.

- Nic nie widzę - szepnął. - Mam nadzieję, że się nie myliłeś, gdy nam szkicowałeś rozstawienie posterunków.

- Nie pomyliłem się - odparł Simon. - Mówiłem wam, że Biagio ma mniej więcej pół tuzina przybocznych, pilnujących dworu.

Richius kiwnął głową. Oczywiście, Simon mówił im o tym niezliczoną liczbę razy.

Richius wciąż jednak przypominał sobie wszystko po kolei. Sześciu ludzi - po dwóch na posterunkach przy obu wejściach i dwóch patrolujących ogrody. Tych ostatnich najtrudniej będzie odnaleźć i wyeliminować. I trzeba to będzie zrobić szybko. To zadanie powierzono Simonowi. Agent Roshannów przygotował się do akcji, wkładając obcisłe, czarne ubranie, w którym wyglądał jak wygłodzona pantera. Włosy związał w kucyk z tyłu głowy, uzbroił się zaś w prosty, ale niezawodny sztylet i krótki kord, który przypiął do boku. W mroku wyglądał przerażająco. Jego ponury, zdeterminowany wzrok przypominał Richiusowi, że Roshannie nadal pozostawali ukrytym zagrożeniem wszędzie, jak Imperium długie i szerokie.

- Jak daleko stąd do dworu? - spytał. - Godzina marszu?

- Trochę mniej - odpowiedział Simon. - My zjawimy się tam szybciej niż pozostali, bo ja będę prowadził.

- Inni muszą się zdać na mapy - zgodził się Richius. Pewien był, że pozostałe grupy dotrą do pałacu bez przewodnika. Chciał też, żeby Simon doprowadził pierwszą grupę jak najszybciej. Kilku ludzi łatwo mogło się przemknąć, nie budząc niczyich podejrzeń. Pozostałe grupy, prowadzone przez Tomra, Lorie i Delfa miały otoczyć dwór od północy, zachodu i wschodu, tworząc łączysko i ramiona łuku, w którym chciał zamknąć pałac Biagia.

Uzgodniono też, że Prakna, Marus i inni żeglarze zostaną na pokładach okrętów - nie na wiele zresztą by się przydali w bitwie na lądzie. Co prawda na wszelki wypadek mieli swoje zakrzywione lisseńskie bułaty. Richius nie sądził, by trzeba ich było wezwać do walki, ale Biagio niejedną raz zaskakiwał już przeciwników. Vantran spojrzał na poważną twarz komandora.

- Czas ruszać, przyjacielu - powiedział Lisseńczyk, wskazując gestem czekających przy szalupie. Potem wyciągnął rękę, podając Richiusowi dłoń do uścisku.

Vantran przyjął ją ciepło i serdecznie.

- Nie odpływaj bez nas, komandorze - zażartował Richius. Poczul, że uścisk Lisseńczyka krzepnie.

- Richiusie, niezależnie od tego, co się wydarzy, chciałbym, żebyś wiedział, że zawsze ciepło o tobie myślałem. Liss dziękuje ci za to, co dla niego zrobiłeś.

Osobliwe wyznanie sprawiło, że Richius się zaczerwienił.

- Nie martw się, komandorze - powiedział by coś rzec. - Zamierzam tu jeszcze wrócić.

- Bardzo dobry pomysł - zgodził się Prakna. Następnie komandor odwrócił się ku Simonowi. - Tobie też życzę powodzenia, Narenie.

Nie było to ciepłe pożegnanie, Simon jednak przyjął je za dobrą monetę.

- Życzę szczęścia i mam nadzieję, że nie pojawią się tu żadne liniowce, komandorze.

- Nic nam tu nie grozi - odpowiedział Prakna. - Troszcz się o siebie.

- Nigdy o tym nie zapominam - odrzekł Simon, wpatrując się zuchwale w komandora.

- Czy to źle?

Komandor wzruszył ramionami, nie mając ochoty wszczynać kolejnej, daremnej i do niczego nie prowadzącej sprzeczki.

- Nie będę się z tym spierał, Simonie Darquis.

- Ruszajmy - odezwał się Richius, ujmując Simona pod ramię i prowadząc go ku szalupie.

Przy blokach obok relingu stało już czterech marynarzy, którzy szykowali się do spuszczenia łodzi na wodę. Shii stała na jej pokładzie, otoczona siedzącymi żołnierzami. W mglistym świetle wyglądała groźnie, jak wcielenie lisseńskiego honoru. Patrząc na nią, Richius poczul głęboką dumę. Wszedł do łodzi, przeciskając się pomiędzy siedzącymi, którzy podnieśli na niego spojrzenia pełne zapału. W grupie byli Johr, jego siostra Teeli, i najmłodszy ze wszystkich, szesnastoletni Griff. Młodziak wyglądał na nieco przestraszonego, jak poprzedniej nocy, kiedy Richius polecił mu, by został na okręcie i nie brał udziału w operacji. Griff jednak upierał się że jest żołnierzem takim jak wszyscy. Teraz kiwnął Richiusowi głową, ponownie zdradzając zdenerwowanie. Richius

odpowiedział mu porozumiewawczym mrugnięciem i usiadł obok Shii. Zaraz potem do łodzi wskoczył Simon, nie uśmiechając się do nikogo i z nikim się nie witając. Mimo wszystko był wśród nich wyrzutkiem, usiadł więc na dziobie, z dala od reszty. Aby nie zmęczyć ludzi przed operacją, uzgodniono, że każdą łódź poprowadzi do brzegu czterech wiosłarzy Prakny.

- Spuszczajcie! - polecił Richius.

Zaraz po tym skrzyknęły bloki, gdy majtkowie na pokładzie zaczęli luzować liny.

Richius widział, że z pokładów innych okrętów też zsuwają się w dół łodzie pełne ludzi. Z góry patrzył na nich Prakna. Komandor pomachał im ręką, co nieco zaskoczyło Richiusa, ponieważ spodziewał się, że stary żeglarz będzie bardziej poruszony. Łódź ześlizgnęła się po burcie „Księcia” i osiadła na wodzie. Wiosłarze natychmiast zabrali się do wiosła, odbijając od burty macierzystego okrętu i kierując dziób szalupy ku brzegowi. Simon udzielał im wskazówek. Inne łodzie ruszyły ich śladem. Richius zaczerpnął słonego powietrza, próbując uspokoić walące mu jak młot serce. Siedząca za nim Shii mocno pobladała. Vantran trącił ją łokciem.

- Dobrze się czujesz?

Shii odpowiedziała skinieniem głowy.

- Jesteś pewna? - spytał. - Kiepsko wyglądasz.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała dziewczyna. Zdradziła się jednak, nerwowo oblizując wargi.

Richius podniósł rękę, by zwrócić na siebie uwagę.

- Posłuchajcie mnie wszyscy - odezwał się głośnym szeptem.

- Mamy przed sobą trudne zadanie i wiem, że się boicie. Ale tak powinno być. Ja też się boję.

- Boisz się? - spytał Griff.

Richius uśmiechnął się do młodzika, przypominając sobie, że w Aramoorze byli inni, bardzo do niego podobni.

- To zwykła rzecz, że człowiek się boi - stwierdził rzeczowo.

- Ale włożyliście wiele wysiłku w szkolenie i wiecie, co robić. A jeżeli będzie nam sprzyjało szczęście, to Biagio się po prostu podda.

Lisseńczycy zaczęli spoglądać jedni na drugich; mieli przy tym zdziwione miny.

- Wiem, że mi nie wierzycie, ale Biagio jest człowiekiem, który potrafi liczyć - ciągnął Richius. - Kiedy zobaczy, ilu nas jest, może po prostu zda się na naszą łaskę.

- Lordzie Szakalu... - odezwała się Shii tonem prośby. - Nie jesteśmy dziećmi...
Przestań...

Richius umilkł. Widział, że nerwy Shii są napięte do ostatnich granic, dał jej więc czas na to, by w drodze do brzegu jakoś się pozbierała. Simon usiadł na dziobie, skąd kierował łodzią gestami rąk. Powiedział przedtem Richiusowi, że zna miejsce należące do rozległej posiadłości Biagia, gdzie nikt nie dostrzeże ich lądowania. Richius wciąż się obawiał, że wszystko to może być pułapką. Choć bardzo chciał zaufać Simonowi, nie mógł się jednak wyzbyć natrętnych podejrzeń. Nawet i to mogło się okazać częścią przemyślnego planu Biagia. Może hrabia wiedział o tym, że nadciągają i że prowadzi ich Simon...

- Tam - szepnął Simon do wioślarzy. - Skierujcie nas tam.

Z mroku wyłoniła się długa, wąska zatoczka. Lisseńczycy wprowadzili łódź na jej wody. Zatoczka była dostatecznie rozległa, by pomieścić tuzin łodzi, a z obu stron osłaniały ją wysokie piaszczyste wydmy. Ujrawszy ją, Richius uśmiechnął się do siebie. Simon dotrzymał słowa.

Pozostałe łodzie kolejno wpływały do zatoczki i przybijały do brzegu. Pierwsza była łódź Delfa. Lisseńczyk zobaczył Richiusa i pomachał mu ręką. Richius spojrzał ponad jego ramieniem, by ocenić pozycję pozostałych szalup. „Księżę Liss” i towarzyszące mu szkunery były prawie niewidoczne na horyzoncie, ale zdołał zobaczyć inne łodzie. Żeby przewieźć dziewięciuset żołnierzy na brzeg wioślarze będą musieli wielokrotnie kursować tam i z powrotem.

Szybko wyskoczył do wody i rozbryzgując fale, pobiegł ku brzegowi. Jego ludzie szli tuż za nim. Wkrótce cała zatoczka pełna była Lisseńczyków. Richius patrzył na nich uważnie, zaskoczony ich spokojem i precyzją. Poruszali się tak, jak ich uczył, szybko, w milczeniu i bez zbędnych ruchów.

- No dobrze - zwrócił się do Shii. - Ruszajmy. - Spojrzał na Simona, który miał poprowadzić na pałac pierwszą drużynę. - Gotów?

- Gotów - odparł Simon i ruszył cicho na północ. Richius podążył za nim, ponaglając Shii i pozostałe dwie drużyny, by nie zostawały w tyle.

Tuż przed świtem arcybiskup Herrith opuścił swe urządzone z przepychem komnaty w zachodnim skrzydle pałacu i udał się na poszukiwania hrabiego Biagio. Jak wszyscy, którzy przywykli do eliksiru Bovadina, biskup wstawał wcześniej, a niekiedy całe noce nie zmrużył oka. Ponieważ wiedział, że Biagio cierpi na ten sam rodzaj bezsenności, pewien był, że zastanie go na nogach. Od przybycia na wyspę minął dzień i Herrith był gotów do rozpoczęcia rozmów z croteńskim diabłem. Aż do tej pory nikt mu nie przeszkadzał w odpoczynku, Herrith czuł się więc całkiem dobrze, choć oczywiście przeżywał znane mu już dolegliwości kuracji odwykowej. Gdy tylko wszedł do wyznaczonych mu komnat, w pierwszej z nich na stole dostrzegł miesięczną porcję eliksiru. Pokój był doskonale utrzymany i Herrith odczuwał jakąś przewrotną uciechę, wylewając błękitny płyn na przepiękny dywan.

Kivis Gago i inni lordowie otrzymali w zachodnim skrzydle dworu podobne apartamenty.

Herritha zaskoczyły widome oznaki bogactwa Biagia. Zawsze wiedział, że hrabia jest człowiekiem o wysublimowanym smaku artystycznym, ale pałac był pełen prac Daraga i innych słynnych artystów, a wszystkie sprzęty wyglądały na wykonane ze złota, srebra, pięknie tłoczonej skóry, najdroższych gatunków drewna i wspaniałych marmurów.

Wszystkie korytarze lśniły od złocień, a pościel na łóżach kusiała połyskiem jedwabiu.

Każdemu z gości przeznaczono taki orszak niewolników, że Herrith z najwyższym trudem mógł się skoncentrować, gdyż nieustannie wchodzili i wychodzili z propozycjami posiłków i rozmaitych usług. Cały poprzedni dzień spędził na rozmowach z innymi nareńskimi lordami.

Wszystkim odpowiadały wygody i wszyscy się zgodzili, że w rozmowach z Biagiem trzeba się trzymać ustalonego planu. Nikt jednak nie wiedział, jaki ma być ten plan, ponieważ nikt z nich nie widział się z Biagiem, ani z żadnym jego doradcą czy sekretarzem.

Herrith postanowił więc wziąć na siebie rolę mówcy, który wystąpi w imieniu całej grupy, i zdecydował, że nie będzie czekał aż do świtu. Chciał się zobaczyć z Biagiem już teraz.

Było bardzo wcześnie i gdy tak szedł pustymi korytarzami, nikt mu nie przeszkadzał.

Nawet członkowie licznej służby potrzebowali wypoczynku, ponieważ poprzedniego dnia jedenastu lordów i ich orszaki dostarczali niewolnikom mnóstwo zajęć. Herrith poruszał się cicho, nie pragnął bowiem nikogo obudzić.

W pewnej chwili zatrzymał się i zerknął w wysokie okno. Było jeszcze dość ciemno i z braku światła z trudem rozróżniał zarysy linii brzegowej i oceanu. Był to jeden z tych momentów, o których biskup lubił mawiać, że Bóg stworzył je po to, by skłonić ludzi do rozmyślań. Dziś Herrith był bardzo zamyślony. Lorli podobałby się ten widok za oknem i wspaniałości pałacu. Niestety, już nie żyła i nie mogła podziwiać tych wszystkich rzeczy, choć nie był pewien, czy ona w ogóle miała jakiegokolwiek życie. Była wytworem laboratoriów wojennych - co Biagio sam przyznał. Czyniło to jakimś mniej wartym od prawdziwej istoty ludzkiej - ale w pewien osobliwy sposób była kimś więcej, niż zwykłą dziewczynką. Herrith wciąż za nią tęsknił, wciąż odczuwał ból i żal, i nie dbał o to, że stworzono ją wyłącznie po to, by go uwiodła i oszukała. W ostatecznym rozrachunku usiłowała uratować jego życie za cenę własnego, i tylko to się dla niego liczyło.

„Zapłacisz mi za to, Biagio” - pomyślał po raz tysięczny. Patrząc w dal, zobaczył nieuchwytnie mignięcie jakiegoś ruchu, ale nie zwrócił na nie uwagi. „Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy, ty i ja. Jeszcze się porachujemy”.

Dałby wszystko za to, by móc wycisnąć z Biagia wszystką krew, a resztki rzucić szczurom. Gdyby mógł, obłupiłby hrabiego żywcem ze skóry i kazałby sobie obić nią krzesło.

Wiedział, że jego umysł pogrąża się w odmęty szaleństwa, ale nie umiał zatrzymać tego procesu. Jego córka, jego ukochana katedra i nawet wspaniale arcydzieło Daraga, wszystko padło ofiarą okropnego planu zbrodnieca. Zamknawszy oczy, biskup widział, jak całe jego życie przepada w płomieniach. Ostatnio zważyło się na niego tyle trosk, że prawie padał pod ich ciężarem. Nie wszystkie z nich były dziełem Biagia.

„Kiedy wrócimy do Nar, zmienię swoje postępowanie” - przysiągł sobie. Nigdy już nie użyje Formuły B. Utrzyma pokój innym sposobem, bez mordowania niewinnych dzieci.

Uważał, że Czarne Odrodzenie było największym z zagrożeń dla jego kraju i sądził, że do walki z nim można użyć wszelkich środków - teraz jednak wiedział, że głęboko się mylił.

Przez cały czas uważał, że przemawia do niego Bóg, teraz pojmował, że głosy, które słyszał, były tworamii jego umysłu.

Otworzywszy oczy, zobaczył za oknem coś dziwnego - szybkiego i poruszającego się ukradkiem, niczym cień. Zmrużył oczy, by lepiej się przyjrzeć temu czemuś, ale w tej samej chwili usłyszał, że ktoś woła jego imię w głębi korytarza.

- Arcybiskup Herrith... Dzień dobry.

Mówiącym był Leraio, osobisty sługa Biagia. Herrith poznał go przed dwoma dniami, ale w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć imienia tego człowieka. Leraio szedł ku niemu z przyjaznym uśmiechem. Herrith odwrócił się, nie wiedząc, co począć. Być może Biagio miał zwyczaj wysyłania złych wieści poprzez służbę - tak na przykład przysłano mu głowę Vorta.

- Jest bardzo wcześnie - zauważył z rezerwą. - Co tu robisz, synu?

- Szukam cię, Wasza Świątobliwość - odpowiedział niewolnik. - Hrabia Biagio chciał, bym wam przekazał od niego wiadomość. Poleciał mi wstać jak najwcześniej, by dostarczyć wam tę wiadomość, ze względu na szacunek, jaki żywi dla Waszej Świątobliwości.

- Biagio? Właśnie szedłem się z nim zobaczyć - odparł zaskoczony Herrith. - Co to za wiadomość?

Leraio sięgnął za pazuchę jedwabnej koszuli i wyciągnął list, jak zwykle zapieczętowany nienawistnym herbem hrabiego. Herrith mimo woli jęknął na jego widok.

- Co to ma znaczyć? - spytał. - Chcę się widzieć z hrabią. Leraio potrząsnął głową, uśmiechając się dyskretnie.

- Przykro mi, Wasza Świątobliwość. Hrabiego Biagio nie ma już na Crote. Odplynał w nocy, gdy jeszcze spałeś.

Wszystko to było tak dziwne, że Herrith w pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał.

- Odplynał? Cóż to ma znaczyć? Mówże, człowieku!

- Przykro mi to rzec, ale hrabia Biagio wyjechał - odpowiedział sługa. - Razem z admirałem Nicabarem. Jak powiedziałem, wypłynęli w nocy. Bardzo mi przykro, Wasza Świątobliwość. Nie wiem niczego ponad to, co już powiedziałem. Oto wiadomość, którą miałem przekazać. Może ten list wszystko wyjaśni...

- O czym ty mówisz, człowieku? - warknął Herrith. - Biagio wyjechał?

Leraio zbladł.

- Tak, Wasza Świątobliwość - odpowiedział żałośnie. - Bardzo mi przykro.

- Wyjechał?! - zagrzemiał Herrith jak za najlepszych swoich kazań, w których piętnował grzeszników. - Dokąd wyjechał?!

- Do Czarnego Grodu, Wasza Świątobliwość. Rozkazał, bym o tym powiadomił, kiedy go już nie będzie, i żebyś dał ci ten list... z wyrazami szacunku.

Herrith zdumiał się tak, że przez chwilę nie mógł z siebie wydusić słowa.

- Kiedy wróci? - spytał wreszcie, gdy odzyskał zdolność mowy.

- Nie wiem, czy w ogóle wróci - odpowiedział Leraio. - Przykro mi, Wasza Świątobliwość.

- Nie masz za co przepraszać, bałwanie! - syknął biskup. Zaczął szarpać palcami kopertę, by ją otworzyć. Leraio ofiarował się z pomocą, ale Herrith zbył go gniewnym machnięciem dłoni i rozłożywszy pismo, zaczął czytać. Po raz kolejny zobaczył wyraziste, ozdobne pismo Biagia.

Drogi mój Herricie, dzięki ci, że przywiozłeś ze sobą tak wielu moich nieprzyjaciół.

Dobrze było zobaczyć ich wszystkich znowu razem, choć obawiam się, że to nasze ostatnie spotkanie. Odpływam z Nicabarem do Czarnego Grodu i zabieramy ze sobą wszystkie nasze okręty. Nie ma sposobu, byście opuścili tę wyspę.

Mam nadzieję, że przez resztę dnia będziecie się dobrze bawili. Częstujcie się, czym kto chce. Jeżeli się nie mylę, zostało wam już niewiele czasu.

Twój przyjaciel, hrabia Renato Biagio.

- Mój Boże! - wykrzyknął Herrith. - Co to wszystko znaczy? - Potrząsnął listem tuż przed nosem Leraia. - Zostawił nas! Dlaczego?

Leraio nie zdołał odpowiedzieć.

- Porzucił nas tutaj! - ryknął Herrith, ciskając list na posadzkę. - Co ten drań znów

wymyślił?

Znów dostrzegł kątem oka jakieś mignięcie za oknem.

- A cóż to znowu? - warknął, przyciskając nos do szyby. Świt nadciągał powoli, ale na zewnątrz robiło się coraz jaśniej.

Herrith zobaczył na horyzoncie sylwetki czterech okrętów. Na chwilę wróciła mu otucha.

- To jakiś żart? Popatrz, liniowce wciąż tam są...

Ale nie były to liniowce. Okręty w ogóle nie przypominały tych, które spuszczano na wodę w nareńskich stocznjach. Zrozumiawszy to, Herrith odskoczył od okna jak oparzony.

- O Boże miłosierny! - jęknął. - To Lisseńczycy...

Simon poruszał się jak lampart; przebiegając przez dziedziniec pałacu błyskawicznie odnalazł wzrokiem dwóch znudzonych wartowników. Pierwszy stał przy klombie, który zraszał obficie moczem, gdy sztylet Simona bezgłośnie zanurzył się w jego plecach.

Wartownik w milczeniu osunął się na ziemię - sparaliżowany i niezdolny do wydania głosu, nie wiedział, co się stało, dopóki nie zobaczył stojącego nad nim Simona.

Szybkie cięcie w krtań zakończyło sprawę. Drugiego trudniej było znaleźć, więc Simon zaczął się w cieniu krzewu, czekając aż tamten sam przyjdzie, z pewnością bowiem zaniepokoi go nieobecność towarzysza. Simon pamiętał, że obaj mieli okrążyć ogrody, jeden w prawo, drugi w lewo, idąc wzdłuż ich zewnętrznej granicy. Obchód zajmował im obu około dziesięciu minut w jedną stronę. W osiem minut po zabicu pierwszego strażnika spostrzegł drugiego. Było nadal ciemno, ale zobaczył go na tle jednego z okien zachodniego skrzydła. Wartownik bezmyślnie gapił się na gwiazdy. Zobaczył Simona wyskakującego zza drzewa, ale na nic nie wystarczyło mu czasu. Agent dopadł go w ciągu sekundy. Pchnął go sztyletem w krtań i jednocześnie drugą dłonią zakrył mu usta, tłumiąc rozpaczliwy okrzyk. Wartownik runął na ziemię martwy, zanim dotknął gruntu. Simon szybko odciągnął nieszczęśnika, ukrywając go w niewielkim gaju drzew owocowych. Poczul przyływ podniecenia i rozejrzał się szeroko otwartymi oczami, pełen dzikiej energii.

„Dwóch załatwionych - pomyślał. - Zostało czterech”.

Richius prowadził swoich ludzi szybko i cicho, ale niebo na wschodzie rozjaśniało się coraz bardziej. Musiał działać zdecydowanie. Griff i jego towarzysze ruszyli ku północnej bramie, by zlikwidować stojących przy niej wartowników. Richius prowadził Shii i dwóch bliźniaków, Akala i Wyle'a. Szybko skradali się ku południowej bramie, gdzie według słów Simona mieli natknąć się na dwóch ostatnich strażników. Czołgali się właśnie, kiedy spostrzegli swoje ofiary. Przemknęli przez grupę krzewów przyciętych tak, że przypominały ptaki i dotarli prawie do wejścia. Tak jak Simon ich ostrzegał, najbliższe piętnaście kroków musieli przebyć bez żadnej osłony. Richius zatrzymał grupę podniesieniem dłoni, a potem wskazał ku bramie. Shii kiwnęła głową. Akal podał im naładowane już kusze.

Richius i Shii wzięli wartowników na cel. Gdyby oboje chybili, zadanie uciszenia strażników musieliby przejąć Akal i Wyle. Richius odczekał chwilę, aż uspokoił mu się oddech. Obaj wartownicy, doskonale widoczni w swoich jaskrawych niebieskich kurtkach rozmawiali o czymś leniwie, nieświadomi tego, że ktoś dybie na ich życie. Richius pomyślał, że chciałby wiedzieć, o czym mówią.

„Przykro mi - pomyślał. - Wiem, że nic nie zawiniliście”.

Wparł łokcie w piasek i przyłożył do policzka kolbę kuszy. Cóż, na Crote nie było niewinnych ludzi. W końcu służyli Biagiowi.

„Szkolono mnie najeżdźca - powiedział sobie. - Nie uczono mnie skrytobójstwa. Nie jestem taki, jak Simon”.

Zamknawszy jedno oko, skoncentrował się na celu, którym był wartownik z lewej.

Shii już namierzyła swojego.

Zasygnalizowała, że ma go na muszce.

Richius odpowiedział podobnym znakiem, dając sygnał do ataku.

Oboje jednocześnie zwolnili spusty i posłali ciche pociski w cel. Shii trafiła swoją ofiarę w oko z natychmiastowym, śmiertelnym skutkiem. Richius nie sprawił się równie dobrze. Jego belt trafił w mur, o cal od głowy wartownika. Richius zagryzł wargi, tłumiąc przekleństwo. W tej samej chwili wypuścili swe pociski Akal i Wyle. Akal chybił, ale Wyle trafił strażnika w głowę. Ten zawył okropnie, gdyż belt wbił mu się w policzek.

- Psiakrew! - syknął Richius, podrywając się do skoku i wyrываяc sztylet z

pochwy.

Zdumiewające było to, że wartownik go zobaczył i przyjął obronną pozycję.

Richius uderzył go całym ciałem i kopnięciem kolana w twarz strzaskał mu zęby. Natychmiast potem błysk sztyletu liznął nieszczęśnika po krtani, z której trysnął obfity strumień krwi na twarz Richiusa.

Wartownik skulił się, a potem osunął w dół po ścianie. Shii pomogła odciągnąć trupa na bok.

Richius poczuł obezwładniający go na chwilę strach. Rozejrzawszy się dookoła, usiłował dojrzeć swoich ludzi, którzy powinni już nadciągać zza wzgórza. Nie zobaczył nikogo - doskonale się kryli. Inni zresztą też już się zbliżali do pozycji; wkrótce mieli nadejść Tomr i Delf. Przez chwilę zastanawiał się, czy Simon znalazł pozostałych wartowników. I nagle, niczym wezwany myślą upiór, z mroku wyłonił się Darquis.

- Cofnijcie się - szepnął. - Dostałem tamtych. Richius dał znak Shii i pozostałym.

- Cofnąć się - rozkazał. - Dobra nasza.

Teraz pozostawało mu tylko poczekać, aż wszyscy zajmą swoje pozycje. Pętla już się prawie zaciągnęła.

Na wezwanie Herritha lordowie ze swoimi przybocznymi szybko zebrali się w zachodnim skrzydle. Wszyscy byli skrajnie przerażeni i potracili głowy. Baron Richter przybiegł odziany w nocną koszulę. Pan Wieży Prawdy trzymał w mięsistych łapskach ogromną maczugę i nieustannie ryczał na swoich odzianych w czerwone szaty przybocznych, rozkazując im, by go bronili. Jego głos dudniącym echem odbijał się od sklepień korytarzy.

Wszyscy magnaci zebrali się w ciasny krąg i niepewni, co robić, gapili się na Herritha, czekając na jego rozkazy. Obok biskupa stał Kivis Gago, który gorączkowo usiłował zorientować się w sytuacji. Wiedzieli już, że Biagio zostawił ich na pastwę losu i że wokół pałacu zebrali się Lisseńczycy. Jedynym sposobem na wyrwanie się z pułapki było przebicie się z bronią w rękę. Herrith szybko ocenił siły. Jedenastu magnatów, na ogół zdolnych do walki. Każdy miał ze sobą kilkunastu strażników. Znaczyło to, że mają ponad stu ludzi. W sumie nie tak źle, pomyślał Herrith. Ale nie znał się na wojnie. Dlatego musiał się oprzeć na radach Gago.

- Nie wiem! - warknął Gago z desperacją w głosie, potrząsając głową. - Nie

wiem, ilu jest tych Lisseńczyków!

- Będziemy walczyć! - uciął Oridian. Nareński minister skarbu z mieczem sprawiał się równie dobrze jak z liczydłami, i teraz trzymał lśniąca głownię, szczerząc zęby niczym szalenięc. - Lisseńskie śwynie! Porzniemy ich na sztuki!

- Nie wiemy, ilu ich tam jest, ty imbecyłu! - przypomniał mu ostro Claudi Vos.

Vos był tylko i wyłącznie architektem i nie miał chyba przy sobie żadnej broni. Stał na obrzeżu kręgu i krągłymi ruchami swoich kobiecych dłoni wzywał przybocznych, by go otoczyli. - Powinniśmy się z nimi dogadać.

- Nie zebraliśmy się tu na rozmowy, głupcze! - przypomniał mu Oridian.

- To Biagio ich tu sprowadził! - zapiszczał Tepas Talshir. - Ten diabeł wciągnął nas w pułapkę!

To akurat było dość oczywiste. Herrith nerwowo potarł dłonią czoło. W istocie tkwili w pułapce i być może byli już zgubieni. Wiedział, że Biagio nie ściągnąłby ich tu, gdyby się spodziewał, że którykolwiek z nich wyrwie się z pułapki. Niemałym wysiłkiem woli oczyścił umysł ze zbędnych myśli i stłumił wszelkie przyziemne potrzeby. Musi w jakiś sposób zapanować nad sytuacją. Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, o co chodzi tym Lisseńczykom. Może przyszli tu, poszukując Biagia. Jeżeli się dowiedzą, że go tu nie ma...

„Nie” - skarcił się w myślach. W tej sali było dość Narenów, by zaspokoić przynajmniej roczne zapotrzebowanie Lisseńczyków na zemstę. Biagio nie był jedynym Narenem, którego nienawidzili. Tyle, że Herrith nie widział przed sobą innej możliwości, jak rozmowy. Jeżeli chcą mieć jakąkolwiek szansę na to, by opuścić pałac Biagia w jednym kawałku, to przede wszystkim trzeba będzie spróbować dogadać się jakoś z napastnikami.

- Claudi Vos ma rację - odezwał się wreszcie. - Musimy się z nimi jakoś porozumieć. Trzeba się dowiedzieć, czego chcą.

- Chcą nas pozabijać! - wrzasnął Oridian. - Czego jeszcze mogą chcieć?

- Na razie nie zaatakowali - odpowiedział Gago. - Może zechcą nas wysłuchać?

Baron Richter, przysłuchujący się od niedawna całej rozmowie, przestał wrzeszczeć na swoich ludzi i wystąpił przed nich.

- Nie będę pertraktował z tymi bydlakami! - zagrzmiął. - Są takimi samymi

zdradzieckimi wężami, jak Triinowie. Nie wolno zawierzyć choć jednemu ich słowu!

Powinniśmy się bić! - Wykonał ręką okrągły gest, którym jakby objął wszystkich obecnych. - Jest tu niemała siła!

Połowa zebranych wydała okrzyk wyrażający poparcie dla jego wojowniczości.

Herrith podniósł ręce, prosząc o ciszę.

- Nie wiemy, ilu jest tam tych Lisseńczyków - przypomniał im. - Możemy walczyć... i w rezultacie wybiją nas do nogi.

- Zaryzykujemy! - stwierdził Oridian. Zagryzł wargi. - Powiadam: niech przyjdą! Kto jest ze mną?

- Ja! - odparł Tepas Talshiir. Kupiec stał z rękoma założonymi na piersi, otoczony przez najliczniejszy orszak przybocznych. - Moi ludzie będą walczyć. Claudi Vos, jesteś z nami, czy nie?

Lord Architekt skrzywił się i przez chwilę oceniał w myślach sytuację. Potem spojrzał pytająco na Herritha.

- Wasza Świątobliwość, jakie mamy szansę? - spytał wreszcie. - Poza wszystkim innym jest nas dość wielu...

- Ale to może nie wystarczyć. Przyjechaliśmy tu na rozmowy z Biagiem - przypomniał im biskup. - Czy nie możemy podjąć prób dogadania się z tymi Lisseńczykami?

- Nie znasz ich, Wasza Świątobliwość - westchnął Oridian. - To wściekłe psy.

Jeżeli zdradzimy się z naszą słabością, porozrywają nas na strzępy. Nie możemy do tego dopuścić, o czym Gago dobrze wie. - Odwrócił się do ministra. - Wiesz o tym, prawda?

Kivis Gago uciekł wzrokiem w bok i potrząsnął głową.

- Nie wiem - odpowiedział ponuro. - Jest nas wielu... może sobie jakoś poradzimy.

- Spojrzał na Herritha. - Wasza Świątobliwość, ja po prostu nie wiem...

- Dobrze więc! - wykrzyknął Herrith, tracąc w końcu cierpliwość. - Walczcie.

Jeżeli o to chodzi, życzę wam zwycięstwa. Co prawda, równie dobrze możecie dać się wybić, wszystko mi jedno. Nie chcę mieć z tym niczego wspólnego.

Odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Wołali za nim, on jednak zignorował ich

wszystkich, nawet Kivisa Gago, który wybiegł za nim i chwyciwszy za rękaw, usiłował wciągnąć do wnętrza ochronnego kręgu straży. Herrith uwolnił się od chwytu jednym szorstkim ruchem. Minister, który nigdy nie uważał się za jego przyjaciela, zrobił minę bezgranicznie zdumioną.

- Wasza Świątobliwość! - zawołał. - Wracaj!

- Nie mam zamiaru! - rzucił Herrith przez ramię, wychodząc z sali.

- Dokąd idziesz?

Herrith nie odpowiedział. Opuściwszy zachodnie skrzydło pałacu, zapuścił się w labirynt korytarzy, usiłując sobie przypomnieć drogę do wyjścia. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że nie zatrzyma go żaden z wartowników.

Richius stał przy południowych rubieżach pałacu, czekając, aż zbiorą się wszyscy jego ludzie. Obok niego stała Shii, z każdą minutą bardziej blada i niespokojna.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i zdzierało z nich osłonę mroku. Richius odbierał kolejne wiadomości. Tomr ze swoimi był już prawie na miejscu, przy północnym murze posiadłości, a Loria i Delf nie zostawiali w tyle i okrążali pałac od wschodu i od zachodu. Grupa Richiusa zebrała się już w całości i osiągnęła pełną gotowość bojową. Jego wojownicy ukryli się w krzakach przed południową bramą. Richius dobył już własną broń i teraz wydawał rozkazy Shii, która przekazując je adiutantom, nie spuszczała wzroku z dworu. Wokół panowała niesamowita i jakby trochę nierzeczywista cisza. Wszyscy się spodziewali, że lada moment pojawią się kolejni przybocznicy Biagia, których powinien przecież zaniepokoić brak wieści od towarzyszy. Z pewnością by ich zresztą zauważono. Skąd więc ten spokój?

- Simonie, co oni knują? - spytał wreszcie. - Dlaczego Biagio nie wykonuje żadnego posunięcia?

Simon nieznacznie potrząsnął głową. Nie odwrócił się, by popatrzeć na Richiusa i nie odrywał wzroku od dworu. W oknach pałacu nie widać było żadnego ruchu.

- Nie mam pojęcia - przyznał w końcu. - Jest wcześnie. Może nikt nas jeszcze nie zobaczył.

- Nie musimy się już kryć - stwierdziła Shii. - Niech nas zobaczą. A zresztą jest nas zbyt wielu, byśmy zdołali się pochować.

- To prawda - przyznał Richius.

Było ich wielu i z każdą chwilą przybywali nowi. Po wschodzie słońca stracą resztki osłony. Richius wstał i skinieniem dłoni polecił pozostałym, by zrobili to samo.

Młodzi Lisseńczycy podnosili głowy, wstawali, i po chwili cały dziedziniec pokryła fala przybyszów.

Na wschodzie to samo zrobili wojownicy Delfa, wyłaniając się z mgły niczym duchu. Richius odwrócił się do Shii.

- Poślij kogoś do Lorii i Tomra. Niech Biagio nas zobaczy. I naróbmy trochę hałasu.

Shii przekazała rozkaz innej młodej kobiecie, która pospiesznie pognęła na zachód, gdzie zbierali swoje oddziały Loria i Tomr. Richius mocniej ujął w dłonie rękojeść miecza, czekając na reakcję Biagia. Liczył na to, że hrabia podda się bez walki, ale wiedział, że należy się spodziewać oporu.

- Jest nas dziewięć setek - stwierdził. - Musi nas widzieć!

- Richiusie, nie wolno go lekceważyć - przypomniał mu Simon. Naren ukrył swój sztylet w pochwie i teraz trzymał w ręku długi lisseński bułat. Ostrze broni lśniło w świetle poranka i widać było, że Simon wie, jak się nią posługiwać. Błysk w jego oku i postawa zdradzały doświadczonego i bardzo niebezpiecznego wojownika. - Kiedy nas zobaczy, prześle nam wiadomość - powiedział. - Będzie próbował negocjacji. W tym się kryje największe niebezpieczeństwo. Nie daj się zwieść, Richiusie.

- Żadnych rozmów - rzekła Shii. - Nie po to tu przybyliśmy.

- Wysłuchamy tego, co będą mieli do powiedzenia. - Richius spojrzał ostro na swoją zastępczynię. - Nie chcę, by bez potrzeby zabito choć jednego człowieka.

- Lordzie Szakalu... proszę...

- Spokój! - uciął spór Richius. - Masz wykonywać moje rozkazy.

Shii obruszyła się jak urażone dziecko. Richius ponownie skupił uwagę na pałacu. Nie miał czasu na sprzeczki i nie przywykł do tego, by kwestionowano jego rozkazy.

Zwłaszcza nie życzył sobie sprzeczek teraz, kiedy tak wiele zależało od szybkości i karności Lisseńczyków.

- Simonie... - syknął do towarzysza. - Jeżeli Biagio się dowie, że tu jesteś...

- Wiem - kiwnął głową Naren. - Ale muszę ją stąd wydostać, Richiusie. Nie

wiem, jak tego dokonam, ale muszę to zrobić.

- No to idź - ponaglił go Richius. - Jeżeli się da, wyprowadź ją stamtąd, zanim rozpęta się chaos i ludzie zaczną się bić.

Simon spojrział na Richiusa.

- Będę ci potrzebny - ostrzegł go.

- Eris będzie cię potrzebowała bardziej niż ja - odparł Aramoorczyk, uśmiechając się smętnie do Simona. - Będę na ciebie czekał.

Simon bez słowa znikł w szarej mgłę przedświt. Kierując się ku południowej stronie dworu, krył się za rzeźbami i wielkimi, ozdobnie i kunsztownie przyciętymi krzewami.

Dotarłszy do okna, zajrzał w nie najpierw, a potem szybko wybił szybę pięścią w rękawicy i znikł wewnątrz. Wszystko to zajęło mu kilka sekund i Richius przez chwilę gapił się na miejsce, gdzie stał Naren, zdumiewając się jego szybkością. Odwrócił się, by powiedzieć to Shii...

...i zobaczył idącego ku niemu Praknę.

Komandor szedł w towarzystwie dwóch żołnierzy, mężczyzny i kobiety, których Richius przekazał pod komendę Delfa. Oboje wyglądali na nieco przestraszonych, jakby właśnie odkryli, że zrobili coś bardzo głupiego. Prakna jednak szedł niczym kamienny posąg.

Trzymał przed sobą swój bułat i Richius natychmiast spostrzegł, że komandor ma pod opończą krótką koleczugę.

- Co u licha?

Prakna machnął dłonią, jakby chciał go uspokoić.

- Szakalu, nie masz powodów do niepokoju. - Podeszedł do Richiusa i podał mu rękę. Ten nie przyjął powitania i Prakna uśmiechnął się do niego drapieżnie. - Wiem, że jesteś wściekły - przyznał. - Ostrzegam cię, nie daj się ponieść emocjom.

- Komandorze, co to wszystko ma znaczyć? - spytał poirytowany Richius. - Wracaj na „Księcia”! Nie jesteś nam tu potrzebny!

Prakna podniósł dłoń.

- Nie mogę - odpowiedział. - Przykro mi, ale muszę dopilnować, byś zrobił to, co trzeba.

- Co takiego? - zdumiał się Richius. - O czym mówisz? Próbuję...

- Lordzie Szakalu... - przerwała mu Shii, stając przed nim z twarzą pełną bólu. - Nie przeszkadzaj nam. Bardzo proszę...

- Shii, co tu się, u diabła, dzieje? - warknął Richius. - Czy ty o tym coś wiesz?

- Wszyscy wiedzą - odpowiedział Prakna. - Wszyscy zrobią to, co im każe. Nie próbuj nam się sprzeciwiać, Szakalu. - Komandor zacisnął zęby. - Proszę...

- Grozisz mi, komandorze? - zdumiał się Richius. - Po tym wszystkim, co dla was zrobiłem?

- Niczego nie rozumiesz, królu Richiusie... - westchnął Prakna.

- Owszem, rozumiem! - syknął Aramoorczyk. - Chcecie wyróżnić w pień wszystkich, których znajdziecie wewnątrz. Nie do tego was szkoliłem!

- Zasłużyli na to! - zagrmiał Prakna. Spojrzał z góry na Richiusa, usiłując zetrzeć go na proch wzrokiem. - Wiesz, że to prawda! Nikt nie zamierza trzymać cię za rękę, gdy będziesz zarzynał Biagia! Nie próbuj więc odebrać nam naszej zemsty!

Richius odwrócił się do Shii.

- Dziewczyno, niech cię diabli! Jak mogłaś?

Twarz Shii ukazywała samą udrękę i wstyd.

- Lordzie Szakalu, proszę - wyjąkała po chwili bezowocnych wysiłków. - Tak musi być!

- Nie! - zawołał Richius. Wystąpił zza Prakny, tak by mogli go zobaczyć wszyscy młodzi żołnierze i machnął kilkakrotnie mieczem, by zwrócić na siebie uwagę. - Wcale tak nie musi być! Okażcie się ludźmi honoru. Walczcie, dopóki się nie poddadzą.

Proszę, nie zachowujcie się jak rzeźnicy!

Żołnierze uciekali wzrokiem w bok, żaden bowiem nie mógł spojrzeć mu w twarz.

Richius opuścił miecz. Nie chcieli go słuchać. Nie miał sposobu, by do nich dotrzeć - ich serca trawiła ta sama trucizna, która zbrukała Shii i Praknę. Odwrócił się do komandora.

- Ty załgany zdrajco! - warknął mu w twarz. - Wykorzystałeś mnie do stworzenia tej bandy morderców! Ale ja nie będę im przewodził. - Cisnął miecz na ziemię. - Chcesz rzezi, Prakna? To sam ich poprowadź!

Prakna podszedł, podniósł miecz Richiusa i zwrócił mu go rękojeścią ku przodowi.

- Mój przyjacielu - odezwał się spokojnie. - Tam jest Biagio. Nie odrzucaj szansy na zemstę. Skoro dotarłeś aż tutaj, bądź przynajmniej konsekwentny. Jeżeli ty tego nie zrobisz... to ja się nie cofnę.

Richius spojrział na swój miecz, a potem na twarz komandora.

Oblicze Prakny nie płonęło gniewem, malowały się na nim raczej spokój, pustka i determinacja człowieka opętanego jakąś ideą. Spojrzawszy w oczy starego żeglarza, Richius natychmiast zrozumiał, że nie zdoła do niego trafić żadnymi argumentami. Pojął też, że w głębi duszy od dawna się tego spodziewał.

- Róbcie, co chcecie - odpowiedział wreszcie. - Nie zdołam wam przeszkodzić. - Odwróciwszy się do Shii, spojrział na nią ze smutkiem. - Shii, spodziewałem się po tobie czegoś lepszego. Nie jesteś morderczynią. Wiesz, że nie jesteś.

- Lordzie Szakalu... - wyszeptała młoda kobieta. - Nie mogę postąpić inaczej.

- Mylisz się - zaprzeczył Richius. - Ty tylko na razie jeszcze tego nie widzisz.

- Lisseńczycy! - zagrzmiął niespodziewanie jakiś głos na dziedzińcu.

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się ku bramie. Promienie porannego słońca oświetlały wysoką sylwetkę człowieka odzianego w długie kapłańskie szaty, stojącego z wyciągniętymi ku nim rękoma i patrzącego na nich bez obawy. Richius natychmiast przypomniał sobie tę twarz i sapnął ze zdumienia. Przed dwoma laty ten człowiek połączył go małżeństwem z Sabriną.

- Przebóg! - westchnął zdumiony. - To Herrith!

- Kto? - spytał Prakna, zdumiony i rozgniewany tym, że ktoś ośmielił się mu przerwać.

Richius był zbyt zaskoczony, by się zająć wyjaśnieniami. Herrith stał spokojnie, machając ku nim rękoma, by zwrócić na siebie ich uwagę, jakby zupełnie nieświadomy tego, że wymierzono w niego przynajmniej kilka setek grotów. Wśród młodych żołnierzy wszczął się niespokojny gwar. Prakna zaklął, gdy wreszcie zrozumiał, na kogo patrzy.

- Herrith? - zapytał. - Skąd on się tu wziął?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Richius natychmiast pomyślał, że wpadli w gigantyczną pułapkę. Ale przecież Biagio i Herrith byli zaciekłymi wrogami. A może

nie?

- Co to ma znaczyć? - spytał sam siebie.

Ruszył ku biskupowi, ale Shii natychmiast zagroziła mu drogę.

- Nie, Szakalu! - zawołała. - Cofnij się!

Prakna chwycił Richiusa za ramię i odciągnął w bezpieczne miejsce.

- Uspokój się, panie - ostrzegł go. - Shii ma rację. Nie wtrącaj się.

- Lisseńczycy, zechciejcie mnie wysłuchać! - zawołał Herrith. - Pozwólcie mi podejść bliżej. Chcę z wami porozmawiać.

- Żadnych rozmów! - ryknął Prakna. - Dziś oddamy głos mieczom!

- Nie! - ponownie zawołał Richius, przepychając się przez grupkę, którą Shii zwołała dla jego osłony. Obok niego stali Akal i Wyle, którzy zdążyli już przysposobić kusze do strzału i teraz obaj przymierzali się do Herritha. Prakna chwycił Richiusa za rękaw i silnie szarpnął go w tył.

- Pozwólcie mi z nim porozmawiać! - błagał Richius. - On mnie zna.

- Chcę zawrzeć z wami ugodę! - wołał Herrith, zupełnie nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo. Podniósł obie dłonie i pokazał, że przybywa z pokojem. - Pozwólcie mi podejść bliżej!

Biskup zrobił jeden ostrożny krok ku stojącym nieruchomo żołnierzom.

- Zostań, gdzie jesteś, rzeźniku! - ostrzegł go Prakna. - Jeszcze jeden krok i zginiesz!

- Arcybiskupie, to ja! - zawołał Aramoorczyk. - Richius Vantran!

Biskup zatrzymał się na chwilę, najwyraźniej zaskoczony obecnością Richiusa.

- Vantran? - odkrzyknął wreszcie. - Król Vantran?

- Ani kroku dalej! - ryknął Prakna, biorąc kuszę od Akala i podnosząc ją do oka. - Klnę się na Boga, że jeżeli się ruszysz, pošlę ci bełt w to twoje robaczywe serce!

- Przestań, komandorze! - zawrzał gniewem Richius. - Nie ośmielisz się strzelić!

- Ośmielę się, bądź pewien! - syknął Prakna. - Ostrzegam po raz ostatni...

Richius sięgnął i chwycił kuszę Prakny, usiłując mu ją wyrwać z dłoni. Prakna ryknął wściekle i kopnął Aramoorczyka w brzuch. Cios pozbawił Richiusa tchu i zwałił go na ziemię. Gdy usiłował wstać, Prakna ponownie podniósł broń do oka. Herrith wznosił ręce do góry i zrobił ponownie ostrożny krok do przodu.

- Nie! - jęknął Richius.

Prakna zwolecił spust i posłał grot prosto w serce biskupa. Na białej szacie Herritha zakwitł natychmiast szkarłatny kwiat. Biskup cofnął się, spojrzawszy na sterzący mu z piersi krótki belt i runął na twarz. Richius zerwał się na nogi i przez chwilę gapił się ze zgrozą na ciało Herritha. Potem spojrzawszy na komandora, który opuścił kuszę i rezerwowo skinął głową.

- Pułapka - stwierdził ponuro. - To pułapka.

- Durniu! - gniewnie syknął Richius. - Morderco opętany żądzą zemsty!

Teraz nie wytrzymał Prakna. Chwyciwszy Richiusa za wyłogi kurtki, potrząsnął nim.

- To oni są mordercami! - krzyknął mu w twarz, obryzgując go śliną. - Nie ja! - I jednym ruchem ramion odrzucił młodzieńca w bok. Potem odwrócił się do swoich ludzi i wrzasnął jak opętany. - Na nich! - zawył. - Spalić ten diabelski dwór!

Ogarnięty zgrozą Richius patrzył, jak wszyscy młodzi ludzie, z którymi tak usilnie i uporczywie pracował i ćwiczył, ponownie stają się dziką bandą, z jaką zaczynał na Karalonie.

Okrzykowi Prakny odpowiedziały wrzaski ze wschodu i zachodu, a potem Lisseńczycy wszyscy jednocześnie runęli ku bramom niczym dzika, niepowstrzymana i bezładna tłuszcza.

Prakna poprowadził uderzenie na południową bramę. Trzymając w dłoni lśniący bułat, ryczał coś z furją, a jego niemal biała grzywa powiewała na czele atakujących. Wszyscy pognali za swoim bohaterem i Richius został w ogrodzie sam...

I z Shii.

Młoda kobieta porzuciła broń i łkała, opuściwszy głowę i skrzyżowawszy ramiona na piersi. Nie odważyła się spojrzeć Richiusowi w oczy.

- Lordzie Szakalu - szepnęła rozpaczliwie. - Wybacz mi... Ciszę poranka przerwały odgłosy walk i brzęk pękającego szkła.

Lisseńczycy wdzierali się do pałacu przez drzwi i powybijane okna. Richius podszedł do Shii. W tej chwili najchętniej dałby jej w twarz.

- Shii! - syknął, trzęsąc się z gniewu. - Mógłbym cię za to zabić!

- Wybacz mi! - łkała. - Wybacz...

- Wiedziałaś! - rzucił jej w twarz. - Dlaczego?

Shii zdobyła się wreszcie na odwagę i podniosła ku niemu zalaną łzami twarz. W jej oczach zobaczył Richius to samo szaleństwo, które stoczyło Praknę.

- Ponieważ chciałam ich pozabijać - odpowiedziała. Wzięła się w garść, podniosła broń i ruszyła za swoimi towarzyszami.

Richius przez chwilę patrzył za nią z miną człowieka, który niczego nie rozumie.

- Durniu! - skarcił sam siebie. - To twoja wina.

Nie skończył jeszcze ze swoimi sprawami na Crote. Był gdzieś na tej wyspie jeden zbrodniarz, człowiek, który prawdziwie i rzetelnie zarobił sobie na wyrok śmierci. Dotarłszy aż tutaj w poszukiwaniu Biagia, Richius nie miał zamiaru pozwolić na to, by jego wróg umknął. Tak jak Shii, podniósł miecz i ruszył wreszcie w stronę pałacu.

Kivis Gago i inni nareńscy lordowie, wyglądając przez okna zachodniego skrzydła pałacu, patrzyli na coraz liczniejsze zastępy Lisseńczyków otaczających pałac.

Liczebność napastników oszołomiła obrońców. Gago szybko oszacował, że Lisseńczycy mają miażdżącą wprost przewagę. Wezwawszy do siebie przybocznych, zdjął z jednej ze ścian wiszący na niej miecz. Wszyscy postanowili, że będą się bronić w tym skrzydle i postarają się utrzymać tak długo, jak to będzie możliwe. Baron Rieter i jego odziani w czerwień przyboczni obsadzili okna wychodzące na zachód. Ludzie Oridiana zajęli jedną stronę sali, a przyboczni Claudi Vosa razem z drużyną Tepasa Talshiira ustawili się naprzeciwko. Gago ze swoimi ludźmi zajęli stanowisko w rogu, gotowi wesprzeć tych, którzy potrzebowaliby pomocy.

Czekający na atak Lisseńczyków Gago rozmyślał o tym, jak diabelsko przebiegłe podszedł ich Biagio.

- Jeżeli uda mi się wynieść stąd głowę, poświęcę resztę życia na to, by dopaść i zabić tego łajdaka - przysiągł sobie minister.

Co prawda, nie spodziewał się, że przeżyje, nie sądził nawet, by miał przed sobą więcej niż godzinę życia. Na zewnątrz czekały setki Lisseńczyków przepelnionych nienawiścią z powodu dziesięcioletniej wojny, którą toczyli z nimi imperialni żołnierze pod nadzorem urzędników z jego ministerstwa. Kivis Gago wiedział, że przyjdzie mu umrzeć i postanowił drogo sprzedać swoje życie.

Nie musiał długo czekać.

Okna w zachodniej części sali wyleciały z trzaskiem i brzękiem rozbijanych szyb i do środka wpadli lisseńscy żołnierze. Ludzie Rictera natychmiast wdali się w zjadłą bitwę, desperacko usiłując wyprzeć napastników na zewnątrz, ale do środka sali wciąż wpadali nowi. Kivis Gago rozkazał swoim ludziom wesprzeć przybocznych Rictera, pewien był jednak, że wkrótce zostaną wybici do nogi.

Trzymając obnażony miecz w dłoni, Simon pospiesznym krokiem przemierzał znajome korytarze, usiłując dotrzeć do komnat Eris. Usłyszawszy niosące się z głębi odgłosy walki, natychmiast zrozumiał, że wysiłki Richiusa, który chciał zapobiec bezsensownej rzezi okazały się daremne. Pojął też, że musi się spieszyć. Spodziewał się jednak, że natknie się na jakiś opór, tymczasem korytarze, po których szedł, okazywały się puste.

Wyciągnąwszy z tego wniosek, że Biagio posłał wszystkich swoich ludzi przeciwko Lisseńczykom, puścił się biegiem. Był już bardzo blisko komnat Eris. Jego ukochana z pewnością wpadnie w panikę, kiedy usłyszy bitewną wrzawę. Może nawet gdzieś się ukryje.

„Przybywam - pomyślał z desperacją. - Trzymaj się, kochana”.

Nieopodal kwater niewolników natknął się na pierwszą grupkę ludzi o znajomych twarzach. Spłoszeni służący zebrali się razem i ostrożnie wyglądali zza rogu.

Ujrzawszy biegnącego, wszyscy spojrzeli na niego z przestrawieniem i nadzieją.

- Gdzie jest Eris? - zawołał, podbiegając do nich. - Odpowiadajcie, szybko!

Niewolnicy, którzy tymczasem zdążyli go poznać, stali wszyscy jak porażeni gromem.

- Simon Darquis! - powtarzali. - Wróciłeś!

- Gdzie jest Eris!? - zagrział Simon. Rozpoznałszy Kylę, która była jedną z osobistych niewolnic Biagia, chwycił ją za ramię i wyciągnął przed resztę grupy.

- Mów! - zażądał, szarpiąc jej łokieć. - Gdzie jest tancerka?

Kyla jęknęła i zaczęła się wrywać.

- Ona nie żyje! - zawołała z płaczem. - Puść mnie, proszę!

Żelazny uchwyt Simona natychmiast zelżał. Roshann stanął jak rażony gromem.

- Coś powiedziała? - jęknął. - Powtórz!

- Oni zaraz tu będą! - wrzasnął jeden z niewolników. - Słyszać ich coraz bliżej!

- Jak to, nie żyje? - pytał Simon. - To niemożliwe. Eris...

- Nie żyje! - powtórzyła Kyla.

Chciała się rzucić do ucieczki, Simon jednak ponownie chwycił ją za ramię.

Reszta niewolników rozbiegła się na wszystkie strony, jak spłoszone ptactwo - każdy szukał jakiejś kryjówki. Simon słyszał coraz głośniejszy szczeł oręża i coraz bardziej rozpaczliwe wrzaski mordowanych. Oszołomiony okropną wieścią nie zwracał na nie uwagi.

- Powiedz! - zażądał. - Powiedz mi, że to kłamstwo. Eris żyje!

Kyla zalała się łzami.

- Proszę, pozwól mi odejść...

- Powiedz!

- Ona nie żyje! Popelniła samobójstwo! Proszę...

- Łzesz! - ryknął Simon, trzęsąc się z furii i zgrozy. - Nie powtarzaj tego.

Eris...

Kyla w końcu zdołała się wyrwać i natychmiast rzuciła się do ucieczki. Simon poczuł, że jego umysł zasnuwa jakaś mgła.

- Eris! - jęknął. - Eris!

Ostatnim wysiłkiem woli zmusił się do biegu i runął do komnat ukochanej, głośno wołając jej imię.

Prakna przemierzał puste korytarze, szukając Richiusa. Obiecał swojej królowej, że będzie bronił Szakala, wiedział zaś, że Vantran będzie chciał znaleźć Biagia.

Komandor zostawił za sobą swoich przybocznych, którzy w zachodnim skrzydle ścinali się z resztkami Narenów. W sumie Lisseńczycy nie spodziewali się, aż tak silnego oporu, strażnicy okazali się bowiem liczniejsi, niż sądzono, ale Prakna był pewien, że jego ludzie sami uporają się z przeciwnikami.

- Richiusie! - wołał, zaglądając w każdy zakamarek korytarza. Nikt nie próbował stawić mu czoła. Tu i ówdzie natykał się na przerażonych niewolników, ci jednak nie stanowili żadnego zagrożenia. Pierś Prakny wypełniła duma zwycięstwa. Zhańbione Liss szybko odchodziło w niepamięć. Dziś odradzało się Liss Wspaniałe i Zwycięskie.

Jego ludzie szli jak niepowstrzymana burza - i tak też być powinno. Musiał jednak znaleźć Vantrana.

Richius był sam i przeszukiwał pełen niebezpieczeństw pałac piekielnika Biagia.

Prakna krążył po korytarzach, aż wreszcie usłyszał łkanie, dobiegające z leżącej gdzieś przed nim komnaty. Nachylił głowę, by lepiej usłyszeć.

- Eris... - jęczał rozpaczliwie płaczący. - Moja piękna tancerko...

Prakna stanął jak wryty, natychmiast rozpoznając łkający głos.

- Darquis!

Ostrożnie ruszył przed siebie ku widocznym w głębi drzwiom komnaty. Zajrzawszy do środka, ujrzał klęczącego na podłodze Simona. Naren trzymał w dłoniach parę maleńkich bucików. Widok ten zaskoczył nieubłaganego komandora. Na jedną krótką chwilę jego serce przepełniło współczucie. Pogrążony w rozpacz Naren nawet nie usłyszał kroków podchodzącego Prakny. Komandor podniósł miecz.

- Darquis! - odezwał się cicho. - Spójrz mi w oczy.

Simon podniósł wzrok. Natychmiast spostrzegł miecz w ręku Lisseńczyka i twarz komandora, która zastygła w grymasie nienawiści. Naren nawet nie drgnął. Nie miał sił, by się ruszyć. Mógł tylko trzymać buty Eris i przyciskać je do piersi.

- Ona nie żyje... - wymamrotał. Prakna nie odpowiedział.

- Chciałem ją uratować - jęknął Simon. - Naprawdę chciałem! Obym zgorzał w piekle, bo wszystkie moje wysiłki spełzły na niczym!

Zdawał sobie sprawę z tego, iż są to ostatnie chwile jego życia. Ku jego zaskoczeniu niewiele go to obchodziło. Mógłby się zerwać i uratować, mógłby bez trudu wyrwać bułat z dłoni nie mającego pojęcia o walce wręcz komandora, ale nie zrobił nic...

Klęczał tylko i płakał, a Prakna stał nad nim jak skała, ogarnięty swoim szaleństwem. Czekając na cios, Simon uśmiechnął się smutno. Śmierć będzie dla niego wybawieniem od mąk.

Prakna trzymał bułat i nie mógł uderzyć. Patrząc na skuloną u swoich stóp istotę, czuł jedynie litość. Nigdy nie widział kogoś pogrążonego w takiej rozpacz, jak Simon Darquis.

Nawet dręczące go widma i J'lari mieli w sobie więcej życia.

- Na co czekasz? - spytał szeptem Simon. - Zabij mnie. Naren chciał umrzeć i jego determinacja przeraziła Praknę. Komandor opuścił bułat.

- Nie będę twoim katem, ty psie!

- Przeklęty tchórz! - rzucił mu w twarz Darquis, po którego twarzy spływały strumienie łez. Gniewnym ruchem otarł je rękawem. - No dalej! Zabij mnie!

Prakna wsunął bułat do pochwy. Cała jego nienawiść nagle gdzieś się ulotniła, zastąpiona głębokim współczuciem.

- Wstawaj! - zwrócił się do Narena tonem rozkazu. - Wynoś się stąd!

Simon przycisnął do piersi dwa buciki.

- Dokąd mam pójść? Wszystko przepadło...

- Masz swoje życie, szpiegu. I niech ci to wystarczy. A teraz zechciej się pospieszyć. Zmiataj stąd, bo jak się natkniesz na kogoś z moich, to nie ręczę za twoje życie!

Darquis dźwignął się na nogi i rozejrzał dookoła jak człowiek, który się budzi z głębokiego, ponurego snu. Przez chwilę wodził po otoczeniu przekrwionymi oczami.

Spływające mu wciąż po twarzy łzy spadały wolno na trzymane buciki Eris.

Wreszcie Naren spojrzał na Praknę. W jego oczach było pytanie: co dalej?

- Nie jesteś tu bezpieczny -| stwierdził komandor. - Wynoś się stąd jak najszybciej. Znajdź jakąś łódź i ruszaj precz w wyspy. Powiem Vantranowi, co tu się stało.

- Richius...

- Ruszaj!

Rozkaz wyrwał Simona z odrętwienia. Trzymając wciąż przy piersiach buciki Eris, Roshann wybiegł z komnaty.

Richius nie mógł powstrzymać rzezi. Nawet nie próbował. Zachodnie skrzydło pałacu rozbrzmiewało szczękami broni i dzikimi okrzykami bojowymi, gdy Lisseńczycy przełamywali opór zabarykadowanych tam Narenów. Zapowiadała się okropna masakra.

Po stronie napastników była ogromna przewaga liczebna, a Prakna rozpalil uczucia swoich ludzi, budząc w nich żądzę krwi i zemsty. Pokonanie oporu było tylko kwestią czasu... potem zaczęło się rzeź i rabunek. Czas był teraz wrogiem Richiusa, który niemal czuł, jak nieubłagany strumień przecieka mu przez palce.

Musi znaleźć Biagia.

Zamiast niego, biegnąc przez korytarz o wspaniale zdobionych ścianach, natknął się na niewysokiego człowieczka, który uśmiechał się do niego przepraszająco.

Odziany w wyszywane złotogłowie jedwabie stał na końcu korytarza i patrzył na zbliżającego się Richiusa. Rozbrzmiewająca wokół nich coraz głośniejsza wojenna wrzawa zwiastowała zbliżanie się zawieruchy, nieznajomy jednak stał niewzruszenie, zagradzając Richiusowi drogę.

Aramoorczyk wymierzył sztych miecza.

- Odsuń się - ostrzegł. - Nie pozwolę się zatrzymać.

- Poznaję cię, młody Vantranie - oświadczył nieznajomy. - Widziałem cię w Czarnym Grodzie.

- Jesteś jednym ze sług Biagia - odgadł Richius. - Zejdź mi z drogi. Zamierzam się dobrać do twego pana.

- Nie znajdziesz go tutaj, panie - odpowiedział sługa. - Nie ma go już na wyspie.

Zostawił mnie, bym ci przekazał wiadomość, że zaczeka na ciebie.

- Co takiego? - obruszył się Richius. - Gdzie jest ten potwór?

- Opuścił wyspę - odparł nieznajomy. - Jestem Leraio, jego osobisty kamerdyner.

Hrabia odplynął do Czarnego Grodu. Nie znajdziesz go na Crote, królu Vantranie.

Nowina była tak zdumiewająca, że oszołomiony Richius opuścił sztych miecza.

- A to drań! - warknął niepewny, czy ma uwierzyć niewolnikowi. - Dlaczego? I po co cię tu zostawił?

Leraio zmarszczył brwi, próbując znaleźć odpowiedź na tak postawione pytanie.

- Przypuszczam, że hrabia miał swoje powody. Ale jeszcze nie skończyłem. Mam coś jeszcze do przekazania.

- Mów! - warknął Richius.

- Hrabia Biagio polecił, bym ci to oddał, królu Vantranie - niewolnik sięgnął za pazuchę kurtki i wyjął coś białego i wiotkiego. Richius zmrużył oczy i spojrzał uważnie.

- Co to jest? - spytał ze złością w głosie.

Leraio podszedł i położył na jego dłoni kosmyk włosów, białych, i miękkich.

Takie włosy Richius widział na głowach Triinów. Przez chwilę usiłował rozgryźć te zagadkę, aż wreszcie się poddał.

- Co to ma znaczyć? - spytał wprost. - Czyje to włosy?

- Królu Vantranie, hrabia Biagio pojmał twoją żonę. Zabrał ją ze sobą do Czarnego Grodu. Żąda, żebyś...

- Nie! - Richius chwycił niewysokiego mężczyznę za gardło i przygniótł do ściany.

- To niemożliwe!

Leraio zachował spokój - co jak na duszonego człowieka było niezwykłym wyczynem.

- To prawda. Opuściła Falindar i ruszyła na poszukiwanie waszej porwanej córeczki, Shani. Została schwytała przez członków załogi jednego z nareńskich okrętów i przywieziono ją tutaj. Mogę cię zapewnić, że nie stała jej się żadna krzywda. A przynajmniej do tej pory.

Richius puścił niewolnika i zatoczył się w tył.

- Łżesz! - rzucił w twarz rozmówcy.

- Mówię prawdę - odpowiedział Leraio.

Richius poczuł, że cały jego świat zachwiał się w posadach. Jednocześnie opadły go tysięczne wątpliwości. Czy to było możliwe? Pochylił się nad posadzką, szukając pasma włosów, które rzucił, chwytając przed chwilą niewolnika za gardło. Szybko odnalazł jedwabiste kosmyki, identyczne z włosami Dyany. Ciężko było uznać je za dowód.

Ale mając do czynienia z Biagiem, należało się spodziewać wszystkiego.

- Hrabia pojmał twoją żonę, panie - ciągnął Leraio. - Odplłynął z wyspy wczoraj w nocy na pokładzie „Nieustraszonego”. I chce, byś popłynął za nim.

- Mój Boże! - jęknął Richius. Choć wszystko to wydało mu się nieprawdopodobne, wiedział, że Biagio potrafił dokonywać też lepszych sztuk. Odwróciwszy się, pognął korytarzem, wołając o pomoc.

Prakna wracał biegiem do zachodniego skrzydła, kiedy usłyszał wołanie Richiusa.

Ujrzawszy komandora, przerażony młody człowiek stanął jak wryty. Jego świszczący oddech słyhać było pomimo panującej wokół bitewnej wrzawy. Prakna nie bez satysfakcji łowił uchem wrzaski, brzęk pękającego szkła i charakterystyczny szcęk stali uderzającej o stal. W tej chwili dałby duszę za to, by się dowiedzieć, jak też radzą sobie jego podkomendni.

- Richiusie! - zawołał, zobaczywszy Vantrana. - Co się stało?

Twarz Aramooczyka lśniła potem. Przez chwilę łapał oddech, otwierając i

zamykając usta jak wyrzucona z wody ryba.

- Dyana! - wycharczał w końcu. - Dostał ją...

- Dyane? - zdziwił się Prakna. - Twoją żonę?

- Biagio. Uprowadził ją. Prakna niczego nie zrozumiał.

- Uspokój się, młodzieńcze - odezwał się tonem rozkazu. - Odetchnij głęboko i powiedz mi, co się stało.

Richius wydobywał z siebie słowa z najwyższym trudem, w końcu jednak Prakna zrozumiał, że piekielny hrabia zdołał się jakoś wymknąć z pułapki i uciekł z Dyaną do Czarnego Grodu.

- Przebóg, komandorze, pomóż mi! - błagał Vantran. - On ją zabije. Muszę pospieszyć jej na pomoc.

Prakna nadal łowił uchem odgłosy walki i widać było, że chętnie by się do niej przyłączył.

- Richiusie, posłuchaj - rzekł prosząco. - Wyjdź na zewnątrz i nie mieszaj się do walk. Najlepiej się ukryj. Kiedy tu wszystko się rozstrzygnie, znajdziemy twoją żonę.

- Nie! - zaprotestował. - Wtedy będzie już za późno. Możemy ich dogonić, jeżeli ruszymy niezwłocznie. Biagio odpłynął na pokładzie „Nieustraszonego”, wczoraj w nocy.

Twarz komandora powlekła się bielą. „Nieustraszonego”. Nagle wszystko wokół ucichło. W uszach Prakny dźwięczało tylko jedno słowo: „Nieustraszonego”.

- Skąd ta wiadomość? - spytał. - Jesteś pewien, że to był „Nieustraszonego”?

Wciąż jeszcze łapiąc oddech, Richius skinął głową.

- Owszem, jestem pewien. Powiedział mi to niewolnik Biagia. Nie odpłynęli daleko... nie mogli. Jeszcze nie. Komandorze, jeżeli ruszymy za nimi na „Księżcu”, możemy ich dopaść.

Prakna potrząsnął głową.

- Nie mogę. Inni...

- Dadzą sobie radę bez nas - ryknął Vantran. - Nie potrzebują ciebie ani mnie.

Komandorze, proszę... Błagam! Pomóż mi!

- Królu Richiusie...

- Szlag by cię trafił, jesteś mi to winien! Tyś mnie w to wciągnął, arogancki

skurwysynu! Pomóż mi teraz uratować moją żonę!

- Dobrze - zdecydował Prakna. - Popłyniemy razem. Richius rozejrzył się dookoła.

- Chcę wziąć ze sobą Simona - powiedział z desperacją w głosie. - Czy wiesz, gdzie jest?

- Gdzieś przepadł - odparł Prakna. - Wyjaśnienia zostawmy na później. - Odwrócił Richiusa w stronę przeciwną do miejsca rzezi Narenów. - Ruszajmy... Powinniśmy się pospieszyć.

Biegiem wypadli z pogrążonego w bitewnym zamęcie pałacu Biagia i pobiegli do miejsca, gdzie na kotwicy stał „Księżę Liss”. Prakna gnał niczym szalenciec, ogarnięty uniesieniem. Nareszcie stanął przed szansą wyrównania porachunków z Nicabarem.

Biegnąc, widział przed sobą twarze swoich dwóch martwych synów. Już niedługo zostaną pomszczeni.

Czterdzieści cztery „NIEUSTRASZONY”

W odległości dziesięciu mil morskich od brzegów Crote admirał Nicabar wydał rozkazy, kładące „Nieustraszonego” i towarzyszące mu okręty eskorty w okrężny kurs wiodący właściwie donikąd. Żagle skrócono o połowę, przez co chwytaly teraz mniej zimowych wiatrów, a stery ustawiono, by rozpocząć zygzakowanie. Nad horyzontem wstało piękne, czyste słońce, którego promienie zabarwiły wodę zielenią. Stojący na forkasztele „Nieustraszonego” Biagio podziwiał piękno świtu. Po obu stronach okrętu czekały „Intruz” i „Czarny Gród”, dryfując spokojnie wśród fal. Hrabia podziwiał widok, jaki przedstawiały sobą liniowce oświetlone promieniami wschodzącego słońca. Były potężne i niezwykłe, godne zwiastuny jego powrotu na tron Imperium. Złożywszy ramiona na piersi, okrył się swoim szkarłatnym płaszczem. Wiatr dął mocno i po wrażliwej skórze Biagia przebiegały dreszcze. Hrabia nie chciał jednak zejść pod pokład. Pragnął zobaczyć „Księcia”, kiedy tylko ten się pokaże.

Renato Biagio długo czekał na tę chwilę. Dążył do celu powoli, nieustępliwie, sięgając do nieprzebranych zapasów swej przebiegłości i cierpliwości. Pociągał za sznurki ostrożnie, te były bowiem niepewne i słabe. Nie wszystko potoczyło się tak, jak oczekiwał.

Zdradził go Simon, a ściągnięcie Herritha na Crote wymagało zastosowania okrutnych środków, a do tego musiał jeszcze poświęcić swoją ukochaną rodzinną wyspę - przynajmniej na jakiś czas. Nie wróci też do Nar jak bohater. Będzie musiał ułożyć się jakoś z wojskiem i oczywiście trzeba mu się strzec skrytobójców.

I była jeszcze ta kobieta Vantrana. Znalazła się tu wbrew swojej woli i teraz zajmowała kabinę pod pokładem. Ponieważ nie mogłaby uciec z okrętu, Biagio zostawił ją bez straży. Hrabia myślał o niej przez chwilę i wizerunek jej twarzy przywołał na jego usta nikły uśmiešek. Była bardzo piękna. Teraz rozumiał, dlaczego Szakał porzucił dla niej królestwo w Imperium. Niektóre kobiety miały taki wpływ na mężczyzn.

Niektórzy mężczyźni także.

Uśmiech Biagia rozplynął się w nicość. Zdrada Simona była nieoczekiwana i zupełnie dla niego niezrozumiała. Co więcej, sprawiła mu wielki ból. Bywały chwile, w

których pragnął zabić Simona, ale wiedział, że nigdy się na to nie zdobędzie. Nie będzie go nawet szukał, ani próbował go odnaleźć. Może Simon zechce się udać na Lucel - Lor razem z Richiusem. Albo może zostanie gdzieś w Imperium, nieustannie się ukrywając.

Agenci Roshannów potrafili to robić znakomicie. Biagio westchnął ponuro. Gdyby miał w dłoni kwiat, rzuciłby go teraz na wodę.

- Skąd ta ponura mina, Renato? - rozległ się tuż obok głos Nicabara.

Niespodziewane pojawienie się Nicabara rozwiało ponury nastrój hrabiego. Na twarzy admirała kwitł szeroki uśmiech. Danar Nicabar nie mógł się doczekać spodziewanej bitwy.

- Po prostu myślę, przyjacielu - odpowiedział Biagio. - I czekam.

- Wspominasz Herritha?

Biagio skrzywił się z niesmakiem.

- O nim akurat myślę tak rzadko, jak to tylko możliwe.

- Wiesz, udało mu się odstawić eliksir i przełamać jego narkotyczną siłę - stwierdził Nicabar. Brwi admirała zbiegły się w wyrazie namysłu. - Był silniejszy, niż się spodziewałem.

„Czyżby był silniejszy ode mnie?” - pomyślał Biagio. Po raz pierwszy wydało mu się to możliwe. Początkowo Biagio sądził, że odstawienie eliksiru zabije arcybiskupa, ale w końcu okazało się, że tylko uczyniło go silniejszym. Fakt, że było to w ogóle możliwe, mocno zdumiał i zaintrygował Biagia.

- Nie chcę już mówić o Herricie - powiedział. - I nie zapominaj, że musimy się rozprawić z Lisseńczykami.

Nicabar skinął głową, patrząc w stronę Crote.

- Z pewnością się zjawią - obiecał. - Prakna nie zdoła się oprzeć pokusie.

- Kiedy się zjawią?

- Już niedługo - stwierdził Nicabar. - „Księżę” to szybki okręt. - Jego uśmiech się pogłębił. - Ale nie dość szybki. Kiedy tamci otworzą ogień...

- Jeżeli tamci otworzą ogień - poprawił go ostro hrabia. - I nie wcześniej.

Nie pozwól, by emocje wzięły nad tobą górę, Danarze. Chcę, by Szakał pierwiej znalazł się na naszym pokładzie. - Potem dodał spokojniejszym tonem. - Nie martw się.

Lisseńczyków przepelnia żądza krwi i nie odpłyną bez walki. Będziesz miał

szansę na wyrównanie rachunków z Prakną. A po powrocie do Nar, pozwolę ci się rozprawić z całym Liss.

Nicabar parsknął gniewnie.

- Przestałem cię rozumieć, Renato. Nie jesteś już taki sam, jak dawniej.

Biagio obdarzył przyjaciela osobliwym spojrzeniem.

- Nie? - spytał. - Może i masz rację. Danarze, proszę, usłuchaj mnie po raz ostatni.

- No dobrze - zgodził się niechętnie Nicabar. - Nie podejmę żadnych kroków przeciwko nim, dopóki Szakał nie wejdzie na nasz pokład. - Admirał spojrzał w głąb pokładu.

- Ale, ale - stwierdził, wskazując wzdłuż burty. - Renato, spójrz.

Biagio powiódł wzrokiem w kierunku pokazywanym przez Nicabara i zobaczył stojącą na pokładzie Dyanę Vantran, błędzącą spojrzeniem po oceanie. Wokół młodej kobiety zebrała się gromada marynarzy, ona jednak nie zwracała uwagi na ich spojrzenia.

Pogrążona w myślach patrzyła po prostu na horyzont. Biagio przez chwilę obserwował kobietę. Miała zdumiewający, niezwykle charakter i umysł i hrabia nie wiedział, co o niej myśleć.

Początkowo darzył ją głęboką nienawiścią, dlatego tylko, że była żoną Szakała.

Ostatnio zaś, ku swemu zaskoczeniu, coraz częściej myślał o niej z sympatią.

- Wybacz, Danarze - przeprosił przyjaciela, a potem ruszył ku Dyanie.

Na jego widok marynarze rozstąpili się szybko i rozbiegli każdy do swojej pracy.

Biagio podszedł do relingu i stanął obok Dyany, która obdarzyła go przelotnym spojrzeniem, a potem znów zapatrzyła się na ocean. Dla ochrony przed chłodem okryła ramiona lekką opończą, Biagio jednak widział, że drży.

- Powinnaś zejść pod pokład, gdzie jest cieplej - zauważył.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Biagio zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Czekamy. Dyana skinęła głową.

- Na Richiusa.

- Tak.

Teraz Dyana spojrzała na niego uważnie.

- A więc tak to się skończy? Zabijesz go tu? Bez tortur?

Hrabia uśmiechnął się łagodnie, ignorując jej obraźliwy ton.

- Lisseńczycy dadzą mu szkuner, by nas dogonił. Zatrzymaliśmy się, by go powitać.

Spojrzała na niego swymi szarymi oczami pełnymi gniewu i bólu.

- Nienawidzę cię! - rzuciła mu w twarz. - Myślałam, że potrafię cię przekonać, jak bardzo się mylisz, ale ty za bardzo się pogążyłeś w szaleństwie, by zrozumieć cokolwiek oprócz zemsty. A teraz...

Głos jej się załamał i odwróciła spojrzenie. Potem odepchnęła go, by odszedł.

- Idź sobie - poprosiła. - Zostaw mnie samą.

Biagio jednak nie odszedł. Dyana wciąż miała w sobie czar, który go wiązał i który kazał mu szukać jej towarzystwa. Nie było to wcale pożądanie. Odkrył już, że chodzi o coś innego... może ojej łagodność i uprzejmość. Tak czy inaczej, Biagio został przy jej boku.

- Wkrótce Nar będzie moje - stwierdził. - W całym Imperium zajdą znaczne zmiany.

- Proszę...

- Dyano Vantran, nie waż się wątpić w moje słowa - ostrzegł ją. - Wielu mnie zlekceważyło. Żaden z nich nie został przy życiu.

- I ty uważasz to za powód do dumy?

- Moi nieprzyjaciele zasłużyli sobie na śmierć. Ukradli mi Imperium, choć wiedzieli, że to mnie należy się władza. Nie jestem uzurpatorem, tylko prawowitym dziedzicem Żelaznego Tronu. A kiedy na nim zasiądę, nastąpią zmiany.

- To twoje Czarne Odrodzenie! - syknęła Dyana nienawistnie. - Owszem, słyszałam.

Rojenia szaleńca.

Hrabia potrząsnął głową.

- Tak mało rozumiecie, ty i twój mąż. Czarne Odrodzenie przyniesie Imperium pokój. Nastąpi koniec wojen i wszystkich wewnętrznych zamieszek. Będę rządził żelazną ręką, bo akurat teraz jest taka potrzeba. Możesz uważać mnie za okrutnika...

- Uważam cię za szaleńca - sprzeciwiła się Dyana. - A teraz odejdz. Zostaw mnie samą, proszę.

Odwróciła się od rozmówcy i znów utkwiała wzrok w bezmiarach horyzontu, ignorując obecność gospodarza, choć stał tuż obok i uważnie się jej przyglądał. W końcu odstąpił.

- Przygotuj się - polecił. - To nie powinno już długo potrwać.

„Księżę Liss”, gnając za „Nieustraszonym”, ciął dziobnicą fale oceanu. Po trzech godzinach od wypłynięcia spod Crote słońce było już wysoko na niebie i przed nimi. Marus i inni oficerowie nieustannie popędzali ludzi, którzy podciągali żagle i pilnowali steru, by jak najlepiej wykorzystać każdy podmuch wiatru. Silne porywy wydymały żagle szkunera, popychając go ku przodowi. Kanonierzy zajęli już swoje miejsca przy działach, przygotowując ładunki prochu i pociski. Richius stał na dziobie obok Prakny i nie spuszczał wzroku z horyzontu. Był wyczerpany, pełen złych przeczuć i niecierpliwił się, że „Księżę” nie płynie dość szybko. Myślał nieustannie o Dyanie, zdanej na łaskę Biagia.

Przed oczami stawały mu obrazy jej udręki - jedne gorsze od drugich. Jeżeli ten łąjdak ją skrzywdził...

- Tam! - zawołał nagle Prakna, wskazując ręką północny wschód.

Richius wzdrygnął się. Skupił wzrok na nikłej plamce, ledwo widocznej na linii horyzontu. W sekundę później okrzyk z salingu potwierdził bystrość wzroku starego wilka morskiego.

- Mamy ich, komandorze - odezwał się Marus. Pierwszy oficer podszedł do swego dowódcy. - To „Nieustraszony”.

Prakna patrzył przez chwilę w szkła lunety.

- Owszem. Ale drań nie jest sam. Towarzyszą mu dwa inne liniowce. - Na chwilę umilkł, zaskoczony tym, co zobaczył. - Ciekawe... Wiecie, że oni się zatrzymali?

„Nieustraszony” ma zrefowane żagle. Co to ma znaczyć, u diabła?

Richius pojął wszystko w jednej chwili.

- Czekał nas - stwierdził. - Biagio wiedział, że się tu zjawimy.

Prakna opuścił lunetę. Twarz komandora zastygła w grymasie nienawiści.

- „Nieustraszony”... - szepnął. - Spójrz na niego, Marusie.

- Widzę, komandorze. - odpowiedział zastępca. - Wielki jest...

- Myślisz, że za wielki dla nas?

Wargi Marusa rozciągnęły się w wilczym uśmiechu.

- Nie zaszkodzi spróbować, komandorze...

- Oni nie chcą nas wciągać w walkę - odezwał się Richius pewien, że zrozumiał zamiary hrabiego. - Biagio chce dobrać się do mnie. Nie otworzą ognia, dopóki nie zjawię się u nich na pokładzie. Jak mnie dostanie, wy możecie się jeszcze wycofać.

Prakna potrząsnął głową.

- Bardzo to dzielne z twojej strony, młodzieńcze, ale nie wydam cię tak łatwo.

Jeżeli Nicabar chce walki, to będzie ją miał.

- Komandorze, bardzo cię proszę - odezwał się Richius błagalnym tonem. - Nie otwieraj ognia. W starciu z nimi nie masz żadnych szans i dobrze o tym wiesz.

Podpłynmy i spróbujmy się z nimi dogadać. Może zdołam jakoś ściągnąć Dyanę z ich okrętu.

Istnieje szansa, że Biagio zgodzi się na wymianę.

- Ty zamiast twojej żony - stwierdził ponuro Marus. - Kiepski handel.

Richius wiedział, że nie ma szans.

- Jeżeli nie da się inaczej... - Wzruszył ramionami. - Myślę, że Biagio się zgodzi.

On chce mnie, nie Dyany.

- Niech będzie, Szakalu - odezwał się Prakna. - Podpłynmy bliżej i dowiedzmy się, o co chodzi temu czortowi.

Dyana spostrzegła lisseński szkuner niemal w tej samej chwili, w której z góry rozległ się okrzyk majtka stojącego na salingu. Na pokładzie liniowca zawrzała praca - ludzie gotowali siebie i okręt do starcia. Słyszała wydawane ostrym głosem rozkazy admirała i postękiwania metalowych potworów dobiegające z niżej położonego pokładu artyleryjskiego, na którym Narenie umieścili otoczone straszną sławą działa ogniste. Biagio podbiegł do relingu i wyciągniętą dłonią wskazał nadpływający szkuner.

- Oto jest! - zawołał. - „Księżę Liss”! Mówiłem ci, mówiłem, Danarze, że się zjawią - dodał, zwycięsko potrząsając pięścią.

Admirał nie słuchał, zajęty wydawaniem rozkazów, w wyniku których „Nieustraszony” miał się ustawić sterburtą do przybysza. Nie znająca reguł morskiego tańca Dyana patrzyła ze zdziwieniem na sygnalistów, którzy wywijając kolorowymi chorągiewkami, przekazywali sygnały na pozostałe liniowce, z których odpowiedziano

okrzykami i własnymi sygnałami. Oba okręty towarzyszące lewiatanowi drgnęły i powoli skierowały się na dogodną do walki pozycję. Ustawiły się po obu stronach „Nieustraszonego”, zwracając się burtami ku szkunerowi. Ujrawszy te przygotowania, Dyana wpadła w panikę.

- Nie! - wykrzyknęła, rzucając się ku Biagiowi. - Proszę! Nie otwierajcie ognia!

Chwyciwszy opończę Biagia, szarpnęła z całej siły, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę. Biagio chwycił jej dłoń i niemal uniósł ją w powietrze.

- Puszczaj, bestyjo! - syknął. - Nie będę strzelał, dopóki tamci mnie nie zmuszą!

Jednym pchnięciem odrzucił ją. Dyana upadła na pokład, ale natychmiast się poderwała i ponownie skoczyła do hrabiego.

- Posłuchaj! - odezwała się błagalnym tonem. - Richius nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia. Nie musisz tego robić. Proszę.

- Zamilcz, kobieto! - krzyknął Biagio. - Drzesz się tak, że nie słyszę własnych myśli.

Dyana chwyciła go za rękę i upadła przed nim na kolana.

- Chcesz bym cię błagała? - spytała ze złością. - Dobrze, oto mnie masz na kolanach.

Jestem twoim więźniem. Wygrałeś. Już go pobiłeś. - Podniosła na niego wzrok, nienawidząc samą siebie za to, że musi go prosić. - Hrabio Biagio, okaz łaskę. Nie zabijaj mojego męża.

Biagio spojrział na nią z góry. Przez chwilę sądziła, że ją uderzy, ale w jego wzroku nie było gniewu. Ujawszy jej rękę, uściśnił ją lekko z zaskakująco łagodnością.

- Dyano Vantran, nigdy mnie o nic nie proś - odpowiedział. - I wstań.

Pomógł jej wstać. Dyana zadrżała. Dlaczego w ogóle nie zareagował na jej błagania?

- Hrabio Biagio...

- Zamierzam zaprosić Szakala na pokład - odpowiedział. Bez dalszych wyjaśnień odwrócił się od niej i ruszył ku admirałowi Nicabarowi.

Prakna prowadził „Księcia” ku czekającym liniowcom, rozkazując, by przesunięto działa na sterburtę. Wielkie działa z „Nieustraszonego” i nieco mniejsze lufy artylerii burtowej jego towarzyszków śledziły ruchy „Księcia”, który wciąż się zbliżał z

pełnym wiatrem. Byli już w odległości ćwierci mili i trzy złowrogo wyglądające liniowce rosły im w oczach. Na ich masztach powiewały czarne bandery Nar, trzepoczące na silnym wietrze.

Richius czekał na dziobie „Księcia”, wyłamując sobie palce z niecierpliwości. Z burty „Nieustraszonego” spuszczano łódź. Było w niej kilku marynarzy. Richius nie zdołał ich jeszcze policzyć, nie dostrzegł jednak nikogo podobnego do Dyanę.

- Co oni, u diabła, robią? - zastanawiał się Prakna. - Posyłają nam jakieś wiadomości?

- To po mnie - stwierdził Richius. - Biagio chce, bym stawił się u niego na pokładzie.

- Cóż... niech sobie czeka - odparł Prakna. - Nie popłyniesz tam.

- Owszem, popłynę. Komandorze, chodzi o moją głowę i decyzja należy do mnie. Proszę, nie próbuj mnie zatrzymać.

Komandor chrząknął z niechęcią.

- No dobrze. Ale pozwól chociaż, że cię podwieziemy bliżej. Wydał rozkaz do zmniejszenia prędkości. Żeglarze wykonali go ze zwykłą precyzją, skracając żagle i obracając reje, aż szkuner stracił wiatr i powoli zaczął dryfować ku liniowcom popychany wyłącznie siłą bezwładności. Komandor jednak nie chciał ryzykować i kanonierom przy działach nakazał podwojenie czujności.

„Książę” wolno zbliżał się do liniowców, zrównując prędkość i stosując się do ich kursu. Oddzielała ich już tylko odległość równa mniej więcej długości jego kadłuba. Ku burcie szkunera kierowała się niewielka szalupa popychana wiosłami utrzymanymi przez czterech muskularnych i śniadych marynarzy. Richius zszedł na śródokręcie.

Prakna i Marus szli za nim jak dwaj starsi bracia. Wszyscy Lisseńczycy uważnie patrzyli na czekającego u relingu Szakala. Czuł na sobie ich spojrzenia. Pomyślał, że gdyby mógł cofnąć bieg czasu, nigdy by nie opuścił Lucel - Loru. Biagio go pobił. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że zdoła go uprosić, by uwolnił Dyanę.

- Poczekajcie na moją żonę - poprosił Praknę. - Jeżeli Biagio ją uwolni, odwiedźcie jąna Lucel - Lor. - Uśmiechnął się do starego żeglarza. - Zrobisz to dla mnie, komandorze?

Surowa twarz Prakny nagle złagodniała.

- Przebóg, czynisz mi wielki honor - stwierdził ze smutkiem w głosie. - Richiusie Vantranie, rad jestem, że mogłem cię poznać.

- Zrobisz to dla mnie, komandorze? Daj mi słowo. Ale tym razem go dotrzymaj.

- Szakalu, nie mogę ci tego obiecać - odparł Lisseńczyk. - Nicabar nie pozwoli mi odpłynąć. Jeżeli twoja żona wejdzie na nasz pokład, zginie w nieuniknionej bitwie.

Richius wiedział, że stary żeglarz ma rację. Nienawiść Nicabara i Prakny była legendarna i wzajemna. Potrzęsnał więc tylko ręką komandora, licząc na to, że Biagio puści Dyane wolno, a o resztę zaś zadba szczęśliwy traf.

- Życzę ci szczęścia, komandorze - zwrócił się do Lisseńczyka. Powaga sytuacji kazała im obu zapomnieć o niedawnych sporach. Teraz byli zwykłymi ludźmi połączonymi nienawiścią do Biagia. - Powiedz Jelenie, że będę o niej pamiętał.

- Szakalu - odezwał się Marus. - Łódź już jest przy naszej burcie.

Richius spojrział w dół i zobaczył, że szalupa rzeczywiście podpłynęła do burty „Księcia”. Czterej nareńscy wioślarze patrzyli z niepokojem w oczach na komandora.

- Przyplłynęliście po Szakala? - zagrział Prakna, pochylając się w dół.

- Nie inaczej, panie - odpowiedział jeden z wioślarzy.

Marus dał znak, by opuszczono drabinkę linową, a potem polecił postawić „Księcia” w dryf. Richius spojrział z góry na rozkołysaną łódź, tak maleńką w porównaniu z wielkim szkunerem. Poczul strach, ale szybko pokonał zdradliwe uczucie. I tak żył już znacznie dłużej, niż powinien. Ochraniający go czar dziś wreszcie stracił swą moc.

Po raz ostatni skinął głową Lisseńczykom, przełożył nogę przez reling i zmacał stopą szczebel drabinki, a potem zaczął się spuszczać ku czekającym w dole Narenom.

Biagio stał obok Nicabara i napawał się radosnym oczekiwaniem na swą ofiarę.

Płynący ku niemu w małej łodzi Richius Vantran był już w połowie odległości dzielącej burty „Nieustraszonego” i „Księcia”. Szakal stał wyprostowany na dziobie i przeszukiwał wzrokiem pokład liniowca, usiłując odnaleźć żonę. Dyana przechyliła się przez reling i zawołała z oczami pełnymi łez:

- Richiusie!

Szakal zobaczył żonę, uśmiechnął się i wyciągnął ręce, jakby już chciał ją dotknąć i przytulić. Biagio zdumiony i zafascynowany patrzył na spotkanie obojga

małżonków. Richius Vantran wyglądał prawie tak samo, jak przed dwoma laty - ciemnowłoso, niezbyt obyty młodzieniec, wcale niepodobny do wizerunku burzyciela Imperium, jakim straszono dzieci w Nar. Patrzący na niego Biagio mimo woli rozluźnił zaciśnięte szczęki. Słuchając nawoływań Dyany, zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien kazać jej uciszyć. Ale nie odezwał się słowem. Pozwolił jej się cieszyć bliskością męża.

Dziób łodzi stuknął w burtę „Nieustraszonego”. Nicabar głośnym okrzykiem nakazał swoim ludziom, by wskazali Richiusowi drogę na pokład. Dyana podbiegła do burty, odepchnęła admirała i wyciągnęła ręce do stojącego w łodzi męża.

Biagio nieco się cofnął, jakby nie chciał przeszkadzać w spotkaniu zakochanych.

Usłyszał rumor rzucanej w dół drabinki i poskrzypywanie jej szczebli, gdy jego wróg zaczął wspinać się na górę. Hrabiego ogarnęło osobliwe uczucie. Wiedział, że jest bezpieczny, a jednak bał się człowieka, który wchodził na pokład. A raczej bał się spotkania.

Richius Vantran stał się dla niego symbolem wszystkich błędów, jakie popełnił w życiu.

Pierwszym obliczem, jakie ujrzał Richius, patrząc w górę, była piękna twarzyczka żony. Dyana wyciągała do niego ręce ze łzami w oczach.

- Dyano! - zawołał Richius. Wskoczywszy na pokład liniowca, podbiegł do żony i porwał ją w ramiona, nie zwracając uwagi na gapiących się zewsząd marynarzy. - Dyano! - westchnął, obejmując ją tak silnie, aż pisnęła. Utopiwszy twarz w jej włosach, wdychał przez chwilę ich słodki zapach. Żona dała mu namiętny pocałunek, hie wypuszczając go z ramion.

- Och, Richiusie... - westchnęła. - Nic mi się nie stało. Nie musisz się martwić...

Odsunął ją na długość ramienia i przez chwilę badał wzrokiem, by na koniec stwierdzić, że mówiła prawdę.

- Nie skrzywdzili cię - westchnął. - Naprawdę nikt cię nie skrzywdził...

I wtedy jego wzrok natknął się na Biagia. Hrabia nie ruszył się jeszcze i nie odezwał ani jednym słowem. Richius powoli odwrócił się ku swemu wrogowi, trzymając w dłoni rękę żony. Na twarzy hrabiego malował się wyraz szczególnej fascynacji. Biagio patrzył ciekawie na Richiusa, ale milczał.

- Cóż, hrabio - odezwał się Richius, nadrabiając miną. - Oto mnie masz. - Zastanawiał się, czy Biagio zauważy, że drżą mu dłonie. - Teraz pozwól Dyanie odejść.

Hrabia Renato Biagio patrzył na niego swymi iskrzącymi się, niezwykle błękitnymi oczami i milczał. Richius odkrył, że zachowanie pozorów spokoju przychodzi mu z najwyższym trudem. Niewielu ludzi w Imperium potrafiło znieść spojrzenie tych lodowych bryłek.

- Powiedzże coś, draniu - nie wytrzymał. - Oto jestem. Czy nie tego właśnie chciałeś?

Spojrzenie Biagia na krótką chwilę przeniosło się na twarz Dyany. I nagle wargi Biagia rozchylił olśniewający, czarujący uśmiech. Richius znów usłyszał znany mu uwodzicielski i melodyjny głos.

- Szakalu z Nar, twoja żona mówiła, że między nami nie ma sporu - oznajmił. - Ciekaw jestem, co ty na to?

- Pozwól jej odejść, Biagio. Nie jest ci już potrzebna. Hrabia podszedł bliżej i spojrzał na Richiusa chłodno, tak jak naukowiec mógłby patrzeć na jakiś rzadki okaz rośliny lub zwierzęcia.

- Nie zmieniłeś się za bardzo, Szakalu. Jesteś trochę starszy, ale tak samo zuchwały, jak dawniej. Może dlatego twoja żona tak bardzo cię kocha.

Zagadkowe uwagi hrabiego rozjuszyły Richiusa.

- Pozwolisz jej odejść, czy nie? - wybuchnął. - Przybyłem tu, byś uwolnił zakładniczkę. Choć raz okaż światu, że masz przynajmniej odrobinę honoru!

Uwolnij Dyanę!

- Pierwej odpowiedz mi na jedno pytanie - odezwał się hrabia. - Co z naszym sporem?

- To twój spór - odpowiedział Richius z goryczą. - Ja nigdy bym nie wystąpił przeciwko tobie. Chciałem jedynie ratować Dyanę i dlatego opuściłem Nar. - Zagryzł wargi, usiłując powstrzymać ogarniający go gniew. - I dlatego zabiłeś Sabrinę.

Nienawidzę cię, potworze.

Biagio parsknął śmiechem.

- Już drugi raz dzisiaj słyszę tę obelgę - zadrwił. - Ale mów dalej, proszę.

Czy to znaczy, że w ogóle nie masz nic przeciwko mnie?

- Zabiłbym cię, hrabio, gdybym mógł - odpowiedział Richius, bardzo uważnie dobierając słowa. - Ale zamiast tego, oddaję się w twoje ręce. Uwolnij Dyane.

Nie będę z tobą walczył.

- A gdybym pozwolił odejść wam obojgu? - zapytał hrabia. - Co wtedy?

Prostota pytania poraziła Richiusa jak grom. Dyana również znieruchomiała, nie ważąc się nawet odetchnąć. Po chwili puściła dłoń męża i zaryzykowała jeden krok ku hrabiemu.

- Co to ma znaczyć? - spytała niepewnym głosem. - Ot, tak sobie, pozwolisz nam odejść?

Twarz Biagia rozjaśnił promienny uśmiech. Spojrzawszy na Dyane, przekornie przechylił głowę.

- Dyano Vantran, dałaś mi wspaniały materiał do przemyślenia. Być może i ja powinienem dać ci coś w zamian.

- Nie igraj z nami! - warknął Richius.

Ruszył na hrabiego, natychmiast jednak został zatrzymany przez kilku marynarzy Nicabara, którzy chwyciwszy go za kurtkę i ręce, odciągnęli go. Biagio podniósł dłoń, rozkazując im uwolnić Vantrana, który rozejrzał się zdumiony dookoła, jakby nie był pewien, czy wszystko to dzieje się naprawdę.

- To jakaś sztuczka - prychnął. - Nie wierz mu, Dyano. Miejmy się na baczności.

Biagio nie zwrócił na niego uwagi.

- Lady Vantran, oddaję cię twojemu nieszczęsnemu mężowi. Oboje jesteście wolni.

- Co takiego? - obruszył się Nicabar. - Renato, czy ja dobrze słyszę?

- Danarze, zwracam po prostu dług - odpowiedział hrabia lekkim tonem. W następnej chwili wziął w dłoń rękę Dyany i złożył na niej delikatny pocałunek.

Richius pomyślał, że śni. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Dlaczego? - wyszeptał. - Nic nie rozumiem. Biagio odwrócił się i podszedł do niego bliżej.

- Masz wspaniałą żonę, młodzieńcze - stwierdził hrabia z gniewem i odrobiną zazdrości. - To jej zawdzięczasz tę łaskę, nie sobie.

- Biagio, jeżeli to jakaś sztuczka...

- Żadna sztuczka, Vantranie - stwierdził Biagio. - Teraz mam na głowie Imperium.

Nie mogę już się zajmować takimi drobiazgami, jakie bawiły mnie do tej pory.

Richius wciąż nie mógł dojść do siebie.

- I to wszystko? Puszczasz nas wolno? Po tym wszystkim, co zrobiłeś?

- Biagio - odezwała się Dyana, podchodząc do obu mężczyzn.

- Spójrz mi w oczy.

Hrabia spełnił jej prośbę. Dyana przez chwilę patrzyła na jego twarz, a potem powoli kiwnęła głową.

- Wierzę ci. - stwierdziła. - Nie rozumiem, ale wierzę. Biagio się skrzywił, ale zaraz potem wyprostował z dumą.

- Hrabia Biagio nie tłumaczy się nikomu - oznajmił szorstko.

- I wiedz Szakalu, że to koniec naszego sporu. Nie próbuj więcej szukać na mnie pomsty. Jeżeli to zrobisz, nie zawaham się i cię zabiję.

Richius milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Odejdź w pokoju - dodał Biagio. - Trzymaj się z dala od Nar, a ja nie będę sięgał po Lucel - Lor. Dogadaliśmy się?

- Tak, ale...

- Bardzo dobrze. - Hrabia uśmiechnął się. - Twardy z ciebie przeciwnik, Richiusie Vantranie. Pojedynek z tobą sprawił mi wiele satysfakcji. Ale jestem już nim zmęczony. A teraz proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Jeżeli zrobisz to samo - stwierdził Richius - to umowa stoi. Biagio zatarł dłonie, uśmiechnął się przewrotnie, a potem zwrócił się do Dyany.

- Żegnaj, lady Vantran. Nigdy się już nie zobaczymy. Ale byłaś bardzo miłym gościem. Będzie mi cię brakowało.

Dyana podniosła dłoń do ust.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję...

- Moja łódź zabierze was na pokład „Czarnego Grodu”. Stamtąd dostaniecie się z powrotem do Lisseńczyków na Crote.

- Co znowu? - zachnął się Richius. - Odeślijcie nas na „Księcia Liss”!

- Nie mogę - odpowiedział Biagio. - Obawiam się, że na jego pokładzie nie

znajdziecie bezpiecznego schronienia. - Obejrzał się na admirała. - Danarze, „Czarny Gród” i „Intruz” mogą ich zabrać na Crote, prawda?

- Myślę, że tak - odpowiedział Nicabar. - Ale, Renato, ja wciąż nie rozumiem...

Hrabia lekko się uśmiechnął.

- Zrozumiesz - odpowiedział pogodnie. Potem zwrócił się do Richiusa i Dyany. - Idźcie już. A ty nie wchodź mi już w drogę, Szakalu.

Richius pomyślał, że dużo dałby za to, by wiedzieć, co też Biagio przygotował dla Prakny. Zdawał sobie jednak sprawę z faktu, że zawarł z Biagiem niesłychanie korzystną umowę, z której tamten mógł się w każdej chwili wycofać. Ujął więc Dyana za rękę i szybko sprowadził ją z pokładu „Nieustraszonego”, eskortowany przez marynarza, który miał przekazać rozkazy Biagia kapitanowi „Czarnego Grodu”. Przed postawieniem stopy na pierwszym szczeblu drabinki Dyana po raz ostatni spojrzała na zagadkowego i nieodgadnionego człowieka. Potem zeszła za mężem do łodzi, równie jak on sam zdziwiona tym, że oboje wciąż jeszcze żyją.

Zdumiony Prakna patrzył w milczeniu na małą szalupę, w której odpływał z „Nieustraszonego” Richius i jego żona. Płynęła ku pierwszemu z liniowców, temu, który ustawił się od sterburty „Nieustraszonego”. Prakna patrzył na szalupę z niedowierzaniem w oczach. Widział, jak stojący w niej Richius Vantran macha mu na pożegnanie dłońią i głośno coś woła.

- Co on mówi? - spytał Prakna.

Stojący obok niego Marus obserwował wszystko przez lunetę.

- Macha rękoma, byśmy odpłynęli - powiedział. - Myślę, że on chce, żebyśmy się stąd zabierali.

- Dokąd?

Marus wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może Biagio ich uwolnił?

- I wysyła ich na inny liniowiec? Po co?

Richius krzyczał coś do nich nawet wtedy, gdy wspinał się po linowej drabince, by stanąć na pokładzie drugiego liniowca. Trzymając się jedną ręką, machał zaciekle drugą, usiłując przekazać im jakąś wiadomość. Prakna zaklął ze złością. Co ten Vantran znów wymyślił?

- I co, odpływamy? - spytał Marus. - Dostali go. Jeżeli nie zechcą go puścić, niczego na to nie poradzimy.

Prakna zastanawiał się przez chwilę nad możliwymi konsekwencjami decyzji, jaką przyjdzie mu zaraz podjąć. Czekał dostatecznie długo, by zobaczyć, że dwa liniowce towarzyszące „Nieustraszonemu” stawiają żagle i chwytając w nie wiatr, rozpluwają się na boki, oddalając się od lewiatana. Ten jednak pozostał na miejscu. Prakna wziął lunetę od Marusa i spojrzął na pokład „Nieustraszonego”. Na wyżce rufowej stał Nicabar, który uśmiechał się szeroko i patrzył w ich stronę.

- A to drań! - warknął komandor. - On na nas czeka...

Stojący na rufie swego olbrzyma admirał Nicabar patrzył ponad wąskim, dzielącym ich pasem wody na swego śmiertelnego wroga i modlił się w duchu, by tamten zechciał otworzyć ogień. Wiedział, że jego „Nieustraszony” potrafi sobie poradzić z „Księciem” nawet bez pomocy „Czarnego Grodu” i „Intruza”. Obok admirała stał Biagio, który niecierpliwie postukiwał obcasem trzewika o pokład. Uporczywe odgłosy uderzeń nie zdołały zachwiać koncentracją Nicabara.

- Jesteś gotów, przyjacielu? - spytał Biagio.

Nicabar skinął głową.

- Owszem, dziękuję ci.

- Drobiazg - stwierdził beztrósco Biagio. - Pomyślałem po prostu, że nadszedł czas by i tobie odwdziżyć się za przyjaźń. Byłeś bardzo lojalny, Danarze. Wysoce to sobie cenię.

Admirał uśmiechnął się. Stając przy Biagiu przeciwko Herrithowi, rozpoczął wielce ryzykowną grę, ale teraz zaczynał zbierać plony. Zwinął dłoń w pięść, nie mogąc się doczekać nieuchronnej bitwy. Jeżeli znał Praknę tak, jak to sobie pochlebiał, komandor nie cofnie się przed starciem.

- Usiłuje mnie rozdrażnić - stwierdził Prakna ponurym głosem. - Chce, byśmy ich zaatakowali.

Na pokładzie „Księcia” panowała cisza. Żeglarze stali w gotowości, czekając na rozkazy oficerów. Marus oparł się o reling tuż przy Praknie i obaj zastanawiali się nad dalszymi działaniami. Nicabar dawał im szansę na wykonanie zwrotu i odpłynięcie.

Albo zadania pierwszego ciosu.

- Moglibyśmy odpłynąć - podsunął Marus.
- Owszem - kiwnął głową Prakna. - Moglibyśmy...

Spojrzeni sobie w oczy. Obaj byli w służbie od lat, obaj stracili synów, którzy polegli w walce z nareńskimi diabłami i obaj znaleźli teraz w swoich oczach tę samą determinację i żądzę zemsty.

- Możemy też stanąć do walki - odezwał się Marus. Prakna klepnął towarzysza po ramieniu. Tego dnia umarło i miało jeszcze umrzeć wielu ludzi. W ogólnym, wielkim rozrachunku, kilku więcej prawie się nie liczyło. Dla Prakny i jego załogi różnica jednak była zasadnicza - żyć jak barany lub zginąć jak lwy.

- Każ postawić wszystkie żagle - Prakna zwrócił się do Marusa. - Potrzebna mi cała prędkość...

Ujrzawszy, że na masztach „Księcia” zakwitają białe pęki żagli, Biagio zmarszczył brwi, zaskoczony tym, że źle ocenił przeciwnika.

- Odpływają! - stwierdził, nie wierząc własnym oczom. - Nie stają do walki!

- Skądże znowu! - odparł Nicabar ogarnięty ponurą uciechą. - Po prostu robią sobie miejsce na manewry. - Admirał odwrócił się do czekających na rozkazy poruczników. - Wszystkie żagle w górę! - ryknął. - Kurs pięć rumbów na sterburtę! Nogi z tyłków powyrywam, jeśli pozwolicie, by nam umknęli z zasięgu! I przekazcie artylerzystom, by byli gotowi!

Wojenny okręt ożył i przechylił się ku przodowi, popychany wiatrem, który utonął w nieskończonym labiryncie żagli. „Nieustraszony” łagodnie skierował się na sterburtę, płynąc równoległe do „Księcia”. Nicabar wiedział, że wszystkie przenośne działka trzeba będzie przenieść na prawą stronę. Nie będzie czasu na wykonanie zwrotu.

- Renato, może zechciałbyś zejść pod pokład - Nicabar zwrócił się do przyjaciela. - Tu na górze będzie zaraz mnóstwo hałasu i zamętu...

Prakna stał na śródokręciu, czekając przy działach. Jego kanonierzy nabili działa szrapnelami i wymierzili w maszty i reje „Nieustraszonego”, licząc na to, że zdołają uszkodzić takielunek. „Książę” nabierał szybkości, oddalając się od okrętu nieprzyjaciela. Ku swemu zaskoczeniu komandor stwierdził, że dwa pozostałe liniowce trzymają się swego kursu i nie próbują przyjść z pomocą „Nieustraszonemu”. Prakna doskonale zrozumiał znaczenie tego faktu - Nicabar wiedział, że ma nad szkunerem

wielką przewagę ognia. W zasadzie powinni to traktować jako uprzejmość ze strony wrogów, która na domiar złego nie dawała im żadnych powodów do dumy.

- I na dnie spoczniemy - zanucił cicho, przypominając sobie starą żeglarską śpiewkę - wśród piasków i skał...

Wiedział, że przeciwko olbrzymowi nie mają żadnych szans, ale wcale go to nie martwiło. Był gotów na śmierć, tak samo jak każdy z członków jego załogi. W walce o wolność Liss zadali dziś wrogom pierwszy poważny cios. Był to dobry dzień na umieranie.

Miał nadzieję, że J'lari zrozumie.

Ponieważ nie mieli tak ciężkich dział jak „Nieustraszone”, Lisseńczycy będą musieli otworzyć ogień wcześniej, w nadziei na to, że uda im się uszkodzić takielunek olbrzyma i zmniejszyć jego zdolności do manewrów. Należeli mieli jednak działa na obu burtach, podczas gdy artylerzyści „Księcia” skupili się tylko przy jednej. Komandor pomyślał, że dałby wiele za to, by odgadnąć, jakie uszkodzenia naniósł jego cztery armatki w wantach i żaglach czarnego lewiatana.

Był tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Dał rozkaz otwarcia ognia.

Błysk z pokładu „Księcia” zaskoczył Nicabara, który się nie spodziewał, że bitwa rozgorzeje tak szybko. Nie schylił się jednak, by uniknąć lecących ku nim pocisków.

Wiedział zresztą, że Prakna mierzy w żagle. Nad głowami nareńskich marynarzy eksplodował szrapnel, który ugodził w fokmaszt, ogarniając wszystkie jego żagle. Nicabar ocenił uszkodzenia, zaskoczony mistrzostwem lisseńskich kanonierów. Wiedział, że tamci szykują się do następnej salwy. Jeszcze kilka podobnych trafień i „Nieustraszone” zacznie się poruszać z szybkością ospałego zółwia. „Książę” zaś był zbyt szybki, by go lekceważyć. W tej samej chwili spadający z góry płonący skrawek żaglowego płótna podpalił mu rękaw.

Admirał warknął gniewnie i stłumił ogień kilkoma uderzeniami drugiej dłoni.

Spojrząwszy ku dziobowi za sterburtę, zobaczył, że „Książę” odpływa, a jego kanonierzy pospiesznie napełniają lufy dział kolejnymi ładunkami prochu.

- Poruczniku R'Jinn! - ryknął. - Na co pan czeka? Ognia!

R'Jinn wydał rozkaz, który szybko przekazano na pokład artyleryjski. Nicabar poczuł, że deski pod jego stopami zdrząły i szybko wetknął sobie kciuki w uszy, by nie

ogłuchnąć od spodziewanego huku.

Trzy drugie lufy dalekosiężnych ogniomyotów jednocześnie rzygnęły płomieniami.

Nicabarowi wydało się nagle, że huk dział rozrywa poranek na strzępy.

„Nieustraszony” przechylił się na bok. Odczekawszy chwilę na rozwianie się dymu, admirał zobaczył, że „Księcia” objęły już płomienie. Szkunier jednak wciąż się oddalał, płonący lecz nie pokonany.

Nicabar wydał rozkaz do otwarcia ognia ciągłego.

Prakna przedzierał się przez rumowisko zalegające pokład Księcia i poganiał ludzi.

Pierwszy strzał z „Nieustraszonego” pozbawił „Księcia” kliwra i sporej części bukszprytu.

Działa szkunera znów zagrzmiały, trafiając Narena w śródkręcie. W ogniu stanęły kolejne żagle liniowca. Prakna rozkazał położyć „Księcia” na przeciwny kurs, odprowadzając okręt od przeciwnika, by zmniejszyć powierzchnię, w którą mogli trafiać artylerzyści czarnego olbrzyma.

Ale nawet „Książę Liss”, najszybszy z lisseńskich szkunerów, nie mógł rozwinąć szybkości dostatecznie wielkiej, by ująć działom „Nieustraszonego”. Nareńscy artylerzyści otworzyli ciągły ogień, waląc nieustannie w kadłub szkunera. Cały świat zasnuł się rudawą poświatą. Prakna poczuł, że płoną mu płuca. Zacharczał i wypluł krwawy skrzep.

Potyając się i chwiejąc, ruszył przed siebie, niemal na oślep znajdując drogę wśród otaczających go kłębow dymu. Kolejny strzał, który trafił w pokład, wybił w nim wielką dziurę.

„Książę” zaczął się przechylać na burtę, nabierając coraz więcej wody przez rozdarcia pod linią wodną kadłuba.

Bitwa skończyła się, zanim zdążyła rozgorzeć na dobre. Prakna przeszukiwał wzrokiem otaczający go ognisty chaos, usiłując znaleźć Marusa, ale nigdzie nie mógł go dostrzec. Schylił głowę, zapominając o wszystkim i pragnąc tylko zginąć obok przyjaciela.

Kolejny strzał z „Nieustraszonego” zdmuchnął go z pokładu, rozrzucając jego

poszarpane szczątki na sporej połaci morza.

Richius i Dyana oglądali krwawą rzeź z pokładu „Czarnego Grodu” i zakrywali uszy dłońmi, by choć trochę osłonić je przed gromowymi hukami dział giganta. Dyana przytuliła się mocno do męża, złożyła głowę na jego piersi i mrugając, patrzyła z niedowierzaniem na pokaz straszliwej ogniowej mocy Imperium. „Książę Liss” był po prostu rozbijany na kawałki. Kolejne salwy z dział „Nieustraszonego” rwały żagle Lisseńczyka na płonące strzepy i wybijały ogromne dziury w jego kadłubie. Piękny do niedawna szkuner kołysał się bezwładnie na falach, nie broniąc się nawet przed coraz to nowymi ciosami.

Prakna, Marus i ich podwładni nie mieli najmniejszych szans. Okręt, który kochali i który był ich domem, nagle przemienił się w ogniste piekło. Bezlitosne ciosy Narena kwitowały kolejne ogniste pióropusze, których dym zaczynał już zasnuwać znaczną część horyzontu. A z „Nieustraszonego” wciąż się sypały nowe uderzenia. Richius wiedział, że na pokładzie liniowca Nicabar tańczy z uciechy i klepie się dłońmi po udach, rad z siebie i z tego, że w końcu udało mu się zniszczyć nieubłaganego wroga.

I był z nim Biagio. Nieodgadniony Biagio, który zręcznie manipulując ludźmi i wydarzeniami, zdołał jakoś zamknąć całe Imperium w swej garści. Patrząc na zamienianego w garść popiołów „Księcia Liss”, Richius Vantran rozmyślał o arystokracji i o wszystkich lękach, jakie budził w ludziach. Potrafił sięgnąć ponad całym kontynentem i porwać dziecko spod nosa jego opiekunów. Potrafił skłonić swego największego wroga, by przybył na Crote po swoją śmierć. Był jedną wielką tajemnicą. Richius wiedział, że nigdy nie zdoła go zrozumieć, nigdy się też nie dowie, dlaczego uwolnił Dyaną. Odsunawszy dłoń od ucha, pogładził włosy żony i delikatnie je ucałował. Była wspaniałą kobietą, na tyle niezwykłą, że potrafiła każdego mężczyznę odwieść od jego zamiarów... nawet takiego łotra, jak Biagio.

„Książę Liss” powoli zniknął pod falami - zupełnie jak ogniste słońce.

Czterdzieści pięć WYGNANIEC

Simon wybiegł z pałacu Biagia, gnając z wiatrem w zawody.

Biegł, dopóki nie poczuł, że lada moment pęknie mu serce, kryjąc się, gdzie tylko mógł i nie oglądając się wstecz na rzeź, jaką Lisseńczycy urządzili w domu jego byłego pana.

Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy zmęczone mięśnie zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa, a całe ciało ogarnęły płomienie bólu. Był już późny ranek. Pałac Biagia został daleko z tyłu, ale całe Crote wrzało już nowinami o napaści Lisseńczyków. Dotarłszy do Galamier, osady, w której spędził dzieciństwo, znalazł mieszkańców przerażonych widokiem stojących na kotwicy szkunerów. Wyspiarze wskakiwali do swoich płaskodennych rybackich stateczków i zdesperowani odpływali w nadziei ucieczki na kontynent. Simon, który mimo przepelniającej go rozpacz nie stracił zdolności logicznego myślenia, szybko dotarł do jednej z nich.

Słońce zdążyło już wstać, kiedy niewielki stateczek wymknął się spod Crote, nie dostrzeżony przez lisseńskich najeźdźców. Łódź cuchnęła rybami i tłoczyli się na niej przerażeni ludzie, a właściciel usiłował zaprowadzić jako taki porządek, przekrzykując szum fal i płacz przestraszonych maluchów. Simona nie trzeba było uspakajać. Jego szkolony umysł Roshanna całkowicie na zimno szukał sposobów na umknienie z pułapki, jaką zastawiły na niego los i jego własne serce.

Spokojnie patrzył na znikającą za horyzontem wyspę. Jakiś wewnętrzny głos odpowiedział mu, że Biagio znów zdołał uciec. Richius go tam nie znajdzie.

Simon czuł to instynktownie. Hrabia był już bezpieczny - a mógł się ukryć prawie wszędzie.

Zapomniał o tym, że na morzu zwykle chorował. Przez głowę przelatywały mu nieustannie wspomnienia tańczącej w sali ćwiczeń Eris. Jego pamięć jak zawsze była niezawodna. Eris wyglądała jak nieskazitelne wcielenie piękna. Simon wyciągnął z kieszeni jej buciki. Stojąca obok dziewczynka zerknęła na nie, zaciekawiona widokiem niezwykłych pantofelków. Simon uśmiechnął się do niej, a potem cisnął je za burtę.

Zaskoczona dziewczynka zamrugła.

- Nie chciałybyś ich - wyjaśnił. - Były poplamione. Wszystko wydawało mu się teraz splamione. Ale - według jego własnej, surowej oceny - dokładnie na to sobie zasłużył.

Doszedł do wniosku, że jeśli łódź bezpiecznie dotrze do kontynentu, powinien poszukać schronienia w Dorii. Będzie musiał się ukrywać, jak to wspólnie planowali z Eris. Wciąż był Roshannem. Znał sztuczki, których można było użyć do zatarcia śladów. Wiedział, że nawet Biagio go nie znajdzie.

Spędziwszy życie na szpiegowaniu i zabójstwach, zastanawiał się teraz, jak się żyje zwykłemu wieśniakowi. Znajdzie pracę jako stajenny, albo może poszuka zajęcia u druciarza lub garncarza. Dorianie zwykle potrzebowali najemników, ale pomyślawszy o tej możliwości, Simon skrzywił się z niesmakiem. Sztylet też zdążył już wyrzucić za burtę. Czuł, że dość ma zabijania i nie chciał zatrzymać splamionej morderstwami broni. Simon Mroczne Serce umarł razem z Eris.

- Hej - odezwał się do stojącej obok dziewczynki. - Jak ci na imię?

- Numa - odpowiedziało dziecko. - A tobie?

Były Roshann przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Simon - odparł wreszcie. - Simon Jadiir.

W ojczystym języku jego matki, która urodziła się w Vosk, znaczyło to „bednarz”.

Czterdzieści sześć IMPERATOR

Po unicestwieniu „Księcia Liss” „Nieustraszony” nie od razu skierował się do Czarnego Grodu. Biagio, który chciał zapewnić sobie ochronę dodatkowych okrętów, zorganizował spotkanie u nareńskich wybrzeży i w końcu odpłynął do stolicy w cztery dni po opuszczeniu Crote. „Nieustraszonemu” towarzyszyły liniowce odwołane z walk przeciwko Lisseńczykom - „Rekin” i „Intruz” oraz niszczyciele „Zdobycwca”, „Anioł Śmierci” i „Gniewny”. Gdy wszystkie razem zjawiły się w porcie, mieszkańcy Nar wytrzeszczyli oczy i zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie nastąpił koniec świata.

Hrabia Biagio wiedział, że w Nar ma wielu wrogów, ale zdążył już zniszczyć większą ich część. Kivis Gago, Claudi Vos i wszyscy, którzy tak bezmyślnie związali się z Herrithem, byli już martwi, pocięci na sztuki lisseńskimi bułatami. Nareńskie Imperium pozbawione było władcy. Mieszkańcy Nar, którzy nigdy nie potrafili żyć bez silnej władzy nad sobą, przychylnie spoglądali na przybywającego w samą porę hrabiego Crote.

Biagio wyjaśnił im łaskawie, jak to podczas rozmów pokojowych na wyspę napadły lisseńskie dzikusy i bezlitośnie wymordowały nareńskich wielmożów. On sam zdołał uciec z najwyższym trudem i nie potrafił znaleźć sposobu, by pomóc pozostałym.

Lisseńczycy czyhali tuż za progiem - mówił mieszkańcom stolicy - i mieli paskudne zamiary wobec Imperium. Ponieważ wyspiarze usadowili się teraz na Crote, jedyną ochronę mogła zapewnić miastu Czarna Flota.

Biagio wiedział, że na każde jego potknięcie będączekali zaciekli wrogowie, trzeba mu więc poruszać się ostrożnie i ze świadomością, że kruchy lód, po którym stąpa, może się załamać. Może znajdą się jacyś amatorzy zabójcy tyrana, którzy zechcą go zabić - co im się oczywiście nie uda - ale był u siebie, przepelniało go zadowolenie, a gdy usiadł na Żelaznym Tronie Arkusa, poczuł przenikający go dreszcz emocji.

Był imperatorem.

Walczył o ten tytuł, jak będzie walczyło Nar. Herrith zostawił mu kraj rozdarty waśniami. Imperium trzeba będzie odbudować, jak rumowisko wielkiej katedry. Goth stało się ziemią jałową, a w Smoczej Paszczy szalała wojna domowa, ponieważ rozmaici

ambitni magnaci usiłowali wykroić dla siebie jak największy kawałek ziemi, którą do tej pory władali bliźniaczy diukowie. W całym kraju królowie i księżta kwestionowali władzę centralną, zastanawiając się, co też przyniosą im rządy Biagia i jego nowe Czarne Odrodzenie. Z Talistanu dobiegały niepokojące wieści, gdyż Tassis Gayle nie ukrywał swojej pogardliwej opinii o zniewieściałości nowego imperatora.

Biagio jednak miał czas. Przynajmniej na to, by nieco odpocząć. Jurto może rozgorzeć wojna, dziś jednak zajął Żelazny Tron i uznał, że na razie ma dość.

W tydzień po objęciu władzy nowy imperator zwołał na sekretną naradę swoich kluczowych agentów. Spotkanie urządzono w najwyższej wieży Czarnego Pałacu. Na zewnątrz dął silny wiatr, którego podmuchy przedzierały się przez szczeliny w murach i targały płomieniami ogniska płonącego na wielkim kominku. Pośrodku komnaty ustawiono ogromny okrągły stół, a wokół niego zebrali się członkowie organizacji Roshannów z Czarnego Grodu oraz całego Imperium, którzy wciąż uwielbiali swego Mistrza i głośno potwierdzali swoją lojalność i chęć służenia mu aż do śmierci. Imperator Biagio dziękował im wszystkim, rozdając złoto i pocałunki, rozdzielał też pomiędzy nich majątki ziemskie i pięknych niewolników, których nabył za resztki swej osobistej fortuny.

Po rozdzieleniu nagród zajęto się sprawami bieżącymi. Imperator miał tylko dwa istotne zalecenia. Z jego rozkazu zamykano łowy na Szakala z Nar, który odtąd miał być zostawiony własnemu losowi. Podobne zalecenie obowiązywało w stosunku do Simona Darquis. Niektórzy z agentów wyrażali swoje zdziwienie cichymi pomnikami, żaden jednak się nie sprzeciwił i żaden nie odważył się zakwestionować woli Biagia.

Po spotkaniu imperator wrócił do swoich komnat. Na swoją siedzibę wybrał te same pomieszczenia, które kiedyś zajmował Arkus. Miał stąd wspaniały widok na miasto i była tu cała kolekcja osobliwości zebrana przez starego imperatora. Wszystkie te błyskotki i zabawki tworzyły pomiędzy nimi więź i Biagio lubił wspomnienia, które się z nimi wiązały. Jego żal w końcu odchodził w niepamięć.

Często też rozmyślał o Dyanie Vantran i o tym, co mu powiedziała. Jej gwałtowne oskarżenia skierowały myśli imperatora na nowe tory. Zastanawiał się, ile prawdy było w stwierdzeniu, że używanie eliksiru Bovadina wypaczyło mu umysł.

Było już po północy, a Biagio siedział przy oknie i rozmyślał. Wokół wysokiej

wieży był wiatr. Imperatora czekał ogrom pracy, a Nar potrzebowało władcy mądrego i stanowczego. Ostatnią dawkę eliksiru zażył tydzień temu i teraz szarpały nim bóle głodu narkotycznego. Wiedział jednak, że Herrith i Vorto zdobyli się na odstawienie eliksiru i postanowił, że nie okaże mniej siły woli niż oni.

Czterdzieści siedem ODPOCZYNEK SZAKALA

Nareński liniowiec „Czarny Gród” odwiózł Dyanę i Richiusa na Crote, wysadzając ich na wyspie w miejscu, z którego nie mogły ich zobaczyć załogi lisseńskich szkunerów. Oboje przeszli przez niewielką wysepkę, zdumiewając się temu, co zobaczyli.

Lisseńczycy pochłonęli całą wyspę. Należała teraz do nich, jak tego zawsze chcieli Prakna i Jelena. Była idealną bazą do kontynuowania nieubłaganej walki z Imperium. Rzeź nie ograniczyła się do pałacu Biagia, ale szeroką falą rozplynęła się po wyspie.

W końcu jednak Lisseńczycy odzyskali rozum i przestali mordować. Richius podejrzewał, że w tej zmianie nastawienia sporą rolę odegrała Shii. Rozmawiał z nią przed opuszczeniem wyspy na pokładzie jednego ze szkunerów. Dziewczyna wyglądała na zagubioną, niepewną i nie przypominała już młodziutkiej zajadłej wojowniczkii, jaką Richius poznał na Karalonie.

Aramoorczyk zrozumiał, że w tej kampanii Shii zabiła swą młodość, oddając ją za nasycenie zemsty.

Na Lucel - Lor odwiózł Dyanę i Richiusa lisseński szkuner o nazwie „Delfin”.

Podróż nie należała do miłych i przyjemnych. Lisseńscy żeglarze unikali Richiusa, przepelnieni poczuciem winy za to, że go zdradzili. Lord Szakal odszedł w niebyt. Jego miejsce zajął Richius Vantran - już nie król i z pewnością nie bohater. A kiedy przybyli z Dyaną do Falindaru, okazało się, że świat uległ zmianie.

Falindar pachniał bardziej słodko, niż kiedyś. Wiatr był zimny, wino mocne, a Dyana i Shani odzyskały spokój i poczucie szczęścia. Z Kes zaś wrócił Lucyler. Władca cytadeli nie był wcale mniej zajęty, niż wtedy gdy z niej wyjeżdżał. Pomiędzy wodzami Ishią i Praxtin - Tarem wciąż tliły się zarzewia wrogości i Lucyler martwił się o chwiejny pokój, do jakiego ich zmusił. Richius jednak w ogóle się tym wszystkim nie przejmował. Myślał o swoim niezwykłym szczęściu, które wyrwało go z łap śmierci, i o tym że dobrze jest żyć. Nie chciał już zwracać sobie głowy jakimikolwiek rozmowami o wojnie. Bardziej niż kiedykolwiek w swoim życiu pragnął pokoju. Nawet Aramoor

wydawał mu się odległym wspomnieniem.

Pewne było, że królestwo jego ojca jest stracone i nie zamierzał zrywać umowy, jaką zawarł z Biagiem. Imperium należało do Biagia. On sam zaś miał do dyspozycji cały Lucel - Lor - na wypadek gdyby zaczęło mu się nudzić. Urządzi sobie jakoś życie pomiędzy Triinami.

Albo zginie, szukając dla siebie miejsca.

W tydzień po powrocie do Falindaru, wyruszywszy na łowy z Lucylerem, Richius trafił w to samo miejsce, gdzie z Simonem zrabali prastary dąb. Wokół powalonego drzewa trawa wciąż jeszcze była pognieciona i pokryta połamanymi gałęziami. Richius wspominał zwałonego olbrzyma z melancholią. Wtedy nie rozumiał, dlaczego Simon zapalał taką nienawiścią do starego dębu. Opuściwszy łuk, długo patrzył na potężny pień i myślał o Simonie. Prakna powiedział mu, że Darquis uniknął rzezi, uciekając z pałacu.

Najwidoczniej Eris została zabita wcześniej. Teraz nikt nie wiedział, gdzie się podział były agent Biagia - co więcej, nikt nie umiałby rzec, czy w ogóle żyje.

Richius zapomniał o polowaniu, usiadł na pniu i gestem ręki zaprosił Lucylera, by ten zajął miejsce obok niego. Triin z przyjemnością powitał odmianę, bo znużyło go już poszukiwanie zwierzyny. Obaj milczeli przez dość długi czas - Lucyler potrafił milczeć jak rzadko kto. Nie zadał nawet Richiusowi oczywistych i nieuniknionych pytań: dlaczego popłynął na Liss, porzuciwszy żonę i dziecko na pastwę losu, i dlaczego był w Falindarze tak bardzo nieszczęśliwy.

I w przyszłości też nie miał zadać tych pytań - Richius znał przyjaciela na tyle dobrze, że wiedział, czego się po nim spodziewać.

A jednak, po kilkunastu minutach Lucyler przemówił.

- Zimno jest... - zauważył. Richius kiwnął głową.

- Owszem.

Chłód był nawet przyjemny. Przypominał mu Aramoor.

- Ishia się gryzie - stwierdził Triin. - Nie mam pojęcia, co zrobić.

Kolejne pytanie, na które nie było odpowiedzi. Richius wzruszył ramionami.

- Naprawdę uważasz, że to twoja sprawa?

- Jestem panem Falindaru - odpowiedział Lucyler. - Takich rzeczy się po mnie oczekuje. - Westchnął. Błysk światła w oku zdradził, że ogarnął go smutek. - Wiesz,

czuję się, jakbym jechał na wściekłym lwie. Praxtin - Tar jest szaleńcem.

Richius skrzywił się ponuro. Miał już serdecznie dość szaleńców, z którymi los nieustannie go ostatnio stykał.

- Myślę, że wodzowie muszą ze sobą walczyć - stwierdził Lucyler. - Nie jestem pewien, czy zdołam ich powstrzymać.

- Lucylerze, niewiele wskórasz, jeżeli oni po prostu kochają mordy i rzezie. I bacz, byś przy tym nie zginął.

Triin zaśmiał się ponuro.

- Przyjacielu, skąd wzięłeś tyle mądrości? Nauczyłeś się tego, czy ktoś ci to powiedział? No, dalejże, powiedz jeszcze kilka oczywistych prawd.

- Nie uwierzysz, ale ta wiedza drogo mnie kosztowała.

- A ja myślałem, że może pojedziesz ze mną, by pogadać z Praxtin - Tarem - wyznał Lucyler. - Wiesz, on cię pamięta z poprzedniej wojny i wie, że Tharn liczył się z twoim zdaniem. Jeżeli z nim porozmawiasz, może cię posłucha.

- Nie - odparł Richius. - Nie posłucha.

- Jesteś pewien? Mógłbyś przynajmniej spróbować. Richius potrząsnął głową.

- Przykro mi...

- Więc nie pojedziesz?

- Nie mogę - odparł Richius obojętnym tonem.

Złożona Biagiowi obietnica obowiązywała również poza granicami Nar. Była to właściwie obietnica, którą złożył przede wszystkim sobie samemu. Podczas gdy Lucyler patrzył pytająco, Richius zapatrzył się w niebo. Nagle niebo wydało mu się ważniejsze niż cokolwiek innego.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA.....	2
Jeden ŚWIATŁOŚĆ BOGA.....	3
Dwa. ŻŁOTY HRABIA.....	30
Trzy RICHIOUS VANTRAN.....	48
Cztery ŻELAZNY KRĄG.....	63
Pięć KRÓLEWSKIE SUMIENIE.....	85
Sześć BLIŹNIACZY DIUKOWIE.....	98
Siedem „KSIĄŻĘ LISS ”.....	114
Osiem MROCZNE SERCE.....	124
Dziewięć KATEDRA MĘCZENNIKÓW.....	145
Dziesięć OBIETNICA SKRYTOBÓJCZY.....	169
Jedenaście ANIOŁ DIUKA ENLI.....	182
Dwanaście MISTRZ KRUKÓW.....	196
Trzydzieści PRZECIWKO „NIEUSTRASZONEMU ”.....	214
Czternaście WIEKOWY DĄB.....	225
Piętnaście SIEROTA.....	236
Szesnaście URZĄDZENIE.....	259
Siedemnaście WEZWANIE DO BRONI.....	270
Osiemnaście ZBROJNI.....	291
Dziewiętnaście CÓRKA SZAKALA.....	299
Dwadzieścia PRZEBUDZENIE.....	317
Dwadzieścia jeden DUCHY SZAREJ WIEŻY.....	331
Dwadzieścia dwa WYTWÓRCA ZABAWEK.....	346
Dwadzieścia trzy LISS O STU WYSPACH.....	356
Dwadzieścia cztery POWRÓT DO DOMU.....	382
Dwadzieścia pięć „POGROMCA ”.....	391
Dwadzieścia sześć WYSPA SZALEŃSTWA.....	401
Dwadzieścia siedem KU SMOCZEJ PASZCZY.....	424
Dwadzieścia osiem ŚWIĘTO SETHKIN.....	426
Dwadzieścia dziewięć LORD SZAKAL.....	441
Trzydzieści BITWA O SMOCZĄ PASZCZĘ.....	459
Trzydzieści jeden PONOWNE SPOTKANIE.....	489
Trzydzieści dwa ZACIEKŁOŚĆ PRAKNY.....	510
Trzydzieści trzy „BYSTRY ”.....	516
Trzydzieści cztery ODKRYCIE DYANY.....	519
Trzydzieści pięć PREZENTY.....	533
Trzydzieści sześć ZDRADA.....	550
Trzydzieści siedem EESTRII.....	566
Trzydzieści osiem TOWARZYSTWO KRÓLOWEJ.....	579
Trzydzieści dziewięć JEDENASTU LORDÓW.....	592
Czterdzieści LISSEŃCZYCY.....	601
Czterdzieści jeden SEKRETY.....	602
Czterdzieści dwa SPOTKANIE MONARCHÓW.....	613

Czterdzieści trzy POJUTRZE.....	623
Czterdzieści cztery „NIEUSTRASZONY ”.....	649
Czterdzieści pięć WYGNANIEC.....	666
Czterdzieści sześć IMPERATOR.....	668
Czterdzieści siedem ODPOCZYNEK SZAKAŁA.....	670